

INSTYTUT GOSPODARSTWA SPOŁECZNEGO

PAMIĘTNIKI
BEZROBOTNYCH

Nr. 1 — 57



1 9 3 3

W A R S Z A W A

Drukarnia
T-wa Polskiej Macierzy Szkolnej
Spółka dzierżawna
Warszawa, ulica Elektoralna 18
Tel. 292-94

W pamięci mojej wypływa jeden z utworów Kielanda.

Ku schyłkowi wspaniałej uczty proszą obecnego tam wirtuoza, ażeby zechciał coś zagrać. Mistrz siadł do fortepianu i zgrzytem przejął obecnych — zaimprovizował pieśń głodnych...

Mam wrażenie, że Pamiętniki Bezrobotnych będą dla wielu takim zgrzytem. Ale niechaj idą w świat, choćby miały wywoływać takie ciężkie wrażenie, niechaj budzą sumienia ludzkie! Niechaj idą w świat te odgłosy nędzy, która w chwili obecnej nietylko u nas, ale i gdzieś indziej rozsiadła się tak buńczucznie — te podźwięki ciężkich doświadczeń, a przede wszystkim głodu i chorób, te niedopowiedziane męki cierpienia moralnych, które tak obficie tkwią w sytuacji dzisiejszej. Liczba wołających o pomoc idzie w dziesiątki i setki tysięcy! A nie jest to sprawa zamknięta tylko w obrębie chwili obecnej. Chodzi tam o przyszłość naszą, o to nieodrośnięte jeszcze od ziemi pokolenie, na którego barkach spoczną kiedyś losy kraju, a które dzisiaj niedojada, podupada na zdrowiu, karłowacieje i wyrodnieje. Albowiem, pomimo nędzy, dzieci rodzą się obficie. Rodzą się i umierają! Traktuje się te narodziny jako dopust boży, który wywołuje niekiedy westchnienie: „ach! Boże z wysokiego nieba, nie daj już nikomu dużej rodziny, aby chodzili po ojczystej ziemi boso i głodno!“. A ojcom opadają bezwładnie ręce: „powiła mi żona aż dwoje dzieci... Przyzwyczaiłem się już do dziecka, które miało przyjść, ale dwoje — tego się nie spodziewałem. Sąsiedzi z suteryn mi gratulowali, a ja stałem prawie oszołomiony, widząc całą grozę swego położenia. Żona wzrokiem jakby mi się tłumaczyła, że nie jest temu winna“. Rodzice korzą się przed „wołą nieba“, a dla niemowlęcia nastają ciężkie chwile doświadczeń: pierś matki wyschnięta nie darzy dziecka pokarmem, na kupno mleka nie stać rodziców,

dziecku wlewa się do ust czarne pomyje, które noszą miano kawy... Może wybawi je śmierć, a jeśli tego nie uczyni, krajowi przybędzie cherlak ze skutkami wygłodzenia w ciele swoim na całe życie. Wśród ciężkich doświadczeń nawet pożycie rodzinne ulega rozprzężeniu: mąż opuszcza żonę i przemierza nieraz kraj cały, czy nie znajdzie zarobku. Żona przyjmuje miejsce stałej posługi lub wraca do swoich rodziców. Matłonkowie marzą o wznowieniu wspólnego pożycia, gdy nastaną lepsze czasy. Niekiedy żona zniecierpliwiona niedołęstwem męża, „który nie umie znaleźć pracy“, porzuca go i żyje z mężczyzną, który ma zarobek. To rozejście się małżonków, chwilowe lub stałe, jest ostatniem ogniwem długiego pasma swarów i kłótni. Nędza materialna, zanik więzi uczuciowych, niekiedy kompletne piekło! Człowiek marnieje. Marnieje fizycznie, marnieje duchowo. A ponieważ największem bogactwem społecznym jest niewątpliwie istota ludzka, klęska dzisiejsza zastoju, tak chłuszcząca ją głodem i chorobami, tak szarpiąca jej nerwy i tak wroga subtelniejszemu poczuciu godności osobistej, jest wielkiem marnotrawieniem tego bogactwa.

Ale w zastoju istnieje jeszcze inna strona, znaczenia pierwszorzędnego. Chodzi o nastroje tłumów dotkniętych klęską bezrobocia.

Tam, wśród tych tłumów odsuniętych od jedyne go źródła utrzymania, jakim jest praca, z konieczności narasta jakiś osad stanów uczuciowych, dotychczas nieznanych wcale, albo nieznanych w takim napięciu. Kielkują tam poglądy mocnem zabarwione niezadowoleniem, a nieraz i chęcią odwetu. Narastają i kielkują żywiołowo z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień. Oddźwięki tych kielkowań rozbrzmiewają obficie w nadeślanych pamiętnikach, oddźwięki tem rzetelniejsze, iż głos zabiera człowiek, któremu najczęściej obca jest umiejętność przyoblekania swoich myśli w barwne wyrazy, a nawet niekiedy w logiczny tok skojarzeń. I właśnie to oddziaływanie zastoju na umysły ludzkie, to rzeźbienie przezeń — z potulnego człowieka — zgorzkniałego malkontenta, to kielkowanie tu i ówdzie możliwości jakiegoś odruchu zbiorowego, są sprawą niezmiernie doniosłą z punktu ogólnospołecznego. Każdy, usiłujący trzymać rękę na pulsie życia społecznego: mąż stanu, polityk partyjny, działacz społeczny powinien mieć to w pamięci swojej, że chwila taka, jak dzisiejsza, nie tylko doświadcza ludzi nędzą i głodem, ale nadto krzesze w jaźniach ludzkich iskry rokoszu — żywiołowo, samorzutnie w każdej chwili ich ciężkiego żywota. Dlatego *Pamiętniki Bezrobotnych* są nie tylko opowieścią, mającą ocknąć sumienia ludzkie, ale także książką dla ludzi dbałych o przyszłość, dla polityków, dla mężów stanu, aby wiedzieli, co tam w głębi narasta w duszach ludzkich. Niekiedy wyrazy tego narastania są

mocno naiwne, niemal dziecinne, nieraz nawet zakrawają na niepowiązany belkot, na odruch emocjonalny w jednym wykrzykniku zawarty, ale swoją drogą są wyrazami czegoś, co chociaż nie zawsze dorzeczne, staje się przecież wyznaniem tysięcy.

Ale zanim podejmiemy sprawę tych nastrojów, warto poznać tych, którzy są wyrazicielami tych stanów, jak rzekliśmy raczej emocjonalnych, niż jasno sformułowanych.

W P a m i ę t n i k a c h doszli do głosu różni ludzie: mocno religijni i zdecydowani ateusze, osobistości o dużej wrodzonej inteligencji i pół-analfabeci, duchy niespokojne żadne wciąż nowych wrażeń i okazji z urodzenia, godzący się z losem swoim i z każdą sytuacją. Są w tej gromadzie wyznawcy różnych stronnictw, a obok nich inni zupełnie obojętni na sprawy ogólniejsze. Różnobarwna mozaika typów! I tak samo unosi się nad nimi złożona atmosfera zapatrywań i nastrojów, acz bardzo jednolita przy głębszym wejrzeniu. W tym rozbiórce poczesne miejsce należy się tym, którzy zaliczają siebie do tej lub innej partji, a więc bezrobotnym, którzy mają jakiś wyrobiony pogląd na stosunki społeczne, lub raczej jakieś ułamki sformułowanych aspiracji. Albowiem o konsekwentnej całości powiązanych zapatrywań wyjątkowo może być mowa wśród tego grona osób, które nadeszły do Instytutu Gospodarstwa Społecznego swoje wynurzenia. Ale różnego znaku „partyjnicy“ są w nieznacznym odsetku, nawet bardzo nieznacznym. Rdzeń pamiętników tworzą zwyczajni śmiertelnicy, może żywiący jakieś żywsze sympatje dla hasel tego lub innego stronnictwa, ale nie idący w żadnym ordynku partyjnym, a więc mający swoje własne drogi myślenia, swoje własne zapatrywania i nawet własne środki zaradcze na poskromienie kryzysu — naiwne, nieraz bardzo naiwne, ale, jeszcze raz powtarzamy, własne bez jakiegokolwiek stempla partyjnego. A w tej gromadzie bezkształtnej są niektórzy jako tako odcytani, ale znowu ci stanowią niewielki odsetek, większość zaś nie grzeszy ani umiejętnością zdawania sobie sprawy z natury tej klęski, jaka ich dotknęła, ani potrzebą głębszego wnikięcia w jej istotę. Nie winniśmy temu się dziwić. Kryzys jest swego rodzaju huraganem natury społecznej, który oddaje tłumy najmitów pracy fizycznej i umysłowej na pastwę nędzy, a przemysłowców przyprawia o ruinę. Jest to klęska wśród nadmiaru produktów i z powodu takiego nadmiaru. Jedni staczają się w ruinę, ponieważ nie mogą sprzedać posiadanych tkanin, lub zboża, inni marzną, bo nie mają się w co przyodzierać, i przymieniają głodem, bo nie mają co włożyć do ust. Klęska o charakterze żywiołowym,

która wywiązała się jako naturalne a konieczne ogniwo dzisiejszego nieplanowego a prywatnego ustroju produkcji i w której nikt osobiście nie zawinił, choć wszyscy „jakoś” przyłożyli do niej rękę. Wiele z pośród osób, które nadeszły pamiętniki, odczuwa tę żywiołowość klęski, ale nadaje jej charakter jakiegoś fatum — widzą w niej dopuszczenie Boże i w bezwładnej rozpaczycy opuszczają ręce. Ale przecież zrozumienie istoty kryzysu i jego źródeł jest rzadkie nawet wśród osób bardziej wykształconych z pośród inteligencji! Jest również rzadkie pomiędzy naszymi pamiętnikarzami. Bądź co bądź kryzys jest ostatecznie dziełem rąk ludzkich po omacku płaczących się i poruszających wśród bezplanowej anarchii w sferze produkcji. Ale jego wytładowanie się, jego przebiegi stale posługują się świadomą działalnością ludzi. Właśnie tych ludzi stawia się zwykle pod pręgierz jako sprawców i winowajców. Żywiołowe, ślepe potęgi anarchii gospodarczej rozptywiają się w ludziach, zostają przetłumaczone na czynny woli ludzkiej, na skutki ich świadomości.

Takie stanowisko zajmują zazwyczaj nasi pamiętnikarze.

Myśl ich w uściskach ciężkiej rzeczywistości pracuje — naiwna, niepogłębiona.

Rzecz ciekawa, u wielu daje się wyczuwać jakiś żal, niekiedy niejaki, jakgdyby zamglony, a niekiedy wyraźny, do Niepodległej Polski, iż pozwala na srożenie się takiej klęski: w głowie nie może im się pomieścić, ażeby ta Niepodległa nie zdołała ukrócić kryzysu. Częściej jednak szuka się winowajcy wyraźniej skryształizowanego, a więc czyjejsz złej woli, która przyczyniła się do rozpanoszenia się kryzysu, a w każdym razie sprawiła, iż niema wystarczającej pomocy zbiedzonym ludziom w tej ciężkiej potrzebie, albo że pomoc o ile istnieje jest powolna, niedostateczna, niedbała. Winowajcami są przedewszystkiem przemysłowcy, którzy wypowiedzieli pracę. Poprzez pamiętniki wiję się nieustająca skarga na niesprawiedliwy sposób dokonywania redukcji: zwalnia się nie tych którzy najmniej potrzebują zarobku, ale tych, którzy nie byli dostatecznie czolobitni i potulni, lub nie mieli „pleców za sobą”. Pozostają przy pracy tacy, którzy mają grunty i sklepy, pozostają młodociani, a tymczasem ojcowie licznej rodziny są odsunięci od zarobku. Niekiedy pozostaje dziewczyna, ponieważ złożyła daninę ze swoich wdzięków... Oto pierwsze źródło obrachunków bezrobotnego — ze swoim przedsiębiorcą, obrachunków odbywających się w izdebce poszkodowanego w jego rozmyślaniach wśród ciszy nocnej, w jego rozmowach z żoną, w jego żalach przed towarzyszami niedoli. Zarzuty czepiają się narazie je d n e j osoby, t. j. pryncypała, który wymówił miejsce, ale w zetknięciu z innymi poszkodowanymi tak samo do-

tkniętymi redukcją i tak samo pielęgnującymi w sercu swoim żal narazie tylko do swego pryncypała, rzecz żywiotowo, samorzutnie przybiera charakter ogólniejszy, klasowy. Człowiek zaczyna, że tak powiemy, chwytac z powietrza nastrój o takim zabarwieniu. Te nowe pierwiastki poczynają się nie tyle z samej nędzy, ile z rozważań, z rozmów o niej. Zwłaszcza dojrzewają tam, wśród długich wystających ogonków przed różnemi instytucjami pomocy. Ach, te ogonki!... ludzie wystają głodni, nieufni, zdenerwowani, toczą się rozmowy, rozbrzmiewają żale. Uczestnik tych zborów odchodzi stamtąd z ułomkami filozofji klasowej, z wrogością dla komitetów pomocy. A te komitety, te instytucje pomocy!.. To inni winowajcy. W P a m i ę t n i k a c h pełno utyskiwań na te instytucje, przecież tak szczupło uposażone, rozporządzające tak skromnemi funduszami i taką nieznaczną liczbą czynnych pracowników. Sypią się narzekania, nietylko na to, że sprawdzają tak długo, ale wogóle że sprawdzają dowody ubóstwa i dokonywują wywiadów, czy słusznie należy się komuś zasitek, że utrudniają otrzymanie zapomogi, lub po pewnym czasie przerwują go, odwołując się do jakichś przepisów. Ogonki owe gromadzą się o świcie, uczestnicy wyczekują całemi godzinami chwili rozdawnictwa numerków, niekiedy tylko po to, ażeby ich nie otrzymać, gdyż wyczerpane zostały nim nadeszła na kogoś kolejka. Wszystkie te komitety wyglądają na to, iż są zbiorem ludzi twardego serca, którzy stojąc u zasobów jadła, skąpią głodnym i nieszczęsnym. Nie wszyscy z pamiętnikarzy tak myślą. Jednak wielu tak a nie inaczej przedstawia sobie sytuację... I wreszcie jeszcze jeden winowajca, zresztą rzadziej wysuwany. Są to organizacje państwowe. Ten i ów zwraca się z prośbą o pracę do władz różnej instancji od najniższych do najwyższych. Patrzy się tam na państwo jako na potęgę, która na wszystko ma środki, wszystkiemu może zaradzić. A ponieważ państwo jest również bezradne i bezsilne, rodzi się żal do niego i do Niepodległej Polski. Jakto w Polsce niema miejsca dla chcących pracować! Czy Polska nie jest niepodległa! A zwłaszcza takie żale występują w postaci napiętej u tych, którzy orężnie walczyli o Polskę*), a obecnie znaleźli się bez pracy. A jest ich przeszło 15% wśród naszych pamiętnikarzy. A pomiędzy nimi są tacy, którzy poszli na obronę kraju od warsztatu

*) Z pośród 774 pamiętnikarzy (w tej liczbie są i kobiety) 121 walczyło w latach 1918 — 1921 o Niepodległą Polskę, a nadto 28 służyło w formacjach polskich w latach 1914 — 1918 (w tej liczbie było 17, którzy uczestniczyli później w walkach lat 1918 — 1921). Pomiedzy tymi 121 bojownikami jest 62 ochotników do wojska z dobrej woli, 9 powstańców śląskich, 6 ochotników do wojska a później do powstania śląskiego.

zarobkowego lub odeń zostali powołani do wojska — a gdy wrócili, bez ogródki odmówiono im pracy...

Winowajców więc jest co niemiara.

Winowajców, którzy niekiedy są coś winni, ale najczęściej są bezsilni wobec podmuchów huraganu gospodarczego. Im wyrobienie społeczne pamiętnikarza jest mniejsze, tem więcej rozbrzmiewa skarg przeciw poszczególnym osobom, tem namiętniej są piętnowane jako sprawcy sytuacji obecnej. I tylko u niewielu występuje świadomość, że klęska tkwi nie w osobach, nie w poszczególnych instytucjach, nie w dobrej lub złej czyjejś woli, ale w anarchji dzisiejszej produkcji, w bezplanowości dzisiejszego gospodarstwa społecznego, znajdującego się w rękach przedsiębiorców prywatnych.

Wzbiera więc powódź utyskiwań, urasta w napięciu żal zwolna nabierający charakteru klasowego, potężnieje niechęć ku okupionej tyłu ofiarami Niepodległej Polsce, a w końcu kielkują możliwości różnych dreszczów, przynajmniej dreszczów miejscowych. A w tym zamęcie niejasnych stanów, rozgorączkonych myśli, tego szukania winowajców, silnem tętnem uderza tęsknota do utraconej pracy i jej idealizowanie.

Oto wiązanka takich wynurzeń:

...,Wszędzie i zewsząd płyną skargi ludu, dotkniętego bezrobociem, tłumnie i gromadnie skarga łączy się w jedno wielkie, rozpaczliwe wola-
nie: Pracy! pracy nam dajcie!“

...,Robotnik pracowałby chętnie, gdyby zaofiarowano mu zamiast jałmużny pracę za sprawiedliwą zapłatę“.

...,Bez pracy nikczemnieją dusze, łamią się charaktery. O pracę więc wolam z głębi serca, o pracę dla siebie i tych tysięcy innych bezrobotnych, którzy pracować są zdolni do niej, ale nie mają sposobu na jej zdobycie. Witaj jutrzeńko pracy!“.

...,Nie chcę zapomogi ni wsparcia — dajcie mi pracy!“.

...,O kiedyż się skończą te nasze męczarnie? Kiedy wreszcie przestaniemy być nędzarzami my wszyscy, którzy przecież mamy zdrowe i młode ręce do pracy, z której moglibyśmy żyć jak ludzie? O kiedyż znów zaryczą syreny fabryki, by oznajmić, że jest praca? Kiedy to nastąpi, kiedy...
O błogostawiona praca, praca, praca!“.

*
* *
*

Do konkursu stanęło 774 bezrobotnych: jeden uczestnik przypada na 400 zarejestrowanych bezrobotnych.

Liczba uczestników jest poważna, tembardziej, iż ta gromada powstała samorzutnie w różnych zakątkach kraju, i to z pomiędzy osób, które siebie nigdy nie oglądały.

Wolno więc się spodziewać, iż ogół tych pamiętników posiada charakter dostatecznie p r z e d s t a w i e n n i c z y, że użyjemy starego wyrażenia zamiast dzisiejszego „reprezentatywny“.

Naswają się jednak różne zastrzeżenia co do wagi tego przedstawienia.

Po pierwsze, wśród bezrobotnych, którzy stanęli do konkursu, wielu mogło ulec złudnej pokusie, że ten uzyska nagrodę, kto przeszedł najcięższe doświadczenia, i dlatego przedstawiali swój los beznadziejniej niż było w rzeczywistości. Istotnie, moglibyśmy wskazać kilka pamiętników, z których w całej pełni wyziera chęć wzruszenia czytelnika — może ktoś litościwy pośpieszy z pomocą... Ale opowieści robione rzuciły się odrazu w oczy swoją nienaturalnością. Wypadło nam odrzucić dwa opowiadania, nibynowełe, które niezręcznym mnożeniem sytuacji ciężkich i ponurych, a do tego niedorzecznych, dawały zamiast rzeczywistości jej karykaturę. Są to jednak wyjątki. Ludzie pracy fizycznej nie są przyzwyczajeni do chodzenia na szrudłach i nawet gdyby chcieli nakładać sztuczne barwy, poczucie prawdy bierze górę a obraz kreślony staje się rzetelnym odtworzeniem tego co było. Przesady nie było! I nie było także tego czego obawiał się jeden z bezrobotnych: „W ankiecie — pisał — weźmie udział nieliczna gąstka bezrobotnych, umiających się wystowić w piśmie i ci nie opiszą wszystkiego, nie opiszą dokładnie swej nędzy, gdyż w naturze Polaka leży hardość, która wyraża się w przysłowiu: Trzy dni wodę krasić, a o biedzie nie dać po sobie znaczyć. A Litwini o Polakach (a właściwie Polacy na Litwie) tak mówią: koroniarz, psia krew, trzy dni nie je, a jeszcze wykałaczką w zębach dłubie. Gdyby jednak ci oficjalni bezrobotni chcieli opisać swe zmagania się z ciężką swoją sytuacją, to burżuazja miałaby taki obraz, że piekło dantejskie zbladłoby przy nim. Ta ankieta uchyli tylko skromny rąbek tajemnicy — bezrobocia“. Obawy płonne! Wielu jęło się pióra nie poto by otrzymać nagrodę, lecz ażeby wyspowiadać się z swoich utrapień, jak ktoś w ciężkiem zmartwieniu płacze, aby się wyplakać. Niektórzy nietylko opowiadają o swoich upokorzeniach, ale spowiadają się także z chwilowych pomysłów zbrodniczych, przyznają się do czynów, które bądźco bądź nie przynoszą zaszczytu, acz które nęcza całkowicie uniewinnia.

Jednak istnieje inne poważniejsze niebezpieczeństwo.

A mianowicie wielu z pamiętnikarzy niewątpliwie posiada talent literacki. Nawet niekiedy duży! I kto uważnie będzie odczytywał ogłoszone pamiętniki, dostrzeże niejednokrotnie tę — że użyjemy starocznego wyrażenia — iskrę bożą. Dochodziło do tego, iż niektóre pamiętniki w pierwszej chwili budziły w nas powątpiewanie, czy istotnie wyszły z pod ręki człowieka pracy fizycznej. Ale papier na którym kreślono opowieść o przeżytych doświadczeniach, charakter pisma wykazujący często bardzo małą wprawę w posługiwaniu się piórem, a przedewszystkiem ortografja, świadczyły, iż niema tutaj mowy o podejściu ze strony jakiegoś „inteligenta“). W paru jaskrawszych wypadkach docieraliśmy do autorów i staraliśmy się rzecz wyjaśnić, a gdy chodziło o kogoś na prowincji korzystaliśmy parokrotnie nawet z pośrednictwa osób trzecich. Nasze podejrzenia okazywały się niestusznymi, przynajmniej gdy chodzi o przyczynki dużego talentu, które właśnie najwięcej nieciły wątpliwości. Podkreślamy tę okoliczność, gdyż w druku zniknęły owe zewnętrzne dowody autentyczności, acz całą pełnią wyzierały ze stronic rękopisów. Albowiem nie chcąc odstręczać czytelników od książki, która przecież winna przedewszystkiem przemówić do sumień ludzkich, usunęliśmy ortografję oryginałów. Nie zmienialiśmy jednak miejsca znaków pisarskich, chyba gdy pozostawienie ich w postaci pierwotnej utrudniało zrozumienie treści. Natomiast całkowicie utrzymaliśmy styl i wyrażenia rękopisu. Ale talent pisarski robił swoje: ten i ów „upiększał“ sytuację, innemi słowy ją koloryzował. Postępowanie to jest bodaj nieodłączne od talentu literackiego — polot twórczości wplata w rzeczywistość obce jej i nieznanne pomysły. Stwierdziliśmy właśnie w paru wypadkach taki wpływ twórczej fantazji. Lecz fantazji, która nietyle fałszowała sytuację zastojowi pracy*

**) Przytaczamy ustęp z jednego rękopisu — zresztą wyróżniającego się wyjątkowo kiepską ortografją:*

„Ja leżałem jak w odretfieniu i zdawało sie ze nie czuje tego niemego skomlania bo zaczęła mnie opanowywać jakaś ochydna myśl zemsty za wyrządzaną mi krzywdę... przesuwła sie przed oczyma taśma Filmowa przeżytych momentów chfile w kturych stawało sie do zawodów z wrzechmocną śmiercią nasuwają sie przed oczy obrazy w kturych to człowiek stawał oko w oko z potfornemi paszczami armat lub przed drżącym od naporu ognia karabinem maszynowem ktury tak obficie asz do nie uwierzenia zieje rozpalonem zelazem. I była odwaga: ani cienia bojaźni nicht nie dostrzeł na moiej prawie dziecinnej tfarzy bo w uw czas mjalem zaledwie 18-cie lat nie było bojaźni bo skąnt mjala być pszecziesz tu chodziło o polskie o kturzej tak Ludzie marzyli przy tokarni kowadle i szrubstaku gdy pracowałem jako praktykant mając lat 14-cie“.

towarzyszącą, ile idealizowała emocje i zamiary pamiętnikarza. Ale znowu powtórzmy: człowiek pracy fizycznej, z konieczności zmuszony poważnie patrzeć na życie, nie umie chodzić na szczudłach, i to nawet wtedy, gdy uniesie go fantazja twórcza.

Słowem, pamiętniki ogarniają dość rozległe koła ludzi pracy i pozostawiają po sobie wrażenie wynurzeń rzetelnych, zabarwionych niekiedy chęcią zwrócenia uwagi na czyjąś nędzę lub uniesieniem twórczym. Ale nie ogarnęły nizin świata pracy, a więc tłumów najbardziej zahukanych, tych, które nawet gdyby wiedziały o naszym konkursie i chciały podać wiadomość o swoim losie, nie mogłyby temu podolać — nie umieją bowiem pisać, a nieraz i czytać. Do konkursu stanęli przedstawiciele świata pracy, bardziej wyrobieni, niekiedy otrząskani z piórem, lubiący zajrzeć do gazety i nieraz posiadający niewielkie zbiory książek. (W prawdzie ten i ów z pamiętnikarzy dowiadywał się o konkursie przypadkowo, z gazety znalezionej w koszu na ulicy, lub nalepionej na ścianie przed redakcją, a niekiedy kupując chleb lub inny produkt spożywczy i odczytując drukowany papier w jakąś ów przedmiot był zawinięty). W każdym razie stanęły do konkursu osoby, o większej niż przeciętna rzutkości i rozgarnięciu. Niewątpliwie, pamiętniki pochodzą od pracowników pod względem ruchliwości umysłowej będących w swoim otoczeniu powyżej średniego poziomu i może dlatego wrażliwszych na swój stan i nędzę, na swoje upokorzenia. Przytem w przeważającej większości zabrali głos ludzie, którzy umieli pracować i chcieli pracować, ale których kryzys wyrzucił na bruk, słowem właściwi bezrobotni. W prawdzie jest nieco pamiętników od ludzi nierobotnych, od łazików, którzy częściej byli bez pracy, niż pracowali — opowieściami swemi urozmaicili treść plonu konkursowego, ale bynajmniej nie zajęli pod względem liczby miejsca jako tako poczesnego. Zabrali więc głos różni ludzie o różnej wartości i różnym temperamentem. Swojami przyczynkami wydali stanowczo chlubne świadectwo naszej warstwie pracującej a jednocześnie wykazali iż są tam talenty, nieświadome iż są nimi. Niechaj ogłaszane przez nas przyczynki poniosą wiadomość o ich niedoli, o wzlotach ich ducha i marzeniach, o sposobie ujmowania dróg życia i borykania się z losem swoim. Nie krępowaliśmy ich treści żadnymi ograniczeniami — społeczeństwo w własnym dobrze zrozumianym interesie powinno wiedzieć co ci głodni czują i myślą. Pamiętniki te, to przecież głos zrozpaczonych, zdenerwowanych, rozżalonych! Pozostawiliśmy ich żale, ich złorzeczenia nawet bez jakiegokolwiek zmiany z powodów któreśmy wyluszczyli. Usunęliśmy jedynie błęd-

na ortografię. Tak samo usuwaliśmy spotykane, acz nieliczne, porachunki natury partyjnej, zupełnie obojętne dla treści pamiętnika, ale nie tknęliśmy wyznań wiary partyjnej, jako też opowiadań o działalności. Ale tych usunąć na przestrzeni całej książki nie zbierze się nawet na jedną stronę.

Głód i nędza były źródłem z którego myśl o pamiętnikach się poczęła. Drukujemy obecnie 57 przyczynków, które właśnie treścią swoją wysunęły się na stanowisko poczesne. Od funduszków, jakimi Instytut będzie rozporządzał, zależy, czy wyjdą dalsze tomy i kiedy. Pozostało przecież jeszcze 717 pamiętników! Swoją drogą, i ten tom początkowy — może jedyny! — uwypukła w całej pełni ciężkie chwile jakie przeżywa Polska bezrobotna — sytuacje są ostre, jaskrawe w swojej posępnej rzeczywistości. Ów zbiorowy obraz — obraz nękanej klęską bezrobocia wielkiej rzeszy istot ludzkich — stworzyły swoim wysiłkiem zbiorowym setki rąk, które nadeszły do Instytutu opowieść o swojej nędzy. W pierwszej chwili tym znękanym, zrozpaczonym pragnęliśmy poświęcić książkę. Ale zrozumieliśmy, iż taka dedykacja byłaby jedynie szyderstwem z ich nędzy — im potrzeba nie takiego holdu czolobitnego, ale pracy, owej „błogostawionej“ pracy, i jeszcze raz pracy!...

LUDWIK KRZYWICKI

NIECO O PAMIĘTNIKACH I PAMIĘTNIKARZACH

NIECO O PAMIĘTNIKACH I PAMIĘTNIKARZACH

Otrzymałiśmy 774 pamiętniki.

Pamiętniki początkowo napływały zwolna, po kilka dziennie, później w drugiej połowie grudnia po kilkanaście, a w styczniu bywało ich po kilkadziesiąt, między innymi dnia 14 stycznia nadeszło 78, dnia następnego — ostatni termin — 91. Pierwsze były raczej listami zakrawającymi na podania o wsparcie. Później wydłużały się w swoich rozmiarach — całe zeszyty i grube bruljony, nawet po kilka bruljonów razem (były to niekiedy pamiętniki pisane w ciągu wielu lat). Treść była coraz barwniejsza: nadchodziły spowiedzie z dni całego żywota a nawet wspomnienia o ojcach i dziadkach, projekty walki z zastojem, nowele, dramaty i komedje, czerpiące treść swoją z bezrobocia, wspomnienia wychodźców za zarobkiem do Francji i Niemiec, słowem zwierzenia osób różnego poziomu kultury, odmiennych poglądów, różnorodnych temperamentów, pisane nieraz drobnym starannym maczkiem, aby nie zmarnować ani jednego miejsca na papierze, to znowu wielkimi koślawami literami, niby pismo dziecka poznającego dopiero pierwsze arkana umiejętności wodzenia piórem po papierze*). Za papier ów służyły wydarte z kajetów szkolnych stronicie, kiedyindziej arkusiki listowego papieru, przeważały jednak wielkie arkusze. I nie wszyscy umieli sobie poradzić z godłem, — aż do tego stopnia, że ktoś pisze: »niniejszem oświadczam, że wymagana koperta z godłem nie mogę w Katowicach nigdzie otrzymać«. Ale i ci, którzy wiedzieli do

*) Wielu dołączało do pamiętników różne dowody: odpisy podań i odpowiedzi na nie, poświadczenie urzędów o rzetelności podanych informacji, a nawet poparcie urzędowe podań.

XVIII

czego godło służy, rzadko posługiwali się niem w sposób właściwy: umieszczali je zazwyczaj obok nazwiska na pamiętniku.

T a b l i c a 1.

Bezrobotni zarejestrowani a uczestnicy konkursu na pamiętnik bezrobotnego

Wyszczególnienie	Liczba powiatów, z których nadesłano pamiętniki	Bezrobotni zarejestrowani w Państwowych Urzędach Pośrednictwa Pracy w dniu 31 grudnia 1931 r.		Bezrobotni, którzy nadesłali pamiętniki	
		w liczbach bezwzględnych		w ‰/‰ bezrob. zarejestrowan.	
Polska	165	312 487	774	2,5	
woj. Środkowe	54	148.756	369	2,5	
m Warszawa	4	16.443	115	7,0	
Warszawskie	7	18.050	26	1,4	
Łódzkie	11	57.456	119	2,1	
Kieleckie	13	41.514	54	1,3	
Lubelskie	9	6.869	27	3,9	
Białostockie	10	8.424	28	3,3	
woj. Wschodnie	12	12.116	37	3,1	
Wileńskie	3	4.244	18	4,2	
Nowogródzkie	4	1.279	5	3,9	
Poleskie	1	3.186	4	1,3	
Wołyńskie	4	3.407	10	2,9	
woj. Zachodnie	46	114.378	143	1,3	
Poznańskie	20	29.446	46	1,6	
Pomorskie	16	12.044	50	4,2	
Śląskie	10	72.888	47	0,6	
woj. Południowe	53	37.237	225	6,0	
Krakowskie	20	13.630	96	7,0	
Lwowskie	16	17.130	95	5,5	
Stanisławowskie	7	5.572	18	3,2	
Tarnopolskie	10	905	16	17,7	

Oto niektóre z tych godeł: »Nędza jest hańbą współczesnej kultury«, »Głos zapomnianych«, »S. O. S.«, »Pracy!«, »Niewinnie skazani«, »Czy można żyć uczciwie, jako człowiek w XX wieku«, »Bociany na śląskich kominach«, »Ludzie bez jutra«... Niekiedy umieszczano godło jako nagłówek przyczynku — i w tym charakterze zachowaliśmy je w druku. Ale takich godeł znamienych nie było wiele. Przeważały inne: »Jeden z wielu«, »Nadzieja«, »Orzeł biały«, »Cierpliwcy«, »Smutny«, »Tajemniczy«, »Ten, którego los smaga po twarzy«, »Mściwy«, »Głodomór«, »Sezyf«, »Chrześcijanin-katolik«, »Temida«, »W pocie oblicza twego będziesz spożywał chleba«, »Czas sprawiedliwości«, »Bryndza«. Niekiedy słowa zastąpiono rysunkiem: dwa

skrzyżowane młoty (od górnika), bochenek chleba (z napisem: walka o chleb) i t. d.

Tyle o stronie zewnętrznej pamiętników.

Dzięki poparciu naszej pobudki przez prasę wielkich miast, a nawet przez pisma wychodzące w podrzędniejszych ogniskach życia, wiadomość o nim dotarła do najdalszych zakątków. Podajemy mapę, odtwarzającą rozmieszczenie terytorjalne osób, które nadesłały na konkurs pamiętniki swoje. Mapa ta świadczy, iż przyczynkami bezrobotnych istotnie objęliśmy kraj cały. Uzupełnieniem jej jest tabl. Nr. 1, wymieniająca liczbę powiatów w każdym województwie z których nadeszły pamiętniki, a także jaki odtysiącniak tworzą pamiętnikarze w stosunku do liczby zarejestrowanych bezrobotnych. Nad tą tablicą nie będziemy się rozwodzili, choć są tam nieoczekiwane liczby, np. w Tarnopolskiem zgłaszający na konkurs prace swoje tworzą 17,7‰ wśród zarejestrowanych, natomiast w Łódzkim tylko 2,1‰, na Śląsku zaś 0,6‰.

Instytut Gospodarstwa Społecznego, ogłaszając konkurs, miał na widoku jedynie najmitów pracy fizycznej. Albowiem dopuszczając również pracowników umysłowych stworzylibyśmy zgóry niekorzystne warunki ubiegania się o nagrodę dla przedstawicieli pracy fizycznej — zresztą sytuacja tych i tamtych jest tak odmienna, iż nawet wymagania metodologii socjologicznej nakazywały ograniczenie konkursu do jednej tylko z tych dwóch kategorii. Jednak nadeszło sporo pamiętników od pracowników umysłowych. Wprawdzie w niektórych wypadkach trudno byłoby wyodrębnić przedstawicieli pracy fizycznej od przedstawicieli pracy umysłowej. Granice te często, w czasach zastoju przemysłowego, ulegają zatarciu: człowiek ima się wszelkiej pracy, kiedy nadarzy się po temu okazja. Oto parę przykładów takiej kolejności zajęć:

wojskowy - oficer - gajowy - budowniczy - rysownik - stróż - szofer - werkmistrz;

zamiatacz podwórzowy - tragarz - krojczy - buchalter - sprzedawca okrężny.

W przybliżeniu, uwzględniając również takie niejasne sytuacje jak powyżej przytoczone, otrzymaliśmy 102 pamiętniki z pośród przedstawicieli pracy umysłowej: było 16 handlowców, pośredników i bankowców, 2 byłych urzędników państwowych i 2 oficerów, 60 pracowników biurowych, 10 techników i z pośród personelu technicznego, 12 nauczycieli i wychowawców, oraz różnego rodzaju artystów i t. d. Natomiast na przedstawicieli pracy fizycznej przypadło 672 pamiętniki.

Tablica 2. Uczestnicy konkursu według zawodu subiektywnego
(pracownicy fizyczni)

Wyszczególnienie	Ogółem	Mężczyźni	Kobiety
Ogółem	672	609	63
Osoby, które nie podały wiadomości o zawodzie	127	90	37
Osoby, które podały wiadomość o zawodzie	545	519	26
Pracujący w rolnictwie, hodowli, ogrodnictwie i leśnictwie	23	23	—
Robotnicy rolni	13	13	—
Drobni właściciele gospodarstw	3	3	—
Robotnicy leśni, gajowi	4	4	—
Ogrodnicy	2	2	—
Masztelarz	1	1	—
Pracujący przy wydobywaniu minerałów	26	26	—
Górnicy	22	22	—
Wiertacze	2	2	—
Robotnicy w kopalniach ropy naftowej	2	2	—
Pracujący przy obróbce minerałów	11	11	—
Strycharze	8	8	—
Kamieniarz	1	1	—
Rzeźbiarz	1	1	—
Szlifierz	1	1	—
Pracujący przy obróbce metali wszelkiego rodzaju oraz elektrotechnicy	94	94	—
Ślusarze	37	37	—
Kowale	9	9	—
Gisierzy	5	5	—
Tokarze	4	4	—
Hutnicy	3	3	—
Blacharze	3	3	—
Mechanicy	3	3	—
Elektromonterzy i elektrotechnicy	5	5	—
Spawacze	2	2	—
Kotlarze	2	2	—
Monterzy telefoniczni	2	2	—
Monter hydrauliczny	1	1	—
Monterzy niewymienieni	4	4	—
Bronzownik	1	1	—
Majster narzędzi	1	1	—
Robotnicy fabryk metalowych i mechanicznych	12	12	—

Wyszczególnienie	Ogółem	Mężczyźni	Kobiety
Pracujący przy produkcji artykułów chemicznych	3	3	—
Rafinerzy	2	2	—
Mydlarz	1	1	—
Pracujący przy produkcji wyrobów włókienniczych	42	36	6
Tkacze i tkaczki	19	17	2
Przędzarze	3	3	—
Robotnicy w fabrykach włókienniczych	20	16	4
Pracujący przy wyrobie skóry i przedmiotów ze skóry	4	4	—
Rymarze	2	2	—
Robotnicy w garbarniach	2	2	—
Pracujący przy obróbce drzewa	29	29	—
Stolarze	15	15	—
Tracze	10	10	—
Snycerze	2	2	—
Stelmach	1	1	—
Modelarz	1	1	—
Pracujący przy wyrobie artykułów spożywczych	17	14	3
Młynarze	5	5	—
Piekarze	4	4	—
Robotnicy w fabryce tytoniu	3	2	1
Robotnicy w fabryce cukierków	2	1	1
Piernikarka	1	—	1
Robotnik w cukrowni	1	1	—
Mleczarz	1	1	—
Pracujący przy wyrobie odzieży	28	23	5
Szewcy (jeden kamasznik)	20	20	—
Szwaczki	4	—	4
Krawcy i krawcowe	3	2	1
Kusnierz	1	1	—
Pracujący w drukarstwie wszelkiego rodzaju, w fotografii i introligatorstwie	18	18	—
Drukarze (i litograf)	14	14	—
Introligatorzy	3	3	—
Litograf	1	1	—
Pracujący w budownictwie wszelkiego rodzaju	72	72	—
Murarze	30	30	—

Wyszczególnienie	Ogółem	Mężczyźni	Kobiety
Cieśle	15	15	—
Malarze i lakiernicy	12	12	—
Brukarze	2	2	—
Dekarz (i gonciarz)	2	2	—
Tapicer	1	1	—
Robotnicy budowlani	10	10	—
Pracujący przy obsłudze maszyn	5	5	—
Palacze	2	2	—
Pucer	1	1	—
Windziarz w kopalni	1	1	—
Robotnik przy maszynie	1	1	—
Pracujący w kolejnictwie	13	13	—
Maszynista parowozowy	1	1	—
Robotnicy kolejowi	12	12	—
Pracujący w żegludze oraz w pozostałych rodza- jach komunikacji i transportu	7	7	—
Szoferzy	2	2	—
Stangreci	2	2	—
Maszynista żeglugowy i palacz	2	2	—
Robotnik portowy	1	1	—
Służba zdrowia	3	2	1
Sanitarjusze (jeden prowizor)	3	2	1
Kościół	2	2	—
Organiści	2	2	—
Służba bezpieczeństwa publicznego	6	6	—
Policjanci	5	5	—
Strażnik celny	1	1	—
Wojskowi (podoficerowie)	3	3	—
Służba domowa i inne usługi osobiste	21	15	6
Woźni (jeden goniec)	6	5	1
Fryzjerzy	3	3	—
Służący, kucharze	6	3	3
Praczkni	2	—	2
Kelnerzy	2	2	—
Dozorcy	2	2	—
Robotnicy niewykwalifikowani	118	113	5

Tabl. Nr. 2 podaje zawód naszych pamiętnikarzy, o ile ci żyli z pracy fizycznej. W tej tablicy zwraca na siebie uwagę duży zastęp metalowców (94), a wśród nich — ślusarzy (37). Tak samo stosunkowo dużo jest robotników budowlanych (72), a pomiędzy nimi murarzy (30). Natomiast niewielki jest udział górników i hutników w stosunku do ich liczby w kraju. Robotnicy niewykwalifikowani, w liczbie 118, tworzą w przybliżeniu piątą część ogółu pracowników fizycznych, którzy w pamiętnikach swoich wyszczególnili swój zawód. (Właściwie jest ich więcej, gdyż i w innych kategoriach robotników fabrycznych mieszczą się robotnicy o wprost znikomych kwalifikacjach zawodowych). Jednej rzeczy nie udało nam się ująć w liczby statystyczne na podstawie materiałów zawartych w pamiętnikach, mianowicie płynności zajęć wśród bezrobotnych. Płynność ta w okresie zastoju jest bardzo wielka: *cursus laborum* wielu bezrobotnych zawarł w sobie nieoczekiwane skojarzenia — człowiek w poszukiwaniu pracy garnie się do każdego zajęcia, choć niezawsze jest do niego przygotowany.

Tablica 3.

Osoby ubezpieczone w kasach chorych a uczestnicy konkursu według grup wieku

Wyszczególnienie	Ubezpieczeni w Kasach Chorych odsetki	Osoby uczestniczące w konkursie, które podały swój wiek					
		Liczby bezwzględne			O d s e t k i		
		Ogółem	Męż- czyźni	Kobiety	Ogółem	Męż- czyźni	Kobiety
Ogółem	100,0	495	459	36	100,0	100,0	100,0
w tem osoby w wieku:							
poniżej 21 lat	12,4	20	15	5	4,0	3,3	13,9
21 — 30 „	34,9	119	110	9	24,1	24,0	25,0
31 — 40 „	23,7	165	157	8	33,3	34,2	22,2
41 — 50 „	14,9	97	92	5	19,6	20,0	13,9
ponad 50 „	14,1	94	85	9	19,0	18,5	25,0

Oto parę przykładów tej płynności:

kaflarz - robotnik fabryki tytoniowej - robotnik w restauracji -
robotnik kolejowy - robotnik piekarski - posługacz;
robotnik rolny - włókniarz - robotnik sezonowy;
pomocnik kucharski - ogrodnik - bileter;

pomocnik woźnego - monter - robotnik miejski;
 leśniczy - palacz;
 ślusarz - pisarz - policjant;
 kaflarz - garbarz - gazeciarski;
 górnik - tkacz - kontroler kasy chorych.

Tabl. Nr. 3 podaje szczegóły co do wieku pamiętnikarzy, jak również ubezpieczonych w kasach chorych (statystyka kas chorych daje obraz stosunku wzajemnego różnych grup wieku wśród ogółu robotników). Ta statystyka rzuca ciekawe światło na zastępy bezrobotnych, gdy je rozważamy ze stanowiska wieku: oto ofiarą zastoju padają starsi robotnicy, powyżej lat 30, młodszy mają więcej widoków utrzymania się przy zajęciu. Nie jest to rzecz przypadkowa.

T a b l i c a 4.

Obowiązki względem rodziny

Wyszczególnienie	Ogółem	w tem osoby w wieku					
		poniżej 21 lat	21—30 lat	31—40 lat	41—50 lat	ponad 50 lat	niewia- domym
Osoby, które udzieliły wiadomości w sprawie swych obowiązków względem rodziny	706	20	119	165	97	94	211
Osoby samotne	159	14	36	20	13	16	60
Osoby, które utrzymują kogoś oprócz siebie	547	6	83	145	84	78	151
w tem							
1 osobę	84	1	19	14	9	18	23
2 osoby	112	3	27	26	8	13	35
3 „	106	1	23	33	13	12	24
4 „	85	—	11	30	14	11	19
5 osób	65	1	1	26	13	7	17
6 „	44	—	1	8	16	4	15
7 „	15	—	—	3	5	5	2
8 „	8	—	—	2	3	—	3
9 „	9	—	—	—	—	3	6
10 „	3	—	—	—	—	2	1
11 „	1	—	—	—	1	—	—
14 „	1	—	—	—	1	—	—
niewiadomo ile osób	14	—	1	3	1	3	6

Redukcja robotników każda, a więc i odbywająca się pod działaniem kryzysu, jest swego rodzaju selekcją: odchodzą zużyci i z powodu lat mniej wydajni — przedsiębiorca ich usuwa, tak samo jak się rzuca wyciśnięta cytryna. Pozostają młodszy, a przede wszystkim mło-

dociani, którzy gotowi są pracować za niższe wynagrodzenie. Zastój skrupia się na starszego wieku pracownikach, obarczonych liczniejszemi obowiązkami. Samotnych, t. j. wolnych od jakichkolwiek obowiązków, znalazło się wśród ogółu bezrobotnych pamiętnikarzy 22,5% (50% wśród kobiet, 20,3% wśród mężczyzn). Ale rozmieszczenie samotnych pomiędzy różnymi kategorjami wieku jest tego rodzaju, iż wśród pamiętnikarzy niepełnoletnich jest ich 70%, poczem odsetek ten spada do 30,3% wśród tych, którzy byli w wieku lat 21—30, w latach 31—50 jest jeszcze niższy i dopiero podnosi się nieco wśród osób starszych ponad lat 50. I mniej więcej takie same jest stopniowanie obowiązków (tabl. Nr. 4). Bezrobotny w wieku lat 21-30 utrzymuje w średnim 2,4 osoby, w wieku lat 31 - 40 — 3,5 osób, w wieku 41 - 50 lat — 4,4 osoby. Po roku 50 rodzina się kurczy: dzieci usamodzielniają się, ojcowie i matki wymierają.

Tablica 5. Liczba dzieci (żyjących) według wieku głowy rodziny

Wyszczególnienie	Rodziny, których głowy są lub były w stanie małżeńskim	w tem rodziny, których głowa jest w wieku					
		poniżej 21 lat	21—30 lat	31—40 lat	41—50 lat	ponad 50 lat	niewiadomym
Ogółem	507	1	60	141	80	79	146
Rodziny bezdzietne.	70	—	9	10	9	19	23
Rodziny posiadające dzieci żyjące	437	1	51	131	71	60	123
w tem:							
1 dziecko	102	1	22	28	8	13	30
2 dzieci	100	—	21	32	14	11	22
3 „	80	—	6	31	11	11	21
4 „	68	—	1	25	15	10	17
5 „	38	—	—	7	16	2	13
6 „	16	—	—	4	2	5	5
7 „	6	—	—	1	2	—	3
8 „	10	—	—	—	1	3	6
9 „	2	—	—	—	1	—	1
10 „	1	—	—	—	—	1	—
12 „	1	—	—	—	—	1	—
niewiadomo ile dzieci	13	—	1	3	1	3	5

Z pośród osób pozostających na utrzymaniu bezrobotnego warto wydzielić dzieci (tabl. Nr. 5). Rodzin bezdzietnych jest 70, pozostałe 437 mają razem 1.262 dzieci — na rodzinę przypada w średnim troje dzieci. Liczba dzieci powiększa się w miarę wieku gło-

wy rodziny: w grupie, gdzie wiek głowy rodziny waha się od 21 do 30 lat, na rodzinę przypada 1,7 dziecka, w grupach zaś wieku powyżej lat 40 — 3,4 dziecka. (Zwraca uwagę dość pokaźna liczba drobnych dzieci w rodzinach, których ojciec przekroczył czterdziestkę, a zwłaszcza pięćdziesiątkę). Najwięcej jest rodzin mających tylko jedno (102 rodzin) lub dwoje (100 rodzin) dzieci, mniejszą już jest grupa rodzin posiadających troje (80 rodzin) lub czworo (68 rodzin), poczem, w miarę wzrostu liczby dzieci, liczba rodzin je posiadających gwałtownie spada. Istnieją rodziny liczące po 8 — 9 dzieci, a nawet po 10 i 12 — w tych dwóch wypadkach jest po jednej takiej rodzinie. (Należy pamiętać, iż zawsze mówimy o liczbie dzieci żyjących — o martwych pamiętniki milczą, mimochodem tylko potrącając o świeżą śmierć dziecka).

Tablica 6.

Lata utraty stałego zajęcia zarobkowego

Wyszczególnienie	Ogółem	Mężczyźni	Kobiety
Osoby, które podały wiadomość w sprawie utraty stałego zajęcia zarobkowego	578	550	28
Osoby, które podały wiadomość ogólnikową	34	34	—
Osoby, które wymieniły rok	544	516	28
w tej liczbie utraciły stałe zajęcie w roku:			
1921	2	2	—
1922	1	1	—
1923	4	4	—
1924	4	4	—
1925	11	10	1
1926	10	10	—
1927	16	15	1
1928	39	37	2
1929	92	88	4
1930	159	151	8
1931	206	194	12

Ciążą więc niekiedy duże obowiązki na bezrobotnych. Dodajmy, iż niektórzy z nich są bez pracy od lat paru i nawet kilku. Tabl. Nr. 6 podaje szczegóły dotyczące tej sprawy. W całej pełni występują przed nami złowrogie lata kryzysu 1930 i 1931, jako lata utraty zarobku. W tym dwuletnim przeciągu czasu aż 67% z pośród osób, które nadesłały na konkurs przyczynki utraciło pracę — mówimy

wciąż o pracy stałej, bo dorywcze zarobki zdarzały się i w latach 1930 i 1931, a więc w okresie właściwego kryzysu. Okoliczność ta utwierdza nas w dobrym mniemaniu naszym o wartości uzyskanych w drodze konkursu materiałów: zetknęliśmy się

T a b l i c a 7.

Przyczyny utraty stałego zajęcia zarobkowego wśród robotników fizycznych i wśród pracowników umysłowych

Wyszczególnienie	Osoby, które podały wiadomość w sprawie swego zawodu					
	w liczbach bezwzględnych			w o d s e t k a c h		
	Ogółem	Robotnicy fizyczni	Pracownicy umysłowi	Ogółem	Robotnicy fizyczni	Pracownicy umysłowi
Osoby, które podały wiadomość w sprawie przyczyny utraty stałego zajęcia zarobkowego . . .	472	399	73	100,0	100,0	100,0
w tem jako przyczynę wymieniły:						
Likwidację zakładu, zastój, redukcje w zakładzie, racjonalizację	377	323	54	79,9	81,0	74,0
Zatarg z administracją lub strajk	46	38	8	9,7	9,5	11,0
Inne okoliczności	49	38	11	10,4	9,5 ^a	15,0 ^b

a w tem: 5,0% — choroba, starość; 2,5% — pobór do wojska, 2,0% — nieszczęśliwy wypadek

b w tem: 9,6% — choroba, starość; 5,4% — pobór do wojska.

T a b l i c a 8.

Lata utraty stałego zajęcia zarobkowego wśród robotników fizycznych i wśród pracowników umysłowych

Wyszczególnienie	Osoby, które podały wiadomość w sprawie swego zawodu					
	w liczbach bezwzględnych			w o d s e t k a c h		
	Ogółem	Robotnicy fizyczni	Pracownicy umysłowi	Ogółem	Robotnicy fizyczni	Pracownicy umysłowi
Osoby, które wymieniły rok utraty stałego zajęcia zarobkowego . . .	509	421	88	100,0	100,0	100,0
w tem utraciły stałe zajęcie w latach:						
1921 — 1926	30	23	7	5,9	5,4	7,9
1927 — 1928	50	37	13	9,8	8,8	14,8
1929	89	73	16	17,5	17,3	18,2
1930	146	122	24	28,7	29,0	27,3
1931	194	166	28	38,1	39,5	31,8

w większości wypadków z właściwym żywiołem bezrobotnych pracowników, nie zaś kalek, starców, łazików i t. p. Ale są tacy, którzy 8, 9, 10 lat nadaremno poszukują pracy — w tej jednak gromadzie są suchotnicy, którzy nigdy systematycznie nie pracowali, są inne typy, różne od właściwych bezrobotnych, a więc od tych, którzy stracili zajęcie właśnie w latach kryzysu. Natomiast występują różnice pomiędzy pracownikami fizycznymi a umysłowymi — mało oczekiwane i niezbyt zgodne z tem, co naogół mówi się o braku pracy dla pracowników umysłowych. Z naszych pamiętników (tabl. Nr. 8) wynikałoby, że tempo zwalniania pracowników umysłowych było słabsze w dwóch ostatnich latach, a szczególnie w 1931 roku, od tempa redukowania robotników. Podkreślamy ten fakt, nie poddając go rozbiorowi, możliwa bowiem, iż jest to prosty

Tablica 9.

Przyczyny utraty stałego zajęcia zarobkowego w poszczególnych okresach

Wyszczególnienie	Osoby, które podały wiadomość w sprawie przyczyny utraty stałego zajęcia zarobkowego			
	w tem osoby, które jako przyczynę wymieniły			
	Ogółem	Zatarg z administracją lub strajk	Likwidację zakładu, zastój, redukcje w zakładzie, racjonalizację	inne okoliczności
w liczbach bezwzględnych				
Osoby, które wymieniły rok utraty stałego zajęcia zarobkowego	431	46	343	42
w tem utracili stałe zajęcie w latach:				
1921 — 1926	24	3	18	3
1927 — 1928	40	6	30	4
1929	74	12	48	14
1930	119	14	98	7
1931	174	11	149	14
w odsetkach				
Osoby, które wymieniły rok utraty stałego zajęcia zarobkowego	100,0	10,7	79,6	9,7
w tem utracili stałe zajęcie w latach:				
1921 — 1926	100,0	12,5	75,0	12,5
1927 — 1928	100,0	15,0	75,0	10,0
1929	100,0	16,2	64,9	18,9
1930	100,0	11,8	82,3	5,9
1931	100,0	6,3	85,6	8,1

przypadek, który zawdzięcza swoje istnienie stosunkowo niewielkiej liczbie odpowiedzi. I w związku z tem rozmieszczeniem bezrobotnych według czasu utraty pracy ciekawie układają się powody zwolnień w latach poszczególnych. Tabl. Nr. 9 dobitnie i wyraźnie wydobywa na jaw tę okoliczność, że gdy jest ostry kryzys — jak w latach 1930—1931 (oraz częściowo w latach 1924—1926) — przyczyny zwolnień są natury ogólnogospodarczej, związanej z kryzysem. Gdy natomiast konjunktura jest korzystniejsza, wzrastają w liczbę wypadki zwolnień z powodu strajków i zatargów, oraz »innych powodów«.

Stajemy wobec zagadnienia najważniejszego — sprawy środków utrzymania.

Tabl. Nr. 10 dostarcza ogólnego rzutu oka wogóle na źródła utrzymania, oraz na doniosłość poszczególnych dochodów w budżecie bezrobotnego. Wyszczególniono tam wszystkie możliwe źródła, w tej liczbie takie, które obejmują zaledwie 2-3% pamiętnikarzy: dochody z własności, oszczędności, czynsz od sublokatora, emeryturę, rentę inwalidzką. Wobec małego ich znaczenia poprzestajemy jedynie na wzmiance, iż takie źródła utrzymania istnieją i zaznaczamy jedno: każda złotówka odgrywa w budżecie bezrobotnego jakąś rolę i nawet śmiesznie małe renty, wypłacane przez zakłady ubezpieczeń z tytułu wypadku przy pracy, lub na starość (w b. zaborze pruskim), są dobrodziejstwem dla rodzin bezrobotnych, nieraz nawet zasadniczą podstawą ich budżetu — jest to dochód stały, tymczasem inne wpływy mają charakter dorywczy i mogą każdej chwili się urwać.

Przechodzimy do rozbioru dochodów, przedstawiających się poważniej niż powyżej wymienione.

Poczesne miejsce w tym względzie należy się zajęciom dorywczym. Zajęcia dorywcze — ileż w tych wyrazach zawiera się treści, ileż pracy, zabiegów, kłopotów, nadziei i rozczarowań! Oto wiązanka niektórych z tych zajęć: zrobienie klucza, wstawienie szyby, naprawa dzwonek, malowanie ścian, wyrób zabawek i koszyków, wypiek ciastek i pieczywa, fotografowanie, sprzedaż kwiatów, cukierków, galanterji, przyborów do pisania, książek i pisni, odnośnienie paczek, rozdawanie reklam, sprzątanie śniegu i t.d.; u kobiet zaś specjalnie: pranie, reparacja bielizny i odzieży, chodzenie na posługi. Pomimo długiej litanji jest to drobna zaledwie częśćka

zajęć dorywczych. Niektóre z nich są zręcznym wykorzystaniem chwilowej sytuacji, inne — i to większość — uwieńczeniem długich przygotowań. Ileż to nieraz kłopotów nastrecza pozyskanie surowca, wyuczenie się dobrego wykonania przedmiotu. Jednak sprawą najtrudniejszą jest sprzedaż. Sprzedaje się tak mało, tak tanio, że nie wracają się nieraz włożone w to pieniądze! A w dodatku czekają bezrobotnego inne kłopoty: otrzymanie zezwolenia na handel uliczny, lub częściej przemycanie towaru bez zezwolenia, częste konfiskaty jego i starania o zwrot, ukrywanie się przed organami bezpieczeństwa. Życie bezrobotnego bynajmniej nie jest monotonne, zwłaszcza

Tablica 10.

Źródła utrzymania

Wyszczególnienie	Liczby bezwzględne			Odsetki		
	Ogółem	Mężczyźni	Kobiety	Ogółem	Mężczyźni	Kobiety
Osoby, które udzieliły wiadomości, skąd czerpią środki do życia . . .	556	518	38	100,0	100,0	100,0
w tem osoby, które jako źródło dochodów wymieniły:						
Zajęcia dorywcze wyłącznie	165	156	9	29,7	30,1	23,7
Zajęcia dorywcze a także inne źródła	150	141	9	27,0	27,2	23,7
Pomoc instytucyj społecznych wyłącznie	52	49	3	9,4	9,5	7,9
Pomoc instytucyj społecznych oraz inne źródła	115	110	5	20,6	21,2	13,2
Pomoc rodziny lub obcych wyłącznie	69	60	9	12,4	11,6	23,7
Pomoc rodziny lub obcych oraz inne źródła	78	70	8	14,0	13,5	21,0
Wyprzedaż rzeczy lub ich zastaw w lombardzie wyłącznie	20	17	3	3,6	3,3	7,9
Wyprzedaż rzeczy lub ich zastaw w lombardzie oraz inne źródła	74	67	7	13,3	12,9	18,4
Wyłącznie zasiłek ustawowy lub pomoc z akcji doraźnej	19	18	1	3,4	3,4	2,7
Zasiłek ustawowy lub pomoc z akcji doraźnej oraz inne źródła	27	26	1	4,9	5,1	2,7
Wyłącznie dochód z własności, czynsz od sublokatora, oszczędności	10	10	—	1,8	1,9	—
Dochód z własności, czynsz od sublokatora, oszczędności oraz inne źródła	7	7	—	1,3	1,4	—
Wyłącznie emeryturę lub rentę inwalidzką	6	6	—	1,1	1,1	—
Emeryturę lub rentę inwalidzką oraz inne źródła	6	6	—	1,1	1,1	—

w początkach gdy posiada jeszcze energję... Albowiem nieraz — po wielu niepowodzeniach — ogarnia go bezbrzeżna apatja.

Drugie co do znaczenia miejsce zajmuje pomoc udzielana przez instytucje społeczne.

Naturalnie, ta pomoc nie przychodzi sama z siebie. Przeciwnie! Potrzebna jest niepoślednia wytrwałość ze strony bezrobotnego, by otrzymać zasiłek. Przed instytucjami, do zapisu, trzeba godzinami w ogonku wyczekiwać, a ogonki są nieraz widownią sprzeczek i awantur. Wszak bezrobotni to żywiol zdenerwowany! Po zapisaniu wlecze się zazwyczaj długi — jakżeż długi! — okres wywiadu niekiedy wypadającego niekorzystnie, gdy okaże się, że bezrobotny nie należy jeszcze do liczby najbardziej potrzebujących. (Po pewnym czasie zwraca się on ponownie do tej lub innej instytucji.) A kiedy po wielu trudach pomoc będzie przyznana, trzeba na każdy obiad, na każdą sztukę odzieży — choćby najmarniejszą — długo wyczekiwać w kolejkach, które są bodaj stałym udziałem losu bezrobotnego... Zdarza się, iż pomoc nie stoi na wysokości zadania. Był czas, kiedy dawano odmrożone kartofle, a w węglu miał i kamień, wsypywany tam pono przez drobnych węglarzy, mających go na składzie. A otrzymanej pomocy wciąż trzeba bronić: instytucje społeczne, stale borykające się z trudnościami finansowemi, często za lada pretekstem odmawiają świadczeń.

Na trzeciem miejscu należy wymienić pomoc ze strony rodziny lub osób prywatnych.

Bywa pomoc rodziny dawana chętnie i prosto. Tylko o takiej mówimy: rodzina do siebie zabiera żonę z dziećmi, zwłaszcza gdy przebywa na wsi; stale lub od czasu do czasu zaprasza na obiady, lub wspiera doraźnie datkiem pieniężnym, produktami czy pożyczką. Ale taka pomoc rzadko przybiera charakter trwały: zwykle urywa się z biegiem czasu, zwłaszcza gdy rodzina również odczuwać zaczyna ciężary kryzysu. Wszczynają się wzajemne nieporozumienia aż do zerwania stosunków. To znowu bezrobotny stara się u znajomych zaciągać pożyczki o które z biegiem czasu coraz to trudniej — niekiedy spotyka się nietylko z odmową, ale dochodzi do tego, że dawni znajomi odwracają się na ulicy od niego, udają, że go nie widzą. Zdarza się, iż gdy rodzina bezrobotnego nie ma już nic na obiad, nie ma kawałka węgla, ani paru groszy na lekarstwo, z pomocą śpieszy ten lub ów sąsiad, a nawet są wzmianki o składaniu się całego domu. Ale po dłuższem trwaniu bezrobocia, gdy głód i zimno coraz bardziej dokuczają, często nadchodzi chwila, kiedy bezrobotny

musi wyciągać rękę do osób zupełnie mu obcych. Idzie od domu domu po datek pieniężny⁷ lub pożywienie — nieśmiało, ze wstydem, później coraz śmieiej. Przyjęcie bywa różne, sporo o tem opowiadają pamiętniki. Zazwyczaj bezrobotni opuszczają miasto rodzime, gdzie wszyscy ich znają i udają się na wieś — o zamożności włościan istnieją bodaj wśród bezrobotnych miejskich przesadne wyobrażenia. Oto obrazek z pamiętników, dotyczący tej sytuacji ostatecznej. »Co teraz robi człowiek bezrobotny? Zmuszony jest kraść albo żebrać o codzienne życie dla swojej rodziny, ale gdy się idzie żebrać — to przed młodym człowiekiem będą drzwi zamknięte, a do drugiego się idzie to powiedzą, że taki młody człowiek może iść robić, to sobie na żywność zarobi. Ale gdzie tu robotę znaleźć, kiedy pracy niema, co odziać człowiek nie ma, bez obuwia chodzi boso, w pantoflach, ale poszedłem na oblaży śmieć i na śmieciach miał jakie człowiek wywieziony stary na poły zgniły frak, ten z wielką radością zabrałem i poszedłem do lumpenhandlarza i prosiłem go, aby darował mi parę szmat. Odpowiedział mi, że ma szmaty tylko na interes, a nie do darowania, ale z wielką prośbą zlitował się i darował mi parę szmatów i jedno spodnie. Podziękowałem jemu serdecznie za to i z wielką radością poszedłem z teni do domu ten frak narządzić. Narządziłem aż dwa dni, ubrałem się, poszedłem do Pana Burmistrza, ale gdy przychodzę przed magistrat, widzę wielkie grono narodu, pytałem się co oni za jedni, odpowiedzieli, że bezrobotni«.

Z kolei, jako chwilowe źródło utrzymania, należy wspomnieć o wyprzedaży rzeczy, lub rzadziej o ich zastawie*).

Rzecz jasna, że inwentarz domowy robotnika jest zazwyczaj nader szczupły. Składa się z niewielu sprzętów. Wyzbyć się szafy czy łóżka jest sprawą bardzo ciężką! Sprzęty te kupowano niegdyś kosztem odmówienia sobie wielu rzeczy, a przy sprzedaży otrzymuje się kwotę drobną, w żadnym nie pozostającą stosunku do ceny zakupu. Nie kwapią się więc bezrobotni ze sprzedażą. Gdy jednak nędza przycisnie ich, znika z izdebki lustro i zegarek, znika komoda, a potem potrzebniejsze sprzęty, wkońcu bielizna i ubiór odświętny i obrączka, aż wkońcu pozostaną gołe ściany i puste kąty. Wyprzedaż posuwa się jeszcze dalej. Oto obrazek: »... Rena

*) Zastaw w lombardzie, oficjalnym czy pokątnym, niewiele w istocie rzeczy różni się od wyprzedaży. Rzadko stać rodzinę na opłatę procentów, zastawiony przedmiot z zasady przepada.

z Dzidzią siedziały przy zastawionym stole i czekały na mnie z kolecją. Z pod obwiązanej głowy Reny nie wystawał żaden loczek, targany złem przecuciem bez wahania zerwałem z głowy okrycie... i osłupiałem... włosy obcięte przy skórze. O jak strasznie wygląda... Chciałem się rzucić na nią i popełnić jakieś szaleństwo, ale się opanowałem. Zczepiliśmy się i poczęliśmy się szamotać. »Choroba tego wymagała«, wykrztusiła łkając, »puść mnie«. Odepchnąłem ją i opadłem bezwładnie na krzesło. Spodziewałem się, że grom uderzy i zada cios ostateczny. Ale Bóg nie spieszył się ze swym wyrokiem. Przez chwilę panowało milczenie, które przerwała żona samooskarżeniem: — Tak, sprzedawałam włosy, aby kupić chleba, aby głód zaspokoić.«

Zasiłek ustawowy i pomoc z akcji doraźnej są stosunkowo rzadko. Na 556 osób zaledwie 46, a więc 8%, wspomina o tej pomocy. Rzecz zrozumiała: zasiłku udziela się tylko przez 13 tygodni, a nasi bezrobotni nie mają pracy od wielu miesięcy a nawet lat!

Mówiąc o budżecie bezrobotnego niepodobna pominąć jeszcze jednej rzeczy—kredytów z których korzysta.

Kredytu udzielonego w sklepiku i zadłużenia się gospodarzowi za komorne.

Sklepikarz dając bezrobotnemu towary na kredyt, naturalnie liczy za nie drożej. Ale »borguje« tylko do czasu. Gdy zastój przeciąga się, a kwota długu urasta w liczby coraz większe, ów kredyt urywa się. Zresztą sklepikarz czeka na oddanie zaległości po roku i więcej — czeka, bo musi (zdarza się, iż zabezpiecza sobie należność braniem w zastaw jakiegoś przedmiotu). O długach zaciągniętych w sklepikach przez kupno na kredyt wspomniało tylko 115 z pośród

T a b l i c a II.

Wielkość zadłużenia w sklepach

Wyszczególnienie	Liczby bezwzględne	Odsetki
Osoby, które wymieniły kwotę długów w sklepach	101	100,0
w tem:		
do 50 złotych	24	23,8
51 — 100 „	29	28,7
101 — 150 „	16	15,8
151 — 250 „	17	16,8
251 — 500 „	13	12,9
powyżej 500 „	2	2,0

naszych pamiętnikarzy. Niepodobna ażeby inni takich długów nie posiadali. Raczej przypuszczać należy, że jedynie o tem nie podał wiadomości. Tabl. Nr. 11 daje pojęcie o tem zadłużeniu w sklepach. Przytaczamy ją bez dalszych komentarzy.

Trudniejsza sprawa z komornem.

Wszystkie kupna bezrobotnego składają się z szeregu drobnych wydatków i mogą być dowolnie kurczone, komorne jest wydatkiem jednorazowym, względnie dużym, a jego wysokość pozostaje bez zmiany. Regularne płacenie czynszu staje się niemożliwe, zaległości rosną z miesiąca na miesiąc, i to mimo ustawicznych naogół napomnień lub gróźb właściciela domu, mimo obawy przed eksmisją. Obawy tej bezrobotni bynajmniej nie lekceważą. Przeciwnie! Gdy posiadają rodzinę, najwięcej chyba ze wszystkiego obawiają się utraty dachu nad głową. Zdarza się, że w obawie eksmisji sprzedają swój lokal, częścią otrzymanej kwoty spłacają należność

Tablica 12.

Rozmiary zaległości w opłatach za mieszkanie

Wyszczególnienie	Liczby bezwzględne	Odsetki
Osoby, które wymieniły okres czasu za jaki ciążą na nich zaległości w opłatach za mieszkanie	125	100,0
w tem posiadają zaległości za okres:		
1 miesiąca	3	2,4
2 miesięcy	7	5,6
3 "	18	14,4
4 "	10	8,0
5 "	9	7,2
6 "	27	21,6
7 "	1	0,8
8 "	2	1,6
9 "	10	8,0
10 "	3	2,4
11 "	2	1,6
12 "	14	11,2
13 "	1	0,8
14 "	1	0,8
15 "	8	6,4
18 "	4	3,2
24 "	4	3,2
36 "	1	0,8

gospodarza, za resztę nabywają pomieszczenie skromniejsze. Są pomiędzy naszymi pamiętnikarzami tacy, którzy doświadczyli eksmisji i przebywania wraz z rodziną pod gołym niebem. Są tacy, którzy noc spędzają gdzie się zdarzy — w parku, na dworcu, pod mostem, lub na schodach; są inni, którzy przebywają w barakach dla bezdomnych, wśród atmosfery wiecznych swarów i niesnasek. Nie wszyscy podali jakie mają zaległości z tytułu komornego. O tem zadłużeniu pisze 142 osoby, jeszcze mniej, bo tylko 125, podało jakieś szczegóły. Dla tych 125 ułożyliśmy tabl. Nr. 12, upamiętniającą, za ile miesięcy winni są komorne. I tę tablicę pozostawiamy bez komentarzy — porzucamy na jej wydrukowaniu.

Tablica 13.

Wielkość ogólnego zadłużenia z tytułu zobowiązań wszystkich rodzajów
(zaległości w opłatach za mieszkanie, długi w sklepach, pożyczki)

Wyszczególnienie	Liczby bezwzględne	Odsetki
Osoby, które wymieniły kwotę zobowiązań	188	100,0
w tem osoby, których łączne zadłużenie z tytułu zobowiązań wszystkich rodzajów wynosi:		
do 100 złotych	52	27,7
101 — 250 „	62	33,0
251 — 500 „	50	26,6
ponad 500 „	24	12,7

W niektórych pamiętnikach spotyka się wzmiankę o zaciąganiu pożyczek u znajomych i o ich wysokości. Takich pamiętników jest 55, a więc liczba skromna w porównaniu z częstością zadłużenia w sklepach i u właścicieli domów. To świadczy, iż takie pożyczki są rzadkie, przytem parę z nich idzie w tysiące — następstwo tego, iż do konkursu zgłosili się nietylko przedstawiciele pracy fizycznej. W ostatecznym wyniku z pośród tej gromadki 55 pamiętnikarzy

na 9,1% ciąży dług poniżej 50 złotych
 „ 18,2% „ „ 51 — 100 „
 „ 18,2% „ „ 101 — 150 „
 „ 12,7% „ „ 151 — 250 „
 „ 23,6% „ „ 251 — 500 „
 „ 18,2% „ „ ponad 500 „

O zbiorowem zadłużeniu zarówno z powodu pożyczek od znajomych jak i zaległości w opłacie komornego i należności w sklepikach i ich stosunku wzajemnym dają wyobrażenie tabl. Nr. 13 oraz Nr. 14, które tak samo jak poprzednie przytaczamy bez żadnych komentarzy.

Tablica 14.

Rodzaje zobowiązań, powstałych w okresie bezrobocia

Wyszczególnienie	Liczby bezwzględne			Odsetki		
	Ogółem	Mężczyźni	Kobiety	Ogółem	Mężczyźni	Kobiety

Z E S T A W I E N I E O G Ó L N E

Osoby, które wspominają o posiadanych zobowiązaniach	218	197	21	100,0	100,0	100,0
w tem wymieniają:						
Zaległości w opłatach za mieszkanie . . .	148	131	17	67,9	66,5	81,0
Długi w sklepach	115	107	8	52,8	54,3	38,1
Pożyczki	61	54	7	28,0	27,4	33,3

Z E S T A W I E N I E S Z C Z E G Ó L N E

Osoby, które wspominają o posiadanych zobowiązaniach	218	197	21	100,0	100,0	100,0
w tem wymieniają:						
Tylko zaległości w opłatach za mieszkanie	74	64	10	33,9	32,5	47,7
Zaległości w opłatach za mieszkanie oraz inne zobowiązania	74	67	7	33,9	34,0	33,3
Tylko długi w sklepach	36	35	1	16,5	17,8	4,8
Długi w sklepach oraz inne zobowiązania	79	72	7	36,3	36,5	33,3
Tylko pożyczki	23	21	2	10,6	10,7	9,5
Pożyczki oraz inne zobowiązania	38	33	5	17,4	16,7	23,8

Sytuacja jest ciężka, rozpacзлиwa. A wyjście? Niektórzy na własną rękę rozstrzygają to zagadnienie — myślą o samobójstwie.

Nie wszyscy wyraźnie o tem donoszą. Jednak w 37 pamiętnikach zamiary te odsłonięto bez ogródek (tabl. Nr. 15). W 6 z nich wcielono je w czyn, ale nieudolnie. A co rzeczą jest niezmiernie znamienne, było aż 5 takich zrozpaczonych, którzy uprzednio zamierzali wymordować całą swoją rodzinę złożoną prócz żony z jednego, trojga lub czworga dzieci!

Tablica 15.

Zamachy samobójcze

Wyszczególnienie	Osoby, które wspominają o zamachach samobójczych			
	Ogółem	o zamachach dokonanych	o zamiarach popełnienia samobójstwa	
			Ogółem	w tem o zamiarach zamordowania siebie i rodz.
Ogółem	37	6	31	5^a
według płci				
Mężczyźni	32	6	26	5
Kobiety	5	—	5	—
według stanu rodzinnego				
Osoby samotne	8	2	6	—
Osoby, utrzymujące jeszcze kogoś oprócz siebie	29	4	25	5
według grup wieku				
Osoby w wieku				
poniżej 21 lat	2	—	2	—
21 — 40 lat	17	2	15	2
41 — 50 „	6	—	6	2
ponad 50 „	1	—	1	—
niewiadomym	11	4	7	1

^a w dwóch przypadkach — żona i czworo dzieci; w dwóch przypadkach — żona i dziecko; w jednym przypadku — żona i troje dzieci.

»Jeden raz chciałem sobie życie odebrać, ale przez łzy dziecka, które tak kocham, się zatrzymałem«, pisze jeden z bezrobotnych. Mimo to jednak tenże pamiętnikarz chciał odebrać życie »drugim raz wszystkim (t. zn. swojej rodzinie), ale żona przeczuwała coś i całą noc nie spała, tak że moje wszystkie zamiary popsują«. I to pisze człowiek, który uważa samobójstwo za grzech śmiertelny. Wśród tej gromady zrozpaczonych są mężczyźni i kobiety; młodzi i starzy (stosunkowo więcej młodych); samotni i rodinni; tacy, którzy dawno stracili pracę i tacy, których to świeżo spotkało...

ZASIĄG TERYTORJALNY KONKURSU NA PAMIĘTNIK BEZROBOTNEGO

Rozmieszczenie bezrobotnych, którzy nadesłali swe pamiątki
 do Instytutu Gospodarstwa Społecznego



Z A Ł A C Z N I K

ODEZWA INSTYTUTU GOSPODARSTWA SPOŁECZNEGO W SPRAWIE KONKURSU NA PAMIĘTINK BEZROBOTNEGO OGŁOSZONA W GRUDNIU 1931 ROKU

K O N K U R S

Instytut Gospodarstwa Społecznego zamierza przedstawić w odrębnem opracowaniu ciężki los bezrobotnego robotnika w całej jego rzetelnej prawdzie. Zwraca się więc do tych, którzy przeżywają dzień po dniu straszną klęskę braku zajęcia i zarobku, by piórem zechcieli odmalować zabiegi swoje obecne o kawałek chleba i opisać swoje położenie.

Przedewszystkiem niech podadzą swój wiek i wiek członków swojej rodziny oraz swoje i ich zarobki dawniejsze, swój zawód i liczbę lat pracy oraz gdzie i u kogo w ciągu tych lat pracowali. Niechaj opiszą swe zmagania z ciężką swoją sytuacją od chwili swego ostatniego zwolnienia z pracy aż do dnia dzisiejszego.

Niech przytoczą datę i przyczynę utraty pracy, niech opowiedzą, jak przeprowadzono redukcję robotników lub godzin pracy w zakładzie, w którym ostatnio pracowali oraz jaką pomoc otrzymywali lub otrzymują od Funduszu Bezrobocia, od państwa, samorządu, organizacji zawodowych, towarzystw opieki społecznej, zarówno sami osobiście jak i członkowie ich rodzin.

Niech opiszą, jak się odżywiają ich rodziny oraz jak bezrobocie wpłynęło na zdrowie i wygląd dzieci. Niech doniosą, jakie rzeczy zastawili lub sprzedali i po jakiej cenie, jakie długi mają u sklepikarzy, za komorne, u lichwiarzy i ile im obecnie kredytuują sklepiki.

Niechaj drobiazgowo podadzą, czy sami lub ktokolwiek z rodziny ma jakieś dorywcze zajęcia (może żona chodzi do prania, lub sprzedaje warzywa na ulicy, może mąż wyrabia jakieś przedmioty, które sprzedaje na ulicy). Nie należy lekceważyć żadnego szczegółu, ale o wszystkim donieść jak najdokładniej. A dobrze byłoby gdyby dano taki sam opis znajomych rodzin bezrobotnych — opowiedziano o ich położeniu, o sposobie życia, o dorywczych zarobkach.

Nie zależy nam na pięknej, wyszukanej formie opisów. Niechaj padają słowa proste i twarde, byle oparte na prawdziwych przeżyciach. Nie stawiamy żadnych wymagań co do treści listów byle były z dołą waszą, jako bezrobotnych, związane. A jeśli kto nie umie pisać, niech dyktuje komuś innemu to, co chciałby wypowiedzieć.

Imię i nazwisko swoje oraz dokładny adres należy podać w zamkniętej kopercie do wiadomości Instytutu. Na kopercie napisać należy jakieś godło (słowo lub zdanie) i to samo godło umieścić na nadesłanym opisie.

Najlepsze z nadesłanych nam prac będą nagrodzone przez sąd konkursowy, którego skład we właściwym czasie ogłosimy.

Ustanawiamy jedną nagrodę po 250 złotych, jedną po 100 złotych — obie, jeśli rozmiary pracy wynosić będą około 16 stronic druku i 10 nagród po 25 złotych bez wyznaczenia rozmiarów opisu. Jeśli żaden z przesłanych opisów nie będzie zasługiwał na pierwszą nagrodę, Instytut może pierwszą i drugą nagrodę podzielić pomiędzy kilka opisów dalszych. Przesłane prace stają się własnością Instytutu, który może je w całości lub częściowo wykorzystać w druku. W razie wydrukowania w całości lub urywków większych niż stronica, Instytut wypłaci autorowi honorarium w wysokości 5 złotych za stronicę. Do opisu powinny być dołączone imię, nazwisko i adres. Nagrody wypłacane będą autorom opisów nagrodzonych po okazaniu zaświadczenia Państwowego Urzędu Pośrednictwa Pracy o zarejestrowaniu ich jako bezrobotnych.

Prace nadsyłać należy pod adresem: Instytut Gospodarstwa Społecznego, Warszawa, Czerwonego Krzyża 20, do dnia 15 stycznia 1932 roku. Nagrody przyznane będą do dnia 15 lutego 1932 roku.

PAMIĘTNIKI BEZROBOTNYCH

Pamiętnik Nr. 1

Murarz-sztukator
zamieszkały w Warszawie

Zamieszkuję w jednopokojowym mieszkaniu z żoną i czworga dziećmi drobnymi. Mam lat 41, z żoną Marją lat 29, Romcio lat 10, Apolonja lat 7, Danuta lat 5 i Januszek latek 2 miesiące 6.

Opisuję życie nasze w czasie bezrobocia mego od dnia 9 września 1929 r. aż do dnia dzisiejszego.

Jestem z zawodu murarz sztukator, już lat 23 pracuję w swym fachu. W początkach pracowałem u majstrów samodzielnych, potem w roku 1921 dostałem się do firmy budowlanej Martens i Daab. Było to jeszcze na tysiące jak płacili za wypracowane godziny, ale nie pamiętam dotychczas ile marek. Jak mogę zapamiętać, że przepracowałem lat 3 miesiące 2. W zimę odpoczywałem, miałem zapas żywności i kilkadziesiąt marek od wypadku jakiej choroby. Oczekiwałem wiosny i nie martwiłem się, bom wiedział, że pracę zawsze na wiosnę dostanę. Tego wypoczynku miałem 5 miesięcy, w kwietniu w końcu miesiącu 1925 r. dostałem się do firmy poznańskiej budowlanej przy remontowaniu Teatru Narodowego przy ulicy Wierzbowej i Placu Teatralnego jako również czeladnik w swym fachu i zarabiałem dziennie na 8 godzin pracy 16 zł. To mi w zupełności wystarczało na wyżywienie mej rodziny, która liczyła wtenczas wraz ze mną czworo dusz. Przepracowałem w tej firmie lat 2 miesiące 3, potem pozostałem zwolniony z powodu wykończenia danego remontu. Nie martwiłem się, bom był zażyty w gotówkę i żyłem sobie normalnie, prócz tego zarobiłem letnią porą, bo to było jeszcze ciepło, zawsze co parę dni kilkanaście złotych. Następnie Bóg zesłał na świat mnie jeszcze jedno dziecko, które ochrzciłem imieniem Danusia. Wtedy pozwoliłem sobie się ubawić na wyprawienie chrztu mej córki i to mi pękło kilkadziesiąt złotych, ale nie odczuwałem na tem nic, bom miał i wtedy zapas żywności i pieniędzy.

Powodziło mi się nie najgorzej. Szczęście sprzyjało mi. Pan Bóg o mnie pamiętał. Dnia pamiętam jak dziś 14 kwietnia 1928 roku przyszedł do mnie kolega i powiedział, że protegował mnie do firmy B-cia Karjo na wyjazd. Poszedłem i zgodziłem się w akord wykonać ołtarze, do stacji Pasieki, wieś Wąsewo, ziemi Łonżyńskiej przy budowie kościoła. Wtenczas przepracowałem 1 miesiąc i zapracowałem prócz wydatku na życie dla siebie, wręczyłem żonie 480 zł. Zaś sam prosiłem żonę o niewydawanie pieniędzy na zbędne rzeczy, bo co prawda, tożem przeczuwał, że to będzie moja ostatnia praca i tak się sprawdziło, że do dnia dzisiejszego pozostałem bez pracy. Z roku na rok gorzej i gorzej.

W początkach mego bezrobocia nie odczuwałem nic, bom pokładał w Bogu nadzieję, że dostanę pracę. Mija tydzień za tygodniem, dzień za dniem, gotówka się wyczerpuje, a pracy jak niema tak niema. Począłem handlować drobiem, parę razy zarobiłem kilkadziesiąt złotych, a potem straciłem, bo mi się dużo podusiło. Postanowiłem inaczej sobie radzić, zacząłem kupować na placu ubrania używane, bieliznę, buty, kamasze i na tem zarobiłem czasem parę złotych, czasem musiałem oddać za tę cenę com kupił i to się psom na budę zdało, bo to trzeba być człowiekiem w tym rozwiniętym. Zlikwidowałem ten swój fach i postanowiłem inaczej opracowywać nad swym losem, a tu coraz mniej gotówki, chociaż wydawało się, że człowiek pracuje, czyli też handluje.

Następnie z tej niedoli i z tego zmartwienia Pan Bóg dał znowu syna, którego ochrzciłem imieniem Januszek i to mi nie stało kością, ale co do chrzcin, to już odbyły się tylko na małym i skromnym przyjęciu chrzestnych.

Zawsze myślałem, że mi się czas poprawi. Natomiast jako człowiekowi bezrobotnemu, jak się rwie, tak się poczęło rwać. Żona mi zachorowała i dziecię również i potrzeba ratować i to mi wypłoszyło całą moją gotówkę com posiadał, ale mi żal nie było, bom ich utrzymał przy zdrowiu. Poczekałem do połowy lata i nie mogłem zarobić nic, opracowałem inny sposób do życia, począłem robić figurki na odpusty, na tem zarobiłem parę złotych tygodniowo i to również nie utrzymanie z tego dla domu, tylko tyle że człowiek żył. Aby nie wyprzedawać rzeczy i ubrań z domu, jak widziałem u drugich, tego żem się bał najgorzej. Otóż ten sam los spotkał i mnie już w zimę. Gdy nadszedł mróz i śnieg począłem pracować przy śniegu. Każdy dzień zapracowany wypłacają co dzień po ukończeniu godzin pracy po złotych 7 gr. 50. Ale ta praca to niestała,

bo chcąc się do niej dostać to trza było przyjść na dzielnicę do wyznaczonego miejsca o godzinie 2-ej w nocy i stać do przyjęcia aż do rana do godziny 6 rano. Czasem dostał się człowiek a czasem nie, bo był nad liczbę z kolei, bo przyjmowali nie zawsze jednakowo, raz 100 osób, a drugi raz 150, a pozostałe osoby musieli zmarznąte i głodne pójść do domu. Otóż i ja w takim samym czasie byłem tam. Postanowiłem koniecznie się dostać do pracy, by zarobić te parę złotych. Cóż było robić? Trzeba było czekać od godziny 10 wieczór aż do rana to dopiero byłem z kolei 22, to jakżem zobaczył, to mi włosy stanęły, bom myślał, że to ja będę pierwszy a tu tylu ludzi. Przestałem tę bożą noc i otrzymałem numererek do pracy od godziny 6-ej rano do 2 p. p. O głodzie i zmarznąty na mrozie poszedłem do pracy mało ze mnie duch nie wyleciał. Przepracowałem te parę godzin w mękach nie z lenistwa tylko z zimna o czym żołądku. To było gorsze jak katorgi za czasów carskich dla mnie, wtenczas poznałem co znaczy biedny człowiek bezrobotny. Przyniosłem te 7 zł. 50 żonie i opowiedziałem o tem wszystkim. Poczęła płakać. Ale co zrobić, trzeba znowuż zapracować te parę złotych i trzeba pójść znowuż tego dnia com przyszedł z roboty na dzielnicę i stać do rana na numererek byleby być przyjętym do pracy. Postanowiłem nie chodzić, pomyślałem, że człowiek to nie stal, zamęczy siebie, a potem zamęczą się z głodu dzieci, bo ja nie wydołam dzień po dniu tak dyżurować za pracą. Począłem się wyprzedawać stopniowo z ubrania, a pozatem cokolwiek byleby zarobić parę groszy. Chodziłem na kolej, odnosiłem pasażera bagaże do domu, ale policja przeganiała, zarobilem, był dzień i 2 zł. i 4 zł. Z tym przeganianiem sprzykrzyło mi się i zacząłem handlować pod Żelazną Bramą włoszczyzną, byleby zarobić cokolwiek i doczekać lata. Bo człowiek zarobi—pokładałem nadzieję. Ale jak widzę dziś, to nadzieja dla głupiego, kiedy w torbie chleb ma. A tu lato przyszło, jak nic tak nic robót niema, wyprzedalem ubranie i bieliznę lepsze, aby jać się za jaki wynik do życia, byleby się nie dać biedzie. Teść mój, człowiek w latach 72, mając mały warsztat na siebie stolarski na ulicy Wroniej * * * również mi począł dopomagać w mej niedoli chociaż parę złotych na dzieci, bo widział, że dzieci wynędzniały i poschły, byleby przezwalczyć tę biedę. Nareszcie i teściowi z nieba nie kapało, bo miał również rodzinę i czasem moje dziecko się tam żywiło. Chodziłem jak błędny, nie wiedziałem co mam czynić. W roku 1930 dostałem pracę przy wyprawie na ul. Żelaznej — i Leszna. Odczułem lżej na

sercu i mój duch co innego myślał. Myślałem, że się na świat narodził z tej radości. (Żona i dzieci odczuli straszną radość w domu jak zobaczyli, że idę do pracy). Pierwszy tydzień pracowałem o jednej zupie kartoflanej, zapalanej mąką, o chlebie nie było mowy bo człowiek musiał pozostawić dzieciom. Dopiero po tygodniu tom oddychnął zlekka, a poprzednio tom mdlał na rusztowaniu. Przepracowałem tam 3 miesiące i 4 dni, z powrotem okupiłem się cokolwiek, ale jak wyliczyłem tom był stratny na tem bardzo dużo. W sklepach zaprzestano mi dawać żywność na kredyt bom nie miał dawniejszego za co oddać. Jestem winien w sklepie jednym 10 zł., w drugim 7 zł. Dzieci mi się znowuż pochorowali, ja wtenczas myślałem, czy mnie kto przeklął, czy co? Ale wola Boża, niech się co chce dzieje, co Bóg czyni to będzie, bo wszelkie moje zabiegi daremne, tak się męczyć, pomyślałem. Za chwilę zastanawiam się, że nadchodzi burza, ta straszna zima, to dla mnie śmierć i wysyłka na Sybir, a dzieciom na męczenie i wycieńczenie, bom przechodził jedną ciężką, to do drugiej jak wspomnę, to aż na mnie skóra drży. Śni mi się w nocy to wystoiwanie przy śniegu, to nieopalone mieszkanie, jak dzieci czekają na mnie pod pierzyną w dzień, a tu zimno w domu. Bałem się jakby na wojnie jakich gazów trujących. Nadeszła jesień, robót niema murarskich, musiałem z powrotem wrócić do dawniejszej nędzy. Ale tym razem było dla mnie straszną klęską dla domu. Obmyślałem swój los i swą bezrobotną niedolę, postanowiłem w swym umyśle wymęczyć swą rodzinę to jest dzieci, a później samego siebie. Spotkałem człowieka znajomego, w podeszłym wieku, który mnie przetłumaczył i doradził mi jak można sobie radzić byleby nie umrzeć i tego czynu się nie dopuścić. Więc usłuchałem się i napisałem o jakiegokolwiek wsparcie do opieki społecznej podanie. Zgłosiłem się do opieki to mi powiedziano, że bym się dowiedział za 2 tygodnie, a tu ja już głodny i dzieci, przeczekałem w męczarniach głodu, mrozu z dziećmi te dwa tygodnie. Przychodzi do mnie niewiasta jako wywiad z opieki i powiada mi, że mnie zawiadomili. Zdenerwowany myślę: przecież ja człowiek kaleka na zdrowiu i na nogę, mam przestrzeloną 6-ma kulami na polsko-bolszewickiej wojnie. Broniłem Niepodległości naszej Polski, a dziś mam takie poparcie i mam taką biedę i nędzę cierpieć i gdzie zapukam to mi każą czekać, ale dokąd to sam nie wiem.

W opiece patrzę na ludzi przyzwoicie ubranych na ul. Krakowskie Przedmieście 60 (to jest w centrali), że otrzymują wsparcie, a ja biedny człowiek nic z tymi dziećmi. Począłem zwracać

uwagę Panu Kierownikowi i opowiadać los swego przeżycia, na co miałem trochę dowodów piśmiennych, ten mnie się ulitował i dał kartkę do kasy i dostałem 10 zł. To była ostatnia i pierwsza pomoc z opieki. Wracam się co do wywiadu później za ile dni to nie pamiętam przychodzi do mnie powtórnie wywiad, ale już mężczyzna, ogląda moje bogactwo i powiada mi, że u mnie nie znać biedy, bo może zobaczył szafę, stary grat na trzech nogach i kredens co go robaki drzewne zjadły. To miała już u mnie nie być bieda. Mówię mu „czy Sz. Pan oblicza te moje sprzęty przedpotopowe za bogactwo czy też raczy zbadać niedolę naszą wewnętrzną i jak sąsiedzi mi żywią dzieci zupą lub chlebem²⁴”. Na me słowa usiadł przy stoliku i opisał kartę wielkości papieru prośbowego, ale co, to sam nie wiem. Za dni 18 idę z powrotem do opieki i błagam, że przyjdzie mi wyprzedać te moje sprzęty i odzież jaką posiadam, byleby nie dać komu z mej rodziny pomrzeć z głodu przy mnie dopóki żyję, odpowiedziano mi, że mogę czynić co sam uważam i tem się nie zrażali, tylko żebym oczekiwał odpowiedzi. Wyszedłem i udałem się do Kurjera Warszawskiego i dostałem zł. 5. Zbrzydło mi to żebractwo. Następnie gdzieś poszedł, tam prosił o jakąkolwiek robotę byleby zapracować a nie żądać darmo wsparcia od ludzi bo to dla mnie było straszne bólem dla serca. Potem poradziłem się żony i począłem się wyprzedawać. Bo sześcioro dusz, to chociaż na kompot kartoflany żeby wystarczyło. Przeżyłem połowę zimy w mękach głodowych. Mam gospodarza, że jak nie zapłacę komornego to zara figuruje w sądzie, ale wolę płacić byleby nie mieszkać na schodach; niech z nas nikt nie doje byleby zapłacone było mieszkanie. Pozostało mi tylko się zgłodzić, myślę szkoda dzieci, tygodnie mijają i dni zimy roku 1930. Nadchodzą święta Wielkiej Nocy, patrzę, a tu u mnie niema ni co w garnek włożyć, widzę, że nędza ogólna. Idę do Pana Kierownika opieki i pokazuję zaświadczenie, że już winien komorne za tyle miesięcy, może mnie co dopomoga, bo jeść dzieci i żona głodują i wołają, a mam jeszcze w dodatku mieszkać na ulicy z czworgiem drobnych dziećmi. Mówię, Panowie, czeka mnie eksmisja, radźcie opiekunowie co możecie. Otóż przyszli, sprawdzili u gospodarza i u mnie znowuż, dali mi wtenczas 25 zł., to miało być przeznaczone na święta, a potem nic aż do odwołania. Przeżyłem w dziećmi święta na zupach i chlebie i z powrotem wyczuwałem i wyczekiwałem wiosny i w Bogu pokładałem nadzieję, że może mi się poprawi. Ale zawisło jeszcze ostrzejsze bezrobocie i znowuż musiałem się męczyć. Gospodarz za komorne mnie eksmi-

tuje, mieszkalem wtedy ulica Wronia Nr. * * * , wyrzucam mnie na schody z dziećmi, tam zamieszkuję parę dni. Wychodzę na miasto, dostaje od znajomego kawalek roboty sklep do remontu, przynoszę zaraz parę złotych com dostał zadatek. Potem opowiadam o swem położeniu tam na robocie i mi nastęczono mieszkanie przy ulicy Płockiej Nr. * * * , ale co zrobić, pieniędzy niema skąd zapłacić po 20 zł. na miesiąc zgóry za trzy miesiące. Proszę owego gospodarza com u niego robił, ten człowiek poczciwości dał mi 60 zł. i żem opłacił i się sprowadził pod dach. Tera odetchnąłem, że chociaż mam dach nad głową. Ale trzeba się poczuwać, żeby płacić komorne, uskrammiam sobie w życiu byleby zapłacić, a nie mieszkać z powrotem na schodach lub ulicy. Odżywiam swe dzieci kartoflami i marchwią, nawet i burakami, bo kapusty to nie mam bo nie było za co kupić i nakwasić. To było pożycie nasze i straciłem siłę nawet chodzić z wycieńczenia. Doszło do tego stopnia, że dzieci zaczęli prosić o kawalek chleba. Przychodzi Romcio, synek najstarszy i przynosi chleba bochenek, zapytuję się skąd to dostał, on mi mówi: ja żem to dostał. Dowiaduję się, że on ten chleb uprosił w piekarni, opowiadając ojca pożycie. Mało z żalu mi serce nie pękło, że moim dzieciom przyszło na taki koniec i począłem płakać. W tą porę wchodzi Siostra Miłosierdzia, to jest zakonnica i prosi, żeby mi co ofiarował na biednych sierot z listą w rękę. Opowiadam jej całą swą biedę i pożycie dawniejsze jak mi było wprzód, a obecnie teraz i jakie wsparcie pobrałem na swą biedę od swych braci polaków za tak wielką męczarnię na froncie. Owa zakonnica pozostawiła mi 2 zł. na chleb dla dzieci bo widziała u mnie na oczy swe nędzę, napisała karteczkę, moje imię i nazwisko swym charakterem i kazała się zgłosić do ich zakładu; tam dostałem dla dzieci koszulki, 2 pary bucików używanych i 20 kajecików dla synka do szkoły oraz złotych 15 gotówki, za co złożyłem serdeczne Bóg zapłać. To wtenczas było dla mnie wielkiem poparciem.

Z opowiedzy dowiedziałem się od ludzi, że można pisać do Dóbr ksiąząt Czartoryskich podanie, napisałem i nic nie uzyskałem. Potem znowuż Bóg zesłał mężczyznę, który zapytuje się o moje imię i nazwisko i wręcza mi kartkę, żeby mi się zgłosić do pracy na ulicę Barską Nr. * * * do gospodarza domu przy budowie tegoż domu, bo gospodarz to był sam prowadzącym robót. Ucieszyłem się radośnie i począłem pracować, zarabiałem na godzinę 1 zł. 50 gr., przepracowałem aż do dnia 18 stycznia 1931 r. Wtedy trochę odetchnąłem i zaoszczędziłem sobie kilkadziesiąt złotych od jakiej gor-

szej biedy. Komorne zaś opłaciłem naprzód za 3 miesiące z góry byleby mieć spokój z jedną niedolą i z powrotem oczekuję wiosny. Wiosna przyszła, robót niema, ani nawet nie słychać o robotnikach, żeby co było do pracy, strach znów ogarnia mnie bom już dwie zimy przeżył na cierpieniach, to naprzód myślę o trzeciej. Zapas kartofli com miał oraz produktów żywnościowych wyczerpuje się mi. Żona zaś kupuje do okraszenia barani łój byleby zaoszczędzić parę groszy na zimę. Zamiast mięsa kupowałem trybowiny w halach Mirowskich po 30 gr. za kg, ale powiadam, że te przysmaki gotują się pół dnia zanim się ugotują do spożycia i tak właśnie w naszej Polsce musimy się odżywiać, byleby nie dać się tej zimie strasznej.

Czyż to nie rozpacz doprawdy, żeby człowiek wraz z dziećmi nie miał kęsa chleba. Żona początkowo nigdzie nie chodziła do pracy, bo była od powicia syna chora. Następnie i żona zaczęła w roku tym mi dopomagać. Kupowała szmaty stare, może nawet z jaką zarazą na placu tak zwanym Wałówką. Wypierała je, sprzedawała za parę groszy (dajmy na to). Koszula kosztowała lub powłoczka na poduszkę brudna zasmarowana 50 gr., a sprzedawała po wypraniu za 1 zł. 50 gr. lub za 1 zł. A ile się wymarzyła zaczęła sprzedawać. Ten zarobek również żony był dla nas podporą, bo co prawda to człowiek jak co czyni czy też handluje za parę groszy to sobie zawsze zarobi parę groszy byleby był sam, to może żyć aby nie umarł. Ale z czworga dziećmi to jest ciężko żyć. Cóż począć! kobieta słaba i wycieńczona wygląda jak szkielet w grabarni z kościotrupa. Udaje się do doktora, ten podziwia chorobę i powiada, że takiej anemji jeszcze nie widział jak moja żona miewa, prócz tej choroby przyplątała się choroba — krwotok gardlany. Krew gardłem poczęła się puszczać przy wielkich bólach głowy, głowa zaś bolewa z myśli co będzie dalej i jakie będzie pożycie i zaprzestała mi moja żona dopomagać, ja zaś, żeby ją nie martwić, zawsze byłem wesół, ale w moim duchu i sercu co się działo to tylko ja i Bóg wiedział. Latem to się przeżywało lżej, bo można było cokolwiek zarobić parę złotych ale co zimą to nie daj Boże.

Nadchodzi znowuż zmiana, czas jesienny i zimowy, rok 1931 na rok 1932. Nie można absolutnie nic skąd zarobić, żadnych remontów i budowli nie budują, biura budowlane robią plajtę to jest zwijają. Zapasów nie można na zimę zrobić, bo się nie zarabia, tylko człowiek jak zarobi parę groszy to na drugi dzień lub w ten sam zara wyda i codzień trzeba zawsze myśleć, mało wszystkie

włosy nie powyłażą z głowy. Każde chodzi z nas w czym ma, nie bacząc na to czy za dużej, czy też nieodpowiednie, wszystko się wyreperowuje i się wydziera, a kupić, to szkoda myśleć o tem i zapomnąć. Ja zaś zawczasu udaję się do pośrednictwa pracy i wydawać mają kartofle i kartki takie jak są dziś obecnie u bezrobotnego. Staję w kolejce rano o czwartej i otrzymuję ten bon na kartofle — 90 klg. na całą rodzinę, następnie za trzy tygodnie 50 klg. węgla i to jest taki ekwipunek na zimę, bo więcej nie wydają. Kartofli i węgla starczyło mi do ostatniego tygodnia przed świętami Bożego Narodzenia, ale pod warunkiem, że cokolwiek jakżem miał pieniądze, to dokupowałem. Zarabiałem teraz obecnie przed świętami na parę tygodni po parę złotych, to kuchnię jako przestawiłem lub piec zreperowałem, ale to nie przewidziane czy człowiek będzie miał co na drugi dzień jak jedno zrobi. Taką pracą dorywczą się posługuję byleby się nie dać biedzie. Każdy dzień wychodzę na miasto, bo nie mogę wysiedzieć w domu ze zmartwienia i zarazem, żeby otrzymać jakiś kawałek pracy bodaj za parę złotych, aby zapobiec swej niedoli. Jak zapracuję, to kupuję kartofle, cebulę, to jest pierwszy artykuł spożywczy dla bezrobotnego i podzielny naprzykład. Żona ugotuje 5 kg kartofli i usmaży cebuli na jakimkolwiek tłuszczu, to się każdy naje i cokolwiek popije i głód zaspakaja i pokłada nadzieję, że może będzie coraz lepiej, a tu nic widoków niema dla każdego robotnika czy też pracownika. I pracownicy również tak żyją bo widział na swe własne oczy, jak jeden znajomy inżynier spożywał kawę czarną bez cukru i na razowym chlebie. Zamiast mięsa lub jakiego tłuszczu miał pokrojone kartofle w plasterki i ułożone na chlebie. Był to człowiek bardzo zacny, a dziś również musi cierpieć taką niedolę chociaż ma wykształcenie wyższe i on biedny dzieli niedolę robotnika, bośmy doczekali takich złych czasów za naszą przelaną krew i naszych braci co polegli na wojnie i zginęli na szubienicach na stokach Cytadeli, która stoi tuż przy mieście u nas w Warszawie za czasów carskich. Ogrzewać mieszkania owe inżynier niema za co, siedzi w domu w palcie, a robotnik nie bacząc na to co prawda to mu lepiej wypada pójść. Ja zaś ogrzewam mieszkanie swe koksem, dostałem się do kopalni u nas w Warszawie i pracuję ze swemi dziećmi razem, byleby mieć zapas na zimę palenia, porobiłem dzieciom brytwanny z blachy i podziurkowałem gwoździem i postawiłem ich dwoje starszych na Czyستم z tyłu gazowni gdzie leży kupa olbrzymia miału koło kolei. Tam oni osiewają ten miął, a co się pozostaje grubości jak orzech

leśny lub fasola, to sypią w woreczki. Ja zaś jak powracam z miasta, pomagam im i przywozimy ten zapas na zimę, ale i ta kopalnia mi się już skończyła, bo ludzie tacy sami jak ja, jak się zwiedzieli to zasiedli jak pszczoły na lipie i wszystko wysieli sobie. Począłem obmyśliwać nad drugim projektem. Znalazłem znowuż kupę na obwodowej kolei tuż przy plancie, kupę miału. To zaś sam wysiewałem i sprzedawałem za parę groszy, to jest obecnie moja praca, chociaż mam ciepło w mieszkaniu i dzieci mają na kawałek chleba te parę groszy. Przed świętami udaję się do pośrednictwa pracy, powiedziano mi, że nic nie wydadzą dla bezrobotnych aż do odwołania do dnia 28 grudnia 1931 r., więc przychodzę do domu i zapytuję się żony co mam czynić, żeby zarobić co na święta, obmyślałem nosić choiny, wtem przychodzi, była to niedziela rano, ubrany młody człowiek i wręcza mi list, każe mi się rozpisać. Patrzę i czytam, wydaje mi się, że przezemnie co mówi, czyż może być prawdą co czytam. Czytamy z żoną i z tej radości niewiedziałem co mam czynić, otrzymałem 19 kg produktu żywnościowego, t. j. mąki 10 kg, cukru 2 kg, ryżu 2 kg, fasoli 3 kg, słoniny 2 kg i pieniędzy na jakiegokolwiek zabiegi 15 zł. *). To dla mego domu i dla mnie sprawiło mi wielką radość, bośmy mieli co spożywać na święta i mi się wydawało, że Pan Bóg mi to zesłał przy nadchodzących świętach. Zarobiłem prócz tego podarunku przy odnoszeniu choinek również parę złotych przez 3 dni, tom wyliczył zł. 16.

Mam kolegę, który jest u mnie biedny w swym nieszczęściu, był spalony w zeszłym roku cielesnie, ma całe piersi, brzuch i bok wypalony, natomiast ma wstawiane 560 kawałków ciała. Jest to człowiek inteligentny, z zawodu kamieniarz, pan F. J. również dzieli niedolę ze mną, bo nie może zapracować na chleb, raz że niema robót, a powtóre do pracy ciężkiej nie nadaje się, bo mogą mu ścięgną popękać. Kiedyś był zamożny tak jak i ja, dziś biedny i nieszczęśliwy jest to człowiek jeden na świecie, który żyje na takie spalenie. Nie miał gdzie nocować bo był bez pracy, nie miał na komorne, spał na trawie lub w jakiej sieni. Razu pewnego, dnia 14 maja 1930 r. spał na schodkach na ulicy, siedząc, ktoś go podlał benzyną i podpalił. Powiadam jest to człowiek żelazo, że żyje.

*) Autor niniejszego pamiętnika w początku grudnia przysłał do Instytutu krótką notatkę o warunkach swego życia. Instytut zakomunikował treść notatki i adres autora jednej z instytucyj społecznych pomocy bezrobotnym, która wysłała mu paczkę wymienioną w jego pamiętniku.

Ja chociaż biedny jestem, ale z nim tę biedę dzielę. Ten człowiek utrzymuje się, wyrabia różne zabawki z drzewa i pracuje po 16 godzin i zarabia czasem złotych 4, czasem 3, ale to jest praca nudząca, czasem mu się trafi jaki kawałek roboty na cmentarzu, to wyrabia i dzieli biedę jak może, chociaż jest obecnie sam, ma syna 7 latek i nie może mu pomóc bo są takie ciężkie warunki, jakichżeśmy doczekali. W początkach chodził pół roku i nie mógł się wyprostować, bo mu się ciało rozrastało, potem przyszedł do mnie i jest prócz mej rodziny i on, bo ja rozumiem co jest bieda i tę biedę dzielę z nim, ale nie daj Boże nikomu nieszczęścia takiego jak on ma.

Warszawa, dn. 31 grudnia 1931 r.

Pamiętnik Nr. 2

Cieśla
zamieszkały w Warszawie

Proszę mi wybaczyć wszystkie błędy mojej pisowni, gdyż żadnej szkoły nie posiadam, bo warunki mi na to nie pozwoliły, abym mógł korzystać z nauki szkolnej, bo od 9-ciu lat mojego życia pracuję sam na siebie. Umiejętnościami własnymi udało mi się nauczyć.

ŻYCIE BEZROBOTNEGO

Na wschodzie już się zaczęło żarzyć, złote promienie czerwonego słońca coraz szerzej rozplywały się po pięknym czerwcowym niebie. Życie dziennego świata każdą chwilą zaczęło przybierać coraz szybsze tempo, natomiast wszystkie nocomary a między innymi i ludzie najspokojniej oddychały w błogich ukojeniach zdrowego snu. Tylko zapóźnione komary leniwie ścigały do swoich wilgotnych legowisk. Ja zaś, jak codzień, tak i dziś przebudziłem się o tej porze, gdy pierwsze promienie słońca zajaśniały na rozkosznym błękitnie nieba. I zaraz pośpiesznie wstałem, bo dla mnie już było zapóźno.

Lecz nie do pracy zawodowej, ale do mojej ukochanej pracy, którą sobie sam wynalazłem i sam na siebie włożyłem obowiązek za jej dopilnowanie. A była to praca, przy której ja dopiero mogłem wypocząć po całodziennych trudach w fabryce.

Było to malarstwo, oczywiście w bardzo słabym, niemal niemożliwym stanie. Lecz dla mnie to było coś nad wyraz miłego. W swoich rysunkach i malowidłach byłem wprost zakochany, to też gdy tylko pierwszy sen uciekł z powiek i pierwszy brzask pięknego i znów nowego poranku zajrzał do okna, zrywałem się natychmiast, aby jaknajwięcej mieć czasu i móc się rozkoszować widokiem mart-

wych linii, narysowanych na białym lub szarym papierze. I tonąć w zadumach i mozołach figuralnego rysunku, albo całymi porankami, nieraż kilkanaście godzin kombinować nad doбором odpowiednich kolorów.

Lecz to wszystko dawało mi radość i zadowolenie, a zarazem podniecało mnie do pracy w fabryce, w której pracowałem jako cieśla.

Radowałem się z życia i z pracy, jaką mogłem wykonywać, zdrów, wesoły i pełen sił i energii, boć przecież nie mało pochłonałem promieni słonecznych, pracując przez dwanaście lat na największej gorączce i na największym mrozie, pomimo swoich młodych lat przywykłem do wszystkiego jak prawdziwy stary dzięcioł. Lecz tego poranka, gdy stanąłem przed sztalugami, które sam sobie zbudowałem i spojrzałem na pusty blat, opanowało mnie zdziwienie, bo oto ujrzałem narysowaną twarz bardzo boleśnie wykrzywioną, nawet nie przypominam sobie, kiedy ją mogłem narysować, lecz w tymże momencie przebiega mi przez pamięć sen, jaki miałem tej ostatniej nocy, sen, który się objawia w postaci odchodzącego pociągu, na który się spóźniłem, sen, który mi zawsze zwiastuje złą przyszłość. Tak stojąc przed tą wykrzywioną buzią zastanowiłem się, czy, aby chociaż nie redukcja i na tę myśl jakgdybym odczuł przytaknięcie mojego rysunku.

Zakłopotalem się przez chwilę, lecz zaraz otrzeźwiałem, gdy ujrzałem na zegarku dziesięć po czwartej, pomyślałem, szkoda czasu. Dydkiem losu nie naprawisz i natychmiast chwytam papier, zakładam na sztalugi i cały smutek poszedł precz, i jeszcze nie zdołałem zorjentować się, co narysowałem, gdy doleciał do mych uszu potężny ryk fabryki, obwieszczający godzinę siódmą. Już nie ma ani chwili do stracenia, aby się nie spóźnić na pół do ósmej do warsztatu, bo dla sumiennego robotnika nie jest przyjemnem spóźnić się do pracy, bo tak jak w każdej sferze społeczeństwa są różne przywary, to tembardziej posiada je sfera robotnicza. I tak np. gdy się który z kolegów spóźni, zaraz się inni śmieją, że mu żona przygniotła bieliznę, gdy jest żonaty, a gdy jest kawaler, zapomniiał się oblizać i musiał się myć. Prócz tego i pan majster też ma coś do zanotowania i dlatego trzeba się śpieszyć, ażeby być na czas w warsztacie. I oto biegnę po przez pola, w upalny dzień czerwcowy, t. j. 20 czerwca, słońce jakgdyby sprzeczne z całą taktyką życia ludzkiego, pali niemiłosiernie, jakgdyby za karę, że jedna część społeczeństwa, jak nastawione automaty, na oznaczoną godzinę biegnie w najrozmaitszych kierunkach szybciej i wolniej, to

druga zaledwie co zdążyła zasnąć, po całonocnych hulankach i włóczęgostwie.

Słońce, jakgdyby Bóg zagniewany pali swemi nieubłaganemi promieniami, jakgdyby chciało zatrzymać tę rozszalałą szarańczę ludzką, lecz napróżno: bo to nie zabawa, to nie dancyng i nawet nie teatr, to codzienna i prawie, że niedostrzegalna walka o byt, walka o egzystencję, walka, do której przygrywką jest zgrzyt zębów, zgrzyt trybów, albo czasami zgrzyt łamanych kości ludzkich.

I otóż dobiegam do warsztatu, spocony, z pełnemi płucami rozgrzanego powietrza, oddech utrudniony, gdyż w warsztacie jest bardzo duszno. Zapach drzewa i pył unoszących się trocin uniemożliwiają zupełnie swobodne oddychanie. Wtem rozlega się dzwonek, maszyny ruszają całą siłą i jednocześnie jakgdyby ze snu unoszą się tumany mułu drzewnego.

Ledwie zdołaliśmy zacząć pracę, przychodzi pan kierownik, na twarzy jego maluje się dziwne przygnębienie i oto ku ogólnemu zdziwieniu każe zatrzymać maszyny i z prawdziwym żalem obwieszcza nam, że z dniem dzisiejszym wymawia się pracę na dwa tygodnie, w dodatku przykleja w warsztacie okólnik, zawiadamiający o tem samem i spuściwszy głowę na dół odszedł. A więc jesteśmy zredukowani.

A teraz postawmy sobie pytanie, czy po objaśnieniu tej przykrej wiadomości powraca wszystko do normalnego stanu? Musimy szczerze powiedzieć, że nie. Bo jeżeli się ktośkolwiek interesuje psychologją robotnika, to po takiej scenie zauważy obraz godny rozpacz, bo po wysłuchaniu pana kierownika wszystko stało się inne: ludzie, maszyny bodajże czy nie cały świat się zmienił. Bo chociaż słońce to samo i świeciło tak, jak i przedtem, to jednak stało się jakieś inne. Promienie jego boskiego ciepła, już nie były tak przyjemne, nie budziły już chęci do życia i pracy jak przed chwilą, ale wręcz odwrotnie. Stawały się przykre i coraz bardziej osłabiające.

Ludzie posępniali, na twarze ich wybiegła jakaś śmiertelna bladeść. Po chwili odrętwienia zaczynają się skupiać, bezradnie potakując głowami. Maszyny, jakgdyby chciały zagłuszyć tę potworną, dręczącą myśl, warczą jak złe psy z coraz większem natężeniem, bo chodzą nieobciążone. I tak się rozpoczyna długie dwa tygodnie, męczącej wegetacji. A słońce jakgdyby z ciekawości bezustannie świeci, niby się przyglądając temu, co ci skazańcy poczną, do czego się wezmą i czy znajdą rozwiązanie dla swej niedoli, a oni owładnięci całkowicie jakąś dziwną tępotą nic nie radzą i nijak nie

reagują na swoją krzywdę, włączają się z kąta w kąt, wyczekując cierpko, jakby wyroku śmierci.

I oto nadszedł dzień rozłąki. Zanim nadeszła upragniona godzina pierwsza minut 30 wezwano wszystkich do obliczenia i tu ciekawe zjawisko. Pieniądz wrósł nietylko w życie materialne obecnego społeczeństwa, ale, rzecz można, że i ogromną rolę odgrywa w jego życiu moralnym, bo oto po otrzymaniu tych kilku groszy, wszyscy poweseleli, no i jak zwykle, przy takim smutku, należy czemś to wszystko zatopić. Należy zaznaczyć, że byli i tacy, którzy powrócili na drugi dzień bez jednego grosza w kieszeni. Należałoby im postawić pytanie, poci powrócili do półgłodnych dzieci i wybladłych żon, czy poci, aby im powiedzieć, że są skazane na śmierć głodową? I oto widzimy pierwsze jaskółki tej potwornej nędzy materialnej i moralnej. Dlatego powiadam moralnej bo oto już na wstępie widzimy wojnę, która prowadzi do wypaczenia moralnego.

Ja zaś po otrzymaniu tych kilku groszy, zastanowiłem się nad ich rozdzieleniem i po powrocie do domu już pieniądze były rozłokowane, każda suma na swej pozycji. I od tego zacząłem okres bezrobocia. Dziwnem jest do pomyślenia i bardzo trudnem do uwierzenia, że człowiek robotnik i człowiek urzędnik, przemysłowiec, czy handlowiec, różnią się bardzo i to pod wielu względami, a jeden z nich jest najbardziej uderzający i oto w momencie, kiedy interesy przemysłowca, lub kupca prosperują jaknajlepiej, to tembardziej ten staje się niespokojny, zaczyna się wiercić z tą opuchniętą kieszenią, za ciasnym się staje dla niego lokal, miasto, w końcu kraj, wreszcie za ciasnym jest i świat, rzeczy można, że to jest dobra strona człowieka, jeżeli niezadawalnia się tem, co już trzyma w garści, lecz szuka czegoś więcej, bo zdaje się to jest głównym trybem życia ludzkiego, za pomocą którego ludzkość od wieków kroczy uporczywie naprzód i naprzód bezustannie, smagana biciem konieczności.

Jeżeli ci zaczynają się kręcić w lepszych warunkach bytu i rozłazić się po całym świecie, nie mogąc dobrać sobie odpowiedniego miejsca, to robotnicy w podobnych warunkach natychmiast zaczynają słać, jakgdyby pracowite mrówki potężne ognisko rodzinne i to na dwa fronty, bo ponieważ u nas nie istnieje życie gromadzkie, więc część swojej pracy robotnicy składają za pośrednictwem przemysłowca na rzecz gromady, natomiast z drugiej części stwarza własne ogniska rodzinne. Więc jak widzimy, w czasie dla robotników dobrej konjunktury, robotnicy najspokojniej pracują, od-

dając się pracy duszą i myślą, co dzieje się wręcz odwrotnie u ludzi innych klas. A więc z chwilą ogłoszenia redukcji wśród robotników zaczyna fermentować i powstają podłe myśli zemsty za swą krzywdę, lecz tu należy zaznaczyć, że to nie jest objaw zwiastujący lepszą przyszłość bo sam robotnik nie zagłębia się w skomplikowaną maszyneryję państwową, a żyje zasadniczo dwoma hasłami, a mianowicie: pracą i zarobkiem.

Praca dla robotnika jest jakgdyby regulatorem jego życia, natomiast zarobek jego jest dla niego tem, czem dla miłyna wietrznego wiatr; otóż chcąc podać jaknajbardziej prawdziwe zjawiska w życiu bezrobotnego, postaram się jaknajsubtelniej to zobrazować.

Pierwszy rozpaczliwy poranek.

Słońce już wzeszło i świeci radośnie, wszystko zaczyna kipieć życiem, tylko ja jeden w całym domu nie mam do czego się śpieszyć. Leżę w łóżku i ziewam, ocieężałe myśli biją do głowy, jak rozszalałe bałwany, staram się ich skupić i ustawić w jakimś porządku. Lecz napróżno: ogarnia mnie dziwny, niewypowiedziany żal i tęsknota, lży mi się cisną do oczu, ostatnim wysiłkiem woli staram się ich powstrzymać. Lecz napróżno, dwie przedarły się przez zaciśnięte powieki i powoli spłynęły po zmęczonej mojej twarzy, potem zaczyna następować równowaga i odzyskuję świadomość myśli, stalugi stoją osamotniałe, jakby chciały zawołać do mnie: czemuś się na nas pogniewał, przecież my tak zawsze ci wiernie służymy i czemuż się gniewasz, spójrz że rysunek który trzymamy w swoich nieubłaganych kleszczach, też czeka niecierpliwie na ciebie—lecz napróżno. Ja leżałem jak w odrętwieniu i zdawało się, że nie czuję tego niemego skomłania, bo zaczęła mnie opanowywać jakaś ohydna myśl zemsty za wyrządzoną mi krzywdę, tembardziej, że krzywda dosięgła mnie z ręki państwa, gdyż fabryka była państwowa: przesuwają się przed oczyma taśma filmowa, przeżytych momentów, chwile, w których stawało się do zawodów z wszechmocną śmiercią, nasuwają się przed oczy obrazy, w których to człowiek stawał oko w oko z potwornymi paszczami armat, lub przed drżeniem od naporu ognia karabinem maszynowym, który tak obficie aż do nie uwierzenia ziejje rozpalonem żelazem. I była odwaga: ani cienia bojaźni, nikt nie dostrzegł na mojej prawie dziecinnej twarzy, bo w ów czas miałem zaledwie 18 lat, nie było bojaźni, bo skąd miała być, przecież tu chodziło o Polskę, o której tak ludzie marzyli przy tokarni, kowadle i szrubsztaku, gdy pracowałem jako praktykant, mając lat czternaście. W fabryce Lilpopa na Woli.

A dziś? To przecież ta Polska, za którą nie szczędziłem oddać swego młodego życia. To ta Polska swego syna i to może nienajgorszego spycha mnie w bagno nędzy i podłości, pozbawia mnie ulubionego warsztatu pracy, wydziera mi ukochane narzędzie z rozpalonych dłoni i pozbawia mnie wszystkich myśli i czynów. I cóż chce ze mnie uczynić?

Wtem rozległ się nieśmiały stuk do drzwi, ocucił mnie i wyrwał z przykrego zamyślenia, kiedy się podniosłem, aby otworzyć, usłyszałem za drzwiami to przykre skomlenie. Boże, pociesz, Boże, pobłogosław, dziwne odretwienie zamieniło się w nienawiść do wszystkiego i tak prawie każdy poranek sprawiał mi nieopisaną przykrość przez bardzo, bardzo długi czas. Lecz trudno mi było tak cierpieć, zacząłem wstawać bardzo rano, prześladowany najrozmaitszemi myślami. Świat stawał się coraz bardziej ponury i coraz bardziej podły, nie widać w nim żadnego współczucia, ani przyjaźni wokół mnie: zaczyna się gromadzić nienawiść, jakgdyby jakaś trująca mgła. Postanawiam znaleźć jakąkolwiek pracę, więc udaję się do Urzędu Pośrednictwa Pracy, aby tam zasięgnąć informacji i tu, o zgrozo, dostaję odpowiedź wyzywająco-drwiącą i to nie tylko od pp. urzędników, lecz co gorsza przez takichże robotników jak i ja zostałem wyśmiany. Opanowała mnie złość, stanąłem na uboczu z oczyma utkwionemi w wynędzniałe twarze, które jakby na przekór wytrzeszczyły swe nawpół obłąkane oczy i uporczywie wpatrując się we mnie, jakby w jakieś widmo, czułem ze wszystkich stron jak pieką mnie swojemi natrętami oczyma, we mnie zaś wszystkie nerwy zaczęły drzeć pod naporem ogromnego wzburzenia i zdawało się, że wszystkie żyły moje podobne są do linii telefonicznych, które zostały obciążone szronem lodowatym w czasie wilgotnego zimowego poranka, czułem, że krew mi uderza do głowy i nie zwyciężę i zacząłem rzucać najcięższe klątwy tym, którzy tam stoją w wyszarżalych kapotach i z takimi twarzami. Wtem uczułem silny ból głowy, gdyż małeńka, bo małeńka, zaledwie licząca dwadzieścia metrów kw. salka, stawała się coraz bardziej zapełnioną, wobec tego powietrze stawało się coraz cięższe, gdyż oddech ludzki, pomieszany z dość i tak ciężkiem powietrzem, niezbyt czystej a tak ciasnej salki, sprawiał wrażenie potwornie brudnej wędzarni.

Zmuszony byłem wyjść na ulicę, aby zaczerpnąć nieco czystszego powietrza.

Owiany świeżym podmuchem wiatru, zacząłem wracać do przytomności i zastanawiać się, co począć dalej, gdzie i jak szukać ra-

tunku, postanowiłem szukać pracy na własną rękę i w tym celu udałem się do miasta, lecz niestety, po całodziennej tułaczce, wyśmiany i wyszydzony powracam do domu.

Należy zaznaczyć, że trasa jest pokazna z Mokotowa na Pragę aż na Targówek, dwie godziny dobrego marszu.

Idę zmęczony i znużony ostatnim wysiłkiem woli, staram się podnieść resztki energii, gdyż po całodziennym szarpaniu nerwów, osłabiony doszczętnie, nogi się płaczą, w czole dziwna gorączka, pod pierściami uporczywy ból, coraz mocniej i mocniej zaciska, staram się o tem nie pamiętać, lecz napróżno, głodowa kanalka nieubłagana ani na chwilę nie ustępuje, czuję coraz bardziej, jak okręca moje biedne i puste jelita na jakiś sękaty kij i zdaje się, że za chwilę wydrze je z pod piersi do rynsztoka, na pożarcie psom.

Przechodzę Nowym Światem, gdzie tyle wystaw, przepelnionych przenajrozmaitszemi potrawami i tyle barów i restauracyj, w których siedzą tacy sami ludzie jak ja, którzy posiadają podarowane im przez Boga dwie ręce, dwie nogi, dwoje oczu i także same zęby i język, którym w tej chwili wprowadzają do przełyku jakieś mile woniejące apetytem, a bardziej budzące we mnie głód i drapiące po moich biednych, ciągle wężących nozdrzach, potrawy. A język obraca się kurczowo w próżni i coraz większą ilość wypompuje ślin, jakgdyby chciał zemścić się nad uporczywym głodem i chciał tą śliną go zatopić, lecz napróżno, bo głód pełza po pustych jelitach w miarę napływu ślin i podłaził coraz bardziej pod piersi, a pazury jego stawały się coraz boleśniejsze, wreszcie chwycił tak mocno i tak wysoko, że zdawało się, iż potwornym łbem zatrzymuje biedne serce i tu nagłe odrętwienie karku i pleców, w oczach niebieskie kółeczka, a w ustach twardo i sucho. Stałem, oparłszy się o poręcz okna wystawowego i tak przez chwilę: a potem weszłem do bramy, aby poprosić wielce możnego w tej chwili pana dozorcę o szklanekę wody do napicia, który w tej chwili siedział w bramie na starym wytartym fotelu z wyciągniętymi nogami na całą długość, gdy poprosiłem o szklanekę wody tonem dość podnieconym, ów pan powiedział, że wodę sprzedają na ulicy, wreszcie po długich perswazjach otrzymałem upragnioną szklanekę wody, której połowę wypilem, a drugą połowę natrzepałem sobie kark na tyle, aby się w ten sposób choć trochę orzeźwić i dalej na drugą połowę podróży.

Teraz już mnie nauczyło podłe doświadczenie, że nie należy wywachać zakazanych przysmaków, bo za to nietylko karze pra-

wo ludzkie, ale i prawo boskie. Bo gdym zaczął wywąchywać zapach z cudzej strawy, to Bóg mnie dotkliwie ukarał, bo odebrał mi siłę i przytomność, abym nie mógł dostać się do domu gdzie zapewne czeka już świeża, rozgotowana kartoflanka.

I dopiero dobry pan dozorca dopomógł, udzielając ze swej łaski szklankę zimnej wody, która w tej chwili stanowiła po czternastu godzinach tułania się po mieście jedyny posiłek za pomocą którego mam przebyć sześć kilometrów drogi. Idąc jaknajmożliwiej szybkim krokiem i rozmyślając nad podłym losem pokrzywdzonych ludzi, uczułem na swem ramieniu mocne uderzenie — wyrwany tem uderzeniem z głębokiej zadumy obejrzałem się i ujrzałem obok siebie dobrego kolegę z czasów wojny polsko-bolszewickiej i w pierwszej chwili wielkie zdziwienie, a następnie powszechne, utarte — co słychać? Zagadnięty przez niego tem słowem machnąłem niedbale ręką, bo słowa nie mogły się przedostać przez zaciśniętą krtani. On patrzył na mnie z widocznym niepokojem i coś do mnie mówił, lecz ja nie byłem w stanie odpowiedzieć i starałem się na niego nie patrzeć bo zdawało mi się, że oczy moje są nienaturalnie wielkie i za chwilę wyjdą ze swych gniazd, a kolega mój i współtowarzysz żołnierskiej doli wrzasknie z przerażenia, ale wporę zapobiegł temu, ujawszy mnie za drżące jak liść smagany wiatrem rękę z dobrocią w głosie zawołał: Stachu, uspokój się, a w tem momencie pękła pętla żalu, którą tak bezlitośnie ciągnęło pragnienie zemsty: na kimś, na czymś lub nad samym sobą i po uwolnieniu krtani przez tę potworną, a niewidzialną siłę, dwie duże jak perły szatańskie krople staczały się po mej twarzy, były to łzy, które wydarły się z pod rozpalonych powiek i tu jakby pękły wszystkie łańcuchy przyzwoitości zachowywania się na ulicy i piersi moje zaczęły coraz bardziej falować, a przez gardło zamiast słów zaczęło się wydobywać coraz głośniejsze łkanie. Przechodnie coraz bardziej zwracali na nas uwagę, ja odwróciwszy się do muru, starałem się opanować samego siebie, lecz napróżno, raczej byłem gotów rzucić się na ramiona człowiekowi, z którym tyle ciężkich, a jednak chwalebnych chwil przeżywałem.

I dziś znów tak jak przed laty, ten wielki żal przy nim, a wówczas o niego coś niesamowitego w mojej duszy się kryje dla tego człowieka tak rzadko przeze mnie widzianego i dlatego też pozwolą Panowie, że pokrótce to przedstawię.

Było to wiosną 1919 r. kiedy wojska nasze na całym froncie posuwały się naprzód, my zaś jako część 22 p. p. czwarta kompanja

piechoty i czwarty pluton karabinów maszynowych prowadzony przeze mnie, zajęliśmy odcinek nad Styrem. Po kilku nieudanych atakach, bolszewicy postanowili nas okrążyć, co też się w części im udało tak, że wyżej wspomniany kolega zginął bez wieści wraz z innemi i oto co jest godne podziwu, że ja nie cieszyłem się z tego szczęścia, które mi tak sprzyjało, bo pomimo jedenastu dziur w płaszczu i cztery w czapce, to karabin uratowałem, a ciało moje nie doznało żadnego zadraśnięcia, co jest wprost nie do uwierzenia. Po wycofaniu się w bardziej bezpieczne miejsce opanował mnie niezwykły żal po straconym koledze.

Aż musiał mnie uspakajać kochany przez wszystkich nasz dowódca, były porucznik Rożnowski, który starał się przetłumaczyć, że on powróci, co też się i stało, zmartwychpowstał i nad ranem powrócił, za co go serdecznie, ze łzami w oczach ucałowałem.

I dziś znów po tylu latach stoję przed nim, jakbym chciał powiedzieć — Ty tylko może mnie rozumiesz, ale on widział we mnie okropne zdenerwowanie, chwycił mnie pod ramię i wprowadził do najbliższej bramy i tam przytulił moją rozpaloną głowę do swej piersi i prosił nadewszystko: — Stachu, uspokój się, Stachu — i dopiero po wielu wysiłkach przez niego uczynionych zdołałem się uspokoić i po krótkim odpoczynku, z nieco uspokojonem sercem, zdołałem coś nie coś o swym losie powiedzieć, na co on starał się dawać mi wiele współczucia i udzielać dość rozsądnych rad, a między innemi, żeby nie tracić nadziei na lepszą przyszłość. Opowiadał mi swoje dość przykre przeżycia, z których wyszedł zwycięsko i rzekł: dziś jest już mi lepiej, więc mam nadzieję, że i ty zwyciężysz. W końcu rzekł — w najgorszym razie licz na mnie, wręczając mi kartkę ze swym adresem. Gdym go chciał pożegnać: — poczekaj — rzekł — odprowadzę cię kawałek i poszliśmy w stronę mostu Kierbedzia. Idąc z nim, czemś bardzo rozradowany zapomniałem o wszystkich dolegliwościach, zaczął powoli wracać dawny wesoły humor i rozmowa potoczyła się o starych i już tak dawnych przeżyciach i najrozmaitszych dość wesołych przygodach. Na twarzach naszych zajaśniał szczerzy i wesoły uśmiech gdyśmy dochodzili do mostu, zwracając się do niego: — Dziękuję ci bardzo za okazaną mi przyjaźń, a teraz się wróć. A on chwycił mnie za rękę, uśmiechnął się bardzo przyjaźnie, rzekł: — nie muszę cię przeprowadzić za most, abys mi nie palnął jakiego głupstwa, a gdy będziesz za mostem, nie będzie ci się chciało wracać, bo możesz być jeszcze bardzo potrzebny.

Idąc przez most dość wesoło, przebyliśmy go bardzo szybko, pożegnaliśmy się serdecznie uściskiem ramion i dłoni i poszlim każdy w swoją stronę: na pożegnanie uchylając z uśmiechem kapeluszy. Następną część podróży przebyłem bardzo prędko, przez całą drogę byłem czemś podniecony i nawet się nie spostrzegłem, gdzie jestem, gdy stanąłem na progu swego cichego mieszkanka.

Żona moja, która z niecierpliwością oczekiwała mego przybycia, powitała mnie zdziwieniem — czemuś tak długo nie wracał? Odpowiedziałem na to pół-wesołym uśmiechem, spożywając kolację i obiad, lecz nie kartoflanke, ale krupnik. Z dość zamaszystym apetytem do niego przystąpiłem, lecz po paru łyżkach jeść już nie mogłem, bo uczulem w żołądku coś twardego, co nie pozwalało więcej jeść, pomimo usilnego zachęcania przez żonę. Do kolacji nie byłem w stanie więcej jeść, o co wynikła poważna sprzeczka, którą spowodowała żona, dając mi do zrozumienia, że mam jakieś tajemnicze źródło, z którego czerpię obiady. I znów przyszło rozczarowanie, a myśli zaczęły się bałwanić jak spienione fale i znów ta dokuczliwa gorączka w czole, oddech zwiększony i piersi silnie falujące. W takim stanie kładę się na spoczynek nocny. Ledwie zdołałem przyłożyć do poduszki swą rozpaloną jak głownię od ognia, a ciężką jak bryła ołowiu głowę, uczulem jak jakieś piekielne młoty coraz bardziej w niej waliły. Lecz trwało to bardzo krótko, bo za chwilę już nic nie widziałem, gdzieś uwieźłem w jakiejś tajemniczej otchłani, z której żadną siłą nie mogłem się wydostać. Dopiero po silnem szarpnięciu żony, zdołałem się przebudzić i po odezwaniu się żony zrozumiałem, że leżę na łóżku cały spocony. Zapytany przez żonę co mi się śniło, nie mogłem nic o tem powiedzieć, bo myśli się jakoś dziwnie poplątały i nie miałem sił ich uporządkować. Dopiero po silniejszym odetchnięciu zacząłem przypominać, gdzie byłem i co się ze mną działo. I oto przez myśl przeciąga się bardzo powoli pasmo światła, które oświetla całą senną przeszłość, w której dopatruję się, że byłem pomiędzy dwoma ogromnymi górami, z których jedna była czarna, druga zaś biała, obie stykające się do siebie. Ja chcę się wydostać, usiłuję wleźć na czarną i po długim, mozolnem spinaniu się spadam na dno wraz z ogromnym kamieniem, który swym potwornym ciężarem przyciska mnie głowę. I tak się męczę w tym szatańskim uścisku aż do przebudzenia. Gdym się przebudził na wpół przytomny, głowa mi się zdawała potwornie wielka i jeszcze cięższa niż wieczorem.

Nazajutrz, gdym się przebudził, byłem trochę weselszy, bo dzień się zapowiadał bardzo pogodny. Gdym wstał rano, zacząłem rozmyślać, gdzie dziś podążę za głodową zdobyczą, bo przecież nic prócz głodu więcej w tem mieście zdobyć nie można. Długo tak rozmyślając postanowiłem nie chodzić nigdzie i przez dwa miesiące wygrzewając się na jeszcze dość ciepłym słońcu, spokojnie wyciekiwałem tego dnia, kiedy żona powie, że — już wydałam ostatnią złotówkę, a w sklepie na t. zw. książkę więcej dać nie chcą, gdyż przez cały czas staraliśmy się kredytować co się dało, pieniądze zaś odwlekać na gorszy czas. Lecz jakoś to dość długo trwało, ja zaś nie pytając się o żadne zasoby, myślałem sobie, kiedy to wreszcie los postawi nad tem kropkę.

Aż pewnego dnia przychodzi do mnie jeden ze współzawodników złej doli z rozpromienionem obliczem, z nowiną, że już można wyrabiać karty zasiłkowe. Po otrzymaniu tak wesołej nowiny uczułem się nieco uradowany, lecz po głębszem zastanowieniu się rzekłem: — Wiesz co, kochany przyjacielu, ta żebranina, na którą się jutro wybieramy, nie jest ona bardzo do smaku, bo wyobraź sobie, jak to ta sprawa wygląda: człowiek młody i pełen sił nie może pracować, tylko musi żebrac, to coś wstrętnego, to ubliżające godności człowieka XX wieku. Lecz trudno, trzeba życie ratować, przecież mam tyle długu społecznego i osobistego, nie można tak bezinteresownie umierać, a więc dowidzenia, jutro na ul. * * * , o trzeciej rano. Tego dnia położyłem się wcześniej niż zwykle, lecz długo nie mogłem usnąć, niepokojony przez podłą myśl, jak przez natrętą muchę: bezustannie brzęczała mi do ucha — widzisz, staczasz się coraz niżej, zrównasz się z pospółstwem, staniesz obok ludzi, którzy nie mają serca, ani szlachetnej duszy, którzy posługują się instynktem, jak każde przeciętne stworzenie. Myśl przewodnią opierają na potwornej pożądliwości wszystkiego, co ich oczy zdołają ogarnąć, a z jamy ustnej wionie potworna zgnilizna, pomieszana z alkoholem i tak w tej przykrej wyobraźni zasnąłem obudziwszy się o północy. Pośpiesznie się ubrałem, biorąc kawałek chleba ze sobą i poszedłem. Przykre wrażenie wywarły na mnie t. zw. panny »ómy«, gdzieniegdzie jeszcze się wałęsające. Po dojściu na miejsce ujęło mnie zdziwienie, bo w kolejce stało około 60 osób, dwie postacie kobiece, wtulone we wnęce wejścia, kucwały tuż przy samych drzwiach i zdawało się, że chcą tak mocno przyłgnąć do nich, że gdy ktoś ich otworzy, to będzie musiał zabrać i ich do środka, a szczególnie ta, która stała po lewej stronie, a mając lat około 60,

z wyglądu jej można było wywnioskować, że jest to stara, wyczerpana z sił, domowa praczka. Druga zaś nieco młodsza, lecz również bardzo zniszczona, z rozmowy ich dowiedziałem się, że jest wdowa i ma chorą córkę, którą w fabryce sparaliżowało na skutek wilgoci i cugu, wskutek czego biedaczka pokutuje w łóżku już czwarty rok. Staruszka zaś, tuląc się do swej połowy martwych drzwi, z bólem w głosie opowiadała taką historję. Mam troje dzieci na utrzymaniu, których rodzice już nie żyją. Córka umarła na gruźlicę, a zięć dopiero pół roku jak się otruł i w szpitalu umarł. Zostało ich sieroteczek troje, najstarsza 12 lat, a najmłodsza 9 i chłopczyk średni. Ja, stojąc z boku starałem się jaknajmocniej natężyć słuch, aby nic z tej godnej łez historji nie uszło mojej uwagi. Trzeba każde słowo zapamiętać, bo to jest złota księga życia, w której każdy człowiek ma oddzielną stronicę i po swojemu ją zapisuje, czem kto może, począwszy od atramentu, po przez łyzy, a skończywszy na rozbryzgającej się po ścianach krwi. I tak starowina zakończyła: jeszcze dwa tygodnie temu — robiłam u jednego księdza, za co płacił mi dwa złote dziennie i coś dla dzieci, a teraz wzion jakąś tam podobno kuzynkę, ze 21 rok, Bóg go tam raczy wiedzieć, moja Pani! W tym momencie zauważyłem jakąś większą gromadę ludzi, wychodzącą z za rogu ulicy, dopiero zorjentowałem się, że to już dzień i teraz weszłem do swej kolejki, aby uniknąć sprzeczeki. Ulica zdawała się coraz bardziej ruchliwszą, a pod murem w jedną i w drugą stronę wyciągały się dwa duże węże kilkusetgłowe, prawy patrzył w stronę lewego, lewy w stronę prawego. Zdawało się, że dwa potworne gady przyczajały się pod murami i czekają na jakąś niewinną ofiarę, która za chwilę ma się ukazać i zostanie pochwycona i owinięta tak brutalnem cielskiem ludzkim, iż zdawało się, że żadna siła już jej nie zdoła uratować. Lecz ofiara nie zjawiała się.

Węże stawały się coraz dłuższe i coraz bardziej niespokojne, bo już było około 1200 głów. U wejścia, gdzie znajdowały się dwie nieszczęśliwe i bezradne wobec takich bestji istoty, dwie kobiety spocone i zmordowane już do zupełnego wyczerpania ratowały się ostatkiem sił, aby nie dać się odedrzeć od tych drzwi, do których przez tyle godzin ciała ich tuliły się jak zziębnięte i skrzywdzone dziecko do łona matki i tyle pod tymi drzwiami uprzedzono nadziei o nakarmieniu tych, które tam pozostały głodne i bez opieki. I oto przyszedł potworny tłum, który niema serca ani duszy, który kieruje się jakąś ślepa żądzą i jakimś dziwnem pragnieniem, które

go spycha z linii, po jakiej posuwa się człowiek, a każe mu iść tam, jaką idzie stado głodnych wilków.

I oto bestja napotyka na drodze dwie nieszczęśliwe ofiary, w dwóch bezbronnych kobietach i chce ich pożreć, lecz one się ratują resztką sił przy pomocy bardziej szlachetnych i rozsądnych dwóch ludzi, którzy starają się nieszczęśliwych osłonić swoimi ramionami.

Stojący ktoś po drugiej stronie ulicy i baczniej obserwujący to co się dzieje, odczułby następujące wrażenie: gromada ludzi zamieniła się w jakąś dzicz, którą można porównać ze zgłodniałą czeredą małych psiaków, które uporczywie tłoczą się do miejsca pokarmowego, które to stanowią drzwi, nie zwracając uwagi na to, że ktoś tam z rodziny zostanie zaduszony, lub umrze wskutek połamania żeber. Człowiek stąd gdzieś odszedł, pozostała bestja.

Kamienica, pod której murami stała ta bezduszna i bezsercowa masa, była na wszystko obojętną, wytrzeszczając swe wielozębne i zaropiałe ślepia. Lecz bez westchnienia i bez jęku, tak jak tłum, cisnący się całą swoją zdziczałą siłą na nieszczęśliwe i bezradne kobiety, nie odczuwający żadnych boleści ani jęków, tak ta czerwona, brutalna bestja, zaropiałemi ślepiami, zdawało się, że nie czuje tego ogromnego parcia na jej kałdun, choć niemo, ale bardzo spokojnie słuchała.

Teraz coraz więcej zaczęło się cisnąć do drzwi i urządzano t. zw. huśtawki, lewa strona przepychała prawą i odwrotnie, a środek parł prosto na drzwi tak silnie, że zdawało się, że lada chwila drzwi ustąpią, a nieszczęśliwe kobiety zostaną stratowane doszczętnie. Wtem zjawil się policjant, usiłując zaprowadzić jakikolwiek ład, lecz napróżno — został wyśmiany, odszedł bez humoru. Po pół godzinie przyszedł cały oddział, tak zwana sekcja. Po wezwaniu przez przodownika o zajęcie miejsc w kolejce, nikt nie drgnął z miejsca, przystąpiono do rozpędzania, oczywiście czynnego. Gawieź rzuciła się do ucieczki i zajmowania miejsc w kolejce. Policja zaś chcąc oczyścić wejście, postanowiła wszystkich stojących we drzwiach usunąć na koniec, nie pomagały żadne tłumaczenia i skargi. Precz mi stąd, krzyknął pan przodownik, nieszczęśliwe ociierając oczy z łez, a zwłaszcza staruszka, której los powierzył trojga obywateli, którzy mają budować nowe życie, stojąc na uboczu wołała pomocy wszystkich sił boskich i ludzkich, lecz wszystko napróżno. Zanosząc się od płaczu zaczęła odchodzić, spoglądając miłosiernie w niebo. Zatrzymał ją jakiś młody mężczyzna, pytając co się stało.

Po wyjaśnieniu przez staruszkę, zwrócił się do policjanta z prośbą, aby uwzględnił tę starowinę, na co policjant wyrzekł zgodę, o ile ogół na to pozwoli. W tym momencie rozległ się potężny ryk: — nie puścimy! Lecz policjant siłą ją wprowadził, ja zaś wypchnięty z kolejki i odrzucony przez policję, stałem spokojnie obserwując pierwszy raz w życiu widziane zjawisko. Zapomniałem o tem, że i ja przyszedłem po numerek, a przecież go nie dostanę, gdy mi to zaczęło przychodzić do pamięci, staje przede mną jak z pod ziemi wyrośnięty mój kolega. Zanim się zorientowałem kto to, to już miałem nowiutki, prosto z bloczka wydarty numerek 19-ty. Ucieszony tą niespodzianką, podziękowałem mu serdecznie i wesoło poszliśmy w stronę domu. Uprzednio, przed rozejściem się omówiliśmy plan spotkania się nazajutrz na ulicy Grzybowskiej. Po powrocie do domu i spożyciu śniadania wraz z obiadem, zacząłem rozmyślać o rzeczach, które nigdy mi do głowy nie przychodziły. W tej dziedzinie byłem bardzo mało świadomy i nie znałem dokładnie człowieka, skupionego w wielkiej gromadzie. I nie mogło mi się pomieścić w mojej robotniczej głowie, która od dziewiątego roku życia bezustannie była wypełniana myślą o pracy i ciągle o pracy i zaledwie drobna część mojego mózgu została oświetlona za pomocą dobrych książek. A teraz po zobaczeniu tak przykrych scen, jakie miałem sposobność dziś zobaczyć, przyszło mi nie wiem skąd jakieś dziwne filozoficzne rozumowanie, że Chrystus był tak wielkiego serca, pełnego boskiej miłości dla ludzi, a ci ludzie nie mają go wcale, ani dla siebie, ani dlatego co umarł dla nich na krzyżu, i dziś gotowi są wszystko zburzyć, wszystko zniszczyć i przejść nad wszystkim jak burza, która sieje zniszczenie i pożogę, a w końcu zdolni będą sami siebie wymordować. Ta cała filozofja zdawała się być coraz bardziej interesującą, a zarazem coraz bardziej trudniejszą do rozwiązania. W końcu doszedłem do przekonania, że to trąbienie po całym świecie, że ludzkość doszła do wysokiego poziomu kulturalnego, jest zwykłą bujdą. Bo ludzi trzeba prowadzić tak, jak się prowadzi inne zwierzęta, jeżeli się chce, ażeby one gdzieś były i coś robiły. Sami zaś potrafią tylko zniszczyć i wreszcie powiedziałem sobie: — widocznie, że tak musi być i zaprzestałem myśleć.

Nazajutrz, gdy zaszedłem na Grzybowską, zaraz po wejściu do bramy, usłyszałem wołanie mojego kolegi, który stał w kolejce może setny od końca, a tysiąc pięćsetny od początku. Śmiejąc się do mnie powiedział: — bagatela, co? Ja obejrzawszy się po wy-

nędzniałych twarzach, powiedziałem — bądź wola Twoja — a on dodał — Panie. Kolejka, w której staliśmy, była tak pokręcona, że trudno było się zorientować jak ona idzie, bo we wszystkich kierunkach były poustawiane szeregi ludzi.

Szara brać robotnicza stała skulona i trzęsąca się z zimna, mężczyźni za jedną rozrywkę podłego czasu uważali palenie papierosów i zaciągali się tak mocno, że zdawało się, że dym zupełnie połykają, kobiety zaś nie mając zawodowego zajęcia, ten sam podły czas skrótowały sobie dreptaniem na miejscu. Młodociani zabawcy, począwszy bodajże czy nie od lat dziesięciu, a skończywszy na dwudziestoletnich pannach i kawalerach: tym ostatnim zdawało się być najweselej, bo szczerzyły do siebie nawzajem dość jeszcze białe ząbki i oczami wesoło migocącymi przesyłali sobie dość miłe i wesołe spojrzenia. Zdawało się, że najbardziej smutno jest tej, która siedziała tam z boku pod wykruszałym od deszczu i wiatru murem, na jakimś rumowisku starych oparszałych od wilgoci cegieł. Była to postać skulona tak bardzo, że na pierwszy rzut oka miało się wrażenie, że to jakiś dziwolązek, poruszający się bezradnie jakimiś samoistnymi ruchami, a gdy się wreszcie zbliżyliśmy do tej drżącej bezustannie istoty, okazało się, że to jest staruszka odziana w ubogie łachmany, ale dość czyste, licząca ponad 80 lat. Przy dalszym badaniu można było zauważyć dość inteligentną twarz, na której z łatwością można było dostrzec wiele ciężkich przeżyć i tu jak i w poprzednim wypadku obojętne przesuwanie się setek i tysięcy jeszcze dość zdrowych i mogących znaleźć dla siebie sposób ratunku ludzi. Około jednej, już doszczętnie wyczerpanej życiem i zimnem osoby, która za chwilę może skostnieć z wycieńczenia, z gorzką skargą na ustach przeciwko społeczeństwu, które spokojnie patrzyło na jej powolne konanie w tak nieludzkich warunkach.

Na społeczeństwo, które nie miało odwagi zaprotestować przed tak hańbiącym godność człowieka objawem: po zapytaniu się staro-winy, czy jest chora? — odpowiedziała — cóż mi na to poradzicie? i lzy potoczyły się jak grad po zziębniętej twarzy. Zaczęło się gromadzić zbiegowisko, to spowodowało zbliżenie się policjanta, wzywającego obecnych do rozejścia się, na co tłum odpowiedział obelżywymi wyrazami pod adresem policjanta, używając jaknajbrutalniejszych przekleństw i wyzwisk. Policjant zbliżył się do staruszki i tonem aroganckim zapytał co ona tu robi. Staruszka trzęsąc się z zimna nie mogła odpowiedzieć, dopiero po długich naleganiach, zdołała wyszeptać, że stoi w kolejce, na co policjant zażądał do-

wodu. Staruszka, trzymając w zaciśniętej garści jakieś zawiniątko, jakgdyby to były skarby jej całego życia, skostniałemi, a tak bardzo drżącemi palcami, poczęła wydobywać dokument. Policjant obejrzał go starannie i oddał go zpowrotem. Tłum stojący na uboczu zlorzeczył bez końca na wszystko i wszystkich. Zdawało się, że jak szakal lada chwila rzuci się na dość butnego policjanta i rozszarpie go w drobne cząstki, zanim ten zdoła uczynić choćby najmniejszy ruch. Lecz ten powoli ale stanowczym krokiem posunął się naprzód, do staruszki zaś podszedł młody, wysoki człowiek w binoklach, dość skromnie ubrany i zapytał gapiów co się stało, których zdążyła już napłynąć cała gromada. Po zbadaniu sprawy nie rzekł ani słowa i odszedł, a za chwilę się zjawił z bolesnym wyrazem na twarzy, niosąc w ręku szklankę herbaty i bułkę.

Tłum, który w tej chwili otaczał nieszczęśliwą, rozstąpił się nagle, jakgdyby i on chciał oddać jakąkolwiek przysługę i równocześnie na twarzach wszystkich odmalował się dziwny smutek i zaciekawienie. Zaczęto szeptać różne przypuszczenia: człowiek w binoklach stał nieruchomy i odruchowo podtrzymując ręce staruszki, w których trzymała szklankę z ciepłą herbatą. Gdy staruszka kończyła pożywienie, człowiek w binoklach zwrócił się do obecnych z prośbą o odstąpienie ich na chwilę, gdyż chce ze staruszką pomówić. Tłum ociężałe zaczął się rozchodzić, a starowina rzekła:— Niech Bóg Panu nie odmówi niczego za Pańskie dobre serce — i zaprażyła się podnieść. Wówczas ja i człowiek w binoklach wzielim ją pod ramiona i poprowadziliśmy w bardziej ciche miejsce. Wówczas człowiek w binoklach polecił mi odnieść szklankę do pobliskiego sklepu i odebrać zastaw. Pośpiesznie wróciłem, zwracając złotówkę jako zastaw. Rozmowa się już rozpoczęła. Z tego com usłyszał wynikało, że jest to 85-letnia staruszka, która miała jedyną córkę, w której pokładała całą nadzieję swego życia, a która umarła w kwiecie wieku, wskutek otrucia się w przystępie strasznej rozpaczki, której to owoc 19-letnia moja wnuczka, wychowana przeze mnie, dopomagała mi zarabiając cośkolwiek, pracując w jednej z firm handlowych i ta ostatnia deska ratunku, została nam wydarta wskutek przekłętej redukcji. Na zapytanie, gdzie się znajduje wnuczka i czemu nie przysłała jej zastąpić, staruszka głęboko westchnęła — gdyby ona wiedziała, że ja tu jestem, to nie przeżyłaby tego. Biedaczka, wychodząc wczoraj z domu powiedziała, że idzie do znajomych. Wtem na podwórzu rozległ się silny głos policjanta, wzywający do zajmowania miejsc w kolejkach. Podwórko było teraz

wprost przepełnione. Zrobiła się straszna ciżba, gdyż było 2500 ludzi. Teraz już naprawdę nie można było zorjentować się jak idzie kolejka, i gdzie mrowisko ludzkie stawało się coraz bardziej niepokojne. Krzyki kobiet i różne klótnie wybuchały raz po raz. Policja zaledwie zdołała utrzymać porządek przy drzwiach, resztę porządku pozostawiając samemu sobie. Tłum cisnący się bezustannie w kierunku drzwi, coraz bardziej napierał. Na człowieka, stojącego z boku sprawiało to przykre wrażenie, bo ludzie zamienili się w jakieś stada rozjuszonych wilków, które nacierają do ognia, bo tył parł całą siłą, ci, którzy stali na przedzie, zmuszeni byli trzymać napór na własnych plecach. Policjanci, stojący w małym skrawku wolnego placu tuż pod samymi drzwiami, zamknięci w pierścień podnieconego tłumu, wymachiwali gumowymi pałkami w tak zamaszysty sposób, że zdawało się, że zamiast pałek trzymają jakieś ogniste miecze, i wszystko wokół siebie pałą. Tłum bezustannie nacierał. Ci którzy już się dostali, tak blisko, że stanęli oko w oko z policją i wpatrując się w jej każdy mylny ruch, aby w tym momencie uderzyć całą siłą i zatarasować drzwi. Policja tak bacznie strzegła tego, że w żaden sposób nie można było się przedostać. Pierwsza linja, po półgodzinnem wyczekiwaniu, salwowała się ucieczką na tył. Wówczas tłum parł gwałtownie i usiłował zrobić zupełny bezład, a policja wówczas musiała użyć wszystkich środków zapobiegawczych, nie wyłączając bicia, i dopiero wówczas powracał dawny porządek i znów następowała pierwsza linja, która trzymała uporczywie nacierający tłum i tak bezustannie od godziny 9-ej aż do zamknięcia biura. Staruszka, która siedziała na sparszanych ceglach, zaraz po otwarciu biura, wzięta pod ramię przez człowieka w binoklach i doprowadzona z wielkim trudem do policji, którą to człowiek w binoklach prosił o zaopiekowanie się bezradną starowiną. W tym momencie zrobiło się zamieszanie. Policja znów usiłowała przywrócić stary ład, wymachując pałkami we wszystkich kierunkach niby różgami zakłęb, jakgdyby chciała, zażegnać tę potwornie rozszalałą burzę. Lecz to nie pomagało. Kłębowisko ludzkie bezustannie przybierało na siłach, aż wreszcie zamknięto bramę, co dopełniło obrazu o isticie piekielnym wyglądzie. I tak płynęły godziny za godzinami wchodziliśmy z kolejki do kolejki, które stały na miejscu jak do ziemi przyrośnięte, nie ruszając się z miejsca, aż wreszcie i we mnie nastąpiła przemiana i zamiast serca i duszy zaczęła się odzywać bydlęca chciwość i tępota i teraz pchałem się wprost z zamkniętymi oczami, niczem nie różniąc się od reszty

głodomorów. Bo chociaż popychany i poszturgiwany, dopiąłem swego celu, otrzymując upragnioną paczkę kwitów, z którymi naprawdę nie wiem co mam zrobić.

Wielce Szanowni Panowie!

Na wstępie mojego opisu przepraszałem za różne niedokładności, natomiast tu niech mi wolno będzie zwrócić się do Panów z usilną prośbą o jedną tylko rzecz. Nie ubiegam się o żadne nagrody, bo gdzie mi tam do powieściopisarza lub sprawozdawcy, z moją spracowaną ręką i niewyrobionych mięśniach mózgowych. To wszystko, co Panowie przeczytali, jest to tylko drobny szczegół z ogromu moich przeżyć i spostrzeżeń i otóż uprzejmie proszę o łaskawe zawiadomienie mnie o wartości mojej bazgraniny, gdyż gazet nie kupuję, bo nie mam za co, a radbym się coś o tem dowiedzieć i sprawiłoby to dla mnie wielką radość, za co zgóry dziękuję, łącząc wyrazy szacunku.

Warszawa, dn. 15 stycznia 1932 r.

Pamiętnik Nr. 3

Pracownik mający się wszelkich robót,
zamieszkały w Warszawie

Opisałem w swoim pamiętniku dziesięć lat życia. Od czasu przyjazdu do Polski do dni ostatnich. Fakty podawałem prawdziwe w takiej kolejce, w jakiej następowały. Nietylko same fakty podałem, lecz i przeżycia duchowe. Żadnych komentarzy, żadnej odpowiedzi na zadawane sobie pytania nie podałem. Chciałem, żeby mój pamiętnik był ciekawy, lecz nie znam języka literackiego, ani tajemnic literackich, któremi można zaciekawić czytelnika. Pisałem tak zwyczajnie, jednego dnia jedną lub dwie stronicę, innego dziesięć lub nic. Pisać mi naprawdę było trudno, głód, brak wszystkiego co do życia jest potrzebne, zgryzota matki, która rozumie to, że życie moje marnie przechodzi, to wszystko nie usposabia do siedzenia w domu i wykonywania pracy, za którą nie otrzymam złotówki na jutrzejszy obiad. Jako człowiek głodny przede wszystkim myślę tylko o jedzeniu i narazie żadnych wyższych aspiracyj nie mam. A jeżeli znajdzie się ktoś co mi weźmie za złe to ciągle myślenie o żołądku, temu mogę dać jedną radę, niech w ciągu dajmy na to 5 dni, pije rano, na obiad i na kolację tylko herbatę, z maleńkim kawałkiem chleba i wówczas niech wypowie swoje zdanie o głodzie. I wtedy ono będzie jeszcze niezupełne, ponieważ on będzie pewien, że tylko te pięć dni ma głodować, ale zato później może jeść do syta. W ciągu tych dziesięciu lat przyjmowałem każdą pracę; zamiatacza podwórza, tragarza, krojczego, buchaltera, sprzedawcy i t. d. Z pomocy społecznej nie korzystałem, żadnych zasiłków ni zapomóg nie otrzymywałem. Byłem sam. A musiałem i muszę dać utrzymanie mojej matce, chyba może chceć odemnie tego chora, 50-letnia kobieta, a siostra, jeżeli nie może zarobić na utrzymanie, do kogo zwróci się o pomoc? Brat powrócił z wojska i też bez pracy. Nie

wiem czy opisałem dobrze jak żyję, nie umiem tego opisać, lecz dołożyłem wszelkich starań, żeby to możliwie najlepiej przedstawić. Mam poważne zmartwienie, że bardzo brzydki charakter pisma niezbyt zachęca do czytania mego pamiętnika i dlatego najmocniej przepraszam wszystkich, którzy trudzili się nad odczytywaniem tej bazgraniny.

Te słupy w dali, to już Polska. Pociąg, którym jechaliśmy zatrzymał się. Wszyscy jadący tym pociągiem coś około tysiąca osób jeńców, repatriantów, zakładników, opuściło swe wagony, ażeby jaknajprędzej, chociaż z oddali zobaczyć ten kraj, do którego z utęsknieniem dążyli. Na parowozie naszego pociągu wywiesili czerwony sztandar i komendant pociągu udał się w stronę polskiej granicy. Tak więc już za godzinę, czy za dwie przekroczymy granicę. Jak tylko bolszewicy zawiadomią polskie posterunki o przybyciu pociągu i stamtąd otrzymają odpowiednie papiery. Ciepło było. Piękny jesienny dzień. Dziwnego uczucia doznawałem. Wszyscy jadący, zdaje się przeżywali coś niezwykłego, coś, co się nie często zdarza. Słysząc jakieś rozmowy, jakieś powątpienia, a może będzie jeszcze jaka kontrol, może jeszcze nie wszystkich wypuszczą z Rosji.

Myślałem, co za kraj ta Polska? Nieznana dla mnie Ojczyzna, jak wygląda? Jak nas tam przyjmą? Wrócił komendant naszego pociągu i jedziemy dalej. Już dojeżdżamy do słupów. Pierwsi żołnierze polscy. Więc tak wyglądają następcy tych, o których tyle się nasłuchiwałem w dzieciństwie opowiadań?

Mijamy granicę floryń, przyjeżdżamy do Zdołbunowa. Żołnierze, — hej tam, wyładować się z wagonów. — Popędzani szybciej, szybciej, wśród zgiełku i nawoływań przenosimy się do pociągu polskiego. Komendant bolszewicki odjeżdża ze swoim pociągiem z powrotem. Życzy nam szczęśliwej drogi. Lokujemy się w polskich wagonach i biegniemy na punkt żywnościowy. Otrzymujemy sporo zupy fasolowej i chleba z marmeladą. Zupa bardzo dobra, pyszna w porównaniu z tą, którą otrzymywaliśmy na tamtej stronie. Wszyscy smakujemy. Najedzeni wyruszamy w dalszą drogę do Równego. Witajcie! — tak głośił napis przy wjeździe na etap emigracyjny w Równem. Tutaj musimy przejść kwarantannę, szczepienie ospy, tyfusu, cholery, odwszenie no i potem jazda do domu, jeżeli go kto ma... Kwarantanna odbywała się w ten sposób, że wszystkich nas zapraszali do kąpieli, ubranie zabierali do dezynfekcji, a my przez ten czas pod zimnym prysznicem hartowaliśmy się do wytrzymania zastrzyków.

Po wykapaniu wpuszczano nas do sali, gdzie wszystkim po kąpieli szczepiono ospę, tyfus, czerwonkę. Po ubraniu się, każą nam przenieść swoje rzeczy do baraków. Baraki dawne koszary rosyjskie z czerwonej cegły, dwupiętrowe budynki ogrodzone drutem kolczastym. Udajemy się do przeznaczonego baraku. Na drugim piętrze cztery sale jedna za drugą. Znajdujemy trochę miejsca na narach w trzeciej sali. Nary pod ścianami na wysokości około pół metra od podłogi, nad nimi drugie takie, na które trzeba się dostawać po szczeblach, poprzybijanych do słupów, służących za podpory. Mamy miejsce niedaleko okna, na pierwszych narach, na t. zw. parterze. Narazie to jest nasz dom. Mamy dach nad głową, mamy co jeść i wiemy, że mamy kilka dni poczekać na otrzymanie dokumentów podróży.

Nie prędko opuściliśmy baraki, przemęczona podróżą choruje matka, musimy poczekać, aż wyzdrowieje. A życie w barakach zaczyna być uciążliwe. Przybywają coraz to nowe partje repatriantów. Przybywają w nocy, w czasie mrozów czekają na miejsca w barakach. Pełno ludzi i rzeczy na dworze, na korytarzach, na schodach. Siedzą na swoich łachmanach, marzną i klną, to co przeżyli i to co przeżywają. Rozpalają ogniska na dworze, grzeją się, gotują strawę. Przy jednym z ognisk rodzina chłopska gotuje sobie kartofle. Niewolno palić ognia na dworze, słyszeliście? Pan naczelnik nie pozwala. Przychodzi pan naczelnik, wysoki, strasznie chudy, pan o małej trupiej główce, na cienkich jak patyczki nogach, wiecznie z papierosem w ustach. Wszyscy ustępują mu z drogi. Słyszeliście, że nie pozwalam palić ognisk? Podchodzi do ogniska, gdzie rodzina gotuje kartofle, kopie suchą nogą garnek z jedzeniem i zalewa ognisko. Ludzie patrzą osłupiali. Mało wam żyć dają w kuchni?, będziecie jeszcze dogotowywać głodomory? Pewnie nigdy nie czuł głodu, jak ci, jak te dzieci z oczami wpadniętymi i wytrzeszczonymi, zdaje się, że na powiekach skóry za mało, żeby gałki oczne zakryć, z twarzą pomarszczoną, starczą. Dzień po dniu. Na naszym piętrze w czterech salach kilkaset osób. Nie mając co do roboty, zgłosiłem się do pomocy porządkowemu, żeby mu pomóc do utrzymania znośnej czystości na sali. Codziennie wyszukujemy młodszych ludzi do zamiatania sali, do wynoszenia chorych do szpitala, umarłych do kostnicy. Chorują i umierają, na co umierają, nikt się nie zastanawia, trzeba uprzątnąć, trzeba miejsca dla innych.

A coraz to nowe i nowe transporty przybywają. Nad nami na

narach rozlokowała się żydowska rodzina. Codziennie z rana oczyszczają się od wszów, wszy rzucają szparami nam na głowy. Matka zwraca im uwagę — Nie zrzucajcie nam wszów na głowę! — Pani, to nie wszy, to pierze — odpowiadają. Nareszcie wyjeżdżają. Ich miejsce zajmują dwie dorosłe, zdrowe dziewczyny z matką. Z życiem, z radością przynoszą zupę z czarnej amerykańskiej fasoli. Jedzą. Bardzo dużo jedzą. Bodajże cały kubek we trzy zjadły. W nocy słyhać jakieś jęki, chodzenie na górnych narach, któżby na to zwracał zbyttno uwagi? Zrana musimy szukać chłopów, żeby jedną z dziewczyn wynieść do kostnicy. Umarła. Naprzeciwko rodzina: mąż, żona, pięcioro dzieci, chorzy, najpierw idzie do szpitala matka z dzieckiem przy piersi — umierają. Następnie umiera dwoje dzieci w szpitalu—jedno w barakach. Zostaje ojciec z sześciolatniem dzieckiem. Dziecko chore, ojciec cały czas karmi je resztkami, odżywia, już konającemu daje kawałek bułki. Dziecko umiera. Ojciec chory wyrzyna z zakostniałych rączek niedojedzoną bułkę i łakomie pożera.

Na podłodze pod narami 50-letni chłop z Grodzieńskiego ze swoją babą znaleźli sobie siedlisko. Chłop od samego początku rozbity nieszczęściem, kożuch zupełnie nowy w czasie kąpieli zabrali mu do odwszenia, po wyjęciu z pieca dezynfekcyjnego pozostała wielka skwarka. Włożyć go na siebie nie może, nosi go ze sobą, jest zrozpaczony. Kożuch, taki dobry kożuch, tak go pielęgnował, chował przed bolszewikami, na starość będzie mu ciepło chodzić, a tu takie nieszczęście na starą głowę. Baba zawodzi — jak on biedak pojedzie w taki mróz bez kożucha. Czekają na dokumenty, co odpowiedzą ze wsi, w której mieszkali przed wojną. Kilka tygodni schodzą, baba już ledwo się słania, więcej leży pod narami, niż chodzi. Dajemy jej jeść co możemy. W żaden sposób nie pozwala matce wyrzucić flaków od śledzi, koniecznie dopomina się, żeby jej oddawać kiszki.

Pod narami brudno, baba brudzi pod siebie, chora, zabierają ją do szpitala, ani ruszyć się nie pozwala, bo jakże! Chłop otrzyma dokumenty, pojedzie, a ją na zawsze porzuci.

Wieczorami młodzież poszukuje się wzajemnie, gdzie tylko ładniejsza dziewczyna się pojawi, a chętnem okiem patrzy na chłopców, tam, pomimo zakazu głośnych rozmów po dziesiątej w nocy, długo, długo w nocy słyhać śmiechy i panuje wesołość. Babka nie wyzdrowiała, a teraz zachorowała matka, później brat średni, po kilku dniach młodszy brat i siostra i tak choruje teraz cała rodzina, a ja z ledwością chodzę. Czuję, że jestem chory, ale chociaż

ostatkiem sił muszę chodzić, bo któż się będzie nami opiekował? Nie wolno nam wychodzić z baraków na miasto, więc się wykradam i wynoszę na sprzedaż rzeczy, żeby mieć trochę pieniędzy na odżywianie dla chorych, bo przecież czarną fasolą chyba chorych karmić nie będę. Wyprzedaję stopniowo wszystko co można sprzedać, na co się znajduje kupiec. Pozostawiamy sobie kupę łachmanów, która nie przedstawia żadnej wartości. W krótkich odstępach czasu otrzymaliśmy dwa listy. Jeden od wujka matki z Warszawy, któremu matka opisała warunki, w jakich się znajdujemy, pisał nam w liście, że powinniśmy mężnie znosić wszystkie cierpienia, bo to dla dobra przyszłych pokoleń i cierpliwie przetrwać te wszystkie nieszczęścia. Drugi list był od brata matki z Ameryki. Niewiele pisał w liście, ale przysłał dziesięć dolarów.

Dlaczego nas nie zabierają do szpitala, doprawdy nie wiem. Czy miejsc brak? czy nie zwracają uwagi na naszą chorobę, bo i któż ma zwrócić: porządkowy, dozorca, który pilnuje porządku? Najbardziej go obchodzi, żeby w baraku było zamieciono i żeby umarli byli zrana uprzątnięci. Wszyscy się boją tyfusu. Pewnie żeśmy chorowali na tyfus. Tyfusu się nie leczy lekarstwami, silny wyzdrowieje, słaby umrze, cóż mu pomagać? Staramy się być silnymi. Każda choroba musi się kiedyś skończyć. Więc i my zaczęliśmy zdrowieć, wówczas ja z matką postanowiliśmy, chociaż niezupełnie zdrowi, wyjechać do Warszawy. Może zmiana klimatu i warunków wpłynie dodatnio na zdrowie. Po kilku dniach otrzymaliśmy dokumenty podróży i podczas 20^o mrozów wyjechaliśmy z Równego. Ulokowano nas, kilka rodzin, w dobrze ogrzanym wagonie trzeciej klasy.

W Warszawie na Dworcu Wschodnim przesiedliśmy się do wagonu towarowego, w którym się znajdowały nasze rzeczy i po trzygodzinnym manewrowaniu na Dworcu Gdańskim, przyjechaliśmy na Powązki do baraków. Otrzymaliśmy znośny posiłek i nocleg w łaźni. Następnego dnia po kąpieli, zostaliśmy przeniesieni do baraków.

Wolno nam wychodzić z baraków na miasto. Poznaje Warszawę od strony Powązek, ulice Dzika, Muranowska, Gęsia — nie robią na mnie dodatniego wrażenia, nie podobają mi się. Matka stale biega po mieście, odwiedza swoją dość liczną rodzinę. Prosi ich o radę, o pomoc, a oni przypuszczają, żeśmy przywieźli ze sobą worki złota i brylantów ze wszystkich carskich koron. Kiedy się przekonali napewno, że złota nie mamy, uczucia ich rodzinne bardzo

ochłodły. Komitety pomocy są, lecz cóż z tego, kiedy żaden z komitetów pracy nie może udzielić, a tej nam najbardziej potrzeba. Tak się zaczęło nasze życie w Warszawie i tak się zaczęły moje poszukiwania pracy. Do pracy jesteśmy, za wyjątkiem siostry, wszyscy zdolni, ja mam 23 lata, ukończyłem gimnazjum, znajomość buchalterji i wielką chęć do pracy. Brat średni ma 19 lat, był w czwartej klasie i średni 15 lat, był w trzeciej klasie. Siostra ma 10 lat. Trudno, bardzo trudno w obcym, wielkim mieście szukać pracy. Nie wiem w jaki sposób zacząć poszukiwania, dokąd pójść i o co prosić. Zdani na łaskę losu, bez żadnej pomocy znikąd. Czytam ogłoszenia w pismach, udaję się pod wskazane adresy, patrzą na mnie podejrzliwie, jakby pytali: — pocoś tu się zjawil, oberwusie. Przyjmują naogół niesympatycznie, naturalnie żadnej pracy mi nie dają. Tak, ubranie moje przedstawia się bardzo mizernie, stara rosyjska wojskowa bluza i takież spodnie, na nogach owijacze i podarte buty. Miałem garnitur jeszcze wcale niezły, lecz musiałem go sprzedać na życie. Dzień po dniu te same bezowocne poszukiwania pracy. W barakach pozbawili nas kartek żywnościowych — za długo siedzimy. Każą nam się wynosić, lecz nie mówią dokąd. Za ścianą naszego baraku mieści się przedział dla jeńców, powracających do Rosji. Zbieranina najrozmaitszego typu ludzi. Codzienne bójki, hałasy, straż baraków jak może reguluje porządek. Często obławę policji z miasta, wtedy wyciągają nas w nocy na dziedzińce, stawiają w szeregi, kontrolują dokumenty i zpowrotem puszczają do baraku. Dopóki otrzymywaliśmy pożywienie, było jeszcze jako tako. Teraz, nie mamy już co jeść. Średni brat poszedł nosić worki do magazynu Urzędu barakowego. Sąsiedni barak zaraz przy bocznicy kolejowej. Nosi przez osiem godzin dziennie, stokilowe worki z fasolą, mąką lub kaszą. Ciężka praca wymaga siły i umiejętności noszenia. Otrzymuje za tę pracę pożywienie. Rano kawa czarna, obiad z dwóch dań, na kolację jakaś zupa i dwa kilowe bochenki chleba. Niewiele. Ale pocóż mają im więcej płacić i tak więcej się zgłasza robotników jak potrzeba. Mnie nie chcą wziąć do tej pracy, jestem za słaby, nie nadaję w jednej kolejce z nimi pracować, więc się nie nadaję. Zamiatam podwórko, pracuje nas przy zamiataniu około dziesięciu. Wyśmiewają się z nas dozorczy nasi, ale cóż mamy robić, trzeba przecież coś jeść. Czasem chodzę żnąc sieczkę i jest to przyjemniejsza praca od zamiatania podwórka. Lecz trudniej ją dostać, ponieważ jest dużo chętnych. Lato. Chodzimy na plażę. Dziś idziemy na praską stronę przez most kolejowy. Dobrze jest tak tarzać się w piasku

i nie myśleć o niczym, lecz trzeba wracać do baraków. Zmierzch już zapada, wracamy z plaży do baraków. Czuję się coś złe, jakaś szara mgła zasłania mi oczy. Widzę zdaleka światło, lecz w pobliżu nic nie widzę. Koledzy myślą, że ja żartuję, śmieją się ze mnie, urządzają wyścigi kto pierwszy, ja nie mogę biec, potykam się i upadam. Myślą, że to zaraz przejdzie. Zapada wieczór, ja widzę coraz gorzej, koledzy moi poszli naprzód, ja pozostałem w tyle, nie mogę za nimi iść, nic nie widzę, co chwila o kogoś się potykam. Jestem zdenerwowany, czyżbym miał oślepnąć zupełnie? Półtorej godziny błądziłem po placu Broni, nim się dostałem na oświetlone ulice, gdzie idąc przy murze dostałem się do baraków. Potłuczony, podrapany o druty kolczaste, zupełnie rozbity duchowo, wróciłem do baraków. W dzień widzę dobrze, lecz wieczorem znowu ślepnę. Orzekli ludzie, że to kurza ślepotą, podobno od złego odżywiania. Żle się odżywiałem, to prawda, chleb, na obiad zupa z kaszy, na kolację woda gorąca.

Ciepłe letnie wieczory. Na świecie cudownie, w baraku powietrze duszne, smrodliwe, nary i ściany pełne pluskiew. Nie można spać. Jak tylko się położy, cała armja pluskiew napada na mnie i gryzie niemilosiernie, wstaję z rana z potłuczonymi bokami. Chodzimy spać na dziedziniec. Pod barakiem, na całą długość układamy swoje posłania, okrywamy się łachmanami i tak jeden przy drugim, z mniejszemi lub większemi przerwami, zaznaczającymi, że tu śpi jedna, obok druga rodzina, śpiemy dopóki nas deszcz lub policja do kontroli dokumentów nie zbudzi. Ze dwa tygodnie mnie męczyła ślepotą, dopiero mi poradzili jeść wątrobę i trzymać oczy nad parą gotującej się wątroby. Niedługo się cieszyłem z poprawy wzroku. Boli mnie lewe oko, białko całe czerwone, boli cała lewa strona głowy, przykładam kwas borny, nic nie pomaga. Chodzę z zawiązanem okiem, przygnębiony, złamany na duchu. Wychudłem ze zmartwienia, więc już wszystko stracone. Ślepnę. Udamę się do szpitala oftalmicznego, leczyl mnie doktor * * * i po paru dniach poczułem, że lepiej mi jest ze wzrokiem i jest nadzieja, że nie oślepnę, chociaż mam ostre zapalenie tęczówki.

Bez celu wyszedłem na miasto. Nie mogłem wysiedzieć w barakach, bolało mnie oko, czułem się przygnębiony. Napilem się rano ciepłej wody z kawałkiem chleba. Już dawno jestem głodny. No i cóż, gdybym dziś się więcej najadł? ale jutro nie mam co jeść i jak o tem myślę, jeszcze bardziej jestem głodny. Bola mnie nogi, palce mam pokaleczone o dziurawe trzewiki. Spodnie podtrzymuję

rękami, tak schudłem, że spadają ze mnie. Ambulatorjum—bezpłatnych porad udzielamy niezamożnym. — Zwróciłem uwagę na ten napis na jednym z domów na Placu Zbawiciela. Przecież jestem chory! Wchodzę. Dlaczego wchodzę taki oberwus, a tu tak czysto! Jakaś Pani w białym fartuchu zapytuje co mi jest. Jestem chory, piersi mnie bołą, oczy mnie bołą. Jestem bez pracy. Kazała mi pójść za sobą. Zaprowadziła do gabinetu szefa, coś mu mówiła po angielsku. Popatrzyli na mnie, naradzili się i dowiedziałem się, że mogę otrzymać pracę. Teraz otrzymam kartę, za którą dadzą mi w kuchni obiad, a jutro za piętnaście ósma mam być przy pracy, tylko się nie spóźniać, bo na punktualność jest tu kładziony wielki nacisk. Nie przypominam sobie, czy dziękowałem za otrzymaną pracę. To wszystko tak się stało szybko, że nie zdawałem sobie jeszcze dokładnie sprawy, czy to rzeczywistość. Klusem pobiegłem na obiad. Ach, jak dobrze jest zaspokoić głód! Stoję w kolejce z kartką, a inni już jedzą. Dolatują mnie zapachy potraw, nie wiem czy smacznych, ale to wiem, że głód zaspakajają, a to ważna rzecz. Biorą ode mnie kartkę, a może ona niedobra, może zapomnieli na niej postawić jakiejś pieczęci i obiadu mi nie wydadzą. Nareszcie otrzymuję obiad. Prawdziwy obiad! Powracam najedzony do baraków. Więc dziś mogę matce powiedzieć radosną nowinę, że jutro idę do pracy. Po półrocznem poszukiwaniu dziś otrzymałem pracę.

O wpół do siódmej wyszedłem z baraku, żeby zdążyć do pracy. Nieśmiało wchodziłem do domu na Placu Zbawiciela. Skierowali mnie do kuchni. Kilkadziesiąt osób już było na śniadaniu, kiedy się poinformowali, że i ja jestem przyjęty i powinienem otrzymać śniadanie. Śniadanie dobre, talerz kaszy owsianej dobrze okraszonej, kubek kakao i ćwiartkę chleba pszennego. Otrzymałem ubranie robocze z granatowego płótna. Posłali nas sześciu samochodem ciężarowym po produkty żywnościowe. Noszę worki z ryżem, z cukrem, z mąką, po sto kilo. Idę, nogi mi drżą pod ciężarem. Odnoszę jeden worek, dają mi drugi, trzeci, tak do obiadu. Na obiad otrzymaliśmy dobrą zupę, na drugie kawałek duży mięsa z makaronem, szklankę herbaty i ćwiartkę chleba. Nawet po tak ciężkiej pracy najadłem się dobrze. Po obiedzie znów noszę worki i różne ciężary. Nie cięży mi dziś praca, czuję się dobrze, chociaż jestem zmęczony.

Wracam piechotą do baraków na Powązki. Jutro mam też przyjść do pracy. Jestem zadowolony i niegłodny. Tylko, że matka moja i bracia nie mają co jeść. Chodzę do pracy, noszę worki.

W barakach patrzą na mnie z zazdrością, jak paraduję w nowym płóciennym ubraniu. Nie posyłają mnie więcej do noszenia worków.

Pracuję teraz w warsztacie szewskim. Kazali mi ostrzyć noże i krajać obcasy ze skóry. Jestem pojętny, szybko się uczę szyć trzewiki. Wypłatę pierwszą otrzymałem. Już mam teraz na tramwaj, matka ma na życie. Byłem u szefa, prosiłem, żeby przyjął do pracy moich braci. Kazał im przyjść. Zostali przyjęci, starszy będzie pracował u szewców, a młodszy u kamaszników. We trzech będziemy teraz pracować, będzie można kupić sobie trochę ubrania, bielizny, no i matka będzie mieć na życie już dostatecznie, a może będzie można zbierać na zakupienie mieszkania. Tyle to chyba nie.

Dawni pracownicy mieli wspólne mieszkanie w lokalu przedsiębiorstwa. Teraz i ja z bratem będę mógł tam z nimi zamieszkać. Matka z młodszym bratem i siostrą muszą jeszcze pewien czas mieszkać w barakach. Szef jest względem mnie dobrze usposobiony, okazuje duże zainteresowanie moją rodziną, przyjął siostrę do pracowni bieliźniarskiej, będzie wyrabiać guziki niciane, a matkę obiecuje przyjąć do pralni. Matka była u szefa, przyjął ją i dał jej pieniądze na kupno balji, wyżymaczki i wszystkich potrzebnych do urządzenia pralni przedmiotów. Wszyscy już pracujemy. Otrzymujemy mieszkanie w Alejach Ujazdowskich — pokój z przedpokojem. Nie wiem, czy te łachmany z baraków zabierać takie brudne, ale nie mamy na czym spać, więc trzeba zabierać. Przeprowadzamy się do mieszkania w Al. Ujazdowskie. Zachorowałem dość poważnie, kiedy mnie zabrali do szpitala. Leżę w szpitalu ewangelickim, ale się już nie martwię. Cała moja rodzina ma pracę i mają mieszkanie, wyjdę ze szpitala i znów mogę iść do pracy i może po pewnym czasie, kiedy już się dorobimy na tyle, że będę mieć ubranie przyzwoite, trochę bielizny i pościeli to będę mógł zacząć się uczyć. Przecież to był mój najwyższy cel. Orzekli, że mam wodę w prawym boku, będę musiał poleżeć kilka tygodni. Znajomi przychodzą, odwiedzają mnie. Jedzenia mam dosyć, jeszcze mi przynoszą. Pięć tygodni leżę. Doktor mówi, że jeszcze w tym tygodniu mogę opuścić szpital. Czuję się dobrze, tylko brak mi sił i spać nie mogę.

Po wyjściu ze szpitala, firma, w której pracuję, wysłała mnie do Skolimowa na miesięczny wypoczynek. Niezbyt chętnie idę, boję się, by mnie nie wyrzucili z pracy. Tyle tygodni już nie pracuję, mogą kogo innego wziąć na moje miejsce. Jestem w Skolimowie. Dobrze mi tu. Dostaję dużo jeść i stale jestem głodny. Przynoszą mi jeść jeszcze do pokoju pokryjomu, żeby inni pensjonariusze

nie widzieli. Spać nie mogę, do trzeciej — czwartej w nocy, chodzę po pokoju bez przerwy. Gdy usiądę, coś drze we mnie, coś mnie wewnątrz boli i dlatego chodzę. Niedługo już się skończy miesiąc i powrócę do pracy. Chcę już wracać. Wróciłem do pracy. Przyjęli nowych pracowników, 83 teraz pracuje. Przeniesione są warsztaty do nowego lokalu w Al. Ujazdowskich, duża widna sala. Ja zostałem teraz krojczym, kraję skórę i wydaję szewcom do roboty. Zarobek obliczają w dolarach, a płacą w markach wg. kursu dnia wypłaty, t. j. pierwszego i piętnastego. Otrzymuję piętnaście dolarów miesięcznie. Brat mój jeden dwanaście i pół, drugi dziesięć, matka dwanaście i pół, siostra pięć! — to wcale nieźle. Za życie nam potrącają jedną trzecią. Po dawnemu stołujemy się w firmowej jadłodajni. Wszystko idzie dobrze. Przedsiębiorstwo, w którym pracujemy Polsko - Amerykańskie S. A. »Southern - Trade« zmniejszać będzie personel, jak wszyscy mówią. Lokal, w którym się mieściły nasze warsztaty, został sprzedany, a pracowni przenoszą teraz na Poznańską ulicę do fabrycznego lokalu na pierwsze piętro. Warsztatami zarządza kierownik, ja jestem pomocnikiem. Jest jeszcze jeden, który prowadzi listę obecności. Otrzymaliśmy od Zarządu list, żeby przedstawić dziesięciu kandydatów do redukcji. Zwołaliśmy takich, którzy nie mają obowiązków rodzinnych i takich, którzy po opuszczeniu pracy, mogliby sobie znaleźć inną. Zgodzili się chętnie, nawet jeszcze dwóch było za dużo. I ci prosili, żeby przy następnej redukcji ich nie pominać. Redukowani otrzymali gażę za miesiąc naprzód, taki tu był zwyczaj. Przeniesiono warsztaty na Poznańską. Ja ze swoją rodziną muszę się wyprowadzać z Al. Ujazdowskich, ponieważ mieszkanie należy do pracowni i po sprzedaniu lokalu dali mi dwa tygodnie terminu na wyprowadzenie się. Pralnia, którą prowadziła moja matka również należała do całości lokalu, została zlikwidowana.

Siostrę zwolniono również z pracowni bieliźniarskiej. Szukamy mieszkania. Szef firmy obiecał nam dać pożyczkę studolarową na kupno mieszkania. Miesiąc już szukamy u wszystkich pośredników we wszystkich końcach Warszawy. Można znaleźć, ale nie za tak małą sumę. Ja z bratem mieszkam w komórce przy warsztatach na Poznańskiej, latem zupełnie dobrze, matka z siostrą pojechała do znajomych do Miedzeszyna. Dopiero w październiku po półrocznym prawie oczekiwaniu, znaleźliśmy mieszkanie na ul. Przemysłowej. Brzydka ulica ciągnie się od Czerniakowskiej do Rozbrat, po obydwóch stronach stare, odrapane czteropiętrowe kamienice. Ulica

mało ruchliwa, a przed bramami pełno ludzi, całemi godzinami wystają, jedne i te same baby, jedni i ci sami chłopcy się łobuzują. Dzieci zajęły całą ulicę, idąc trzeba uważać, żeby któremu nie nadebrać. Leżą na chodniku, siedzą nad rynsztokami, urządzają wyścigi za przejeżdżającymi dorożkami. Ponura ulica, jedna strona tej ulicy nigdy nie bywa oświetcana słońcem. Trudno, mieszkają tu ludzie, więc i my możemy i musimy mieszkać. Na tej to właśnie ulicy kupiliśmy sobie za 116 dolarów mieszkanie i w połowie października 1920 r. zamieszkaliśmy w jednym z tych domów.

Dom, jakich tysiące w Warszawie. Frontowa kamienica, cztery piętra. Brama stale pełna ludzi, bezrobotni mieszkańcy domu wolą tu wystawać, niż siedzieć w ciasnych izbach. Zawsze to tak gdy zbierze się kilku — jest z kim pomówić i prędzej czas schodzi. Składają się na butelkę i piją. Rzadko kiedy coś jedzą. Od rana do zamknięcia bramy trzeba się przeciskać do wejścia furtki z żelazną sztabą, zamiast progu, o który dzieci zawadzają i padają, z pokrwawionymi nosami. Powietrze w bramie smrodliwe. To zapóźnieni przechodnie brudzą pod bramą, pozostawiając swoje nieczystości. Podwórko brukowane okrągłymi garbatymi kamieniami. Z trzech stron kamienice 5-piętrowe, z jednej strony parkan na sąsiednie podwórko i domek, ustęp ogólny z czterema przedziałami, ciemny, wiecznie zajęty, pode drzwiami kolejka z kilku osób przestępuje z nogi na nogę, czekając kiedy będzie wolny a za chwilę przyjdą inni, będą czekać. Mieszkańcy ze 155 mieszkań, czekają na wolne miejsce w ustępie o czterech przedziałach. Dzieciarni pełne podwórze, maleństwa ledwo pełzają, bawią się w ustępie, pod ustępeni, w rynsztokach, pełno ich na korytarzach, na schodach, jak to wszystko się mieści w 155 izbach o jednym oknie, wychodzącem na ciasne podwórze. Drewniane schody z wytartymi stopniami. Idąc do mieszkania mijam kilkanaście osób schodzących i wchodzących. Mieszkańcy 60 izb pięciu pięter stale utrzymują ruch na schodach. Okna na korytarzach na równi z podłogą. Otwarte, przez środek przybity pręt żelazny dla zabezpieczenia przed wypadnięciem. Dorosły i trzeźwy nie wypadnie. Dzieci we wnękach okiennych urządzają sobie zabawy. Huśtają się na pręcie, wychylają się, lub siedzą z nogami zwieszonymi na podwórze. W krótkich odstępach czasu wypadło dwoje. Zabrało pogotowie, była policja, gospodarzowi kazali wstawić kraty w okna. Mieszkamy na drugim piętrze, okno wychodzi na plac warsztatu kotlarskiego. Cały dzień hałas, łomoty kotlarzy bijących młotami w puste kotły. W otwarte okno sypia

się sadze z kominów fabryki. Teraz fabryka nieczynna. Dla nas lepiej, niema hałasu, a robotnicy są bezrobotnymi. Pokoik niewielki, dziewięć metrów długi, cztery szeroki. W całym domu wszystkie takie są.

Dalsza redukcja w naszych warsztatach. Zredukowali mego brata, powołują go do wojska i takby musiał porzucić pracę. Część długu za mieszkanie mamy już spłaconą. Odtrącają mnie i mojemu bratu połowę zarobku. Młodszego brata dlatego tylko zatrzymali, żebym mógł łatwiej spłacić długi. Pewnie będą zlikwidowane nasze warsztaty. Już ciężko zaczyna mi być, od dziesięciu miesięcy nie pracuje matka, o siostrze nie wspominam, jej pracę i tak traktowałem tylko chwilowo, powinna uczyć się jeszcze. Brat średni poszedł do wojska. Pracuję ja i młodszy brat, za połowę naszych zarobków ciężko żyć czterem osobom. Jadłodajnia, w której za małe pieniądze się stołowaliśmy jeszcze za naszej bytności w Al. Ujazdowskich, została zlikwidowana. W końcu lutego warsztaty nasze zostały zupełnie zamknięte i ja z bratem zostaliśmy bez pracy. Bez pracy i bez pieniędzy. Z ostatniej wypłaty potrącili nam resztę długu. Pracując myślałem, ha nie będę mieć tej pracy, to sobie znajdę inną, przecież ludzie emigrują do innych nieznanych krajów i jakoś tam żyją i pracują, dlaczegożbym ja, który już znam stosunki, nie mógłbym znaleźć pracy. Trzeba tylko dobrze szukać i teraz szukam pracy. Jakiej ja pracy szukam? Znam pracę biurową, angielskiego uczyłem się blisko rok, znam buchalterję, nauczyłem się trochę szyc buty, umiem zelówki przybijać dosyć dobrze, tylko, że mi bardzo dużo czasu na to schodzi i nawet na życie bym nie zarobił. W dobry czas, kiedy wszyscy pracowaliśmy, kupiliśmy trochę rzeczy, trochę ubrania, teraz, kiedy czasy przyszły złe, trzeba to sprzedawać, aż znajdzie się praca i będzie się zarabiać. Brat młodszy przed Wielkanocą poszedł do malarzy pracować, coś dwa czy trzy złote dziennie zarabia. Dostałem pracę z ogłoszenia. Prowadzić będę sklep i pracownię obuwia u pewnego szewca przy ulicy Świętokrzyskiej. Nowy szef mój bardzo dużo mówi o korzyściach, jakie ja mogę osiągnąć pracując u niego. Dorobił się nadzwyczaj dużego majątku, ma w Warszawie dość duży magazyn z obuwem i majątek na Pomorzu, jedenaście włók z nowoczesnymi zabudowaniami i z maszynami rolniczymi. Bardzo się przejął majątkiem, imponuje mu nazwa dziedzic i stale przebywa na Pomorzu, w sklepie prowadzenie interesów powierzając żonie i mnie. Trudno bardzo prowadzić jest interes. Pieniądze z towaru zabiera szef lub szefowa, na kupno to-

waru nic nie zostawiając. Biorę towar na kredyt. Dają kupcy. Nie wiem jak będzie z płacaniem. Czeladziom za robotę też źle się wypłaca, pracują cały tydzień, w sobotę przyjdą po pieniądze, dostaną pięć czy dziesięć zł. i znów tak cały tydzień pracują i upominają się o zapłatę. Szef wszystkie pieniądze zabiera do majątku, co on tam robi, nie wiem, chyba w inwestycje wkłada! Ja otrzymuję trzydzieści trzy złote tygodniowo. Po przeliczeniu marek na złote, wypadało trzydzieści trzy złote i 33 grosze. Grosze mi oberwali. Do pracy przychodzę o godzinie ósmej rano, muszę przypatrzeć, żeby chłopcy posprząтали sklep, następnie szykuję towar dla czeladzi, wymierzam kopyta na zamówienia. W ciągu dnia zajmuję się sprzedażą razem z dwiema sklepowni, przy kasie szefowa siedzi. Przyjmuję zamówienia, kupuję towar i przy tem wszystkim stale trzeba być w pracowni, na miejscu pilnować, żeby zamówienia były wykonane zgodnie z życzeniami klientów. Mamy kilkunastu czeladzi na mieście, którym trzeba przyszykować i wydać robotę. Pracy dużo do godziny ósmej wieczór. Dostawcy stale przychodzą po pieniądze, wówczas szef lub szefowa chowają się, pozostawiając mi pozbycie się intruza. Gorzej jest z czeladzią. Tym ja nie mam sumienia kazać przychodzić codziennie po pieniądze, przecież każdy z nich zarabia mniejwięcej na tydzień tyle, ile szef zarabia na jednej parze lepszego obuwia. Należy im się za pracę po cztery — pięć tygodni. Za obuwie bierzemy bardzo drogo.

Nie umiem tak, jak mój szef przekonywać klientów, że dla tego obuwie jest drogie ponieważ bardzo dużo płaci się za robotę. Przecież to kłamstwo! Czeladzie nasi są bardzo biedni, u wszystkich, którzy biorą robotę byłem w mieszkaniu. Jeden z nich najbiedniejszy mieszka na Krakowskim-Przedmieściu w mieszkanku tak małym, że siedzi ze swym warsztatem przy samem łóżku. Jak wyciąga rękę z dratwą przy szyciu, to jedną ręką uderza o łóżko, a drugą już o przeciwną ścianę. Troje dzieci stale przebywa w łóżku. Na podłodze niema dla nich miejsca. Przy drzwiach, a zarazem na środku mieszkania stoi balja. Duszno tak, że po paru minutach siedzenia, jestem spocony, ciężko mu pracować. Dzieci stale chorują. Teraz jedno mu chore. Był u szefa po pieniądze, nie dostał nic. Sklep i interesy idą źle. Towaru mało, kupcy nie chcą dawać na kredyt. Szef zabiera wszystkie pieniądze do majątku i tem samem dopuszcza interes do upadku. Ten czeladnik — biedak był dziś po pieniądze. Umarło mu dziecko, potrzebował na pogrzeb. Szefowa oburzona nic mu nie dała, mówiąc, że i tak więcej wybrał pieniędzy

jak inni, nic nie pomogły tłumaczenia, że dziecko mu chorowało, potrzebował na lekarstwa, a teraz mu umarło, więc potrzeba mu na pogrzeb. Lzy miał w oczach, lzy doznanej krzywdy... Szefowa moja dziś wyprawiała przyjęcie dla narzeczonego córki. Będzie lepsze przyjęcie, zakupiono już wódek słodkich, gęs pieką, jakieś ciasteczka, ten narzeczony to ulubieniec szefowej.

Zarobek mój z ledwością mi wystarcza na życie, ja jeden teraz tylko pracuję i to musi wystarczyć na cztery osoby, na życie, ubranie i zapłacenie komornego. Koniecznie chcę się uczyć. Zapisalem się do Szkoły Nauk Politycznych, zostałem przyjęty jako student rzeczywisty na wydział finansowo-ekonomiczny. A teraz trzeba płacić wpisowe, trochę już sobie uzbierałem pieniędzy, brak mi jeszcze pięćdziesiąt złotych, a szef w żaden sposób nie chce mi wypłacić należności. Rozumiem go, ma syna dorosłego, który uczyć się nie chce, a tu pracownikowi marzą się wyższe uczelnie. Czego dobrego, jeszcze zostanie człowiekiem. Lecz ja muszę dostać pieniędzy, bo chcę się uczyć. Pieniądzy pożyczyłem i wpisowe zapłaciłem. Po tak długiej przerwie zacznę się uczyć, cieszę się bardzo, że moje marzenia urzeczywistniają się.

Na wykłady chodzę codziennie po wyjściu ze sklepu, chociaż już tracę, ponieważ wykłady zaczynają się o godzinie szóstej, a najwcześniej mogę być o w pół do ósmej. Dobrze i to.

Sklep idzie coraz gorzej. Szef wymówił mi pracę. Bierze sobie wspólnika z gotówką, który będzie wypełniać moją pracę. Pracuję ostatnie dwa tygodnie. Wyплаты nie otrzymałem, szef mi zapłacił tylko za jeden tydzień, mówiąc, że tak źle interes idzie i dlatego nie może więcej zapłacić. Trzeba szukać pracy.

Szukam pracy, pracując nie dojadalem, a teraz nie jadam, tylko taka zmiana nastąpiła. Już drugi miesiąc chodzę na wykłady do szkoły, zapisałem się do pośrednictwa pracy Bratniej Pomocy, może otrzymam jaką pracę.

Na dwa tygodnie przed Bożem Narodzeniem otrzymałem pracę. Pewien rosjanin, który handlował suszonymi grzybami, kupił kilka wagonów choinek, zwiózł je na Plac Napoleona i Plac Trzech Krzyży i zaangażował mnie i jeszcze dwóch moich kolegów do pilnowania i sprzedaży. Nie wiem co nam będzie płacił za tę pracę, ale ktoby się o to pytał? Jest praca, więc i coś zapłacą za nią. Początkowo robiliśmy z desek podstawy do choinek, przebieraliśmy które lepsze. W nocy na zmianę musieliśmy pilnować. Zimno w nocy,

nie mam ani ciepłego ubrania, ani obuwia, jesionka niewiele chroni przed mrozem, a pantofle bez podeszew.

Wychodząc z domu wypilem herbaty z kawałkiem chleba i do późna wieczorem nic nie jem. Kupujących jeszcze niema, możnaby jaką choinkę sprzedać, mieć na życie.

Pada deszcz ze śniegiem. Buty mi się zupełnie rozplywają, zimno i mokro w nogi, żebym się chociaż nie rozchorował. Zaczynają już się interesować choinkami, sprzedaliśmy choinkę i kupiliśmy sobie kiełbasy i chleba, jakie to smaczne i na duszy jakos weselej.

Many wielkie powodzenie, u nas najwięcej kupują choinki i płacą drożej niż innym. Sprzedają choinki na placu Trzech Krzyży jeszcze z jednym kolegą. Handel idzie nam tak dobrze, że zabieramy choinki z Placu Napoleona i sprzedajemy je tu. W wigilję o 6-ej godzinie już nie mieliśmy ani jednej choinki. Zarobiliśmy za dwa tygodnie po 140 zł. Będą święta. Musiałem sobie długo jeszcze wieczorem reperować pantofle, żeby wyglądały jak nowe w święta. Pewien czas będę mógł żyć, a po świętach może znów trafi się jaka praca.

Zdaję egzamina w szkole. Uczę się przed każdym egzaminem, trzy, cztery dni, resztę nasłucham się od kolegów, którzy już zdawali, jakie pytania zadają profesorowie i jakie odpowiedzi należy dawać. Uważam, że to najłatwiejszy sposób uczenia się. Z pięciu przedmiotów zdałem z wynikiem dostatecznym, o celujące wyniki wcale mi nie chodzi. Jedyne z doktryn ekonomicznych otrzymałem czwórkę. Po egzaminie profesor zadał mi dodatkowe pytanie: — Gdyby tak pana mianowali Ministrem Handlu i Przemysłu, to jaką politykę by pan prowadził, czy, co by pan wówczas robił — dokładnie nie pamiętam. — Panie profesorze, nigdy mi taka myśl do głowy nie przyszła, na takie pytanie zupełnie nie jestem przygotowany. Złapałem ze stołu indeks z wystawioną już oceną i schowałem do kieszeni, w każdym razie lepiej się zabezpieczyć, czuję, że na pytanie nie odpowiem. Obracam pytanie profesora w żart i odpowiadam: — Robiłbym to samo co wszyscy Ministrowie dotychczas robili — przyjałbym wszystkich swoich znajomych na dobre posady. — Nie o to mu się rozchodziło, a o cła ochronne. Mętną mu dałem odpowiedź. Ale i sama polityka cel ochronnych jest bardzo zawila. Do żadnej pracy społecznej na terenie uczelni się nie angażuję. Większość studentów ma się nieźle na posadach. Jak mogę pracować społecznie z ciągłą myślą o zarobieniu złotówki, żeby z głodu

nie zdechnąć i do domu dać. Trzeba szukać pracy i zarobku. Czesne za letni semestr trzeba już płacić. A tu ani grosza niema.

Mam przedstawicielstwo fabryki czekolady z ul. Bonifraterskiej. Chodzę z kolegą. Nosimy walizkę z próbkami. Ani on, ani ja nie mieliśmy nigdy żadnej agentury. Wyznaczyli nam dużą dzielnicę od Al. Jerolimskich do Wisły, dalej na południe aż do Czerniakowskiej i Mokotowa, dokąd tylko chcemy. Wchodzimy do każdego sklepu i sklepiku po kolei. Przekonujemy, że powinni bezwzględnie naszą trzymać, ponieważ jest tania i dobra, a że marka nieznana, to właśnie jeszcze lepiej, przecież każda nowa firma stara się i na początek daje dobry towar. Otrzymujemy zamówienia niewielkie, ale jak na początek i to dobre. Umieszczamy naszą czekoladę w piwiarniach, u szewców, w zieleniarniach, a nawet w składzie śledzi, przekonujemy, dlaczego szewc czy zieleniarz nie może mieć czekolady i cukierków, otworzy okno, postawi parę pudełek i powracające ze szkoły dzieci kupią u niego, czy u nich mają być gorsze cukierki. Zamawiają, tylko czy będą płacić? Prowizję mamy otrzymać dopiero po zainkasowaniu przez firmę należności u klientów. Handlujemy czekoladą już cały tydzień. Zarobiliśmy coś przeszło dwadzieścia pięć złotych na dwóch. Postanowiliśmy się rozdzielić. Pracujemy oddzielnie. Dotychczas chodziliśmy po krańcach w Czerniakowie, Sielcach i Mokotowie. Teraz trzeba chodzić bliżej śródmieścia. Nie chcą naszej czekolady, wprost wyrzucają ze sklepów. Fabryka nam nie wypłaca prowizji, dostaliśmy po parę tabliczek czekolady, mówią, że zapłacą jak otrzymają od naszych klientów. Pewnie nie będę chodzić z czekoladą głodny cały dzień, chodzić z walizką i nic z tego nie mieć. Nie sprzedaję czekolady, w domu niema co jeść. Wielkanoc się zbliża, nie można przecież zdechnąć z głodu, trzeba coś nowego szukać.

Zwróciłem uwagę na maleńki przyrząd, którym handlarze za Żelazną Bramą rzną szkło, ostrzą noże, nożyki i to znajduje dość chętnych nabywców.

Znalazłem sobie współnika, z którym będziemy sprzedawać przyrząd do rżnięcia szkła i ostrzenia noży.

Pożyliśmy dziesięć złotych na otwarcie interesu. Trudno było znaleźć źródło, skąd biorą handlarze te aparaciki, ale znalazłem, sprzedają każdą ilość, ale tylko za gotówkę.

Postawiliśmy za Żelazną Bramą skrzynkę, kupiliśmy tuzin aparacików, kawałków szkła, przyniosłem z domu kilka noży i nożyczki. Stoimy i pokazujemy każdemu przechodniowi nasz towar — nikt nie

chce kupować. Aparacikiem nie można szkła rżnąć ani rusz, po nożu ślizga się i nie zdziera takich wiórów, jak u tamtych handlarzy. Zachęcamy do kupna na zmianę, to ja, to on, nic nie pomaga. Dlaczego u nas tak źle idzie, kiedy inni sprzedają i znajdują nabywców? Stracony był ten dzień. Zarobiliśmy tyle tylko, że mieliśmy na zapłacenie placowego.

Drugi dzień był lepszy, dużo lepszy. Nauczyłem się krajać szkło. Trzeba tylko mocno naciskać aparacikiem. Noże rozglijowane w ogniu też bardzo łatwo się ostrzą, aż wióry się z nich sypią. Kupują i wierzą w cudowność tego przyrządu. Handlowaliśmy kilka dni za Żelazną Bramą, a ostatnie dni przed świętami na Placu Kercelego. Zarobiliśmy czterdzieści sześć złotych, lecz takie handle można prowadzić tylko przed wielkimi świętami, kiedy ruch jest większy i wówczas kupujący kupują wszystko, nie zastanawiając się, czy im potrzebna jest dana rzecz, czy nie.

Zupełnie przypadkiem otrzymałem pracę w Magistracie. Roznoszę nakazy płatnicze podatku mieszkaniowego i psiego. Od rana do zmierzchu chodzę od domu do domu, od mieszkania do mieszkania, doręczam każdemu wezwania. Wezwania przyjmują, nie chcą podpisywać pokwitowania w książce. Dzielnicę mam biedną: Pelcowizna i Nowe Bródno, domki w większości drewniane. Im dalej od linii tramwajowej, tem bardziej biedniejsza ludność. Nowe Bródno zamieszkałe przez kolejarzy, Pelcowizna przez robotników fabryki zapalek, kleju, huty szkła. Bieda, okropna bieda. Robotnice w fabrykach zarabiają od 60 gr. do 1.40 zł. dziennie. Z czego one żyją? Podoba mi się moja praca. Zastaję ludzi w różnych sytuacjach, w różnych porach dnia i mogę ich życie obserwować, a to mnie bardzo zaciekawia.

Praca moja jest czasową, rozniosę przypadające na ten kwartał podatki i na tem koniec, dopiero za trzy miesiące nowe potrzeba będzie roznosić.

W trzy dni po skończeniu pracy w Magistracie, zaangażowałem się do pewnej fabryki czekolady na Nowym Świecie w charakterze sprzedawcy.

Właściciel tej fabryki organizował premjową sprzedaż czekolady i pewien zysk ze sprzedaży przeznaczał na cele różnych instytucyj społecznych. Angażując mnie żądał tysiąc złotowej gwarancji, powiedziałem mu, iż tego mu nie dam, ponieważ nie mam takich znajomych, których gwarancja miałaby pewne znaczenie, ale daję słowo honoru, że nawet do dziesięciu tysięcy może być pe-

wien, zbyt mała to suma, dla której człowiek z rozsądkiem chciałby psuć sobie opinię. — A jeżeli tak byłoby sto tysięcy? — powiedział. — Teraz narazie o stu tysiącach nie mówimy, a jeżeli będzie potrzeba, to zawrzemy inną umowę — odpowiedziałem mu. Po tej rozmowie przyjrzał mi się i powiedział, że mogę liczyć na przyjęcie.

W dniu sprzedaży z jednym ze swych kolegów zostałem posłany na punkt sprzedaży, róg Marszałkowskiej i Wspólnej. Otrzymaliśmy wielką skrzynię towaru, w której się mieściło 850 pudełek z cukierkami i z bonami na różne premje.

Stoimy obaj nad tą skrzynią i nie wiemy jak to sprzedawać, jak to zacząć? Zupełnie inaczej ulicę zobaczyłem. To nie ta sama ulica, po której tyle chodziłem, którą tyle razy widziałem. Zwykle przez ulicę szedłem i na innych przechodniów nie zwracałem uwagi i oni na mnie również, byliśmy ludźmi obojętnymi sobie. Teraz ja stoję przed całą ulicą, mam ją spraszać do siebie, zachwalać mój towar i starać się jaknajwięcej sprzedać. Dostaję tremy, chcę się rzec zarobku i uciec, uciec. Przecież tej pracy nie podjąłby się żaden z szanujących się ludzi, uważalby to za upokorzenie, a ja biedą zmuszony robię ze siebie pośmiewisko. Zbieram siłę woli i zaczynam krzyczyć: — Tu, u nas, każdy za dwa złote może wygrać maszynę do szycia, złoty zegarek i wiele innych cennych premji. — Nie słyszę hałasu ulicy, słyszę tylko własny głos, dziwny jakiś. Płaczę się, nie wiem co mówię. Trudno mi, bardzo trudno idzie. Od dziecka jestem nieśmiały, a tu stoję na ulicy, wszyscy na mnie patrzą, a ja drę się jak warjat i sprzedaję pudełka szczęścia. Jestem głodny i dlatego muszę. Krzyczę ile sił w piersiach: — Tu u nas tylko można wygrać. — Obstał nas tłum ludzi. Patrzą, patrzą ponad głowy: stoją dzieci, młodzież, starsi, robotnicy odświętnie ubrani, inteligenci, ludzie poważni i ludzie naiwni. Ja im opowiadam o nadzwyczajnych korzyściach, jakie osiągnąć mogą, kupując moje pudełka szczęścia, a oni zasłuchani w moje słowa wierzą mi. Tak wierzą, to wiem napewno, dlatego, że chętnie kupują mój towar. To mi imponuje, zaczynam coraz silniej i coraz lepiej krzyczyć. Sprzedajemy bardzo dużo. Jeszcze nam dostarczają towaru i to wszystko sprzedajemy. Targowaliśmy wówczas 3600 złotych. Teczkę mamy wypchaną pieniędzmi. Dopiero teraz po skończonym handlu zauważyliśmy jak bardzo byliśmy zmęczeni, bez jedzenia blisko do godziny jedenastej wieczór. Idziemy do domu coś zjeść i obliczyć pieniądze. Drugiego dnia zjawiamy się do fabryki z minami zwycięzców, przecież utargowaliśmy najwięcej ze wszystkich, a takich

punktów sprzedaży było siedemnaście. Robili nam straszne wymówki, dlaczego zaraz po sprzedaży nie przyszedliśmy do fabryki z pieniędzmi. Nic dziwnego, bali się, żeśmy uciekli.

Jeszcze kilka dni sprzedawaliśmy w Warszawie z coraz mniejszym rezultatem.

Zostałem zaangażowany na stałe do sprzedaży.

Od tej pory zaczęła się moja włóczęga po całej Polsce.

Sprzedawałem pudełka szczęścia we wszystkich większych miastach Polski. Zarabiałem tyle tylko, że z ledwością przeżywałem. Jadłem więcej wtedy, kiedy sprzedawałem, a te sprzedaże nie były codzienne, dwa, trzy razy na miesiąc, po trzy-cztery dni, po zapłaceniu hotelu, przejeździe, na życie pozostawało niewiele.

Zdaję egzamina w szkole. Z zarobionych na sprzedaży pieniędzy opłacam czesne za letni semestr.

Naogół egzamina mi idą nieźle za wyjątkiem teorii statystyki za którą dostałem dwóję, ale to dlatego, że na egzaminie byłem tak głodny, że zupełnie nie mogłem myśli zebrać. Jeżdżę i sprzedaję pudełka szczęścia.

Średni brat powrócił z wojska. Teraz muszę dać i jemu jeść, bo jeszcze nie ma pracy. Musiałem mu kupić trzewiki, nie ma w czym chodzić. Zima, sprzedaże nie idą zupełnie, nic nie można zarobić.

Bracia obaj siedzą bez pracy, siostra chodzi do szkoły. Matka choruje i teraz ja nie mogę na niczem zarobić. Od czasu do czasu fabryka organizuje sprzedaże, lecz moje zarobki z ledwością pokrywają wydatki na kolei i życie w drodze. Żywię się cukierkami. Dużo zostało ze sprzedaży, psują się i fabrykant pozwala brać do jedzenia.

Żyjemy na kredyt w sklepikach, ale z czego oddawać, nie wiem, kiedy zacznę zarabiać. Za komorne też już za pięć miesięcy jesteśmy winni.

Na wiosnę otrzymałem pracę jako kontroler na Wystawie w Łobzowiance. Pracowałem miesiąc, z zarobku oddałem za komorne, ponieważ otrzymaliśmy eksmisję i tylko natychmiastowa wpłata zaległego komornego w sądzie zapobiegła wyrzuceniu z mieszkania. Pracowałem jako elektrotechnik przy zakładaniu instalacji elektrycznej, dwa tygodnie tylko. Niewiele zarobiłem.

Żyję nie wiem z czego. Brat średni pracował kilka tygodni na budowie, teraz skończyli budowę, siedzi bez pracy, młodszy nic nie robi. Jestem zarejestrowany w Urzędzie Pośrednictwa Pracy.

Posyłają do pracy. Jest zgłoszenie, że potrzeba inkasentów do instytucji społecznej. Przychodzę, żądają dowodów, dostają puszkę i każą kwestować na ulicy. Wziąłem. Nie, nie mogę zaczepiać przechodniów, nie idzie mi to, nie chcę tej pracy. Bracia młodszy, od czasu do czasu biorą kwestę, ale też na tem niewiele zarabiają, w żadnym razie na życie zarobić nie można.

Otrzymałem posadę. Jeden z moich znajomych, buchalter, wyjeżdża na urlop i pozostawia mnie na zastępstwie. Pracuję jako pomocnik buchaltera w pewnej firmie węglowej. Pracuje nas sześciu urzędników i jeden woźny. Jest dwóch dyrektorów. Otrzymuję 200 zł. miesięcznie. Przy przyjmowaniu mnie na posadę podpisuję umowę, że posada jest tylko czasowa, oraz że firmę obowiązuje dwutygodniowe wypowiedzenie.

Dobrze jest pracować. Spokojnie robisz swoje bez nerwów, byleby tylko zrobić to co do mnie należy, chociaż dużo mam pracy ale po tych pracach, które dotychczas robiłem, zdaje mi się, że jestem na wypoczynku, na jakimś urlopie. To był naprawdę urlop, to był tylko chwilowy odpoczynek w tem kilkoletniem zmaganiu się o zarobienie na życie. Zarobienie na życie, samego życia nie było. Nic ze swej wiedzy nie dałem społeczeństwu, nic sam nie miałem. Walczę tylko o jedzenie na dziś, chcę dożyć jutra, może będzie lepsze.

Po dwóch miesiącach skończyła się moja praca w buchalterji. Odpocząłem pracując, teraz znów muszę zarabiać.

Znów chodzę, szukam pracy, szukam zarobku. Spotkałem kolegę, zbiera ogłoszenia od kilku miesięcy. Radzi mi, żebym za to się wziął, to w każdym razie na życie zarobię. Co mam robić? Co ja tracę? Najwyżej to, że nie zarobię, a i tak nic nie zarabiam.

Zbieram ogłoszenia do jednego z akademickich pism, miesięcznik, organ bardzo poważnej instytucji pomocy akademikom. Dziwnie to tak, ni z tego ni z owego wchodzić do firmy i proponować dane ogłoszenia do pisma niepopularnego nikomu nieznanego. Wyrobiłem w sobie śmiałość przez różne sprzedaże, lecz teraz znów przed każdymi drzwiami dostają tremy, co będę mówił, jak wejść, a może wogóle wyrzucą i nie zechcą ze mną mówić? Lecz muszę. Jestem głodny i muszę wejść i wchodzić i otrzymuję ogłoszenia, chociaż niewiele, ale otrzymuję. Chodzę po całej Warszawie od firmy do firmy. Jedni mnie wyrzucają, jedni mi naprawią masę moralów i impertynencji, a inni dadzą ogłoszenie i tych właśnie ja całemi dniami poszukuję.

Zbieram ogłoszenia od solidnych i bogatych kupców w Poznaniu i Pomorskiem. Dają ogłoszenia i niektóre łódzkie firmy, chociaż stale na biedę i na złe konjunktury narzekają. Śląsk i Zagłębie nigdy nie zawodzi. Wszędzie, gdzie tylko istnieje jakaś gałąź przemysłu — byłem. Zwiedzałem przędzalnie, cukrownie, odlewnie, kopalnie, huty, fabryki jedwabiu sztucznego i wiele, wiele przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych. Siedziałem nieraz godzinami w poczekalniach, żeby dostać się do dyrektora i usłyszeć odpowiedź: — Żałuję bardzo, lecz ogłoszeń nie dajemy. A dostać się do dyrektora trzeba umieć. Zwykle przed pójściem do jakiej firmy dowiaduję się na boku nazwiska dyrektora, jak wygląda i gdzie się mieści jego gabinet? Uzbrojony w te wiadomości wpadam na woźnego i proszę o zameldowanie mnie do dyrektora. Na straży stoi woźny, który ma obowiązek nie dopuszczania akwizytorów ogłoszeniowych do dyrekcji. Woźny, przypuszczając, że jestem już znanym dyrektorowi interesantem w większości wypadków ułatwia mi widzenie się z dyrektorem. Dopiero teraz zaczyna się ciężka praca przekonanie dyrektora o korzyściach, jakie on osiągnąć może przez umieszczenie ogłoszenia swej firmy w naszym piśmie, a czasem mówi mi się: — Panie Dyrektorze, ma Pan w budżecie przewidziane wydatki na ogłoszenia, więc nie w celach reklamowych, lecz jedynie celem poparcia nowego pisma Pan zleci nam ogłoszenie.

Nie lubię pracy akwizytora, pracuję z musu, nerwy moje nie wytrzymują tego ciągłego napięcia, tego ciągłego myślenia, dokąd jutro pójść, jak się zachować, jak mówić. Męczy i upokarza mnie myśl, że jestem niepotrzebnym człowiekiem, to życie po to tylko, żeby nabrać kogoś na zupełnie niepotrzebne ogłoszenia. Ciężkie jest życie po to tylko, żeby zdobyć parę groszy na dzisiejszy obiad.

Choruję na nerwy. Chwilami odejmuje mi władzę w prawej ręce tak, że nic w palcach trzymać nie mogę i w prawej nodze. Często bywa tak, że na środku jezdni chwyta mnie atak i wówczas nie mogę się ruszyć z miejsca. Boję się, żeby mi się coś złego nie przytrafiło. Byłem u lekarza, przepisał mi jakieś mikstury i kazał zachowywać bezwzględny spokój, a jeżeli możliwe to i wyjazd. Wyjeżdżam, tylko, że po ogłoszenia. Chodzę po wiosennych roztopach w Zagłębiu, po kostki w wodzie w dziurawych butach, od zarządu jednej kopalni do drugiej jest po parę kilometrów. Praca ta już mi się przykrzy, a innej lepszej znaleźć nie mogę.

Brat mój średni ożenił się, trochę mi spada kłopotu z głowy i odrazu aż tyle, bo tak, średni brat się ożenił, a młodszego powo-

łują do wojska, obaj byli na mojem utrzymaniu, chociaż od czasu do czasu pracowali dorywczo, ale to im na zapłacenie za ostrzyżenie włosów wystarczało.

Do każdej pracy można się przyzwyczaić i ja muszę się przyzwyczaić choć z trudem, głód mnie do tego zmusza i gdyby mi zaproponowali nawet bardzo nieuczciwą i kompromitującą pracę, nie wiem, co bym wobec widma ciągłego niedojadania — odpowiedział.

W pracy mojej są sezony. Czasem pracuję całymi miesiącami nic prawie nie zarabiając i wtedy zadłużam się za komorne, za życie w sklepiku i u znajomych na różne pożyczki. Oddaję w czasie sezonu i znów jestem bez pieniędzy i znów jestem głodny.

Jestem w Poznaniu na parę miesięcy przed Wystawą Krajową, liczę, że coś zarobię na ogłoszeniach i wogóle może się trafi jakaś praca przy tak wielkiej imprezie jak spodziewana.

Do Poznania przyjechałem jeszcze chory, chorowałem na gripę, bez pieniędzy, w domu również nie zostawiłem matce i siostrze na życie ani grosza, ledwo na drogę mogłem pożyczyć.

Zarobiłem trochę na ogłoszeniach, musiałem posłać do domu. Jestem tak chory, że ledwo chodzę, stale mnie boli głowa.

W Poznaniu mam ograniczoną klientelę, którzy mieli dać mi ogłoszenia już mi dali, a teraz już na zarobek ogłoszeniowy liczyć nie można, muszę szukać coś innego.

W czasie budowy Wystawy poznałem pewnego tapicera, który przyjechał na Wystawę szukać pracy przy dekoracji stoisk i coś mu niezbyt się udaje, więc zaproponowałem mu, że utworzymy spółkę, a mianowicie: on będzie prowadzić roboty tapicerskie, ja będę poszukiwać klientów, a w wolnych chwilach będę mu pomagał, trzeba nam dobrać do spółki tylko jeszcze dwóch stolarzy. I utworzyliśmy tę spółkę. Ja muszę przed klientami udawać inżyniera, tak postanowili moi wspólnicy. Nic się nie znam na budowie stoisk, ale to się jakoś tuszuje, w rozmowach z klientami udaję wielkiego znawcę, lub pozornie zainysłonego, jeżeli czegoś nie rozumiem i nie chcę im tego tłumaczyć. Znaleźliśmy trochę roboty, ale przed samem otwarciem wystawy zdegradowałem się z inżyniera na zwyyczajnego pomocnika, to u tapicera, to u stolarza, zależnie od potrzeby.

Trzy tygodnie trwały prace — rozstaliśmy się z życzeniami, żeby przy następnej wystawie znów się spotkać i lepiej zarobić.

Teraz mogłem posłać do domu trochę pieniędzy, zapłacić za życie i mieszkanie bardzo drogie w Poznaniu podczas wystawy i znów pozostaję z kilkoma złotymi.

Dwa miesiące już chodzę bez grosza zarobku. Miałem kilka dni pracy w pewnym stoisku na wystawie, ale to czasowo. Więc to co zarobiłem, wydałem na życie, niedojadam, dobrze, że mam już tu znajomości, więc u znajomych się trochę dożywiam. Prawie boso chodzę, pantofle białe płócienne na gumowych podszewkach rozlazły się, pozwiązywałem sznurkami. W domu nie mają z czego żyć, matka chora, za komorne się zadłużyła, ja też jestem winien za mieszkanie.

Myślę o stworzeniu dobrego interesu, chcę otworzyć kiosk z nowościami, nie mogę otrzymać miejsca od dyrekcji Wystawy. Termin zgłaszania o przydział miejsc dawno upłynął i współnika nie mogę znaleźć, a sam nie mam pieniędzy. Przy moich zdolnościach sprzedawcy można byłoby nieźle zarobić.

Przyjechał do mnie kolega, z którym kiedyś wspólnie sprzedawaliśmy pudełka szczęścia. Teraz on powrócił z wojska, nie ma co robić i przyjechał do Poznania szukać pracy na Powszechnej Wystawie Krajowej, dowiedział się, że ja tu jestem, więc wspólnie byśmy mogli wynaleźć jaką pracę. Mówię wynaleźć, bo o znalezieniu pracy przestałem myśleć, to jest niemożliwe. Jak jest pracy na jednego, to stu kandydatów w kolejce na przyjęcie czeka.

I z tym kolegą wspólnie zaczęliśmy tworzyć. Dwa tygodnie chodziliśmy do Dyrekcji Wystawy od wydziału do wydziału, aż zapewne z litości, a może dlatego, żeśmy się tak naprzykrzali ciągłym skamłaniem o kawałek miejsca, zdecydowali się na pozwolenie ustawienia stoiska, za miejsce możemy zapłacić w ciągu dwóch tygodni.

Postaraliśmy się o pożyczkę od pewnego rzykanta, na ciężkich co prawda warunkach, ale nie mogliśmy grymasić. Sami zrobiliśmy projekt stoiska, sami go wybudowaliśmy i zaczynamy handlować.

Sprzedajemy aparaty do cerowania pończoch i skarpetek. Mamy w stoisku wypożyczoną maszynę do szycia i przez cały dzień na zmianę dziurawimy nożyczkami skarpetki i cerujemy je odpowiednio zachwalając i proponując każdemu nabycie tego aparatu, ponieważ w każdym gospodarstwie każda oszczędna gospodyni powinna go mieć. Pracujemy bardzo przez cały dzień na wystawie, trzeba gadać jak maszyna i szyć, co dwie godziny zmieniać się, a w czasie upałów częściej, stoisko nasze stoi na słońcu. Rezultaty zupełnie zadawalające, spłacamy zaciągnięty dług, płacimy za miejsce, płacimy podatek, wykupujemy świadectwo handlowe. Dostałem jakiejś gorączki pracy, pracuję na wystawie do dziesiątej wieczór, po przyjęściu do domu szykuję towar na jutro. Sami wyrabiamy z drutu

sprężynki, potrzebne do naszego aparatu, większe części wyrabia nam fabryka w Warszawie. Rano od 5-ej godziny już nie śpię, kończymy przygotowanie towaru na wystawę.

Zaczeliśmy pracować już w połowie trwania Wystawy i teraz już nadszedł koniec naszej pracy. Wystawa się zamyka. Ostatni dzień.

Mogę pooddawać wszystkie długi, mogę sobie nawet kupić jesionkę i nowe buty. Nadchodzi zima, pracy znaleźć trudno, młodszy brat powrócił z wojska, teraz napewno nic nie będzie robił, trzeba mu dać jeść, ale mam trochę zarobionych pieniędzy na Wystawie, więc głodu nie będzie, a może się jaka praca znajdzie. Każda praca byleby nie zbieranie ogłoszeń.

Pracy żadnej nie znajduję, żyć zaraz nie będzie z czego i muszę zbierać ogłoszenia. Codziennie z teczką w rękę łażę po mieście, chodzę od firmy do firmy, tu mnie się pozbęda w grzeczny sposób, ówdzie nawymyślają, a ja muszę to wszystko z uśmiechem na ustach znieść. Uśmiech taki akwizytorski, to ciągle udawanie zadowolonego z życia, a po ogłoszenie to tak się tylko chodzi z przyjemności. — Dobra przyjemność! Ale przecież nie mogę powiedzieć: — dajcie mi ogłoszenie, bo prowizja od niego ratuje mnie i moją rodzinę od głodu, muszę zawsze tak sprawę stawiać, że jednak ja mu robię pewną grzeczność, że chcę się fatygować po ogłoszenie.

Mieszkam w tym samym brudnym, odrapanym domu na ulicy Przemysłowej. Na ulicy stale pełno dzieci, leżą, pełzają, grają w klasy lub ganiają się, wpadając mi pod nogi, kiedy najbardziej się śpieszę. Przed bramą pełno młodych ludzi, którzy napewno by pracowali, gdyby praca była, a tak stoją tu całymi dniami. Wracam późno wieczorem do domu, bo chociaż pracuję, na życie zarobić nie mogę, a siedzieć i patrzeć na tę nędzę nie usposabia to dobrze. Wracając, na schodach, półpiętrze, we wnęce okna zastaję dziewczynę, sąsiada córkę, z chłopcem bezrobotnym. Chcą się pobrać, rodzice dziewczyny nie pozwalają. Chcą być ze sobą jaknajdłużej, więc kiedy w domu wszyscy śpią, oni tu na korytarzu wysiadują. Codziennie ich tu spotykam, stale siedzą, czule się tuląc do siebie.

Brat pracuje u malarza, kilka złotych zarabia, zawsze jest mi trochę lżej, tylko jak to długo tej pracy?

Z ogłoszeniami idzie mi źle. Wydawnictwo przynosi straty i jeżeli tak dalej pójdzie, to niewiadomo czy będzie istnieć.

Ciężka była dla mnie zima, zarabiałem bardzo mało, brat nic nie robił, matka chora na newralgię z trudem chodzi, bywają dni,

że zupełnie wychodzić nie może, siostra skończyła szkołę, ale pracy nie ma.

Dziewczyna, którą stale spotykałem na schodach z chłopakiem, poroniła w wychodku, dozorca nie mógł przeczyścić kanału, wyostał, była policja, badali, cóż można wybadać?

W lutym 1930 r. przestało wychodzić pismo, do którego zbierałem ogłoszenia. Nic ostatnio nie mogłem zebrać ogłoszeń więc nie wielka szkoda, że go zwinęli. Tylko, że dotychczas miałem chociaż pozory pracy, teraz i tego nie mam. Sprzedaję, co jest do sprzedania. Nie dojadamy i żyjemy. Jak żyjemy, dość, że żyjemy! Z wiosną sprzedawałem worki do chronienia odzieży przed kurzem i molami. Przez sześć tygodni zarabiałem po 5 — 6 zł. dziennie. Brat dostał pracę w hotelu za numerowego, zarabia 100 zł. miesięcznie. Matka moja jest akuszerką. Trafiają jej się do przyjęcia 2 — 3 porody rocznie. Czasem się trafi postawienie baniek lub robienie zastrzyku, lecz to tak rzadko, że nie można tego brać w rachubę, bo i tak to po większej części musi zrobić bezinteresownie u jakichś biedaków. Pracy niema i z tego jeszcze powodu, że mieszkańcy naszej dzielnicy jeżeli pracują, to należą do Kasy Chorych i korzystają z akuszerki kasowych, a jeżeli nie mają Kasy Chorych, to znaczy, że są bezrobotni i wtedy kobiety rodzą w klinikach. Tak, że wolno-praktykująca akuszerka niema absolutnie żadnej praktyki. W naszym domu są dwie akuszerki, tak samo przedstawia się sprawa i w sąsiednich domach. A do Kasy Chorych matka, pomimo bardzo dużych starań dostać się nie mogła. Przychodzą do matki koleżanki po fachu, skarżą się na biedę. Zresztą widać to po nich. Same za siebie mówią ich wynędzniałe twarze i zniszczone do niemożliwości odzienie. Przychodzą klientki z propozycją zrobienia im różnych zakazanych zabiegów. Nie podejmuje się matka, chociaż bieda wielka i każdy grosz by się przydał. Lecz i takie klientki zwracają się rzadko, są takie baby, które chodzą same do mieszkań i za 5 zł. psują każdą potrzebującą. Ale jak słyszę z rozmów, to w naszej dzielnicy są już tak mądre kobiety, że tylko w rzadkich wypadkach potrzebna jest im obca pomoc. Ale pomimo to jest tu bardzo dużo dzieci.

Wyjechały matka z siostrą na wieś w okolice Mińska Mazowieckiego. Brat z zarobionych pieniędzy dał im na drogę i na zapłacenie mieszkania 20 zł. Mieszkają na wsi, szyją, robią różne roboty ręczne i jakoś zarabiają na skąpe życie dla chorej matki. Choruje na newralgię, a samo przebywanie na wsi dużo może pomóc. Ja chodzę, poszukuję pracy i głoduję. Żyję jak żebrak, u jed-

nych znajomych jednego dnia coś zjem, innego dnia szukam innej gospody, gdzieby mi dali obiad. Ze śniadaniami jest gorzej. Na śniadanie nigdzie pójść nie mogę, ale jest lato, ciepło, więc można nie jeść śniadania.

Pięć miesięcy pracował brat, a teraz go zredukowali. Z zarabianych 120 zł. miesięcznie żył sam, posyłał matce i przez ten czas zdążył sobie kupić jedną koszulę, trzy kołnierzyki, parę pantofli za 18 zł. i dwie pary skarpetek. Wiem to z zupełną dokładnością.

Powróciła matka ze wsi, nie mogła tam zarobić na utrzymanie, zadłużyła się w sklepiku i za mieszkanie. Pozostała siostra, nie mogła przyjechać razem z matką, ponieważ mają jedną parę pantofli na dwie. Teraz brat musi jej zawieźć matki pantofle i jakimś sposobem stamtąd wywieźć i tych wierzycieli jakoś uspokoić i przekonać, że jednak muszą trochę poczekać na odebranie należności. Lato się kończy. My jesteśmy bez grosza. Matka i siostra mają jedną parę pantofli i jedną parę pończoch, jak jedna wyjdzie na miasto, druga musi zostawać w domu. Ja chodzę na własnych podszwach. Za komorne jesteśmy winni za 5 miesięcy i gospodarz zaskarżył do sądu o eksmisję.

Udało mi się pożyczyć u jednego znajomego dwieście złotych. Zapłaciłem komorne i sprawa została umorzona. Już drugą sprawę o eksmisję mamy w tym domu. Kupiłem siostrze pantofle i pończochy i sobie pantofle, jeszcze pozostało kilka złotych na życie. Siostra otrzymała zastępczą pracę w bufecie kinowym, zarabia 50 zł. miesięcznie; po zapłaceniu tramwajów (bardzo daleko znajduje się od naszego domu i trzeba jeździć dwoma tramwajami), zostaje czystego zarobku 26 zł. miesięcznie. Z tych pieniędzy żyje razem z matką. Brat otrzymuje obiad od komitetu społecznego, chodzi do jadłodajni na Śliską pod 9-ty.

Ja żyje na obiadach proszonych, stale poszukuję znajomych i przyjaciół, do których mógłbym się wprosić na obiad. Ciężkie życie bez żadnej nadziei na jutro.

Od czasu do czasu zdarza mi się zarobić u pewnego fotografa, wyszukuję mu klientów i mam od tego pewien procent. Jak tylko mamy trochę pieniędzy, znajduje się tyle dziur do łatania, że nawet na ugotowanie lepszego obiadu nie można sobie pozwolić.

Zrana bierzemy litr mleka na kredyt, gotujemy kawę i to jest jedyne pożywne jedzenie, na które sobie pozwalamy, Obiad, jeżeli jest, to po większej części kartoflanka, lub jakiś żur, mięso bardzo rzadko mamy. Tanie jest, a jednak nie można sobie pozwolić na-

wet na kupno ćwierci kila. Na kolację od wielu, wielu miesięcy nic lepszego prócz herbaty z chlebem, a ile razy tego nawet nie było i nie było węgla aby ugotować herbatę, nie mówiąc o tem, że cukier jest dość rzadko w domu.

Ach, jak bardzo cierpię, czując swoją bezradność, że nie mogę znaleźć pracy i żadnego zarobku, żeby chociaż móc jeść coś, żeby matka nie gryzła się, czem jutro napali pod kuchnią i za co kupi chleba.

Rano wypilem szklanke kawy z kawalkiem chleba. Wyszedłem na miasto, chociaż niedziela, chodzę, szukam, czego? Czy ja wiem? Jeść. Tak, jeść mi się chce, Ulice pełne ludzi, czysto ubrani, kobiety w pięknych futrach, dzień świąteczny, przed kościołami tłumy. Dziwnie mi ręce obwisły. Cięża mi. Bezwiednie i bezsilnie stawiam nogi. Idę popychany przez przechodniów, nie mam siły iść lepiej. Nie mam siły się bronić. Do baru wchodzi ludzie. W oknach wystawiane menu obiadowe. Zakąski. Zapach jedzenia. Wlokę się do domu. Matka na obiad ma jeszcze kilka kartofli, pewnie ugotuje. Tylko nie wiem, czy jest węgiel, a może jeszcze trochę jest, może na dziś wystarczy? Na obiad były kartofle i na kolację też. Długo usnąć nie mogłem, w żołądku mnie paliło po suchych kartoflach. Do głowy napłynęły myśli. Myśli najprzeróżniejsze. Jedne bardziej dziwaczne od drugich i straszniejsze. Jak dobrze byłoby umrzeć i spać! Sny! Mam pieniądze. Będę mógł się najeść. Zapłacę komorne. Dom się wali, przydusza mnie. Pali mnie w żołądku. W ustach ogień. Nie śpię. Matka też nie śpi, głodna, ona jeszcze mniej jada ode mnie. Udaje, że śpi i ja też udaje. Chciałbym usnąć i spać, spać! Przebudzam się. Dzień. Głowa mi zmarzła, chowam się bardziej pod kołdrę, żeby się zagrzać, kiszki mi się skręcają od głodu, boli żołądek. Co jest? Co dziś będzie? Wychodzę na miasto. W mieszkaniu zimno, ponuro. Ani grosza, ani kawalka chleba, ani czem napalić w piecu. Czy mogę siedzieć w domu? Nic mnie nie ciągnie do siedzenia w tej nędzy. Na ulicy weselej, gdy się patrzę na tych, co mają, sam nie jestem tak biedny. Byłem u znajomych. Człowiek bez skrupułów. Zarabia. Jeżeli zarabianiem nazywa się oszukiwanie bliźnich w bezczelny sposób. Wyśmiewa się ze wszystkich, którzy mają mu to za złe. Trafiłem w czasie obiadu. Zapraszają mnie do stołu. Robią to w ten sposób, jakby mi wyrządzali nadzwyczajną łaskę. Dziękuję, właśnie za pół godziny muszę być w domu na obiedzie. Skłamałem. Siedzę i przeglądam gazetę. Nic nie widzę. Czuję zapach zupy, cielęciny smażonej,

kompotu z jabłek. Udaję zaczytanego. Nieznacznie łykam ślinę. Jeszcze nie wyjdę. Właśnie posiedzę, niech nie pomyślą, że jestem głodny. Oczy mi mgła zasłania. Wstanę. Jest mi źle.

Wieczorem byłem u jednego z dobrych przyjaciół, w czasach głodnych często bywałem u niego na kolacji. On i jego żona bardzo gościnni i serdeczni dla mnie. Zostałem jego samego w domu, żona wyszła, ma wkrótce powrócić. Rozmawiamy. Z całych sił ścisnę bruch, od głodu mnie boli. Siłę się na dowcipy, na uśmiech, oglądam hafty, wykonane przez panią domu. Na stole stoi patera z ciastkami. Podchodzi do stołu córeczka przyjaciela, bierze ciastko, je. Odwracam się od tego widoku. Dlaczego żona nie przychodzi — niecierpliwi się mój przyjaciel. Dałaby nam kolację. Blisko dziesiąta, muszę iść do domu. Dozorca bramę zamknie, już mi nieprzyjemnie wracać po zamknięciu i nic za otwarcie nie dawać. Przyjaciel zatrzymuje mnie, widzę, że szczerze to robi. Idę do domu. Nogi uginają się pod mną, w karku się zgiąłem. Mróz przenikł mnie na skroś. Zaciskam zęby. Jeść! Omal nie krzyczę. Przypominam sobie, że byłem proszony dziś na kolację, specjalnie na godzinę 8-mą i to było tak blisko mego domu. Trzeba tam wejść. Przyspieszam kroku, wpadam na IV piętro. Zabierają się spać. Wymówki mi robią, że nie przyszedłem. Tłumaczę się, że interesy mi nie pozwalały, ale chcę być słowny i chociaż późno, ale na chwilę wpadłem. Wychodząc od nich wstąpiłem do sklepiku od podwórza i wziąłem na kredyt pół chleba. W domu wszyscy byli głodni, pożyczylimy trochę cukru i mieliśmy słodką wodę na kolację.

Codziennie wychodzę na poszukiwanie pracy, codziennie odwiedzam swoich znajomych i dowiaduję się czy niema jakiej pracy dla mnie. Udzielają mi bardzo wiele porad. Tylko jednej nikt mi udzielić nie może, gdzie i w jaki sposób, mógłbym znaleźć pracę. Rozumiem swoją nicość, cóż mi z tego, że otrzymałem pewne wykształcenie, wypróbowałem różnych prac, że nawet za najgorszą pracę się brałem. Jestem zdany na swoje własne siły, tak już osłabiony. Słabnę, coraz bardziej słabnę. Może to też nieszczęście przejściowe, jak i wszystkie, które już przeżyłem. Jestem słabym człowiekiem, nie wiem co mam robić ze sobą, czuję się okropnie niepotrzebnym.

Była wojna, były nieszczęścia powojenne, lecz wtedy była nadzieja, że to się skończy, że to tylko czasowe, była wtedy wiara w zwycięstwo, były wtedy rzucane wielkie hasła, wielkie idee. A teraz, poszukuję pracy, bo jestem głodny i nie mam nadziei,

i nikt mi nie mówi, że kiedyś będzie lepiej, że kiedyś zło przemienie. Sam staram się, sam chcę w siebie wmówić to, że będzie lepiej, ale przecież chce mi się jeść! Ta jedna myśl o napełnieniu żołądka zabija we mnie wszystkie inne i to mi też sprawia cierpienie. Cierpię dlatego, że oprócz jedzenia, o niczym innym myśleć nie mogę.

Szukam pracy. Gdzie mam jej szukać? Kto mi ją da? Ktoś mi ją musi dać? I dlaczego właśnie ja mam otrzymać pracę, a nie ten który był przedemną, albo nie ten, który przyjdzie po mnie. Może właśnie ten późniejszy trafi na szczęśliwszy moment, że będą poszukiwali pracownika w tej chwili, kiedy on się zjawił. Liczę na szczęśliwy zbieg okoliczności, oczekuję tego szczęśliwego zbiegu i chodzę. Chodzę i chodzi jeszcze wielu takich jak ja, mniej lub więcej głodnych, mniej lub więcej zmęczonych i tak beznadziejnie poszukujących pracy.

Kiedy ja znajdę pracę, kiedy mi głód przestanie dokuczać, kiedy ja będę mógł żyć?

Wyłącznie na własne siły muszę liczyć. Znikąd żadnej pomocy nie otrzymywałem, nie otrzymuję i nie chciałbym otrzymywać. Nie otrzymywałem zasiłków żadnych, bo pracując ostatnio jako akwizytor ogłoszeniowy nigdzie nie byłem ubezpieczony. W większości wypadków, akwizytora traktują jako człowieka, który dziś pracuje, a jutro, jeżeli znajdzie lepszą, to akwizycję rzuci, więc pocóż go na dziś ubezpieczać. I tak dzień po dniu pracowałem i nietylko, że innej pracy nie znalazłem, lecz i tej jestem pozbawiony. Im się nie opłacało mnie zatrudniać, a mnie się nie opłacało pracować, ponieważ nic nie zarabiałem. Pożyczałem od swoich znajomych na życie, winien im jestem już bardzo dużo, chyba około 500 zł. tego będzie. Za siostry palto i za materiał na sukienkę też ze 150 zł., a wiele innych drobnych, w sklepikach nie wiele jestem winien, lecz w kilku po parę złotych, a nie oddają tego, to mi więcej nie chcą kredytować. I jak ja mogę brać na kredyt, kiedy nie mam z czego oddawać! Za komorne jestem winien za cztery miesiące po 22 zł., z czego ja to wszystko oddam, jak będzie i co będzie?

Cały dzień chodzę po mieście, nie mogę siedzieć w domu. Smutno jest w domu. Ciągły brak czegoś, ciągle zmartwienie, co robić, żeby jeszcze trochę przetrzymać ciężkie czasy? Brudno, chociaż matka jak może tak się stara, żeby czystość utrzymać, ale jak zrobić pranie, kiedy grosza niema na kupno mydła? Pościeli prawie nie mamy, to co było kupione za lepszych czasów, stałe użycie

zniszczyło. Bielizna w strzępach, tylko na zewnątrz matka się stara, żeby wszystko jako tako wyglądało. W domu stale przebywa tylko matka, bo niema w czym wyjść na miasto, a ja, brat młodszy i siostra stale gdzieś poza domem przebywamy. Pomimo biedy nie kłócimy się nigdy.

Przychodzi do mnie brat średni. Mieszka poza Warszawą. Nie ma pracy. Żonaty, ma żonę i dziecko. Głodny, często dzielimy się z nim ostatkiem. Przed świętami sprzedawał na ulicy wieczne pióra, to trochę zarobił.

Jestem zarejestrowany w Pośrednictwie Pracy. Otrzymałem książeczkę świadczeń z Komitetu Pomocy Bezrobotnym, mógłbym otrzymywać obiady bezpłatnie. Nie zwracałem się po obiady i nie chcę się zwracać, wolę żyć z tego co Bóg ześle. Może mi się uda zarobić kilka złotych, a może gdzie u znajomych zjem obiad, a z pomocy społeczeństwa nie chcę korzystać. Otrzymałem pewne wykształcenie, jestem chętny i zdolny do każdej pracy i żadną nie gardzę i nie powinienem korzystać z żadnej pomocy społecznej, a naodwrot, powinienem coś ze siebie dać społeczeństwu. Jeżeli otrzymałem naukę, to z dorobku wielu społeczeństw i muszę swój obowiązek spełnić i powinienem dać zatrudnienie i możliwość egzystencji bardziej odemnie nieszczęśliwym, a nie korzystać z łaski społecznej. A jednak, gdy usłyszę, że którego z moich znajomych zredukowali, nie smucę się tem, cierpię ja głód i nędzę, niech i on cierpi, niech wszyscy to co i ja cierpią, może wtedy dopiero zrozumieją co to jest prawdziwy głód. To nie głód, kiedy po przepracowanym dniu śpieszy się głodnym do domu na obiad. To głód, kiedy się wlecze ostatkiem sił do domu i w domu obiadu niema i jutro go nie będzie i niewiadomo, czy kiedy będzie. A przyznać się do tego głodu nie można, kiedy mi mówią, że coś ostatnio źle wyglądam, odpowiadam, że to pewnie dlatego, że byłem trochę chory, ale czuję się dobrze i mam dobry apetyt.

Przed świętami, znajomy, któremu w dobrych czasach pożyczylem 50 zł., zwrócił mi je. Oddałem trochę długów i matka z siostrą będą miały święta. Ja zostałem zaproszony do znajomych, więc w domu jeść nie będę. Nieźle przeszły święta, przez całe trzy dni chodziłem w goście, a po świętach znów niema co jeść. Wstaję zrana i znów idę na miasto na cały dzień łaźń, szukać jakiegoś zarobku. Trudno przymusić się do siedzenia w takiej biedzie w domu. Na ulicy, zdaje mi się, że jestem mniej biedny. Ubrany jestem tak jak i inni, chociaż stare i zniszczone jest moje ubranie, chociaż po-

przecierane mankiety i kołnierz, ale całość na pierwszy rzut oka nie czyni odrażającego wrażenia. Kołnierz włożony na lewą stronę, bo prawa brudna, lecz to dopiero trzeba się przyjrzeć, żeby zobaczyć. A koszul przecież mam jeszcze dwie, więc tylko wtedy, jak niema pieniędzy na kupienie mydła, chodzę w brudnej. Skarpetek zupełnie nie widać, pięty i palce się drą i ostatecznie zawsze tak można włożyć najbardziej podartą skarpetkę, że nie będzie widoczna dziura. Jest koniec roku. Dziwnie wszyscy zachowują się w tym czasie.

Oczekuję przyjścia Nowego Roku, może ten przyszedł będzie lepszy, bardziej pomyślny. Może i dla mnie będzie lepszy, mam 32 lata i w tych latach muszę się skarżyć na brak pracy, na głód, a co będzie dalej?

Wyszedłem wieczorem na miasto. Ruch niebywały, tramwaje przepełnione, taksówek moc. Na chodnikach tłok. Jedni drugich potrącają, popychają, wszyscy się śpieszą, bo to dziś Sylwester. Do teatrów tłoczą się tłumy, przed Wielkim Teatrem zator nadjeżdżających taksówek, tak tłumnie podąża publiczność na redutę. Pod wejścia restauracji podjeżdżają jedna za drugą taksówki, wysiadają ludzie odświętnie, czysto, elegancko ubrani, panie ubrane z przepychem. Wszyscy się śpieszą, żeby zdążyć, żeby tylko zdążyć, tak, jakgdyby jutro świat miał się skończyć. Pełno przechodniów na ulicach, wszyscy weseli, roześmiani, dużo pijanych. Widzę we wnęce muru, na Nowym Świecie stoi żebrak w łachmanach, boso, trzyma czapkę w wyciągniętej ręce — prosi. Pomóżcie Państwo głodnemu, nie odmawiajcie swej pomocy, jestem głodny. Jakaś litościwa ręka rzuca mu monetę do czapki. Tak. Głodny jest, prosi i coś otrzymuje. Dają mu miedziaki, od czasu do czasu błysnie i nikłowa moneta. Staję chwilę, obserwuję żebraka. Ach, jaki ja jestem głodny! Na obiad jadłem kartoflanke, teraz już daleko za północ, a ja jeszcze nic w ustach nie miałem. Dziwnie się zgarbiłem, to głód tak garbi, upokarza człowieka, głód go zmusza do wszystkiego, do bohaterstwa i do przestępstwa. Prostuję się, piersi naprzód, głowę do góry. Niech nikt nie wie, że jestem głodny, niech chociaż pozory będą zachowane, boć przecież nie mogę zginąć! Gdy żołnierz poległ na wojnie, gdzieby nie leżał: w ataku, czy w ucieczce, zawsze będzie uznany za bohatera! A człowiek walczący z życiem, gdy ulegnie głodowi i skona, wówczas powiedzą: źle pokierował swoim życiem i marnie skończył.

Głód zmusza do myślenia, głód odbiera siły, lecz głód również zmusza do walki z życiem. Idę do domu ulicami pełnymi ro-

ześmianych ludzi, radują się, cieszą się, może im jest dobrze, a może im tak samo jak i mnie — źle! Tak się zaczął rok 1932-gi, może ten rok będzie dla mnie lepszy, szczęśliwszy. Muszę wierzyć, że będzie lepiej, chociaż nikt o tem nie mówi, chociaż i warunki nie wskazują na polepszenie.

Warszawa, dn. 15 stycznia 1932 r.

Pamiętnik Nr. 4.

Pracownica, mająca się wszelkich robót,
ostatnio jako krawcowa
zamieszkała w Warszawie

Oto opis mojego życia szczerzy i prawdziwy. Jest to spowiedź matki, która walczyła i borykała się z losem i boryka od lat osiemnastu t. j. kiedy w tym wieku wyszłam za mąż.

Wyszłam za człowieka, którego znałam zaledwie parę tygodni starszego od siebie o dwadzieścia lat i do tego wdowca. Wychowana byłam w domu moralnie. Matkę straciłam w czternastym roku życia mojego. Mając macochę i ojca, który był dobry, lecz zimny i mało miał serca, to też wyszłam za mąż bez zawiadomienia ojca i macochy, bo ona chciała, ażebym wyszła za jej syna, którego ja nie lubiłam, tak samo jak i macochy. Macocha mnie też nie lubiła za to i powiedziała: dałabym ci wszystko cobyś zechciała, ażebyś kochała mojego syna, inaczej nic nie dostaniesz. I tak się stało. Kupiłam sobie używaną suknię i za indultem wzięłam ślub ze swoim mężem, który mnie kochał jak to było w jego pojęciu. Bo ja poznałam, że swojego męża nie kocham zaraz po ślubie, ale wiedząc, że on mnie kocha, byłam uległą i cichą i nie dałam jemu poznać, że cierpiałam bardzo. Byłam przekonana, że tak być musi, bo ja mu przysięgałam posłuszeństwo. Otóż wyniki były takie, że miałam dzieci ośmioro. Pierwszy chłopczyk żył sześć tygodni. Jak umarł na zapalenie płuc strasznie rozpaczałam, bo straciłam istotkę, którą strasznie pokochałam. Mój mąż też rozpaczał, bo też kochał, bo to był syn i ochrzczony był jego imieniem. Mąż jako technik budowlany zarabiał dobrze, lecz trwało to bardzo krótko, bo chciał w życiu coś zrobić, więc rzucał się na wszelkie wynalazki, był bardzo wierzący w ludzi, to też kilka wynalazków się nie udało. Były takie, które były dobre, to i inni wykorzystali go i nic z tego nie miał,

tak że moje życie było różne. Przenosiłam już dużo złego, w 1905 roku, kiedy były rozruchy, mąż mój przechodząc ul. Elektoralną zauważył, że gonia kogoś i strzelają. Cofnął się i skrył do bramy i nie zamknął jej, to też ten, którego gonili wpadł do tej bramy, w której się skrył mój mąż, za nim wpadła policja i zaraz męża mojego zatrzymali. Jeden z agentów mówił, że to nie ten, ale nic nie pomogło, zaaresztowali go, przyszła rewizja, cały dom przewrócili, nic nie znaleźli, ale męża nie wypuścili. Ja byłam w odmiennym stanie i czworo dzieci drobnych. Byłam bez jednego grosza, bo mąż pracował i wydawał na wynalazek, zwany »perpetum mobile«, w której całe swoje życie wkładał i zarobione pieniądze, tak że nigdy nic odłożyć nie mogłam, to też kiedy się dowiedziałam, że mąż znajduje się w Mokotowie, w więzieniu niewinnie, poszłam prosić naczelnika żandarmerji o zwolnienie. Opowiedziałam mu wszystko, lecz on odpowiedział, że możeby się co dało zrobić, lecz ja muszę z nim wypić herbatę i pójść na kolację. Ja na to odpowiedziałam, że mam dzieci, które kocham, że woła Boże, co będzie z moim mężem, lecz na kolację z nim nie pójdę. Na co on odpowiedział żebym się namyśliła i przysłała mu odpowiedź, której mu nie dałam, tylko poszłam na komorne pracować. Mróz był duży. Ja codzień wstawałam rano o czwartej, dzieci śpiące ubierałam, karmiłam, i układałam spać, bo sama codzień musiałam zdobywać numerka, wyciągając rękę, ażeby ten kto dawał numerka na codzienną pracę zobaczył mnie i dał numerka. Boże, jaka ja byłam szczęśliwa, bo miałam zarobić 40 kopiejek, które codzień wypłacali i ja codzień za to kupowałam chleb, cukier, kartofle, i tak pracowałam, ażeby utrzymać dom i tak przeszło 3 miesiące. Przyszedł mąż. Znowuż się wziął za swój wynalazek, przy którym pracował dzień i noc, kiedy zarobił lub pożyczył pieniędzy, zaraz modele, odlewy, i robota szła. Jeden inżynier, drugi przychodzili i pocieszali mnie, która już zaczęłam wątpić o tym, że mąż mój co w życiu zrobi. A tu wojna, wszystko się zmarnowało, sprzedawo, licytacja, brak i nędza. Pracy mąż nie miał, tylko siedział przy swojej maszynie i spał przy niej, zapominał zupełnie o żonie i dzieciach, a było ich siedmioro. Ja zrozpaczona, przygnębiona, chodziłam po te obiady i starałam się o żywność. Miałam różne projekty ze strony Niemców, lecz tak ich nienawidziłam i brzydziłam się, że wołałam jeść tę zupę. Syn mój najstarszy pracował w sekcji żywnościowej, to wyrobił lepsze obiady, lecz kupić butów i ubrania nie było za co. Syna mojego też namawiali żydzi, ażeby brał bony na mąkę, cukier, chleb, że mu kupią rower, dadzą pieniądze

dzy, że nie będziemy mieli biedy — naturalnie że się nie zgodził od razu, tylko przyszedł do mnie i odpowiedział, a ja mu doradziłam ażeby poszedł osobiście do domu kierownika i opowiedział to wszystko jemu i żeby ich aresztowali. Tak też zrobił syn mój, to też żydów piekarzy aresztowali, bo ich wskazał. Syn mój był prawą ręką moją, bo ja jak powiedziałam do swojego męża, co tu robić, dzieci się pochorują od tego chleba bonowego, lub co robić nie mamy pieniędzy. To mój mąż odpowiadał: co ja zrobię, głową muru nie rozbiję, a kiedy się do syna odezwałam, co zrobić Stefciu, to on odpowiadał: — nie martw się matusiu, dadzą mnie gratyfikację, to gwiazdkę, to już mnie poreperujesz te ubranie, a kupisz to co będziesz uważała. Był kochanym synem. Ja jednego razu idąc ulicą koło herbaciarni — weszłam też na herbatę z dziećmi i widzę, że piją herbatę, a nie mają chleba. Pomyślałam co by tu zrobić, i wymyśliłam pierwsza placki kartoflane, zaczęłam kupować kartofle i smażyłam placki kartoflane po dziesięć groszy. Miałam takie odbycie, że za ogonkiem przychodzili kupować, i tak zarabiałam dwa tygodnie. Razu jednego wychodzę, a tu już ze dwadzieścia kobiet sprzedaje po sześć groszy i po cztery grosze, bez porównania gorsze i małe, lecz tanie. To ja już przestałam piec, bo już nic nie mogłam zarobić. Poszłam pracować, lecz nie bardzo umiałam, bo w swoim czasie sama nie prałam nigdy, lecz dla dzieci robiłam wszystko, bo poza niemi nic nie miałam. Kiedy Niemcy zabierali młodzież, to syn mój wyjechał i nie było go cały rok. Przyjechał jako wojskowy, bo był w armji gen. Hallera i powiedział: mamo, nie mogę się pozostać w domu, lecz ja też jako prawdziwa polka odpowiedziałam jemu: Synu kochany — idź i walcz — o tę kochaną Polskę, na której wspomnienie drżałam. Znów go nie widziałam, tylko pisał list za listem i pisał, że służył w pułku gen. Żeligowskiego, że czeka tylko tej chwili, żeby nas mógł zobaczyć. Interesował się co myjemy, co robimy, że był chory. Mąż mój też był chory na nerki, na zapalenie stawów, ja ratowałam jego, choć czułam do niego niechęć, bo uważałam go za przyczynę mojej niedoli i moich dzieci. Bo jak nieraz zwracałam jemu uwagę, żeśmy dali życie dzieciom, które teraz cierpią, to mówił, że to moje przeznaczenie, żebym cierpiała, że jak skończy maszynę swoją, to dzieci jeszcze wykształci, że nas wyśle zagranicę i tak się łudził i mnie przy sobie, choć ja utraciłam wiarę w niego i w jego wynalazek. Nareszcie przyjechał mój syn i mówi: mamo jak chcesz to nie pojedę, zostanę u was. Ale nie mamo, już teraz nie mogę, coś mnie ciągnie, jadę, pobło-

gosław mnie matko. Jak będę mógł, to zaraz napiszę, i jak pojechał tak go więcej nie widziałam. Zginął, kiedy się stał Cud nad Wisłą. Czekałam i czekam do dziś dnia, choć jestem pewną, że zginął, bo miałam sny o nim niedobre i wiem, żeby żył, to bym miała jakąś wiadomość. I od tej pory kiedy już przestałam otrzymywać listy od niego zrobiłam się jakaś inna, wszystko mnie obojętniało, całe moje życie, dla męża stałam się głazem, wypowiedziałam jemu wszystko, że go nigdy nie kochałam, że całe życie młode moje zmarnował i jestem bardzo nieszczęśliwą i dzieci moje, że był egoista, że myślał tylko o swoim zadowoleniu i t. d. I przestałam być dla niego żoną, byłam tylko matką dla moich dzieci. Trwało tak trzy lata, ja jak mogłam tak pracowałam, mąż był dla mnie obojętnym i razu jednego kiedy już zaczął puchnąć i jeszcze rysował, poprawiał, ja zobaczyłam zmianę w jego oczach. Zawołałam doktora, doktor powiedział, że jutro pani męża do szpitala odwiezie, a on powiedział, że już niedługo skończy swoją maszynę, bo już jest na dobrej drodze. Tymczasem w nocy umarł o wpół do trzeciej i ja się zostałam wdową z sześciorgiem dzieci i całą kupą żelaza i rysunków, bez jednego grosza. Miałam pokój z kuchnią i przedpokojem. Po śmierci męża wzięłam małżeństwo, którzy przyjechali z Rosji. Ja zajęłam kuchnię, a jem odstąpiłam pokój na cztery lub pięć miesięcy, bo on stolarz. Mieli sobie kupić mieszkanie i założyć warsztat. Syna umieściłam czternastoletniego w Województwie Warszawskim przy oddziale wywiadowczym. Pracował jako goniec, choć mieli posyłać go do szkoły. Tymczasem był na usługach w biurze i prywatnie u p. Naczelnika, tak że nieraz i dzień cały i noce przepędzał u Naczelnika. I tak przeszło cztery lata i pół. Nareszcie został zredukowany, bo mu nie przysługiwał etat, czyli nie mogli otrzymać etatu dla utrzymania chłopca. Został bez pracy. Córka, która była jako praktykantka w sklepie, druga jako uczenica w sklepie gorsetów, trzecia chora, chłopiec umarł na zapalenie płuc, najmłodszy jest bardzo nerwowy. Sublokatorzy moi nie płacili mnie komornego, pomimo, że ja tylko żądałam połowę komornego, t. j. 18 złotych za duży pokój z osobnem wejściem. Najpierw mówili, że zapłacą mnie odrazu. Ja się wyprzedawałam i płaciłam komorne dokąd mogłam, a ich to wcale nie wzruszało. Ja nieraz nie miałam co dać dzieciom, które poszły spać głodne. Prosiłam o kilka złotych, to byli tak podli ludzie, że chcieli mnie zmusić, ażebym poszła z dziećmi na bruk, jak się wyrażali. Znosiłam różne przykrości z ich strony. Kiedy dzieci poszły spać, dopie-

ro oni przychodzili po wodę, wylewali różne brudy do zlewu. Na moje prośby, żeby nie dokuczali moim dzieciom, bo jak ja poszłam na miasto, kiedy przyszłam zastawałam dzieci płaczące i wylęknione. Syn ten starszy rozchorował się na przewlekłą nerwicę serca, ja też stałam się nerwową i nie mogłam sobie w żaden sposób poradzić. Mieszkałam w tym domu szesnaście lat, a ci sublokatorzy pięć lat mieszkali i tylko za pierwsze dwa miesiące zapłacili mi komorne, a ja już sama nie mogłam płacić i zadłużyłam się za kilka miesięcy. Dostałam eksmisję, i napisałam do p. Ministra Składkowskiego i przez niego dostałam na Anopolu, a oni kupili coś sobie w Wołominie i wyjechali. Ja jeszcze mieszkałam trzy tygodnie, bo nie miałam za co się przeprowadzić, bo już bez pracy zostali wszyscy. Córkę jedną wydałam za mąż, lecz trafiłam bardzo źle. Człowiek bez honoru, charakter podły. W dwa tygodnie po ślubie, firma go wysłała na wyjazd, nie mieli mieszkania, to ja napisałam do niego, że ja Heli dam życie, a ty przez ten czas co będziesz na wyjeździe — nie przesyłaj pieniędzy, — to jak przyjedziesz, to sobie kupicie jakie mieszkanie lub odnajmiecie jaki pokój. Odpisał, że bardzo mu się to podobało i zastosuje się do naszego życzenia. Trwało to osiem miesięcy. Ja się strasznie mordowałam, nieraz były chwile, że idąc ulicą łamałam ręce skąd wziąć dla dzieci na chleb, wstydziłam się wyciągnąć rękę. Chodziłam za pracą z ogłoszenia, żądali świadectw, to w drugim miejscu mówią, to nie dla pani, pomimo, że prosiłam, że będę pracować, jak dla siebie. Nieraz różne myśli przychodziły mnie do głowy. Boże drogi, co ja nieraz przeżywałam, ale odbiegałam od rzeczy. Otóż przyjechał mąż mojej córki, przyjechał do swojej matki. Córka moja była u mnie. Po przyjeździe pytamy się: kiedy będziesz miał obliczenie, a to za tydzień, a to jutro. Nareszcie dowiedziała się córka z odebranego listu, że on tam miał przyjaciółkę całe te osiem miesięcy i pieniądze stracił i do tego listy i fotografie z ową damą. Nie chciała z nim żyć, znów była u mnie. Urodziło się dziecko jej, wychowaliśmy. Przyszedł, przeprosił. Córka moja pragnęła mieć to gospodarstwo. Zeszła się z nim, bo wyjechał do Katowic i ona pojechała do niego, ale był tak podły, maltretował ją w różny sposób, ona zaszła w ciążę drugim dzieckiem. Tymczasem matka jego umarła. Przyjechali z Katowic, to zajęli mieszkanie po matce. Myślałam, że już będę choć z jednej strony szczęśliwą. Tymczasem nic nie pomogło. Codzień przychodził w nocy, dobrego słowa jej nie dał. Kiedy drugie dziecko się urodziło i miało dwa miesiące, to go

stłukł tak, zabił i mówił, że ją z dziećmi zamorduje. Tylko paznokcie obgryzał i jak dziecko bił, to jej nie wolno się było wtrącić, że dziecko się zakrzyczało, tak że wpadła w nerwową chorobę, i kiedy poszła do spowiedzi na tę intencję, ażeby mąż przestał pić i grać w karty i żył jak człowiek, to sam ksiądz powiedział, żeby się uspokoiła, bo może pójść do szpitala. Znowuż się rozeszła z nim. Ja go prosiłam: bój się Boga, bądź człowiekiem, idź do spowiedzi, zacznij żyć jak człowiek. Nic nie pomogło napominanie. Córka była u mnie, dostała się do Wedla, pracowała i trochę ode-tchłan, choć z tej strony. Miałam dwoje wnucząt. Syn pracował dorywczo, ale był bardzo dobry, bo Bóg mnie dał dzieci dobre, za co Bogu dziękuję i jakoś dziękować Bogu się żyło. Do tego od Stowarzyszenia Akademickiego miałam pomoc, bo to jedno stowarzy-szenie pomaga bliźniemu. Panie są bardzo inteligentne i naprawdę rozumieją człowieka. Lecz cóż się stało, znowuż przyszedł ów zięć, ukląkł, zaczął przysięgać, że się poprawi. Przysięgał na grobie swojej matki, że się poprawi, że tęskni za dziećmi. Córka moja powiedziała: mamo, ja mu nie wierzę, on czeka na moją zgubę, ale wytłumaczyłam jej, że może Bóg da, że się poprawi. Zejdź się, przecież z najgorszego bywają ludzie, jeżeli niemi chcą pozostać. Porzuciła pracę, wróciła do niego, a on zamiast się poprawić, to się zrobił gorszy o 100%. Poszturgiwał ją, dzieci bił, różne piosenki nieprzyzwoite, zachowywał się niemoralnie, dziecka nie chciał ochrzcić, córkę powiedział że wychowa dla siebie i razu jednego zastała go, jak był rozebrany i dziewczynkę czteroletnią posadził na fotelu i poruszał ręką. Chłopczykowi dwuletniemu kazał się sobą bawić. Tak że ledwie wytrzymała z nim 6 miesięcy, i znów zaszła w ciążę, bo jak powiedział: że ja ciebie zamęcę dziećmi. Widać zboczony. Sprawiało mu dokuczanie przyjemność i teraz jest u mnie od Wielkiejnocy i teraz dwa tygodnie, jak urodziła chłopca, i teraz mam troje wnucząt i córkę przy sobie, która ma lat 28. On sprzedał mieszkanie, pomarnował wszystko i żyje z kimś i nawet nie wiemy, gdzie się znajduje, a do firmy nie idziemy, bo się boimy, żeby się nie zemścił, bo powiedział, że jakby się dowiedzieli w firmie, toby z niej był trup. Znajac jego podłość, to tak się mę-czymy i dzisiaj córka niema pracy, druga też niema pracy, bo cią-gle chora. Syn, który pracował dorywczo tak jako roznosiciel prote-stów w prywatnem biurze, u p. Michałowskiego, później tak był przyjęty z grupy bezrobotnych, pracował na Karowej parę tygodni, ale i tu dostał redukcję i chodził tak bez pracy, mając lat 24.

W wojsku służył trzy miesiące, został zwolniony na przewlekłą nerwicę serca i tak będąc bez pracy pojechał, a raczej poszedł bez grosza w świat, bo powiedział: mam, widać już dla mnie tu pracy niema, niech mama się nie martwi, już pięć miesięcy nie mam żadnej od niego wiadomości i już drugi syn poszedł z domu. Jest nas teraz ośmioro. Córka mężatka z trojgiem dzieci od czterech lat do dwóch tygodni, bo jest drugie dziecko 2 lata i 2 tygodnie. Następnie córka 26 lat, która jest chora na oczy i która była w zakonie, bo miała powołanie, lecz była wzięta i jest w domu. Trzecia córka pracuje w zakładach graficznych u Koziańskich, Marjensztadt 29. Ma lat 22, zarabia 20 złotych za tydzień, a które nam muszą wystarczyć na nasze utrzymanie, ale tych też nie wypłacają. Dadzą 5 złotych, czasem 10 złotych, tak że chodzi w podartych bucikach i chodzi przeważnie pieszo z Annapolu na Marjensztadt i już tylko mówi o otruciu, bo mówi że już niema siły, bo po większej części to i bez śniadania pójdzie, bo nieraz to i raz na dzień zjemy, a czasem to i nic, tylko dzieciom małym coś się da. Następnie jeszcze jeden syn ma lat 15, jest niedorozwinięty umysłowo, miał kiedyś wrzód w głowie i małą ma pamięć, tak stwierdzili profesorowie. Fizycznie jest nieźle rozwinięty i lubi pracować, tylko nie mogę jego nigdzie umieścić o co mam zmartwienie, bo ja już mam lat 52, mogę niedługo pożyć, boję się o jego los. Mało i źle jesteśmy odżywiani, zapomóg żadnych ani obiadów nie mamy. Przynosi już od 4-letniej kobiety mleko, to tylko te dwa litry mleka nieraz stanowią nasz całodzienny posiłek, lecz już jestem winną 46 złotych za mleko, tak że i to jest zagrożone. Piekarzowi 20 złotych się należy, w sklepiku jednym 50 złotych, w drugim 38 złotych, za kartofle 12 złotych, w drugim miejscu 6, od sąsiadek 2 złote i 2.80 zł., za komorne za sześć miesięcy. Co dzień przejdzie, to dzięki Bogu, dzisiaj, kiedy to piszę, dzieci moje jedną bułkę tylko mają i mleko, a myśmy cały dzień nic nie jedli, dopiero córka na Marjensztacie w sklepiku skredytowała chleb, cukru $\frac{1}{2}$ kilo, $\frac{1}{2}$ kilo ryżu i $\frac{1}{4}$ kilo słoniny, to jutro się będzie jadło dzięki Bogu, bo w niedzielę, to cały dzień nic nie mieliśmy, bo człowiek się wstydzi. Córka po połogu chora, nie mam czem ją odżywić. Da Bóg może po Bożem Narodzeniu, jak będzie zdrowa, to pójdzie do Wedla i będzie prosić może ją przyjmie. Teraz nam jest strasznie ciężko, ja już jestem tak wycieńczoną, że już nie mam siły do tego borykania się z losem, lecz muszę zdobywać się na siłę i pocieszać swoje dzieci, ażeby nie upadały na duchu, bo i im brak już siły,

bo w lombardzie mamy zastawione rzeczy: córki pierścionek 15 złotych, kapa 8 złotych, obrączka za 8 złotych, córki obrączki 24 złotych i kwity te od zastawu też są zastawione, na które pożyczyłam 50 złotych i jeszcze o jednym długu zapomniałam, to od jednej służącej też pożyczyłam 28 złotych, stopniowo po kilka złotych, tak że teraz już kredyty pozamykane i nie dają mnie spokoju. Mam ciągle skandale i nieprzyjemności, zastawić już niema co i sprzedać też niema, bo posprzedawałam poszewki po 1½ złotego, prześcieradła po 2½ złotych, kapę za 11 złotych, suknię za 6 złotych, za 3 koszule 3.50. Dzisiaj już niema w czym chodzić, bo się nie kupowało nic w ostatnich czasach. Jesteśmy obecnie bez odzieży i bielizny, tylko cały tydzień się chodzi, a w sobotę pierze — notabene jak jest mydło. Tak żyjemy z Opatrzności Boskiej, ale teraz zima, dzieci małe, a tu opału niema, nie wiem jak będziemy żyć, piszę to co jest prawdziwe, strasznie smutne, lecz tak prawdziwe jak Bóg w niebie, codzień zmartwienia o ten codzienny kawałek chleba. Ja od czasu do czasu, to jest raz na miesiąc, mam za 5 lub 6 złotych jakiegoś szycia, a czasem to i nic. To co napisałam, nawet nie czytam i nie poprawiam, pisałam to co mnie boli, może są błędy, to proszę wytłumaczyć mnie Sz. Panie, bo jestem dzisiaj głodną i strasznie zdenerwowaną i nie mam siły nawet przejrzeć to, co napisałam.

Ratujcie nas, bo już jesteśmy bez wyjścia, co dzień ta walka o życie to borykanie się z tą nędzą, już brak mnie siły słuchać, jak dzieci płaczą: mamó ja nie mam bućków, ja nie mam w co się ubrać, ja jestem głodny, mnie ściska, ja już nie wytrzymam dłużej. Tu proszą do kancelarii o komorne, bo do ogólniaka panią przeprowadzę. Tam gdybym miała pójść, to bym bez namysłu wszystkich potruła i sama siebie. Już moje nerwy by nie wytrzymały do tej nędzy i brudów i zgnilizny i bójek iść. Może Bóg da, że los mnie wyrwie i da mi nagrodę, któraby była balsamem za moją skołataną i strasznie cierpiącą duszę.

Warszawa, dn. 15 grudnia 1931 r.

Robotnik niewykwalifikowany
zamieszkały w Warszawie

Straszny polip redukcyjny chciwemi mackami opasuje i wpija się mięszem swego oślizgłego cielska w najbardziej nieszczęśliwe i najbardziej biedne jednostki, wysunięte prawie poza nawias życia ludzkiej egzystencji tych, którzy są podstawą życia całej rodziny. I ta pijawka redukcyjna do umęczonego ciała zmaganiem i walką życia wpija się, a w dusze zaszczepia truciznę zwątpienia, brak celu i gasi wiarę w lepsze jutro...

Tak więc zdaje mi się, że to jeszcze wczoraj śmiałem się beztroskim śmiechem człowieka zadowolonego z życia, który mimo bezbarwności swej marnej egzystencji czerpie często podświadomie radość życia lub jakie takie zadowolenie. To było zdaje się wczoraj—miałem pracę, mogłem chociaż po części spełnić swoje pragnienia... A dziś? Beznadzieja i pustka życia człowieka pokrzywdzonego wychyla znów swą straszną trupią maskę. Do jestestwa zbliża się wielkimi krokami pustka i głód. Dlaczego głód? Gdzie jest wytłumaczenie zjawiska masowej redukcji i głodu w kraju, który nie może mieć nadprodukcji chociażby dlatego, że z techniką pozostał oddalony o dziesiątki lat od państw zachodniej Europy i jest krajem nawskroś rolniczym. Gdzie jest przyczyna kryzysu w Polsce?

* * *

Jestem od kilku dni bez pracy, powiększam grono bezrobotnych. Zastanawiam się co dalej czynić. Z resztek pensji, którą wybrałem a conto, pozostało niewiele. Jest lato i natura nastraja człowieka bardzo poetycznie. Zaczynam zazdrościć tym ludziom, którzy w skwarne lato mogą gdziekolwiek, w oddalonej o kilo-

metry miejscowości, odpoczywać w cieniu rozłożystych drzew i wchłaniać żywiczny zapach lasów. Ja tak nie mogę. Muszę myśleć, by mi starczyło na chleb, bo nie wiem czy prędko znajdę pracę. Mieszkam jak parjas w luksusowych pałacach, wybudowanych przez szlachetny Magistrat, a zwanych popularnie „barakami“ Żolibórz. Nędzne, parterowe drewniaki, świecące tu i owdzie brudem i otworami, przez które wiatr bezkarnie wpada do wnętrza. Wokolo ogrodzone zasiekami z drutów kolczastych. Wygląda to, jakby człowiek zdrowy odgrodził się specjalnie przed ludźmi zarażonymi, przeznaczonymi na kwarantannę. W rzeczy samej jest tam środowisko okropne dla człowieka, który pierwszy raz zetknął się z tem środowiskiem. Między innymi są tam dobrzy i uczciwi ludzie, których los dotknął boleśnie, ale ci są nieliczni. Brak gotówki pozwolił mi skorzystać z tych gościnnych lokali, jako tymczasowemu lokatorowi z prawem dla zarządu baraków, wymówienia mi lokalu w każdej chwili, ponieważ jestem kawalerem, a ci muszą się usuwać w chwili, gdy większy najazd bezdomnych z rodzinami odwiedza to miejsce. Zaraz pierwszego dnia kiedy sprowadziłem się do jednego ze wspólnych baraków, gdzie przypadkowo znalazłem daleką kuzynkę, którą los głupi nielitościwie smagał, wynikła kłótnia zupełnie z blahych powodów. Jédna kobieta, wdowa z dziećmi, będąc bardzo chorą, prosiła jednego z towarzyszy niedoli, aby się uspokoił, gdyż wyprawiał niesamowite harce, wtórując sobie śpiewem, który miał w sobie piętno alkoholu i wyczerpania. Ów towarzysz niedoli, widocznie dotknięty na honorze, a poczucie honoru w tem środowisku jest źle rozumiane i posunięte aż do stopnia przeczulenia, wszedł za przegrodę, z papieru zrobioną i zataczając się z opilstwa zionął stekiem najohydniejszych przekleństw. Gdy chora niewiasta zwróciła uwagę, aby zachowywał się cicho, łobuz ten, podniecony wódką, uderzył ją i w dalszym ciągu ubliżał. W obronie pokrzywdzonej kobiety stanęliśmy my trzeźwi i nieliczni, a nawet słabi towarzysze. Ale trzeba było żądać interwencji policji, bo doprowadzonemu do szału pijakowi nie mogliśmy dać rady. Przybyli posterunkowi gwałtem zabrali awanturującego się osobnika i uprowadzili go do zarządu baraków, gdzie w razie aresztowań przetrzymywano winnych. Po pewnym czasie awanturnika tego zwolniono, gdy tylko trochę wytrzeźwiał. Przyszedszy do baraku począł się odgrażać tym, którzy stanęli w obronie pokrzywdzonej kobiety. Inny znów pijany towarzysz niedoli prawie przez całą noc wyśpie-

wywał rzewne, rosyjskie piosenki czy dumki. W tej to gehennie miałem przebywać jakiś czas. Czynsz był niewielki, tak że nawet przy najgorszych zarobkach można było zapłacić. Codziennie rano szedłem do miasta w poszukiwaniu pracy i wieczorem wracałem zły, z miną smutną, gdyż pracy znaleźć nie mogłem, a z pozostałych pieniędzy nie było już śladu. Trzeba było pomyśleć o jakimkolwiek zarobku. Pracując kiedyś w biurze technicznym przy ekspedycji—ekspedjowałem przez urząd pocztowy towary i widziałem, jak pewien osobnik, mający tam miano „inwalidy“ pakował różne towary w papier ludziom, którzy nie byli obeznani z ekspedycją i pakowaniem przesyłek. Postarałem się i ja tak uczynić. Mając wielu znajomych ekspedytorów mogłem liczyć na jakie takie powodzenie. Kupiłem więc za ostatnie pieniądze kilka arkuszy pakowego papieru, kłębek szpagatu i zjawiłem się w owym urzędzie pocztowym. Woźni tego urzędu, którzy mnie znali od dawna, którym często pomagałem w czasie ich interwencji w przeróżnych awanturach — pozwolili mi przebywać w holu pocztowym jednak z zastrzeżeniem, że będę pakował przygodnym klientom gdzieś w kącie sali w skrytości. Początkowo szło mi bardzo źle; nie miałem wielu klientów mimo, że koledzy ekspedytorzy rekomendowali mnie swoim znajomym. Nie poprzestając na tak nikłych zarobkach musiałem znów biegać tu i owdzie po sklepach i po dozorcach. Często też pracowałem za marne pieniądze u malarzy pokojowych w charakterze pomocnika. Nie poprzestając na tak niestałych zarobkach musiałem poszukać stałej pracy, ale pomimo mozolnych poszukiwań nie znalazłem żadnej. Wszędzie gdziekolwiek się zjawiłem obiecano mi pracę, zapisywano mój rodowód i mówiono, że w odpowiednim czasie mnie powiadomią. Ale to tylko dla formy, w celu pozbycia się intruza, bo zawiadomienie o przyjście do pracy nigdy nie przychodziło. Po pewnym czasie zdeterminowany zrezygnowałem z bezcelowego biegania po różnych instytucjach i warsztatach pracy i utrzymywałem się z zarobków przy opakowywaniu paczek pocztowych. Małe zarobki nie pozwoliły mi organizm zasilać dobrem jedzeniem, a tylko namiastkami, które wyczerpały organizm, nadszarpnięty przez przeziębienie ostatniej zimy. Zachorowałem obłóźnie na zapalenie nerek i niedomagania żołądkowe. Znajomy doktor wystarał mi się o miejsce w szpitalu, gdzie poszedłem pomimo, że miałem silną gorączkę i torsję żołądkowe.

Myślałem, że umrę w tym szpitalu i skończą się moje cier-

pienia i troski, ale organizm dziecka natury przewyciężył chorobę już po miesiącu doskonałej i troskliwej opieki ludzkiego jakiegoś doktora. Wprost z objęć Abrahama powróciłem znów, ale już nie do pałaców na Żoliborzu, a na świecący bruk wielkiego miasta, ponieważ w czasie mojej choroby wymeldowano mnie bez prawa powrotu. Jako pretekst do wyrzucenia mnie na bruk podano przestrzeganie warunków sanitarnych, a ja miałem w ich mniemaniu być obciążony chorobą zakaźną. Ale ja wiem, że była to spekulacja panów z zarządu, których moje poglądy polityczne nie cieszyły. Nie żałuję nawet, że jakoś z tego piekła na ziemi mnie wyrzucono, bo odrodzony prawie że moralnie w czasie kuracji stałem się innym człowiekiem. Nie znaczy to, abym został dewotem albo uwierzył w to czego nie uznaję i dawno już nie wierzę. Mam doświadczenie małeńkie, własny pogląd na sprawę i podług nich postępuję. Była już jesień. Wiatr chłodny, przejmujący obejmował swoim mroźnym oddechem, przesyconym wilgocią, do szpiku kości. Ja po rekonwalescencji czułem strach przed jutrem i straszną pustkę życia. Zimno mi dokuczalo okropnie. Nie miałem jakiegokolwiek godziwego okrycia, a przytem nie miałem miejsca, gdzie możnaby ogrzać zziębnięte i schorowane ciało. Byłem po chorobie jeszcze bardzo osłabiony, lecz pomimo to nie traciłem jeszcze nadziei, że będę miał lepiej. Najgorzej bolał mnie fakt, że koledzy i znajomi, spotykając mnie, mimowoli opuszczali mnie lub unikali, nie wiem czy wstydząc się, że nie mogą mi przyjść z pomocą, czy też powodując się złym wyglądem moim po chorobie. Trzeba było o własnych siłach iść w życie i ze względu na zimno poszukać miejsca, gdzie możnaby złożyć słabe, schorowane ciało. Alejki, ławka, wnęka bramy lub strych był miejscem ostatnich marzeń bezdomnego człowieka. Często też w alejkach na ławce, kiedy człowiek ogrzał własnym ciepłikiem rozdygotane nerwy i ciało, przychodził „pan władza“ w osobach kilku policjantów, kontrolujących spokój publiczny ulic i nie przebijając w środkach budził przygodnego lub stałego noclegowicza. Często też rozespany, po całodziennej włóczędce po mieście bez celu, nie mogłem uniknąć spotkania z władzą. Sankcja, jaka się odbywała między policjantem a noclegowiczem z alejek była mniej więcej taka. Przychodził pan władza, budził oddanego w objęcia Morfeusza bez zastrzeżeń człowieka i żądał dowodów osobistych. Gdy okazało się, że jest to osobnik podejrzany lub niemiły dla oka nieinteligentnego pana władzy, wówczas prowadzono go do komisarjatu, gdzie mógł spać do

czasu, kiedy się zbierze większa paczka ludzi, będących w kolizji z kodeksem karnym. Całą tę paczkę prowadzono w dzień do urzędu śledczego, jak najgorszych złodziei, gdzie badano rodowód nieszczęsnego, zapisując na specjalnych kartkach, na których były już odbicia palców delikwenta. Traktowano przytem człowieka, jak najgorszego łobuza lub złodzieja mimo, że pierwszy raz spotkał się z tą „rozkoszą życia“. Zawsze, po wyjściu z tego piekła czułem się jak narodzony na świat, powtórnie... Dzień za dniem i noc za nocą wlokły się niemożliwie długo, strojne w szatę z deszczu, wspomaganego zimnym wiatrem. Trzeba było pomyśleć o jakimś locum, by nie mieć częstych spotkań z panem władzą, bo za nagrodę mogą dać ze dwa tygodnie aresztu. Jako człowiek ubezpieczony w Kasie Chorych mogłem za czas choroby pobrać należną mi kwotę tytułem odszkodowania. Mógłbym na jakiś czas sprowadzić się do ludzkiego mieszkania, chociażby nawet „kątem“, a potem wyzdrowieję zupełnie i złapię jakąkolwiek pracę. Narazie odebrałem należną mi kwotę ubezpieczeniową, za którą można będzie pomieszkać koło pięciu miesięcy, chociaż w warunkach niezbyt higienicznych. Tak też uczynilem. Wyszukałem w jednej ulicy w śródmieściu mieszkanie „kątem przy rodzinie“. Aliści okazało się, że wpadłem z deszczu pod rytnę, bo znów dostałem się w takie same środowisko, jak w palacach na Żoliborzu. Mieszkanie suterena składało się z jednego pokoju wilgotnego, zajętego wszędzie łózkami, jak w szpitalu. Tu i owdzie leżały niezamiecione śmieci i błakał się zapach alkoholu i złych papierosów. Przytem wieczne klótnie, a często i bijatyki mogły spokojnego człowieka doprowadzić do rozstroju nerwowego. Często też urządzano pijane bachanalje do późnej nocy przy akompanjamencie nieludzkiego śmiechu i hałasów. Ale stało się. Zapłaciłem, trzeba było mieszkać do czasu, kiedy znajdę pracę. Mieszkałem więc i żyłem. Żyłem nie sam, bo zaznajomilem się w tem mieszkaniu też z takim biednym, jak ja, towarzyszem. Stan zdrowia o tyle się polepszył, że mogłem chodzić na pocztę i zarabiać parę groszy, parę dlatego, że frekwencja w owym urzędzie się zmniejszyła, a przecież ja pracowałem „po cichu“ w skrytości przed argusowem okiem „inwalidy“, gdyż w każdej chwili mógł mnie oskarżyć przed kierownikiem poczty, a ten kazalby mnie zaraz usunąć. Przymieraliśmy z towarzyszem niedoli często głodem. Często też za całodzienny posiłek mieliśmy pół kilograma chleba i trochę smalcu. Czasami jednak przez cały dzień nic nie jedliśmy albo obżeraliśmy się za wszyst-

kie dni głodne. O gotowaniu jedzeniu nie mogło być mowy, a i herbatę też nie często widywaliśmy, ale nie traciłem ducha i odmawiałem koledze, który był głodny i zrozpaczony — by szedł kraść, bo nieraz o tem mówił...

Nadeszła zima, strojna w śnieżne opady. Dla sytych niosła radość i rozrywki — dla głodnych smutek, a często rozpacz i przekleństwo. Nieliczni z bezrobotnych mogli w czasie opadów śnieżnych parę złotych zarobić przy sprzątanii śniegu z ulic. Pracę tę dawał magistrat, który monitowany krzykiem prasy i opinii publicznych zawiadomił o tem bezroboczych. Chcąc się dostać do tej roboty musiałem wstawać o godzinie pierwszej i pójść do punktu przyjęć, gdzie zajmowało się kolejkę i czekało się do piątej nad ranem do chwili, kiedy rozespany pan nadzorca przyszedł i zaczął zapisywać, poczem po godzinie, o ile szczęśliwiec zapisał się, dostawał „instrumenty“ i przydział na ulicę, którą miał sprzątać. Jakie człowiek przechodził katusze moralne i fizyczne nim dostał ową pracę, ten tylko rozumie, który zmuszony biedą lub głodem znajdował się w tem środowisku, które po większej części jest zlepkiem najgorszych szumowin miasta, która w tych złych czasach z braku łatwiejszego zarobku nie gardziła tym, aby pracując niewiele mogli zarobić na wódkę. Ci zawsze dostawali pracę, ale słabsi lub mniej liczni i prawdziwi robotnicy nigdy albo nieczęsto ją dostawali, bo wymęczeni głodem i kilkogodzinnem staniem na mrozie i słońcu nie mieli siły przeciwstawić się lobuzerji, która była liczna, dobrze zorganizowana, przeważnie z jednej dzielnicy.

Ale pomimo niepowodzeń, jakie mnie spotykały, zawsze i wszędzie nie traciłem ducha i jak mogłem tak bronilem się przed namową złych doradców: głodu i ludzi, którzy namawiali mnie do kradzieży, czynu w mojem pojęciu wysoce niehonorowego i niegodnego człowieka uczciwego i proletarjusza. W tym właśnie czasie mój towarzysz niedoli, zniechęcony różnemi niepowodzeniami, dopuścił się nieznacznej kradzieży i dostał się do więzienia. Dziwnie przykrą mi była ta wiadomość, bo żyłem się z nim, jak z bratem; wszak dzielilem się z nim ostatnim kęsem chleba i jednaką cierpieliśmy dołą. Nadchodziła wiosna. Skończył się czas mojego stalego pobytu w tem piekle ludzkich namiętności i nieszczęścia. Zacząłem zalegać w opłacie za kąt. Właścicielka mieszkania, kobieta zła i kłótniwa, nie chciała nawet słyszeć o dal-

szym moim pobycie pomimo, że obiecałem jej zapłacić, jak tylko dostanę pracę.

Po świętach Wielkiejnocy, które przepędziłem, jak parjas, bo sam, zdaleka od ludzkich oczu, nie dzieląc się z nikim święconym jajkiem, nikomu nie życząc, postanowiłem wyruszyć w drogę, gdzieś na wieś lub do innego miasta. Jedna z lokatorek tego mieszkania chciała opłacić za mnie czynsz. Znając charakter owej lokatorki, która przy lada okazji wykrzyczałaby wszystko i która czerpała dochody z kupczenia swem ciałem, nie mogłem się na to zgodzić. Wyruszyłem więc któregoś ciepłego dnia w drogę bez pieniędzy. Musiałem w podróży tak postępować, aby nie utrudzać zbyt wiele nóg w długiej może podróży. Wpadłem na pomysł aczkolwiek stary, jednakże w tej sytuacji bardzo dobry. Od Warszawy kupiłem bilet do miejscowości oddalonej o kilka kilometrów i pojechałem. Dojeżdżając do miejsca, dokąd wykupiłem bilet, musiałem w biegu wyjść z wagonu, aby po bocznej desce dojść do schodków, które prowadziły do budki biletera, która była przy niektórych wagonach umieszczona ponad poziom wagonów. Ulokowawszy się, dojeżdżałem spokojnie do miejsca przeznaczenia. Na stacji wysiadałem z wagonu, szedłem poza obręb ogrodzenia i byłem wolny od wszelkiej kontroli. Chodziłem tam i sam, pytając zamożnych kmieci, czy nie znalazłaby się jakakolwiek praca, bodajże przy pasaniu bydła. Nie jedną wieś przeszły moje umęczone nogi, nie jedno miasto, miasteczko widziały umęczone bezsennością oczy, ale nigdzie nie dostałem pracy, ze względu, że nie dowierzano takim jak ja włóczęgom. Na nocleg trzeba było zameldować się u sołtysa, który wędrowca przydzielał do zamożniejszych kmieci, lub nocował u siebie, żądając za to dowodów osobistych, gdyż obawiano się kradzieży lub morderstw. Życie pełne niewygód. Pielgrzymka od wsi do wsi, z miasta do miasta; nocleg w stodole na sianie lub w chałupie na barłogu i pałacy wstyd człowieka uczciwego, którego traktują jak włóczęgę lub żebraka. Całe legjony poszukiwaczy pracy błądzą po polskich drogach, cierpiąc głód i pragnienie odpoczynku, chociażby wiecznego; setki tych biednych ludzi marzą zapewne w swej bezmyślnej pielgrzymce o założeniu ogniska domowego, które nie miało być ich udziałem. W czasie swej niedługiej wędrówki byłem zawsze uczciwym człowiekiem. Nigdy moje ręce nie zbrukały się kradzieżą, choć nieraz byłem głodny i spragniony. Miałem już dość tego bezowocnego błądzenia po polskich drogach; postanowiłem więc powrócić do

rodzinnego miasta, gdzie mimo biedy czulem się bardziej zadowolony. Wsiadłem więc na jakiejś malej stacyjce za Kutnem do pociągu, zdążającego w stronę Warszawy. Rzecz oczywista, że musiałem tak samo korzystać z budki kontrolera. Całą drogę do Warszawy przebyłem szczęśliwie, a nawet w wesołym nastroju, zapominając, że jadę znów na bruk wielkowiejski. Przybywszy do miasta późno wieczorem udałem się przedewszystkiem tam, gdzie poprzednio mieszkałem, ale dowiedziałem się, że jestem wymeldowany i nie mam prawa nocować bodaj gdzieś na schodach. Smutny więc, niewyspany i zmęczony podróżą pozostać musiałem znów na bruku, bo późna pora nie pozwoliła mi poszukać jakiegokolwiek schronienia. Chłodne są niektóre letnie noce i dżdżyste, a może mnie się tak zdawało, lekko ubranemu. Drzę z chłodu. Muszę się mieć na baczności przed policją, która pod łada pretekstem, według swego widzimisie, aresztując włóczęgów, a także często i spokojnych obywateli miasta cokolwiek trynkniętych i przygodnie znajdujących się pośród marków nocnych. Przeprosilem więc dawne łoże z ławki w alejach, miejsce na którym siedzieli kiedyś zakochani, bo tak mówił napis pod przebitym sercem strzałą amora i inicjały imion i nazwisk. Śpię czujnie, jak zając; jednym okiem śpię, a drugim spoglądam czy ktoś podejrzany się nie zbliża. Szczękam zębami z chłodu i marzę, że gdzieś przecież ludzie żyją bardziej szczęśliwi, mają własne mieszkanie, ciepłe wygodne łóżka, bogate w sterty pierzyn i poduszek. Czuję jak na pewien czas ogarnia mnie ciepło, które prędko umiera pod naporem febrycznych wstrząsów. Inni żyją bardziej po ludzku, a ja jak bezpański pies tulam się i swoje młode ciało objam o twarde łoża z ławek parkowych lub wycieram wilgotną i zimną podłogę piwnic i strychów. Gdzie jest ta ojczyzna, o której śpiewają nam piewcy i która ma być matką dla szczerze milującego swój kraj — obywatela? Czyżby na marne poszły walki bojowców — bohaterów proleteryjackich i kwiatu młodzieży robotniczej? Czy tylko szczęście i dobrobyt ma być udziałem nielicznych kombinatorów. Więc tak wyglądać ma ta ojczyzna?.. Bunt przenika moją istotę i czuję, że jak będę myślał o tem dłużej, to zwaruję. Muszę zapomnieć o wszystkim, zasnąć i nie myśleć, co mi się jakoś udaje pomimo dręczącego mnie zimna. Poranny chłód i wilgotna od rosy ławka budzą mnie i każą iść precz, by rozprostować, rozgrzać skostniałe ciało i uniknąć spojrzeń ciekawych, mniej pokrzywdzonych, rano śpieszących do pracy robotników. I tak z dnia na dzień. Bezna-

dzieja, chłód i głód. Nocuję często pod strychem lub w taksówce, w piwnicy lub na stopniach schodów sklepowych i tęsknię do lepszego życia. Za strawę służy mi trochę wędliny i chleb; nie gotowanego. Chodzę na pocztę, ale zarabiam niewiele; wreszcie pewnego dnia ów inwalida, podpatrzywszy mnie, jak opakowywałem wysyłkę, poturbował mnie i uzyskał od kierownika tej poczty prawo niewpuszczania mnie do urzędu. Sprzedałem już wszystko co przedstawiało jakąkolwiek wartość, to co pozostało mi z lepszych czasów za psie pieniądze, na życie. Chodzę znów po dozorcach, sklepach, ale żadna praca mi się nie trafia. Któregoś dnia wreszcie dostaję od znajomych, którzy mieli niewielką fabryczkę, kilkaset kart reklamowych w celu rozdania tych kart przechodniom. Za pracę tę otrzymuję parę złotych dziennie i niezły obiad. Ale nie trwa to długo, bo zaledwie dwa tygodnie. Wciąż na słońce i zimnie trzeba zabiegać przechodniom drogę, którzy nie rozumiejąc tragedji człowieka bez pracy częstokroć odpychają wyciągniętą z kartką rękę. Ale i ten zarobek się skończył, a zima zbliżała się coraz bardziej. W tym czasie często sypiałem w piwnicy, obok mieszkania dawnej mojej gospodyni. Postanowiłem prosić gospodynię, aby była tak dobra zameldować mnie przy swoim mieszkaniu, bym mógł mieszkać obok w piwnicy, za co miałem jej spłacać poprzednio zaległy czynsz. Gospodyni, kobieta chciwa na pieniądze, zgodziła się. Piwnica była założona słomą i trawą morską; służyła ona dawniej za skład rupieci dla tapicera. Wyrzuciłem wszystkie te śmieci, wstawiłem łóżko polowe i ulokowałem się, jak mogłem w tym kojcu pełnym wilgoci i zaduchu. Ale niedługo cieszyłem się tym kątem, bo gospodyni, kobieta niezrównoważona, napierana przez dozorcę i właściciela tej nory, wymówiła mi lokal. Błądziłem znów po ulicach po nocy lub wkradałem się cichaczem do piwnic albo na strych. Często też dozorczy przepędzili mnie rozspanego w nocy, gdyż mocne chrapanie przestraszało spóźnionych w powrocie do domowych pieleszy lokatorów... Nadchodziła zima 1930 roku. Rozpisano nowe wybory do parlamentu polskiego. — Jako sympatyk jednego stronnictwa lewicowego postanowiłem po części honorowo służyć swoją pomocą, to znaczy pilnować w nocy lokalu pisma partyjnego i rozklejałem afisze, nawołujące do głosowania na listę demokratyczną. Za czynność rozklejania płacono nam od setki parę ładnych złotych, a trafiało się nieraz często. Praca ta nie była ciężka, ale niebezpieczna, bo wszędzie napotykało się bandy lobuzerji,

sformowanej do rozklejania afiszów obozu przeciwnego, nie mających nic wspólnego z tym obozem. Łobuzerka ta miała broń palną i kastety i chodziła grupami, napadając nielicznych rozklejaczy naszego obozu i bijąc do utraty przytomności. Ja także dostałem kilka razy baty, ale się zbytnio tem nie przejmowałem, bo wiedziałem, że pracuję dla organizacji, która jest naszą robotniczą, tylko to mnie najwięcej bolało, że ludzie takiej samej pracy, jak ja, dopuszczali się gwałtów nad nami. Często też przemęczeni całonocnym czuwaniem lub rozklejaniem afiszów spaliliśmy w dzień w lokalu partyjnym i tak było aż do czasu, kiedy okres wyborów minął. Później, gdy czas wyborów minął, trzeba było poszukać innego miejsca. Zacząłem biegać po znajomych i oto biegania moja była uświęconą pomyślnym skutkiem. Dostałem się jako pomocnik do dozorecy w jednej z ulic śródmieścia, chociaż wprowadzie nieoficjalnie, ale na czas zimy; to wcale nieźle. Za pracę, która była nie ciężka, otrzymywałem nocleg, trochę gotowanej strawy. Najgorzej jednak było z zameldowaniem. Dozorczyń, matka moich kolegów, którzy mnie tam zarekomendowali, nie ufając mi widać bardzo, nie chciała mnie meldować, tak więc mogłem być w każdej chwili usunięty. W wolnym czasie od domowych zajęć uczyłem sztuki czytania i pisania opuszczoną w nauce dziewczynkę, córkę niezamożnego murarza, za co otrzymywałem obiad i parę groszy. Przeżyłem więc tak całą zimę, wiosnę i lato, spokojny, że nie będę się martwił, co będzie jutro, służąc każdemu przy drobnych pracach i posługach. Pech czy przeznaczenie zawsze mnie prześladowały — mieszkałem znów w piwnicy.

Teraz, to jest w chwili, gdy piszę tę opowieść, pracuję przy tym domu; noszę za niewielką opłatą węgiel jednej lokatorce, a u znajomych kierowców samochodowych, którzy mieszkają blisko mnie, pilnuję w nocy od czasu do czasu samochody, oczywiście za umówioną zapłatą. Ale pomimo, że jest mi lepiej troszkę, niż poprzednio, jednak niezadowolony jestem z życia, bo brak celu i wieczna walka o kęs chleba odbiera mi radość życia, a jestestwo opasuje dziwna obręcz nostalgji za jaśniejszą przyszłością. Nie rozpaczam nad sobą, lecz nad temi setkami bezdomnych ludzi, starych i słabych, steranych ojców i matek lub nieletnich młodych ludzi, którzy umierają za wcześnie nieszczęśliwi, nie widząc świetlanej przeszłości... Ja nie mam żadnych iluzji, lecz czasem.... Marzę, że jestem w świecie przyszłości, w świecie, kiedy nowy

ustrój społeczny, bardziej ludzki — odnosi tryumf, mając za hasła: Równość, Wolność i Braterstwo! Ale czy moje marzenia ziszczą się kiedy? Czy będę jeszcze pracował przy budowie gmachu nowego ustroju społecznego, szczęśliwy ze szczęścia biednej, wiecznie wyzyskiwanej i okradanej masy proterjackiej... A ponad to wszystko, co człowiek przeżyje, wyrasta ból wielki, nieludzki człowieka pokrzywdzonego i wiecznie spragnionego i targa każdą fibrą ciała nieszczęśliwego, wołając głosem milionów poniżonych i pokrzywdzonych o pomstę... A przecież jest gdzieś życie spokojniejsze, wolne chociażby od troski o codzienny chleb, a chociażby tam, za wystawami wielkich świetlistych i bogatych kawiarni, restauracyj, bogatych ciepłych salonów, gdzie chęć życia i użycia jest jedyną troską. Są ludzie, którzy śmiercią, kalectwem i wyzyskiem najbiedniejszych tuczają swoje kalduny i zaspakajają wszelkie zachcianki. A może to tylko złudzenie?... Może i tam za jasno oświetlonymi wystawami kawiarni i ciepłych pieleszy domowych błądzi ból i pustka życia i pyta każdego nieszczęśliwca tego ustroju społecznego, gdzie jest cel?...

Warszawa, dn. 14 grudnia 1931 r.

Pamiętnik Nr. 6

Ślusarz
zamieszkały w Warszawie

Urodziłem się w Warszawie 31 marca 1908 roku. Ojciec mój pochodzi ze sfery robotniczej, a matka tak samo. Mając lat 14 zacząłem chodzić do I miejskiej szkoły rzemieślniczej im. M. Konarskiego w Warszawie, przy ul. Leszno, którą też w ciągu trzech lat ukończyłem, a mianowicie w roku 1925. Po ukończeniu szkoły otrzymałem dyplom, jako wyzwolony czeladnik ślusarski i świadectwo z ukończenia szkoły. Od tej pory zaczyna się moje życie— jako już tego, który stale goni za pracą i pieniądzem. W parę miesięcy po ukończeniu szkoły dostałem się do fabryki amunicyjnej „Pocisk“ na Pradze w charakterze podręcznego ślusarza. Była to moja pierwsza praca i jak na ówczesne stosunki miałem dobrą płacę, dokładnie nie pamiętam ile zarabiałem. To też poznałem paru młodych towarzyszy pracy, — którzy mnie wciągnęli do pracy organizacyjnej w Turze. Zaś podczas manifestacji w dniu 1 maja 1926 roku byłem jednym z ciężiej rannych członków partji P. P. S. Po odbytej kuracji szpitalnej i później domowej, do pracy fizycznej narazie przystąpić nie mogłem i starałem się o przyjęcie mnie w charakterze praktykanta biurowego na kolej, gdzie też we wrześniu 1926 roku pracę otrzymałem z płacą 160 zł. miesięcznie. W tym też czasie poznałem jedną z towarzyszek, z którą w kwietniu 1927 roku ożeniłem się. Tu kończy się moja młodość beztraska, zaczyna się życie inne, zaczyna się walka o byt, o utrzymanie rodziny. Płaca 160 złotych na miesiąc była niewystarczająca na utrzymanie domu. Starałem się o przyjęcie mnie do Magistratu Warszawskiego, w którym też od listopada 1927 roku pracę dostałem jako robotnik z płacą 282 zł. miesięcznie. Warunki pracy były też nienajgorsze, i kto wie może bym i robił tam do dzisiaj— tego dnia, gdyby nie rugi, które rozpoczęły się w końcu tegoż

roku na tle rozłamu w zastępach naszej partji. Żądano ode mnie przystąpienia do rozłamowców. Nie zgodziłem się na to i w niedługim czasie dostałem wymówienie z powodu redukcji. Nie weszli w moje położenie, że przed paroma miesiącami żona powiła syna, nie, absolutnie nie ich nie obchodziło — i tak z dniem 1 maja 1929 roku — przestałem pracować w Magistracie Warszawskim. Ale oszczędności jakie żona porobiła przez czas mojej pracy pozwoliły nam przetrwać cztery miesiące bezrobocia — gdyż tyle pozostawiałem bez pracy i ponownie zostałem przyjęty na kolej w charakterze hamulcowego, czasowego do drużyn konduktorskich na stacji Piotrków. Tam pracowałem dniami i nocami — 30 do 40 godzin w drodze, a 10 do 12 godzin w domu. Za taką pracę dostawałem 140 zł. miesięcznie plus godzinowo kilometrowe, które wynosiło miesięcznie około 120 zł. W tym czasie urodziło nam się drugie dziecko — córka. Lecz widać już jakieś fatum prześladuje nas, bo gdy w marcu 1930 roku Dyrekcja Kolei zwalnia w Dyrekcji Warszawskiej około 1000 ludzi, w tej liczbie i ja się znajduję. Ale dzięki alarmom prasy robotniczej i zdecydowanej postawie związków zawodowych, a w szczególności Z. Z. K. redukcje cofnięto, a nas porozrzucano po różnych stacjach — na 15 dni w miesiącu z płacą 6 złotych dziennie. Ja dostałem się do Zagłębia Dąbrowskiego, pracowałem tam przez dwa miesiące po 15 dni a do 1-ego stycznia 1931 roku, — na cały miesiąc. Redukcja jaka była z dniem 1-ego stycznia 1931 roku, przeprowadzona w całym państwie na kolei — tym razem mnie nie ominęła i z dniem 1 stycznia 1931 roku — zasililem kadry bezrobotnych.

I tu się zaczyna moja walka o pracę, walka o chleb, tem straszniejsza, że ofiarami są jej kobiety i dzieci, które jeszcze nikomu niezdolne są krzywdy wyrządzić, a jednak w tym ustroju społecznym, w tym ustroju bankrutującego kapitalizmu, te dzieci najwięcej cierpią i odczuwają one te dni głodu. W przyszłości wszystko będzie się później mściło. I jeżeli tak bliżej się zastanawiam nad swoim losem i żony i dzieci naszych, to przychodzi jakaś dzika myśl — raz skończyć z tem wszystkim — po co się tak męczyć, gdzie jest kres tej walki?

Mam lat 24 i dwie zdrowe ręce do pracy, ale tę pracę przy dzisiejszym kryzysie gospodarczym znaleźć, to znaczy wygrać główny los na loterii.

Żona ma lat 23 i musi być stale w domu przy dzieciach. Jedno ma 3 lata skończone, chłopiec urodzony 1 listopada 1928 r.,

drugie dziewczynka $1\frac{1}{2}$ roku, urodzona 16 stycznia 1931 r. To jest moja rodzina, która woła codzień jeść, a tu nie ma z czego dać. Gdy postradał pracę na kolei, musiałem mieszkanie na Zagłębiu zlikwidować i przyjechać do Warszawy. Tu znalazłem się bez żadnego wyjścia, raz że byłem bez pracy, drugie nie miałem mieszkania. Żona znalazła jakąś wdowę, robotnicę, która od dwóch lat pracuje tylko trzy dni w tygodniu i która zgodziła się nas przyjąć na mieszkanie, w którym nawiasem mówiąc ledwo sama się mogła pomieścić, ale trudno, jak się pomieści jedna osoba, to się i zmieści 5 osób też. Dwoje dzieci śpi na łóżku razem z tą wdową, a ja z żoną na ziemi, gdyż gdybyśmy nawet chcieli tylko połowę łóżko wstawić, to już nie ma go gdzie rozstawić. Całe mieszkanie posiada $3\frac{1}{2}$ metra szerokości, $2\frac{1}{2}$ metra długości i 3 metry wysokości. Okno 70 cm. długie i 70 cm. szerokie. W całym mieszkaniu stoi jedno łóżko żelazne, jedna mała szafa, jeden stół kuchenny na dwie osoby, dwa krzeselka i taburet — całe umeblowanie. Nawet gdyby ktoś chciał coś postawić — to niema już gdzie. Na dokładkę wilgoć, że wprost oddychać nie można. Mieszkanie znajduje się na czwartym piętrze i z trzech stron jest szczytowe, a jedna ściana przylega do sąsiadów.

Pierwsze trzy miesiące, czyli styczeń, luty, marzec — jakoś nam zleciały, że nie odczuliśmy tak strasznie, że ja jestem bez pracy. Żona miała odłożonych parę złotych, do domu narazie nie kupować nie potrzeba było, więc na skromne życie jakoś starczało. Ale już w kwietniu, gdy pieniądze się rozeszły, a ja już drugie zelówki dodzierałem przy szukaniu pracy, coraz częściej zaczynał głód pukać do naszych drzwi i pomalu zaczęliśmy się wyprzedawać. Na pierwszy ogień poszedł plater, który nas kosztował 160 złotych, a sprzedany został za 56 złotych. Może był ze cztery razy używany. Żona miała kożuszek, kurtkę, kosztował 120 zł. a sprzedaliśmy za 40 zł., później pierścionki złote zaręczynowe, kosztowały 90 zł., sprzedane za 45 zł., i tak stale coraz to co innego ubywało i stale było mało i mało.

W maju żona mi zachorowała, wyla się w boleściach, a ja na doktora nie miałem, żeby go sprowadzić do domu. Sprzedałem stół dębowy i 4 krzeselka za 30 zł., a nas kosztowało 140 zł. Sprowadziłem doktora, który orzekł, że żona musi leżeć, ma silne zapalenie jajników i macicy, przytem silna anemja i jeszcze coś. Wytłumaczyłem mu, że ja jestem bez pracy, żona niema możliwości w domu leżeć, bo niema gdzie, a nieraz jest tak, że i niema co

jeść, wysłuchał i kazał mi przyjść do siebie na drugi dzień. Przyszędłem, przywitał się ze mną nadzwyczaj serdecznie, zdaje się, że pierwszy człowiek w ciągu tych pięciu miesięcy bez pracy tak się do mnie odniósł. Dał mi kartkę do szpitala, tylko żebym żonę odwiózł, a reszta to mnie już nie obchodzi, gdyż za szpital on już uregulował. W czasie choroby żony przysyłał przez służącą co dzień dwie kwarty mleka i pieczywo przez blisko dwa miesiące. Zaznaczam, iż doktor ten był izraelitą, nazwiska nie wymieniam, gdyż prosił, żeby nikomu o tem nie wspominać, ale tutaj jeszcze raz Ci dziękuję nieznanemu doktorze za ten prawdziwie samarytański uczynek. Gdyby Polska miała takich więcej obywateli jak Ty, napewno byłoby w kraju lepiej. Z Funduszu Bezrobocia zapomogi nie brałem, bo kolej składek na Fundusz Bezrobocia nie oplaca. Do Opieki Społecznej pisałem cztery razy o zapomogę, ale do tej pory nie zdążyli jeszcze przeprowadzić wywiadu, taka to jest pomoc. Czekaj Macieju, aż ci się ciełe ocieci.

Po wyjściu żony ze szpitala, obrączki poszły do lombardu za 15 zł. i zdaje się, że już przepadły, bo procentu nie opłacałem, gdyż nie miałem z czego. Rodzina trochę nam pomaga, ale to wszystko jest zero, w porównaniu z tem, jakie są potrzeby w domu. Lipiec był jeszcze gorszy, jak poprzednie miesiące, gdyż nie było już co sprzedać. Z żony zrobił się cień kobiety, ona co ważyła 59 kg. waży obecnie 46, ja ważę 54 kg., a ważyłem więcej od żony, o dzieciach to szkoda nawet mówić, chłopiec, który powinien ważyć chociaż ze 17 kg. waży 11½, dziewczynka 8 kg. Blade, wargi jakieś sine, zamiast różowych, pod oczami sińce, stale chore. Tak zjadł je niedostatek, te najmłodsze ofiary kryzysu. Ale nikt nie powinien się dziwić, że jest tak, a nie inaczej, bo przecież jak mi wychodzi tygodniowo niecały kg. cukru na 4 osoby, a jakim pracowałem, to wychodziło do 3 kg., jak kupię 1/2 litra mleka na dzień, to jest dużo dla dwojga dzieci — bo nieraz jest tydzień, to go i wcale nie widzą, nie mówiąc już o słodyczach, których się nawet im nie pokazuje.

Najczęstszym naszym pożywieniem jest mąka, kartofle i kasza, bo chleb to też jest luksus, na który stale sobie pozwolić nie można. Nieraz gdy po całodziennej lataninie po mieście za pracą, przyszedłem do domu, to pomimo, że głód mi kiszeki skręcał, jeść się już odechciało, gdy żona pyta się: no i jak? — a chłopiec starszy leci i woła, tatusiu, daj chleba. A tu nic i nic, latasz od warsztatu do warsztatu, od fabryki do fabryki i stale jedna i ta

sama odpowiedź: — pracujemy na trzy dni, jutro redukcja, od 15-ego zamykamy, naszym ludziom nie placimy, bo niema z czego i stale w kółko jedno i to samo.

Rząd szumnie ogłaszał zniżkę cen produktów spożywczych i przemysłowych i w ślad za tem mającej nastąpić jakiejś fali, która zrodzi zapotrzebowanie na te tanie artykuły, co samo przez się ożywi fabryki, zmniejszy się bezrobocie — ale przedtem było obcięcie poborów pracownikom państwowym i fala bezrobotnych jak była dużą, tak i pozostała. Produkcja wyrobów przemysłowych jeszcze bardziej się skurczyła, bo niema komu ich nabywać za biedni jesteśmy. Ja mam taki prosty przykład na sobie, ja zużywam kilo cukru, ale gdyby był tańszy zużyłbym go dwa kilo, i w ten sposób postąpiliby wszyscy. Produkcja cukru musiałaby być odpowiednio większa, a samo przez się i robotników by było więcej zatrudnionych. Ale u nas robi się inaczej. Polskim cukrem farmerzy angielscy świnie tuczą, i placą za kilo 20 groszy, ale ja polski bezrobotny, muszę w kraju płacić za kilo 1 zł. 60 gr. Pytam się, czy to jest sprawiedliwie? Czy nie można zajrzeć do gospodarki cukrowników? Tylko pytanie kto to ma zrobić.

Dawniej w sklepiku mogłem mieć i 100 złotych długu i nie bali się dać, a dzisiaj i za 10 złotych nie chcą dać, gdyż starego długu nie zapłaciłem. Należy się około 80 zł., węglarzowi za węgiel 40 zł., komornego nie placę już od 6 miesięcy, też jestem winien 60 zł. Zona trochę pomaga, przyjmuje bieliznę do haftowania, nieraz w tygodniu zarobi od 5 do 10 złotych, ja wyrzynam laubzegą z dykty różne ramki do fotografii — a kolega też bezrobotny sprzedaje je. Nieraz zarobimy we dwóch do 4 zł. na dzień, a przeciętnie wypada 1,30 do 1,60 zł. dziennie na każdego z nas i jak tu wyżywić za to 4 osoby. Kupić opał, światło, życie, wszystko to za ten 1,60 zł. Ja już niczego więcej nie życzę tym panom i innym tylko aby oni przeszli też te męki głodu i chłodu i aby też kiedyś za 1,60 zł. wyżywili rodzinę składającą się z czterech osób. Wyrabiałem różne zabawki, ale to wszystko się nie oplaci, nieraz jest tak, że i 20 groszy się nie zarobi — a tu trzeba żyć, trzeba dać jeść żonie i dzieciom. Znajdzie się taki gorliwy policjant — to i mandat karny każe sobie zapłacić i niema żadnego tłumaczenia, płac 2 złote, bo później zapłacisz 15 zł., taki to jest handel. Przed świętami handlowałem świeczkami i zinnymi ogniami i t. p., zarobię 2 do 3 złotych na dzień, ale po świętach czem będę handlował i co będę robił? Na święta dawni towarzysze pracy zrobili mi składkę.

Dostałem 43 zł., to w te pędy musiałem dzieciom kupić obuwie, zapłacić za węgiel, w sklepiku i znów niema i gdzie koniec. Potworzono różne Komitety do walki z bezrobociem, Stoleczne, Wojewódzkie, Starościńskie i co z tego jest. Jak chodziłem bez pracy tak chodzę, jak byłem głodny, tak jestem, boć przecież tych zgnilych kartofli to nie można brać na serjo, że to jest pomoc bezrobotnym, to jest tylko naigrywanie się z nas, to jest pomoc dla obszarników, gdyż oni pozbędą się nieużytecznych artykułów, którymi by i bydła nie mogli paść, ale bezrobotny ma czas, może stać po parę godzin w różnych ogonkach zanim tej zgnilizny dostanie i w rezultacie wyrzuci. Mam 24 lata i zdrowe ręce do pracy i dziś wołam, a ze mną wołają tysiące głodnych i nagich.

Dokąd nas prowadzicie? Gdzież koniec tej strasznej walki o kawałek chleba? Dajcież nam pracy i chleba! Dajcież nam prawo do życia! Dajcież nam dzieci wychować dla Państwa! Jutro może już być zapóźno — ręce nasze pożądają pracy — nieprzywykłe one tylko przebywać w kieszeniach palta czy marynarki, pragną pracować, tworzyć, budować, ale gdy będzie się to przeciągać w jakąś nieskończoność — będą umiały i burzyć!

Podam tutaj wyciąg z pamiętnika, który prowadzimy z żoną od roku 1927.

8 listopad 1931 rok.

Wczoraj zarobiłem na sprzedaży ramek 1.45 gr. Na śniadanie mieliśmy herbatę i chleb, dla dzieci kupiła żona 1/2 litra mleka — obiad zupa kartoflana, na kolację jedliśmy zupę z obiadu. Ja cały dzień wyrzynałem ramki.

9 listopad 1931 rok.

Na śniadanie zrobiła żona zacierek — ja poszedłem od rana sprzedawać ramki, które w niedzielę wyrzynałem. Przyszedłem dopiero wieczorem. Sprzedałem 2 sztuki, zarobiłem 80 groszy. Na kolację jadłem zupę z obiadu, kapuśniak z kartoflami.

10 listopad 1931 rok.

Śniadanie — herbata z chlebem, od rana się jakoś dobrze zapowiada, żona dostała trochę roboty — z 5 zł. zarobi do soboty. Byłem w Pośrednictwie Pracy, ale nic niema. Do Opieki Społecznej złożyłem już 3 podania o zapomogę. Na obiedzie — nie byłem. Kolację zjadłem razem z obiadem, był krupnik.

11 listopad 1931 rok.

Dziś jadę do Grodziska. Na śniadanie była wczorajsza zupa, obiadu żona nie gotowała. Ja przyjechałem w nocy. Zjadłem kawałek chleba, nic nie załatwilem, mieli przyjmować w fabryce octu. Za kolej nie płaciłem, jechałem na gapę.

12 listopad 1931 rok.

Na śniadanie zupa kartoflana. Już mi obrzydła, ale jak niema czego innego, to trzeba i to jeść. Żona wykończy robotę, bo jutro ma oddać, ale pewno nie zdąży. Ja zarobiłem dzisiaj 1.50 zł., ale zapłaciłem mandat karny policjantowi dwa złote. Żebyś się nie urodził! Cały zarobek zabrał mi i jeszcze musiałem dolożyć. Wieczorem jadłem kluski kartoflane ze słoniną.

13 listopad 1931 rok.

Dzień feralny. To nic nie zaczynam. Na śniadanie herbata i chleb, na obiad — krupnik z kartoflami.

14 listopad 1931 rok.

Na śniadanie wczorajsza zupa, dzieci mają mleko, żona oddała robotę i zarobiła 6 zł., ja też zarobiłem złotówkę. Żona kupiła 1/2 kilo mięsa na rosół dla dzieci, przecież jutro niedziela — na obiad była grochówka.

Nie będę dalej pisać bo w małych odmianach powtarza się to prawie stale. Przecież każdemu, który bliżej patrzy na naszą nędzę, sam się zorientuje, co można kupić i jak zjeść za te marne parę groszy, które się zarobi. Pisałem ogólnie o wszystkim, to co może kogo interesować i co mnie dotyka. Nie chciałem uprawiać fantazji i na każdej stronie pisać słowo głód, bo przecież wiadomo, że te marne pieniądze nie starczą, aby prowadzić życie dostatnie. Nędza jest duża, ale nawet się o niej nie chce pisać, ubrania się dodzierają, co będziemy robili, po Nowym Roku, i jaki to będzie ten Nowy Rok, czas pokaże.

Warszawa, dn. 4 stycznia 1932 r.

Pamiętnik Nr. 7

Brakarz
zamieszkały w Warszawie

Mam lat 22. Kawaler. Samotny. Pochodzę z Wileńszczyzny z nad jeziora Narocz. Ukończyłem szkołę powszechną i jako samouk w dalszym ciągu zdobyłem wykształcenie mniej więcej w zakresie szkoły średniej. Pracowałem najpierw jako brakarz na stacji Niemen przy eksploatacji kopalniaków do kopalń śląskich. Następnie pracowałem w charakterze inkasenta w pewnej fabryce lniarskiej w Warszawie, która została zlikwidowana przed paroma laty. Później pracowałem po kilka miesięcy w fabryce guzików i w fabryce wentylatorów. Ostatnio pracowałem jako pomocnik, a następnie już jako murarz u majstra * * *. Wogóle dotychczasowe życie moje było przeplatane okresami pracy i bezrobocia. Nigdy jednak nie byłem pozbawiony tak długo zarobku jak ostatnio, gdyż obecnie nie pracuję od 24 listopada 1930 roku.

Podaję na samym wstępie garstkę szczegółów co do mojej osoby w takim porządku, jakby na indagacji policyjnej, które może będą potrzebne dla lepszego zrozumienia moich dalszych enuncjacji. Sądząc z warunków konkursu — nadesłane „pamiętniki bezrobotnych“ mają posłużyć do badania naukowego — to też będę rad, jeżeliby tych kilka skromnych zdań, które skreśliłem o przeżywanej przezemnie nędzy, miałyby się przyczynić do rozświetlenia choć w małym stopniu tak ważnej obecnie kwestji bezrobocia. Oczywiście żadnego pamiętnika nie pisałem i tylko teraz — stosownie do tematu konkursowego — odtwarzam z pamięci cały okres od chwili, gdy straciłem pracę.

Sezon budowlany już był skończył się. Dom, który murowaliśmy przez całe lato i jesień, był prawie skończony. Zostało tylko kilka pokojów niewyprawionych na piętrze.

Na oknie kantorku, gdzie zwykle wypłacano w soboty robotnikom pieniądze, od dwóch tygodni bielala zapisana ćwiartka papieru, która obwieszczała wszystkim murarzom, cieślom, pomocnikom i innym pracownikom o wymówieniu pracy.

Ponieważ tego dnia była ostatnia wypłata, więc robota na budowie postępowała zółwim krokiem. Nawet majster, który zawsze stał nad naszymi karkami i poganiał, owego dnia wcale nie wyłaził z kantorku. I tylko dozorca raz po raz gnał na drugą stronę ulicy do knajpy po piwo i papierosy i po chwili leciał zziębnięty z powrotem. Gdyż majster świetnie był zarabiał na wybudowanej przez nas kamienicy.

Wreszcie zaczęły gwizdać syreny fabryczne. Była druga godzina. Majster wysunął przez łucik w oknie czerwoną, rozgrzaną piwem mordę i krzyknął na dozorcę, aby zadzwonił na fajerant. Zeszliśmy od pracy i za chwilę wypłacono nam. Majster zredukował wszystkich z wyjątkiem paru murarzy, którzy mieli wykończyć wyprawianie domu. Każdy brał pieniądze, wciskał je do kieszeni i wynosił się.

Od tego czasu byłem bezrobotnym. Zawinąłem kielnię z młotkiem i powlokłem się do domu.

Mieszkałem na przedmieściu jako sublokator u pewnej starej klempy, która zawodowo trudniła się odnajmowaniem pokoi i kątów. Miała trzypokojowe mieszkanie z kuchnią, w którym gnieździło się zawsze co najmniej dziewięciu sublokatorów. Ja za kąt na kuchni płaciłem 20 złotych miesięcznie. Inni płacili więcej lub mniej — zależnie od miejsca, jakie kto zajmował. Pewien rzeźnik zajmował kąt przy samym klozecie i dlatego płacił tylko 10 złotych miesięcznie. Gospodyni nasza taka była chciwa, że za parę złotych wynajęłaby na mieszkanie nawet klozet, gdyby tylko znalazł się odpowiedni amator. Pozatem kutwa obdzierała nas straszliwie, jeżeli braliśmy u niej obiad lub coś innego.

W ciągu kilku pierwszych miesięcy żyłem jako tako, bo otrzymywałem zasilek z P. U. P. P. Złożyłem „papiery“ o zasilek w końcu października 1930 r. a przyznano mnie go dopiero pod koniec listopada. Pobrałem zapomogę 13 razy po 18.40 gr. tygodniowo. Ale ile musiałem nastać się w ogonkach! Po osiem godzin stałem w ogonku, aby tylko dostać się do okienka. Pozatem urzędnicy traktują bezrobotnych nadzwyczaj nicuprzejmnie, ba niekiedy brutalnie. Czasem człowiek stał od rana do wieczora w kolejce i gdy

wreszcie dostawał się do okienka – to urzędniczyna nie chciał z nim mówić i kazał na drugi dzień przyjść. Za najmniejszym protestem policja bierze za „frak“ i prowadzi do komisariatu. Również policja robi często rewizję wszystkich bezrobotnych, którzy przychodzą. Mianowicie cała rewizja odbywa się w następujący sposób: policja mundurowa i tajna (bezmundurowa) ustawiają się w podwórku przy furcie za murem, tak że ich nie widać z ulicy. Następnie, jak tylko ktoś przekroczył furtkę, to go zaraz cap i macają. Podobno znaleźli w ten sposób kilka rewolwerów. Ale swoją drogą to jest wielkie bezprawie. Bezrobotny – to bezrobotny, ale przecież jest człowiekiem i obywatelem, jak i każdy inny. Tymczasem traktuje się go jak zbrodniarza, jak głodne bydło, które, obawiają się, może rzucić się na złodziei ich pracy.

Jednym słowem w obecnym ustroju kapitalistycznym policja gra najpodlejszą rolę, bo za pieniądze i żarcie pilnuje, jak sfera psów, dobrobytu burżuazji. Jestem bezrobotny i głodny, ale nie zostałbym za nic w świecie obecnie policjantem, żebym tak skapiał.

Nieraz, stojąc w ogonku, zastanawiałem się nad współczesną sytuacją na świecie. Gazety np. donoszą, że jest kilkadziesiąt milionów bezrobotnych. Tak piszą gazety, a napewno ich jest 100 milionów na całym świecie. 100 milionów ludzi, nie mających nic do stracenia i którzy są świadomi tego, że dlatego nie mają środków do życia, iż inni zgromadzili ich za dużo. Sądząc z tego, dzisiaj na świecie stosunki społeczne najbardziej dojrzały do wywołania wszechświatowej socjalistycznej rewolucji. I zda się, że te olbrzymie masy głodnych ludzi czekają tylko na jakiegoś śmiałego podpalacza, któryby cisnął na świat zgnilego ustroju płonącego żagiew buntu. Czas już najwyższy podłożyć dynamit pod spróchniałą budowę świata kapitalistycznego. My — stumiljonowa armja bezrobotnych — czekamy. My — legjon ofiar wyzysku, który jest gotów walczyć na śmierć i życie z kapitałem i jego pacholkami, którzy oto wyrzucili nas wynędzniałych na bruki miast. Czas najwyższy, aby po całym globie ziemskim rozbrzmiał potężny zew, wzywający proletariata do walki klasowej.

Takie jest zdanie wszystkich bezrobotnych, z wyjątkiem nielicznych, których nędza rzuciła do stóp ołtarzy, którzy będąc jeszcze pod działaniem narkozy religijnej, mniemają, iż klęska bezrobocia jest dopustem bożym i aby ją odwrócić — ścierają łbami kurz z kościelnych posadzek i liżą pokornie gipsowe posągi świętych pańskich. Ci jednak są bardzo nieliczni, gdyż trzeba być

głupim jak stołowe nogi i mieć zakuty łeb, aby dzisiaj wierzyć, że ze strony religji może nadejść wyzwolenie klasy robotniczej. Owszem — chrześcijaństwo w swoim początku miało tendencje socjalne, ale dzisiaj stało się instytucją najbardziej zacofaną, będącą na usługach burżuazji i która, jako jego wierna służka, usiłuje powstrzymać ruch socjalistyczny, tumaniąc ludzi bujdami nadprzyrodzonymi.

Od chwili, kiedy straciłem pracę — gospodyni odrazu zaczęła spoglądać na mnie krzywo — bo z praktyki wiedziała, że bezrobotnego sublokatora należy jaknajprędzej pozbyć się. Tak się też i stało. Mieszkalem u niej jeszcze kilka miesięcy, a gdy wreszcie i zasilek z P.U.P.P. wyczerpalem — wyrzuciła mnie z mieszkania i to w najordynarniejszy sposób. Mianowicie, gdy przyszedłem jednego dnia do mieszkania, strawiwszy cały dzień na bezowocnym poszukiwaniu pracy — zastałem swoją walizkę i kilkadziesiąt książek, które w ciągu kilku lat uzbierałem — leżące na schodach. A gospodyni przez zamknięte drzwi oświadczyła, że już nowy sublokator zajmuje moje miejsce w kuchni.

Kopnąłem ze złości drzwi. Stara rajfurka narobiła piekielnego krzyku i pisku — jakby ją zarzynano — aż przyleciał dozorca. Więc zabrałem swoje graty i wyszedłem.

Dłuższy czas stałem przed bramą, nie wiedząc dokąd udać się. Wreszcie poszedłem na Dworzec Główny i oddałem rzeczy do przechowalni. A sam spędziłem tę noc, walęsając się po mieście. W kieszeni brzęczało zaledwie kilkadziesiąt groszy. W nocy, gdy miasto spało, szwendałem się po pustych o tej porze jezdniach i chodnikach, albo przystawałem i oparłszy się o jakąś ścianę czy latarnię — zagłębiałem się w myślach, chcąc znaleźć wyjście z sytuacji.

Nazajutrz z samego rana odebrałem rzeczy z przechowalni i zaniósłem je na Plac Kercelego, gdzie po dłuższych pertraktacjach z handelesami — sprzedałem. Uzyskałem za dwie używane marynarki, 67 książek i inne drobiazgi aż 50 zł. Najbardziej żał mi było książek. Była to cała moja biblioteczka, którą starannie skompletowałem w ciągu wielu lat. Gargantua i Pantagruel — Rabelais'ego, Manifest Komunistyczny — Marksa i Engelsa, Słownik Wyrazów Obcych, Samouczek języka francuskiego i hiszpańskiego — wszystko to pojechało spocząć na straganie kramarskim.

O wynajęciu mieszkania nie było mowy. Postanowiłem wydać na życie nie więcej jak 50 gr. dziennie. Stosownie do tego postanowienia z rana każdego dnia kupowałem dziesięć dekagramów sera litewskiego za 20 groszy, który najczęściej był trochę zepsuty i cuchnął, jak wszystkie kloaki Litwy. Ten znakomity madrygał można nabyć tylko na Kercelaku. Do tego kupowałem chleba. Wieczorem szedł na zmianę śledź albo kielbasa z trychinami. I oto był cały mój jadłospis — niezbyt urozmaicony coprawda. Niestety, po kilku miesiącach zabrakło i tych delicyj. Właściwie środków żywnościowych nie zabrakło, tylko brakło pieniędzy na ich nabycie, gdyż po dawnemu sklepy były zawałone wszelką żywnością.

Według kalendarza zima musiała już skończyć się, ale mrozy jeszcze trzymały. Marzec dał się najgorzej we znaki. Nocowałem po wszelkiego rodzaju poczekalniach publicznych, a najczęściej na dworcach. Wypędzano z jednego — szedłem na drugi. I tak zanim obszedłem wszystkie — zazwyczaj robił się świt. Pracy żadnej nie mogłem znaleźć. Tylko dwa razy udało się dostać do sprzątnia śniegu i zarobić 15 zł. Po całych dniach lazałem za pracą. Gdzie o nią nie pytałem. Całą Warszawę podzieliłem na 25 części — i co dnia jedną część obchodziłem, ofiarowując siebie. Czyli że w poszukiwaniu pracy — trzymałem się pewnej metody. Ale cóż — nigdzie nie przyjmowano. A gdzie i byli potrzebni pracownicy — to przyjmowali tylko z protekcji.

Dzień przepędzałem jakoś — zaś po nocach strasznie dukało zimno — od którego nie mogło uchronić moje wytarte i wyswiechtane ubranie.

Zasłyszałem pewnego razu, że niejaki ksiądz proboszcz kościoła na Woli wyrobił niektórym pracę dzięki swym stosunkom. Poszedłem do niego. Jestem wolnomyślicielem, ale czego się nie robi dla głodnego żołądka, to też udałem religjanta. Wchodzę na plebanję. Dzwonię. Otwiera drzwi rumiana i pulchna jak buleczka gospodyni proboszcza. Spojrzała podejrzliwie na oberwusa (mnie). Powiedziałem jej, że chcę widzieć się z proboszczem Antonim (tak się on wabi). Odpowiedź: O nie, teraz nie można, bo ksiądz dopiero co po obiedzie i przez godzinkę musi odpocząć. Przyjdźcie wieczorem.

Nie chcąc zamącić spokojnego trawienia ojca duchownego postanowiłem przyjść wieczorem.

Przychodzę wieczorem. Stukam. Znowu gospodyni, zarumieniona jak wisienka, powiada, abym zaczekał z pół godzinki, gdyż ksiądz udał się na przechadzkę do ogrodu.

Klnę w duchu klechę i czekam.

Wreszcie zjawia się dobrodziej. Nagabuję go, czy nie mógłby pomóc w znalezieniu pracy.

Ksiądz: Gdzie teraz dostać pracę? Nie znam. Nie. Idźcie sobie z panem bogiem.

Wkładam czapkę i wychodzę. Ale nie doszedłem do bramy, gdy klecha wola mnie z powrotem. Pyta: Cóż jednak potraficie robić? Czy pisać ładnie możecie? Na moje tak, każe przyjść jutro z rana. Tylko się trochę ochędożcie — powiada.

Przychodzę nazajutrz. Daje mi do przepisywania jakieś stare akty kościelne. Piszę. Piszę jeden dzień i drugi po dwanaście godzin dziennie. Piszę dwa tygodnie. Tymczasem pieniędzy za pracę ani widu ani słyhu. Zaczynam domagać się. Ksiądz każe cierpliwie czekać. Czekam jeszcze dwa dni i wreszcie robię bałagan. Ostatecznie ksiądz wypłacił 10 zł. i kazał wynieść się z panem bogiem, co w księżym słowniku znaczy: wynoście się na złamanie karku.

O miłości chrześcijańska! za dwa tygodnie pracy aż 10 złotych. Nawymyślałem klesze od pasorzytów i handlarzy wiatrem — splunąłem na świeżo wyfroterowaną podłogę, na widok czego księżej metresy omal szlak nie trafił i wyszedłem.

Teraz przeżywałem najgorszy okres. Coprawda i poprzednio nie miałem ani mieszkania, ani środków do życia, ale zawsze coś nie coś wpadło czasem: to zasilek z P.U.P.P., to sprzedałem graty lub in.

Robiło się na świecie coraz cieplej — w pogodne dnie w ogrodzie Skaryszewskim, gdzie zachodziłem często, na dobre pachniało wiosną, szczególnie w południe. Bezrobotnemu w to graj. Myślałem, że z nastaniem lata człowiek łatwiej przebieduje.

Na dworcach kolejowych nie mogłem już nocować, gdyż dyżurni policjanci zapamiętali byli moją gębę i jak tylko mię zobaczyli, to wiedzieli, że to bezrobotny i kazali wynieść się. Więc całe noce musiałem spędzać, spacerując po mieście. Najczęściej znajdowałem się nocą w okolicy mostu Poniatowskiego, który właściwie należałoby nazwać mostem samobójców, bo wielu ludzi z biedy — tej zimy skoczyło z tego mostu do Wisły. Dwa ra-

zy byłem świadkiem tego ostatniego aktu ludzkiej niedoli. Pozwolę tu sobie opisać jeden z tych wypadków. Było to tak.

Okolo godziny pierwszej w nocy wlokłem się przez most. Kiszki mi grali marsza pogrzebowego Chopina. W ustach język wysechl na wiór. Idę i klnę sobie po cichu „ten najpiękniejszy z pośród światów“. Nagle dobiegło moich uszu czyjeś lkanie, które przejęło do głębi moje serce. Obejrzałem się. W odległości 10 kroków odemnie wlaził na parapet mostu jakiś obdarty człowieczek. Przyglądam się — co będzie dalej. Niebörak najpierw siadł okrakiem na parapecie, następnie stanął z trudem utrzymując równowagę, wreszcie przeżegnał się, rozczapierzył ręce i fajtnął, głową w dół. W ciemnościach plusnęło -- rozległ się jakiś niesamowity belkot, jakby się ktoś dusił — i po wszystkim.

Z drugiego końca mostu nadbiegł policjant. Rzucił koła ratunkowe, ale już było za późno. Chciał również mnie zabrać do komisarjatu, że niby dłaczego nie przeszkodziłem w samobójstwie. Powiadam mu, że każdy jest panem siebie i ja nie miałem najmniejszego prawa moralnego powstrzymać nieszczęśliwego od targnięcia się na własny nędzny żywot.

Ha, możebyście jeszcze chcieli hołoto, żeby dla was zrobiono trampolinę, z której byście skakali do rzeki — warknął policjant. No, ale jakoś skończyło się na tem i nie zabrał mię do komisarjatu.

Pod wpływem tej sceny opadły mię tak posępne myśli, że ledwo sam nie skoczyłem do wody, jak tamten.

Nie byłem sam. Po mieście włóczyły się liczne postacie podobne do mnie. Jeżeli przypadkiem w kilku zgromadziliśmy się gdziekolwiek, to zaraz zaczynaliśmy utyskiwać na obecne czasy. Mało tego, że cierpimy nędzę, to jeszcze ciągle policja depte po piętach. Wystarczy być robotnikiem bez pracy, a już policja ma go za podejrzanego. A coż dopiero bezdomnym. Robią obławę po nocach. Pakują do paki. Owszem, wielu znalazłoby się chętnych, aby iść do więzienia, gdyby tam mniej bili po mordzie i lepiej odzywiali. Niestety, akurat jest naopak.

Oczywiście, ja jestem przykładem bezrobotnego w ostatecznej nędzy, ale jest dużo, którzy jeszcze jakoś trzymają się. Niektórzy mają trochę oszczędności. Mają mieszkanie i ciągną zysk z sublokatorów. Inni mają dorywcze zarobki, jak np. handel uliczny i t. d. Obecnie wogóle i robotnikom mającym pracę nie wielu się powodzi dobrze. Najlepiej mają robotnicy, pracujący w zakładach rządowych i samorządowych, gdyż są zorganizowani, zaś robotni-

cy z instytucji i fabryk prywatnych są najbardziej wyzyskiwani przez kapitalistów, tych prawdziwych rekinów, pożerających krwawicę proletariatu. Pozatem praca w firmie prywatnej nigdy prawie nie trwa dłuższy czas. Mój jeden znajomy pracował w fabryce Borman i Szwede. Myślał, że siedzi jak u „Pana Boga“ za piecem. Tymczasem przyszła redukcja i wyrzucili wszystkich.

Zresztą kto ma pieniądze, ten zawsze znajdzie przyzwoitą pracę. Bo u nas w Polsce dużo rzeczy robi się „na lewo“, mówiąc językiem robociarskim. Znam również pewnego fagasa, mającego osiem morgów gruntu pod Warszawą. Ziemię wydzierżawił. Sam przybył do Warszawy. Pożyczył pewnemu urzędnikowi w... 1000 złotych i przyjęto go do pracy, chociaż w tym samym czasie redukcja odbywała się. Zresztą widzę, że zaczynam odbiegać od tematu.

Nędza cisnęła mi coraz bardziej. Nie miałem nic w ustach po całych dniach. Tyle tylko, że czasem wynajmowałem swój grzbiet handlarzom na targowisku, aby odnieść jakikolwiek pakunek. Wtedy wpadało kilkadziesiąt groszy, których musiało nieraz starczyć na cały tydzień. Co ważniejsze, że nie piję alkoholu i nie palę, przez to zawsze łatwiej trochę wegetowałem niż inni, którzy zaraz po złapaniu jakiegoś złociszka — przechlają go. Żywiłem się w tym czasie przeważnie chlebem razowym i surową marchwią, która jest tania i zauważyłem, że podtrzymuje całkowicie wycieńczony organizm.

Wreszcie na dobre zrobiło się ciepło. Słońce przygrzewało mocniej coraz — ku niemalej radości bezdomnych włóczęgów. Ja również przesiadywałem teraz przeważnie po ogrodach i „opalałem“ swoją chudą twarz. Jedyne bezpłatne rzeczy, które pozostały nam ludziom, to powietrze i słońce.

W tym czasie bardzo dużo rozmyślałem o sobie, o świecie. A to dlatego, że poprzednio zimno nie pozwalało poprostu skupić myśli. Zastanawiałem się na przykład: czem są w istocie swej pieniądze, które stały się środkiem i celem dzisiejszego życia. I dochodziłem do wniosku, że pieniądze są to poprostu bezwartościowe same w sobie znaczki, za które jednak można wszystko nabyć, począwszy od bochenka chleba, a skończywszy na pieszczotach miłosnych najpiękniejszej kobiety. W ustroju burżuazyjnym wszystko się czyni tylko dla zdobycia jaknajwiększej ilości pieniędzy. Przed złotym cielecem bije łbem o ziemię cała burżuazja.

A o pieniądź jako środek do życia — musi walczyć każdy. Wszystko dla pieniędzy. Dla nich sprzedaje swoje ciało prostytutka, dla nich czyni się na świecie największe podłości. Podłym jest ustrój kapitalistyczny, w którym wszystko robi się dla pieniędzy.

Zastanawiałem się również często nad sobą, jako organizmem i częścią społeczeństwa. Robiłem jakby przekrój swojej duszy— i za pomocą introspekcji wdzierałem się do własnej świadomości, którą całkowicie wypełniało uczucie głodu, to potężne wołanie próżnego żołądka. Każde skojarzenie wyobrażeń prowadziło zawsze do tego samego, do pragnienia pokarmu. Spoglądałem np. na trawnik. Przypominała mi się ruń żyta. A—żyto. Z żyta robi się chleb. Chleb! I już pod wpływem tego wyobrażenia z gruczołów ślinowych wydzielać się zaczyna ślina i czułem zapach cudowny świeżo upieczzonego chleba.

Siedząc w ogrodzie, widziałem pary zakochanych, szukających samotności. Co do mnie — to uczucie głodu całkowicie zagłuszało instynkty seksualne i obojętnie spoglądałem na kobiety, których rozpromienione twarze aż nadto wyraźnie mówiły o tem, co w ich sercach wyrabiała wiosna.

Wszystko to było głupstwem. Ja byłem głodny.

Byłem głodny, chociaż wokół mnie pełno było żywności. Wystarczyło przecież wyciągnąć rękę przez drzwi sklepu, a już czleku mogłeś zatknąć próżnię bolesną wyjącego o pokarm żołądka. Lecz nie mogłeś tego uczynić. Setki policjantów pilnowało tego jadła, którzy każdej chwili gotowi byli rzucić się na nędznika konającego z głodu, który odważył się bezczelnie wyciągnąć łapę swoją po chleb. Gdzież znajdziesz sprawiedliwość? Prawo świeckie powiada: cudza własność jest świętą. Zaś w dekalogu, danym ludziom przez Jehowę na Górze Synaj, stoi jak wół: Nie kradnij! (choćbyś zdychał z głodu).

Widziałem raz głodnego, który ukradł salceson. Było to w hali na Pradze. Porwał on ze straganu ten salceson i począł uciekać, pożerając go w biegu. Przekupki, przechodnie, policjant — wszystko hurmem rzuciło się za biedakiem. Dopędzili. Lecz głodomór już był zdążył zeżreć pół salcesonu. Rzucono się jak na wściekłego psa. Poszkodowana przekupka omal nie wydrapała mu oczu. Policjant zaciągnął do komisarjatu. Słyszałem później, że dostał podobno dwa miesiące więzienia.

O komedjo ludzkiej sprawiedliwości!

Gdy czasem szedłem w stronę Belwederu i Łazienek — to zwykle nie mało napsulem sobie żółci. Bo proszę sobie wyobrazić. Ja głodny ślaniam się po ulicach, a tu panowie arystokracja konno spaceruje po Alejach. Ja bezdomny, a tu wznoszą się pałace i wille, zamieszkane tylko przez kilku ludzi. Tysiąc metrów szczęśliwych mieszkania wypada na jednego. I myślałem sobie nieraz w duchu: Ach, gdyby ustawić na rogu parę karabinów maszynowych i wystrzelać wszystkich tych pasorzytów, wymieść z oblicza ziemi całą tę holotę jaśnie pańską. Byłem wściekły i bezsilny.

Gdy piszę o sobie, to siłą rzeczy staję się subiektywnym w poglądzie na świat. Ja jestem uświadomionym proletariuszem i ta kontrastowość życia w społeczeństwie burżuazyjnym uderza mnie, razi i oburza, ale wielu bezrobotnych nie zdaje sobie jasno sprawy z krzywdy, jaka im się dzieje. Wielu z tych bezrobotnych, którzy w ostatnich czasach popełnili samobójstwo — uczynili to niektórzy, przypuszczam pod wpływem natrętnej myśli, że stali się niepotrzebnymi na świecie. Rzeczywiście każdy bezrobotny jest jakby wyrzucony poza obręb twórczego życia świata. Ja na przykład, gdy pracowałem, to chociaż czyniłem to dla zarobku, tem niemniej miałem niejakię pocucie, że oto biorę udział w mrówczej pracy tworzenia, że choć w małym stopniu przyczyniam się do postępu ludzkości. Siedziałem w biurze, wpisując długie kolumny cyfr do ksiąg buchalteryjnych i miałem pocucie i zadowolenie z tego, że praca moja jest coś warta. Dźwigałem wapno do muru i myślałem nieraz, że oto ja kiedyś zniknę, powrócę do ziemi, z której lona wyszedłem przez dziwaczny zbieg okoliczności nieznaných, ale pozostanie tu na świecie mój pot i praca, które wsiąkną w ten mur.

Trafilo się mnie jakoś w lipcu, że nie jadłem w ciągu trzech dni. Pod koniec trzeciego dnia już tylko z trudem dźwigałem kulakami. Było gorące południe. Kto miał czas — ten biegł kąpać się do Wisły. Ja również zawlokłem się nad brzeg rzeki. Ściągnąłem ze siebie ubranie, aby się trochę umyć i opalić. Zdziwilem się, że ludzie zaczynają oglądać się na mnie i szeptać pomiędzy sobą. Spoglądam na siebie i z przerażeniem stwierdzam, że w ciągu tych kilku miesięcy ciało moje przemieniło się w szkielec, obciągnięty żółtą skórą. Gdzie dawniej był brzuch — widniała wielka jama. Klatka piersiowa przemieniła się w prawdziwą klatkę, o której pręty, — żebra, tłukło się serce, jak zdychający ptak. Zawstydzilem się swej nędzy. Dałem pokój opalaniu się. Ubrałem

się szybko, aby nie obrażać ludzkich oczu swoją chudością prze-
rażliwą.

Straciłem byłem wszelką nadzieję znalezienia zarobku. Co miałem czynić? Może popełnić samobójstwo — zastanawiałem się. Nie, przenigdy! Przecież może jeszcze coś uczynię na tym świecie. Może przydadzą się moje ręce i głowa do czegoś lepszego. Bo pomimo, że byłem pół umarły z głodu, to jednak nie sprzeniewierzyłem się idei człowieka, którą powziąłem niegdyś. I czekałem jakiejś zmiany, sądząc, że taki stan na świecie nie potrwa długo, że wszystko wskazuje, iż żyjemy w czasie wielkich przełomów dziejowych. Cóż, że dzisiaj zadasz sobie śmierć — mówiłem ze sobą — kiedy może jutro byłbyś potrzebny. I żyłem.

Pewnego pochmurnego dnia wałęsałem się bez celu na Placu Kercelego, kombinując — skąd wydobyć parę groszy. W tem nos w nos zetknąłem się ze swoim dawnym kolegą biurowym K. Rozgadaliśmy się.

— Frajer z ciebie, powiada, że klepiesz biedę. Patrz, ja nie nie robię również i mam forszę.

Ja w te pędy zacząłem go badać w jaki sposób, co i gdzie. Dopiero mi wyluszczył, że zajmuje się drobnym handlem. Mianowicie nabywał w mieście różne galanteryjne towary, jak brzytwy, krawaty, krzyżyki, prezerwatwy i sprzedawał po wsiach. Żyliśmy z nim ongiś dobrze i wiedział o mojej ucziwości. To też aby mi dopomóc, dał na kredyt trochę towaru i mieliśmy razem wyruszyć na prowincję.

Nazajutrz rano poszliśmy z miasta w kierunku północnym. Szliśmy cały dzień, aby odbić jaknajdalej od Warszawy. Sprzedaliśmy w kilku wsiach 9 tuzinów igieł i zarobiłem w ten sposób więcej niż dwa kilogramy chleba.

Wreszcie doszliśmy do powiatowego miasteczka Ciechanowa. Tu rozdzieliliśmy się. Ja zaszedłem do miasteczka, a K. poszedł do pobliskiej wsi. Przebiegłem przez kilka uliczek mięsciny. Przeszedłem obok posterunku policji. W tem słyszę, że ktoś z tyłu woła: halo!... halo!... Oglądam się i widzę, że za mną biegnie policjant. Przeczuałem coś niedobrego. Istotnie policjant wylegitymował mię, a następnie zainteresował się zawartością moich wypchanych kieszeni i paczki, którą miałem w ręku. Prowadzi do komisarjatu. Rewizja. Konfiskują moje igły i prezerwatwy i — stwierdziwszy, że jestem bezrobotny — kazali czempredzej opuścić miasteczko. Napróżno domagałem się skonfiskowanego to-

waru. Nie zwrócono. Wychodząc, głośno im życzyłem, aby dostali syfilisu, podczas korzystania z moich prezerwatyw. Kolegi już nie mogłem odnaleźć. Powróciłem zgryziony i smutny do Warszawy. Tak się zakończył mój handel.

I znowu płyną dni pełne nędzy. Jutro, to jutro o którym śnimy ciągle, jest dalekie i nieziszczalne. Przed biurami zapomogowemi wciąż rosną kolejki. Co dnia bezrobotni topią się, trują się, wyskakują z okien na bruk; po poddaszach i suterynach ludzie puchną z głodu. Ostatnie telegramy donoszą, że liczba bezrobotnych wzrasta. Od Kordyljerów po Himalaje miliony pustych żołądków woła o chleb.

My zdychamy z głodu, a burżuazja nie wie co robić z nagromadzonemi zapasami żywności. Czytają głodni i nie wierzą własnym oczom: w Santos rzucono do morza 10 tysięcy tonn pszenicy, w San Francisco spalono tysiąc wagonów kawy. Pokolenia, które przyjdą po nas, ze wzgardą będą mówiły o naszych „kulturalnych“ czasach.

Wczoraj szedłem przez śródmieście. Przystanąłem przed witrzyną pewnej cukierni luksusowej. Pełna była ludzi, ludzi uśmiechniętych — sytych, którzy przy dźwiękach jazzu raczyli się wszelkimi cudami sztuki gastronomicznej. Zdawało mnie się, że śnię, że to nieprawda, iż ja stoję przed wystawą głodny.

Prędzej czy później zginie ta zgraja tłustych psów. Któregoś dnia tłum zgłodniałych rzuci się na nich i rozszarpie. Ja to mówię wam — bezrobotny.

Warszawa, dn. 2 stycznia 1932 roku.

Niniejszem proszę o łaskawe przychylenie się do mej poniższej prośby. Mianowicie, jeżeliby przypadkiem została przyznana jakakolwiek nagroda za mój pamiętnik — to proszę mi dać jakąś pracę zarobkową zamiast nagrody pieniężnej, gdyż marzeniem mojem jest aby znaleźć pracę i kontynuować samokształcenie. Mogę być kancelistą, inkasentem, robotnikiem, a nawet od biedy mógłbym pisać artykuły do gazety. Również proszę o nieogłaszanie mego rzeczywistego nazwiska, ale tylko podany pseudonim, gdyż nie chciałbym, aby ktoś z moich, co prawda nielicznych, znajomych dowiedział się o mych intymnych przeżyciach.

Pamiętnik Nr. 8

Robotnik niewykwalifikowany
zamieszkały w Warszawie

Opowiadanie swoje napisałem i pragnę podzielić się niem z W. Panami nie w celu jakichś korzyści materialnych, lecz w zamiarach czysto ideowych, ponieważ sam pochodzę z warstwy najuboższej i celem moim jest walka o lepsze jutro proletariatu.

W opowiadaniu tem zostawiłem wszystko prawdziwe, niezmiennione, napisane właśnie w formie pamiętnika.

Mając nadzieję, że W.Panowie zechcą skorzystać z mych usług i zezwolą na uczestniczenie w konkursie, pozostaję z poważaniem.

12 listopada.

Zaczął to się wszystko, właściwie, od tego czasu, kiedy straciłem pracę w fabryce. Przedtem zarabiał się 23 zł. 80 gr. tygodniowo i jakoś można było żyć i matkę jeszcze utrzymać, chociaż trzeba przyznać, że nieraz musiałem paska podciągać. Ale jakoś tam było.

Dziś trzeba będzie pójść do P. U. P. P., bo podobno mogą coś poradzić, chociaż mówią, że wszystko zależy od protekcji, ale przecież trzeba spróbować, bo kiedyś muszę znaleźć pracę, a tak to z czego matkę i siebie utrzymam?

Tymczasem dni wloką się djabło długo i nudnie.

Był stróż i zawołał mnie do gospodarza.

Musiałem wysłuchać długich perorów o zaległem, trzymiesięcznym komornem. Głupi żyd! Jadł jajka na miękko, ubrany był w flanelowy szlafrok, ciepło miał w mieszkaniu, czysto! A dlaczego nic nie zapytał się, czy pracuję, czy mam co jeść? Dlaczego wydzierał się na mnie i groził komornikiem? Miałem wielką chęć sprać go po pysku, ale mógłbym mieć za to protokół i może nie dostałbym zapomogi. A zresztą niech przyjdzie komornik; co zabierze? Co tu się da zlicytować?

Dziś pójdę na Kercelak i sprzedam swój świąteczny garnitur, który zeszłego roku wziętem na raty; chociaż parę złotych trzeba wziąć za niego.

Matka moja nie rozumie, co to znaczy, że chłop nie może zarobić sobie na życie. Twierdzi, że dawniej lepiej było. A może?

Teraz czekam, aż śnieg upadnie, bo, podobno, dużo chłopów potrzeba do takiej roboty.

19 listopada.

Namyśliłem się i sprzedałem garnitur.

Ale, psia kość, musi coś człowieka skorcić. Straciłem 3 zł. Tak się jakoś złożyło. Szedłem z tą myślą, żeby wziąć za niego jaknajwięcej, ale nikt teraz żadnej garderoby nie chce kupować, wszyscy narzekają, że ciężko, że niema pieniędzy. Co jest, do diabła z tem wszystkim?!

Takiem sobie myślał i coś mnie skorciło, żeby wstąpić do knajpy. Straciłem trzy złote.

Wróciłem do domu, matka w płacz, ale to nic, bo zdawało mi się, że znów są te czasy, kiedy mam pracę i grosze przy duszy. Wtedy człowiek zupełnie inaczej się czuje.

Popłakała sobie i dalej mi gadać, że święta za pasem, że trzeba o czemś więcej pomyśleć, niż o kartoflach ze solą. Zezłościłem się. Co, u diabła, chce ode mnie? Z rękawa wytrząchnę czy co?

Poleciałem na ulicę i tak, chwiejąc się jeszcze na nogach, laziłem po deszczu i błocie do późnej nocy.

Wracalem już po zamknięciu bramy. Musiałem czekać na ulicy, aż ktoś będzie wchodził, bo na stróża nie miałem. Ale jak na złość nikt nie szedł. Znow trzeba było słuchać »mamrotania« ciecica. Jeszcze ja mu kiedyś zaplącę!

Dlaczego stale pada deszcz? Mógłby w końcu śnieg upaść i możeby była robota. Tymczasem muszę pomyśleć o zapomodze.

25 listopada.

Dostałem numerek; mogą dawać jakąś zapomogę. Wstałem o szóstej i poszedłem. Djabło długo trzeba stać w ogonku — chyba dużo jest bezrobotnych w Warszawie. A jaka nędza! Ja wyglądałem jeszcze względnie dobrze w stosunku do prawdziwych łachmaniarzy. Brudne to, obdarte, bosc prawie. Klęli, przepychali się, kłócili. Każdy chciał dostać się jaknajprędzej, ale »wtrzynać się« do ogonka nie można było, bo przecież wszystko musi iść po porządku. Co mnie tam obchodzi, że ktoś zostawił dzieciaka albo chorego w domu? Ja muszę dostać swoją porcję i tyle! Ci, którzy pierwsi dostali, szli zaraz do domu. Co tam w tych paczkach może być? Podobno jakieś prowianty. I czekolada też miała być. E, co tam czekolada! Nie lubię zresztą czekolady! Pewno powinni dawać też i pieniądze.

Co to będzie z komornem? Żyd już dłużej nie chce czekać, matka znow gdera: »święta za pasem«. Co to znaczy święta? Taka sama niedziela jak inne. Długa nudna, chłodna i głodna. Święta! Jaki głupi, salonowy wyraz! Ale i tak jakoś musimy żyć.

Najgorzej jednak jest z tem, że będziemy musieli przeprowadzić się do baraków. A może i tam się nie dostaniemy? Och, ta żydowska morda! 32 zł. za jeden pokój na trzecim piętrze! A bodajeś się udusił temi pieniędzmi, ty gudłaju! Trzynaście lat mieszkamy w tem samem mieszkaniu, zawsze płaciło się na czas, a że teraz się zadłużyło, to zaraz wont na bruk. Żeby to było jeszcze płacić za co, ale za taką dziurę! W podłodze dziury, deski odłają, to i karaluchów pełno, w oknie szpary, drzwi niedopasowane, z sufitu się leje, zlew pode drzwiami, wszystek smród i błoto wnosi się do mieszkania. I za to wszystko płaci się 32 zł. miesięcznie.

No, a tu ogonek jakoś nie bardzo posuwa się do przodu. Nogi mi zmarzły jak choroba, bo buty mam dziurawę. Jutro trzeba będzie nogi grubiej onuczkami zawinać, zawsze będzie trochę ciepłej.

Szlag by wszystko trafił! Czekałem, czekałem i nic z tego! Zamknęli okienko i Pan urzędnik zechciał powiedzieć, że zapomogi nie będą dziś już wydawane. Jak to? przecież miałem numerek,

należało mi się! Niech łaski nie robią! Urzędnicy, Państwo wielcy! Ciepło im w biurze, herbatkę im dają, dobrze im, więc mogą powiedzieć: »zapomogi nie będą wydawane«. A niechby oni tak zostali toby zobaczyli jak to jest dobrze.

Niech ich jasny piorun spali! I tak ci bezrobotni mają dużo cierpliwości, że nie nakładli im tam zaraz po łbie i szyb nie powybijali.

Zły wracałem do domu. Przyłączył się do mnie jakiś jegomość, który też był po zapomogę i wracał w tę samą stronę co i ja. Zaczął coś gadać. Mówił, że był urzędnikiem najniższej kategorii. Teraz jest zredukowany. Ma żonę, dzieci... To jeszcze gorsza sprawa niż ze mną, bo ja mam tylko matkę na utrzymaniu. A zresztą co mnie obchodzi? Żryć mi się chciało i zimno mi było. Co on tam będzie mi trajlował.

Wróciłem do domu. W mieszkaniu ciemno, zimno. Zły jestem, bo dlaczego do licha Matka lampki nie zapaliła? Niema pieniędzy. Czekala aż przyjdę, myślała, że przyniosę. Aha, już się rozpędzili dawać!

— Niech Matka idzie i pożyczycy, jutro pójdę, to dostanę! Oddam!

Poszła, no i po wielkich prośbach pożyczyła dwa złote od tramwajarza, co mieszka w drugiej sieni. Oni chyba dobrze mają, bo mogą pożyczać pieniądze. Zresztą sam widziałem, jak sprowadzali sobie węgiel i kartofle na zimę, a przecież nie każdy może pozwolić sobie na to. Żeby tak na tramwaje się dostać!

Matka niedługo załatwiła się z przygotowaniem śniadania, obiadu i kolacji. Była dobra kartoflanka. Ciepła, dużo. Podjadłem sobie i poszedłem do łóżka, bo co miałem więcej do roboty? Leżę i tak myślę: »obiad«. Co to za głupi wyraz! Obiad, objadać się to znaczy dobrze się najeść i dużo. Obiad. Dzisiaj u mnie był obiad... Nie, ja wcale się nie objadłem, a jednak nazywa się, że ja jadłem obiad. Głupio ludzie myśla... obiad...

I usnąłem. Przez sen myślałem o tem, że jutro trzeba wstać chyba o piątej, żeby nie spóźnić się po zapomogę.

26 listopada.

W ogonku spotkałem się z moim znajomym. Znów zaczął mi opowiadać o jakiej tam nędzy społecznej, o uciśnionych warstwach, o złych rządach.

Co, złe rządy?! Zirykowało mnie! Jak to, przecież dają zapomogi, żywność i pieniądze! Za darmo przecież! Jeszcze złe? A wtedy ten urzędniczyzna powiedział mi mniej więcej tak:

— Mój Panie! Wprawdzie tak jest, jak Pan mówi, dostajemy zapomogi, w całym kraju organizują się komitety pomocy bezrobotnym, w szkołach akcja ta jest też prowadzona. Nie można powiedzieć, to jest też dużo. Ale czy to wystarcza, czy to obejmuje cały bezmiar klęski? A jaki jest nasz stosunek do tego? Czy nie gramy my roli żebraków? Czy nie oglądamy się na łaskawy pański gest? Nie w tem rzecz.

My chcemy uczciwej, odpowiednio wynagradzanej pracy. O to powinniśmy walczyć, a nie oglądać się na miłosierne zasiłki. Cała ta akcja jest rodzajem filantropji, a filantropja jest rzeczą głupią, bo pomaga jednostkom, albo nielicznym grupom a tu się rozchodzi o ogół, tu się rozchodzi o miliony.

Miljony, powtarzam! Miljony, chętne do pracy, a dalekie od żebraniny.

Nie mamy bezrobotnych tylko w Warszawie, mamy ich w całej Polsce, w całej Europie, na całym świecie! Nie tysiące, ale miliony. Czy mamy przemienić się w armję próżniaków, oglądających się na czyjaś łaskę? Nie! Powinniśmy dać im pracę. Ale tego nie dokona się też jednym pociągnięciem pióra, tu musi trwać długa walka, tu musi nastąpić zmiana ustroju, bo w przeciwnym razie grozi nam katastrofalna degeneracja społeczna.

A to wszystko w głównej mierze da się osiągnąć tylko przez uświadomienie tych mas, przez oświatę, przez wzbudzenie poczucia społeczeństwa.

Bezrobotny, biorąc zapomogę w zimie czuje, że dostał ją za nic. To tak, jak by mu to z nieba spadło.

On jest zadowolony, ale nie wie, jakie to robi szczyrby w jego charakterze. Szczyrby głębokie, szczyrby bezwzględnej zależności i oglądania się na łaskawe wsparcie.

Tymczasem, gdyby bezrobotny wzamian za zapomogę, dawał pracę bodaj najdrobniejszą, to sprawa ta przedstawiałaby się zupełnie inaczej. Człowiek taki wiedziałby, że dostaje to za spełnienie jakiegoś obowiązku, za jakąś spełnioną czynność.

Przestałby być żebrakiem, a stałby się człowiekiem pracy. Społeczeństwo powinno wychowywać się nietylko fizycznie (nakarmić go, ubrać, dać mu mieszkanie), ale trzeba dbać, jeżeli już

nie o wyższe jakieś kształcenie, to przynajmniej o jego charakter. A co w tym kierunku się działa? Nic. Szkodzi się jeszcze.

Tak Panie. Inaczej powinniśmy patrzeć na sprawy bezrobocia i zapomóg. Chcemy pracy! Pracy uczciwie, rzetelnie wynagradzanej, zapomogi zmienić na pensje!...

Tymczasem przyszła kolej na mnie i dostałem swoją porcję. Przyznam się, że dziwnie mi ona parzyła w ręce. POCO ten »drapipiórek« nagadał mi tych głupstw. Co za filantropja! Co za degeneracja społeczna! Co za zmiana ustroju? Nie wiem co to wszystko znaczy, ale trzeba się dowiedzieć, zrozumieć.

A zresztą będzie można jakiś czas spokojnie, bezmyślnie żyć. Jak to dobrze jest, kiedy człowiek ma co jeść, ciepło ma w mieszkaniu, i wyspać się może spokojnie. Bodaż to dostać się do porządnej pracy! Zarabiać. Ożenićby się można, mieszkanie lepsze wynająć, matkę wziąć do siebie, a potem dzieci mieć i wychowywać je.

O, to życie zupełnie inne! Dlaczego jednak nieziszczalne dla wszystkich? Dlaczego jestem pokrzywdzony? Dlaczego nie mogę używać życia tak jak inni? Dlatego chyba, że ojciec mój był doróżkarzem, a nie bankierem czy właścicielem fabryki.

Psia kość! Chciałbym skończyć gimnazjum, bo wtedy bym rozumiał to co powiedział mi ten urzędnik, wtedy możebym lepiej postępował w życiu, bo błędzenie moje może powstać tylko z nieświadomości.

E, wszystko to mrzonki, którymi wcale nie powinienem sobie głowy zawracać. Bo one przecież i tak nigdy się nie ziszczą. POCO marzyć o tem, co jest niedoścignione? Urodziłem się i umrę biedakiem, który do końca życia żebrze o zapomogi. Dla mnie nie ma innych widoków. Brzydzą się sam sobą. Chciałbym innego życia.

10 grudnia.

W tych dniach upadł śnieg. Nareszcie może uda się cokolwiek zarobić. Muszę porozmawiać ze stróżem o tem, gdzie trzeba się zgłosić, aby dostać się do tej roboty, bo jego syn też zeszłego roku pracował przy śniegu.

Pracuje się tam cały dzień i dostaje się 7 złotych za to. Żeby to była stała praca, toby była ona nawet popłatna. Że cały dzień się pracuje, to nic nie szkodzi, przecież i tak nie mam nic do roboty,

a przez tydzień możnaby było zarobić około 50 zł. To fura pieniędzy. No, ale przez tydzień nie będzie się zgarniało śniegu, niema co mówić.

15 grudnia.

Stróż mi powiedział, że najlepiej będzie iść w Aleje, bo tam najprędzej można się dostać do roboty.

Na miejscu byłem już o jakiejś szóstej, ale powiedziano mi, że numerki są już dawno rozebrane, więc roboty na dziś niema. Hm, trudno! Wróciłem do domu. Szkoda, bo święta są już rzeczywiście blisko za dziesięć dni.

16 grudnia.

Dzisiaj byłem już tam o godzinie czwartej, ale nie można było mieć nadziei, że dostanie się numerek. Można było dostać ale po głowie. Jakiś jegomość powiedział mi, że kolejka jest tu zamówiona już oddawna, od kilku godzin. Radził mi, żeby przyjść wieczorem, jeżeli chcę coś z tego mieć.

No, rad nie rad wróciłem do domu, a szkoda, bo możnaby coś zarobić.

Dzień taki, jaki ja spędzam, jest beznadziejnie długi. Siedzę sobie na krześle i patrzę bezmyślnie na budzik, którego cykanie przypomina mi kapanie kropli deszczu. Wskazówki jego posuwają się beznadziejnie wolno, minuta za minutą, systematycznie, powoli. A ja tak siedzę wciąż beczynn timer. Pamiętam, że matka dawniej zwykle mawiała (teraz mówi bardzo niewiele): no, aby dzień przeszedł, to i bliżej śmierci. Tak, to prawda. Śmierć idzie w parze z czasem bezustanku, stale. A ja muszę czekać na nią beczynn timer, bez ruchu, w drętwoie. Chcę jakiegoś życia, ruchu, czynu, ale nie mogę tego wydobyć z siebie, bo i jak mam zdusić to, co dawno we mnie umarło. Czekać na śmierć, to znaczy być trupem.

17 grudnia.

Nareszcie, po wielkich tarapatach dostałem dziś numerek i poszedłem do roboty. Dostałem łopatę i razem z innymi pojechałem samochodem ciężarowym na ulicę. To zgarnianie śniegu to całkiem prosta robota. Polega wszystko na tem, żeby śnieg zgarnięty z kupy załadować na samochód, a potem zrzucić go do kanału. I tak wkółko cały dzień. Jednak wszystko to jest piękne, lecz tylko w ciągu kilku godzin, ale straszliwie dokuczliwe przez cały dzień,

bo ręce marzną, nóg się wprost nie czuje, uszy i nos ma się fjoletowy od zimna, całe ciało jest tak wycieńczone, że trudno jest utrzymać się na nogach. Ale o tem wszystkim trzeba zapomnieć i równomiernie i systematycznie rzucać łopaty śniegu.

Potem wszystkim wieczorem wróciłem do domu z kilkoma złotymi w kieszeni. Zapomniałem o wszystkim. A jak smakowała mnie zupa, a jakże spałem! Uch, bodaj to stale tak żyć i stale pracę mieć.

Przyznaję słusność, że stworzeni jesteśmy po to, żeby pracować, a kto narzeka na pracę, ten nie jest godny istnienia człowieka, ten bluźni w najokropniejszy sposób. Bluźni nieświadomie bo nie zaznał co to znaczy drętwość, co to znaczy życie bez czynu (czyнем nazywam też zwykłą czarną pracę).

27 grudnia.

Święta Bożego Narodzenia są podobno czasem ogólnej radości i wesela, chociaż ja muszę dodać, że nie dla wszystkich. Łatwo jest powiedzieć, że każdy mędrzec żył lub umarł w nędzy. Ja żadnym mędrceem nie jestem, więc potrzebne mi jest jedzenie, spanie, mieszkanie i wogóle jakieś ludzkie życie. Ja nie mogę przenosić się duszą gdzieś w zaświaty, bo jestem zwykłym, czarnym robotnikiem, dla mnie wszelkie mędrkowanie jest niedostępne, bo jestem stale zmuszony myśleć o chlebie powszednim. I ta myśl bezustanna jest dla mnie duszącą zmorą. Żeby raz o tem zapomnieć, zapomnieć, że się żyje! Raz nie czuć braków! Hm, hm, życie jedno wielkie uczucie braku...

Podobno żyją na świecie tacy ludzie, którzy nie wiedzą po prostu co mają robić z pieniędzmi, jak je najlepiej zużytkować. Dziwni są ci ludzie. Chyba odrazu urodzili się oni bogaczami, a nie zdobywali grosza po groszu, bo ci napewno wiedzą co robić z pieniędzmi, bo tych życie doświadczyło.

Tak czy owak wszystkich takich niewiedzących powinno się zamknąć w klatki i obwozić po całym świecie, żeby każdy zobaczył te najdziwniejsze stworzenia pod słońcem, ciekawsze od małp (zwykle to ludzie ciekawi co jest głupie).

W Ameryce, kraju miljonierów jest pod dostatkiem takich okazów, ale to wielcy panowie (raczej to wielkie worki dolarów), więc oni w klatki nie dadzą się zamknąć, zatem my zróbmy im tę

przyjemność i zawieźmy tam kilku takich, którzy wiedzieliby co mają robić z pieniędzmi, gdyby je mieli. Może nasunęłyby się jakieś dobre myśli tym panom, może obudziłyby się w nich człowiek, możeby nie marynowali dalej milionów, a obróciliby je na pensje dla bezrobotnych. Mówię »pensje« bo wtedy nie byłoby bezrobotnych, którym się daje zapomogi, ale byłiby pracownicy, którzy dostają pensje.

Na litość boską! Poco ludziom dziesiątki milionów, gdy do beztroskiego życia wystarczyłyby setki tysięcy!

Nie mam tu na myśli jakichś dobrodziejstw, wielkich gestów pańskich, ale poprostu ludzkie patrzenie na to, co jest ludzkie.

Ale jednak ten projekt z klatkami jest całkiem powabny; zobaczyć ludzi, którzy nie wiedzą co robić z pieniędzmi! Ha, ha, ha! Bezgraniczne szczęście!

Ale nie! Toć stanowczo za głupio myślę. Chyba mi te dzisiejsze placki kartoflane do głowy uderzyły.

Szkoda, że u nas w tym roku nie było choinki, bo mówią, że do takiego domu Bóg nie przychodzi, chociaż ja mam bardzo nągliste pojęcie, co to jest właściwie Bóg i czasami nurtuje we mnie myśl, że go wcale nie ma. Ale jednak świat bez Boga, to coś takiego, jak kotlet bez soli i bez mąki, coś takiego, co się rozpada i prędko psuje, co nie jest smaczne. A ja czasami myślę o tem, że Bóg nie istnieje... Nie, ja źle myślę! Bóg jest, chociaż do niego nie zwracam się w modlitwie, chociaż nie klękam przed nim w kościele, chociaż nie czczę jego nędznych wyobrażeń. A jednak czuję, że jest.

Dla mnie Bóg jest czemś takim, czego nie można określić, czego nie można nazwać, czego nie można pojąć. A przecież religja pokusiła się o to, żeby Boga określić jakoś i użyła do tego wielu słów, zaczynających się na... naj. Np. »Najwyższy, najsprawiedliwszy, najmocniejszy i t. d.«. Wszystko to jest głupstwem, w to niema co wierzyć, na to można patrzeć z pogardą i drwiną. Bóg jest, bo świat jest i my jesteśmy. Religji niema, bo ona jest wymysłem człowieka i to wymysłem całkiem kiepskim. W nią mogą wierzyć tylko grzeczne dzieci, a nie ludzie, których życie dotknęło ciężką swoją łapą. Religja jest za kosztowna dla nas...

No, muszę koniecznie postawić już kropkę, bo za daleko się zapędzam. Chyba dobrze mi się powodzi, że pozwalam sobie na

roztrząsanie takich spraw. Jeszcze mnie kto posądzi, że wszystko to powstało z przejedzenia, lepiej dać temu spokój, bo nie jestem wcale przejezdony.

18 stycznia.

Nie pisałem długo bo ni mniej, ni więcej — byłem chory. Fiu, fiu, przemieniam się powolutku w magnata. Nawet na chorobę mnie stać!

Teraz zaś rozmyślam szczegółowo nad tem, czy nie zniszczyć tego co poprzednio napisałem, jako słów, powstałych pod wpływem gorączki, ale nie, niech zostaną. I tak całe życie, to jednostajna maligna, to takie błędne koło, taki labirynt, jaki był kiedyś w parku Skaryszewskim, po którym chodziło się tam i z powrotem i zawsze szło się tą samą drogą i tak wkółko bez końca, aż zjawiał się jakiś człowiek, który po przez kręte ścieżki prowadził ku wyjściu. Chyba dobrze znał ten labirynt, jeżeli mógł z niego wyjść na szerszą przestrzeń.

Ludzie pewnie nie znają życia, jeżeli nie mogą zwycięsko iść przez nie ku lepszej przyszłości. Dziwni są ci ludzie: nie znają tego co jest im najbliższe.

21 stycznia.

Dotychczas nic nie napisałem o szczegółach otaczających mnie. Postąpiłem zupełnie niesłusznie, bo właściwie wielkie rzeczy powstają z całego mnóstwa szczegółów i chociaż ja nie mam zamiaru stworzyć jakiejś wielkiej rzeczy, to jednak szczegóły poruszę.

Zacznę od samego czubka mojej osoby. Głowę moją pokrywa wątpliwego koloru kapelusz, mocno nadszarpnięty wiekiem. Z tyłu na rondku jest solidnie zeszyty grubą nicią. To robota mojej matki. Dalej szyję moją opasuje zwykły kołnierzyk (koniecznie miękki), bo na sztywny mnie nie stać, ponieważ samo jego upranie kosztuje 30 gr. t. j. pół kilo chleba i 5 gr. reszty. Kołnierzyk ten jest zawsze przystrojony krawatem, który jest zawiązany w wieczny supeł, a na noc rozsuwa się pętlice i wszystko jest gotowe. Na plecach noszę marynarkę granatową o mocno rudawym odcieniu. To jest bardzo dobra kurtka, bo noszę ją i w dni powszednie i w święta, a ona w małym stopniu zmienia swój stan. Tylko rękawy jej wyglądają jakby miały angielską chorobę, ale to przecież nic nie szkodzi. Spodnie moje umocowane na szelkach, powiązane sznurkiem, dają wybitny charakter rur i to rur niebardzo prostych, jakby zdefor-

mowanych jakąś opuchlizną starości. Co zaś znajduje się pod tem wszystkim nie chcę mówić, bo »to« nie zawsze jest czyste i pozbawione pasorzytów. Często mówię o tem matce, ale ona mi odpowiada, że bardzo jest niedobrze, kiedy jajko jest mądrzejsze od kury. A przecież ja bielizny sam sobie nie będę prał.

Wszystko co jem, jest postawione zwykle na stole, to jest na takim nieoheblowanym blacie, o wiecznie chwiejących się nogach poreperowanych beznadziejnie, grubemi, pomalowanemi wapnem deskami. Często stół jest przykryty starami, zagranicznymi gazetami, na które patrzę jak ciele na malowane wrota. Przy stole stoją dwa krzesła, o kiepsko dopasowanych siedzeniach z dykty, z których wyłażą gwoździe, łapiące mnie podczas wstawania za spodnie. Mamy też etażerkę czarną, z czterema półkami i gałką stale wypadającą na podłogę. Jedyńm instrumentem stojącym na niej jest budzik, pochodzący również z zamierzchłych czasów.

W kącie, pomiędzy oknem a etażerką stoi jedyne łóżko. Tam śpi matka, więc właściwie nie wiem co się w niem i na niem dzieje, zato trochę mogę powiedzieć o mojem łóżku. Jest to łóżko t. zw. polowe (dlaczego tak się nazywa — nie wiem), które dniem stoi pod stołem, a na noc jest stamtąd wytaczane i rozstawiane pod oknem. Składa się ono z pięciu części, obitych czerwonym w niebieskie pasy materiałem. Trzeba zaznaczyć, że w szparach pomiędzy ramkami z drzewa, a obiciem ze skóry, gnieźdzą się całe roje pluskiew. To takie niewinne robaczki, którym matka wypowiedziała śmiertelną walkę, jednak jest to z jej strony zupełnie bezcelowe, bo pomimo używania wszelkich możliwych środków, one nadal siedzą na swoich miejscach i nadal każdej nocy pstrzą moje ciało w cały rój czerwonych, okrągłych plamek. Podczas snu jestem okryty dwiema rzeczami: moją jesionką i paltem matki. To jest trochę niewygodne, bo kiedy matka gdzieś idzie i zabiera palto, to ja leżę i szczękam z zimna zębami, bo śpię przecież pod oknem, które nie grzeszy szczelnem dopasowaniem i podwójnemi szybami. Teraz, zimą, widzę na tem oknie mnóstwo ciekawych rzeczy: cały atlas najrozmaitszych krzewów, traw i paproci, które matka niemiłosiernie zeszkrobuje łyżką, bo tworzą taką grubą warstwę, że światło bardzo kiepsko przez nią przebija się.

Ściany naszego mieszkania są pomalowane tonem z domieszką niebieskiej farby. Matka radziła, żeby namalować jakiś szlaczek przez szablon, ale ja to uważałem za zbyteczne, bo przecież ludzi powinna cechować prostota. Szlaczek z róż zastąpiła mocna, ultra-

marynowa kreska. W jednym rogu mieszkania ściany mocno zacieka, bo przylegają do stajni, w której panuje wieczna wilgoć.

Ciekawa też jest nasza podłoga, poukładana misternie w różne desenie ze spróchniałych desek. To jest dziełem moich rąk, bo gospodarz, pomimo stałych nalegań, nowej podłogi nie chce położyć. A co jest kłopotu przy szorowaniu jej, to tylko też my we dwoje z matką wiemy. Nic też nie pomagają nasze zabiegi, mające na celu wypędzenie z mokrych szpar stonóg i karaluchów. Robactwo tak do nas przylgnęło, że nawet niema mowy o wykurzeniu go na cztery wiatry.

Specjalny zabytek stanowi kuchnia. Jest ona zbudowana ze starych, popękanych kafli. Jednak i ją czas mocno nadwyrężył. Formalnie rozłazi się i nic na to nie pomoże ani glina, ani metalowa opaska, ani bohaterskie wysiłki mojej matki. Wymaga ona całkowitego remontu, a gospodarz o tem nawet myśleć nie chce. Nad kuchnią znajdował się dawniej kominek, ale że glina stale się obwalała i wypadała do garnków, więc postanowiliśmy z nim skończyć i tak się też stało. Teraz na jego miejscu znajduje się dość duża dziura, zakryta dla oczu firanką wątpliwej czystości.

Drzwi też posiadają dostateczną ilość szpar, przez które dostaje się do mieszkania wystarczająca ilość zimna i smrodu ze zlewu, który tuż obok nich się znajduje. Trzeba być jednak sprawiedliwym i przyznać, że są one, pomiędzy framugą a krawędzią, obite starym, szarym kocem, który, podobno, mało przepuszcza zimno. Także klamka zasługuje na uwagę, bo trzeba zdobyć specjalne wykształcenie, żeby zamknąć na nią drzwi. Kiedyś, kiedy byłem młodszy, kunszt ten był dla mnie niedostępny, ale lata dały mi sporą porcję praktyki i teraz nietylko zamknięcie drzwi na klamkę, ale wogóle poruszanie się koło mojego gospodarstwa, nie sprawia mi żadnych trudności.

Oto jest właśnie garść »szczegółów«. Szczegóły te są błahe i nieliczne, jednak powtarzam: szczegóły tworzą wielkie rzeczy; te szczegóły tworzą moje życie, moje środowisko, w którym przebywam. Jak w środowisku takim mogą wiedzieć co to jest degeneracja społeczna, co to jest zmiana ustroju — nie wiem. Przecież tu niema żadnej książki, żadnej gazety, oprócz tej zagranicznej, którą jest przykryty stół. Zresztą gazety i książki są rzeczą zbędną, bo przecież bezrobotnym dają wszystkie rzeczy niezbędne do życia, a książek nie dostajemy. Tak, w ciężkich czasach nie myśli się o luksusie, tylko o tem—żeby zaspokoić głód żołądka. Książka jest dla nas luksusem...

14 lutego.

Dni mijają strasznie wolno i jednostajnie. Czasami tylko idę po zapomogę, albo do zgarniania śniegu. I tak wkoło. POCO WŁAŚCIWIE SIĘ ŻYJE? Jaki ja mam cel, wytknięty przed sobą, dla którego mógłbym żyć i do którego bym dążył? Cel taki dla mnie nie istnieje. Idę przez życie bez planu, poomacku. Potem wszystko się skończy i właśnie wtedy się pomyśli: »aha, żyło się poto, żeby umrzeć«. Ładna kombinacja!

Więc poco się tak długo żyje? POCO TE WSZYSTKIE UDAWANIA? Kto w życiu nie ma celu, ten niepowinien się rodzić. To zaszła wielka pomyłka z mojem urodzeniem, bo żadnego celu nie mam, a żyję (przecież nie mogę nazwać celem mojego życia żebrany o wsparcie!).

Czasem taki mnie śmiech porywa, że śmiałym się ze wszystkiego i ze wszystkich,

16 lutego.

Dzisiaj gospodarz powiedział, że zaskarżył nas do sądu i że wiosną napewno wyrzuci nas na bruk.

Dobrze jest! W takim razie spróbujemy mieszkać w barakach. Tam się podobno płaci tylko 5 zł. miesięcznie komornego, chociaż nie będzie nam tam wygodnie jak tutaj i z mieszkaniem i z gotowaniem (właściwie gotuje się raz na dzień, to niewiele).

A może to będzie miało znaczenie, jeżeli powiem w sądzie, że mieszkam już w tym domu 13 lat, że zawsze płaciłem akuratnie, a jeżeli teraz dostanę się do roboty, to też będę płacił! A no, zobaczymy!

Właściwie to nie wiem kiedy jaką robotę będę mógł dostać i kiedy ureguluję zaległe komorne.

7 marca.

Zaczynają się już wiosenne roztopy, chociaż nieraz jeszcze łapie porządny mrozek.

Z wiosną wszystko budzi się do życia. Wieje świeży, ożywczy wiatr. Wróble rozpoczynają radośniej ćwierkać, szukając w śnieżniku resztek wyrzuconych kartofli i kaszy.

Wszystko zdaje się być rozbudzone.

— — — — —
Siedzę sobie w oknie i patrzę na to wszystko, na ten świat i smutno mi jakoś; nie dzielę radości otoczenia. Dlaczego? — pytam

siebie już chyba setny raz. Przecież jestem młodym, pełnym zapału i sił! Co mnie krępuje, co dusi tak stale! To chyba ta moja zależność jest przyczyną wszelkiego zła i smutku. Zależność od każdego grosza, od każdej garści kaszy, od każdej garści mąki. Zależność człowieka, który nazwał się panem świata, od mikroskopijnie małej jego cząstki.

Co mi do życia jest potrzebne? Nie wymagam dużo: potrzebny mi jest znośny byt. Dam za to wszystko: pracę, umysł, siły i chęci. Za to wszystko chcę jedynie znośnego bytu, to niewiele.

Już mi tak zbrzydło to żebracze życie! Już mam go po same uszy!

Dlaczego?

19 marca.

Błądę po ulicach. Buty mam pełne wody, usta popękane od wiatru i ręce dziwnie wilgotne i zimne. Przede mną kołuje i tętni życiem ulica.

Gdzie ja już dzisiaj nie byłem!? Wszystkie dworce, ogrody, parki i mosty obszedłem bezmyślnie. W jakim celu? Aha, prawda, ja celu nie mam, ja żyję bez celu! Może celem jest śmierć? Zaczynam tęsknić do niej. Wyciągam ręce i śmieję się do tej nieznanej kojącej pani. Pragnę jej, jakbym pragnął kochanki. Ha, kochanki! Ty, głupcze, bez pieniędzy kochanka cię nie uściśnie! Nawet i to jest dla ciebie zamknięte! Bo miłość też opiera się na pieniądzu. A Ty, który grosza nie masz przy duszy, śniesz o niej?

O, głupi, głupi!

Tfu, kochanka! Teraz zjadłbym coś! Jeść mi się chce! O tu jedzenie tak blisko mnie! Tylko ręką sięgnąć! Nie, zagrada prze-zroczysta, gruba szyba. Tam jedzenie, a tu ja, a pomiędzy nami szyba...

He, he, to ładne, to bardzo ładne i zabawne.

Ot tu na wystawie widzę lśniące zwoje kiełbas, salcesony, apetycznie pokrojone w połowie i szynki duże, duże, duże. A tam dalej pani, w białym fartuchu, stoi przy maszynie i pilnuje, żeby baleron kroił się na równe plasterki. Maszyna, jak wahadło zegara, równiutko, monotonicznie porusza ostrza i kroi, kroi bez końca.

Dla kogo? A, to dla tych ludzi, którzy wychodzą ze sklepu z białymi paczkami pod pachą.

A ja? Co, ty!? Gdzie ty masz rozum? Hmm, rozum straciłem razem z ostatnim groszem. Tak. Sięgam ręką do kieszeni — dziura.

O, jakżebym porwał z wystawy tę kiełbasę dużą, błyszczącą! O, jakbym porwał i jadł! Jadłbym, jak zgłodniały wilk. W głowie mi się maści... Odepchnięto mnie na bok... Omal co nie wpadłem do rynsztoka, napełnionego brudną, deszczową wodą. Pewnie myślą, że tu moje właściwe miejsce, a nie tam, przy ładnej, białej wystawie. Racja. Tam gdzieś się urodził, tam żyj i zdechnij!

1 kwietnia.

Już od kilku dni nie opuszczam mieszkania. Po całych dniach przesypiam na mojem łóżku, a noce bezsenne wloką mi się w nieskończoność.

Matka chodzi jak upiór, czy cień. Nie wiem sam z czego właściwie żyjemy. Jadam nieraz kartoflanke, a nieraz zacierki na wodzie. Zresztą nie dopisuje mi wcale apetyt i dziwnie jestem słaby.

— — — — —

Rozmyślał teraz długo i szeroko nad tem, co ten urzędnik mi powiedział? Do tej pory słowa jego tkwią mi w pamięci i przez mózg przewiercają się aż do serca.

Już trochę domyślał się, że filantropja jest to jakieś dobrodziejstwo, jest to taki pański gest. Degeneracja zaś, to myślę, że jest to wyzucie instynktów ludzkich z duszy człowieka. Co jednak miał on na myśli, mówiąc o jakiejś zmianie ustroju, to w żaden sposób nie mogę się domyślić.

Ustrój państwowy, to jego władze rządzące. U nas jest z tem bardzo pięknie: jest sejm, senat, prezydent, ministrowie, wszyscy są na odpowiednich stanowiskach, wszyscy są wykształceni i znający potrzeby tych, nad którymi mają władzę. Co w tym mądrym i jasnym aparacie można zmienić? Co przesunąć, co przestawić? Nic nie wiem!

A może ta cała organizacja ma jednak swoje braki? Może dla mnie tylko wszystko to zdaje się dobrem być? Dla mnie, który przecież nie może zagłębiać się w to, nie mając odpowiedniego uświadomienia. Bo czyż mogę zabierać głos w tej sprawie, której nie znam? Nie, bo każdy mnie skrytykuje i wyśmiewa!

A czy mało jest ludzi, którzyby chcieli zabrać głos w tej sprawie? O, napewno dużo! Ale oni też znajdują się w takim położeniu jak ja; wprost boją się.

Siedzą więc jak mysz pod miotłą i cierpią to, co cierpią miliony. Mam usta formalnie zawiązane, nie mogę krzyczeć o krzywdzie tej, która mnie dusi i gnębi.

Kto mi usta rozwiąże, kto mi da głos, którymbym wołał na świat cały!? Nie, nikt mi tego nie da. Jestem za głupi na to, żeby chciał mnie ktoś słuchać i to jest właśnie strasznie krzywdzące, strasznie upokarzające!

A gdyby jednak pokusić się o pewne przesunięcie, bo dlaczego w duszy mojej mam zapatrywać się na wszystko bezkrytycznie?

Prezydent niechby był sobie zatem prezydentem, sejm sejmem i senat też sobą. Jedynie powinien być jeszcze jeden minister więcej. Takim ministrem powinien być minister spraw bezrobocia. Człowiek ten powinien być wybierany z pośród najędźniejszych bezrobotnych (nie znaczy to, żeby był najgłupszy). Jeden taki minister nie zaszkodziłby, a przeciwnie oddałby duże usługi, bo znałby właściwie nasze bolączki i potrzeby!

Nie, to jest bardzo dziecinne gadanie! Skąd taki głupi pomysł? Nędzarz — ministrem! Ha, ha, ha. To się nie zdarzyło jeszcze w żadnym państwie! Ale zresztą to nic nie szkodzi, że biedny, że nie skończył bodaj politechniki, czy uniwersytetu. To nic nie szkodzi, bo on poznał więcej, on przeszedł przez życie, on go skosztował!

Cóż może mieć za pojęcie taki pan o bezrobociu, który wychował się i nadal żyje pośród salonów? Co on w tej sprawie ma konkretnego do powiedzenia? Nic.

No, dobrze, ale co to wszystko ma wspólnego ze zmianą ustroju? Przecież zmiana ustroju, to zmiana gruntowna, to zupełne przeobrażenie. Lecz to nie może nastąpić, bo zakrawa to na bolszewizm. Jeśliby się tak wszystko zmieniło, to my stalibyśmy się panami sytuacji. Ale nie, nam nie rozchodzi się o bolszewizm, nam się rozchodzi o Polskę demokratyczną. Ależ u nas jest przecież ustrój demokratyczny! No, jest, ale go jakoś nie widać, bo przecież kto rządzi to dba o siebie, to ma znośny byt. W Polsce właśnie rządzi lud i zamiast dobrobytu, jest najbardziej bity. Ładna demokracja! Poco tu dłużej gadać, kiedy fakty mówią same za siebie.

Jednak poco te wszystkie brednie o zmianie ustroju, o ministrze bezrobotnych; przecież tego i tak nikt nie będzie słyszał. Poco to rozwodzenie się, kogo to obchodzi? Co to są zresztą za głupie kombinacje? Przecież każdy wyśmiewa się ze mnie i z tego mojego ministra. Chociaż właściwie nie rozchodziło mi się specjalnie o jakiegoś ministra, a kogoś takiego, ktoby znał nasze sprawy, ktoby w kwestji naszej mógł zabrać głos. Wszystko jedno kto tą osobą będzie, byleby był to ktoś odpowiedni. Niech Pańskie rączki nie

rozkrwawiają ran naszych filantropją! Precz! Bo możecie za głęboko nas urazić, a wtedy niczem nie wstrzymacie naszego szału.

15 kwietnia.

Teraz rozpoczął się dla mnie najstraszniejszy okres. Tak mi wszystko i wszyscy zbrzydli, że gotów jestem każdego rozszarpać na sztuki. Obudziło się we mnie zwierzę. Zwierzę bezsilne nawet fizycznie. Osłabienie tak przycisnęło mnie do poduszki, że z trudnością tylko mogę się z niej podźwignąć. Obok tego zabite są we mnie wszystkie dążności, wszelkie porywy i zapał. Nawet ciężko jest mi mówić. Jestem kłodą drzewa, jestem kawałem mięsa. Poza-tem napewno jestem chory. Choroba serca. Czuję często, jakby jakiś diablo ostry pilnik piłował mi serce i rwał je na strzępy. Tak boli! I ręce też mam wilgotne i słabe, oddech krótki i nierówny.

Nie wiem jak taki stan nazywa się naukowo, w którym człowiek sam zaspakaja rozszalałe zmysły.

Dlaczego dawniej tego nie było? Bo nie było tej jednostajności, tej bezgranicznej, strasznej bezczynności, bo pulsowało we mnie inne życie. Bezczynność jest nietylko upadkiem materialnym, ale także (może nawet w większej mierze) upadkiem moralnym.

Niema już dla mnie terażniejszości, ani przyszłości; są tylko moje zmysły i śmierć.

Warszawa, dn. 28 grudnia 1931 r.

USPOLECZNIENIE MYŚLI *)

Z prawdziwą radością przyjąłem inicjatywę Instytutu Gospodarstwa Społecznego, inicjatywę szlachetną w swych zamiarach odślonięcia tej krwawiącej rany ludzkości, jaką jest dola człowieka bezrobotnego. Raną, którą ma każdy człowiek bez pracy, a która jątrzy się, przejmując bólem piekącym, wdzierającym się do serca i mózgu. Człowiek bez pracy — to głupiec, nędzarz, samobójca, albo oszust, złodziej i morderca. I wszyscy ci ludzie stają się parjasami, poza nawiasem społeczeństwa. Tak się przedstawia rzeczywistość, naga w swej prawdzie, bo pochodzi od człowieka, który bezpośrednio się z nią styka, żyje w tej atmosferze, oddycha temi oparami zgnilizny moralnej, zła, sobkostwa i przewrotności ludzkiej. Tym człowiekiem jestem ja. Jestem człowiekiem młodym, mam lat 25. Urodziłem się w Warszawie z ojca, który obecnie ma lat 52 i matki liczącej lat 49. Pozatem mam siostrę Jadwigę lat 20 i brata Edwarda 10 lat. O ile sięgnę pamięcią w dal, to nasuwa mi się na oczy obraz minionej przeszłości, tak szczęśliwej i dobrej w swej prostocie, a takiej kochanej. Widzę dom rodziców moich — matkę uśmiechniętą i krzątającą się koło gospodarstwa, słyszę jej śpiew i głos radosny, oznajmiający przybycie ojca z pracy. Co to była za radość. Nasz ojczulek kochany zawsze miał coś dla nas ze słodyczy, a myśmy witali go i szykowali pantofle i gazetę, sadowiliśmy na jego ulubionem miejscu, a sami siadaliśmy u kolan mateczki i przysłuchiwaliśmy się, a on nam czytał, tłumaczył. Czasami przynosił jaką ładną książkę i wtedy to poznałem pierwszy raz, kiedy jeszcze nie umiałem sam czytać, bohaterów z trylogji Sienkiewicza, wtedy płonałem z wrażeń i tak zasypiałem. Tak działo się

*) Taki tytuł dał autor swemu pamiętnikowi.

w wieczory zimowe. A kiedy przyszła wiosna, lato, nie posiadaliśmy się z radości, bo były to pory, w których wyjeżdżaliśmy na wieś. Szczególnie ja byłem pełen radości. Jakieś niezrozumiałe dla mnie wówczas uczucie rozpieierało mi piersi. Ściskałem napotkanego kota, całowałem psa, przytulałem się do koni, szalałem. Jedynie las był dla mnie świątynią, ale jakąś tajemniczą. Przerażała mnie tam panująca cisza i szum drzew, które chyliły się i zdawało się, że mnie chcą pochłonać. Wtedy biegłem nad rzekę i przyglądałem się rybkom, pływającym przy brzegu, które w promieniach słońca mieniły się w kolorach i wyglądały jak zaczarowane. Był to dla mnie okres czasu bez troski i te parę lat życia zaliczam do najszczęśliwszych lat. W tym czasie ojciec mój pracował w firmie »Brochis« mechaniczna fabryka obuwia przez lat 10 (dzisiejsza Kasa Chorych na ulicy Solec), to jest do czasu wybuchu wojny w 1914 r., w którym to czasie wymieniona firma przeniosła się w głąb Rosji (obecnie nie egzystuje). Nastąpił okres czasu, który swem piętnem głęboko utrwalił się w moim umyśle dziecka. Wyraz: wojna zelektryzował mnie. Dziwiłem się jedynie tylko, dlaczego twarz matki stała się smutną, to samo i u ojca. Lecz odpowiedź nastąpiła później w parę lat. Przeciagająca się z roku na rok wojna, okupacja niemiecka, wyczerpała materialnie rodziców, gdyż wszystkie oszczędności lokowane w kasie zabrała Rosja. Praca była tylko dorywcza i tak zostały przekreślone wszystkie plany na przyszłość. Zaczęło być coraz gorzej. Chodziłem już wtedy do szkoły miejskiej powszechnej. Wypadki dziejowe zmieniały się w błyskawicznym tempie. Przyszedł czas, kiedy pełen entuzjazmu krzychałem: »Niech żyje niepodległość Polski!«! Nastąpiły czasy odrodzenia Polski — odrodzenia myśli państwowo-twórczej — polskiej myśli. Ojciec zaczął pracować w domu (jest szewcem chałupnikiem), siostra uczęszczać do szkoły. Urodził się najmłodszy braciszek Edward. I znów było dobrze przez parę lat. Gdy wtem zaczęło się coś psuć. Ojciec już nie miał pracy na cały tydzień, przybył jeszcze jeden członek rodziny do wyżywienia i wychowania, a warunki do życia pogarszały się z dnia na dzień. Miałem wtedy lat 13 i od tego czasu stałem się poważnym człowiekiem. To znaczy zacząłem pracować zarobkowo i w ten sposób pomagać rodzicom, przytem zacząłem poznawać odwrotną stronę medalu — życia. Pierwszym moim zajęciem, które otrzymałem z ogłoszenia, było odnoszenie zamówionych towarów po składach aptecznych, lecz nie długo to trwało, gdyż w krótkim czasie otrzymałem pracę z Państwowego Urzędu

Pośrednictwa Pracy do Ministerstwa Przemysłu i Handlu jako go-
niec. Z nowej swej pracy byłem bardzo zadowolony, gdyż miałem
szczęście dostać się w środowisko ludzi naprawdę inteligentnych,
posiadałem pełne ich zaufanie, było mi bardzo dobrze i wielu rze-
czy się tam nauczyłem, bo przyznać się muszę, zawsze zdradza-
łem i teraz też to, że lubię obserwować. Wszystko mnie zaciekawa-
wia i w ten sposób kształcę swój umysł. A miałem ku temu szer-
okie pole, gdyż przydzielony byłem do wydziału administra-
cyjno-prawnego, w którym pracowali tacy ludzie, jak ś. p. Pan
Mecenas Nowowiejski, naczelnik wydziału Ministerstwa p. * * *
i p. * * *. Nigdy nie zapomnę tych ludzi. Pomimo, że byli to
ludzie wykształceni, na stanowiskach, a ja byłem tylko chłopcem-
gońcem, jednakże stosunek ich do mnie był serdeczny, prawie oj-
cowski. To byli naprawdę ludzie inteligentni, pierwsi i ostatni ja-
kich spotkałem dotychczas w swoim życiu. W Ministerstwie pra-
cowałem półtora roku, to jest do chwili, w której rodzice moi zde-
cydowali się oddać mnie na praktykę do fabryki czekolady i cu-
krów »F. Fuchs i Syn«. Z żalem pożegnałem Ministerstwo i posze-
dłem do fabryki. Z początku trudno mi było się przyzwyczaić,
wszedłem w nowe środowisko tak samo ludzi, lecz jakże odmien-
nych. Zupełnie inny świat. Praca była ciężka, ludzie jacyś źli, pa-
trzący z podejrzliwością, zawistni. Chciałem uciec z tego piekła, jak się
wrażałem, lecz nie mogłem, bo ojciec w tym czasie bardzo mało
zarabiał, a ja miałem być pomocą. Ścierały się we mnie różne
uczucia, lecz zacisnąłem zęby, wytrzymałem całą swoją wolę, aby
przetrwąć i wywalczyć byt. W krótkim czasie dałem się poznać
przełożonym jako dobry robotnik, szybko poznawałem arkana wie-
dzy zawodowej i zacząłem więcej zarabiać. Byłem dumny z siebie,
że mogę skuteczniej pomagać rodzicom. Punktem kulminacyjnym
było szczęście, które w następstwie przyniosło mi rozczarowanie.
Rozchodziło się o rozwiązanie fachowego problemu nie krystaliz-
owania się cukru w aparacie, przetwarzającym cukier na masę cią-
głą (karmel), który to problemat musiał rozwiązać ze swego stano-
wiska majster, co mu się nie udawało, a udało się mnie. I to było
powodem do ściągnięcia nienawiści tego człowieka, sprowokowania
zajścia i usunięcia mnie z fabryki. Nie mogłem tego narazie zro-
zumieć, lecz nie zastanawiałem się nad tem, gdyż zostałem zaangażo-
wany do firmy »E. Wedel i Syn,« która to firma w tym czasie or-
ganizowała dział wyrobu karmelków i potrzebowała ludzi znających
się na wyrobie tychże. W firmie »Fr. Fuchs i Syn« pracowałem

przez dwa lata. Miałem wtedy lat 19 i zdawało mi się, że świat do mnie należy. W firmie »E. Wedel i Syn« pracowałem przez trzy lata, do czasu pójścia do wojska, t. j. do roku 1927. Przydzielony do 78 p.p. służyłem w Baranowiczach, gdzie stacjonował wymieniony pułk i przysposobiałem się do służby wojskowej i obrony kraju na wypadek naruszenia jego spokoju. Tam ukończyłem podoficerską szkołę, następnie pracowałem w dziale mobilizacyjnym pułku i kancelarii pułkowej jako pisarz. Z wojska zostałem zwolniony po odbyciu przewidzianego okresu czasu służby wojskowej t. j. w roku 1929 w stopniu kaprała.

I tu zaczęła się gehenna mojego życia. Z wojska powróciłem z nowym zapasem energii, odrodzony moralnie i fizycznie, z chęcią do życia i zapałem, jaki posiada każdy młody człowiek. Lecz czekało mnie bolesne rozczarowanie. Czekąco mnie to, czego się nie spodziewałem, to czem jest dla każdego człowieka pracy wyrokiem śmierci, to — brak pracy! Pierwsze moje kroki skierowałem do firmy, z której odszedłem do wojska t. j. do firmy »E. Wedel i Syn« i tu spotkałem się z odmową: »brak pracy, niema miejsca, amerykanizacja« i t. d. Zgnębiony tem zacząłem gorączkowo poszukiwać pracy, tembardziej, że w domu zapanowała zupełnie bieda. Zarejestrowałem się w P. U. P. P., gdzie otrzymałem legitymację i nic więcej. Poszukiwałem dalej pracy w swoim zawodzie, lecz bez skutku, gdyż pogarszające się z dnia na dzień warunki gospodarcze odbiły się ujemnie na przemyśle cukierniczym, który jako taki jest luksusowym i nie ma prawa bytu. Wtedy zwróciłem się z podaniem do Dyrekcji Tramwajów Miejskich, gdzie w tym czasie było przyjęcie, ale tu spotkałem się z tym wszechmocnym wyrazem, jakim jest »protekcja«, albo pieniądze to będzie i protekcja, na co byłem bezsilny i przyjęcie odbyło się beze mnie, a mojem podaniem wypełniono koszyk. Następnie napisałem podanie do Pana Ministra Spraw Wewnętrznych, którym był wówczas p. gen. Sławoj-Składkowski, na które otrzymałem odpowiedź pismem z dnia * * * 1929 r. Nr. OP. * * *, w którym poinformowano mnie, ażebym się odniósł z podaniem do Pana Wojewody, jako do władzy powołanej do przyjmowania kandydatów do służby państwowej w administracji ogólnej, przyczem zapodano mi rozporządzenie Pana Prezydenta Rzplitej z dnia 19 stycznia 1928 art. 3086 Dz. Ust. Nr. 11 poz. 86. Korzystając z tego, przyczem powołałem się na powyższe rozporządzenie, napisałem odpowiednie podanie, no i dość szybko otrzymałem odpowiedź, przytem załączono druk do wypeł-

nienia o służbie państwowej, następnie zażądano przedstawienia trzech referencji i zdawałoby się, że jestem bliski upragnionego celu. Lecz to były zwykłe formalności, bo kiedy się zgłosił, po pewnym czasie dowiedziałem się, że wszystko jest w porządku, lecz niema wolnego miejsca i trzeba czekać. I tak czekam aż do tej pory. W tym samym czasie złożyłem podanie do Dyrekcji Kolei Państwowych, ale tu nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Więc nie tracąc czasu piszę podanie do Dyrekcji Poczty i Telegrafów i staram się znów dostać przed oblicze pana kierownika działu personalnego. Nie tak łatwo mi to przyszło, bo tu wyproszono mnie za drzwi, lecz postarałem się wejść drugimi i na usilne moje prośby pozwolono mi zostawić moje podanie. W krótkim czasie otrzymałem zawiadomienie z Dyrekcji, żebym się stawił do lekarza, co uczyniłem, w następstwie otrzymałem przydział do urzędu pocztowego Warszawa I i byłem pełen nadziei. Gdy wtem! jak grom z jasnego nieba spadła na mnie wiadomość, że się przyjmuje tylko podoficerów zawodowych, zwolnionych z wojska w drodze komisji lekarskich, a że ja jestem podoficerem rezerwy zwolniony po odbyciu przewidzianego okresu czasu, więc droga dla mnie zamknięta. O ironiczny losie! Byłem w rozpacz, gdyż wszystkie moje zabiegi szły na marne. Jakieś złośliwe fatum zawisło nade mną, czułem się bezsilny. I wtedy błysnęła mi myśl, ażeby to wszystko zebrać i podać Pierwszemu Obywatelowi Rzeczypospolitej Panu Prezydentowi Ignacemu Mościckiemu. Napisałem więc prośbę, w której starałem się jak najdokładniej opisać moje położenie i bezowocne zabiegi w otrzymaniu jakiegokolwiek pracy, ale skutek był znikomy, owszem prośba moja została przez kancelarję Pana Prezydenta przesłana do Wydziału Opieki Społecznej, a Wydział przesłał do P. U. P. P., jednocześnie zawiadamiając mnie o tem, abym się tam zgłosił. Gdy poszedłem, powtórzyła się ta sama historia z zarejestrowaniem i na tem koniec. Przestałem pisać i myśleć. Zamknąłem się w sobie. Coś się we mnie załamało. Błądziłem bez celu po ulicach w tę i z powrotem, zaglądałem po bramach, czaiłem się w zaułkach ulic — dłaczego nie wiem. Jakiś ogień wewnętrzny szarpał mi wnętrze, mózg, serce. Nienawidziłem wszystkich i wszystko. Po takim bezcelowym włóczeniu skradałem się do domu jak zbrodniarz, unikając spojrzeń rodziców, w których zawsze czytałem — czy znalazłeś pracę? Rzucałem się wtedy na łóżko, aby zasnąć i nie patrzeć, nie słyszeć, nie myśleć o niczem. Ale nie zawsze mi się to udawało. Nerwy moje były potargane, a umysł żarty gorączką nasuwał mi

przed oczy myśli okropne, myśli rozpaczne! I wtedy starałem się wywołać wizję moich najmłodszych lat, starałem się odtworzyć obraz, że dostałem pracę, że pracuję, że się mogę uczyć, że żyję. Wtedy mogłem zasnąć, aby się obudzić znowu w dniu tej twardej, bezlitosnej rzeczywistości. Tak nadszedł dzień, w którym przeczytałem w Kurjerze Porannym ogłoszenie Instytutu Gospodarstwa Społecznego. Z początku przyjąłem to z nieufnością, gdyż przestałem wierzyć w społeczeństwo i dobrą wolę. Może się mylę, jestem młody, moje wykształcenie to zaledwie szkoła powszechna, ale kto mi wytłumaczy to zjawisko, że całe społeczeństwo jest dla mnie macochą, że od najmłodszych lat karmiło mnie żółcią i zaszczepiło jad nienawiści do wszystkiego co było dla mnie świętem — rozbilo brutalnie świat myśli, — mój świat obryzgano kałem! A Państwo? Zignorowało mnie. Faktem są nowe przepisy przy przyjmowaniu do służby państwowej niższych funkcjonariuszów, faworyzujące podoficerów zawodowych, przez stworzenie »centrali zapotrzebowań« przy Ministerstwie Spraw Wojskowych. I tak żegnaj nadziejo otrzymania pracy w instytucjach państwowych, pomimo tego, żeś był podoficerem, pełniłeś służbę lojalnie, pracowałeś ponad normę — do godziny 2—3 w nocy w kancelarji »mobu«, nie jesteś zawodowym, nie możesz dostać pracy. O ile przytaczam ten fakt, to nie dlatego, że bym był wrogiem wojska, sam jestem żołnierzem i mam sympatje dla wojska, ale mnie dziwi ta różnica praw obywatelskich, godzących w mój interes, który też jest interesem Państwa, przynajmniej tak rozumiem i to mnie boli, tembardziej, że takich faktów jest więcej. Tak bym nie chciał myśleć o tem wszystkim. Chciałbym znaleźć z tego chaosu jakąś drogę wyjścia — drogę do prawdy, zrozumienia wzajemnego i dlatego pozbywam się tej nieufności do Instytutu, właściwie do ludzi, którzy tam pracują i staram się nie pozbyć sposobności dopomożenia w ich szlachetnem zamierzeniu, przyczem ufam, że praca podjęta musi wydać owoc, musi być tym nowym dynamitem, który przestraszy ludzkość, obudzi sumienia, że człowiek stanie się naprawdę człowiekiem. Dlatego piszę. Może odbiegłem trochę od właściwego tematu, lecz chciałbym jaknajlepiej uplastyczyć wszystkie moje przeżycia od najmłodszych lat, warunki, w jakich kształtował się mój charakter, nędzę swoją i zaobserwowaną u innych, pozatem własny pogląd oparty na swoim rozumowaniu.

W ostatnich czasach zajmowałem się sporządzaniem wywiadów o stanie posiadania dla jednej z instytucji społecznych. Zbierając

dane o stanie posiadania materialnego dla instytucji, zbierałem też dane o stanie posiadania duchowego dla siebie. Byłem w barakach dla bezdomnych, suterynach, piwnicach, poddaszach i to co widziałem, słyszałem i przeżyłem w tych chwilach rozmowy z nimi, jest najczarniejszą kartą w dziejach dzisiejszego cywilizowanego, kulturalnego świata. Takiego upadku moralnego, nie mówiąc już o materialnym, takiego cynizmu, zezwierzęcenia, wyzbycia się z siebie człowieka nie widziałem jeszcze. Jakieś mieszane uczucie grozy i politowania owładnęło mną nad tymi chorymi, nieszczęśliwymi ludźmi. I nad samym sobą, bo czułem się stokroć nieszczęśliwszym widząc to i rozumiejąc, że mnie to samo czeka co ich już spotkało. I wtedy zastanowiłem się, co dla tych nieszczęśliwych ludzi robi społeczeństwo? W jaki sposób przychodzi im z pomocą? I na to dostałem odpowiedź społeczeństwa. Przedewszystkiem zaspokoić głód fizyczny, zobaczyć czy ma całe buty, a może niema palta? Do tego ograniczyło się społeczeństwo, mozoląc się nad tem, ażeby z darmowego obiadu nie skorzystał człowiek, który nie jest rejestrowany jako bezrobotny, lub ma jeszcze możliwie całe buty, albo palto. I dziwią się te wszystkie panie i panowie, ci wszyscy, którzy dają jakąś parę spodni, lub balowych rękawiczek, że słyszą pomruk niezadowolenia. Wszak dajemy, zbieramy, krzyczymy dawajcie, żywimy, ubieramy. I to wszystko. A ja powiem, że nie, że to nie wszystko. Bo społeczeństwo nie pomyślało nad tem, jak ci ludzie to przyjmą, czy im to wystarczy, jak to na nich wpłynie duchowo. Nie pomyślano o pokarmie duchowym i wynikającej nędzy psychicznej, której straszne objawy spotykałem przy sporządzaniu wywiadów. Z łatwością mogłem wyłowić te objawy, gdyż potrafiłem rozmawiać ich językiem, wczuwać się w ich wynurzenia, umiałem wzbudzić ich zaufanie, bo oni mieli podarte buty i ja też. Charakterystyczne, że ci wszyscy ludzie, którzy zamieszkiwali w barakach (na Okopowej) najczęściej byli dotknięci tą chorobą nędzy duchowej. Tam się wszyscy modlą, kiedy przyjdzie ksiądz, aby się później krajać nożami o pozostawiony łup. Kiedy się tam przychodzi spotyka się zalęknione twarze kobiet i dzieci i chmurne spojrzenia mężczyzn, a kiedy się wychodzi, zjadliwe uśmiechy i groźny pomruk niezadowolenia gonią cię aż do wyjścia, bo przyszedłeś tylko pisać a nic nie dałeś. U tych ludzi cała myśl koncentruje się na tym, aby gdzie się da i od kogo by to nie było, jaknajwięcej wydostać, wyprosić, obcałowywaniem rąk wyżebrać. W ten sposób ludzie ci handlują swoją nędzą, aby później zamroczyć się alkoholo-

lem i trwać nadal w tym stanie. Lepiej się to przedstawia, chociaż nie mniej boleśnie u ludzi, których krzywdzący los nie zepchnął jeszcze do tego piekła na ziemi, jakim są baraki. Przeważnie interesował mnie los ludzi młodych, chociażby dlatego, że sam jestem młody, zamieszkałych przy rodzicach i rodzinach jako sublokatorzy. I wszędzie ten sam obraz biedy. Pierwsze słowo to „nie pracuję, ale tak chciałbym pracować”, a kiedy mówi, że niema palta, albo butów, to jakby się wstydził, że nie ma tego palta i butów. Bardzo często zastawałem leżących w łóżku i czytających książki. Kiedy zapytałem dlaczego leży w łóżku — najczęściej odpowiadano mi, że leżąc w łóżku zaoszczędza się obuwie, przesypia się porę śniadania, obiadu, a czytając skraca się sobie czas. W czasie tego mojego łążenia spotkałem się z bardzo smutnym objawem tworzenia się prostytucji. Tak! Z kolei odwiedzin, zaszedłem do mieszkania, właściwie do piwnicy, w której mieszkała petentka i kiedy doszedłem do wypełnienia pytania w formularzu „jak zaopatrzona w odzież i obuwie”, ta niepewna, czy przychylnie dla niej to pytanie wypełniłem — chciała mi się ofiarować ciałem... Postarałem się jej przetłumaczyć i przekonać, że otrzyma wszystko co potrzebuje bez tej ofiary, rozplakała się wtedy i zaczęła opowiadać swoje przeżycia — nie mogłem słuchać — poszedłem i więcej nie robię wywiadów. I dlatego jeszcze raz zaznaczam, że zainteresowanie się tylko żołądkiem — to mało. Strawa ta nie zaspokoi tego głodu, jakim jest dla człowieka jeszcze niewykolejonego — głód pracy! A i ci, którzy przywykli do tej strawy, nie trawią jej dobrze, przez co chorują i tym potrzeba czulej i rozumnej opieki, aby się mogli wyleczyć i tak samo pierwsi, jak i drudzy mogli pracować, gdyż jedynie tylko praca jest tym twórczym czynnikiem zdrowo rozwijających się komórek, z których składa się państwo. Inaczej staną się oni trutniami w społeczeństwie.

I znowu zagalopowałem się z mojami myślami, przypuszczeniami, rozumowaniami. Lecz doprawdy temat ten nasuwa mi to wszystko i nie mogę się oprzeć chęci odmalowania tego na papierze. Siedzę i piszę z myślą, że to moje już ostatnie pisanie. Coś się ze mną dzieje... Czuję, że głowa mi pęka, lecz jakaś gorączka pisania owładnęła mną. Chciałbym tu wszystko wypowiedzieć, wypowiedzieć się i dostać rozgrzeszenie... Dzień, w którym to piszę, jest dniem wigilji. Przededniem przyjscia Pana Zbawiciela Świata — dzień, w którym zanikają swary, ustępują kłótnie, aby wszyscy w pogodzie ducha zasiedli do tej tradycyjnej wieczerzy, łamiąc się

opłatkiem i składając wzajemnie życzenia. Mnie dozwolone było tylko pisać — snuć wspomnienia złotego snu paru lat dziecięcych, przeżywać drugi raz walkę o byt i pić cierpką gorycz beznadziejnych zabiegów dostania pracy. To wszystko składało się na moją wieczerzę, a życzenia? — nie trudno się domyśleć. Może to wszystko jest kroplą w morzu tej wielkiej nędzy, — ale wszak z tych kropli składa się morze i moja kropla w nim się zmieści.

Ojciec mój od dłuższego już czasu nie pracuje wcale i nie korzysta z żadnych zapomóg, gdyż jest chałupnikiem i jako taki nie był ubezpieczony w P. U. P. P. Matka moja pracuje w fabryce firanek, lecz tylko po trzy dni w tygodniu, zarabiając 10—12 zł., pozatem pracuje siostra w fabryce bielizny, ale także z powodu braku roboty zarabia od 3 do 5 zł. na tydzień. Pozostaje jeszcze brat, który ma lat 10 i chodzi do szkoły i ja od trzech lat bez pracy. Zarobek matki i siostry pochłania w lwiej części opłacenie komornego, reszta idzie na życie. Jadamy raz, w najlepszym razie dwa razy dziennie i to zupełną kartoflaną, dla odmiany z kaszą, gdyż na nic więcej nie starcza, nie mówiąc o ubraniu, bieliźnie i t. d. Jednym słowem pływamy, tylko że ja nie widzę lądu i czuję, że pływając zanurzamy się coraz bardziej, aby utonąć. I to mnie przeraża. I co stoi na przeszkodzie temu, ażebym mógł zobaczyć i dopłynąć do tego lądu, na który mógłbym wysadzić siebie i swoich bliskich? Tą stojącą przeszkodą jest brak pracy. Ach! Jak bardzo czułbym się szczęśliwym, gdybym dostał jakąkolwiek pracę. Byłaby to dla mnie najlepsza nagroda — spełnienie wszystkich życzeń i zamiarów. Mógłbym się uczyć, odbudowałbym mój dawny stary świat myśli, — wywołałbym uśmiech na twarzy rodziców — radość życia. Ja bym żył. Ale to wszystko jest iluzją. To są marzenia ściętej głowy. Życie jest twarde, bezlitosne — ludzie są źli. Potrafili oddzielić wszystko, odseparować jedno od drugiego, potrafili wzbudzić podejrzliwość do wszystkiego co się chce wzniesić poza zaporę ustanowioną przez nich i trzeba walczyć o najmniejszą rzecz, aby zdobyć dostęp do bram ich uznania, lecz walka ta nierówna i trzeba poledz.

Jakie to straszne! Dlaczego tak jest? Pytam się Was wszystkich, którzy będziecie to czytali — odpowiedzcie mi. Czy dlatego, że może obniżyła się wartość człowieka? Czy może go kto wziął w posiadanie? Kto? — O ile ludzie — to jacyś potężni, ale przecież muszą ci ludzie wiedzieć o tem, że sami godzą w podwaliny swej potęgi i — uczciwości... Nie mogę dalej pisać — czuję, że gdybym dalej pisał to bym oszalał... Chciałbym jeszcze zobaczyć tych Panów

i Panie z Instytutu, tych ludzi, u których powstała inicjatywa przedstawienia losu robotnika bezrobotnego, uścisnąć im rękę i powiedzieć: — Niech praca Wasza podjęta na tem polu wypływa z serca, aby nie stała się zwykłą robotą, czemś przemijającym, a przyjmie wtedy kształty, które będą zawierać elementy nieśmiertelności.

Warszawa, w grudniu 1931 r.

Szewc zamieszkały
w Warszawie

Czytając gazety trafiłem na anons Instytutu Gospodarstwa Społecznego do bezrobotnych, aby opisali swe zmagania z trudnościami życia. Postanowiłem i ja napisać o swoich przeżyciach, nie dla uzyskania wyłącznie jednej z nagród zapowiadanych w owym anonsie, a raczej dla zobrazowania typu pewnej rodziny z proletariackiej masy Warszawy, no i dlatego też, może ktoś z Instytutu Gospodarstwa Społecznego umożliwi mi znalezienie jakiegokolwiek pracy. Jest to poniekąd egoistyczne założenie, ale cóż robić kiedy ludzi z sercem Chrystusa tak mało na świecie, znikomi zaś, gdy znajdują się gdziekolwiek, to giną prędko niezrozumiani lub wyszydzeni. Więc proszę się nie dziwić, bo życie bez pracy — która daje pewien dochód jest męczącą okropnością.

Ojciec mój pochodzący z Włocławka, murarz z zawodu ożenił się w Warszawie i jako rzemieślnik sezonowo pracujący nie mógł być dobrym opiekunem swej rodziny, którą niestety czynił bardzo liczną, bo w ciągu 30 lat pożycia ze swą żoną spłodził aż 15-o dzieci, z których przy życiu zawsze było około siedmiorga. Ja zaś urodzony 29 lipca 1891 roku jeżeli dziś rozumiem trochę życie ludzkości w przeróżnych jego zagadnieniach, zawdzięczam to prawie swej dobrej matce, która obciążona pracą zarobkową, biegała niejednokrotnie, aby znaleźć dla mnie miejsce chociaż w miejskiej elementarnej szkółce. Stwierdzić zaś muszę z przykrością, że ojciec mój nie dbał czy dzieci jego chodzą do szkoły. Wychodził z założenia, że gdy dzieci jego wyrosną ze zdrowymi rękami i nogami, to dadzą sobie w życiu radę. A przyznać mu muszę, że nie był pijakiem i nie bawił się w kochanki. Zaczawszy chodzić do szkoły w wieku lat 10 — spotkałem się z pierwszym bolesnym ciosem, oczywiście moralnym, bo godzącym w honor mej rodziny. Mianowicie brat mój najstar-

szy Józef, mający wtedy około 22 lat, ślusarz z zawodu, praktykant firmy * * *, dosyć inteligentny, zdolny i przystojny, przez miłość dla dziewczyny, której nie mógł zaspokoić jej wybujałych zachcianek, został złodziejem. Było to bardzo bolesne, bo widziałem rozpacz i łzy matki, konsternację ojca, no i szyderstwa moich kolegów i koleżanek, że brat mój siedzi w więzieniu za kradzież. Chcąc pocieszyć swą matkę przyrzekłem jej wówczas, że z mojej strony nie dozna nigdy takiego wstydu i uczyłem się jak mogłem, nosząc w sercu głuchy żal do szczęśliwszej dzieciarni, której bracia nie są złodziejami. W trzy czy cztery lata, dokładnie już nie pamiętam, drugi mój brat młodszy od Józefa — Władysław z zawodu murarz również został złodziejem. Biedna matka spojrzeć w oczy ludziom nie śmiała, płaczem pokrywając swój ból. W roku 1905 naciskany przez ojca, który kłął, iż za wiele darmo już chleba zjadłem, opuściłem szkołę i zawiesiłem się jako chłopak na posyłki do sklepu luster przy ul. Rymarskiej. Po kilku tygodniach przeszedłem do fabryki i borowałem dziurki w lusterkach toaletowych, ale po paru miesiącach przekonawszy się, iż zarobki szlifierza szklanego nie przekraczają 8 rubli tygodniowo, opuściłem tę fabrykę i znalazłem pracę w fabryce mebli stylowych na ulicy Chłodnej, jako chłopiec do pomocy stolarzom z płacą 40 kopiejek dziennie. W fabryce tej zrozumiałem dopiero swoje ja socjalne, bo od paru lat czytając wypożyczone książki z biblioteki zachwycałem się dziejami Polski przedrozbiorowej, zwłaszcza trylogja H. Sienkiewicza porywała mnie. W fabryce tej pracowało kilku członków Partji Polskiej Socjalistycznej i Socjal-Demokracji Królestwa Polskiego i Litwy, między nimi pracował również i Michał Bolek, wywieziony później, po aresztowaniu z 10-cioma więźniami z Pawiaka i skutkiem ich zabiegów urządzone były często w fabryce masówki, na których przysłuchiwałem się dyskusjom przedstawicieli obu partji i zdeklarowałem się podówczas dla P. P. S. i już chętnie wtedy biegałem na wiece albo do Filharmonji, porównyując przemówienia tych lub owych mówców. Chcąc zaś i od siebie coś zrobić dla usiłowań ofiarników, roznosiłem z chęcią przez dwa lata mej pracy w owej fabryce odezwy i broszury po warsztatach stolarskich w wolskiej dzielnicy. Miałem z tego powodu okropną raz awanturę ze swym ojcem, gdy przyniosłem paczkę odezw P. P. S., zakończoną oczywiście mordobiciem, tylko matczyisko biedne, choć odradzała z obawy aresztowania, pocichu to rada była, że lubię czytać książki, choćby po nocach, za co ojciec to stale tylko kłął, że zajmuję się

sprawami ideowymi. Lubiący od stolarzy, uzyskałem od nich poparcie do drukarni, w której miałem praktykować na zecera, gdyż było to moim marzeniem, które się jednak nie urzeczywistniło, bo ojciec mój nie chciał się zgodzić, abym pierwsze półrocze pracował bezpłatnie. Poszedłem przeto na praktykę do stolarza na ul. Ogrodowej i ucząc się tego fachu zapisałem się na wieczorne kursy doszkalcające do Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, które w gmachu gimnazjum imienia M. Reja przy ul. Składowej prowadziło wykłady w tak zwanych klasach rzemieślniczo-przemysłowych. Zapisałem się jedynie do tej szkoły dlatego, żeby zdobyć trochę więcej nauki, ale gdy ojciec mój dowiedział się, że tam trzeba płacić 10 rubli rocznie, taką mi zrobił awanturę, a było to przed Bożem Narodzeniem, gdy już nie pracowałem, że chcąc mu dokuczyć zapowiedziałem, że przestanę chodzić do szkoły, nie wydam na kajety i książki, ale do stolarni też już nie pójdę, bo i nie miałem ku temu rzemiosłu zbytniego zamiłowania, a pozatem w wieku lat 13 uszkodziłem sobie nogę i mając wyjętą kość obawiałem się, czy w starszych latach będę mógł stać przy warsztacie. Ale ojca mego to nic nie wzruszało, aby tylko zarobić za udzielone mi żarcie. Mając kilku kolegów szewców spytałem się ich czyby nie zechcieli wziąć mnie między siebie, abym w przyspieszonym trybie mógł się poduczyć szewstwa i później jako podręczny dawać sobie radę, na co oni zgodzili się i wtedy zapowiedziałem ojcu, że przez pół roku musi mi dać bez zapłaty z mojej strony życie i nocleg, a jak nie to się zabiję. I znów matka rozumiejąc moją przykrą sytuację, stanęła po mojej stronie, a ponieważ gotowała obiady, i roznosząc je w garnuszkach do rzeźników i szewców za Żelazną Bramę, w znacznej mierze pomagała w żywieniu wyprodukowanej przez mego ojca armii proletariatu to przyrzekła mi, że choć ojciec odmawia, to ona mi zawsze da co zjeść i tak to zostałem szewcem. Po sześciu miesiącach nauki szewstwa zostałem podręcznym i zarabiałem w pierwszym tygodniu 5 rubli. Z dumą wręczyłem matce te pieniądze i rozpocząłem z ojcem wojnę o troskliwą opiekę nad moim młodszym bratem Wacławem, bardzo zaniedbanym chłopcem, posłano go do szkoły, a chociaż długo nie chodził, to jednak choć czytać i pisać się nauczył i mając lat 17 też poszedł pracować jako młodociany robotnik. O nauce rzemiosła nie było mowy. Długo nie pracował w fabrykach, gdyż zaczął handlować, począwszy jako podwórzowy nabywca garderoby i różnych innych zbędnych antyków. Po dwóch latach pracy w szewctwie zacząłem pracować już samodzielnie jako

czeladnik niewyzwolony oczywiście — co bagatelizowałem na skutek działalności Związku Zawodowego Szewców, który negował wartość cechu i gospody czeladniczej jako instytucje zacofanych i przestarzałych poglądów. Sympatyzowałem już wtedy z Socjal-Demokracją, jako organizacją kosmopolityczną, a dlatego, że zraziłem się i rozczarowałem walkami bojówek endeckich z pepesowskimi, z czego satrapja carska zapewne tak samo się śmiała jak Katarzyna II z walk Targowicy ze zwolennikami Konstytucji 3 Maja. Nie przewidywałem, że wojna ludów umożliwi Polsce budowanie swej własnej państwowości. W roku 1911 straciłem matkę, w 56-ym roku życia zmarła z zapracowania się i po roku musiałem wyprowadzić się od ojca, gdyż uniemożliwiłem mu powtórnie się ożenić z kobietą o awanturniczej przeszłości, pragnącej wyludzić różne rzeczy od ojca pozostałe po matce, a ja uważałem je za własność dwóch moich sióstr. W roku 1913 ojciec rozpiwszy się nie mógł znaleźć pracy i wyludziwszy odemnie 5 rubli — rzekomo na drogę do Włocławka — upił się gdzieś nad Wisłą i ograbiony ze swych własnych dwudziestu rubli jak również i moich pięciu poszedł pieszo do swego miasta rodzinnego. Mnie zaś przypadło w udziale dokończyć wychowanie najmłodszej siostry 13-letniej dziewczynki. Zaraz też po odejściu ojca sprawiłem jej całą garderobę, zobowiązałem się płacić 3 ruble miesięcznie za mieszkanie, 3 ruble tygodniowo dawałem jej na wyżywienie i kilka rubli wydawałem miesięcznie za naukę jej u prywatnej nauczycielki, która potajemnie uczyła kilkanaście dziewczynek polskiego i innych przedmiotów. Starsza siostra Pola mieszkając z moją wychowanką jako sublokatorce nie potrzebowała mojej pomocy, gdyż pracując jako zwijaczka w fabryce cukierków zarabiała do pięciu rubli tygodniowo w firmie B-ci Pruszkowskich. Nie wynająłem zaś mieszkania dla nich i dla siebie, dlatego że mogli by nas okraść, oraz miałem pogląd, że mieszkając u obcych prędzej poznają życie i ludzi, niżbym ja im to wpoił. W roku 1914 umieściłem mą wychowankę na przychodnię uczenicę w magazynie mód na ul. Chmielnej. Wieczorami zaś w dalszym ciągu chodziła do swej nauczycielki, ucząc się i francuskiego, bo sądziłem, że posiadając ten język będzie mogła więcej zarobić, obsługując cudzoziemską klientelę. Wybuch wojny zniweczył moje plany i siostra ma została zwolniona, ja zaś w czasie wojny za rosjan dobrze zarabiałem, bo około 20 rubli tygodniowo. Ale urwało się to wszystko wraz z nastaniem okupacji niemieckiej. Rozpoczęła się nędza, rynki rosyjskie zostały zamknięte dla naszego obuwia. Mając kilkadziesiąt

rubli oszczędności wynająłem pokój na Krochmalnej i zamieszkałem razem z siostrami — wszyscy bezrobotni. Po kilku tygodniach wynalazłem trochę pracy szewckiej u znajomego przyjaciela i za pół ceny zacząłem zamećzać się. Nafta drożała, mój pracodawca zaznaczył, że światła nie jest w stanie dać. Kupowałem świece, aby przy ich świetle móc pracować do dwunastej albo i dłużej w nocy i zarobić na kartoflanekę z kaszą dla siebie i sióstr, a z soboty na niedzielę, gdy przerobiłem do 10 lub 11 rano, to wróciwszy do domu już i jeść mi się nie chciało, i nie mając siły rozebrać się rzucałem się na łóżko, aby spać. Dopiero w kilka godzin po południu przebudzony siadałem do obiadu, jak na niedzielę, luksusowego, bo koninka była duszona.

Ale i tej pracy nie było wiele, w lutym 1917 roku zacząłem beczynnienie deptać po ulicach i spotkałem znajomego mego brata Władysława, który obiecał mi kichy wypruć, gdy znajdzie się na wolności, za kawał jaki mu urządziłem przed wojną. Było to zdaje się w 1912 roku, brat mój Władysław wyszedłszy z więzienia zdaje się z Sieradza, przyszedł do mnie i opowiedział mi swoje perypetje z losem według jego zdania niewdzięcznym, bo siedział w więzieniu. Wyszedłszy z nim na ulicę nakarmiłem go i przekonałem się, że brat mój wódkę ciągnie jak smok. Nakłaniałem go, aby zwrócił się do »Patronatu« nad więźniami o pomoc w ułatwieniu do życia uczciwego. Pozornie zgodził się i poszliśmy na Marszałkowską, ale brat wyszedłszy z biura powiedział, że kazano mu przyjść nazajutrz i tak krążąc po ulicach znaleźliśmy się na skwerku okalającym kościół Św. Św. Piotra i Pawła, aby odpocząć trochę. I gdy ja prosiłem go, aby się ustatkował, to on odskoczył odemnie i poszedł za wałęsającym się po skwerze jakimś wyrostkiem i zaczął przejawiać zapędy homoseksualne. Oburzony jego zachowaniem się wyszedłem z ogrodu, chcąc go pozostawić bez pożegnania się. Pogonił jednak za mną i prosząc, abym się nie gniewał, wkrótce na ulicy św. Barbary chciał mi kawał wyrządzić, pakując się przez okno na parterze komuś coś ukraść. Krzyknąłem, że zawołam policję, zlął z przekleństwem i powłókł się za mną, wymyślając mi po drodze od głupich frajerów i na ulicy Hożej kazawszy mi się zatrzymać — poszedł jakoby odwiedzić jakiegoś kolegę do budynku drukarni Bukaty — i ku memu przerażeniu wyprowadził stamtąd rower. Narazie chciałem uciekać, aby nie być posądzonym o współudział w kradzieży. Ale zostałem, bo ogarnęła mnie żądza zemsty za ten w mojej obecności wybryk. Wziąłem mu rower z ręki, mówiąc, że on mógłby

się spotkać z agentem i wpaść, obiecałem mu sprzedać ten rower wieczorem koledze pracującemu w fabryce. Zostawiliśmy go na Siennej u dozorca i doszedłszy do Krochmalnej i Żelaznej kazałem mu poczekać na rogu, a sam wszedłem do najbliższej bramy, nakryłem się furtką i czekałem, aż zniecierpliwiony wejdzie do podwórza szukać mnie, i tak się też stało, gdy on wszedł na podwórze, to ja z za furtki na ulicę i wskoczywszy do tramwaju dojechałem na Sienną i odebrawszy rower wsiadłem w dorożkę i odwiozłem skąd został skradziony. Dyrektor owej drukarni chciał mi coś wetknąć w łapę, ale nie przyjąłem — bo i za co? Że nie chciałem zostać złodziejem, za to nie mogłem brać pieniędzy. Myślałem, że jak brat przyjdzie wieczorem, to go zganię i poślę powtórnie brać tam rower, ale już bezemnie. Ale on nie przyszedł, widocznie tegoż samego dnia wpadł gdzieś na innej kradzieży i miał z tego powodu do mnie żal, żywiąc pragnienie odemszczenia się. Ale widać, że nie zdołał tego dokonać, bo od tej chwili tak o nim, jak i o najstarszym Józefie nie ma żadnej wiadomości. Widocznie pomarli w więzieniach. Na wiosnę 1916 roku przybył mi nowy kłopot, brat mój młodszy Wacław handlując w czasie wojny za rosjan artykułami żywnościowymi i papierosami donoszonymi do frontu żołnierzom oraz preparowaną wódką z denaturatu żył sobie dosyć wygodnie. Za okupacji podupadł i doszedł, że kochanka jego zeszedłszy do roli prostytutki utrzymywała go swym haniebnym procederem. Bolało mnie to i chciałem go wyrwać z tego bagna i gdy dowiedziałem się, że jako chorą odstawiła obyczajówka na Zakroczymską — przynagliłem go, aby przyjął moją pomoc i tak miałem jeszcze jedną osobę więcej do wyżywienia. We wrześniu 1916 roku zapisałem się do Muzeum Przemysłu i Rolnictwa na wieczorne kursy dokształcające i przydzielony zostałem do szkoły Klas Rzemieśniczo-Przemysłowych im. Leopolda Meyeta w gmachu szkoły rzemieśniczej im. Kornarskiego na Lesznie 66. I tak w dzień pracowałem, a wieczorem uczyłem się, zarabiając zaledwie na zupkę z kaszą i koninę w niedzielę. Pozatem przyjąłem jeszcze koleżankę najmłodszej siostry ze skautingu, uczenicę 5-ej klasy szkoły średniej, córkę ewakuowanego kolejarza, ażeby za nocleg, śniadania i kolacje poduczyła moją wychowankę. Pewnego razu, gdy brygadzysta, u którego pracowałem, zapowiedział ponowną zniżkę, to oburzony i tak niskimi płacami poderwałem współpracowników i porzuciliśmy pracę, żądając podwyżki i w czternastu ludzi poszliśmy ruszyć szewców w całej Warszawie, pracujących w tak zwanych kupieckich brygadach i gdy

weszliśmy do brygady, w której pracowało kilku członków zarządu Zaw. Zw. Przemysłu Skórzanego esdeków—wywołaliśmy konsternację, że masa z własnej inicjatywy wywołała akcję strajkową, i z ich pomocą, w przeciągu kilku godzin zaludniliśmy ulicę szewcami. W przeciągu dwudziestu czterech godzin żądania nasze zostały uwzględnione, bo już w tym czasie rozwijała się produkcja obuwia do Galicji i na Kresy Wschodnie. Za trzy dni Zarząd Związku zawstydzony bezczynnością wywołał nową akcję o wyższą podwyżkę, którą wkrótce otrzymaliśmy. I tak to w przeciągu jednego tygodnia zarobki nasze podniosły się o trzydzieści kilka procent. Zwrócono na mnie uwagę i tak potrosze wciągnąłem się w odbudowywanie martwego Związku. W przeciągu półtora roku z 17 ludzi związek doszedł do 4.200 ludzi, dobrowolnie płacących składki. Złamaliśmy chałupnictwo, zaprowadziliśmy 9 godzin pracy dziennie w brygadach, zmusiliśmy właścicieli sklepów obuwianych do założenia warsztatów bezpośrednich. Jednym słowem zwycięstwo było na całej linii. Niestety na krótko.

Pod koniec roku 1917 zachorowałem na hiszpankę i na rękę, nie pracowałem około trzech tygodni, ale otrzymawszy zapomogę ze Związku wylizałem się. W szkole promowany z nagrodą uczyłem się już drugi rok i doszedłem do wniosku, że uczyć się wieczorami, w dzień pracować i brać udział jako członek zarządu Związku potężnego podówczas — nie miałem sił i czasu. Jedno musiałem zaniechać. I przestałem chodzić do szkoły, sądząc, że tą ofiarą postawię na nogi zawsze stojących na samym końcu biednych i wyszydzonych szewców i przyczynię się do dobra ogólnego ludzi mojego fachu. Dziś żałuję tego, bo praca ma poszła na marne. Ja zaś gdybym skończył tę szkołę i poszedł na wyższe kursy co było moim pierwotnym planem, to dziś zapewne jako jednostka dalej bym zaszedł i nie żył w nędzy terazniejszej. Brat mój Wacław wystarał się o pracę w szpitalu epidemicznym na Pokornej i wkrótce wciągnął tam i obie me siostry. Zostałem sam w mieszkaniu i rozpoczęło się życie zebranych partyjnych Socjal-Demokracji, aż w kwietniu 1918 roku wpadłem i zostałem aresztowany i osadzony w Cytadeli czekałem na wyrok. Przez cztery tygodnie odmawiałem swej pracy Niemcom, ale słysząc, iż Niemcy rekwirują więźniom pieniądze po wyroku za wyżywienie ich, wyraziłem gotowość pracowania i zrobiwszy komendantowi więzienia kamasze poprosiłem go o odesłanie posiadanych 100 marek mojej siostrze. Co też uzyskałem. Pieniądze te przydały się mojej wychowance, bo zwolniona później wskutek likwidacji szpitala—wyjechała do Włocławka i została po rozbrojeniu okupan-

tów sanitariuszką etapu w Aleksandrowie Kujawskim; później przeszedłszy w tymże charakterze do szpitala epidemicznego w Warszawie, poznała studenta Uniwersytetu Warszawskiego i w 1920 roku wyszła za niego za mąż. Dziś jest jej mąż nauczycielem ludowym, gdyż nie miał sił dla dokończenia studjów. Czuję wobec niego pewien nietakt, gdyż nie opowiedziałem mu o tych dwóch moich braciach wykolejencach. Widząc, że się życzliwie traktują, nie chciałem im mącić nastroju.

Otrzymałszy od Niemców dwa lata ciężkiego więzienia powędrowałem do Mokotowa i tam chcąc czytać, a nie pracować dla Niemców za 10 fenigów dziennie symulowałem chorobę, i udawało mi się to przez cztery tygodnie. Ale połapali się i wtedy broniąc swojej metody postępowania odmówiłem się od pracy i zostałem za to wydzielony z ogólnej celi do pojedynczej, i co kilkanaście dni abym pamiętał me nieposłuszeństwo dostawałem za najdrobniejsze przewinienie po kilka kułaków. Skończyła się okupacja. Zostałem wolny i przez dwa tygodnie chodziłem po ulicach Warszawy i przyglądałem się nastrojom wolnościowym stolicy, analizując i zastanawiając się czy mam zostać w dalszym ciągu kosmopolitą, czy też zachować się biernie, nie sprzeciwiając się rozwojowi koniecznego procesu jaki zachodził w tworzeniu się państwowości polskiej. I wybrałem to ostatnie.

Wyjechałem do Radomia i zgłosiłem się do kooperatywy wytwórczej obuwia »Jedność«, zorganizowanej zaraz po obaleniu okupantów przez Polską Partję Socjalistyczną. Ale narazie nie chciano mnie zapisać na listę robotników, bo już zdążyło się wcisnąć do tej »Jedności« przeszło 30 szewców warszawiaków esdeków z przekonania i swem agresywnem się zachowaniem wytrącali z równowagi tak zarząd »Jedności«, jak i około dwustu zatrudnionych tam szewców, znajdujących się pod wpływami P. P. S. Pracowałem przez kilka dni pozornie jako pomocnik jednego z warszawiaków. I dopiero w czasie burzliwej dyskusji wywołanej przez esdeków z zarządem »Jedności« o obalenie słusznego jego zarządzenia, wystąpiłem i zażegnawszy burzę swem przemówieniem, bo przyznającym słusność zarządowi, zostałem przezeń natychmiast przeproszony i zapisany na listę robotników. Proszę mi wierzyć, że nie uczyniłem to dlatego iżby stać się popularnym w zarządzie, ale dlatego, że wystąpienie esdeków było nielogiczne i poprostu warcholskie. Wkrótce zostałem wybrany przez ogół tamtejszych pracowników do Komitetu Fabrycznego i w końcu lutego 1919 r. mając płatny tygodniowy dyżur na równi z majstrem przestrzegałem porządku w fabryce i biegając

z szewckich sal do kamaszniczych, aby nie opóźniali cholewek i nie narażali szewców na bezczynność, przeziębilem się i zemdlawszy w sobotę przy oglądaniu wykończanej roboty zostałem wcześniej wypłacony i pojechałem do domu. Przez myłą djagnozę lekarza zostałem wysłany jako chory na tyfus do szpitala epidemicznego na Nową-Karczmę i tam leczono mnie chorego, ale na zapalenie płuc. Po trzech tygodniach opuściłem szpital bardzo osłabiony. Miałem jednak za co się odżywiać, bo otrzymałem od pracowników »Jedności« około czterysta koron. Odżywiając się i odpoczywając około 10 dni wziąłem się za pracę, ale na mieście. Zarząd »Jedności« obiecał mi dać lżejszą jaką pracę w administracji. Widziałem jednak jak ludzie zawzięcie intrygowali o zdobycie posady administracyjnej w owej »Jedności« i nie zgłaszając się o urzeczywistnienie obietnicy usiadłem na mieście u brygadzysty, chcąc już pracować. Po dwóch dniach, gdy praca wysuwała mi się z rąk, zwrócono na mnie uwagę i po zmierzeniu gorączki okazało się iż mam 40 stopni oraz żółte plamy na piersiach i rękach. Przynaglono mnie do natychmiastowego udania się do szpitala, a tak się bali zarazić, że ani jeden nie odprowadził mnie. Ślaniając się jak pijany poszedłem do doktora Korczaka i otrzymawszy potwierdzenie, iż jestem chory na tyfus plamisty, otrzymałem kartkę do tegoż samego szpitala i kupiwszy sobie cytryn, pomarańczy i cukru na lemoniadę potrzebną w gorączkowaniu wsiałem w dorożkę i pojechałem się leczyć. Po trzech tygodniach byłem już zdrow i pracując na mieście uczęszczałem wieczorami na zebrania organizacji socjal-demokratycznej. W lecie postanowiłem urobić opinię wśród szewców pracujących poza »Jednością« na mieście dla kupców za koniecznością rozpoczęcia akcji o założenie dużych bezpośrednich warsztatów. I dopiąłem celu. Rozpoczęliśmy akcję strajkową o podwyżkę i założenie brygad. Ale cóż zrobić, kiedy »łaska tłumu na pstrym koniu jeździ«. Gdy otrzymaliśmy te podwyżkę już się rozpoczął ferment, znaczna część chałupników domagała się przerwania akcji, twierdząc, że nie potrzebne im brygady. Z garścią wiernych nam jako Komisji Strajkowej młodych szewców utrzymaliśmy akcję strajkową, nie cofając się nawet przed terorem przez trzy tygodnie i doprowadziliśmy, że już niektórzy zmęczeni kupcy przystąpili do zakładania warsztatów. I przegraliśmy, bo większość chałupników rozwścieczona utratą eksploatacji chłopaków jako terminatorów, rozpoczęli wśród kupców agitację, że niepotrzebne im brygady i w czwartym tygodniu złamano nas. Podpisaliśmy koniec strajku z uzyskaniem podwyżki ale bez warsztatów.

Podając ogólnemu zebraniu wynik akcji powiedziałem im, że są durniami i doczekają się jeszcze skutków swojej głupoty. Za moją prawdomówność musiałem przez pewien czas oględnie chodzić wieczorami, ażeby nie dostać po zębach. Pomimo rozgoryczenia weszłem w parę tygodni do zarządu Związku i zostawszy przewodniczącym przeprowadziłem jeszcze kilka akcji o podwyżki wskutek dewaluacji. W 1920 przed ofensywą bolszewicką zwołałem zarząd, zdałem przewodnictwo i wstąpiłem ponownie jako współpracownik do »Jedności«, uczyniłem to dlatego, że niektórzy moi przyjaciele esdecy gniewni, iż przestałem przychodzić do organizacji, podówczas już nazywającej się Komunistyczną Partją Polski — zapowiadali mi, że już niedługo będę błagał w ich przedpokojach o łaskę. Nie mogąc bzdur słuchać wróciłem do ludzi realniej myślących i zostałem wysłany do filji »Jedności« w Ostrowcu. Tam pracując w warsztacie przy sklepie poszedłem pewnego wieczoru na przedmieście Denków, zamieszkałe przez szewców i rozejrzawszy się w ich warunkach pracy, przynagliłem, aby się zeszli w niedzielę po południu w lokalu P. P. S. i do zgromadzonych przemówiłem obszernie, co w rezultacie sprawiło, że postanowili się zorganizować i przystąpić do akcji o podwyżkę. Akcji takich kilka im wygrałem, zorganizowawszy w związek, połączyłem z Centralą Zw. Zaw. Robotników Przemysłu Skórzanego. W międzyczasie obcując z nimi wyłowiłem ośmiu najzdolniejszych na każdą robotę i posadziłem ich w warsztacie naszej filji, ażeby móc każdy obstalunek wykonać na miejscu, nie potrzebując wysyłać je do Centrali w Radomiu. I cieszyło mnie, gdy przechodząc przez rynek w Ostrowcu widziałem nienawistne miny tamtejszych właścicieli sklepów, poskromionych w ich wyzysku stosowanego wobec bezradnych biednych szewców. Po ośmiu miesiącach wezwany zostałem do Radomia i z polecenia zarządu »Jedności« objąłem pracę ekspedjenta w hurtowni skór. Po roku wskutek likwidacji wspomnianej hurtowni zostałem kierownikiem sprzedaży obuwia w sklepie »Jedności« w Radomiu i przyjąwszy na siebie obowiązek kalkulacji przetrwałem inflację bez straty ilości obuwia, co było dodatnim sukcesem — bo wydawałem członkom związków urzędniczych do pięciuset par obuwia miesięcznie na kredyt. Dopiero w czasie stabilizowania waluty przez premjera Wł. Grabskiego ferment wewnętrzny członków »Jedności« podsycany przez naszego konkurenta — właściciela również sklepu z obuwem, a będącego niegdyś naszym wojażerem, doskonale znającym czułe strony i bolączki »Jedności« sprawił, że ogół członków postanowił

zmienić zarząd i kierownictwo, które nawiasem mówiąc, nie stało całkowicie na wysokości zadania. Nowe kierownictwo objawszy zarząd fabryki i sklepu nieudolnością doprowadziło, że po ośmiu miesiącach »Jedność« została zlicytowana. Ja zaś po swem ustąpieniu ze sklepu, pracowałem zgłosiwszy uprzednio rejentalne wystąpienie ze spółki, jako szewc chałupnik dla firmy * * * ponieważ będąc kawalerem nie miałem swego lokalu przeto płaciłem pewnemu chałupnikowi 10 zł. miesięcznie za miejsce do pracy. Głupstwo zrobiłem, że nie należąc do komuny, nie zapisałem się na stałego członka P. P. S., co umożliwiłoby mi znalezienie pracy w jakiejś instytucji samorządowej, jak wielu zrobiło moich znajomych i drwiąco się później zachowujących, że więcej odemnie zarabiają. Związkiem nie zajmowałem się, bo różne zdarzenia nie pociągały tam mnie.

I tak wegetowałem do 1928 r.

Na skutek dekretu Pana Prezydenta z dnia 15 grudnia 1927 r. o Izbach Rzemieślniczych, będąc obecnym na zebraniu różnych rzemieślników w Resursie Rzemieślniczej wstąpiłem na wezwanie organizatorów do Komitetu Wyborczego do Izby Rzemieślniczej, mając ku temu prawo, gdyż w czasie kampanji poprzedzającej wybory do Izby Rzemieślniczej wyzwoiliłem się na czeladnika i spłaciłem się na majstra. Wstąpiłem zaś do owego Komitetu dlatego, żeby skorzystać z okazji i rozbudzić ze śpiączki apatji i zniechęcenia szewców i pobudzić ich do życia organizacyjnego w nowej formie samorządu rzemieślniczego, opartego o Izby Rzemieślnicze. Bo związki zawodowe jak się okazało — przynajmniej takie wyniosłem wrażenie ze szewców — odciągnęły rzemieślników od instytucji cechowych dla walki z kapitalizmem, ale nie dały im spójni i zbyt wiele posiadały ludzi o niskim poziomie etyki. Cechom i gospodom trzeba zaś przyznać wyższość powagi, tradycję i przestrzeganie być może śmiesznych jak dla kogo, ale imponujących korporacyjnych obrządków. Po kilku wyjazdach do Kozienic i Ostrowca dla zreferowania nowej ustawy i zorganizowania lokalnych Komitetów zostałem decyzją egzekutywy Kom. Wyborczego powołany na stałego sekretarza z płacą 10 złotych dziennie. Jako sekretarz pracowałem około pięciu miesięcy, jeżdżąc do Kozienic, Ostrowca, Opatowa, Sandomierza i Kielc, aby pobudzić tamtejszych rzemieślników do żywotności oraz z polecenia wyłonionego Komitetu Zjazdu Rzemieślników Województwa Kieleckiego przygotowałem ów Zjazd, na którym sekretarzowałem i w drugiej połowie Zjazdu, gdy narodowcy poczeli wicherzyć, krótkim, ale logicznie ujętem przemówieniem zdetonowałem ich i uspo-

koilem, za co otrzymałem od posła Idzikowskiego wyraz uznania. Po ukończeniu prac Kom. Wyborczego wróciłem na stołek robić bućki. Chociaż dawano mi do zrozumienia, że mógłbym zostać stałym sekretarzem Zjednoczenia Rzemieślniczego, ale jako zdecydowany zwolennik narodowców. Zrozumiałem o co się rozchodzi i tego uczynić nie mogłem, bo byłem zwolennikiem polityki Marszałka Piłsudskiego. Robiąc szewctwo zaskoczony zostałem we wrześniu 1929 r. strajkiem wywołanym przez radomską P. P. S. w celu zaszachowania Komisarza Kasy Chorych, występującego z ramienia rządu. Strajk ten był nie w porę dla szewców wywołany i trwał sześć tygodni, zniszczywszy szewców do szcztetu. Ja sam zastawiłem jesionkę i straciłem ją, bo nie mogłem później zapracować na pokrycie wydatków bieżących i zaległych długów. Po strajku kupcy i majstrowie bezceremonjalnie zrywali cenniki, co sprawiło, że poprosiwszy tamtejszego działacza społecznego rotmistrza * * * o referencję dostałem się jako robotnik do Państwowej Wytwórni Uzbrojenia w Radomiu i przydzielony na salę obróbki mechanicznej rowców pracowałem przy szlifierce, obrabiając nóżki do ram. Po czterech miesiącach zwolniłem się 20 kwietnia 1930 r. z powodu małych zarobków, bo nie przekraczających 140 zł. miesięcznie. I znów usiadłem na stołek, mogąc zarobić przy dwunastogodzinnym dniu roboczym około 40 zł. tygodniowo. Za poradą jednego z członków Zjednoczenia Rzemieślniczego złożyłem ofertę na sekretarza owego Zjednoczenia, podkreślając, że skoro potrzebny jest taki pracownik, to niech zostawią w spokoju jego przekonania polityczne, a wymagają uczciwej pracy. Widać przesłanki polityczne wzięły górę i nie odpowiedziano mi. W marcu 1931 roku wobec stałych obniżek w szewctwie odwiedziłem Warszawę i poznawszy się z terazniejszą moją żoną, umówiłem się z nią i na Zielone Świątki przyjechałem na dłuższy pobyt. A ponieważ miałem kilka weksli płacić za jesionkę tamtejszemu krawcowi * * *, to zostawiłem mu tę jesionkę, żeby nie zlorzezczył, że go okradłem. Zostawszy w Warszawie, umówiłem się z moją narzeczoną, u której matki zamieszkiwałem, że ona kupi materiału i zrobi krawatów parę tuzinów i chodziłem z niemi po mieście, zarabiając po parę złotych dziennie. Niepodobano się to matce mojej narzeczonej, bo zauważyła, że córka jej jako przyszła moja żona wymknie jej się z rąk, jako eksploatowana egzystencja, pomimo, że ja zaznaczyłem, że po ślubie nie będę jej traktował jako zbędnego dla nas człowieka. Rozpoczęła ze mną piekielne awantury, ubliżając mi najohydniejszymi obelgami, co sprawiło, że narzeczona

moja po jednej z takich awantur chciała się otruć. Uspokoilem ją i za posiadane pieniądze pobraliśmy się we wrześniu, postanowiliśmy sobie wyprowadzić się od tej nieznośnej kobiety. W tym celu wynajęliśmy w nadbudowywanym domu bez odstępnego jeden pokoik za 75 zł. miesięcznie, mogąc zająć ten lokal od 1 października, wpłaciwszy tytułem zadatku 50 zł. Ale złośliwość mojej teściowej uniemożliwiła mi rozpocząć życie małżeńskie na swoich deskach. Bo zapowiedziała, że pójdzie do firmy, z której żona moja otrzymuje pracę i oskarży ją, że ona sama wyrabia krawaty. Nie jest to zbrodnia, ale w dobie tak strasznego kryzysu niewykluczone, że mogłaby żona ma utracić pracę. A gdzieindziej trudnooby było jej znaleźć nową pracę. Ja zaś jedynie na sprzedaży krawatów nie mógłbym zarobić na pokrycie wszystkich wydatków. I zaniechałem chodzić z krawatami, aby nas nie eksploatowała ta egoistka. Pozostaliśmy narazie u niej płacąc całkowite komorne i dzieląc się z nią żywnością, jaką posiadamy. Zadatek wpłacony na mieszkanie odebraliśmy zaledwie w połowie. A że ta potworna mamcia spełniłaby swą pogroźkę — to jestem przekonany, bo syna swego potrafiła przed kilku laty zaskarżyć do sądu o bicie, co jest nieprawdą i uzyskać na niego 3 miesiące aresztu, szkodząc mu w tem w jego karierze handlowca. Drugiego syna jeszcze przed wojną doprowadziła do samobójstwa. Zbywam wszelkie jej zaczepki pogardliwym milczeniem i cieszy mnie to, gdy ją wściekłość ogarnia, że nie może mnie rozruszyć do kłótni. Bo ona czuje, że gdy znajdę pracę, to natychmiast wyprowadzę się i nie przyjdę do niej, aż wtedy, gdy ją będą wywozić na miejsce wiecznego milczenia. O szewctwie to nie mogę myśleć tu w Warszawie. Znajduje się w okropnym kryzysie, przyczyniły się zaś ku temu obie strony. Gdy za okupantów wszystkie swe siły wkładałem, aby wydzwignąć szewców z nędzy wyzysku i nieludzkich warunków pracy, to po obaleniu okupantów przywódcy Związku wprowadziwszy politykę partji do Związku, ściągnęli nań represje władz administracyjnych, niezadowolone wielu członków, posiadających umiarkowany światopogląd. A przytem wielu członków zarządu nie stanęło na wysokości etyki i mienie związkowe zbyt często bywało zamieniane na alkohol. I tak powoli doszło, że znów się szewcy rozleźli po chałupach, nabrali chłopaków, którzy naokoło Warszawy utworzyli mnóstwo warsztatików, licytując się wzajemnie aż do głodowych warunków. Majstrowie zaś nasi wyzbywszy się warsztatów zachorowali na wielkich panów i doszli do przekonania, że tylko przy 100 % zysku mogą produkować. Aż wpuszczona do kraju czeska

firma »Bata« zamieniła się w bat na rzemiosło szewckie. Bo majstrowie, jak i żydowscy obuwnicy, chcąc utrzymać klientelę rozpoczęli gwałtowny odwrót z wywindowanych cen. A że szewcy wykonawcy znaleźli się rozsypani w swoich chałupkach, rozbici, zdemoralizowani, to oni najwięcej ten bat odczuli. I tak to chociaż istnieje na terenie Ligi Narodów Komisja Ochrony Pracy i Polska do niej należy, to jeszcze długo szewcy i inni podobni męczennicy będą czekać, gdy znajdą się pod opiekuńczymi skrzydłami tej instytucji.

Gdyby to była wiosna, to dałbym sobie radę, bo obstałoby u kowala i uliczną sprzedażą owoców może bym zarobił na spłaceniu wózka i pokrycie wydatków życiowych. Łudząc się nadzieją złożyłem podanie z prośbą o pracę w Towarzystwie Księgarni Kolejowych »Ruch« i w Zakładzie Ubezpieczeń Pracowników Umysłowych na Czerniakowskiej o pracę woźnego. Czy tę pracę dostanę to nie wiem. Narazie nie pracuję i czytając gazety zastanawiam się do czego ludzkość dojdzie ze swym przerażającym kryzysem. Miljony idące już w dziesiątki bezrobotnych, skomplikowane zobowiązania pieniężne narodów, i dwa wrogo nastawione przeciwko sobie systematy gospodarcze, kapitalizm i komunizm, które wyciągają z ludzkości olbrzymi haracz na utrzymanie w gotowości bojowej olbrzymich armii. Przecież tak w nieskończoność nie mogą bezrobotni być żywieni przez resztę pracującego społeczeństwa, bo to będzie wytwarzać coraz większe zubożenie całego narodu. Poza to dziwi mnie dlaczego twórcy funduszu ubezpieczenia od bezrobocia nie obmyślili wyzyskania tych wypłacanych rok rocznie kapitałów dla tychże właśnie mas robotniczych. Jeżeli robotnik zwolniony z pracy otrzymywał prawo przez X tygodni X sumę, to nie poto, ażeby wałęsał się i grał na peryferjach w karty. Ale po to, ażeby coś za otrzymaną sumę również dał. A mógłby dać tyle godzin pracy, ileby pracował u pracodawcy za otrzymaną sumę z funduszu bezrobocia. Przykład: zarabiał u pracodawcy jedną złotówkę na godzinę, to otrzymując z funduszu bezrobocia 20 złotych winien był dać specjalnie zorganizowanej instytucji 20 godzin pracy. A ponieważ mamy głód mieszkań, to czy ci bezrobotni nie mogliby wybudować tysięcy domów, czy to drewnianych, czy też składanych z płyt półbetonowych. I sami nie gnieździliby się po kilkanaście osób w jednej izbie.

Gdyby przygotowano masy bezrobotnych, korzystające z funduszu bezrobocia do oddania odpowiednika w postaci godzin roboczych, to za te miliony straconego czasu przeproźnionych godzin,

ileżby poza budową domków możnaby było zrealizować inwestycji wyłącznie przeznaczonych na użytek tych tak upośledzonych mas proletarjackich, w postaci zakładania skwerów w dzielnicach robotniczych, zadrzewienia ulic, budowania stadjonów sportowych i świetlic dla młodzieży robotniczej. Ileż to kapitału wróciłoby się z powrotem do Funduszu Bezrobocia, gdyby wybudowano kolonie domków dla robotników w postaci pobieranego komornego. Ileż leż zostałyby osuszonych takimi inwestycjami, ileż dzieci moralniej zostałyby wychowanych, wogóle niejeden promień zadowolenia wprowadzonoby upośledzonym, a tak nieopatrznie karmionym licytacyjnymi hasłami wiecowemi. Gdy czytając pisma uprzytomnię sobie sytuację spleątaných interesów narodów Europy i dalej na globie, to wydaje mi się, że terażniejsza sytuacja podobną jest do sytuacji po osadzeniu Napoleona na Elbie i że szykuje się nowe Waterloo w nowej oczywiście konfiguracji. Zdaża zaś ku temu niespokojne zachowanie się Niemiec, jak i niemożliwość istnienia na dłuższą metę dwóch wykluczających się w zgodnem współżyciu systematów gospodarczych, to jest kapitalizm i komunizm. I prędzej czy później, to wyniknie śmiertelny bój o wszechstronne prawo życia lub śmierci dla jednego z nich. I dopiero po tej walce ludzkość będzie mogła wytknąć sobie na długi szereg lat program tworzenia życia, ale już w ramach organizacji kosmopolitycznej, bez względu na to, która strona zwycięży. Bo jeżeli zwycięży komunizm, no to siłą swego założenia programowego pokieruje ludzkością, jako ogólnością społeczeństwem. Jeżeli zaś kapitalizm oparty na głęboko zakorzenionym nacjonalizmie swych mas proletarjackich zdoła obalić komunizm, to tylko wtedy to dokona, gdy wyłoni z siebie jeden w Europie, a drugi w Azji silne woła i organizacją narody, które później będą musiały stworzyć Zjednoczone Stany Świata z generalną egzekutywą regulującą rozwój techniki, osadnictwa i płodności, z jednolitą walutą i minimalnemi wydatkami militarnymi. Popchnie zaś ludzkość ku tym koniecznościom wzrastająca anarchja w stosowaniu wynalazków technicznych, sprawiająca, iż coraz więcej bezrobotnych znajduje się na ulicy głodnych i groźnych, oraz obdłużenie narodów uniemożliwiające podniesienie zarobków masom proletarjackim. Przyszłość kapitalizmu spoczywa w rękach rasy anglo-saskiej i japończyków. Gdy oni zawiodą, to zmierzch kapitalizmu jest nieuchronny. Proszę się nie śmiać, że uniesiony fantazją napisałem trochę bzdur. Napisałem tak jak rozumiem. A teraz wracam do początkowej mej prośby, jeżeli by ktoś z Instytutu Gospodarstwa Społecznego mógłby

mi ułatwić znalezienie jakiegokolwiek pracy — to umożliwiłyby mi jednocześnie i egzystencję oraz możliwość kształcenia się wieczorami. Bo aczkolwiek mam 40 lat życia, to jednak nie znudziłoby mi się uczyć, choćby z pięć lat, aby z większą wiedzą popracować jeszcze dla dobra społecznego. Chcąc zaś się uczyć, to przedewszystkiem trzeba mieć podstawę zarobkowania — niechby prymitywnego, ale dającego możliwość życia i ułożenia sobie czasu na naukę.

P. S. Zapomniałem wyjaśnić sytuację mojej starszej siostry Poli. Zwolniona w roku 1918 ze szpitala epidemicznego wegetowała z udzielanych jej obiadów komitetowych, aż do znalezienia pracy po obaleniu okupacji w fabryce cukrów i czekolady i tak pracując lub zwalniana, żyje jako panna do dziś dnia, mieszkając kątem u rodziny robotniczej. Teraz bezrobotna, korzysta z Funduszu Bezrobocia, pobierając 7 złotych tygodniowo. Obiecałem Jej, że gdy osiągnę swe własne mieszkanie, to przyjmę ją i ułatwię jej egzystencję, bo nie będę brał za komorne. Dziś siostra ma Pola mieszka u rodziny, która odnajmuje swój lokal, składający się z jednego pokoju i kuchni jeszcze trzem sublokatorom. I tak gnieźdząc się na kupie nie mogą powiedzieć, że życie im spływa w harmonii i spokoju.

Warszawa, dn. 7 grudnia 1931 r.

Pamiętnik Nr. 11

Monter
zamieszkały we Włocławku

Cudowny nasz warsztacik i tego dnia stał uśmiechnięty rzędami pokratkowanych okien, obojętny na tragedję, jaka dokonywała się w jego wnętrzu. To co było od dłuższego czasu przedmiotem codziennych naszych konferencji przed pracą, a przed czem każdy robotnik schyla pobożnie głowę i drży miotany straszliwym lękiem, stało się faktem dokonanym. »Może jednak się rozmyśla. Może się ulituja... A może...«

Na tablicy ogłoszeń, niby klapsydra, obwieszczająca śmierć, zwisała żałobna karta, której treść na zawsze grzebała wszelkie nasze nadzieje. Za dwa tygodnie żałosne zgrzyty obrabiarek, dzwonki telefoniczne i ciągle: «halo» zamarło, a majster ze łąz w oku uściaskał rękę ostatniego pracownika, co opuszczał warsztaty telefonów międzymiastowych, przy ul. Kazimierzowskiej 59 w Warszawie. Lubiliśmy się oboje ze »starym«, to też zwrócił się do mnie ze słowami pociechy. Mówił długo i w miarę jego słów, z których była prostota i szczerość, wstępowała we mnie otucha. Dla ojczyzny musimy ponieść tę ofiarę i choć nam życie dokuczy, czemże to będzie wobec tych bohaterów, którzy stokroć większy dług spłacili Ojczyźnie, oddając życie w ofierze. Ten jego heroizm udzielił się i mnie; ja również w tej chwili poczułem się bohaterem, a wrodzony animusz militarny przesunął mi w wyobraźni mężów, którzy cierpieli dla świętej sprawy.

Z uczuciem lekkiej ulgi pożegnałem »starego«, ale dręczące myśli nie opuszczały mnie ani na chwilę. Oto byłem wprawdzie już monterem telefonicznym, niedawno ukończyłem służbę wojskową, jestem żonaty i mam dziecko. W życiu swoim nie zdobyłem większego wykształcenia, a przecież po swych przodkach odziedziczyłem wrażliwe uczucia i przejawiałem skłonności do pióra. W cza-

się wolnym po robocie pisywałem. Nowelki, które odczytywałem tylko znajomym, sprawiały niesłychane na nich wrażenie.

I ci właśnie znajomi nadali fałszywy pęd moim marzeniom. Zacząłem marzyć o sławie, o karierze literackiej. Ponieważ materiał do swoich opowieści czerpałem z najbliższego otoczenia, które notabene mieszkało w królestwie nędzy, znajomi moi, we mnie, czarnym robotniku, widzieli przysłą chlubę literatury proletariatu. Zło, jakie wpływało z tego pochlebstwa, poczęło mi dokuczać od chwili, kiedy kapryśny los pozbawiał mnie słodkiej rozkoszy tworzenia. Jedno słowo — redukcja — strącało mnie z krainy marzeń w czarną rzeczywistość. A rzeczywistość naprawdę była okrutna i zaczęła się od dnia, kiedy żona moja powitawszy mnie w progu wyczytała z mej przygnębionej twarzy cios, jaki nam zadano. Uściskałem ją. Biernie przyjęła pieśczętę i spojrzała na dziecko, które w radosnym szczebiocie, pełzało po izbie. Postanowiliśmy nie poddawać się zmartwieniu i zaczęliśmy pocieszać się nawzajem. Nastąpiła tkliwość i wzajemne zrozumienie. »Przez jakiś czas wystarczą nam twoje zasiłki« — rzekła Irena i spojrzała na mnie, ale chłód, jaki bił z mej twarzy, zwarzył jej pokładane nadzieje w tym kierunku. Kiedym jednak jej powiedział o wielkości zasiłku, zrozumiała, wyraz mej twarzy został usprawiedliwiony.

Po chwili więc zaczęła mówić obszernie o samodzielności kobiet i przyrzekała uzupełnić braki własną pracą — szła przecież na maszynie. Z entuzjazmem przyznałem jej słuszność, więc zachęcona tym sukcesem, tak kończyła: »Nasza najbliższa przyszłość, to ogrom pracy, jaki musimy podjąć dla własnej egzystencji i los nasz dziś tkwi w naszych rękach«. Poczem uspokoiliśmy się nieco i długo, długo tuliłem do własnych piersi drogie sercu memu istoty za los których przedewszystkiem byłem odpowiedzialny i to poczucie napawało mnie podświadomą rozkoszą i dumą. — Nie, nie może nas spotkać nic złego! — zawołałem i nagle obudził się we mnie duch jaki ogarniał mych przodków, gdy własną pierś bronili rubieży przed najeżdzącą. Czułem się nawet jak kapitan na tonącym okręcie i widziałem w sobie utkwione przerażone oczy jako w jedyną pomoc i nadzieję. Byłem przecież pełen zdrowia i siły. Zdawało się, że nic strasznego nie powinno nam grozić, gdy tymczasem nędza miała nas gorzko doświadczyć.

Na drugi dzień, gdy żona gorliwie turkotała na maszynie, ja rozpocząłem wędrowkę-tułaczkę po warsztatach pracy. Prędko jednak doświadczyłem tylu przykrości, że pomimo kilku obietnic zanie-

chałem dalszego pościgu pracy — fortuny. Nikt nie odkryje, jaki ogarniał mnie stan psychiczny, gdy z drżeniem na całym ciele przestępowałem drzwi kantorów. Tam królowali wilcy, wchodziłem więc z uczuciem z jakim pierwotny człowiek wchodził do jaskini dzikich zwierząt. Oj, zapewne wolałbym dzielić losy mego protoplasty. Dzień w dzień wracałem do domu na Ogrodową w Warszawie, pełen straszniejszych wieści o masowych redukcjach, obniżkach płac i t. d.

Był już czerwiec, wiosna uśmiechała się do wszystkich, ciepłe promienie słońca, świergot ptaków, zieleń drzew w parku były zwiastunami nadziei dla wszystkich, tylko nie dla nas. Wycieczki pozamiejskie z czasów łaskawszego uśmiechu fortuny, były mglistym marzeniem, nieziszczonym snem, utopją. A mała, czteroletnia Dżidzi tak wiele potrzebowała słońca i serce mi krwawiło, gdy patrzył w jej blade policzki i dzieliłem jej tęsknotę za naturą.

Z nadejściem lata martwy sezon ogarnął pracę Ireny, coraz rzadziej odwiedzały ją klientki i chociaż robota paliła jej się w ręku, nie miała co robić i długie godziny spędzała przy swym warsztacie pracy — maszynie, pogrążając się w smutku. Żyliśiny więc jedynie z mojego zasiłku, lecz czasokres tego przeleciał lotem strzały, zasiłek był już na wyczerpaniu i widmo potwornej nędzy zaglądało już w okienko naszej izdebki. W tym czasie próbowałem pisać zawodowo, w czym widziałem nawet ratunek. Opanowała mnie istna gorączka twórcza, która przykuwała mnie do pióra na dnie i nocie całe, lecz trudno mi było zdobyć się na coś lepszego, gdy żołądek dopominał się o swoje prawa, a straszliwy mól niedoli targał mi we wnętrzu. Orszak moich bohaterów odzianych w kir żałoby wydawał mi się samemu zbyt ponury, roztrzaskałem więc kałamarz w rozpacz i przestałem pisać. Marzyłem tylko wciąż o jakimś stałym zajęciu i wolnym czasie po pracy, kiedy to na łonie rodziny, w ciepłe domowego ogniska pisałem tak wiele. Po nieudanej próbie pisania zabrałem się do fabrykowania zabawek. Z pod moich rąk sypały się prawie samolociki, wózeczki, samochodziki, które należało sprzedać na ulicy, co stanowiło większą trudność niż ich wykonanie. Często stawałem na rogu ruchliwych ulic, słowami zachęcając przechodniów do kupna, dopóki tamtędy nie przechodził policjant, na widok czego należało automatycznie związać swój kramik i szukać bezpieczniejszego miejsca, albowiem prawo nie zezwala na handel uliczny. Niewiele to jednak przynosiło zysku i trzeba było z konieczności porzucić to zajęcie mimo, że zasiłek

dawno się już wyczerpał. Irena przyjmowała teraz bieliznę do prania, ale trud ten przechodził jej wątłe siły i wyczerpana fizycznie musiała kilka dni poleżeć i zrezygnować z tego rodzaju zarobku.

Z braku dobrego odżywiania Dzidzi również podupała na zdrowiu i zamiast radosnego szczebiotu, częściej słychać było płacz w izbie, który nękał do reszty skolataną duszę. Przeklęty fatalizm zaciążył nad nami na podobieństwo chmury i przygłbiał nas swym brzemieniem. Chodziłem teraz często pod Hale Mirowskie i czasem przy zdejmowaniu towarów udało mi się trochę zarobić. Później przeniosłem się na dworzec, dopóki nie wyrugowali mnie tragarze, odnosiłem paczki do domu. Czasami gdym czuł, że mej żonie i dziecku dokucza głód, zrywałem się nawet po nocach i biegłem na ulicę, gdzie się da. Z wędrówek tych przynosiłem nawet po parę złotych, co mej żonie dało asumpt do brzydkich podejrzeń. Walczyłem poprostu o kęs chleba. Kiedy jednak dostrzegłem piętno nędzy na twarzy Reny i Dzidzi, czułem się pokonany, zwyciężony w walce. Znikąd pomoc nie nadciągała i co było najgorsze w naszym położeniu, to brak nadziei, niebezpieczeństwo więc, jakie nad nami zawisło, stawało się groźniejsze. Jednego ranka, gdym się obudził, skonstatowałem, że nie posiadałem już ani grosza, prędko jednak rozstrzygnąłem ten kłopot, sprzedając lustro na Ker-celaku. Rena precz jeszcze leżała chora, nie wiedziała więc o tem. Zdziwiła ją tylko moc zakupów, kiedym wrócił z miasta. Kupiłem nawet i lekarstwo, po którym istotnie zrobiło jej się lepiej i powstała. Tajemnica została odkryta, miejsce w rogu izby czerniało jakąś straszną przerażającą pustką. Ze łzami w oczach odwróciła się do mnie i załkała tak rzewnie, że i mnie młodego człowieka rozbroiła z męskiego hartu. Płakaliśmy długo, lecz dnia tego i kilka następnych byliśmy syci. Po tym fakcie ogarnął mnie istny szal wyprzedazy i żona moja, a nawet Dzidzi oplakiwali kolejno szafę, stół i etażerkę. A kiedy sekwestrator położył areszt na maszynę, na jej ukochaną maszynę za komorne, Rena znów położyła się do łóżka, tym razem z symptomatami jakiejś choroby. Jadaliśmy już znacznie skromniej, co szczególnie ujemnie wpłynęło na wygląd zewnętrzny żony, ponsy na policzkach znikły, stała się smutna, nawet włosy — lśniący, czesany len — utraciły swój połysk i emanację, oczy tylko, moje kochane oczy sypały strumienie iskier. Gdym patrzył na leżącą w łóżku chorą żonę i na płaczące dziecko, chwyciła mnie twoga. Liczni przyjaciele i dobrzy znajomi oddawna już nas opuścili, nikt nawet nie udzielił nam pociechy moralnej. W czasie swej

pracy fizycznej, wzbogaciłem się w jedno doświadczenie. Powszechnie brzmiące hasło »praca nie hańbi« było tylko fałszem, doświadczyłem tego na własnej skórze, gdym pod halą ciągnął wózek z towarami. Niejacy państwo G. z Ogrodowej, widząc mnie przy tej czynności, odwrócili głowy. Nie było u nich widać współczucia tylko zgorznienie. Nie odwiedzili nas już nigdy i zerwali znajomość. I nie oni jedni. Prawdziwa praca nie ma uznania. Wszędzie brak szacunku szczeremu dla pracy. Nie mogąc liczyć na niczyją pomoc materialną, rozglądałem się po izbie, co by tu jeszcze sprzedać. Dzień ten zapowiadał się znowu fatalnie, pieniądze ze sprzedaży wsiąkły— pochłonęła je nędza i o dorywczy zarobek było coraz trudniej, dnia tego nie pokrzepiliśmy się nawet chlebem powszednim. Rena wprowadziła wmawiała we mnie, że nie jest głodna i czuje się lepiej, pod tym względem dawno przestałem jej wierzyć. Patrzyłem w jej zmienione oblicze i bladłem. Straszna to była chwila, gdy to, co najbardziej było mi drogie, co ukochałem całą duszą, dla kogo było moje serce, poczęła więdnąć, potrzebowała pomocy, a ja czułem się bezsilny. Fatalne więzy czasu urągały mi i szydziły w oczy, gdy chwile mijały, a ja przygwożdżony wspólnym cierpieniem, nie potrafiłem się wyrwać przeznaczeniu. To co działo się w mej duszy, straszniejsze było od piekła. Tam w czeluściach ognistych otchłani byłoby mi lepiej niż w owej chwili ogromu cierpienia. Wirowało mi w mózgu, poczęła trawić mnie rozpacz. Szybkiemi krokami przebiegałem izbę, a gdy mrok zaczął gęstnieć, podszedłem do okna i głośno prawie począłem się modlić, raczej wzywać pomocy Boga. »Boże ratuj nas«, — wołałem i spoglądałem w niebo, gdzie poczytały iskrzyć gwiazdy. Ciemny nieboskłon bezlitośnie mrugał tysiącami świetlnych punkcików, lecz żaden gest nie wróżył mi pomocy. Zawiedziony odwróciłem się na izbę i wzrok mój padł na niewielki portrecik Marszałka haftowany na jedwabiu. Natychmiast powziąłem decyzję. Ze sprzedaży tego starczyłoby napewno na chleb i lekarstwo. Podbiegłem zamroczony przebłyskiem nadziei...

I nagle żalony jęk, dreszczem zgrozy zawibrował po pustej izbie: »Nie rusz tego! Odejdź stamtąd, to moja najśliczniejsza robota!«. Cofnąłem się zawstydzony jak świętokradca. »Bierz przykład, my dziś cierpimy, lecz i on cierpiał, ale trzeba przetrwać«.

Spojrzałem w szlachetne rysy męczennika. Odruchowo chwyciłem kapelusz i wybiegłem. Szał trwogi zawładnął mną całym. Biegłem na oślep bez wyraźnej świadomości celu. Gwarną ulicą przeciągał tłum strojny, uśmiechnięty, bez troski, jakby z innego

świata, obojętny na ludzką boleść i nędzę. Sklepy przepełnione żywnością, otwarte drzwi restauracji, z których buchała woń smacznych potraw, pędzące auta, zgrzyt wozów elektrycznych, poczęły mnie drażnić. Przed oczami przewijały mi się ustawicznie straszne obrazy rzeczywistości: żona z córką pozostawione własnemu losowi. Ani na chwilę nie mogłem ochłonąć, gdzieś kroki postawił, one były ze mną i nie sposób było wyrwać się trwodze. Chwilami świadomość rzeczywistości poczęła się zacierać i to potęgowało panikę. Sądziłem, że oszaleję. Nie wiem jak długo błądziłem po mieście. Przemogłem jednak sprzeczne uczucia, jakie miały mną w tej chwili, przemogłem bezwładność członków i weszłem a raczej wpadłem do domu. Wpadłem błądy i nieprzytomny, ale to co ujrzałem przed oczyma zdziwiło mnie, że nie mogłem słowa przemówić. Rena z Dzidzi siedziały przy zastawionym stole i czekały na mnie z kolacją. Z pod obwiązanej głowy Reny nie wystawał żaden loczek, targany złem przeczuciem bez wahania zerwałem z głowy okrycie... i osłupiałem... włosy obcięte przy skórze. O jak strasznie wygląda... Chciałem się rzucić na nią i popełnić jakieś szaleństwo, ale się opanowałem. Zczepiliśmy się i poczęliśmy się szamotać. »Choroba tego wymagała, — wykrztusiła łkając, »puść mnie«. Odepchnąłem ją i opadłem bezwładnie na krzesło. Spodziewałem się, że grom uderzy i zada cios ostateczny. Ale Bóg nie śpieszył się ze swym wyrokiem. Przez chwilę panowało milczenie, które przerwała żona samooskarżeniem — »Tak, sprzedawałam włosy, aby kupić chleba, aby głód zaspokoić«.

W tydzień po owym fakcie opuszczaliśmy stolicę na zawsze, aby udać się w rodzinne strony. Matka-stolica wypędzała nas ze swego łona na tułaczkę przed którą skóra mi cierpnie. Na wieś! na wieś! powtarzałem w duchu. Na lasy, na pola. Ale te lasy i malownicze wzgórza, owiane czarem poezji, stały się tajgą sybirską. Pieśni pochwalne na cześć Stwórcy, któremi rozbrzmiewały konary drzew, wydały mi się żałobnymi nokturnami. Nęcące wzgórza czerniejące glinką, stały się posępne i ponuro patrzyły na nas. Nawet srebrna wstęga rzeczulki nabrała złowrogięgo, sinego połysku. Natura również gardzi ubóstwem. Wyrazem tej jawnej wzgardy było ponure oblicze, jakie zachowała dla nas.

Trafiliśmy na same żniwa. Stopy nasze i ręce, pokaleczone od ścierniska, mężnie jednak znosiliśmy trudy wiejskiego życia. Dzidzi tylko czuje się szczęśliwa. Ujrzała naturę w całej swej okazałości. Dziecię to wykołysało się wśród ubóstwa, jak i mnie samego wy-

kołysała nędza. Jesteśmy dziećmi wielkiej niedoli, stworzeni do walki z życiem od kołyski. Nikt nie przychodzi nam z pomocą, filantropi i altruści nie istnieją wcale. Jesteśmy tylko zamknięci w granicach surowego prawa.

Opis niedoli mej dobiega końca, lecz to, co zawierają te kartki jest tylko mała cząstka ogromu cierpienia, które trudno opisać. Kartki te zapewne opóźnią się nieco, gdyż wiadomość o tym swego rodzaju konkursie zaskoczyła mnie na dwa dni przed terminem zamknięcia. Ze swej strony prosiłbym jednak, o czym marzę i śnię po nocach bezsennych, aby Panowie wpłynęli na urząd telefonów międzymiastowych o ponowne przyjęcie mnie do pracy (lub gdziekolwiek), abym mógł poświęcić się pisaniu.

Włocławek, w styczniu 1932 r.

Gonciarz
zamieszkały w pow. Skierniewickim

Dowiedziawszy się z ogłoszenia umieszczonego w *Dzień Dobry* z dnia 2 grudnia 1931 r. »Bezrobotni jest okazja zarobić i opisać swą nędzę«.

Bieda, nędza, głód i ubóstwo!

Tak zatytułowałem nizej opisaną kochaną biedę, bo nawet na krótki czas nie chce mnie odstąpić. Były ochotnik z 1918 roku i dłuższy czas obecnie bez pracy. Jestem żonaty, mam lat 31. Urodziłem się w Warszawie. Mam na swem utrzymaniu żonę i czworo dzieci. Żona ma lat 29, starsza córeczka ma lat 6, druga ma 4, trzecia 2 i pół — najmłodszy synek 4 miesiące. Powróciłem z wojska 1922 roku — 4 czerwca. Można powiedzieć, że nago i boso, bo dostałem ostatnią kategorię umundurowania, jako do rezerwy. Do ostatniej stacji przyjechałem w porze obiadowej, a że nie chciałem w takim umundurowaniu defilować do swoich, byłem zmuszony zaczekać do nocy. Więc powróciłem, jestem nagi, pieniędzy nie mam, rodzeństwo biedne, nawet bardzo biedne, bo ojciec od pół roku nie żył. Została się matka z dwiema małoletnimi córkami i najstarszym synem, który wtenczas miał lat 17. To wszystko żyło w biedzie, bo żadnej własności nie posiadali, mieszkali w lesie. Za życia ojca wszystko składało się jakoś dobrze, bo ojciec pracował jako gonciarz, o grosz było łatwo, a że ojciec umarł, to wraz z ojcem umarły i lepsze czasy. Zapanowała bieda w domu, matka co uważała za zbędne, to sprzedawała i tak płynęły dni i miesiące, czekano właśnie na mnie. Gdy ja wróciłem, co począć. Ubrania nie mam, żeby wyjść gdzie za pracę. Jestem gonciarz, tak samo jak i mój ojciec. Włożyłem właśnie młodszego brata spodnie i zniszczony swój mundur, ale z orderem wojny na piersiach i tak wyruszyłem w podróż za pracę — nie szukałem długo — bo z dóbr

* * * (Rawa M.) do Woli Pękoszewskiej. Tam właśnie dostałem w swym zawodzie pracę w majątkach WP. * * * i tam pracowałem przez 4 sezony letnie. Sezon trwał od 15-go marca do 1 listopada. Od 1-go listopada 1925 roku zostały ukończone remonty powojenne. Po niedługim czasie i moja fortuna się zmieniła. Tak się właśnie składało coraz to gorzej. Nasz zawód coraz to gorzej podupadał. Gdzie właśnie budowano, to ze smutkiem i urazą mego serca, ten dachówkę, ten blachę, a inny papę, tak że odmawiano sobie kłaść dachy gonicane, tylko z rzadkością i krótkie roboty mnie się trafiały. Cały sezon nie mogłem znaleźć pracę, która trwała do dwóch miesięcy. Więc co mogłem zarobić w taki krótki czas. Jeżeli dniówka mi wynosiła 12 zł., to przeciętnie za cały czas miałem 600 zł. i to jeszcze było jakkolwiek, ponieważ że mieszkam na wsi, to jeszcze się trafiło — żona w sezonie letnim mogła zarobić do 100 zł., do tego dodać, że stale trzymaliśmy parę kur i prosiaka, z tego też cośkolwiek było. Można ściśle obliczyć całoroczny nasz zarobek wraz z tą drobnicą stanowił około 900 zł. Więc utrzymanie domu mojego — nie przekraczało 2 i pół zł. dziennie. To właśnie trwało w tym okresie czasu od roku 1927 do 15 maja 1928 roku. Od dnia 15 maja zostałem zatrudniony jako robotnik w wydziale drogowym na kolei w Skierniewicach. Tak pracowałem od dnia 15 maja do 10 grudnia 1928 roku. Dniówka moja wynosiła zł. 4.80, t. j. za 175 dni przepracowanych po zł. 4.80 to mamy sumę 840 zł., więc zapominałem dodać, że w latach 1927 większe zarobki, a rodzeństwo mniejsze, to znowu było łatwiej przeżyć ten rok. A w roku 1929 miałem najtrudniejszy czas do przeżycia, bo pracowałem 6 tygodni, a żona nie mogła pracować z powodu małego dziecka. Ja zacząłem natomiast pracować w swoim zawodzie od dnia 1 kwietnia do 12 czerwca i znów po robocie, zaledwie dosięgłem sumy zarobionej 275 zł. Co można zrobić z taką sumą, z której jest więcej jak 200 zł. do oddania za zjedzony chleb, za resztę najpotrzebniejsze rzeczy zakupić i już grosza nie ma. Nie czekałem długo. W tydzień po skończonej pracy wyruszyłem na poszukiwanie drugiej. Cóż szczęście mnie odstępilo, a kochana bieda naprawdę zapanowała, ani na chwilę nie chce odstąpić, gdzie tylko się udam, wszędzie mi odmawiano. Jest komplet — nie potrzeba. Tak przechodziłem 4 tygodnie. Proszę sobie wyobrazić, że grosza nie miałem ze sobą. Nie mam śmiałości ręki wyciągać. Całym mojem pożywieniem było. jeżeli zanocowałem u jakich znacznych ludzi — tam dostawałem kolację i śniadanie.

Wreszcie wróciłem do domu, żony nie zastałem — wyjechała z dziećmi do swoich rodziców. Co począć, w kieszeni nie ma grosza, spiżarnia pusta, jak żyć i z czego zrobić kolację. Jestem miłośnikiem ryb, bez żadnej zwłoki — wędka do ręki i nad rzekę. Szczęście mi sprzyjało, mogłem dniówkę zarobić do 2-ch złotych, wobec tego nie ruszałem się nigdzie w poszukiwaniu jakiegokolwiek pracy, bo nie chciałem zmarnować kilku dni, których jestem pewny zarobienia 2-ch złotych. Tak właśnie płynęły dni i tygodnie, aż nadszedł dzień 3 października 1929 roku wyjazdu jako emigrant do Francji. Tam zostałem zatrudniony w kopalni w Meurthe-et-Mosele, tam na obczyźnie było mi dobrze i w kraju rodzinie znacznie się poprawiło, bo mogłem co miesiąc wysłać setkę franków — niestety los inaczej chciał — zaledwie przebyłem 9 miesięcy, a już byłem zmuszony wracać do swoich z powodu choroby żony. Po powrocie do kraju nic się nie zmieniło. Zacząłem starać się o jakąś posadę — już późno. Zaczęła następować redukcja, znowu wracają moje podania — posada nie wakuje z powodu redukcji lub została załatwiona odmownie. Parę miesięcy przeleciało jakoś, mogę zawdzięczać swojej moralności, a żonie jako dobrej gospodyni. Ja nie przepijałem ciężko przepracowany grosz, a żona się liczyła jak ciężkie czasy.

Z zaoszczędzonych pieniędzy mieliśmy około 300 zł. Temi pieniędzmi przeżyliśmy od 15 czerwca 1930 roku do maja tego roku. I znowu bieda, głód i ubóstwo — nigdzie nie można zarobić, nigdzie nie ma roboty, naprawdę, że takiego roku nie miałem jak 1931. Po długich cierpieniach zostałem zatrudniony w swym zawodzie przez 2 miesiące w Widzewie pod Łodzią. Skromny zarobek, bo z 12 zł. przeszedł na 6.40 dziennie, zarobiłem około 350 zł. W sklepie jednym i drugim oddano około 100 zł., podczas pracy ja z rodziną przeżyłem około 150 zł., cośkolwiek kupiono z bielizny. W końcu żona zachorowała, na połóg wyszło resztę groszy i znowu bieda nadeszła, głód i ubóstwo.

Obecnie zapanowała u mnie najstraszniejsza bieda, napewno to jest matka wszystkich biedów. O ile ona pozwala nam z takiego małego prowiantu żyć — żona podczas kopania kartofli zarobiła 4 korce, a ja 2 korce i świniaka sprzedaliśmy za 70 zł. — więc to nam ma wystarczyć na czas zimowy, kto może z takiego funduszu sześcioro ludzi przetrwać od września do kwietnia, nam potrzeba tygodniowo 35 kg. kartofli, 7 kg. chleba, pół kg. cukru, 3 pudy węgla, słoniny 1 kg., 80 dek. mydła, soli. Więc ten produkt stanowi zł. 10.28 gr., to na miesiąc plus minus zł. 41.13 gr. A jak wyżej nadmieniałem, że cały

majątek stanowił ten ostatni świniak, który dał 70 zł. to zaledwie dostarczył przez październik i już grosza niema, jak żyć i jak zaradzić, temu głowa pęka. Bezrobotny zamieszkały w mieście to jest widziany, a my bezrobotni na wsi, to nikt nas nie widzi i znikąd pomocy nie ma, ani opału na zimę, ani gotowanych obiadów nie ma, jak żyć i z czego, kiedy tylko mam może ze dwa korce kartofli, cukru, chleba ani słoniny nie mam. Powiem prawdę, że herbatę, to piłem temu może więcej jak miesiąc, i nasze dzieci też wcześniej nie piły. W miejsce herbaty to się u takiego jak ja robi w ten sposób. Woda gotowana, posolona i troszkę olejem pokraszona — do tego kawałek chleba jest i tak się zajadamy, tak zwany kapłon. Stary człowiek owszem to może zjeść, ale dzieci, to jedzą ale z płaczem, to jest kolacja i śniadanie, kartofle i ocet z kapusty okraszone olejem. Obiad — kartofle w gotowaniu zarzucone kapustą, tak zwane zarzucinką i okraszone olejem. Przepraszam, nie myślcie, że wciąż z olejem bo jest obecnie post, ale prawdziwie jadamy z olejem, bo to najtaniej kosztuje, naprz. litr oleju kosztuje 1.50 gr., którym się krasi lepiej jak 2 tygodnie, a kilo słoniny tydzień, która kosztuje 2.25. A czem palić, przecież zima, dzieci z łóżka nie wstają, cały dzień nie można palić, bo nie ma na to, niekiedy pójdę do lasu i przyniosę worek kor drzewa, to musi wystarczyć 2 — 3 dni, stale nie można się do lasu sprzeciwić, bo mogą ojca zamknąć do paki i wtenczas by się im przyszło zamarznąć, lękam się, że może to nastąpi, zima jest długa, a las nie własny.

Tak się przedstawia obraz nędzy b. ochotnika i w dodatku bezrobotnego, a ma on na swem utrzymaniu żonę i 4 małych dzieci. Nie jestem powieściopisarzem, ale człowiekiem pracy, więc nie mogę odmalować swej nędzy, choć odczuwam doskonale tę biedę, ale piórem nie mogę tego opisać, co właściwie odczuwam, pisałbym dalej, ale niestety, ręce chcą, honor nie pozwala prosić o drugi kawałek papieru, z dobrych rąk dostałem w nadziei, że może ten arkusz papieru mi dopomoże. Kiedy już mam napisany, to sprawia mi świeży kłopot, skąd wziąć na znaczek 35 gr., kiedy znajduje się u mnie 20, to skąd 15 gr. wziąć. Kończę te pół analfabetyczne pismo.

Oczekując łaskawych zleceń, kreślę się z najgłębszym poważaniem b. ochotnik bezrobotny.

Poczta Skierniewice, dn. 15 grudnia 1931 r.

Inwalida
zamieszkały w pow. Warszawskim

Szanowni!

Na ankietę ogłoszoną w prasie pragnę i ja napisać coś nie
coś o smutnej doli bezrobotnego.

Od dwóch lat z małemi przerwami cierpię bezrobocie, mimo,
że mam lat 37 i rodzinę składającą się z żony i dwojga małych
dzieci, uczęszczających do szkoły. Jak się przedstawia moja sy-
tuacja materialna o tem nie będę opisywać, bo tego łatwo się do-
myśleć, a że nie kradnę i nie rabuję, to może i dziwnem się nie-
jednemu wyda, że jakoś wegetuję. Opiszę jeno moje przykrości
i irytacje, jakich doznaję przy wyszukiwaniu pracy i jakich doznaję
wrażen. Wiadomem powszechnie jest, że tak na wyższych jak i na
podrzędnych stanowiskach pracuje moc ludzi zamożnych, którzy
posady swoje traktują jako zajęcie uboczne, tak sobie często dla
zabicia nudów.

Otóż mieszkając już czwarty rok w okolicach podmiejskich
stwierdziłem, że na kolei, poczcie, w telegrafie i w wielu innych
instytucjach poważny odsetek pracowników stanowią właściciele
gospodarstw rolnych, właściciele kamienic i t. p. A nawet zda-
rzają się bardzo często wypadki, że rzemieślnicy, prowadząc własne
warsztaty pracy, oddają się jeszcze innym zawodom. I tak znam
kilku listonoszy — zawodowych stolarzy. Znam kilku ślusarzy, któ-
rzy pracują jako biuraliści w instytucji wojskowej, znam listono-
sza — właściciela 40 morgowej ziemi z budynkami, znam całe
masy różnych kolejarzy, jako właścicieli nieruchomości, często za-
niedbanych dla posady. Dzieje się w ten sposób, że w takich
miastach, jak Żyrardów, Pruszków, a nawet i w Warszawie istnieje
cała masa faktorów starających się tym szczęśliwcom o posady.

Taki chłop na wsi zazdroszcząc „lekkiego chleba“ robotnikowi w mieście, daje faktorowi swoje oszczędności i posada gotowa.

Znany mi jest następujący wypadek:

Pewien zamożny gospodarz, mając u siebie na letnisku wyższego urzędnika pocztowego, ubiegał się o posadę listonosza w Warszawie, a mając poparcie w osobie owego urzędnika — posadę tę miał więcej niż pewną. Dla załatwienia tylko formalności Dyrekcja Poczty i Telegrafu wysłała szablonowe pismo do kierownika urzędu pocztowego, na terenie którego petent mieszkał, z poleceniem przedstawienia go na komisję lekarską i wydania o nim opinii. Kierownik urzędu pocztowego, człowiek uspołeczniony, taką bezstronnie wydał opinię:

„Pan * * * jest mi osobiście znany, jako człowiek uczciwy, cieszący się dobrą opinią miejscowego społeczeństwa. Jest właścicielem 11 morgów ziemi, pasieki, trzech domów letniskowych, pięciu krów i jednej pary koni i to właściwie charakteryzuje go, jako człowieka chciwego, który zamiast swoje gospodarstwo udoskonalać szuka „lekkiego chleba“, idąc za przykładem swego brata, który pracuje u p. * * *. Z tego też względu uważam, że ubieganie się p. * * * o posadę niższego funkcjonariusza przy dzisiejszym bezrobociu jest ze wszech miar niepożądane“.

Rzecz prosta p. * * * posady nie otrzymał. Zirytowany zapisał się na zimowe kursy rolnicze i dziś jest instruktorem rolniczym w gminie, organizuje spółki rolne, kasy spółdzielcze i wdzięczny jest kierownikowi urzędu, że mu „posadę“ popsuł. Na żądanie mogę podać nazwiska i adresy. Nie wiem, ale zdaje mi się, że to jedyny człowiek w Polsce, który odważył się wydać podobną opinię. A jakże łatwo pomoglibyśmy bezrobotnym, gdybyśmy więcej mieli takich ludzi w Polsce. Jako zawodowy samorządowiec zgłosiłem się prośbą o posadę w gminie i wskazywałem, że w gminie * * * wakuje aż trzy posady. Otrzymałem odpowiedź, że sekretarz gminy ani wójt nie upominają się o to, aby wolne posady obsadzić. Jak się później przekonaliśmy, to sekretarz gminy, człowiek bogaty, pracuje w gminie razem z żoną, matką i siostrą. I to tak świetnie powodzi się człowiekowi, który w wojsku polskim nie służył, a o Polsce dowiedział się wtedy, gdy mu kazali polski sztyld zawiesić przed gminą.

W powiecie * * * wakowało około 20 posad w samorządzie. I ja zacząłem się ubiegać o nie — bezskutecznie. Wszystkie posady sprzedano bardzo zamożnym ludziom. Jeden z moich znajo-

mych dał za posadę sekretarza gminy 1000 złotych, rewolwer i dubeltówkę.

Ubiegałem się o posadę w cukrowni * * * Powiedziano mi, że nikogo nie potrzebują, gdy jakby na urągowisko przyjęli syna i dwie córki zamożnego obywatela, właściciela dziewięciu domów, tartaku, fabryki wód gazowych i dzierżawcy trzech jezior rybnych.

P. U. P. P. są oblegane przez bezrobotnych, którzy prócz legitymacji bezrobotnych więcej nic nie otrzymują. Można tam być codziennym świadkiem jak rozgoryczony bezrobotny krzyczy: „Więc co ja mam robić, czy iść kraść“. „Dajcie mi rewolwer, będę bandytą“. Takiego krzykacza najpierw woźny prosi o opuszczenie lokalu urzędu, a gdy to nieskutkuje, to zjawia się „głina“ i już na „fest“ rozkrzyczanego bezrobotnego odprowadza do komisariatu, a rezultat: 10 zł. grzywny z zamianą w razie niezamożności na 2 dni aresztu. Ja jestem stałym interesantem P. U. P. P., kierownik mocno mi współczuje, ale nic poradzić mi nie może, gdy tymczasem jednemu z moich znajomych wystarał się o posadę za »odstępne«. Mając dużo czasu zawędrowałem i do Wydziału Opieki Komisariatu Rządu. W poczekalni zobaczyłem na tablicy wymalowane sceny rozdawania ubogim bielizny, odzieży, pożywienia i t. p. Rzeczywistość jednak wyglądała inaczej. Każdemu zgłaszającemu się o wsparcie kazano złożyć podanie, a tych, którzy się przychodzili dowiedzieć o wyniku złożonych podań formalnie wyrzucano za drzwi. I pomyśleć tylko, żeby się takich czasów doczekać, musiałem przedtem wstąpić do Legjonów Polskich, internowany w Szczypiornie, trzy lata poniewierać się na froncie, być trzy razy rannym i trzy razy za waleczność odznaczony w obronie Lwowa, dostać się do niewoli ukraińskiej, by wreszcie w »Niepodległej« żyć w nędzy.

Ale po co ja piszę o takich drobiazgach i gotów mnie jeszcze ktoś posadzić, że ja zazdroszczę biednemu rolnikowi, który mając deficytowy dochód ze swego gospodarstwa, szuka jakiegoś zajęcia, by swój budżet zrównoważyć. Każdy stara się bezustannie swój byt polepszyć. Walcząc o byt człowiek walczy o wyzwolenie się z ciężkiego jarzma pracy. Bo praca jest przekleństwem — nawet biblijnie biorąc, praca jest karą za grzech.

Bezrobocia żadnymi środkami nie zwalczymy, skończy się ono wtedy — kiedy minie kryzys.

Głupstwem i błagą jest mówić, że przeżywamy kryzys gospodarczy. Owszem przeżywamy kryzys, ale ustrojowy. Na całym świecie mamy ustrój kapitalistyczny. Panuje kapitał, którego celem

jest zysk. Zysk jest zawsze z cudzej pracy. Jedna część społeczeństwa otrzymuje płacę za pracę, druga część pobiera zysk bez pracy, a jeżeli pracuje to otrzymuje jedno i drugie. Lecz jest dużo takich kapitalistów, którzy nawet nie widzą tej pracy, to tysiące akcjonariuszy. Mamy więc dwie klasy w społeczeństwie: pracującą i burżuazyjną. Dlatego, że istnieje prywatna własność, to jedni posiadają, a drudzy nie posiadają. Przy ustroju kapitalistycznym istnieje anarchja wytwarzania — żywiołowość. Ponieważ każdy produkuje co mu się podoba — więc istnieje konkurencja, rezultatem której silniejszy niszczy słabszego. Bankructwo. Przedsiębiorcy zrozumieli, że konkurencja jest szkodliwą i że zachodzi konieczność porozumienia się. Przemysł zaczyna się koncentrować. Małe przedsiębiorstwa nikną, powstają kartele i trusty. Zaczyna się produkcja w sposób zrzeszony, następuje ograniczenie produkcji według planu i ceny. Nowoczesne siły wytwórcze stają się monopolem masy kapitalistów i korzyści stają się monopolem tej niewielkiej ilości.

To jeden biegun.

Na drugim biegunie to klasa pracująca. I tu widzimy również koncentrację, ale nie widzimy korzyści — widzimy biedę. Widzimy ciągle, że masy pracujące biednieją, burżuazja natomiast bogaci się. Jeżeli naprzykład pewien produkt dał dochodu 100, to z tego robotnik otrzymał 10. Gdy przez udoskonalenie wytwórczości (podział pracy) ten sam produkt dał 1000, to zysk robotnika nie powiększył się w tym samym stosunku co i zysk kapitalisty t. j. nie wynosił 100 od 1000 jak wyżej 10 od 100, lecz 30 od 1000, a kapitalista mając przedtem 90 od 100, w drugim wypadku otrzymał 970 od 1000.

Charakterystycznym więc jest, że ci co produkują biednieją, a ci co nic nie robią bogacą się. I tu rola kapitalisty-przedsiębiorcy kończy się. Był on potrzebny w czasie kiedy się te przedsiębiorstwa organizowały. Dziś on jest nietylko, że nie potrzebny, ale bardzo nawet szkodliwy dla społeczeństwa. Niepotrzebnym tak samo, jak niepotrzebnym stał się pan feudalny. Jego to mało obchodzi, co społeczeństwu potrzebne, on myśli o zyskach; stąd wytwarza się nadprodukcja — kryzys. Produkcja zostaje zatamowana, niszczy się produkcję by sztucznie, podnieść jej cenę. Ostatnio prasa podała wiadomość, że w Brazylii już nie zatapiają w wodzie kawę, lecz jest używana jako paliwo. Skonstruowano w tym celu specjalną prasę, która kawę zmieszaną z jakąś substancją przerabia w tafle wielkości cegły i w takiej postaci jest używana do opalania pieców parowych, a nawet lokomotyw.

Nasz rodzimy kartel cukrowniczy wywozi cukier zagranicę i tam sprzedaje go za bezcen, byle tylko cenę w kraju na należyty poziomie utrzymać. Do tego handlu zagranicznego cukrem, Polska dokłada z górą sto milionów złotych rocznie. Więc »cukier krzepi«, ale kieszenie tych, co nim handlują.

O kryzysie wyznaniowym tak pisze jedno z pism stołecznych: »Chrześcijaństwo miało zlikwidować świat starożytny, miało dać ludności nową politykę, nowe zasady społeczne i gospodarcze. Ale rychło się pokazało, że wszystko ma pozostać po dawnemu. Jezus biblijny ze swoim kazaniem na Górze ustępuje Chrystusowi metafizyki kościelnej. Następują szybkie i wyraziste przemiany: chrześcijaństwo, katolicyzm, papizm, stagnacja, inkwizycja, kult nędzy materialnej i nędzy ducha. Z kultu tej nędzy powszechnej budują sobie pałace i zamki władcy duchowni i świeccy«. Cytuję przemówienia arcybiskupa Sapiehy: »Robiliśmy kompromisy i ustępstwa... zadawaliśmy się zewnętrznymi oznakami, cieszyły nas błyskotliwe manifestacje, a nie szliśmy w głąb, nie przetwarzaliśmy człowieka i społeczeństwa. Te zewnętrzne kwiatki, jak liście jesienne, za pierwszym podmuchem wiatru poopadały i ukazała się naga rzeczywistość, jakże inna, niż to sobie wyobrażaliśmy! Czyż potrzeba przykładów? Wypadki w Hiszpanji chyba wystarczą«.

Przy takim ustroju każdy bandyta jest usprawiedliwiony, bo przestępstwo płynie z ustroju społecznego, a nie z charakteru człowieka. Przy takim ustroju nie żyjemy społecznie, więc po cóż społeczeństwo? Po to, żeby zdechnąć z głodu lub żyć w nędzy, podczas gdy inni tuczą się z nadmiaru bogactw? Do tego nie potrzeba mi społeczeństwa. I bez społeczeństwa można zdechnąć z głodu lub cierpieć nędzę: bo społeczeństwo jest po to, by sobie w gromadzie życie ułatwić i nie być wyzyskiwanym i gnębionym. Przy tym ustroju dzieci robotników nie mogą nawet korzystać z bezpłatnej szkoły. Przy kapitalistycznym ustroju ludzkość nie tylko materialnie, ale biednieje i duchowo. Tak czy owak wszechstronna degeneracja. Ustrój kapitalistyczny jest przeżytkiem.

Co dalej?

Póki ustrój jest potrzebny, to jest podtrzymywany, gdy nie jest potrzebny — jest tolerowany, lecz kiedy staje się szkodliwy to się go niszczy.

Dziś jest kryzys ustrojowy. Ustrój kapitalistyczny powstał w najwyższym stopniu cywilizacji i ludzkość zaczyna już wkraczać w najniższy stopień socjalizacji. Kapitalizm zaczyna upadać. Zaczyna

się stosunek międzynarodowy. Rozwija się światowa gospodarka, zmiana odczuwana jest w każdym kraju. Ujemną stroną cywilizacji jest to, że obecnie moralność jest niższa niż była u ludów dzikich — mniej uspołecznienia, choć pod względem techniki i sztuki jesteśmy wysoko. Cywilizacja jest chorobą w społeczeństwie, jak u dziecka chorobą jest odra. My jesteśmy tym dzieckiem, które przechodzi tę odrę.

Choroba jest to zanik jedności w organizmie. Takie są dziś społeczeństwa. Gospodarka towarowa jest zła, gdyż kto ma pieniądze, ten zdobędzie towar. Dziś pieniądz nie jest środkiem wymiennym, stał się kapitałem. Kupiectwo, ten wampir ludzkości, rzecz całkiem niepotrzebna, dała nam go cywilizacja. Wszelkie samowystarczalności z punktu widzenia narodowego są słuszne lecz z punktu widzenia ekonomicznego i politycznego pociąga za sobą bardzo przykre konsekwencje; wywołuje kryzys miejscowy.

A więc gdy znikną barjery celne i wszelkie takie samowystarczalności, gdy znikną antagonizmy narodowe, religijne, a wraz z nimi obecny ustrój kapitalistyczny i nastąpi powszechne porozumienie międzynarodowe, wtedy i kryzys się skończy. Oto wszystko co w skrócie mogę wam przedstawić o smutnej doli bezrobotnego. Czy inni bezrobotni są tego samego zdania nie wiem, ale wy przypuszczam będziecie ze mną w zgodzie: a może, czytając moje gorzkie żale, powiecie: »pesymista cholera... malkontent, bolszewik«...

Dn. 4 stycznia 1932 r.

Ślusarz
zamieszkały w pow. Warszawskim

Od najdawniejszych lat, od pierwszych wrażeń mego istnienia pamiętam, że: by mieć na życie muszę pracować. Tak też przeszły lata mego dzieciństwa i mej młodości. Natężywszy wszystkie siły i nie szcędząc żadnych trudów, udało mi się ukończyć ślusarsko-mechaniczną szkołę zawodową, a skutkiem tego było, że opuściłem miasteczko i przybyłem tutaj, do Warszawy. Dostałem pracę w fabryce wyrobów metalowych. Pracowałem trzy lata, a w 21-roku mego życia stałem się jednym z wielu, których określają wspólną nazwą: »bezrobotni«.

Tak oto wygląda z jednej strony medal moich lat 21: praca, harowanie, a wszystko dla żarcia...

Za to o wiele lepiej przedstawia się druga strona: małe miasteczko, sąsiedztwo wielkich, gęstych, tchnących zdrowiem lasów, a dzięki ciężkiej pracy fizycznej wyrosłem na zdrowego robociarza, zahartowanego człowieka pracy.

Nigdy jeszcze nie byłem chory, zawsze przyzwyczajony do samodzielności i zawsze wesoły i uśmiechnięty.

Bo była pewność, że przecież skończą się noce ciemne i długie i że błysnie jutrzienka jasnego, pogodnego dnia słonecznego.

Ale stało się jednak inaczej. A dziś, gdy jestem bezrobotny, gdy tak mało jest przyjaciół, prawie, że ich wcale niema; gdy ci, którzy zostali, lękają się w mojej obecności, czy czasem nie zechcą od nich pożyczyć kilka groszy, czy ich o co nie poproszę; dziś chce mi się umoczyć pióro w sercu i nakreślić obraz tych pełnych nędzy i boleści dni, gdyby nawet słuchaczem był obcy człowiek, dla którego mój głód przedstawia wartość materiału naukowego.

Owszem, ciężko jest harować lata całe bez odpoczynku, ale trudniej o wiele jest przyzwyczać się do próżniaczego życia.

To też nie chciałem się poddać i przez cały pierwszy miesiąc dzień w dzień łąziłem od warsztatu do warsztatu i od fabryki do fabryki, szukając pracy. Ogłoszenia w gazecie, słuchy prywatne — nie, na próżno.

A więc musiało się korzystać z »dziadowszczyzny«.

Nie tak łatwo pogodziłem się z tą nową dla mnie rzeczywistością, z konieczną dla mnie teraz »djeta«, z nowym mieszkaniem, nie pozbawionem takich rozkoszy jak pluskiew, karaluchów, myszy i t. p. A czasu zawsze ogromnie dużo, a w jego próżni każda pluskwa mogła wyrosnąć do rozmiarów wołu. I co tu robić z czasem? Znów przedsięwziąłem próbę: zaoszczędziłem 20 złotych, za które wynajęłem rower i z mapą w ręku puściłem się w kierunku puszczy Białowieskiej, mając na widoku to, że tam, w puszczy lub też po drodze dostanę jakąkolwiek pracę. Byłem w jakichś 15 miasteczkach i kilkudziesięciu wsiach i w ciągu ośmiu dni (ze względu na odebranie zapomogi nie wolno mi było dłużej) przebyłem około 700 km. Ale pracy nie dostałem! Mijały dni, tygodnie, aż... aż... skończyła się zapomoga, skończyła się »dziadowszczyzna«. Stałem nad przepaścią. Bez jutra, bez widoków, a w kieszeni — grosze.

I kto wie coby się ze mną stało, gdyby nie przypadek. Pewien kolega, towarzysz pracy, skaleczył sobie palec i nie mógł pracować. Ja go zastępowałem. Praca za jakieś 30 złotych. Z dziką energią rzuciłem się do maszyny. Ale gdzie podziały się moje dawne silne zdrowe łapy? Zamiast nich miękka, wydelikaccona rączka.

Nie, nie żałowałem, chciałem się jakby zemścić nad niemi, a zemście mojej stało się zadość: w ciągu kilku dni napęczniały, natarły się, dostały pęcherzy.

Zabrałem się znów do regulowania moich wydatków. Zawiesiłem abonament (tak mi dziś brakujący) w czytelnicy, wynajęłem mieszkanie za 10 złotych miesięcznie. Twarde łóżko polowe, brudna, zardzewiała pierzyna, pod którą śpię — po burżujsku — do jakiejś 12-ej w dzień. Potem o 1-ej »uczta«: pół kila chleba z herbatą lub wodą, z czego jestem »syty« przez całusieńką dobę, aż do następnego dnia o godzinie 1-ej.

W mieszkaniu brud i harmider, a słońce i niebo zasłania brudna, popielista, stara ściana, od której robi się szaro na duszy... Przychodzę do domu wesoły, zaraz jednak głowa schyla się na dół i zanurza się w morzu najsmutniejszych rozmyślań... I często w takie godziny przychodzi natrętna myśl: po co? Spoglądam z boku na

to moje psie życie i pytam: pocóż tak niepotrzebne stworzenie, jakim ja jestem, żyje i męczy się na tym świecie?

I słyszę jakieś wołanie głosu, jakgdyby nakaz wewnętrzny: skończ odrazu i basta! Pocóż dłużej czekać?

Bo cóż mnie oczekuje? Komu jestem potrzebny? Kogo zmartwi śmierć moja? Czy ojca mego, który 18 lat już nie żyje i nie wiem nawet gdzie jest grób jego? Czy matkę moją, która dawno już zapomniała, że ma teraz jeszcze gdzieś syna?

Tak, jestem prawie gotów. W głowie huk i szum. Dosyć! Kończ!

Otwieram drzwi, wychodzę na ulicę i zaczynam stawiać twarde kroki. Chcę wesprzeć moje postanowienie, zabić sentymenty i skończyć ze zwierzęcą walką o żer. Ale na tle jasnego pogodnego dnia rozpryskują się bolesne myśli. Znikła depresja i znów staje się wesoły. Nie bacząc na to, że jest — jak widać — coraz gorzej i gorzej. Zbliży się zima, a z nią mrozy, błota. Jedyne moje ubranie drze się i niszczy na mnie coraz bardziej, a buty moje stały się kanałem, przez który przepływa sobie spokojnie woda uliczna.

Głód już oddawna jest u mnie gościem, a dzień w którym byłbym syty, należy do dawnej przeszłości.

Ale ja mimo wszystko staram się zachować humor, nawet w najgorsze, najsmutniejsze dni. Wystarczy nierealna nawet nadzieja otrzymania posady lub kilku złotych, jak np. oczekiwanie nagrody od Instytutu, która, kto wie komu się dostanie, a wnet fantazja zaczyna snuć plany lepszej przyszłości, pogodniejszego dnia jutrzejszego. Wystarczy jakiegokolwiek zajęcie przy samochodzie, a już zarysowują się jasnemi, pogodnemi barwami plany dobrego, pewnego jutra.

Gorzej jest, gdy spotykam się z innymi towarzyszami biedy, gdy stykam się z kolegami bezrobotnymi, jak np. z ową dziewczyną w naszym wspólnym mieszkaniu, zabijającą długi czas sypianiem od godziny 5-ej popołudniu do 1-ej w dzień, a zostawiającą sobie tak mało czasu na odczuwanie głodu. Ogarnia mię takie współczucie... Dziś, gdy jestem bezrobotny — niczem nie mogę jej pomóc.

W godzinach namiętnego głodu, gdy powstaje reakcja: twarz rozplamiona, oczy spoglądają dziko, w takie godziny nasuwa się myśl — to już jest dno, spoczywam już na brzegu przepaści, to już jest otchłań. Już tak nisko, tak nisko upadłem...

Ale nie, podnoszę się jeszcze, dopłynę do twardego, ziemistego gruntu — nie, rzeczywistość to zabija. Ten sen to mrzonka, to

niemożliwe. Ten »twardy grunt« ma swój wyraz w nic nieznaczących zarobkach, osiągniętych dzięki amatorskim wiadomościom z dziedziny radjofonji, elektrotechniki. Kilka złotych za jakiś sprzedany przedmiot, pamiętający stare, dobre czasy. Nowy pomysł ukrócenia wydatków na żarcie napawa mnie nową radością. To radość odporności ciała na wybryki mojej kasy. Ale często przychodzi mi na myśl historia o owym furmanie i jego koniu. I on także cieszył się swojemi oszczędnościami, osiągniętymi na koszt coraz to bardziej zmniejszonych dawek owsa dla konia i wychwalał się przed kolegami furmanami »Widzicie, mój koń zadowala się już dziś odrobiną sieczi, siana, plew zamiast poprzedniego puda owsa dziennie«. Ale już wkrótce musiał odpowiedzieć, że konik jego wcale już nie chce jeść: zasnął i koniec.

Czy i moje końskie ciało nie przedłuży sobie w jakiś piękny poranek swego snu zamiast do godziny 12-ej — do nieskończoności? A wtedy nie będzie nawet różnicy: któżby poczuł żal za utraceniem zwierzęciem... Nie mogę nawet przyrównywać siebie do owego bezpieczeństwa, bezdomnego psa, który niema budy ani nic do żarcia, który jest jednak obdarzony przez naturę psim instynktem, pomagającym mu do zdobycia żeru.

A ja? Mnie natura obdarzyła mojem ludzkim »ja« i honorem, który jest o tyle tylko przydatny, że kością stają mi w gardle łaskawe obiady w »bezpłatnych kuchniach« dla nas, bezrobotnych (z których niestety zmuszony będę korzystać).

A zbliża się dzień, w którym delikatnie wyproszą mnie i z tej nory, ostatniej mojej kryjówki, a wtedy co? Ulica? »cyrk«?

Czytam słowa te i widzę, że trzy lata nauki w szkole zawodowej nie wystarczają mi na wyrażenie tego wszystkiego, co mię boli i co mi dolega. Za słaby jest talent mój, by temi oto słowami dać ujście tym chaotycznym myślom, które gnieźdzą się w mózgu moim w owe ciemne dni i bezsenne noce, szary i ciemny jest najjaśniejszy okres mego życia.

Czarny i ciemny jak owe bezsenne głodne noce.

A czy i mnie kiedyś dosięgnie promień jasnego, słonecznego życia?

Dn. 1 stycznia 1932 r.

Tkacz
zamieszkały w Łodzi

I. ŻYCIORYS BEZROBOTNEGO

T. B. zamieszkały w Łodzi, urodzony w roku 1876, z zawodu tkacz. Pracuje 31 lat w firmie J. K. w Łodzi. Pracuje w ruchu zawodowym od roku 1904. Byłem aresztowany wraz z całym zarządem Związku Zawodowego w roku 1907 przy ul. Milsza Leśniczówka w Łodzi.

Rodzina moja składa się z żony, urodzonej w 1882 r. i dwóch córek, urodzonych: jedna w 1905 r., druga 1915 r. Pracując przed wojną wraz z żoną zarabiałem od 8 rubli do 12 tygodniowo. Złożyłem półtora tysiąca rubli, dokończyłem z Kasy Pożyczkowej i założyłem ładny sklep kolonialny w r. 1911. Jednocześnie pracowałem w fabryce. W bardzo krótkim czasie oddałem dług i złożyłem parę set rubli. W obawie przed wojną zlikwidowałem sklep i wyjechałem do Żyrardowa. Wkrótce nastąpił pochód Niemców na Warszawę. W obawie przed denuncjacją miejscowych Niemców wyjechałem do Rosji, do Petersburga. Na obczyźnie Polacy bardzo się popierali, to też wkrótce zacząłem pracować w rosyjskiej fabryce amunicji, biorąc czynny udział w organizacjach polskich. Nastąpiła rewolucja, a po niej przewrót bolszewicki. Bolszewicy zamknęli fabrykę amunicji, wypłacając za trzy miesiące. Przestałem pracować, lecz nie na długo. Dzięki rodakom, którzy byli wtedy na wysokich stanowiskach, dostałem pracę w włókienniczej fabryce Kerstena, jako dobry fachowiec. W roku 1917 nastąpił kryzys głodowy. Brak chleba i wszelkiej żywności. Lecz nie było to tak przykre, jak obecnie, bo nikt nic nie mógł dostać, a krzepiła każdego nadzieja prędkiego po-

*) Pamiętnik ten składa się z dwóch części: pierwsza: Życiorys bezrobotnego pochodzi od ojca, druga: Życie rodziny bezrobotnego — bodaj od córki.

wrotu do Ojczyzny. W krótkim czasie otworzono granice. Polacy masowo opuszczali swoje stanowiska, wracając do kraju. To też musiałem zarządzać aż trzema oddziałami. Pomimo karjery, myśl o Polsce nie opuszczała mnie. Postanowiłem wrócić. Lecz jakie było moje zdziwienie, gdy rodzinie mojej dano przepustkę, a mnie zatrzymano, motywując, że jestem potrzebny w fabryce. Żona z dziećmi wróciła do Polski. W roku 1919 zachorowałem i otrzymałem urlop zdrowotny i za pomocą doktora kobiety, litwinki, dostałem przepustkę do Mińska i tą drogą dostałem się do Polski w roku 1920, przywożąc ze sobą 130 tysięcy rubli. Zamieniając pieniądze na marki i odebrawszy z Kasy Oszczędności miałem 9 tysięcy marek polskich. Za te pieniądze można było na prowincji kupić okazały domek. Nie śpiesząc się z kupnem, za niedługi czas kupiłem za te pieniądze bochenek chleba i parę butów. Tak się skończyły oszczędności za tyle lat pracy. W 1921 r., gdy fabryki ruszyły, wróciłem do Łodzi, do dawnej swej firmy. Fabryka rozwijała się szybko, choć fabrykant nie miał pieniędzy, rząd polski bowiem, nie żałował pieniędzy. Wkrótce fabryka ruszyła na dwie zmiany, zatrudniając półtora tysiąca robotników. Powołano mnie na przedstawiciela robotników i pozostaję na tem stanowisku do obecnej chwili, to jest już lat 11. Jednocześnie pracuję w Zarządzie Związku Zawodowego »Praca«. Jestem ławnikiem w okręgowym sądzie pracy i w szkole przemysłowo-handlowej.

Warunki bezrobotnego i częściowo robotnego w dzisiejszych czasach są wprost nie do przeżycia. Pierwszy kryzys pomijam. Obecny kryzys zaczął się w naszej fabryce w roku 1929, pracowano 2, 3 lub 4 dni w tygodniu. W tym czasie administracja przeprowadziła reorganizację pracy. Gdzie pracowało 3 robotników, pracuje jeden, gdzie pięciu, teraz dwóch. Na krosnach, gdzie pracował jeden na jednym, dodano mu drugie, jeżeli kto pracował na dwóch dano cztery krosna. Zaprowadzono również tabelę kar. Nastąpiła częściowa redukcja, po niej następna. Pracowano 2 dni w tygodniu już w roku 1930. Redukowano tak, jak się zarządowi fabryki podobało, przezważnie starych robotników, co przepracowali 30 i więcej lat. Przez lipiec i sierpień w 1931 r., pracowano cały tydzień. Obecnie od września pracuję półtora dnia. Zarobek waha się od 3 do 5 zł., jako tkacza wynosi od 5-ciu do 7-miu. Obecnie wszystkim robotnikom postemplowano książki i wymówiono pracę. Będą przyjmować na nowych warunkach, obrywając 10%. Obecnie pracuje tylko około 600 robotników. Te warunki usposobiły robotników bardzo źle, wrogo

nawet wobec siebie. Muszą znosić najgorsze grymasy administracji pod postrachem redukcji. Kryzys to największy wróg robotnika, zniszczył wszelkie zdobycze, zniweczył idee, ustąpił ruch zawodowy i zabił go duchowo, bo w praktyce już nic nie zostało co było zdobyte.

Mieszkanie, które zajmuję z pralni jest zrobione i ma 2 metry długości 2 szerokości z posadzką cementową, płacę za niego 32 złote. Nie chcąc w nim zgnieć, trzeba spalić 3 ćwiartki węgla tygodniowo. W kryzysie mieszkaniowym było wynajęte tymczasowo w nadziei, że się poprawi to się zmieni. Obecnie nadzieja znikła. Żona zaczęła pracować w 1927 r., a w 1929-tym została zredukowana. Powtórnie przyjęta została w 1931 roku. Obecnie zredukowana. Za komorne winien jestem za 5 kwartałów. Nędza zmusiła mnie do sprzedaży najpotrzebniejszych rzeczy. Obecnie zostałem przy jednym lichem ubraniu. Musiałem sprzedać garnitur za 20 zł., który kosztował mnie 100 zł. Dziecko me zdało do szkoły zawodowej za opłatą 95 zł., po przebyciu 2-ch miesięcy podniesiono o 100%. Miałem zapłacone 70 zł. za I-sze półrocze, brakowało 25 zł. Wysłano córkę do domu. Zmuszony byłem sprzedać wyżej wspomniany garnitur. Wszyscy przy innej pracy otrzymują zabezpieczenie lub odprawę, robotnik na starość nic nie otrzymuje. W długach jestem po uszy. Za komorne 160 zł., w sklepach 64 zł., pożyczonych 210 zł. Jeszcze byłoby więcej, gdyby można było pożyczyć, lecz na oddanie niema widoków. Ciężki jest los, bo jak można żyć z rodziną za 7 zł. w tygodniu, nie wiadomo na co obrócić te pieniądze, czy na węgiel, czy na chleb i słoninę, jeżeli się ma rodzinę na utrzymaniu. O sprawunku niema mowy nawet, niedługo będzie się boso chodzić. Moje codzienne życie i odżywianie: sypia się do południa ze względu na oszczędność węgla, bo węgiel drogi, choć mamy Górny Śląsk, po drugie, aby pominąć jedną porcję, to jest śniadanie. Na obiad zalewajka kraszona lub nie, jak wypadnie, lub kartofle i śledzie, po śledziach można pić wody dużo i człowiek syty. Kolacja jak popadnie kawałek chleba i spać. Pierze się nie często, ze względu na wydatek na mydło. A gdy się pierze kołnierzyk lub koszulę, to trzeba się kłaść do łóżka i czekać aż wyschnie. Wychodzić nie można ze względu na buty i pocóż? gdzie chodzić i dokąd? — bez grosza. Handlem nie można się zajmować, bo niema w czym i za co. Też zresztą jest cały tłum handlujących, a kupujących brak. I siedzi człowiek w mieszkaniu i czeka jakiego końca. Końca kryzysu lub śmierci. Ja osobiście uważam, że kryzys jest wojną swia-

tową gorszą od wojny europejskiej. Próżno się najteższe głowy trzdują nad żażegnaniem, krzysy nie przeminą dokąd techniki się nie ograniczy. Technika zabiera nam pracę, a z nią i życie.

Łódź, dn. 15 stycznia 1932 r.

II. ŻYCIE RODZINY BEZROBOTNEGO

W mieszkaniu panuje półmrok. W kącie przytuleni do siebie, troje dzieci. Siedzą cichutko, obserwując rodziców. Przy stole siedzi ojciec, podparłszy dłońmi głowę, patrzy uporczywie w przeciwny kąt izby. Przy kuchni krząta się bezszelestnie matka i zciha popłakuje. Po chwili ojciec porusza się niecierpliwie i zwraca się do matki — »przezań płakać«, stało się. Straciłem pracę, straszny to cios, bo dziś bardzo trudno o kawałek chleba, lecz rozpacz nic nie pomoże, jakoś to będzie — dostanę zapomogę. A może... może się poszczęści i za parę tygodni znów będę pracował. Zresztą, nie ja jeden przyszedłem z tą wieścią do domu — z naszej fabryki 300 zwolnili.

Matka usiadła naprzeciw ojca i zaczęli się wzajemnie pocieszać. Dzieci widzą burzę chwilowo żażęganą, wyszły z kąta i wznowiły porzuconą zabawę. Szczęśliwe chwile dzieciństwa.

Przeszło dwa tygodnie. Ostatnie wypłacone z fabryki pieniądze już przejedli, zapomogi jeszcze nie otrzymali. Matka brała w sklepiku na kredyt, w nadziei, że otrzymawszy zapomogę zapłaci. Ojciec wychodził z rana, a wracał do domu wieczorem. Czekaliśmy z nadzieją w sercu. Gdy wchodził, wszystkie oczy zwracały się na niego. Ujrawszy jego posępną minę nikt o nic nie pytał. Matka wzdychała, dzieci milkły, bo i one odczuły to żmartwienie, matka uszczupiała pożywienie z tygodnia na tydzień, chodziła ciągle stroskana. Nareszcie otrzymali zapomogę, lecz jak szczupło było tych pieniędzy! Nie wszystko zapłacono nawet w sklepiku. Matka zostawiła sobie 4 zł. na wszelki wypadek. Cztery złote na wszelki wypadek — to śmieszne, a jednak wtedy było to dużo. Zaczęły się w domu swary rodziców o palenie papierosów. Ojciec tłumaczył, że nie może obejść się bez papierosów, bo w tym żmartwieniu zwarzowałby, gdyby sobie odmówił papierosa. »Przecież już tylko machorkę palę« — mówił. Matka gderała, że przez to musi dzieciom chleba uszczuplać, że

najstarsza Mania nie będzie mogła pójść do szkoły, bo ostatnie buty z nóg jej spadły. Wtedy ojciec wzdychał i ukradkiem spoglądał na swoje buty. Całe dni biegał po mieście za pracą i wszystko napróżno. Wszędzie redukowali, o przyjęciu robotników nie było mowy. Za dwa lub trzy tygodnie i jemu buty spadną z nóg. A wtedy — zapomoga nie chce na życie wystarczyć — cóż nawet myśleć o kupnie czegoś z odzienia. Zima zbliżała się, a z nią widmo głodu i chłodu. Jakże prędko przeszły tygodnie pobierania zasiłków. W sklepikach nie chciano dać na kredyt wiedząc, że ojciec nie pracuje. Matka wynędzniała od ciągłego zmartwienia, ojciec wychudzony, zmarnowany, dzieci przybladłe, źle odżywiane nie bały się tak ochoczo. Duszyczki ich zaczynały rozumieć życie w niedostatku i pełne trosk. Bo oto nędza wзира za wszystkich kątów, głód zbliża się wielkimi krokami. Matka sprzedała na chleb co lepsze sukienki, ojciec świąteczne ubranie. Pewnego dnia żydek kupił szafę, kredens i łóżko. Zostało tylko jedno, dzieci spały na podłodze. Jeszcze pościel — mawiała matka. Ale jak tu sprzedać ostatnią pierzynę, kiedy na dworze śnieg i mróz, a węgla niema. Dzieciska pomarzną. Za pieniądze otrzymane od żydka kupiła matka kartofli i węgla, lecz i to już poszło. Jakże ciągle jeść się chce, gdy brak jest. Jak ciągle człowiek czuje się głodnym. Pewnego dnia ugotowano nam resztę kartofli z łupinami. Wtem ktoś zapukał. Matka otworzyła drzwi, wszedł biedny prosząc o jałmużnę, matka wskazała na nasze kartofle z łupinami, tłumacząc, że sama nie ma. I ulitowało się serce żebracze, wysypał z torby uzbierany chleb, kawałki cukru i wędliny, dał nam i wyszedł bez słowa. Matka wtedy długo, długo płakała. Gdy ojciec wrócił, opowiedziała mu. Ojciec po głębokim namyśle zdecydował: »przeciąć to marne życie«, jak się wyraził. Tej nocy rodzice wcale nie spali. Matka ciągle perswadowała, że chyba Dobry Bóg nie skazał nas na głodową śmierć, a może już jutro się odmieni wszystko. I znów wlokły się dni chłodne i głodne.

Zbliżało się Boże Narodzenie. Jeszcze w zeszłym roku Mania prosiła o nową lalkę na gwiazdkę, Tadzio konika. A dziś? Dziś proszą Boga, aby św. Mikołaj przyniósł im na gwiazdkę pracę dla taty i chleba.

Może te niewinne dziecięce duszyczki Dobry Bóg wysłucha i ześle im w dniu Narodzenia Pańskiego pracę dla taty i chleba.

Lódź, dn. 15 stycznia 1932 r.

Ekspedjent
zamieszkały w Łodzi

Ja W. P. ur. dn. 6. VI. 1902 r., w Łodzi zamieszkały, przedstawiam w odrębnym opracowaniu mój ciężki los od czasu istnienia bezrobocia w całej rzetelnej i sumiennej prawdzie w życiu codziennym mej rodziny. Posiadam rodzinę na mem wyłącznym utrzymaniu, matkę lat 68, żonę lat 29 i dwoje dzieci od 2-ch do 4-ch lat. Po przyjsciu z wojska w 1925 r. ożeniłem się z biuralistką. Pracowała w II Stow. Wł. Nieruchomości, ja pracowałem w firmie I. K. Poznański, jako ekspedjent. Zarobek żony wynosił 45 zł. tygodniowo, mój 65 zł. Mielśmy bardzo dobrze, pracowaliśmy dwa lata. Po zlikwidowaniu biura Wł. Nieruchomości i po przeprowadzeniu pierwszej redukcji, zostaliśmy zredukowani prawie jednocześnie i pobieraliśmy zasiłek z funduszu bezrobocia dla pracowników umysłowych przez 9 miesięcy. Po wyczerpaniu zasiłku zostaliśmy bez środków do życia. Nie mogąc znaleźć pracy umysłowej, chwyciłem się pracy fizycznej, jako robotnik pracowałem sezonowo jeden rok i otrzymałem zimą zapomogę z funduszu bezrobocia — 18 zł. 10 gr. Do wiosny w r. 1929 wyczerpałem zapomogę. W ten czas przyszło na świat drugie dziecko. Zostaliśmy bez żadnych środków do życia. Chwytałem się różnych przygodnych zarobków, lecz to nie starczyło nawet na skromne życie. Całymi dniami błąkałem się po mieście, szukając pracy, lecz bezskutecznie. Pisałem do różnych instytucji państwowych i komunalnych, lecz zawsze dostałem odpowiedź odmowną, że wolnych posad niema. Więc nędza wkradała się nieubłaganie do domu, tak że nie mieliśmy w ustach nawet gotowanej wody, gdyż brakło wszystkiego. Ratowaliśmy tylko dzieci. W ten czas zacząłem sprzedawać niezbędne rzeczy z domu: poszło do lichwiarzy lustro tremo,

szafa, zegar i trochę złota, tak że jakiś czas mieliśmy trochę ciepłej strawy. Staralem się o pracę jakąkolwiek, lecz bez skutku. Gdy się wyczerpał zapas gotówki za sprzedane rzeczy, znów powędrowały różne drobiazgi i rzeczy, jak np. ubranie, buty i wogóle niezbędne rzeczy. Zostaliśmy nago i boso, tak że nawet gdybym dostał gdzie pracę, nie miałbym w czym wyjść. Nędza już rozpanoszyła się na dobre w mem mieszkaniu, a w dodatku przyszedł gorszy od nędzy wróg »gospodarz« i groził eksmisją, gdyż byliśmy winni za 3 kwartały komornego. Na prośby i groźby wzruszał ramionami i żądał pieniędzy, obiecując, że w razie niezapłacenia w ciągu tygodnia należności choć za jeden kwartał, żadne prośby nie pomogą. Po wyjściu gospodarza z mieszkania postanowiłem popełnić samobójstwo, gdyż nie widziałem żadnego wyjścia do życia. Włączyłem się po mieście, jak cień. Miałem zamiar rzucić się pod tramwaj, gdyby przypadek nie przyszedł mi z pomocą. Stałem na jezdni i znalazłem banknot 50-złotowy, zwinięty w cztery. Nawet dokładnie nie obejrzałem, tylko schowałem do kieszeni i czułem, że pieniądze, ale nie wiedziałem ile. Dopiero w domu zobaczyłem tak wielką sumę pieniędzy. Mało nie oszalałem z radości, a już za dwa dni kończył się tydzień, który gospodarz wyznaczył, jako ostatni termin. Więc zanieśliem do gospodarza pieniądze i zapłaciłem za zaległy kwartał 40 zł. 85 gr. Pozostałe pieniądze rozłożyłem na równe części po 80 gr. dziennie i miałem, jak na bezrobotnego, zapewniony tydzień czasu jakiej takiej strawy. Wierzę mocno, jako katolik, w Opatrzność Boską, że z tak ciężkiej sytuacji zostałem uratowany, za co kornie chylę głowę przed Stwórcą. Żyłem z dnia na dzień z tych paru złotych, powoli się wszystko wyczerpało, tak, że po kilku dniach znów niema za co żyć, pracy urywczej ani żadnej nie mogłem nigdzie znaleźć. Znowu błądziłem po mieście od rana do wieczora głodny, zmizerowany, wzbudzając litość u ludzi, lecz grosza nie udało mi się zarobić. Ostatni sprzęt nawet najdrobniejszy, nawet sienniki poszły na sprzedaż, tak że sytuacja pogarszała się z dnia na dzień, a gdy to się wyczerpało straciłem wszelką nadzieję i czekałem spokojnie śmierci głodowej, lecz w domu dzieci wołali ciągle chleba, więc nie mogłem dłużej usiedzieć w domu i wybiegłem na miasto. Udało mi się zarobić dwa złote i znów przyniosłem dzieciom chleba i zaspokoilem choć maleństwa niewinnie cierpiące głód i nędzę. Odtąd chodziłem stale od rana do wieczora po mieście i czasem udało mi się zarobić złotówkę. Wracalem do domu z tym skarben, jakbym miał tysiąc złotych, zdarłem zupeł-

nie buty i ubranie zmieniło się na łachy, podobny jestem do żebraka niż do człowieka. Nieraz o chłodzie i głodzie dzwigałem ciężkie walizki z kolei na miejsce adresata, upadałem ze znużenia i nieraz mi pogotowie udzieliło pomocy, gdy przyszedłem do przytomności, litościwi ludzie litowali się nademną i nieraz odnosili za mnie walizki, nie żądając żadnego wynagrodzenia. Nie zważałem na to wszystko i rano punktualnie zgłaszałem się na dworzec i udało mi się czasem zarobić 1—1.50 zł. Taki stan rzeczy trwał do dn. 25 października 1930 r. Zima nadchodziła, a tu nie miałem ani odzieży, ani opału, ani pieniędzy i żyliśmy z litości ludzi, lecz wstydzilem się wyciągać rękę po jałmużnę. To co otrzymałem dawałem dzieciom, a gdy ktoś coś z jedzenia przyniósł do domu, a widział ten człowiek żeśmy nic nie gotowali, bo nie było ani opału, ani pieniędzy, zwracał się do nas z zapytaniem, czy jedliśmy obiad, zawsze odpowiadałem, że jesteśmy już po obiedzie, a to zostawimy dzieciom na kolację. Lecz gdy tylko wyszedł za drzwi, tośmy się rzucali na tę strawę, jak głodne wilki, że nawet kropelki na talerzu nie zostało i takie psie życie o chłodzie i głodzie, niegodne nawet najgorszego zwierzęcia. I za co tak cierpimy? poco i naco? Czy świat nie jest już dla nas, czy to słońko, co tak mile oświeca naszą ziemię, też nie dla nas? Cóż my warci podług drugich ludzi, co się nie martwią o jutro? Ach, jacy są szczęśliwi, jak im zazdroszczę swobody i wolności, radości życia. Człowiek bezrobotny, to aresztant, który odsiaduje karę ciężkiego więzienia. Aresztantowi jest lepiej, niż takiemu nędzarzowi bezrobotnemu, gdyż załuje i wie że popełnił zbrodnię, a tu człowiek w życiu nikogo nie skrzywdził i tak musi cierpieć niewinnie i jego dzieci za co? Za najwspanialsze potrawy bezrobotnego, to barszcz i choć gęsto kartofli i trochę okraszony, i jak go może najeść się do syta. Tu człowiek zjadłby ze dwa porządne talerze tej boskiej potrawy, a tu ledwie zostanie się jeden niepełny, gdyż choć te małeństwa trzeba nakarmić do syta, a człowiek stary to już musi się jakoś obyć. Dzieci rzadko widzą mleko lub jakiś przysmaczek dzieciom należny. Nic prócz kartofli lub mąki nie widzą. Serce się kraje na widok tych dzieci niewinnych, które kiedyś mogą się przysłużyć krajowi. Urosną wątłe, niezdolne do niczego.

W roku 1931 po wielkiej kontroli i zabiegach, chodzeniu prawie boso, gdyż chodzi się w takich butach, co można dostać za jeden złoty, a po mozolnem wyreperowaniu i zaszcyciu wszystkich dziur zdatne są do chodzenia tylko w suchy i ciepły dzień, gdyż

na słołę zupełnie nie są zdatne, bo zaraz ile wody na dworze, tyle w tym bucie. Reumatyzm i inne choroby chwytają się człowieka, ale już się na nic nie patrzy, aby tylko można było zarobić parę groszy. W nocy na dżdżysty dzień od bólu usiedzieć na sienniku nie można, tylko ratuje się dzieci, jak na okręcie, kiedy tonie okręt kapitan zabezpiecza pasażerów i załogę, sam pograża się w otchłań wraz z okrętem, tak samo bezrobotny tylko dba o dzieci, żeby choć jako tako były ubrane i najedzone. I w tym szczęśliwym dniu 25 lutego 1931 r. otrzymałem zapomogę doraźną w sumie 30 złotych i za te pieniądze trzeba było zapłacić komorne i żyć. Choć raz na miesiąc mieliśmy dużo pieniędzy, bo aż 30 złotych i tylko mieliśmy jeszcze więcej kłopotu, gdyż gospodarz dopominał się większej stawki za zaległe komorne. Musieliśmy płacić 15 złotych na miesiąc i stale w nas wmawiał, że mamy teraz bardzo dobrze, bo bierzemy zapomogę. Ludzie na świecie są bez sumienia i bez serca, bez litości. Dziś nikt nie wchodzi w położenie człowieka, tylko aby sam miał wszystkiego do syta, brzydzi się bliźnim, ale może Pan Bóg jeszcze i pobłogosławi nam w ciężkiej naszej niedoli, już nie nam, ale naszym dzieciom, które cierpią niewinnie. Dzieci są bardzo wątłe i chorowite, tak że niema nadziei, aby kiedyś mogli być z nich ludzie, gdyż nędza już wycisnęła na nich swoje piętno na wieki i nawet patrzeć nie mogę z żalu na te małaństwa. Już i straciłem wzrok, gdyż bardzo mało widzę w jasny dzień i przez to jeszcze więcej utrudnia mi walkę z życiem i wogóle z tego wszystkiego straciłem już chęć do dalszego życia i pracy.

W sklepie winien jestem jeszcze 130 złotych i zmuszony byłem wystawić weksel bezterminowy, a oprócz tego fant wartości 50 złotych, jako procent od sumy. Kiedyż z tych długów nareszcie się człowiek uwolni nie wiem. Kredytu nigdzie nie mamy i wogóle żadnej nadziei dostania się do pracy lub jakiegoś sposobu do życia. Dn. 25 listopada 1931 r. zapomogę mi odebrali za to, że nie miałem przepracowanych choć 10 tygodni w 1930 roku i otrzymałem kartę do Komitetu Niesienia Pomocy Najbiedniejszym. Złożyłem kartę dn. 6 grudnia 1930 r., do tej pory nie mam żadnej odpowiedzi, więc znów męczę się już miesiąc czasu. Daremnie wyglądam kontroli o głodzie i chłodzie. Zimno nie pozwala mi nawet wyjść na miasto, gdyż nie mam butów ani ubrania. Siedzę w łóżku i wyglądam miłosierdzia ludzkiego wraz z dziećmi. Mam jedną sąsiadkę, która choć sama biedna, lecz o tyle szczęśliwa, że pracuje, więc z litości daje mi co może, i tak tą dolą-nędzą, los mój jest bardzo

ciężki. Wstyd już mi wszystkich ludzi, na świat patrzę obłąkanym [wzrokiem i myślę kiedyż ten mój marny żywot się zakończy. Nic na tym świecie bym nie pragnął i chętnie oddałbym swoje życie, aby pomóc swej rodzinie i widzieć, że są odziani, najedzeni i mają dach nad głową. O Boże miłosierny, daj mi przez dobrych ludzi choć przed śmiercią tę wielką łaskę, abym mógł ujrzeć swą rodzinę zadowoloną z życia i zapewniony byt.

Wszystko to co opisałem jest szczerą prawdą, jak na świętej spowiedzi, i bym opisał jeszcze więcej ze swojego życia. Można byłoby ułożyć dużą księgę, choć teraz brak mi już papieru. Atrament ten jest z tuszowego ołówka, znalezionego na ulicy, gdyż nie miałbym nawet czym napisać, a papier otrzymałem od pewnego pana, któremu napisałem prośbę do sądu.

W roku 1920 wstąpiłem do wojska, jako ochotnik. Brałem czynny udział na froncie w 28 p. p. dzieci łódzkich i zostałem zwolniony w dn. 6 lutego 1921 roku. W r. 1923 zostałem ponownie wcielony do wojska jako poborowy i służyłem półtora roku, gdyż zaliczono mi służbę ochotniczą. Po wyjściu z wojska zostałem przyjęty w firmie I. K. Poznański i pracowałem do pierwszej redukcji i od tej pory nie mogę znaleźć stałego zajęcia i zmagam się z tym ciężkim losem, ale już czuję, że nic nie zdołam wywalczyć z tą hydrą »nędzą«.

O ile znajdują się jakie błędy, to proszę mi wybaczyć, gdyż piszę na ławce przy świecy. Ręka mi drży i oczy zachodzą łzą, że mi trudno nawet składu wierszy ułożyć, lecz wybaccie mi państwo, gdyż z tej rozpaczy i niedoli już maści mi się w głowie i może napisałem coś niedobrze, to proszę też mi wybaczyć.

Kartkę z *Expressu* znalazłem przypadkiem w sieni domu, w którym mieszkam i nie omieszkałem zaraz napisać, tylko nie wiem czy bez marki dojdzie ten list do Warszawy, ale trudno, nie mam przy duszy ani grosza.

Na zakończenie proszę tylko WPanów, o ile byłoby można i wolno mi prosić o wielką dla mnie łaskę w imieniu mojej rodziny, ofiary kryzysu gospodarczego, możeby WPanowie wyrobili mi choć jaką pracę. Może WPanowie będziecie się na mnie gniewać, to przepraszam bardzo, choć mi taka myśl przyszła do głowy. Straciłbym chętnie swe życie, aby pomóc rodzinie.

Nie lękam się podjąć najgorszych prac, byle uczciwych, aby zapewnić byt swej rodzinie i choć myśl moja pogrążona jest stale

w smutku i już nie mam nadziei lepszej poprawy bytu, więc ten mój pamiętnik niech będzie przestrożą dla tych, którzy lekceważą swą pracę i nie spełniają sumiennie swych obowiązków i ulegną wymówieniu pracy lub redukcji.

Łódź, dn. 6 stycznia 1932 r.

Malarz
zamieszkały w Łodzi

Jutro znów będzie dzień; dzień w którym znajdę pracę. Codziennie chwytam się tej myśli, jak zbawczej deski ratunku. Czasami zdaje mi się, że to ostatni łącznik z życiem: dziwna wiara w jutro, które jak radosną nowinę przyniesie mi — pracę. Praca. Chcę pracować. Jest to jedyne co posiadam, i tak nieodparcie jedyne, że aż śmieszne, gdy o tem pomyślę. Chodzę po bezdni przykrytej cienkimi deskami. Te cienkie deski to — wiara w jutro. Jutro tworzy iluzję poprawy. Dziś cierpię niedostatek, ale jutro? Jutro mogę znaleźć pracę. Cóż mogę? Jutro muszę znaleźć pracę, muszę być syty. Musi być syty mój ojciec, matka, rodzeństwo. Czy znacie czyny głodnego człowieka? Słyszeliście o istotach, któremi rządzi głód? Darmo mówić, iż są podobni do zwierząt. Są głodni. Głód rządzi. Wszystko co robią to jedynie akt głodu. Istnieje prawo głodnego człowieka, przy którym ludzkie prawa to czczy wymysł. Ale ja nie jestem naprawdę »głodny«. Pomimo niedostatku jestem zdrow i niewolno nastawiać się na: »wszystko jedno«, »niech się stanie co chce«.

Odpędzam myśl, że kiedyś mógłbym nie zerwać się z łóżka, nie wyruszyć na miasto, by gorączkowo przejrzeć kolumny ogłoszeń w rannych gazetach, że mógłbym nie przebiec szeregu ulic, wypatrując w wystawach sklepów napisu: »potrzebny«.

Jeśli jest we mnie co młodego, to tylko to.

* * *

Mam lat dziewiętnaście. W czternastym roku życia ukończyłem szkołę powszechną. Rok pracowałem jako chłopiec na posyłki w sklepie z materiałami elektrotechnicznymi. Praca ta rzadko daje gwarancję egzystowania na przyszłość; w moim wypadku nie doprowadziłaby do niczego. Pozostała praktyka. Chciałem wykorzystać

zamiłowanie do malarstwa; wstąpiłem do tegoż zawodu. Był to mały warsztat, gdzie mistrzem był typowy dorobkiewicz, a pracownikami — wyzyskiwani uczniowie, których wydalano, gdy stosownie do lat praktyki żądali podwyżki. Byłem jedynym, który zawarł umowę, w której określono warunki.

Praktyka trwała trzy lata. Wraz z ukończeniem praktyki skończyła się moja praca. Większość firm malarskich, do których się później zwracałem z prośbą o przyjęcie, odpowiadała odmownie; wszędzie narzekano na brak pracy, wydalano własnych pracowników. W gospodzie malarskiej starsi malarze przeklinają uczniów, którzy według ich mniemania są powodem braku pracy. A cóż mają robić uczniowie po ukończeniu praktyki? Większość szuka jakiegokolwiek zajęcia. Część tu i owdzie pracuje w warsztatach malarskich za pieniądze otrzymywane w trzecim roku praktyki, t. j. od 20 do 30 złotych. I tych uważają za szczęśliwców młodzi bezrobotni malarze. Niema pracy. I pocóż wydawać pieniądze na wykłady higieny, jeśli to wszystko jest aż tak niewspółmierne z rzeczywistością. Czyż już wszystkie suteryny czysto, porządnie wybielono? Dlaczego chodzę po mieście, gdzie tyle zrobić jeszcze potrzeba; wchodzę do mieszkań brudnych i odrapanych, wołających o higienę. Dlaczego tyle tysięcy rodzin nie może sobie pozwolić na potrzebę wybielenia mieszkania? Dlaczego im nie umożliwią geniusze tworzący higienę? Gdzież są teraz ci wszyscy, którzy zamęczali najradośniejsze dni życia obkuwaniem rozbiorów logicznych i gramatycznych. Dlaczego nie nauczono mnie dawać sobie radę, gdy będę w takiej sytuacji, jak obecna. Dlaczego nie mogę zastąpić ojca — dotychczasowego żywiciela. Jestem zdrow i chcę pracować, a oto degeneruje i wyniszcza mnie ze wszystkich żywotnych sił fikcyjna pomoc — zapomoga. Któremu robotnikowi zapomoga zastąpiła zapracowane pieniądze? Człowiek w dzisiejszych warunkach tracąc pracę widzi bezczynne tygodnie zapomogi. Okres zapomogi wysysa z niego żywotność, rozprasza siłę, która, gdyby nie usypiająca zapomoga, skończyłaby z bezrobociem tak radykalnie, jak radykalne jest wyrzucanie trutniów ze zdrowego społeczeństwa pszczoł. Oto urządzają zbiórki, »dzień kwiatka«, loterje i t. p. rzeczy na cele bezrobocia, a dlaczego prawo, które napisała i utrzymała niby społeczność, nie wytoczy procesu przyczynie bezrobocia, dlaczego nie wyszuka tejsze przyczyny i nie oskarży jej, dlaczego nie zniweczy jej aktem wyroku, jak to ma miejsce z człowiekiem, który zabrał to co potrzebował?

I znów powraca pytanie: dlaczego nie mam pracy? Gorką ironją zieją słowa: »praca dla przyszłych pokoleń«. Gdzież są ci, którzy dzisiaj pracują dla przyszłych pokoleń? Ci, których po śmierci nazywają genjuszami? Dlaczego bawią się w bezskuteczne prezesury komitetów, które radzą, potem zbierają z pracujących, którzy jutro będą bezrobotnymi, dają bezrobotnym najbiedniejszym i przedłużają bezrobocie, rozgoryczają niesytych, których nie zaspokoją. Praca dla przyszłych pokoleń, to matki, którym umożliwiono wychowywanie zdrowych dzieci, to nie żłobki fabryczne na szeroką skalę, nie wspaniałe szpitale, przytułki, domy starców, więzienia podziw budzące, to umożliwienie egzystencji nam, kończącym szkoły, pilnie uczęszczającym na kursy, wykłady. Niech nie chodzimy, jak muły ze zwieszoną głową, aż ciężką od wielu niepotrzebnych rzeczy, zgłupiałą od mnóstwa słów, które przecież nie mówią o naszej inteligencji, niech nie dźwigamy koszów z żywnością, gdy jednocześnie »brzuch przyrasta nam do krzyża«. Dlaczego nie zrzucimy balastu i nie poszukamy tego, czego nam istotnie potrzeba. Pocóż mówić o pracy dla przyszłych pokoleń; znajdźcie i umożliwcie nam pracę, niech pracujemy dla siebie. Niech zarabiamy na nasze zgrzybiałe matki i spracowanych ojców, niech utrzymujemy z zarobionych pieniędzy nasze żony, gdy opiekują się dziećmi, niech zarabiamy tylko tyle, ile nam trzeba na to, by pracę dla przyszłych pokoleń rozumieć nie jako stosy książek, nie magazyny dzieł, ale jako zdrową społeczność, zdrowe zasady, które przejmą w czyny swoje zdrowi ludzie. Bo dlaczego w mojej rodzinie niema ubrań ciepłych na zimę, dlaczego odżywiamy się, aby nie skonać z głodu, dlaczego nie mogę sobie kupić książki, kiedy fabryki redukują tych, którym potrzebne jest ubranie, bielizna? Nikt nie kupuje. A dlaczego nie kupuje? Jeżeli po epoce obecnej antropozoicznej nastąpi epoka psychozoiczna, dzisiejszy dzień, w którym opłacany i syty, organizuje i popiera imprezy na cele bezrobocia, a sam z krzykiem wypędza administratora domu, który przedstawia trzy karty zbiorów: pieniędzy, odzieży i dożywiania dzieci i prosi w imieniu instytucji, organizującej zbiórki o poparcie, fakt ten przyjmą przyszłe pokolenia z takim wstrętem, z jakim my, słysząc o dawnej szlachcie, tuczającej się z krwi i potu chłopów.

* * *

Mam ojca, matkę, trzech braci i siostrę. Rodzeństwo młodsze odemnie. Bracia: szesnaście, jedenaście i osiem lat, siostra czterna-

ście. Ojciec pracuje sezonowo, jako robotnik w wydziale drogowym Sejmiku Łódzkiego, pracuje zwykle do wyczerpania kredytów; w tym roku (1931) kredyty wyczerpano już we wrześniu. W czasie pracy otrzymywał 3 zł. 50 gr. za 8 godzin pracy. Od października jest na zapomodze, która w tym roku za miesiąc się skończy. Przypuszczalnie na przyszły rok, około maja zacznie nadal pracować w Sejmiku, gdzie pracuje latem od lat trzech.

Matka latem pracuje w ogrodzie u pobliskiego ogrodnika za dziesięć złotych tygodniowo. Dawniej pracowała w fabryce. Przed dwoma laty przy ogólnej redukcji zredukowano ją. Na skutek usilnych starań przyjęto z powrotem na pewien czas, wkrótce jednak powtórnie zredukowano.

* * *

Staję się czemś zbytecznym we własnej rodzinie. Mam lat dziewiętnaście i jasno określam swą rolę darmozjada. Uszczuplam bądź co bądź pokarmy młodszym braciom. Im się słusznie należy. Po nich ojciec niczego dotychczas nie mógł się spodziewać — na mnie budował przyszłość. Dziś uświadamiam sobie całą jego pieczołowitość, z jaką czuwał nademną w latach szkoły powszechnej, śledził każdą pracę na kursach malarstwa i grafiki, interesował się każdym skombinowanym wzorem, pytał i doradzał. Byłem jego dumą. Kiedyś miałem skończyć praktykę, a nadewszystko pomóc ojcu. Miałem być tem, co było jego ideałem: fachowcem, samodzielnym pracownikiem. Gdy zrozumiał potrzebę buchalterji dla rzemieślnika,¹ wydał swe oszczędności na roczny kurs tej umiejętności, by mi nie brakło w przyszłym życiu.

I skończyłem praktykę. Od tego czasu zaczęło się szukanie pracy. Nie zarabiam, nie dopomagam, wszystko poszło naopak — i ojciec załamał się. Wytworzyła się straszna głuchota w spółyżyciu rodzinnem. Niema o czem mówić, wszystko stało się błahem, niepotrzebnem, jedyną wartością ma to, co daję pracę. Na półce leżą książki, nie biorę ich do ręki, by nie drażnić ojca. Wszystko co wiem, cały mój świat jest dziwnie niewspółmierny z tem, co jest, co mnie otacza, z czem się stykam. Świat ten opierał się na pracy. Pracować! Zostać mistrzem-malarzem, a nadewszystko być człowiekiem, nie nadczłowiekiem, a człowiekiem. Dlaczego nie mogę znaleźć pracy? Pracując choćby za skromne wynagrodzenie naprawiłbym stosunek z rodziną. Natchnąłbym ojca nową otuchą. Lżej byłoby czekać na dni, kiedy będzie lepiej. Bezrobocie i jego skutki powo-

dują obok niesytu rozdźwięki w najzgodniejszej rodzinie. Bezrobocie jak choroba nie mogła mnie w stosowniejszej chwili dotknąć, obywatelstwa mnie i rozgorycza, kiedy budzę i buduję swoją inteligencję, uderza w światopogląd zdobyty jako suma pracy kilkunastu lat. Cóż mi z tego wszystkiego? Gdy wyciągnąłem pierwszy raz rękę po 9 zł. zapomogi, całe lata uderzyły mnie dłonią czerwoną w oczy, obmierzyły mi aż po chwilę urodzenia. Po co jestem? Na cóż dni samobudowania siebie, na cóż umiejętności — stoję w szeregu łaknących, ale ja nie łaknę, wszystko burzy się we mnie i przewala. Muszę wziąć te dziewięć złotych — muszę. Ojciec czeka na nie. I wreszcie dlaczego krzyczę, dlaczego we wnętrzu drze się. Muszę stać, policjant, który nad tłumem góruje i wyróżnia się nie tylko granatowym mundurem, pilnuje mnie. Jakie to wszystko śmieszne. Praca jest mi potrzebna nierównie więcej od powietrza, którym oddycham. Nie mogę tak stać i czekać aż mi dadzą. To mnie wykrzywia, odbarwia, niszczy. We wnętrzu wciska się coś obcego, rzeczy stają w mroźnym, złowrogim oświetleniu tak rozpaczliwie bezradziejnym, jak milczący wieczór rodziny, do której wdarło się bezrobocie.

* * *

Ojciec ma lat 44. W młodości był ręcznym tkaczem. Tułał się po różnych frontach, przeszedł kawał Europy. Po roku 1920 pracował jako robotnik sezonowy w łódzkim magistracie. Po siedmiu latach pracy zdarzył się nieszczęśliwy wypadek. Ostry odłamek szabru wprysnął z siłą w oko. Trzy miesiące przeleżał ojciec w szpitalu. Lekarze uznali oko za stracone. Po wyjściu ze szpitala skończył się sezon. Na przyszły rok już go nie przyjęto. Właściwym powodem było nienależenie do partji, która z wiosną nowego roku dominowała w łódzkim samorządzie i właściwie rozporządzała robotami, przyjmując na roboty »swoich«. Pojęcie »swój«. Więc ojciec nie jest »swoim«, nie jest Polakiem, nie walczył za Polskę. Ma skończyć pod murami wielkiego miasta, gdzie w stu pięćdziesięciu szkołach na stu najrozmaitszych kursach w wielu świątyniach mówią o Polakach, jako o zbiorowisku, posiadającym jednakowe cechy fizyczne, mówiącem jedną mową, czego wynikiem ma być duch narodu. I tak inaczej to wszystko wygląda. Od czasu stracenia oka poczęło się dziać coraz gorzej. Następnie ojciec pracował na budowlu, ostatnio na szosach w powiecie łódzkim.

Do najlepszych okresów należał czas pracy w magistracie,

matka pracowała wówczas w fabryce, ja praktykowałem, brat i siostra chodzili do szkoły. Dziś? — staram się uprzytomnić co jest dziś. Chcę być szczery, gdy mówię o życiu mojej rodziny, nadewszystko chcę wykluczyć siebie i opuścić słowa, cisnące się na usta. Ojciec wyteża wszystko, by nie dopuścić do nędzy, pomimo to zakradł się niedostatek. Jedyna stała gotówka, wpływająca do rodzinnego budżetu, to 30 złotych miesięcznie, wypłacane ojcu za stracone oko. Obecnie jeszcze miesiąc przysługuje zapomoga. Z tego tytułu wpływa 11 złotych tygodniowo. Żadnych innych świadczeń. Na starania ojca odpowiadano odmownie, jeszcze nie należymy do najbiedniejszych. Zresztą to wszystko byłoby niepotrzebne, gdybym ja otrzymał pracę. Pieniądze na pokarmy jakimś cudem wystarczają, gorzej z garderobą, obuwiem. Co dalej? Co będzie, gdy wygaśnie zapomoga? Gdy mówię o życiu mojej rodziny najważniejszą rzeczą są pieniądze. Pieniądze daje praca. Dlaczego ja nie mam pracy? Nasze życie to wegetacja. Czeka się z dnia na dzień, czeka się na coś, co uratuje — na pracę. Ja nie ustaję w szukaniu. Coś mnie pcha, wypędza z domu. Nie mogę usiedzieć spokojnie. Nie darowałbym sobie dnia nie poświęconego szukaniu. Zdaje mi się, iż wtedy, gdy gdzieś było potrzeba robotnika, nie wyciągnąłem ręki do sznura ratunkowego, który mnie uratuje. Że coś zaprzepaściłem. Takie to wszystko dziwne i tak dziwnie bolesne.

* * *

Po ukończeniu praktyki i zdaniu niezbędnych egzaminów zawodowych chodziłem do firm malarskich, prosząc o przyjęcie do pracy. Wszędzie odmawiano. I pora była nieodpowiednia: styczeń. Malarstwo jest zawodem w 80% sezonowym. Nie spotkałem mistrza, któryby nie uskarżał się na brak pracy. Kilka w mieście rozpoczętych budowli, przeważnie miejskich, wykończano w żółwiem tempie z powodu braku pieniędzy. W związku z ciężkim położeniem rzemiosła, mistrzowie obywają się bez samodzielnych czeladników. Mimo rozporządzeń, określających ilość uczniów, w stosunku do zatrudnionych czeladników, mistrzowie, korzystając z wielkiej liczby chłopców, poszukujących pracy, przyjmują ich, szybko wdrażają w najpierwsze sposoby malowania i posługują się nimi zamiast przyjąć czeladnika. Nawet warsztaty prosperujące trzymają zimą trzech czeladników z ośmioma najróżniejszego rodzaju pomocnikami, którym płacą od 5 do 25 zł. tygodniowo. Tak więc o pracy nie było co myśleć; tymczasem pobierałem zapomogę. Zgłaszałem się do

Państw. Urzędu Pośrednictwa Pracy, lecz i to napróżno, wskazywano mi na długą listę poszukujących pracy od trzech lat. Nie zostało nic innego, jak czekać na rozpoczęcie sezonu, który przyniesie zmianę; ożywi się ruch budowlany; mistrzowie zatrudnią czeladników. W ten sposób wszyscy czekaliśmy na wiosnę: ja, ojciec i matka. Brat szukał praktyki. Były to ciężkie miesiące. Widmo nędzy pchało się w zdrową rodzinę, której żywicieli ubezwładnił brak pracy. Najwięcej ja zawiodłem. Do tajemnic mej matki należy, w jaki sposób karmiła nas za 13 zł. zapomogi ojca, która trwała do 1 lutego, a później za 9 zł. zapomogi, pobieranej przezemnie, oraz za 30 zł. wpływające za stracone oko. Trudno z tych pieniędzy uiścić komorne; gospodarz przyrzekł czekać do wiosny. Chcąc choć cokolwiek zapracować zacząłem wycinać desenie i malować obrazy. Wkrótce przekonałem się, iż to do niczego nie doprowadzi. Sklepy z artykułami malarskimi zawałone są wzorami taniemi, masowo produkowanymi przez fabryki, jak i mniejszych właścicieli sklepów. Za niewyprawiony wzór sklepy obniżyły cenę do 1 zł. 30 gr. za sztukę, mnie ofiarowano 50 gr. za sztukę, gdy papier kosztuje 30 gr. na desień. Obrazów nikt nie kupuje. W ogólnej biedzie trudno coś zbyć. Starania ojca o jednorazową zapomogę spelzły na niczem, dano jedynie trochę żywności po dwukrotnej kontroli mieszkania, i na podstawie zeznań gospodarza i sąsiadów. W lutym ojciec pracował dwa tygodnie przy lodzie. Przez ten czas ojciec był zdrowszy i żywszy. Czas bezrobocia powoduje u ojca chorobę. Przyzwyczajony do ciężkiej pracy, gdy nie pracuje skarży się na bóle w plecach, na osłabienie ramion i nóg. Wieczorem jest śmiertelnie znużony, rano budzi się wcześniej jak do pracy i opuszcza bezradnie ręce. Niema pracy. Znużenie, apatja i bezwład — oto wszystko gorsze od niedostatku. Jak żyjemy? Wegetujemy. Jak przeciwstawiamy się nędzy, spowodowanej brakiem pracy? W lutym braciszek zaczął sprzedawać popołudniu gazety. Zabrało go pogotowie. Popchnął go jakiś jegomość, gdy ten stał na ulicy z gazetami. Złamał rękę, w której trzymał gazety. I to jest cała nasza walka i to jedyny zysk.

* * *

Przed świętami Wielkiej Nocy wymalowałem z pomocą ojca kilka mieszkań robotniczych u robotników, których stać na luksus malowania. Z nadchodzącą wiosną i matkę zatrudnił ogrodnik za 10 zł. tygodniowo. Ojciec wierzy, iż niepodobna, by po świętach nie było lepiej. Jest w tem coś z odwiecznej wiary człowieka niesytego

w lepsze jutro. Tak przed każdymi świętami, przed każdym Nowym Rokiem wchodzi w dusze ludzkie nadzieja, że po świętach, po Nowym Roku będzie lepiej. Mam nieznanne jutro. Skoro się przeżyło do świąt, po świętach musi być lepiej — wiara bezrobotnego żywiciela rodziny. Podstawa egzystencji — wszystko co można powiedzieć sobie w święta — to ta wiara, że po świętach... Jeżeli nad ziemią świeci słońce, to jest to jeden z promieni słonecznych.

* * *

Po świętach. Ojciec stara się o pracę przy budowie szos w powiecie. Przyniekają przyjąć w czerwcu. Brak pieniędzy nie pozwala wcześniej zaczynać robót. Przyczem mają obniżyć płacę do 3 zł. 50 gr. za dzień, w związku z ogólną zniżką płac. Gospodarz grozi eksmisją. Na lato mogą nas wyeksmitować. Robię wszystko by znaleźć pracę. O siódmej już jestem na mieście. Warsztaty malarskie odmawiają. Jestem młody i któż mnie poprze? Mimo to w dwa tygodnie po zatrudnieniu ojca znalazłem pracę w warsztacie żydowskim 5 zł. dziennie. Tak więc pracuję ja, ojciec i matka. Oddychamy szerzej. Mimo to uszczuplamy, ograniczając się do najniezbędniejszych rzeczy, trzeba oddać długi, szczególnie gospodarza.

* * *

Pracowałem 4 tygodnie. W domu jedno mniej do żywienia. Brata po wyjściu ze szpitala wysłano na kolonje letnie. Ojciec wyjeżdżając w poniedziałek, wraca w sobotę. Po jakimś czasie znów pracowałem kilka dni u tegoż mistrza, do września przyjmował mnie na większe roboty, mniejsze kończy z synami. Lato. Chodzę do instytucji i większych firm prosząc o pracę. Napróżno. Gdyby nawet potrzeba było kogoś, wszędzie trzeba mieć znajomych, którzy poprą, być »swoim«. Nie pomagają dobre świadectwa, ten i ów przejrzy, popatrzy i przeprasza, tłumacząc się, iż nie on winien bezrobociu.

* * *

Wrzesień. Ojcu wymówiono. Odrabia. Zapomoga w tym roku przysługuje tylko 13 tygodni. Wraca widmo pierwszego kwartału w tym roku. Matka dorobi do listopada — jak zwykle. Gdy przeskakam dział posady w pismach — chodzę po firmach, proponując reklamowe napisy. Tu i owdzie coś zarobiłem. Na stałe nic pewnego. Wszędzie to samo — niema. A tak bardzo chciałbym ulżyć rodzicom. Wziąłbym się do jakiegokolwiek zawodu, do jakiejkolwiek pracy,

za którą coś płacą i którą to pracę potrafiłbym wykonać. Nieraz widzę kartkę w wystawie sklepowej: »potrzebny chłopiec«... wchodzi. Niestety, mam dziewiętnaście lat i nie jestem chłopcem, jakiego potrzeba. Nie wiem skąd to przyszło, ale zdaje mi się, że odstrasza ludzi sobą, że jakieś fatum sprzysięgło się. Nie patrzę na siebie. Jakoś nie przychodzi mi pytanie: »co się z tobą dzieje?«, »gdzie ty jesteś?«. Byle pomóc ojcu. Co robić? — tłucze się po głowie. Poszedłbym w świat, byleby nie być zawadą, ciężarem. A jednocześnie muszę tu zostać, tu przy ojcu, w wielkim mieście, gdzie brakuje pracy, wlokąc się, jak cień, nadzieja ojca. Kochaj ojca swego i matkę swoją. Dlaczego nie mam pracy? Dlaczego nie mogę dowieść swojego przywiązania do rodziny?

* * *

Poznaję szukających pracy. Specjalny chód, marsz bez celu, tułaczce wypatrywanie. Wcześniej idą do wylepionych gazet. Pożerają oczyma szpalty wydrukowane petitem. Wchłaniają adresy w mózg, w krew i biegną. Biegną byle pierwsi. Muszą biec. Tu idzie o niejedną egzystencję. Pobiegli. Ale pod tym numerem niema składu, fabryki, warsztatu, o jakich pisało w gazecie. Pytają. Zdaje im się, że zabłądzili. Męczą się przypomnieniem. Ale nie. To tu. Wyraźnie pamiętają. Nie zapomnieliby adresu nigdy. Nie wolno zapomnieć. A tu, jak na złość, niema wakującego miejsca, niema nawet składu, warsztatu, o którym było w ogłoszeniu. Wracają do wyklejonej gazety. Szukają — ale tam już ktoś zdarł miejsce z napisem: »potrzebny«... Zato widzą zupełnie co innego. Tłustym drukiem: »Nasz dziennik ma największą liczbę ogłoszeń, zaofiarowanych posad...«, »codziennie wielu bezrobotnych otrzymuje pracę, czytając...« i t. d.

* * *

Muszę coś postanowić, coś zrobić. W domu coraz gorzej. Wraz z nastającą zimą wzmagają się zmartwienia. Ojciec złożył podanie do Obywatelskiego Komitetu Niesienia Pomocy Biednym. Matka stała się zbyteczną u ogrodnika. Czy jesteśmy biedni? Nie. Chcemy jedynie pracować.

* * *

Rano. Ubieram się gorączkowo. Muszę iść na miasto. Ojciec już na to nic nie mówi. Matka odradza. Zdaje jej się, że to dzisiejsze rano jest takie samo, jak wczorajsze. Tak samo bezcelowe. Nie, wierzę, że jest inne. Muszę iść. Muszę znaleźć pracę... W bramie

wielkiego domu, na głównej ulicy miasta wisi kartka z następującym napisem: »potrzebny pomocnik dozorczy«!

* * *

Zamiatam szeroki trotuar. Mam twarz jasną i zdaje się, że pogodną. Znikło napięcie, niepokój. Jest jakby we mnie wielka cisza i wielki spokój. Na ulicy szum, gwar, hałas, ale ja nic nie słyszę, nic mnie nie razi, nic nie męczy. Zamiatam ulicę ruchem żniwiarza. Kiedyś czytałem o rytmie roboczym. Jeśli kiedykolwiek, to właśnie teraz praca moja jest spójrzoną z jednoczasowym skurczem komór sercowych. Dlatego może tak lekko mi. Nie myślę, nie kombinuję. Teraz pracuję, mam pracę.

40 złotych miesięcznie i życie i spanie. Znów jest dobrze, jak wtedy, gdy ojciec pracował w magistracie, matka w fabryce, jak praktykowałem, a wieczorem spieszyłem na kursy. Wstaję o czwartej rano, idę spać o jedenastej wieczór.

Niedługo upłynie miesiąc. Zaniosę ojcu 40 zł.

Łódź, grudzień 1931 r.

Pamiętnik Nr. 18

Tokarz
zamieszkały w Łodzi

Urodziłem się w Łodzi 29 czerwca 1904 r., wyznania jestem rzymsko-katolickiego. Zawód mój tokarz-żelazny. Pisząc te kilka słów, muszę się przyznać, że ciężko mi jest przełożyć myśli na papier, ale jeśli już mam pisać tak jak mi rozum dyktuje, to wolę gorzej, źle nawet, aby tylko szczerze. A teraz zaczynam w słowach prostych i szczerych.

Jestem synem biednej wdowy, ojca już nie pamiętam, gdyż zmarł w dwa lata po moim urodzeniu. Jako dziecko chodziłem do szkoły rządowej trzyoddziałowej, którą ukończyłem w r. 1915. O kształceniu mnie dalej nie było mowy, na to nie pozwalały szczupłe grosze matki, no i wojna europejska. W roku 1915-ym, do domu naszego zaczęła wkradać się nędza, matka musiała szukać jakiejś pracy (fabryki wskutek wojny były nieczynne), znając język niemiecki otrzymała pracę w charakterze kucharki w szpitalu Ewangelickim w Łodzi, mnie za pośrednictwem stryjka umieszczono w szkole gazowni miejskiej, która jako fabryczna posiadała 2 klasy. Jako trzynastoletni chłopiec musiałem przebywać sam w domu, siostry ani brata nie mam, wieczorem udawałem się pod wyżej wymieniony szpital, gdzie matka dawała mi trochę pożywienia, stan taki nie trwał jednak długo, matkę moją zmiarkowali, że jest polką, no i pod jakimś tam pozorem wydalono ją, zaczęła się wtedy w domu naszym wielka nędza. Ja widząc, że jestem przeszkodą dla matki, wyszłem z domu na wieś, gdzie w okolicach Łaska chłop zabrał mnie do służby. Działo się to w roku 1916. Po kilku miesiącach służby u chłopca rozpoczęły się dla mnie istne tortury, za byle jakie przewinienie dostawałem takie lanie, że po kilka dni chodziłem ze spuchniętą twarzą. Proszę sobie wyobrazić, że spałem

w kurniku traf chciał, że pewnego razu jednej z kur zechciało się znieść jajko na mojem posłaniu, kładąc się spać do tego posłania, raczej zbiorowiska wszów, pcheł, pluskiew i t. p., stłukłem to jajko, na drugi dzień znów lanie, ale tym razem zupełnie inne, chłop niemiec wstrętny zbił mnie kijem, przyczem obsypał mnie takimi epitetami, jak cham, polska świnia i t. p., że po tem generalnem laniu, ze spuchniętą ręką i przetraconym nosem uciekłem od Niemca. Od czasu tego zacząłem rozumieć, że jestem Polakiem i że Niemcy są dla mnie wrogami i w tem miejscu właśnie nie umiem przelać myśli na papier. Służąc potem gdzieś w dalszej okolicy u innego chłopca Polaka, zacząłem sobie myśleć, że powinna się zebrać Polska i zniszczyć Niemców. Mój Boże, wtedy właśnie, kiedy potyrano nami, Polskie Legjony w ciężkich bojach walczyły o wolność narodu i dziecka polskiego, a jednak nie jedno dziecko nic o tych wyzwoleniach narodu wtedy nie wiedziało. W roku 1918 we wrześniu wróciłem do matki do Łodzi, w roku tym wstąpiłem do harcerstwa polskiego, gdzie mnie dopiero nauczono myśleć po polsku. Dużo miałem kłopotu z pobytu mojego w harcerstwie. Rodzina moja, która mnie wtedy utrzymywała, nie rozumiejąc dobra organizacji polskich, przesładowała mnie niemiłosiernie. Jedna z ciotek, która dawała mi trochę jeść, gdy pewnego razu głodny (od rana nic nie jadłem), wieczorem zziębnięty wracałem ze zbiórki i ćwiczeń w koszulce harcerskiej (którą otrzymałem w komendzie harcerskiej) nietylko nic mi nie dano, ale wyrzucono mnie za drzwi. Od tego czasu straciłem jedno jedyne miejsce, gdzie często mogłem się pożywić. To jeszcze jest nic, ale trzeba sobie wyobrazić co się działo w domu, kiedy zwróciłem się do matki z prośbą, aby dała mi zezwolenie wstąpienia do wojska polskiego. Ilu wujków i stryjków było w mej rodzinie, od tyłu codzien prawie od innego dostawałem solidne lanie, w ten sposób chcieli ze mnie wygonić ducha Polaka. Napróżno! W roku 1918 w listopadzie wyjechałem (uciekłem) do Krakowa (na gapę), bo w Łodzi niepełnoletnich nie przyjmowano. W Krakowie za pośrednictwem pana kapitana K... (referent gospodarczy w P. K. U. Kraków), udałem się do Lwowa, gdzie mnie przyjęto do 1 p. p. szereg. lwowskich I Baonu szturmowego, I komp. C. K. M. W wojsku byłem do 21 lutego 1921 roku. Przez cały czas brałem czynny udział⁷ we wszystkich bitwach tego pułku, przez cały czas pobytu mojego w wojsku przebywałem stale na froncie, byłem dwa razy ranny i raz kontuzjowany gazem, (ordynansem nie byłem).

Po powrocie z wojska 1921 roku w lutym zacząłem się zasta-

nawiać nad swoją przyszłością, a szczególnie nad przyszłym moim zawodem, najwięcej do gustu przypadała mi mechanika, to też w roku 1921, piątego miesiąca, otrzymałem pracę w fabryce maszyn i odlewni żelaza F. G. w charakterze praktykanta tokarskiego, z wielkimi trudnościami ukończyłem trzyletnią praktykę i kursa wieczorowe doksztalcające. Matka moja w latach mej praktyki ciężko chorowała, zarobki moje były bardzo małe. Ile zarabiałem nie pamiętam, wiem tylko, że tygodniówka moja w trzecim roku wynosiła jednodniowy zarobek czeladnika. To też z pieniędzy tych nie mogłem wyżywić w żaden sposób matki, no i mnie, musiałem pracować nieraz dodatkowo w piekarni za pomoc fachową (nocami).

Po ukończeniu praktyki powodziło mi się już lepiej, otrzymywałem wynagrodzenie, wystarczające zupełnie na utrzymanie matki i mnie. W roku 1925 w listopadzie ożeniłem się, matka wyzdrowiała, zaczęła pracować, a w roku 1926 kupiłem sobie już mieszkanie z uskładanych pieniędzy. Za mieszkanie zapłaciłem 1000 zł., ładny grosz? No i ładny pokoik, wysoki, dość duży, słoneczny, to grunt z dużym oknem, marzenie mej żony, na oknie dużym odznaczają się dobrze ładne firanki, za umeblowanie zapłaciłem 850 zł. To były czasy! Człowiek zarobił, miał pracę. Wódki nie piję, papierosy palę, jestem zwolennikiem sportu, a zwłaszcza piłki nożnej. W domu moim oprócz mebli i rzeczy codziennego użytku miałem ślicznego psa szpica, aparat fotograficzny 9×12, gitarę, patefon, uwielbiam muzykę, sanki trzyosobowe, łyżwy i t. p. rzeczy. Żyło się dobrze, ale po dobrym następuje szybko złe. W roku 1927 w październiku podległem pierwszy raz w życiu redukcji. Ale przerwa w pracy nie trwała długo, bo zaledwie sześć tygodni, w tym samym roku otrzymałem pracę we Widzewskiej Manufakturze w dziale mechanicznym, zarabiałem przeciętnie 60 do 80 zł. tygodniowo, żona pracowała również w charakterze szwaczki w Łódzkiej Fabryce Pluszu, zarobek żony wynosił 25 do 30 zł. tygodniowo. W roku 1928 w czerwcu nastąpiła pierwsza redukcja. Redukcje przeprowadzono w ten sposób, że zredukowano wpieryw mniej zdolnych, mnie zostawiono, widocznie byłem zdolnym tokarzem. W sierpniu tegoż samego roku nastąpiła druga redukcja i tym razem zostawiono mnie, wszystkich tokarzy pracowało 80 ludzi. Po drugiej redukcji pozostało nas tylko 24-ch. W październiku przeprowadzono trzecią redukcję, której i ja podległem. Przez 17 tygodni otrzymywałem zapomogę ustawową, po 17 tygodniach utrzymywała mnie żona, która otrzymywała zapomogę ustawową, gdyż wskutek braku

zamówień straciła pracę w grudniu 1928 r. W końcu zaczęło się żyć z kapitału, jak to mówią. Kapitał ten wynosił zaledwie 900 zł., o pracy jakiegokolwiek nie było mowy, wszędzie przeprowadzano masowe redukcje. Przyszło się płacić komorne, które wynosi 60 zł. kwartalnie i światło 11 zł. 70 gr. również kwartalnie. Kapitał zaczął szczerpleć, dochodu niema znikąd, u teściów również kryzys, jest tam troje dzieci niezarabiających, najmłodsze 6 lat, dziewczynka bardzo miła i dobrze rozwinięta, moja chrześnica, a teść ślusarz, również bez pracy już od siedmiu miesięcy. Aby im pomóc, chcieliśmy wziąć małą Jadzię do nas, ale to było niemożliwe, dziecko nas bardzo lubi, ale matkę jeszcze więcej kocha. Nie mogąc patrzeć na nędzę, jaka tam panowała, daliśmy im 150 zł., z czego ma się rozumieć teściowa pół oddała w sklepie. W dwa miesiące później zachorowała żona, prawo Kasy Chorych wyczerpane, grypa, ta przeklęta grypa kosztowała nas przeszło 100 zł. W maju zachorowała na różę i jakąś tam inną chorobę mała Jadzia, koszt leczenia wyniósł nas około 160 zł., nie mogłem patrzeć na cierpienia dziecka, które tak kocham, ogromnie lubię dzieci, których niestety nie mam. Po kilku tygodniach nędza zapukała i do mnie, pracy nie było, trzeba było sprzedawać graty. Na pierwszy ogień poszedł pies, biedne psisko takie wierne, tyle pracy kosztowała tresura, otrzymałem za niego 50 zł. Po kilku tygodniach poszedł aparat fotograficzny, kosztował 180 zł., sprzedałem za 70 zł. wraz z przyborami. Postanowiłem więcej nic nie sprzedawać, miałem nadzieję otrzymać pracę, a jednak nadzieja, matka głupich. Pracy nie otrzymałem, rzeczy nie pozwoliłem sprzedać, żona borgowała w sklepie, z czem jeszcze gorzej wyszłem i gdy w roku 1929 w listopadzie dług w sklepie wyniósł 87 zł. i komorne 60 zł. światło kazałem wyłączyć. Sprzedałem patefon za 110 zł. z 32 płyt, sam patefon kosztował 240 zł., rzeczy u nas są w należywym porządku i nie zniszczone. Oddałem komorne, w sklepie 40 zł. Chciałem koniecznie znaleźć jakakolwiek pracę, by uchronić niektóre meble od sprzedaży, ale napróżno i gdy pewnego razu zgłosiłem się do kanalizacji nie chciano mnie przyjąć, mówiąc, że mają dość ludzi swoich, ja niby tokarz byłem dla nich obcy. I tak mijały miesiące, w dom mój wkradała się coraz większa nędza, sprzedawać już nie było co, w sklepie długu jest na sumę 118 zł. 32 gr., za komorne 180 zł., u teściów bieda jeszcze większa, dzieci kiedyś dobrze wyglądające zrobiły się wprost przezroczyście, żona moja 25 lat ważyła w roku 1926 i 1927. — 62 kilo, obecnie waży 43 i pół, na mnie pozostały

tylko skóra i kości. W całej mojej i żony rodzinie nikt nie chorował na płuca, u małej Jadzi lekarz w szkole znalazł pierwsze objawy gruźlicy, na szczęście dobrzy ludzie dają jej co dzień obiad, w szkole otrzymuje mleko. Teściowa na siebie i dzieci otrzymuje w drodze wyjątku zapomogę z opieki społecznej magistratu m. Łodzi w postaci grochu, mąki, kaszy i t. p. Ja nie mam dzieci, znikąd nic nie chcą dać. Sprzedawać niema co, ostatni garnitur sprzedałem za 40 zł. Kosztował mnie w 1928 r. 180 zł. Gospodarz wyjątkowo dobry człowiek, finansowo dobrze usytuowany, nic jakoś nie mówi, wreszcie przyszedł jeden dzień nic nie jedliśmy, łyzy kręcą się w oczach, wyszedłem z domu do Urzędu Pośrednictwa Pracy, po drodze spotkałem kolegę, któremu się dobrze powodzi, kiedyś nosił się z zamiarem kupna odbiornika radjowego. Widząc moją sytuację, a chcąc mi dopomóc, kazał sobie przynieść, zarobiłem 10 zł., za które żyliśmy 11 dni. Aż tu, wielki Boże! Przysyłają po żonę, żeby przysłała do pracy. Po kilku dniach gospodarz domu, w którym mieszkam wkręcił mnie do pracy, a więc bez pracy byłem 2 lata i 9 miesięcy, bez pracy. Ale do jakiej? Ot, prosto za robotnika przy murarzach. Proszę sobie wyobrazić mnie przy tej pracy, mężczyznę, ważącego żywej wagi 51 klg. wysokiego 1 m. 65 cm., głodnego od kilku miesięcy, tak jak prędko i żywo wzięłem się do tej pracy bardzo ciężkiej, tak prędko twarz moją pokrył rumieniec wstydu, nie wstydu pracy, ale nieumiejętności wykonywania mojego nowego zawodu. Pierwszą moją czynnością było dostarczanie cegły czterem murarzom na drugie piętro. Przyniesiono mi t. zw. kobyłkę, na którą kładzie się 32 cegły, gdy kobyłkę napełniłem, przysłała kolej na ramiona i plecy, wzięłem kobyłkę pewnie bardzo nieumiejętnie, gdyż po jednym kroku pół cegieł spadło mi, jedna z cegieł spadła mi na głowę, co wywołało wielki śmiech u pozostałych robotników, radzili mi, ażebym wziął sobie poduszkę na głowę, drudzy znów radzili mi, abym czem prędzej uciekł, bo się zabiję. Ale postanowiłem za wszelką cenę wytrwać w tej pracy. Zacząłem stosować inną metodę, brałem pół cegieł t. zn. 16 sztuk, przyczem prędzej chodziłem od innych, mój Boże, jak bardzo wtedy przydałyby mi się nogi Nurmiego lub Kusocińskiego. Do obiadu wytrzymałem. Gdy po czterech godzinach usiadłem, dostałem takiego zawrotu głowy, że formalnie nic nie widziałem, obiadu nie miałem, w domu nie było ani grosza, w sklepie nic nie chcieli zborgować, z czego skorzystali inni robotnicy i dalej się wysmiewać, nie wiem czy wszyscy robotnicy murarze są taką zgrają mętów społecznych,

czy tylko ci co ja z nimi pracowałem? — Panie — mówi jeden — dawno pan zdjął kołnierzyk, a czemu to pan nie je? Gdy mu powiedziałem moją sytuację, pokiwał głową i w te słowa: Trzeba było brać się za spadel, a nie za pióro, czy tam jakieś rzemiosło! — Drugi radził mi znów, abym przegryzł kawałek cegły, co będzie miało ten skutek, iż przeczyści mi żołądek, przyczem używali takich wyrazów, że nie sposób jest i wymienić, a jednak znalazł się z pośród nich stały prawie lokator z ulicy Kopernika (więzień), dobry szermierz w nożu, udzielił mi nawet podczas pracy kilka lekcji tem plugawem narzędziem, on właśnie podzielił się ze mną chlebem i kielbasą. Posiliwszy się trochę ruszyłem znów do pracy już trochę weselszy, mając dobre plecy w tym właśnie robotniku, któremu musiałem się podobać, bo się mną opiekował doprawdy jak bratem. Człowiek ten, aczkolwiek o bardzo ciemnej przeszłości, starał mi się we wszystkiej pracy dopomóc, za co musiałem mu w każdej wolnej chwili opowiadać o mojem życiu. Najwięcej do gustu przypadło mu opowiadanie o wojnie polsko-bolszewickiej, o ustroju w Rosji, o Legjonach, o obronie Lwowa, o cudzie nad Wisłą, o bohaterstwie polskiego żołnierza, o tem wszystkim człowiek ten bardzo mało wiedział, historii Polski nie znał wcale, ale za to kodeks karny znał wyśmienicie. Jak bardzo praca była ciężka, tak jeszcze cięższe było środowisko ludzi, pomiędzy którymi musiałem przebywać przez osiem godzin. Ręce moje pokrywały się samemi pęcherzami od odparzeń, ramiona i plecy, o tem to już nie będę pisał, bo bym nie umiał wcale, najlepiej by to opisał lekarz. Za pracę moją otrzymywałem dość duże wynagrodzenie 39 zł. 70 gr. tygodniowo, z zarobku tego 20 zł. tygodniowo oddawałem na komorne, 10 zł. w sklepie, 6—8 zł. dawaliśmy teściom, u których nadal nikt nie pracuje, obecnie utrzymują się z obiadów, otrzymanych z Komitetu Woj. Niesienia Pomocy Najbiedniejszym no i zapomogi miesięcznej, wynoszącej 20 zł. miesięcznie. Żona moja pracuje 3 dni, zarabiając 12 do 15 zł. Po kilku tygodniach przyzwyczailem się do pracy, ale do ludzi z którymi pracowałem było mi niemożliwie się przyzwyczać. Ciągłe naśmiewania to z mojego garnituru, raczej perskiego dywanu (łata na łacie), to z bielizny, z tą było najgorzej, bielizna tak mi się wydarła (od pracy), że nie miałem co włożyć na siebie, chodziłem w kamizelce, do której miałem przyszyte rękawy, co jeden to inny, zrobiony z parawaników, które nam zostały. Jestem żonatym i mężczyzną, ale przyznam szczerze, że musiałem gasić światło kładąc się spać, ze wstydu przed żoną. Koszula konstrukcji

żony pokrywała mi tylko pół ciała. Po dziesięciu tygodniach oddaliśmy wszystkie długi.

I zaczęło się nam znów lepiej powodzić, gdyby nie podłość ludzi, którzy nie mogą zrozumieć, że wszyscy jesteśmy ludźmi i że zawód ten lub inny nie powinien rozdzielać tak ludzi pracy. A przecież różnica między robotnikami a rzemieślnikami nie jest znów tak wielką aby mogła tak wrogo usposobić obie te strony, trzeba tylko chcieć i mieć trochę inne zapatrywanie na świat, ja mam tylko elementarne wykształcenie, czytam dużo książek, gazet, zajmuję się sportem i pożytecznymi rozrywkami i to wszystko nauczyło mnie inaczej patrzeć na świat, a przecież miałem tyle sposobności zostać tak bardzo ciemnym indywiduum, sam szłem przez świat i życie tak bardzo smutne i nędzne, a jednak wytrzymałem i jestem człowiekiem jak to mówią o czystej przeszłości i czystym sumieniu. I dlatego na myśl, że w dobie obecnego kryzysu będę musiał przebywać jeszcze nie raz może pomiędzy najgorszymi elementami społeczeństwa budzi we mnie wstręt. Ale trudno, w pogoni za kawałkiem chleba trzeba się na wszystko poświęcić. W październiku 1931 r. starano mi się tak dokuczyć, że jednego dnia podczas noszenia wapna na III piętro na jednym zakręcie rusztowania, gdzie najtrudniej iść, położyli mi kawałek wapna posypanego piaskiem, o który poślizgnąłem się, upadając przytem doznałem poważnego potłuczenia i oberwałem się tak, że musiano mnie odwieźć do domu. Leczyłem się kilka tygodni, ale do dziś ciężaru takiego jak 32 sztuki cegły czy tragi wapna już podnieść nie mogę. Może pomyślałby kto, że jestem niezgodny, przeciwnie jestem spokojnego charakteru i nikomu w drogę nie wchodzę, złą stroną u mnie jest to, że nie umiem tyle wódki co inni, naprzykład szklanką lub kuflem, albo inaczej pić tak długo, dopóki nie przepije się wszystkich ciężko zapracowanych groszy. Przecież nie posiadam kilka kochanek, z którychbym się mógł utrzymywać, a pracą nie zajmuję się tylko dla pozorów, aby móc utrzymywać dom schadzek dla prostytutce, to nie zawód dla mnie. Ileż to razy chcąc się pozbyć natrętnych kolegów dawałem im po 10 zł. na wódkę, a sam udawałem chorego.

Po kilku tygodniach powróciłem do zdrowia, pracowałem jeszcze kilka tygodni, ale przy innej już pracy, lżejszej, w charakterze montera instalacji gazowej i wodociągowej, zawdzięczam to rzeczywiście właścicielowi powyżej budowli, no i znajomości tego zawodu jako pokrewnemu mojemu. 29 listopada 1931 r. wskutek ukończenia budowli przy ul. Narutowicza róg Zagajnikowej, zostałem zredu-

kowany. Obecnie otrzymuję zapomogę ustawową z P. U. P. P. w Łodzi, wynoszącą 14 zł. 30 gr. tygodniowo, żona moja pracowała tylko do świąt Bożego Narodzenia. Fabrykę zamknęli wskutek braku zamówień. Święta spędziliśmy szczęśliwie, a co najważniejsze, że nie głodni. Co będzie dalej — nie wiem, prawo zapomogi przysługuje mi do końca stycznia 1932 r. Sprzedawać niema już co. O nadziei borgowania w sklepie niema już co myśleć, gdyż sklepowi oszukani niejednym klientem nie chcą nic kredytować, tembardziej gdy nikt nie pracuje, możliwość uzyskania zapomogi doraźnej też mi nic nie da, gdyż nie mam dzieci.

Pisząc te kilka słów nie umiem ma się rozumieć zobrazować nędzy i biedy, w jakiej się już nieraz znalazłem w mojem tak młodem życiu. Nie mam najmniejszej nadziei otrzymania jakiegokolwiek nagrody za skreślenie tego krótkiego życiorysu.

Ale jedną mam nadzieję, że słów tych kilka czytać będą ludzie o szlachetnych i dobrych sercach, ludzie dobrze usytuowani, wysoko kulturalnie postawieni, mający wpływ w niejednej gałęzi przemysłu i może kiedyś w dobie tak wielkiego kryzysu pomogą do otrzymania pracy młodemu człowiekowi, któremu los w Wolnej Ojczyźnie, której sam bronił będąc jeszcze dzieckiem, nie pozwolił doznać radości i szczęścia, jakim jest dziś praca i iść musiał w swoim tak młodym życiu przez łzy, głód i nędzę. Chętnie przyjmę pracę na wyjazd, wszelkie świadectwa i dokumenty złożę na żądanie.

Mam głęboką nadzieję, że o ile ktoś, kto czytać będzie te słowa będzie mógł zaofiarować mi jaką pracę, nie odrzuci mej prośby.

Łódź, w styczniu 1932 r.

Robotnik włókienniczy
zamieszkały w Łodzi

Rok 1930 zaczął się dla mnie fatalnie nie tylko pod względem materialnym, ale i moralnym. W fabryce Scheiblera i Grohmana, w której pracowałem, poczęły się dziać rzeczy niesamowite na tle robocizny. Jedne oddziały zamykano, ludzi redukowano, w drugich oddziałach ogłoszono, że praca trwać będzie od 2 do 3 dni w tygodniu. Pracowałem wówczas w t. zw. »Bielniku« przy ul. św. Emilji w warsztacie mechanicznym. Administracja fabryki, a raczej inżynier wraz ze swymi majstrami przeprowadził redukcje. Zredukowano narazie tylko kilku z pośród nas, tych, których oblicza nie podobały się niektórym panom kierownikom. Warsztat zaś uruchomiono na 3 dni w tygodniu. Tak przetrwało kilka tygodni. Zapowiedziano w najbliższym czasie powtórna redukcję. Robotnicy smutni, zrezygnowani, pełni czarnych i posępnych myśli, patrzyli na siebie nieufnie i złowrogo. Kto z nich pierwszy?... Klęli i złorzeczyli redukcji. Nie dosyć, że dłuższy czas pracowali 3 dni w tygodniu, a teraz ma nastąpić ta przeklęta redukcja. Nie było chęci do pracy, ogarniała nas apatia i rozpacz na myśl o redukcji. Ilu zredukują?... Kogo? Za co?... Dlaczego?... Nikt z nas nie wiedział. Tajemnica.

∫ A to najgorsza rzecz, ta niepewność. Komentowano i zaniebdywano się w pracy. Podejrzewaliśmy jeden drugiego o tajemne szpiclowanie i pochlebstwa. Szepty... Domyślniki, nadszakiwanie majstrom, aż do własnego upodlenia się. Jednym słowem ferment i anarchja. Patrzyłem na to wszystko, dziwiąc się, że człowiek może tak nisko upaść moralnie i tak się podlić. Pracować, nie zostać zredukowanym, chociażby ze szkodą bliźniego. Wszystko dla pracy, dla kawałka chleba. Precz z przyjaźnią koleżeńską. Jam lepszy, jak ty. Pokora, obleśny, fałszywy uśmiech... Uścisk dłoni... A w duszy i w sercu jad nienawiści. W myśli: cholera, niechajno mnie zredukują...

* * *

10 maja 1930 roku po salach warsztatu rozległ się cichy, złowrogi pomruk. Redukcja... re — du — kcja. W głowie huczy... Już dziś... Kto mówi?... Jest lista... Wtajemniczeni wiedzą. Takich nie brakuje. Lista już zrobiona. Tym, co mają zredukować, będą odbierali książki obrachunkowe. Niektórzy wiedzą kto ma być zredukowany. Krążą najrozmaitsze domysły i plotki. Nareszcie... Z kantoru wyszedł robotnik G. z listą zredukowanych, aby odbierać książki obrachunkowe. Idzie... Ma w sobie coś, co mi się nie podoba. Jest pewny siebie, zdążył przeczytać listę, wie, że nie figuruje w niej, jako zredukowany. Już jest naprzeciwko mnie. Słyszę, że coś mówi... Aha już, wiem... Książkę obrachunkową. Proszę... Trudno, stało się. Jestem jeden z pierwszych, są i następni. Jest to wielka i ostatnia redukcja. Ci co pozostali mają być zapewnieni. Będą nadal pracować. A ja? No, jeszcze dwa tygodnie będę odrabiać. Może się da co zrobić. Żeby tak pozostawili... Poproszę, wytłumaczę... Pięć lat uczciwej pracy. Znają moją punktualność i gorliwość w pracy. A może zaszła pomyłka. Nadzieja... Daj Boże! Tak myślę ja. Napewno myśli tak samo — ten, tamten. My zredukowani! wydziedziczeni z pracy. Przyszli nędzarze. Ano tak, jestem zredukowany. Nadzieja, na której polegałem, zawiodła mnie. Byłem u inżyniera; nie tylko ja, ale i ci drudzy zredukowani koledzy. Odmowna odpowiedź. Panowie, odemnie nie zależy. Wyższa władza tak postanowiła. Jednak powiedział lub kazał się domyślać za co niejednego z nas zredukowano. Ten za pijaństwo, tamten za agitację strajkową, inny za zbieranie składek na zabójcę dyrektora Kohna w Wodzowskiej Manufakturze. Tego, że jest kawalérem, innego zaś, że jest żonaty, a bezdzietny. Lecz po dłuższej dyspacie pan inżynier dodał: »Zrobiliśmy redukcję z powodu kryzysu i kogo żeśmy chcieli, tego zredukowaliśmy«. W »Centrali« zamknięto warsztat, na »Księżym Młynie« to samo. Ale my robotnicy wiemy, że pozostawiono najlepiej protegowanych »kumotrów«, chrześniaków, siostrzeńców i ludzi należących do związków gimnastyczno-sportowo-politycznych (Sokół), na czele których stali kierownicy i majstrowie. Jednym słowem odbyła się nie redukcja rzeczowa, bezinteresowna, a tak zwana »czystka«. Tych co ustalali listę zredukowanych przewodnią myślą było: nie należysz do nas, nie jesteś nasz, idź precz. (Jeżeli to piszę, to mam pewne dane, a zresztą Łódź robotnicza wie o tem doskonale, jak się u nas przeprowadza po większej części redukcje z powodu »kryzysu gospodarczego«). Niestety ja do żąd-

nych związków nie należałem i nie należę. Trudno, jestem z tych co do związków nie mają zaufania. A tembardziej do związków politycznych. Wiem jedno tylko, że jestem robotnikiem i jako taki staram się, by uczciwie pracować i za tę pracę otrzymywać odpowiednie wynagrodzenie. Może właśnie jest mi z tem źle w dzisiejszych czasach. Nie wiem. Ale, że mam czyste sumienie i jest mi z tem dobrze, to o tem wiem.

Nadszedł ostatni dzień mej pracy. Wypłacono mi zarobione pieniądze. Pożegnano nader serdecznie, lecz bardzo wątpliwie co do szczerości, obiecywano z powrotem przyjąć, jak się tylko poprawi »sytuacja«. I po wszystkim. Jeszcze jedno spojrzenie na budynek fabryczny i... Ulica. Roześmiane słońce majowe. Piękny wiosenny dzień. A tam, gdzieś w sobie, jakiś żal, smutek. Jestem bez pracy, wyjęty z zarejestrowanych ludzi pracy. Teraz będę musiał się zarejestrować, jako bezrobotny. Brać zapomogę... 17 tygodni. A potem... nędza... Czy tak się musiało stać? Dlaczego? Dlaczego tak jest źle, dlaczego niema pracy. Na to niema odpowiedzi, czy też jest... Dlaczego na świecie tak słońce pięknie świeci, a mnie tak smutno. Zarabiałem nieźle jako ślusarz, miałem tygodniowo 52 zł., a gdy pracowałem 3 dni — 26 zł. Można było żyć. Żona też pomagała, pracując w tejże samej firmie 2 — 3 dni, zarabiając od 9 do 14 złotych. »Jutro« było bez obawy zapewnione. Ale teraz jak nie otrzymam gdzieindziej pracy, a zapomoga się wyczerpie, to co będzie. Coraz gorzej, ten przeklęty kryzys.

Biorę zapomogę 22 zł. 45 gr. tygodniowo. Jest jeszcze z tem wszystkim pół biedy. Za komorne 1 lipca zapłaciłem, ale to chyba już ostatni raz. Żona pracuje 2 dni, zarabia 9 zł., mamy razem 32 zł. 45 groszy. Powoli mija tydzień za tygodniem. Nie utraciłem jeszcze wiary i nadziei na znalezienie jakiegokolwiek pracy. Niestety, co dzień, co tydzień ta nadzieja znika. Dobra protekcja, t. zw. plecy lub też gotówka (cena kalkuluje się od 300 do 2000 złotych). Skąd to wziąć, by otrzymać posadę za dozorcę lub woźnego. W metalurgji kompletny zastój. W magistrackich robotach to samo. Trudno, trzeba chodzić bez pracy i brać zapomogę, aż do jej wyczerpania.

⌈ Dzisiaj człowiekiem rządzi jakaś ukryta brutalna siła, nienawiść, kalkulacja, protekcja i przeklęty »złoty cielec«. Dzisiaj nie wolno mieć dobrego serca. Tylko mocne mięśnie i obłudne sumienie. Dzisiaj precz z miłością bliźniego. Depcze się przyjaźń koleżeńską. Wielki Cham dokonał Boga-Człowieka. Walka o łyżkę strawy, o zapewnione jutro robi z nas zwierzęta.

My ludzie bez pracy, to parjasi nigdy nienasyчени, niezadowoleni, zawsze głodni, obdarci, lękliwi, bezradni, żebrzący o pracę, jesteście wyrzucani bez apelacji za bramy fabryk, jak bezpańskie psy. My wydziedziczeni-niepotrzebni.

Wiem co mnie czeka. Beznadziejne wyczekiwanie na pracę. Czeka mnie nędza. A ja tak pragnę pracować. Jestem w sile wieku. mam dopiero 37 lat.

Redukcja! Bezrobocie! Kryzys!

Zresztą nie zdechnę z głodu. Muszę sobie radzić. Dzieci nie mam. Żona pracuje dwa dni. Jaknajwiększa oszczędność. Zresztą... Nie wolno ci narzekać. Jesteś »Proletariusz«...

Nie wolno głośno wołać chleba i pracy, trzeba milczeć.

* * *

Zapomoga się kończy. Trzy tygodnie, dwa... tydzień. Na świecie polska cudna jesień. Zwiastunka zimy. A pracy, jak niema, tak niema. Żona nadal pracuje dwa dni w tygodniu. Komorne jeden kwartał zaległe, niema z czego płacić. Powoli nędza zaczyna się wkradać do mego mieszkania. Zakrada się cicho i dyskretnie. Komorne zaległe, dług w sklepiku wzrasta. Trzeba coś będzie sprzedać, ale co? Aha, już wiem. Mam kilkadziesiąt tomów książek. Sprzedałem wraz z etażerką za 40 zł. Oddałem w sklepie, dałem do reperacji buty swoje i żony, kupiłem trochę węgla i jestem z powrotem bez pieniędzy. Nie ustępuję.

Szukam jakiegokolwiek pracy, kłaniam się uniżenie, proszę, błagam, upokarzam się, tracę swoje »ja« człowieka.

Robi się ze mnie bydlę, bydlę upokorzone, wyrzucone poza nawias społeczeństwa.

Już nadszedł grudzień, a z nim pierwsze podmuchy zimy. Fabrykę, gdzie żona pracuje, mają zamknąć na cztery tygodnie lub też na nieograniczony czas. Będzie to zależało od konjunktury. Chwytam się jednej rzeczy ostatniej. Gram na skrzypcach, ot dla siebie, jako amator. Mam kolegę (też bezrobotny) — gra na gitarze. Umawiamy się. Możeby tak po podwórzach. Nie. Wstyd! To przecież żebractwo. Ale trudno. No, to lepiej po knajpach. Zgoda. Czwartek... Gram do 11 wieczór. Zarobiłem 65 groszy, 2 serdelki, 2 bułki, 5 papierosów. Kolega to samo. I tam kryzys... pustki... Dozorca domaga się za otworzenie bramy. Płacę 30 groszy. I co dla mnie pozostaje? Nie poszedłem więcej grać po knajpach.

Z biedą żem się już pobratał. Jest ona teraz panią położenia w mem mieszkaniu. Sprzedałem szafę na rzeczy, kanapę i lustro.

Zapłaciłem komorne za 2 kwartały — 134 zł. 60 gr., 3 korce węgla — 18 zł. Kupiłem sobie buty — 21 zł. i znów bez grosza. Żona moja co dzień więcej smutnieje, popłakuje. Zauważyłem, że niema ślubnej obrączki na palcu. Domyśliłem się. Onegdaj była u nas sklepowa z zapytaniem, kiedy żona ureguluje dług w sklepie. Oj, figlarz z tej mojej »nędzy«, dokucza ni coraz więcej, nawet we śnie. Nie mogę spać w nocy. Myślę. Sprzedałem graty, zaspokoilem narazie najniezbędniejsze rzeczy. Ale co dalej będzie? Nie mogę nic więcej sprzedać. Pracy nadal nie mogę znaleźć. Żona odrabia dwa tygodnie. Ma otrzymać kartę na zapomogę. Och, cò za życie. Boże, co dalej. Tak żyć nie idzie. Ostateczność doprowadza mnie do rozpaczliwego czynu. Mam na myśli samobójstwo. Ale jeszcze się wstrzymuję. Pozostaje jeszcze moja rodzina. Trzy siostry i matka (wdowa). Dwie z nich zamężne, jedna ma męża pomocnika kasjera na kolei Łódź-Fabr., drugiej mąż posiada sklep tytoniowy. Zwracam się do pierwszej o jakąś pomoc materialną, względnie pożyczkę. Odpowiedź negatywna. Mam dwoje dzieci, czasy są takie ciężkie. — Owszem, o tyle o ile. — Może na pierwszego, ale wątpię, bo święta nadchodzą. Wydatki na to, na owo. Dzieci nie mają tego, tamtego. Smutno, no ale trudno. Rozumiem, gdyby miała, no ale niema. Zresztą kto dziś ma... Poszedłem do drugiej siostry. Ale i tam nic nie wskórałem. Narzekania na ciężkie czasy, na podatki dochodowe, rozchodowe i t. p. Jest mi niezmiernie przykro. Trzecia siostra panna. Pracuje w »Monopolu Tytoniowym«. Też nic mi pomóc nie może, ma matkę na utrzymaniu, w dodatku wkrótce ma wyjść za mąż. Potrzebne jej są pieniądze, a dziś takie czasy.

Już na nic nie reaguję. Znikąd żadnego ratunku. Rodzina żony biedna, sama z trudem walczy z ogólną nędzą. Jest mi coraz gorzej. Jestem na wszystko zrezygnowany. Co dalej? Wisi nademną złowrogie pytanie. Żadnej pracy, żadnej zapomogi. Namysliłem się.

* * *

Było to 11 grudnia 1930 roku. Miałem w kieszeni 2 zł. Otrzymałem je od jednego ze szwagrów. Wstąpiłem do knajpy. Wódki... Wypiłem wódki. Jakoś różniej pójdzie. Idę ulicami miasta. Miasto wre swem codziennem życiem. Przechodnie mijają mnie pośpiesznie. Potracają. Ja na nic nie zwracam uwagi. Jedna myśl krąży mi po głowie. Umrzeć... Bo nie mam już siły do dalszej walki o życie. Żal mi mej żony. No, ale ona da sobie radę. Boże, poco mam jej być ciężarem, być na jej utrzymaniu. Mam w kieszeni butelkę kwasu solnego. Butelka 100-gramowa. Może to za mało, ale to jest kwas

solny. Przychodzę pod dom, w którym mieszkam. Pragnę zobaczyć
mą żonę... Może jej niema w domu. Lepiej nie wejdę do mieszka-
nia. Na widok żony opuściłaby mnie odwaga. Och, jak się chce żyć,
a życie takie okrutne. Żegnaj żono... Boże, przebacz mi...

* * *

Jednak żyję. Nie potrafiłem umrzeć, pomimo wypicia całej za-
wartości butelki. Znajduję się w szpitalu (imienia Prezydenta Igna-
cego Mościckiego). Jestem bardzo, bardzo chory. Tak pali w pier-
siach, we wnętrznościach. Usta mam popalone. Pić... jaki straszny
ból. Dziesięć dni okropnych męczarni. Krwotok... zastrzyki... lód...
i jakaś ulga. Powolny powrót do zdrowia. Po trzech tygodniach
nowe komplikacje. Orzeczenie doktora (p. Dawidowicza) po prze-
świetleniu. Operacja albo śmierć głodowa. Wszystko mi jedno.
Zgadzam się na operację. I żyję powtórnie. Moja rogata dusza jakoś
przewyciężyła śmierć. I na cóż to wszystko się zdało. Przychodzę
powoli do zdrowia. Leżę w szpitalnym łóżku. Tak, to już jest rok
1931. Nowy rok rozpocząłem powtórnie fatalnie, w szpitalu. Robię
rachunek sumienia. Jest to jakby moje »curriculum vitae«.

Do lat 19 uczęszczałem do szkoły rzemiosł. Czteroletni kurs
przygotowania się do rzemiosła ślusarskiego. Ojciec wówczas pra-
cował w gazowniach miejskich, jako maszynista. Po ukończeniu
praktyki, na prośbę mego ojca u p. dyrektora, otrzymałem posadę
w dziale »instalacyjnym«. Po roku wybuchnęła wojna. Gazownie
miejskie zaczęły uszczuplać swój personel. Dla mnie nie było żadnych
szans pozostania nadal w gazowni. Koledzy wyjeżdżali do Niemiec
po pracę i mnie też coś pociągało za nimi. Wyjechałem w roku 1915.
Zwiedziłem kilka większych miast państwa »Bojaźni Bożej«. Berlin,
Hanower, Dortmund, Essen, Cöln, Düsseldorf. Najdłużej pozostałem
w Düsseldorfie, ponieważ tam miałem najlepiej płatną pracę i do-
skonale warunki do życia. Po zakończonej wojnie i po przyjeździe
wstąpiłem do wojska polskiego, jako ochotnik. Przydzielono mnie
w charakterze ślusarza do »Zarządu kwaterunkowego«. Po zlikwido-
waniu tegoż przeniesiono mnie do warsztatów reparacyjnych I p.
czołgów. Po dwuletniej służbie zwolniono do cywila. Zostałem bez
pracy. Jednak szczęście nie opuściło mnie. Wałęsając się po ulicach
Łodzi w poszukiwaniu pracy spotkałem kolegę szkolnego p. O., który
mnie zaprotegował do Urzędu sanitarno - obyczajowego. Pracowałem
w Urzędzie 1½ roku. Miałem niewielkie wynagrodzenie, ponieważ by-
łem kawalerem. Nastąpiła reorganizacja Urzędu. Wiedzano o tem, że
jestem rzemieślnikiem. Zwolniono mnie z posady. Po miesiącu bez-

robocia przyjęty zostałem, jako ślusarz, do »Widzewskiej Manufaktury«. W firmie tej przepracowałem 5 lat. Pięć lat pracy i niesamowitych strajków i lokautów (Widzewska Manufaktura była z tego słynna). Pragnąc poprawić swój byt, zwolniłem się z tejże firmy i dzięki »protekcji« otrzymałem pracę w firmie Scheibler i Grohman. W międzyczasie ożeniłem się. Powodziło mi się nieźle, pracowałem na niezłych warunkach. Lecz mieszkalem u teściowej. Postanowiłem mieszkać osobno (strajki, trzydniówki i t. p. przerwy w pracy doprowadzały do tego, że po dwóch latach zgórą kupiłem sobie mieszkanie). Niestety, myślałem, że będę mógł spokojnie przepędzić dalszy etap mego życia. Krótkotrwałe szczęście w pracy po dwóch latach. Stworzono »kryzys gospodarczy«. Na nic wysiłki i »ciułanie«. Wszystko pochłonął »kryzys«,

* * *

Cicho w sali szpitalnej. Rozmyślam... Myśli me są prawie że dziecinne, jak i moje życzenia. Wyzdrowieć, otrzymać pracę. I... żyć, jak człowiek. Powracam do zdrowia o tyle, że wypisano mnie po 7 tygodniach ze szpitala. W domu przeleżałem drugie tyle. Byłem w domu prawie że sam. Żona, po czterotygodniowej przerwie w pracy, jest zatrudniona trzy dni w tygodniu. Jest nadzieja poprawy. Letni sezon. I ja mam nadzieję. Będę zdrowy. Wiosna idzie... Sytuacja gospodarcza się poprawi. A zresztą mam tyle naobiecowane. Matka, siostry, szwagrowie. Jacy oni pragną być dobrzy. Ktoby pomyślał. Ano zobaczymy.

* * *

Wiosna na Bożym świecie. I we mnie wiosna... Otrzymałem pracę, jako robotnik przy budowie domu. Tylko 8 tygodni za 25 złotych tygodniowo. Razem 200 złotych. I to dobre... Sklep, komorne i inne potrzebny wydatki... I na nowo poszukiwanie pracy. Cicho... Niema nic. Może... Maj, czerwiec, lipiec i t. d. Błędne koło. Przyrzekają, obiecują, radzą a pracy niema. Zastój, brak obstalunków, wyczekiwanie, ta sama historia co i zeszłego roku. Żona pracuje trzy dni, przynosi około 15 zł. tygodniowo. Jakoś się żyje. Byłe nie być głodnym. Wydieramy się z ubrań i bielizny. Żona sztukuje, łąta. Komorne od 1 kwietnia zaległe, gospodarz się niecierpliwi, bo płacę nieregularnie. Zresztą chciałbym się wyprowadzić, bo mieszkanie za drogie. Ale za co kupię mniejszą izbę? Gospodarz nie pozwala tego sprzedać, odstępnego nie chcą dać (ach, ten handel mieszkaniami). Coraz gorzej... Jesień... Żona nie ma ciepłej bielizny, chodzi o 4-ej rano do pracy. Mniejsza o mnie. Gospodarz coraz natarczy-

wiej żąda uregulowania komornego. Słysząc o ustawie lokatorów. Dla bezrobotnych ma nie być eksmisji na przeciąg okresu zimowego. Gospodarz rezygnuje z komornego, bylebym się tylko wyprowadził. Szukam mieszkania taniego, wszędzie żądają odstępnego. Mieszkam nadal, niech się co chce dzieje.

Żona od paździenika pracuje dwa dni. Ledwo się żyje. Opał, światło i trochę strawy, byle nie być głodny. Chodzę do jednej z siostr (bezdietnej) codzień pożywić się, byle zaoszczędzić w domu. I to nie pomaga. Żona dobiera w sklepie, gdy trzeba but podreperować lub kupić pończochę czy skarpetkę. Rodzą się we mnie czarne myśli. Złodziejem nie zostanę, żebrać nie pójdę. Ja chcę pracować. Szwagier, właściciel sklepu tytoniowego, proteguje mnie do »Monopolu spirytusowego«. Otrzymałem pracę na dniówkę, po 1—2 dni w tygodniu. Przepracowałem 4 dni. Więcej nie pozwolono, ponieważ nie mam protekcji tutaj wymaganej. Niestety nie mogę otrzymać tego błogosławionego świstka papieru. Tłumaczą się, że mają swych ludzi za dużo bez pracy. Więcej nie zawołano mnie do pracy. Jaki ja nieszczęśliwy...

Zima. Grudzień... Nadchodzi Boże Narodzenie. Gwiazdka... Nadzieje nie spełnione. Ja nadal chodzę do siostry na odżywienie. Żona zarabia 9—10 złotych tygodniowo. Ćwiartka węgla kosztuje 1.60 zł. Komitet dla najbiedniejszych. Postanowiłem napisać prośbę o jakąkolwiek pomoc. Choćby trochę opału, obiady. Palto jeszcze na zimę mam, to co pozostało z lepszych czasów. Po 10 dniach przychodzi kontroler. Pyta się jakoś dziwnie. To kanapy pan nie ma. Nie — sprzedałem — odpowiadam. A tremo, biżuterje, szafa, może pan to wyniósł? Ile dzieci? Nie mam. Żona pracuje? Tak, dwa dni w tygodniu. Proszę pana, jak tu wyżyć za 9 złotych tygodniowo — pytam się. Odpowiada, że nie wie, niema pojęcia. Każe przyjść do biura na drugi dzień. Poszedłem. Kierownik odpowiedział odmownie. — Panu żadna zapomoga nie przysługuje, ponieważ żona pańska pracuje dwa dni i nie macie dzieci. Nie mamy dzieci, to prawda, ale ja pragnę żyć.

(Panie Szanowny, Panie Boy-Żeleński — co Szanowny Pan powie na to o tych dzieciach?). Czy żeby żyć, jak człowiek, chociaż się jest bez pracy, trzeba mieć koniecznie kilkoro dzieci i z nimi razem cierpieć niedostatek? Szanowni Panowie z Instytutu Gospodarstwa Społecznego, powiedzcież proszę, ażeby otrzymać 100 kg. węgla i jeden litr zupy dziennie, koniecznie trzeba spać na barłogu w brudzie, niechlujstwie i nie mieć najelementarniejszych potrzeb

do życia potrzebnych człowiekowi XX wieku. Czy na to potrzeba chodzić boso, obdarto, w brudnej bieliźnie, ze wszami za kołnierzem, aby pan kierownik z »Komitetu Najbiedniejszych« przyznał jeden litr zupy dziennie i 100 kg. węgla miesięcznie?

Szanowni Panowie, czy do tego już trzeba zostać bydłem w ludzkiej skórze? Zaczynam się wstydić sam siebie. Popadam w jakąś niewytłumaczoną chorobę psychiczną. Żeby się nie powtórzyło to, co było rok temu.

Od prośb i mielenia »jęzorem w gębie« na temat: »dajciez mi pracę«, »dajciez mi pomoc« — odchodzę wprost od zmysłów. Nie myślę wcale. Niech się co chce dzieje. Ach, żebym umiał kłamać różnymi sposobami, jak to potrafią niektórzy moi bliźni, możebym wzbudził litość w komitetach dla najbiedniejszych. Niestety, mam w sobie trochę uczciwości.

* * *

Dziś, 24 grudnia. Wieczór wigilijny. Dziewięć złotych kapitału, w sklepie 18,45 gr. długu. W mieszkaniu u mnie cisza. Nikt mnie nie odwiedza, bo wiedzą, że u mnie bieda. Po co, na co? Siedzę wraz z żoną przy stole i rozmyślamy oboje, nie odzywamy się do siebie. Dziś, w wigilię, bardzo wielu domach radość, wesele, przy zapalonej choince serca się radują... Winszują sobie ludzie, w wigilijny wieczór przy płatkach, szczęścia, zdrowia i dobrobytu. I ja się łamię płatkami, przetrzymanym od sąsiadki, z mą żoną. Padają ciche, smutne słowa: Mezu, tylko wytrzymać. Prośmy Jezusa dziś narodziłego, w pracę, szczęście i zdrowie. Mezu, ja zawsze przy tobie, czy w złej czy w dobrej chwili. Zobaczysz, przetrzymamy. Da Bóg, że będzie nam lepiej. Ja nic nie mówię. Nie mogę. Łkanie ciśnie mi się do gardła, mam łzy w oczach. Płacze... I płacze moja żona. Za ścianą u sąsiadów słychać śpiew kolendy. Bóg się rodzi, moc truchłoje...

Nasze menu wigilijne jest bardzo, a bardzo skąpe. Jak u bezrobotnego, jak u ludzi mnie podobnych, u milionów bezrobotnych, wydziedziczonych, u ludzi zamieszkałych w suterynach wilgotnych, na poddaszach w ciasnych mieszkankach. My biedni parjasi, dziś w wieczór wigilijny prosimy Boga Narodzonego o lepsze Jutro, o trochę serca i Miłość Bliźniego. I mamy nadzieje, czekamy cierpliwie, poddajac się Jego woli. Bo na kimże mamy polegać dziś w wieczór święty, w wieczór wigilijny. Chryste narodzony, dopomóż

25 grudnia. Dzień Bożego Narodzenia. Rano wyglądam przez okno. Na dworze pochmurno i dżdżysto. Smutno, bardzo smutno nie tylko na Bożym świecie, ale i na duszy. Piszę pamiętnik. Padają litery, słowa spowiedzi mej duszy i jest w tym pamiętniku mój ból, moja skarga. Tak chciałbym, żeby było lepiej, żeby była praca i szczęście. Nie pragnę bogactw, ani chcę się wywyższać. Pragnę pozostać pożyteczny społeczeństwu. Jedną z tych milionowych cegiełek, z których jest budowany fundament pod gmach Wielkiej i Niepodległej mej Ojczyzny. Chcę być jednym z tych kółek zębatach, co to ich jest miliony w wielkiej maszynie, Ojczyźnie, w maszynie, która na chwilę nie ustaje w swej pracy, tworząc bogactwa dla niej Potężnej, Mocarnej. Chciałbym być pożytecznym. Dziś jestem bezczynnym pasożytem. Jestem, jak biedne niemowlę, odsadzone od piersi matki swej i zdane na łaskę nieznaną i nieprzewyciężonych sił. Piszę... Może nie to co mi się należało napisać, może nie tak, jak tego odemnie wymagają, Ale cóż, kiedy myśli moje i ręka ma pracuje pod dyktando mej duszy, udręczonej, schorowanej przez ciągłą walkę o byt i pracę. Ciemność w mej duszy i w koło mnie. Chcę przebić się przez nią do światła, do szczęścia lecz nie mam siły ku temu. Wiem, że jestem za słaby, za maluczki. Gdyby mi kto podał rękę i pomógł się wydzwignąć z tego chaosu, z tej walki i przeprowadził lub wskazał lepszą drogę ku jutru. Ale któż to uczyni? Najbliżsi moi, moja rodzina, sama jest sobą zajęta. Ludzie dziś rozpychają się, tłoczą, idąc na oślep po ciałach swych rywali do wytkniętego przez siebie celu. Byle bliżej, byle jaknajprędzej. Jest to powszednie życzenie dzisiejszych ludzi. Ludzi — za nieuchwytnymi widziadłami »Rozkoszy i Bogactwa«.

* * *

Święta Bożego Narodzenia przeszły dla mnie smutno, nikt mnie nie odwiedził, nawet z najbliższych krewnych. Dziś poniedziałek. Wyruszyłem na miasto za poszukiwaniem jakiegokolwiek zarobku. Nadaremno. Co robić? Co? Po powrocie do domu żona pokazuje wezwanie do sądu grodzkiego na dzień 9 stycznia 1932 r. w sprawie eksmisji. Boże! Na samym początku roku sąd o eksmisję. Nie, to nie do wytrzymania.

Wtorek. Od samego rana udaję się do Magistratu po informację w celu wynajmu mieszkania, które »ojcowie miasta« budują dla bezrobotnych i eksmitowanych. Narazie nic niewiadomo, będą specjalne plakaty porzlepiane na murach miasta o warunkach, na

jakich kto i kiedy może otrzymać mieszkanie. Prawdopodobnie pierwszeństwo będą mieli ci co mają dzieci. Jaka szkoda, że niema u mnie z pół tuzina tych opiekuńczych istot. Mógłbym spać spokojnie i nie martwić się o przydział jednoizbowego pomieszczenia w barakach, wybudowanych przez Magistrat. Ale trudno, może i mnie nie odmówią. Czekam na sprawę sądową o eksmisję. Gospodarz nie raczy ze mną rozmawiać na temat cofnięcia sprawy o eksmisję, pomimo mych próśb i zaklęć, że postaram się i tak bez sądu wyprowadzić na 1 kwietnia 1932 roku. Ach, to przeklęte odstępnę, to kupowanie mieszkań, kiedy się to skończy. Jutro, to jest w środę, idę do adwokata, który urzęduje w »opiece społecznej«, po radę i opiekę. Pragnę się ratować przed ostatecznością. Tak się czegoś lękam. Bez pracy i bez dachu nad głową. To już za wiele. To ponad siły. Tworzy się we mnie jakiś niewytłumaczony bunt.

Dziś środa, 30 grudnia. Udałem się na ulicę Zawadzka, gdzie znajduje się »opieka społeczna«. Zwracam się do woźnego. Dzień dobry panie — mówię, gdzie się mieści kancelarja przyjęć adwokata z »opieki społecznej«? Oficyna II piętro na prawo. A numerek pan ma? — odpowiada. Nie, proszę pana. No to się pan dziś nie dostanie — informuje mnie woźny. Trzeba rano wstać, żeby otrzymać numerki. A o której — pytam się (byłem 10 minut przed ósmą). Kiedy pan zechce wstać, ale o pół do ósmej wydajemy numerki. Ludzie już czekają od 5 i pół rano. Trudno, trzeba jutro czekać na numerki do pana adwokata o 5 i pół rano. Żeby chociaż coś pomogło, żeby nie dali eksmisji. W sądzie jeszcze nie byłem. Nie mam pojęcia o tych sprawach.

Poszedłem do siostry na obiad i na kurjerka, którego szwagier prenumeruje, jednak widzę, że coś nie w porządku. Siostra narzeka, że mają im odebrać koncesję, ma być wolny handel wyrobami tytoniowymi i t. p. rzeczy. Czyżbym ich za drogo kosztował? Domyślałem się. Zadrasnęło moją ambicję. Więcej na obiad nie pójdę. Chociaż przez to trochę żona zaoszczędziła w domu. Ale trudno. Dzisiaj są wszędzie kiepskie czasy. Byłem oglądać domki na »Polesiu«, które buduje Magistrat dla bezdomnych i bezrobotnych. Podobają mi się. Mieć tanie, schludne mieszkanko i pracę, to moje niedoścignione marzenia. A tak trzeba długo czekać na to, co każdy robociarz powinien mieć. Pracę i dach nad głową, gdzie mógłby spocząć po całodziennym trudzie. Mają to co ja pragnę, ale nie wszyscy. Nas, co tego »szczęścia« pragniemy, jest dużo,

bardzo dużo... A jednak czekamy i to czekamy bardzo cierpliwie, z nadzieją że i nam kiedyś »słońce zaświeci«.

31-go grudnia. Poszedłem rano o godzinie 5-ej do »opieki społecznej«. Myślałem, że będę już nie pierwszy, a chociaż 5 lub 6. Omyliłem się — byłem 167. Woźny wydaje tylko 9 numerków. Powróciłem do domu bez niczego. Nie rezygnuję jednak. Następnym razem pójdę o 2 lub 3 godziny wcześniej.

Dziś jest ostatni dzień 1931 roku. Dziewiętnaście miesięcy bez pracy. Tyleż miesięcy biedy, walki, upokorzenia i próżnych nadziei i wyczekiwania o lepsze jutro. Smutno, bardzo smutno będziemy witać Nowy Rok my biedacy. Robię »bilans« mego majątku i długu: w sklepiku oddała żona 9 złotych, pozostało 12 zł. 30 gr., u rzeźnika — 3 zł. za mięso, wzięte na Boże Narodzenie, 3.20 groszy za pół korca węgla w budce, u sąsiadki p. D... 10 złotych pożyczonych na reperację butów. Gospodarzowi za 3 kwartały a 67.45 gr., razem 202 zł. 35 gr. Jestem winien ludziom 230 zł. 85 gr. Jak na bezrobotnego, nie mającego nadziei pracować, jest to bardzo wiele. Ale cóż robić? Sklepowa, gdzie żona dobiera żywność na kredyt, daje do zrozumienia, że przestanie udzielać kredytu z powodu naszej eksmisji i domaga się uregulowania pozostałego długu. Zwróciłem uwagę na mój majątek: co też mi pozostało z odzieży i gratów domowych? Mam łóżko. Ma już 8 lat, ale jeszcze jakie takie, stół, 4 krzesła, kosz do bielizny, 2 obrazy, wodniarka i stolik, trochę niezbędnych naczyń kuchennych i po wszystkim. Resztę kupili żydzi... Mieszkanie na pół wypróżnione. Posiadam jeden garnitur w dość podejrzanym stanie co do wytrzymałości na dłuższą metę, jedne kamasze, które też dziękują powoli za wysługę lat, z bielizny — jedna koszula dzienna, jak »cię mogę« reszta, a jest ich 3 pary w oplakany stanie. Mam jeszcze palto, które bardzo oszczędzam, bo zakrywa moją świecąca na łokciach i plecach marynarkę. Co do garderoby mojej żony — jest ona w nielepszym stanie. Podobno, że ja lepiej stoję pod tym względem od niej (to jest od mojej żony). Smutny »bilans« 19-tu miesięcy mego bezrobocia... I niewesołe horoskopy na przyszły 1932 rok.

Nowy Rok 1932. 1 styczeń. Cichy, jak i inne dni poprzednie. Może tam gdzieś u kogo weselej. Noworoczne życzenia, wesele, śmiech, zadowolenie. U mnie smutek... I wielki znak zapytania... Co ten Nowy Rok przyniesie dla mnie... dla nas biedaków? Czy poprawę bytu, pracę? Czy też gorszą jeszcze nędzę?... Bo przecież z tego wszystkiego można oszaleć, można popełnić jakieś szaleństwo.

Bo na Boga, czegoż może pragnąć i żądać robociarz, jak tylko pracy. I dlaczego jej nie wolno mu otrzymać? Dlaczego jakieś siły nadprzyrodzone, czy też złość lub nienawiść ludzka nie pozwalają robotnikowi korzystać z dobrodziejstw pracy? Dlaczego? Dlaczego my biedni, wydziedziczeni parjasi musimy witać Nowy Rok z bojaźnią, wprost z obłąkańczym lękiem i pytać się z przekleństwem na ustach... Czy nie dość naszej męki i wyczekiwania i czy przyszły Nowy Rok będzie nadal dla nas piekłem i udręką i próżniactwem, a co za tem idzie »Głodem« i »Nędzą«.

Dziś życzą sobie syci, odziani i szczęśliwi dosiego roku i wiatują na jego cześć »kochajmy się«. A nam biednym, cichym, potulnym nędzarzom, siedzącym w tym dniu radosnym w swych izbach nieopalonych, odrapanych, któż powie »Wesołego Nowego Roku«? Kto nam w dniu tym doda otuchy do walki z niedostatkiem w tym dla nas nieznanym przyszłym roku...

Nikt... Bo nikt do nas nie przyjdzie, nie pocieszy, bo o nas zapomnieli. Zapomnieli, żeby sobie nie psuć wesołego nastroju w Nowy Rok. My jednak biedni parjasi w dniu tym nie zapominamy o niczem i o nikim.

Nawet o głodzie...

Łódź, dn. 9 stycznia 1932 r.

Pamiętnik Nr. 20

Robotnik włókienniczy
zamieszkały w Łodzi

Dowiedziałem się z gazety Kurjera Codziennego, że Instytut Gospodarstwa Społecznego ogłasza konkurs dotkniętych tych wszystkich bezrobotnych, wobec tego byłem bardzo zadowolony, że będę mógł opisać swój pamiętnik.

W dniu 12 listopada 1929 roku zostałem zredukowany z pracy Fabryki Pasów Transmisyjnych z powodu upadłości tej firmy. Z pomocą ustawową wyczerpałem i zostaliśmy się wraz z rodziną w przykrem położeniu. Na wiosnę w marcu 1930 roku starałem się dostać do pracy do firmy Starych Francuzów. Lecz gdy administracja obejrzała moje dowody, dostałem odpowiedź, że jestem urodzony w 1910 r., należę do wojska, przed wojskiem nie mogą przyjąć do pracy. Wobec tego dowiedziałem się, że Poczta Główna w Łodzi przyjmuje kandydatów na listonoszów, lecz trzeba mieć protekcję, żeby się dostać. Poszedłem do Księdza Prałata W., żebym dostał list do Pana Naczelnika Poczty, prośba moja była uwzględniona i dostałem odpowiedź od Księdza, żebym z listem tym poszedł do Pana Naczelnika Poczty. Gdy oddałem list Panu Naczelnikowi Poczty, dostałem odpowiedź, że jestem przyjęty, żebym w Urzędzie Poczty złożył swoje dokumenty, podanie, świadectwo niekaralności i t. d. Po trzech tygodniach przyszła odpowiedź od Pana Naczelnika Poczty, że niema dla mnie posady, gdyż należę do wojska, żebym pisał prośbę do Dyrekcji Poczty i Telegrafów w Warszawie. Wypełniłem zlecenie Pana Naczelnika i wysłałem, gdzie miałem przeznaczone. Po upływie miesiąca czasu dostałem odpowiedź z Dyrekcji Poczty i Telegrafów, że z powodu braku wolnych miejsc i dostatecznej liczby kandydatów, podanie powyższe załatwiono odmownie. Więc zmuszony byłem napisać prośbę do Pana Naczelnika Państwa Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego, określiłem w tej prośbie, jako

jesteśmy w skrajnej nędzy, ojciec ma lat 61, matka 60, są niezdolni do pracy i t. d. Prośba moja była uwzględniona i w dniu 9 września 1930 r. dostałem odpowiedź, że prośba moja uwzględniona i została przesłana do Min. Pracy i Opieki Społecznej w Warszawie. Po upływie 3-ch tygodni przyszła szyfkaarta przez pocztę z Min. Pracy i Op. Społ., żebym się udał z tą szyfkartą do Państwowego Urzędu Pośrednictwa Pracy w Łodzi, celem załatwienia. Zaraz w tym dniu poszedłem do Państw. Urzędu Pośrednictwa Pracy — przedstawić tę szyfkartę Panu Referentowi P. U. P. P., dostałem odpowiedź, żebym zgłosił się gdy dostanę zawiadomienie. Na czwarty dzień dostałem zawiadomienie, żebym się zgłosił, zaraz po obiedzie zgłosiłem się i dostałem odpowiedź, że narazie pracy niema, żebym codziennie chodził i chodzę do dziś dnia i nie jestem przyjęty. I zmuszony byłem starać się wpisać na listę do Obywatelskiego Komitetu niesienia pomocy najbiedniejszym — pisałem dwie prośby, lecz nie dostałem żadnej odpowiedzi. Więc byłem zainteresowany, udałem się do Urzędu Wojew. celem sprawdzenia, dostałem odpowiedź, że pan Wojewoda m. Łodzi i inni urzędnicy są na urlopie wypoczynkowym — na przeciąg trzech miesięcy i funduszków na ten cel zabrakło, wobec tego starania moje spełzły na niczem. Na wiosnę w roku 1931 starałem się dostać za robotnika sezonowego na plantacje miejskie Magistratu m. Łodzi. Napisałem prośbę do Pana Kierownika Opieki Magistratu m. Łodzi. Po upływie miesiąca czasu dostałem odpowiedź od Pana kierownika żebym pisał odwołanie za pośrednictwem Magistratu m. Łodzi, zaskarżenie do Urzędu Wojewódzkiego w sprawie pracy. Po dwóch miesiącach nie dostałem odpowiedzi, więc zgłosiłem się sam do Wojewódzkiego Urzędu w Łodzi, dostałem odpowiedź od urzędnika p. K., żebym zwrócił się w tej sprawie do p. Naczelnika Wydziału Opieki Społecznej. Doręczyłem prośbę do Pana Naczelnika Wydziału Op. Społ., dał odpowiedź, którą tym razem w liście tym przesyłam, żebym zgłosił się do Państw. Urzędu Pośrednictwa Pracy w Łodzi. W tym czasie P. U. P. P. przyjmował na koleje robotników do pracy, napisałem prośbę i przy tej prośbie była doręczona szyfkaarta z Min. Pracy i Op. Społ. Dostałem odpowiedź od Pana Referenta P. U. P. P. w Łodzi, że otrzymam pracę na kolei Łódź Fabryczna, lecz gdy przyszło do przyjmowania, tylko tych P. U. P. P. przyjmował co mają świadectwa jako pracowali na kolei, wobec tego, że ja jeszcze nie pracowałem — nie zostałem przyjęty do dziś dnia do żadnej pracy. Przyjmował P. U. P. P. jeszcze tych, co do Związku należą, ja nie

należę, bo nie mam pieniędzy, więc roboty dla mnie nie ma. Mam rodziców staruszków, są niezdolni do pracy. Ojciec się starał, żeby coś dostał na życie z Opieki Społecznej m. Łodzi, lecz dostał odpowiedź że ma dzieci, więc mu się nie należy, skąd mogą dzieci dać, jak nie mają, ale Magistrat m. Łodzi nic to nie obchodzi. Wszyscy¹ bracia w wojsku służyli, bronili Ojczyzny przed nawałą bolszewicką, t. zw. Cud nad Wisłą, i dziś nie mają sami co zjeść i skąd mogą dać rodzicom. Starszy brat ma żonę sparaliżowaną i troje dzieci, matkę, teściową chorą, żyją sami w skrajnej nędzy — nie może swoich dzieci wyżywić. Niezmiernie się ucieszyłem, że zabiorą mnie do wojska, lecz niestety z powodu wycieńczenia, nędzy, braku odżywiania, nie zostałem wzięty do wojska, gdyż przez dwa lata się rozchorowałem i dostałem kat. C. pospolitego ruszenia. Przy niniejszem dla sprawdzenia dołączam odpowiedź, o którą się starałem. I tak kończy się mój pamiętnik jeszcze do dziś dnia bezrobotnego — własnoręcznym podpisem podpisany.

Łódź, dn. 28 grudnia 1931 r.

Pamiętnik Nr. 21

Robotnik włókienniczy
zamieszkały w Łodzi

Nazywam się . . . Ale poco nazwisko? Takich jak ja dzisiaj jest tysiące i jedynym ratunkiem od popełnienia samobójstwa i jedyną moją (niestety) radością jest świadomość, że nie sam dzielę los »potępieńców«. Mam lat 21 a już jestem starcem, który jeszcze nie zdążył przejść wieku młodości i nie zdążył jeszcze oswiecić, ale który zdążył już doznać okropności życia człowieka pozbawionego środków »do życia«. Za mną widnieje pasmo moich nieprawdopodobnych przeżyć, przed sobą za to widzę ciemnicę... to obojętność... to bunt... Tak dalej być nie może! Klnę sam do siebie. Przecież jestem człowiekiem jeszcze młodym. To niemożliwe, abym już nigdy, przenigdy nie dostał pracy! Aby ta zimna doprowadzająca do rozpaczycy teraźniejszość miała objąć całą moją przyszłość, abym całe życie był dziadem, żebrakiem i patrzył z jednej strony na marnotrawstwo i zazdrościł tym, którzy jeszcze pracują, a z drugiej strony — patrzył na nędzę najbliższych, na ich zmagania o egzystencję, na to powolne konanie bezrobotnego sąsiada, który dzieciom na święta Bożego Narodzenia nietylko nie mógł napalić czem w piecu i ugotować przysmak wigilijny — paru ziemniaków!...

Chcę być szczery. Wtedy tylko ten pamiętnik będzie miał znaczenie gdy będzie zawierał prawdę. Ale nawet gdyby ktoś zabrał się do pisania powieści i opisywał w niej jakieś »czyścowe« cierpienia ludzi pozbawionych pracy i »patentu« do życia, nic by nie skłamał. Fantazja poety w tym wypadku nie uniosłaby się wyżej nad rzeczywistość nędzy ludzkiej....

W zacząciu pamiętnika mam pewną trudność, gdyż nie wiem od jakiego miejsca zacząć. Należałoby zacząć odtąd, odkąd wypadki

ogarniają moją pamięć, ale wtedy pamiętnik przekroczyłby granicę wymaganego tematu. Nie mogę jednak nie wspomnąć o czasach tych, kiedy byłem dzieciakiem, kiedy chodziłem do szkoły, kiedy się radowałem słońcem i wszystkim, co może radować tego, który nie wie jeszcze co to jest troska, dla którego zagadnienia życia są »szczęśliwie« niezrozumiałe.

Kiedy porównam przeszłość z terażniejszością, to nie widzę większej radości, większego szczęścia, niż w latach kiedy byłem dzieckiem. Gdy miałem lat cztery wybuchła wojna światowa... Wiedziałem tylko, że wojna. Rozpoczynają się wtedy koleje ciężkie, bo rodzice pozbawieni pracy muszą nie tylko o sobie myśleć, ale o mnie i jeszcze o młodszym bracie. Kończy się wojna, wracamy ze wsi, dokąd w połowie wojny wywędrowaliśmy i w mieście rozpoczyna się nowy okres życia...

Rodzice poszli do pracy, ja jako dziewięcioletni chłopak poszedłem do szkoły. Rany zadane wojną zablizniały się stopniowo. Meble sprzedane za bezcen w czasie wojny wracały do naszego wprawdzie mniejszego mieszkania niż przed wojną i zapełniały puste miejsca.

Patrząc na moje lata szkolne zajęte nauką i na te lata »szczęśliwego smarkacza« i porównywując to z dzisiejszym położeniem, zdaję sobie, że i ja byłem kiedyś szczęśliwy, chociaż nie miałem warunków do szczęścia, takich jak inni to mieli. Atoli, gdyby mi dzisiaj zaproponowali raz jeszcze młodość beztroską z zapewnieniem również beztroskiej przyszłości — nie zgodziłbym się, nie oddałbym za to dzisiejszego policzkowania mojej etyki, policzkowania człowieka, który ma również prawa polityczne, ma wolność, tylko nie ma pracy, który decyduje o losach państwa, tylko nie umie decydować samym sobą. Jest dziadem — prawnym żebrakiem, — jest niewolnikiem, a nazywa się obywatelem wolnym ze świadomością krzywdy społecznej. A mimo tego nie zamieniłbym »tego« położenia, bo w chwilach walki duchowej — cierpienia duchowego — mam błyski lepszej przyszłości. Jestem przekonany, że już w niedalekiej przyszłości musi się zmienić i mój los — wydziedziczony się zmienić...

Pochodzę z rodziny robotniczej. Mój dziadek był współwłaścicielem gospodarki chłopskiej 7 i pół morgowej. Gospodarstwo leżało w granicach miasta w Zarzewie. Dziadek jednak doszedłszy

do pewnej samodzielności oddał gospodarstwo swojemu bratu — zaś sam rozpoczął pracę w zakładach przemysłowych Szajblera.

Ojciec mój jest typowym proletariuszem, pozbawionym nietylko morgi gruntu, ale też świeżego powietrza wiejskiego.

Rodzina, której jestem członkiem, składa się z pięciu osób, zamieszkujących stale w Łodzi. Ojciec mój ma lat 49, matka moja jest od niego o 5 lat młodsza. Oboje musieli pracować od wczesnej młodości — z początku aby pomagać swoim rodzinom, a później aby mieć pewną radość życia czyli pracować na siebie. Matka moja podobno pracowała w fabryce od dziecka, gdy miała lat 9. Panowała bowiem w tych czasach moda na podrabianie metryk i jak z opowiadań słyszę — nietylko moja matka tak wcześnie zaczęła pracować. Nawet sąsiad przez ścianę opowiadał zupełnie wiarogodnie, że i on zaczął pracować w dziewiątym roku swego życia.

Dziś rodzice pracują w tych samych fabrykach co przed wojną, z tą różnicą, że dziś mimo zbliżającej się starości — muszą pracować na mnie, który jest obywatelem wolnym, na mojego brata, który gdy wojna światowa wybuchła — miał zaledwie rok i jeszcze dobrze chodzić nie umiał, oraz na jedyną siostrzyczkę, która się urodziła w roku 1920 wraz z braciszkiem. Braciszek w pół roku po narodzeniu zmarł, pozbawiając rodziców radości i kłopotów. Radości, bo matka płakała nad jego trumienką, a kłopotu — bo teraz nie mogą nawet nas odżywić. Sami zaś żyją niżej potrzeb, już nie człowieka kulturalnego, ale człowieka pracującego w fabryce...

Po skończeniu szkoły powszechnej w 1926 roku — zacząłem uczęszczać do państwowej szkoły włókienniczej. Z tego tytułu w domu wynikały częste spory, a nawet awantury. Bo chociaż przyznano mi stypendja, to jednak wydatek na mnie był znaczny. Ojciec był zdania, że powinienem pójść do roboty, matka chciała znowu koniecznie — abym był »czemś« w życiu byle nie robotnikiem.

— Nie chcę, aby mój syn był tak poniewierany i pracował tam, gdzie ja, mówiła po przez łzy radości, że ja kiedyś będę kimś tylko nie robotnikiem.

Matka moja jako prądka pracująca w naciągarkach w przędzalni Ludwika Geyera — miała słuszne obawy. Zamiast dobrej bawełny, »przerabiała« kolorową bawełnę — »odpadki«, prawie sam kurz.

Jeśli cały tydzień przepracowała, miała 25 do 30 złotych.

W roku 1928 zaczyna się psuć w przemyśle — chociaż i przedtem przechodziliśmy okresy strajków i redukcji. W tym jednak roku od wakacji przestaję chodzić do szkoły i 29 sierpnia rozpoczynam pracować w wykończalni * * * przy ulicy * * * . W tej fabryce ojciec mój pracował jako robotnik w opalarni i zarabiał dziennie 6 złotych. Do fabryki tej dostałem za staraniem ojca, który nie zważał — tak samo jak i ja — że chodziłem do szkoły włókienniczej na oddział przedzalniczy... Należało coś robić, bo już wtedy matka pod względem zdrowia pozostawiała dużo do życzenia. Pracowałem, pracowałem pierwszy raz w życiu, mając lat 18, gdy moja matka rozpoczęła taką pracę, mając lat 9.

Idąc do pracy musiałem stoczyć z sobą walkę duchową, matka o fabryce nie chciała ani słyszeć. — Co ludzie powiedzą? szlochała, i rzeczywiście mówili dużo. Często musiałem się rumienić. — O, ten, co to chodził do szkoły, pokazywali mnie palcami, a teraz psiakrew robi to, co my! Klął mocno sproletaryzowany umysłowo robotarz. Przewyciężyłem, przyzwyczailem się nawet do pracy, która pod względem zdrowotnym wymagała pewnego ulepszenia*).

Na jesieni tego roku wybucha strajk. Strajkowaliśmy trzy tygodnie. O ile fabryka nasza do strajku przystąpiła o dzień później i to nie z woli robotników, a wtedy kiedy już najpilniejsze roboty były wykonane, o tyle po trzech tygodniach sam kierownik się prosił, abyśmy przystąpili do pracy, i nawet się zgodził, abyśmy mieli swego delegata, którego też wybraliśmy. Narazie delegat reprezentował około 300 robotników, jacy pracowali w farbiarni i wykończalni * * * .

Po strajku dniówka moja z 4.25 gr. podwyższyła się do 4.46 gr., zaś mojego ojca do 6.36 gr.

W początkach grudnia poddałem się operacji lewego oka. Kurowałem się dwa tygodnie. W czasie kuracji wymówiono mi pracę, z powodu braku zamówień. Rzeczywiście nie było co robić, bo ostatnio pracowaliśmy 3 dni w tygodniu i po 6 godzin dziennie, a nawet i po 2 dni (oczywiście płacono nam za przepracowane godziny). Z moją redukcją było coś nieprawnego. Nie powinni mnie redukować, gdy byłem chory. Nie mogłem nic robić, bo ojciec mój pozostał w pracy. Gdybym się upominał o prawa swoje, mojego ojca

*) W roku 1929 pisałem też coś w rodzaju pamiętnika, gdzie opisałem warunki, w jakich pracowałem w fabryce * * * . Rękopis nosi nazwę »Wykończalnia p. H.«, i znajduje się u mnie, w formie niezbyt literackiej.

w fabryce już by nie było. A był to już rok zaczynającego się silnego kryzysu gospodarczego.

Byłem więc bezrobotnym, któremu nawet zapomoga nie przysługiwała, bo nie przepracowałem nawet pełnych 20 tygodni...

Rozpoczyna się okres mojej bezrobotności. Chodzę do organizacji robotniczej, to staram się pisać różne rzeczy w formie powieści. Wszystko to jednak nieudolne, niewykształcone, mierne.

W roku 1929 kończy szkołę powszechną mój brat. Ojciec pracuje na trzy dni. Matka również całego tygodnia nigdy w tym okresie nie przepracowała.

Cały rok 1929 szukam pracy. Budżet naszej rodziny musiał się ograniczać do najniezbędniejszych potrzeb, jak chleb, ziemniaki, komorne i opał. Pierwsze, aby nie zdechnąć z głodu, drugie, aby nie znaleźć się na ulicy, albo w baraku pełnym obskurnych brudów, a trzecie — aby trochę ugotować i ogrzać często skostniałe członki. Nawet to, aby kupić ubranie lub trzewiki, było pewnem niepodobieństwem.

Cały rok 1929 szukałem pracy. Chodziłem z ojcem do znajomych. Gdybym pieniądze wydane na »gorzałkę« wypita z tymi zebrał, miałbym już porządny garnitur i jeszcze matkę moglibyśmy wysłać na letnisko w czasie jej urlopu. Zabiegi ze znajomymi pozostały bez skutku, obiecywano, a potem skarżono się na »ciężkie czasy«.

Szukałem pracy na własną rękę. Okazało się i to bezskutecznie. Zdarłem tylko zawczasie dwie pary trzewików i jako satysfakcja zostało pewne doświadczenie i pewna nienawiść do ustroju gospodarczego, który nie umie obywatelowi zapewnić przyszłości.

W roku tym mimo 19 lat przechodziłem cierpienia duchowe ogromne, które się powiększały zatargami rodzinnymi. Bowiem jeśli w którym tygodniu matka z ojcem nie prowadziła awantury o pieniądze — (matka prowadziła gospodarstwo domowe sama) — należało ten tydzień uważać za nienormalny.

— Tobie, czy dać 20 zł., czy 30 czy 10 zł., piorunował ojciec, kłócąc się z matką, zawsze starczy i zawsze mało. Gdyby ci dać 50 zł., też byś się cięła, że ci daję mało!

— Jesteś ojcem, jesteś mężczyzną — wołała matka — jak wiedziałeś, że nie dasz żonie i dzieciom utrzymania, nie trzeba się było

pętać — i mnie zawiązywać losu. Gdybym ja nie pracowała, to by dzieci pozdychały z głodu, bo ty byś sam ich nie utrzymał. I to była prawda *).

Nadszedł rok 1930 i wyjechałem do szkoły rolniczej w Czarnocinie. Umiłowanie wsi, jakie odziedziczyłem po przodkach (jeśli można dziedziczyć), czy też myśl, że od wsi należy zacząć walkę z kryzysem — natchnęła mnie do wstąpienia na 11 miesięczny kurs (15 stycznia — 15 grudnia). Pomysł sam był oryginalny i ryzykowny. Cóż ja bym mógł zrobić po ukończeniu szkoły rolniczej, kiedy nie posiadam ziemi. W Łodzi chyba na ulicach nie będę uprawiał buraków pastewnych i nie będę hodował krów, bo musiałbym z mieszkania, które należy do ojca — i które i tak jest za ciasne, uczynić oborę.

Wierzyłem jednak, że przecież »jakoś tam będzie«. Zawsze lepiej skończyć szkołę niż być przez cały rok bezrobotnym. Musiałem jednak w domu stoczyć prawdziwą batalję.

— Jak to? — dziwili się wszyscy — to inni ze wsi ciągną do miasta, a ty urodzony w Łodzi i pochodzący stąd chcesz uciekać na wieś? Kiwali nademną z politowaniem głowami i nawet posadzali, że nie chce mi się szukać pracy, tylko żyć »lekkko«, czyli popierać »prawo do lenistwa«.

Skończyłem szkołę 16 grudnia. Kończył się rok 1930 i zaczął 1931. Powróciłem i rozpoczyna się okres, może najcięższej walki wewnętrznej. Brat mój w ciągu roku 1930 chodził do terminu i uczył się ślusarstwa **).

Zarabiał tygodniowo z początku 5 zł. potem 6 do 8. Jednak pracował w tej fabryce — (fabryka mebli dentystycznych). Przez rok był wykorzystywany, a kiedy domagał się podwyższenia stawki i dopuszczenia do dalszych »tajników« zawodu ślusarskiego — został zredukowany, bowiem nadażyła się okazja! nie było pracy i połowę robotników zredukowano, a między nimi i mojego brata. To też 1931 rok był gorszy, bo już nie ja siedziałem w domu, ale bezczynnie siedziało nas dwóch.

*) Proszę sobie wyobrazić mężczyznę ze sfery wyższej inteligencji, któremu żona w ten sposób wypowie cztery prawdy. A ileż to rodzin robotniczych jest, gdzie tylko żona utrzymuje tak dzieci jak męża? (Patrz dalej podaną tablicę i uwagi).

**) Za wprawienie brata ojciec zapłacił »faktorowi« 50 zł. nie licząc przekąski i wódki.

Kłótnie wybuchały teraz często. Ojciec się raz upił i doszło do niezbyt etycznej awantury... Postanowiłem zerwać z domem, po pierwsze w obronie własnego życia, po drugie byłem etycznie zdruzgotany. Okazało się jednak, że krok mój był bardzo ryzykowny i gdybym pozostawał w uporze — w tydzień po tem znaleziono by mnie zmarzniętego w rynsztoku albo umarłbym z głodu. A kto wie czy zamieniłbym się w »wyrzutka społeczeństwa«, odpowiedzialność za którego wzięło by społeczeństwo. Muszę się przyznać, że stchórzyłem. Byłem tchórzem niezdolnym w życiu, do samodzielnego życia, nawet niezdolnym do kradzieży bułki... Nawet do wyciągnięcia ręki po jałmużnę. Skapitułowałem i jakby nigdy nic, zamiast do domu wróciłem do siostry mego ojca — mieszkającej wraz z bezrobotnym i chorym wtedy mężem na Bałutach.

W parę tygodni fabryka * * * otrzymała większe zamówienia i za pośrednictwem ojca otrzymałem pracę w tej samej fabryce.

Nastała do pewnego stopnia harmonja w rodzinie. Zarabiałem tyleż co dwa lata temu. O podwyżce nie wspominałem, bo nie miałem jeszcze ukończonych 21 lat, brakowało mi dwa miesiące; postanowiłem te dwa miesiące przeczekać.

Pracę otrzymałem 24 kwietnia 1930 roku, a już w początkach czerwca tegoż roku przestałem pracować.

Trafiało mi się miejsce pisarza na jednym z majątków w powiecie Kutnowskim. Wynagrodzenie wynosiło narazie 80 zł. miesięcznie oraz całkowite utrzymanie, t. j. mieszkanie i jedzenie. Osobiście rozmawiałem z panem właścicielem majątku D., zgodziliśmy się na kompromis. Miałem bowiem przyjechać na tydzień próby i od pierwszego lipca zacząć pracę na stałe. Praca rzeczywiście należała do bardzo »głupiego zajęcia«. Wstawałem o godzinie 3.30, o 4-ej byłem w oborze przy udoju (było to lato). Później wydawałem obroki i szedłem na śniadanie. Jeśli dostałem robotników do śpichrza, zamykałem ich w nim, zaś sam szedłem do kancelarji przeglądać książki, których było coś ze 12. Książki te miałem od 1-ego lipca prowadzić sam. Wtajemniczał mnie we wszystkie arkana ustępujący pisarz p. M. oraz p. P., zastępujący rządcę. Administrator znajdował się wtedy na urlopie, jaki sam sobie »wyrobił«, mówiąc nawiasem — miał to być człowiek mocno niedelikatny, ustępował chyba w tem p. dziedzic.

Aby pisać o wszystkim co przechodziłem tam w D., stworzyła by się dość gruba książka. A spostrzeżeń, muszę przyznać, poczzy-

niem bardzo dużo. Poznałem przedewszystkiem życie folwarczne, które dotychczas znałem z opowiadań.

Majątek D. miał ziemi 60 wł. i to pszenno-buraczanej. Na głowie pisarza oprócz trzech spichrzów i pilnowania porządku w podwórzu, nie licząc 12 książek, był jeszcze »magazyn«, z którego ślusarzowi od lokomobili trzeba było wydawać potrzebne przedmioty, zapisując to w księdze magazynowej, tak samo jak się wydawało kuźni i stelmachowi, nie wyłączając szofera i gorzelni. Ta ostatnia też miała swoje zapotrzebowanie w magazynie. Jak się dowiedziałem od p. pisarza M., to kto chciał rzetelnie pracować w tych warunkach, to wieczorem był niezdolny do żadnej pracy, z powodu ciągłej bieżaniny, zaś o prowadzeniu książek, oho, mówił p. M., będziesz pan wypisywał po nocy.

Chodziłem spać o 10-ej. Jeśli bym wykonywał pracę kancelaryjną, to musiałbym się kłaść spać o 12-tej, albo jeszcze później.

Porównywałem warunki folwarczne z warunkami fabryki, w której pracowałem 8 godzin na dobę i zdawało mi się, że praca na folwarku w takich »dzikich« warunkach jest niemożliwością.

Ścisnąłem zęby i trwałem. Do czego człowiek się nie przyzwyczai. Ciekawy jestem, czy ja się przyzwyczaję? — myślałem.

Zrobiłem źle, że mając pracę w mieście udałem się na wieś. Były jednak ku temu powody. Skończyłem szkołę rolniczą i musiałem znosić kpiny z tego tytułu, nawet bezrobotnych czy »robotnych« — moich kolegów i znajomych. Warunki proponowane przez p. właściciela przedstawiały dla mnie widoki lepsze, dawały mi »s a m o d z i e l n o ś ć«. Że próbę wytrzymam, byłem pewny. Albo rzucić D., albo rzucić fabrykę. Rzuciłem fabrykę, podziękowawszy w grzecznej formie mojemu majstrowi. Okazało się jednak, że próby nie wytrzymałem, lecz nie dlatego że byłem niezdolny, ale dlatego, że byłem narazie inteligentnym proletariuszem. Za mało posiadałem chamstwa aby skurwić, zmieszać z błotem głupszego odemnie, ale podwładnego i nie mniej uczciwego najmitę, i to scholerować w ohydnych słowach, w obecności p. dziedzica — osoby bądź, co bądź — mającej pretensje do inteligencji...

Nie będę opisywał szczegółów. Za mało »skrzyczałem« fornała, który konia batem uderzył. Fornala musiała skrzyczeć sama p. dziedziczka — (zachodzi pytanie, dlaczego wobec tego pozwolono fornałom baty nosić, jeśli tymi batami nie wolno im bić konia).

Moment ten wystarczył, abym zdał egzamin na nienadającego się na stanowisko pisarza. Byłem zaledwie 6 dni, a zdawało mi się, że przebyłem conajmniej 6 długich tygodni.

Zostałem zohydzony przez p. dziedziczkę. Ubliżyła mi wobec służby folwarcznej. Nie miałem tam nic do roboty. Gdybym nie był uczciwy (tchórzliwy może) odebrałbym bat od fornała i tym batem oćwiczyłbym kobietę, która ma więcej wyrozumienia dla konia, niż dla człowieka, jeśli bym jej odrazu nie zabił..

Zaczyna się nowy okres w moim życiu. Gdybym wyjawiał w domu, że z pracy w D. pozostał »guzik«, kto wie jaką burzę rozpętałbym w domu. Nie chciałem zawieść matki... nie chciałem jej zabić... kłamałem.

Staję na komisji, dostaję z powodu felernego oka kat. D. i 1-ego lipca, wyruszam w świat zdobywać życie, zdobywać niezależność... śmiech dla wróbli... a jednak tak było.

Tułałem się po wsi przeszło dwa miesiące. Ten czas i przejścia wymagałyby osobnego pamiętnika. Koniec końców przygotowałem rodziców do wieści hjobowej i w połowie września wróciłem do Łodzi zmizerowany i... prawie odarty, bez grosza w kieszeni. Ot jak syn marnotrawny, który po nikim nieodziedziczył spadku.

Zbliżam się ku końcowi opowiadania. Pozostały mi do opisanie niecałe cztery miesiące pobytu mego w Łodzi, i wegetacja rodziny, z którą mimo swej pełnoletności krążę jak ziemia wraz z księżycem — naokoło słońca, tylko, że my krążymy naokoło niezaradności społeczeństwa, której wynikiem jest kryzys i to, że ja i tysiące moich rówieśników — przechodzimy gehennę życia.

Może ktoś spytać, dlaczego nie poszedłem z powrotem do fabryki? oczywiście, ale w fabryce gdy odszedłem — to się ucieszyli tylko — zaś teraz administracja przystąpiła do redukcji robotników i zmniejszenia ilości dni pracy. Wobec takiego dziwnego pogmatwania, zostałem niby bezrobotnym — ale bez kwalifikacji na zapomogę (nawet doraźną), bo w D. nie byłem ubezpieczony w P.U.P.P. a przecież tym, którzy nie chcą pracować zapomogi się nie udziela.

Słowem zaczęło być coraz gorzej. W ostatnich miesiącach bezrobocie ogromnie wzrosło. O tem, aby pracę w obecnych wa-

runkach otrzymać jest nonsensem. Kto sądzi inaczej jest zdolnym, aby go nazwać głupcem. Ojciec przynosił tygodniowo 15 zł., matka przynosiła 10 zł., a czasem nic. Cztery tygodniówki jej się teraz należą. Całą swą złość zostawia na otoczeniu (jest nerwowa), albo uskarża się na czasy i płacze — bo nie chce nawet starczyć na najprymitywniejsze potrzeby, ale matka ma serce dobre. My jak, jak my, powtarza, ale tacy L. albo S. albo J. i ci wszyscy gdy nikt w rodzinie nie pracuje i zapomogi nie bierze? I zastanawia się. Oj, nędza, bo nędza, skarży się przed nami. Dzisiaj już ośmiu dziadków było, i to jeszcze młodzi ludzie. Człowiek przed nimi drzwi zamyka, bo się wstydy im odmówić... I to tak dzień w dzień. Matka moja ma dobre serce.

Zbliżam się w opowiadaniu ku końcowi. Zdawałoby się, że już wszystko powiedziałem. Tymczasem te trzy miesiące, to dopiero okres, który powinien być objęty »Pamiętnikiem bezrobotnego«. Jest to okres najkrótszy, w mem życiu, bo jeszcze nie skończony, ale najwięcej uciążliwy, i »niecierpliwym«. A przecież ludzie pozostający przez dłuższy czas w najohydniejszych nawet warunkach, przyzwyczajają się do nich, zamiast z każdym dniem gorszym buntować się, powinni znosić krzyżyki, jak udomowione zwierzęta.

Och, jakże ci ludzie byliby szczęśliwi, gdyby byli tak głupi, jak ich przodkowie z przed 200 lat. Przecież dziś ich warunki życiowe są znośniejsze niż tych, co żyli przed dwoma wiekami. Niestety, ale nikt nie umie zgnieść, wyrzucić ze świadomości, z mózgów naszych, nikt nie umie wyrzucić tego, co my młodzi zdobyliśmy w szkole, czego nas robotników nauczyło życie. Nikt nie umie zakryć przed naszymi oczami — nierówności materialnej i tego, że jesteśmy zdolni do pracy — tylko tej pracy nigdzie — nigdzie dostać nie możemy. Jesteśmy młodzi... Jest nas tysiące. Bo tysiące kończy szkoły powszechne, średnie i zawodowe. Zaledwie śmieszny odsetek dostaje zajęcie, na jakie oburza się prostak*), a cóż ma powiedzieć ten, którego nauczono myśleć innemi

*) Ci młodzi legendę o nierówności potrzeb między poszczególnymi klasami społeczeństwa — rozwijają. Zresztą, potrzeby robotnika, nawet »prostaka« mieszkającego w mieście dorównują potrzebom najczęściej »inteligentnemu pracownikowi«. Przykładem i dowodem niech będzie fakt, że robotnicy, którzy stali się pracownikami w Magistracie, czy Kasie Chorych nie narzekają na to, że mają dużo pieniędzy, że nie wiedzą co z nimi robić, ale tak samo, jak ci z urodzenia urzędnicy narzekają, że wciąż zarabiają za mało. A co ma powiedzieć robotnik, który i połowia tego nie zarabia.

kategorjami, w którego wpojono zasadę inteligenta (jeśli chodził do szkoły średniej lub zawodowej).

O! bo tych ludzi żaden urząd nie zarejestruje, jako bezrobotnych. Tych, którzy kiedyś byli dziećmi, dziś gdy dojrżeli traktuje się jak dzieci i pracy dla nich niema, bo starych za dużo do pracy, starych się jeszcze redukuje i jeszcze nie rejestruje jako bezrobotnych. Co za ironja!...

Wszyscy moi rówieśnicy, zdolni do pracy, lecz dlatego, że chodzili do szkoły, dziś są jeszcze dziećmi, zaś społeczeństwo wyparło się ich; społeczeństwo nie chce o nich wiedzieć, nie chce wiedzieć, że to są bezrobotni, że to jest »kwiat« przyszłego pokolenia (społeczeństwa). Społeczeństwo widzi w nich takich samych sztubaków, takich samych »smarkaczy«, jakimi byli przed 7-5 laty.

Ból głodu, pragnienie, ból fizyczny, wygląd anemiczny, wszystkie cierpienia ciała — to jeszcze zabawka, kiedy człowiek zaczyna cierpieć duchowo *).

Nadszedł grudzień i zbliżyły się święta Bożego Narodzenia. Dziwne te święta. Nikt się do nich nie przygotowywał, jak to bywało w innych latach, bo i jakże wyprawiać ucztę wigilijną, gdy ojciec został zredukowany na same święta. Powód prosty. Nie ma zamówień i fabryka stanęła na cały miesiąc. Pracował przedtem na trzy dni, to też przyniósł na same święta 17 zł., zaś matka, której się z fabryki należy za cztery tygodnie, otrzymała zaledwie 20 zł. Jeżeli się weźmie pod uwagę, że ojciec dopiero po dziesięciu dniach będzie otrzymywał zapomogę, która napewno nie przekroczy 12 zł. na tydzień, zaś matka żadnej gwarancji dać nie może — iż za tydzień otrzyma pieniądze — albowiem z ogromnych zakładów Geyrowskich uruchomiona jest zaledwie nieznaczna część zakładów i moja matka chociaż chora, cudem się została w pracy — to zrozumieemy, że z temi 37 złotemi, trzeba dobrze operować, aby wytrzymać do Trzech Króli (i nawet dłużej). Jeżeli się weźmie jeszcze pod uwagę, że mleczarce należy się za dwa tygodnie (bierzemy dziennie pół litra, litr kosztuje 40 gr.), jeżeli zauważymy, że mleko jest konieczne, bo tak ojciec, jak i matka pracują w tak wielkim kurzu, że picie jaknajwięcej mleka i jedzenie nabiału jest koniecznością. Jeżeli zauważymy, że w spółdzielni, której jesteśmy członkiem (Łódzka spółdzielnia spożywców), — matka winna jest 6 zł.

*) Poborowi wychodzący z wojska nie mają pracy, mimo, że do wojska szli prosto z pracy.

z groszami, i to że piekarzowi należy się za 2 tygodnie, przekonamy się, jakie trzeba mieć nerwy stalowe, aby za 37 zł. utrzymać rodzinę.

Naszem pożywieniem codziennem jest chleb i ziemniaki. Chleba »wychodzi« conajmniej dwa kila na dzień. Dwa kilo chleba kosztuje 90 groszy, a przecież trzeba i węgla i nafty, bo chociaż możemy zaciągnąć światło elektryczne, to niema na to pieniędzy. Co tydzień wychodzi litr nafty, który kosztuje 55 gr. Jeślibyśmy nie zapłacili za izdebkę o jednym oknie i o wymiarach $3\frac{1}{2}$ na 7 — i pomnożone przez wysokość $3\frac{1}{2}$ metra — grozi nam eksmisja. Dom stary dwupiętrowy, murowany, lecz co kwartał trzeba koniecznie szykować 32 zł. W innym wypadku gospodarz grozi komornikiem. Prawdopodobnie ojciec będzie w wielkim kłopotcie, gdyż na 1-go stycznia będzie musiał mimo chęci odmówić zapłacenia komornego. A czy to już wszystkie potrzeby?

Tak to najważniejsze. Bo aby kupić cukru do herbaty i kawy, będzie się to nazywało luksusem. Większym jeszcze luksusem jest pójście do kina, niemożliwością jest pójść do teatru, niepodobieństwem zainstalowanie radja.

Mój ojciec w swym życiu był zaledwie raz w kinie, moja matka raz. Natomiast co do teatru, to tylko obok niego przechodzili. A przecież potrzeby robotnika mało się różnią od potrzeb tego, który zarabia 600 złotych miesięcznie — a nawet dziennie i który jeszcze narzeka, że ma za mało. A co ma powiedzieć ten, który nigdzie nie pracuje, ani nikt w rodzinie?

Wprawdzie istnieje ubezpieczenie na wypadek bezrobocia, wprawdzie zawiązały się komitety dla najbiedniejszych, lecz wszystko to są kpiny, bo nawet krowa morzona przez głupiego gospodarza czuje się lepiej niż człowiek, dla którego nic już na świecie nie istnieje — oprócz prawa do korzystania z dobrego serca członków Komitetu, członków, którzy napewno jeszcze nigdy nie byli głodni i którzy jeszcze nigdy nie jedli zgniłego mięsa, jakie gotują w kuchniach komitetów dla tych »szczęśliwców« chodzących po »fifkę« w łachmanach Łazarza.

Mam »szczęście« zamieszkiwania w dzielnicy nie tyle robotniczej, ile — w dzielnicy bezrobotnych. Dla przykładu i jako dowód, że tak jest, podaję statystykę, zamieszkujących w domu, którego jestem mieszkańcem.

Tablica ilustrująca stan materialny lokatorów domu Nr. 10 przy ulicy * * * w Łodzi.

Jest 15 oddzielnych mieszkań czyli gospodarstw.	L. p.	Razem	Bezrobotnych	Pracujących	Półbezrobotnych	Dzieci	Mężczyzn	Mężczyzn zdolnych zawrzeć związek małż.	U W A G I
	1	2	3	4	5	6	7	8	9
	1	5	4	—	1	—	3	2	Pracuje kobieta w fabryce
	2	3	2	—	1	—	2	1	
	3	4	3	—	—	1	1	—	Pracuje żona w fabryce
	4	3	1	1	—	1	2	—	
	5	3	—	—	3	—	2	1	
	6	5	2	—	2	1	3	1	Pracuje żona w fabryce
	7	3	1	—	1	1	1	—	
	8	5	2	—	1	2	3	—	
	9	3	1	—	1	1	2	—	
	10	7	4	1	—	2	3	1	
	11	2	1	1	—	—	1	1	Wdowa, utrzym. się z sublokatorów
	12	3	2	1	—	—	1	—	
	13	1	—	—	1	—	—	—	
	14	3	—	3	—	—	2	2	
	15	4	1	1	—	2	2	—	
		54	24	8	11	11	28	9	

Wyjaśnienia do tablicy

Półbezrobotni to ci, którzy pracują, ale mniej niż 4 dni w tygodniu. Rubryka 7-ma — mężczyźni, reszta kobiety, ale w sensie: mężczyźni i chłopcy, kobiety i dziewczynki. Rubryka 8-ma są to mężczyźni, którzy przekroczyli rok 21 i nie skończyli jeszcze 30-go. Są to ludzie, którzy w czasach lepszej konjunktury nigdy nie pozostawali w stanie »bezmażeńskim«.

Przyjrzyjmy się cyfrom:

Na 54 mieszkańców, w tem 43 osób wyżej lat 18, jest zaledwie 8 pracujących i 11 półbezrobotnych, co razem wynosi 19. Przeciwstawmy tę liczbę 24 bezrobotnych, a przekonamy się jaki jest % bezrobotnych (około 57%).

Może ktoś pomyśleć, że dom ten to wyjątek. Może, ale tych

wyjątków w tej okolicy jest bardzo dużo. Ilu z tych bezrobotnych bierze zasiłki? Nie wiem. Wiem, że są tacy, którzy żyją z dobrego serca lokatorów, którzy otrzymują jedzenie z Komitetu Parafjalnego, są tacy, którzy już po parę lat są bezrobotnymi, są tacy, którzy jeszcze zapomogi biorą i jest taki »wypadek« jak ja, który ani zapomogi nie bierze, który patrzy na wszystko co się dzieje, widzi cierpienia matki, widzi jej łzy i żyje jako pasożyt, bo nie pracuje i żyje... żyje kosztem innych... i to jest właśnie największe cierpienie jego...

Borgowanie jest często praktyczne, lecz między ludźmi znajdują się typy »mocno« indywidualne którzy budują sobie własną etykę. Takie typy borgowały w jednym sklepie, potem w innym, później przysła redukcja, a później żaden sklep już takim nie chciał borgować,

Trzeba jednak podkreślić, że borgi są zasadnicze w rodzinie robotniczej o niestałych dochodach a nawet o stałych — zjawiskiem szkodliwym. Dla ekonomisty jest to powód do twierdzenia, że robotnicy zarabiają niżej kosztów utrzymania; w innym wypadku nigdyby nie borgowali.

Muszę powiedzieć, że najgorzej wychodzą ci, którzy zadali się w borgi. Zdarza się jednak często, że inaczej nie można — trzeba zborgować.

Kwestja borgowania zależy od zawierzenia sklepikarza. Jednemu borguje do 10 zł. innemu nawet do 20 zł. Zdarzają się dość częste »wyjątki«, które winny są sklepom setki złotych.

Życie, życie bezrobotnego, śmiech pustego żołądka, śmiech szaleńca, który ma jutro z głodu skonać, lecz dziś się śmieje dlatego, że jego dzieci będą miały w przyszłości lepiej...

Och te dzieci!

Pytacie, jak dzieci bezrobotnego wyglądają?

Spytajcie lekarza. Niech Wam powie, czy dziecko, które nie otrzyma wymaganych składników w pokarmach i wymaganych pokarmów, będzie zdrowo wyglądać? Czy z tych istot wyrosną mocne organizmy? Czy nie należy się obawiać, że ze zwyrodnieniem ciała nastąpi i zwyrodnienie przekonań i etyki? Chyba, że prawda zawarta w haśle: »W zdrowem ciele zdrowy duch« należy do kabały.

Bieda, nędza i coraz większe zubożenie. Można powiedzieć, że już nie sama nędza, ale nędza nędzy przeradza się w jeszcze większą nędzę.

W domu, gdzie mieszkam jest »tylko« 9 samych mężczyzn (nie licząc kobiet), którzy skończyli 21 rok życia, ukończyli wojsko, są zdolni do zawierania małżeństw, a przecież żyją w celibacie, bo są bezrobotnymi. Czy ci, którzy są u steru Państwa wiedzą o tem? Czy czasem statystyka, mówiąca ciągle »o największym przyroście naturalnym w Polsce« nie wprowadza zainteresowanych w błąd? Jeśli porównamy stan mieszkań i liczebność potomstwa u młodych małżeństw robotniczych (»inteligencja« i rolnicy mogą być również porównani w tym przykładzie), napewno zauważymy, że kryzys gospodarczy kładzie tu swą bezlitosną rękę.

Gdybym był idealistą — wołałbym: — Dajcie im pracę, już nie mnie, ale im.

— Dajcie nam pracę, dajcie nam żyć!

Gdybym należał do ludzi pobożnych, bóle i troski powierzyłbym Bogu i wierzyłbym, że Bóg litościwy — co mówię — sprawiedliwy nie ścierpi tego stanu dłużej. Ale pytam, kto w tych czasach jest pobożny? Kto jest tak silnej woli, aby za krzywdy i »krzyże« wołał, że jest zadowolony, aby wierzył, że Bóg sprawiedliwy może tolerować niesprawiedliwość.

Nie wierzę w idealistyczne rozwiązanie nędzy; nie wierzę w kompromis, jak nie wierzy każdy świadomy robotnik*).

Przepaść, jaka się wytworzyła między fabrykantem a robotnikiem jest ogromna.

»Ten, kto ma pieniądze, ten ma siłę, bo ma prawo za sobą« — tak mówią robotnicy.

Nie opisuję niżki płac, walki o godziny nadliczbowe i podłości tych, którzy powinni mieć w sobie nieco zastanowienia już nie chrześcijańskiego, ale wyrozumienia kulturalnego człowieka. Opisywanie tego zajęłoby za dużo miejsca.

W zakończeniu chcę podkreślić to, o czem już mówiłem. Chociaż ja sam jestem psychicznie nędzarzem i cierpiętnikiem, o tyle mój stan materialny jest jeszcze »możliwy« (jeśli to na ironję nie wygląda), bo mimo swej dojrzałości i pełnoletności i świadomości obywatelskiej jestem utrzymywany przez schorowanych rodziców, którzy sobie od ust odejmują, byle mnie wyżywić.

Jedynym pocieszeniem jest to, że nie jestem w takim poło-

*) Różnica uposażeń robotnika na Śląsku a w Łodzi i Białymstoku.

żeniu sam. W innym razie skończyłbym ze sobą, bo patrzenia na to zmaganie o istnienie nerwy człowieka nie zniosą.

Czasy obecne przypominają okres wojny światowej, kiedy produkcja została wstrzymana, kiedy ludzie nawet jeść nie mieli, bo rzeczywiście dla wszystkich nie starczyło. Sprzedawali garderobę, kosztowności i meble. Dziś, kiedy wszystkiego jest pod dostatkiem, bo z jednej strony zboże gnije (zagranicą się nawet spala), kiedy u piekarza chleb leży całymi dniami na półkach, kiedy magazyny na Piotrkowskiej są w aureorze reklamy świetlnej, pokazują wszystkim przepych i ilość manufaktury, o tyle z drugiej strony na tej samej Piotrkowskiej spotyka się kategorie żebraków, spotyka się nagich i głodnych, spotyka się kobiety w 40 roku życia w dziurawym, zaflejtuszonym i śmierdzącym »ubranium«, przez które zimą prześwita nagie ciało i zaczepiają w śródmieściu, jakoby prostytutki lepiej ubranych. Nikt nie wierzy, aby te kobiety w podartych »łapciach«, często bose »udawały«. Nikt w to nie uwierzy, bo nawet ulica zobojętniała w stosunku do tych chodzących trupów.

Ci ludzie (podobni do trupów) zapewne już wszystko sprzedali co mieli... sprzedali zapewne za bezcen, bo kto dziś kupi od nędzarza ruchomość? Klejnotów niema, meble najwyżej na ogień; ubranie? Nędzarcz więcej niema ubrań niż to, w którym chodzi. Robotnik ma ich więcej, lecz i on zamienia się błyskawicznie w nędzarza, bo dziś nawet i on ubrania na święto kupić nie może.

Ach! Gdybyście widzieli, co to jest sprzedawać swoje ruchomości? Właściciele tych skarbów pilnują ich jak oka w głowie, nawet mocniej. Z chwilą gdy przystępują do sprzedawania, do zastawiania, przypominają sobie okropności wojny. A przecież teraz wojny niema.

Gorzej jest niż w wojnę — mówi mi bezrobotny szukający bezskutecznie już przez dwa lata pracy — bo w czasie wojny był ruch, była wojna, można było sobie jakoś poradzić. Dziś nic. Ludzie są mądrzejsi, delikatniejsi, wstydliwsi i jednocześnie ordynarni i kanalje. Dziś nie wypada nic innego robić, jak kraść!

To nie są moje słowa, choć je słyszę dookoła... Nie chcę za nie brać odpowiedzialności. Co do mnie, gdy przyjdzie moment załamania się równowagi rodzinnej, jaka się w tym miesiącu ostatnio unormowała, nie wierzę, ale wiem, że przyszła równowaga będzie niższa, którą... czy wytrzymam?

Zapewne, przyjdzie moment, że dalej już cierpieć nie będę mógł! Zamienię się w zwierzę o mózgu z pewną inteligencją,

w zwierzę, które będzie i mordowało i się pastwiło... aż mu głowę
utną, albo — aż się samo przebudzi.

Nie przerażam się tej chwili, bo wiem, że takim zwierzę-
ciem nie sam będę. Będą niem wszyscy ci, którzy dziś dojrzeli,
lecz traktowani przez Państwo jak dzieciaki-smarkacze niekiedy.

Nędzarze nie mają nic do stracenia, prócz nędzy!!

Łódź, dn. 30 grudnia 1931 r.

Tkacz
zamieszkały w Łodzi

BEZROBOTNY

Bezrobotny urodził się 15 grudnia 1896 r. w Lipnie plockiem, z ojca Władysława i matki Stanisławy. Jedyna pamięć po Stanisławie u Bezrobotnego, to moment w Bobrownikach: konająca matka ostatnim wysiłkiem woli, mętnym wzrokiem ogarnia swój gasnący dla siebie świat, męża i czworo małych, z których najstarszy Bezrobotny liczył lat 6. Po śmierci Stanisławy Władysław, wdowiec lat dwadzieścia parę, jako bezrobotny stelmach, zapakował dzieciarnię na wóz i pojechał do Włocławka, gdzie wynajął mieszkanie dając rubla zadatku (odstępnego wówczas nie było), a na drugi dzień po śniadaniu Władysław zamknął mieszkanie na klucz i poszedł szukać roboty, co niedługo trwało, gdyż dostał pracę tego samego dnia u p. A. Od tego dnia codziennie Władysław wstawał rano, mył, ubierał i karmił dzieciaki i pozostawiając na opiece Bezrobotnego, szedł do pracy, przychodził na obiad, karmił i do roboty i tak codziennie. Po pewnym czasie dwoje najmłodszych umarło. Pozostał Bezrobotny i siostra Wacława o dwa lata młodszą od niego. Władysławowi, mimo żalu po bliźniętach, zrobiło się trochę łatwiej, pracował nadal u p. A., przynosił co sobota tygodniówkę i był ze swego losu zadowolony, gdyż na zmartwienie czasu nie miał. Pracował tak przez rok i drugi, aż tu pewnej soboty stało się coś strasznego. Władysław przyszedł z roboty zgorzkniały i nie przyniósł »krokodyla« (tak Władysław nazywał czarne od rzeźnika). Władysław stracił pracę, bo p. A. nie miał zamówień na brzycki i wozy. Na drugi dzień po nieszczęśliwej sobocie i nieprzespanej nocy, Władysław wybrał się w trzymilową podróż do Kikoła, do brata swego Bronisława, też stelmacha, mającego własny warsztat. Tego samego dnia ucieszony Władysław był z powrotem we Wł-

clawku, a na drugi dzień na wynajętej furmance jechał z synem i córką i pierzyną, łóżkiem, stołem i krzesłem do Kikoła. Bezrobotny miał frajdę nielada, jechał przecież wozem przez most wysoko nad Wisłą i w historii Bezrobotnego miało to większe znaczenie aniżeli przeprawa Napoleona przez Berezynę. W Kikole Władysław pracował ze stryjem Bronisławem w warsztacie, a Bezrobotnym i jego siostrą zaopiekowała się stryjna. Teraz Władysław przyszedł do równowagi, gdyż odpadł od niego trud bezpośredniej opieki dzieciaków. Bezrobotny także poczuł większą swobodę, gdyż odpadło zamykanie na klucz, chodził do jeziora na »peskłanie« i do bliskiego lasu na »glapy«, które można było chwycić rękami całymi setkami, gdyż nie miały siły fruwać po stoczonych walce o gniazda ze swymi siostrami u góry i które w setkach tysięcy zimą i latem robiły nieopisany szum tak głośny, że dwóch ludzi w tym lesie stojących obok, nie mogło się słownie porozumieć między sobą.

Władysław z Bronisławem toczyli piasty, strugali szprychy, wyrzynali dzwona, robili koła, wozy i bryczki, przyczem kręcił się i Bezrobotny, kręcąc tokarnię i maczając kropaczką nagrzewające się skręta.

Władysław często w czasie pracy w takt zgrzytu piły wyśpiewywał »Mazura«, czemu z wielką uwagą przesłuchiwał się Bezrobotny podziwiając jak Mazur bije wszystkie rekordy, nie wyłączając bata. Życie w Kikole szło swym normalnym rozwojowo-systematycznym trybem, lecz zdarzyło się coś, co ten normalny stan zakłóciło. Wybuchła wojna rosyjsko-japońska, Bronisław został, jak wielu innych, wcielony do wojska i wysłany na Daleki Wschód. Na Bezrobotnym wojna zrobiła upiorne wrażenie, z trwogą i zaciekawieniem obserwował ruchliwych kozaków, uwijających się po Kikole i zapasowych umieszczonych na podwodach i wrzaski żon i dzieci zabieranych mężów i ojców. Podczas nieobecności Bronisława, warsztatem i interesami kierował Władysław. Po skończonej wojnie Bronisław powrócił do Kikoła, wkrótce potem nastąpiła śmierć stryjki, zastój w interesie i Władysław zaczął szukać pracy. Po dłuższym poszukiwaniu Władysław zgodził się za stelmacha na ordynarję do majątku ziemskiego Sosnowa. Do Kikoła przyjechał w cztery konie drabiniastym wozem tęgi mazur, »pękając« siarczyscie z bata. Po zapakowaniu dobytku i po popasie »zębali« mazur po przez pola i lasy powiózł Władysława do nowej Ziemi Obiecanej — Sosnowa. W Sosnowie Władysław zagospodarował się nieźle, hodował kury i kaczki, zaprowadził pod oknem

ogródek z kwiatami i warzywem, a w niedzielę i święta chodził do pobliskiego lasu na grzyby lub jagody, a pomagali mu w tem wszystkim Bezrobotny i jego siostra. W Sosnowie życie trójcy płynęło spokojnie, bezpośrednio związane z pięknem natury. Czas przebyty w Sosnowie najbardziej utkwiał w pamięci Bezrobotnego, mimo, iż nic tam ważnego w jego życiu nie zaszło. Po dwuletniej łąrowce w Sosnowie, Władysław zgodził się z większą pensją do majątku ziemskiego z browarem — Głodowa. Tutaj Władysław wysłał Bezrobotnego do szkoły do wsi Czarne, odległej 6 klm. od Głodowa. Bezrobotny został przyjęty odrazu do drugiego oddziału, gdyż tabliczki mnożenia, czytać, pisać po polsku i rosyjsku wyuczył go Władysław sam.

W Głodowie Władysław poznał niejaką pannę Zofję, córkę miejscowego ogrodnika, z którą ożenił się. Pożycie ich nie było szczęśliwe i dochodziło bardzo często do awantur na tle religijnem. Władysław był antyklerykałem i nienawidził papieża za to że zgodził się na rozbiór Polski w odróżnieniu od turka, który podobno na to się nie zgodził, Zofja zaś była zabobonnie religijna i często chodziła do spowiedzi, na której poruszane bywały sprawy męża bezbożnika i Bezrobotnego, który w żaden sposób z pierwszym spowiednikiem nie mógł przyjść do porozumienia i na tem nieporozumieniu skończył się jego stosunek z mężczyznami w sukniach. Poza tem Zofja sprzeciwiała się posyłaniu Bezrobotnego do szkoły, widocznie w interesie często odwiedzanego spowiednika. Władysław zaś był za oświatą i ciągle biadał nad ciemnotą ludu polskiego.

Na dobitkę tego umarł teść Władysława, a teściowa przeniosła się do zięcia. W domu Władysława zakotłowało się, z jednej strony teściowa, a z drugiej macocha, młot i kowadło. Rezultat z tego taki, że siostra Bezrobotnego musi uchodzić do cioci w Wy-myślinie, skąd po pewnym czasie wyemigruje do Ameryki, a Bezrobotny cierpiąc dalej pasał gęsi, oprzątał świnię, skrobał kartofle, otrzymując często guzania, jak nie od macochy, to od babci-teściowej.

Po trzyletniej służbie w Głodowie, Władysław mając na widoku Bezrobotnego, przeniósł się do Lipna, miasta powiatowego, gdzie pracował za czeladnika u pana B., a później założył własny warsztat. Bezrobotny zaczął tutaj uczęszczać do dwuklasowej realnej szkoły miejskiej, którą ukończył. Władysław nosił się z zamiarem alokowania Bezrobotnego w seminarjum nauczycielskiem w Wy-

myślinie i w tej sprawie były już pertraktacje z ciocią, u której Bezrobotny miał się stołować, lecz zamiary te zostały rozbite młotem na kowadle. W Lipnie Władysław nie mógł także długo zagrzezać, gdyż jego połowica nie lubiła miasta i czyniła mu wyrzuty, że zachciało mu się lekkiego chleba i że taki bizun bąki zbija po mieście mimo, że Bezrobotny po lekcjach pomagał Władysławowi w warsztatacie piłą i toporem. Nic nie pomogło, Władysław w końcu uległ i zgodził się do majątku ziemskiego Karnkowo. Tu Władysław rad nie rad, rezygnując z wszelkich planów co do Bezrobotnego, zaprzągnął go razem z sobą do warsztatu, a roboty było dużo, gdyż Karnkowo prócz wielkich obszarów rolnych, miało jeszcze gorzelnie i rektyfikacje. W Karnkowie Bezrobotny zmęźniał i nabrał trochę powagi w odniesieniu do macochy, ale spokoju jednak nie było. Za ciężką pracę Bezrobotnego nie chciała kupić nawet skromnego ubrania. Razu pewnego Władysław chcąc zachęcić Bezrobotnego do pracy kupił mu boksowe buty z cholewami i z tego powodu były wielkie awantury, które ciągnęły się póki się buty nie podarły. Drugim takim objektem sporu były łyżwy, które ostatecznie macocha odsprzedła.

Po dwuletniej służbie w Karnkowie, Władysław wskutek złej opinii na plebanji stracił pracę. Te wszystkie przeżycia zmęczyły Władysława do ostatnich granic. Postanowił więc zaniechać rzemiosła, a wziąć się za rolnictwo. W tym celu nabył w dzierżawę dziesięciomorgową gospodarkę pod Chodorążkiem. Na gospodarce Władysławowi powodziło się nienajgorzej, gdyż i Bezrobotny zarabiał chodząc do różnych robót do zamożniejszych gospodarzy i do przyległego folwarku Chodorążek. Bezrobotny zaklimatyzował się tutaj nieźle, chodził w niedziele i święta na muzykę urządzaną przez gospodarskich synów i córki. Ba, Bezrobotny poczuł nawet sentyment do córki zamożniejszego gospodarza niejakiej p. Antosi i zyskał wzajemność, lecz intrygi rodzinne i sąsiedzkie rozbiły ich gorące zamiary. I nie wiadomo jakby ułożyły się losy Bezrobotnego, gdyby nie 14 sierpień 1914 r. Uzbrojony od stóp do głów, Niemiec jak taran uderzył wielką siłą na wschód i zachód, niosąc pożogę, śmierć i zniszczenie. Na Bezrobotnym keizerowski żołnierz zrobił ujemne wrażenie przez swoje butne i chamskie zachowanie się wobec spokojnej zamieszkującej od wieków swój własny kraj, ludności polskiej. Co gorsza, że ta sama buta wstąpiła i w miejscowych niemieckich kolonistów. Władysław i Bezrobotny z tymi bardziej agresywnymi kolonistami mieli częste zatargi. Raz nawet

podczas operacji wojennych przyszło czterech Niemców i chcieli Władysława zabrać, lecz ten w porę zdążył ulotnić się. Po kilku krótkich bitwach Rosjanie wycofali się z terenu zamieszkałego przez Bezrobotnego aż pod Raciąż, gdzie bitwy trwały przez parę miesięcy. Niemcy rozpoczęli budowę kolei wąskotorowej Lubicz-Raciąż, zatrudniając przy niej miejscową ludność, płacąc po 4 mk. dziennie i obiady. Było to wynagrodzenie na miejscowe stosunki b. dobre, to też po dwóch tygodniach obniżono na 2 mk. 50 fen. Bezrobotny, będąc bez pracy i bez grosza przy duszy, z niechęcią zgłosił się do roboty i został przyjęty.

W miarę postępu robót, robotnicy zostali skoszarowani, a bliżej frontu pozbawieni własnowolności i wypłaty zarobków aż do czasu doprowadzenia linii do Raciąży, gdzie odbywały się bezustanne walki.

Po wykończeniu linii, skutecznieniu wypłaty zarobków, Niemcy odstawili robotników gotową już kolejką do najbliższych stacji miejsc zamieszkania każdego z nich. Bezrobotny mając kupę forsy powracał po paromiesięcznej nieobecności do domu ciesząc się, że chociaż raz w życiu uda mu się źle usposobioną do siebie macochę przychylić ku sobie i rzeczywiście, przez pewien okres czasu Bezrobotnemu zdawało się, że dopiero co narodził się i ma prawdziwą rodzoną matkę, ale to było złudzenie, gdyż w krótkim czasie wszystko było po dawnemu. Od tego czasu Bezrobotny znienawidził macochę do ostatnich granic i tocząc walkę wewnętrzną, doszedł do wniosku, że w tym domu jest niepotrzebny, a nawet zawadą, postanowił więc opuścić go.

Pewnego dnia, nie mówiąc nic nikomu Bezrobotny wziął bochenek chleba i 5 mk. i wymknął się z domu. Po godzinie drogi był już w Lipnie, które przeszedł parę razy wzdłuż i wszerz, a zatrzymawszy się przed niedużym domkiem, w którym ujrzał po raz pierwszy głód i ludzki świat, co się nazywa »narodem idjotów«, zapuścił się w tak głęboką zadumę, że stracił świadomość bytu. Stan ten przerwał opasły Niemiec, prowadzący jakiegoś cywila (mówiono, że szpieg), skutego w kajdany.

W Lipnie Bezrobotny dowiedział się, że we Włocławku Niemcy budują most i potrzebują robotników. Nie namyślając się wiele, puścił się w dalszą podróż. Droga była uciążliwa, gdyż padał mokry śnieg i dał silny wiatr. Po trzygodzinnym marszu, Bezrobotny z tobołkiem pod pachą, zgłosił się do majstra żołnierza, prowadzącego budowę mostu, który skierował Bezrobotnego do pobliskiego

budynku nad Wisłą, gdzie został wciągnięty na jakąś listę, a wieczorem tego samego dnia wraz z innymi wysłany pociągiem do Torunia. W Toruniu całą grupę ulokowano w jakichś barakach i nie pozwolono wychodzić na miasto i jeść nie dano, a spać nie było na czym i pod czym. Po trzydniowym pobycie w tak wygodnym lokalu, zaczęli zgłaszać się pracodawcy, dyktując warunki: każdy godził się na nie, byle jaknajprędzej wydostać się z tej psiarni. Bezrobotnego zaangażował właściciel majątku Krackow'a p. Jordan. Po przybyciu do Krackow'a, Bezrobotny został zaprowadzony do stelmarni, gdzie majster będący na urlopie obznajmił go z obsługą elektrycznej piły taśmowej, heblarki i tokarki. Najgorsza sprawa była z językiem, ale i to pomału dało się opanować, tak, że w krótkim czasie Niemcy odnosili się do Bezrobotnego nieinaczej, jak Stelmachermajster. U Niemców do wszystkiego musi być majster. Pasie świnie Schweinemajster, pasie konie Pferdemeister, pasie owce Schäfermajster, ale zawsze majster.

Jedną z najgorszych rzeczy dla robotników z Polski we folwarku podczas wojny było odżywianie, gdyż każdy z osobna przygotowywać musiał zrana w swoim garnku potrawę i stawiać do wspólnej kuchni, gdzie specjalna kucharka wszystkie obiady gotowała razem, dostawiając i odstawiając każdy garnek z osobna, a takich garnków było 100 i więcej. A jakież to były potrawy? Kartofle, kartofelki i jeszcze raz kartofle do pół litra odciąganego mleka na osobę i dobę. Niektórzy dorabiali burakami cukrowymi i pastewnikami, które trzeba było kraść. Od takiego odżywiania ludzie dostawali duże kałduny i nadęte pyski, lecz cienkie i krzywe nogi, a na żebrach cymbalista wydobyłyby wszystkie melodie, jakie roznosiły się po wszystkich frontach w godzinę śmierci dziesiątek i setek ofiar wielkiego durnia-chama w pikellaubie Jego Eks. Wilhelma II, którego śladami, jak hjena za padliną idzie, drugi Cham Hitler.

Z Krackow'a Bezrobotny trzy razy próbował ucieczki, dwa razy do kraju, a raz do Berlina, lecz to nie udało się i dwa razy siedział w więzieniu po parę tygodni w Szczecinie, gdzie został poddany odpowiedniej próbie, gdyż Niemcy podejrzewali go o szpiegostwo, a raz złapany na stacji Eberswalde został przydzielony do fabryki amunicji, gdzie obtaczał główki granatów, lecz po dwóch tygodniach został pod eskortą odesłany do Krackow'a. Od tego czasu Bezrobotny nie próbował ucieczki, ale za to postanowił więcej nie głodować. Zbadawszy zamki spichlerza wdarł się do niego

pewnej nocy i woreczek grochu w stelmarni ładnie zamaskował, a co za pyszną grochówkę z tego gotował! Takich wypraw po groch było kilka, w miarę wyczerpywania się zapasu. Bezrobotny wdierał się po zdobycz bez żadnych śladów, gdyż starał się nie tylko otwierać, ale i otwarte zamykać. Drugim takim objektem zdobyczy były kury i jaja z dworskiego kurnika, a zginęło tych ptaszków kilkadziesiąt. Bezrobotny chcąc całą winę spędzić na kunę i tchórza, podrzucił nogi, skrzydła i pióra nie daleko kurnika. Gospodyni chcąc zabezpieczyć biedne ptaszki przychodziła do Bezrobotnego jako jedyne go fachowca, aby ten pozabijał dziury, któremi te szkodniki zakradały się. Bezrobotny starał się, aby wilk był syty i owca cała. Zabił jedną dziurę, a drugą zrobił i przy tej manipulacji także kurka lub kogucik poszedł na łono Abrahama. Trzecią generalną wyprawę zrobił sobie Bezrobotny do dworskiej wędzarni, tuż obok pałacu. Od dłuższego czasu zalatywał Bezrobotnego ten djabło nęcący zapach wędzonki, której nie jadł już od niepamiętnych czasów. Po odpowiednim przygotowaniu, z rutyną godną zawodowca, Bezrobotny ulokował trzy szyneczki na górze nad stelmarnią, między stopy szprych. Przy tej operacji Bezrobotny musiał się spieszyć i działać bardzo ostrożnie, gdyż co pół godziny koło wędzarni przechodził nocny dozorca z dość czujnym psem. Po miesiącu mniej więcej zjawiał się w Krakow'a żandarm i rozpoczął poszukiwanie za szynkami, lecz ku ogólnej uciechu obok stelmarni żandarm znalazł kurzy łeb od zjedzonej kury przez Bezrobotnego dnia poprzedniego. Ostateczny wynik tego śledztwa był taki, że wygląd Bezrobotnego zdawał się być podejrzany, gdyż buzia jak mała tak i duża miały wygląd wyśmienity.

Nastąpiła jesień 1918 r. Opasły niemiec wychudł zupełnie, rura mu zmiękła do niepoznania, zrobił się z niego grzeczny, uprzejmy i inteligentny klient, wymigujący się od rewizyty w Berlinie. W listopadzie 1918 r. Niemcy wysłali wraz z Bezrobotnym tych wszystkich robotników, którzy przybyli do nich w czasie wojny.

Po przybyciu do Polski Bezrobotny wstąpił do P.O.W. we Włocławku, gdzie zaczęto tworzyć 31 pułk piechoty. Bezrobotnemu⁷ ogromnie zaimponowało przyjacielskie i demokratyczne współżycie żołnierzy wszystkich szarż, zwracanie się oficera do żołnierza przez »obywatelu« i odwrotnie. Było coś, co dowodziło prawdziwości budowania Polski demokratycznej, lecz to długo nie trwało, do armii zaczęto wprowadzać służbowe i towarzyskie formy arystokratyczne. Z tego powodu dała się odczuć niechęć i stygnięcie zapału społecz-

nego u żołnierzy, chłopów i robotników. To było pierwsze głupstwo, które trzeba było wcale nie wprowadzać, aby nie było czego znoś. Robieniem takich głupstw bawimy się już 13 lat, przelewanie z pustego w próżne, niemówienie o tem, o czem trzeba wrzeszczeć na całe gardło i robienie wszystkiego za późno. Już mieliśmy 13 szumnych obchodów Konstytucji 3 Maja, która była za późno, ale posługujemy się carskim kodeksem, interpretując go aż do obrzydliwości. Na wszystkie wartości społeczne, które zaczęły się wykluczać po odzyskaniu Niepodległości Polskiej, zaczęto dmuchać, pluć, ośmieszać, prowokować i sprzedawać za własne pieniądze obcym wrogim naszemu społeczeństwu giełdźiarzom i psubratom. Dziś narzeka się, że społeczeństwo śpi, że jest w apatii i rezygnacji. Tak jest, społeczeństwo czeka na »cara oswobodziciela«.

Wy, którzy jesteście odpowiedzialni za zgwałcenie 13-letniej dziewczicy, wylejcie sobie na łby kubły zimnej wiślanej wody, abyście otrzeźwieli i zmyli wasze dzisiejsze arystokratyczne miny i zrewanżujecie się, gdyż niedługo, może być po raz ostatni »za późno«.

Po parotygodniowym przeszkoleniu, Bezrobotny wraz z całym 31 p.p. wyjechał w styczniu 1919 r. na partyzancki front wołyński, z którego po paromiesięcznym pobycie, wskutek ciężkiego przeziębienia, przesłany został do kompanji zapasowej. Po pewnym czasie 31 p.p. przeniesiono do Łodzi, a tu Bezrobotny został przeniesiony do 10 p.art.pol. i z którym wiosną 1920 r. wyjechał na front bolszewicki.

Wojna bolszewicka, czy rosyjsko-polska była to farsa marnego gatunku poważnej i wielkiej tragedji i te wszystkie hasła anty-rewolucyjne, niepodległościowo-patriotyczne, przytem obietnice dotychczas niespełnione, czyniły w głowie żołnierza polskiego okropny chaos i gdyby nie przewaga uczucia świeżo odzyskanej Niepodległości, masy polskie, wycieńczone przeżyciem wojny światowej, zlałyby się z masami rosyjskimi bez reszty. Wojna ta nie była potrzebna ani Polsce ani Rosji. Polska wprawdzie bitwę pod Warszawą wygrała, ale jeżeli wziąć jej dzisiejszy stan, to wojnę przegrała.

Ustrój sowiecki jest czemś, nad czem żadne Państwo, ani naród nie może przejść do porządku dziennego. Same zarzuty mordstw w czasie rewolucji bolszewizmu nie zlikwidują, gdyż jeszcze przed bolszewizmem, cywilizowane narody miały już 10.000.000 trupów, a drugie 10 milionów ślepców i kikutów.

A co cywilizowane narody uczyniły przez 13 lat istnienia bolszewizmu, aby posłużyło za wzór dla tychże bolszewików?

Już po zawieszeniu broni, na Boże Narodzenie, Bezrobotny otrzymał urlop świąteczny i jechał z wielką uciechą w odwiedziny do Ojca z pewną dumą, że walczył o wolność Polski i został nawet odznaczony krzyżem walecznych. Lecz ledwie przestąpił próg, otrzymał z ust macochy straszny cios. Dlaczego nie przyjechałeś na pogrzeb ojca, wysłałam telegram, a ty od lipca dopiero teraz przyjeżdżasz? Telegram Bezrobotnego nie doszedł wskutek ogólnego bałaganu, jaki w tym czasie panował w całej armji.

Od macochy Bezrobotny dowiedział się jak umierał Władysław. Parę dni jeszcze przed śmiercią kazał wysłać telegram do Bezrobotnego, aby przyjechał do ciężko chorego ojca, lecz bezskutecznie. Dnie i noce męczył się, patrząc stale we drzwi, któremi tuż, tuż miał wejść jego syn, żołnierz Polski Niepodległej i którego ostatni raz przytuli do przestającego już bić serca. Nie doczekał się. Macocha proponowała Władysławowi księdza, lecz on oświadczył: — Tak samo w godzinę śmierci obędę się bez nich, jak obywałem się całe życie. Ja sam do Boga trafię.

W kwietniu 1921 r. Bezrobotny został zwolniony z wojska w Łodzi. Świeżo upieczony cywil, znalazłszy się w wielkim mieście na bruku, nie wiedział co ze sobą robić. Rodziny i krewnych tutaj nie miał, do macochy nie było pogo jechać, a tu ani grosika w kieszeni. Miał wprawdzie narzeczoną Olesię kelnerkę, ale i ona nie mogła mu nic pomóc, gdyż była na mieszkaniu u ciotki z mężem od dwóch lat chorym na suchoty i dwojgiem małych dzieci, których Olesia ze swych skromnych zarobków utrzymywała. Bezrobotny wijąc się jak piskorz w trawie, wpadł na myśl udania się do jednego z oficerów, u którego Bezrobotny miał zaufanie, no i rzeczywiście na drugi dzień Bezrobotny już otrzymał pracę w U. O. Z. G. Łódź w Komisji Gospodarczej jako pomocnicza siła biurowa, gdzie Bezrobotny pracował cztery miesiące, gdyż nastąpiła redukcja cywilnych sił w instytucjach wojskowych. Po tej redukcji Bezrobotny parę miesięcy szukał pracy, lecz bezskutecznie. Ale ponieważ w owym czasie było zapotrzebowanie na tkaczy, wszedł Bezrobotny w kontakt z pewnym tkaczem i po dwóch tygodniach nauki otrzymał dwa warsztaty w firmie »Krosnopol«, zarabiając na utrzymanie Olesi, która już jako żona w poważnym stanie, nie pracowała.

W czasie tej pracy Bezrobotny wniósł podanie do Służby Policijnej i został przyjęty z przydziałem do Tarnopolskiego Okręgu. Służba w tym Okręgu była ciężka, gdyż na skutek akcji sabotażystów i bandytyzmu, odbywały się częste obławy i pogonie. Po

dziesięcioletniej służbie kresowej, Bezrobotny prosił o przeniesienie go do Łodzi, gdzie mieszkała Olesia z małym Ignasiem, co nie zostało uwzględnione. Wobec tego Bezrobotny wniósł drugie podanie o zwolnienie go, co zostało uwzględnione. Po przybyciu z kresów Bezrobotny otrzymał pracę w zakładach przemysłowych Scheibler i Grohman, gdzie jako robotnik do różnych robót pracował trzy lata.

Niebawem nastąpił kryzys w przemyśle włóknistym (gdyż złoty deszcz z Polskiej Krajowej Kasy Pożyczkowej przestał padać). Bezrobotny, nie mogąc utrzymać Olesi z Ignasiem z trzydniowego zarobku, zaczął myśleć o czymś innym. Wszedłszy w kontakt z pewnym krojczym nauczył się kroić rękawiczki, no i w krótkim czasie zaczął nieźle zarabiać, między innymi w firmach Eittingon i Gant. Po pewnym czasie nastąpił zastój i w tej branży i Bezrobotny wskutek likwidacji firmy Gant, poszedł na zapomogę, po wyczerpaniu której popadł w ostatnią nędzę, odżywiając się magistracką zupą, ale jakoś zniecka słońeczko zaświtało i Bezrobotny dostał pracę w Elektrowni Łódzkiej przy budowie nowej kotłowni, co trwało 20 miesięcy i gdzie 400 robotników otrzymało pracę. Budowa ta jest wykonana według najnowszych wymagań techniki nowoczesnej, człowiek tutaj, przy pomocy odpowiednich aparatów, rozmawia z wodą, parą, z dymem, z zimnem i ciepłem powietrzem, z oliwą i elektrycznością. Bezrobotny prócz ciężkiej pracy i zarobku miał tu przedmiot nader ciekawych zainteresowań. Po skończonej budowie Bezrobotny otrzymał z Funduszu Bezrobocia 17 rat zasiłków, które wyczerpał w czerwcu 1931 r. przyczem zjadł wszystkie oszczędności elektryczne, a teraz otrzymał z Wojewódzkiego Komitetu dwie porcje »repety« i ludzi się nadzieją »matką głupich«.

Bezrobotny ma teraz czas i może roić najrozmaitsze koncepcje poprawy bytu i niebytu, uruchomienia przemysłu krajowego i unieruchomienia przemysłu zagranicznego, wzmożenia eksportu a wstrzymania importu, ograniczenia konsumpcji i podniesienia konsumpcji, dalej wprowadzenia dyktatury i zniesienia dyktatury, wprowadzenia monarchji i zniesienia monarchji, przeprowadzenia socjalizacji i wprowadzenia kapitalizacji, wprowadzenia faszyzmu (Włochy) i zniesienia komunizmu (Rosja), chcą Francuzi długi, niech dadzą pożyczkę, chcą Polacy pokój — niech dadzą korytarz... Są to wszystko kwestje, któremi prócz bezrobotnych zaprzatają sobie głowy wielcy dyplomaci wygrani i przegrani, nie wyłączając i Karolka i Adolfa i Wilhelma II. Ale wszyscy powinni wiedzieć, że:

koń, krowa, cielę, jaskółka, bocian, pies, wiewiórka, wydra, małpa, świnia i człowiek, jeżeli są głodni, to szukają żarcia, a jeżeli czują zimno, to szukają ciepła i jeżeli niema nic innego, to wilk wilka pożre.

Jest to wszystko zgodne z prawem natury i zbrodnia jest wówczas mówić o ideałach i duszy nieśmiertelnej, chociażby się było Chrystusem.

Człowiek, jeżeli żyje poniżej potrzeb naturalnych, wykoślawia się i fizycznie i duchowo, jeżeli żyje powyżej — to samo z nim się robi.

Dzisiejsze współzycie powstałe i wyhodowane przez anormalne warunki, stworzone przez wykołajeńców, stwarza z ludzkości stada obłąkańców, kierowanych przez egoistów, egotystów, zarozumiałców urojonych wielkości, żądnych władzy i przepychu i dyplomowanych i niedyplomowanych fagasów, ceniących nadęte formy i gesty, a negujących żywą i prostą, zrozumiałą dla każdego nagą treść. Dzisiejsza wykoślawiona prawda i prawo jest jak kula na płaszczyźnie w którą ją stronę nie popchnął, to pójdzie, zależnie od zajętej pozycji popychającego i od pochyłości płaszczyzny. Bo bezwzględna prawda i prawo mimo różnych i przemijających teorii względności, ma swoją jedno-kierunkową drogę, z której nigdy nie zejdzie i nie da się zepchnąć i jest jak koło na płaszczyźnie, albo w lewo, albo w prawo. Człowiek zawsze będzie zależny od praw natury i wobec tego powinien iść zgodnie z nią, t. j. dążyć jak ona do harmonji proporcji (nie wyłączając numerus clausus) i równowagi, bo jeżeli powstanie nadmiar dysharmonji, nastąpi choroba i śmierć, gdyż operacja może być za późno.

Ale śmierć jest tylko przemianą natury. Natura sama w sobie nie rodziła się i umierać nie będzie, a śmierć dwóch miliardów ludzi w jednej sekundzie na kolosie ziemskim, w tym pyłku w przestrzeni wszechbytu, nie powstrzyma dwubiegu ziemi, a słońce nie zauważy żadnych zmian na swym terenie operacyjnym i nic obchodzić go nie będzie, że prochy pra-pradziadów będą zaprószały prochy pra-prawnuków.

Ale człowiek, jako twór świadomy, nie poddając się fatalizmowi natury — walczy z nią, a zachęcony i zahartowany świadomie i nieświadomie przenosi tę walkę na otoczenie gwałcąc je, a wygrana lub przegrana stwarza świadomość dobra i zła, sprawiedliwości i niesprawiedliwości.

Przynależność Poznańskiego, Śląska i Pomorza rdzenie pol-

skiego do Niemiec, uważali Niemcy za sprawiedliwość 100%-wą, a dzisiaj wykołajeniec Hitler mówi o przynależności tych ziem do Polski z pianą w pysku, twierdząc, że stała się wielka niesprawiedliwość. Ale walka o wolność własnego narodu jest tylko ogniwem w łańcuchu walki o wolność całej ludzkości i każdy, kto nie chce walczyć o wolność własną, ten nie jest zdolny walczyć o wolność swego narodu, a jeśli i tego nie czyni, to wogóle nie jest w stanie walczyć o wolność, czyli, że jest aspołeczny wróg ludzkości.

Kto żyje w Polsce niech walczy o swą własną wolność i sprawiedliwość, a stanie się potęgą, która nawet 60 milionom samych Hitlerów nie odda ani pół metra ziemi.

Dlatego też Wy wszyscy księża, biskupi i prałaci, jeżeli jesteście Polakami, to zrzucie ze siebie jarzmo rzymskie, gdyż słowa wieszczki Słowackiego »Polsko, Twa zguba w Rzymie« ciąży jak kołtun na zdrowym ciele i zrzucie wasze suknie krepujące wasze ciała i dusze i nie każcie 75% obywateli rycić ziemi nosem przy każdej okazji i niech nie klękają gdy piorun głośny uderzy, albo Michałek skrzyżuje światełka latarek, a wy cadyki i rabiny przestańcie się kiwać i obrzyzać, toć to hańba XX wieku, w którym i żyd powinien chociaż trochę zreformować się i zrzucie wasze chałaty i cycelesy i niech wasze ładne żydówki biorą ładnych Polaków, a ładne Polki ładnych Żydów za mężów, niech płodzą ładnych, zdrowych i rozumnych obywateli XX wieku. I nie udawajcie, że za nieszczęście, które wisi nad ludzkością jesteście nieodpowiedzialni. I wy wszyscy uczeni, profesorowie, wielcy politycy, sędziowie i adwokaci, inżynierowie i lekarze, urzędnicy i nauczyciele, zejście z waszych piedestałów wielkości i idźcie wszyscy w lud i bezpośrednio oświecajcie go, każcie mu się wyprostować, lepiej się odżywiać, więcej wody i mydła używać, zachwycać się i tworzyć »piękno społeczne« (dzisiejsze piękno, to luksusowy pałac obok rudery z pałakowatym dachem, z wypukło-wklęsłymi ścianami i oknami wiechciem zapchanymi). I ucząc lud nauczycie się bardzo wiele i stworzycie wielką, potężną siłę społeczną. Idźcie! Nie bójcie się gnoju ani gówna, tego urodzajnego i życiodajnego gówna, którym z wielkim szacunkiem i pieczołowitością

»Książki, kujawiaki i mazury,
Obtrząsają doły i góry«.

XX wiek aż ryczy jak ciele do matki o ustrój społeczny, a wy politycy, społecznicy i dyplomaci pertraktujecie ze zdegene-

rowanymi, pozbawionymi wszelkich pierwiastków społecznych nędznikami i sprzysiężonymi fatalistami złotego cielca.

Zniesienie ustroju kapitalistycznego jest utopją i nią pozostanie w XXX wieku. Zbyt wiele nadziei pokładali w tej utopji i pokładają wygrani i przegrani politycy, nie wyłączając Marxa, Dąbala i Trockiego. Ale nie potrzeba być wielkim politykiem, żeby stwierdzić, że dziejową koniecznością jest wprowadzić na miejsce ustroju prywatno-kapitalistycznego ustrój społeczno-kapitalistyczny.

A ktoby chciał wbrew wszelkiej logice utrzymać ustrój prywatno-kapitalistyczny, to musiałby zniszczyć dzisiejszą technikę ze wszystkimi udoskonaleniami tak, aby zmniejszeniem wydajności pracy podnieść popyt na nadmiar rąk roboczych. Ale i to nie da się zrealizować, gdyż szukanie rynków zbytu i konkurencja zmuszają właśnie do coraz lepszych udoskonaleń.

Technika w ustroju społeczno-kapitalistycznym będzie dobrodziejstwem, a w ustroju prywatno-kapitalistycznym jest nieszczęściem.

I Polska w ustroju prywatno-kapitalistycznym czem więcej będzie się kapitalizować, tem bardziej będzie zależna od obcych i wrogich jej wpływów i bardziej dezorganizować i słabnąć społecznie. A tworzenie zaś kapitału prywatno-swoistego w dzisiejszym okresie jest błędem, mogącym wywołać w przyszłości niedalekiej bardzo przykre skutki. Chociaż Polska jest krajem rolniczym, to jednak mózgiem i siłą organizacyjną i gospodarczą jest i będzie miasto, a jak miasta nasze pracują nie trzeba dowodzić. Należy więc stworzyć Polskę społeczną, gdyż tylko taka będzie mogła wytrzymać wielką i straszną w skutkach burzę, która tuż, tuż, wisi nad ludami świata. Wszelka sejmokracja, demokracja, parlamentaryzacja w ustroju prywatno-kapitalistycznym, to giełda dla wszelkich kombinatorów, próżniaków i oszustów lawirujących wśród bezrobotnych źle informowanych mas. Szczególnie w Polsce najgorszego gatunku półgłupek prawiący o demokracji, który dla interesu gotówby bez mydła wleźć do »tylnej«, gdy tylko wlezie na jeden stopień wyżej od tych, których kosztem na niego wlaźł, odrazu wstępuje w niego manja wielkości, mina arystokratyczna i pogarda dla pracy fizycznej, ale nadal głupio bredzi o demokracji, aby wleźć na wyższe stopnie, nie zważając czy odpowiada zdolnościami.

W Polsce społecznej musi zginąć poczucie wyższości stanowej, zawodowej i pogarda dla pracy fizycznej, a musi być wzięta pod uwagę tylko zdolność, poczucie obowiązku, podział pracy i potrzeby społeczne. Czasy źle pojętej wolności osobisto-gospodarczej

kończą się. Nie możemy nadal być nieświadomym bydłem, żrącym dowoli i tratującym nadmiar wówczas, kiedy inni grzechocząc szkieletami wyszczerzają kły jak psy zgłodniałe i nie możemy spokojnie mieszkać w pięknych i ciepłych salonach wówczas, kiedy inni gnieźdzą się jak szczury w ciasnych, zimnych i brudnych norach na poddaszach i suterynach, pełnych zarazy i robactwa. A zatem jedynym ideałem i celem Bezrobotnego jest Polska społeczno-kapitalistyczna.

Tak się wychowywał, tak żył, tak żyje, tak myśli jeden z dwóch miliardów synów jednej matki ziemi i jeden z wielu setek tysięcy niepotrzebnych obywateli Rzeczypospolitej Polskiej.

!!!!!!!!!!!!

»Bezrobotny« jest moim wiernie odtworzonym życiorysem i w razie uznania i drukowania go, pragnąłbym, aby i pisownia zachowaną była*).

Łódź, dn. 7 stycznia 1932 r.

*) Nie mogliśmy uwzględnić tego żądania. Pisownia między innymi polegała na zastępowaniu *ó* przez *u*, *i ch* przez *h*.

Tkacz
zamieszkały w Łodzi

JAK ŻYJE BEZROBOTNA ŁÓDŹ?

Jest nas rodzina, składająca się z pięciu osób. Żona nie pracuje od półtora roku, ja od dziewięciu miesięcy. Gdy nas zredukowali, śmieliśmy się z tego. Przecież mieliśmy przed sobą całe 17 tygodni. Sądziliśmy, że przez ten czas niepodobna, żeby się nie poprawiło. A wtedy o pracę nie potraza się martwić. Lecz tygodnie leciały, zapomoga wychodziła, a nas ogarniał dziwny niepokój i lęk przed jutrem. I przyszło to jutro, jak złodziej w nocy. Zapomoga się skończyła.

Wtedy człowiek udał się do sklepów. W tym sklepie brał tydzień i nie zapłacił. W następnym tygodniu tak samo zrobił, tylko w innym sklepie. W ten sposób narwał zgórą trzy sklepy, czyli przez okrągłe trzy tygodnie żył na koszt sklepikarza.

Dawniej, gdy o robotę nie było tak trudno, sklepikarz dawał nieraz całe miesiące na setki złotych. Dzisiaj już tego niema. Gdy jeden tydzień się nie zapłaci, na drugi na krydę nie dadzą, chyba, że sklepikarz wie, że dany osobnik pracuje, lecz tylko jednorazowe, nadzwyczajne wydatki, jak zapłacenie komornego, zmusiły go do tej jednotygodniowej niewypłacalności. W przeciwnym razie żaden lament nie pomoże.

Tu zaczyna się akt drugi bezrobotnego.

Wielu idzie w tym okresie po prośbie na Bałuty, gdy mieszkają w Chojnach i odwrotnie. Człowiek staje się żebrakiem, byle żyć i dać dzieciom jeść.

Pewien odsetek bezrobotnych — to synowie i córki gospodarskie, którzy teraz, jako dzieci marnotrawne, powracają na wieś, lub dostają jednorazowo od ojca większą ilość gotówki w postaci posagu, czy czego innego i za to kupują sobie posadę. Trzecia kate-

gorja bezrobotnych żywi się w tym okresie tym, co która z sąsiadek przyniesie. A ludzie biedni są litościwi i nie pozwolą nikomu umrzeć z głodu. Jedna we wtorek przyniesie barszcz z soboty zeszłego tygodnia, druga we czwartek kluski z ubiegłej niedzieli. Bezrobotni z apetytem jedzą, aż brzuchy im spodnie wysadzają.

Czwartą kategorią bezrobotnych i to najliczniejszą są ci, którzy nie przyjmują darowizn od sąsiadów i żyją doraźną zapomogą otrzymaną od rządu.

Stan takiego bezrobotnego jest następujący. Gdy kupi pół ćwiartki kartofli, odliczy je wpierw, podzieli na ile ma starczyć dni. Następnie dwa razy dziennie odbiera po 10 do ugotowania dla pięciorga osób. Niema tu różnicy, czy to młodszy, czy starszy członek rodziny. Wszyscy dostają jednakową porcję.

Corzej — jak kartofle są nadpsute. Wtedy, gdy odejdzie kartofel, jako zgnily, na miejsce jego nie bierze się drugiego. Luka musi pozostać. A przy końcu ćwiartki, tyle kartofli jest nadgniłych, że do ugotowania z tych 10 pozostaje nieraz połowa i to mających dużo do życzenia.

Najtrudniejsza sprawa dla matki jest podzielić nagotowane kartofle pośród niesfornej dziatwy. Każdy przy podziale czuje się pokrzywdzony i prawa dochodzi pięścią.

I proszę nie myśleć, że taka dziecinna sprzeczka — to zabawa. To bywa poważną nieraz bitwą. W takich razach na pięści nigdy się nie biją, bo każdy jest warty i słaby jak cień. Chwytają wtedy za noże, pogrzebaczę, żelazo i ciskają o siebie z całą mocą. I o co? — o zgniłą odrobinę kartofla.

Wogóle w tej nędzy jeden drugiemu ciąży jak kamień u szyi. Sam widok najbliższych ludzi w takim nędzarzu budzi głuchą nienawiść.

W takiej biedzie różne nieraz myśli człowiekowi przychodzą. Gdy idę ul. Piotrowską i widzę w oknie w pobliżu kina »Kasino« wystawione słodycze, wędliny, szampany, godzinami człowiek przelicza, ileby za taką flaszkę szampana kupił korcy kartofli i na ileby to starczyło i t. p.

Albo znowu taka myśl: Ile to w Łodzi jest bezdzietnych małżeństw, chowają psy, koty, papugi, którym dobrze jak w raj. Czy zamiast tych stworzeń nie mogłoby takie małżeństwo wziąć na te straszne czasy takie wynędzniałe dzieci robotnicze na wychowanie?

I radość by mieli większą jak ze zwierząt i niejedno dziecko uratowałyby się od śmierci.

*
*
*

Jestem tkaczem, jak się rzekło bezrobotnym, w dodatku żonatym. Kobieta mi marudzi, że ten i ów dostaje się do roboty, a ja to już do niczego nie zdolny. Nie chcąc słuchać przycinków, chodzę za robotą od rana do nocy. Daremnie. W Łodzi bowiem utarł się zwyczaj przyjmowania wyłącznie za protekcją, nawet do najpodlejszej pracy. Można mieć zdolności i wysokie kwalifikacje, to wszystko jednak nic nie pomoże, wobec magicznego słówka: protekcja. Tymczasem protekcja kosztuje gotówkę. Gdy w końcu jaki głupi pożyczycy, idziesz do swego protektora, dajesz mu pieniądze, a ten ci przyrzeka, że za dwa, trzy tygodnie będziesz pracował. Przeżywa wtenczas człowiek różowe marzenia.

Po pewnym czasie dostaje się do fabryki (mówić tu będę o tkalniach) w której wszystkiego jest z 10 — 20 krosien, a rudy żydek obejmuje funkcję przeciągacza, kierownika, dyrektora i właściciela w jednej osobie.

Gdy się wejdzie ze świeżego powietrza do tej budy, oddycha się już nie płucami, które są na pół martwe i nie reagują na żadne okropności, lecz żołądkiem. On poczyna burzyć się i pęcznić.

Tkacze chodzą koło swych warsztatów senni i obojętni. Kobiety krzątają się z nigdy nie wyschniętą łzą w oku, również obojętne, gdy przyjdzie żydek i poklepie je w niezbyt dyskretne miejsce, po chwili przychodzi majster i w to samo miejsce uszczypnie. Protestowanie na nic się nie zda. Nikt z tego nic sobie nie robi, a gdyby która odważyła się zbyt protestować, majster poprostu przestanie jej reperować krosna.

A oto taki charakterystyczny obrazek: Pracowała sobie 17-letnia sierotka w wielkiej firmie i choć mocno zbiedzona, jednakże o pięknych, lśniących czarnych włosach i ciągle zażawionych oczach. Pracowała spokojnie dopóty, dopóki pan majster 60-letni starzec nie zauważył jej piękności. Odtąd ustawicznie ją nachodził, w końcu kategorycznie powiedział, że od dziś nie reperuje jej krosna. Pracowała jeszcze parę tygodni. Ciągle się jej przytrząskiwały członka, wrywając każdorazowo moc nici. Płakała, rwała sobie włosy, w końcu kierownik wypędził ją, ponieważ »przestała umieć robić«. Na nic się zdały wszelkie wyjaśnienia. Jednakowo zawsze brzmiała odpowiedź: »Nie umie robić«. Nastąpiły prośby, płacze, padanie do nóg. Nic nie pomogło. Nie chciała — więc nie umie robić. Poszła na bruk. Nie miała w Łodzi rodziny, więc o kiju żebraczym powędrowała do Poznania do ciotki.

Która dziś się nie zgodzi? Najcnotliwszą widmo bruku i nędzy zmusi.

Fabryki podczas kryzysu stają się gniazdami występku. Głód, nędza, widmo redukcji jest matką rozpusty.

Warunki pracy

Wracam do głównego wątku. Przy pomocy protekcji przyjęto mnie do pracy. Fabrykant mnie ogląda, wysyła do majstra, by mi dał krosna. Po drodze od fabrykanta do majstra marzę, co to ja sobie kupię gdy przyniosę pierwszą tygodniówkę. Podchodzę spieszenie do majstra, podając mu kartkę. Nie raczy spojrzeć na mnie, bierze kartkę i prowadzi do przeznaczonych mi warsztatów. Krosna, osnowa, wątek, wszystko zdaje się tak piękne... Byle Bóg siły dał!... Żegnaj się i rozpoczynam pracę...

Nie idzie. Wszystko rozklekotane, połamane części, ściągnięte drutem. Idę do majstra. Majster zaczyna kłąć. Nie chce mnie słuchać, rozkłada rękomą.

W końcu przestaję nagabywać majstra. Oglądam szczegółowo krosno i przychodzę do wniosku, że wszystko od biedy ujdzie, tylko czółenka są niemożliwie zdarte, pokaleczone, poobrzynane na okrągło. Idę do samego właściciela po nowe. A on odpowiada: — »Gdy Pan chce nowe, może je sobie pan kupić«. I czy kto uwierzy, że są ludzie, co kupują za własne pieniądze nowe czółenka? Miałem już tę robotę rzucić, ale nadzieja szeptała: — Zostań, może się poprawi, przytem tyle pieniędzy dałeś za wprawienie. Kiedy to wyrównasz? Zostałem. Ten złoty czy dwa złote, które zarobiłem na dzień (przeciętny zarobek tkacza w małej fabryczce waha się między złotówką a dwoma) niemal wydałem na parafinę, którą smarowałem osnowę, by lepiej poszła. Rzeczywiście szło lepiej, ale ja nic nie przynosiłem do domu, bo to, com zarobił, wydałem na parafinę i wpakowałem w towar. W ten sposób przez kilkanaście tygodni ludziłem się nadzieją, pracowałem, a za zapracowane pieniądze kupowałem parafinę. W końcu nie mogąc doczekać się poprawy, rzuciłem pracę, widząc, że jak tak dalej będę się ludził nadzieją, zginę wraz z rodziną.

Inni o tyle są mądrzejsi, że po kilku dniach uciekają, nie dopominając się zapłaty. I tak tydzień po tygodniu uchodzi, a nasz mały przemysłowiec rzadko kiedy wypłaca, bo ludzie robią bez pieniędzy. Niektórzy, gdy przerobił parę dni i nie chciał mu przemy-

słowiec zapłacić, żądając od niego zapłaty za błędy w towarze (zawsze tak robi, gdy robotnik odchodzi i żąda pieniędzy za przepracowane dni), wtedy robotnik się awanturuje i wygraża inspektorem. Co mądrzejszy machnie ręką i idzie.

To też takie małe fabryczki na kryzysie żerują i gdy Scheibler i Grohman pędzą na 3 dni, a mikroskopijni przemysłowcy pędzą całe tygodnie.

Korzystają z okazji. Tysiące ludzi bez pracy, więc każdy może mu porobić dzień, dwa — darmo. Robotnik nie zbankrutuje, a przemysłowiec się dorobi.

Ale gdyby mu przyszło płacić tak jak płaci np. Scheibler, już po 24 godzinach znikłby z powierzchni ziemi.

Gdyby to wreszcie nastąpiło, wtedy nie tylko przemysł wielki by się poprawił, ale przede wszystkim robotnikowi by ulżyło. Przemysł mógłby się lepiej zorganizować i tem silniej przeciwstawić kryzysowi.

W błędzie są ci, co uskarżają się na rząd, że zaniedbał drobnym przemysłem fabrycznym. Właśnie jest wielką zasługą rządu, że dąży do usunięcia gangreny, która toczy nie tylko przemysł, ale przede wszystkim robotników.

N a z e b r y

Żebrać w dzisiejszych czasach nie jest poniżające, wielka część Łodzi żębrze i to panusie i pany, że proszę, krótko mówiąc sami patrycjusze chodzą po fehcie, robotnik, który posiada jeszcze stare pokolenie na wsi, chodzić po prośbie nie potrzebuje, przecież ma ojca na wsi. Co innego z patrycjuszami od pradziada osiadłymi na bruku wielkonięjskim. Ci nie mają żadnych ojców na wsi, cała rodzina wraz ze wszystkimi kapitałami tkwi w mieście. To też robotnik taki prędko wyniszcza się z wszystkiego i wkrótce staje na rozstaju, gdzie rozchodzą się dwie drogi: jedna to samobójstwo, druga prowadzi na żębry, większość wybiera tę drugą, pocieszając się tem, że nie żębrze on jeden, żębrze tysiące.

Na jednej wsi chodzi nieraz po prośbie kilkunastu dziadów. Są wtedy prawdziwe olimpijskie zawody, jeden przed drugim leci, by być pierwszy. Bo ten pierwszy zawsze coś skorzysta, a gdy za nim jeden, drugi, trzeci wpadał, czwartego wyszczuto psami, czasem tak wypadło, że jeden w mieszkaniu, drugi w progu, a trzeci w podwórko włazi, gdy się mijają jak brytany na się warczą, nie-

raz z tego powodu przyszło za wsią do otwartej bójki, a w szczególności kobiety są drapieżne i w »betłowce« niezmordowane. Chłopi sobie ustępują, a nawet przyszło między nimi do umowy niepisanej, która opiewa, że w razie najścia na wieś kilkunastu dziadów, jeden za drugim ma iść w odstępie niekrótszym, jak 5-minutowym. To też nieraz istne ogonki wystają za wsią na swą kolejką.

A są to czasy... he, he, nieraz się człowiek na tej betłowce obje jak nie stworzenie. Bo trudno było inaczej. Nieraz częstowali niemal w każdym domu i jak tu nie jeść, nie wypada... bo powiedzą syty, a chodzi... a tu obowiązkowo każdy ubogi winien być głodny. Ja w takich razach mam wypróbowany fortel, gdy mi dają jeść, a jestem nie głodny, jedną dwie łyżki wziąłem i mówię do gospodyni, że mam na dworze siostrę, która jest bardzo głodna i wstydzi się po domach chodzić, więc pójdę i zawołam, niech sobie biedactwo podje. Nieraz gospodarz, gdy był sam w domu, w mig dokładał, by jeno przyszła, bo to często w takich razach za dobry obiad, lub funt mąki... Wyszedłem zapewniając, że siostrę przysię, gospodarz łykał ślinkę, a ja śmiałem się serdecznie za każdą razą, że narobiłem pocziwemu gospodarzowi niepotrzebnej gorączki.

A trafiały się gorsze czasy, w szczególności blisko Łodzi. Tutaj chłopi są znieczuleni na wszelki bliźniego ból. Nic nie chcą dać, a co nie daj Boże urwać w polu krzak kartofli, zatłukliby na śmierć. A nieraz bywa, że los człowieka zapędzi w te przeklęte strony, gdzie ci nawet wody żałują. Raz dwa dni pod Łodzią utykałem i okrągłe dwa dni nic nie jadłem, mimo usilnych starań, by co zdobyć. A trzeba zrozumieć, że prócz tej głodówki, byliśmy już wycieńczeni do ostatnich granic.

Drugiego dnia po południu szedłem już co chwila pokładając się w silnych boleściach i mdłościach. Chciałem żygać i nie mogłem, bo i cóż miałem wyżygać, chyba żołądek, który dla mnie nie był niczem więcej jak żywiołowym ogniem w skrętach, a brzuch stekiem niespokojnych węży. A ja ten oryginalny bagaż węży i ognia, dany mi tak hojną ręką przez wieśniaków, niosłem iście z prometejską pogardą w duszy do Łodzi, do tej Łodzi, która jest tak ogołocona, że nawet pomyj w rynsztokach podmiejskich niema, a co pamiętam za dobrych czasów, jeziorem stały na pół ulicy i chodnika przez całe miesiące.

Ba, żeby to już być w tej ogołoconej Łodzi, gotowym za to przebić sobie rękę w ofierze Bogu.

Lecz cud nie przychodził za żadną ofiarę i z tych dziesięciu wiorst nie ujęto mi nawet tego okładu, a był gorący, sierpniowy dzień.

Słońce lało rozpalone do białości deszczem promienie. Ziemia popękana, podobna była do wypalonego żuźla, a w powietrzu parno jak w kotle, tak, że nie wiem, czy z nadmiernej gorączki, czy z opętańczego głodu oddychanie sprawiało mi szalony ból w piersiach, mimo, iż jaknajmniej starałem się oddychać, lecz to wszystko nie pomagało; przeciwnie, zatruwało organizm, powodując wymioty. Miałem wrażenie, że żołądek wyskoczy, ale że był zbyt mocno osadzony, wolał żygać krwią.

Popackany całą krwią i błotem, nie dbałem wtedy o elegancję, wlokłem się niemal na czterech, gdy w oddali ujrzałem parę zagonów pięknej brukwi. Nie zważając już na żadne bóle, z wielką radością, jakbym ujrzał Królestwo Niebieskie, pobiegłem do niej, nie pytając, czy ktoś pozwoli jej urwać, czy też nie, schwyciłem za najpiękniejszą i dalej ją zębami obierać ze skóry, gdy w tem z poza żyta odezwał się głos: — Huzia dziada, Burek... Ledwie się zdążył obejrzeć, a już moja łydka zdawała egzamin ze swej twardości w psiej paszczy. Grzmotnąłem brukwią w psa. Lekki cios rozsrożył jeszcze gorzej psa i z tem większą wściekłością wpijał kły w me ciało.

— Człowieku! — wydarł mi się z pod serca głos, a był widać tak potężny i przejmujący, że pies zaskomlał jakby kopnięty przez widmo...

Łódź, dn. 9 stycznia 1932 r.

Przędzalnik
zamieszkały w Ozorkowie

I.

Jestem zredukowany.

Oto wypadek, który wstrząsnął mną do głębi. Ukazał przedemną przepaść ogromną... To zabijanie się obuchem myśli. To myśl, myśl bez końca, to wysiłek myśli, ale bez owocu. Jestem wciąż głodny, dzieci wciąż płaczą, żona zawodzi w rozpacz. Oto moje wspomnienia: jestem zredukowany...

Pamiętam jak dziś jesień 1930 r. Ta jesień głęboko wyryła mi się w pamięci. A redukcja która i mnie objęła sprawiła to, wiosna życia znikła, znikło słońce, które zdawałoby się świecić dla wszystkich — pozostała mi zima, oślizgła, deszczowa jesień...

Pracowałem w fabryce Schlösserowskiej na oddziale przędzalni. Zarabiałem 36 zł. tygodniowo, a czasem i więcej. Bo pracowałem na różnych oddziałach przygotowawczych. Praca była różną i różnie też zarabiałem. Lecz żadna z moich tygodniówek, nawet w najpomysłniejszych chwilach zarobku, nie przekraczała 40 zł. Żyłem z rodziną, nie powiem, że dobrze, ale znośnie.

Rodzina moja składa się z pięciu osób. Mam lat 40, żona 7, dziecko najstarsze ma lat 9, drugie 7, trzecie 4.

Zajmowaliśmy małą izdebkę na pierwszym piętrze z oknami małymi, wychodzącymi na podwórze, nad samym ustępem. W lecie nieznośny fetor unosił się w powietrzu, czuć go było w całym mieszkaniu, o otwieraniu okien nie mogło być nawet mowy. W izbie panował zaduch, gorąco, kurz. Dzieci chodziły wątłe, z chorobliwym wyrazem twarzy, bo żyły i oddychały powietrzem, które zatrucha organizm, niszczy płuca.

Widząc, jak dzieci poczynają wątłeć, usychać, przestają jeść,

opuszcza je wesołość, chęć do zabaw, postanowiłem dla zdrowia tych małych istot zmienić mieszkanie, tym samym umożliwić rozkwitnąć, rozwinać się tym małym pąkom ludzkim. Udało mi się. Znalazłem mieszkanie duże, jasne z oknami na ogród, zdrowe dla dzieci i dla nas. Zapłaciłem za pół roku z góry i wprowadziłem się. Kupiłem niektóre rzeczy jak: stół, szafę, łóżko i wiele drobniejszych rzeczy, o których dziś dobrze nie pamiętam. Dałem pięćdziesiąt złotych, a resztę spłacałem ratami. I jakoś nam szło. Żona robiła się weselszą i mnie poczynało rozjaśniać się na duszy, bo wiedziałem, że już wkrótce długi, które dziś zabierają dłużnicy, pozostaną u nas i na naszą wyłącznie korzyść. I żyłem już myślą o lepszym, znośniejszym życiu. Cieszyłem się, bo ukazywała mi się jakgdyby wiosna życia. Dzieci w nowym mieszkaniu poczęły rosnać, kwitnąć i rozwijać się. Nowe mieszkanie było dla dzieci lekarstwem życia. I my rodzice, widząc to, cieszyliśmy się niby zbłąkani w puszczy, którym nagle ukazała się droga do ich rodzinnej chatki, do ojca, do matki, których zdawało się stracili na zawsze, na zawsze.

Lecz radość nasza trwała krótko. Tak krótko, jak radość tonącego, który przypadkowo złapał się kępy trawy i sądził, iż jest uratowany, gdy nagle trawa urwała się i tonący poszedł wraz z nią na dno.

Tak i ja myślałem, że kończą się niedojadania, długi, troski i utrapienia...

Aż tu nagle jak grom z jasnego nieba — redukcja! Kilkunastu robotników zostaje zredukowanych, pomiędzy nimi znajduję się i ja.

To nie koniec niedojadań, trosk i utrapień — to początek tego, co się nazywa niedojadaniem, troską i utrapieniem.

Myślałem, że to się już kończy, a to dopiero się zaczyna.

II.

Tak, jestem zredukowany.

Straciłem pracę, straciłem zarobek i możliwość utrzymywania rodziny. O, jakże to straszne być zredukowanym, pozbawionym zarobku, chodzić głodnym! Całe dnie, tygodnie i miesiące być głodnym! I słuchać do rozpacz przyprawiających powtarzań dzieci: Chce nam się jeść, chce nam się jeść! — Któż zdoła zrozumieć to zdanie, wnikać i zgłębić je? Nikt chyba inny, jak tylko ci, którzy sami byli zredukowani, którym dzieci tak samo powtarzają:—Chce nam się jeść, chce nam się jeść!

Tak, to doprawdy smutne być zredukowanym!

Ale myślałem sobie: są burze, huragany, niebo się otwiera, błyska, pioruny grzmia, ziemia zda się drżeć w posadach. Jest chwila przesilenia strasznego, ludzie drżą, wznoszą ręce do Boga, do jedyne go zbawcy i jedyne go miłosierdzia. Potem z wolna nastaje cisza, mrok się rozprasza, dzień wraca, słońce się odradza, kwiaty rozwierają kielichy, drzewa się prostują, ludzie idą do swych zajęć, rozrywek, rozkoszy, życie śmieje się po dawnemu i śpiewa na drogach i progach domów i chat i nikt się nie pyta o pustkę, pozostałą tam, gdzie piorun uderzył.

Redukcja — to burza, to piorun, który zabija mnie... moją rodzinę... Tak, to straszne!

Ale dlaczego — myślałem — po burzy, która spadła na mnie, na moją rodzinę, która zaćmiła czarną chmurą rozum, myśli — nie ma powstać jasny i piękny dzień dla mnie, dla mojej rodziny, tak, iżby można zapomnieć było o pustce, wyrządzonej przez burzę... Bo człowiek, nawet w najbardziej beznadziejnych chwilach nie traci nadziei, żyje myślą wydostania się z tego ślepego zaułka. I ta myśl daje mu możliwość uwolnić się od czarnych, zgubnych myśli, ulżyć sobie, odetchnąć swobodnie.

Lecz to mi się nie udało. Myśl o redukcji, o straceniu zarobku, o rodzinie, nie dawała mi spokoju. Robak myśli trawił, pożerał mózg.

Chodziłem, myślałem napróżno. Upadałem fizycznie, marniałem duchowo.

Tymczasem począłem pobierać zapomogę i z niej żyć. Żyło się marnie, ale zawsze na życie skromniutkie starczyło. Kartofle, kapusta, mąka żytnia, kasza jęczmienna, lój, olej — oto z czego mogą się składać potrawy bezrobotnego, pobierającego zapomogę.

Biorąc zapomogę chodziłem, dowiadywałem się o pracę, myśląc może gdzieś, może jakoś dostanę. Ale napróżno. Mijały tygodnie, miesiące, okres brania zapomogi dobiegał końca, a pracy nigdzie niema, w domu coraz gorzej i gorzej. Niektóre rzeczy poczęły wędrować do lichwiarzy, jak palto moje, za które dostałem trzyście złotych, płaszcz żony, za który dano nam siedemnaście złotych. A czas robił swoje. Dzieci pobladły, straciły rzeźkość, wesołość, zrobiły się smutne i posępne.

To dopiero kilkanaście tygodni. A co będzie dalej? Myśl ta, jak natrętna mucha nie dawała mi spokoju, tłukąc się stale po głowie.

A tu dnie zimne. Z ołowianych, ciężko wiszących nad miastem

chmur, prószył chwilami śnieg. W mieszkaniu zimno, niema czem napalić. Coraz większa nędza idzie szybkimi krokami i rozgascza się ta pani potężna. Niepomna na ból, prośby, cierpienia i łzy. Głucha na jęki, z rozpacz i przekleństw drwi. Ścisła nas w nagich brutalnych ramionach, słabszy pada wcześniej, silniejszy później — ale pada.

Nędza — to pani nieustraszona, potężna! Ma swoich wrogów w postaci ludzi myślących. Ale ma i swoich przyjaciół, którzy ją wyzyskują, kując z niej oręż...

Ja wiem, chociaż nie jestem uczonym, nie jestem filozofem, tylko robotnikiem, a raczej bezrobotnym — że zrodzony zostałem w biedzie, przez biedę wzrosłem, w biedzie upadnę. Trudno pomyśleć ile istnień ludzkich będzie kosztował kraj nasz ten kryzys: wziąć bezrobotnych, — rośliny cienia — których kryzys wygnał z warsztatów pracy — mnożyć i ciągle mnożyć, a jeszcze nie dowiemy się wielkości tego morza istnień ginących, pożeranych przez głód i nędzę.

Ja wiem, że cierpię, że cierpią inni, że cierpi kraj. I ja wiem, że cierpię z innymi, z krajem i za kraj.

Lud to dobry, kocha swój kraj, chociaż cierpi, chociaż głodny, chociaż zziębnięty; za sobą i koło siebie ma złych doradców, którzy go pchają do zguby; czasem idzie, trąca, przewraca i opamiętywując się wraca, ale raz silniej pchnięty, to pożar, to powódź, niszczy, pali, topi...

Dlaczego to piszę? Dlatego, że podczas redukcji były głosy: pod fabrykę, pod magistrat i wir ten byłby o mało co i mnie porwał, lecz w porę opamiętałem się, to porywa... ciągnie!...

Spotkać było można pośród tłumu mężczyzn i kobiet zapłakaną kobietę, załamującą ręce, która przeklinając groziła ręką.

To jakaś kobieta matka, której zredukowano syna, to jakaś kobieta żona, której zredukowano męża.

W takich chwilach rodziły mi się straszne myśli, myśli i żądza zemsty za to, że zostałem zredukowany, ja, który czternaście lat pracowałem w jednej i tej samej fabryce i teraz bez żadnej przyczyny z mej strony zostaję zredukowany. Nie moja to przecież wina, że zostały sprowadzone inne maszyny, gdzie zamiast siedmiu ludzi może ją obsługiwać teraz pięciu. To chyba zawiniłem, że stałem się zbędnym, niepotrzebnym.

Ale jak wszędzie tak i tu rozsądek wziął górę nad niecnym, zgubnym popędem do zemsty. Zapomoga wybrana już. Nędza śmia-

ło wyciągnęła do nas swoje ramiona. I trzyma nas, ani myśli puścić. Robiłem koszyki z wikliny, by ją troszeczkę odstraszyć, ale napróżno. Zrobiłem pięć koszyków, dwa sprzedałem po 85 groszy reszta pozostała w domu. Sklepy kupić nie chcą: — Na wiosnę to owszem — oto odpowiedź sklepów.

Żona prania nie dostaje już czwarty tydzień, za wiele jest tych, co chcą tę pracę dostać, która przyniesie chleb.

Z komornem zalegałem już czwarty kwartał. Jeść nie miałem co, a cóż dopiero mówić o płaceniu komornego.

Pozwanie do sądu — eksmisja — padł wyrok.

Powstała wrzawa, ludzie poczęli się cisnąć ku ławce — to żona padła zemdlona.

III.

Po eksmisji znalazłem się z rodziną pod gołem niebem. Dachem były mi sklepienia niebieskie, lampą nocną to gwiazdy, kominem, który ogrzewał to księżyc. Brr! Jeszcze dziś czuję jego ciepło... Pod gołem niebem byliśmy — pamiętam jak dziś — 48 godzin. Niewiele, to prawda, ale zawiele na to, by z rodziną, z małymi dziećmi, przez dwa dni i dwie noce zimowe znajdować się bez dachu nad głową. Pamiętam płacz żony, krzyk dzieci, potem ten krzyk i płacz zlał się w jeden szloch, szloch długi i rzewny.

Wyrzucono nam rzeczy na podwórze i nas jak i te rzeczy nieczułe na ból, zimno i głód wyrzucono za tymi rzeczami na śnieg i mróz.

Te dwie noce spędzone pod gołem niebem, to noce lamentów, modlitw, błagań i płaczu.

Ustawiliśmy łóżka jedno na drugim tworząc takie piętro, tak, że górne łóżko stanowiło dach, narzuciliśmy gałganów na wierzch, pookrywaliśmy boki łóżka robiąc w ten sposób ściany. Żona i dzieci czwororo ich w jednym łóżku, pod dwiema pościelami drżeli z zimna płacząc.

W nocy chodziłem do prezydenta miasta, do komendanta policji, prezydent miasta przyrzekł, że wkrótce tę sprawę załatwi, lecz dziś zrobić nic nie może. Przy odejściu zapewnił mi jeszcze, że jutro w tej sprawie coś konkretnego poweźmie się. Komendant policji wszystko robi — powiedział — by jaknajprędzej tę rzecz potworną załatwić.

Ale ta sprawa szła tak powoli, ospale, że czekając końca, musiałbym zmarznąć wraz z całą rodziną.

I gdyby nie pewien gospodarz, nazwiskiem * * *, mieszkaniec gminy, nie wziął mnie do spalonej obory, w której pozostały tylko ściany, sufitu również nie było, ale wnieśliśmy kilka desek, kołków, słomy i urządziliśmy na prędcie prowizoryczny sufit. Potem wysypano podłogę piaskiem — podłoga kamienna, brukowana, potem wnieśliśmy rzeczy.

Lecz te dwa łóżka, szafa, stół, kuchnia żelazna, nawet w części nie stanowiły umeblowania tej wielkiej komory. Napalono torfem, lecz więcej było dymu gryzącego aniżeli ciepła. Kuchnia mała, torf nie chciał się palić, tylko tlił się powoli, a dym kłębami rozchodził się po izbie.

Nazajutrz o świcie poszedłem do lasu, nazbierałem drzewa; głodny, zziębnięty, ledwo przywlokłem się do domu. Za ledwie przestałem próg mego nowego mieszkania — padłem zemdlony. Powstał płacz żony, krzyk dzieci, nadbiegł gospodarz wrzawą zaalarmowany, kazał podać trochę ciepłego mleka, wypilem i przyszedłem po chwili do siebie.

Ani torf, ani drzewo nie było w możności ogrzać tej wielkiej obory, która służyła nam za mieszkanie i która niestety, do dziś dnia za nie służy. Zimno było po napaleniu, jak i przedtem. Dzieci gromadziły się wkoło kuchni i grzały ręce nad blachą kuchni i rurą. To znów kiedy zmarzły im nogi, włóczyły się po izbie płacząc, to znów wołając jeść. Wtedy matka załamywała ręce i z płaczem wołała: — Boże, Boże! Cóż że ja biedna pocznę, coż że im dam? A dzieci nie jadły jak wczoraj po obiedzie, a już wieczór idzie!

Codziennie wychodziłem do miasta w nadziei dostania jakiejś pracy, lecz próżne były moje zabiegi, tutaj mnie zwymyślano od włóczęgi, tam przepędzano brutalnie, lub kazano się wynosić do wszystkich djabłów, gdzieindziej chciano rzucić jałmużnę. Lecz wszystko inne raczej niż to, ja chcę pracować nie żebrać. I tak chodziłem dzień, dwa i czasem udało mi się zarobić parę groszy przy nasypywaniu węgla na wozy. Bo niekiedy furman, już starszy wiekiem, wożąc węgiel z kolei do składów — szczególnie, jeżeli było konieczne na oznaczoną godzinę opróżnienie wagonów — dobierał sobie któregoś z ubiegających się o zarobienie paru groszy, płacąc od woza 25 gr., które liczył od 15 do 17 korcy. A wozów takich sypało się siedem a czasem i osiem. Ale zarobek taki tra-

fiał wtedy tylko, kiedy wagony musiały być prędko wypróżnione — w innych wypadkach woźnice sypali węgiel sami.

Żona od czasu do czasu prała u gospodyni i za pracę swoją dostawała trochę kartofli, mleka, mąki. Ja zaś w tygodniu zarabiałem dwa, trzy złote i tak żyliśmy i nadal nie inaczej żyjemy.

Zima kończyła się, nadchodził marzec. Woda lała się ze ścian naszego mieszkania, robiło się zimniej, powietrze w mieszkaniu wilgotne, stęchłe. Z brukowanej podłogi wychodziła woda. Tajało w polu, tajała i nasza podłoga. Dzieci poczęły kaszleć, podostawały wyrzuty i wrzody. W dzień włóczyły się po izbie z zimna, w nocy płakały głodne.

Często nad miastem noc już rozpięła swe nietoperze skrzydła, miasto spało znużone i wieś po pracy drzemała. Nie spaliśmy tylko my zziębnięci i głodni i ci, którzy w takim samym znajdowali się położeniu, którym zimno i głód nie dały zasnąć. Jedni spali smacznie, mając sny cudowne, innym nie dawał zasnąć czarny szkielet głodu.

Wiosna pędziła szybkim krokiem.

IV.

Słońce kwietniowe wysoko świeciło nad nami. Ruszyła się praca w polu, sadach i ogrodach. Można było coś nie coś zarobić przy sadzeniu kartofli, rozrzucaniu nawozu, kopaniu w sadach i ogrodach. Życie stało się znośniejsze.

Ale wiosnie, temu życiu, które wszystko budzi z uspienia, stwarza życie — nie mieliśmy czem odpowiedzieć ani my, ani nasze dzieci.

Bo życie, które nas błogosławiło wczoraj, pieściło dziś, to jutro dusi tych, którzy stracili pracę, którzy nie mają gdzie spać, nie mają co jeść — dusi tych, których wczoraj jeszcze błogosławiło i pieściło.

Do pięknej przyrody, do jej czarownych widoków, do jej życia, do jej muzyki, na którą się składa szum wiatru, szmer wody — jak mówi poeta — niezliczone chóry skrzydlatych śpiewaków... odnosiłmy się zimno, obojętnie, ze smutkiem. Bo była wiosna, lecz my nie mieliśmy jej czem odpowiedzieć. Serca nasze nie napełniały się uczuciem i sympatją ku wiecznie młodej naturze — bo w nas była zimna, oślizgła, deszczowa jesień.

Kiedyś — mówię kiedyś — chociaż bowiem upłynęło dopiero

kilkanaście miesięcy od tych chwil — zdaniem mojem czas mierzyć trzeba nie tylko trwaniem ale i wypadkami — otoż kiedyś z całą rodziną witałem z radością wiosnę, ale i w naszym życiu tlił się ogieniek życia, ogieniek wiosny, a każdy nasz krok, to krok bliżej grobu, to wchodzenie w grób. Dziś nie odpowiadamy jej i nie mamy jej czem odpowiedzieć. Bo głód nie tylko pożera ciało, ale i myśli. Dziś nie jesteśmy życiem, ale ruiną życia, — rośliną cienia.

I chociaż powodziło nam się trochę lepiej niż w zimie, to jednak odnosiłem się ja i moja cała rodzina z pewną rezygnacją, obojętnością.

Pracowaliśmy z żoną, zarabiałem sześć, osiem złotych i żona tyleż. Od czasu do czasu dostaliśmy trochę kartofli, do tego zarabialiśmy parę złotych i jako tako pędziliśmy swój żywot.

Mieliśmy 68 zł. gotówki, gdy roboty wiosenne w polu skończyły się. Byliśmy zmuszeni żyć pomalutką z tych pieniędzy. Godzić jedno z drugim byleby jakoś popchnąć się jaknajdalej. I tak przechodziła wiosna i szło lato.

W lecie dostałem się na roboty publiczne, jakie magistrat miasta prowadził. Prowadzono roboty tak, iż siedemnastu pracowało w poniedziałek i wtorek, drugie siedemnastu we środy i czwartki, trzecie siedemnastu w piątek i sobotę. Wszystkiego pracowałem na robotach publicznych dwanaście dni w ciągu całego lata.

W ciągu żniw zarobiłem kilkanaście złotych przy sieczeniu zbóż, w jesieni przy kopaniu kartofli, młocce i innych drobniejszych robotach. Trzy korce kartofli mieliśmy nagromadzone, które podczas kopania dostaliśmy jako taki dodatek do naszej pracy.

Z lasu nanosiłem drzewa podczas dni wolnych od zajęć, a było ich wiele. To też miałem tyle drzewa, że w mieszkaniu małem, ciepłem, starczyłoby na całą zimę. Ale w naszej izbie, a raczej sali — obielonej, już trochę przyjemniejszej niż dawniej — trzeba by dziesięć razy tyle, by w zimie palić tak, ażeby w wiadrze nie marzła woda. Zapas drzewa jest dość duży, ale za mały, by ogrzać naszą lodownię, w której się pali, lecz nie czuć ciepła.

Nadchodziła zima. Drzewa stawały się nagie bez liści. Myśl nasza zajęta była tym, jak dostać pracę i gdzie ją dostać, by dzieci nie płakały głodne, by miały w czem chodzić, by nie marzły w zimie. Oto czem są zajęte myśli bezrobotnych. Oto dążenia bezrobotnych rodziców. Wszystkie myśli, wszystkie dążenia skierowane są ku zdobyciu chleba.

Oto dlaczego ta piękna, wymowna wiosna, nic nam stroskanym nie mówi, oto dlaczego jest dla nas niema, głuchą pustynią.

V.

Nietylko my ludzie starsi, rodzice naszych dzieci, na których ciąży obowiązek, nie mamy czem witać piękna — wiosny, ale i dzieci nasze odnoszą się obojętnie do tętna życia — wiosny. Bo wiele jest smutku i żalu w życiu naszych dzieci, my rodzice pragniemy ukryć przed naszymi dziećmi ich niedolę, chcemy pozwolić im być dziećmi, staramy się sami weselić, by rozweselić nasze dzieci — lecz napróżno, dziecko głodne, zziębnięte, widzi w nas tę sztuczną wesołość, wesołość dla rozweselenia ich — nie przyjmuje w siebie tej sztucznej wesołości, bo to dziecko nie jest nigdy dzieckiem... Od najmłodszych lat swego dzieciństwa widzi łzy, troski i utrapienia swoich rodziców. A jakże to pięknie być dzieckiem. Ale dzieckiem, które nie wie co to troska o jutro, zwątpienie rodziców, smutki i tragedje.

Dziecko bezrobotnych rodziców jest tylko z wyglądu dzieckiem. Jest szczupłym, mizernym, bladym, z chorobliwym wyrazem twarzy. Pod czaszką tego dziecka kryje się wiele przeżyć smutnych, bolesnych, wiele rozpaczy, bólu i mąk. Ono nigdy swawolnym, wesołym nie jest. Dzieci z wyglądu, postęпки nie dzieci, lecz raczej starców.

W początkach naszej nędzy dzieci płakały gdy chciały jeść. Płacząc włóczyły się po izbie i potraçały się wzajemnie, co wywoływało jeszcze większy płacz i rozdrażnienie. Matka biła je na oślep, po ciemku — bo rzadko wieczorem światło rozjaśniało naszą wielką lodownię — chcąc je ukarać. Ale gdy płakały coraz to głośniej, zapłakała sama. Siadła na kamieniach, obejmowała je, dzieci przytuliły się do niej i wszystkie czworo płakali rzewnie i długo.

Później już nie płakały. Zrobiły się posępne, milczące. Twarze ich jakgdyby z marmuru wykute, oczy rozwarte, w których ciągle maluje się przestach. Wiele smutku, bardzo wiele można wyczytać w oczach tych dzieci, gdzie dawno, dawno nie gościł na ich twarzach uśmiech, gdzie wszelka radość znikła, wygnana przez głód i bezrobocie.

Oto są dzieci nasze, dzieci bezrobotnych rodziców.

Więcej w ich życiu smutku, cierpienia i boleści niż zabaw i wesołości — po tysiackroć więcej.

VI.

Drugą z kolei zimę przepędzamy w tej oborze p. * * * którą nam zaofiarował wtedy, kiedyśmy się znajdowali w zimie bez

dachu nad głową. Żadnego komornego nie pobierał p. * * * ale ja sam i często żona moja stale coś nie coś robimy, czem płacimy za dwie podobne obory. Wszystkich sił dokładaliśmy, by za wszelką cenę wydostać się z tej nory, lecz napróżno. Jesteśmy oboje bez pracy. A pracując dorywczo, trochę w lecie, trochę w zimie, jesieni, zarabiamy zaledwie za dużo, aby umrzeć z rodziną, zamało, by znośnie żyć, a mowy być nie może, by coś odłożyć na mieszkanie.

Żona raz na dwa tygodnie idzie do naszej gospodyni prac. Dostaje trochę kartofli, mąki, kaszy, torfu. Ja złapię od czasu do czasu gdzieś młockę, przez dzień lub dwa w tygodniu zarobię pięć, a najwyżej sześć złotych i tak za tę parę złotych żyjemy z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień.

To jest położenie smutne, więcej niż smutne, to położenie okropne. Czytanie tego opisu nie zastąpi naocznego świadka, który może widzieć wszystko własnymi oczami. Im świadek będzie miał oczy więcej przenikliwe, tem więcej zobaczy. A ja to widzę, więcej niż widzę, przeżywam, ale piśmiennie trudno mi jest oddać co widzę, dać fotografię tej smutnej rzeczywistości.

Myślałem, że po burzy — redukcji — nastąpi jasny i piękny dzień w mem życiu, że prędko zapomni się o pustce jaką wyrządziła redukcja, lecz omyliłem się. Jesteśmy w nagich, brutalnych ramionach nędzy. Im dłużej, tem bardziej, tem bezwzględniej, tem brutalniej gniotą nas owe ramiona.

Tak cierpię, cierpię z rodziną bardzo!

Ale nie tylko cierpię ja, cierpią inni, cierpi kraj! A ja, to częśćka całości — kraju. Ja cierpię? Tak. Ale cierpią inni. Cierpi kraj! I ja cierpię za innych i za kraj. Kraj mój wytrwa, przewycięży, poprawi się w kraju — tym samym poprawi się i mnie — bo jestem częścią całości.

Tymczasem cierpię, cierpią inni, cierpi kraj. Bo życie nie zna litości ani względów — ono zna tylko ciągły swój bieg.

* * *

Autor powyższego pamiętnika załączył do niego opis życia bezrobotnej rodziny K. Opis ten podajemy poniżej.

Po wejściu do mieszkania ukazuje się oczom naszym wewnątrz izby zdradzające nędzę skrajną: łóżko, tapczan, na środku wielka skrzynia nakryta niebieskim papierem — to stół, dwie ławki, które

służą za krzesła, w rogu mała szafka i opodal mała kuchenka żelazna, na ścianie wiszą obrazy: Matki Boskiej i Pana Jezusa — oto umeblowanie tej izdebki; zamieszkują tam cztery osoby: mężczyzna, kobieta, chłopczyk i dziewczynka, dzieci tych dwojga ludzi.

Mężczyzna ma lat 45, a wygląda na przeszło 50, kobieta ma lat 38, a wygląda na przeszło 50; twarz pokryta zmarszczkami, porwana bruzdami, włosy siwe jak u staruszki; chłopczyk ma lat dziewięć i tak też wygląda; dziewczynka ma lat pięć, a wygląda znacznie starzej, z wielką głową, z jasnymi oczami, w których już czai się śmierć, to nie dziecko, to upiór, to skorupa dziecka, to dzieło warunków w jakich żyło od przyjścia swego na świat, a szczególnie te dwa lata bezrobocia jej rodziców wywarło swe piętno na twarzy tego dziecka.

Codzień to słabsza, codzień to bardziej blada, więcej twarz tej dziewczynki robi się przezroczyta, tak przezroczyta, iż zda się przez skórę widać krew, która codzień to wolniej obiega.

Matka tego dziecka, to była nauczycielka miejska. Straciła posadę w 1929 r. na skutek braku wykształcenia, jakiego się dziś wymaga. Potem kilka miesięcy pracowała u notariusza, ale znów została zredukowana z braku zajęcia dla niej i znów znalazła się bez posady. Pobierała dziewięćmiesięczną zapomogę. A teraz już dwa lata blisko nie ma posady, nie ma grosza dopływu. Mąż również bez zajęcia.

Jedynym ich utrzymaniem jest to, że mąż wyrabia słomianki, które później roznosi po domach, po targu, sprzedając jak może najdrożej, ale częściej jak może najtaniej. W ciągu tygodnia sprzedaje od piętnastu do dwudziestu słomianek i z tego żyją. Żyją nędznie, ubogo, tak ubogo, iż trudno sobie wyobrazić. Śniadanie ich odbywa się pomiędzy jedenastą a dwunastą w południe i składa się z miseczki żytniej zupy okraszonej olejem lub łojem i kilku kartofli. Chleb jedzą raz, a najwyżej dwa razy w tygodniu. Obiad zaś odbywa się pomiędzy czwartą a piątą wieczorem, składający się z takiej samej miseczki barszczu z kartoflami. Oto codzienne, tygodniowe, miesięczne, całoroczne niemal ich życie. Tam niema świąt, tam niema niedziel i być nie może, bo tam zawsze te same potrawy. Z tego co zarobią trzeba nietylko żyć, ale również odkładać na kupno nowej słomy, z której wyrobić trzeba nowe słomianki, któreby przyniosły nowy zysk — jedyne ich utrzymanie. Na życie całotygodniowe wydają na swoją rodzinę pięć - sześć złotych, a najwyżej siedem — więcej nie mogą, bo trzeba zostawić na kup-

no słomy, która niemniej kosztuje od ich całotygodniowego utrzymania.

To też spojrzeć na tych ludzi, a zwłaszcza na matkę i tę małą dziewczynkę, to ukażą się nam nie ludzie, ale szkielety ludzi, nie ludzie, lecz cień ludzi. Codzień w tych dwóch istotach, matce i córce, mniej życia — proces obumierania idzie w szybkim tempie. Te dwie istoty zagasną, zanim zobaczą słońce wiosny. Te dwa cienie ludzkie, to symbol żywej nędzy. Nie, to nędza sama.

Ta mała dziewczynka często ma jakieś napady — widziałem pewnego razu histeryka i sądzę, że są to również napady hysterji — rzuca się, ryczy nieludzko, rzezi, przewraca, tłucze wokoło wszystko, trwa to godzinę i więcej. Po tym napadzie trzy-cztery dni ledwo się rusza, błędnie wodzi wzrokiem, ale nic nie pamięta.

Patrzenie na mękę tego dziecka jest widokiem smutnym, bolesnym — patrzenie na to, to katowanie samego siebie, to rozsadza wątłe nasze piersi, każe tętnić naszej krwi spienionym galopem, każe sercu bić werblem głuchym, urywanym i gniewnym lub stawać, marznąć krwi naszej w żyłach.

Godzina szósta wieczór tam ciemno, wszyscy śpią. Nie, nie śpią, tylko leżą, żadne nic nie mówi, cisza, cisza grobowa. Każde z nich ma jakąś troskę, każdemu coś dolega, dokuczają, trawi, pożera, lecz nie śpią, bo spać nie mogą. A noc, noc cicha jak grób, długa, jak wieczność, a oni nie śpią, bo zimno ich muska, głód ich pożera.

W rogu tej izby, zgarbiony człowiek siedzi nad swoim warsztatem od świtu do zmroku i plecie warkocze ze słomy, a później tka, ciągnie, ubija, piersi zapadłe chwytają powietrze, skroń pot oblewa, to znów prostuje wychudłe, zmęczone ramiona. To ojciec rodziny. Pracuje, pracuje, by jaknajprędzej wyrobić wszystkie plecionki, by potem móc ruszyć w drogę, chodzić od domu do domu wołając: Słomianki, słomianki!

W mieszkaniu zimno, palą tylko wówczas kiedy gotują, a mieszkanie dość obszerne stoi cały dzień zimne jak kamień przydrożny. Nie mają za co kupić węgla lub drzewa, zarobek ich starczy zaledwie na życie takie, które nie pozwala im już umrzeć, palą tym węglem, który ich synek ueziera na szosie, który złata z wozów, jadących z kolei do składów. Ale tego można uezierać bardzo mało, bo i tu jak wszędzie więcej rąk do zbierania węgielków, które spadają z wozów, niż samych węgielków.

Siedzą wszyscy owinięci w łachmany, skuleni z zimna, z zsiniałymi twarzami, siedzą i patrzą przed siebie. Żadne nie mówi nic.

O czym myślą ci ludzie? Zapewne o swojej doli, o swoim nędznym położeniu. Może o tem, czy ojciec ich sprzeda kilka słomianków, czy nie? Czy będzie można kupić trochę mąki na zupę? Czy będą jedli, czy też pójdą spać głodni?

Położenie tych ludzi jest nader krytyczne, opłakane. Ubrania się im wydarły, pozostały tylko łachmany. Zdrowie uciekło wygnane głodem, ciało opadło, zostały szkielety ludzkie. W całym mieszkaniu widny jest głód. Ludzie marzną w dzień głodni, zmartwieni, ze zmrokiem cichną tam uderzenia żelaznego pręta ubijającego słomianki, gasną powoli, robi się cisza, nędzarze ci padają na swe barłogi, bo w mieszkaniu zimno, niema światła, leżą zmęczeni, wyczerpani, a w nocy wygłodniałych, zmęczonych bezsennością, tropi głód żołądka.

Oto życie bezrobotnej rodziny K.

Ozorków, dn. 8 stycznia 1932 r.

Pamiętnik Nr. 25

Żona rytmownika
zamieszkała w Kaliszu

Wigilja 24 grudnia 1929 r.

Mąż mój wraca z pracy jak zwykle, ja na przywitanie mówię mu: — Patrz, kupiłam chojnę i dałam zarobić najbiedniejszemu 50 gr. za przyniesienie jej! — A mąż mi ze smutkiem na to: — My od dziś też należymy do najbiedniejszych. Jestem zredukowany! — Nie wiedziałam co mam na to odpowiedzieć. Przecież to pierwsza gwiazdka, którą mamy wspólnie spędzić, przytem i siostra moja z mężem i dzieckiem ma przyjechać do Kalisza do swej teściowej, więc i u nas będą. Nowy Rok za kilka dni! Moc zobowiązań, co tu robić? Sto myśli na minutę, nie, mało sto, tysiąc i to nic z tego, co tu zacząć? Co tu począć? Głowa pęka! Nie dlatego, że nie mogę świąt wyprawić! Nie! Przecież już jest wigilja, a ja nic nie mam przyszykowane, nie piekłam, święta miały się odbyć jak zwykle inne dni, a za tę tygodniówkę miałam sobie kupić śniegowce, ciepłe pończochy i rękawiczki i z tem czekałam ostatniej chwili i jakie szczęście, bo przecież te pieniądze przydały się na dalszy ciąg życia. I o te drobiazgi nam nie szło, gdyż były jeszcze poważniejsze zmartwienia.

Otóż jesteśmy małżeństwem od 6 kwietnia 1929 r., a ślub nasz i skromne przyjęcie, na jakieżesmy się zdobyli, było to wszystko za pożyczone pieniądze, ponieważ ja od kilku miesięcy byłam bez pracy, więc i bez grosza, nawet kilka złotych miałam długu, a mąż tak samo był bez pieniędzy jak i ja. Pomimo stałej pensji, która wynosiła tygodniowo 84 zł., i prócz tego zarabiał poza fabryką, gdyż pracował na własną rękę w domu. Ale że przez cały przeciąg czasu jak tylko zamieszkuje w Polsce, to jest od października 1925 r. dopomagał rodzicom i rodzeństwu, którzy wszyscy wrócili w tymże roku z Niemiec do Polski i którym było bardzo ciężko przyzwyczać

się do warunków wszelkiego rodzaju, jakie tutaj panowały, z tego oto powodu mąż był tak samo jak ja bez pieniędzy. Lecz się tem nie przejmował zbytnio, przecież był na stałej posadzie! — Nikt nie będzie pracował, ale ja będę! Tak mi pan Dyrektor mówił, wtedy kiedy miałem angażę do jednej z firm łódzkich na znacznie lepszych warunkach, bo 100% więcej, lecz z różnych przyczyn pozostałem! — Tak mi stale mąż mówił i odrazu bez żadnych przyczyn został zwolniony. I to nie byłoby tak straszne, gdyby nie to, żeśmy na Kalisz tak mocno liczyli.

Więc ślub za pożyczone pieniądze? Ale wkrótce miał być urlop letni, liczyło się na to, bo pieniądze pieniędzmi urlopowemi, a tygodniówka swoją drogą. Jednak pech rządził od samego początku, właśnie w tym 1929 r. nie było dozwolone, aby urlopujący mógł pracować i przeszło wszystko tak, jak się to mówi koło nosa. Na tem nie koniec, bo w tym domu, gdzie ja zamieszkiwałam, zarywał się dach już na dobre, jak deszcz padał, to i w mieszkaniu było pełno. Ale myśmy i tem się wiele nie przejmowali, gdyż nasz program był mniej więcej taki, aby pospłacać długi jaknajprędzej i zarobić trochę grosza na inne mieszkanie, no i też zarazem inne urządzenie, jednak i to nam nie było sądzone, nasz pan gospodarz po krótkiej naradzie ze swojemi córkami postanowił mi podwyższyć komorne z 8 zł. na 20 zł. i przytem jeśli będę potrzebowała piwnicę, którą miałam pod swoim kluczem, opłacać osobno. Widząc to, że człowiek sobie z tego niewiele co robi, więc szuka okazji do awantur, w końcu zaczął wykrzykiwać, że taki hrabia powinien mieszkać w salonach! Tego wszystkiego było za wiele, w końcu nie do zniesienia. Niema innej rady! Trzeba zmienić mieszkanie! Ba, ale przecież mamy jeszcze do spłacenia 150 zł., a na mieszkanie potrzeba też pieniędzy. Zaczyna się latanie, szukanie, zmartwienie i t. d.

Nareszcie jest mieszkanie za 900 zł. zgóry. Po długich pertraktacjach, trochę protega i mieszkanie zgodzone za 500 zł. zgóry i od zaraz komorne miesięcznie 35 zł. Znów latanie, staranie się, ale jest gotówka 500 zł. na procent od 100 — 3%, to miesięcznie sam procent 15 zł. i 650 zł. całej sumy, to jest długu, swoim porządkiem do spłacenia. A wieczorami, czyli u siebie w domu mąż od kilku miesięcy nie pracuje z powodu słabego wzroku (jest niebezpieczne), więc tylko z tej pensyjki trzeba dzielić. Wszystko byłoby niczem, gdyby praca była nadal. W tym jednak czasie, od października do grudnia mąż był w domu, gdyż skaleczył sobie rękę tak strasznie, iż musiał pozostać na kuracji przez całe sześć ty-

godni, choć Kasa Chorych płaciła, ale zaledwie 60%, więc przez sześć tygodni wypada 120 zł., znów człowiek stratny. To jest przyczyna naszego zmartwienia. Bo głód mojem zdaniem to jeszcze nic. Cóż głód może? Chyba, że się z głodu skona i skończy się wtedy wszystko, ale dług! Ten straszny dług, to jest okropniejszy niż głód. Tak jest właśnie wigilja, mąż przyszedł z tą oto straszną wiadomością: — Dziś ostatni dzień pracowałem!

Jednak po wspólnej naradzie, mąż udaje się jeszcze tego samego dnia do p. dyrektora fabryki i pyta z jakiej racji, dlaczego, co i jak. Pan dyrektor wywiązał się z tego zadania bardzo łatwo, każe mężowi przyjść do pracy 7 stycznia 1930 r. Po tej wiadomości jest nam troszeczkę inaczej, jednak jak mąż tak i ja przeczuwamy coś niedobrego. Najważniejszym jest to, że 1 stycznia 1930 r. musimy zapłacić komorne, procent i jeden weksel na 100 złotych trzeba wykupić.

W pierwsze święto mam gości: siostra z rodziną, w drugie tak samo, a na wieczór myśmy proszeni do znajomych, w trzecie mąż wyjeżdża do Łodzi względem pracy, lecz wraca tego samego dnia, ponieważ święta i nikogo niema. 1 stycznia 1930 r. mąż idzie do wszystkich i przeprasza, że się nie może wywiązać z zobowiązania punktualnie, ale jak tylko zacznie pracować, to zaraz ureguluje i wszyscy na to: — Ależ dobrze, z całą przyjemnością Panu już chyba można zawierzyć!

7 stycznia 1930 r. Od dwóch dni siostry już niema. Mąż w fabryce rano jak zwykle, lecz tam cicho i zimno wszędzie, wtem zastępuje drogę zarządzający i mówi: — Panie K... dziś Pan jeszcze nie zacznie pracować, bo jak pan widzi, zimno, wszystko stoi, 11-go pan zacznie napewno. Po tej wiadomości robi nam się raz zimno, to znów gorąco, teraz odchodzi rozum od głowy, co tu robić? Z Łodzi ma nadejść wiadomość, którą się zajął męża dawniejszy współpracownik i na niego można polegać jak na samym sobie. Jednak pech! Jak nic, tak nic. W tym jednak czasie wyczytałam w gazecie, chyba już dziś wszystkim znana maszyna pończosznicza i czytam: »Można zarobić 300 zł. i więcej miesięcznie, a towar na tej maszynie wyrobiony, no i przytem gwarancja zapewniona«. Więc coś więcej potrzeba? Chyba że pieniędzy na zakup. Skąd ich teraz wziąć? Długu przecież tyle! Ale dłużej tak czekać nie można, każdy dzień kosztuje, trudno jakoś radzić musowo, koniecznie! Piszę list do mojej siostry, która jest właścicielką małej cukierni w Warszawie i która ma z pół tuzina osób z rodziny jak z mojej tak z męża jej strony, którym musi nie tylko pomóc, ale wprost się opiekować, nie

chcę i ja jej zmartwienia przysporzyć z mojej strony! Przecież tak jak ona, tak i ja mam męża, ale trudno, niema innej rady, chyba nie na długo, przecież praca będzie, nie w Kaliszu i w Łodzi, a tymczasem możemy wspólnie robić pończochy, przecież takie dogodne warunki, niema się co namyślać i proszę o pożyczkę o 500 lub 400 zł. na bardzo krótki czas. Po kilku dniach są pieniądze — 400 zł. Teraz mąż idzie na pocztę wysłać. Przedtem jednak pisaliśmy do Poznania do filji tejże firmy po informacje. Pieniądze 340 zł. na kupno maszyny, 300 zł. weksłami, 29 zł. na przędzę.

Dnia 11 stycznia 1930 r. mąż znów w fabryce, lecz usłyszał tę samą odpowiedź — Coś zepsute, coś nie w porządku i t. d. niech pan przyjdzie 25 stycznia 1930 r. — Tak, teraz rozumiemy, że to są żywe żarty z człowieka, a teraz, bo cóż? I również oczekujemy wiadomości z Łodzi, no i z firmy S-ka i Kalisz w Cieszynie co do tej maszyny. Minęło okrągłe 11 dni, któreżemy przeżyli, nie daj Boże nikomu takiej niepewności, mąż latał gdzie tylko mógł, aby sprawdzić, czy firma taka a taka egzystuje, nareszcie piszę do firmy i potem jest odpowiedź z rachunkiem i warunkiem, a maszynę w dwa dni potemu odebraliśmy ze stacji, naturalnie za opłatą, koszta etc. pękło znów kilkanaście złotych, które żeśmy musieli pożyczyć, ale dzięki Bogu maszyna jest już w domu, nowa, ładna, mała maszynka. Ale to przecież takie maleństwo, za co tyle pieniędzy? 700 zł. to chyba skandal!

Teraz trzeba ją zmontować, męczymy się, jednak do końca nie można dojść.

25 stycznia mąż w fabryce, powtarza się ta sama historia. Widzi Pan, tak się coś nie szykuje, fabryka będzie dłuższy czas nieczynna, więc niech pan idzie na zapomogę. Lecz dziś na zapomogę? Po pięciu tygodniach w biurze nawet słuchać nie chcą! Mąż jednak stara się, lata od urzędu do urzędu, jednak nic z tego, za późno! Takie przygody jedne po drugich, a z tego powodu to zmartwienie, rozpacz, co serce kraje! Ręka ludzka nie jest w stanie tak tragicznie opisać, jak człowiek tragicznie przeżywał. I nikt nie jest w stanie zrozumieć i odczuć ból ludzki, jeśli sam nie przeżywał, to jest to samo, jak syty głodnemu nie wierzy.

Już trzeci dzień montujemy maszynę, lecz z samouka nie można się zupełnie dobrze orjentować, sprowadzamy dobrze znajomego montera, który doprowadza w krótkim czasie do porządku, ale na tem nie koniec, pierwsze jak zobaczył tę maszynę, to najzwyczajniej splunął, a co się denerwował, tego już pisać nie będę.

zgóry nam jednak powiedział: — Toście się wpakowali! — Wtem ja się odzywam: — Co nam to szkodzi, co za towar będzie, grunt, że oni skupują wszystek towar na tej maszynie wyrobiony. — Po dobrej godzinie monter zrobił pończochę i skarpetkę (specjalista trykotarski), uczy, poucza, tłumaczy, wszystko bardzo chętnie i tak powiedzieć raz, dwa i już umiem, robię sama, monter podziwia. Skończona lekcja. Pieniądzy nie żąda, lecz pieniądze kosztowało. Rozpoczyna się korespondencja z firmą, przesyłka próbna jedna po drugiej, a za każdą razą zwrot. Naturalnie zawsze pod jakim pozorem niedobra. Specjaliści robienia pończoch z tego powodu częściej zaglądną do naszego domu, z prasowaczką na czele i to nic nie pomogło. Wciąż jak niedobrze, tak niedobrze. Każda próba przychodzi z powrotem. (Chociaż poczta z tej okazji zarobiła). Rozpacz coraz większa, która doprowadza nas do szału. Pierwszego marca przypada jeden weksel już na 50 zł. do wykupienia za tę właśnie maszynę, a weksel na 100 zł., komorne, procent oraz siostry pieniądze nic nie płacone, w dodatku od stycznia na życie, opał, drobne wydatki, połączone z maszyną, zaciąga się dług u znajomych, z nadzieją, że wkrótce się wszystko ureguluje. Ale tak tylko można sobie myśleć, gdyż los wybrał sobie inną drogę do przejścia. Z Łodzi nie tylko, że nic, ale dostajemy wiadomość o ciągłej redukcji dalszych rytowników, którzy tak samo byli pewni — jak my — stałej pracy.

Nadziei z nikąd niema. Pomimo, że się wysyłało listy we wszystkie kierunki, nie pominawszy nikogo, nawet nie raczyli odpisać prócz dwóch firm łódzkich. Na tę przeklętą maszynę niema co liczyć, gdyż wyrobione na niej pończochy z ich prędkości, w dodatku tak strasznie drogiej, wyglądają jak najordynarniejsze drelichy, więc któż mi taki towar kupi? Kupcy byli, oglądali, ale szkoda słów. Niema więc innej rady jak maszynę oddać z powrotem i z tą myślą piszę do firmy, a jeżeli nie zgodzą się, oddam ich pod sąd. Na to dostaliśmy wiadomość, że maszyna po sprzedaży nie ma dla nich najmniejszej wartości, maszyny nie odbieramy, choćby była nawet wysłana pod naszym adresem. Radzi nie radzi żeśmy ją spakowali i postawili w kącie w kuchni i oto stoi sobie bardzo spokojnie do dziś dnia, na życzenie mogę pokazać, co już miało miejsce, kilka razy w tym czasie zjawiali się kupcy, który pierwszy z nich po obejrzeniu jej jak poszedł, tak do dziś dnia go nie widać, a drugi znów dawał nam 35 zł., na co myśmy się nie zgodzili, ponieważ podaliśmy ostatnią cenę 80 zł. i również ten jak poszedł się radzić, tak więcej do nas nie trafił. Tymczasem czas leci, nadszedł 1 marca, przy-

słali weksel na 50 zł., który rzecz zrozumiała, że poszedł sobie z powrotem, bo z czego? A gospodarz i ten pan o procent coraz częściej na pięty nachodzą, a my nie zważając na nic zaciągamy coraz to większy dług gdzie się da, bo jeść się chce! Mąż bez obuwia. wierzchy jakie takie, ale spód formalnie bez zelówek. Zima jest jeszcze, a on chodzi w skarpetkach, nakrytych cholewkami, skarpetki nie cerują już, bo nie mam bawełniczki, a ponieważ chodzi bez zelówek, więc codziennie świeże dziury, bielizny prać nie mogę, bo nie mam na węgiel i mydło, dzień za dniem schodzi, nędza coraz większa a grosza dochodu znikąd.

Z męża pozostaje cień, który się stale błąka po ulicy, aby nie patrzeć na żywego trupa, to jest na mnie, która jestem szara jak ziemia, czy też popiół i na tej szarzyźnie codziennie to większa, nie wiadomo skąd plamy świecące żółte, no i do kompletu oczy (mówią, że czarne, lecz nie są czarnymi), czarne, duże, nie smutne, lecz wprost zdziczałe, które robią wrażenie napewno obłąkanej, do której nie tylko znajomi nie mogą przywyknąć, lecz własny mąż przed niemi ucieka. I błądzi gdzieś! Błądzi po ulicach zgłodniały, zziębnięty, bo można śmiało rzec, że boso stąpa i wypatruje, ale czego? Chyba wyjazdu do Francji? A przecież na ten wyjazd nie on jeden czeka, lecz tysiące, tysiące wygląda lepszego jutra! Jest już 1 kwiecień, nadszedł drugi weksel na 50 zł. z firmy Kalisz i S-ka, również i ten pan o procent przychodzi z drugim wekslem, co był tak samo wystawiony 100 zł. na 1 kwietnia, to już są dwa po 100, jest 200 zł. Procent za cztery miesiące po 15 zł. to jest 60 zł., tak samo komorne 140 zł., nie wspominam sklepik, węglarka i inni znajomi. Niema innego wyjścia jak samobójstwo. Z męża pozostała cień, a z tej cieni więcej nikła cień, człowiek wysoki, przystojny i nieźle się prezentujący, tak z tego właśnie człowieka liczącego zaledwie 25 lat pozostała cień, ale i ta cień nie może się więcej pojawiać między żyjącymi, bo ją chcą rozdrapać, gwałtem rozdrapać, nie kto inny, jak tylko wierzycciele. Muszę powrócić do pierwszych dni marca, kiedy nam radzili, aby udać się z prośbą do p. Ministra Opieki Społecznej, wówczas urzędował p. Prystor, a obecny p. Premier. Posłuchałem dobrych rad i napisałem właśnie prośbę, w której w skróceniu przedstawiłem nasze położenie licząc na pomyślność i wyrozumiałość ze strony Pana Ministra. Odesłałam list, który znów pociągnął za sobą koszta, ponieważ był list polecony. Teraz z nadzieją i biciem serca wygląda się z dnia na dzień jakiejś wiadomości, a od tej chwili mąż chodził stemplować, nastemplowali

mu od 6 do 8 stempli, dokładnie już dziś nie pamiętam. Nareszcie! Ach, nareszcie jest jakaś wiadomość, że mąż ma stanąć dnia tego a tego, to trwało od dnia zawiadomienia jeszcze dwa tygodnie, na Komisję, bo tam tą sprawę mają rozpatrzyć (czy wogóle warto przyznać jakąś stawkę przed skonaniem, czy też nie warto). Tymczasem na oznaczony czas nie zeszli się wszyscy naturalnie, tylko ci panowie co tworzyli Komisję, bo bezrobotny tam był już przed czasem i rzecz zwykła, która ma miejsce na porządku dziennym. Odwołano — minął tydzień znów okrągły, mąż mówi chyba dziś już coś będzie, a wierzycielom żeśmy kazali przyjść na oznaczony czas, a i owszem, wszyscy są, tylko niema pieniędzy i męża. Po długim wyczekiwaniu i mąż się zjawia, myśmy go obścibali z radością, a on nas nie widzi, nie słyszy, błądy jak płótno i pada bez życia, można powiedzieć. To właśnie świadectwo dało nam do zrozumienia o rezultacie jaki wynikł. Więc i z tej strony zawód! Do rodziny się nic nie pisze. Głód i nędza nie mogą przewyciężyć ambicji, nikt nie przeczuwa, co my przeżywamy. Dwa tygodnie przed Wielkanocą dostajemy zaproszenie na ślub mojej siostry, ostatniej i najmłodszej w Warszawie. Mnie nawet wiele nie rozczula, ale męża zato, miałam wrażenie, że traci rozum, teraz nie wiem co robić? Czy wołać na całe gardło: Ratunku! Pomocy! Czy też nic nie mówić, tylko go dobić, tak jest, dobić, jak konające zwierzę, czy też bydłę, bo zabijając nie było co, można było tylko dobić, a potem i siebie. O rozpaczy! O zgrozo! Czyż niema śmierci na cię? I z naszego dotąd tak szanującego się małżeństwa dochodzi do coraz to częstszych awantur i gwałtowniejszych. Tak, to wszystko wywołuje głód i nędza. Niema nic na świecie poza pieniędzmi, zgoła nic! Nie wierzę w żadne świętości, w żadne nic i od tej pory jestem tak obojętna na wszystko, ale to na wszystko! Żyję jak martwa, czuję jak martwa i wszystko jest dla mnie martwe, jedynie ambicja, którą posiadam, czuję, że jeszcze żyje, a byłabym bardzo szczęśliwa, gdyby i ona ta ambicja właśnie umarła, może jabym wtenczas trochę odżyła, ale to jest jeszcze wielki znak zapytania. Nastał kwiecień. Kwiecień w pełni, dosyć pogodno, a nawet ciepło, jestem z tego powodu rada, bo przecież cieplej i mąż nie będzie tak strasznie marzył przy swoim spacerze na bosaka, a przytem słońce daje ludziom trochę otuchy, trochę nadziei, pomimo, że z każdym dniem człowiek się zadłuża. Maj za kilka dni, a z majem nowe zmartwienie, te przekłete zobowiązania. Odwiedza znów nas ten pan o procent i mówi nam:—Czekam okrągłe 10 dni, * jak pan nie będzie mógł się wywiązać, to

idę prosto do żyranta i jemu włożę na hipotekę. Gdy to wysłuchała, wolałabym, ażeby mnie lepiej tępem narzędziem w samo serce pchnął, to był koniec przywiązany do szyi, więcej mi nic nie było potrzeba. Jednak i ten moment się przeżyło i przeszły te nieszczęsne 10 dni, a nastąpił dzień ostateczny, przytem znikąd ani grosza, co było latania, starania, napróżno jednak wszystko. W ten oto ostateczny dzień od samego rana mąż lata za żydkami, ażeby sprzedać ostatnią pierzynę, albo też maszynę do szycia. Owszem na pierzynę znalazł się kupiec, który mi dawał za całą pierzynę 22 zł. (puchową), do której zaraz po ślubie dosypałam świeżego puchu za 35 zł. i za tę właśnie pierzynę dostaję 22 zł., a mam do zapłacenia 75 zł. Jednak nie namyślały się długo, dobija się targu i żyd pierzynę na plecy zabiera, a mąż za nim po owe 22 zł. i wyspę, tymczasem jak prędko wyszli, tak jeszcze prędzej wrócili, ponieważ wszystek puch, jaki się okazał, nie był świeży, z tej racji pierzyna nie jest więcej warta jak z górą 15 zł. Skandal! Z takiego to powodu pierzynka rada nie rada poszła na swoje łóżko. Na maszynę kupca nie można złapać, nawet nie raczą przyjść zobaczyć, jednak jest to ładny mebel firmy Singer, najnowszy system. Wieczór się zbliża i znikąd nic, ale pędzę jeszcze do jednej dobrej znajomej i proszę ją nad wszystko, jednak i tam nic. Wierzę jej, że nie ma, bo stale sama pożyczka. Popłakała się wprost nademną, radzimy, lecz nic nie możemy poradzić, jak pieniędzy niema, to i rady niema, chce mnie częstować, lecz dziękuję stanowczo, choć nic jeszcze tego dnia nie jadłam, ale jak tutaj jeść, jak jakaś kość w gardle stoi i tylko z trudem łyżę przepuszcza. W końcu spogląda mi na nogi, na których miałam farbowane brokatki i zaczyna mnie przeproszać, abym się nie obraziła, że mi nie może dać nowe buty, ale powiada: — Mam widzisz te bronzowe sportowe, ja już ich nie noszę, a jednak możesz lepiej w nich wyglądać niż w tych Twoich! — przytem całuje, przeprosza, abym się nie gniewała tylko przyjęła; na tę czułą propozycję chciałam wybuchnąć płaczem, głośnem szlochaniem, lecz o Jezus! Ambicja znieczuliła mnie, skamieniałam na oczekaniu, przyjęłam, podziękowałam i odchodzę, wtem mi mówi: — Idź do mego brata, on ma i napewno ci pożyczki. — Niema innej rady — idę. Nie zastałam tam jej brata, lecz tylko bratową, u których żeśmy już pożyczyci 125 zł., a ta właśnie bratowa odprawiła mnie wtenczas jak nigdy bardzo obojętnie i z niczem wracam do domu. Jest wieczór. Po krótkiej naradzie z mężem wybieramy się razem do tego pana. On nas wita uradowany: — A to żeście Państwo słowni! — Na

te słowa czułam, jak mnie ktoś za gardło schwycił i on to zauważył. Zmienił minę momentalnie, wtedy mąż zaczął, a ja mu pomagałam, przerywając łkaniem. Opowiedziałam wszystko cośmy dzisiaj chcieli sprzedać, aby jemu zapłacić, lecz rozczuliło go to wszystko i zaczął nam tłumaczyć jak mógł, ale jak tylko będą pieniądze, żeby tylko płacić (rzecz zrozumiała). Pokrzepieni na duchu słowami tegoż pana wracamy późno do domu, co było i jak było, zjadło się trochę, to jest pierwszy raz tego dnia, położyliśmy się spać. Po tych burzach i huraganach życiowych mąż dostaje wiadomość z Łodzi, że dostanie trochę pracy, którą ma u siebie robić. Radość! Razem z majem, słońcem, wiosną, zawitała i nadzieja. Teraz! Tak, teraz człowiek troszeczkę odetchnie, dzięki Ci Boże, po stokroć dzięki. Jednak cały maj minął i nic i czerwiec nadszedł i znów nic, a przecież każdego pierwszego nadchodzą weksle z firmy Kalisz i S-ka, bośmy ich wystawili sześć po 50 zł. każdego miesiąca jeden płatny.

Aż o rety! 25 czerwca jest telefon—mówi Łódź, chwała Bogu, może teraz coś będzie, lecę razem z mężem na pocztę, aby się prędej dowiedzieć o rezultacie i z radości nie słyszę nic. Tego samego dnia jeszcze mąż pożycza pieniądze na podróż i wyjeżdża do Łodzi, wraca drugiego dnia, przywiózł a konto roboty 80 zł. i pracę na jakieś 3 miesiące. Prócz tego adres do Francji bardzo dużej i poważnej firmy. 27 czerwca mąż siadł do pracy. Jeszcze dobrze nie zaczął, jest dzwonek, to właśnie gospodarz z dozorcą przyszedł wymówić mieszkanie, narobił awantury i ze słowami: Niech inny gospodarz pana pół roku darmo trzyma — wyszedł. O Boże! I przy tej radości znów nożem w samo serce. Mąż pracuje, a ja nie chcę wcale z mieszkania wychodzić, żeby mnie wogóle nikt nie widział, ale tutaj koniecznie potrzeba wyjść po sprawunki, mąż nie ma czasu, wynika awantura, na którą odpowiadam: — Zabij mnie, a ja się z mieszkania nie ruszę...

Dni schodzą troszeczkę przyjemniej niż przedtem, w tym jednak czasie nawiązaliśmy korespondencję z ową firmą we Francji, po krótkiej pertraktacji ów właściciel firmy zgadza się na przysłanie zapotrzebowania już opłaconego również kilka franków na podróż. Zaczynamy przychodzić troszeczkę do przytomności, gdyż do tej pory żadne z nas nie było przytomne, swoim porządkiem, mąż stara się o papiery polskie, ponieważ jest urodzonym Hanowerczykiem, a jednocześnie Polakiem — z tego powodu ma straszne znów starania, te papiery mają kosztować przeszło 50 zł., a skąd ich wziąć? Choć się pracuje, znów latania, starania, aby tylko nic nie koszto-

wało, różne świadectwa, zaświadczenia, świadectwo ubóstwa i ten świstek żądali zdaje się, że ze 6 razy, a gospodarz kłął co się zmieszcilo. — Przecież pan pracuje, jak się dowiedzą, będę odpowiedzialny, to znów tylu mam bezrobotnych, i z żadnym tyle pisania co z panem. Wszystko trzeba było z pokorą i spokojem wysłuchać i przytem latanie i jeszcze raz latanie, męża nagłą z pracą, a mąż nagli o papiery, które nareszcie po długich lataniach dostał po trzech miesiącach i pomimo tylu świadectw ubóstwa musiał dopłacić coś około 10 zł.; mimo wszystko są nareszcie te upragnione papiery, praca się kończy, a z Francji nic nie widać, nie długo się namyślając mąż leci do francuski, aby list napisać i dowiedzieć się, co się znaczy? I o zgrozo! Ów właściciel firmy odpisuje, że Ministerstwo Francuskie nie dozwala na przyjazd emigracji do Francji. Spadł grom z jasnego nieba. Praca się skończy, pieniędzy odebrać nie można, choć dostaje się każdy tydzień kilka złotych a konto roboty na życie. Jednak z tych pieniędzy trzeba spłacić komorne, procent, żyć i choć bawełniczkę i mydło kupić, ale na te drobiazgi to ja już zarabiam szyciem. Tymczasem wszystko ustaje, nadchodzi Boże Narodzenie, zima, oj, ta straszna zima, pracy od czasu do czasu, coś niecoś, dobre i to, na gwiazdkę zamiast pieniędzy dostajemy weksel na 50 zł., głowę się łamie co z nim zrobić, są jednak jeszcze dobrzy ludzie, którzy go naturalnie to tylko grzecznościowo zdyskontowali. Z tej racji było co w święta. W styczniu 1931 r. czytamy w gazecie, którą się pożyczca od tych dobrych znajomych, że wszyscy bezrobotni, którym zapomoga się skończyła, niech się zgłoszą w teatrze (bo tam jest ich biuro) do dnia tego i tego, to będą dostawać każdego miesiąca deputat (bezrobotni nazywają to chrupą). Z tej racji na nas, jako na dwoje osób przypada za 20 zł. Dobre i to.

Tylko, że trzeba było składać ofertę w Magistracie, mąż każe mi pisać, ja nie mam chęci, mówią: — Tak nic z tego, zobaczysz, szkoda papieru! — jednak mąż nie dał mówić i napisałam. Przyznali nam, nie chciałam wierzyć. Stale się pytałam: co za wyjątek? z jakiej racji? Co miesiąc na nas będą łożyć 20 zł. I zeszedł zimy to, czyli ta chrupa, trochę nas ratowała. A kiedy nastąpiła redukcja pensji, również i redukcja chrupy o 15%. Przytem jeśli się też trochę grosza od czasu do czasu zarobiło, to się tak podzieliło — trochę komorne, procent, węgiel i życie, tak się żyło aż do kwietnia. W tym właśnie miesiącu, któregoś dnia mąż pojechał do Łodzi po pracę, a w tym czasie zjawiły się u mnie żydki, którzy męża szukali. Na odpowiedź, że go niema przyrzekli przyjść jak wróci. I sło-

wa dotrzymani, ale nie przyszli z robotą jak myśmy to liczyli, lecz tylko po poradę, a praca będzie też, ale dopiero w przyszłym miesiącu. I tą razą słowa dotrzymani, tylko, że ta praca była zwykłą reparacją. Jednak na nasz dług dobre i to. I lato nam zleciało jak wszystko inne wśród dalszych starań i zmartwień, w dodatku ktoś doniósł magistratowi, że mąż pracuje i chrupę jeszcze pobiera. Nie ma innej rady, trzeba zrezygnować.

Zarabiało się kilka groszy od żydków, kilka w Łodzi, żyło się, aby nie skonać. Komorne się nie płaci, miesiąc za miesiącem schodzi i składa się suma. Gospodarz oddaje sprawę do sądu. My nic o tem nie wiemy, 30 września dostajemy wezwanie do sądu. Oboje żeśmy osłupieli, jednak tak być nie może, trochę się nam należy z Łodzi. Trzeba jakoś radzić. Mąż gdzieś wyszukał darmo przejazd ciężarówką i pojechał w poniedziałek, a wrócił na pół żywy w sobotę rano i bez pieniędzy, zgłodniały, zbłocony, zaziębiony. Rozpacz spojrzeć na niego! Ale miał weksle na 300 zł. Z tych wziął 250 zł. i idzie do gospodarza, aby ten skandal odwołać. Udało mu się. Jednak, gdy nadszedł czas płatności, zostajemy zawiadomieni z Łodzi, że weksel musi pójść do protestu, po tej skandalicznej wiadomości mąż rad nie rad pędzi znów do gospodarza przeprosza i prosi o prolongatę, na co gospodarz po długich morałach się zgadza, pomimo wszystko liczymy już, że będzie można nie zaraz, lecz po trochu załatwić. Co daj Boże najprędzej. I listopad nie należał do pomyslnych, po ostatniej podróży do Łodzi mąż się ciężko rozchorował, po pierwsze przeziębienie, a po drugie był operowany na uszy, co pociągnęło za sobą i pieniędzy i czasu i też zdrowia. Co znów za legliśmy z procentem za dwa miesiące, a ów pan niecierpliwił się aż tak bardzo, że poszedł do żyranta i nie tylko narobił mu strachu, ale jeszcze wykrzyczał go jak śmiał się odważyć i takim krętaczom weksle żyrować. Ten znów nabił sobie głowę tak, że podobnie noc całą spać nie mógł. Na drugi dzień żona jego przyszła do nas. Gdy ją tylko zobaczyłam wyczułam, w jakiej sprawie przyszła.

I znów rozstrój nerwowy, czuję się ogromnie niedobrze.

Cóż człowiekowi zdrowie wróci?

Bo my pieniądze wszystkim oddamy co do grosza z wdzięcznością i podziękowaniem, ale kto nam odda zdrowie?

Tak tragicznie jak się przeżywa, opisać jest trudno, nerwy za bardzo stargane, gorączka idzie wzwyż.

Kalisz, dn. 16 stycznia 1932 r.

Pracownica
zamieszkała w Radomiu

Szary, zimowy mrok już zapadł, a z nim troski i ból niby całunem spowijają serca tych, co stanęli u kresu sił i lecą, zapadają w nicość, jękiem zbielełych warg zebrząc pomocy. Hej! jakże szybko zgasło szczęście, jakże szybko nędza wycisnęła krwawy stygmat na tak niegdyś rumianych twarzyczkach, gdy zabrakło słodkich, dbających rąk ojca. Niedawno przecież kochane te ręce spoczęły w mogile, a już czworo sierot poznało co łązy i nędza. Mamusia chora na serce, wątła, a ja najstarsza, osiemnasty rok licząca i dwu braciszków, malców jeszcze, którzy nie wiedzą co brak: — Mamusiu, ja chcę chleba, a po bladej twarzy mamusi płyną łzy. — Mamusiu, słoneczko, nie płacz, ja przecież jestem duża, silna, będę pracować, mówię i wybiegam sama z oczyma pełnymi łez. Lecz gdzie się udać, ha, tam gdzie wszyscy idą do biura pośrednictwa pracy. W biurze tłok niemożliwy, tysiące istot stoi godzinami z wyrazem jednym tylko na ustach, jednym pragnieniem, a nadzieja wkrada się do tych serc, maniac, że może dziś dostanę pracę. Stoję i ja, lecz daremnie, suchy, urzędowy głos niby zgrzyt straszliwy wpada w tkanki świadomości — niema, nic niema. Chwiejąc się wychodzę, by wrócić nazajutrz, usłyszeć ten sam głos, który tak mnie przeraża. Aż raz głos ten zabrzmiał jak najcudowniejsza melodia w mem sercu: — Praca jest, po informację proszę kierować się do pana M. Wybiegam jak wicher z nadzieją w sercu, łuną na twarzy. Nie zważam, że włosy całkiem się rozwiały, płaszczyk rozpiął, pędzę, by promyk lepszej doli wnieść w życie mych Kochanych. Daremnie p. M. oznajmia mi, że jeszcze nic pewnego, tak, że pozytywnej odpowiedzi dać narazie nie może, tak, że mogę się zgłosić dopiero za tydzień. Nie wiem jak żyłam ten tydzień, wiem tyle tylko, że w oznaczonym dniu już dwie godziny przedtem byłam na miejscu.

Pan M. przyszedł także, a ja w krótkich słowach odmalowałam naszą nędzę, widziałam, że nie słuchał, raczej wpatrywał się we mnie, lecz odpowiedzi nie dał. I zaczęła się męka czekania i chodzenia po odpowiedź. Nie baczyłam na mróz i w pantofelkach, płaszczyku wiatrem podszytym biegłam po upragnione: tak. Napróżno, stanowisko bogdanki otrzymaćbym mogła, pracy niestety nie. To jedno nielitosne słowo rozwiało jutrzeńkę nadziei i przywiodło ciemne korowody bólu. I nie płakałam, tylko usta zacisnęły się w niemem szyderstwie, a oczy zapłonęły blaskiem już nieukrytej nienawiści na widok tak przeogromnej podłości. Dopiero, gdy znalazłam się w kościele u stóp Zbawiciela, nienawiść pierzchnęła gdzieś, a z oczu popłynęły łzy żalu i niedoli. A w domu znów nie miałam odwagi spojrzeć na blade twarze i powiedzieć, że »tak« nie przyszło, a jednak mieć muszę, by patrzeć na przesmutne oczy mamusi, zasnutę łzami, słuchać krzyków gospodarza, że nas wyrzuci, bo jesteśmy za rok winni za mieszkanie. I wtedy znów wybiegam, lecz teraz, by patrzeć jak wystrojone damy jadą na bale, wszak to karnawał, nie wszystkich dosięgły szpony nędzy, lecz zazdrość mną nie owłada, choć jestem ładną, choć gdyby mnie ubrać, mogłabym być bardzo ładną, losu nie przeklinam, choć sercem owładła noc czarna, najstraszniejsza z nocy, gdy nędzy wtóruje głos tych co nie wierzą. Ja jednak, choć ten los okrutny wyprowadził mnie z murów gimnazjum, odebrał możność nauki i teraz chłosta bezliśnie chłodem i głodem, wierzę niezachwianie, że i nam zaświeci promienne słońce i wysuszy łzy niedoli wszystkich bezrobotnych, zsyłając nam pracę. Wierzymy tylko, a wiara doda nam siły do przetrzymania bezrobocia.

Radom, dn. 6 stycznia 1932 r.

Pamiętnik Nr. 27.

Robotnica niewykwalifikowana
zamieszkała w Częstochowie

Po przeczytaniu świątecznego numeru *Ilustrowanego Kurjera Codziennego*, uczułam wielką radość, nie na myśl znacznej nagrody (bo nie mój talent zdobywać nagrody), lecz na myśl, iż będę mogła przed kimś wynurzyć swój ból, że będę mogła opisać swoją niedolę i swej rodziny i będzie łaskawie czytał ktoś bardzo mądry i wykształcony, wreszcie, że będę mogła jak na spowiedzi opisać aż od dzieciństwa swą nędzę...

A więc zaczynam.

Mam lat 24, lecz wyglądam na znacznie mniej, może skutkiem niedostatku, bo dostatku nigdy nie miałam, gdy myślą zagłębię się w przeszłość, to widzę wieczny brak chleba i nawet kartofli. Pamiętam, miałam może lat 9, gdy ukradkiem brałam po jednym kartoflu od sąsiadki, ażeby mi mama ugotowała, bom była ich bardzo spragniona, mama wciąż gotowała tylko jakieś zmarznięte korpiele, pamiętam, jak pragnęłam chleba... jak na tydzień, za uproszone swe grosze matka mi kupowała ćwierć funta chleba, to jadłam go jak ciastko i tak mnie dzieliła niem, ażeby starczyło na tydzień, pamiętam zabiegi matki o wyżywienie mnie, byłam jedna, a było nas pięć, tylko wymarła reszta. Ojciec bez serca nie dbał o żonę ani o dzieci, tylko wyjechał w świat do Prus za robotą, a gdy ją dostał, to nie dawał znaku o sobie, a matka pozostała się i męczyła z dziećmi, pamiętam jak siostra mając lat siedem umarła na tyfus brzuszny, a w tydzień po niej umarł mały trzyletni braciszek i tak marło jedno po drugim, cudem ja się utrzymałam przy życiu, chociaż z dziećmi choremi spałam, gdyż nie było innego łóżka, a matka moja musiała chodzić błagać i płakać o pomoc jakąś, bo nie miała pieniędzy na pogrzeby. A ojciec nigdy żadnym listem nie spytał się o swe dzieci, a gdy po paru latach dowiedział się, że umarły, nie

zrobiło to na nim żadnego wrażenia. A później matka mnie dała na służbę (szkoły nie znałam). Nie będę już opisywać męki, jaką tam przechodziłam, a matka żyła jak mogła z litości ludzkiej: oto jest dawna przeszłość, streszczona pobieżnie, a teraz opiszę swe dzieje z niedalekiej przeszłości.

Matka dostała się do fabryki »szpagaciarni« w Częstochowie, pracowała jakiś czas bez przerwy, lecz później coś niedokładnie zrobiła, wyrzucono ją z fabryki, znowuż była nędza, bo nie było pracy, lecz gdy ja rozpoczęłam 15 rok życia poszłam, by mnie przyjęto do tej samej fabryki na miejsce matki. Nie chciano mnie przyjmować, zwodzono mnie z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, lecz gdy mi głód zaczął dokuczać coraz więcej, gdy poszłam, a było duże przyjęcie i mnie nie przyjęto, weszłam na poczekalnię, aby się rozgrzać, wtedy przyszły mi na myśl te moje dni przestane na mrozie i zawiei i wszystko na próżno... przypomniawszy mi się ta nędza w domu, wybuchłam wtedy płaczem długim, niedającym się powstrzymać i cała skarga moja na życie, na złą dolę, płynęła w tych łzach, lecz z poczekalni porozchodzili się wszyscy, nie było nikogo, po chwili przyszedł jakiś młody chłopiec, widocznie ślusarz z tej fabryki, bo poznać było można po ubraniu robotniczym, przystanął koło mnie, ja zawstydziłam się swoich łez i chroniłam jak mogłam, on się pyta »czego pani płacze?« Ja mu zaczęłam mówić o mych staraniach za pracą, wysłuchawszy mnie, polecił w plac fabryczny, ja nadal płakałam, lecz on za chwilę stanął przedemną z głównym pisarzem, który zapisywał do pracy i sam opowiedział mu powód mego płaczu, ten pisarz zabrał mnie do kantoru i tam zapisał mnie do pracy za dniówkę na tkalni, na drugi dzień mogłam przyjść do pracy. Och, jakże byłam szczęśliwa z tej kartki, którą otrzymałam jako zaświadczenie, że przyjęta zostałam, chciałam podziękować tak dobremu chłopcu, którego wzruszyły moje łzy... i dola moja... i poszedł i prosił za mnie, ażeby mnie przyjęto, za dziewczyną, która mu była obcą i obca na zawsze pozostała, bom już go nigdy nie widziała, więc ja pędziłam jak szalona do domu z tą kartką nieść matce radosną nowinę.

Zostałam przyjęta i pracowałam, później za jakiś rok czasu matka dostała się do pracy na »Częstochowiankę«, pracowałyśmy jakiś czas obie, lecz po trzech latach nastąpiła redukcja pierwsza w »szpagaciarni« w roku 1925 i mnie zredukowano, później w roku 1928 zredukowano i matkę z »Częstochowianki«, pozostałyśmy od tego czasu bezrobotne. Ojciec mój w 1919 r. wzięwszy kochankę osiadł

z nią na stałe w Mysłowicach na Śląsku. Ojciec mój w początkach przyjeżdżał czasem do matki, może, że matka go kochała, bo pomimo krzywd, jakich doznała od ojca, zapragnęła dziecka... W 1926 r. przyszedł na świat chłopczyk drobny, mizerny, na dziecku się odbiły w łonie jej zgryzoty, które wtenczas przechodziła; to należy do niedawnej przeszłości, a teraz terażniejszość: bolesna, smutna, ale prawdziwa. Lęk przed wyrzuceniem z mieszkania zawisł nad naszymi głowami, gdyż mieszkania nie płacimy dwa lata, więc »gospodyni« zaskarżyła do sądu, który ma wyjść w kwietniu, mieszkanie zajmujemy maleńkie z kuchnią, tak, że łóżko stoi na szerokość mieszkania, mieszkanie jest szerokości łóżka, zimno jest spać, gdyż okno duże umieszczone jest w ścianie przy łóżku i drzwi są blisko łóżka, przytem jest bardzo zimne mieszkanie, gdy silny mróz na dworze to woda nam marznie w kubelku, płaciliśmy za niego 5 zł. miesięcznie i roczny podatek 9 zł., lecz teraz nie płacimy ani jednego ani drugiego. Matka ma lat 45, latała wciąż za pracą do Magistratu, aż w końcu września dostała pracę na dwa dni na szosy, ucieszyliśmy się z tego bardzo, bo już nie było za co żyć, więc wysprzedawałyśmy co mogłyśmy z odzieży, na pościel gdy były trzy obleczenia, sprzedane zostały dwie powłoki, a jedna się została, lecz na nic nasza uciecha z pracy, bo pomimo skąpienia i dzielenia chleba (chleb dzieliliśmy w ten sposób, ażeby pół kilo starczyło na cały dzień na trzy osoby), jednak nie mogły my wyżyć za 8 zł. na tydzień, zawsze nam brakło w czwartek pieniędzy i rób człowieku co chcesz, nie było co jeść, lecz poszła matka do paru osób prosić o kartki na obiady, które wydawano zupełnie bezrobotnym, znalazła się jednak litościwa osoba co nam udzieliła kartek na trzy obiady. Matka miała daleko chodzić do pracy i ja też miałam daleko chodzić po obiady, trzeba było wychodzić w czas, bo było bardzo dużo ludzi, wychodziłam więc o 8-ej rano, a przychodziłam o 3-ej. Obiady rozpoczynali wydawać o 12-ej godzinie, lecz gdy się szło późno, to brakło, najwięcej ucierpiał mój braciszek pięcioletni, jest on dzieckiem słabem mało rozwiniętem, lecz bardzo ładny; nie miałam go gdzie zostawić gdy matki nie było, to brałam go, lecz męką było dla tego dziecka iść, on słaby, nie mógł szybko mi nadażyć, a ja musiałam się śpieszyć, więc ciągałam go za rączkę, a on płakał przez drogę, że słaby, bo też i nie miał po czem być mocny, mleka, co najbardziej ożywczym produktem jest dla dziecka, to prawie, że nie miał, przykro mi nieraz słuchać tego dziecka jak się skarży, że nie ma mleka, jak prosi: — Chociaż za pięć groszy kup mammo mleka —

i pyta się nieraz: — Mamo, czemu inne dzieci piją mleko? A matka odpowiada: — Bo mają ojca, a ciebie on porzucił! — Och, bardzo podły ten nasz ojciec, obcy ludzie litują się nad tem dzieckiem i nademną, a ojciec nigdy, z kochanką ma dwoje dzieci, to troszczy się o nie i pracuje i żyją w dobrobycie, zaprawdę mój ojciec jest nie człowiekiem gdy potrafił porzucić swe dzieci, jak to czynią niektóre zwierzęta i nic go nie wzruszą moje listy pisane do niego we łzach ze śladami łez na białych kartkach listu... nic go nie wzruszy, nie wzruszył ojca nawet wiersz, który ułożyłam do niego, nie wiem czy jest »dobry«, ten wiersz jest on następującej treści:

D O M E G O O J C A

Nieraz tak myślę; dlaczego ja zdala — O drogi Ojcze! od ciebie...
 Co za burzliwa życiowa fala — Nas odsunęła od siebie..
 Nieraz tak bardzo tęskno mi za Wami Kochany Ojcze, aż w oczach mam łzy...
 O czemuż nasze życie innymi drogami dziś idzie, i w innej stronie ja i Ty.
 Jeden tylko ojciec, dopóki przy grobie córka go nie stanie pożegnać na wieki...
 Jeden żeś jest ojciec, o czemuż jam dziś nie przy Tobie,
 Aż póki ci śmierć zamknie twe drogie powieki...
 I skarga wciąż dźwięczy w mym słowie, z ócz łzy spływają obficie...
 A któż na pytanie mi dzisiaj odpowie, dlaczego bez ojca me życie?

Ułożony dnia 7/XII 1926 roku

Ja często układam wiersze i mam ich bardzo dużo, lecz wszystkie są przepełnione bólem, wielką tęsknotą i łzami, tak smutnej treści są me wiersze, jak smutną jestem zawsze ja. Ale muszę wrócić, za daleko odbiegłam od pisania doli bezrobotnych. Moja matka trzy tygodnie temu zakończyła pracę na dwa dni, oj, wymarzała się ona nieraz, sześć godzin przebyć na mrozie w lichem obleczeniu i obuwiu lichem, to jest coś okropnego! I przytem musiała wychodzić w czas, a przychodziła późno, bo bardzo daleko ta szosa, na której pracowała, a gdy przyszła do domu nie mogła się ogrzać, gdyż węgla namu ma starczyć pół ćwierci na cały tydzień, więc wystarczy tylko, aby obiad ugotować i to trzeba bardzo oszczędnie kłaść, oprócz 8 zł. tygodniowo niema znikąd grosza, wprost nie jest w stanie opisać tej męki, jaką trzeba przechodzić w tej nędzy, z tego powodu matka się wiecznie kłóci ze mną, bo gdy chcę prac, to już w mieszkaniu istne piekło, matka nie ma na mydło, kupi więc za 20 groszy mały kawałeczek i muszę tem wyprać, a gotować bielizny mi nie da, bo szkoda węgla, przegląda kawałki bielizny, czy wszystko jest bardzo dobrudzone, bo gdy nie bardzo, to mi nie da tego lub

innego kawalka prac, ja również wiem, że nie mam czem doprac dobrze, to chcę chociaż prac nie bardzo dobrudzone, z tego powodu hałas, to znowuż, gdy wieczorem chcę trochę posiedzieć przy pisaniu lub czytaniu, to matka będąc już od 4-ej na łóżku nie pozwoli mi zaświecić lampy, więc z płaczem idę razem ze schyłkiem dnia spać, a gdy wstanę, to czuję ból we wszystkich członkach ciała i głowa okropnie mnie boli. Gdzież to nie będzie boleć spać 15 godzin od 4 do 7 rano, a leżenie na łóżku też nie należy do przyjemności gdy na niem leżą trzy osoby: matka, braciszek i ja. I dużo, dużo, nie do opisanania jest kłótni z nędzy, nawet o sól się matka kłóci, żeby mało solić, bo szkoda. I gdzież tu żyć w zgodzie z nędzy, głupie jest to przysłowie: »Gdy rodzina żyje w zgodzie, to jej bieda nie dobodzie«. Powinno brzmieć ono teraz inaczej według mego zdania, a mianowicie tak: »Gdzie bieda bodzie, tam się żyje w niezgodzie«. Czy nie prawda, że tak byłoby aktualniejszym przysłowiem?

Następnie opiszę szczerze naszą wigilję.

Ja nie miałam już dawno pantofli, pozostałam się więc na tyle świąt w dziurawych, lichych, przez które mi palce widać było u nóg.

Wigilijny dzień już był, lecz ja gdy pomyślałam o tylu świątach i spojrzałam na moje strasznie wyglądające pantofle, wprost szal rozpaczy mnie ogarnął, a przed świętami sprzedała mama swoje palto za 15 zł., bo mówi: »Trzeba będzie co do jedzenia na święta kupić«, lecz ja w tej rozpaczy wzięłam matce te 15 zł. i chcę iść kupić pantofle, a matka w płacz, mówi i prosi: »Ty kupisz pantofle, a co będziemy jeść przez tyle świąt«, a ja na to: »Mamo, wolę nie jeść, wolę kartofle z barszczem jeść przez święta, aby mieć pantofle! Jakżeż ja się pokażę gdzie, chociażby tylko do kościoła« — i nie zważając na okropny płacz matki pobiegłam do miasta, a w mieście druga przykrość jeszcze większa od poprzedniej. Chodziłam w starym rynku od sklepu do sklepu, aby za 13 zł. kupić ładne i w dobrym gatunku pantofle, a za 2 zł. pończochy, bo nie miałam tylko jedną i to dziurawą parę, lecz żydzi, jak to żydzi, widzą, że przyszłam w dziurawych pantoflach i mało co już w początek świąt, więc drożyli się bardzo, cenili za pantofle 28 zł., ja nie chciałam tej ceny słyszeć, bo wiedziałam ile mam pieniędzy, a gdy żydom powiedziałam 13 zł., to mi pokazano jakieś stare z ordynarnego materiału pantofle, lecz ja wybierałam ładne i z dobrych gatunków, przez co jest rzeczą zrozumiałą, że z każdego sklepu wychodziłam, lecz Boże drogi! Ci żydzi wtedy uznali mnie, że ja chodzę może

ukraść, co bardzo mnie obraziło, gdyż pomimo mej nędzy, nigdy myśl nawet kradzieży nie powstała w mej głowie, chodzono więc do każdego sklepu za mną, chodzili kupcy z tych sklepów, co w pierw tam byłam, obejrzałam i nie kupiłam, ja ze swej strony domyślałam się, że coś na mnie myślą, lecz gdy poszłam do czwartego już sklepu, tam weszli oni i przypatrywali się mojemu wybieraniu, lecz moja cena śmiech wzbudziła w tem sklepie; był to jakiś większy skład obuwia, a później zaczęli ci żydzi szwargotać pomiędzy sobą, niektóre wyrazy zrozumiałam, mówili do siebie, żeby mnie pilnować, bo może ja chcę ukraść. Było to, com usłyszała czemś okropnem dla mnie i nic nie mówiąc chcę wyjść z tego sklepu, lecz żydówka podchodzi do mnie ze słowami: »Czy pani chce kupić, czy tylko tak dla »jakiegoś« szczęścia chodzi«, zrozumiałam co chciała powiedzieć i co miała na myśli, bardzo mi się przykro wtenczas zrobiło, proszę wierzyć, że teraz na wspomnienie tego i przy pisaniu tego zajścia musiałam znowuż płakać. Mówię więc do niej: Cóż Pani myśli, że ja przyszłam dziś po sprawunki i zabrałam ze sobą sto zł. co Pani mi takie ceny podaje niemożliwe, mam tylko 15 zł. z nich za 13 chcę kupić pantofle, a za 2 zł. pończochy, te pieniądze są z palta, któreśmy sprzedali, a żeby mieć za co kupić coś na święta, wie pani, że jeść nie będę miała co z matką i z bratem, tam w domu matkę zostawiłam płaczącą dlatego, że przez moje pantofle nie będzie miała co jeść przez święta i na wspomnienie, że ona tam płacze w mieszkaniu, ból wielki zatargał mem sercem... wybuchłam nie dającym się powstrzymać płaczem... (trudno mi się i teraz powstrzymać i znów łzy). Kupcy z tego sklepu i z innych sklepów stali oniemiałi. a ja płakałam, rozumieli moją nędzę, zaczęli mówić do siebie jaka to nędza panuje u ludzi, pytają mnie się gdzie mam ojca, mówię im, że odszedł i żyje z kochanką, pytali, czy nic dla domu nie daje, mówię nic, dziwili się bardzo, bardzo, widać, że u żydów takie coś należy do rzadkości, jak odejście męża i życie z drugą, bo u nas to jest na porządku dziennym, to mnie już wcale nie dziwi, jest mi obojętne, nie sądzili już wtedy mnie za złodziejkę, lecz byli wzruszeni mą dolą, ale pewno, że nie mogli sprzedać za te pieniądze dosyć ładnych pantofli, bo stali bezradni, lecz po chwili do sklepu wszedł jakiś burżuj tłusty, ubrany w futro, wszyscy subjekci ze sklepu kłaniali mu się, był to właściciel tego składu obuwia. Spostrzegłszy mnie pyta się ich czego ja płaczę, oni powiedzieli, lecz on był widać litościwym człowiekiem, zapytał które wybrałam pantofle, zapakował mi je sam, wziął 13 zł. i miałam to

com pragnęła, lecz nie cieszyłam się wcale, wiedziałam, że niemi uciechy nie sprawię matce, tak też i było, znowuż płakała, żem kupiła... Łzy za mną gonily matki, gdy wychodziłam, za łzy je kupiłam, łzy mnie przywitały gdy do domu przybyłam. I nie było już dla nas wesołych świąt. Ja ze swej strony, choć pragnę bardzo matce dopomóc pieniądze, lecz w żaden sposób nie mogę, kilka razy byłam za przyjęciem do pracy w fabryce gdzie dawniej pracowałam, lecz ani sobie mówić nie dano o przyjęciu, gdyż jeszcze wciąż redukują, tak trudno jest o pracę a jednak był taki majster z tej fabryki, co miał w przeciagu tygodnia mnie wkieować do pracy, lecz żądał takiej zapłaty, jaką uczciwa panienska dać nie może. Znalam też paru mężczyzn, którzy chcieli mi ofiarować znaczną pomoc pieniężną, lecz wzamian żądali, abym ja sobą oddawała, lecz ja wołałam nędznie chodzić ubrana, nędznie jeść, aby tylko w drogę hańby nie wkroczyć, bo łatwo wstąpić w złą drogę, ale zawrócić z niej nie łatwo...

I kończąc już w streszczeniu opisaną nędzę mą, nakoniec dopiszę coś, co będzie ważnym momentem mego życia, a może i tragedją...

Teraz w tym okresie zimy jestem w najgorszym położeniu, jak też i moja rodzina, mama już dawno nie pracuje. zapomogi pieniężnej nie bierze, bo dni nie wyrobione na zasilek, wystarałyśmy się z komitetu o żywność, bierzemy więc trzy kilo mąki żytniej, pół kilo cukru i trochę słoniny, to musi wystarczyć na tydzień, jest więc nędza, a mnie już rozpacz bierze być w domu i patrzeć na tę matkę, jest ona już taka nędzna! zdawałoby się, że ciała na niej niema, a tylko kości skórą powleczone... a przytem często narzeka, że ją w piersiach boli i czasem krwią pluje... ja już nie wiem co robić, pisałam przez dwa razy do ojca z prośbą o mały datek pieniężny, błagałam, że gdy kiedykolwiek będzie mnie stać, to zwrócę ojcu z procentem i zebrałam o litość nad naszą nędzą, nademną, ja- com jest jego dzieckiem pierworodnem i wiernym obrazem jego twarzy, nic nie pomogło, nawet nie raczył odpisać, a pewna jestem, że odebrał listy, bo dowiedziałam się od pewnej osoby. Ja wiem, nic nie przyśle, ja znam ojca i znam powód jego kamiennego serca do mnie. Szanowni Panowie! mój ojciec jest potworem! Nie będę tu odsłaniać jednej strasznej tajemnicy z mych dawnych... prawie że dziecinnych lat... Lecz gdym była w przeszłą zimę u ojca w Mysłowicach, nie chciał mi dać grosza na nic, a chociaż ma jego kochanka, ojca pieniądze trzyma ona mocno w swych rękach, wreszcie nie

chciał mnie żywić chociaż jest żywności pod dostatkiem, wyгнаł więc mnie do żydów na Modrzejów, na służbę... a co było powodem? Ot to, że nie chciałam stać się ojca kochanką, takie to żądania ojciec 45-letni miał do swej córki 24 letniej, powiedział, że gdy się zgodzę, wszystko mi posprawia i mogę na zawsze pozostać u niego, lecz gdy się nie zgodzę na nic mi nie da pieniędzy i żywić mnie nie będzie, kochanka jego o tem nie wiedziała, nie śmiałam jej powiedzieć czego chciał ojciec ode mnie i bałam się, bo by mnie chyba zabił, lecz on do niej mówił, że nie chce mnie żywić dlatego, że jestem pełnoletnia, a właściwego powodu nikt nie wiedział, tylko Bóg i ja! Więc poszłam na służbę, aby zarobić na sukienkę, której nie miałam, na kolej do domu i matce co przysłać, bo także była bez pracy i bez pieniędzy w przeszłą zimę.

Och, ileż ja tam łez wylałam u tych żydów! Ile upokorzenia zniosłam ja, com taka dumna jest, ileż to razy w wolnych chwilach szłam do kościoła przed wizerunek Ukrzyżowanego Chrystusa... i tam szeptałam swe żale i u stóp krzyża siałam swe łzy... (łzy mnie teraz dławią i płyną na to wspomnienie), a ileż listów do matki pisanych we łzach: »Mameńko droga! Ty nie wiesz jakie ja piekło przechodzę!« Częste były te słowa, a matka znów płakała nad moimi listami, lecz też nie wiedziała prawdziwego powodu co mnie zmusiło do służby. Dziwno było nieraz tej żydówce, gdy często przy jakimś domowym zajęciu wybuchałam płaczem, a gdy mi się spytała powodu moich łez, mówiłam, że z tęsknoty za matką płaczę, lecz właściwego powodu łez nie powiedziałam, rozpaczą moją było, że ojciec pieniędzy ma dosyć, co dzień jest w kinie, je dobrze, a ja muszę służyć komuś przez ojca potworną zwierzęcą naturę! Gdy z nastaniem wiosny wyjeżdżałam do matki, ojciec był zły dla mnie za mój opór i zły się pozostał, nie dziwię się więc, że mi nic nie chce i teraz dopomóc, a ja nie mam żadnych lepszych widoków na przyszłość, tylko czeka nas może wyrzucenie z mieszkania (nie płacimy dwa lata) i nędza i wciąż nędza... Za daleko odbiegłam od tematu, od opisu o przyszłej tragedji życia. Moją straszną tragedją życiową będzie wyjście za mąż bez miłości, bez miłości to jeszcze nic, łatwo się z losem pogodzić, lecz gdyby z karjery, lecz to nie będzie karjera, lecz barjera. Otóż tak: jesienią jeszcze poznał mnie chłopiec, widział mnie parę razy na tej ulicy, gdzie mieszkam i napisał kilka listów zanim się zdołał ze mną zobaczyć, gdyż ja nigdzie nie chodzę po spacerach ni po zabawach, tylko wciąż w domu, więc gdy mnie bliżej poznał, spodobałam mu się bardzo, gdyż prawdę

mówiąc jestem ładna, każdemu się podobam, zwań mnie hiszpanką albo cyganczka, ja zwię się szatynką, lecz ludzie mówią, że brunetka, a co najbardziej każdego zachwyca, to moje oczy. Są one ciemno piwne, prawie czarne, duże z wyrazem bezgranicznego smutku i bólu... o, bo też dużo te oczy widziały i dużo cierpienia przeszła dusza tych oczu, dlatego też wiecznie są zadumane, smutne, a rzadko wesołe. Od czasu poznania mnie ten chłopiec odporu nie daje, tylko się żenić i żenić chce, nie miałam życzenia z początku, ani nawet w myśli mi nie było powstało wyjść za kogoś brzydkiego, biednego, lecz matka jego pracuje na trzy dni w tygodniu, on też czasem zarobi parę groszy, mieszkanie mają duże, wynajęte, matka jest wdową, oprócz niego jest jeszcze trzech braci w domu, wiem, że tam też nie rozkosz, lecz oni mnie proszą wciąż, iż utrzymanie mi dadzą, wesele wyprawią, wszystko mi kupią do ślubu i żebym się nie martwiła, że nie będę miała co jeść, tak mi mówi matka jego, więc się zdecydowałam i wyjdę za niego, bo mnie przeraża to życie bez opiekuna w tej nędzy, a mężczyzna prędzej może pracę dostać niż ja. W końcu stycznia ma być mój ślub, wszystko kupują do ślubu, a nawet pierzynę będę jej mieć, bo moja matka mi nic nie da, a wyrzeka się mnie, iż wychodzę za człowieka brzydkiego i bez majątku, wiem, że przykro mej matce, która tyle słyszała pochwał dla swej córki i dumna jest ze mnie, a teraz ona wciąż płacze i wprost gwałtownie siwieje z tej rozpacz, że traci jedyną ukochaną nad wszystko córkę... Mówię do matki: »Mamo, trzy drogi mam do wyboru, jedna jest droga hańby, z której można żyć, lecz którą iść nie chcę, druga — śmierć, a trzecia droga — wyjść za męża«. A Matka mi odpowiada: »Wybierz lepiej śmierć, to będę wiedzieć, żeś nie jest dla nikogo i będę cię chociaż w trumnie widzieć, a tak to większa rozpacz, że jedynej córki ślubu nie będę widzieć«.

Więc ślub będę brała jak sierota, bez ojca i matki... I cóż za życie będzie? Ja nie wiem... bo żeby chociaż był ładny, to bym jakąś przyjemność czuła do niego, a tak to nie chcę nawet blisko siedzieć przy nim, nie chcę, żeby jego dłonie pieściły me ręce... a co dopiero będzie gdy jego ręce po ślubie będą chciały pieścić mnie?... bo teraz jest bardzo nieśmiały do mnie, gdyż czuje on ten chłód lodowaty, jaki wieje ode mnie, on wie, że ja go nie kocham i nawet nie lubię i nic sobie z tego nie robi, a tylko chce jak najprędzej ślubu... ja znowuż lękam się ślubu... bo co z kochanym człowiekiem jest upragnionem szczęściem... to z niekochanym czemś okropnem! Nieraz u jego matki, gdy jestem, to często dłonie splecę,

a z ust wybiegną słowa: »Boże, och, Boże!« A ileż ja razy w domu płacę... i ileż jeszcze płakać będę? I wiem, że przed ołtarzem gdy będziemy klęczeć do ślubu, to łzy popłyną mi z oczu...

Przez nędzę... życie zwiążę z człowiekiem niekochanym, a później... Bóg wie jakie życie mnie czeka, a może później pokocham kogoś i będę pragnęła należeć do tego człowieka, lecz będzie już za późno. A żyć tak dalej nie chcę bez opieki, bo czuję, że mogłabym życie odebrać sobie z tej nędzy.. I znów często biegnę do kościoła w Częstochowie, przed krzyżem Chrystusa Pana chylę zbolalą skroń...

I skarży się dusza stroskana i błaga o zbawczą dłoń...
Łzy z oczu padają u Chrysta stóp...
Z usta biegnie prośba półgłosem..
O Boże... o Chryste! otwórz dla mnie grób,
Lub daj mi pogodzić się z losem...

A gdy przyjdę do domu, to znówuż w głowie chaos aż do szaleństwa, z tego utworzyłam taki wiersz:

Hej chaos w głowie, myśli skłębione, pędzą jak orkan burz,
Gdzież cel w nich jakiś? wszystko stracone,
W bezbrzeżnych głębiach mórz...
Och, chaos w głowie, myśli bezładnie toczą się niby wał,
Gdzież ideały? spoczęły na dnie —
Na dnie otchłani, co zwie się szal!
Hej, chaos w głowie, myśli spaczone, niezdolne tworzyć już,
Gdzież miłość, wiara? och już zniszczona
Przejściem życiowych burz...
Hej, pędzą myśli, myśli wzburzone, jak stado dzikich szakali...
Czy w złą czy w dobrą, czy w inną stronę,
Byle wciąż dalej i dalej...
A były kiedyś wzniosłe ideały celem mojego życia...
Lecz się zawiodłam.. i zawiodł świat cały,
Dziś nic nie żądam od życia...

Skończyłam opis swej doli, może za długi ten opis — proszę wybaczyć o ile źle pisałam, lecz nigdzie nie byłam uczoną, pomimo mej szczerzej chęci do nauki, nie miał mnie kto posyłać do szkoły, a to co umiem, to nauczyłam się sama. Wiem, że nie otrzymiam nagrody, lecz będzie mi lżej na duszy, iż raz w życiu wypowiedam się szczerze ze swej nędzy, będzie mi lżej znosić cierpienia, dlatego, że ktoś będzie wiedział o nich, lecz o ileby Panowie raczyli dać jakąś odpowiedź, to proszę tylko do domu, na adres niżej podany.

Wynik konkursu gdy będzie ogłoszony w niedzielnym numerze Ilustrowanego Kurjera Codziennego, to będę mogła przeczytać, bo wypożyczę od kogo Kurjer, lecz gdyby wynik konkursu był ogłoszony w tygodniu, to wiedzieć nie będę, bo ja kupować gazet nie mam pieniędzy, chociaż bardzo lubię czytać, a najlepiej to Kurjerek Ilustrowany, a pożyczyć teżbym nie miała gdzie, bo wokół mnie mieszka sama biedota.

Częstochowa, dn. 7 stycznia 1932 r.

Stolarz-modelarz
zamieszkały w Częstochowie

Urodzony jestem w Książu Wielkim koło Miechowa z biednych rodziców. Jestem z zawodu stolarz modelarz, a z pokrewnymi zawodami jak: ślusarstwo, kowalstwo, giserstwo jestem dobrze oznajmiony. Również rysunki techniczne znam bardzo dobrze i sam je wykonuję, a wolne chwile od zajęć na nie poświęcam. Od 10 lat tułam się po świecie i pracuję na siebie, a fatum nieszczęść nie pozwoli mi zaskarbić sobie ani jednego grosza. Miesiąc pracując, a dwa nie, dotrwałem do dnia 17 marca 1931 r. W tym czasie zwolniono mnie z pracy z firmy „Wulkan“ w Częstochowie. Ponieważ tygodni, przewidzianych na wypadek bezrobocia nie wyrobilem, zapomogę mi odmówiono. Nie mając rodziny, a tylko 200 zł. gotówki, znalazłem się na bruku, usilnie szukając pracy. W Częstochowie cały tydzień chodziłem po różnych zakładach, nawet najmniejszych, lecz wszędzie słyszałem jednakowe słowa: niema pracy, nie przyjmimy, będzie u nas zwolnienie i t.d. Wycieńczony stałem chodzeniem, miałem odparzone nogi pod podeszwami. Pieniądzy ubywało, a widmo głodu zaglądało mi w oczy. Postanowiłem się bronić. Spakowałem rzeczy, kazałem się wymeldować i wyjechałem do Krakowa. Cały znów tydzień szukałem pracy i przeliczałem pieniądze, które szybko wydawałem na życie i noclegi. Z Krakowa wyjechałem do Sosnowca, Katowic, Mysłowic i Dąbrowy. Odwiedziłem wszystkie firmy Zagłębia i Śląska; napróżno. Po podróżach tych pozostało mi tylko 90 zł. W sosnowcu dostałem z Pośrednictwa Pracy zniżkowy bilet do Radomia, z Radomia pojechałem do Warszawy, a gdy w stolicy pracy nie dostałem, udałem się do Lublina. Po przybyciu miałem tylko 10 zł. Widząc tak mało pieniędzy, zrobiłem na życiu oszczędność, zjadając tylko 1 klg. chleba dziennie. Pomimo

obszernych znajomości w Lublinie, również pracy dostać nie mogłem. Dalsza oszczędność — było tylko pół kilo chleba dziennie, aż pewnego poranku zbudziłem się głodny i bez grosza. Bezsenne noce, rozpaczliwe myśli złamały mię doszczętnie, a kiedy przejrzałem się w lusterku, zobaczyłem się wychudły, z zapadniętymi oczyma. Wyglądałem jak kościotrup. Mieszkaniem mojem była stara szopa, do której się nocą wkradałem. Gdy trochę oprzytomniałem z przerażenia, zobaczyłem przez szparę, że słońce majowe jest już wysoko. Wywlokłem się z tej szopy o kiju na miasto, a byłem tak słaby, że iść już nie mogłem. Tak o lasce dowlokłem się na stare miasto Lublin przez bramę Trynitarzką i tu zobaczyłem na ścianie kartkę z napisem: „Potrzebny czeladnik stolarski“. Spojrzałem wyżej i zobaczyłem szyld, a z nazwiska wywnioskowałem, że zakład jest katolicki. Serce uderzyło mi mocniej. Zebrałem wszystkie siły i wszedłem do wnętrza. Zostałem przyjęty, z zastrzeżeniem, że więcej nad 2.50 gr. dziennie nie zarobię. Zgodziłem się chętnie, lecz jakże głodnym pracować? W zakładzie był chłopak, któremu opowiedziałem o swym głodzie prosząc go o chleb i tak jakoś dożyłem do wypłaty. Pomimo, że zarabiałem tak małą sumę, szczęście nie uśmiechnęło mi się na długo. Zaraz po trzech tygodniach, do zakładu zaczęli przychodzić bezrobotni czeladnicy lubelscy, zmuszając mnie do opuszczenia pracy. A gdy nie ustępowałem, zrobili na mnie zasadzkę, rezultatem czego dostałem parę razy laską. Przyszedłem do swej szopy i zacząłem płakać żywemu Bogu. Do głowy wciskała mi się myśl samobójcza, lecz, że życie kocham szalenie, postanowiłem wytrwać. Rano zabrałem walizkę i wyruszyłem ku stacji. Tu oddałem walizkę na bagaż do Częstochowy, a z pozostałymi 4 zł. wyruszyłem w drogę pieszo. Do Częstochowy szedłem przez Puław, Dęblin, Radom, Skarżysko, i Suchedniów. Podróży tej nie jestem w stanie opisać. Był początek czerwca. Do marszów przyzwyczajony nie byłem, a w dodatku mam w nogach artretyzm, przez co nie byłem wzięty do wojska. Za ledwie za dzień doszedłem do Puław i tu w brodle zanocowałem. Rano miałem nogi popuchnięte, lecz pomimo to ruszyłem w dalszą drogę. Pieniądze, które miałem zupełnie mi się wyczerpały i z Dęblina szedłem o głodzie. Na trakcie jechał chłop. Prosiłem go na wszystkie świętości, by mnie troszkę zabrał, lecz ten udął, że nie słyży i podciął konie. Zakląłem... Idąc dalej spotkałem na drodze towarzysza niedoli, niejakiego Z..... z Kalisza, który wędrował w przeciwnym kierunku, szukając

pracy. Był zaopatrzony w chleb, którym się posiliłem. Postanowiłem i ja zebrać i zaraz w jakiejś wiosce koło Skarżyska wpadłem na odwagę, by prosić o chleb. Ze wstydem wstąpiłem do jednego gospodarza mówiąc o stosunkach i prosząc o chleb, na co dostałem zamiast chleba następującą odpowiedź: „Za dużo już mamy dziadów, a wyście za młodzi na dziada! (zwracając się do swojej żony) gulony nie mają co w mieście żryć, to cisną się na wieś. Myślą, że nam to z nieba kapie“. Tych słów, ponieważ był to pierwszy początek mego żebractwa, miałem dosyć. Myślą przebiegłem życie wstecz. Przypomniałem sobie życie przy boku rodziców kiedy żyli, a dziś? Ja młody, zaledwie 25 lat, muszę wyciągać w wolnej Polsce rękę po kawałek chleba, a zamiast takowego otrzymać gburowatą odpowiedź, do której nie jestem przyzwyczajony. Zrobiło mi się bardzo przykro. Byłem gotów zemścić się na nim, lecz myśl o lepszym jutrze przywróciła mi równowagę. Placząc ze złości ruszyłem ku Skarżysku. Za mną podążyła jakaś pani, która wzruszona memi słowami do chłopca, dogoniła mnie, wręczając mi chleb, wędlinę i dwa złote. Nie chciałem przyjąć, lecz zostawiła na drodze i odeszła. Wziąłem chleb i dane mi pieniądze i już nie żebrząc dowlokłem się do Suchedniowa. W Suchedniowie obszedłem wszystkie stołarnie szukając pracy, a cech dał mi 5 zł. na dalszą podróż. Cała moja podróż z Lublina do Częstochowy trwała dwa tygodnie. Idąc 12 dni o chlebie i wodzie, a częściej głodny doszedłem do Olsztyna. Olsztyn jest to wioska słynna ze starych ruin zamku, oddalona o 12 klm. od Częstochowy. Tutaj spocząłem, rozmyślając nad tem, jak się pokazać w Częstochowie. Tylu znajomych, każdy widział mnie w innym świetle, a dziś? Ofiara losu — dziad. Znając dobrze z wycieczek okolice Olsztyna, zanocowałem w lesie pod skalą. Rano wstałem zmarznięty i głodny. Z głodu zmuszony byłem kraść. Chłop, który koło lasu orał, zostawił chleb i marynarkę na miedzy, a gdy nie widział, chleb mu zabrałem i oddalilem się od tego miejsca. Byłem prawie bosy, nieogolony, gdyż brzytwę i inne drobiazgi sprzedałem w dwutygodniowej podróży. Nocą, o godzinie 10-ej przyszedłem do Częstochowy i tu szczęśliwym zbiegiem okoliczności spotkałem kolegę W., który winien mi był 10 zł. Prosiłem go na wszystko opowiadając mu o swej nędzy, by oddał mi należność. Prośbie mej zadość uczynił, a ja, mając 10 złotych, poszedłem jako pątnik pod Jasną Górę i prznocowałem za 50 gr. Po drodze ogoliłem się i zjadłem cztery bułki. Rano mając 9 zł. poszedłem szukać sobie

mieszkania. Idąc od stróża do stróża zasięgałem informacji aż wreszcie wskazano mi suterynę. Wszedłem do niej i jakież było moje zdziwienie i radość, gdy w suterynie zobaczyłem mojego znajomego z Olszówki, oddalonej niedaleko mego rodzinnego miasteczka, a który znalazł mnie od dziecka. Żona jego, ponieważ był bez pracy, z dziećmi wyjechała na wieś do familji. On ruszył na drugi dzień, to jest w poniedziałek za pracą, zostawiając mieszkanie na mojej opiece. Była to suteryna, do której słońce nigdy nie zaglądało, a sufit jest tak nisko, że trzeba chodzić schylonym. Wilgoć w niej była straszna i za taki chlew, taki grób, zapłaciłem 8 zł. zgóry. Zaraz napisałem kartkę do brata, by do mnie przyszedł. Kartkę tę posłaniec zostawił na stole, bo brat był w podróży, a po powrocie niezwłocznie przyszedł, lecz przyjechał dopiero za tydzień. Jeden złoty pozostał mi do życia. Postanowiłem umrzeć, a nie prosić. Położyłem się na siennik. Jeden dzień i noc jakoś minęła, lecz na drugi dzień dostałem gorączki i boleści. Boleści prędko minęły, a po południu dostałem febry i zacząłem majaczyć. Zdawało mi się, że lecę w głęboką przepaść. Później, że głowa w szybkim tempie mi rośnie i czuję ją bardzo dużą. Widziałem jedno oko, dwa, trzy, aż całe tysiące oczu patrzyło na mnie. Wstać nie mogłem, bo byłem bardzo słaby. Przez cały czas byłem przytomny lecz coraz słabszy. W nocy również dusiły mnie zmory i już nie spałem, a stale widziałem wystawy z chlebem i różnymi żywnościami. Tak minęły dwa dni i dwie noce, a śmierć nie przychodziła. Modlić się nie byłem w stanic, gdyż w trzecim dniu mózg mój zaczął słabo działać. Pilem bardzo często wodę, która później bez czucia wychodziła ze mnie na siennik, a który stąd był bardzo mokry. Straciłem przytomność, a kiedy ją odzyskałem, był czwarty poranek mej głodówki. Z wielką trudnością napilem się wody, która stała przy mym sienniku. Ruszałem stale wargami, liżąc je, gdyż mi zasychały. Pod wieczór dostałem znów febry i boleści. Wieczorem mi ustąpiły, lecz zato oczy bolały mnie, gdyż ich nigdy nie zamykałem. Serce biło mi bardzo słabo. Był piątek rano. Zapukano do mych drzwi. Wszedł brat, a widząc mnie leżącego, przyszedł do mnie bliżej. Mówić już nie mogłem, tylko ruszając wargami dałem mu poznać, że chce mi się jeść. Przyniósł mi mleka i bulki, której pokruszonej zjadłem. Po trzech godzinach było mi trochę lepiej. Usnąłem, a gdy się przebudziłem znów zjadłem bulkę i znów usnąłem. W sobotę przyszedł do mnie dozorca, by mnie zameldować i on przyniósł mi mleka. Brat mój w tym czasie był

bez pracy. Pobierał zasiłek 12 zł. tygodniowo. Brat odwiedzał mnie bardzo często, przynosząc mleko i chleba. Siły odzyskiwałem szybko. W poniedziałek najął mi brat mieszkanie, jako sublokatora i tam było mi lepiej, bo już byłem pod opieką. Przyniósł mi ze stacji bagaż, w którym miałem ubranie i parę butów. Przebrałem się i we środę, mimo iż byłem słaby, wyszedłem na ulicę. Idąc aleją Najświętszej Marji Panny, zobaczyłem przez otwarte drzwi, że w warsztacie stolarskim p. * * * pracuje mój znajomy nazwiskiem R... Wstąpiłem, mówiąc mu, że ginę z głodu i prosiłem go, aby wstawił się za mną do swego majstra o pracę dla mnie choć na jeden dzień. On znając klientów swego majstra i ich zamówienia, powiedział mi, że u Komisarza ziemskiego, przy sejmiku częstochowskim są meble do odnowienia. Zgłosiłem się niezwłocznie. Pan Komisarz bardzo uprzejmy człowiek, po różnych zapytaniach ofiarował mi pracę. Zacząłem pracować, lecz, że mój brat był w takich samych warunkach jak ja, nie mógł mi dopomagać. Znów głodny przystąpiłem do pracy. Pracowałem w kuchni. Zapach pieczonego mięsa uderzał mnie nie do wypowiedzenia. Że prosić nie śmiałem, a kotletów było dużo, postanowiłem ukraść. Zamiar mój wykonałem. Gdy wyszła służąca, skradłem kotleta i kawałek chleba, które zjadłem w ustępie. W drugim dniu byłem śmielszy, opowiedziałem jej o przykrem moim położeniu z zastrzeżeniem, by nie mówiła Komisarzowi. Ta jednak sekretu nie dotrzymała, mówiąc wszystko Komisarzowi i to było dla mnie wielkim plusem. Od tego czasu śniadania i obiady jadłem u p. Komisarza, a po dwóch tygodniach, gdy robota była skończona wypłacił mi p. Komisarz 80 zł. Za te pieniądze kupiłem warsztat i przyjąłem pracę budowlaną u p. G... Praca ta co do ceny jest bardzo wyzyskana. Pobieram a konto 30 zł. tygodniowo, z których połowę daję bratu. Brat jest bez pracy, a ma na utrzymaniu żonę. Po zapłaceniu mieszkania pozostaje mi na życie i różne wydatki 10 złotych. Życie moje jest następujące: codziennie zjadam 1 klg. chleba, popijając czarną kawą, którą sam sobie gotuję na budynku. Kolacji nie jadam wcale. Spotykam dużo znajomych, dotkniętych nędzą, lecz pomoc im nie mogę. Nie koniec na tem, co przeżyłem—głód nazad mi grozi, lecz postanowiłem się więcej nie męczyć. Zabiję siebie i tych, którzy mi krzywdę czynią, bo jeżeli mając zdrowie i pracę, nie wolno mi pracować, to cóż mam robić? W Częstochowie wylonila się Komisja, która ma na celu odebrać pracę tym, którzy nie mają papierów majsterskich i karty rzemieślni-

czej. Chcąc uzyskać tę kartę trzeba dużo starań i pieniędzy, których ja nigdy nie mam. Komisja ta spisała mi protokół i nie wiem co dalej będzie. Mój Boże, chociaż mój organizm jest zupełnie wysuszony, chociaż tak marne prowadzę życie, że zagraża ruiną mego zdrowia, to jeszcze i tak żyć mi nie dają, wymagając różnych formalności. Jeszcze z pół roku, a ze zmartwienia i lichego odżywiania dostanę gruźlicy. Przechodzę ulicą, (a mieszkam na pryncypalnej), widzę w cukierniach i na ulicy uśmiechnięte twarze. Każdy ich uśmiech rani mnie, chciałbym żyć jak oni. Niestety! Z domu wychodzę bardzo mało, aby zapomnieć, że ludzie żyją lepiej ode mnie.

Niedawno spotykam mego znajomego bezrobotnego nazwiskiem Z..., który pracując żył w nędzy, a dziś? prosi mnie o papierosa. Daję mu i pytam się jak się szykuje na święta: „Panie Wacku, co ja się mam szykować? Pragnę tylko, aby nastaly lepsze czasy, abym choć raz w życiu mógł sobie kupić z 5 klg. mięsa, usmażyć i dobrze pojeść“. Biedny człowiek, pomyślałem. Marzy tylko o 5 klg. mięsa, a chociaż jest tak tanie, pozwolić sobie nie może, a w dodatku zaznacza „chociaż raz w życiu“. Widocznie w życiu swoim takiej rozkoszy nie doznał. Idąc dalej spotkałem S...., który ze mną pracował jako „primo“ tokarz, a dziś został z niego cień. Postanowiłem odwiedzić go na święta. Obiad wigilijny jadłem u brata, a po obiedzie przyszedłem i zacząłem pisać ten pamiętnik. Całą drogę do domu plakałem jak dziecko i teraz lzy cisną mi się do oczu, spadając na papier. Właściciel, u którego pracuję, jest — jak każdy bogacz — chytry. Dzień przed Wigilją, chcąc dać mniej pieniędzy lub bojąc się, żeby a konto nie przewyższyło robocizny, wypłacił mi na święta 20 zł.; 10 zł. dałem bratu, a po wykupieniu bielizny pozostało mi 7 zł. Byłbym tych pieniędzy nie przyjął, lecz żeby w dzisiejszych czasach mieć pracę trzeba brać co „pan“ daje. I jak mam przeżyć za 7 zł. święta i tydzień do drugiej zaliczki. O Boże, jeżeli jesteś, jeżeli rządysz światem, dziś w dzień Twego Narodzenia, proszę Cię, daj mi chociaż tyle gramów szczęścia ile łez mych spłynęło na ten papier, na którym piszę ten pamiętnik. Może tyle złego nie uczyniłem co ci, którym dzisiaj pali się choinka, którzy się weselą, nie wnikając w życie biedoty. I nam Magistrat postawił na ulicy choinkę, która prócz kolorowych świateł nic więcej nie posiada, a jest raczej przekorą, byśmy wspomnieli sobie, że dawniej tak było. Setki napewno widzieć jej nie mogą, bo nie mają w czym wyjść. W pierw-

szy dzień świąt odwiedziłem S... Otwierając drzwi zobaczyłem obraz nędzy i rozpacz. Na łóżku leży w połogu żona, do której akuszerka przychodzi z litości. Pięcioro dzieci zupełnie nagich. Smród straszny, gdyż niema kto koło nich robić, tulą się w łóżku, przykrywając się lichą, poprzecieraną kołdrą. Są to żyjące szkielety ludzkie. Sam S... nie ma ubrania, bo sprzedał wszystkie »łachy« na targu, aby żywić rodzinę. Na nogach ma jakieś stare kalosze. Wszyscy żyją z Komitetu, czasem rozwozi nawóz u ogrodnika. Taki rzemieślnik, którego dawniej wszyscy potrzebowali. Kolega mój, W... starszy monter, hydraulik, roznosi chleb z piekarni po sklepach, a opisać jego straszne przejścia trzeba by z miesiąc czasu. Żona, bardzo ładna kobieta, poszła z dzieckiem po żebrze. Na ulicy Małej mieszka panna A. K., bardzo uczciwa panienska. Nie mając środków do życia prosiła jakiegoś pana o pracę. Pan ten chciał ofiarować jej pracę, lecz wzamian, by mu się oddała. Długo upierała się, aż głód skłonił ją do tego, a dziś, kiedy ma dziecko, została wyrzucona na bruk. I miliony takich rzeczy można pisać bez końca.

Wspomnę tu jeszcze tragedję, jaka rozegrała się 1930 r. 5-go grudnia (ul. Małą w Częstochowie zamieszkują przeważnie robotnicy). Na ul. Małej mieszkał robotnik z żoną i czworgiem dzieci. Rodzice byli bez pracy, wskutek czego wkradła się nędza. Raz matka zarobiła parę groszy, a że to był piątek, kupiła jednego śledzia i chleba, dzieląc między dzieci. Brat starszy, liczący lat 17, zjadł wprzód od młodszego brata, a że było mało, zjadł również kawałek brata młodszego. Wszczęła się kłótnia, której wynikiem był trup. Brat młodszy, będąc głodny, w szale chwycił nóż, którym śledź był krajany i celnem uderzeniem w serce zabił brata na śmierć. Śmierć za kawałek śledzia. Tragedja ta wstrząsnęła całym miastem, pojawiła się we wszystkich pismach, jednak wkrótce ucichła, a rodzina ta żyje nadal w nędzy. Straszny brak pracy zepchnął nawet najszlachetniejszych ludzi na dno upadku, czyniąc z nich żebraków, złodziei i różnych fałszerzy. Liczba prostytutek z każdym dniem wzrasta, oddają się za marne grosze, rozsiewając różnego rodzaju choroby.

Na tem kończę swój pamiętnik z nadzieją, że Nowy Rok 1932 poprawi nam wszystkim stosunki materialne.

Częstochowa, dn. 24 grudnia 1931 r.

Robotnik tkacki
zamieszkały w Zawierciu

Bezrobotnym zostałem w maju 1925 roku. Pracę, jaką otrzymałem w międzyczasie, można nazwać wyrobieniem 20 tygodni na zasiłek. Mam lat 34. Samotny. Wykształcenie domowe, pracuję jako robotnik niewykwalifikowany. W 1913 roku wstąpiłem na tak zwany rynek pracy, zmuszony rozpocząć na swe utrzymanie myśleć samodzielnie. Gdyż pracująca matka-wdowa — nie mogła wyżywić nas trojga, tembardziej myśleć o wykształceniu dla mnie. Płaca moja zostawała regulowaną według przyjętych norm, popyt-podaż. W roku 1925 przy tak zwanej reorganizacji pracy — zostaje matka zredukowaną. Matka, siostra nie pracowały nigdzie — tem samem spadają na utrzymanie moje. Nieuregulowanie zaopatrzenia na starość spada całym ciężarem na siły młodsze — uwalniając dyrekcje fabryk od jakiegokolwiek troszczenia się o wypracowanych robotników, jak również nie pozwala na odpływanie normalne starych robotników a zatrudnianie młodszych. Kwestja ta winna być jak najprędzej uregulowana.

Jak zaznaczyłem, redukcji uległem w 1925 r. Był to okres po zamianie marki na złote — i wprowadzeniu automatycznej podwyżki płac. Zarobki z tego tytułu były nieźle, praca trwała wszystkie dni, często pracując godziny nadliczbowe. Z zarobków, czyli z czasów tych — rozporządzałem trzema parami kamasy — zapasowem ubraniem. Istniało kupno na tak zwane lichwiarskie raty — lecz z wypłatą trza było uciekać! Redukcją tą nie przejmowałem się bardzo. Zasiłek wynosił mój 10 zł. tygodniowo. Matka pobierała osobno. Równocześnie po otrzymaniu 13 ustawowych okresów — pobieraliśmy dalszą — z akcji doraźnej — bez ograniczenia. Staranie o pracę, wynoszącą 14—18 zł. tygodniowo, byłoby nonsensem — lub brać takową na tydzień, dwa. W roku 1926 po-

częły obiegać pogłoski o wstrzymaniu zasiłku doraźnego samotnym, a zatrudnieniu głów domów, co i nastąpiło. Zetknąłem się pierwszy raz z P.U.P.P. już nie celem kontroli, a faktycznie o otrzymanie pracy. Zostałem wyprowadzony bardzo prędko z błędu, gdyż P.U.P.P. pracą nie rozporządzały i do dziś dnia nie rozporządzają — poza zapotrzebowaniami na roboty miejskie, t. zw. publiczne, jeszcze w ograniczonej ilości — gdyż ślusarze, stróże, dozorczy — wszystko to jest zawsze przyjmowane imiennie — zależnie od władzy, w czyich znajduje się rękach Magistrat. (Istnieje to do dziś dnia). Prywatni pracodawcy nigdy żadnych zgłoszeń nie robią — wolą mieć ludzi poleconych, lub zawierać umowy, kto przyjmie za tańszą cenę. Kierownikiem P.U.P.P. był wówczas stary monopolista rosyjski, do którego mogliśmy mówić jak do obrazu o głodzie, litości. Cholery! — żadnej odpowiedzi. Chcąc zmusić go do zainteresowania się nami — dostał raz w łeb obsadką, suszką, koszem do śmieci — przemówił do telefonu o przysłanie policji. Zanim ta przybyła — chętnych do pracy już nie było, byli tylko ci, co tak sobie przyszli. Zwróciłem się do znajomego o pomoc — służy w tajnej policji obecnie — gdyż zawsze miał słabość do załatwiania tajnie we dwóch. Otrzymałem list polecający, a za nim wśląd pracę w kontroli przeprowadzanej dla bezrobotnych. Po ukończeniu tej, — znowu pomoc drugiego znajomego — otrzymuję funkcję dozorczy drogowego na publicznych. Roboty te wobec nadchodzącej zimy — kończą się. Idę z prośbą do dyrektora P... osobiście. Pracę otrzymuję w fabryce. Po kilku miesiącach pracy na 3—4 dni w tygodniu — fabryka redukuje ostatnio przyjętych. Znowu 13-cie ustawowych zasiłków. Nauczony doświadczeniem otrzymania pracy przez P.U.P.P. udaję się wraz z zredukowanym robotnikiem Z... do Łaz, do P. Kolei Państwowej prosić kilku drogowych — każą mi pisać prośbę lub odmawiają. Pracę otrzymuje Z..., właściciel 6 mórg ziemi. Obecnie jeździ na towarowych pociągach koło Łodzi. Umiał trafić. Trafia się zastępstwo za idącego na ćwiczenia wojskowe — biorę, i to warunki tej pracy są ciekawe. Idący na ćwiczenia wojskowe otrzymuje należny urlop miesięczny z firmy, w której pracuje, równocześnie zostaje zwolniony z pracy i wymeldowany z Powiatowej Kasy Chorych, Ubezpieczenia Pracowników Umysłowych w Królewskiej Hucie. Ja zobowiązuję się nie mieć pretensji do niczego — pracować 6 tygodni ćwiczeń, a zapłatę otrzymam za dwa. Będący na ćwiczeniach otrzymuje ur-

lop — plus zapłatę za czas ćwiczeń; firma — ubezpieczenie i pracownika 4 tygodnie, ja płacę za dwa i zapomogę, którą jeszcze pobieram. Po ukończeniu zasiłku biorę czyszczenie kotła — z drugimi, firma Tartak i Młyn. Żyd wyzyskuje nas — za 4 tygodnie pracy bez ubezpieczenia — gdyż był to warunek, pod którym otrzymaliśmy pracę, — płaci 60 zł. Pracowaliśmy od 6-ej rano do 6-ej wieczór. Otrzymuję wiadomość: potrzebny człowiek do pracy, tylko bezwzględnie uczciwy. Za takiego przedstawiam siebie, gdy idzie o uzyskanie pracy. Idę natychmiast, coś jednak było nieuczciwego we mnie, gdyż otrzymuję odpowiedź — to nie dla mnie miejsce. Jest za stróża z płacą 2 zł. dziennie. Chciałbym koniecznie widzieć tego bezwzględnie uczciwego za 2 zł. dziennie. Po tygodniu otrzymuje miejsce na cegielni jakiś człowiek. Przebywam na cegielni bardzo często gdyż są tam doły z rybami i tablica: »Lowienie ryb wzbrowione«. Co znajdę i chcę wędkę zarzucić — zawsze uczciwy z psem mi przeszkadzają. W niedzielę, święto o każdej porze dnia siedzą. Po upływie blisko roku — siedzę ze znajomym, obaj obserwujemy spławki wędki. Staje naraz uczciwy z psem przy nas — bez słowa protestu staram pochwycić leżącą wędkę i oddalić się. Dziwi mię tylko, pies nie szczeka, stoi skulony — naraz słyszę, panowie, co takiego, możebyście mi poradzili, jak można otrzymać zapomogę w Częstochowie, bo wyjeżdżam do synów. Został zwolniony, gdyż pracując blisko rok — spytał czy tu są urlopy. Donieśli panu. Radzę mu jak ma postąpić.

1930 rok. W październiku uzyskuję pracę na 3 dni w tygodniu w Tow. Akc. Zawiercie. W maju 1931 roku — Tow. Akc. Zawiercie zostaje zamknięte na czas nieograniczony i jestem do dzisiaj bez pracy, — czyli wszyscy troje — i zasiłku. Pomimo okresów pracy, sytuacja moja graniczy wprost z nędzą, gdyż pozbawiony zasiłków — biorę pracę na coraz gorszych warunkach, byle na życie coś zarobić. Rozporządzam na święto garniturem przeznaczonym, jeżeli i ten spadnie ze mnie?

Rok 1931.

Rozpoczynamy strajkiem. Tow. Akc. Zawiercie zamierza zredukować 500 robotników, bronimy się wspólnie, wysuwamy projekt. by zamiast pracy na 3 dni w tygodniu, jak dotychczas — pracować na $1\frac{1}{2}$, byle wszyscy. Zarząd odmawia ze względów technicznych i grozi zamknięciem fabryki. Zamykamy się na noc, nie chcąc opuścić oddziałów tkalni. Dyrekcja obstawia stróżami oddział ze

swej strony nie dopuszczając żadnej żywności — chcąc w ten sposób zmusić nas do opuszczenia fabryki. Przychodzą nam z pomocą robotnicy innych oddziałów — łąpią wóz z chlebem na ulicy, przewracają i przerzucają do nas. Po dwutygodniowym strajku i całym szeregu konferencji postanowiono ograniczyć pracę do 1½ dnia w tygodniu. Ładna wróżba na cały rok. Groźba zamknięcia fabryki wisi jednak w powietrzu.

Ograniczam swój budżet do niemożliwych granic, wyrzucam wydatki na zapalki — (reperuję starą zapalniczkę) — naftę, mięso, chleb, cukier. Słodko mi się robi przy cukrze, podobno w Anglii świnie go jedzą. Jakże muszą się czuć prosięta szczęśliwe. Myślę o naszych dzieciach, lecz to nieprawda, nie wierzę. Z dwoma nałogami nie mogę sobie dać rady i zostawiam ich — machorkę, o tureckim przednim nawet nie marzę — i czytanie gazet. Dochodzę jednak i w wydatkach na powyższe do pewnej wprawy. Kurjera Zachodniego czytam codziennie, wywieszonego na tablicy koło filii redakcji i administracji — ul. Trzeciego Maja. Raz w tygodniu kupujemy ze znajomym 1 kg. starych gazet. Tytuły są wycięte. Koszt po 10 groszy na jednego. Kurjerów Krakowskich wchodzi 6 — 7. Bierzymy zazwyczaj cztery Kurjery, dwie Polonje, i jaką Warszawską. Znajomy mój idzie do Łachnika — sprzedawca gazet — i podczas prowadzonej z nim rozmowy stara się wybrać, by każda była z innego dnia. W ten sposób zdobywamy wiadomości tygodniowe.

Maj.

Fabryka zostaje zamkniętą na czas nieograniczony. Sytuacja na t. zw. rynku pracy przedstawia się katastrofalnie. O uzyskaniu pracy jakiegokolwiek w warunkach tych marzyć nie można. Prowadzone są jedynie roboty miejskie lub sejmikowe. Narazie pozostaje 13 tygodni ustawowego zasiłku. Po przeprowadzonej reorganizacji w moim budżecie — dostarczycielem pożywienia w letnich miesiącach staje się las i pole. Włóczę się po lesie, wypatrując ścieżek zajęczych. Worek cienki i siidła noszę za pasem. Gdy upatrzę odpowiednią chwilę i ścieżkę, stawiam oko — w przeciagu dwu dni zazwyczaj leży zajac.

Plagą moją są leśni, psy i tacy sami bezrobotni, którzy chcą wykorzystać czyją pracę. Oszukasz leśnego — trzeba się skryć przed idącym bezrobotnym — który ogląda krzaki — na trawie czegoś szuka — wszystkim się zachwyca. Idziesz już na pew-

nego — tu stoi Curek — macha ogonem, już wie, że w sidle. Gdy taki przyjaciel, knę po cichu i wyrzynam kij, mój przyjaciel nie czeka na rozmowę tylko targa oko i w nogi. Raz spotkała mię uczta. Spotkałem zająca napastowanego przez jastrzębia. Zapalczywszej walki nie oglądałem nawet w cyrku. Bek, sierść, pierze, krzak pod który usiłował umknąć zając — wszystko to zdawało się koziołkować. Pośpieszyłem z pomocą napastowanemu, dając parę razy w łeb jastrzębowi, póki się nie uspokoił. Zająca w tym stanie też nie wypadło zostawić samego, zabrałem obydwóch. Jastrząb po urwaniu łba miał 12 funtów, rosół był z niego jak oliwa, zając 14.

Specjalnie lubię chodzić na młode wrony. Stare znają mnie do tego stopnia, iż na mój widok w lesie kraczą jak opętane. Biję kijem w drzewo, na którym są gniazda, a gdy młode się odezwą wyłażę po nich. Siedzą w gnieździe jak w klubie dyrektorzy lub ziemianie, miny zuchowate — łeb goły, tylko czaszka świeci, kark pofałdowany, nos orli. Znać rasę i stary ród, brzuch okrągły, nalany tłuszczem — frak i garnitur zawsze ciemny — na nogach lakiery lub boks. Nigdy ich nie zrzucam, jak to czynią wiejskie chłopcy — lecz ostrożnie znoszę na ziemię, kładę na grzbiet i patykiem naciskam po brzuchu, gdy zaczną wrzeszczeć, to stare latają jak zwarjowane — o mało co nie dotykają głowy mojej. Gdy już ledwo zipie — ściskam palcami za szyję, parę klapnięć powiekami i gotowa, biorę drugą. Zwracam się raz do towarzysza mych wypraw z pytaniem, czego my te ptaki tak męczymy. Odpowiada mi, że istnieje prawo. Człowiek krzywdzony z przyjemnością drugiemu krzywdę wyrządza. Po chwili dodaje: a może zaprawiamy się do wymierzenia sprawiedliwości.

Przechodząc koło pól biorę zazwyczaj po kilka marchwi, korpeli czy ziemniaków — z nastaniem jesieni znoszone porcje zaczynam powiększać celem zrobienia zapasów na zimę.

W wycieczkach tych nie jestem sam. Chodzą różni, patrzą na pola obrodzone — często jeden drugiego nie możemy przetrzymać w zachwycie nad urodzajem. Poznajemy się bardzo łatwo i wspólnie przystępujemy do dzieła.

Wracam raz z opisanej wycieczki do domu — zastaję siostrę zapłakaną. Co ci jest — pytam. Krzesła trzy zapisali z magistratu za podatek mieszkaniowy i poborca powiedział, że zabiorą, gdy nie zapłacimy. Idę na drugi dzień do magistratu, komisarz nie przyjmuje, tylko zastępca w tych sprawach. Przedstawiam, jestem

bez pracy, zapomoga już na wyczerpaniu, nic nie pomaga, płacić muszę. Dostaję przy tem lekcję o kasie pustej, skarbie, że mieszkam w Polsce, a płacić nie chcę. Rezygnuję z oporu i płacę. Poszła tygodniowa zapomoga, drugą trzeba zanieść gospodarzowi za mieszkanie. Pozostaje dwa tygodnie bez grosza, gdyż niezapłacenie po sobie trzech następujących rat, bez żadnych komentarzy, czy oskarżony pobiera małą zapomogę, lub pracuje na 1½ - 2 dni — duża rodzina — pozostaje bez pracy — sąd oddala, następuje wyrok, zasądający płacić, a w razie dalszego nieplacenia — groźba eksmisji w miesiącach letnich. Poznał sąsiad to na swej skórze. Długi czas był bez pracy, żonę miał chorą. Gdy tylko dostał się na roboty publiczne, gospodarz sprawę skierował do sądu, sąd zasądził jednorazowo płacić. Komornik położył mu areszt na rzeczy. Mieszka do marca, wyprowadzi się bez gratów.

Październik i listopad.

Pozostaje bez jakiegokolwiek zapomogi — pożywienie moje zaczyna się składać z samych ziemniaków, dobrze choć, że grzyby są. Piję kawę ze spalonego żyta, z domieszką żołądźci i herbatę z suszonych skórek jabłek. Wszystko to z letnich zapasów. Ostróżyny z ziemniaków sprzedają na machorkę i proszki z kogutkiem na ból głowy dla matki. Spać kładziemy się o 6-7 celem oszczędzania światła i opału. Poznają długość nocy zimowych. Sen nie przychodzi, a idą różne myśli. W głowie szumi i trzask.

Na nic wszelka oszczędność. Pozostaje artykuł, który pochłonie całoletnie latanie. Ze strachu i szacunku dla niego, piszę dużemi literami: *Węgiel*. Tego w żaden sposób zastąpić lub oszczędzić nie można. Lato jeszcze możliwe, lecz zima od października do marca lub kwietnia — 5 miesięcy — to znaczy 12 lub 15 metrów — równa się 60 - 70 zł. Suma nie do zdobycia i zarobienia. Pozostaje wyjście — znowu kraść. Decyduję się na pójście do Łaz na sortownię. Wychodzimy zazwyczaj o godz. 10-ej wieczór, jak idzie dobrze powrót 6-a rano. Źle, wracamy o 5—6-ej po południu. Przy noszę od 50 do 40 kg. węgla. Po kilku turach klnę na cały świat i siebie. Obchodzić trzeba posterunki policyjne, przez lasy, karczowiska, strumyki, przychodzę przemarznięty i mokry — idąc niewiedomo co pod nogami, śnieg, pniak czy dół Jeżeli ktoś upadnie, żaden nie ogląda się na drugiego — do tego to ciągle nasłuchiwanie: prędko krzykną stać! Wpaść w ręce policji z Łaz, trzeba

odleżeć 2 tygodnie. Biją łeb nie łeb gumami, żadnych argumentów (na kobiety to są jeszcze możliwi). Słynny przodownik policji M... — myślę nieraz, czy służbista taki, czy też co dostał w łapy od Rady Zjazdu Zagłębia Dąbrowskiego. Żyje w Zawierciu 300 do 400 osób z kradzieży węgla, a kradną? Wszyscy robotnicy.

Istnieją partje, które mają w swem gronie kobietę, ta oddaje się stróżom, kolejarzom, ci mają naszykowany węgiel, lub ustawiony sygnał, że policja jest.

W Zawierciu i okolicy znajdują się pokłady węgla brunatnego, który przed wojną był używany przez biedniejszą ludność na opał, jako dużo tańszy. Dziś wydobywają go Poręba i Hulczyński w ograniczonej ilości. Cena jego jest jednak dosyć wysoka, jak mnie informowano, prawdopodobnie jest podatek nakładany dosyć wysoki, by węgiel ten nie konkurował z kamiennym — czy nie możnaby przyjść ludności z pomocą przez odpowiednie ustalenie cen. Konsument i tak zamieniony w złodziei, a premja jaką płacimy, gdzie idzie, na płace dla p. akcjonariuszy, zamieszkałych w Paryżu, Berlinie czy Włoszech. Znowu nie wierzę, by tak mogło istnieć u nas. Z braku funduszków przestają kupować i na kilogramy stare gazety. Zaczynam chodzić na stację, wyczytuję wszystkie tytuły pism w kiosku »Roju«, czasem znajdę Kurjera lub kawalki pism ilustrowanych w koszu do śmieci. Przyzwyczajenia czytania nie mogę się pozbyć. Jednego dnia znajduję cały kurjer zmięty w koszu. Chowam go prędko do kieszeni. W domu przy rozwijaniu wylatuje łeb, grzbiet i skóra ze śledzia. Mam ochotę zwrócić się do tych, którzy mogą sobie pozwolić na rzucanie całych kurjerów, by odpadki nie zawijali w gazety. Nie wiem jak to zrobić, lub w tych domach, gdzie są różne tygodniki i miesięczniki, też można by tak dla fantazji zmiąć i wyrzucić, zamiast palić. Myślę o bibliotece. Istnieją u nas Macierzy Szkolnej — zastaw 2 zł., opłata miesięczna 1 zł. Są jeszcze inne, lub prywatne. Lecz w żadnej nie wypożyczą książki na legitymację P.U.P.P., ostemplowaną przez całą długość: »Bez prawa do zasiłku«.

Wędrówki po mieście rozpoczynam od godz. 7 rano. Wlokąc się pewnego dnia rano, załatuje mnie znany zapach — chleb świeży. Przystaję bezwiednie. Ładują na wóz chleb z piekarni. Za chwilę wóz rusza, by stanąć przy następnym sklepie. Idę za zapachem — oglądam się, jest nas już kilku. Piekarz znosi do sklepu pieczywo, gdy zniknął za drzwiami, rzucamy się do chleba. Słyszę strzał jeden, drugi. Właściciel strzela w górę. Alarm

jeszcze większy. Przyciśnięty do wozu, co wyjmę chleb, to mi go wyrwą z ręki. Lapię jeszcze raz bochenek chleba i próbuje uciekać. Znowu mi chcą wyrwać. Kopnąłem porządnie. — O rany Boskie, zabił — krzyczy jakaś stara baba. — Puść — wrzeszczę, gdzie tam, pazury wbiła i trzyma jak w kleszczach. Słyszę gwizdek policji. Targam na pół bochenek i uciekam do domu (podaję adresy piekarzy, których to spotkało: * * * * * — można sprawdzić).

Popełniłem błąd nie do darowania przy redukcji. Chory jestem, mam do 40 stopni gorączkę, febrę i silny kaszel. Szczęściem, po obmywaniu octem wstaję. Wzorem innych bezrobotnych nie poszedłem do lekarza Kasy Chorych po zredukowaniu jako chory i nie powtarzałem tych wizyt co pewien okres czasu. Dziś nie mam lekarza i lekarstwa. Trzy miesiące minęło. Wizyty u lekarza Kasy Chorych są bardzo łatwe, gdyż wszystko zgóry ułożone, naprzód numerek, później czekanie w ogonku u drzwi gabinetu. Gabinet tak urządony, iż odległość biurka, przy którym urzęduje lekarz do drzwi — wymierzona tak dokładnie, by starczyła na opowiedzenie choroby. Lekarz, gdy ma coś ciekawego za oknem — patrzy w okno, słucha tylko — gdy kończysz mówić co ci jest — wyciąga rękę ku stosowi leżących papierów, wyciąga pasemko papieru — gotową receptę i podaje ze słowami: »trzy razy dziennie«. Powaga z jaką to czyni, przypomina mi ptaka ładnie upierzonego na kartarynce, który wyciąga losy szczęścia dla wszystkich gotowe i każdemu prawdę mówi.

Są to skutki ustaw takich jak: musisz przyjść w ciągu dni 20 od daty zwolnienia; zabrać czas lekarzowi i sobie, lekarstwo wyrzucić na śmietnik, czynność powtórzyć tę parę razy, by w razie rzeczywistej choroby mieć lekarza i lekarstwo. Kto tego nie uczyni, pomimo płacenia składek przez lat 5 czy 10 korzystać z lekarza nie może. Również z ambulatoryjnego leczenia, gdyż lekarz bada chorego dopiero w łóżku, gdy leży, lub w szpitalu. Są jeszcze mądrzejsze paragrafy. Chorobę przewidzianą co rok dla kobiety płaci się pełne 100% i urlop 6-8 tygodni. Suchoty nieprzewidziane u szlifierza w hucie szkła, lub robotnika w przędzalni po opłaceniu składek przez lat kilkanaście — leczy Kasa Chorych w przeciągu 3 — 9 miesięcy, tak samo reumatyzm i t. p. choroby. Jeżeli się nie wyleczysz, to przychodzisz do lekarza Kasy Chorych, ten podaje ci katalog i wybierz sobie nową chorobę, gdyż na tę samą nie wolno, trzeba ją zmienić. Mając tak świetny sposób le-

czenia — nie wyzyskuje go nasza propaganda zagraniczna. Ogłosimy w Davos czy Riwierze, a setki kuracjuszy o różnych przewlekłych chorobach, przyjadą do Polski ich się pozbyć w ciągu 9 miesięcy, lub zamienić na przyjemniejsze. Złoto popłynie do naszych kas pustych.

Lub też stwórzmy »Kasy prawne« dla robotników, w których będą urzędować adwokaci — gorsi od lekarzy nie są, tylko jeden z końca języka wszystko wie, drugi ciągnie za język pół godziny, do samego dna oka chce zajrzeć, — a nie będziemy mieli pomyłek: iż jeden bezrobotny, czy ubezpieczony w Kasie Chorych ma lekarza 9 miesięcy, drugi 3, trzeci po miesiącu zwolnienia musi mieć zaświadczenie do lekarza Kasy Chorych z P. U. P. P., czwarty niema wcale korzystać — może z Opieki Społecznej, której fundusze są zawsze wyczerpane i lekarstwo trzeba samemu płacić.

Dziś idziemy do p. komisarza Z... celem rozmówienia się co do otrzymania pracy lub zasiłków. Po przyjęciu nas udziela nam lekcji o patriotyzmie, zadużem rozbudowaniu ubezpieczeń społecznych w Polsce. Chory — do magistratu, mieszkania nie ma — do magistratu, pracy — do magistratu. To się wszystko musi skończyć, trzeba samemu sobie radę dawać — funduszy niema na to. Krzyczy i kłania się — znak, by opuścić gabinet. — Panie komisarzu — wtrącam — może by pan był łaskaw zwolnić nas z podatków, płacimy mieszkaniowy, za który mają nam budować domy, Kasę Chorych, Ubezpieczenie, na artykułach spożywczych. — Ja nie od tego, macie swych posłów, to się do nich zwróćcie. Wychodzimy. Znowu pytanie czy może istnieć instytucja prywatna, która by ubezpieczała na wypadek eksmisji i pobierała 3 zł. kwartalnie z jednego mieszkania, a zobowiązań nie wykonała. Nie — prokurator, sąd i więzienie. Jeżeli państwu czy samorządom potrzebne są fundusze, niech je ściągają pod nazwą podatku, a żadnych zobowiązań nie robią. Damy ci mieszkanie, tylko zapłać 3 złote kwartalnie. Wyleczymy cię — dasz 2 złote na tydzień, będziesz bez pracy — otrzymasz zapomogę lub pracę, daj jeden złoty na tydzień. Za pięć lat bezrobocia nigdy pracy nie otrzymałem z P.U.P.P. Upływa drugi miesiąc jak pozostaję bez zasiłku. Żaden mi kawałka chleba nie podał.

Na drugi dzień idziemy do pana starosty K... Prosimy o zasiłki, pracę, lekarza, inni mówią o butach, odzieży, o dzieciach głodnych. Udziela nam odpowiedzi, nie mówi a rzuca słowami — zdaje się, należy do rodziny lekkoatletów. Najpierw ekonomja, prawo

i umowy międzynarodowe. Skutki spadku funta angielskiego, marki niemieckiej, by cieszyć się ze złotego, który mocno stoi. Za cały ten czas grzeję się przy piecu i zaczyna mnie interesować porzucony niedopałek papierosa, leżący koło spluwaczki. Po kilku ruchach mam go w kieszeni. Nareszcie coś ciekawszego. Powstają obywatelskie komitety w Zawierciu też, na czele którego ma stać komisarz miasta, drugi pod patronatem p. starościny — tylko narazie czekać spokojnie, żadnych zgromadzeń, niezadowolonych, gdyż z całą energią to uspokoi. Przypominam sobie krwawy wielki piątek — w 1930 roku. Opuszczamy gmach starostwa. Cieszy mnie ten niedopałek, gdyż na ulicy takiego nie znajduję.

Nareszcie w drugim miesiącu mojego łążenia, otrzymuję 1 metr ziemniaków, są zakupione przez magistrat w Poznańskim — na wagonie napis Kościana — najgłówniejsze, są dobre, — równocześnie otrzymuję 2 metry węgla na grudzień i styczeń.

Grudzień.

Otrzymuje matka dalsze dwa metry ziemniaków, z których po przywiezieniu do domu, wybieramy 40 kg. zupełnie zgniłych, sprzedaję ich po 2 grosze kg. dla świń, 1 metr sprzedaję za 3 złote — też dla karmienia bydła, są zmarznięte, gniją bardzo szybko, o trzymaniu dłuższem w piwnicy niema mowy. Resztę wycieramy na placki. Ziemniaki te pochodzą z przydziału Obywatelskiego Komitetu i są ofiarowane przez Wielkich Ziemian, na wagonie napis — o ile się nie mylę — Tarnopol. Większa część bezrobotnych nie otrzymała kartofli. Z 120 wagonów, które przydzielił Komitet Obywatelski dla Zawiercia na papierze — połowa przyszła — coś niebardzo się śpieszą Wielcy Ziemianie. Przynoszą nam kwit na żywność. Na miesiąc grudzień 3 osoby otrzymują:

15 kg. mąki żytniej,
3 kg. mąki pszennej,
1,5 kg. słoniny,
1 kg. kaszy,
1 kg. grochu,
1 kg. grochu Wiktorja,
0,5 kg. mydła,
— cukru,

wyraźnie: kreskę cukru. Nie znając takiej miary w Polsce idę, lecę do sklepu, tam okazuje się, iż cukru nic. Nie pytam, ale pewnie znowu jaka świnia zjadła (myślę o angielskiej).

Zachodzę często do magistratu. Przy roznoszeniu talonów żywnościowych, wydawaniu kartofli, pracują bezrobotni. Proszę p. Komisarza L... o pracę. Otrzymuję roznosić talony. Na trzeci dzień przychodzi Federacja Obrońców Ojczyzny do Komisarza, celem zatrudniania tylko obrońców. Nazajutrz są wyznaczeni nowi, ja usunięty. Zarobiłem jednak 20 zł., z tych 10 niosę za mieszkanie. Zastanawiają mnie ci obrońcy.

Poszedłem w 1918 roku jako ochotnik do wojska polskiego, zwolniony w 1921 roku. Świadcstwo mej służby brzmi:

Spełniał swoje obowiązki wzorowo, był zdolnym i pełnym inicjatywy pracownikiem — a także bardzo uczciwy i sumienny.

Dow. baonu Kajetanowicz.

Za zgodność: Witowski, ppr. i adjutant.

Nazwiska prawdziwe. Ciekawym jakie by mi dziś wystawili?

Nie przypominam sobie dnia w którym szedłbym, czy walczył z bolszewikami przeciw Polsce. Jako bezrobotny w 1930 roku chodzę na kursy instruktorów i otrzymuję świadectwo jako instruktor kategorii II-ej O. P. Gaz. z wynikiem zupełnie dobrym. Koszt książek, mapek, ponoszę ze swej kieszeni.

Przyglądam się tym, którzy mają pracę stałą. A to kto? — pytam znajomego. Odpowiada mi szeptem: F..., zasłużony przy rozbijaniu domu ludowego w Jaworznie, oraz pracował przy wyborach. A ten drugi R..., taki sam.

Ja w 1930 roku chodziłem na kursy O. P. Gaz.

Niech mi kto wytłumaczy.

Święta Bożego Narodzenia nadchodzą, kupuję za 1 zł. 5 gr. samego mięsa. Na rynku, gdzie czynię zakupy, stoją stoły zawałone samymi ryjami, ogonami i nogami świńskimi, — towar z rzeźni katowickiej. Podchodzę, każę sobie dać pół kg. ryjoszka.

Piętkę, czy ucho — pyta rzeźnik. Piętkę — odpowiadam. Równocześnie pytam, może mi Sz. Pan powie skąd tyle ryjów w Polsce. Jaktó, to pan nie wie, grzbiety idą do Anglii, do tego nie wolno świni uderzyć, gdyż żaden Anglik nie kupi zbitego grzbietu. Nawet bezrobotny? A coś pan myślał.

Płacę 40 groszy i uciekam.

Jak sprytnie działa propaganda bolszewicka — raz cukier, węgiel, teraz te grzbiety. Co robi nasza defenzywa? Po drodze biorę

śledzoną za 25 groszy i wstępuję do jatki z koniną po kilo mięsa — kosztuje 40 gr. Po wyjściu pluję kilka razy na chodnik, jak to jest przyjęte u kupujących koninę. (Jatka przy ulicy Blanowskiej Nr. 1). Równocześnie dają przepis na sporządzenie klopsu, dowolnej wielkości, zależnie od objętości garnka, lub familji, choć ten zawsze równa się familji. Bierze się śledzoną, obrzynki z ryjoszka, trochę koniny, dla smaku posolić i dodać parę ziarenek pieprzu, zemleć lub usiekać i dodać suchego chleba tartego do należytej wielkości, upiec na słoninie. Kości z ryja użytkować na krupnik.

Wigilja.

Od rana czekam na tradycyjny obiad. O głodzie wałęsam się po mieście. Jutro będzie chleb na śniadanie i klops. Coś we mnie z uciechy mruczy. Gwiazdy jak niema, tak nie. Nareszcie widzę jedną. Siadamy do stołu.

Pięć potraw.

- 1) Opłatek.
- 2) Zupa grochowa.
- 3) Kapusta z grzybami.
- 4) Po całym grzybie smażonym na oleju.
- 5) Herbata z cukrem.

Coś jednak jest, cały czas nie przemawiamy do siebie ani słowa.

Idę na pasterkę. Gdyż święta i niedzielę wychodzę z domu tylko o zmierzchu ze względu na swoją jesionkę i kamasze. Czuję wszystkie kamienie i gruz przez podeszwy. A wierzch? Są tylko trzy łąty, których w żaden sposób nie mogę doprowadzić do jednego koloru. Jedna z rękawiczki starej — ta zawsze ruda — druga z cholewy, stały kolor mat — dopiero trzecia błyszczy.

Boże Narodzenie.

Radość, słońce, wszystko pobieżało do Betleem.

Nad okolicą całą chmury ciężkie, ołowiane, deszcz pada. Spędzam czas w domu i myślę. Jeżeli wytrzymam cudem do marca lub kwietnia, otrzymam pracę na publicznych na trzy dni po 6 godzin. Zarobek mój wyniesie 12 zł. na tydzień. Po 20 tygodniach zwolnienie, gdyż wyrobię na zasilek. Jak zapłacę zaległe mieszkanie, węgiel, pokryję bieżące wydatki, do tego buty i jesionka —

matka też w kaloszach chodzi — choć nic nie mówi, ale widzę trzewików nie ma. Siostra? Zamykam oczy. Cyfry zaczynają przybierać formę liter dużych, czarnych, zaczynam ich sylabizować.

Wyrokiem Sądu Doraźnego został skazany.

Wyrok wykonano dnia... o godz... Datę swej śmierci muszę wpisać sam. Ciężko, bo ciężko, lecz trudno, jeśli to przeznaczenie.

Przesyłam pracę swą w formie pamiętnika i proszę o łaskawe wybaczenie, tak błędów jak i papieru na którym piśzę, lub zbyt otwartych myśli, lecz bezrobotny — to człowiek, który różnie myśli — ukrywanie tego uważam za niewłaściwe i chybiające celu, do którego zamierza przystąpić Instytut.

Na wszystkie przytoczone rozmowy lub fakty, mogę służyć dalszemi szczegółami — są autentyczne.

Zawiercie, dn. 4 stycznia 1932 r.

Windziarz w kopalni
zamieszkały w Gołonogu

W myśl ogłoszonego konkursu Instytutu Gospodarstwa Społecznego w Warszawie przesyłam trochę wspomnień, prosiłbym bardzo, aby Sz. Instytut Gospodarstwa Społecznego raczył wybaczyć niedokładności i zbyt może rozwlekły temat pamiętnika.

Zredukowany byłem 15 sierpnia 1930 r., do chwili obecnej nie mam stałego zajęcia.

Prosiłbym o ileby się nadawał mój pamiętnik po odpowiednim przerobieniu do druku, aby Instytut Gospodarstwa Społecznego raczył przesłać jeden egzemplarz na pamiątkę.

No kolego! Robimy dniówkę. Za 10 minut druga. Czas przeprowadzić rewizję lin i klatek. Słowa te wypowiedział, spoglądając na zegarek, sygnalista szybowy z drugiej zmiany. Odetchnąłem. Całodzienne uwijanie się koło szybu, zapychanie i ściąganie wozów z klatki wyczerpało mię całkowicie. Z pośpiechem tedy podszedłem do sygnału, odbiłem cztery krótkie i przeciągłe raz, znaczy koniec dniówki. Po chwili zjawił się maszynista z młotkiem pod pachą, kluczami w ręce i przystąpił do rewizji klatki. Po krótkim pukaniu tu i ówdzie, rzucił krótko: Na dół z klatką! Znow krótkie trzy i klatka zaczęła wolno opadać w czarną czeluść otworu szybowego.

Stałem tedy na małym wzniesieniu, umieszczonem z boku szybu i z uwagą rozpoczęliśmy rewizję lin. Czynność ta, pomimo skupienia całej uwagi na przesuwającej się powoli w ręce linie, nie przeszkadzała jednak w rzucaniu dowcipków, kierowanych pod adresem kolegi czy maszynisty, albo też odwrotnie, znając mój niefrasobliwy i z natury żartobliwy charakter, starali się obaj

»zegrać mię«. I tak codzien! Lecz dzisiaj jakoś, jakby kto zamówił, nietylko żarty, lecz i rozmowa nie kleiła się. Coś zmaciło ten codzienny spokój i mroziło cisnące się na usta żarty, a miejsce ich zajęła niewidzialna jeszcze, ale intuicyjnie wyczuwana troska, która wżerała się w umysł niczem zmora, szarpała nerwami. I nic tylko jedno i to samo pytanie wracało uparcie i wierciło w mózgu. Co będzie dalej? Stop! Wyraz ten rzucony krótko i ostro przez maszynistę wyrwał mię z głębokiej zadumy i przypomniał swą czynność. Machinalnie podszedłem do sygnału. Czas już był. Bo oto z przeciwległej strony zaczęła się wyłaniać z mroku szybu klatka i równała się z poziomem nadszybia. Krótkie raz i klatka stanęła.

Znów dało się słyszeć miarowe pukanie po resorach i tregach klatki, zgrzyt klucza po zluzonych śrubach. Tak jak zwykle, jak codzien. Gotów! — rzucił krótko maszynista. Byłem wolny. Lecz tak jakoś nie chciało mi się odchodzić. Jakiś wewnętrzny niepokój targał mną. Tak, dzisiaj piętnasty. Wyplata, ale jednocześnie w dniu dzisiejszym miała być wywieszona lista redukcyjna. Szczęść Boże! rzekłem po chwili na odchodnem i powlokłem się w stronę kantoru, gdzie już spora grupka robotników oczekiwała wypłaty. Niepokój, który mną targał można było zauważyć również i na twarzach zebranych górników i szleprów (ładowaczy), którzy zbici w jedną gromadkę żywo nad czemś rozprawiali. Domyśleć się było bardzo łatwo, że tematem rozmowy była redukcja. Wyplata. Dał się słyszeć głos od strony kantoru. Wszyscy jak na komendę ucichli. Ten i ów poszperał z pośpiechem w kieszeni marynarki, wydostając książkę od wypłaty, podał w stronę okienka kantoru. Adamczyk Karol*) — rozległo się donośne wołanie urzędnika towarzyszącego kasjerowi przy wypłacie. — Jest! — prawie równocześnie dał się słyszeć głos i z grupy robotników wysunął się podchodząc do okienka górnik. Twarz jego poorana zmarszczkami i poznaczona czarnymi bliznami świadczyła o latach przepracowanych w głębi ziemi. I tak kolejno przesuwaly się postacie młodszych i starszych górników w miarę wywoływanych nazwisk. Sławski Eugenjusz! Dźwięk mego nazwiska wyrwał mię z gniotącego odrętwienia. Jest! — rzekłem podchodząc do okienka z przygotowaną legitymacją. Lekki stuk stempla i zaklejona kopta z dwutygodniowym zarobkiem przeszła w me ręce. Spojrza-

*) Nazwisko to jak i inne — pseudonim.

łem w rubrykę »wydaje się na ręce gotówką«. Widniała suma 126 złotych 34 gr. Lekkie radosne drżenie przeleciało mi po ciele. Nie zawsze odbierałem takie wypłaty. Będzie więc czem załatać trochę zaległych długów. Krótki jednakże ten błysk radości musiał ustąpić wobec gromkiego okrzyku jednego z kolegów: »Gienek, jesteś zredukowany!«. Wrażenie jakiego doznałem po tym okrzyku było tak przykre i przygnębiające, że nie mogłem wprost uwierzyć aby to prawdą być miało. Pociągnięty za rękaw podszedłem do sąsiedniego okienka, gdzie sztygar kończył rozwieszanie listy redukcyjnej. Trzy podłużne smugi nazwisk widniejące zdaleka świadczyły o dość pokaźnej liczbie zredukowanych. Spojrzałem. Tak, niepodobna było nie uwierzyć, pomiędzy szeregiem innych widniało najwyraźniej moje nazwisko.

Jestem więc zredukowany.

Pierwszy może raz w życiu, wobec tego niespodziewanego, a zarazem bolesnego ciosu stałem zupełnie bezradny i słaby jak małe dziecko, pozostawione na ulicy przez nieogłędną matkę. — Trudno nazywo się, rzekł do mnie Adamczyk, jo bo stary jezdem, to mi ta i czas, choć tyz się trza martwić, nikaj już grosa nie zarobie, ale Tyś młody, to cię ta nie powinni beli redykować, zresztą rzekł po chwili, dos se rade, jo bych beł na twoim miejscu, to bych gwizdoł. — Spojrzałem w jego pomarszczoną twarz i spokój z jakim wymawiał te słowa udzielił się i mnie. Wola Boża, machnąłem ręką i powlokłem się do domu. W domu żona podając obiad dostrzegła moje przygnębienie. Cóż Ci to Gienieczku, tak bowiem czule odzywała się gdy wiedziała, że mi coś dolega. Zawałałem się, czy powiedzieć jej jak jest. Biorąc jednakże pod uwagę poważny jej stan w jakim się znajdowała, dałem spokój. Po chwili jednak zdecydowałem się. Słuchaj Emilu, jestem zredukowany. No, ale nie martw się znów tak bardzo, jakoś to będzie, mam przecież znajomych, może mi co wykombinują. Lecz optymizm, z jakim wymawiałem te słowa nie udzielił się jej, widziałem po twarzy, czytałem w oczach, że nie łudziła się tak nadzieją jak ja. Żalowałem teraz, że może przedwcześnie wyrwałem się z tą tak niefortunną wiadomością. Wierzę Gienieczku, — że dasz sobie radę, młody jesteś i zdolny nawet, ale widzisz... zbliżyła się do mnie kładąc mi ręce na ramionach — tak się czegoś boję. Ty widzisz jak jest ze mną, czy damy sobie radę? Być może, iż w tej chwili przeczuwała złe kolejki, jakie nas w przyszłości czekały. Nazajutrz wstałem z rozbolałą głową. Ubrałem się jednak dosyć prędko, bo do-

syć na dzisiaj miałem lataniny. Trzeba było załatwić formalności związane z redukcją, podjąć resztę zarobku, oraz zameldować się w gminie, celem uzyskania zasiłku. Za dziesięć dni zgłosiłem się do pierwszego meldunku, a po drugich dziesięciu dniach otrzymałem 14 zł. tygodniowego zasiłku. Boże mój! pomyślałem, czy będę mógł wyżywić rodzinę za to przez cały tydzień? Pocieszałem się jednak, że wkrótce może dostanę gdzieś pracę, że to niedługo potrwa. Uplęło parę tygodni. Nie było już prawie ani jednego przedsiębiorstwa, ani jednej fabryki czy kopalni, gdziebym nie był prosić pracy. Wszędzie jedna i ta sama odpowiedź. Niema przyjęcia. Zwątpienie zaczęło mnie ogarniać tembardziej, że zaczęły się chłodne i slotne dni listopadowe, trzeba więc było dla dzieci cieplejszych ubranek i bucików, na ten jednak wydatek nie było skąd wziąć. Bolało mnie to okropnie, a może najokropniej to, gdy po całodziennym i bezowocnym wędrowaniu za pracą przyszedłem do domu głodny i zmęczony pragnąc wypoczynku, którego znaleźć nie mogłem, gdyż zaczynała się cała litanja prośb i narzekań. Tatusiu, patrz, odzywa się Todzia, jak mi się bardzo leje do trzewików, do szkoły nie mam w czym iść, kup mnie tatusiu śniegowce. Dziecko to, mając zaledwie ośm lat, już musiało zapoznać się ze strasznymi skutkami bezrobocia. Tatusiu, ale zobacz ona ma dobre pończochy, to jej śniegowców nie potrzeba, a ja ani trzewiczków ani pończoszek nie mam, zaczęła swe wywody pięcioletnia Kazia. I znosiły, pokazując mi: to podarty bucik, to pończoszki, które aż spuchnięte były od ciągłego cerowania.

Dajcie spokój Tatusiowi, przerywała żona, jak dostanie pracę to wam się zaraz kupi. No jakże tam? zagadnęła dostałeś gdzie co? Nic, odpowiedziałem. Były to jedne i te same zapytania i odpowiedzi od kilku tygodni. Tymczasem zima zbliżała się z każdym dniem, brak opału dawał się bardzo dotkliwie we znaki. Mieszkancko jedno tylko, ale opalone bardzo skromnie, byle tylko coś ugotować, robiło wrażenie jakiejś pustelni. Znikła dawna wesołość dzieci a szczebiot zamienił się na ciągłe narzekania na zimno. Siedziały przy zimnym piecu pootulane w płaszczyki i pocichutku nad czemś radziły. Nad czem? Bóg raczył wiedzieć. Zajęty swymi myślami o okropnym położeniu nie zwracałem nawet uwagi na ich szepty.

I tak upływał dzień za dniem w ciągłej włóczędce za pracą, której dostać nie mogłem, gdyż stale dało się słyszeć o coraz to nowych redukcjach. A tu bieda zaczęła coraz gwałtowniej, coraz

niemiłosierniej zaglądać do mieszkania. Znikąd pomocy spodziewać się nie mogłem. Musiałem liczyć i polegać na własnych siłach.

Nadeszły wreszcie święta Bożego Narodzenia. Święta tak gorąco przez dzieci upragnione. Ale czy mogły porównać się ze świętami lat ubiegłych? W kącie mieszkania stała choinka goła jak śledź popielcowy, urągając swą nagością i pokracznie powykrzywianymi nogami baletnic z bibulki (życzliwie ofiarowanych przez koleżanki dzieci). Wierzcie mi kochani czytelnicy, że wolałbym, aby jaki dziwny zbieg okoliczności mógł przesunąć te święta na lepsze czasy. Kolacja wystawnością w niczem prawie nie ustępowała choince, trochę pieczonych kartofli, śledź, kawałek strucli i tradycyjny opłatek. Życzyliśmy sobie wzajemnie, jak w każdym roku, zdrowia przedewszystkiem, szczęścia i dobrego powodzenia! Ach to powodzenie! W tej chwili musiało być gdzieś bardzo daleko na jakimś urlopie wypoczynkowym, kto wie zresztą może na drugiej półkuli, albo co gorsza, zupełnie nie istniało. Zeszły nam święta na obopólnem rozmyślaniu o »lepszych czasach« i snuciu planów na »lepsze czasy«, które niewiadomo kiedy nadejść miały.

Teraz trzeba było zadowolić się »fiutką« (pospolicie nazywana zupa z kartofli) z kawałkiem chleba, wkońcu i tego braknąć miało.

Zasiłku, który był głównym piedestałem naszej egzystencji, należało mi się jeszcze dwie tygodniówki około 29 złotych. A dalej? Byłem bezradny. Wysiłki w celu uzyskania pracy były daremne.

Znałem z powierzchowności wszystkich prawie dyrektorów różnych przedsiębiorstw, znałem wszystkie portjernie, a nawet wszystkich prawie stróżów w portjerniach. Wypytywałem się, latałem jak szalony od przedsiębiorstwa do przedsiębiorstwa daremnie. Nigdzie nic. Wiedziałem tylko tyle, że o ile nie otrzymam pracy przed ukończeniem zasiłku, czeka mię z rodziną straszna nędza, głód. Tak, głód, którego już potrosze zakosztowaliśmy. Zdziwi to może niejednego, a tembardziej niejedną będącą w biedzie gosposię. Ale proszę! Wezmę naprzykład najskrupulatniejszą w obliczeniach szanowną gosposię i powierzę jej 14 zł. tygodniowo każąc z tego zapłacić chociażby tylko 10 zł. za mieszkanie miesięcznie, kupić z tego opał, światło i wyżywić rodzinę, składającą się z czterech osób, to napewno wyprzysięgłaby się miana gospodyni. W skrajnej prawie egzystencji zeszły i owe dwa tygodnie nie przynosząc nic nowego prócz gorszej biedy i nędzy, którą można było czytać na naszych twarzach.

— Gieneczku! podaj się na doraźny zasiłek, — rzekła do mnie żona pewnego ranka, gdy siedziałem bezradny nie wiedząc już gdzie udać się za pracą. Może co dostaniesz. Widzisz, już czwarty dzień ani kawałek chleba nie widzimy, a tych trochę kartofli pożyczylam, dzieciom przydałoby się choć trochę kawy zgotować, a tu cukru niema ani odrobiny. Dzisiaj poszło kilku bezrobotnych do gminy, mają podobno zapisywać na »doraźne«.

— Tak! trzeba będzie — pomyślałem. Upłynęło już półtora tygodnia od ostatniego zasiłku, być może, że dostałbym co choć dla dzieci. Ubrałem się pośpiesznie i poszedłem. Drogą dopiero idąc zauważyłem, że po wczorajszej skromnej kolacji, ot, tak dla rozgrzania się tylko, jeść mi się chce. Głupstwo — pomyślałem i przyspieszyłem kroku, by przygłuszyć błagalny głos żołądka choć o kawałek chleba. Dla dodania sobie animuszu zacząłem pogwizdywać arję znanej żołnierskiej piosenki: »Idzie żołnierz borem lasem... Podchodząc do gminy zdaleka już usłyszałem wrzawę, która w miarę zbliżania się rosła.

Zauważyć można było jak kilku podrostków, kręcąc się pod oknami gminy, wykrzykiwało: »Robotę dawać! A nie, to pieniądze!«

Nie! Tym niedorostkom, jak zauważyłem, nie zależało na uzyskaniu pracy, pieniądze owszem przydałyby się im, by roztrwonić je w jakiej speluncie. Ale że pieniędzy uzyskać nie mogli, gdyż przysługujący im zasiłek wyczerpali, więc w tej chwili zależało im więcej na wywołaniu burdy. Byli to przeważnie synowie dosyć zamężnych gospodarzy. Jednym słowem był to element bardzo burzliwy i żądny stale czegoś nowego z urozmaiceniem kija i noża. Tak też i w tej chwili. Gdy urzędnik gminy wyszedł i oświadczył, że dzisiaj może zapisać około pięćdziesięciu bezrobotnych, posiadających rodziny na utrzymaniu, zgraja ta nie dając przyjść do słowa ani urzędnikowi ani delegatom rzuciła się do płotu rwąc sztachety, klnąc przytem w najrozmaitszy sposób, zaczęła przybierać coraz to groźniejszą postawę. Wtem dał się słyszeć brzęk tłuczonej szyby, to któryś z podrostków rzucił kamieniem. Było to jakby hasło. Ze wszystkich prawie stron posypały się kamienie, które lecąc tłukły szyby i demolowały wewnętrzne urządzenie lokalu, albo też odbijając się od muru raniły bliżej stłoczonych bezrobotnych. »Policja!« krzyknął ktoś. Jak stado wróbli na widok jastrzębia, tak i zgraja ta na widok mundurów rozpierzchnęła się przeskakując płoty i uciekając gdzie który mógł. — Rozejść się! — rozległo się wołanie policjantów. Lecz prawie w tej chwili posypał

się grad kamieni z za płotu, z za węglów sąsiednich budynków leciały coraz to nowe serje pocisków. Nie wiedziałem gdzie schronić się, gdzie uciekać. Uciekać? poco? Czy zawiniłem co? Nagle poczułem okropne uderzenie w plecy. Nim zdążyłem się obejrzyć dostałem drugie jeszcze okropniejsze, po nim trzecie. Czułem, że padam, wraz z upadkiem straciłem przytomność. Gdy otworzyłem oczy leżałem na stole w dosyć schludnym mieszkaniu, nademną stał znajomy felczer. — No, jak się Pan czuje? Niech się pan poruszy, może pan wstać? — Wstałem, ale bolały mię wszystkie kości, a na prawym policzku czułem piekący ból, widocznie padając rozbiłem sobie twarz. — Kto pana uderzył? — zagadnął mię felczer. — Nie wiem, odpowiedziałem. W gruncie rzeczy nie wiedziałem, a posądzać o to nikogo nie chciałem. Podano mi szklanę herbaty, którą chciwie wypilem. — A może Pan głodny? — zagadnęła mię o dosyć sympatycznemu wyglądzie kobiecina, widocznie gospodyni tego domu. Nie śmiałem się przyznać. Wołałbym, aby o to zapytano dzieci, o mnie w tym wypadku niewiele mi chodziło. — Niech Pan je, niech się Pan nie krępuje — rzekła gosposia, stawiając przedemną świeżą szklanę herbaty oraz kilka kawałków chleba z masłem. — Czy mogę proszę pani, zabrać ten chleb — zapytałem nieśmiało — dla dzieci... — dorzuciłem. — To Pan ma dzieci? A dużo? Czy duże? — pytała kobiecina. — Tak, dwie dziewczynki — odpowiedziałem — i może głodne w tej chwili, dzisiaj właśnie chciałem podać się na doraźny zasiłek i taka katastrofa mię spotkała. — Na moment zamyśliła się kobiecina, nagle jakby coś postanawiając rzekła: — Nie, niech Pan zaczeka, co to tyle chleba — i wyszła. Po chwili wróciła obładowana kilkoma torebkami i dwoma bochenkami chleba. — Proszę — powiada — niech to Pan weźmie, tu jest cukier, tu trochę fasoli, o tak wszystkiego potrochu, nie zbiedniejemy, mąż pracuje w kolei, a Pan dawno nie pracuje — recytowała pocziwina jednym tchem — a tu proszę ma Pan na pociąg, bo taki Pan pobity to nie dojdzie. — Nie wiedziałem jak dziękować kobiecinnie za jej dobre serce. Zbierałem jedną torebkę za drugą ciesząc się przytem, jaką radość sprawię w domu na widok tyle prowiantu. Lecz z tem pakowaniem jakoś mi nie bardzo szło, nie wiem, czy to z tego pobicia jeszcze, czy też z silnego wzruszenia, dosyć, że ręce mi drżały i nie mogłem dać sobie rady. — Weźno Stefcu, spakuj to i pojedziesz, bo Pan widzę słaby — rzekła gospodyni, widząc moją niezaradność. Dziewczynka, może

czternastoletnia uwinęła się i w parę minut byliśmy na stacji, a w niespełna godzinę w domu. Na widok obandażowanej twarzy, żona przeraziła się bardzo i zaczęła wypytywać co mi się stało. Nie wiedziałem co odpowiedzieć, wyręczyła mnie dopiero przybyła ze mną Stofcia. E, widzi Pani taki był okropny tłok przy wydaniu żywności i poturbowali trochę Pana, mówiąc to pośpiesznie rozpakowywała przyniesioną prowianturę i rozkłada na stole, po chwili wykręciła się na pięcie. — Dowidzenia, niech Pan nie choruje a Pani niech się nie martwi i wyszła. Żona jednak nie zadowolniła się wyjaśnieniem dziewczynki, dopytywała dalej, jak się to stało? Głupstwo, słuchaj! Szczęście w nieszczęściu — rzekłem. opowiedziałem jednak wszystko. Biedaku! i dwie ledwie dostrzegalne perełki zaszkliły się w jej oczach. Dzień ten, pomimo tylu wydarzeń był dniem przełomowym w naszej nędzy. Zkądś przysłała mi myśl wziąć się za oprawę książek, potrafiłem z czasów szkolnych, poprosiłem kierownika o wypożyczenie prasy i noża. Spróbowałem, najpierw na swoich książkach, których miałem kilka, udało się choć nie miały wyglądu, jaki mieć powinny, nie traciłem nadziei. Udałem się do kilku bibliotek. W jednej dano mi kilka książek na próbę. Tu wysiliłem całą zdolność udały się lepiej. Po tygodniu już miałem około siedemdziesięciu książek do oprawy. Byłem uratowany. Z wdzięcznością myślałem o szkołach, w których prócz lekcji historii, geografji i innych przedmiotów nauczono rękodzielnictwa, jak koszykarstwa, introligatorstwa, wyplatania krzesel i wielu innych rzeczy, które w przyszłości mogą stanowić o losach człowieka. Tak też i ze mną było? Cieszyłem się, że mogę pracować nie będąc ciężarem społeczeństwa. A pracy, dziekować Bogu miałem już teraz, kończąc jedne książki otrzymałem drugie, polecano mnie z powodu niskiej ceny i solidnej roboty drugim bibliotekarzom.

Nadeszła wiosna. Nie martwiłem się, choćby nie było książek do oprawy, zaczynał się sezon. Miejscowe Nadleśnictwo, wiedząc, iż byłem bezrobotny przysłało po mnie do pakowania drzewek. W cztery dni nabrałem takiej wprawy, że pakowałem jak najlepszy ogrodnik. Po ukończeniu pakowania znalazła się inna praca, przesadzanie różnych krzewów i t. p. Mając jeszcze zajęcie w szkółce drzew i krzewów owocowych, spotkałem się z miejscowym cieślą, zestawiaczem domów, który oświadczył mi, że chętnie weźmie mnie do pomocy. I tak w niespełna pół roku, byłem introligatorem, ogrodnikiem, cieślą. A gdy brakło pracy w wyżej wspomnianych

zawodach, brałem się za kosę i kosiłem jak zawodowy kosiarz. Dziwiłem się nieraz jak mogłem być na tyle bezradny z początku bezrobocia. Nie przynosiło mi to tak dostatniego bytu jak praca stała gdzieś w kopalni czy fabryce, ale też nie miałem głodu. Dzisiaj, pomimo półtorarocznego bezrobocia czuję się wesołym, dzieci też wspominają o choince, z krzywymi nogami baletnicach i wiele różnych rzeczy należących do przeszłości. A jednak, gdy usiądziemy sobie w wieczór i radzimy nad czemś, to zawsze marzeniem naszym jest, abym dostał gdzieś stałą pracę a z uzyskaniem jej nadeszłyby »lepsze czasy«.

Gołonóg, dn. 14 stycznia 1932 r.

Robotnik niewykwalifikowany
zamieszkały w Sosnowcu

Wielce Szanowni Panowie! Do pomnika bezrobotnego robotnika chcę też i ja jako bezrobotny dołożyć swoją spowiedź nędzy. Otóż jestem z zawodu zwykłym prostym robotnikiem (obecnie bezrobotnym). Ożeniłem się przed kilkoma laty. Ze swoją żoną kochaliśmy się bardzo. Czego dowodem tej naszej wzajemnej miłości są owoce, w postaci pięciu drobnych dzieci (najstarszy liczy 14, najmłodsze 5 lat). Pracowałem w jednej fabryce Zagłębia Dąbrowskiego, jako zwykły prosty robotnik placowy. Płaca moja wynosiła dziennie t. j. za 8 godzin 3 zł. 20 groszy, co przy przepracowaniu wszystkich dni roboczych w miesiącu, licząc przeciętnie po 25 dni, to zarobek miesięczny stanowił 80 zł. Jeżeli majster czasem dołożył premję (5 zł.) lub udało się jakąś godzinę nadrobić, to wówczas był zarobek o parę złotych większy. Ale cóż to jest taki zarobek na rodzinę, składającą się z 7 osób. Jak się tu obliczać, ażeby starczyło na mieszkanie, życie i ubranie. Samego chleba dwa bochenki, po 2 kl. nie wystarczało. Mleka żona brała po kwaterce na jeden dzień dla dzieci, a my już pili tylko tę czarną, czarną kawę, bo na więcej pieniędzy nie starczyło. Tak że ze wszystkim było szczupło, że nigdy nie można było koniec z końcem związać. W sklepiku z dnia na dzień robił się coraz większy kredyt, mieszkanie z miesiąca na miesiąc począłem zalegać z płacą, co raz to gorzej, ziemia poczęła mi się z nóg usuwać. Wielce Szanowne Państwo! Wybaczcie mi, że sobie pozwolił tych parę słów naszkicować o moim życiu — gdy żem jeszcze pracował i jaki taki miał zarobek. Chciałem bowiem dać tylko lepszą podstawę do zrozumienia: jak żyłem gdy żem jeszcze pracował i mało wiele zarabiał — a jak mogę żyć, gdy jestem całkiem bez pracy. Nadeszła jesień. Po fabryce gruchnęła straszna i smutna wieść »redukcja«. Wszystkich robotników na wskroś przeszył śmiertelny

dreszcz. Tak kochani panowie. Na wieść o redukcji człowiek się wzdryga i śmiertelna gorączka lęku przenika go na wskroś. Może większa? Bo śmierć przyjdzie — i jak to mówią — »raz kozie na wozie«.

Ale gdy przyjdzie redukcja, to się dopiero dla człowieka rozpoczyna piekło cierpienia i nędzy, głodu, zimna i dopiero wówczas następuje istna gehenna życiowa. Na drzwiach portjerni wywiesili dużą białą kartę, na której widniało fioletowe, maszynowe pismo. W paru bardzo krótkich wierszach podany był motyw redukcji: »Z powodu braku zamówień, wymawia się pracę w terminie 14 dniowym, robotnikom poniżej wyszczególnionym«. Tu następuje długi szereg imion i nazwisk, pomiędzy którymi znajdowało się i moje. Na samym dole widnieje ministerjalny podpis Naczelnej Dyrekcji. Przed oczyma mojemu stało groźne widmo nędzy i głodu. Teraz dopiero dla mnie rozpoczyna się gorzkie życie. Gorsze od piołunu, imbiru, żółci, alby. Zaoszczędzonych pieniędzy nie mam, bo skądże — roboty gdzieindziej dostać ani mowy — bo wszędzie redukcja. Wieść, że zostałem zredukowany, rozeszła się lotem błyskawicy po naszej dzielnicy. Wszyscy sklepikarze już wiedzą, kto jest zredukowany. O kredycie już nie ma mowy, żeby w którym dostać. Ten, u którego wpięram brałem na kredyt, z miejsca uciał i nie chce już ani na grosz udzielić kredytu, a o zaległe bez przerwy się upomina, bo jak nie, to mię pakuje do sądu. Sądem zbyt wiele się nie przejmowałem i sklepikarzowi dałem odpowiedź, że jak dostanę gdzie roboty, to mu wszystko odpłacę, a jeżeli już chce, to niech sobie zabierze jedno dziecko... Gorzej przedstawiała się sprawa z gospodarzem domu. Bo komorne mam za parę miesięcy niezapłacone. Eksmisja pewna. Gdzie iść z tą rebiatą? Na drugie mieszkanie pieniędzy nie ma — a co dopiero mówić odstępnę. Gospodarz jakby się uwziął, stale drzwi otwiera i żeby mu za mieszkanie płacić. Wcale nie da sobie tłumaczyć, że jestem zredukowany — tylko mu płacić, bo i na niego też Magistrat podatki woła. Miesiąc za miesiącem szybko leciał — jak minuta za minutą — lecz tylko w komornem. Suma niezapłaconych mieszkań rosła. Gospodarz nie mogąc się doczekać zapłaty — wytoczył mi proces o eksmisję. Zostałem bezradny, bezodporny i bez życia. Z nadejściem jesieni nadeszła i redukcja, a za nią bieda, nędza i niedostatek. To wszystko zastało mię całkiem nieprzygotowanego i niezabezpieczonego. Czemu się było zabezpieczyć? Kiedy przedtem, gdy żem robił, ledwie się człowiek opędzał. Te parę złotych (mały zarobek, mała zapomoga), które zacząłem

poierać z Funduszu Bezrobocia, nie wystarczały ani na chleb. A tu zima się zbliża. Piwnica pusta, komórka pusta—nie ma ani co jeść, ani czym palić. Wszystko bosc i nagie. Dzieci młode, zdrowe, jeść chcą—tylko im dawać, a tu skąd brać na to wszystko? Dzieci trzeba do szkoły posyłać, a tu nie ma dla nich ani ciepłych ubrań, ani butów, ani książek. Z każdym dniem zmora biedy i nędzy wzrasta i ściska nas coraz mocniej w swoje kleszcze. Potęgający niedostatek tak strasznie działał na mnie, że w niektórych chwilach odprowadzał mię wprost od zmysłów. Zima nadeszła. Mróz ściska nielitościwie. Ubranie podarte, liche, buty dziurawe, podeszwy cienkie, nie ma w czym wyjść za jaką zdobyczą kawałka chleba, lub pracy. Bo jeszcze nie wyjdę na świat z domu, to mnie już mróz w powietrzu ścina na całym cieie. W izbie zimno, bo nie ma czym palić. Ściany wilgotne, mokre, aż się woda po nich leje. W oknach dziury szmatami pozatykane, obok których wiatr mroźny, całeni kaskadami wpaduje. Gospodarz szyb do okien wcale nie chce wstawić, gdyż jest zły na mnie, że mu nie placę. Za mieszkanie, mówi mi, jeszcze będę do ciebie dopłacał? Jak ci zimno i mróz dokuczy, to sam uciekniesz — i zaciera z radości ręce, gdyż przyjdzie drugi i da mu odstępne. Ja nie mam na chleb — a skąd wziąć na szyby do okien. Mróz jak zamurował okna, tak go nie można ruszyć. Siedzi się w izbie jak w więzieniu i nie widzi się co się na świecie dzieje. Dzieci jak chcą zobaczyć podwórze, to odmuchują i językami tają lód na szybach i małemi okienkami wyglądają jednym okiem na podwórze i na świat. Żona stale pamięta i utyka dziury szmatami we drzwiach i oknach, tamując przez to wielki napływ mrozu. Dzieci jakie które miało ubranie powkładało na siebie, nogi szmatami pookręcały i siedzą przez cały Boży dzień na łóżku. Nawet i na noc nie chcą rozbierać się — bo mówią, że pomarzną w nocy. Nie chcą się też wcale myć, bo skarżą się, że woda im na twarzy zamarźnie. Że jeszcze nie zamarзли, to tylko należy zawdzięczać bogu-lichnej pierzynie, którą żona im zrobiła, dzielając swoją, którą dostała w wyprawie—na dwie. Licha, bo licha pierzynka, wsypa stara, pierze przez nią przelażą, ale zawsze to pierzynka, lepiej grzeje, niż każda inna szmata. Gdy jest bardzo zimno — to czworo dzieci sypia na jednym łóżku, a jedno na drugim z nami... a gdy jest na świecie łaskawiej to wszystkie pięcioro śpią na jednym łóżku wpoprzek, bo wzdłuż łóżeczka to jest niemożliwe, żeby się pomieściły. A ponieważ starsze dzieci są dłuższe jak szerokość łóżka, to przystawiam im pod koniec nóg ławę. Ja rano idę po zapomogę, żona

pookręca się na łóżku i reperuje stare i podarte ubranka—a dzieci znów zabawiają się czem mogą na łóżku, i co chwila wyskakują do okna, oddmuchują lód i wyglądają skoro powrócę z pieniędzmi. Gdy dostanę pieniądze zaraz kupię pud ziemniaków na rampie, pół korca węgla, parę kilo kaszy, mąki no i luksusu chleba. Gdy to wszystko poznoszę do domu jest już godzina 12 — południe — obiad wypada już jeść — a myśmy jeszcze bez śniadania. Wszystko zgłodniałe, z nieopisanem napięciem wygląda na mnie aż powrócę. Gdy mnie ujrzą wchodzącego i niosącego chleb, to na gwałt wyskakują z łóżka i pędzą do mnie, niczem najbardziej zgłodniałe wilki na widok owcy. Obstąpią mnie w koło i wprost rwią kawałkami chleb, nie dają nawet mnie, jako ojcu podzielić ich. Każde woła, żeby jemu dać w pierw, żeby jemu dać większy — bo jest starsze, a które by przez nieuwagę dostało większą kromkę (nie idzie równo podzielić bo nie ma czasu, bo sobie wydzierają), to klótnie, bicia, wrywania z ust jedno drugiemu jak dziki. — O dziki, dziki XX-ego wieku, w państwie kultury i cywilizacji — tak myślę sobie gdy na nie patrzę. Nieraz żona i ja mimio, że jesteśmy bardzo głodni nie skosztujemy ani kawałka chleba, gdyż one by w mgnieniu oka nie tyle zjadły. Popatrzymy tylko na te nasze żarłoczne pupile — któreśmy z naszej miłości, krwi i kości splodzili i na świat wydali — a już nam się jeść odechce, bo przecież one przez nas cierpią nędzę, gdyż przez nas przyszły na świat. Dzieci już się nieco posiliły — nie wchodzi na łóżko, lecz biegają po izbie — i zagrzewają cztery ściany naszej izby — które mierzą we wszystkie strony po 4 metry. Żona zapala w piecu ogień, wstawia do dużego garnka kaszę perlówkę i gotuje ją rzadziutko, ledwo jedno ziarno drugie goni. Z ziemniaków z tych na drugie — gotuje rzadziutkę »Fiteczkę«, żeby ich starczyło na długo, z mąki żytniej znów piecze placki na blasze kuchennej. Trudno żeby się kiedy kasza dobrze ugotowała, bo dzieci nie mogą się doczekać i nie dają odparu, tylko żeby im dać jeść. Żona rada nierada, wystawia gorący garnek z niegotowaną kaszą na podłogę i nie rozlewa już jej po miseczkach, bo by się mogło z łyżkę zniszczyć, lub narobić awantur o nierówny podział. Dzieci obsiadują z boku garnek na ziemi — wyściguje jedno przed drugie jak prosiątka — jedzą a raczej chłapią krupnik. Bóg jakoś o nas pamięta i zdrowie nam daje, choć nieraz i do niedogotowanego się najemy i namarzniemy się co nie miara, to jednak żadna z nas dzięki Najwyższemu nie zachorowała. Zdrowiśmy wszyscy jak ryby, tylko żeby było co jeść i robić. O ile żonie wcześniej uda się—co kaszy ułać dla nas—to się oboje posilimy i za-

grzejemy, a o ile nie — to się musimy obejść smakiem. To są takie uroczyste dni i obiady dla nas. Kiedy dostanę zapomogę z Funduszu Bezrobocia ale te parę złotych zapomogi — nie wystarczy nam na cały tydzień na takie »wystawne życie«, najwyżej starczy nam tych pieniędzy na 5 - 6 dni — a do następnej zapomogi jak tu przecierpieć. My starsi, to sobie jakoś jeszcze prędzej wytłumaczymy — nie ma i trudno, ale najgorzej jest z temi małemi dziećmi — nie rozumie to nic — i nie idzie mu wytłumaczyć — jemu się chce jeść i woła — a ty ojciec bierz skąd chcesz i dawaj. Nieraz z żoną patrząc na te nasze dzieci łaknące chleba zalewamy się serdecznemi łzami, czegośmy to doczekali. Kto byłby nam mógł to powiedzieć, gdyśmy stawali na ślubnym kobiercu — nie mając już innej rady żona płacze i ja płaczę, myśląc, że jak się wypłaczymy, to nam się odmieni. Dzieci widząc, że my płaczemy, powłóżą na łóżka i też płaczą aż się głodne pośpią. My jak się wypłaczymy i w izbie ucichnie, to zdaje nam się że na duszy i sercu cośkolwiek ulżyło — lecz bieda jaka była, taka jest. Żona choćby wyszła gdzie co zarobić, może by prędzej znalazła jaką obsługę lub pranie — to nie ma w czem wyjść, a tu zima. Ja znów, choć po całych dniach chodzę za robotą, to jej nigdzie nie mogę znaleźć. Dawniej mawiali ludzie, jak kto chce pracować — to mu biedy nie będzie, a dziś jest całkiem inaczej. Kto chce znaleźć jaką taką pracę — to musi posiadać niezwykle szczęście. Tak, moi kochani panowie, niezwykle szczęście. A ja jakoś pod tym względem jestem upośledzonym — i nie mam szczęścia i nie mogę znaleźć pracy. Nieraz łażąc i łażąc za tą robotą, myślę sobie — teraz dostać robotę byłoby to dobre, ale żeby ją to dostać gdzie na oddziale przy piecu — to byłoby jeszcze możliwe — ale gdybym ją dostał gdzie na placu lub polu — to człek odrazu zmarznie. Przecież nie ma ciepłego przyodziewku, dobrych butów, lichy odżywiany, prawie, że człek głodem handluje. Gdzie jest siła w mych rękach, jak to stanąć do pracy. Febra mię trzęsie gdy to myślę i śmiertelne poty występują na ciało. Jak tu człek by stanął do roboty, kiedy jak idę do Pośrednictwa Pracy zameldować się lub po zapomogę, to muszę lecieć w dyrdę, bo w ruchu marznę. A tam jeżeli zajdzie potrzeba dłużej czekać, to muszę bez przerwy biegać tam i z powrotem, tłukąc nogę o nogę — żeby mi nie poumarzały. I tak już człek na zagładę i tak na zagładę. Czy wcześniej, czy później i tak trzeba się marnie stracić z tej biedy, bo jej nikt nie jest w stanie przetrzymać.

Gdy mi już braknie pieniędzy z zapomogi na życie więc zmu-

szony jestem wyjść po domach i coś niecoś uprosić dla siebie, żony i dzieci. Gdy wyjdę na żebranię — to zbieram parę groszy, chociażby na sól i parę kilo ziemniaków. Dostanie się też u ludzi pojeść — to znów nabierać torbę kromek chleba, którą przynoszę do domu. Rarytas jest wielki dla dzieci — gdy ujrzą w domu tyle kromek chleba. Każdy łapczywie bierze po kilka i z wielkim apetytem wcina — jeno im się uszy trzęsą. Starczy też jeszcze tych kromek na posiłek dla mnie i żony. Prawda, że nie wszystkim ludziom jest taka bieda, jak nam — są jeszcze ludzie, którym się jako tako powodzi — i niektórzy jeszcze posiadają dobre i litościwe serca. Otóż nasze sąsiadki, widząc u nas wielki niedostatek — jedna dała kubełek węgla, druga mąki, trzecia ziemniaków, a inne jeszcze podały przechodzoną sukienkę, paltko i buciki dla dzieci. O mleku już dzieci niemal zapomniały. Gdy żona ugotuje czarnej kawy i troszkę osłodzi (dużo nie można słodzić, bo warunki finansowe nie pozwalają) i daje dzieciom do picia, to te wołają — »Mamusiu, wlej nam trochę mleka do kawy«. Żona musi je jakoś zbywać, więc im powiada: — Już mleko wlałam wam do kawy a że jest czarna, to jest wina krów, że czarne mleko dają. — A dlaczego teraz krowy dają czarne mleko — pytają się dzieci, to żona im znów tłumaczy, że teraz jest kryzys i krowy bardzo źle dostają jeść, więc się pogniewały i dają czarne mleko. Uwierza, bo muszą, smutne to jest kochani panowie, że matka w ten sposób musi okłamywać własne dzieci, żeby się pozbyć ich natrętnych próśb i oszukała je tylko na pozór, ale nie oszukała ich zdrowia. Kochani panowie, jak koło obraca się w koło, tak i nasze nędzne życie — z dnia na dzień nie odmieniło się, ani polepszyło. Idę do Urzędu Pośrednictwa Pracy i pytam się o robotę, dostaję odpowiedź odmowną, gdyż żadne firmy ani przedsiębiorstwa nie nadsyłają zapotrzebowań na robotników. Wypytyuję się bliskich znajomych, czy nie słyszeli gdzie o przyjęciu, ale gdzie tam, każdy ramionami wzrusza i odpowiada mi, szkoda mówić o przyjęciu, przecież tyle, a tyle osób zredukowano. Chodzę niemal codziennie jak żebrak, to tu, to tam za robotą, odwiedzam wszystkie fabryki i kopalnie — pewny nadziei, że może się dostanie ją — lecz szkoda marzyć, fabryki ledwie dychają, a o przyjęciu ani słycho. Stoję przed portiernią, wyglądam, drepczę nogami — bo ziębi w nie. Skurczam się z zimna i głodu i wszystko na próżno. Różni robotnicy, majsterki, urzędnicy, inżynierowie — nawet i sam dyrektor — wszyscy lecą spiesznie do pracy — z głowami wtulonymi w kołnierze i nikną we wnętrzu fabryki. Każdy

rad, że jeszcze pracuje. Których uważałem troszkę »za lepszych« kłaniam się nisko — (takich ukłonów mają tysiące) — ale każdy pośpiesznie mi się odkłania — i zmyka szybko, żeby go nie zaczepić. I tak dostoję do godz. 10-tej i czasem i dłużej i na próżno. Z próżnemi rękami całkiem zmarzniętymi, z klapiącemi uszami i szczękającymi zębami powracam do domu. Żona już wstała, zapaliła w piecu i zdążyła upiec placek. Dzieci też już powyskakiwały z łóżka i wydzierają sobie kołacz. Żona, gdy mnie ujrzała we drzwiach zaraz się zapytuje. No jak tam dzisiaj, ciekawa, że może dostałem robotę, że mnie tak długo nie widać. Szkoda o tem myśleć teraz, odpowiadam. Dzieci nie myte, żółte na twarzach, każde trzyma swój kawał placka w zębach — i apetycznie, raczej z szaleństwem zajada osaczywszy mię wokół i wpatrują mi się ciekawie, czy im czego nie przyniosłem. Na godz. 11-tą w południe — żona jakie mogła, takie zmyśliła śniadanie. Kolację znów o godz. 4-tej po poł. gdyż tylko dwa razy dziennie gotujemy, a to dlatego, 1) że jest dzień mały — niema co robić, a wieczorem nie ma pieniędzy na naftę, żeby jeszcze świecić, 2) nie ma co trzy razy dziennie gotować i czem palić, 3) prędeż zimno i głód można przespać niż przesiedzieć lub przechodzić. Pookrywamy się czem możemy — i tak się śpi. Nawet i smak do spania jest ogromny, człowiek głodny i zziębnięty jest słaby — a jak się jest słabym, to się śpi. Trzeba się zawczasu pomału przyzwyczaić i do leżenia, bo to człek z takiej biedy długo nie potrwa na tym świecie. To takie jeszcze można nazwać wspaniałe życie upływało nam do czasu — kiedy pobierałem zapomogę z Funduszu Bezrobocia, ale gdy mi się redukcja skończyła, roboty nigdzie jeszcze nie dostałem, a tu 7 osób jeść wygląda. Teraz dopiero bieda poczęła nam się dawać we znaki i ścisnąć nielitościwie w swoje kleszcze nędzy. Ach! moi kochani panowie, jaki teraz przedemną stanął obraz życia — jakie ono stało się dla mnie gorzkie, ciężkie i bolesne — to nie jestem w stanie opisać. Jak strasznie cierpiałem na duszy patrząc na ten niedostatek mych niewinnych dzieci, które zmuszone w tak młodziutkim wieku tyle nędzy cierpieć. Serce me ojcowskie wprost pękało z boleści, ileż to razy nie mieliśmy czem w piecu napalić i zagrzać trochę mieszkania i zagotować wody — ileż to razy nie było co do garnka wstawić — i wszyscy z głodu i zimna, płacząc rzewnie nad sobą o pacierzu poszliśmy spać, ach biedo, biedo, biedo. Za cóż nas tak kochasz. Kochani panowie! byłem młodzieńcem zdrowym, silnym — i jak wszyscy niemal czynią, uczyniłem i ja — oze-

niłem się. Zostałem mężem i ojcem i naostatku bezrobotnym. Do-
czekałem się jak i wszyscy obecni żyjący ciężkich czasów — dzieci
drobne wołają:—Tatusiu jeść nam się chce, tatusiu daj nam chleba
— a ja biedny i bezrobotny dokładam wszystkich sił swoich i nie
mogę im dać tego wszystkiego, co im się należy, i co ich życie
wymaga. Nieraz mi już zła myśl do głowy wpadała, żeby iść i coś
ukraść, ale jeszcze mnie sumienie przytrzymuje. I patrząc na te
zglodniałe moje dzieci, na te owoce naszej miłości, które tyle cier-
pieć muszą — wówczas wpadam w jakąś nieopanowaną depresję du-
chową, w jakiś wściekły wstrząs nerwów i krwi — i rwę włosy na
głowie, zrywam lachmany na swoim ciele, które i tak już same ze
mnie zlatują i miotam bluźniercze słowa. Pocóżem się na świat
rodził — po cóż mnie matka urodziła — czemuż mnie małego nie
rzuciła zwierzętom na pożarcie. Lecz gdy się opamiętam, i ochłonę,
żałuję tego, com wypowiedział, boć przecież i ja jestem ojcem i mam
dzieci i mimo biedy, czy dalbym które na pożarcie, o, nigdy, nigdy.
Gdy powrócę do normalnego stanu i przekonam się, że to zde-
nerwowanie nie pomogło, bieda jak była tak jest, dzieci jak były
głodne tak są, więc idę do sąsiada zamożniejszego, żeby wziął
półszafek, a dał mi węgla. Do drugiego, żeby kupił szafę na
ubranie, bo mi potrzeba pieniędzy na chleb i ziemniaki. Raz dwa
spieniężyłem te rzeczy prawie za pół darmo. Ale czy te pieniądze
starczą do czasu aż dostanę robotę. Nie, po kilku dniach już mi się
wyczerpały. Poszedłem do Magistratu, myśląc sobie, może tam
roboty dostanę albo co. Zachodzę do Magistratu, a tam bezrobotnych
aż ćma, wszystko kurczy się z głodu i drży od zimna, woła na
prezydenta miasta, żeby dawał albo pracę albo chleba. Prezydent
zamknięty w swym gabinecie jeszcze strzeżony przez policję nie
wpuszcza żadnego do siebie — gdyby wpuścił, to napewno ten zglod-
niały tłum by go rozerwał. Cóż i on zrobi z tymi bezrobotnymi
jak ma kasę pustą. Udało mi się jednak tego dnia wykołatać
z Wydziału Opieki Społecznej 10 zł., ale i te w bardzo krótkim czasie
przeszły. Roboty nie mam, a głód potęguje, co robić. W domu
znajdowała się jeszcze najdroższa pamiątka naszego życia, a więc
zegarek srebrny jeszcze z mych kawalerskich lat, obrączki ślubne —
no i złoty zaręczynowy pierścionek mojej żony, który trzymała jak
relikwię w domu. Wziąłem to wszystko i dałem to wszystko do
lombardu. Żona, widząc, że zabieram ostatnią, najdroższą pamiątkę
dla siebie i dzieci na chleb — płakała jak niemowlę. Głód był
silniejszy od poczucia i zamiłowania do pamiątek. Żona popłakała

sobie, popłakała, a gdy ujrzała chleb przyniesiony za otrzymane pieniądze z lombardu za rzeczy pamiątkowe, ukroiła sobie zgłodniała kromkę chleba i polewając go gorzkimi łzami zjadła. Teraz mając kilka złotych w kieszeni byłem na parę dni spokojny. Zabezpieczyłem się trochę w żywność i opał, graty, które lepsze wyprzedalem — a które gorsze porąbałem na ogień. Mieszkanie już teraz było niemal próżne, więc łóżka poprzysuwałem bliżej pieca, gdyż przy ścianach było niemożliwe — bo się lało po nich. Pieniądze otrzymane w lombardzie jeszcze się prędzej rozeszły jak żem je otrzymał, ani się człek nie obejrzał, ani se raz za nie dobrze nie pojadł, a tu ich nie ma. Co znów teraz robić. Sprzedać już nie ma co, za robotą chodzę jak zły duch, jak widmo cmentarne i bez skutku. Dawniej szło jeszcze gdzieś co zarobić, to poszedł na rampę do żyda, to do jakiego składu lub magazynu i coś nie coś zarobił, a teraz ani rusz, wszystko idzie jak z kamienia, nie idzie nigdzie nic zarobić. Trzeba się z dziećmi kłaść na podłozie i umierać z głodu. Chociaż gdzie jest jaka robota — to już dla starych znajomych, a jak nie, to trzeba mieć różnych wujków, żeby protegowali, a ja takich jegomości nie posiadałem, choćby się znaleźli, to więcej by ta protekcja kosztowała, niż by człowiek zarobił. Pewnego dnia już my bowiem nie mieli co do garnka wstawić, na szczęście jedna z sąsiadek podała nam wiadro węgla i rzekła — może macie co gotować, to sobie ugotujcie i wszyscy z wilczemi apetytami łykamy ślinki, jeść się chce nie do wytrzymania, węgiel jest, tylko gotować nie ma co. Do sąsiadów już nas wstyd było iść prosić. Po prośbie też od paru dni nie chodziłem, gdyż zaziębilem się i kaszel mię męczył, więc musiałem leżeć w łóżku. Żona zapaliła w piecu ogień, wstawiła garnek wody, ta się gotuje aż garnek skaka na piecu, cóż kiedy co nie gęstnieje. Żona popatrzała, popatrzała na wodę i niewiele się namyślając ponalewała nam do garnków czystej wody, posoliła i kazała pić. Ja z dziećmi podumaliśmy — pokrzywili nosami i poczeliśmy pić. Niedobre, to było niedobre, ale i tem trzeba było ciało zagrać. Po takiej kolacji poszliśmy spać. Dwoje starszych dzieci chodziło do szkoły — jak to już wyżej zaznaczyłem, że otrzymały od sąsiadów ubranka i buty. Na drugi dzień po tej wyborowej kolacji chłopczyk nie chciał iść do szkoły, lecz dziewczynka, która się bardzo dobrze uczyła, nie chciała opuścić lekcji, więc się umyła i bez śniadania poszła do szkoły. W szkole poczał jej głód dokucać. W sobie mdliło, w oczach ćmiło, i łzy poczęły padać. Dostrzegła to jednak pani nauczycielka, i spytała dziecka o przyczynę płaczu,

córka początkowo wstydziała się przyznać prawdę, ale pani nauczycielka była uparta jak matka, i kategorycznie zażądała wyjaśnienia. Dziecko pocichu wysepleniło:—Jeść mi się chce.—Nauczycielka jednak nie rozumiała, ale jej wytłomaczyły koleżanki córki, które słyszały. Pani nauczycielka słysząc takie słowa, (sama tak mówiła), ale gdy ochłonawszy wyciągnęła dziecko z ławki, zabrała do siebie, kazała służącej dać jej herbaty z mlekiem i bułeczki z masłem. Gdy sobie dziecko podjadło—(jadło i płakało), nauczycielka poczęła się o wszystko wypytywać, córeczka już jednak nie tajiła naszej biedy, lecz szczerze wyznała ją przed nauczycielką. Dzisiaj—mówiła—przyszłam do szkoły bez śniadania, a wczoraj na kolację tom się tylko ciepłej wody z solą napiła i poszłam spać. Panią nauczycielkę te słowa dziecka tak wzruszyły do głębi serca, że zaraz wysłała do nas starsze uczennice, celem przekonania się, czy córeczka prawdę mówi. Posłanki przyszły do nas do mieszkania i daleko więcej się dowiedziały, bo nietylko, córka ta, która w szkole jest głodna, ale jeszcze my wszyscy. Gdy posłanki powróciły do szkoły i opowiedziały o nas całą prawdę pani nauczycielce, ta zwróciła się z prośbą do dzieci, że którym się dobrze powodzi w domu, to co mogą, żeby nam podały i rozpuściła zaraz dzieci do domu. Bliżej nas mieszkającym dziewczynkom kazała, żeby swoją córeczkę odprowadziły do domu, a sama wzięła parę starszych uczenic, poszła do sklepu i za 15 zł. kupiła nam żywności jak: chleba, mąki, kaszy, cukru i trochę okrasy. Jaka wielka radość wówczas u nas zapanowała, gdyśmy ujrzeli tę nauczycielkę w gronie uczenic, ofiarującą nam te dary, tak bardzo upragnionych. Dobra to była, dobra kobieta. Niech jej Bóg da za to niebo. Nie myślcie Szanowni Panowie, że to jest jakiś pretekst, że to jest fantazja, ale to jest fakt rzeczywisty, fakt życiowy i tak pędzi się życie na tym świecie. Jak my wyglądali po takim życiu, to Boże zmiłuj się. Ubrania na nas były takie podarte, że łąty świeciły się na nich jak srebrzyste obłoczki na granatowym niebie. Wszyscy na ciele wyglądaliśmy jak żywe trupy, jak byśmy grabarzowi z pod łopaty pouciekali. Chude, wyschnięte kości nasze powłóczyła żółtozielona skóra, aż nie miło było patrzeć na nas. Każdy z nas się skurczał, nie wygrzany, nie wyjedzony, osierknięty jak nie człowiek. Jeszcze na domiar złego — jak to już powyżej zaznaczyłem, gospodarz wytoczył mi proces o niepłacenie lokatorskiego i ten wyszedł. Sądowi widocznie nie spieszyło się z moją eksmisją, gdy dopiero po paru tygodniach wyszedł. Na sądzie, sędzia mnie się zapytuje, czy będę płacił, owszem odpowiadam, jak tylko dostanę pracę, to

wszystko odplacę — i mimo, że gospodarz miał obronę (adwokata) sprawę wygrałem. Wyrok zapadł oczywiście ze zgodą moją, żeby bieżące lokatorne płacić i zaległe odplacać po 5 zł. miesięcznie. Nadeszła wiosna. Słonko pogodnie dojrzało na ziemię i lód. Oko miłosierdzia Bożego spojrzęło na nas. I po wielkim wysiłku udało mi się znaleźć pracę przy budowlu. Żona znów znalazła dwie obsługi po 15 zł. miesięcznie, starsza dziewczyna znalazła znów zajęcie z roznoszeniem gazet w redakcji, chłopczyka udało mi się wkręcić do jednej firmy za gońca, a młodsze dzieci znów po całych dniach, siedzą na hałdach i zbierają »bergi« (najgorszy gatunek węgla, który jest wywożony z kopalni na hałdy). Albo łażąc z workami po drogach, gdzie fury z kopalni jeżdżą i gubią węgiel — to go zbierają. Żona też jak jej czas pozwoli, to wyleci na »bergi«, żeby móc jako lato opalić, i na zimę usparać. Są jeszcze pewne chwile, które mi zasmucają życie. Otóż lato, dzieci wyszły na pole — i bawią się z innemi, a jak się pobiją, to dawaj tante wołać na moje. — A wy dziady, w strzępach chodźcie, ciało wam widać, bez koszul łażecie, tylko półkoszulik pod szyję zakładacie, żeby się z was ludzie nie śmieli, że nie macie koszul. A wy żebraki, nie macie co żreć, tylko kartofle z wodą żreć, tylko ludzie was wyżywili, bo byście byli już dawno z głodu poumierali, a na hałdę zbierać »bergi«. — Szanowni Panowie, czyż ojciec, który spłodził dzieci, który je kocha, który rad by im dać, to co im się należy, a nie może, czy ojciec, który słyszy takie zarzuty i wyzwiska, miotające na jego dzieci i jego samego — może zabołec, o nigdy, nigdy, przენigdy!

Całe lato przeszło już nam nieco łagodniej. Troszkę się odreperowali, troszkę mieszkanie opłacili, co mogłem najbardziej palącego zaspokoilem. Prawda, że na tę zimę znów zostałem zredukowany, ale znów przyszedł mi z pomocą Państwowy Komitet do Walki ze Skutkami Bezrobocia, który powstał z inicjatywy p. premjera Prystora. Otrzymałem już trochę ziemniaków, węgla i t. p. rzeczy. Może się jako z wola Boską tę zimę przemęczy, a co dalej będzie — to Bóg raczy wiedzieć. Pisząc tę szczerą spowiedź, do Was Szanowni Panowie — to mimowoli cisną mi się łzy do oczu, bom jeszcze nikomu takiej nie wyznał, a to dlatego, że Panowie mnie nie znają i ja również Panów nie znam. W oczy bym nigdy tego nie wypowiedział, bo moja wstydliva natura tego mi uczynić nie pozwoliła. Wolę cierpieć i milczeć.

Poniżej zamieszczam wiersz, podobnej treści, pod tytułem »Bezrobotny«:

B E Z R O B O T N Y

»Bezrobotny«. O, jakże ten wyraz brzmi — napozór łagodnie,
Ale ile się w nim mieści tragizmu, to nikt nie odgadnie,
Nadeszła jesień i słońce poszło w dal,
A na moją duszę nadeszła troska, rozpacz i żal,
Gdyżem usłyszał o redukcji wieść,
To aż mię na wskroś przeszył śmiertelny dreszcz.

Na moje życie nadciągnęły czarne chmury wkrąg,
Bo uciekła mi już praca, uciekła z moich rąk,
I zgasły już promienie radości dla mnie na tym świecie,
I trzeba skończyć w smutku, biedzie, i nędzy to doczesne życie.

Ciężko jest mi żyć, bo nie jestem jeden,
Ale mam rodzinę dużą, bo aż osób siedem,
I na jednym łóżeczku sypia pięcioro mych dzieci,
Kiedyż mi, ach kiedyż lepsza gwiazdeczka zaświeci.

Jedne woła, mamusiu, daj mi trochę chleba,
Drugie woła, mamusiu, książeczkę mi trzeba,
Trzecie woła, tatusiu, kup mi buty, bo nadchodzi zima,
A czwarte płacze, że sukienki niema.

Piąte — mamusiu, jest mi zimno, kup mi koszuleczkę,
Mamusiu, jestem głodna, daj mi raz malusią bułeczkę,
Za cóż wam kupię moje dziatki, kiedy nie ma grosza,
Popatrzcie na moje nóżki, żem jest sama bosa.

Tatusiu, wołają dziatki, daj nam co lepszego zjeść,
Bo czarna kawa już nam spaliła młodziutką pierś.
I tak z głodu i zimna, dzieci nasze zrzędzą,
A ja z moją żoną, płaczem nad tą nędzą.

Nie mamy pracy, nie mamy chleba,
A żyć trzeba, a żyć trzeba.
I skurczony drzę, bo i mnie jest zimno,
Ach jakie straszne przedemną stanęło życia widmo.

Walęsam się po ulicach za pracą, całkiem na duchu stargany.
Bo być bez pracy, to gorzej niż u rąk kajdany,
Każdy się na nędzarza patrzy: to jest bezrobotny.
I każdy się śmiertelnie wzdryga, bo to los sromotny.

Po wilgotnych ścianach woda się jak ze źródła leje,
A przez dziurawe okno do izby mroźny wicher wieje,
I w tej ciężkiej niedoli, jestem na wpół żywy,
I w tem doczesnem życiu całkiem nieszczęśliwy.

Gospodarz z miną groźną wchodzi w swą misję —
Zapłać lokatorne, bo jak nie, to dam ci eksmiasę,

A ja cały drzę ze strachu, i serce we mnie kołacze,
Bo już lokatorne przeszło rok nie płacę.

Trzeba będzie iść do lasu, i jak niedźwiedź wybudować bude,
I w polu pod drzewem pędzić dalszą biedę.
Ach, ciężkie, ciężkie przyszły na nas czasy,
Że zamiast schludnych domków, trzeba zamieszkiwać te brudne szałas-y.

Dzieci jeść wołają, a żona nie ma co do garnka wstawić,
Złości się na mnie, jesteś ojciec — powinieneś coś zaradzić,
I wszystko się złości, bo łaknące chleba,
A ja bez roboty i nie mogę dać tego,
Co im jest potrzeba.

Straszny los bezrobocia miota mną nieustannie,
A zmora nędzy i głodu pcha nas na skonanie,
I to cierpienie biedy tak mię strasznie gniecie,
Że nie wiem czy żyję, czy nie żyję na tym Bożym świecie.

Żona moja narzeka na miłość, którąśmy się kochali,
I żeśmy to marne życie dzieciom naszym dali,
Żebyśmy byli wpieryw lepiej w młodości pomarli,
Niż na te ciężkie czasy małżeństwo zawarli.

Serce we mnie pęka, gdy patrzę na nasz niedostatek wielki.
Gdy dzieci moje jedzą z wodą, same kartofelki,
I wszyscy nieraz idziemy spać, posileni tylko czystą wodą z solą
Ach, zmiłuj się, Chryste, zmiłuj, nad naszą niedolą.

Nie ma co jeść, czem się okryć, nie ma i gdzie mieszkać,
I tak w tych męczarniach trzeba śmierci czekać,
Przebac, ach przebac ojcze, prosimy Cię dzieci
Niechże tej jeszcze niechże, Twoja łaska nad nami zaświeci.

Dajcie mi pracy, dajcie, żebrzę o nią wprost,
Ach jaki straszny zawisł nad nami los,
Przebac, ach przebac, Wielki Boże, myśmy są grzesznemi,
Zmiłuj się nad nami, zmiłuj Królu Nieba, Ziemi.

Szanowni Państwo! Jestem samoukiem, więc może się znajdą
jakie błędy w piśmie, to proszę mi wybaczyć.

Sosnowiec, dn. 1 stycznia 1932 r.

Zecer zamieszkały
w Dąbrowie Górniczej

14-go marca. Jest sobota. Czegoś byłem od samego rana niepokojny. Pracuję na zmianie nocnej. Do miejsca pracy dojeżdżam pociągiem i całą drogę do domu od dworca przebywam w 15 minutach, jeszcze 25 minut pociągiem i kawałek z dworca do zakładu, już jestem przy pracy. Zamieniam z kolegami ze zmiany dziennej stereotypowe »co nowego?«, informuję się o zaczętej, a nieskończonej przez nich pracy. Wszystko tak samo jak kiedyindziej, ale skąd ten niepokój wewnętrzny? W sobotę mamy zwykle pracę gorączkową; numer wychodzi na niedzielę powiększony o 2 lub 4 strony. Redaktor biega od jednego stołu do drugiego, to do maszynek, ciągle kogoś zapytuje, mierzy materiał złożony, przerabia tytuły do artykułów, miesza nam ogłoszenia z kroniką, artykuły polityczne z gospodarzami, niektóre wycofuje, aż metrampaż stara się »naczelnego« napróżno wysłać na kolację i to nie pomaga. W końcu żartując grzecznie grozimy, że jeżeli redaktor będzie dalej »pomagał«, to numer z pewnością będzie opóźniony. To poskutkowało, bo redaktor śmiejąc się powiada »a to zdrajcy nie chcą mnie widzieć w zecerni, a później jest źle« i jeszcze w drzwiach redakcji daje wskazówki, dopiero dzwonek telefonu »usadza« marudziarza, jak go nazywamy.

Zgarbione plecy i szybkie ruchy rąk nad kasztami. Pracujemy gorączkowo, aby na godzinę pierwszą w nocy skończyć. Jęczą linotypy i bluzgają roztopionym ołowiem na wiersze matryc, palce linotypistów wygrywają w tempie presto melodje artykułów, chwilami spauzują, aby odcyfrować niedość czytelny skrypt i znów poczynają skakać po klawiszach jak roześmiane swawolne dzieci. Krótka przerwa na posiłek, a potem panienska od inseratów z drzwi administracji oznajmia, że administrator prosi, aby pojedynczo zgłaszać się po gazę tygodniową. Poszedłem czwarty. Administrator zwykle

skwaszony i z miną nigdy niezadowoloną, tym razem na mój ukłon wstał od biurka i długo mi mówił o ciężkich czasach, braku ogłoszeń i po bardzo elokwentnym wstępie, że jako najpóźniej byłem przyjęty w firmie, przeto mnie pierwszemu wymawia pracę na dwa tygodnie, i po wielu jeszcze słowach obiecujących mi w przyszłości pracę opuściłem administrację. Jakże napozór spokojnie to przyjąłem. Wszak już tyle razy z niedolą się spotykałem.

Niedziela 20 marca. Dwa tygodnie upłynęło tak prędko i już wczoraj ostatnią pobrałem tygodniówkę. W domu nic dotąd nie mówiłem. Do świąt tylko jeden tydzień. Jak tylko sięgnę pamięcią w przeszłość, to nigdy nie mieliśmy świąt wesołych. Poco wcześniej smucić matkę i siostrę? Na złą nowinę jest zawsze czas.

Niedziela 5 kwietnia. Z trudnością przeszły przez gardło słowa, że już jestem bez pracy. Ciche westchnienie i tylko smutek na twarzy się rozlał. Matki robotników mężnie przyjmują los.

Wtorek 7 kwietnia. Dzisiaj z kartą redukcyjną i »innymi kawałkami« potrzebne mi zgłosiłem się do Funduszu Bezrobocia przy Magistracie. Z jaką ja tam szedłem niechęcią i prawie że upokorzony ciosem — właściwie to będę pobierał to, na co jestem ubezpieczony, i czy ja temu jestem winien, że chociaż młody, skazany na przymusowe próżniactwo? Co z tego wszystkiego będzie? Styknąłem się z tem po raz pierwszy. W Funduszu całe ogony zredukowanych. Jedni już pobrali wszystko, inni jak ja dopiero się zgłaszają, tych coraz więcej przybywa. Jeszcze inni zapytują, czy niema dla nich jakiegokolwiek pracy. Urzędnicy napróżno starają się utrzymać jaki taki porządek, na wszystkich twarzach przygnębienie, a w oczach gorączka. Wielu tu wchodzi zażenowanych i stara się, by ich nikt nie widział. Niema się czem chwalić!

Poniedziałek 11 maja. Już miesiąc minął jak się zgłosiłem do Funduszu, a jeszcze nic nie otrzymuję. Drobne oszczędności wyczerpują się prędko, chociaż matka moja jest bardzo oszczędna, to jednak nie wiem, czy starczy jeszcze na dwa tygodnie wszystkiego. Jak się bardzo przykrzy bez pracy, gdy spotykam się z kolegami, którzy pracują, to wprost czuję do nich zawiść. Moje starania, aby gdziekolwiek się »zawiesić« i coś zarobić spełniają na niczem. Napróżno wydałem kilka złotych na rozjazd.

Środa 27 maja. Dzisiaj idąc do Funduszu, aby się zameldować spotkałem mojego znajomego, u którego — co tu dużo gadać — mam 18 złotych od sześciu miesięcy. Delikatnie, po przeszło godzinnej rozmowie przypomniałem mu o długi i mojem niewesołem położe-

niu. To co od niego usłyszałem, wprowadziło mnie w podziw. Nie rozumiem, co to za człowiek. Jest na posadzie. Co jest bezrobocie wie, bo sam doświadczał, a kiedy miał dostać zajęcie przyszedł do mnie i prosił o pożyczenie paru złotych, — co miałem wtedy, to oddałem, gdyż nie miał ani grosza, aby mieć na przejazd do odległego miasteczka, a dzisiaj, gdym mu przypomniał o długu zakpił ze mnie słowami: »kto teraz oddaje, nikt niema, oddam ci, jak będę miał, a zresztą nie chodzisz boso«. Jeszcze raz sprawdza się przysłowie, że przyjaciół poznaje się w biedzie.

Sobota 6 czerwca. Dzisiaj nareszcie otrzymałem talon na pieńiadze, a gotówkę dopiero w poniedziałek. Otrzymam za parę tygodni zwłoki. W sam czas, gdyż z trudnością udaje mi się gdzieś skredytować trochę żywności, a matka moja taka ambitna i wiele ją to kosztuje zdrowia, gdy zauważy, że z niechęcią wyświadczają jej przysługę. Co by się stało, gdyby pewnego dnia kupcy powiedzieli: — Od dzisiaj nie udzielamy kredytu.

Piątek 21 sierpnia. Wybrałem już z »Bezrobocia« przepi-sowe 13 tygodni zapomogi. Jestem jak święty turecki bez grosza i pracy w dalszym ciągu. Najgorsze, że matka mi choruje. Liczyłem trochę na urlopy, to może gdzieś bym się »zawadził« na parę tygodni, lecz firmy takie oszczędności wprowadziły, że przyjęły tylko w kilku zakładach uczni i niemi opędzono urlopy.

Czwartek 17 września. Udało mi się spieniężyć kilka rzeczy »z lepszych czasów«. Jest to zegarek, palto, garnitur i gramofon. Część pieniędzy powędrowała na mieszkanie, zaległe od kilku miesięcy. Na życie nie wiele pozostało i z tego jeszcze zapłaciłem doktora i lekarstwa dla matki. Moja biedna matka — coraz gorzej z nią — dostaje częstych ataków, lekarz stwierdził raka na wątrobie.

Wtorek 6 października. Dostałem zastępstwo na trzy dni wszystkiego za chorego kolegę. Dobry to mój kolega, ale w duchu życzyłem mu aby sobie nieszkodliwie pochorował kilka tygodni. Nie posłuchał, gdyż z punktualnością zegarka wyzdrowiał za trzy dni. Jak w domu u mnie się ucieszono, że zarobiłem kilkanaście złotych, a mnie samemu wydało się, że wygrałem je na loterji.

Poniedziałek 19 października. Sprzedałem łóżko żelazne i żakiet. W domu za to jest ciepło, bo kupiłem 2 korce węgla i trochę będzie na życie. Lekarstwa są tak szalenie drogie, że musimy się kryć z ceną, żeby matka nie wiedziała, gdyż nie chce, abyśmy je kupowali.

Spotkałem znajomego, który mnie namawiał do małego »święń-

stewka», jak się wyraził. Chodziło o to, że gdybym miał protekcję pewnej osobistości dla mnie życzliwej, to mógłbym pracować i on także. Z trudnością zdołałem go przekonać, że postępek taki jest nieetyczny, gdyż przez to straciłoby pracę dwóch ludzi. Gdy usłyszał odemnie odpowiedź, zapytał, co poczniemy ze swoją uczciwością — chyba, że pomrzemy z głodu. Jesteśmy biedni, ale pozostaniemy uczciwymi, to nasza przewaga nad otoczeniem. Pożegnałem go.

Niedziela 1 listopada. Dzień umarłych. Niewesołe refleksje snują się po głowie. Jest już koniec jesieni, chłód coraz bardziej przybliży zimę-biedę. Jutro postanowiłem napisać do mego brata starszego: nie rozmawiamy do siebie od roku. Może ze mną niegadać, ale niech pomoże mi matkę leczyć i utrzymać siostrę. Jest on coprawda żonaty i ma dwoje dzieci, ale przy dobrych chęciach cośkolwiek może pomóc.

22 listopada, niedziela. Biedna moja matka już nie żyje. Patrę na jej twarz wychudzoną cierpieniem i troską, zazdrosczę jej spokoju. Zabrała smutek o nas do grobu. Niedała się przekonać, gdym jej mówił, że już niedługo dostanę pracę. Skręca mną ból, a jednak opanowuję się i tylko łzy kręcą się w oku, muszę pocieszać siostrę i tyle spraw mam załatwić z przygotowaniem pogrzebu, a przede wszystkim za wszelką cenę gdzieś pożyczyć pieniędzy.

24 grudnia, czwartek. Toż to dzisiaj wigilja. Wedle tradycji ma się Bóg narodzić. Bóg maluczkich i biednych.

Ileż rodzin i domów pójdzie dzisiaj spać o pustych żołądkach i szklanemi oczyma patrzeć będzie na perspektywę jutra, a może świtu nie doczeka. Czemu tak? Gdy tak wszystkiego jest dużo, gdy magazyny pękają od nagromadzonych towarów, czemu się je wyrzuca, gdy się psują niespożyte? Czemu wiatr harce po izbach nieopalonych wyprawia, gdy tyle chętnych do pracy i na zwałach węgla się spala. Iluż słabszych wzięło rozbrat z życiem. Polsko, setki tysięcy Twoich dobrych synów, którzy nie dla orderów i nominacji lecz w cichości i zapomnieniu pracą rąk swoich Twoją wielkość budowali, dzisiaj niema w co włożyć rąk, szukających pracy, niema o co myśli skołatanej zaczepić. Co mają ojcowie powiedzieć żonom i dzieciom, synowie starym rodzicom.

Roku 1931 runąłeś w otchłań czasu, ale nie zapadniesz się prędko w pamięci. Roku kryzysu, roku nędzy!

Dąbrowa Górnicza, dn. 12 stycznia 1932 r.

Robotnik w odlewni żelaza
zamieszkały w Końskiem

Od 14 lat ojciec mój wygonił mnie do pracy, żeby pomagać do wyżywienia swojej licznej rodziny, składającej się z ośmiu osób. Zabrał mnie ojciec do kopalni rudy żelaznej żeby zbierać po warpach kawałki, bo sam był górnikiem. Tu zarabiałem 15 kopiejek dziennie, bo pasac było nie bardzo się opłacało, bo za całe lato dostawałem tylko 6 rubli. Do szkoły wcale nie chodziłem, nie było takowej blisko, a przytem posłać mię do szkoły nie miał ojciec czem płacić, bo zarabiał tylko 5 rubli miesięcznie. Zaledwie mię matka nauczyła trochę pisać i czytać, za co jej jestem wdzięczny.

Znowuż jak się ojciec dowiedział, że w fabryce żelaznej chłopaki w równym ze mną wieku robią i zarabiają 20 kop., to i mnie tam posłał. Czyściłem tam odlew. Od tego czasu datuje się moja robota, to jest od 15 lat życia. Po jakimś czasie zacząłem się uczyć przy giserach, po roku zacząłem robić jako giser. Nie łatwa to była praca, było ogromne gorąco, pot mi oczy zalewał, na koszuli suchej nitki nie było. Zdarzały się wypadki oparzenia, sam się raz sparzyłem, leżałem dwa miesiące w domu, bo do szpitala w takim wypadku nikogo nie posyłali. Po wygojeniu nogi odnowa zacząłem swą robotę, po rocznem przeżyciu ciężkiej szkoły nauki giserstwa zacząłem robotę na siebie. Dano mi już warsztat do pracy. W robocie zacząłem lepiej kapować, jak się to mówi, ojciec był zadowolony, że zarabiałem pół rubla dziennie. Z biegiem czasu i zarobek się powiększał, zdawałoby się, że już szczęście zawitało w domu, bo i brat młodszy poszedł tym samym śladem co i ja. W tym czasie matka mogła piec co tydzień chleb, bo przedtem na to nie starczało. Teraz było i mięso przy niedzieli. Byłem wychowany na wsi. Fabryka, w której robiłem, była własnością dziedzica w osadzie Przysucha, w pow. Opoczyńskim. Ojciec kazał nam dziękować Bogu

za dobrodziejstwa, że mamy chleb nie jak dawniej same kartofle. Jednego razu przyjechał do nas na wieś pewien człowiek starszy, no i zaczął uczyć dzieci i kilku starszych chłopaków zaczęło przychodzić wieczorami i bardzo nas to cieszyło, że będziemy coś niebądź mogli się nauczyć. Był to człowiek bardzo uprzejmy, od wszystkich lubiany, tłumaczył o dawnej Polsce, niekiedy wspominał o niewoli moskiewskiej, o godności człowieka, nie znałem jego nazwiska, bo było trzymane w tajemnicy. Aż nareszcie przyjechali strażnicy i wygnali go ze wsi, że nie miał pozwolenstwa uczyć dzieci. I tutaj skończyła się uciecha, że się będzie coś umieć, nadal się tylko myślało o robocie i było się posłusznym panu, bo tak kazał ojciec. Kończyłem lat dziewiętnaście. Powracałem po robocie do domu z kilku kolegami, spostrzegliśmy w krzakach około rzeki jakieś książeczki. Były to broszury treści socjalistycznej, bo się w nich mówiło o polepszeniu doli robotnika, o godności człowieka, o brutalności fabrykantów i ich urzędników i jak sobie pomóc w tej sprawie, już pisało o strajku, jak go przeprowadzić, jak się upomnąć o swoją krzywdę. Lotem błyskawicy książeczki rozeszły się po domach, później zaraz po fabryce chętnie były czytane. Kto tylko umiał, bo umiejących czytać mało się znajdowało. Bardzo się to wszystko podobało, że tak mądrze ktoś wymyślił. Niedługo nasze broszury dotarły do rąk urzędników fabrycznych, którzy zrobili zaraz użytek i donieśli policji, zrobili rewizję po domach, był nawet tam jakiś naczelnik z Opoczna, było nas kilku na badaniach. Na szczęście, że nie wiedzieliśmy skąd pochodzą. Wszyscy oświadczyli, że były w krzakach około rzeki. Skończyło się tylko na odebraniu broszur, a do odpowiedzialności nikt nie był pociągnięty.

Od tej pory nasi robotnicy zaczęli inaczej myśleć już na ten temat, zaczęli rozmawiać, zaczęły się pogadanki w tej sprawie. Administracja fabryczna to obserwowała, zdaje się, że donosili właścicielowi, bo przedtem jak nigdy nie rozmawiali z żadnym robotnikiem, to później często wchodzili w pogawędki, nawet raz właściciel upolował jelenia w swoich dobrach, to go rozdał robotnikom. Odrazu się zrobili dobrymi jak nigdy przedtem.

W tym czasie nikt nie słyszał o bezrobociu, bo fabryki szły dzień i noc jak wielki piec pudlingi i walcownie, ale cóż z tego — tyle się każdy dorobił, że chodził w drewnianych trepach, bo butów było szkoda, to tylko służyło od wielkiego dzwonu jak to się mówi i odżywiali się kartoflami, a chleb to był luksusem.

Pierwsze bezrobocie nastąpiło po zlikwidowaniu fabryk w 1902 r.

Likwidacja nastąpiła z powodu wyczerpania się lasów, bo wszystkie fabryki były pędzone drzewem. W tym czasie doszedłem do pełnoletności, skończyłem 21 rok życia, stawałem na komisję wojskową, dostałem czerwony bilet jako starszy opiekun.

Było to moje pierwsze bezrobocie. Fabryka stanęła na zimę w listopadzie, a zapasów niewiele było prócz paru korcy kartofli a z zarobku niewieleśmy oszczędzili. Pchało się bez pracy do stycznia 1903 r., w styczniu już trzeba było brać siekiery i piły i iść do lasu rznąć sagi. Nie było rady, że mróz na 18 stopni, za rżnięcie jednego sążnia płacili 25 kop. Więcej nie mogliśmy urznąć we dwóch jak dwa metry. Przy tej robocie poodmrażaliśmy nogi i trzeba było siedzieć w domu, gdzie było chłodno i głodno. Ojciec sprzedał ostatnią krowę, później za nią i kury, lecz to wszystko starczało na skromne odżywianie całej rodziny, z ledwością przewiktowaliśmy się do wiosny. Przechodziliśmy choroby z powodu zimna i wycieńczenia. Ja chorowałem na zapalenie płuc, ojciec też przeziębiony leżał w łóżku, nawet doktora nie było za co sprowadzić. U mnie był felczer żyd, który mi stawiał bańki cięte, gdzie dotąd ślady pozostały. Może i temu tylko swoje życie zawdzięczam. Po przyjsciu do zdrowia, jednego razu zostałem wezwany przez dziedzica. Zdziwiło mnie bardzo w jakim celu, okazało się, że chciał, żeby mu kolportować gazetę Polaka. Zrobiłem tylko taką jedną wycieczkę, na więcej nie miałem czasu. Dowiedziałem się, że w Radomiu przyjmują do roboty i zaraz tam się udałem, bo w domu nie było przy czym siedzieć i już z wiosną w 1903 r. w Radomiu zacząłem robić. Z początku trudno było się przyzwyczaić, bo miejscowi zaczęli zgrywać jak z wiejskiego robotnika. No, wkrótce się to utarło, później pozyskałem ich zaufanie i miałem z nich najlepszych towarzyszy. Zaczęli pomagać mi w robocie, uczyć, słowem tak, że po pół roku czasu od przybycia, już z nimi chodziłem na wykłady, które urządzała Polska Partja Socjalistyczna, później odbywały się większe zebrania w różnych dzielnicach miasta. Jużeśmy roznosili gazety, odezwy na terenie miasta, później w stronę Szydłowca i Przysuchy. Pamiętam doskonale demonstrację, i kręciło się w niej, gdzie zginął przy sztandarze towarzysz Kwiatkowski. Później zacząłem wpadać w oko policji. Ażeby być bezpieczniejszym udałem się do Suchedniowa. Tam się zapoznałem z tow. Gibalskim i innymi. Nie długo tam zagrzałem, zaraz w czerwcu przeniosłem się do Lublina, bo w Suchedniowie była nieodpowiednia robota, a w Lublinie miało być lepiej. Jednak tam zaraz wpadłem w kłamkę. W tym czasie

był wypad na Konopnicę, gdzie zabito żołnierzy i zabrano pocztę i ja wsiąłem, choć nie brałem udziału. Nawet nie zdążyłem w fabryce wziąć wypłaty, dopiero mi ją do więzienia przysłano. Siedziałem w Lubelskim Zamku siedem tygodni. Jeszcze był ze mną w tej sprawie Jan Romaszko z Lublina. Po siedmiu tygodniach nas skuto w kajdany i odstawiono na sąd wojenny do Warszawy. Osadzono nas w X pawilonie Cytadeli Warszawskiej.

W końcu września 1905 r. odbyła się sprawa sądowa, jednak po poparciu licznego grona świadków zostaliśmy uwolnieni, lecz nie na długo. Po sądzie ja pojechałem do ojca do Przysuchy, towarzysząc do Lublina. Ja zacząłem niedługo pracę w Opocznie. Zaraz w ósmym tygodniu mnie aresztowano z rozkazu Skalona i naznaczono wysyłkę do Archangielskiej gubernji na czas trwania stanu wojennego.

Odtąd zaczyna się datować cierpienie po ruskich turmach i etapach. Jeden miesiąc w Opocznie, jeden tydzień w Kielcach, trzy miesiące w Radomiu, trzy tygodnie w Warszawie i tak po tygodniu, po dwa i po miesiącu trwała podróż do Archangielska. Zabrałem po drodze wszystkie wszy i pluskwy, które ogryzły skórę do krwi, przyjechałem na pół chory do Archangielska, tu jakiś czas byłem chory, stanąłem na komisję lekarską, która orzekła, że klimat tutejszy się nie nadaje, trochę przyszedłem do zdrowia w szpitalu więziennym, poczekałem na etap i znowu zaczęła się ta sama wędrówka po turmach i etapach aż do Wołgi, po tej to Wołdze powędrowałem do Astrachania, miał to przecież być raj wysyłki, w samym zaś Astrachaniu nikogo nie zostawiono, odesłano mnie do miasteczka Jenotajewska w step kałmycki. Była to okolica piaskowa, że nawet i trawa nie rosła, tylko gdzieniegdzie oset, za powiewem wiatru unosił się tuman, że nie można było patrzeć na oczy, tutaj miała się odbyć moja wysyłka, wypuszczono na wolność, dali na miesiąc trzy ruble i żyj człowiecze jak chcesz. Dopiero po długich awanturach i staraniach otrzymali wysyłkowcy osiem rubli miesięcznie, chociaż przynajmniej przeżyć można było jakoś niebądź. Z początku nas było niewielu, około sześćdziesięciu, lecz w końcu nas się zebrało do 180-ciu ludzi rozmaitej narodowości, jako to: Polaków, Rosjan, Żydów, Łotyszów, Gruzinów, Ormian, nawet i Niemców, wszystko to było z rozmaitych okolic Rosji uciśnionych narodów. Tutaj wyjątkowo znalazłem robotę u cieśli. Był tam majstrem Niemiec austriacki, emigrant, on mnie przyjął do pracy, dał rubla dziennie. Robiłem u niego parę miesięcy, aż wyjechał do Samary

mój majster do swoich teściów i tak się robota moja skończyła, ale już miałem ^{samej kasy} z której przeszło sto rubli. Dokąd miałem robotę, to czas jakos upływał, później zaczęła się tęsknota, bo jak tu może być przyjemność w tym kraju piaskowym, wpośród wół dzikich kałmyków, w miasteczku niewielka ilość rosjan.

Zmówiliśmy się ze Stefanem Przybytniewskim z Radomia i urządziliśmy ucieczkę, która nam się zupełnie udała. Przyjechaliśmy bez żadnej przeszkody do kraju, ale wtenczas trzeba było się kryć i być nielegalnikiem, jakos tam uchodziło przez parę miesięcy. Przebywało się w kilku miastach, jakos mnie nigdzie nie złapali, dopiero jak zatęskniłem za rodzinną wioską, żeby odwiedzić swojego ojca i na swoje nieszczęście kumoter ojca, ówczesny wójt, rusofil, naprowadził policję. I wtenczas mnie aresztowali i odesłali tą samą drogą etapów do Astrachania i w step kałmycki na dawne miejsce wysyłki. Za ucieczkę dostałem cztery dni aresztu, nawet otrzymałem ten zasiłek po osiem rubli miesięcznie za przeciąg czterech miesięcy, przebyło się z biedą trzy lata na przymusowej wysyłce, później naznaczyli wolną na Rosję do wszystkich miast z wyjątkiem miast stołecznych i Królestwa Polskiego, pensji osiem rubli zostałem pozbawiony. Wyjechałem z Jenotajewska w listopadzie, udałem się do Carycyna nad Wołgą, dosyć to miasto ruchliwe, przemysłowe, było dużo fabryk, przystań statków przy Woldze, lecz pomimo wszystkiego nie mogłem zimą roboty dostać, musiałem błądzić całymi dniami po ulicach obcego miasta. Na szczęście znalazłem warszawskiego szewca nazwiskiem * * * chociaż u niego nocleg miałem, przeszedłem wszystkie fabryki i zakłady przemysłowe, niestety roboty nie znalazłem. Przyczyniła się w dużej ilości moja karta wysyłkowa, wyczerpały się oszczędności, których niewiele było, wyprzedalem rzeczy, które stanowiły jakąś wartość, teraz nastąpiło drugie bezrobocie, które trwało od listopada aż do połowy marca z towarzyszeniem strasznej nędzy, jaką się przechodzi w podobnych warunkach życia. Nastąpił marzec 1908 r., odprawiałem wędrowkę po ulicach m. Carycyna, zmarznięty, znękany, tak, że wszystkie zęby zaczęły boleć tak bardzo, że chodziłem prosto głupi, taki zdenerwowany, przechodziłem około apteki, chociaż nie miałem ani grosza wszedłem do niej i poprosiłem, żeby mi w jaki sposób zatruł zęby, bo prosto do wściekłości przychodzę. Przemawiam do niego w rosyjskim języku, zwrócił mi uwagę, dlaczego jestem polakiem i mówię po rosyjsku, przecież to polska apteka. Przeprosiłem go, że nie wiem, bo jestem nie tutejszy, a nazwisko Zabiello

może być i rosyjskie. Po słowie dogadaliśmy się, przyznałem mu się, że jestem zesłańcem z Polski i t. Nawet nie żądał roboty. Nie chciał już pieniędzy za lekarstwo, kazał pobrać i dał mi list do dystylarni wódek, gdzie był zawiadowcą polak, nazwiskiem Józef S... jak się okazało — był to człowiek dobry, stary patriota polski, bardzo mnie uprzejmie przyjął i byłby dał zaraz robotę, ale mu się rozchodziło o własną skórę, bo był na rządowej służbie i miał liczną rodzinę na utrzymaniu. Dał mi do zrozumienia, że trzeba się postarać o lewy paszport, w ten sposób tylko można uzyskać robotę. Wtenczas przy pomocy szewca Glomana, który tutaj miał szersze znajomości pomiędzy kupcami, udało nam się wykombinować paszport na rosyjskie nazwisko Siergieja Łobojkina, który mnie kosztował 22 ruble, na co musiałem sprzedać ostatnie palto, za które wzięłem 25 rubli. O nic nie chodziło, choć sprzedałem ostatnią kapotę ale dostałem robotę i wiosna nadchodziła i w umyśle się zaczęło rozjaśniać z tchnieniem przyrody. Zacząłem przecież robotę w dystylarni z początku na dniówkę, po miesiącu odprawił się stróż nocny, zawiadowca zmienił dziennego stróża na noc, a ja zostałem dziennym stróżem z pensją 25 rubli miesięcznie, mieszkanie i opał. Po czterech miesiącach bezrobocia, tułaczki, trochę odpocząłem, zacząłem żyć po ludzku. Po paru miesiącach już się trochę odreperowałem, pokupowałem sobie stracone rzeczy, życie nie było drogie, można było jakoś żyć, zaznajomiłem się z kobietą — była felczerką w tej dystylarni, już były dosyć zażyłe stosunki pomiędzy nami, byłoby może przyszło do żeniaczki, gdyby nie S..., który mi odradził, bo w każdej sprawie się do niego zwracałem i właśnie w tej się zwróciłem. Nagadał mi, że rosjanka to mnie odleci, i usłuchałem go i zaniechałem tej żeniaczki. Doradził mi S... żeby lepiej w swojej sprawie zwolnienia pisać do Warszawy do Skallona, to jak powrócę do Polski, to tam sobie lepszą kobietę znajdę i usłuchałem go i tak zrobiłem, jak mi kazał. Widać słowa jego były prorocze. Za parę miesięcy przyszło zwolnienie, powróciłem do Polski, w grudniu 1909 r. skończyła się moja wysyłka. Powróciłem do swojej rodziny, chwalić Boga wszystkich zastałem zdrowych, była uciecha nie do opisania, że się zjawiłem pod rodzinny dach. Niedługa uciecha, bo po Nowym Roku 1910 trzeba było szukać zarobku, bo w domu nie było przy czem siedzieć.

Znalazłem robotę niedaleko od domu ojca, tylko o odległość 25 wiorst w Opocznie, przykrzyło się, że nie było życia organizacyjnego, ale na prośby ojca uległem i pozostałem tutaj. Przerobiłem

rok, w drugim się ożeniłem, to jest w 1911. Wziąłem córkę robotnika tej samej fabryki, z którymi się od dzieciństwa znałem.

W pół roku czasu przeniosłem się do Końskich, bo tutaj lepiej można było zarobić niż w Opocznie.

Wynająłem mieszkanie, kupiłem jakieś takie graty, sprowadziłem się na stałe do Końskich. Zaraz w pierwszym roku po ślubie przyszła na świat pierwsza córka.

Tutaj, do czasu wielkiej wojny robiło się normalnie, tak że bezrobocia zupełnie nie było, gdy kiedy około Nowego Roku stanęła, to każdy był rad, że sobie trochę odpocznie. Dopiero z czasem wybuchu wielkiej wojny, zaczyna się tułaczka i inne przejścia każdego robotnika.

Całe masy poszły na wojnę, a rodziny ich cierpiały najokropniejszą nędzę. Ci, co pozostali, musieli się tułać z miejsca na miejsce z towarzyszeniem niedostatku i nędzy. Doświadczyłem to wszystko na własnej skórze, przechodziłem całe piekło tych praktyk, o których kilka uwag mam zamiar skreślić. Po wybuchu wojny w 1914 r. fabryka stanęła, nawet czternaście dni nie zdążyliśmy wyrobić. Rosjanie fabrykanta zabrali jako zakładnika i wywieźli do Rosji, fabryka została nieczynna, ja wyjechałem do Przysuchy do swego rodzinnego miejsca, niedługo się wyczerpały zapasy, bo ich niewiele było, starczyło tylko od sierpnia do listopada, później już trzeba było wędrować po okopach wojskowych za robotą, robiłem około Dębłina, jak wojska niemieckie odstąpiły, później w Wolańowie około Radomia podczas zimy na słońcu i mrozie robić i nocować w zimnych nieraz chałupach, od czasu do czasu się tylko odwiedzało swoją rodzinę, aby ich zaopatrzyć w grosze. Z wiosną 1915 r. udałem się w tym samym celu zarobkowym do Łży, tam robiłem aż do najścia austriaków, bo już powracałem z całą gromadą robotników do domu pod gradem kul. Powracaliśmy do swych rodzin, które się znajdowały około Przysuchy. Gdy wróciłem, połowa wsi była spalona, każdy siedział i płakał na kupie zgliszczów, taka to jest dola ludzi podczas wojny. My także wróciliśmy głodni i bez pieniędzy, bo już zarząd wyjechał, który się zajmował okopami i wypłacał robotników. Chcieć uzyskać wypłatę — trzeba było jechać za ruską pozycję, a rodzinę zostawić na pastwę losu. Woleliśmy powrócić do rodzin w czasie pożogi wojennej. Żona powiła mi syna, który przeżył pół roku. Musiało umierać biedne dziecko, nie mogło przeżyć okrutnej nędzy i poniewierki. Tutaj w Przysusze austriackie dziady za wiele dawali roboty, tylko, że nie płacili, woleli się ludzie

chować po lasach i polach byle uniknąć ich roboty. Tak trwało do września 1915 r. We wrześniu przyjechał urzędnik z Łodzi, z fabryki żelaznej, no i wziął nas kilku robotników ze sobą, każdy był zadowolony, że się na zimę coś odkuje. Pojechaliliśmy chętnie z nim, spełzła na niczem nasza nadzieja. Co kto zarobił, prawie że przejeść musiał, bo wszystko było drogie, chleb za kartkami, mało co się zaoszczędziło dla rodziny. Przyjechaliliśmy na Boże Narodzenie do swych rodzin, każdy jeszcze przywiózł coś na gwiazdkę z ubrania, bo towar tam był znacznie tańszy, no i przez ten czas wszystko się poniszczyło. Byliśmy zadowoleni, że się udało przeszwarcować od Niemców do Austriaków, bo w Tomaszowie była granica. Z takim to zarobkiem wróciliśmy z Łodzi, liche były święta, ale każdy mówił, że to wojna. Zakończył się rok 1915, a po nowym roku już w 1916 zaraz w końcu stycznia trzeba było brać młot i iść na drogę tłuc kamienie, żeby pożywić siebie i rodzinę, wszędzie już było drogo i chleb za kartkami.

Przy tej robocie nogi marzły, musiałem pod buty podbić drewniane spody i to tak jakoś zgrabnie, że się okolicznym chłopom podobało. Od tej pory chłopci zaczęli mi znosić robotę, że i na drogę nie poszedłem, miałem już robotę w domu, od pary płacili około 10 koron. Z tą to robotą przetrwałem do końca wojny, nawet mi bieda nie dokuczyła, bo chłopci z okolicznych wsi znosili robotę, nawet za robotę dawali życie, jak chleb, kartofle, mąkę, kaszę, i t. p. produkta.

1918 r. zaczęło się rozbrajanie austriackie, wiele ich tam nie było w Przysusze, bez oporu oddali broń, pamiętam jak dziś pierwszy radosny pochód okolicznej ludności, każdy szedł witać niepodległą, już wolną Polskę. Szło echo w dal pieśni tej, co jeszcze nie zginęła i czerwonego sztandaru, później zaczęła się agitacja do pierwszych wyborów, zjeżdżali się rozmaici agitatorzy, ruch był w tym czasie niezwykły, wiecowania i kto chciał — mówił.

Przeszedł czas burzliwy wielkiej wojny, nastąpiła upragniona przez tyle pokoleń wymarzona Niepodległa Polska, każdy z robotników myślał wolny, niewyzyskany, przy swoim warsztacie pracy, przy pługu i w fabryce. Z początku zaczęło się trochę w życiu przejawiać wolności, z biegiem czasu jarzmi się wszystko i przemija jak sen, jak mara.

Przypominam sobie ile to było szumnych zapowiedzi głoszonych przez rozmaite ugrupowania polityczne, to jużem myślał, że chyba i w raju lepiej nie będzie.

W Przysusze byłem jeszcze do maja 1919 r. W maju wróciłem do Końskich, zacząłem robić w fabryce S. Kronenbluma. Z początku robiło się trzy dni w tygodniu, niewielka ilość robotników. Z chwilą czasu i robota zaczęła się poprawiać do czterech dni w tygodniu, ceny za robociznę ustanawiane były za zgodą robotników i fabrykantów, no i względnie było robić. W roku 1920 znowu żeśmy przerwali robotę, nasi robotnicy poszli bronić kraju przed najazdem bolszewickim, znowu nasi robotnicy poszli do wojska za ochotników i z poboru, chętnie szli, z pieśnią na ustach. Ja prawdziwie nie poszedłem, bo byłem za stary, w dodatku chyrlak, robiłem przez ten czas na linii kolejowej przy budowie mostu, odpychało się biedę, skończyła się wojna na korzyść kraju, znowuż zaszły szumne zapowiedzi i obietnki uczciwej pracy, nadania ziemi uczciwym obywatelom Polski.

Robota znowuż poszła normalnym trybem, każdy pracował z ochotą, zarabiając na kawałek chleba, żeby nie zaznał głodu z rodziną, ale bezrobocie w każdym roku przeszkadzało, nie było Kasy Chorych, Funduszu Bezrobocia, każdy myślał, gdy to nastąpi lepiej będzie nie tak jak wprzód. Oko oparzyłem, siedziałem w domu bezpłatnie półtora miesiąca czasu, oko leczył mi felczer kolejowy. Szczęście, że wyleczył, bo inaczej byłbym ślepy. Drugiemu urwało rękę, to dzisiaj bez ręki, wziął odszkodowanie w markach, za parę czasów to tyle było warte, co dwa dni roboty.

1923 r. założono tu Kasę Chorych, a każdy wierzył, że jest to instytucja czysto robotnicza, nikt do niej nosa nie będzie wtykał i tak było z początku. Władza spoczywała w rękach robotniczych, dokąd tak było, to i chorymi się inaczej obchodzono, przez doktora każdy chory był należycie zbadany i przepisał odpowiednie ku temu lekarstwo, a dzisiaj to się tylko odbywa kolejkę i pal ich tam djabli, byleby tylko starczyło na utrzymanie personelu Kasy Chorych. Z bezrobocia korzystało się każdy rok, jednak w żadnym roku nie była wyczerpana cała ustawa zapomoga, dopiero w ostatnim 1931 roku wybrało się wszystko. Fabryka była nieczynna blisko pół roku, dopiero 27 maja została uruchomiona na cztery dni w tygodniu, w miesiącach letnich. Na jesieni robiliśmy tylko trzy dni w tygodniu, tak się dorobiło do 4 grudnia 1931 r. Fabryka stanęła na czas nieograniczony, robotnik robił pół roku po trzy dni w tygodniu, zarabiając 80 zł. miesięcznie, na utrzymaniu rodzina, składająca się z 5 osób. W fabryce S. Kronenblum, Końskie, robię od 1911 r. to się nazywa 20 lat z wyjątkiem wielkiej wojny. Liczę

50 lat życia. W tym roku przez komisję lekarską byłem uznany za 60% niezdolnego do pracy zarobkowej, świadectwo składałem jako były więzień polityczny w Ministerstwie Skarbu, dotąd niema odpowiedzi, żona na utrzymaniu 43 lata, syn 6 lat i znowuż na utrzymaniu córka z dzieckiem, której mąż służy w wojsku od kwietnia 1931 r. Ostatniej wypłaty otrzymałem za tydzień 20 zł., długów winienem w kasie pożyczki z zeszłego bezrobocia 50 zł., za węgiel 40 zł. w sklepiku 10 zł., za mieszkanie za dwa miesiące 30 zł., razem winien jestem długu 130 zł. Ostatniej wypłaty otrzymałem przy stanięciu fabryki 20 zł. Tutaj szumi głowa komu oddać, z czego żyć na zimę, co kupić, zapomoga się należy z Funduszu Bezrobocia dopiero od stycznia 1932 r., otrzymać można 25 stycznia, nawet i w lutym jak dobrze pójdzie.

Dwa miesiące blisko do przeżycia podczas zimowej pory, tu trzeszczy głowa na szyi jak przeżyć, dwa miesiące mieszkam na komornem na wsi Czerwony Most gminy Duraczów. Jest to wieś podmiejska, mieszkają na niej prawie sami robotnicy, drobni posiadacze, każdy z nich ma swój dom i po kawałku pola, każdy z nich może utrzymać krowę i chowa świnie i ma swoje ziemniaki, im zawsze łatwiej przeżyć niż przeciętnemu robotnikowi, który tylko żyje z grosza. Doraźna pomoc istnieje tylko dla bezrobotnych na terenie miasta, ze wsi robotnicy tam nie należą, mają swoją gminę, ano niby to w gminie został komitet założony, obszarnicy przywieźli za podatki kartofle i wydane było drzewo prawie zgniłe, tym wszystkim rządzi ksiądz na terenie gminy. Przejadłem ostatnie złotówki, jakie znajdowały się w mem posiadaniu, udałem się i ja do księdza, zachodziłem tam ze trzy razy, nie mogłem go zastać, dopiero za czwartym razem zastałem, ano otrzymałem na metr drzewa i 50 kilo ziemniaków, na drzewo musiała gmina kwitek przedstawić, podstemplować, iść znowu do podleśnego ze cztery kilometry, dopiero się dostało kwit na drzewo do lasu do gajowego, jeszcze ze sześć kilometrów, a miałem fenomenalne szczęście, że jak wziąłem pierwszy raz furmankę, znowuż gajowego nie zastałem, musiałem przyjechać próżno do domu, dopiero na drugi dzień pojechałem i przywożem, co kosztowała furmanka, byłby i drzewa kupił za te pieniądze. Po kartofle znowuż zachodziłem dwa razy do miasta, dopiero trzeci raz dostałem. Ano na gwiazdkę, w przeddzień Wigilji Bożego Narodzenia wydałem ostatnie grosze na sól, na kawałek chleba, choć dla dziecka, które mówiło, że pod inne lata piekliśmy placki i była choinka. Przyjechał i zięć z wojska, zastał

puszki przy wigilijnym stole, inny może by był urągał teściowi, że się u gołców ożenił i musi wraz z nimi biedę cierpieć.

Jak dobry chłopak poszedł do swego ojca i przyniósł parę złotych, które nie mogliśmy na święta wydać, trzeba ich zostawić na sól, na naftę i na kawałek chleba dzieciom. Przesiedzieliśmy wigilję, trzy dni świąt przy bardzo skromnem odżywianiu i śpiewaliśmy: »wesola nowina, bracia słuchajcie« — choć kiszki marsza grały. Po tylu latach pracy doczekaliśmy się wesółych świąt na starość i chleba niema, święta się skończyły, zięć odjechał do wojska, ja znowuż oczekuję Nowego Roku, może przyniesie co nowego i tak jest, na Nowy Rok dostałem kwitek na 100 kilo ziemniaków, będzie co jeść z rodziną, tylko ich jeszcze nie otrzymałem, no i cukier jest w gminie, tylko niewiadomo kto otrzyma.

Po tylu latach pracy nie masz chleba.

Po tylu latach pracy siedzisz w kiepsko ogrzanej chacie.

Po tylu latach pracy nie masz obuwia na nogi.

Po tylu latach pracy chodzisz w łachmanach.

Po tylu latach pracy dziecko bose, obdarte i nieraz głodne.

Po tylu latach pracy żona ci nad głową gdyra, że niema co jeść.

Po tylu latach pracy nie możesz w nocy zasnąć spokojnie — oto siedem przykazań człowieka bezrobotnego, który pracował w pocie czoła w rozmaitych warunkach życia i ma za sobą 36 lat ciężkiej znoej pracy, a 50 lat życia, dzisiaj przy Nowym Roku życzą sobie wzajem nie szczęścia, długiego życia, pieniędzy, robotnik robotnikowi życzy tylko przeżycia, przecież dopiero 1 styczeń 1932 r., a tu jeszcze mam czekać do 10-go, później do 20-go i do 1 lutego, to przyjdą zasiłki ustawowe, to się tylko biedę będzie opychać za marne parę złotych. Mam na utrzymaniu pięć osób, zarejestrowanych tylko trzy. Córka z dzieckiem nie podlega rejestracji. Ażeby przeżyć tak trudny okres, to trzeba mieć i nerwy zdrowe, nogi wytrwałe do chodzenia, a przedewszystkiem żelazny żołądek, żeby wszystko mógł strawić...

Okolica gdzie mieszkam i robię, to jest miasto Końskie, jest dosyć przemysłowe, jest trzy fabryki żelazne i wiele warsztatów mniejszych: fab. Sz. Kronenblum, fab. Słowianin, no i fab. Neptun Mintza, wszystkie wyżej wymienione fabryki są własnością kapitału żydowskiego, dwie starsze przedwojenne, a mianowicie Kronenblum i Słowianin, trzecia zaś powstała w dewaluacji polskiego pieniądza. Wybudowano fabrykę za rządowe pieniądze, a później się oddało

znikomą ilość. We wszystkich tych fabrykach pracuje przeszło do tysiąca robotników, przeważnie z okolicznych wsi, bo miejscowych może się znaleźć 20%, reszta to wszystko naleciałość małorolnych i bezrolnych z okolic. Są oni wyzyskani w straszny sposób, chłop na dniówkę zarabia od 2 do 3 zł., przynosi on ze sobą kawałek chleba i flaszkę mleka i robi codziennie drogi 10 a nawet i 15 kilometrów. W straszny sposób psują zarobki miejscowych robotników, którzy wyłącznie tylko z pracy rąk żyją, fabrykant zawsze w nich znajduje tę tańszą siłę roboczą, a jeśli się upomnąć o słuszne wynagrodzenie, to ci pokażą bramę i mówią: dziesięciu na twoje miejsce jeśli ci się nie spodoba, i rzeczywiście tak jest, bo zawsze ich pełno za bramą.

Ażeby dogodzić tym okolicznym głodomorom, wzięła się na sposób fabryka (Neptun) Mintza. W poprzednich latach robiła na dwie zmiany, to jest 16 godzin na dobę, w ten sposób, żeby naprodukować tyle towaru, żeby potem zimą stać trzy lub cztery miesiące, takim to sposobem pozbawić urlopów i robotników wysłać na bezrobocie, gdzie przy 8 godzinach można było pracować cały okrągły rok. Nawet bywają wypadki, że wydała się miejscowego, a ten który ma pole i swoją chałupę pracuje, żyd mówi, że to jest fachowiec, a ten nic nie umie, gdy się upomina o swoje prawo.

Tu nie wiem dlaczego inspekcja fabryczna nie reaguje w tym wypadku. Zdarza się jeszcze i taki wypadek: sprowadza się robotnika z dalszych okolic, to jest z Sosnowca, zaczyna robić, przerobił trzy miesiące, później go się kopie i wygania na pastwę losu, za to — niby ma pysk — i bez żadnej uzasadnionej przyczyny, tylko za to, że się takiemu jegomościowi fizjognomja nie podoba. Człowiek wyrzucony na bruk do ustawowej zapomogi nie ma prawa, bo nie przepracował należytej ilości miesięcy, zwracał się listownie do inspektora pracy, nie dostał jeszcze odpowiedzi, żyje na łasce losu z rodziną, składającą się z pięciu osób. A człowiek zdolny do pracy. A Szmule i Jojny rozkoszują się widokiem cierpienia robotnika polskiego, że niby miał pysk i wyrzucili go. Stąd widzimy, jak naigrawowano, szydzono sobie ze wszystkiego, ci Dyrektorzy i zawiadowcy uzdolnieni dygnitarze chasydy żydowskiej, z jakiej składa się cały zarząd fabryki Neptun. Bywają i takie wypadki, należy się komuś urlop piętnastodniowy, ale on pracuje po trzy lub cztery dni w tygodniu, choć ustawa mówi, że trzeba zapłacić tyle, ile się zarabia dziennie. Oni obliczają ile zarabia w tygodniu za trzy lub cztery dni i dopiero tej ustawy się dopatrzyli 1930 roku i tak zaczęli obliczać,

aż robotnicy zaczęli protestować, sprowadzili inspektora pracy i razem z inspektorem twierdzili, że tak się należy, aż dopiero przyparci do muru przez robotników, dlaczego przez siedem lat wypłacali w myśl ustawy, w ósmym roku sama ustawa się zmieniła, no i musieli przystać na poprzednie prawo wypłacania w sobotę, to tylko płacą za 6 godzin pomimo, że sobota ma być liczona jak każdy przeciętny dzień pracy, jakoś to kota ogonem do góry wywraca, pomimo, że ustawa tak brzmi, że trzeba płacić. Na bruku Koneckim najgorsza pijawka jest właśnie ów p. Mintz, żeruje na ciele robotników, z drugiej strony na ciele i Państwa Polskiego i to przecież taki mały rekin, cóż tu dopiero mówić o większych fabrykach, kiedy w takiej, gdzie robi 300 ludzi, tyle zła się dzieje. Do związku nie chcą należeć, bo mówią, że im związek nic nie daje, ale jak im fabrykant bierze, to tego nie widzą i mają wśród siebie podżegaczy, warchołów, którzy donoszą wszystko fabrykantowi i tacy udają za dużych postępówców, a sprzedają swoich braci za judaszowe srebrniki. O 12 km. stąd od Końskich, jest Fabryka Stąporków, dzisiaj już nieczynna dwa lata, tam też się żywiło kilkaset robotników, dzisiaj kilkaset głodomorów, nie mogli ci ludzie utrzymać za dużo administracji, musiała fabryka klapę zrobić i wszędzie jest to zjawisko. Przy ilości takiej jak przed wojną robotników dzisiaj bywa w trójnasób nawet i w czwórnasób urzędników i wtenczas się robiło sześć dni w tygodniu, dzisiaj tylko trzy lub cztery dni w tygodniu, w gminie, w powiecie i gdzie tylko jaki urząd wszędzie się widzi zwiększoną ilość, a przecież to trzeszczą barki robotnika i chłopca. Fabryki nie mogą wytrzymać, zamykają jedna po drugiej, nie mogą wytrzymać ogromnych pensji panów dyrektorów. 1 stycznia r. b. czyta się w gazecie: Huta Pokoju zamknięta, wyrzucono na bruk 15 tysięcy robotników. Włosy na głowie dęba stają. Tyle ludzi bez chleba, bez pracy, to miasto głodomorów i t. d., dalej się to powtarza. Pan Dyrektor ma pensji 116.000 zł. miesięcznie. Po całej Polsce, nawet i zagranicą, po całym świecie tworzy się tysiące, miliony bezrobotnych. Czy już naprawdę niema wyjścia z tak groźnej sytuacji? Przecież naprawdę tak dużo jest roboty, szewcy nie mają roboty, ale całe masy ludzi chodzą w dziurawych, nawet i zupełnie bez butów. Dalej krawcy, ludzie w łachmanach. Kowale, fabryki żelazne bezczynne, niema pługów, łopatów, wogóle narzędzi produkcji żelaznej. Ludzkość niema i niema tego nabywcy, niema dróg, niema domów, murarze, cieśle bezrobotni, niema komu pokazać tego całego kolosa, w jaki sposób pchnie, kiedy niema tego konsumenta.

Ci głodują, całeni masami fabryczni i rolni robotnicy, tu, w tem miejscu brak tego pieniądza, są jednostki, które go mają, bo go używają na zbytek. Każdy jeden robiłby i bez tego, byle tylko miał dach nad głową, strawę i ubranie, jakie się należy człowiekowi, bo pieniądz wobec tego wszystkiego jest niczem, tylko znakiem pracy, niech ja go nie otrzymuje, tylko niech mam byt zagwarantowany. Ziemia wydaje tyle produktów, że dla ludzkości starczy przy uczciwym podziale.

Tutaj skreśliłem swoją nędzę i spostrzeżenia jakie dotąd przeżyłem, tylko z tem troska, jak wysłać, bo nie mam pieniędzy na marki, może się uda pożyczyć.

Po przeczytaniu Robotnika z dnia 10 grudnia 1931 r. w Nr. 433 na str. 3-ej, znalazłem artykuł zatytułowany »Do źródeł klęski« i tę klęskę opisałem w streszczeniu w tem przekonaniu, że i z naszych zaciszy małomiasteczkowych wypłynie ta krzywda i ta niedola głodujących ludzi na forum publiczne. I do tej instytucji, która rozumie położenie mas bezrobotnych.

Namawiałem wielu bezrobotnych do opisania swoich przeżyć, dużo jest takich, co nie umia pisać, są i tacy, chociaż umia pisać, niema na materiały piśmienne i na marki pocztowe. Każdego takiego bezrobotnego umysł rozkołatany, że nawet myśli nie mogą zebrać — tak się wyrażają. Każdy goni nie wie za czem, prosto jak obłąkany.

Napisałem to ciężką ręką od fasulca i młota, jako samouk. Jest tu pełno błędów, zmyłek. Wybacz mi Szanowny Instytut Gospodarstwa Społecznego jako takiemu, który nie był ani dnia w szkole, nie zna gramatycznego wzoru pisania, ale jak niebądź przeczytać można.

Dotąd opisałem tyle swej niedoli i spostrzeżeń, a dalej trzeba czekać do zasiłku lub roboty.

Końskie, dn. 7 stycznia 1932 r.

Robotnik niewykwalifikowany
zamieszkały w Grodnie

W obecnym czasie ciągłego poruszania kwestji bezrobocia i redukcji, charakterystycznym jest to, że wypowiadają się tu przeważnie ludzie, którym zmniejszono tylko zarobki, rzadziej natomiast słyhać głosy ludzi najbardziej poszkodowanych bezrobociem, ludzi pozostających bez żadnej pracy. Bo i cóż nowego oni powiedzą, sytuacja ich zamyka się przeważnie w słowach: »nędza i głód«, słowach bynajmniej nieaktualnych. Natomiast współczucie jakiemuś urzędnikowi, czy fachowcowi kontraktowemu, z racji redukcji jego zarobków np. z 200 do 140 złotych, uważa się niemal za zgubę, pod absolutną niemożliwością przeżycia z rodziną za pomocą zredukowanych zarobków.

Co ma mówić wobec tego osoba, pozostająca przez czas dłuższy bez żadnych zarobków? Czy rozumie słusność lamentów tych osób? Która to już wie, że tej »możności przeżycia« nie będzie nigdy, gdy tylko spostrzeżę się własne pobory zmniejszone, np. o kilkadziesiąt złotych, lecz nie czyni się tu, proporcjonalnie do redukcji zarobków, stosowną redukcję zbyteczniejszych wydatków domowych. Jednym jest to elementarna wiadomość, drugim rzecz niezrozumiała, że przy odrobinie stoicyzmu, pewną ekonomję przecież da się przeprowadzić. Zmniejszenie jakości pożywienia, lub nawet jego ilości, dłuższego noszenia obuwia i ubrań, jak się to zwykle czyni, i wiele innych, zgoła niepotrzebnych skądinąd wydatków domowych. Skoro tak łatwo asymiluje się polepszenie warunków materialnych, powinno się przyswajać i ich pogorszenie, choćby te zapewniały »minimalną egzystencję«. Niestety tę »minimalną egzystencję« ludzie tak różnie rozumieją, jak i sami się różnią. Lamentuje osoba, której raczono zmniejszyć pobory np. z 800 do 660 zł. i lamentuje osóbką,

którą skrzywdzono, zmniejszając jej zarobek z kwoty np. 60 do 45 zł. Jedna i druga ma rodzinę, jedna i druga wegetuje, bo musi, wreszcie jedna i druga nic nie zaoszczędziła, bo każda z nich stoi na swej «minimalnej egzystencji». Tylko osoba pozostająca bez żadnych zarobków pojmuje większą niesłuszność pierwszej, mniejszą drugiej. Ona to głównie odczuwa najprawdziwszą obecną różnicę społeczną, nie tę tradycyjną, stanową, która się faktycznie zaciera, lecz tę dzielącą na dwie główne części ludzkość: na korzystających z t.zw. «dobrodziejstwa zatrudnienia» i niekorzystających. Pierwsza w większym lub mniejszym stopniu uprzywilejowana i druga z powodu swej nędzy i łachmanów wielce upośledzona.

Również nie pojmowałem skarg osób ze zmniejszonymi zarobkami i ja, pozostający od trzech lat bez żadnego zatrudnienia, przeżywający wobec tego 30-40 groszy dziennie.

Do lat 16 korzystałem z życia chłopca przeciętnych, biednych rodziców. Ojciec od jakichś 10 lat pracował w klubie za dozorcę, przynosiło mu to około 100 zł. miesięcznie, dzięki czemu wyżywienie żony i 2 chłopców było jakości patrycjuszowskiej, w porównaniu np. z dzisiejszym stanem. Było dość często mięso i chleb i inne uprzywilejowane dania, nosiłem czasem niełatane ubranie, całe buty, świeżą tygodniową koszulę, uczęszczaliśmy nawet z bratem do szkoły wydziałowej z konieczności. Przeżywaliśmy względnie spokojnie, niedoświadczeni życiem, z wyjątkiem ojca. Aż oto po zmarciu ojca, utopieniu się brata, zostałem z matką, drewnianą budą za mieszkanie, 720 metrów kwadratowych ornej ziemi i z 17 latami własnego życia bez żadnych kwalifikacyj. Dzięki czemu zostałem automatycznie robotnikiem «do wszystkiego», dla późniejszego przekonania, iż łatwiej nim zostać, trudniej natomiast być nim wprawdzie t.j. posiadać jakąś robotę. Z powodu niedoświadczenia ubiegałem się o pracę tam, gdzie doświadczeni jaknajmniej spodziewali się otrzymać.

Matce udawało się niekiedy wyprać bieliznę, lub gdy lato, wypleć ogród. Ja natomiast wyrываłem jakąś ciężką przeważnie «jednodniówkę», raz, dwa razy miesięcznie, przeważnie dzięki zgodzeniu się na groszowe warunki. Ubiegałem się o pracę w czasach największego dotychczas bezrobocia. Przy większej ilości osób w związkach małżeńskich bez pracy, załatwiano mnie jako kawalera, młodzika, ciągle na ostatku. Aczkolwiek wątpliwa słuszność była tu rzadka, zatrudniano przeważnie osoby, które miały żonę, czy męża, pracujących gdzieindziej. Ale najdziwniejsze do prze-

łknięcia to było tu szalone rozpowszechnienie żądań rekomendacji. Przy najlichszej pracy, nie wymagającej, zdawałoby się skądinąd żadnej odpowiedzialności, żądano prawie zawsze wykazania się jakąkolwiek rekomendacją. Nie mając żadnej, pokazywałem za jedyne polecenie dwie własne ręce. Wówczas to Jego Indywiduum (nieokreślonego pochodzenia) czuło się przeważnie ubliżone za taką grubą śmiałość pokazania obu rąk za jedyne polecenie. Po tem wszystkim człowiek nabierał przekonania, że ostatecznie najbliższą pracę wykonują nie ręce, lecz ich rekomendacja.

Oczywiście, jako nie pracujący zwykle poza «jednodniówką», nie korzystałem, jak i nie korzystam obecnie, z żadnych kwot za-pomogowych. Jest to przywilej dla osób mających przedtem szczęście pracować gdzieś dłużej.

Udało mi się kiedyś, dostać się za pomocnika czeladnika marsarskiego za utrzymanie i 10 zł., gdzie przepracowałem 3 miesiące, następnie po skurczeniu się obrotów, gospodarz zredukował przeważną ilość robotników, gdzie i ja się znalazłem. Później, pamiętam, aczkolwiek rzucałem się wszędzie, nie miałem podobnego dobrodziejstwa. Mieszkając w budzie na piachu, a raczej na okropnym kurzu, podnoszącym się za najmniejszym ruchem, matka dusiła się poprostu i dostała zapalenia krtani, a ja widząc ostatnie własne łachmany, formalnie spadające z ciała, uczulem się dziwnie nieswojo. Wówczas poszedłem na przełaj, od domu do domu szukać pracy i tu przekonałem się jak taki człowiek jest traktowany, rzadziej lepiej, częściej gorzej od zwierzęcia. Bywały tu dni, iż chodząc od wschodu do zachodu słońca, nie znalazłem nic, bywały gdzie wrywałem okazję porąbania drzewa, wyczyszczenia chlewu, pomłócenia, kopania, czasami nawet stanięcia za pomocnika murarskiego, czy zduńskiego i t. p., przeważnie dzięki zgadzaniu się na śmieszne warunki, częstokroć za łyżkę stawy. Naturalnie, że w podobnych warunkach nie mogłem poprawić wyglądu zewnętrznego, a było to najgłówniejsze, jako wstęp do lepszego traktowania ludźmi. Razu pewnego zatrzymałem się przy karczowaniu lasów, gdzie udało się przepracować dwa tygodnie, lecz dzięki wygórowanej cenie noclegowej (oczywiście w nadziei słusznej, że na nią przystanę) wystarałem się tylko o całe buty. Była to niestety kropla w morzu nędzy. Później pamiętam, stałem się stuprocentowym włóczęgą łachmaniarzem. Rzucałem się do wszystkiego, stałem się ofiarą werbujących agentów, na rozpowszechnianie nikczemnych, bezwartościowych artykułów. Jakiś zręczny oszust, jednym podej-

ściem, pod pozorem dostarczenia atrakcyjnych artykułów, wydobyl mi jedyną, półrocznie ciulaną setkę.

Doszedłem do tak okropnego wyglądu, że oglądano się za mną, a policja nieraz była na tyle łaskawa, proponując mi nocleg w posterunku, na co chętnie przystawałem. Miałem takie przyjemności życiowe, jak: chodzenie po błocie po łydki w dziurawych bucikach, na szczęście bez skarpetek, odczuwanie przytem przeciskania się i chlapania błota między palcami nóg, jego cierpkie wysychanie, noclegowanie w lesie, chociażby w listopadzie, bowiem kosztuje tylko nie trafić o zmierzchu na wieś, gdzie można ostatecznie udać się do sołtysa, a na jakiś majątek gdzie łachmaniarza dla osobistego bezpieczeństwa nie przyjmą, a wówczas kwestja noclegowania pod dachem stracona. Nocleguje się choćby na kupie suchego gnoju. Karmiłem się w ciągu półtora roku postną kartoflą z cebulą. Są to przyjemności, praktykowane dotąd na szczęście przez niewielu. Ogół odnosi się obojętnie, co gorsza z niewiarą w podobne przejścia. Gdy pewnego razu poinformowałem duchownego o moich półtorarocznych alimentach, Jego Wielbność nie uwierzyła, utrzymując to za niemożliwość dla najmniej potrzebującego organizmu. Zapewne w Jego Wielbnej głowie dopuszczano podobne żywienie się dla osób co najmniej z niektórych świętych, lecz nigdy dla zwykłych śmiertelników. Ja natomiast miałem dość siły wykonywać nietylko najcięższe, urywkowe prace, lecz kontynuować przez tenże okres najcięższą pracę z pośród wszystkich prac, najgorszą, bo bezpłatną pracę poszukiwania pracy.

Początkowo oczywiście miłość własna i ambitna natura ludzka nie przyjmowała i burzyła się przeciwko upokorzeniu i niedostatkowi materialnym. Rozwijała się niekiedy zdumiewająca pomysłowość samowystarczalności, a zwłaszcza zatajania upokarzającej nędzy. Mając np. podarte buciska i przy niemożności ich naprawienia, zatykało się szmatą podobnego koloru odnośne miejsce, dla utrudnienia dziur spostrzeżenia; podczas błota dziurawe, przesiąknięte buciska wydają głośne chlupanie, zdradzające ich stan, człowiek nauczył się chodzić niepostrzeżenie nieco »na rantach«; za niemożnością ogolenia się, odpowiadało się na pytanie chęcią »zapuszczania sobie baków«; przy jedzeniu, a właściwie dławieniu się postną kartoflą, gdy wchodził ktoś ze znajomych, czasami chowało się jak najspieszniej kompromitujące — zdawało się wówczas — pożywienie. Są to przecież znane tajemnice każdemu początkującemu nędzarzowi. Z biegiem czasu, pod miążdzącym obuchem nędzy i cią-

glej walki o pożywienie, stały się oczywiście podobne dyskrekcje niemożliwe, a i człowiek stał się apatyczny na wszystko.

Czasem prosząc o jakąś pracę widziało się tylko ironiczny uśmiech, a następnie pouczenie, że mądra i zręczna osoba zawsze znajdzie zatrudnienie, poczem następowało kategoryczne spojrzenie, dające zrozumieć, iż niema się tu nic do roboty. Poczem człowiek ostatecznie nabierał przekonania o swojej wielkiej niedołężności, natomiast o niepospolitym umyśle wszystkich zarobkiewiczów, aczkolwiek częste wypadki praktyczne niwelowały możliwość podobnych poglądów. Bywały wypadki, że człowiekowi ubiegającemu się o pracę, monologowano życiorysy nietylko własne, lecz i pewnych Rotszyldów, Bonnetów i t. p. za przykład. Pomijając już niedorzeczność stawiania podobnych wzorów każdemu, zadziwia zwłaszcza wielki laicyzm życia, bezdusność, nierozumienie sytuacji bliźniego, manja wielkości przeważnie finansowej osobników, mających dobrą materjalną egzystencję. Indywiduum, które nie tknęło palcem na swoje utrzymanie, dopóki nie otrzymało całkowitego fachu, rzemiosła, czy wykształcenia, a i podczas zawodu jest protegowane jedną z licznych ciotek, czy wujaszków, zajmujących przyzwoite stanowisko o ile nie społeczne, to zawsze administracyjne, czy jakies inne, uważa się za wielkość, robiąc z niczego coś, odczuwając poprostu niezadowolenie z prawa nie karzącego osób ubiegających się — zwłaszcza u niego — o pracę. Łatwo tu także się przekonać, iż jakiegokolwiek prace, częstokroć są wykonywane przez osoby jaknajmniej chcące pracować, wiedzące, że dzięki ich stosunkom nie tu, to gdzieindziej znajdą pracę nic nierobienia. Czasem można zauważyć robotników miejskich, wykonujących robotę, która normalnie z powodzeniem czterokrotnie mniejszą ich liczbą może być wykonana. Nie wiem jak gdzieindziej, a w tych miejscowościach, pilność robotnika magistrackiego stała się przysłowiową, rzemieślnicy kontraktowi w liczbie trzech wykonują pracę, która przeciętnie nie przyniosłaby zaszczytu jednemu. U osób z wielkimi pretensjami do inteligencji, w wielu urzędach, sprawa przedstawia się jeszcze gorzej, widzi się tam urzędujących, włóczących się z miejsca na miejsce, jak jeden szuka aktu za Nr. 445 w ciągu dwóch godzin, drugi tego oczekuje i dlatego nic nie robi, trzeci bazgra i uczy się podpisywać nudząc się, co później wyładowuje się na publiczności, czwarty sporządził protokół, potrzebujący kwadransu czasu i ze spokojnem sumieniem, iż on dziś »popracował« oddaje do przepisywania ze zleceniem »tylko uważnie«, inni znów prowadzą kwadranso-

wą konwersację na prywatny temat, podczas gdy długi ogonek publiczności czeka załatwienia, o ile się składa wyłącznie z szarych ludzi. To są widoki bynajmniej nie obce.

Wszystko to budzi u osobnika, nie mogącego pomimo wszelkich starań dostać ciężkiej pracy, rozgoryczenie i nienawiść do wszystkich i do wszystkiego. Człowiek mimowoli posiada wygląd nieprzychylny, szkodzący samemu tylko, zwłaszcza przy proszeniu o pracę. Poczyna pojmować najgłębszą przyczynę psychiczną rewolucji rosyjskiej, budzi się żółć plebejusza bez pracy oraz uczucie znane tylko osobnikowi borykającemu się o codzienną egzystencję.

Nieraz znałem młodych nędzarzy, oczywiście asymilujących pochopnie wszelkie nowe idee, rzucających się na lep hasła komunistycznych, stając się często ich współpracownikami, niekiedy przyłapanymi, oskarżonymi o działalność antypaństwową i jako takich wieszano ich. Egzekutor otrzymywał jednorazową gratyfikację za wykonanie w kwocie 500 zł., nie przypuszczając zapewne, że jego ofiara nie tylko nigdy w życiu podobnej kwoty nie widziała, lecz być może przez całe swe życie jej nie zarobiła.

Wielu zarobkiewiczom, jak się przekonałem, wydaje się dziwnym nie mieć przez trzy lata zatrudnienia, poza prowizorycznym, i z podobną wegetacją. Rozsądniejszy natomiast zakwestjonuje, że osobie w moim wypadku, nie korzystającej z żadnej rekomendacji i zapomóg, nie mającej żadnych krewnych poza nielicznymi podzielnymi ten sam los, dzięki stanowi bezzennemu, załatwianej na ostatku, nie przyjętej do ochotników dzięki nadwyreżonemu wzrokowi nienormalnym trybem życia, doszedłszy do łachmanów dzięki błędom pierwszych kroków starania się o pracę w przyzwoitym stanie — nie jest tak łatwo wybić się z nędzy.

W moim wypadku byłoby mi jeszcze gorzej, gdyby nie pewne okoliczności łagodzące, np. bezpłatna, chociaż odległa o $\frac{1}{2}$ klm. studnia i odległy o trzy klm. las, gdzie po prześląganiu gajowego można nabrać wiązki chróstu: zapewnia to bezpłatnie zawsze jakieś 5-6^o R. zimą w nader prowizorycznym mieszkaniu.

W każdym razie bluźniłbym, utrzymując, iż mam się z najgorszych. Pomimo nadwyreżenia wzroku i złapania chronicznego kataru, zachowałem ostatecznie najważniejsze zdrowie, podobnie jak i matka. Widuję osób nie posiadających i tego ostatniego, widzę śpiewaków nędzarzy na ulicach, solujących częstokroć przy akompaniamencie głośników Philipsa, widzę osoby płaczące, chodzące boszo w grudniu z tłumem gapiów i tylko. To wszystko skłania

do refleksji, że ostatecznie korzystam z dużo czego, aczkolwiek przeszedłem wiele tego, co zwykli ludzie uważają za niemożliwość. Tylko przyzwyczajenie do najgorszego, cierpliwość i nadzieja — nieodstępna towarzyszka całego ludzkiego życia — pomimo największej apatii stwarzają, że człowiek wegetuje, doświadcza, chociaż czasami za zbyt drogą cenę i że jakoś »wyrabia się«.

Jednocześnie dziękując Sz. Instytutowi za zainteresowanie się losem bezrobotnego, miałbym jedyną prośbę wykazywania nagich prawd i przeżyć z życia tego ostatniego szerszemu społeczeństwu, powodując być może tem większe współczucie temu robotnikowi.

Grodno, dn. 13 stycznia 1932 r.

GOLGOTA BEZROBOTNEGO

Jestem mechanikiem. Dziesięć lat temu pędząca lokomotywa wyrwała mnie z Rosji. Gdy wspominam ten kraj anarchji i wrogów naszych, który jednak tak gościnnie mnie i rodzinę moją przyjął i dał mi pracę, za którą dzisiaj oddam pół życia, łza paląca, łza bólu, spłynęła mi po twarzy. Spytasz dlaczego? Nie mógłbym ci odpowiedzieć, bo to co czuję zapisało się gdzieś w głębiach serca. Zinny los, po kilkumiesięcznej tułaczce po ziemi polskiej, zapędził mnie na stację kolejową Grabowo. Tu dostałem się jako maszynista. Przez dwa lata pracy żyłem się z moim parowozem. Zdawało mi się, że on mnie rozumie, że ulega dlatego, iż mnie kocha. Każdy ruch przekładni, każdy gwizd, sprowadzał mi niezapomniane wrażenie. A gdy pędził po szynach z trzaskiem i hukiem, ja czułem jego ruchy, jego niebezpieczeństwa i zakręty. Byłem dumny ze swej maszyny, wydawała mi się expresse, chociaż była nędznym samowarem. Wzrokiem pieściłem ją i czyściłem jak najlepszą córkę, z troską, bojąc się, aby jej nie zadrasnąć i nie skaleczyć. Nie dziwcie się! Po tułaczce na ziemi cara, gdy powróciłem do ukochanej Ojczyzny, wszystko przypomniało mi kraj ojców moich. Już nic nie chciałem, zdawało mi się, że posada na wązkotorowej kolejce jest najpiękniejszą na świecie. Jednak ze łzą w oku musiałem opuścić »piękny« (jak mi się zdawało) parowóz, bo w domu zastawałem dzieci często głodne, a żona w pierwszych dniach wesoła, pełna nadziei, iż poprawią mi wynagrodzenie, teraz choć nic mi nie mówiła, gryzła się wewnątrz i w oczach mi topniała. Płaca była tak nędzna, tak mała, że dziwię się jak mogłem tak długo, bo aż dwa lata wytrzymać. Może... może dlatego, że kochałem swą

pracę. Dłużej jednak żyć tak nie mogłem, pieniędzy starczało mi ledwie na życie, a jak kupiłem ubranie, nie jedliśmy obiadu. Dzieci chudły i często płakały, długo myślałem, że to jakaś choroba, bo żona wszystko pokrywała mgłą, aż... tak, aż jednego dnia dowiedziałem się, że były głodne. Straszny krzyk wyrósł mi w piersi. Musisz rzucić pracę, musisz! Ja jeszcze prosiłem, błagałem, wszędzie zimna odpowiedź, przeszła mi serce. Mówili, że nie mogli, tak — a może... nie chcieli. Opuściłem Grabowo, musiałem opuścić! I znowu zaczęła się tułaczka. Kołatałem do jednego, to do drugiego przedsiębiorstwa — tu odpowiedziano mi spokojnie, że miejsca zajęte, tam, żebym się zwrócił z prośbą za parę dni. Dziś żona wróciła z kościoła. Słyszałem, że się gorąco modliła o poprawę naszej doli. Jeszcze raz udałem się do Grabowa, do zarządu przedsiębiorstwa (tej kolejki wązkotorowej) z gorącą prośbą. Wysłuchano mnie — i zostałem przeniesiony do innej stacji kolejowej tego towarzystwa (Nowogród). I znowu byłem blisko parowozu i znowu rozpocząłem pracę z nadzieją, że podwyższą mi wynagrodzenie. Nowogród! O! ileż nadziei łączyło się z tem miastem, tak — nadziei upadłych. Jednak macki polipa, ramiona zimnego losu — i tu nie pozwoliły mi spróbować spokoju. Po kilku miesiącach, po kilku okresach nieszczęść, nie mogłem dłużej pracować. Wpierw konieczność rzuciła mnie w objęcia tej pracy i teraz konieczność wyrывała mnie. Rzuciłem tu zajęcie na dobre! Czyż mogłem żyć obarczony liczną rodziną z tak niskiej płacy? Byłem bez pracy! Szukałem jej. Pan P. powiedział mi: »może da się to zrobić«. Czekałem więc, bo i cóż miałem zrobić? Jednak wciąż cieszyłem się, że praca będzie, że człowiek, który chce uczciwie pracować, który cieszył się opinią dobrego pracownika (bo przecież świadectwa złożyłem) otrzyma szybko zajęcie. Tak zbiegło dwa tygodnie, a reszta pieniędzy, które miałem, jeszcze na życie wyszła, zostałem na bruku. Pocieszałem się tylko tem, że może pan P. coś mi się postara. Dlatego też chwytałem się każdej choć krótkiej pracy, aby tylko poczekać odpowiedzi. O! dano mi odpowiedź, i to dość szybko, bo po trzech tygodniach. Odpowiedź piękną, bo z przeproszeniem. Pan ów, cudownie pokierował sprawą, a tak mi odpowiedział (pamiętam te słowa, bo wbiły mi się w pamięć, jak palące żelazo w ciało przestępcy). »Przepraszamy bardzo, ale nie będziemy mogli uiścić żądań pana, bo...« Jeszcze coś mówił, lecz ja wypadłem z gabinetu, bo szalałem, gdzie tam całe piekło miałem w piersi. Wypadłem, żeby nie rzucić się na tego człowieka, wy-

padłem, żeby nie cisnąć na jego łysą głowę całego steku przekleństw. Wyobraźcie sobie! trzy tygodnie zwlekali, aż zostałem bez grosza na bruku. Chciałem się chwycić za jakąkolwiek pracę — nie było! Chciałem zarobić na życie! Szła zima, a mnie przejmował jakiś straszny chłód! Co będzie dalej — pękało mi w piersiach? A może to już ostatnia zima dla wielu z mojej rodziny? Jednego dnia — nie wiem, szczęście, czy nieszczęście chciało, że spotkałem się ze znajomym, który mnie zachęcił, ażebym udał się do Michalina, gdzie miała być również kolejka i gdzie miałem los swój poprawić. Udałem się tam. Otrzymałem pracę w tartaku, pracowałem lat prawie osiem. Potem nastąpiła likwidacja, potem ... lecz już nie mogę pisać o tem, bo temat nie pozwala, nie mogę pisać o tym łańcuchu niedoli, jaki mnie i całą rodzinę oplątał, po upadku tartaku. Byłem ponownie bez pracy! I jeszcze nastąpił okres starań w pocie czoła, próśb i błagań i ponowne cierpienia (bo nie zawsze zdążyłem zarobić, by ubrać dzieci). Z Funduszu Bezrobocia cztery tygodnie urwano mi, bo za 13 tygodni otrzymałem. Aż otrzymałem zajęcie w Żabince. Zostałem maszynistą motoru w młynie, którego właścicielami (obecnie) byli żydzi. Dnia 3 października straciłem pracę w tartaku, siedem miesięcy byłem bez pracy, teraz tu otrzymałem (na trzy miesiące tylko) by od lipca stać się znów bezrobotnym! Długoreki krzys sięgnął i tu, by coraz nowe ofiary stracić w otchłań bezrobocia, by pograżyć je w brudzie moralnym, lub skierować na drogę występku. Tu jednak zaczęła się straszna żmija bezrobocia, która mię ściga już pięć miesięcy (a dwanaście miesięcy razem od utracenia pracy na tartaku). Spytacie dlaczego? Oto, chociaż płacono mi 120 zł. (czy 150 zł. już nie pamiętam) na miesiąc (bo tak głosił papier, a właściwie otrzymywałem wynagrodzenie czasem z miesięcznym opóźnieniem), chociaż kierownik (żyd) kręcił na wszystkie strony, jednak pracowałem, pomimo, że rodzina moja składa się z 7 osób. Tak, bo wzięłem nawet godziny wieczorowe, by wyżywić rodzinę, jednak oni z początku zgodzili się, a potem nie wypłacali mi za tę pracę. Udałem się do sądu, jednak tu postawieni świadkowie z ludzi, którzy w tym młynie pracowali, z ludzi, którzyby wszystko oddali za pracę, by nie umrzeć z głodu, bojących się, ażeby żyd ich nie zwolnił, gdy prawdę powiedzą, wymijali w raporcie (w odpowiedzi sądowej) punkty jasne, tak że sprawę przegrałem (a z nią resztę pieniędzy). Poszła apelacja, a ja po trzymiesięcznej pracy (od lipca) stałem się bezrobotnym. Wyjawszy więc te trzy miesiące pracy w Żabin-

ce, od roku jestem już bez zajęcia. Drodzy czytelnicy! Rzucę Wam teraz me dzieje na papier, odmaluję według możliwości te straszne chwile oczekiwania pracy z dnia na dzień, te chwile kiedy sam nie jedząc oddawałem chleb dzieciom, bo tak kazało mi serce. Idźcie więc choć myślą szlakiem niedoli bezrobotnego, spojrzycie na wędrówkę po urzędach za zasiłkiem! Oto przesunę przed Wami, jak na taśmie filmu, moich ukochanych. Żona kończy 37 lat, mizerna jak każdy, kto walczy z losem, kto szpadę swą przeciwstawia losowi. Syn lat piętnaście ukończył, najstarszy i najpierw rzucił się szukać zajęcia, lecz i jego odtrącono i jego odepchnięto od pracy. Potem już twarze dziecięce zobaczycie. Córka starsza 12 lat, syn 10 lat, córka 7 lat, i najmłodsza osoba, która najwięcej płacze i najmniej rozumie — lat 4. Ja mam już poza sobą 41 lat, jednak tylko rok ostatni pobielił mi włosy, był to najcięższy okres (przynajmniej dotąd) w mem życiu. Bo choć pracowałem trzy miesiące w Żabince, ale jakież tam wynagrodzenie otrzymywałem. Często po końcu miesiąca — szedłem do domu bez chleba, z rozpaczą w sercu. A potem znowu ostatnie pieniądze sprawa pochłonęła jak hydra. I stanąłem nad otchłanią zda się bezdenną. Bieda już nie przemocą, ale pomału spokojnie (bo na obronę nie miałem już sił) wsunęła się do naszego domu, a za nią widmo ponure i nędza, a potem... już bałem się myśleć, co będzie. W dniach otuchy burzyło się serce na myśl, że nie wszystko jeszcze otrzymałem z Funduszu Bezrobocia i wrzała jakaś zemsta — nie czułem do kogo — ale wiedziałem, że straszna. Zwróciłem się z zapytaniem, a z potoku słów w odpowiedzi zrozumiałem tylko tyle, że jak się nie podoba: masz Pan sąd. Tak sąd, kiedy nie miałem ani złamanego szeląga i wtedy już puściłem się na tułaczkę... by jeszcze gorzej zapaść. Nie wiem czy zdołam Wam teraz przedstawić nasze życie wewnętrzne, domowe. Od pięciu miesięcy, pomimo usilnego starania nie mogę otrzymać dłuższej pracy. Najdłuższy okres mego zajęcia, to był dwa dni, gdy reperowałem drobny feler w maszynie bogatego sąsiada. Najstarszy syn majstrował jakieś zabawki, chodził sprzedawać po domach, ale cóż to był za zarobek, często przychodził z płaczem. Rwałem się do każdej pracy, byle gdzie usłyszałem, że pracownik jest potrzebny, udawałem się, jednak zbywano mnie z matowym spokojem »nie masz pan kwalifikacji«. Spytaście jak żyłem? Oto krótka odpowiedź — wszystko co miałem sprzedawało się pomału. Co było jeszcze, pozostało z Rosji, lub miałem z tych lepszych chwil, wszystko szło na sprzedaż. Ja zacząć rozprzedaży

nie miałem odwagi, zostawiając to na gorsze chwile, ale pewnego dnia żona to zrobiła. Gdy bowiem wróciłem z tułaczki, zastałem lepszy obiad. Na stole kurzył się dzbanek zacierek, tuż leżał duży bochenek chleba, a z boku jak przez papier (zauważyłem), krył się kawał słoniny. Zdziwiłem się, jednak zdziwienie pokryłem bo w duszy coś mi mówiło, żebym przygotował się na nowy cios, może bardziej niespodziewany. Gdy wchodziłem, najmłodsza córka przywitała mnie okrzykiem »Tatko, u nas dzisiaj święto«. Dlaczego święto — nie rozumiałem, może matka jej powiedziała, a może sama wymyśliła — nie wiem; to tylko pamiętam, że te kilka słów sprawiło na mnie dziwne wrażenie. Święto? To słowo — zapisało się głęboko w duszy. Bo czyż ja nie miałem święta? Tak, było to święto — odpoczynek, ale dla ciała, bo dusza wrzała, i serce bolało. Nie jedli, bo na mnie czekali. W kącie dzieci przewracały się i popychały, nie pytałem się i nie groziłem, bo domyśliłem się, że się rozgrzewają. Zjedliśmy obiad, cicho bez słowa, tylko słychać było smutny szcęk łyżek i szybkie flikanie. Jedzenie zniknęło, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. W pokoju zimno było jak w psiarni, bo w domu rzadko się paliło, a kolację, albo u sąsiadów, albo u gospodyni stawiało się, tak że chociaż wieczorem, mieliśmy przynajmniej gorącą, ale nierzadko i gorzką herbatę. Tak pędziły dni jak chmury czarne, i coraz bardziej beznadziejne i ponure. Gdy potem pytałem się żony, w jaki sposób udało się jej urządzić taki «cudowny» obiad (bo dziś mieliśmy tylko kolację zjeść) usłyszałem, że mój zegarek (pamiątka po dziadkach, a może i pradziad mój nosił go jeszcze) znalazł się za 30 zł. w kieszeni zegarmistrza, który jak się potem dowiedziałem, nędznie nas oszukał. Po kolei przyszedł nieubłagany dzień i na szafę. Trzeba było sprzedać, bo żyć musieliśmy. Jak na zawołanie zjawił się Josek. Zaczęło się pukanie i majstrowanie przy szafie. Doszedł do przekonania, że była sosnowa, a «podług manipulacji» zaofiarował 50 zł. — Za tę szafę tylko tyle? — zdziwiłem się i oburzyłem, bo był to już ostatni przedmiot poważniejszy, za który moglibyśmy opłacić komorne i dłużej mieć obiady lepsze. «Nie panie, Josek — powiedziałem — to są żarty, mniej niż sto złotych nie biorę». I wściekły opuściłem dom. Potem dowiedziałem się, że żyd nie chciał dać więcej — i za tyle została sprzedana, co na początku dawał. I tem się cieszyłem, bo przeczuwałem, że więcej bym nie wziął. I znowu mogliśmy żyć spokojniej.

Pytacie się, czy bezrobocie wpłynęło na zdrowie moich dzieci?

Czyż mogę odpowiedzieć »nie«? Gdy dwoje dzieci chorowało z przeziębienia na zapalenie płuc. Tak, bo nie miałem ubrania za co kupić, bo często, jeżeli jedno na dwór wychodziło, to reszta musiała siedzieć w domu. Nie wiem czy zbiedniały, czy twarze ich są wychudzone i mizerne, bo przyzwyczałem się do ich wyglądu, ale matka spokojna — tylko ciągle utyskiwała. Jednego dnia za sprzedaną poduszkę wyjechałem. Po co? — może spytacie. Czyż Wam powiedzieć, że po pracę, że tylko o niej nigdy mię myśl nie opuszczała, tętniła w żyłach i panowała nad całą moją istotą. Wyjechałem, rzucałem się tu i tam, by tylko jakąś pracę pochwycić. W okolicy brakło fryzjera, więc ja zostaję fryzjerem. Czytelniku! wyobraź sobie, maszynista -mechanik fryzjerem. Nie miałem elementarnego pojęcia o sztuce fryzjerskiej; jednak wziąłem się z energią do pracy — i po kilku dniach ciąłem już dobrze (przynajmniej według mego zdania) maszynką. Tak, byłem fryzjerem, bo chciałem tem zarobić parę groszy, ale nie miałem pacjentów. Dlaczego? Nie wiem! Może mnie się bali, że taki fryzjer tylko pokaleczy. Nawet odbiło mi się o uszy coś o drewnianym fryzjerze. Wróciłem do domu, bo inne sprawy przyczepiły się do tego. Tak skończyła się pierwsza wyprawa po pracę. A w domu znowu mi w oczy lała bieda ze skowytom dzikim. Dziś postanowiłem zarejestrować się, jednak słyszałem, że jest krótkie zajęcie maszynisty na wale (zarządu drogowego). Udałem się tam. I tu mnie spotkał zawód, i tu odmówiono, bo już maszynista wyzdrowiał. Chciałem stąd wyjechać, opuścić tą dziurę znieawidzoną, nie miałem pieniędzy. Postanowiliśmy jeszcze coś sprzedać, chodziłem, starałem się: nie było kupca. Jasek wyjechał, choć gdzieś w głębi duszy cieszyłem się, że przynajmniej jeden »mebel« pozostanie, jednak znowu byliśmy nad przepaścią. Stara gospodyni, u której zagnało nas nieszczęście wziąć mieszkanie, już gdy dowiedziała się, że straciłem pracę, zaczęła się chmurzyć i burzyć. Kobiety tej instynktownie nie lubiłem. Dwadzieścia złotych brała za pokój razem z kuchnią... Dopóki mogłem uiszczałem się z zaległości, teraz wszystkie źródła wyczerpały się, pozostało mi tylko parę złotych ze sprzedaży szafy. Chciałem jej dać dziesięć złotych (bo więcej według mego przekonania nie było warte), nie pomogły prośby, nie pomogły błagania o litość, by wejrzała na nasze położenie. Jednego dnia zimna ta kobieta, na którą gdy się spojrzalem przychodziła mi na myśl salamandra, wpadła do naszego mieszkania z hałasem i krzykiem, aż się cała jej rudera trzęsła. Udałem że jej nie widzę, sam byłem

w domu (dzieci z matką poszły do lasu na grzyby). Słyszałem, jak podskoczyła do mnie ze słowami: — Panie drogi, komorne! Żeby psia-krew udusiła takich lo... — Podniosłem się ze stołka i grzecznie odpowiedziałem jej, myślałem, że ją uspokoję, gdzie tam. Teraz spostrzegłem, że z gardzieli jej wypadł potok słów i przekleństw pod adresem, zdaje się wszystkich lokatorów, takiego pokroju. Gdy wychodziła, wyjąłem dziesięć złotych i starałem się jej w łapę wetknąć. Wypadła, rzuciwszy pieniądze na ziemię. Wściekłość ogarnęła mnie, chciałem rzucić zaraz to mieszkanie i choćby mieszkać pod gołym niebem, ale na myśl przyszła mi żona i dzieci, a tańszego mieszkania nie było. Stało się, musiałem stół sprzedać. Czytelniku! nie myśl, że to była ostatnia taka scena, podobne tragedje codziennie studjowałem — aż do chwili, kiedy przez pocztę »kochanej« (żeby ją wszys...) gospodyni posłałem mój stół, zamieniony na cztery pięciozłotowe monety. A jakie walki musiałem staczać przedtem na podwórzu, gdy szedłem np. po wodę. Przychodzisz do studni, a tu na kłódkę zamknięta, i gdy głowie się jak ją otworzyć — (bo najbliższa woda dobra do picia była aż w szóstym podwórku) w tej chwili trzaskało okienko i pyszczek pani gospodyni zaczynał nowy feljeton z piekła. Odetchnąłem, kiedy uspokoilem się chociaż na jeden miesiąc z tą panią. A teraz trzeba było iść po kaszę, a może i mąki na kreskę dostaną. (Nie mogłem żony posyłać ani dzieci, bo wcale nie przynosili, gdyż żyd im nie dawał). Udałem się do Motla, wchodząc mignęło mi coś w drugich drzwiach i zauważyłem jak stary Motel, zobaczywszy mnie ukrył się (jak z początku sądziłem). Wszedłem. Drugimi drzwiami wpadł lcek (syn jego) krzycząc: »prosię pana, tatuszu wiszedł«. »To poczekam« — rzuciłem hamując wściekłość na myśl, że ten żydziak kłamał prosto w oczy. Co jednak było prawdą, bo jak się dowiedziałem potem, stary Motel w tym czasie opłótkami dostał się do domu mojego i tu chytrze rozmawiając z moją żoną gdy zobaczył, że mam jeszcze trochę poduszek i łóżka, wrócił szybko z jakimś jeszcze żydem, którego zawsze widywałem ilekroć brałem na kredyt i czułem, że ten będzie świadkiem, gdy nie zapłacę. Wziąłem jedzenia, a miało nam to starczyć na dłużej, bo dziś jechać miałem do Brześcia nad Bugiem po zapomogę. Nie było pieniędzy na kolej, więc przyciśnięty biedą, zostałem zmuszony błagać pomocy u lichwiarza. Przybyłem zatem do niego, szybko mi pożyczył. Dziwiłem się dlaczego? Jednak wszystko potem wyjaśniło się. Oto żona jego wzięła poduszki, nie płacąc nic za nie, i wzięła tylko na

procent, jak mi chciał on wmówić. Z rozdartem sercem żegnałem rodzinę, coś mi mówiło, że może nieprędko ją zobaczę. Niedługo potem pociąg uniósł mię z szumem do nieznanego miasta (gdzie miałem otrzymać teraz zapomogę), a które dawniej obdarzyło mię 13 tygodniowym zasiłkiem z Funduszu Bezrobocia. Brześć n/Bugiem — krzyczały szyldy stacyjne. Przyjechałem, postanowiłem się zarejestrować. W Państw. Urzędzie Pośrednictwa Pracy razem z papierami złożyłem prośbę o udzielenie mi pracy. Urząd ten, jak wiedziałem, jest powołany celem udzielania pomocy bezrobotnym, rejestrowania ich, wyszukiwania pracy i udzielania posiłków. Drogi, czytelniku! tak szybko to tylko się mówi lub pisze. W rzeczywistości, droga od utraty pracy do otrzymania zasiłku jest długa i ciernista. Już wszystkie świstki i zaświadczenia, papiery i papierki miałem złożone. Jednego dnia udaję się do tego budynku, jedni musieli czekać, mnie też kazano do jutra zaczekać. Tak zostać tu dwa dni, kiedy zaledwie pół złotego miałem w kieszeni. Trudno, żyło się. I wszystko byłoby dobrze, gdyby mnie odpowiednio załatwiono, lub gdybym chociaż otrzymał ów zasiłek. Gdzie tam! Chodziłem od Annasza do Kaifasza. Okienko Nr. 2, to znowu okienko Nr. taki a taki. Jednak całkowicie nie było daremne chodzenie; już po zdobyciu papierów odpowiednich i legitymacji bezrobotnego zmęczony dobiłem się do tego otworu, gdzie jakaś ciekawa osoba (jak się potem dowiedziałem — funkcjonariusz od wydawania kwitków na zasiłki, (szybko) o ile można to nazwać szybkim załatwianiem posuwał sprawy. Już byłem ósmy w kolejce, pchając się z falą ludzi do okienka. Naraz! Co? Przerwa! Głowa osoby gdzieś zniknęła. W pokoju rozległy się jakieś szmery groźne, potem głosy i w końcu już prawie jawne wymyślanie. Czekałem. Czekali i inni, tylko jeden czy dwóch z końca samego wyszło opuszczając z oburzeniem salę. O, doczekałem się. Ósmy dobiłem się do otworu, daję swoje papiery bez słowa i czekam. »Co?« usłyszałem za pytanie urzędnika. »Sądziłem... chciałem się dokumentnie wypowiedzieć, jednak urzędnik przerywa mi. »Chodzi o kwit?« tak — odpowiedziałem. Niedługo potem byłem posiadaczem tego cennego manuskryptu. Zamąceniem tego była tylko przeciwna odpowiedź, na mój prośbę, że wszystkie miejsca zajęte, wolnego nie mamy. Gdy miałem ten papier-kwit, cóż mi teraz brakowało? Tylko parę chwil, jak sądziłem, do otrzymania zasiłku. Nie pamiętam jak dawno byłem tak szczęśliwy, jak dzisiaj, kiedy mogłem byt zabezpieczyć rodzinie, chociaż na pewien przeciąg czasu. (Tymczasem... tak tyn-

czasem na ów brzeski zasiłek czekam już rok zgórą). Już po otrzymaniu tego kwitu zwróciło moją uwagę, dość głośne gadanie nieznanego, ale mego kolegi po fachu (bezrobotnego), rozmawiającego z jakimś podejrzanym indywiduum. — »Prawidłowo, znaczy się, to trza czekać dwanaście dni. Ale tak, po prawdzie rzeknąć to ja i inni na ów zasiłek czekamy już od Wszystkich Świętych (zastanowiłem się! policzyłem wypadło miesiąc z ogonkiem). A najgorsze to, że caluchny Urząd — człowieka za nic ma. Jak bezrobotny, to już i djabła wart«. Nie wierzyłem. Nie wiem dlaczego, może te dwanaście dni i ten miesiąc czekania coś mi się wydawały nieprawdopodobne. Dwanaście dni jeszcze. Ale jak mogłem wyżyć miesiąc? Rwał mi się głos w duszy. Miesiąc bez grosza mając długie na głowie, a w domu już prawie nic na spuszczenie. Chciałem wziąć siekiere lub kilof i iść do byle jakiej pracy, aby tylko żyć i wytrzymać ten termin. Zajęcia nie było! Wróciłem do domu! Spytacie jak? Czy mam podawać plany i kombinacje, jakie mi się przez głowę snuły? Wybrałem jeden i wprowadziłem w życie. Powiem tylko tyle, wróciłem pociągiem. Ale jak jechałem, czy brałem bilet drugiej, czy trzeciej klasy, czy... to lepiej zapomnijmy. Wchodzę do domu, już z proga zauważyłem brak jednego łóżka. Syn najmłodszy leżał w gorączce. Coś w duszy wołało o doktora. Tak, ale jak zapłacić, skąd wziąć? Mijały dni, tygodnie i miesiące, o zasilku ani mowy, zapadł gdzieś, jak mgły. Gospodyni podczas mej nieobecności kilka razy napadała żonę o komorne za ten miesiąc. Wychowanek jej rozbijał moje dzieci. Dochodziło do obopólnych bijatyk na kamienie. Wybito dwie szyby, a dziury zostały pozatykane jakimiś szmatami, które z zewnątrz wyglądały jak guzy chorobliwe, jak jakieś narośle raka na tle reszty szyb całych. Jeszcze jedna zgryzota spadła na mnie. Dowiedziałem się, że była u nas (gdy mnie w domu nie było) jakaś »ważna« kobieta, znana w okolicy jako dobrze radząca, miała ona coś manipulować przy chorym dzieciaku. Gdy się dowiedziałem o tem, oburzyłem się na żonę, jednak darowałem, bo kierowała nią miłość matczyna. Teraz już byłem lepiej jak pewny, że to babsko nastroiło mi chłopaka. Musiałem gdzieś stąd wyjechać. Motel już nie dawał na kreskę, o pracy ani słyhać, a do tego zima waliła z mrozem. Słyszałem, że Jasek wrócił znowu, więc postanowiłem skorzystać z okazji i resztki wyprzedać, by mieć na daleką podróż do Ostrołki, gdzie w okolicach miałem krewnych i bliżej będących stacji kolejowych, co również przemawiało za przędzeniem znalezieniem pracy. Myślicie,

że o Brześciu zapomniałem, nie! — Jeździło się tam i nazad, ale wszyscy milczeli jak groby, tylko na pamiątkę po tych moich zabiegach, dostało mi się zaświadczenie, że choć byłem tam rejestrowany, jednak zasiłku nie pobierałem. Byłem z temi samemi trudnościami i w Kobryniu. Po co? Po pracę! W okresie przygotowania się do wyjazdu, pracowałem dwa dni. Potem zacząłem załatwiać wszystkie długi i sprawy wiążące mnie łańcuchem stalowym z tą miejscowością. O, nie było to łatwem, wyrwać się z tego piekła, gdzie gospodyni i lichwiarze rej wodzili. Jednak postanowiłem, musiałem. Motel, sklepikarz, byli już uspokojeni, pozostawała jeszcze gospodyni i ten od którego pożyczyłem parę groszy na wyjazd do Brześcia. Trudno, jeszcze raz musiałem Joska zawołać — zbliżała się chwila na resztę możliwych sprzętów. Przytem trochę pożyczyciło się od dobrych ludzi, których oddaniem pieniędzy z mego ostatniego zarobku, (coprawda nikłego) zaspokoilem. Z nienawiścią opuszczałem tutejszych. Nie przeczuwając jakie jeszcze sceny przeżyję po przybyciu na nowe miejsce. Dziwiłem się, że jeszcze byliśmy jako tako, będąc tyle tygodni bez roboty, bez której z początku, zdawało mi się, że żyć nie będę mógł, ale jednak pchałem taczkę mej niedoli. Tylko, że jakieś dzikie ponure myśli nurtowały mój umysł, rozpychały czaszkę, trzaskając jakimś dziwnym echem. Rozpoczął się w domu harmider dzieci i przewracanie — (bynajmniej nie mebli, bo tych już nie było). Czyż zdołamy wszystkie kłopoty z tym wyjazdem związane opisać? Na domiar złego (jednak bardzo mało to mi zaszkodziło) usłyszałem od sąsiadów (bo w domu nikt mi nie mówił), że szykuje się jakaś nowa bieda, która spadła na mnie w postaci pana K. Oto jak to było. Pewnego dnia, gdy już mieliśmy odjeżdżać, wchodzi, (a raczej wpada) ów pan ze słowami: »Panie, kochany, to jest kradzież, ja na to...« Zdziwiony przerwałem: »Co takiego«. I po nici doszliśmy do kłębka. Oto dzieci moje (no i z innymi) chodziły do lasu na grzyby, lub wcześniej na jagody (a właścicielem tego lasu był ów pan), na co on nie pozwalał. Tłumaczyliśmy mu, że przecież lasu nie zniszcza. Nic nie słyszał, nie rozumiał, nawet gniewał się; dobrze że nie obeszło się to wszystko z awanturą. (A za co, za to, że ów jegomość żałował grzyba). Ledwo wyszedł, zwała się gospodyni tego domu, nowe kazanie za szyby, za obdrapane drzwi i cały szereg szczegółów, które już właściwie zastaliśmy, wprowadzając się do tego mieszkania. Nie panowałem nad sobą (nie jedliśmy obiadu, więc głodny byłem i zirytowany owym sknerą, który ledwo, co mieszkanie opu-

ścił), tak że o mało nie obeszło się bez poważniejszych starć. Kłóciła, wygadywała, a ja już na to nie zwracałem uwagi, myśląc co tu postarać się na obiad. Była to sprawa pałaca! Śniadania prawie nie jedliśmy (a raczej jedliśmy bardzo mało i zimne), więc trzeba było coś zrobić na obiad. Chciał los, że przy przewracaniu ubrania starego (z Rosji jeszcze) w kieszeni znalazłem dewizkę, wyglądała na srebrną. No i o dzisiejszy obiad, który odbył się razem z kolacją, byłem spokojny. Zbliżała się chwila wyjazdu. No i jeszcze nowy wypadek! Zjawia się mój Motel, (który coś wyszperał), krzycząc jakoby nie za wszystko zapłacił. Wpadł z jakąś podartą torbą, gdzie miało być zapisane jeszcze parę złotych, kiedy żona mówiła, że już wszystko uregulowane i że to nie prawda. Sceny te wryły mi się w pamięć. Opuszczałem tę dziurę, wyjeżdżałem. Już po szyję miałem tego wszystkiego, jakieś ponure myśli kryły się pod pałacą czaszką.

Wyjechałem z nadzieją poprawy niedoli, by znowu rozpocząć wędrówkę po urzędach. Wyjechałem z nadzieją, że otrzymam pracę, lub ten tak długo wyczekiwany zasiłek. Przyjechaliśmy do owej Ostrołeki pełni nadziei i ufni, że chociaż zasiłek otrzymany. Zdołaliśmy po szeregu trudności (czyż mogę je opisać) zdobyć tanie mieszkanie na poddaszu. I ponownie rozpocząłem starania i ataki na urzędy. Już nie będę wam mówił o tem co u nas wewnątrz w domu się dzieje, bo ta sama, co i dawniej zima-władczyni, bieda wyciągała swe sine ręce po spokój, którego i tak nigdy nie miałem. Z dnia na dzień żyliśmy co chwila, pozostawiając po za sobą tę straszną gospodarczą sytuację. Zdarzały się i inne wypadki. Rozmaite ciemne indywidua, aniołki na twarzy, rzucały jakieś ponure nasienia na serca bezrobotnych. Raz podobna osoba zaproponowała mi, (według niej) intratne zajęcie. Poszedłem, bo chciałem zdobyć jakąkolwiek pracę, bo chciałem rodzinie dać chleba. Lecz gdy dowiedziałem się o tem zajęciu więcej już o nim nie wspomnę. Dlaczego rzuciłem? Wiele złożyło się na to przyczyn, a z wielu najpoważniejszą było to, że na dziś miałem chleb dla całej rodziny. A czyż wielu odrzuciło takie zajęcie? Nie wiem! Jednak myślę, że nie! Dziś miałem również krótkie (pół dnia) zajęcie. A potem znowu dnie, tygodnie miały ubiegać bez żadnej wieści o pracy. Teraz musiałem iść już do Magistratu i błagać o zapomogę. Złożyłem wszystko, co było potrzeba, zdawało się, że nareszcie, tu pierwszy raz otrzymam tę zapomogę (za którą gotowy byłem jak najciężej pracować). Ale długo czekałem, i nie doczekałem się tej

tablicy z mojem nazwiskiem. Teraz ja was pytam dlaczego? Dlaczego nie miałem »szczęścia« (jak mi w domu starali się wmówić) być jednym z tych wybranych i zostać zapisanym na liście? Postanowiłem kołatać, dotąd, dopóki będę miał siłę. Kazano mi złożyć podanie — złożyłem. W domu żyliśmy nadzieją, że uwzględnią moje podanie, że wejdą w moje położenie. Narazie tak się nie zapowiadało, bo długo nie odpowiadano, a gdy się dowiedziałem do urzędu, usłyszałem, że muszę poczekać zebrania, które niedługo miało się zebrać. Nerwy tem wszystkim miałem napięte jak struny, zbrzydło mi już wszystko, ale w chwilach jaśniejszych, znowu myślałem o owem podaniu. Dziś udałem się ponownie do Magistratu. Nie wiem co to był za dzień, ale budynek magistracki był zewsząd otoczony przez tłum skupiony na chodniku.

Byłem już zarejestrowany jako bezrobotny, więc nic już mi nie pozostało, jak udać się tylko do wewnątrz i poprosić o zasiłek. Latwo to było powiedzieć, ale wykonanie przedstawiało trudność niemożliwą do pojęcia. Przedtem jeszcze dowiedziałem się, że budują tu gimnazjum z centralnem ogrzewaniem. Dlatego też nie śpieszyłem się, myśląc że może odkopię jakieś wolne miejsce, gdzie tam! też nic! Siedzimy więc w sali magistrackiej, aż będziemy się mogli porozumieć z p. K. Nie myślcie, że nam się udało (jeżeli tak mogę powiedzieć). Nie, element jerozolimski, który dziś nazbyt tłumnie (z powodu silniejszego mrozu) zaatakował urzędników był sam kamieniem nie czułym na rozmaitego rodzaju przyćinki, ale nie zawsze, bo oto gdy woźny, (ubrany jak na dzień świąteczny) zaczął nas wypychać ze słowami: »Panowie, nie można, nie można panowie (czemu przysłuchując się dziś, sam straciłem nadzieję załatwienia mojej sprawy). Jednak żydki pchali się, szturchając go ciśnieni z sieni z zewnątrz. (Potem zauważyłem, że to umyślnie było zrobione). Rozległo się krótkie: »psia krew«—zobaczyłem dwie laski w powietrzu, jakieś krótkie kotłowanie się, i gdy zepchnięty na dół spojrzałem do drzwi, woźnego widocznie już nie było, bo ludzie falą rzucili się do wejścia. Ukazał się jeden policjant, dwóch... wyszedłem, bo przekonałem się, że dziś tak czy tak nie dowiem się o tych moich zasiłkach. Jeszcze postanowiłem dowiedzieć się jaką odpowiedź otrzymam ze szkoły rzemieślniczej, gdzie również prosiłem, starałem się u niektórych znajomych, jednak i tu ta sama odpowiedź, że maszynista jest, miejsca wolnego niema (a nawet miał już praktykować zapasowy). Rozbity tem wszystkim pośpieszyłem dnia następnego w to samo miejsce i co

otrzymałem — oto suchą odpowiedź: »udzielamy zapomogę dopiero po trzech tygodniach mieszkania na danym miejscu«. Czy to możliwe? Rwało mi się w duszy. Trzy tygodnie! Ale czem przez ten czas żyć będę. Staralem się poruszyć wszystkie sprężyny (o ile człowiek bez pracy i bez żadnych znajomości mógł w tej sprawie coś zrobić). Jeszcze do jednej udałem się osoby i co usłyszałem. »Myśmy bezsilni, bo Komitet — wszystkiem rządzi«. Pierwszy raz spotkałem się z taką odpowiedzią, w okresie mej tulaczki po urzędach. Nim zdążyłem ponownie poprosić, pan ów odszedł, a mnie porwała jakaś dzika nienawiść i przypomniały mi się słowa »Paweł wyszedł — czapkę nacisnął, przeklął i kij w rękę ścisnął!«. A gdy niedługo potem przedstawiałem swoją dolę p. K. przeszedłszy ponownie swoje chwile oczekiwania, ponownie napatrzywszy się na ponure twarze ludzi, oczekujących zasiłku, odpowiedź stokroć gorszą usłyszałem, po której zatoczyłem się jak pijany, i długo nie mogłem sobie wyobrazić, czy ci ludzie (urzędnicy) są tak źli, czy los zimny mnie ściga, od wielu lat prześladujący i nielitościwy. Oto pan ten powiedział mi, że zasadniczo po roku pobytu na owym miejscu dopiero mogę otrzymać zapomogę. Czy szlag wtedy nie mógł mnie trafić? Dziwię się, dlaczego takie nielogiczne postanowienia jeszcze istnieją. Czyż człowiek mający za co przeżyć długi rok, prosilby o zasiłek?! Bo dać taką odpowiedź, to równało się z zabiciem lub pchnięciem na drogę... na drogę występku. Przypomniałem sobie jeszcze słowa, że Komitet wszystkiem rządzi. Rozpocząłem nowe kołatanie. A ileż miałem wypadków takich, gdzie człowiek oszukując władzę stawał się bezrobotnym. Oto pewien człowiek miał konie i niemi na życie swoje i rodziny (jednak nie zawsze) zarabiał, kiedy zaś dowiedział się, że bezrobotni otrzymują zapomogę i wcale albo mało za to odrabiają, sprzedaje konie i niedługo potem jest już bezrobotnym. Tak, ale czy przy takich wypadkach mogli wszyscy prawdziwi ludzie bez pracy otrzymać zapomogę? I zrozumiałem dlaczego mnie (a raczej nas, bo takich jak ja było więcej) zbywano jak jakiś przedmiot. A gdy się dowiecie, że i tu nie otrzymałem (przynajmniej do dnia dzisiejszego ani feni-ga), to ponownie wyrośnie pytanie. Jak żyłem?! jak mogłem przez tyle dni wytrzymać?! Żyłem — ale jak żyłem?! Gdy chcecie jasno — oto proszę. Rodzina zmniejszyła się. Innych znów bliskich prosiłem (błagałem raczej) o parę groszy pomocy, pchałem to życie dla jednych pełne rozkoszy, a dla nas... Czasem tak rzadko, jak rzadko mieliśmy ciepło w mieszkaniu, zdobywałem pracę. Na krótko (bo czyż

dłuższa była możliwa w tych warunkach). A może się zdziwicie skąd wiem o tym konkursie? Oto dnia jednego w domu znalazłem świstek (jedną stronę) »K u r j e r a P o r a n n e g o«, zatłuszczony i zapewne dawno służący śledziom (świadczył o tem zapach), wtedy usiadłem i przeczytałem. Kiedy ostatni raz miałem gazetę, przemknęła mi przez myśl. Staralem sobie usilnie przypomnieć — nie mogłem! Przeczytałem od deski do deski. Teraz już kończę tę drogę niedoli, niedoli bez nadziei poprawy. Drogi Czytelniku! Oto masz obraz, może przewlekły, ale szczerzy, zewnętrzny, bo rzadko odkrywałem ci głębię mej duszy, bo i pocóż (nigdy mnie nie zrozumieli). Masz ponurą drogę bezrobotnego człowieka, który chciałby pracować, ale nie ma pracy, który chciałby mieć nadzieję, że będzie lepiej, a nie ma jej, bo nie wiem, czy mieć może, gdy cały świat dyszy pod mackami groźnego polipa-kryzysu. Dziś jestem człowiekiem chwili bez jaśniejszego widoku w przyszłość, bez siły duchowej (bo tę siłę dawała mi praca)! Czytelniku! obesześ ze mną tyle urzędów, tyle widziałeś sprawiedliwości i niesprawiedliwości. Cóż mam teraz robić? Może pomyślisz — czekać? Człowiek, który dotąd szedł uczciwą drogą, który starał się niczem nie plamić imienia, jak teraz postąpi? Gdy to piszę, rzecznikiem zdawałoby się jestem tylko swoim. Nie! Napewno nie! Czuję, że nad taką bezdenną otchłanią w Polsce setki, a może tysiące stoi ludzi. A ile z nich rzuciło się na manowce, by upaść i nie wstać może nigdy z brudu moralnego. Nie pilem nigdy wódki, lecz dziś (gdybym tylko mógł mieć), jak chętnie pogrzyłbym się w niepamięci, pozostawiając poza sobą niedolę, cierpienia i ową ironję życia..., ale zacznam już nudzić. Żegnam Cię czytelniku!

Ostrołęka, dn. 1 stycznia 1932 r.

Robotnik niewykwalifikowany
zamieszkały w Wilnie

JEDEN Z TYSIĘCY

Jestem urodzony dnia 27 maja 1905 roku w Mińsku Litewskim w Rosji. Ojciec nie żyje od roku 1920. Wykształcenie: 3 klasy szkoły powszechnej, posiadam języki polski, rosyjski i rozumię białoruski, częściowo litewski. Jako ojczystego używam języka polskiego. Z zawodu w ostatnich latach robotnik, od 18 listopada 1929 roku prawie stale rejestrowany jako bezrobotny. Rodzina moja składa się z matki lat 58, z zawodu służąca, obecnie bezrobotna. Jest ona słabego zdrowia, choruje często na serce, płuca, nerwy i t. p. Siostra Joanna, lat 30, z zawodu sanitariuszka pracuje w szpitalu zakaźnym, jako pomocnica aptekarza. Brat Alfons, lat 25, z zawodu monter i ślusarz, obecnie bezrobotny powrócił z Francji, skąd go wydalono, jak wielu innych emigrantów z Polski. Pozatem są jeszcze dwie siostry, które obecnie znajdują się w Warszawie, gdzie są na posadach służących, Aldona ma lat 22, Genowefa lat 21, Aldona z zawodu krawcowa i Genowefa także. Ja z matką, siostrą Joanną i bratem Alfonsem przybyliśmy nielegalnie z Litwy w roku 1923 do Wilna, gdzie też otrzymaliśmy wszyscy obywatelstwo polskie w roku 1924, a siostry Aldona i Genowefa są w Polsce od 1919 roku, gdyż w tym roku przyjechały z Mińska Litewskiego do woj. Poznańskiego, gdzie się wychowały. Mieszkam przy siostrze Joannie, która płaci za mieszkanie 27 zł. miesięcznie, mieszkanie to składa się z pokoju i kuchni, w której mieszkam ja, matka i brat mój Alfons. Umebłowanie nasze składa się w pokoju: 1 łóżko, dwa krzeselka i stolik, w kuchni: zegar ścienny, 2 łóżka i szafka na naczynia, pozatem parę koszy, parę kuferków i walizka. Ubranie moje składa się z palta dobrze znoszonego (kupiłem je za

10 zł.), garnituru już mocno zniszczonego na święta, i marynarki i spodni na codzień. Trzewiki, które ledwie trzymają się na nogach, pozatem dwie stare koszule, para kalesonów, kapelusz (który dostałem od brata) i kuferek, w którym jest trochę gazet i parę książek. Tak wygląda mieszkanie, w którym mieszkam i bogactwo moje i rodziny. Teraz opiszę od kiedy jestem bezrobotnym, dlaczego i co przeżyłem od czasu utracenia pracy. A więc zacznę od początku t. j. od przybycia z Litwy. W r. 1923, 14 lutego po usilnych staraniach matki dostałem pracę w hotelu Europejskim w Wilnie w charakterze gońca i pracowałem tam do 16 listopada 1926 r. Nareszcie wzięto mię do wojska, służyłem w 1 Puł. Pol. Leg. w Wilnie i w czasie służby wystarałem się, że wzięto do tego samego hotelu mego brata Alfonsa. Po zwolnieniu się z wojska w 1928 roku dostałem się znowu do hotelu Europejskiego w dniu 21 maja. Pracę w wymienionym hotelu straciłem w 1929 roku 30 kwietnia, z następujących powodów: pomimo, że zarobki były dobre, praca nieciężka, życie moje było wprost nie do wytrzymania, ze względu na dyrektora hotelu, który traktował w bardzo brutalny i gburowaty sposób służbę hotelową (czego ja, będąc dosyć ambitnym nie mogłem znieść) a w tym rzedzie i mnie, więc z tego powodu dochodziło między nami do ostrych kłótni i nieraz już miałem wymówioną posadę. Z początku kwietnia 1929 roku, ostatecznie wymówiono mi posadę, a ja miałem trochę zaoszczędzonych pieniędzy, więc dnia 30 kwietnia wieczorem wyjechałem do Gdyni. Do Gdyni wybierałem się już oddawna. I od tego właśnie czasu i okoliczności, zaczęła się moja tragedia, taka jaką przeżywają tysiące bezrobotnych. Zaraz po przyjeździe do Gdyni, dowiedziałem się, że tam o pracę bardzo trudno, a pozatem życie bardzo drogie i zupełny brak mieszkań. Ponieważ miałem jeszcze sporo pieniędzy, więc przez biuro informacyjne dostałem mieszkanie, za informację zapłaciłem 5 zł., a za mieszkanie 25 zł. tygodniowo wraz z utrzymaniem. Tam się zapoznałem z trzema innymi robotnikami (którzy tak samo mieszkali od kąta, było więc tam nas 4 lokatorów, a gospodarz piąty w jednym pokoju), byli oni z różnych stron Polski i przybyli do Gdyni, tak samo w celu poszukiwania pracy. Jeden z nich, który pracował na okręcie wojennym »Wilja« postarał się, że przyjęto i nas wszystkich. Ponieważ zacząłem pracować w czasie zakończenia robót, więc po 4 dniach zostałem zwolniony. Później już więcej pracy nie dostałem. Byłem jeszcze w Gdyni do 16 maja, a ponieważ przez brak doświadczenia i oszczędności

pieniądze były już na ukończeniu, więc postanowiłem wyjechać z Gdyni do Poznania, gdzie spodziewałem się dostać pracę w związku z otwarciem P. Wystawy Krajowej, a pozatem przypuszczałem, że będzie wzmożony ruch w przemyśle i handlu. Po wystaraniu się 50% zniżki kolejowej i otrzymaniu 5 zł. tytułem zapomogi z magistratu m. Gdyni, 16 maja wieczorem wyjechałem do Poznania. Po przyjeździe do Poznania, zamieszkałem w Miejskim Przytułku dla Bezdomnych, zacząłem natychmiast poszukiwać pracy, lecz bezskutecznie, gdyż wszędzie mi odmawiano. Okazało się, że i do Poznania najechało bezrobotnych z całej Polski, a tu było dosyć swoich. Zaczęła mnie ogarniać rozpacz, gdyż pieniądze wkrótce skończyły się, a o dostaniu jakiegokolwiek pracy nie było mowy. Pozatem życie w przytułku było nieznośne, gdyż było tam pełno brudu i robactwa, a spać musiałem stale na podłodze, prócz tego poznańscy traktowali mnie, jak intruza i często mi wytykali, że tam przyjechałem szukać pracy aż z Wilna. I tak cierpiałem i nędzę i często głód do dnia 29 maja 1929 r. Od tego dnia dostałem pracę, jako robotnik w fabryce czekolady. O pracy tej dowiedziałem się przez ogłoszenie w Kurjerze Poznańskim, który czytałem regularnie rano i wieczór. Kurjer ten był dwa razy dziennie naklejany dla bezpłatnego czytania na Starym Rynku i ul. Św. Marcina. Stały tam zawsze tłumy bezrobotnych i czekały nieraz godzinami wcześniej, gdyż każdy chciał pierwszy przeczytać ogłoszenie o pracy. W wyżej wymienionej fabryce otrzymywałem 4 zł. dziennie, praca nie była zbyt ciężka, a przy okazji mogłem się najeść łakoci. Mogłem tam pracować stale, lecz niestety zamało jeszcze byłem doświadczony i za mało wycierpiałem. Słyszając nieraz, że w Poznaniu moja zapłata jest za mała (gdyż tam wówczas płacono w innych firmach dużo lepiej), a pozatem czytając, że bardzo dużo robotników emigruje do Francji, zacząłem starannie oszczędzać pieniądze, chcąc po opuszczeniu pracy w wymienionej fabryce, znaleźć lepszą pracę, t. j. lepiej płatną lub wyemigrować do Francji, czego jak uważałem, nie mogłem skutecznie, pracując. Tak więc mając coś około 40 zł., po 6 tygodniach t. j. 13 lipca 1929 roku opuściłem pracę w wymienionej fabryce i zacząłem się starać o wyjazd do Francji, lecz to mi się pomimo wielkich trudów nie udało, z tego powodu, że do górnictwa brano przeważnie fachowych robotników górniczych, lub takich, którzy mają dobre wypracowane ręce (u mnie według oceny Komisji były za delikatne), zaś do fabryk brano tylko stałych mieszkańców m. Poznania. Pracy także nie

mogłem znaleźć, pieniądze prędko się rozchodziły, ale jeszcze jakkolwiek się trzymałem, póki miałem jakiś marny kątek w przytułku. Lecz od 20 sierpnia pozbawiono mnie i tego, gdyż z powodu bardzo częstych eksmisji bezrobotnych rodzinnych, lokowano ich w przytułku, a samotnych, zwłaszcza niestałych mieszkańców Poznania wydalano. Gdy opuściłem przytułek ogarnęła mnie szalona rozpacz, że już nietylko nie miałem co jeść, ale nawet gdzie spać, położenie utrudniało jeszcze i to, że miałem trochę rzeczy, których nie chciałem się wyzbywać. Miałem nieodpartą pokusę popełnienia samobójstwa i tylko długa walka z samym sobą utrzymała mnie przy życiu. Dopiero po długim namyśle, rzeczy oddałem do przechowalni bagażowej, na dworcu głównym, a sam bezmyślnie włączyłem się po mieście, aż dopiero wieczorem gdy sen mię zmorzył zasnąłem na ławce w parku miejskim, gdzie przespałem noc całą. I tak żyłem prawie wyłącznie na ulicy do dnia 31 sierpnia, spać chodziłem do stogów zboża lub siana, a jadłem bardzo mało, gdyż zarobić mi się udało zaledwie parę razy, a prosić się wstydzilem, odważałem się tylko w klasztorach, gdzie dostawałem czasami trochę chleba i tak bardzo często prócz chleba nic w ciągu dnia w ustach nie miałem. Dopiero 31 sierpnia powziąłem ostateczną decyzję powrotu do Wilna pieszo, gdyż miałem nadzieję, że po drodze dostanę gdzie pracę, a po wsiach się lepiej odżywię. Bywało mi w tej drodze rozmaicie, czasami byłem bardzo syty, czasami brakło mi odwagi coś poprosić, z tego względu, że często odmawiano mi jakiego posiłku, motywując tem, że jestem młody i mogę pracować, a gdy prosiłem o pracę, to mówiono mi, że nie mają, gdyż obawiali się mię wziąć ze względu na mój wygląd obdartusa i włóczęgi. I tak przeszedłem pieszo woj. Poznańskie, Łódzkie, Warszawskie, Białostockie, Nowogródzkie i Wileńskie i ponieważ pracy nigdzie nie znalazłem, więc po 16 dniach podróży, t. j. 16 września wieczorem wróciłem do Wilna, wynędzniały, obdarta i opanowany robactwem. W domu wówczas była matka z siostrą i bratem Alfonsem (też wówczas bezrobotnym, pobierającym zasiłek z P. U. P. P.), siostra zaczęła mię łajać za to, że mając dobrą posadę przez swą lekkomyślność straciłem ją — i jeszcze do tego wydałem dużo pieniędzy, a teraz wróciłem zupełnie bez niczego, gdyż nawet rzeczy, które mi pozostały zostawiłem w Poznaniu, a za które trzeba będzie teraz dużo zapłacić. Lecz ja zniosłem cierpliwie wymówki siostry, a trochę i matki i zacząłem starać się o pracę, co mi się udało po usilnych staraniach. Praca

była przy budowie koszar im. Marszałka Piłsudskiego, otrzymywałem dziennie 4 zł. i cieszyłem się, że mam nareszcie jakieś zajęcie. Lecz cóż, kiedy ja miałem pecha, bo wypadek kalectwa zmusił mnie znowu do bezczynności. A było to tak: 12 października tego roku, gdy zaraz po mem przyjsciu z pracy, wpadł do mieszkania brat mój Alfons, i bardzo podniecony zaczął mię prosić o pomoc, aby się zemścić na pewnych pijanych osobnikach, którzy go bez przyczyny dotkliwie pobili, ja nie chcąc okazać tchórzostwa, a pozatem znając charakter brata (gdybym się nie zgodził, on poszedłby sam, a wtedy byłoby z nim gorzej), zgodziłem się i wybiegłem z nim na ulicę, wziawszy uprzednio laskę, poczem znalazłszy tych osobników zaczęliśmy się z nimi bić, a ponieważ ich było dużo, to ja i nie zauważyłem i nie poczułem, jak dostałem nożem w bok. Dopiero w domu się obejrzałem i udałem się natychmiast do pogotowia ratunkowego, które mię odwiozło do szpitala. Tak więc przez ten wypadek pracowałem zaledwie coś około 3 tygodni, a po wyjściu ze szpitala, gdzie byłem 10 dni, i po względnym wypoczynku w domu — (gdyż kalectwo było ciężkie), — gdy poszedłem na budowlę, to do pracy mię nie przyjęto, ze względu na stan mego zdrowia, i dlatego, że już część robotników była redukowana z powodu zmniejszenia się pracy. Dopiero w grudniu dostałem pracę przy sekwestratorze Magistratu m. Wilna, jako pomocnik. Pracowałem tam do końca marca 1930 roku, a porzuciłem tę pracę sam, dlatego, że nie miałem tam stałej zapłaty (sekwestratorzy najmują pomocników od siebie) i zarabiałem bardzo mało (czasami 1 zł. dziennie), a praca była nadzwyczaj przykra, gdyż przychodziło się często zabierać ostatnie rzeczy u nędzarzy, a ponieważ ja sam byłem nędzny, więc nie mogłem tego znieść, postanowiłem szukać znowu pracy, gdzieś na budowie lub gdzieindziej. I tak w ciągu całego roku 1930, miałem różnie, ale najczęściej byłem bez pracy. Ogółem w ciągu roku pracowałem coś około 180 dni, gdy pracy nie miałem chodziłem całymi dniami po budowlach, po kanalizacjach i stale prosiłem, lecz wszędzie mi odmawiano, żyłem stałe tylko nadzieją i gdyby nie pomoc siostry, a częściowo i brata Alfonsa, który wyemigrował do Francji i w ciągu roku 1930 przysłał ogółem 100 zł. dla matki, która się dzieliła ze mną, to nie wiem czy przeżyłbym rok 1930. Pomagałem sobie również i tem jeszcze, że zastawiałem rzeczy do lombardu, a gdy coś zarobiłem, to wykupywałem. Lecz pomimo, że głód mi rzadko dokuczał, życie me było bardzo ciężkie, gdyż cierpiałem często od matki, a zwłaszcza

od siostry wymówki, że przez lekkomyślność swą jestem im ciężarem, jak również cierpiałem sam od siebie wyrzuty za swą lekkomyślność, następnie stałe pragnienie zdobycia środków jakichkolwiek. Psychika człowieka bezrobotnego jest taka, że gdyby nawet mu dano całkowite utrzymanie i dobre ubranie, nie byłby zadowolony, gdyż pragnienie samodzielności jest najpotężniejsze, ja odczuwałem to pragnienie zawsze i odczuwam teraz. Prosiłem często listownie brata, żeby mi się postarał wyrobić zapotrzebowanie do Francji, lecz on mi odpisał, że to trudno narazie, a w końcu roku 1930 sam pisał, iż i sam nie jest pewny swej pracy, gdyż w początkach 1931 roku, Polaków emigrantów miano wydalać. Tak więc gdy brat rozwiął mi nadzieje, a tu w Wilnie do Francji rekrutacji nie było, a prócz tego i pieniędzy więcej przysłać nie mógł, ja nie mogłem więcej beczynnie wytrzymać i w początku 1931 roku 14 stycznia wyruszyłem na »gapę« w podróż w celu poszukiwania szczęścia gdzieindziej. Miałem zamiar wydostać się zagranicę, lecz dojechałem tylko do Warszawy, stamtąd po paru dniach wróciłem, dlatego, że byłem bardzo lekko ubrany i zaziębiłem się, więc z tego powodu miałem silne bóle zębów i głowy, prócz tego nie mając żadnych środków cierpiałem także głód. Wróciłem więc do Wilna z zamiarem po przeżyciu zimy na wiosnę próbować znowu szczęścia. Gdy więc doczekałem się miesiąca maja, a miałem zarobionych parę złotych przy pracy w Wydziale Opieki Społecznej (którą dostałem na 6 dni), więc dnia 9 maja wyruszyłem na »gapę« pociągiem z zamiarem wydostania się do Gdyni, a stamtąd gdzieś okrętem zagranicę. Lecz już w Grodnie złapano mnie i gdy po wylegitymowaniu puszczone, na stacji w oczekiwaniu na pociąg, spotkałem pewnego bezrobotnego, który chciał się udać do Wilna, a gdy ja mu powiedziałem, że tam trudno o pracę, to on się zgodził podróżować ze mną. Namówił mnie, aby się udać pieszo w kierunku Białegostoku, gdyż spodziewał się, że po drodze znajdziemy pracę na stacji Kuźnica za Grodnem, lub za m. Sokółką przy budowie szosy. Lecz nie znaleźliśmy pracy, ani w jednym, ani w drugim miejscu, natomiast spotkaliśmy nowego towarzysza niedoli, który nas namówił, abyśmy się udali w kierunku Małopolski Wschodniej, a gdybyśmy po drodze pracy nie znaleźli, to wtedy mielibyśmy się starać przedostać do Rumunii lub Czechosłowacji, na co myśmy się chętnie zgodzili. I tak szedliśmy przez Białystok, Brześć n/Bugiem, Chełm, Zamość i Lwów. Do Lwowa doszłem ja już tylko jeden (gdyż z kolegami rozstałem się

w drodze), a tam nie znalazłszy pracy — a tylko nieprzyjemność, gdyż agenci często się czepiali i legitymowali mnie — zmieniłem swój plan i udałem się do Zakopanego, gdzie w związku z sezonem miałem nadzieję dostać pracę. Lecz tam też pracy nie znalazłem, a tylko próbowałem zarabiać sprzedawaniem dzienników, a gdy się to zupełnie nie opłacało, bo często nie mogłem zarobić nawet 1 zł. dziennie, więc po paru dniach ruszyłem w dalszą wędrówkę. I znowu pieszo udałem się w kierunku Warszawy, szedłem przez Kraków, Częstochowę, Łódź, wszędzie dowiadując się o pracę. Dopiero z Warszawy, na »gapę« dostałem się z powrotem do Wilna, 3-go lipca. Tutaj po usilnych staraniach od 1-ego sierpnia dostałem pracę przy budowie domu oficerskiego, gdzie pracowałem do dnia 14 września, w tym zaś dniu skaleczyłem sobie mocno nogę (przebiwszy ją gwoździem w podeszwie), poczem nie mogłem pracować w ciągu tygodnia, a w przyszłym tygodniu, t. j. 21 września miałem się stawić na 4 tyg. ćwiczenia rezerwy do wojska. Wiedząc, że po odbyciu ćwiczeń, do pracy z powrotem przyjęty nie będę i wobec nowej perspektywy bezrobocia, a zwłaszcza, że jak słyszałem z Gdańska można się wydostać zagranicę, zdecydowałem się do wojska nie pójść, a wyjechać do Gdańska. I tak dnia 19 września po raz trzeci w roku 1931 wyruszyłem w podróż z zamiarem opuszczenia Polski. Po wielu przygodach i trudnościach udało mi się przedostać do Gdańska a tam wpakowałem się na jakiś okręt, jak słyszałem francuski, udający się do Francji, a stamtąd mający się udać do Brazylii. Zajechałem tym okrętem zaledwie na Hel, gdyż będąc schowany w szalupie, we śnie zacząłem mocno stukać o burtę szalupy i krzyczeć, co słysząc marynarze znaleźli mnie i wysadzili na brzeg. Z Helu udałem się do Gdyni, — gdzie przenocowałem w »Ognisku« dla bezdomnych, a następnie udałem się znowu do Gdańska, gdzie chciałem próbować znowu szczęścia, lecz ze względu na strajk portowy — a z tem idące zmniejszenie ruchu, zrezygnowałem i po wielu trudach znowu 16 października wróciłem do Wilna. A tu po odbyciu czterech tygodni ćwiczeń rezerwy zostałem ukarany przez Wojskowy Sąd Okręgowy dwutygodniowym aresztem, (którą to karę mam wkrótce odbyć), tak więc po raz pierwszy w życiu popadłem w konflikt z prawem, do czego pchnęła mnie nędza. Teraz po usilnych staraniach mam przyznane obiady dla siebie i matki, lecz cóż kiedy samego obiadu mało, a zwłaszcza, gdy ten obiad jest niewystarczający. No ale ja mam jeszcze siostrę, która chociaż mi często dokucza za to, ale pomaga, chociaż jej

samej trudno, gdyż pobiera 90 zł. miesięcznie, a z tego utrzymuje matkę, mnie i opłaca mieszkanie. Opisywałem dotychczas zabiegi swe otrzymania pracy lub wydostania się zagranicę. Teraz chciałbym mniejwięcej opisać co słyszałem i widziałem w czasie swych podróży w Wilnie pomiędzy bezrobotnymi, a potrochu i o sobie, to o czym nie pisałem t. j. jak się czułem, wyglądałem w czasie ostatnich podróży. Otóż w Wilnie w P. U. P. P. w Wydziale Opieki Społecznej lub w Komitecie dla Spraw Bezrobocia, jak również i w innych miastach po urzędach P. U. P. P., a zwłaszcza przytułkach dla bezdomnych, (w Poznaniu, Warszawie, Łodzi, Lwowie, Gdyni), widziałem rozmaite typy bezrobotnych, spotykałem takich, którzy swój los znoszą z rezygnacją i spokojem, lecz większość klnie wszystko, a więc rząd, Polskę, kapitalistów a nawet i Boga, większość twierdzi, że bezrobocie jest skutkiem porozumienia się kapitałów i rządu celem zgniebienia robotnika i uczynienia zeń niewolnika na wzór »pańszczyzny.« Dużo więc skłania się ku komunizmowi, tak więc bezrobocie jest najlepszym sprzymierzeńcem rewolucji światowej, do której dąży komunizm. Tysiące bezrobotnych twierdzi, że tylko w Rosji jest dobrze i tylko system bolszewicki może zlikwidować bezrobocie. To jest więc pierwsze zło, które powstaje z bezrobocia, drugie to jest to, że tysiące bezrobotnych, szukając pracy i chleba tworzy włóczęgostwo (do tych i ja należałem a kto wie czy na wiosnę, kiedy nie będę miał pracy znowu nie wytrzymam na miejscu) w takich rozmiarach, jakich nie było nigdy tego. Ja w czasie swych wędrówek spotykałem po kilka, lub nawet kilkanaście osób, różnych zawodów, różnych stanów, płci i narodowości, często spotykałem całe rodziny z dziećmi, toczonemi na wózkach, lub niesionemi na rękach. I tak ludzie chodzą od miasta do miasta, od wsi do wsi za chlebem, inni znowu jeżdżą pociągami na »gapę«. Zdarzało mi się również często spotykać się z takimi, którzy z braku pracy stali się złodziejami i często namawiano mnie, lecz tylko chyba modlitwy matki (która modli się za mnie bezustannie tak samo jak i za innych swych dzieci) uchroniły mnie od zejścia na śliską drogę występku, gdyż ja często rozpaczony myślałem pomóc sobie występkiem, lecz zawsze sumienie wzięło nademną górę. Często też spotykałem takich, którzy stali się zawodowymi żebrakami — i jak twierdzili, nie chcieliby już pracować. Ja zaś pomimo, że często cierpiałem głód, nie zawsze odważyłem się poprosić jeść nawet, a nie tylko pieniędzy, więc z tego powodu po odbyciu takiej podróży miałem na sobie strzępy ubrania, byłem

opanowany przez robactwo, nogi miałem poranione od ciągłych marszów — po kilkadziesiąt kilometrów dziennie — a pozatem stale, gdy wracałem do Wilna, to miałem mocne postanowienie więcej się nie puszczać w podróż. Cóż kiedy nędza i bezczynność znowu mi nie dawały spokoju i znowu puszczałem się w podróż, próbować szczęścia gdzieindziej. Tak więc jedni walczą o byt w ten sposób, jak ja, inni nie walczą wcale, gdyż są jeszcze tacy, którzy mają zapewnione całkowite utrzymanie przez dosyć bogatą rodzinę, są jeszcze tacy bezrobotni, którzy niesprawiedliwie dostają legitymację, dlatego że pracować nie potrzebują, a chcą się tylko wykręcić od podatków. Pozatem jest dużo takich, którzy dostają pieniądze z Moskwy — i najczęściej krzyczą, że są głodni i innych wciągają w sieci komunistyczne. Szanowni czytelnicy, o ile chcecie by Polska była wolna od zarazy komunistycznej, uwolnijcie ją przede wszystkim od bezrobocia, gdyż bezrobocie może się stać i to może prędko przyczyną wielu klęsk, zwłaszcza najgorszej rewolucji komunistycznej.

P. S. O ile Szan. Instytut Gosp. Społ. nie przyzna mi choć najniższej nagrody, to proszę jak o największą łaskę chociaż zamieścić parę słów z mego pamiętnika, aby i ja choćby w ten sposób, choć trochę się przyczynił do zwalczania tej największej obecnie klęski ludzkości.

Wilno, dn. 2 stycznia 1932 r.

Robotnik niewykwalifikowany
zamieszkały w Poznaniu

Nie wiem co to będzie. Wszystkie moje starania, które dotychczas poczyniłem, okazały się daremne. Darmo biegam po redakcjach wszystkich pism miejscowych, w nadziei, że może coś uchwyć. Darmo przeglądam codziennie wszystkie ogłoszenia — rynek pracy małą ma dzisiaj podaż. Nie wiem co to będzie. Coraz więcej uchodzi mi reszta tych groszy, których jeszcze posiadam. Dziś starczy na życie — a jutro? Kiedy pomyślę o jutrze, to myśl mi się płacze. Niezdolny jestem myśleć na dłuższy dystans — czuję tylko instynktownie, że przyjdzie się chwycić kija żebraczego, albo zdychać podle jak zgłodniały pies.

Nie mogę uwierzyć w możliwość tej możliwości. Nie i nie chcę. Chcę wierzyć, że jakoś to będzie, że nadejdzie ta chwila, która mi pracę w darze przyniesie, a potem wszystko będzie dobrze.

Przecież jestem taki głodny pracy — tej pracy, której los zawistny mi poskąpił, a bez której przecież niemożliwym jest moje bytowanie.

Wiem, że chwila ta nadejdzie, musi — musi, bo inaczej...

* * *

Był u mnie dziś Adolf. Zawsze to samo narzekanie, zawsze to samo uzalanie się na przesładujący go los. Cóż ja mu pomóc mogę? — przecież jego bolączki są i moje bolączki, jego kłopoty i moje kłopoty.

Cóż ja mu pomóc mogę? I tak się z nim dzielę z tem ździebkiem co jeszcze posiadam, tylko, że on tego nie widzi, albo widzieć nie chce.

Pomału działa mi Adolf na nerwy. Mam dość jego kwikania — mam dość! A mógł też psiajucha inteligent pilnować swego i nie schodzić na bezdroża i tem samem powiększać szeregi bezrobotnych.

Śmiech mnie bierze. Adolf i bezrobotny? Widzę go na wyobraźni z kilofem w rękę. Biedny! — uląkłby się napewno tego niesympatycznego narzędzia, z którym by mu kazano dzień cały popracować.

Bywam złośliwy. Ale czemu też gdera mi stale nad uszami, że ani myśli głębszej ująć nie mogę. Albo to on sam tylko ma prawo do zasilania żołądka — do prezentowania się w lepszych czy gorszych szmatach?

Przyznam, że lubię go. Przyzwyczaiłem się doń, iż czasem odczuwam jego nieobecność. Ale w głębi serca życzę mu tego szeregu niepowodzeń, które musi przechodzić.

A niechże też taki inteligent, miękko w mamusinych poduszkach wychowany, skosztuje nieco tej goryczy, której przysmak maćci zdrowie tylu innych wydziedziczonych parjasów.

Czem to on lepszy od tych innych, których życie jest tylko jednym łańcuchem krwawych walk o byt!? Czemże on lepszy? — tylko że oni od młodości do walki tej przygotowani, jakoś mężnie stawiają czoła, a on?

Boję się o niego, — boję się, że pierwszy silniejszy podmuch zwali go z nóg, jak drzewo bez silnych korzeni.

* * *

Ranna poczta przyniosła mi list. List, którego nadejścia oczekiwałem z drżeniem serca, rozczarował mnie w zupełności. Więc jednak nic, więc jednak nie spełniły się moje skryte marzenia, że może choć tym razem wniosek mój odniesie skutek.

— »Wniosku nie uwzględnia się« — czytałem suchemi oczami na pięknym papierze Dyrekcji Poczty i Telegrafów.

Nie uwzględnia się — dźwięczało mi przez cały dzień w uszach. Pomyślałem ze smutkiem, ileż to już takich odpowiedzi trzymałem w rękę — ileż to razy odbiły się te słowa »nie uwzględnia się« złowrogo o moje uszy. Przez tyle lat — tyle miesięcy, ile to poszło tej złudnej, naiwnej nadziei, że raz — że przecież raz udać się musi.

Jestem głupcem, bo tylko tacy wierzą w możliwość niemożliwości. Pojąć nie mogłem, pojąć nie chciałem, że mię nie chcą — że dla mnie niema pracy, że przeznaczeniem mojem jest wieczne włóczęgostwo.

Dziś to rozumiem — rozumiem też wiele innych rzeczy, przed którymi dawniej błądziłem jak ślepy. Żal mi tylko tej młodości

mojej — żał mi tej nadziei, z której oskubało mnie życie, jak jesień oskuba drzewo z ostatniego listka...

* * *

Jestem chory. Żołądek mój osłabiony dokuczał mi całą noc. Nie mogłem zasnąć. Przez głowę przechodziły mi rozmaite myśli — nieraz i kryminalne.

Albo to jakiegoś burżuja w brzuch uderzyć i dostać się temu samemu do kozy? Niezła myśl! Cóż może mnie grozić? Wezmą mnie ze sobą — jeść dadzą, spać pozwolą i cóż mi więcej potrzeba? Głupi, że też prędzej na tę myśl nie wpadłem. Jest to dla mnie poprostu coś idealnego, ten bezpłatny pobyt w pałacu rządowym.

Dopiero z rana, kiedy odwiedził mnie Adolf, rozproszyłem czarne myśli. Tego ranka był on w wyjątkowym humorze. Dowcipkował ze mną i zaraził mnie swoim dobrym humorem. Ten Adolf to jednak porządny chłop!

Gawędziliśmy na różny temat. Bez cienia zazdrości przyznam, że Adolf-inteligent, jest prawdziwie inteligentny. Jest on jeden z tych ludzi, którzy mają dobrą szkołę poza sobą, których umysł wyrobił się w kulcie sztuk pięknych.

Mimo to nie zawsze zgadzam się z jego zdaniem; cały świat dzieli nasze zapatrywania. Rozumowanie jego inne jest niż moje, światopoglądy na inną ma formę wyrobione.

Wychował się też każdy z nas w odrębnym światku — odmiennym szlakiem szły nasze drogi życiowe. Podczas kiedy Adolf zdążył maturę gimnazjalną złożyć, — to ja przechodziłem przez twardą szkołę życia, — zdobyłem maturę życiową.

Wiem, że prędzej, czy później ulokuje się Adolf na jakiejś dobrze płatnej posadzie i niby o jakiejś sennej marze wspomni swe teraźniejsze przeżycia. A ja?

Byłem, jestem i będę tylko biednym proletarjuszem, którego przeznaczeniem jest znosić w pokorze, co życie mu daje.

* * *

Jak to długo jeszcze potrwa to zdechnę podle jak pies. Zdechnę jak zgłodniały pies, któremu ludzie nie rzucą kęs chleba. Czuję, że pomalutką kończy się u mnie wszystko, nawet cierpliwość.

Skądby się miała brać? Wszystko ma swój koniec. Czy to wyczekiwanie przez tyle tygodni, przez tyle miesięcy, nie wzięło mi wszystko, co miałem w zapasie: i cierpliwość i wytrwałość

i wiarę w swe siły? Nawet ta nadzieja, matka wszystkich głupców, zwolna u mnie zanika.

Staję się człowiekiem, który nie ma nic do stracenia, ale i nic do osiągnięcia; poprostu dojrzewam na desperata życiowego.

Czy jestem tchórzem, który boi się tego trudu, mozołu którym obarcza nas życie, tchórzem, którego już sama myśl o walce życiowej przejmuję lękiem i bojaźnią?

Nie! Nigdy takim nie byłem. Ale tu już nie walka o byt, nie walka o chleb, mężne zapasy ze życiem, tylko tu już podłe gnuśnienie, bezcelowe wyczekiwanie za czemś, co nigdy nastąpić nie może.

Czuję, że moje życie jest tylko marną wegetacją, że nawet ten skromny zasób sił, którym natura mnie obdarzyła, z próżniactwa zwolna się wyniszcza.

* * *

Życie zrobiło ze mnie tchórza. Czasem mam chęć ukłonić się przed tym światem i prosić w pokorze.

»Kupcie mnie, kupcie mnie! Chcę wam służyć wierniej niż wuj Tom. Będę kamienie dźwigał pod budowę waszych pałaców, będę wasze pola uprawiał, tylko dajcie mi żyć.

»Dajcie mi jedzenie, dajcie mi wyspanie i dajcie mi odzienie — ba! mogę nawet chodzić nago, mniejsza o to.«

A wtenczas pali mnie wstyd. Wstyd? Co to jest wstyd? Czy taki parjas jak ja może się i wstydem zapalić?

Parjas? Czy jestem parjasem? O, tak — jestem nawet czemś gorszem, bo przeznaczeniem jego jest pracować, harać na swe przekłete bytowanie, a ja nawet pracować nie mogę.

Czy jestem wykolejeńcem? Nie. Takim jak dzisiaj, byłem zawsze, takim biednym, wzgardzonym proletarjuszem, a jednak wiem, że staję się coraz bardziej doskonałym człowiekiem — lecz cóż mi potem, kiedy dni moje na ziemi już są policzone.

Policzone są dni żywota mego, bo jak ziemia nieogrzana słońcem żyć nie może — tak i człowiek nie odżywiany chlebem żyć nie potrafi.

* * *

Rozmyślałam na serjo, co czynić? Przecież żyć chcę i żyć muszę. Dawna ma energia budzi się we mnie, mózg mój pracuje zawzięcie nad jakimś ratunkiem. I nagle zrodziła się genialna myśl.

Do djabła! Że też prędzej nie zdołałem tego wymyślić. Co za

pomysł: będę handlował szmatami. Odetchnąłem swobodnie. Przecież codziennie widuję te niewyraźne postacie z workami na grzbietach, krążących od podwórza do podwórza. Wszyscy z tego żyją, a ja bym nie zdołał?

Zdawało mi się, że odkryłem kopalnię złota. Nic nie trzymało mnie w domu. Ubrałem się pośpiesznie i wyszedłem na miasto. Prostą drogą dążyłem do lombardu, by zastawić tam ostatnią mą chudobę.

W lombardzie, co za szczęście, spotkałem Adolfa. Miał zawiniątko pod pachą, które starannie przede mną ukrywał. Pocóż ci ludzie się wstydzą swego ubóstwa? Niosą swe ostatki z miną magnata, który na to niesie do lombardu, by miastu procenty przysporzyć.

Opowiedziałem Adolfowi mój plan. Był zachwycony, a w uniesieniu mocno uściśnił mi rękę.

»Psiakrew« — zawołał — »niech stracę, na tę intencję funduję wódkę. Psiakrew to trzeba przepłukać!«

— Co za lekkomyślność! Marynarka pod młotem bez nadziei jej wykupienia, a tu wódka! wódka, której nawet i zapach nie zdołałem sobie przypomnieć. Oburzyło się moje sumienie, ale i wnet zmiękło: niechże i dwaj biedacy, w tak uroczystej chwili, skosztują nieco tego nektaru!

W małej restauracyjce mało było gości, a dużo miejsc. Adolf rozochocił się na dobre. I wódka ma czasem swą dobrą zaletę. Opowiadał mi pewne śmieszne epizody z czasu swojej kariery wojskowej.

Z miną Lukullusa wyliczał mi te różne przysmaki, którymi uraczał swój żołądek w owym błogosławionym czasie swego dobrobytu i smutnie wskazując ręką na terażniejszą objętość swego szczupłego brzucha, zawołał ochryplym głosem: »Widzisz bracie, takie były to czasy! Dawniej żyło się jakoś, a dziś gorzej jak pies.« »Nie narzekaj — odpowiedziałem, — tak źle jeszcze nie jest. Przynajmniej zapoznasz życie i z tej ciemniejszej strony i będziesz mógł na starość twoim wnukom opowiadać, żeś uczciwie się wziął z życiem za bary, a chwilowo nie narzekaj mój kochany, bo mi się tak zdaje, że dopiero teraz poznasz, czym to prawdziwe życie pachnie.«

Spojrzał na mnie wzrokiem szczeniaka, zamilkł na chwilę — potem wykrztusił: »Ty, Maciej, jesteś strasznym pesymistą, wszystko widzisz w czarnych kolorach.«

Nalał kieliszek wódki i zawołał: »Na nasze zdrowie Maciejuc!

Żal mi się zrobiło tego człowieka, który przy samej otchłani już stojąc, nie widzi przepaści, w jaką już niedługo potoczyć się musi.

Przypomniałem sobie ów dzień, w którym zapoznałem Adolfa. W stanie zaniedbałym, prawie już żebrakiem, strasznie był opity. Za resztę groszy, niewiadomo skąd zdobytych, zalewał swą złość na zmienność fortuny.

Jego pijackie wywody zaciekały mnie. Wziąłem go ze sobą i zaprowadziłem go na drogę, po której i ja kroczę. Drodze uciążliwej może, żmudnej, ale zato pewnej.

Adolf do dziś przeszłości swej zapomnieć nie może. Zdaje mu się, że jest genjuszem zapoznanym, którego świat zrozumieć nie chce.

Gawędziliśmy długo jeszcze w owej małej restauracyjce — coraz to nowe tematy musiałem z nim przedyskutować, ale i coraz więcej stwierdziłem, że Adolf to już nie ten inteligent, za którego go dotychczas miałem.

Umysł jego konserwatywny, mało jest przedsiębiorczy, boi się zaczepności, a myśl sama ciężka i powolna. Ma mózg pełen nagromadzonych wiadomości, z którymi nie wie co począć, a które mu, zdaje się, tylko zawadzają.

* * *

Do stu piorunów! Wszystko djabli wzięli! I nadzieję, że zarobi się coś na szmatach i moje cztery złote na ten cel przeznaczone. Chodziłem jak warjat z miechem na grzbiecie: od podwórza do podwórza. Skupowałem wszystko możliwe: i szmaty i kości, skóry i butelki. Co za konkurencja! Pełno takich jak ja łatusów na mieście! Interes tylko groszowy, tylko grosze za dzień cały żmudnej pracy. Ale to już nie handel, to już graniczy z żebractwem.

Pierwsze trzy dni poszło jako tako, na czwarty dzień, na skutek jakiejś nieudanej kalkulacji, straciłem wszystko. Wszystko! Już nie zobacę mojej w lombardzie zastawionej marynarki świątecznej — inny jakiś wybraniec losu będzie ją nosił. A pal cię piorun! Ale cóż ja teraz będę robił?

Przecież chcę żyć! Jako człowiek mam prawo do tego, który się po to narodził, aby żył. Albo czy mam zdychać jak stara, wysłużona szkapa, która swoje zrobiła i teraz światu zbędna, może zdychać? Albo czy człowiek mniej wart niż spracowana stara szkapa, której się nawet chleb łaskawy należy!?

Gdzie cywilizacja? Gdzie kultura? Podobno są towarzystwa ochrony zwierząt, a ochrony człowieka niema? Niema, a to dlatego, że człowiek jest najniższy gatunek bydła. Rozumiem: i kultura jest, a jakże, jest kultura, wybrany świętek wybranych ludzi, tylko, że czcigodny ten zabytek zazdrośnie strzegą przed profanacją nieczystych parjasów.

* * *

Adolf upadł o jeszcze jeden szczebel na swej drabinie społecznej. Został grajkciem podwórzowym. Zazdroszczę mu tego awansu. Zarobi codziennie groszy parę, a ja zgoła nic. Ciągłe jeszcze mozolę się ze swoją biedą. Dziwnie, jak ona się uparcie mnie trzyma. Ani kijem wygonić się nie da. Zawsze jeszcze handluje głodem, ale w końcu i tego będzie dość.

Zawsze jeszcze wierzę w jakiś cud. Przecież raz muszę pracę dostać. Wczoraj byłem na giełdzie pracy. Co tam za mrowisko ludzi. Ciekawe, z czego oni wszyscy żyją? Przecież tylko część z nich otrzymuje zapomogi.

Spotkałem tam kilku dawnych swych towarzyszy pracy. Wszyscy oni chodzą niby emeryci na spacer i złowróżą swemu losu. Doprawdy mają co narzekać. W domu bieda, że ani ją siekierą dorąbać. Żona klnie, wyzywa, czyni wyrzuty, dzieci płaczą, skarżą się na niedostatki, a mąż ucieka niby obłądny, gotów nawet do występku.

I dziwić się, że coraz to więcej ludzi stacza się na drogę występku? Kto jest ten, który ich powstrzymuje, kto jest ich moralną podporą? Czy to społeczeństwo, które z całym spokojem uderza się w piersi i mówi: »Nie moja wina«.

Czy tylko ten biedny z najbiedniejszych ma ponosić ciężar tej klęski, za którą odpowiedzialne jest całe społeczeństwo, czy tylko on sam jeden?

Niechże, — tylko, że to społeczeństwo, zgodne dziś ze swym sumieniem, nie dziwi się jutro, że z ludzi stają się zwierzęta, gotowe nawet na nie napaść. Bo człowiek potrafi być nietylko mściwym i okrutnym, ale i bezwzględny. Jest to właściwość człowieka, kiedy załaknie krwi.

* * *

Przed paru dniami zrobiłem ofertę o posadę biurowego. Nie wiem co mnie pobudziło do napisania takiej oferty, bo przecież nigdy nie byłem pisarkiem. Zrobiło się jednak — człowiek w moim położeniu czepi się byle czego.

Wczoraj dostałem odpowiedź, że mam się przedstawić. Byłem przez cały dzień w siódmym niebie. Więc jednak udało się! Więc jednak jestem jeszcze do czegoś zdatny!

Od samego rana ubrałem się starannie niż zazwyczaj. Punktualnie o dziewiątej byłem przed kamienicą na Św. Marcinie i wszedłem na drugie piętro. Zapukałem do drzwi z napisem »biuro«. Przy biurku siedziała jakaś wytworna pani dobrej tuszy i pisała coś pilnie na maszynie. W głębi dość ciemnego pokoju ujrzałem sylwetkę młodego, szczupłego mężczyzny, pochylonego nad książkami.

Dama podniosła się z miejsca. Ukłoniłem się grzecznie i powiedziałem jej cel mojej wizyty. Przez długą chwilę mierzyła mnie zimnym wzrokiem i niemym gestem zapraszała do zajęcia miejsca.

Całym tem chłodnym obejściem eleganckiej damy zgóry byłem onieśmielony. Usadziwszy się w głębokim fotelu czekałem cierpliwie na to, co będzie.

»Przejrzałam wniosek Pana i będę szczerą. Podanie pańskie nie zupełnie mi się spodobało. Pismo Pana jakieś dziwaczne, niewyraźne i robi wrażenie żydowskiego. Czy pan przypadkiem nie jest żydem?«

Byłem zdziwiony, oburzony i bez słów. Tymczasem, gdy daremnie szukałem słowa, wytworna dama zdążyła mnie obejrzeć gruntownie. Krytycznym wzrokiem mierzyła mą chudą, zaniedbaną postać i zatrzymała swój wzrok na mym niezupełnie małym i kształtnym nosie.

»Łaskawa Pani przypadkiem się myli. Nie jestem żydem. Ale jestem człowiekiem, który stara się o objęcie posady. O ile pismo moje nie spodobało się Pani, to nie rozumiem poco mię Pani zawołała. Przecież można było zgóry napisać, że wniosku mego się nie uwzględni. Czy mogę prosić o wytłumaczenie?«

Dama, utuczona świńskim tłuszczem, udawała oburzoną.

»Cóż Pan stracił przez to, cóż?« — gorączkowała się. »Mogę to zrobić, co mi się podoba. Zresztą — z gwałtownym ruchem podeszła do biurka, wyciągnęła dwa złote i mi je podając, dokończyła — to za fatygę straconego czasu, może się Panu przydać.«

Byłem oburzony, złość we mnie tylko kipiała. Co ta baba sobie pozwala? Miałem ogromną ochotę bić po jej pulchnym pysku. Zmiarkowałem się. Podeszłem doń, otworzyłem przemocą jej rękę i wdusiłem w nią dwuzłotówkę. Powiedziałem jej jeszcze parę grubszych komplementów i odeszłem. Na ulicy począłem żałować,

że jednak nie uderzyłem babę w twarz. Przyrzekłem sobie jednak, że na drugi raz, w podobnym wypadku, uczynię to napewno.

* * *

Prawie codzień jadam obiady u Św. Józefa. Ile to razy wchodzę do tej ciemnej ponurej piwnicy, mam to uczucie, że się duszę. W tej chwili gubię to wszystko, co posiadam jeszcze z godności człowieka i staję się łachmanem, żebrzącym o michę strawy.

Jak podłem jest to uczucie, wyciągać rękę po to, co człowiekowi się i tak z prawa natury należy. Jak zwierz dopada człowiek do podanego mu jedzenia — i jak zwierz pożera to, co podaje mu ręka drugiego.

Ci ludzie, co na niskich ławach siedzą koło mnie i zajadają ze żarłością zgłodniałego wilka — to już nie ludzie. Byli nimi raz, nim życie odebrało im resztę tego, co się godnością człowieka nazywa. Jest to tylko gałgan ludzki, który w zarysach przypomina człowieka.

Te szczęki, które zawzięcie miażdżą wybrane jedzenie, te krwią nabiegłe od głodu połyskujące oczy, które na wszystko co żyjące z nienawiścią patrzą, należą już do zwierza, który ma tylko to jedno pragnienie, aby żył.

Spotyka się tu obok ludzi pozbawionych pracy i różne inne ciemne jednostki, męty społeczne. Ludzie różnego wieku i obojga płci, gnani potrzebą zaspokojenia swego prawie że zwierzęcego głodu, schodzą się tu codzień w południe. Same szare postacie — szare, jak ich życie, szare, jak ta siostra wydzielająca im obiady i szare, jak ta piwnica ponura, dająca im chwilową gościnę.

Szczęśliwy jestem, kiedy po spożyciu obiadu opuścić mogę ten przybytek miłosierdzia i pełną piersią znów oddycham świeże powietrze.

* * *

Miałem dziś rzadkiego gościa. Prawda, że był czas, że bywał u mnie codziennie i żyliśmy obaj jak bracia, później jednakże rozstały się nasze drogi życiowe. Zapoznał się z jakąś kobietką z półświatka i u niej przepędza swój czas. Któż mu bronić może? Każdy jest panem swego położenia i czynić może co mu się podoba.

Wiem jednak, że wolałbym widzieć go takiego, jakim był dawniej. Nie mam doń już dziś tego zaufania, jakim darzyłem dawnego Michała.

To już nie jest ten sam Michał, który pracował ze mną ramie przy ramieniu, ten sam Michał, z którym przeżyło się niejedno w szczęściu i nieszczęściu — ten człowiek ubrany w nowiuteńki smoking i beznaganną zarzutkę jest obcy memu sercu.

Gdzieś tylko w głębi mózgu pozostało to wspomnienie, że łączy nas znajomość minionych dawnych lat. Przez całe dopołudnie, które przesiedział u mnie, zawsze tylko jeden poruszał temat: życie w kołach półświatka. W ciągu naszej pogawędki nadszedł Adolf. I znów przelały się dwie kwarty »czystej« przez nasze gardziele, ufundowane przez Michała. Z goryczą pomyślałem, jak bardzo przydałby się ten pieniądz tak nieużytecznie wydany.

Snadź, że Michał nauczył się w wódce lubować — bo, jak mawiał, to niema dnia, w którymby się u nich bez wódki obeszło. Opowiadał nam, jak wesołe spędza teraz życie. I pieniędzy ma dosyć, bo przecież jego Adela umie zarobkować. Chwalił się przytem, jak to bardzo jest ona doń przywiązana, że choćby ją kijem wygonić zechciał — to niby wierny pies, powróciłaby z powrotem.

Michał ma szczęście do kobiet. To szczęście jednak, które wydaje mu się tak ogromne i do pozazdrosczenia, nie kusi nas wcale. Zrobił nawet propozycję zapoznania Adolfa z pewnem miłym dziewczęciem, któreby gotowe było ponosić ciężar jego utrzymania — naturalnie pod warunkiem, gdyby Adolf przypadł jej do gustu.

Przelotnem spojrzeniem porozumieliśmy się co do tej propozycji. Nie pozazdrościłbym Adolfowi — naprawdę nie — lecz szkoda by go było. Do podobnego upadku zawsze ma jeszcze czas.

Długo trząśł Michał w niezrozumieniu głową, nie mogąc pojąć, jak można tak świetną propozycję nie przyjąć — tembardziej człowiek, który żyjąc z dnia na dzień, z troską patrzy w przyszłość. Nie może on pojąć, że jest jeszcze coś, co strzeże człowieka przed upadkiem: silna wola i wrodzona moralność. Dlatego też zimno wypadło nasze pożegnanie, kiedy wreszcie zechciał nas Michał opuścić.

* * *

Zawarłem dziś przygodną znajomość. Na jednej z moich wycieczek po »Dębinie« zagadnął mnie pewien młody jeszcze mężczyzna. Wdałem się z nim w pogawędkę. Byłem rad tego towarzystwa, choćby dlatego, iż myśli moje ostatnio nie bardzo różowe, doznały jakiejś rozrywki. W toku rozmowy okazało się, że młody człowiek, syn zamożnego, zamieszkałego w okolicy gospodarza, był rzemieślnikiem, przebywającym tu w poszukiwaniu pracy.

Wszystko na nim — począwszy od jego z dobrej skóry skrojonych butów, a skończywszy na jego mocnych zębach, było solidne i trwałe. I mimowoli przeszyło me serce to szpetne uczucie, które się powszechnie zazdrością zwie: czemuż to ja nie jestem szczęśliwym posiadaczem tak solidnej pary butów, czemuż to ja nie mam ojca, siedzącego na swych włościach?!

Rychło jednak powstydzilem się tego uczucia. Przyjąłem jego propozycję wypicia w pobliskiej restauracji jednej szklanki piwa.

Wypiliśmy jedno piwo i dwie małe czystej, skonsumowaliśmy na spółkę kawał przyniesionego przezeń z domu chleba. Potem pożegnaliśmy się, życząc sobie wszystko co najlepsze, by się więcej w życiu może nie zobaczyć.

Zeszedłem na dół »Drogą Dębińską«. Na godzinę trzecią był wiec zwołany. Niewielka sala »Domu Szwajcarskiego« na długo przed rozpoczęciem wiecu była szczelnie nabita. Nawet w ogrodzie niewiele było miejsca, a coraz to więcej napływało ludzi.

Prezydjum wiecu było już w komplecie, a jednak nie rozpoczęto obrad. Niecierpliwosć tłumu wzrastała. Wreszcie odezwał się dzwonek przewodniczącego. Mówca, nikomu bliżej nieznanym, mówił rzeczowo i dobrze. Wygłaszał pięknym głosem piękne słowa, które, jakgdyby odgłosy wspaniałego dzwonu, odbijały się po sali. Słowa, które wyrzucał ze siebie, były dobierane w formie, a jednak słowa te proste ze wzruszeniem wypowiedziane, upadały jak ogień na wezbrane serca zgromadzonych bezrobotnych.

Napięcie wzrastało. Tłum, który jak to rozszalałe morze bywa bezwzględny, umie być czasem wspaniałomyślnym. Oklaski, które zbierał mówca, były oznaką, jak bardzo podobały się jego wywody.

Tymczasem mówca mówił dalej. Znać, że mówca sam rozgrzewał się swemi słowami, tak bardzo zapalił się swoją mową. Tak dobrze dobierał słowa, tak dobrze uniały odmalować to beznadziejne położenie tych szerokich mas ludzi bezrobotnych, że, gdyby nie jego eleganckie ubranie i złotem oprawione okulary, to wziąłbym go za jednego z klasy pracującej. Tylko te oczy — to zimne, magnetyczne spojrzenie nie mogło się spodobać.

Wrzask, jaki dochodził z ogrodu, zamącił nagle spokojny tok przemówienia. Wyszedłem pośpiesznie patrzeć co się dzieje. Nie chciałem wierzyć oczom — to mój znajomy z dopołudnia był pobudką zamącenia spokoju. Przyszedł do sprzeczki z paru wiecownikami nad wywodami mówcy i tłum rozgorączkowany nama-

calnie począł go przekonywać o słuszności wypowiedzianych argumentów.

Bezmiłosiernie upadały kije po grzbiecie nieszczęśliwego chłopca, który i w końcu upadł pod wałacemi go razami. Jak ciężar legło mi to zajście na sercu, ciężar, którego darmo staram się ubezwładnić. Nie mogę pojąć, co pobudziło nieszczęśliwca do udania się na dłoń tak fatalne zgromadzenie.

Jakby te razy na moje legły plecy, porwałem się i ciężkim krokiem udałem się do domu. Po drodze mijała mnie karetka pogotowia, która zabrała biednego mego znajomego.

* * *

O 9-ej godzinie mieli wydawać bony żywnościowe. Kiedy nadeszłem bitą godzinę później, ogonek sięgał prawie na ulicę. Budynek magistracki pełen był nagromadzonych ludzi, którzy czekali na swą kolejkę, by odebrać należny im bon.

Gwar wielusetnych głosów odbijał się po korytarzach ciasnego budynku. Od czasu do czasu tylko przyciszał, kiedy wywoływano jakieś nazwisko.

Przystanąłem przy drugich w ogonku. Przedemną stał jakiś starszy już człowiek i głosem przyciszonym użalał się swemu najbliższemu sąsiadowi.

...»czworo dzieci, a najstarsze z nich chore, a tu znikąd nic«, — dosłyszałem urywane słowa.

Uchwyciłem jego dziki, błędzący po ulicach wzrok i wyczytałem wszystko. Ten człowiek bliski był obłądu. Rozpacz, która biła mu z oczu, była tak przejmująca, że nie mogłem dłużej nań patrzeć.

Powiodłem okiem nieco dalej w głąb, skąd dochodził mi roznamiętniony głos jakiejś kobiety z dzieckiem na rękę. Słów samych trudno było dosłyszeć — donośny rechot tylko przygodnych słuchaczy świadczył o doborze wypowiedzianych słów.

Ci ludzie tu zgromadzeni wszyscy są anormalni. Nie dlatego może, że żyją w anormalnych stosunkach, tylko, że mózgi ich ucierpiały wskutek ich długotrwałej poniewierki.

Te postacie nędzą zbite, skulone w jedną szarą masę, których życie zrobiło gratem nikomu niepotrzebnym, tak bardzo są do siebie podobne. Aż dziwo, że ten gałgan ludzki, przez los tak brutalnie popychany, żebrzący o swe marne życie, musi być człowiekiem nazywany.

A jednak — bo człowiek jeden tylko posiada tę właściwość

z pośród wszystkich niżej od niego stojących zwierząt, że najbardziej upodlić się potrafi.

* * *

Widzę ich często. Ile razy są na podwórzu i śpiewką i muzyką starają się nakłonić ludzi do miłosierdzia, to stoję przy oknie i patrzę na nich. On garbusek, ona niewidoma. Biedni ludzie — nie wiem czy zdarzyło mi się widzieć kiedyś ludzi zasługujących więcej na litość, jak właśnie oni. I teraz, kiedy patrzę na ich blade, wychudłe twarze, to czuję dla nich więcej niż litość.

Dlaczego oni żyją? Wiem, że śmierć nie byłaby dla nich tak groźną, jakiem jest ich życie. Cóż oni stracić mogą? Najwyżej pozbyliby się tego brzemienia, jakiem los okrutny ich obdarzył.

Właśnie teraz śpiewają. Głosy słabe, przełamujące się, a jednak pełne mocy i wyrazu. Zwłaszcza głos niewidomej jest silny w wyrazie, siłę jego tworzy tragizm, który na niej ciąży.

Śpiewają pieśń o sieroctwie i o poniewierce. Niby oskarżenie, uchodzi ich zespolony głos w zaświaty, unosząc w ich piersi część tego bólu, który mają w sercu.

Wysłuchuję się w smętny ton płynącej melodji i smutek przegromny ujmuję mi serce w kleszcze. Żalność jakaś, niczem nieuzasadniona usiadła mi ciężarem na duszy. Trudno powiedzieć, kogo właściwie żal mi się zrobiło — czy sierot, czy samego siebie.

Nagle urwał się śpiew i piskliwe tony rozciąganej harmonijki zagrały skoczną melodję. Obok, na drugim podwórzu zjawił się jakiś grajek by i swoją zaprodukować umiejętność.

Garbusek pozbiierał tę parę groszaków miedzianych, które ręce litościwe rzuciły mu z okna — poczem podając rękę swej towarzyszce, wolnym krokiem opuścili podwórze. Skrawki papierków tylko leżące na podwórzu, zdradzały drogę uniżenia, po której kroczyć są zmuszeni.

* * *

Idąc przez »Aleje« miałem ciekawe zdarzenie. Przedemną szedł jakiś ociemniały wojak, prowadzony przez rosłego wilka. Mądry ten pies prowadził swego pana, lawirując zręcznie po gęsto ludźmi zapełnionym chodniku.

Z zainteresowaniem obserwowałem ten niecodzienny obraz, gdy czyjś głos wyrwał mię z zamyślenia. Spojrzałem. Po lewej mi stronie szła jakaś niemłoda już pani w eleganckiem futrze otulona, która wskazując na niewidomego i jego towarzysza rzekła: »Mówi

się, że to nierozumne zwierzę, a patrz Pan, ile to rozumu to zwierzę posiada».

Zdziwiony niespodziewanem przemówieniem, potwierdziłem zdanie wytwornej pani i chcąc skrócić w ulicę Podgórną, chwyciłem do czapki. Tymczasem nieznajoma mówiła dalej: »Człowiek o wiele gorszy niż zwierz, bo wszystko co czyni, to tylko z pobudek egoistycznych. Wierność jest tylko zaletą zwierzęcia».

Dama zaciekała mnie i mimo, że zamierzałem skrócić na prawo, poszedłem dalej, dotrzymując jej towarzystwa. Weszliśmy w swobodny ton rozmowy i przygodna nieznajoma starała się udowodnić mi, że człowiek posiada o wiele mniej tych zalet, które zdobią najmniejszego robaczka.

Skręciliśmy na plac Wolności. Ulica, jak na godzinę obiadową była wielce ożywiona. Ciekawie mierzyli przechodnie nierówną parę: wytworna dama i szary człowiek w starganej kurtce, to naprawdę niecodziennem jest zjawiskiem w tak eleganckiej dzielnicy.

Demonstracyjnie zwieszała mi czerwona chustka z lewej mej kieszeni, kiedy nie bacząc na gapiących się przechodniów, wypowiadałem głośno niezrozumiałe dla nich słowa.

»Człowiek wszystko robi z wyrachowania — rozprawiała dama gorąco — jest nawet filantropem z obliczenia. Jest nieraz dobry, spokojny i anielsko wyrozumiały, bo leży to w jego interesie. Jest mu dobrze, więc chce ażeby w koło niego była jedynie dobroć, bo złość mogłaby zepsuć spokojny tryb jego życia. Patrz Pan, naprzykład da ktoś konduktorowi w tramwaju mały napiwek. Z jakiego to powodu, sądzi Pan, czyni to większość? Z tej prostej przyczyny, że chcą za niego podziękowanie, że chcą się swoim datkiem pochwalić — no i że chcą, by konduktor dobrze o nich myślał. Czy Pan sądzi, że napiwek taki nie wart jest tyle aż korzyści?»

Przyznałem rację damie i kiedy na »Gwarnej« uchyleniem czapki pożegnałem ją, to wiedziałem, że rozmawiałem przez chwilę z naprawdę wartościowym człowiekiem.

Niestety podobnych ludzi spotyka się coraz to rzadziej.

. . .

Zaraz z rana wyszedłem z domu. Mieli wczoraj uchwalić w Radzie Miejskiej jednorazową zapomogę — więc przystanąłem przed »A. B. C.« — by dowiedzieć się pewności. Razem ze mną stała grupka ludzi, także bezrobotnych. Płonącą okazała się nasza nadzieja, wniosek został większością głosów odrzucony.

Poszedłem dalej. Jakże zmienił się teraz obraz uliczny miasta. Bezrobocie wycisnęło wyraźne piętno w oblicze jego. Wszędzie pełno ludzi beczynnych, spacerujących z założonymi rękoma po ulicach. Ostatnie miesiące silnie odbiły się na ich twarzach. Przebyta nędza i przygniatająca troska zrobiły swoje.

Przechodzę koło grupki ludzi, zebranych na chodniku, których policjant nie zdążył jeszcze w cztery wiatry rozgonić. Jeden z nich, mały człowiek z ogromnym wąsem, krzykliwym głosem rozprawiał coś namiętnie. Głos i postawa małego człowieka wydawała mi się tak bardzo znajoma. Szukałem w pamięci. Aha, znam go, ten mały człowieczek to jeden z tych zdolnych agitatorów, którego pokazał mi ktoś na ostatniem zgromadzeniu.

Na bocznej ulicy za bramką bawiły się dzieci. Obdarci, zastrasząco brudni o wychudłej bladej twarzy robili wrażenie małych żebraków. Zabawa ich była raczej ordynarnem popychaniem się, niż niewinną grą dziecka. To małe dziewczątko o niebieskiem wejrzaniu, które stało na boku i przyglądało się zabawie, robiło wrażenie najlepsze. Trzymała w rączce pajdę z serem obłożonego chleba, którego raz po raz z apetytem do ust wsuwała.

Wtem stało się coś zgoła niespodziewanego. Jakiś łobuz oderwał się z grupy bawiących się dzieci i dopadłszy do dziewczęcia, wyrwał mu chleb z ręki i z miną małego djabełka począł go zjadać.

Dziewczynka stała nieruchoma, niezdolna do żadnego czynu, oczy tylko ze zdziwieniem w koło patrzące, użalały się na wyrządzoną jej krzywdę. Dopadłem do łobuza i wymierzyłem mu policzek, w następstwie czego wypadł mu chleb z ręki i potoczył się w kałużę błota.

Łobuz spojrzał na mnie i zaryczał przeciągłym płaczem. Nie wiem co go więcej zabolalo — utrata chleba, czy odebrany policzek. Palił mnie wstyd i począłem żałować swego czynu. Czemuż to uderzyłem go — czy mało go jeszcze bieda chłoscze? Ale on przecież ukradł dziewczęciu chleb, jest złodziejem. A może był głodny, może chciało mu się więcej jeszcze jak jeść, a może i dziewczynka była głodna, może — więc...

Odczuwam silny ból głowy. Niepokoję się tem od paru już dni. Niezdolny jestem do myślenia na dłuższą metę. Na »Szkolnej« mijałem parę nocnych hulaków.

Elegancka para — ubrana w wytworne i kosztowne szmaty. Zwłaszcza ona, tęga blondyna o ładnej twarzy i postawie zdradzała

więcej niż dostatek życia. Kosztowne futro, otulające jej pulchne kształty, zdradzało ślady całonocnej biesiady. Obaj byli mocno zawiśni, choć chód jej towarzysza stanowczo więcej był niepewny. Jak dzwon dźwięczał jej melodyjny głos, kiedy jakimś arcyśmiesz-
nym powiedzeniem zdołał jej towarzysz pobudzić ją do śmiechu.

Tak mocno byłem parą tą zajęty, że w pierwszej chwili nie spostrzegłem człowieka, który cichaczem prześlizgnął się przez ulicę. Jedyne kształty jego przypominały człowieka, bo łachmany, które niósł na sobie, niegodne były ludzkiej istoty. Szarą jak popiół w trupiej czaszce twarz, ożywiały tylko para dzikich, jakby gorejących oczu, a cała jego postać drżała od rannego chłodu.

Niepewnym krokiem prześlizgnął się przez ulicę i znikł w najbliższym zaułku. Straciłem go z oczu. Z oddali tylko doleciał mnie odgłos popularnej dziś piosenki, gwizdanej przez jakiegoś lobuza: »Ta noc jest dla tych, którzy bezdomni, ulicą...«

*
*
*

Adolf ma tę wadę wszystkich inteligentów: chciałby imponować. Nie uznaje tego, że skromność jest najlepszą ozdobą człowieka, który świadomy jest swojej wartości. Jest on zanadto pewny siebie i to nawet do tego stopnia, że uważa się za wyrocznie w sprawach, o których nie ma zielonego pojęcia.

Kiedy w toku gorącej dyskusji atakuję jego nieraz zgoła fałszywą tezę — to on niby tarczą zastawia się swoją wiedzą.

Wiedza jego nie może mi zaimponować choćby dlatego, że obok szeregu nieścisłości, jest mocno zarożumiała i do pewnego stopnia nawet egoistyczną. Adolf jest pod pewnym względem dziwolągiem natury. Jest on jeden z tych dziwnych, nie zupełnie zrozumiałych tworów, jakich przyroda potrosze wszystkim obdarza: i talentem i niewytrwałością, miękkością i ślamazarnością i czasowym wybuchem energii. Nad całą tą mieszaniną silnie zakorzeniona jest miłość własna, która jedną ogromną ambicję zaszczepiła w jego duszę.

Mimo, że jesteśmy dwie odrębne natury, tak przeciwległe sobie jak jeden biegun drugiemu, mamy i jednakowe upodobania. Miłość do sztuki jest nam wspólna.

Właśnie ta miłość do sztuki jest tem ogniwem, które nas łączy i czasem z pewną pobłażliwością patrzeć każe na jego wady. Dlaczego to nie biorę go takim właśnie, jakim jest, miast szukać w nim ideału doskonałości człowieczej?

Bo i ja również posiadam szereg szpetnych tych wad człowieka, które u drugiego wydają się tak olbrzymie.

* * *

Czasami zdaje mi się, że oczekuję kogoś, oczekuję coś, coby wpłynąć miało na zmianę mego podłego bytowania. Śledzę każdy krok idący do góry schodami i czekam na tę chwilę, by ten ktoś zapukał do mych drzwi i żeby przewodnik ująłby mnie za rękę i zaprowadził na skraj tego świata, byleby uciec od tego środowiska, w którym się duszę. Dopiero mózg, dobrze jeszcze funkcjonujący, stwierdza absurd podobnych myśli.

A jednak czuję, że coś się stać musi, bo coraz to silniejszym głosem podnosi się we mnie burza. Coraz to większą mocą buntuje się cała moja dusza przeciw jarzmu temu, bo instynktownie czuję, że jest jeszcze coś więcej niż tylko los nieprzyjazny, który zmusza mnie do bytowania w tak nieznośnych warunkach.

Wszystko we mnie gotuje się do tej walki, a z myślami tłukę się w poszukiwaniu tego zła, które jest źródłem naszego nieszczęścia. Każdy nerw, każde tętno mego serca rwie się do tej walki, a w głowie robi mi się coraz widniej:

Tymczasem siedzę nieruchomy i niezdolny do żadnego czynu — zdaje mi się, że przyjdzie pewnie ktoś, który za dotknięciem ręki zbudzi mnie ze snu i wskaże mi drogę, po której mi iść trzeba. Miesiące uchodzą. Wczoraj jeszcze sądziłem, że jestem młody, dziś wiem, że jest inaczej. Te srebrne nitki, snujące się na mych skroniach, te delikatne zmarszczki, przecinające me czoło — są niezawodnym zwiastunem zbliżającej się starości. Lustro, które wzięłem za świadka nie kłamie nigdy. Na zdaniu jego można w zupełności polegać.

Cóż mi więc po tem, że w kalendarzu życiowym wiosnę bodaj przekroczyłem, cóż mi po tem, że liczę dwadzieścia i kilka lat, kiedy jesień wczesna władczo się ukazuje i o niedługiej starości myśleć każe. Wiem, że chwila ta nadejść musi, bo wszystko co życie stwarza, zdąża do pewnego zaniku, ale wpraw, nim chwila ta nadejdzie, chciałbym się upomnąć, o swoje. Chciałbym się upomnąć o prawo do życia, o prawo do szczęścia i o prawo do tego tu świata!

Wiem, że zwyciężyć muszę, nie wiem tylko, czy fatum użyczy mi sił do walki, bo jak ziemia słońcem nieogrzana istnieć nie może, tak człowiek chlebem niekarmiony żyć nie potrafi.

Poznań, w styczniu 1932 r.

Pracownik budowlany
zamieszkały w Poznaniu

Stosownie do wydanej ankiety konkursowej Instytutu Gospodarstwa Społecznego, pragnę poniżej jaknajwierniej odzwierciedlić los mój i mej rodziny, dotkniętych straszną klęską bezrobocia, pragnąc temsamem podzielić los mój z tymi szczęśliwcami, którzy jeszcze pracują, którzy żyją w oczekiwaniu tej klęski, wreszcie z tymi, którzy taką samą klęską dotknięci zostali.

Proszę wybaczyć, że dla utrzymania całokształtu mej poniższej pracy uzasadnię takową na wstępie wiarogodnymi szczegółami z własnego życiorysu własnych przeżyć aż do chwili obecnej.

Pomijając tu wszelkie trudy poniesione dla stworzenia sobie jakiej takiej egzystencji, której nie łatwo było podówczas polakowi pod cudzym zaborem w dodatku sierocie (rodziców utraciłem w 10 roku życia), to jednak z pomocą bożą przez pilność i sprzyjające okoliczności wydoskonałem się w zawodzie dość pożytecznym budowlanej branży z równoczesną wszechstronną rutyną biurową, pracując przez szereg lat w tej branży, nie zaznając nigdy tego poniżenia jakie ostatnio odziedziczyłem.

Mam obecnie lat 43, mam już żonę i pięcioro dzieci w wieku 10—20 lat, wszyscy na utrzymaniu ojca.

Pracowałem bez dnia przerwy (z wyjątkiem czasu wojny od 1914 do 1921 r.) aż do roku 1930, odkąd zostałem bezrobotnym, chociaż znam doskonale swój fach i pragnę duszą całą pracować. Nie posiadam obecnie żadnego majątku ani oszczędności, gdyż posłuszny głosowi zmartwychwstającej Ojczyzny oddałem całe oszczędności 23.000 mk. na pożyczkę państwową, sam poświęcając się służbie w wojsku polskim, gdzie wiernie, w stopniu sierżanta sztabowego spełniałem podówczas twarde obowiązki żołnierza i oby-

watela kochającej Rzeczypospolitej, nie dbając niestety jak wielu innych o chwycenie dla siebie łatwej podówczas posady w życiu cywilnym, ufny we własne siły i chęci, ufny, że Ojczyzna wynagrodzi później trudy dla niej poniesione.

Dobiegają 2 lata jak bezowocnie szukam upragnionej pracy. Szukam jej zawsze i wszędzie, w miejscu i poza miejscem zamieszkania, nie pomijam żadnej okazji, żadnego dnia, żadnego ogłoszenia wolnych miejsc, szukam jej bezpośrednio osobiście i pisemnie, ufny w zdolności swoje nie umiem uciekać się do protekcji, wszystkie zabiegi pozostały dotąd bezowocne.

Jak ciężkie i upokarzające jest noszenie imienia »bezrobotny« niech posłużą tych kilka skarg, które tu przytoczę nieskłamanie. Wychodząc z domu opuszczam oczy jak zbrodniarz, wszędzie widząc się upośledzonym. Idąc ulicą wydaje mi się, że nie dorównywałbym zwykłemu obywatelowi, że każdy wskazuje na mnie palcem, usuwam się instynktownie każdemu z drogi, patrząc ze łzami w oczach na tych szczęśliwych, którzy codziennie jeszcze mogą śpieszyć do pracy lub z niej wracać bez troski o chleb jutrzejszy.

Dawniejsi przyjaciele i znajomi z lepszych czasów nie okazały już mi tego co dawniej przywiązania, jakoś obojętniej podają dłoń przy spotkaniu, nie poczęstują już papierosem, a oczy ich jakby mówiły: »tyś nie wart tego, ty nie pracujesz«, a co gorsza nawet własna żona w domu dokucza, przypisując nędzę swoją memu jakoby niedołęstwu.

Jeżeli gdziekolwiek zdobywam kilka groszy, obracam takowy wyłącznie na papier listowy i znaczki pocztowe, użytkowane w poszukiwaniu pracy co ma zwykle wynik ten sam: zajęte, brak wakanów, redukcja personelu, ewentualnie później i t. p. pocieszenia, chociaż ofiaruję swoją pracę za 1/4 dawniejszego wynagrodzenia.

Szczęśliwi pracujący, wrywa się niejednokrotnie z zbolałej mej duszy kiedy się czuje i widzi najgorsze skutki mego mimowolnego próżniactwa, ostateczną nędzę. Jako uczestnik wojny światowej widziałem nieraz i bolałem nad niedolą głodnych i ograbianych rodzin okupowanych terenów, słodząc im w miarę możliwości życie pomocą w środkach żywności czy pociechą. Cierpiełem nieraz samą głód i chłód wojenny, jednak z nadzieją rychłego polepszenia i pewnej zmiany, lecz monotonia i ból, jaki sprawia głód dzieci bezrobotnego ani w części temu nie dorówna.

Może grzeszę, lecz przyznać muszę szczerze, że mimowoli żałuję, że z piekła tej wielkiej wojny wyszedłem cało, skazany teraz

na gorsze od wojny katusze t. j. patrzeć i czuć głód i nędzę własną i rodziny. Co znaczy słowo »bezrobotny«? Trzebaby nie mieć serca, oczu i uszu, aby nie czuć, nie widzieć i nie słyszeć cichych skarg głodnych, zziębniętych i wszystkiego potrzebujących dzieci. Z bólem serca patrzeć codziennie bez widoków rychłej poprawy, jak najmłodsze bez kawałka chleba, bez ciepłej strawy pójść muszą do szkoły, jak po powrocie oczami szukają jakiej strawy, a widząc pustą i zimną kotłinę, z wyrzutem spojrzą mi w oczy, lub kiedy po całodziennej tułaczce za pracą wieczorem te same oczy patrzą bez słowa na moją twarz, aby z niej wyczytać dla nich lepszą dolę, nie pytają, nie śmiają, moje milczenie wystarczy im za odpowiedź.

Położenie w jakim się znajduję zrobiło ze mnie grób, nie umiem mówić, gdy ich nie mogę pocieszyć, a milczenie to mówi im wszystko, wszystko co czuć może tylko nieszczęśliwy ojciec, patrzący na blade i wychudłe twarze swych najbliższych, na zziębnięte i przemoczone nogi, z których spadają resztki obuwia, jak sami ratują takowe np. obwiązaniem sznurkiem odpadającej podeszwy, lub obcasu, owijaniem w szmaty nóg przed wdzianiem podartych pończoch, a co będzie gdy to wszystko całkiem z nich spadnie? Na myśl tę w głowie szumi, mózg się rozpała, serce pęka, człowiek uciekłby na same krańce ziemi od tej przeklętej zmory, która trapi w dzień i noc, a którą tak lekceważą szczęśliwi nazywają »bezrobociem«. Ten wróg, ta zmora, bezrobocie, sprawia, że niema w domu najniezbędniejszej nawet rzeczy. Niema chleba ni tłuszczu, niema soli, mąki, mydła, kawy ani światła, niema węgla, drzewa, ani nawet zapalki, niema bielizny, obuwia, odzieży, choć mróz na dworze, niema ciepła rodzinnego, słowa pocieszenia, niema niedzieli ani święta, niema pieśni ani miłości bliźniego i Ojczyzny, niema odmiany w życiu, w smaku, w humorze, niema powabu na piękno, niema oceny własnego życia, własnych wyczynów, niema nawet siły na modlitwę. Wróg bezrobocie sprawia, że ze wstrętem patrzy się na bogate wystawy sklepowe, że czuje się pogardę dla ludzi szczęśliwych, czuje się być gorszym od innych, poniżonym, bezużytecznym wyrzutkiem społeczeństwa, że przeklina własne swoje dobre czyny i zasługi, że staje się mimowolnym narzędziem szatana.

Wszyscy szczęśliwi, którzy pracujecie, pracujecie szczerze, wiernie i wytrwale. Ogrom nieszczęścia, które w postaci bezrobocia na was spaść może zrozumiecie dopiero wtenczas, kiedy znajdziecie się w mojem położeniu. Pracując nic nie myślcie, tylko o własnych korzyściach, pracujecie owocnie i wydajnie swym pracodawcom, aby

i oni istnieć mogli, bo tem samem zbudujecie sobie przyszłość i trwałą egzystencję, pracą uczciwą zbudujecie sobie prawo równych obywateli, szczęśliwych ojców i mężów. Szanujcie swą pracę i kochajcie ją, strzeżcie jej jak oka w głowie, bo to wasz największy skarb, wasza praca, to życie wasze, to zdrowie duchowe i cielesne.

Wy wszyscy zaś ofiarodawcy, filantropi i współczujący, nie gardźcie nieszczęśliwym bezrobotnym, bo nie jest to lekkim godzinami wyczekiwać w największym upokorzeniu na łyżkę lichej strawy jalmuźniczej.

Dając jakikolwiek datek takieniu nieszczęśliwemu jak ja, nie szemrajcie, bo może i sami kiedyś uwierzycie słowom naszego wieszczka że:

Jak gorzko chleb smakuje, gdy go wzgarda ofiaruje,

Każdy kąsek lzę wyciska, gdy złość w oczach dawcy błyska.

Wszyscy. zaś pracodawcy, którzy uszczęśliwić możecie nieszczęśliwych, bądźcie wyrozumiali w wyborze pracowników. Nie kierujcie się wskazówkami danemi przez ich znajomych (protekcje), przez które najczęściej sami stajecie się ofiarami. Uwzględniajcie przede wszystkim tych, którzy naj dłużej już dotknięci są tą straszną klęską — oni, doświadczeni wartością posiadania pracy, najlepsze oddadzą wam usługi.

Osądźcie sami wartość danego pracownika zanim wydalicie go z pracy przez najczęściej niesłuszne oskarżenia zaufanych przodowników, co najczęściej się zdarza ze względów osobistych. Nie wstrzymujcie im zasłużonego wynagrodzenia, licząc na wygrane w sądach, bo pozbawiony chleba nie może liczyć na poparcie drogo opłacanych zastępców procesowych, którzy wam za judaszowskie grosze niestety swoje prawdy dowiodą.

Was wszystkich, tą plagą bezrobocia dotkniętych, błagam i zaklinam — wytrwajcie. Nie traćcie nadziei w jaśniejsze jutro, ucicie się cierpieć bez skargi. Nie upadajcie na duchu chociaż ciałem chorujecie, uzbrojeni w ufność i szczere chęci, doczekamy się przecież lepszej przyszłości. Łączmy nasze modły raczej o błogosławieństwo, jedność, zgodę i polepszenie stosunków w naszej Ojczyźnie, a do błagań dołączajmy »od powietrza, wojny i bezrobocia zachowaj nas Panie«!

Poznań, 29 grudnia 1931 r.

Robotnik niewykwalifikowany
zamieszkały w Szymborzu

W załączeniu przesyłam P. T. receptis »Pamiętnik bezrobotnego« po myśli ogłoszenia w Ilustrowanym Kurjerze Codziennym Nr. 356 z dnia 25 grudnia 1931 roku. Jest to garść nagiej prawdy z mojego życia, które zniweczył kryzys gospodarczy, a szczególnie bezrobocie. Przejścia te są faktami autentycznymi, na które niejednokrotnie mogę służyć dowodami.

Przesyłam zatem załączony receptis w najlepszej nadziei, że sprawiedliwy Ich sąd przyzna mi jedną z nagród, gdyż jest to łańcuch cierpień, w którym rzadko przyświeca promień słońca-szczęścia. Całość tę (w chęci większego zysku) mógłbym ustroić w straszniejszym świetle, gdyż jest to materiał na to podobny. Kierowałem się jednak wątpliwością wiary Ich, a drugie, chętnie ustąpię miejsca pierwszeństwa większej nędzy, także nagiej prawdzie, która na wiarę zasługiwać będzie — pozostawię to jednak Ich sądowi do rozstrzygnięcia, w którego rozstrzygnięcie (sprawiedliwość) wierzyć będę bez najmniejszej sprawiedliwości uchybienia.

Wypada mi jeszcze nadmienić, iż nie chciałem się więcej napawać goryczą tych przeżyć, z powodu którego ograniczyłem się w pisaniu. Również i z powodu warunków, w których pisałem.

Że znajduję się w nader trudnym położeniu niech posłuży choćby i ten fakt, że na znaczki dla wysłania czekałem cały tydzień, aż wreszcie żona wybawiła mnie z kłopotu, przysyłając mi list i znaczki na odpowiedź, które użyję do ofrankowania niniejszego receptisu.

Grzechy i błędy człowieka są zawsze te same, a większe, gdy się z nich nie uczymy i upadamy.

Rzeka Drwęca lśniła srebrnym gdyby płynem, który spokojnie szemrał swą pieśń wędrowną, ulatując ku zachodowi. Fale teźże unosiły niejedno westchnienie, niejedną skargę ludu pracy, który z każdym dniem, z zorzami porannymi, rozpoczyna tę walkę o byt i egzystencję o »lepsze jutro«.

Cały świat powojenny, cała Polska szumiała od warkotu motorów, silników i maszyn charczących ogromnem ciśnieniem pary — zastępując z zastraszającą szybkością tysiące rąk ludzkich.

Kominy fabryk, tartaków, cegielń, hut, kopalń i tysiąca warsztatów, dymiło bez przerw, wysyłając czad w przestworza. Czad ten po latach zaczyna opadać, wolno a systematycznie zatruwać i dusić ludzkość, która dyszy dwoma miliardami płuc, czekając na lepsze.

Czeka na lepsze... gdyż od najmniejszej stodółki do ogromnych rozmiarów magazynów — od najmniejszego kupca poprzez składy do najrozleglejszych i najgłębszych złożów okopowizny i wszelkich zbóż, które ziemia rodzi, a pod którym to ciężarem tysięcy kwintali i milionów tonn te stodółki i magazyny w posiadach trzeszczą, ludzkość czeka na lepsze... czeka i topi w bezdennych oceanach — i czeka.

»Słabszy ulega silniejszemu« tak też ulegały i ulegają warsztaty, tak fabryki zmechanizowanym olbrzymom, które już także dyszą. Wszystko oddycha ciężko, upadają, to znów się zrywa, by po chwili legnąć na dobre.

Kryzys ekonomiczny w parze z bezrobociem stają okrakami na każdej drodze przedsięwzięcia, zakładają kleszcze i duszą wszystko spotkane po drodze

...a my czekamy.

Już z najmłodszych lat, gdy tylko mogę sobie przypomnieć, wówczas już rodzice walczyli o byt, w lepszych czasach. Wówczas jedynie gdy rodzina była choć nie tak liczna, to jednak drobna (już wówczas w 1910 r. było nas czworo) — łatwiej, a nawet możliwie było uzyskać pracę — przypominam sobie, iż dobrze nam było dzieciom. Do roku 1914 rodzina powiększyła się do sześciorga i wówczas, choć

w domu nie było niedostatku, to jednak najmniej zaznałem rozkoszy życiowej. Mimo mojej pamięci (jako dziecko i obecnie) nie będę ówczesnych wydarzeń opisywać, a jedynie swoje, od roku siedemnastego życia (1922 r.), gdy zmuszony byłem sam na siebie pracować.

Rok 1922-gi, w którym to ukończyłem 17 lat życia (ur. 17 stycznia 1905 r.) był pod względem szczęścia osobistego najlepszym dla mnie.

Rychłą wiosną (ziemia jeszcze nie roztajała) a już rozpoczęły się prace ziemne przy budowie kolei wąskotorowej Ostrowite — Mszano — Brodnica, przy których to pracach, poraz pierwszy od zakończenia wojny, szukało setki ludzi, swój codzienny kawałek chleba.

Jako młodzieniec siedemnastoletni, by zmniejszyć rodzicom troski, zdołałem uzyskać u jednego z majstrów pracę i mimo trudów i drogi jaką na miejsce pracy musiałem odbywać, przepracowałem do późnej jesieni. Praca miała trwać dziennie osiem godzin, jednak często trwała dziesięć, a z drogą w obie strony przeszło dwanaście.

Nie było to jednak dla mnie trudne wobec tego, że i wówczas trudno było o pracę, powtóre, iż wreszcie ziściły się moje nadzieje, pomóc rodzicom, a największa: chęć dalszego kształcenia się.

Krótkie jesienne dni schodzą. W szarem życiu codziennem mija zima, czas najsmutniejszy dla robotnika, który w beczynnem wyczekiwaniu, czeka znów wiosny, wiosny, która pobudzi znów wszelkie stworzenia do nowego życia — wiosny, która da jemu znów pracę.

Lecz wiosna już na schyłku, zeszła na doraźnych pracach kilkudniowych. Wreszcie 13 czerwca Wydział Powiatowy w porozumieniu z p. K. właścicielem folwarku P. (w powiecie brodnickim), oddaje pracę firmie, by rozpocząć budowę szosy około 3 klm. długości — i tam ostatecznie znów otrzymuję pracę.

Powyższe uganiania powtarzają się już wówczas po małym kryzysie (1920 r.) szczególnie w małych miastach, a z biegiem lat i w większych, a nawet w ośrodkach przemysłowych. Kres powyższym uganianiom kładzie karta powołania. Do tego czasu zabiegi o pracę na czas dłuższy lub stałą spełżyły na niczem. Ile to razy w roku zabiegałem o pracę, przejdę tu wspomnieniem tylko.

W chwili otrzymania karty powołania nie miałem pracy, a był to piękny sierpień 1926 r. Zdwoiłem czas i pracę nad swoim wy-

kształceniem w nadziei pozostania przy wojsku, lub po odbytej służbie przy większych wiadomościach wiedzy ogólnej i ewent. zdolnościach łatwiej uzyskam stałą pracę.

Przeszedł czas służby wojskowej, a z nim pierzchły nadzieje pozostania przy wojsku.

Dnia 21 marca 1928 r. zostaje zwolniony do Bydgoszczy, tam zamierzałem się osiedlić na stałe. Chwilami żałowałem kroku pozostania w tak wielkim mieście, gdyż do czerwca nie zdołałem odnaleźć stałej pracy. Jako rzymski katolik ufałem w miłosierdzie Boga (chwilami wówczas już wątpiłem), że w końcu przy tych chęciach i zdolnościach zdołam uzyskać tak upragniony zarobek przez uczciwą pracę. Zarobki moje, z których żyję są coraz mniejsze i większą rzadkością (utrzymuję się z rąbania drzewa, noszenia węgla, największy zarobek, z którego opłacam pokój, to wojażerowanie dla Zakładów Ceramicznych w Bydgoszczy). Kilkakrotnie czuję głód, zwątpienie w pomoc Boga wstępuje coraz więcej we mnie.

Przy końcu sierpnia uzyskuję jednak pracę u gospodarza, w którego domu zamieszkuję jako sublokator — przy budowie nowego dwupiętrowego domu, który stawia przy 3-iej śluzie. Niedostatek, również przejście na robotnika budowlanego, nie dają długo na siebie czekać — upadam chwilami pod ciężarem 18-tu cegieł lub (szybra) wapna.

Pracuję sześć tygodni. W pocie czoła oddaję zaległy czynsz za mieszkanie, również zebrałem małą oszczędność, z którą mam nadzieję wyżyć przez zimę (z 45 złotymi), która nie daje na siebie czekać.

Mijają święta Bożego Narodzenia, mija Nowy Rok, z trwogą myślę o nadchodzących tęgich mrozach. Za mieszkanie znów zaczynam zalegać, to jednak mniejsza, wobec głodu, a jeszcze gorsze do ubrania i obuwia.

W pomoc, z pewnych względów, przychodzi mi Państwo R. swatając mi Marję, jedyną córkę wdowy, która umiera w Zielone Świątki. Prawdę mówiąc, ksiądz połączył »Biedę z Nędzą«.

Przez cały rok 1929 pracuję zaledwie ośm tygodni. Za przyprawą żony ruszyłem krótko przed rozpoczęciem kampanji cukrowniczej na Kujawy, by tu poszukać pracy. Udało mi się. Przepracowałem do samych świąt w cukrowni * * *, w wigilję Bożego Narodzenia wracam do rodziny (w listopadzie żona porodziła bliźnięta) i resztę zimy przeżyliśmy ze skromnych oszczędności.

Gdy nastał rok 1930 — parzysty, byłem pełen nadziei. Na wiosnę żyjemy prawie że tylko ziemniakami. Pracy nie mam, oszczędności wyczerpują się, do schludnej izdebki zakrada się nę-

dza. Głód jest coraz częstszym gościem. W maju ukradkiem przed żoną sprzedaję niektóre rzeczy za bezcen, by za wszelką cenę uchronić dzieci i żonę od śmierci głodowej. W końcu już (w czerwcu) chodzę i żebrzę. Żona domyśla się skąd przynoszę parę groszy na mleko, a również kawałki chleba — przez co zalewa się łzami. Wiara w Boga poczyna się chwiać i u żony.

Nadchodzi lipiec, pracy ani zarobku (oprócz żebrania) niema. Żona wychodzi do pracy (jako praczka) od niemowląt. Pozostaję sam w domu z dwojgą półrocznych dzieci, które cierpią głód i płaczą, ja odchodzę od zmysłów, nie mogę zaspokoić głodnych dzieci. Żona przychodzi wieczorem spracowana, przynosząc część swojego pożywienia i dzieli się ze mną. Pieniądze zarobione postanawiamy nie wydawać, pozostawiając dla dzieci na zakup mleka.

Widzę miłość żony do mnie, widzę i tę miłość matczyną do dzieci, przez nędzę, przez biedę kocha tembardziej.

Głód i bezczynność są złymi doradcami... myślę, — żona gdyby odgadywała te myśli. Za wszelką cenę odwodzi mnie od tych. Stara się i znosi bieliznę do prania, z jedno-pokojowego mieszkania staje się pralnia. Ja często wychodzę, lecz żebrać wstydzę się, upadam fizycznie i duchowo. Pracy tak z Urzędu Pośrednictwa Pracy, jak również sam — nie mogę znaleźć. Żyjemy z zarobku żony, czekamy w nadziei, że dostanę znów pracę podczas kampanji cukrowniczej. W sierpniu (wówczas pomagałem żonie przy praniu) żona zarabia tyle, że możemy wyżyć. Los jednak chce inaczej.

Dnia 9 sierpnia, w sobotę umiera jedno z dzieci na dyfteryt, a w niedzielę rano drugie. Helenka (były dwie dziewczynki, pierwsza Marja). W sobotę do południa dzieci są jeszcze żwawe i bawią się — wiem, że żona mnie pomyśliwa (do dziś nie zdołałem ją o skutkach tej choroby przekonać). Rozpaczy żony nie zdołam tu opisać.

Po pogrzebie mało rozmawiamy, harmonja małżeńska się psuje. Postanawiamy sprzedać całą chudobę i ona iść w służbę, ja na kampanję (niespełna dwa lata pożycia małżeńskiego).

Tak się stało.

Gdy byłem już w drodze (pieszo) do Inowrocławia, niespodzianie otrzymuję pracę przy budowie kolei Herby Nowe — Gdynia. Zapóźno już było by wrócić do własnego mieszkania — zajmuję więc wspólny barak z innymi kolegami pracy i pracuję mimo mrozów aż do 30 stycznia 1931 r. Przez ten czas z żoną często się spotykamy (w wigilję świąt Bożego Narodzenia w południe, w drugie święto jesteśmy wspólnie przez cały wieczór).

Zarobek nie był wielki, jednak zdołałem się przyodziać i żyć przez cały czas pracy.

Dnia 16 stycznia 1931 r. przyznano mi zasiłek z Funduszu Bezrobocia, z którego żyję i mieszkam aż do połowy kwietnia i wówczas zdecydowałem się (po próbach w Bydgoszczy, również za pośrednictwem państwa, u których służy żona) — maszerować do Tczewa, by stamtąd koleją do Gdyni.

W drodze do Tczewa nie śpieszyłem zbyt. Było dość ciepło, z tobołkiem pod pachą maszerowałem, by nie stracić dużo pieniędzy (w czasie wymarszu miałem 22 zł.). W drodze gdy prosiłem o nocleg u sołtysów, otrzymywałem czasami wyżywienie bezpłatnie (zresztą gdy kiedykolwiek choćby w Bydgoszczy zebrałem, to tylko tak długo dokąd nie zaspokoilem głodu lub nie zebrałem 14 groszy na mleko, gdy się to stało sumienie nie dało mi z tego procederu robić — wstydzilem się i musiałem zaprzestać), tak gdy 9 maja, wieczorem przybyłem do Gdyni, miałem wszystkiego 15,60 zł.

Rzęsisty deszcz, który zaczął już od Orłowa padać, nie przesłał gdy wysiadłem w Gdyni. Była to sobota, meldować się nie miałem zamiaru, więc pozostałem na dworcu, tak samo z niedzieli na poniedziałek. O 24-ej kontrolowano bilety, a o 2-ej zamykano dworzec i wówczas lokatorzy podobni do mnie (było ich codziennie) musieli opuścić ten aż do 6-ej rano.

Po wymaszerowaniu z dworca aż do 6-ej przespacerowałem w chłodach nocy, później gdy już piekarnie otwierano kupiłem kawałek chleba i spożyłem. To samo zrobiłem w nocy z niedzieli na poniedziałek, lecz za dnia upatrywałem sobie garaż na ulicy Andrzeja (łączy ulicę Starowiejską i 10 Lutego) i tam o północy po kontroli na dworcu zaszedłem i przenocowałem.

Śpię półsnem... w strachu.

Chłody nocne i złe odżywianie nie dają na skutki długo czekać. Czuję ogólne zmęczenie — słabość fizyczną. Nad ranem o w pół do szóstej opuściłem autobus, udałem się do miasta, kupiłem kawałek wędliny i chleba i u jednego robotnika, który wrócił o 7-ej z pracy, poprosiłem trochę czarnej kawy, która czyniła mi dobrze (tam się także unylem), by później aż do 2-giej po poł. chodzić, prosić i szukać tej długo upragnionej pracy, bez skutku. Znow zaszedłem na dworzec, z pieniędzy mam jeszcze 12 zł., dowiaduję się o hotelu robotniczym, 70 gr. za łóżko, skorzystałem kładąc się o ósmej. Nazajutrz spożywam znow moje śniadanie i obiad na łące, wędrówki trwają. Przyszło mi na myśl, by pisać prośby do niektórych firm,

lecz nie mam adresu, czekam więc i chodzę. Miejsce moje na spoczynek nocny to autobus w garażu. Do jedzenia nie mam apetytu, często jadam swój kawałek chleba i wędliny dopiero na obiad. Gdy przespałem w autobusie cztery czy pięć nocy, myślałem, że piątą czy szóstą niemożliwie — lecz spałem.

Chodziłem często przez cały dzień (choć nie byłem rejestrowany w P. U. P. P.), czekałem, jeden dzień byłem do południa w mieście, a po południu w porcie i tak na zmianę. Oszczędności topniały.

W poniedziałek 18 maja posiadam zaledwie dwa złote. Spotkałem dawnego znajomego, zabiera mnie na noc do siebie — mówiliśmy długo — radził mi w końcu opuścić Gdynię (może nawet słusznie), gdyż niemożliwie, bym otrzymał pracę. Nad ranem wyszliśmy wspólnie (on do pracy), ja do portu, przy kiosku widzę p. G. kasjera Warsz. Towarzystwa Transportowego — proszę, błagam. Co mógł, zrobił. Wysłał mnie do formana Ł., który bez kartki nie chciał mnie przyjmować. Po południu wracam do p. G., otrzymuję kartkę i o 23-ej dnia 23 maja staję się robotnikiem portowym, wyładowując od początku aż do ostatniej tonny (6.500 tonn) »Benvenue«, statek angielski. Dostaję się na sztapel (w magazynie nosić i układać przywiezione worki z ryżem niełuszczone) i pracuję do 7-ej rano. Ostatnie dwie godziny nie mogę już worka 100 klg. unieść ani kroku, plecy, a również nogi uginają się, oddech w piersiach zapiera mi, szybkie oddychanie uniemożliwia mi brać worek. Muszę wytrwać, gdyż jutro nie zostałbym przyjęty. Widzą to koledzy i opuszczają mnie w kolejce, wypocząłem i znów zaczynam, lecz ostatnie minuty wolno uchodzą. Krew z nosa (i z ust poczułem) zatrzymuje mi pracę w ostatnich minutach przed siódmą, przepracowałem.

Po pracy, ostatnim wysiłkiem, przychodzę do mieszkania znajomego, gospodyni wzbrania mi wejść, wychodzę na Aleje Wolności, tam na łące wypoczywałem do południa. Mam jeszcze 60 gr., kupuję za 30 gr. chleba i kiełbasy, zaspokoilem głód, więc znów się położyłem na łące i teraz zasnąłem. Że byłem na drugiej zmianie, która miała dziś o trzeciej rozpocząć, przebudziłem się mimo zmęczenia na czas. Forman (majster) widział zapewne skutki ostatniej nocy, nie przyjął mnie. Że znów odczuwam głód, kupuję za ostatnie 30 gr. tę samą porcję i tak czekam do 23-ej, może wówczas mnie przyjmie.

Tak się ucieszyłem, że nie czułem zmęczenia, przyjął mnie, dostałem nawet nieco lżejszą pracę (dowożenie od okrętu do magazynu na wózku dwukołowym 200 klg.). Upragniona siódma dziś

prędzej jakby nadeszła, jeden z kolegów poczęstował mnie kawą, a i kawałkiem chleba i zaprowadził do siebie, gdzie przespałem na ławce do południa. Spaniem bym tego nie mógł nazywać, po tylu nocach i takich trudach, w dodatku pchły budziły mnie co kilka minut, jednak byłem w domu.

W południe J. (tak się nazywał kolega), przyniósł chleba, kiełbasy i kawy, gdyśmy się podżywili, zaszliśmy do gospodarza celem zgody. Cztery złote tygodniowo na zbiteni z desek łóżku i sienniku ze starą słomą, bez pościeli. Pchły, a później i pluskwy uniemożliwiały jakikolwiek spoczynek. Do czterech złotych i pokoju mogłem korzystać przez cały dzień z kotła kawy (u p. G. na Grabówku kwaterowało 23 robotników), a również do soboty (do wypłaty) z kredytem.

Przy wyładowywaniu ryżu z »Benvenue« przepracowałem z przerwami 5 zmian, zapłaciłem zaległości, lecz byłem znów bez pracy i z trwogą myślałem o przyszłych dniach. By uniknąć głodu, a również nocowania pod gołem niebem — codziennie jestem w porcie, na każdą zmianę. Dni schodzą. Przy końcu czerwca przypłynął znów ryżowiec, wyładowanie jego otrzymuje inna firma. Mimo zabiegów nie dostałem się do pracy. Warszawskie Towarzystwo Transportowe miało wyładować nawozy sztuczne (tomasyne), dostałem się tam i pracuję dwie zmiany. Bezpośrednio po tomasynie W. T. T. (Wartraus) otrzymuje wyładowanie trzeciego ryżowca (85.000 t. i tu także pracuję dwie zmiany (po 8 godzin), lecz to wszystko. Na każdy okręt, który dobija do portu czeka 1000 — 2000 ludzi, a potrzeba 100 — 120, dostają się tylko stare wygi portowe. Znów pozostaję bez pracy, zachodzę i do P. U. P. P. (meldowałem się w poniedziałek 22 czerwca), wysyłam prośby — wszystko bez skutku, odpowiedzi cechuje jeden wyraz »kryzys«.

Zalegam z zapłatą mieszkania, również trzech bochenków chleba. Z żoną zamieniliśmy jeden list, myślę o małym zarobku, aby przejechać przez W. M. Gdańsk — niemożliwie, choć zarobię kilka groszy przez małe przysługi, głód, który cierpię nie daje zaoszczędzić grosza, również trzeba zmienić bieliznę.

Z 23 lokatorów u p. G. pozostaje szesnastu. Gospodarz więc pilnuje, by otrzymał przy najbliższej okazji swoje należności.

Koledzy, którzy dostają jeszcze chleb i smalec na kredyt (p. G. ma kolonjalkę), chowają ten. Z drżącą ręką (gdy poszukiwałem) kraję jedną skibkę... drugą...

Wychodzę codziennie, gdy wracam słucham tylko czy gospodarz nie idzie — opadam zupełnie na duchu, również fizycznie.

Pewnej soboty wracam nową ulicą (przebudowana z szosy Gdańskiej wówczas nie zupełnie jeszcze ukończona) około jedenastej, przedemną cicho, za mną tętno życia Gdyni. Idę śpiesznie... chłodno mi. Przedemną wyłania się sylwetka człowieka, zbliżam się coraz bardziej... idzie przede mną z teką w rękę — błysnęła mi szalona myśl — patrzę w lewo... w prawo, w tył, szukam bezwiednie (sam nie wiem czego) narzędzia... w około mnie cicho zupełnie, szukam i słucham zgrzyt żwiru pod nogami jego, budzę się, siadam na leżącym przy ulicy drzewie, idący odchodzi... głosy wewnętrzne nie dają mi spokoju; — odchodzi... raz mu kamieniem w głowę... nikt nie widzi! Głupi — to zbrodnia! Nie czyń tego! — Raz mu dasz, teka twoja...

Około pierwszej po północy podnoszę się i idę do »domu«, kładę się i śpię. Sen niespokojny, budzę się co chwilę — myśli nie dają mi głęboko zasnąć. Postanawiam opuścić mieszkanie, również i Gdynię. Sam jednak nie wiem gdzie się udać. Zrywam się z leżenia, o szóstej jestem już w porcie, spokojnie tam, przypomina mi się, że dziś niedziela — wracam na Grabówek, kładę się w lesie i próbuję zasnąć. Myśli i głód odbierają mi sen. Po południu przechodzą w lesie pojedyncze pary również i mniejsze towarzystwa wesołe i dobrze ubrane. W tysiącach (złych i dobrych) myśli przeleżałem aż się ściemniło, wracam na swój pokój. Niema nikogo (spało nas w trzech) ...szukam chleba... niestety. Rzucam się na leżenie, usnąłem, przed siódmą jestem już w porcie — dość spokojnie (wyładowują tylko łom, stali robotnicy). Głód ciągnie mnie do miasta. W ustach czuję gorzką gdyby żółć, ślinę, idę wolno. Trafiłem Górskiego (także bez pracy kołodziej, ostatnio pracował jako cieśla), — mam kawał chleba, wejdź tu do rzeźnika i poproś o kawałek kiełbasy, — wchodzę, w interesie brak mi słów, ekspedjentka kraje kawałek czarnej i kładzie mi, zabieram i wychodzę. Łzy gdybym połykał stają mi w krtani. Naprzeciw poczty, w lasku dzielimy się i spożywamy ...czuję większy głód, po znowu powtarzamy (ja do piekarza) — podjedliśmy. (Wypada mi tu nadmienić, że uproszony chleb zjadłem ze łzami w oczach, że jednak często (już w Bydgoszczy) spotkałem się z wymową ludzi, a drugie z powodu charakteru własnego, nie posiadałem odwagi zebrać (prosić), wolałem więc tak jak i dziś niejednokrotnie głodem przymierać).

Chodzimy cały dzień, około 21-ej Górski zwierza mi się, że niema gdzie spać, zapoznają go z garażem i rozłączamy się, wracam na Grabówek i przyrzekam sobie, że to ostatnia noc.

Nad ranem (sam tylko spałem) zbieram swoją drugą zmianę bielizny, grzebień, atrament i obsadkę i wychodzę, idę przez port (jaki byłbym szczęśliwy dostać tak upragnioną pracę), wszystko tak samo jak i w inne dni, jedynie ładują bekony, przystaję — daremnie.

Idę do miasta, godzina 10-ta, głód nie przestaje dokuczać, proszę kawałek chleba, dostaję skibkę... wchodzę do Post. Policji Państwowej — mam się stawić o 1-szej na dworcu, czynię to wszystko machinalnie gdyby...

— Opieka Społeczna dała panu pieniądze do Inowrocławia (na bilet) — tłumaczy posterunkowy — pociąg odchodzi o 13.40, niech pan idzie ze mną, kupimy bilet.

Idziemy, bilet na prośbę moją kupuje (posterunkowy) do Bydgoszczy tylko, resztę, 1.60 zł. zwraca mi, idę na peron... jadę!

Po przyjeździe do Bydgoszczy odwiedzam czempredzej żonę. Jestem obdarty i nędzny, żona na widok mój płacze. Przebywam u żony dwa dni (bez wiedzy państwa), dłużej niemożliwe. Żona daje mi siedem złotych, żegnamy się, idę do Inowrocławia. (W Bydgoszczy dowiaduję się o pracach w Inowrocławiu). W niedzielę 23 sierpnia przed południem przychodzę (przeszedłem przez miasto) na ul. Poznańską, tu zmęczony ległem w przydrożnym rowie, by wypocząć, powieki kleją się do snu, obmyślam co zrobić, gdy nie otrzymam pracy, nie miałem też najmniejszej nadziei. Podnoszę się, by wrócić do miasta i kupić kilka bułek... później idę na inne miejsce, tam śpię do popołudnia, chłodno mi, zrywam się — zaczyna się ściemniać. Błąkam po ulicach, siadam na ławce w małym parku przy Dworcowej. Około 22-ej kładę się pod krzewami. Zimno mi, podnoszę się i znów rozpoczynam wędrówkę — szukam bramy otwartej, znajduję przy ul. Dworcowej. Z poniedziałku na wtorek kupuję bilet peronowy, tam w poczekalni siedząc przespałem.

We wtorek o ósmej jestem już na t. zw. »Trójkacie« (Szymborze-Rabin, budowa magistrali węglowej) — niestety. Idę więc do Szymborza, w drodze trafiłem pewnego młodzieńca (objaśnia mnie), idę więc do Kierownika, który rozmawia z inżynierem. Przy magazynie czeka około 50 robotników. Kierownik potrzebuje drugiej zmiany (chwilowo około 20 robotników) — wybiera...

— Jutro w południe zgłosicie się tu do mnie z narzędziami (od środy pracowano na dwie zmiany od 4 — 12 i 12 — 8 wiecz.).

Wracam do miasta gdyby wiatrem niesiony, szczęśliwy. Około 16-ej mam już pokój, (łóżko). Z tego, że tak szczęśliwie mi się udało, również, że tak długo nie spałem w pościeli, kładę się o 19-ej i śpię aż do rana. Mam jeszcze sześć złotych, kupuję chleb i trochę smalcu (kawę rano i wieczorem herbatę otrzymuję od gospodyni — 20 zł. miesięcznie, śpi nas dwóch), później po śniadaniu kupuję sobie narzędzia (szpadel i łopate) pozostaje mi 10 gr. Pracuję jeden tydzień od południa, drugi od 4-ej rano, zarabiam 4 zł. dziennie. Praca bardzo ciężka (zeschniętą glinę ładujemy na wózki). Częste deszcze nie dają całego tygodnia przepracować, (wypłata co dwa tygodnie), przez co zmniejsza się zarobek jeszcze z tego powodu. Lecz niechby było jak chce, pracuję. Nagle 31 października prace się kończą, pomiędzy innymi zostaję także zwolniony, nie mam żadnych oszczędności (musiałem sobie kupić trzewiki, również spodnie do pracy), z powodu myśli »co dalej będzie« — wydaje mi się, że jestem bliski obłądu. Po zwolnieniu 1 listopada chodzę po całym odcinku XXI — dostaję 3 listopada jeszcze pracę, lecz tylko 9 dni i zarobiłem 12.60 zł. Znów chodzę—znów różne myśli dobre i złe. Zupelnie złamany idę bezwiednie w mroźny dzień listopadowy do Rębina — prosiłem majstra — trudno — tłumaczy — wiem, że jest źle, lecz dziś lub jutro także kończę. Idę więc dalej, postanawiam w mętnych myślach popełnić samobójstwo (rzucić się pod pociąg). Siadam w pobliżu toru, czekam, jeszcze jasno (15.30). Zimno mi, wstaję, podchodzę pod tor. Ściemnia się... słyszę kroki i idę im naprzeciw. Trafiam trzech mężczyzn, przystają i patrzą mi zupełnie zbliska w twarz.

— Sam jesteś?

— Sam!

— To pójdź z nami — idę (są to t. zw. bokserzy — złodzieje węgla kolejowego), uszliśmy 300 — 400 metrów, zatrzymujemy się... po chwili pociąg przejeżdża, idziemy bliżej toru... w rowie leżą czarne, duże kawały węgla. Zanieś tam, gdzieśmy czekali. Ruszyłem z dwoma dużymi kawałami, które mi jeden z »bokserów« włożył na barki i pod pachę, ruszyłem z trwogą. Doszedłem do miejsca tego przez pole orane (około 100 metrów i 50 klg.), złożyłem i czekam, jakiś głos i siła wstrzymuje mnie, czekam... wreszcie przynoszą i oni (jest ich teraz pięciu) w workach, dysząc ciężko.

Czemu nie przychodzisz? — nie mam worka. Złożyli, po chwili po wypoczynku zaczęli się znów szykować. Zabrałem te dwa kawały — szliśmy do miasta.

Zmęczony i spocony wróciłem do domu, powtarzam tę kąpiel za tydzień — znów zarobiłem 2 zł. 50 gr. i znów żyję tydzień. Trzeci raz byłem już w drodze—głosy wewnętrzne odradzają mi—wróciłem się. Jestem głodny, lecz śpię gdy się położyłem. Naza jutrz o 9-ej jestem w P. U. P. P. (chodzę tam codzień), dowiaduję się, że kuchnia dla bezrobotnych gotuje bezpłatne obiady—zaczynam korzystać.

W grudniu (4-go) proszę gospodynię (gdzie zamieszkałem w Inowrocławiu), by mi poczekała na zaległość — wyprowadzam się. Przeprowadziłem się na wieś do Szymborza (5 klm. od Inowrocławia), zajmuję na poddaszu miejsce (łóżko) i śpię mimo mrozów pod kocem i plandeką i chodzę do miasta codziennie na obiady (mimo błota i słoty), które są mojem całodziennem pożywieniem.

Nadchodzą święta, nic się nie zmienia — wieczorem czytam u gospodarza gazetę (część tylko), widzę ogłoszenie konkursu... skąd papier? (pióro i atrament mam), gdzie pisać, na poddaszu? za zimno... myślę o podróży do Bydgoszczy, do żony... lecz poco — zimno, nie mam płaszcza, a trzewiki również podróży nie przetrzymają — a widoków na lepsze niema... kominy fabryk, tartaków, cegielń etc. coraz mniej dymią — kryzys staje okrzakiem na każdej drodze przedsięwzięcia... czekamy.

Szymborze, dn. 9 stycznia 1932 r.

Pałac
zamieszkały w Parkowie

Niniejszem zaznaczam, że wyczytałem w gazecie: *Nowy Kurjer* z Poznania, wtorek dnia 29 grudnia 1931 r., że Instytut Gospodarstwa Społecznego w Warszawie zamierza przedstawić w odrębnem opracowaniu los bezrobotnego robotnika i w tym celu zwraca się do wszystkich dotkniętych klęską bezrobocia, aby opisali swe położenie i odmalowali zabiegi w walce o zarobek. Otóż jako jeden z tych nieszczęśliwców, postanowiłem opisać mój los i rozmaite zabiegi o pracę w mojem życiu. Urodzony w Słomowie, pow. Oborniki, woj. Poznańskie w roku 1872, mając zaledwie dwa lata, utraciłem ojca z powodu jego śmierci i już od ósmego roku byłem zniewolony sam na się pracować, będąc zaledwie 13 lat wyemigrowałem w r. 1885 wraz z matką do Stanów Zjednoczonych P. A. Tam przez trzy miesiące pracy szukałem i żadnej pracy nie byłem w stanie przez ten czas znaleźć, ponieważ w te czasy krajusa z Europy bardzo tam nienawidzieli, z tego powodu można zrozumieć, w jakim oplakanem stanie przychodziłem po całodziennem szukaniu pracy wieczorem do domu, pokrwawiony, poraniony, podrapany, krajowe ubranie na mnie porozdzierane, tak amerykańskie uliczniki mnie sponiewierali. Przyszedłem do domu, nie było co jeść, albowiem szwagier, u którego żeśmy z matką zamieszkali też nie miał pracy, pieniędzy żadnych nie było, więc cierpielim wszyscy straszny głód, jednakowoż szwagier był już wtenczas przeszło rok w Ameryce, więc znalazł już cokolwiek miasto, więc udał się na śmiecie, nadmienić należy, że amerykanie wszystkie produkty, które nie są zjedzone wyrzucają do beczek, a śmieciarze z tych beczek wywalają na wóz i wywożą na śmiecie. Dlatego na śmieciach jest tam dużo żywności, można powiedzieć, że bezdomne psy się tam odżywiają i tak samo i nieraz bezrobotni i niezliczona

ilość szcurów. Otóż ten mój szwagier będąc tak samo bezrobotnym jak i ja, a chodząc za robotą natrafił na tę śmieciarnię, z tego powodu miał sposobność nabierać rozmaitych wyrzuconych tam produktów, więc nabierał chleba z popiołem, kilka zdechłych śmierdzących kur, śmierdzących rozbitych jaj także i śmierdzących ryb i starych zielonych kiełbasów i dużo zgniełych śledzi i rozmaitych innych zgniełych i śmierdzących produktów. Dopiero żeśmy nasz głód temi śmierdzącami i zgniełymi produktami zaspokoili, zaznaczyć należy, że całe trzy miesiące w ten sposób żeśmy musieli żyć. Więc moja matka płakała dzień i noc i żałowała staro kraju. Dopiero po trzech miesiącach nam się los naprawił, gdyśmy oboje ze szwagrem znaleźli pracę. Dalej nadmienić należy, że sambym nigdy pracy tam nie znalazł w owe czasy, gdyby nie przyjaciele. Otóż nasz sąsiad miał syna, który już uniał cokolwiek po angielsku i pracował już dość długi czas w fabryce blachy i ten chłopiec odważył się za mnie mówić o pracę, z tego powodu pracę dostałem w tej blacharni, lecz zaledwie przepracowałem jeden miesiąc, prawie niepewny życia każdego dnia, ponieważ prawie co dzień zostałem pobity i poraniony przez amerykańskich uliczników, maszyna ucięła mi palec, na ten palec znów byłem miesiąc w domu bezrobotny. Po miesiącu powróciłem znów do onej pracy, po miesiącu pracy znów maszyna zgnieła mi drugi palec, po tem zdarzeniu nie mogłem pracować przeszło trzy miesiące. Ponieważ rana mi się wciąż odnawiała, z tego powodu szwagier wyrzucił mnie z mieszkania wraz z matką. Dopiero wuja się nad nami zlitował i wziął nas oboje do siebie i tam u wuja miałem straszny głód, a palec się nie gojał. Cierpiąc straszny głód udałem się do fabryki i z płaczem prosiłem o pracę z powrotem. Zwierzchnik tej fabryki długi czas medytował zaniem się namyślił do jakiej pracy może mnie potrzebować. Jednakowoż wymyślił dla mnie pracę, więc jeździelem windą, albowiem jedna ręka wystarczyła do tej pracy. Po niejakiem czasie znów zostałem mocno pobity przez jednego amerykusa w tej fabryce, ponieważ nie byłem w stanie mu odpowiedzieć po angielsku na jego pytanie, po tem pobiciu postanowiłem się zemścić, więc uniosłem kawał blachy w górę i spuściłem niu na jego głowę, widząc, że się mu zanosi na omdlenie, nie czekając dalszego wyniku, dałem drapakę na ulicę, więc uciekałem tak może z dwa kilometry zmęczony, spocony i poraniony, zatrzymałem się przy pewnej fabryce, nie namyślając się długo trochę sobie odpocząłem i oczyściłem i wstąpiłem na biuro do owej fabryki za

pracą. Sekretarz tego biura zapytuje mnie się czego żądam. Nie rozumiejąc po angielsku nie byłem w stanie mu powiedzieć czego żądam, tylko tyla zrozumiałem, gdy mówił Polish, tak ja mu kiwnąłem głową, że jestem Polish, wówczas ów sekretarz zawołał polaka i dopiero przez tego tłumacza żeśmy się porozumieli, że ja żądam pracy. Zaznaczyć należy, że gdym moje dolegliwości temu sekretarzowi wypowiedział, to z wielką chęcią mnie do pracy przyjął. Od tego czasu można powiedzieć, powodziło mi się dobrze kilka lat, nawet przyznać się muszę, że uciulałem sobie w ten czas kilkaset dolarów w tej fabryce, ale jak to w Ameryce nigdy nie jest pewien żaden człowiek roboty, albowiem z powodu polityki bardzo często fabryki zamykają, tak i wtenczas było. Roboty zostały zatrzymane, fabryki pozamykane i znów człowiek był bezrobotnym przez dość długi czas. Zaznaczyć należy, że bezrobocie w ten czas było ogromne, albowiem bezrobotni rozbijali rynki i składy i zabierali artykuły spożywcze siełą. Policyja była bezradna, dopiero od tego czasu miasto Buffalo, New-York postanowiło bezrobotnym przyjść z pomocą i dawano bezrobotnym po trzy funty mięsa i dwa bochenki chleba dziennie. Będąc już przeszło rok bezrobotnym wtenczas, mając jednak jeszcze kilkaset dolarów, postanowiłem tę kochaną i sławną Amerykę opuścić, tak zabierając połowę moich dolarów, a drugą połowę zostawiając matce powróciłem do kraju w r. 1894, mając wtenczas już 22 lata. Będąc tu w kraju prawie dwa tygodnie, dobrze mi się powodziło, ale że tu każdy człowiek musi być meldowany i zapisany, tak samo i ja musiałem się zameldować do urzędu. Od tego zameldowania zaczęła się moja udreka. Nasamprzód po tem zameldowaniu, wsadzono mnie do kiby, w tej kibie byłem prawie cały dzień i zabrano mnie wszystkie pieniądze, jakie miałem przy sobie. Jednakowoż wieczorem mnie wypuszczono z tej kiby i pieniądze mi zwrócono. Na drugi dzień kazano mi się zameldować do landrata. U tego starosty postąpiono tak samo jak przy tem pierwszym meldowaniu i znów zamknięto mnie do kiby. Tam w tej kibie byłem zamknięty aż do następnego dnia rano, tego rana przyszedł do mnie jakiś dozorca z powrozem, więc myślałem wtenczas, że przychodzi moja ostatnia godzina. Jednakowoż tak źle nie było, ów dozorca miał rozkaz dostawić mnie do Poznania do koszar wojskowych, dlatego miał ten powrót do skrępowania mojej rąk, ale że ja dobrowolnie postanowiłem się z nim udać do Poznania, dlatego mi mojej rąk nie skrępował. Po dostawieniu mnie do koszar w Poznaniu, byłem przedstawiony leka-

rzowi, jednakowoż do wojska zaraz mnie nie wcielono, dopiero tak w trzy miesiące później. Po tem rewidunku w Poznaniu nasamprzód zasądzono mnie na 160 mk. kary, jednakowoż kary nie zapłaciłem, tłumacząc się tem, że pieniądze, które wtenczas posiadałem w kibie gdzieś zgubiłem. Potem miałem jakiś czas spokój, później znów przychodzi zawiadomienie, że miałem się sam dostawić do więzienia. Rozkaz wypełniłem i siedziałem w kibie 32 dni, myśląc, że już teraz będę miał spokój, ale gdzie tam po jakimś czasie zostałem wcielony do wojska. Tu dopiero zaczęła się moja najgorsza udręka, po niemiecku mówić nie umiałem, a tu wszędzie szwajnder-mańder, więc nie mam słów do wypowiedzenia mego oburzenia na takie traktowanie, zaznaczyć należy, że przez ten cały czas byłem bezrobotnym, można powiedzieć, że od czasu mego przyjazdu do kraju, to jest od sierpnia do tego czasu kiedy byłem wcielony do wojska to jest w styczniu, co ani jednego feniga nie zarobiłem, jeszcze dużo swoich pieniędzy utraciłem. Zaznaczyć należy dalej, że tym niemieckim żołnierzem nie miałem zamiaru zostać przez dwa lata, więc zacząłem kombinować, jakby się można z tej opresji żołnierskiej wydostać i zjechać do Ameryki. Z tego powodu napisałem list do przyjaciela i prosiłem go o zaproszenie mnie na jaki pogrzeb. Wkrótce na pogrzeb zostałem zaproszony, więc przedłożyłem pismo i uwzględniono mnie na 3 dni urlopu. Na to tylko czekałem, tego samego wieczoru zakopałem całe żołnierskie umundurowanie niemieckie i wyjechałem w świat. I można powiedzieć, że szczęśliwie udało mi się przedostać przez granicę niemiecką do Holandji i do Rotterdamu i czem się Niemcy zorientowali co się święci, to już pływałem na morzu ku New-Yorkowi. Po przybyciu z powrotem do Ameryki znów ta sama historia. Szukałem pracy, można powiedzieć, że przez kilka lat byłem amerykańskim włóczęgą, jeżdżąc od miasta do miasta na towarowym pociągu, szukając pracy, z tego powodu przejechałem towarowym pociągami Stany Zjednoczone dwa razy od Atlantyku do Pacyfiku, wciąż będąc prawie że bezrobotnym. Tylko raz kiedyś udało mi się parę dolarów zarobić. Dopiero wojna hiszpańsko-amerykańska poprawiała mój los na lepsze. Ponieważ wtenczas potrzebowano młodych i silnych ludzi na palaczy do amerykańskich wojennych okrętów, więc udało mi się dostać za palacza w tych okrętach, z tego powodu miałem byt zapewniony na jakiś czas i byłem w możności kilka dolarów matce posyłać co miesiąc. Jednakowoż to szczęście moje nie trwało długo, ponieważ przez pół roku walki

z hiszpanami, hiszpańska flota została rozbita w puch na Atlantyku i pod Manillą na Filipinach Pacyfiku. I znowu zostałem z pracy wyrzucony i zostałem bezrobotnym. Jednakowoż będąc już dość dobrym palaczem na okrętach, postanowiłem do tej pracy z powrotem się dostać, więc po kilku miesiącach bezrobocia, udałem się towarowym pociągiem przeszło 13 set mil angielskich z Buffalo, New-York do południowego portu New Orlean, miasta stanu Luisiana Gulf of Mexiko i tam z wielkim trudem dostałem się na angielski parowiec za palacza i na tym okręcie pracowałem blisko 3 lata, objeżdżając wszystkie porty świata, aż jednego razu niedaleko Australji zostaliśmy zatopieni, ponieważ to był okręt po większej części towarowy, dlatego pasażerów na nim dużo nie było, jednakowoż czem zostaliśmy wyratowani, dużo ludzi zostało przez rekiny pożarte. Zaznaczam, że wtenczas pływałem w korkach na powierzchni morza prawie osiem godzin, od ósmej wieczora do czwartej rana i już rekin miał i mnie w robocie, jednakowoż utraciełem tylko podeszew z korkiem od trzewika. Zaznaczyć należy, że po tem wyratowaniu z tej topieli, utraciełem władzę w nogach. Jednakowoż będąc w szpitalu w australijskiem mieście Sydney, przez dwa miesiące z powrotem władzę w nogach odzyskałem. Zaznaczyć należy, że kiedym wyzdrowiał i wyszedł ze szpitala w mieście Sydney w Australji, postanowiłem sobie już więcej na okrętach nie pracować. Jednakowoż, ażeby do Ameryki się z powrotem dostać, byłem zmuszony jeszcze za podróż do New-Yorku, na amerykańskim okręcie pracować. Dodać należy, że szczęśliwie jednak do portu amerykańskiego przybyłem. Kiedy do New-Yorku żeśmy przyjechali, powiedziałem swemu zwierzchnikowi, że to jest mój ostatni trip, więcej na okrętach pracować nie będę z powodu strachu ponownego zatopienia się. Tak mi wypłacono moją należytość, którą zapracowałem i znów byłem bezrobotnym. Zaznaczyć należy, żeby nie stracić pieniędzy na bilet kolejowy postanowiłem znów na gapę jechać towarowym pociągiem do Buffalo do mojej matki. Ponieważ od New Yorku do Buffalo jest tylko 440 mil, to w dwóch dniach byłem w Buffalo. Po dobrym odpoczynku i po kilku dniach postanowiłem sobie jakiej pracy w Buffalo poszukać i tą razą, można powiedzieć, że mi się powiodło, albowiem w drugim tygodniu szukania pracę znalazłem w garbarni. Gdy więc znalazłem pracę, mając chleb chwilowo byłem zapewniony, postanowiłem się ożenić, albowiem prawie, że był już czas, ponieważ dochodziło mi blisko 28 lat. Dlatego wyszukałem sobie niewiastę z trzema dziećmi t. j. wdowę

i ożeniłem się z nią i tak przez pięć lat pracując w tej garbarni, marne życie się prowadziło, bo tylko osiem dolarów zarabiałem na tydzień. Po pięciu latach mojej pracy w tej garbarni poczęłem chorować, najprzód na nerki, później na hemoroidy i tak cierpiałem kilka lat nie mogąc pracować, więc znów byłem bezrobotnym. Później na te hemoroidy byłem operowany, jednakowoż krwawienie nie ustawało. Zaznaczyć należy, że w r. 1912 umarła mnie żona. Parę miesięcy później umarła mi matka. Z tego powodu, że byłem chorowity i nie pracowałem, pasierby wyrzucili mnie z mieszkania. Nie mając żadnego utrzymania po śmierci mojej żony, byłem znów zniewolony szukać życia na śmieciach i znów żyć śmierdzącymi produktami, żeby od głodu nie umrzeć. Najgorsze to było, że nie miałem gdzie spać, więc byłem bezdomnym i od kilku lat stałym bezrobotnym.

Trzeba zaznaczyć, że spałem gdzie się dało, w rozwalonych starych budynkach, w wagonach i nieraz na gołym polu. I to tak trwało blisko pięć miesięcy, aż na dobre zachorowałem na ślepą kiszkę w wagonie kolejowym. Ponieważ tak się trafiło, że przechodził tamtędy policyjant i usłyszał moje jęki i wszedł do wagonu z zamiarem aresztowania mnie, jednakowoż widząc moje cierpienia, zawiadomił pogotowie ratunkowe i z tego powodu zabrano mnie do szpitala. Dopiero w szpitalu rozpoznano moją chorobę, dlatego też zostałem operowany na ślepą kiszkę. Gdym wyzdrowiał po tej operacji, ponownie zachorowałem na inną chorobę i ponownie byłem operowany. Można powiedzieć, że szczęście mnie jednak nie opuściło, ponieważ wszystkie operacje szczęśliwie przetrzymałem i kompletnie wyzdrowiałem. Gdy już byłem zdrowy i miałem zamiar opuścić szpital, opowiedziałem moją niedolę naczelnemu lekarzowi. Lekarz się zastanawiał nad moją niedolą, a że był w spółce w fabryce automobilowej, z tego powodu powiedział, że on mnie da pracę. Napisał mnie rekomendację do tej fabryki i wyjął z kieszeni 10 dolarów. I mówi: — tu masz na życie, a ten list podasz na biuro w mojej fabryce. Nie wiedziałem jak mam temu człowiekowi podziękować, można powiedzieć, że przez tego miłosiernego człowieka miałem utrzymanie i pracę i tak pracowałem w tej fabryce od 1914 do 1920 r. Blisko sześć lat. Przez te sześć lat pracy uciulałem sobie kilka tysięcy dolarów, ponieważ w tym czasie płacono mnie dziesięć dolarów dziennie. W roku 1920 ponownie nastąpił wielki kryzys w Ameryce, chociaż znów byłem bezrobotnym, jednakowoż biedy i nędzy nie cierpiałem. Zastanowiwszy się tak sam nad sobą,

ponieważ już byłem blisko 50 lat, umyślełem sobie, że ojczyzna jest teraz wolna politycznie, może by było dla mnie lepiej na stare lata w Ojczyźnie swego żywota dokonać, i jak pomyślałem, tak też uczynielem i oto w roku 1921 powróciłem do kraju, ażeby kości swoje złożyć obok kości mego ojca. Zaznaczyć należy, że gdym tu do Ojczyzny powróciłem, zastałem jeszcze dobrą moją znajomą z młodych lat i to jeszcze samotną. Dlatego, żeby mieć jaką opiekę nad sobą, ożeniełem się z nią i dobrze nam się powodziło, mając byt nasz zapewniony aż do śmierci. Jednakowoż, żeby się kochanej Ojczyźnie przysłużyć, wymieniłem wszystkie dolary na marki polskie w Krajowej Kasie Pożyczkowej w Poznaniu. Nie kupowałem żadnych majątków, ani gospodarków lub kamienic, lecz życzełem Ojczyźnie, Polsce kochanej moje dolary, ciesząc się, że chociaż tym sposobem Ojczyźnie się przysłużyłem. Niedługa była moja radość, ponieważ, gdy złoty nastał, więc za te marki, które za dolary miałem, dostały mi się tylko kilka złotych. Można powiedzieć, że od tego czasu cierpiemy wraz z żoną straszną biedę i nędzę, znikąd nie mamy żadnej pomocy, ani żadnej renty lub emerytury. Do tego jeszcze chorowici, starzy, niezdolni do zarobkowania, ja 90% a żona 66%, więc można zrozumieć, w jakim przykrem położeniu się dziś oboje znajdujemy. Dlatego mogę śmiało powiedzieć, że od czasu mego powrotu do Ojczyzny t. j. od roku 1921 jestem stałym bezrobotnym i żyję tylko ziemniakiem i wodą.

Łącząc wyrazy mego uszanowania i szacunku.

Niniejszem nadmieniam, jeżeliby mnie nie wierzono w tym Instytucie o tem mojem podaniu i walki mojej z bezrobociem, to można zwrócić się do tutejszego wójtostwa w Rogoźnie, powiat Oborniki, ponieważ Pan Wójt moje tutejsze stosunki zna bardzo dobrze. A co się tyczy amerykańskich moich przygód z bezrobociem, to w każdym razie potwierdzić mogę moją przysięgą. Można zaznaczyć, że takiej walki z bezrobociem, nikt tu z krajowych bezrobotnych nie przechodził jaką ja przechodziłem na obu półkulach. Dlatego też prosielbym o przyznanie mi jakiegokolwiek nagrody, wymienionej w Gazecie Poznańskiej Nowy Kurjer Nr. 299, wtorek, dnia 29 grudnia 1931 r.

Podaję zarazem nasz wiek, żona 55, a ja 60 lat.

Parkowo, dn. 11 stycznia 1932 r.

Robotnik fabryczny
zamieszkały w Tupadłach

Oдноśnie do ogłoszenia w Ilustr. Kurjerze Codziennym z dnia 25 grudnia 1931 r. przesyłam W. P. P. opowiadanie z życia mojego, na pamiętnik bezrobotnego. Opowiadanie to, jakkolwiek jest napisane fatalnie z powodu, że nie jestem żadnym biurokratą tylko robotnikiem, powtórę warunki, w jakich pisałem t. j. brak mieszkania i potrzebnych materiałów, nie pozwala mi na dokładniejsze pisanie. To wszystko nie odstrasza mię od wzięcia udziału w ogłoszonym konkursie. Gdy więc o godziwy zarobek chodzi, nie odstraszyło mię i to, by ponownie otwierać rany z minionych dni i opisywać moją nędzę, która jest u szczytu.

Podjąłem się więc tej mozolnej pracy i choć w streszczeniu przelałem ten kielich goryczy na papier w nadziei, że P. P. wyrozumieją moje położenie i przyznają mi jedną z ogłoszonych nagród o co gorąco proszę!

Już jako chłopiec nie zaznałem wielkiej radości życiowej. Będąc najstarszym synem rodziców, którzy nie pochodzili ze sfery zamożnych (ojciec bowiem był pomocnikiem murarskim), już od najmłodszych lat musiałem pracować, aby być pomocnym rodzicom w utrzymaniu młodszego rodzeństwa, które było dość liczne, bo było nas 7-ro dzieci (a w tem cztery córki).

Już jako dziesięcioletni chłopiec biegałem w chwilach wolnych poza ławką szkolną po ulicach miasta Krakowa (bo tam się urodziłem i zamieszkiwałem z rodzicami) i sprzedawałem na zmianę to Kurjer Codzienny, to Nową Reformę, aby po wyprzedaniu kilku dziesiątek egzemplarzy, powrócić do domu z kilkunastu groszami w kieszeni i spożyć ciężko zapracowany kawałek chleba.

W takich warunkach zastała nas wojna, na którą powołano także ojca.

Z chwilą powołania ojca na wojnę, zmieniły się warunki naszego życia niekorzystnie dla nas. Nie będę tu wyliczał wszystkich okropności wojennych, jakich z matką i resztą rodzeństwa doznawalem, bo to przechodził szerszy ogół ludu pracującego, wspomnę tylko tyle, że głód i chłód zaglądał niejednokrotnie do naszej izdebki.

Na domiar złego pod koniec wojny zmarła nasza matka, kiedy to liczyłem zaledwie piętnaście lat życia. Wtedy rozłączono nas z gniazda rodzinnego i podzielono pomiędzy ludzi. Jakkolwiek dotychczas nie było życie dla mnie usłane kwiatami, tak i później gdy już byłem pomiędzy obcymi i nie znalazłem ciepła rodzinnego, stawało się coraz więcej cierniste.

Lata wolno poczęły płynąć i tak przeszła reszta wojny światowej, a po tej i wojna z bolszewikami. W wojsku nie służyłem z powodu niezdolności. Pracując kolejno jako robotnik fabryczny w różnych firmach, dostałem się nareszcie, po długich wznaganiach, do fabryki maszyn rolniczych H. Cegielskiego w Poznaniu i tam zajęty byłem aż do roku 1928. Wówczas mój pobyt stał się tam niemożliwy, zresztą dni mojej pracy były już policzone, bo z powodu zastoju jaki w fabryce panował, zaczęto zwalniać robotników. Zostałem zwolniony z pierwszą grupą na samą zimę w listopadzie i od tego czasu datuje się moja golgota. Ze skromnych oszczędności, które zdołałem sobie złożyć, przeżyłem przez zimę, a z wiosną pod koniec kwietnia (po wybraniu zasiłku z funduszu bezrobocia) opuściłem Poznań i skierowałem się na Bydgoszcz. Nieoczekiwanie spotkałem w Bydgoszczy brata (z rodzeństwem często korespondowałem, ojciec z wojny nie wrócił), który także był podówczas bez pracy. Wspólnie ruszyliśmy na Kapuściska i tam otrzymaliśmy pracę. Razem przepracowaliśmy tam do września, a kiedy prace były już na ukończeniu, brat dostał się do prac betoniarskich, które trwały jeszcze w styczniu 1930 roku — ja zostałem zwolniony i po miesięcznej wędrówce, otrzymałem pracę w cukrowni w Mławach, gdzie przepracowałem do 21 grudnia 1929 roku. Znekany wędrówką zdecydowałem się w Mławach osiedlić, co też uczyniłem. Miałem co prawda trochę oszczędności i do tego zasiłek, który mi przyznano od 17 stycznia 1930 r. — chwilowo nie troszczyłem się o dalsze, gdyż miałem tymczasowo środki do życia i byłem pełny nadziei, że z wiosną znów uzyskam gdzieś pracę. Czas zasiłku

szybko upłynął, a z nim rozpoczęła się wędrówka za pracą. Ruszyłem w drogę w stronę Inowrocławia, gdzie spotkałem swego kolegę, z którym pracowałem w cukrowni w Mątwach i dowiedziałem się od niego, że w Piechcinie koło Barcina można uzyskać pracę we wapienniku. Udaliśmy się tam we dwójkę na piechotę i prawie po całodziennym marszu, stanęliśmy na miejscu. Praca wrzała tam w całej pełni, lecz nas nie przyjęto z powodu tego, że w pierwszym rzędzie zatrudniano miejscowych robotników i w dodatku żonaty, mających na utrzymaniu rodziny.

Tem chwilowem niepowodzeniem nie zraziłem się wcale. U sołtysa poprosiliśmy o nocleg, a nazajutrz z rana ruszyliśmy z powrotem. W Inowrocławiu spędziłem noc u kolegi, nazajutrz sam rozpocząłem trzeci dzień wędrówki w poszukiwaniu pracy, nie omijając żadnej okazji. Tak rozpoczął się piękny maj, a z nim rozpoczęły się moje kłopoty o dalsze życie i środki na nie. Na święto narodowe powróciłem na swoje mieszkanie, aby odpocząć i namyślić się o dalszych zabiegach o pracę.

Nadzieja o uzyskanie pracy zaczęła ustępować zwątpieniu, które coraz więcej cisnęło się do duszy. W toku rozmyślań postanowiłem nachodzić bramy fabryk w Mątwach, aby otrzymać w której chociaż pracę sezonowo. Nachodzenie moje okazało się jednak bezskuteczne, chociaż sodownia przyjmowała robotników na sezon letni, to w pierwszym rzędzie przyjmowała tych, którzy mieli na utrzymaniu rodziny. A że i takich było bardzo wiele i fabryka nie mogła ich wszystkich zatrudnić, to też o przyjęciu kawalerów do pracy mowy być nie mogło. Wtedy to przyszedłem do przekonania, że życie kawalera w obecnej dobie jest niemożliwe, bo albo zostanie wtrącony w przepaść upadku moralnego, albo skończy samobójstwem. O ożenku również nie może myśleć ten, który do tej chwili nie posiadał środków na ten cel, a w dodatku był bez pracy i środków do życia. Do tej grupy ludzi należałem i ja również. Oszczędności, które jeszcze miałem kruszyły się w zastraszający sposób — do końca czerwca byłem bez grosza i bez pracy.

Nadeszły żniwa i wolno płynął czas — lato było już na schyłku i zaledwie kilka dni pracy u gospodarzy zapełniło dziewięć miesięcy bezczynności. Podczas prac, które dostawałem u zamożniejszych rolników łudziłem się nadzieją, że będę mógł dłużej pracować choćby za kilkanaście groszy i utrzymanie, nie udało się jednak: były lepsze siły ode mnie, (ja musiałbym przechodzić praktykę, bo do tej chwili w rolnictwie nie pracowałem), to też

zazwyczaj po paru dniach pracy zwalniano mnie, aby ustąpić miejsca siłom tego zawodu. I znów pozostawałem bez pracy. Z pełną nadzieją wyczekuję więc nadchodzącej kampanji cukrowniczej.

Już przez czternaście dni przed rozpoczęciem kampanji tłumy bezrobotnych oblegały bramy cukrowni, pomiędzy nimi i ja przez czternaście dni codziennie o głodzie i chłodzie — czekałem na dzień swego przeznaczenia. Tym razem czekałem jednak daremnie, bo i tutaj pominięto kawalerów, przyjmując jedynie żywicieli rodzin. Złamany duchowo wracałem codziennie, ufając w pomoc Boga i prosząc w każdej modlitwie o pracę i zarobek, zwalczając zwątpienie, które coraz silniej cisnęło się do duszy.

Pod koniec października niespodziewanie prawie dostałem się do kopania piasku, chociaż nie na długo (praca trwała tylko dwanaście dni), to jednak ucieszyłem się jej bardzo. Po tem zwolnieniu nie zdołałem już uzyskać pracy, mimo największych wysiłków. Przeszedłem dziesiątki kilometrów, żywiąc się jedynie tem, co ludzie ze swej ochoty podawali mi i wszędzie spotykałem jedne i te same słowa: niema pracy!

Na Boże Narodzenie 1930 r. niedość, że byłem bez środków do życia, a również bez dachu nad głową, albowiem mieszkanie, które zajmowałem dotychczas musiałem opuścić z powodu tego, że nie posiadałem środków na opłacenie tegoż. Dopiero w samą wigilję Bożego Narodzenia znówiłem się z pewną rodziną p. II. (którzy pochodzą z Małopolski), zamieszkałą w Tupadłach pow. Strzelno i ta dowiadując się o mojej nędzy, przyjęła mnie do domu swego. Że jednak rodzina ta była dość liczną, a mieszkanie które zajmowali było za szczupłe, więc nocowałem w stodole. Równocześnie z tym stanem, w jakim się znajdowałem, kończyły się ubiór i obuwie, gdyż przez lato, jak to już wspomniałem, pracowałem urywkowo i to co zapracowałem, tom wtedy wydawał na życie, gdy byłem bez zajęcia. O kupnie ubrania lub płaszcza mowy być nie mogło wtedy, liczyłem jednak na kampanję cukrowniczą, lecz gdy się i tutaj srodze zawiodłem, to teraz tembardziej nie mogłem ani pomyśleć o kupnie ubioru lub obuwia. To też starałem się wyreperować podarte spodnie lub marynarkę i zanosilem gorące modły do Stwórcy, aby wreszcie zmieniła się ciężka dola mego życia, nie wiedząc o tem, że los zgotował mi jeszcze cięższą niedolę. Zimę przeżyłem w skrajnej nędzy, żywiąc się częściowo w kuchni dla bezrobotnych w Inowrocławiu, częściowo u ludzi, a po największej części głodowałem, wstydząc się żebrać o pożywienie.

Po takim przeżyciu zimy, nadchodząca wiosna o tyle była znośniejszą dla mnie, że chociaż zimna niecierpiałem, nie łudziłem się już teraz nadzieją, lecz nie przestałem w próbach szukania pracy, niejednokrotnie czyniłem to podstępem, aby za wszelką cenę uzyskać pracę, jednak nic się nie zmieniło: głód i nędza zwiększały się — pod koniec maja byłem w położeniu bez wyjścia.

W rozmowach z kolegami dowiaduję się, że nietylko mnie spotkał taki los, są bowiem i tacy, na których brzemieniu ciąży odpowiedzialność utrzymania rodziny kilkakrotnie bardzo licznej, to też niejednokrotnie prowadzono rozmowy o kradzieży, aby uzyskać środki żywności i zaspokoić głód, w które wciągano mnie wprost, lecz silna wiara w Boga, którą zdołała matka zaszcześcić w mem sercu, wstrzymuje mię zawsze od takiego kroku. Myślę co prawda o kupnie garnituru lub obuwia, które podarte nie można już podać reperacji, pokusa nieprzepartą siłą pcha mnie w otchłań, walczę resztkami sił, aby odpędzić złe myśli i powtarzam słowa modlitwy... i nie wódz nas na pokuszenie... słowa, które kilkakrotnie dziennie muszę wznosić ku niebiosom. Czy z tego zarobku, z kradzieży mam zdobyć potrzebne ubiory?.. nie, nigdy nie zniżę się do tego stopnia, moja wiara w Boga uchroni mię od tego. Z powodu tego, że jestem obdartym, śpieszę już tylko rychło rano do kościoła, by później całą niedzielę przesiedzieć często o głodzie gdzieś w ogrodzie. Z dawnych dobrych dni pozostały tylko wspomnienia, na myśl o tych spływają mi nieraz gorzkie łzy. Nic jednak nie rokuje na zmianę na lepsze. Sterany głodem i udręką, którą doznaję niekiedy przez ludzi, wychodzę z mego mieszkania (ze stodoły), by opuścić na kilka dni okolicę... ostatecznie zdecydowałem się użebrać potrzebny kawałek chleba.

Jak srodze zostałem tym krokiem doświadczony, nie zdołałem tego opisać, drugie, nie chcę otwierać ran, jednak wspomnę tyle — nie zaznałbym tyle goryczy z tego kawałka chleba, gdybym go był ukradł. Najadłem się... lecz wymówek... Na początku lipca (w pewną niedzielę) zaszedłem w moich wędrowkach do Szarleja, gdzie buduje się magistral węglowy i tam spotkałem majstra od tej budowy, który w rozmowie ze mną wszedł w moje położenie i dał mi pracę. Są jeszcze dobrzy ludzie — niestety trzeba ich długo szukać. Praca moja była ciężka, a w dodatku lichy płać — jednak dni płynęły mimo trudu. Jedno tylko tkwiło mi w pamięci, że praca wnet się skończy. Przepracowałem niespełna sześć tygodni (do 23 lub 25 sierpnia) i znów się miała rozpocząć tułaczka, lecz i teraz

wspomniany majster przyszedł mi z pomocą, widząc moje zakłopotanie dał mi polecenie na stację Szymborze — Sikorowo do znajomego. Przez całą drogę, około 11 kilometrów szedłem z modlitwą na ustach, aby Bóg wysłuchał mnie, abym tam dostał pracę. Widocznie modlitwa szczerą była, to też i Bóg wysłuchał mnie i zostałem przyjęty. Znow przepracowałem pięć tygodni do końca września. Zarobek był tak niski, że na 14 dni zarabiałem do 32 zł. Tylko z powodu tak niskiego zarobku otrzymałem tu pracę i jakże szczęśliwy byłbym gdybym mógł dłużej pracować. Niestety—nasyp kolejowy był już w znacznej długości usypany, więc niepotrzebna była taka liczba robotników jaka tu pracowała. Część zwolniono, to jest kawalerów (tym niepotrzebny zarobek według dzisiejszych pojęć), bo ci są zawsze na pierwszym planie... do zwolnienia. Los był nieubłagany: razem z innymi zwolniono mnie także. Skończyło się na tych kilku tygodniach i przy takich zarobkach. Kupiłem sobie i to z trudem, z uszczerbkiem żołądka, parę obuwia i spodnie, na więcej nie starczyło. Na nadchodzącą kampanję cukrowniczą nie miałem się co cieszyć (bo dla kawalera drzwi są wszędzie zamknięte), jednak nie przestałem kołatać o pracę. I znow przez dwa tygodnie wystawiałem pod bramą cukrowni. W ostatnich dniach przed ruszeniem kampanji wywieszono na portjerni, że kawalerów nie przyjmuje się absolutnie. Nie wierzyłem tym słowom i czekałem do ostatniej godziny, lecz i wtedy nie zostałem przyjęty i tak się skończył ostatni błysk nadziei.

Rozgoryczony i dręczony tysiącami złych myśli wróciłem do moich znajomych, gdzie już raz dostałem przytułek i znow zamieszkuje w stodole. Straszne myśli przesuwają mi się w głowie i coraz gwałtowniej wdziera się myśl o samobójstwie, której niczem odpędzić nie mogę: — Czy stale będziesz tak konał — skończ raz, zaprzestaj tej walki — co ci z takiego życia; takie myśli dręczą mnie coraz okrutniej. Resztkami sił próbuję odegnać te myśli, zaczynam się modlić. Słowa modlitwy zagłusza bluźniercza myśl: — cóż ci da ta modlitwa, czy się nasycisz nią? Czy nie modliłeś się już długo, a nic z tego nie masz? W głowie mi huczy i dreszcz wstrząsa moim ciałem. Czuję naprzemian to zimno, to gorąco, w końcu straciłem przytomność.

Nazajutrz otworzyłem oczy na innem posłaniu w domu moich znajomych, gdzie mnie po znalezieniu wniesiono. Przyjechał lekarz i stwierdził ciężki stan grypy połączonej z zaziębieniem. Po południu zabrano mnie do szpitala, gdzie przeleżałem dwa miesiące. Po

dwóch miesiącach mimo próśb moich zwolniono mnie w środę 16 grudnia 1930 r. i z żalem w sercu, że śmierć nie przecięła mego życia, wróciłem do swych znajomych, którzy wchodząc w moją udramę przez litość odstąpili mi kącik w kuchni, abym mógł prześpać w cieplejszym miejscu. Szare dni zaczęły płynąć wolno, za poleceniem lekarza zostałem przyjęty do kuchni ludowej w Mątwach, którą utrzymują zakłady Solvay i tam otrzymuję codziennie obiady. Tak przeszły święta Bożego Narodzenia, a z niemi Nowy Rok, a nic nie zmieniło się w położeniu. Przejęty goryczą i bólem czekam, sam nie wiem na co; tyle zawodu życiowego nie odstrasza mnie i teraz wyczekiwać dni lepszych.

Przyszłość w mojem położeniu nie rokuje nic lepszego.

Tupadły, dn. 13 stycznia 1932 r.

Drenarz
zamieszkały w woj. Pomorskiem

Proszę Szanownego Instytutu, gdy będzie ten tekst umieszczony w gazecie, to proszę mi tę gazetę nadesłać, bo jestem bezrobotnym i nie mam grosiczka, by sobie wykupić takową, bo nawet sobie pożyczyłem na papier i znaczki, aby tylko nadmienić, jak mi rzeczywiście idzie, bo robotnik nie ma, ażeby się do kogo użalił, ale gdy było takie co pomieszczone w gazecie, to się zwróciłem. Proszę bardzo, nie jestem tak biegły w piśmie, ale może Szanowny Instytut cokolwiek moje błędy poprawi.

Wnoszę życie godne Jana R., urodzonego 19 czerwca 1900 r. w Kościerzynie Województwie Pomorskiem, z zawodu drenarz. Życie z roku 1920 na początku powstania naszej kochanej Ojczyzny Rzeczypospolitej Polskiej. Pracowałem przy budowie nowej szosy, zarobek był liczny, zarabiałem tygodniowo 250 marek w Książuszkach tak, że sobie kupić mógł za 100 marek ubranie eleganckie, za 40 marek trzewiki męskie, 1 chleb 2 kg. płaciłem 8 marek, za 1 koszulę 15 marek, na tydzień 3 1/2 kg. okrasy mięsnej, tak, że na każdy dzień na 4 osoby 1/2 kg. okrasy sobie pozwalałem, za 3 1/2 kg. okrasy płaciłem 16,50 marek, za 1/2 kg. masła 6 marek, za kiszkę płaciłem z tej najlepszej 1 kg. 9,15 marek, potrzebowałem na tydzień 2 kg., razem 18,30 marek, kartofli na tydzień 5 kg. płaciłem 2,70 marek, za sól i inne towary kolonialne np. tłuszcz i t. d. 10,50 marek, za komorne płaciłem tygodniowo 9 marek tak, że wydałem na miesiąc 770 marek, a miesięcznie zarabiałem 1000 marek. Oszczędziłem na miesiąc 230 marek. Byliśmy sierotami, chociaż sam jeden zarabiałem na siostry młodsze i nawet sam młodym i głupim byłem, ale głodne ani

chłodne nie chodziliśmy, lecz ładnie i elegancko ubrani byliśmy. W roku 1920 dnia 20 września, gdy Ojczyzna powołała mnie do szeregu obrony Państwa naszej najukochańszej Ojczyzny pod wielką obietnicą przez duchowne osoby, poszedłem bronić Ojczyzny, obiecały duchowne osoby wielki dobrobyt w Ojczyźnie i dużo ziemi dla tego, który pójdzie walczyć za Ojczyznę. Byłem przy szeregu wojskowym 2½ roku, po zwolnieniu mnie z wojska w r. 1922 nie odebrałem ani obiecane, ani ziemi, ale gdy sobie myśląc, proszę iść do obiednika, aby tę ziemię lub 1000 marek dał, które były obiecane, to się tego zaprzeczał, mówił, że nic nie obiecał, wtenczas poznałem jaka ziemia była obiecana, bo nietylko ja, ale dużo towarzyszy ze mną wraz walczyli za Ojczyznę, to tysiące i tysiące morgów obchodziliśmy w boju krwawym, ale nie sprezentował mi nikt żadnej ziemi, bo przyszedłem szczęśliwie do domu, nie jeden z nas towarzyszy otrzymał ziemię tę obiecaną 1 m. 72 cm. w kwadracie, ponieważ spoczywa w grobie na wieczny spoczynek, tyle ziemi w metrze 1,72 w kwadracie otrzymał każdy, który poległ w boju, a 1000 mk. przepadły dla poległych i dla tych, którzy wrócili szczęśliwie do domu, ani nikt ziemi za darmo nie otrzymał, nawet gdy wróciłem w 1922 roku do domu, to ani co odziać nie miałem, bo co to ubranie co miałem jedno z najlepszych, to w tem do wojska poszedłem, tak długo w niem chodzić musiałem, że go podarłem w ten czas. W wojskowie pracowałem, a moje własne to otrzymały w komorze wojskowe i otrzymały jako własność wojskową, a my do cywila, to które fasowałem ubranie od wojska, to oddać musiałem w przeciągu 14 dni na P. K. U., bo taki rozkaz był, a po 14 dniach to bosi i nagi stojałem, ale był jeden człowiek litościwy i miłosierny, który mi darował ubranie, bo gdzie się udać miałem. Siostry, które utrzymywałem przed wojskiem sobie środków żywnościowych szukać musiały, bo kto zarabiać miał na nich choć maleńkie były, tego który zarabiał na nich to 2½ roku był we wojsku, gdy przyszedł do cywila, to nic nie było, nawet ubranie, to które pozostawiłem, to już robactwo pożarło. W roku 1923 w styczniu dnia 20-go ożeniłem się, a to z jakiego powodu, bo dachu nie miałem nad głową, a pod gołem niebem był to zły nocleg, to musiałem szukać, aby gdzieś się mogłem ukryć, tak, gdy żonaty byłem utrzymywał i mnie żonę ojciec żony, a to czasu 1½ roku. Dzięki Bogu, że i miałem dach nad głową, chociaż pracy nie miałem, ale ciężki czas był wtedy, bo miliony były, a w czasie gdy miliony istniały, to ani pracy nie było, a żeby był każdy zatrudniony, bo każdy pra-

codawca się interesował, aby miał wyżywienie dla siebie, ale niestety wzrosła już rodzina w r. 1923. Prędej się człowiek dzieci dorobi niżeli dla żony nowej sukni, a tu nawet pracy jeszcze nie ma, a rok 1923 do końca w roku 1924 i to aż miesiąc maj nadszedł, to dopiero człowiek pracę znalazł, bo co miliony znikają i złote nastają, gdy złote nastają, nastął i złoty czas, bo roboty rozpowszechniały, chociaż człowiek nie otrzymał pracy nawet w zawodzie swoim, ale pracę znalazł chociaż za robotnika i to na piekielny cegielny zarobek był dziennie 3.90 zł. Był to liczny zarobek, tygodniowo 23.40 zł. Uradował się człowiek, że był zarobek i mógł sobie kupić co trzeba do żywności codziennego i mógł się przyodziać. I zapomniało się o biedzie i nędzy, niezadowolony człowiek był jednak, bo nie mógł sobie kupić odrazu wszystkiego co trzeba, bo gdy przez taki długi czas poprzednio nie miał pracy, to był tak wyczerpany do ostatniej nędzy, ale rozpowszechniała tak praca przy ruchu budowlanym, przy pracy budowlanej zarabiałem dziennie 5.80 zł., wynosiło tygodniowo 34.80 zł. Teraz i człowiek się przydział i co do żywności miał, bo cokolwiek gdy się praca skończyła dnia 20 listopada 1924 r., to już następnego dnia znalazło się inną pracę i to przy łamaniu kamieni co pracowałem całą zimę. W roku 1924 wzrosła rodzina jeszcze o jedną osobę więcej, tak, że coraz musiał człowiek patrzeć, aby wyciągnąć lepszego zarobku, boć pracy było dość do dyspozycji. W roku 1925 udałem się do prac młynarskich, aby się zadowolić, bo praca przy kamieniarce była to praca wciąż pod gołym niebem, a zaś przy pracach młynarskich jest praca pod dachem, tam się nie straciło ani dnia, czy pogoda czy też w niepogodzie był człowiek pod dachem. Więc pracowałem na młynie aż do 5 stycznia 1926 r. Nie poznałem jeszcze niedoli robotnika choć nawet byłem zwolniony z pracy, bo zarejestrowany byłem jako bezrobotny, otrzymywałem jako bezrobotny 15.70 zł. z Funduszu Bezrobocia, do tego z Opieki Społecznej 2 klg. chleba na tydzień na osobę, 1 klg. kaszy, 1 klg. grochu, i 1 ctn. węgla, dla dzieci, oprócz chleba, 1 litr mleka, $\frac{1}{2}$ klg. cukru, $\frac{1}{2}$ klg. okras, to nawet tylko 2 miesiące na zasiłek Funduszu Bezrobocia chodziłem o zapomogę, to już pracodawca przyszedł sam, aby przyszedłem do prac jego warsztatu i się nawet prosił pracodawca, aby mógł z powrotem dostać uczciwego robotnika. W kwietniu 1926 r. znalazło się i trzecie niemowlę, aby zaś osiągnąć większego zarobku brałem się do pracy innej. Istniała firma Wyrobów Szwedzkich, Diabolo Seperator Pumpsep ze Sztokholmu, filja w Po-

znaniu. Wstąpiłem jako woźażer do tej firmy od 20 maja 1924 r. aż do kwietnia 1927 r., zarabiałem liczną ilość, nawet 400—500 zł. miesięcznie, a chociaż prowizja wynosiła 15% odsetek w tejże od sprzedaży, tak, że w drugiej firmie brałem udział aż do lutego 1928 r., bo już zapełniona była maszynierja. Pomiędzy rolnikami nie mogło być woźażerów już to taka duża ilość istnieć, bo nie wychodziła nawet zasługa miesięcznie na utrzymanie rodzinne, tak, że w następnych dniach poszukałem pracy przy łamaniu kamieni. Po krótkim czasie poszukałem pracy przy robotach młynarskich, ale co już więcej bezrobotnych, nie mógł sobie pozwolić to co w latach poprzednich, ale prócz tego, że produkcje żywnościowe były drogie, to mógł robotnik tenże zarobiony grosz wykorzystać na cel żywnościowy. Pracowałem na młynie... aż do 20 lipca 1929 r. Był to ten sam pracodawca, u którego pracowałem w roku 1924—1926, ale nie był już tym człowiekiem dla robotnika, bo od roku 1925 — 26 płać robotnika 50% więcej ponad ustalonej taryfy, a w roku 1928 nie płać ani normy ustalonej taryfy, nie płać ani nadgodzin. Gdy otrzymałem pierwszą wypłatę, wypłać mi pracodawca aż 15 gr. mniej na godzinę, według obowiązku taryfy należało wypłać 65 gr. na godzinę, a płać tylko 50 gr. Pytałem się na to kolegów współpracujących, co to mi się niezgadza wypłata, gdy wypadły te słowa z ust, to pracodawca znikł, ale koledzy odpowiedzieli, że my płacone więcej nie dostaniem, bo taka taryfa, na czem nie byłem zadowolony, co mi powiedzieli kolegi. Powiedziałem, że obowiązkiem jest, że każdy pracodawca płać musi zobowiązaną taryfę, ale robotnik ciemny bierze płać, którą pracodawca jemu daje. Na przyszły dzień spotkając na pierwszym zejściu pracodawcę zapytałem się jego czy płać normę ustalonej taryfy, na co mi pracodawca odpowiedział, że nie wie o normie taryfowej. Było to słowo zupełnie głupie na odpowiedź. Odpowiedziałem: panie pracodawca, 65 gr. płać się na godzinę według taryfy, a wypłać mi 50 gr. W odpowiedzi: Ja nikomu więcej nie płać, ale po długiem nieporozumieniu się pracodawca przystał na to, aby płać taryfę co i drugie robotniki współpracy nie były oddalone, ale za godziny nadliczbowe nie mogłem zapłaty od niego wykorzystać, ale wiedziałem, że pracodawca co raz to gorszym oszczercą był, pomyślałem, że i na was pracodawców porada będzie.

Szukałem ja też i porady, słyshałem o różnych organizacjach, poszedłem na różne zebrania organizacyjne aby szukać środków i porad, słyshałem o różnych mowach, że pracodawcy nie liczą się

z robotnikami, że nadejdzie ciężki czas dla robotników, będzie robotników na pęk słomy wykładać i 25 polskich po zebrach liczyć, a wtenczas będzie jedność. Z tych słów powyżej mówiłem sobie, że nie prawda to jest, że 25 polskich każdy robotnik otrzyma, lecz wyobrażałem sobie ciężki czas na robotnika przyjdzie, lecz 25 batów dziennie tłuc się nikt nie da. Także słyszałem, że robotnik będzie za talerz zupy pracował, powiedziałem do mojego sumienia: do tego dojść nie może. Słyszałem różne mowy od pewnych panów na naradach organizacyjnych, tylko mi się nie podobała sytuacja występowania przeciw pracodawców a pomiędzy robotników, szukałem sobie lepszych porad dla robotnika przeciw pracodawcy, co też nastąpiło. Pewnego razu odbywał się wiec klasy organizacyjnej, poszedłem przysłuchać się na jej rozmowy, słyszałem tam rozmowę zupełnie na podobny ustrój życia naszego, tak elastycznie i sprężysto rozciągnięte mówi, że zainteresowany pozostałem na mowie. Mówca, był to człowiek który miał wprawę życia ludzkiego, umiał tak rozmówić się z robotnikiem, szanował tak robotnika nawzajem i potrafił oświecić ciemnego robotnika. W temże zainteresowany zostałem, dążyłem do organizacji klasy robotniczej. Dążono do tego, aby zorganizowali się robotniki do klas organizacyjnych związku spożywczego, tworzył się związek ruchu klasowego licznie zainteresowany w roku 1929. Tak, że związek klasowy osiągnął podwyżkę płac pracy, staliśmy w poprzednich latach w kategorii III, a gdy zorganizował się robotnik zmuszeni byli pracodawcy liczyć się z robotnikami zorganizowanymi i dołączono robotników do II kategorii tak, że 5% podwyżki no było to dla mnie jeszcze bardziej zainteresowanie, że silna organizacja klasy robotniczej zdobyć mogła lepsze płace pracy tak, że ściśle zastosowałem się do tego, aby osiągnąć płace za godziny nadliczbowe, co też upomniałem się jaknajintensywniej od pracodawcy, aby płacił za godziny nadliczbowe. Nato pracodawca szukał tak środków zwolnienia mnie z pracy, aby pozbawić robotnika zorganizowanego ze swego warsztatu pracy. Szukał pracodawca środków z różnych stron, aby wydalić mię z pracy.

Nadano mi pracę gdy pracownicy inne poszli na południe, wysyłano mnie z powodu szukać okazji, ażeby odmówić jemu pracy, nakazane przez niego, wysyłano mnie codziennie na południe tak i na wieczór ze 70 ct. mąki na miasto do swoich klienteli tak, że miałem 3 godziny zatrudnienia przy rozwożeniu mąki. Nie miałem pewnego obiadu na czas, ani wieczór razem z drugimi czasu

odpoczynkowego, więc dziennie 3—4 godziny nadliczbowych osiągnąłem, a płace jak Bóg da. Tak szukał i szukał okazji zwolnienia aż pół roku, nigdy nie wynalazł powodu, gdy nie zdobył powodu zwolnienia, zwolnił mnie z wypowiedzeniem 14-dniowym, jednakże zastrzegł sobie, że daje mi 1 dzień do namyślenia, czy się zorjentuję i nie będę żądał zapłaty za godziny nadliczbowe, po drugie, że mam wystąpić z organizacji związku klasowego i nie organizować żadnych robotników, bo gdy nie będę się tego wyrzekał i nie poproszę Pana Wielmożnego pracodawcy w przeciągu następnego dnia, to wypowiedzenie jest pełnomocne, co na to powiedziałem pracodawcy, że jego wywody nie mają powodu zwolnienia mnie z pracy i nie przyjmuje takowego wypowiedzenia. Co powstało następnego dnia: zwrócił się pracodawca do mnie z temi słowami: czy się namyśliłem i się wyrzekam z organizacji klasowej. Odpowiedziałem: Panie Pracodawco, już dawno namyśliłem się, czemu mam się wyrzekać z organizacji, toć Panu nie jest to na żadnej przeszkodzie ani obciążeniem, przez organizacji nie może żyć żaden robotnik, bo pan pracodawca jest też w organizacji, zapewne panu łaskawemu pracodawcy nie jest organizacji potrzeba, a wszak Pan się organizuje, a czemu robotnik ma wystąpić i się nie oświecić z tego ciemnego i niewyszkolonego rozumu, nie ma robotnik najmniejszej iskry oświaty, a pan pracodawca kształciłeś się w gimnazjum, a drugie jest pracodawca przekupcem, co zechcesz to pan masz, a jednakże w trzech organizacjach przesiadujesz, w organizacji pracodawczej, aby jak najmniejszą normę płac płacił robotnikowi, w organizacji kupieckiej, aby utrzymać ceny targowe i w organizacji politycznej, a robotnik jest tylko w jednej organizacji i to wzbranasz jemu, bo się boisz, aby nabrał rozumu na przyszłość, a nawet za to wydalasz go z pracy. Na to pan pracodawca odpowiada: »Proszę, Pan jesteś za mądry, proszę opuścić pracę natychmiast, myślałem Pana na strach wprowadzić, ażeby wystąpił z organizacji, ale widzę że Pana nie idzie nawrócić, nie zechcesz też wystąpić, to zaraz opuścisz pracę«. Ach, tak Panie, natychmiast pracę opuszczać, choć nie masz powodu, a jak jest, Panie, mam żądanie do Pana, bez powodu się nie zwalnia żadnego robotnika, proszę się zastosować według ustawy wypowiedzenia 14-dniowego, proszę zapłacić 14 dni także za urlop wypoczynkowy i za godziny nadliczbowe mi zapłacić, które przepracowałem, to odrazu nie będę miał u Pana pretensji i żądam od Pana stanowczo! Odpowiedział pan wielki, zamożny pracodawca: »Panie robotniku, zwal-

niam ciebie, ażebyś namyślił się co masz zrobić i żebyś uzyskał wypoczynku 14 dni, ale po 14 dniach nie masz pretensji do mnie, to razem gwarantuję tobie, że w całkiem mieście nie otrzymasz pracy, proszę opuszczać natychmiast moje podwórze.« Tak czy chciałem, czy nie, zmuszony byłem opuścić pracę; gdy po 14 dniach przyszedłem z powrotem i żądałem pracy, to powiedział pan wielki dobrodziej: »Co żadasz?« »A żądam, Panie, pracy, boś mnie zwolniłeś na wypoczynek, na 14 dni, wypocząłem sobie, nie dźwigałem worków dwóch centnarów z mąką, już 14 dni mnie w krzyżach nie boli więcej. Czuję, że jestem zupełnie zdrowy, a teraz żądam pracy.« Na to powiedział: »Dla ciebie pracy nie mam więcej, bo upomniałem ciebie, miałaś się zorientować, według mojej mowy.« »To proszę Pana zapłacić mi za wypowiedzenie 14 dni za urlop i za godziny nadliczbowe, razem 420.66 zł., a jaśnie wielmożny nie uczynił tego, lecz byłem zmuszony iść drogą sądową, a teraz, proszę, zastanawiałem się, bo byłem bezrobotnym«.

Było to w roku 1929, w dniu 20 lipca, poprostu powiedzieć, że było mi wstyd pośród lata bezrobotnym miałem być, ale chociaż chętnie pracować chciałem, to o pracę trudno było, dla zorganizowanego robotnika nie było pracy w żadnym warsztacie pracy, bo czemu, a temu, że poprzedni pracodawca obczernił robotnika zorganizowanego, co nastąpiło piekło dla robotnika. Zmuszony był człowiek iść zgłosić z wielkim wstydem na Fundusz bezrobocia, a to pośród lata, przy największym ogrzewaniu słońca. Nie cierpiałem tego, aby nie szukać pracy, ale już przepadło, nie było pracy. Ale przy okazji przechodząc ulicą, idzie garda orkiestry, rżnie z tej wielkiej trąby i wielką radość za sobą wiezie, wóz, aż parę koni i samymi plakatami oblepiony, napis wielki: »Dzisiaj wiec wszystkich zjednoczonych, o liczny udział prosi się robotników«. No gdy już orkiestra, trąby i wielki wóz z plakatami nalepiony to i trzeba iść, a gdy jeszcze robotnika się licznie zaprasza, możliwem, gdy tak trąbią, ażeby śpiący naród zbudzić to i zapewne w tym wielkim ustrojonym wozie chleb przywiozą na wiec, albo i też inne środki żywnościowe i będą partje zjednoczonych w jedynkach wydawać, ale co, gdy przyszedłem na wiec, piekarze i kupcy nawet i rzeźnicy tam byli, ale ani jeden chleba nie rozdawał, choć się jeść chciało, tylko kręciło się zaś gitary robotnikowi, bo co do głosu jego potrzebowali, aby zdobyć dużo mandatów do Rady Miejskiej. Wysłuchałem się tego trąbienia w uszy robotnika i tak drżącą i z wzburzoną krwią zgłosiłem się aby dali mi też parę słów mówić, tej nowej

obietnicy parę słów nadmienić, naprawdę poszedłem ze strachem, parademarsz do pana starosty, przedstawić się naszemu panu Burżuja i Burmistrza, pierwsze przemówienie: Panie łaskawy napominałeś robotników, aby nie głosowali na P. P. S. bo to czerwiece, powiedziałeś, że głosować na zjednoczonych, że tam będzie otwarta droga dla robotnika, to będziesz miał robotniku pracę, teraz Panie, powiedz mi Pan, czym ja jestem, nie miał Pan odpowiedzi. Panie jestem bezrobotnym, moje dzieci i żona są na śmierć głodową skazane, a ja przy nich, bo pracy nie mam, już przez długi czas chleba w ustach nie miałem wraz z rodziną, chociaż chodzili i trąbili i wszystkich długo śpiących ze snu obudzili, nawet w koszulach do okien przychodzili i patrzeć co się robi, a tak wielki wóz w plakaty ustrojony, ale chleba w nim nikt nie przywiózł, a czy jeszcze Panie nie wiesz czym ja jestem, na całki głos, Panie, krzyczałeś na czerwieńców a tym ja jestem i mam jeszcze tę odwagę chociaż i czerwieniec jestem, przed wszystkimi burżujami powiedzieć, że mam głód i nędzę i prosiłbym przedstawicieli naszego miasta, bym nie rozciągałem mojej mowy bo zapewne wam się nudzi, że wam tak niemiłosiernie powiadam, że rodzina moja i ja jesteśmy na śmierć głodową skazani, bym się zwracał z apelem, aby ojcowie naszego miasta się zlitowali i takiemu bezrobotnemu dać pracę, aby mógł wyżywić swoją rodzinę. Na wielką prośbę dano mi pracę, ale uznano mię za rozbijacza partji zjednoczonych, ale co niedługo ta praca była, bo już zima nadeszła, teraz się zwracają do panów obiedników, starostów i burmistrzów, no gdy żądano od ojców miasta pracę obiecaną, to tylko stworzyli dla bezrobotnych kuchnię ludową, to nawet dla setek gotowano w tym jednym kotle, niestety temu, że stworzyli taką kuchnię wspólną, bo to dla bezrobotnych, bo trzeba od śmierci, głodowej się ratować, ale nie potrzebowali burmistrze za jeden obiad brać zapłaty 40 gr., bo społeczeństwo przyszło z pomocą dla bezrobotnych i darowali żywność i nawet pieniądze, a inteligencja nawet radaby płacić sobie za te darowane obiady, a kto nie mógł zapłacić, to musiał się zobowiązać jeden dzień robić przy robotach doraźnych, czy miał familję dużą, czy małą, obojętnie, jeden dzień pracy.

Proszę bardzo przysłuchać się, ale gdy będą to czytać takie, których to razi, to proszę dobrze uszy nadstawić, ażeby to zrozumiał, że Magistrat dał gotować dla bezrobotnych, kupował z firmy angielskiej Bon-ba-con głowy wieprzowe i to jako okrasa. Nie była to zła okrasa, ale bynajmniej zobowiązywało kucharki co do chędo-

gości nawet oczu nie wydlubały ze wieprzowych łbów, tylko wraz z oczmi gotowały, ale co bezrobotny to gorszy od zwierzęcia, może strawić co jemu się daje, druga była i też kaszowa, już nawet jeden kawałek z niej zaśmiardły i taki co dla bezrobotnych gotowano. Na wiosnę dano bezrobotnym 3 dni pracy w tygodniu, aczkolwiek zarabia dużą ilość pieniędzy 14 zł. na żywność nie starczy to, teraz gdy odzież i t. d. jest to wprost niemożliwym, aby człowiek nie musiał boso i nagi chodzić, bo kupić nic nie może.

Aby że wyżywić swoją rodzinę udałem się do prac budowlanych, a cały tydzień mieć zatrudnienie, to 20 tygodni byłem w zajęciu, 13 tygodni na zasiłku z Funduszu bezrobocia, a 19 tygodni zupełnie bez pracy. Nie dziwić się wtedy, że robotnik ma długi aż po same uszy. Zadłużyłem się w roku 1930 — 35 zł. za chleb, 40,70 zł. u rzeźnika, 63,50 zł. za komorne, 24 zł. za towary kolonjalne, u bławatnika 47,75 zł., u szewca 26,50 zł., trzeba zapłacić to, a niema skąd brać pieniędzy. W roku 1931 zupełnie podupadłem, bo ani u piekarza, ani innych składach nie dają bezrobotnym na kredyt, bo się tem tłumaczą, że najprzód niech zapłaci stary dług, dopiero się udzieli kredytu. Co teraz robi człowiek bezrobotny. Zmuszony jest kraść albo żebrać o codzienne życie dla swojej rodziny, ale gdy się idzie żebrać to przed młodym człowiekiem będą drzwi zamknięte, a do drugiego się idzie to powiedzą, że taki młody człowiek może iść robić, to sobie na żywność zarobi, ale gdzie tu robotę znaleźć, kiedy pracy niema, co odziać człowiek niema, bez obuwia chodzi boso, w pantoflach, ale poszedłem na oblaży śmieć i na śmieciach miał jakie człowiek wywieziony stary na poły zgniły frak, ten z wielką radością zabrałem i poszedłem do lumpenhandlarza i prosiłem go, aby darował mi parę szmat. Odpowiedział mi, że ma szmaty tylko na interes a nie do darowania, ale z wielką prośbą zlitował się i darował mi parę szmatów i jedno spodnie. Podziękowałem jemu serdecznie za to i z wielką radością poszedłem z tem do domu ten frak narządzić. Narządziłem aż dwa dni, ubrałem się, poszedłem do Pana Burmistrza, ale gdy przychodzę przed magistrat, widzę wielkie grono narodu, pytałem się co oni za jedni, odpowiedzieli, że bezrobotni. O, jak się radowali bezrobotni, bo znajomego widziały i się pytały, gdzie tak długo byłem, boć dawno ciebie nie widzieliśmy. Opowiedziałem im moją niedolę, o mojej nędzy i biedzie. Powiedział jeden z pośród bezrobotnych: »tak, tak, to jest prawda, ten frak widziałem przed paru dniami na abladzie, a teraz on ma ten sam ubrany«, a drugi mówił: »tak, to

jest prawda, przechodziłem i widziałem jak on ten frak zabrał, wołałem za nim, chciałem z nim mówić, ale on aż galopem biegał do miasta, krzychałem za nim nawet aż 5 razy, a on nie był do zatrzymania«. Koledzy się zadziwiali z tego i mówili: będziemy zmuszeni iść naszych kolegów odwiedzać, może jest więcej takich, którzy nie mają nic do ubrania, bo tu nigdy wszyscy nie przychodzą przed magistrat upominać się za obietnicami, a czego obiecali, a to ty nie wiesz, wczoraj pan burmistrz obiecał nam chleb i węgiel, mieliśmy dzisiaj otrzymać z Opieki Społecznej, a sekretarz mówi, że o niczem nie wie, ani nie chce się iść zapytać Pana Burmistrza, czy jemu to wolno wydać. Teraz musimy jeszcze raz delegację wybrać i iść jeszcze raz kołatać i ty będziesz nam służył w delegacji w tym fraku z tej ablady, niech Pan Doktor Burmistrz też widzi w jakich frakach oblatanych bezrobotni chodzą i też opowiedz, skądś jego fasowałeś? Nie dałem sobie dwa razy mówić, lecz szybkim krokiem do Pana Burmistrza. Gdy się przedstawiłem Panu Burmistrzowi, pytał się czego żądam. »Panie, żądam to co było obiecane«. Odpowiedział: »Bezrobotni nie mają nic do żądania, mogą najwyżej prosić, a drugie, niema gotówki, ażeby zakupić co do żywności dla bezrobotnych«. Prosił, aby bezrobotni powiedzieli, skądby mógł czerpać fundusze, powiedziałem, że na bezrobotnych tyle składek, nawet bezrobotny na bezrobotnego płaci, np. znaczki na listy były podwyższone, a gdy bezrobotny pisze do siostry albo gdzieś, żeby przyszli jemu do pomocy, to już płaci na bezrobotnych, a proszę Pana Doktora, przecież węgiel był wydany dla bezrobotnych z Komitetu Bezrobocia, a społeczeństwo miasta dało tyle darów dla pomocy bezrobotnym, to i proszę Pana Doktora nam też przyjść z pomocą. Opowiedziałem też o niedoli mojej, na co Pan Burmistrz mi powiedział, że jestem filozofem. Proszę bardzo, filozof nie jestem, ale zapewne się tak panu przedstawia jak filozof w takim fraku z ablady, proszę Pana Burmistrza, prosiłbym łaskawie, aby przyjść z pomocą dla bezrobotnych, aby ratować nas od śmierci głodowej. To odpowiedział, mają iść bezrobotni kraść, to będą mieli wszystkiego zadość, no to ojciec miasta bezrobotnych do złego namawia. Teraz kochani rodacy będziemy zmuszeni od śmierci głodowej się ratować, bo głód jest ostrym mieczem, ale teraz proszę bardzo poznali bezrobotni obiecane baty, które mieli robotnicy otrzymywać, aż cokolwiek otrzymuje każdy dzień swoją porcję, ale nie takim batem kręconym, lecz gnębnią robotnika głodem, ażeby robotnik się poddał burżuazji, bo u burżuazji jest to polityka, aby ugnębić

robotnika, bo dostaną z temi robotników pokornych, a co za talerz zupy miał robotnik pracować, to proszę, pracował za obiady, które odbierał z kuchni ludowej i zmuszony był za takowe pracować, zatem proszę wszystkich robotników nie poddać się w ręce kapitalistom bo w robotnika będą orać, że musim dążyć, a jaknajciszej się szanować wzajem.

Dn. 25 grudnia 1931 r.

Robotnik niewykwalifikowany
zamieszkały w pow. Morskim

Niniejszem składam wiarogodny spis, ogłoszony w gazetach. Nasamprzód proszę o wybaczenie za jakie błędy lub wyniosłość z mej strony, napisania może coś, co by się tej sprawy nie tyczyło. Na zapytania jakie, z tego złożenia, zawsze jestem sługa i proszę tak samo choć o jakie najdrobniejsze wynagrodzenie (zapytanie z gazety w sprawie przeżycia chwil biednych) i w razie niewynagrodzenia lub nagany, prosiłbym jaknajlitościwiej o zwrot zeszytu, chciałbym o ileby było możliwe jeszcze co dodać i próbować w inny sposób z tego już mi w tej chwili choć trudnego pisania wyciągnąć jakie korzyści materialne, koniecznie potrzebne dla uratowania się przed najgorszą nędzą!

I. »NIC PEWNEGO«

W dniu tym, już poświętecznym, przy lampce wieczornej wstępuje sąsiadka do pokoju, kładzie na stół coś zawiniętego w papierze, mówiąc: muszę biegać nazad, mam do kawy zastawiono — i już za drzwiami. Dziękujemy, oglądamy — kawalek placeka świątecznego, uciecha dla dzieci. Dobrzy ludzie. Nie wiem, — mówię do żony, — żeby nie dobrzy ludzie, to już dawno bylibyśmy w nędzy. Tymczasem oglądam gazetę, co w niej był placek zawinięty: inserat, który sprawił, że będę miał możliwość życie nas biednych rzucić na papier. Choć z żalem, jednak tylko z korzyści materialnej, otwarcie, jedyna w tej chwili możliwość, która by mogła nas od nędzy wstrzymać, to jest jednak, jak powyżej zatytułowałem (nic pewnego), ponieważ mam tę wadę, że nie znam dobrze pisma i tło-

maczenia, jednak odważam się stanąć jako kandydat, w gorączkowym już oczekiwaniu wyniku. Więc kolejno (nie mam pojęcia o tem) chciałbym wszystko co pamiętam krótko skreślić...

Cicho, powtarzam te słowa, co chwilę lecz daremnie, dzieci przy swoich hałaśliwych zabawkach mi padają na nerwy, nerwy już słabe, i zdrowie nie pewniejsze (jak i żony, dzieci, też plaga wyrzutów na całym ciele mężczy), jednak cierpliwie piszę, choć nie wiem, czy z tego pisania coś porządnego wyjdzie (postanowiłem od nowego roku doliczyć na tę intencję do pacierzów codziennych jedno »Ojcie Nasz«). Jako już przed dwoma i pół laty zwolniony z pracy, staram się o znalezienie nowego zajęcia, lecz daremnie (było kilka dni pocieszających między tym czasem), zima na karku, bez chleba, węgla, drzewa, nafty i ciepłego odziewku (soli nigdy jeszcze nie brakło, dodam stare przysłowie: »jak niema soli, to w domu wszyscy goli«); no i atramentu musiałem sobie w starej butelce sporządzić z resztki ołówka chemicznego, uważając jeszcze, żeby przy pisaniu ostatnie pióro nie złamało się, przymocowane na użytym cienkim pedzlu, jako obsadka, i zeszyt, w którym piszę, kupiłem zamiast bochenka chleba, żałując za czyn nieuczciwy (jednak myślę jaknajwięcej chlebów z tego pisania zarobić). Sklepiak, w którym wszelkie potrzeby załatwiam, już dawno odmówił dawać bez gotówki i następny, który ostatecznie przed kilku dniami bez gotówki dał 50 kg. węgla (już spalone), nie wiem czyby dał co więcej (tylko z biedą dał się namówić, chciał tylko 25 kg. dać) więc razem 100 zł. mam już do płacenia. No i kiedyby nie te dwie pierzynki z jednej sporządzone, możnaby w pokoju zmarznąć, i piec ceglany (może się w tej zimie zwróci, nie wiem czy może będzie nowy, nie płacę za mieszkanie) pożera bezlitościwie masy opału różnego i nie pamiętam dnia, kiedyby był zapas jaki dla niego; i kuchenka dla sporządzania co ciepłego też niezałuje opału, jak wiatr — to w mgnieniu oka wszystko w kominie.

Lampka gaśnie, mówi żona, czas spać, wiesz co jutro masz przed sobą, — aż mię wzdrygnęło przy tych przyzwyczajonych już naganach — kończę i chwytam piec, zimny jak lód, co mu jutro dać, to resztę zje jak zwykle i niema co, bo już ciemno wkoło mnie i maczam się do snu. We śnie jeszcze myślę: kiedy już napewno liczyłem, że jutro przyjdą pieniądze pocztą obiecane od krawca, u którego w lecie zamówiłem ubranie (zadatkowałem 40 zł. tygodniówkę w lecie zarobioną) i powtórnie upominałem, ani ubrania, ani pieniędzy tak długo, trafiłem go osobiście i mówił, że

gotówkę odesłał, na którą intencję wydał oszusta, już dwa tygodnie pieniędzy nie widać.

II. »NIC PEWNEGO«

Po powrocie z Gdyni, rajy pracy na Pomorzu (gdzie niejedyn tam swój los ma do podziękowania lub przeciwnie), naturalnie z nogami na plecach jak zwykle, (dodaję umyślnie co wesołego, mam taki już temperament i nie odpowiadam za coś, żebym się naraził na pośmiewisko, lub żeby się wogóle sprawy nie tyczyło) i siadam zmęczony do stołu (nogę ma połamaną) mojego (nienadającego się) mieszkania. Kawy gorącej Anna (do żony), wiesz, nie piłem jak rano (2.30 wyszedłem), chleb, który zabrałem, zjadłem koło 14-ej i było może za dużo soli na nim, choć ja lubię, towarzyszy mi do wszystkich potraw i czuję się (lepiej może działałby cukier, lecz nie znam już jego wyrazu od 2-ch lat) zawsze silniejszy po spożyciu jej z chlebem lub kartoflami i burakami. Żona: wiesz chłopie złoty, nie mam na czem zagrzać kawy (z cykorji cały tydzień wkół dokoła wygotowanej), czekaj (jeszcze nagle zapytanie z jej strony, masz co zarobione), pobiegnę do sąsiadki, może ona ma ogień, (setki razy to czyniła). Tymczasem chciałem zobaczyć do chlewa, co poza miatać (zawód taki i naliczę ich tu kilka, nauczyłem się przez ten czas bezrobocia jako zamiatacz wiórów, może i złodziej, kucharz (w razie choroby żony), malarz, piekarz, rysownik, grafik, ogrodnik, murarz, stolarz tylko nie rolnik, jest ich tu za dużo), niema po co — słyszałem już za drzwiami — już wymiotłam, będziesz musiał jeszcze co sprowadzić, aby jutro piec napalić. Nareszcie kawa ciepła, mogę się trochę pokrzepić; wtem wołanie jakieś; też kawy: — kto się łąam jeszcze odzywa? — to Bronek, cały dzień stale za kawą i chlebem się upomina, daj mu trochę (a co ty będziesz jadł?), mówię, jakby nie był głodny, nie upominałby się, i dziura zatkana. Patrząc na tych drugich, które oczy pootwierali, już jak wszedłem, chcecie też co? Wystarczyło jedne »jo« (z dżalektu kaszubskiego, żona tylko tym językiem jak do mnie tak i do dzieci moich rozmawia, ja znów śląskim, i groch z kapustą, jednakowoż staram się wszelkimi siłami czystą mowę wprowadzić), »jo« znaczy »tak«, więc dziury zatkane, tylko malec niezadowolony (myślał, że mam jeszcze co w kieszeni dla niego, niestety). Nic nie pomagało, żona zanuciła (proszę się nie nudzić mojami dopiskami stałemi), starą prastarą w tej okolicy pamiętną piosenkę: »tańcowała ryba

z rakiem, i pietruszka z parsternakiem« i t. d., dodałem ze śląskiego, co pamiętałem: »dwa krupnioki tańczyły, leberek się śmiał«, nót nie znam. Uspokojony zasnął, cisza grobowa (może już niedaleko do niej), przecież byłem w domu, przez to zasnęli.

Po powrocie moim z Gdyni, gdzie tylko pracę jaką przez P.U. P.P. można otrzymać, byłem w tej Instytucji zarejestrowany może 2 lata temu, nie wiem jak długo czekałem stamtąd na wyszukanie jakiej pracy. Dostałem pocztówkę, na niej mój adres i wydrukowano, że w sprawie zasiłku mam się zgłosić (poprzednio pracowałem przy nasypach kol. państw., zwolniony przez redukcję), więc było jeszcze w domu trzy zł. gotówki, żona mówi: nareszcie! — i jazda do G., bilet 1.80 zł., dziś 2 zł., 45 klm., tam surowo przyjęty (niż przyjechałem było już za późno) miałem w chwili zieloną kartkę, praca do władowania cukru z wagonów do magazynu (nie uniósłbym 100 kg. na plecach, bym się mógł złamać) i już na ulicy dowiedziałem się, że wyładowanie się kończy. Niema poco chodzić, za wiele było rąk pracy, więc wracam do biura i proszę o zasiłek na podróż, co mam zaczynać w tem nieznanem mi mieście, lecz daremnie, niedługo stoję na ulicy (blisko morze, tam jest w głębi spokój); niema się co oglądać tylko poprawiam sznurowadła i wrócić pieszo, (żona może się już niecierpliwi), tylko 6 godzin, 5 »pomorskich« (papierosów) towarzyszyły mi do domu za ostatnie 20 gr. (czytałem kiedyś w gazecie, że papieros wzmacnia nerwy słabe) i tak jak dziś wróciwszy siedzę przy tej kawie, którą mi żona postawiła, dodając, że jutro pójdziesz sobie sam za nową paczką. Ja więcej nie pójdę, oni tak na mnie patrzą, jakby chcieli mnie zjeść (nie było za co) i po chleb też, wbija dalej na mnie i patrz co sprowadzisz do palenia, bo już dziś tu zimno, jak w psiej budzie (nic nowego dla nas). Jak zazwyczaj nic na to nie dałem odpowiedzi, tylko proszę o skarpetki, bo przez te dziurawe trzewiki w marszu z Gdyni w szalejącym wietrze z deszczem (uszy mnie tak bolały, mam je już od dawna chore i leci coś z nich stale, może tam głupi rozum wycieka), nazbierało się wody i dreszcz na całym ciele ogarniał mię, nogi mokre za kostki. Mówi żona: skarpetki ci mogę dać, lecz wiesz, że niemają podszew i choćbym mogła nie mam czem zacerować i przez ten przyciśnięty palec (cały dzień mnie okropnie rwał, płakałam od bólu), co miałam to sąsiadka spotrzebowała dla Bronka, wszyscy wyszarpani, prac nie mogę nic. Myślałam, że przyniesiesz jakiej maści, przyjdą mrozy, to się pogorszy. Pociężyłem ją, że bezrobotni mają

wolny kwit z Kasy Chorych. Może co wybiegam od p. Sołtysa, lub zastępcy, u którego byłem kilka razy w sprawie wsparcia lecz daremnie (w gminie niema funduszu narazie, ani biednych?). Byłem gnany do miasta powiatowego (Wejherowo). Pan Sołtys raz mi powiedział, że mam się starać tam co wydostać jakiego zasiłku (dałem się dopiero dnia 16 grudnia 1931 r. zarejestrować), byłem przyjęty jak jaki z nieba spadnięty, na surowe zapytanie z czego żem przez ten długi czas żył, było mi powiedziane, że tak i tak nic nie otrzymam (w duchu myślę: chyba pracy, tak źle nie jest, przecież niema wojny, czasy spokojne, chyba kryzys, nie widziałem jakiej większej gotówki już oddawna, no i o co płaczą, tu tak wiele może niepotrzebnie płakać). No, i gnany tam i z powrotem byłem jeszcze raz w mieście, gdy tam coś dawali na gwiazdkę, dzień przedtem p. Sołtys mnie coś obiecywał, że coś da, lecz wszystko daremnie, jak tam, tak i tu zawsze wracałem ze spuszczoną głową do domu.

Nie chcę tu długi gawędzić, do sprawy. Odpocząłem coś przy tej kawie, chciałem się ruszyć z krzesła, podarowane od sąsiada, tylko czekam aż się podemną załamie, lecz nogi jak ołów i teraz mam patrzeć jakiego drzewa. Godz. 23-cia czas do spoczynku (niepewnego), tak mię bolały i takie pchanie w plecach (lewa strona, już oddawna tam coś siedzi), nigdym tak zmęczony nie był, ale przecież żem jeszcze młody, nie dam się zawstydzić, świat otwarty przedemną. Przypominam sobie dwa przysłowia jakich poetów: »Bóg nic darmo nie daje, tylko otwiera, i człowiek ile zechce zabiera« i drugie: »nie rzucam prędzej rozpoczętego dzieła, jeżeli wiem, że możliwe dokonanie, przez to moje bogactwo«. Tak i ja nie rzucę pióra i zabieram się. Żona daje mi poszarpany worek i wybieram się. Gdzie — gdzie — mówi żona — lasu nie znasz, 1 godzina odległy, najbliżej na stację, tam dosyć tego leży, tylko uważaj, co cię jakie nieszczęście nie spotkało. Za drzwiami jeszcze coś żona mówi, lecz nie dosłyszałem. Idę, myśląc o »inseracie« — 250 zł., 100 zł., choć i 25 zł., żebym zaraz miał, wystarczyłoby na chwile: 5 kg. pergaminu, 1 »Demon« chemiczny, 1 Majewskiego Nr. 1 do nowych prac, 2 tuziny kalki, może z tegobym żył 6 tygodni i może dalej. W tem rozmyślaniu jestem blisko przy stacji, idzie ktoś przedemną, moje kroki szybsze, choć ciemno, rysy jak służbowego, byłem już przy steczce, gdzie chciałem zakręcić, i już tam niedaleko mały parkan przez tor i stopy drzewa, można palić całą zimę; jednak przeszedłem widzianą osobę, udając się umyślnie na stację, udawając jeźdźnego i patrzę na tablicę kursujących pociągów.

Patrzę, że to też jakiś jezdny, niepotrzebna moja obawa, i zaraz zakręcę do steczki, aby jaknajprędzej co zabrać i wrócić, już nogą jedną jestem przez parkan. W tej chwili zapala się nademną wielkie światło (kto by na tak coś niespodzianego myślał), żarówka elektryczna rzuca swe promienie wokoło, myszby nie uciekła z tej sytuacji, i w nogi mój drogi czempredzej. Już na ulicy, serce klepało jak młot, słyszałem jeszcze gwizdek nadchodzącego pociągu, niemożliwie i to, gnany silnym wiatrem, deszcz prał bezlitości zmieszany z lodem, karę, którą sobie zasłużyłem. W domu światło było podkręcone, oglądałem się w pokoju, cisza przyjemna, będę mógł przecież pisać, chociaż ciężko dla mnie, polskie pismo i tłumaczenie, nigdzie nie uczyłem się (we wsi będę uważany za Boga pisarza), tyle tylko co z domu wiem z polskiego, za to zostałem w szkole »polnisches schwein«. Tylko ksiądz na nauce wpajał nam kilka s, sz, ż, ź, tego nie zapomniałem, no i przy wojsku we świetlicy, przecież chciałem być instruktorem, nie udało się, od tego czasu karjera złamana, żałuję za późno, no i co tu wiele pisać o tej biedzie, dosyć jej się gryzie, i kto wie poco i zaco, może na śmiech ludzi się tu wyznawać i to tylko już nie bynajmniej według mnie, dzieci nie mają butów, ani co z ubrań, wszystko łąta na łącie, kupić niema za co, żona też na ostatnich dziurawych lakierkach chodzi, jak w niedzielę, tak w tygodniu w jednej i tej samej sukni. A co ja, to spodnie jak sito przed rozpadnięciem, o trzewikach już pisałem, że woda stale w nich się znajduje, niema co mówić o kurtce ze starego płaszcza wykrojonej, między ludzi niemożliwa. No, i latam od wioski do wioski, lub miasta proponuję wzory do haftów, które mozolnie nocami wykonuję niezręcznie. Mały odchód, za bezcen, pośmiew i inne rzeczy przykre nasłuchiwałem się, i drzwi nieraz byłyby mi nos utraszały, tylko myśląc o jakim korzystniejszym zajęciu wszystko cierpliwie znosząc nie zbogaciłem się. I jak po ślubie w chacie było, tak i dzisiaj, szafy nie znałem do dziś żadnej, ani innych mebli, w tych dwu łózkach bieda się położy i bieda wstanie. Najprzód miałem tylko jedno ciasne na tyle osób i było w niem pluskiew, aż się zaczynało dokoła roić. Pożalowałem ten dzień, kiedym je od jednej biednej wdowy odkupiłem, więc koniecznie potrzebowałem inne legery i odkupiłem 2 zużyte łóżka za 70 zł. od pisarza gminnego, co robić, choć gotówka była potrzebna na zapłacenie zaległych długów, no i robactwo po całym pokoju się rozlało i zapach ściskał piersi, o spaniu mowy nie było, trzeba było się tylko oganiać, i do tego przyłączyły się myszy, pożerali, straty. Szafy nie było.

nawet 2 szczury co noc pod nosem wachali — przechodzili z kuchni gospodarza domu, niedbalca i co gorsze pijaka nałogowego (dom już sprzedany, narazie porządek i gospodarz dobry), tylko czekał, aby co miesiąc zgarnąć 20 zł. za pokój. Chciałbym tutaj przytoczyć małą atrakcję. Nocy jednej mi było już za wiele tego robactwa, co robić, łapać (choć klatek kilka nastawionych, — w nie nie wchodzili) wszystko co się da, siedem myszów po jednej co pół godziny pod miską złapałem i walka z jednym szczurem udała się, udusiłem go na śmierć i spać dalej nie szło spać, bo było rano i w tym samym dniu spaliłem łóżko z milionami pluskiew.

Położyliśmy się na ziemię, było lato, nieźle i tak, ulga nie długo była, choć droga dosyć. Było więc teraz 2 łózka, to całe umeblowanie z tem krzesłem (jak raz kiedyś prosiłem jedną panią zająć miejsce to tylko Bogu dzięki, że kości nie połamała), no i piec to się nie liczy do mebli, chata, której ściany jak papier, przepuszcza mróz, i na odmianę z piecem między sobą walczą: jak piec mocniejszy, to mróz po ścianach płacze nad tą biedą. I tak namyślałem się po tym nieudalym wieczorze dzisiejszym, gdy byłem daremnie za tem drzewem i tu trudno pomyśleć o dalsze jutro i jeszcze mieć chęć czasy biedy spisywać i jak najlepiej i jak to wszystko do stolicy zajędzie, to będzie w piec wrzucone i ja mogę dalej sobie patrzeć, ja wiem co ja zrobię. Dosyć żem się tej biedy nagryzł, do nędzarzy nie liczę się, to ostatnie prosić się, i nierad idę, lepiej śmierć, lecz głowa do góry, rodzina nie śmie zginać, i już po północy, nafty może jeszcze na godzinę, teraz prędzej niema czasu tu byle co pisać, czytaniem kogo nudzić. Ja nie chcę jednak od biedy zginać, choć mnie gniecie jak 100 kg., ja jej pokażę, że ja ją będę gniótł. W tem się coś rusza — hej, co, gdzie jedzie — mówi coś żona w śpiku. Nikt nie jedzie, odpowiadam, ale jedzie — głupia, śpij dalej. Piszę jak głupi, nigdy w mojem życiu tyle nie spisałem cierpliwie. Wtem: chłopie, śniło mi się, żeś przyjechał z lasu z furmanką drzewa jak zwykle — (kupuję drzewo z lasów państwowych), a ja coś mówiła do ciebie, a ty mówisz, że nie jedzie, przyniosłeś jaką szczapę wieczorem. Nie chcąc się pomylić w pisaniu, mówię tak, nie wiem, co nie wiesz, nie wiem co dalej pisać, możebyś co doradziła, chodź tylko siedzieć przy mnie trochę, mnie tak straszno samemu. Nie wstanę, jestem spocona od snu i tu tak zimno, rzuć to w piec będzie cieplej, nie wiesz za co piesz, poco, choć spać i nie pal nadaremnie nafty, będziesz jutro stękał, że cię kości bołą, nie będziesz chciał wstać, ej, to tak nie

możesz. Budzik pokazywał 2-gą rano (napół potłuczony, na jednej nodze, miałem raz lepszy kieszonkowy, musiał lądować w lombardzie), to już, już idę spać tylko się napisze, co jutro wieczór będę pisał, to tak a tak nie jest nic pewnego, dobrze, napiszę — nic pewnego.

III. »NIC PEWNEGO«

Rano obudzę się przez otwieranie drzwi, żona jeszcze chrapała, wchodzi sąsiad, przynosi koszyk torfu, który wykłada przed piecem, mówiąc: wy śpiochy, pół do ósmej. Dzieci się pobudziły prędzej nie dosłyszałem się prędzej po wczorajszym zajściu, pewno zmęczony dosyć, śniadanie i dalsze zajęcie w mgnieniu oka załatwione. Poszedłem podziękować za dobry czyn sąsiada; o zajściu (sprzedawaniu wzorów) nie było mowy, wszystko daremne. Bliskie okolice obwędrowałem setki razy, muszę przecież dalej wyruszyć, na podróż też niema, dni krótkie, niedługo wieczór, wezmę się do pisania i raz z tem skończę. Może kto pożyczy na znaczek lub pošlę bez, może dojdzie, później trochę będę wszystko wiedział, może nie zdążę dziś wszystko spisać, no i żona też co napisze krótko, choć nie potrafi.

IV. »NIC PEWNEGO«

Już jako malec poznawałem życie przykre do zniesienia. Pamiętam z opowiadania najstarszej siostry, byłem może trzy lata, kiedy zostałem wyciągnięty z pod tylnych kopyt dorożki dwukonnej. Wypadku nie było, jednakowoż z przerażeniem obecnych widzów zostałem nazwany nieszczęśliwym, ojciec i matka się jeszcze dziwili, jak konie — jak kamień wryty zostali stojąc. Dużo nie warto opisywać, dużo więcej przykrości doznałem. Nadszedł czas szkoły. Zaprowadzony przez matkę, rozpocząłem osiem klas szkoły ludowej w Ch., gdzie się też urodziłem jako 4-ty w rodzinie, było nas całkiem ośmioro dzieci. Przy rozpoczynaniu szkoły była dla mnie trudna nauka niemiecka, w domu tylko po polsku, jednakowoż przeszedłem wszystkie klasy od 1-ej do 8-ej, nie zostając w żadnej z nich, co w szkole do »polnisches schwein« to zawsze niem zostałem razem z wielu innymi. Bogu dzięki, jesteśmy teraz w naszej kochanej Ojczyźnie. Ojciec mój był murarzem hutniczym i już, jak liczyłem 7 lat, doznał kalectwa i odleżał to w Król. Hucie; matka miała co z nami, gromada dzieci. Nadszedł czas, kiedy się musiał z nami pożegnać i na wieki, było to dnia 1 sierpnia

1914 roku, kiedy ojciec, wiedziałem, że był zaniepokojony, przybył z pracy wieczorem o godz. 10-ej i że musi jeszcze dziś do kuchenki w Katowicach; jak matka się dowiedziała o co chodzi, było już za późno, bez kolacji, 16 godzin ciężkiej pracy za sobą, musiał wyruszyć w niepewność dzieła wojennego. Nie pomagało błaganie matki, zostaliśmy w tej nocy sami, ciężka to była chwila, nikt tej nocy spać nie mógł, alarmy żandarmów i obawa przed nieprzyjacielem nie dała w tym chaosie myśleć o spoczynku; następny dzień szkoły wypadł, niektórzy nauczyciele też wyruszyli i tak nie jednej rodzinie wojna zabrała chlebobawcę i nikt się nie pytał, kto pozostałych będzie żywił. W kilka dni pocztówka, że ojciec jako szturmowca na granicy rosyjskiej, w pierwszej linii na froncie, było słychać, że kozacy byli nie do wstrzymania. W przeciągu 2 miesięcy było spokojnie na froncie i prosił ojciec w liście, że jest możliwe go odwiedzić, ponieważ kompanja jego jest na siłach wyczerpana i muszą się na nowo sformować w Sosnowcu. Uciecha, jaką w ten dzień tej wiadomości użyłem, nie do opisania. Matka zaczęła kilka rzeczy zawijać, o które ojciec prosił, i ja uprosiłem tyle, że też ojca będę mógł na wojnie zobaczyć. Wybraliśmy się z matką i jeszcze brat Antoni, siadamy do tramwaju, który nas zawiózł do Mysłowic, stąd pieszo przez Modrzejów i do Sosnowca, choć kawałek drogi, nikt o trudach nie myślał, tylko żeby zastać ojca na miejscu i zobaczyć się. Chwila nadeszła, gdy przy bramce szkoły w S. zapytanie matki o ojca było pomyślne, niedługo i stoimy w pokoju wyścielonym słomą, gwarzyło soldactwo, na widok osób nas przybyłych, wszystkie wzroki się zwróciły ku drzwiom, gdy nie wiem kiedy i już ojciec był z matką w serdecznych objęciach ze łzami w oczach naszych i kilku żołnierzy, najwięcej w starszym już wieku. Ta chwila życia mego jest tak wryta w moje sumienie, że nie potrzeba pamiętnika, i też nigdy żadnego nie posiadałem. Po krzyżowym pytaniu i wzajemnym powitaniu nadeszła chwila pożegnania, zostawić ojca na losie wojennym. I znów stoimy przy bramce szkoły, w której murach opuszczony mój ojciec. W domu pozostali oczekiwali z ciekawością naszego przybycia. Coś twarze zajaśniały, ojciec żyje, i nie w przodzie walących się kul, mordujących bezlitościwie.

Czas ofenzywy nadszedł, że już nieprzyjaciel pod samą Warszawą wycofnięty, w krótkim czasie klęska nad klęską, opisywały gazety o wielkim hurra, lecz niedługo front się zmienił i wycofanie się odwróciło. W czasie odwrotu chwile gorączkowe, ojciec mało

pisal, był znów tymczasem w przodzie, pocztówka jednak nas pocieszyła, pozostawionych w biedzie. Matka objęła zarabianie, chodziła do piaskowego dołu na 12 godzin, zarobek 1.20 marek dziennie, ojciec zarabiał 3.50 marek dziennie; siostra najstarsza objęła domowe zajęcie matki i niedługo znów list, lecz nie ojca, od podoficera, kolegi ojca ze wsi, w tej samej kompanji. Matka niepokojem ogarnięta otwierała drżącymi rękami list, czyta raz, ojciec nie żyje, coś niewyraźnego, dalej nie wiem, nikt się nie pytał, po zbladłej twarzy matki wyraźnie można było wszystko wyczytać, na której ciężkie krople potu stanęły. Chwila milczenia matki była nam wieczną, wyczekiwanie głosu jakiego, za późno, wyrwało jej się: nie żyje... dziatki... jesteście bez ojca. Data listu 21 listopada 1914 r. Zawczas poszedł w grób, za co? Na drugi dzień o pracy matki nie było mowy. Dopiero za tydzień listonosz — »rurka« z Berlina za ojczyznę i bitwy na polu chwały, krzyż, anioł i żołnierz na mogile, podpis: Wilhelm cesarz, to wszystko. Panie Boże ratuj nas, co z nas będzie! »Nic pewnego«. Ciężka choroba przygniotła matkę do łoża — konieczność szpital, ciężko do zniesienia to wszystko. Wojna szaleje dalej, nieskończone mordowanie się narodów, gdzie oko ludzkie sięgać mogło. Dzień nadszedł, gdy matka znalazła się w szpitalu, codziennie matkę odwiedzałem, przynosząc posiłki, na które nie starczało; kto mógł, to pomagał z rodziny. Żywność tylko za kartkami, i już 3 miesiące po śmierci ojca (pochowany pod Zduńską Wolą czy Sochaczewem), matki choroba się pogorszyła, nawet i co najgorsze, przeżyła operację żołądka, wyzdrowiała, wróciła do domu, aby w kole rodziny zakończyć życie 23 marca 1915 roku. Zostało nas 8-ro sierot, najstarsza siostra liczyła lat 17. Choć wojna mi jeszcze zabrała 2 braci, jednak szczęśliwie wrócili. Tymczasem zwolniony ze szkoły zaczynałem fizycznie pomagać wszelkimi siłami, poprzednio jako szkolarz już pastuszek do 6 krów. Renta była rok po śmierci ojca wstrzymana, po wypłaceniu zaległego było wszystko złożone w Kasie Oszczędności w Król. Hucie. Z tych pieniędzy do dziś dnia nic nie widziałem, nie wiem co z nimi się stało, przepadły. Po wyjściu ze szkoły rozpocząłem pracę na miejscu ojca, gdzie był opiekun Surra, jako dozorca. 12 godzin pracy w gorących piecach huty stali, niemożliwie do wytrzymania — pod warunkiem niedożywiania, drewniaki na nogach się paliły i łaty w rękach, pot nie warto było ścierać. Po dwutygodniowym wypoceniu się wyglądałem biały jak mąka i cienki jak nitka — koniecznie lżejszej pracy. Skończy-

łem po wykonaniu jeszcze 24 godzinnej dniówki, na drugi dzień już było dla mnie zajęcie inne i lżejsze, jako goniec w fabryce azotów; choć lekko, niedowiekowałem się, 9 miesięcy i za bramę. Rozkaz rządu pruskiego, poniżej 16 lat nikomu nie wolno pracować w fabryce z powodu szkodników w atmosferze. Zacząłem się uczyć jako ślusarz — nie udało się, kilka miesięcy, i bramy zamknięte z powodu rewolucji. Jeść się chce, trzeba się oglądać za nowem zajęciem. Tylko na kopalniach przyjmowali i zostałem przyjęty. W tym czasie walka o niepodległość. Miałem 15 lat tylko. Szkoda, za młody. Drugiego dnia w przeciągu 16 sekund znajdowałem się w podziemiach przy pracy zasypywania wybranych miejsc węgla kamieniami. Niebezpiecznie było w tych podziemiach, zawsze na śmierć przygotowany. Też nie wiekowałem tam długo, 18 miesięcy, musiałem skończyć z powodu nadwyrężenia, i do dziś dnia to odczuwam. Niedostateczne wyżywienie swoje dodało, i pożarło młode lata (w międzyczasie byłem przygnieciony wozem, co odleżałem i dziś jeszcze w krzyżach i lewej łopacie to odczuwam). Tymczasem brat starszy odemnie wyjechał na pracę do Francji i został tam zawerbowany do legjonu cudzoziemskiego, gdzie znalazł swoją śmierć. Po wyleczeniu znalazłem zajęcie w elektrowni, przepracowawszy 3½ roku — skończyłem z powodu zajęć rodzinnych. Wywędrowałem na ziemię kaszubską, w kilku miejscach już pracowałem. Niemożliwie się w pracy ustalić. W tym czasie służby wojskowej dwa lata, jak się też można ustalić, nieznanome prace, niestałe, przejściowe, lub sezonowe.

V. »NIC PEWNEGO«

Już jako dziewczynka¹⁾ doznawałam kilka przykrości życia, było nas 7 dzieci, dwoje rychło umarło, i ojciec okrutny opuścił matkę na trzy lata z jakiejś obawy, gdy jednak wrócił, pił i okrutny dalej był. Czasami na matkę rękę podniósł, co sprawiło jej wczesny grób, pochowana w Luzinie, gdzie obecnie mieszkam z dziećmi i mężem razem.

Ojciec się ożenił ponownie, i zaczęły się udręki i dokuczania macochy niemożliwe do wytrzymania. Ja i siostra, w tej chwili jeszcze przy życiu, może i ojciec? Prośby do ojca o zlikwidowanie niezgody w rodzinie odbijały się bezskutecznie. Nie do wytrzymania, opuściłam dom rodzinny w 14 roku życia. Z polecenia

¹⁾ Bezrobotny dołączył do swego pamiętnik żony — umieszczamy go tutaj według rękopisu, poczem w dalszym ciągu znów będzie szedł pamiętnik męża.

ojca objęłam służbę w B. R. u gospodarza. Ciężka to była dla mnie służba, 8 lat przepracowałam, gdzie się z polecenia tam sąsiadów dorobiłam chłopaka, który zawinił jeden gdowiec; staranie o wychowanie dziecka (nie otrzymałam nic przez namowę mądrych, dla mnie nieuczciwych ludzi) sprawiło mi gorzkich chwil życia nie do opisania. Po wyszukaniu wychowanki znalazłam pracę w Helu, gdzie się z mężem moim poznałam. Całą książkę bym tu mogła spisać, lecz do tego niema czasu, mój chłop też niema czasu. Siedzi już cały dzień przy tem piśmidle, ja mu już powiedziałam, jak się na pisaniu nie zna, to niech da temu pokój. Tyle papieru, co on spisał, rychlejby piec nagrzało, jak ten torf, co leży cały dzień w piecu i nie odczuwa się żadnego ciepła. Jutro musi koniecznie co zarobić, i palec bolący dokucza, przez noc był mróz, po tych mokrych dniach i już 17-ta godzina, 15 cm. śniegu napadało. Niema co tu się skarżyć, wszystko daremne, co z nas będzie? Czas kawy zagrzać dla męża, wyгнаłam go do p. Sołtysa, żeby pożyczyl dla chleba upieczenia, kto wie, czy tam go nie pognają. Był dziś w mieście i zmarzł jak rak i nic nie przyniósł, jedynie dla dzieci stare ubranko — подарowane od jednej pani, dla której wyrysował małą serwetkę. Chleb, co mu z sobą dałam, przyniósł z powrotem, na który dzieci opadły jak wilki. Dostał tam też kawy i chleba. Przed świętami dwa razy biegał do sołtysa — daremnie, w mieście dawali kartki o wartości 8 złotych i węgiel. Tam dzieci też dożywiane będą w jakiejś kuchni — i on się tam zgłosił, to mu powiedzieli, że na wsi jest więcej i ma patrzeć, żeby poszedł skąd przyszedł. To nie prawda, tu jeszcze nikt nic nie dostał, chyba co swoje tygodnie mają wyrobione, to dostaną wsparcie — a kto nie ma wyrobione, patrzy na swoją kapę co zarobić. Lepiej w mieście, boć w tej wsi niema się czego chwytac. Chłop mój głupi jak siano, nie wie już sobie żadnej rady, kartofli też już niema, trzeba się znów prosić i tak żyć z łaski.

Myślę, że otrzymamy wsparcie, jeszcze grosza nie widziałam od dłużej niż dwa lata, mam tylko jedną myśl, że ze stolicy co przyjdzie, już i sąsiadka o tem wie, że chłop mój tam coś pisze. Przyniosła obsadkę grubsza, bo go już palec boli od tego pędzla, no, już dosyć tego, tylko żebym wiedziała co jutro na śniadanie będzie. Już to łażenie po chatach mi tak gorzko przychodzi, że pod takimi warunkami się starać i kłopotić o to jutro — nie życzyłabym nikomu tego, i palec bolący mi tak dokucza, i muszę przestać, bo już bym zaczynała dalej o tej biedzie się skarżyć.

VI. »NIC PEWNEGO«

Zawiadomiony pan, u którego przed wojskiem pracowałem, (nie wiedziałem jako sam jeden gdzie po wojsku się udać) odpisał, że mogę dalej pracować, więc długo się nie namyślałem; dałem sobie wypisać bilet na Hel, z garnizonu. Więc pomagałem przy budowlu jego nowego gmachu (Hotel-restauracja), którego się tylko dorobił za polskich czasów, (dawniej zwana »lwia jama« no i prawdziwa), no i płacę tę samą otrzymałem jak dawniej, tylko zimą mniej 70 zł., że można mówić, więcej napracowałem się jak latem, choć 100 zł. i na każdy gwizdek musiałem być na nogach i myślałem, że po ukończeniu szybkiej budowy na lato już sezonu nie strzymam (latem praca od 5-ej rano do 11-ej wieczorem). Dziś już żona moja była wtenczas tak jak ja w tej samej służbie, tam zwana jako Elżbieta (więc jedyna dusza ta Elżbieta), starała się o wszystko drobniejsze dla mnie, która w tym ruchu pracy o mnie myślała, tak i ja myślałem o niej, poznaliśmy się przez wzajemne opowiadanie naszej biedy i samotności no i na końcu sezonu pokochaliśmy się na serjo. Od tego dnia pod nogami mi się paliło. Prosiłem, zmęczony pracą, pracodawcę o kartkę do lekarza, u lekarza stwierdzono zupełne wyczerpanie na siłach i nerwach, szpital i zupełny spokój dla mnie. Pierwszy dzień przespałem do następnego bez posiłków, lecz w dniach 10 odpocząłem i postanowiłem odjechać do domu na urlop i może odzyskanie ze strony sióstr i braci pomocy materjalnej na cele bliskiego wesela. Pracy już nie objąłem jak z jednego tak z drugiego względu i odmówiłem przed wyjazdem pracę w wędzarni. Więc zwolnienie i wyjazd załatwiłem i pożegnanie się z Elżbietą, co było i zarazem smutne (czuła się matką i państwo nie śmiało się o tem dowiedzieć, surowe niemcy) i omówiono, że i ona tylko na krótki czas zostanie. Odjazd i już w domu opustoszałym, biedy wokół i dokoła, i co tutaj mam do szukania, wróciłem, myśląc o późniejszych przygodach małżeństwa, namyślałem się, że to też będzie smutne wesele, że przecież chłopak, który tymczasem miał już 2 lata, ojciec, który się ani groszem nie odszkodował, żona nie chciała go żenić, ani chłopaka jeszcze malca oddać w jego ręce na jego żądanie. Malec, popierany bez opiekuna tylko od matki przez pracę na służbach, został w rękach wychowawczyni, więc i tenby się zaliczał po ślubie do rodziny i na tym biednym zarobku (więcej jak w poprzedniej służbie 4 zł. dziennie i tylko na sezon, jak ryby najwięcej się łowi). Z niepewnością

i obawą przed biedniejszym życiem — umówiliśmy dzień ślubu 12.II. 1928 r. W dniu urodzin dziś mojej żony, kilka płyt zepsutego gramofonu żałośnie dokończyli dzień wesela, no i dzień skończenia pracy.

VII. »NIC PEWNEGO«

Dnia następnego narady — co będzie dalej. Naprzód trzeba się oglądać za mieszkaniem, niemożliwie jako sublokator (u wdowy po zmarłym bracie żony) — dowiedziałem się, że na Dworcowej wolna mansarda. Ściany z desek, przez który wiatr wiał, było raz kiedyś wybielone, jedno łóżko pożarte od robaków i dziurawe krzesło, odłamek lustra i zardzewiała miska (pomyślałem w moim duchu, że jeszcze w moim życiu tak nie mieszkałem). Jednak niema czasu, zgoda jako umeblowane mieszkanie 25 zł. miesięcznie, i już pożyczyłem połowę jako zadatek konieczny. Żona była w szpitalu oczekując położu, dokąd wracam uciesznie — była tam szwagierka i razem z żoną odmawiali mi od czynu, który popełniłem (dziś żałuję, może prędzej bym miał pracę i komunikację lepszą) i na drugi dzień odmówiłem i proszę o zwrot zadatku (do odmówienia przeszło tylko 11 godzin czasu) — niema mowy, miał tam być jakiś pan i mam szkodować. Za jakieś dwa tygodnie gnany z biedy uprosiłem 10 zł. i reszta przepadła w kieszeni bezlitosnego bogacza. Doczekałem się dnia, kiedy żona mnie pocieszyła córeczką (Gertrudą) — miły mi do dziś dnia dzieciak, jeszcze 2 tygodnie potym i wszyscy bez dachu nad głową — jedyny ratunek w tym krytycznym czasie mieszkaniowym. Dowiedziała się żona (szwagierka nie chciała nas dłużej trzymać) w szpitalu od jednej chorej, że w Luzinie gdzie obecnie mieszkam, są wolne mieszkania, i jazda w niepewność, w nieznaną mi dotąd wioskę, gdzie biedne rolnictwo, ziemia chuda i piaski, i gospodarze na robotach jak i my. I znalazłem mieszkanie, zaraz umowa 15 zł. za pokój 3 x 3 m. i koniecznie $\frac{1}{4}$ litra, inaczej by nie było — mówi gospodarz, co zrobić — aby dach nad głową. Już z powrotem w tym samym dniu zawijam resztki nasze, wszystko razem na plecy — i jazda; wróciwszy zabrałem dziecko i jazda razem z żoną w niepewność życia, pęk słomy, bo już wieczór, i dach nad głową. Dnia następnego po chłopaka do wychowanki, też biednej jak mysz kościelna, (nieład, niedostateczne wychowanie, nad którym dziś ogromnie cierpimy) zabieram chłopca i w domu razem policzyłem — 4 osoby, bez roboty i na dwa dni chleba. Komunikacja licha, zacznam chodzić do mia-

sta już trochę znanego mi (i tam też psy bosy chodziły). Ostatni pracodawca nie wklejał znaczków celem wsparcia i na ten Urząd miałem obawę iść za zasiłkiem — może bezcelowo, i tak chodziłem aż buty odmówiły posłuszeństwa. Dnia jednego próbowałem do Gdyni miasta portowego. Słyszałem, że o pracę tam tak trudno nie jest. Dobrzy ludzie pożyczili mi na podróż i jazda do Gdyni. Przybyłem nie znając się i latałem, zapytując się gdzie i ówdzie, lecz trudno-darmo, i wieczór na karku, głodny do tego. W tem rozmyślaniu trafiłem na kolegę z wojska i skarżyłem mu się, że bieda mnie gniecie i pracy nie mam. Mówi na to, że jutro możeby się dało co zrobić poza pośrednictwem (było już tam dużo bez zajęcia zarejestrowanych), przyniesiesz tam z pół litra, dobrze, zgodziłem się, co ja dziś jednak tu zacznę, możebym przez noc mógł pracować. Dobrze zobaczę co się da zrobić. Od tego wieczora rozpocząłem pod dokuczliwymi niemożliwościami wspólnych robotników, że byłem wywyższony, jednak praca najgorsza w bunkier do okrętu, jak wagon węgla odrazu wsypano w ciemność, to myślałem, że się świat zawala i z obawą pokaleczenia przepracowałem głodny pierwszą noc, i trzy dni tylko wiekowałem przy tej pracy — nie udało się wsunięcie przez kolegę, toby było może więcej dni, jednak liter za litrem niemożliwie, jak wiele innych to czyniło, i co zarobiłem, przepodróżowałem bezcelowo. We wsi oglądałem się, lecz co tu rozpoczynać, gdy niema gdzie, jedynie smarowałem dachy, co starczyło zapłacić za mieszkanie, ażeby nie znaleźć się na ulicy, co przepowiadał gospodarz. Tak może w miesiąc otrzymałem pocztówkę z W. wsi, że jest dla mnie na 6 tygodni robota jako podający. Letnicy z Warszawy i Krakowa przyjeżdżają tam jako na urlopy zdrowotne, mam objąć obsługę, coś się znałem na tym zawodzie; jednak bez nauki, nie wiem czy się uda ta praca. Jednak myślę, trzeba brać póki czas, chleb może pewny, tylko jak się ubrać? Miałem czarny krawat ślubny i białą koszulę, jednak ubranie niemożliwe, też ślubna kurtka (ekstra) jeszcze z wojska, i spodnie pożyczyłem sobie, choć to nie składało się między gości, taka zniekształcona figura, i halbki co miałem były dziurawe, bez jednego obcasa. Jednak odważny, jak nie wiem, przedstawiłem się u gospodarza, mówił, że białą kurtkę trzeba mieć, nietylko jedną, najmniej dwie — i trochę wyprasowane spodnie. Udało się przyjęcie, myślę jak zarobię, to będzie wszystko co trzeba, naprzód jednak coś dla rodziny. Zostawiłem wszystko na miłość Boską, aby tylko praca, i też szła choć niezręcznie; jednak 130 obiadów i więcej jeszcze przy pomocy

(jak było potrzeba) córki gospodarza postawiłem na stół. Z grzecznością i uprzejmością, której się w międzyczasie przyuczyłem i niedaremnie, za dobrą usługę zawsze coś dali. Pierwsza tygodniówka 50 zł. powędrowała do chaty i uciecha nieskończona, jednak nie zawsze jest niedziela. Urlopy się skończyły i nie było komu talerza stawiać. Ciężko pomyśleć, że znów bez pracy. Co teraz, trzeba też jako żywiciel się postarać o jakie przykrycie na zimę, no i opału i jakiego gałgana dla nas wyszarpanych. Myślę, może ktoby był z mojej lub jej strony zamożniejszy, coby nam trochę dopomógł w tej sytuacji. Wtem mówi żona: będziemy mieli się czem przykryć może, napiszę do ojca; za życia matki mojej była mi pierzyna przeznaczona (już pisaliśmy o nią kilka razy, mieszka zagranicą i bez skutku). Postanowiliśmy osobiście to zbadać. Po wykupieniu przepustek granicznych zabraliśmy się w drogę na piechotę, zostawiając dzieci pod opieką córki gospodarza. Już za granicą 15 klm. dowiedzieliśmy się, że mieszkanie ojciec jej zmienił.

Przez wskazaną drogę nareszcie na miejscu. Przyjęte jak z ziemi wyrosłe, przedkładamy naszą prośbę, daremne były nasze trudy, powiadano nam, że pióra zgniły i nie dowierzam tego do dzisiaj, macocha je wyspała dla swoich dzieci. Poczęstowali nas chlebem z margaryną, po której tydzień chorowałem. Po powrocie byliśmy jeszcze w Niemczech zatrzymani za nielegalne przestąpienie granicy. Naliczyli nam kilka klm. za które mamy płacić 60 marek kary natychmiast. Pożałowałem, że nie pomyślałem o tem, że przepustki tylko na odległość 15 klm. zagranicą są ważne, tylko na błaganie żony, która tyle wyplakała, mówiąc o sprawie, uwolniono nas. Zmęczeni tą drogą przybyliśmy do domu, gdzie dzieci potłukły resztki porcelany, której kawałkami się zabawiały. Po tem wszystkim starałem się wszelkimi siłami o robotę i tak może ze dwa miesiące i przez ten czas sprzedawałem wszystko, co było wartościowe, i długu za uszy. Nareszcie otrzymałem pracę przy nasypach kolejowych w Gdyni. Tak może 8 miesięcy i redukcja chciała, żebym znów stanął na ulicy. Tymczasem musiałem wypróżnić mieszkanie, inne czekało na mnie 5 zł. drożej i nie większe, z połamanym piecykiem żelaznym i obawą pożaru. Niedługo mieszkałem, musiałem zmienić, no i jeszcze gorzej, zimą wiatr w pokoju, piec niemożliwie napalić, dym i obawa przed pożarem (jako w chacie słomą nakrytej i starej od wieków) nie do wytrzymania w czasach mrozu i 20 zł. już i tak niemożliwie płacić, postanowiłem zmienić. Jak już na pierwszych stronicach zaznaczyłem niemożliwie — i jak to już mrozu

15 st. może, i śniegu — niewiem, boć siedzę tu i piszę te grzechy — i kurzawa taka, że nie wiem co będzie — i jutro koniecznie opału mi trzeba, boć zima mnie trzepie, pracy niema, co tu zaczynać, jak już od 2¹/₂ roku cierpię i cierpimy nic nie skarżąc się, tylko dopiero mam tę możliwość i cierpliwie staram się wszelkimi siłami i nadwyrężeniem o dalszy byt. To co przez 6 tygodni latem zarabiam — i do tego też poczułem obniżkę płacy 10 zł. miesięcznie, co ma starczyć na cały rok. Co z wzorami, to niejedną noc przesiedziałem do rana — nie znam się wogóle na wykonaniach, tylko co mogę i czasem tydzień namyślałem się, aby złocisza zarobić, to tego popsuję więcej papieru jak to przedstawia wartość i czasem daremnie i zwrot — niewyraźnie lub niemożliwe do haftów. Jak miałem palec bolący, to nie wiedziałem sobie żadnej rady tylko po chatach latać i oryginały wyprzedać za bezcen i dalsza rada pogrzebana. I kończę, żona niepokoi się z obawy jeszcze może nagany, choć nie wiem za co, przecież miałem biedę spisać. No i jak odesłać, spróbuję w Wejherowie na poczcie, może będę miał szczęście, czy to pójdzie do celu. Pożyczyłem sobie lampy, aby tylko skończyć, raz byłoby lepiej na wieki.

Luzino, pow. Morski, dn. 1 stycznia 1932 r.

Elektromonter
zamieszkały w Siemianowicach

D O L A B E Z R O B O T N E G O

Oto udaję się do Szanownego Instytutu, jako bezrobotny z żaleniem na dzisiejsze czasy ciężkie, nietylko w Polsce, ale i wogóle na całym świecie panuje kryzys gospodarczy.

Jestem tak samo nawiedzony klęską bezrobocia, od 15 sierpnia 1930 r. muszę walczyć na każdym kroku, aby głód i nędzę zaspokoić. Rodzina składa się z czterech osób, żaden nie pracuje, więc napiszę jak walczyłem z klęską głodową.

Gdy byłem na bruku, wyruszyłem na wiosnę 1931 r. za pracą, jechałem na gapę pociągiem osobowym do Tarnowskich Gór, Ostrowa, Pleszewa, Jarocina i Poznania. Przed każdą główną stacją wyskoczyłem z pociągu, aby iść od wsi do wsi, zapytać gospodarzy, czy nie mają pracy na roli, gdzie się zapytałem była odmowa, prawie się zatrzymałem, gdy u jakiego gospodarza narabiałem drewna, co dostałem ciepłej strawy do posilenia. Przebywałem tam przez cztery tygodnie, co przyjechałem na gapę z powrotem, ażeby w domu walczyć z klęską głodową. Przyjechałem do domu głodny i wyczerpany ze sił, co się porządnie posiliłem, położyłem się do snu, aby się porządnie wypocząć. Wstałem ze snu i ku ogromnej mej radości dowiedziałem się, że ojciec pracuje w hucie Laury, tam pracuje, ale jak praca idzie, zaledwie od 4 do 6 dniówek na miesiąc, co zaledwie otrzyma 50 zł., a najwyżej to już jest 60 zł. miesięcznie, co z tego trzeba za dwa pokoje ze światłem i wodą płacić 26 zł., zostaje 24 zł. Trzeba dziesięć razy się namyślić, gdzie jaki grosz udać na najważniejsze pożywienie, nie licząc już ziemniaków i kapustę. Na zimę nie stykać na ziemniaki, to się muszę postarać i na moje barki wziąć, to idę do dwora, gdzie robotnicy wsypywają do

brogów ziemniaki, proszę ich, żeby byli łaskawi i dali mi ziemniaków, bo jestem bezrobotny i nie mam ich za co kupić, co z miłą chęcią uczynili mojej prośbie zadość, więc kazali mi przychodzić z workiem, co z radością uczyniłem, nanosiłem ziemniaków na osiem centnarów ku ogromnej radości rodziców. Z urzędu gminnego nie otrzymałem ich, zapomnieli o mej doli, co ich jedna część tak samo nie dostała, nasza gmina jest zapomliwa na danie i zaspokojenie wszystkich bezrobotnych. Co do kapusty, to około godziny drogi od Siemianowic, są tam pola zasiane kapustą, co większe głowy pobiorą właściciele, mniejsze znów zostawiają dla bezrobotnych, co wtenczas biorę wózek ręczny i jadę po nią, co nabiorę pełny wózek i dwa worki, znów jesteśmy zabezpieczeni na zimę. Obiady mamy jak następujące: zupa kartoflana albo zupa chlebna, to jest wszystko, na niedzielę znów pieczeń, trzy śledzie słone pomelać na maszynce, cebuli i pieprzu się da, wyrobi się na taką masę i to są klopsy, czyli pieczeń, do tego więc trzeba się wziąć kapusty, ziemniaków i to jest obiad, jaki mamy na niedzielę.

Do rzeźnika nasze nogi ich progi nie przejdą, to jest tak, jak gdyby tam zły duch przebywał, co go tylko pieniędzmi idzie wypędzić, co my jako bezrobotni tego nie mamy. Obiady to ja już w domu nie jem, a z kuchni dla bezrobotnych tak samo nie idę po obiad, bo trza płacić za obiad 10 groszy, co ja ich nie mam, nie dostaję znikąd ani złamanego szeląga. Więc idę się posilić do cici, babki, znajomych i przyjaciół, nie przyznam się, że mi głód dokucza, że mam pasek przyciągnięty z całych sił, jak wam wiadomo, gdy się człowiek przyzna do biedy, to już jest u nich pewna niechęć do bezrobotnych, znów jak się stroi żarty od biedy, to można ich w błąd wprowadzić i zaraz szykują podwieczorek, kolację, gdy się zastaje przy obiedzie, wtenczas proszą na obiad i t. d.

Mam takich 5 miejsc dobrych, co raz w tygodniu idę to tu, to tam i jestem dziennie zajęty przy jakimś posiłku co tylko mnie jest wiadome.

Oto jeszcze mam jedną trudną rzecz do pokonania, co jej nie mogę zwalczyć; jak wiadomo Szanownemu Instytutowi, że jeśli się jest od dwóch lat bez pracy, to się człowiek ogromnie wyniszczy, zostałem tylko w jednym ubraniu, a ile jest wody na ulicy, to tyle mam jej w bucikach, gdy są niedziele i święta, to muszę w domu przebywać, bo jak się pokazać na ten boży świat w takim stroju, żebym miał się w co ubrać, szedłem Bogu podziękować nad moim opiekunem, co się zlitował nad dolą bezrobotnego. Tak samo bę-

dzie wiadome, że bezrobotny ma czas do namysłu i ma umysł więcej rozwinięty jak ten co jest zajęty w biurze czy w szkole i ma czas do przeprowadzenia różnych prac i dzieł. Ja, jako bezrobotny, mam takie upodobania, żebym miał papier, albo jaką książkę próżną, tobym pisał jakie powieści, choć to trudna rzecz, to wszystko idzie pokonać, to jest nad wolną wolą człowieka.

Myślę, że Szanowny Instytut Gospodarstwa Społecznego przychyli się do głosowania nad biednym bezrobotnym i prosi Boga, żeby był w jego opiece.

Jak mi wiadomo, to Instytut Gospodarstwa Społecznego chce mieć opracowanie, jak zapobiec klęsce bezrobocia. Nie mam żadnego wykształcenia, co muszę się sam kształcić, a to przez książki naukowe, dzienniki i różne inne rzeczy, co mam wypożyczone przez ks. wikarego O., z parafji miejscowej, z zawodu jestem elektrykarz i pracowałem w hucie Laury, tam, gdzie ojciec jest zatrudniony. Nie będzie to Szanownych Panów zajmować i piszę według mego poglądu do zażegnania klęsce bezrobocia. Oto jest mój plan jak następujący:

1. Żeby wszelkie organizacje, związki, partje, przyłączyć do jednego generalnego związku bezpartyjnego, wszyscy jak jeden mąż do niej należeli. Ci wszyscy udadzą się do rządu, aby wszelkie fabryki, huty i kopalnie przyłączyć do jednych rąk, to jest do upaństwowienia. Jeżeli się naród będzie tego domagał i będzie wszystko upaństwowione, wtenczas nie będzie w Polsce ani jednego bezrobotnego, nie będzie zamówienia żadnego, wtenczas będzie pracować się po sześć godzin na dobę, a to nie pomoże, to po pięć dniówek na tydzień, ale wtenczas wszyscy będą mieli pracę i jednakowo będą pracowali, bo rząd na to będzie dbał, a nie tak, jak panowie baronowie, kapitaliści, co gnębią cały naród i kraj do ruiny przyprowadzą. Jeżeli cały naród na upaństwowienie się zgodzi, to i rząd będzie z tego dzieła zadowolony i panowie kapitaliści muszą pozbiierać swoje manatki i opuścić ten kraj, a żadne państwo się nie wtrąci do tych spraw, bo naród się tego domaga.

2. Druga rzecz, nie potrzeba sejmu śląskiego, bo co sejm śląski załatwi, potrafi to zrobić sejm warszawski, może żeby się lepiej postarał o klęsce bezrobocia na Śląsku, jak sejm śląski i przez to jest darne pobieranie poborów przez panów posłów sejmu śląskiego.

3. Trzecie, jak wiadomo, węgiel na Śląsku jest tani, a gdy się go wywozi, to zagranica ma go jeszcze taniej jak tu na Śląsku,

a w głębi w Polsce jest nawet pięć razy tak drogi, to jest o węgla.

4. Czwartą rzeczą jest cukier, do Anglii się posyła go w tak fatalnych niskich cenach, co nie do uwierzenia, a w kraju trza trzy razy tyle płacić, na co się to zda, niema przecie żadnego sensu, a konkurować z innemi krajami, albo żeby utrzymać eksport, to lepiej, żeby w kraju było taniej, a zagranicę drożej wysyłać, to wtenczas zmniejszyłoby się bezrobocie, a naród będzie zadowolony z gospodarki.

To jest wszystko, co miałem do zażalenia przed Instytutem Gospodarstwa Społecznego i myślę, że Szanowny Instytut przychyli się do mego zażalenia i w godnych rękach będzie ważył los mój ciężki.

Siemianowice, dn. 29 grudnia 1931 r.

Robotnik fabryczny
zamieszkały w Cieszynie

PAMIĘTNIK BEZROBOTNEGO

Mieszkaliśmy w jednym z przemysłowych miast Śląska Cieszyńskiego (dziś należącym do Czechosłowacji). Ojciec mój był sztygarem na kopalni węgla, wśród ciągłych niebezpieczeństw utraty życia musiał ciężko pracować na utrzymanie swej rodziny. Było nas troje dzieci. Ja jako najstarszy z nich chodziłem już drugi rok do szkoły. Janek 6-letni i Helusia mająca wówczas cztery lata, było mojem rodzeństwem. Matka nasza, chociaż wąlla na zdrowiu, starała się nas wychować na porządnych ludzi, żebyśmy, jak mawiała, gdy dorośniemy, byli podporą rodziców. Lecz los chciał inaczej.

Było to pewnej jesiennej nocy. Spałem w swoim miękkim, bielutkiem łóżku snem kamiennym, gdy wtem mię przebudził przeraźliwy ryk syreny na kopalni. Usłyszałem tupot nóg po bruku i jakieś krzyki. Zerwałem się z łóżka, wciągnąłem na siebie odzież i choć bałem się matki, pobiegłem ku kopalni. Przed dużą bramą stały już niezliczone tłumy; mężczyźni, stojący gromadami, coś żywo opowiadali, kobiety płakały i lamentowały, tworzyło to razem nie do opisania harmider. Nie mogłem zrozumieć co to się stało. Przybliżyłem się więc do grupki ludzi i podsłuchiwałem ich rozmowę. »Nale co prawicie Przywaro, że gazy wybuchły na szachcie. — Dyć przeca teraz idę z postrzodka, spytolech se inżyniera. Snociej, że jest jeszcze na spodku dwanost hawirzy i że nie trufają, żeby se ich dało żywych wydostać na wyrch«.

Gdy to słuchałem, serce mi zamarło, za gardło coś dławilo, wszak mój ojciec poszedł do pracy na nocną szychtę i czy czasem nie znajduje się tam w pośród tych dwunastu, o których opowiadał górnik. Stałem oparty o mur i różne myśli przychodziły mi do

głowy, gdy wtem tłum się rozstał przed ludziami, niosącemi na noszach ciała górników. Noc była księżycowa i było jasno jak przez dzień. Wszystkie oczy zwróciły się na zwłoki niesione przez ludzi do budynku, gdzie kiedyś były magazyny. Oczy moje wpatrzyły się w rysy każdego górnika na noszach, gdy wtem zobaczyłem mego ojca między innymi, krzyknąłem, chciałem się rzucić ku noszom. Lecz ktoś mię mocno pochwycił, chciałem się wyrwać, ale w oczach mi pociemniało i straciłem pamięć.

Kiedy przyszedłem do siebie, znajdowałem się w swoim łóżku. Matka zapłakana pochyłona była nade mną i troskliwie się we mnie wpatrywała. Z trudnością podniosłem się na posłaniu i rzuciłem się jej na szyję. Przytuliła mię do siebie i głośno zapłakała, bo już o wszystkim wiedziała.

Odtąd już matki nic rozweselić nie mogło. W strapieniu i w ciężkim smutku, stawała się coraz mizerniejsza. Włosy posiwiwały, a na twarzy robiły się głębokie zmarszczki. Pewnego dnia ciężko się rozchorowała. Przywołany lekarz zarządził przewiezienie biedaczki do szpitala. Mną i mojem rodzeństwem zaopiekowali się sąsiedzi. Dopiero teraz zrozumiałem, co to jest utrata matki. Tęsknota za nią codziennie mnie gnała do szpitala, żeby móc ją chociaż zobaczyć. Lecz jednego dnia stan zdrowia tak się jej pogorszył, że mię nie mogła nawet poznać. W kilka dni później umarła. Pochowano ją obok grobu naszego ojca. Nikt nie zrozumie co się wówczas w mej duszy robiło. Jedyne ukojeniem mojem były łzy, które w ukryciu obficie wylewałem.

W jakiś czas po śmierci matki, przyszedł urzędnik i zabrawszy mię i mojego brata Janka, zaprowadził nas na dworzec kolejowy. Następnie wsadził nas do pociągu, który wkrótce ruszył. Patrzyliśmy z okien wagonu jak nam w oddali znikaly kominy fabryczne i szyby kopalń. Jechaliśmy już kilka godzin, a nie wiedzieliśmy dokąd. W południe wysiedliśmy na jakiejś większej stacji, gdzie towarzyszący nam urzędnik kupił nam obiad. Następnie wsiedliśmy do innego pociągu. Jechaliśmy teraz u stóp pięknych gór pokrytych już śniegiem. Ku wieczoru wysiedliśmy w małym górskim miasteczku. Konwojujący nas urzędnik dopiero teraz powiedział nam, że ma rozkaz oddać nas do zakładu sierot. W kilka godzin później leżałem z Jankiem w zakładowych łóżkach w dużej sali. Na niej to stały żelazne łóżka rzędami, podobnie jak we szpitalu. Spali na nich nasi mali przyszli współtowarzysze doli i niedoli. Spędzałem pierwszą noc daleko od rodzinnych stron. Nie

mogłem tej nocy zmrużyć oka choć byłem znużony całodzienną podróżą. Myśli moje pobiegły tam ku szybom kopalń, dymiącym kominom fabrycznym, ku mogiłom rodziców i ku mej małej siostrzyczce Helusi. Teraz ona daleko od nas na wychowaniu u obcych ludzi. Wszystko to daleko, a ja z Jankiem mieliśmy rozpocząć nowe życie.

Powoli przyzwyczailiśmy się do swego otoczenia i do swych rówieśników, sierot, tak jak my, którym Bóg tak samo jak nam zabrał rodziców. Szczególniej polubiłem pięknego chłopczyka, który ze mną do jednej klasy chodził. Nawet w jednej ławce siedzieliśmy. Po nauce wspólnie odrabialiśmy zadane lekcje. Nazywał się Przybyła Władek. Ojciec jego zginął w walce z Czechami, a matki nie pamiętał.

Mijały lata, lecz nigdy nie mogłem zapomnieć o siostrzyczce i o stronach rodzinnych. Śniłem we śnie i marzyłem, żeby kiedy jeszcze zobaczyć Helusię i złać groby rodziców gorzkimi łzami. Pewnego dnia, gnębiony straszną tęsknotą, zwróciłem się o radę do naszego nauczyciela. Lecz ku memu zmartwieniu dowiedziałem się, że moja miejscowość urodzenia znajduje się już zagranicą. Że przed dwoma miesiącami podzielono Śląsk Cieszyński między Polskę i Czechosłowację. Usłyszawszy to postanowiłem za wszelką cenę dostać się do miejsca rodzinnego i odnaleźć i zobaczyć siostrę, skoro tylko zwolniony zostanę ze »sierocińca«.

Czas szybko mijał i ani nie nazdałem się kiedy opuszczaliśmy z Władkiem szkołę, po jej ukończeniu mając lat 14. Przez ten czas zaprzyjaźniłem się serdecznie z nim. Musieliśmy teraz pomyśleć o własnym utrzymaniu, bo tylko do tego czasu wolno było być w zakładzie.

Odbyliśmy więc z Władkiem naradę, w czasie której postanowiliśmy udać się do Cieszyna, odległego stąd o kilkanaście kilometrów, w poszukiwaniu pracy. Zawiadomiliśmy więc »przełożoną« o naszym zamiarze. Przyjęła nasze oświadczenie z zimną obojętnością. Kazała nam tylko wydać dwie wełniane kołdry i trochę żywności na drogę, dawszy nam naprzód długą naukę o moralach.

Nazajutrz, skoro zaświtało, zbudził mię Władek i przypomniał mi o naszych przedsięwzięciach. Zerwałem się więc z łóżka, a w pół godziny później szedłem z mym przyjacielem w świat, do walki o byt. Był piękny, czerwcowy dzień. Szliśmy miedzami przez pola, zdala od szosy i kurzu robionego przez przejeżdżające auta. Jakaś radość i szczęście nami owładnęły, czując że jesteśmy swo-

bodni i wolni wśród tych pól zielonych i różnobarwnych kwiatów. Słońce było już wysoko, a nam zaczął na dobrze głód dokuczać, usiedliśmy więc pod rozłożystym dębem. Wyjęliśmy ze zawiniątka chleb i kawałek wędliny, danej nam w zakładzie na drogę. Jedliśmy, aż się nam uszy trzęsły, popijając wodą z pobliskiego źródła. Po krótkim odpoczynku ruszyliśmy w dalszą drogę. Wypadała nam teraz droga przez las śpilkowy, a że słońce na dobrze przypiekało było nam to na rękę. Szliśmy teraz wśród świegotu przeróżnych ptasząt i woni, którą drzewa śpilkowe naokoło rozlewały. W kilka chwil później znaleźliśmy się w pośród dużego borownika. Władek zaczął zbierać słodkie jagody, a ja, idąc za jego przykładem, naśladowałem go. Słońce staczało się już ku zachodowi, a myśmy tego nawet nie zauważyli, zajęci zbieraniem i zjadaniem smacznych borówek. Dopiero gdy słońce zaszło i chłód poczuliśmy na ciele, zaprzestaliśmy naszej uczy. Noc nadchodziła, a myśmy znajdowali się w lesie. Trzeba było nam pomyśleć o jakimś noclegu, wyszliśmy więc z lasu i skierowaliśmy się przez pola ku rysującym się w oddali budynkom. Nie uszliśmy daleko, gdy natrafiliśmy na dużą skoszoną już łąkę. Większa część siana była ułożona w kopkach. Chciałem iść dalej, lecz Władek pociągnął mnie, oświadczając mi, żebyśmy się wyspali w sianie. Nie namyślając się długo ułożyliśmy się w niem jak można najwygodniej tak, że nas nie było nawet z niego widać. Wkrótce też chrapaliśmy już na dobrze.

Gdy się obudziłem, stały nade mną jakieś kobiety z grabiami. Jedna z nich głośno wołała: »Pójdźcie haw dzieuchy, tu śpią jacysik chłopcy«. W chwilę później znaleźliśmy się w otoczeniu ośmiu czy dziewięciu kobiet. Zaczęły się nas wypytywać cośmy za jedni. Gdy usłyszały naszą historję, opowiedzianą przez Władka, jedna z nich rzekła: »Boroki chłopcy, ty Zuzka zakładź ich do folwarku, a niech im do Putniorka jaki śniodani bo bydum chłopczyska głodne«. Jedna z kobiet położyła grabie i kazała nam iść z nią. Szliśmy za nią posłuszni, tembardziej, że okazywała nam szczere współczucie. Wkrótce znajdowaliśmy się w dość dużym dworze, a następnie zaprowadzono nas do dużej kuchni. Koło pieca krzątała się już niemłoda kobieta. Była to Putniorka. Gdy nas zobaczyła wchodzących, odezwała się do kobiety, która nas tu przyprowadziła i zapytała się ją o nas. Gdy nasyciła swą ciekawość, postawiła przed nami misę »żarnówki« ze »szpyrkami«. Posililiśmy się, bo głód już nam dobrze dokuczał. Następnie, chcąc się jej odwdziżyć za gościnne przyjęcie, nanosiliśmy jej drzewa ze szopy i wody. Chcieliśmy zaraz ruszyć

w dalszą drogę, lecz przeszkodziła nam poczciwa Putniorka, rzekłszy do nas: »Jeszcze kęs cesty do Cieszyna, a poco macie se tropić pieszo skoro możecie jutro jechać z mlyczorzem. Stary Bulandra dycki każdy dzień jeździ z mlykiem do miasta«. Pozostaliśmy więc jeszcze cały dzień i całą noc w gościnnym dworze. Nazajutrz wczesnym rankiem, kiedy się obudziłem, zobaczyłem Władka jak pomagał już mleczarzowi w czyszczeniu i futrowaniu koni.

Niedługo potem jechaliśmy z mleczarzem ku miastu, podziękowawszy wprzód serdecznie za gościnność i okazaną nam życzliwość. Pożegnano nas tak, jak rodzice żegnają swe dzieci, gdy się więcej nie mają z niemi widzieć. Wręczono nam nawet paczek ze żywnością a zarządca wcisł nam do ręki kilka złotych. Pełni radości i otuchy jechaliśmy do naszego celu.

W kilka godzin wjechaliśmy do miasta. Po krótkim pożegnaniu z Bulandrą, ruszyliśmy śmiało w nieznane nam ulice. Znaleźliśmy się teraz w nieznanem nam mieście bez pracy i bez dachu nad głową. Nie traciliśmy jednak nadziei, ufni, że uda się nam znaleźć jakieś zajęcie. Lecz srogośmy się zawiedli. Napróżno chodziliśmy od fabryki do fabryki i do różnych warsztatów. Zmierzano nas tylko wzgardliwem okiem i wszędzie slyszeliśmy tę samą odpowiedź »niema roboty«, nierzadko powiedzianą w obcym języku. Gdzieindziej powiedziano nam, że jesteście za słabi. Napróżno twierdziłiśmy, że mamy dość siły, żeby tylko otrzymać jaką pracę. Strapieni i złamani na duchu nie wiedzieliśmy co teraz począć. Na dobitek złego znaleźliśmy się bezradni, gdyż noc nadchodziła, a nie wiedzieliśmy gdzie ją mamy spędzić. Władek, mój ukochany przyjaciel, poradził żebyśmy w poszukiwaniu noclegu udali się raczej za miasto. Tak też uczyniliśmy, bo za miastem łatwiej spodziewaliśmy takowy znaleźć. Lecz tu spotkał nas drugi zawód. Skierowaliśmy się więc ku dużemu gospodarstwu, leżącemu opodal. Weszliśmy do środka i poprosiliśmy o przenocowanie. Tęga gospodyni podniosła się powoli z ławy, na której siedziała, zbliżyła się ku nam, popatrzyła na nas groźnie, że nogi mimowoli się pod nami zatrzęsły i zaczęła krzyżeć: »Ni mom do daryboków kwartyru. Idźcie se go chleđać kaj indzi«. I jeszcze coś krzyżeła, lecz nie slyszeliśmy już, bo opuściliśmy czempredzej niegościnne gospodarstwo. Zawiedzeni, mieliśmy już zrezygnować ze spania i szliśmy przez pola, sami nie wiedzieliśmy gdzie, gdy natrafiliśmy na stojącą samotnie starą stodołę czy szopę. Była to nawpół rozwalona budowla. Ucieszeni naszym odkryciem, weszliśmy przez niezamknięte drzwi. Chcąc się

przekonać co się w niej znajduje, zaczęliśmy szukać po omacku, natrafiliśmy na jakieś rupiecie, a za przegrodą natrafiliśmy na trochę słomy. Nie namyślając się wiele, zmęczeni i głodni rzuciliśmy się na nią i po zjedzeniu kawałka chleba ze słoniną, utuleni w kołdry, dane nam ze »sierocińca«, usnęliśmy snem twardym.

Nazajutrz, pokrzepieni snem i z nową otuchą, ruszyliśmy na miasto w poszukiwaniu pracy. Lecz tego dnia nie lepiej się nam darzyło. Późnym wieczorem wróciliśmy do naszego tymczasowego mieszkania. Postanowiliśmy tu codziennie nocować, aż do czasu wyszukania pracy. Mijał dzień za dniem, a myśmy ciągle nie mogli żadnej znaleźć. Zapasy zaczęły nam odchodzić, a mieliśmy w kieszeni wszystkiego kilka groszy. Pewnego dnia nie mieliśmy nawet co do ust włożyć. Zaczęliśmy przemyślać nad naszym ciężkim położeniem i postanowiliśmy zrezygnować w poszukiwaniu pracy w mieście. Zamierzaliśmy udać się gdzie nas oczy poniosą. Pozbieraliśmy więc swoje manatki i smutni, zgłodniaли ruszyliśmy w drogę. Idąc przez pola buraczane wyrwaliśmy kilka i zjedliśmy ze smakiem. W kilka minut znaleźliśmy się na drodze, którą zamierzaliśmy udać się w poszukiwaniu lepszego szczęścia. Patrzyłem z bolejącym sercem na smutną i wynędzniałą twarz mego ukochanego przyjaciela i współtowarzysza w biedzie i nędzy. Rozglądałem się na wszystkie strony, jakby skąd miała przyjść jaka zbawienna pomoc. Jakaś nadzieja wstępowała w me serce. Nie omyliłem się, bo nagle wzrok mój padł na przedmiot, leżący na drodze. Podniosłem go, był to portfel, napełniony pieniędzmi i jakimiś papierami. Nikt nie pojmie naszej radości, jaką wówczas byliśmy napełnieni. Nawet smutna twarz Władka rozjaśniła się i zaczął śmiać się i skakać z nadmiaru szczęścia. Chcieliśmy biec i kupować co się nam tylko będzie podobało. Lecz wnet jakieś inne uczucia przemogły nad pokusą. Postanowiliśmy zatem oddać zgubę choćbyśmy sami z głodu mieli umrzeć. Odczytaliśmy na dokumentach adres właściciela i skierowaliśmy się ku miastu.

Zapytując przechodniów o znany nam adres, pokazano na piękną willę. Weszliśmy. W pięknym gabinecie przy biurku siedział starszy pan. Gdy nas zobaczył wchodzących, zbliżył się do nas i zapytał dobrotliwie, czego sobie życzymy. Opowiedzieliśmy mu o znalezieniu portfela. Inżynier, bo on to właśnie był, omal że nas z radości nie uściskał. Dopiero po dokładnem opisaniu portfela i zawartych w nim rzeczy oddaliśmy mu go. Wyplacił nam zaraz »znależne« przez 100 złotych. Nie chcieliśmy ich przyjąć, lecz

włożył nam ich przemocą do kieszeni. Z kolei wypytywał się nas cośmy za jedni. Kiedy usłyszał naszą historję, zapytał się czy czego nie potrzebujemy i czy nie jesteśmy głodni. Poprosiliśmy go o jaką pracę. Napisał nam polecenie do swego brata, który posiadał niewielką fabrykę na ulicy C. Następnie po posiłku danym nam przez dobrego inżyniera, podziękowawszy mu ze serca, skierowaliśmy się z poleceniem do wskazanej fabryki.

Tegoż dnia, dzięki inżynierowi, posiadaliśmy już pracę. Trzeba nam było pomyśleć o jakimś mieszkaniu, lecz tym razem szczęście nam dopisało. Idąc z pracy zobaczyliśmy za jedną z wystaw sklepowych kartkę z ogłoszeniem: »Pokój w suterynach jest tanio do wynajęcia«. W krótkim czasie znajdowaliśmy się w trzypiętrowym budynku. Właścicielka, gdy dowiedziała się w jakim celu przyszliśmy, zmierzyła nas od stóp do głowy, oświadczając nam, że do »dzieciuchów« nie ma pomieszkania. Lecz kiedyśmy wyjęli pieniądze czy się jej zaświeciły jak u kota i teraz już grzecznie wskazała nam pokój. Była to niewielka stancyjka w suterynach. Jedno dość duże okno wychodziło na ulicę. W składzie starych mebli kupiliśmy kilka starszych sprzętów, jak łóżko, stół, kilka krzeseł, miednicę i kilka garuków. Słowem zagospodarowaliśmy się jak mogli. Po zakupieniu węgla i trochę żywności, pozostało nam w kieszeni kilka złotych. Lecz byliśmy ogromnie dumni, że nareszcie jesteśmy »na swoim«.

Codziennie po śniadaniu udawaliśmy się do pracy. Mieliśmy lekkie zajęcie przy maszynach. Każdą sobotę mieliśmy wypłatę, którą obracaliśmy na nasze utrzymanie, odkładając kilka złotych na czarną godzinę. Wieczory i niedziele spędzaliśmy na przechadzce za miastem. W razie deszczu uprzyjemnialiśmy sobie czas czytaniem książek, za którymi przepadałem. Mieliśmy ich nawet kilkanaście, ułożonych w półce na ten cel przeznaczonej. Przychodziła dżdżysta jesień, więc wolny czas spędzaliśmy wyłącznie w domu, koło małego piecyka. Wystaraliśmy się także o przepustki graniczne (Cieszyn jak wiadomo jest podzielony między dwa państwa: Polskę i Czechosłowację. Mieszkańcy w pasie granicznym obu państw otrzymują zaświadczenia do przejścia przez granicę i wolnego poruszania się na odległość 6 klm. od granicy). Nadchodziła chwila urzeczywistnienia mych marzeń, zobaczenia stron rodzinnych i odszukania Helusi po tak długim niewidzeniu się z nią. W przeddzień Wszystkich Świętych przekroczyłem granicę, wsiałem do pociągu czeskich kolei i jechałem tam ku moim zmarłym rodzicom i ku siostrze.

Nikt nie zrozumie jakie uczucia mną owładnęły, kiedy po szczęśliwej podróży patrzyłem na ulice, domy, szyby kopalń, fabryki, tak wszystko dobrze mi znane. Skierowałem się na cmentarz. Był tu ruch i krzątania. Ludzie ubierali groby i zapalali świeczki, nikt na mnie nie zwracał uwagi. Doszedłem do dużego grobu, na którym stał duży pomnik. Były to groby górników. Na pomniku były wykute nazwiska każdego. Między innymi zobaczyłem złotymi literami wykute nazwisko mego ojca. Wzruszony uklękłem i lzy cisnące się mi gwałtem do oczu starałem się powstrzymać, żeby nie wybuchnąć głośnym płacem. Na matczynym grobie rosły zasadzone czyjąś ręką piękne kwiaty, a na nim zapalała piękna dziewczynka świeczki. Zdziwiony zapytałem, dlaczego opiekuje się grobami mych rodziców? Odrzekła mi na to spokojnie, że musiałem się omylić, bo są to właśnie groby jej ojca i matki, przyczem zaczęła mi opowiadać: »Ojca zabito mi w katastrofie na kopalni, matka w jakiś czas później umarła. Byłam wtedy bardzo mała. Miałam dwóch braci, lecz po śmierci rodziców zabrał ich jakiś pan i od tego czasu ich więcej nie widziałam«. Kiedy to usłyszałem, krzyknąłem: »Hlelko« i rzuciłem się jej na szyję. Lzy radości i rozrzewnienia zraszały obficie groby naszych ojców. Nie potrafię opisać naszego szczęścia, jakiegośmy wówczas doznali. Oto po przeszło 10-letnim niewidzeniu się, mogliśmy opowiedzieć sobie wzajemnie swoje przeżycia. Opowiedziałem jej jakżeśmy z bratem zostali oddani do sierocińca, jak pokochałem mego przyjaciela Władka, jak po ukończeniu 14 lat i ukończeniu szkoły udaliśmy się w świat w poszukiwaniu pracy. W jaki sposób ją odnaleźliśmy, o wyszukaniu mieszkania i o naszym zagospodarowaniu się. Wreszcie powiedziałem jej, jak zawsze tęskniłem za nią i jak urzeczywistniłem swe marzenia. Z kolei siostra opowiedziała mi dalszy ciąg swego opowiadania: »Dobrzy ludzie wzięli mię na wychowanie. Byli do mnie bardzo dobrzy, starali się o mnie jak o swoje dziecko. Kiedy wyszłam ze szkoły, wyszukałam sobie służbę za piastunkę. Ponieważ nie chciałam być ciężarem mych biednych drugich ojców. Część mej służby zawsze im oddaję z wdzięczności za troskliwe wychowanie«.

Mijały lata, a myśmy mieszkali, pracowali razem bez większego wydarzenia. Innymi słowy Władek, mój naukochanszy przyjaciel, zastępował mi rodzinę i był mi najlepszym współtowarzyszem doli i niedoli. Od czasu do czasu otrzymywałem listy od siostry a raz nawet otrzymałem list od Janka: »Kochany Bracie! Donoszę Ci, że niedawno, bo przed dwoma tygodniami wystąpiłem ze sierocińca

i znajduję się w terminie za ślusarza. Zasyłam Tobie i Władkowi serdeczne pozdrowienie. Twój brat Janek».

Od tego czasu minął znów jeden rok i nadchodziła zima. Przyszliśmy do naszej pracy w fabryce i do naszych współpracowników, z którymiśmy się szczerze zaprzyjaźnili. Nie wiedzieliśmy, że się wkrótce z nimi rozłączymy. Jednego dnia powiedziano nam, że fabryka zostanie unieruchomiona z powodu braku pracy. Robotników zaś zredukowano. Od tego czasu znaleźliśmy się znów bez pracy. Na domiar złego przyjaciel mój rozchorował się. Położył się do łóżka i choć przykryty był wełnianymi kołdrami i choć paliłem w piecku, dygotał cały ze zimna. Przywołany lekarz przepisał lekarstwa i kazał mu nie ruszać się z łóżka. Przeleżał tak 3 tygodnie. Przez ten czas pielegnowałem go jak oko w głowie. Za oszczędzone pieniądze kupowałem mu co tylko sobie życzył, sam sobie wszystkiego odmawiając. Teraz, po przebytej chorobie zrobił się z Władka tylko cień. Cera żółkła, oczy z obwódkami wpadły w środek głowy, sam przytem zmizerniałem i schudłem, po nieprzespanych nocach z czasu pielegnowania mego przyjaciela.

Nadchodziły święta Bożego Narodzenia, a myśmy znajdowali się znów bez pracy. Oszczędności nasze już dawno wypotrzebowaliśmy, a nam groził głód i nędza. Naprózno chodziłem w poszukiwaniu pracy, czasem tylko udało mi się zarobić kilka groszy za przeniesienie pakunku, lub jakąś inną przysługę. Nadszedł dzień wigilijny. Na ulicach ruch ogromny. Przechodnie z choinkami i różnymi paczkami śpieszyli w różnych kierunkach. Jakżeż zazdrościłem tym szczęśliwcom. Ze ściśniętem sercem, zrozpaczony, zgłodniały wracałem do domu. Najbardziej trapiłem się, że nie mogę osłabionemu jeszcze Władkowi dać nawet poddostatkiem chleba. Zły duch zaczął mi już podsuwać złe zamiary, gdy drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł listonosz. Wyliczył na stół jakieś pieniądze i kazał się Władkowi podpisać, dawszy mu jeszcze list. Gdyśmy przyszli do siebie z wielkiego oszołomienia jakiegośmy doznali z powodu niespodziewanej pomocy, jakiej doznaliśmy, odczytaliśmy list: »Kochany Władziu, już trzeci rok pracuję we Francji, a jednak o ciebie nie zapominałem. Na dowód tego przesyłam ci 50 franków. Życzę ci szczęśliwych, i wesołych świąt. Twój brat Antek».

Skoro pierwsza gwiazda zabłysła na niebie, z radością w sercu zasiedliśmy do wieczerzy wigilijnej. Lamiąc się opłatkiem ślubowaliśmy sobie zostać przyjaciółmi do śmierci.

Następnie posłaliśmy list do brata Władka z życzeniami, załączając opłatek oraz podziękowaliśmy mu gorąco za niespodziewaną pomoc...

Jest to pamiętnik bezrobotnego, pisany na kolanie ze łzami w oczach, bo przypomina śmierć mych kochanych rodziców oraz dobre i złe koleje mego życia, które przebyłem z mym najdroższym przyjacielem Władkiem.

Cieszyn, dn. 12 stycznia 1932 r.

Robotnik niewykwalifikowany
zamieszkały w Cieszynie

»Instytut ustanowił za najdokładniejsze i za najbardziej wierne odmalowanie położenia bezrobotnego jedną nagrodę w kwocie stu złotych i t. d.«.

Co, sto złotych? Dosyć duża sumka, jak na mnie bezrobotnego. Więc dla stu złotych mam powiedzieć najgłębsze tajniki mej duszy... duszy bezrobotnego? Przepadło, kość już rzucona.

A więc w imię stu złotych zaczynam.

WYZNANIE... BIEDY.

Dziś co mam wolnego czasu już po same uszy, to półtora roku wprost szalałem za nim. Przez trzy i pół roku pracowałem bez przerwy, bez wytchnienia, tylko w niedzielę i święta miałem czas wolny. Przez trzy i pół roku pracowałem ku chwale pracodawcy za nikły pieniądz. Od 14 roku życia zostałem rzucony w wir pracy fizycznej, która zatrudnia, a przynajmniej zatrudniała miliony pracowników, jeśli nie w Polsce, to w innych krajach. Jak dziś pamiętam ten dzień, gdy po kilkunastu dniach przyniosłem mej matce moją pierwszą acz skromną wypłatę. Dostawałem z niej kilka złotych, do których dorzucałem inne, które z biegiem czasu »urośli« w kilkadziesiąt złotych. Za nie to kupiłem sobie ubranie. Tak człowiek, (stosowniej będzie gdy powiem dziecko), prowadzony dosyć subtelną ręką rodziców mógłby się wykierować na pożytecznego obywatela. Lecz czasy biegną, z nimi lata i siły młodzieńcze. Dotrzymuje z tem kroku ta zhora, to przekleństwo rodzin robotniczych, kryzys gospodarczo - finansowy. Powiedzieć można wojna, która kilkanaście lat temu powołała ludzi do broni, tak dziś

powołuje ich do bezczynności, do gnuśnienia. Ludzie starzy niezaznajomieni z zarodkiem kryzysu nie mogą pojąć skąd on się wziął i jakie środki trzeba użyć dla zwalczenia go przynajmniej w kraju. Gdy pierwszy raz usłyszałem z ust mego pracodawcy, że brak zamówień, że będziemy pracować kilka dni w tygodniu, przyznam się, że byłem niezmiernie ucieszony. I któżby się nie cieszył, było lato w całej swej szacie, ogrody pełne owoców (dwuznaczone), powietrze śpiewu ptaszków, na łąkach znów pasterze nucili swe ludowe pieśni, a góry... te jak urodziwa dziewczyna pociągały swym majestatem do siebie. Rodzice, po zakomunikowaniu im orzeczenia pracodawcy pokiwali głowami i posmutnieli... Zaczęły się wywczasy i zabawy, urozmaicane od czasu do czasu mniejszymi wycieczkami. Tak mijały tygodnie i miesiące przeplatane kilkoma dniami pracy, reszta przymusowym odpoczynkiem. Nieprzyzwyczajony do takiego stanu rzeczy, ręce wprost rwały się do pracy. Minęło lato, przyszła jesień dżdżysta i pochmurna. Praca w warsztatach szła ospale, robotnicy stracili swój dawny humor, jedynie ci, którzy imponowali majstrowi swą butą i na każdym kroku wyśmiewywali co polskie, nie stracili go, owszem jeszcze się im powiększył. Pewnego dnia bąknął nam majster coś o Pośrednictwie Pracy. Wiedzieliśmy, która godzina dla nas wybiła. Tak wspominał dzień w dzień, aż jednego dnia dał nam niby urzędowy blankiet wypełniony jak długi czas kto pracował i ile zarabiał. Ciekawy był moment, gdy majster powiedział buchalterowi, by wpisał tygodniowy zarobek zgodnie z podanym w Kasie Chorych. Jak był podany? Z pewnością nie większy. Tak się to wszystko spełniło, co dawno przez nas przeczuwanem było. Przeczuwałem, lecz by to było tak prędko to nie. Twarze spochmurniały. Wiadomość tę nie powiedziałem zaraz w domu, tailem ją przez dwa tygodnie. W międzyczasie starałem się w Pośrednictwie Pracy o zarejestrowanie mnie jako bezrobotnego i poszukującego pracy. Pamiętam, deszcz lał jak z cebra, do tego musiałem przemaszerować kilka razy z urzędu gminnego do Pośrednictwa Pracy, z Pośrednictwa znów z powrotem dla dokładnego wypełnienia formularzy. Tak przemoknięty, zziębnięty, przesiadzałem w poczekalni na oknie kilka godzin. Poczekalnia pełna już kolegów po fachu, zaduchu, dymu ze smrodliwych fajek, przekleństw i złorzeczenia. Nie wiem co sobie pomyślą zagraniczni goście (już nie mówię o swoich), którzy udawać się muszą do poszczególnych kancelarii przez powyższą poczekalnię, by załatwić różne sprawy paszportowe i przepustkowe. Nareszcie doczeka-

łem się kolejki i z wielkim namaszczeniem wszedłem przed oblicze »generała«, który tak można armją rządu. On widząc nowozaciężnego dosyć przychylnie załatwił mą prośbę. Po kilku pytaniach niezbędnych do rejestracji (bardziej chciał pokazać swą władzę, zaznaczam, że jest to były subjekt sklepowy) powiedział bym przyszedł za dziesięć dni. Po dżentelmeńsku się ukloniłem i z ulgą w sercu zamknąłem za sobą drzwi kancelarji. W poczekalni ściśnięty przez interesantów nie mogłem się dostać do drzwi wyjściowych. W drodze rozmyślałem jak przed rodzicami wyjawić całą czarną rzeczywistość, by oni byli zadowoleni, a ja bym wyszedł z honorem. Nastroiwszy minę »na wesoło« zacząłem polemikę na temat bezrobotnych i obecnego położenia. Po wyjawieniu im sprawy, która mi leżała na sercu, powiedziałem, że z nami nie tak źle, jak z ogółem. Bezrobotni! Co bezrobotnym brakuje? Przecież pieniądze dostają, żywność, do tego dorywczo także mogą sobie zarobić. Staralem się wszystko w najjaśniejszej barwie przedstawić. Do tego mówiłem, że w domu roboty dosyć, trzeba ziemniaki kopać, kapustę do beczki wpychać, ogródek ryć...

Pozostało na tem, że będę w domu robił co się da. Wykopałem ziemniaki, kapustę ściałem i zwiozłem do domu. Po upłynięciu dziesięciu dni udałem się do Pośrednictwa Pracy. Zaraz rano jeszcze przed ósmą byłem pod drzwiami kancelarji. W poczekalni atmosfera dosyć znośna, lecz zawczasu otworzyłem okno i wsunąłem się do samych drzwi. Po ósmej przyszedł pan adjunkt zdała pobrzękując kluczami. Ludzie się rozstapili i wpuścili do drzwi biura. Między szczęśliwcami, którzy pierwsi weszli do biura znalazłem się i ja. Lecz niepomiernie my się śpieszyli, bo usłyszeliśmy głos: — za drzwiami! gdy będzie czas, zawołam. Chłopi choć z niechęcią, ale wyszli za drzwiami. Tu usłyszeliśmy stek obelg rzuconych pod adresem naszego pracodawcy. Zostały one przerwane w chwilę później słowem: — proszę. Nie kwapiliśmy się zbyt. Wstąpiliśmy. Po zapytaniu mnie o nazwisko, dowiedziałem się ku memu przerażeniu, że nie mogę korzystać z prawa zasiłku z racji niezatrudniania u mego pracodawcy oznaczonej liczby robotników. Masz chłopie »roroty« pomyślałem. Dla pocieszenia powiedział, że mogę rekurs udać, lub chodzić do kontroli i może... może że otrzymam kilka złotych z »dorażnej«. Nie pamiętam, kiedy i jak znalazłem się na ulicy. Spotkałem kilku kolegów, którzy w podobnym do mego byli położeniu. Udaliśmy się do parku na zamek. Usiedliśmy sobie na ławce w pobliżu rumowisk starej baszty i zaczęli rozstrząsać sprawę na czasie. Uchwa-

liliśmy, że nadchodzące święto umarłych byłoby grzechem puścić płazem. Kupiłem czarnej barwy, pędzle wziąłem ojcu i tak wyposażeni w niezbędne przybory malarskie udałem się z kolegą rano na cmentarz. Sprzyjało nam szczęście. Jakaś pani, pewnie myśląca, że jesteśmy zawodowi pokostnicy poprosiła nas, byśmy jej rodzinny grobowiec olakierowali i do porządku przywieśli. Po oszacowaniu wszystkich kosztów z tem związanych — powiedziałem jej, że zrobimy to na »fuszkę«, co majster o tem wiedział nie będzie. Zaczęliśmy pracować, on czyścił, ja lakierował. Aniśmy się spostrzegli jak słońce zaszło za horyzont het daleko po »czeskiej« stronie. Zgłodzeni, zbrudzeni poszliśmy do domu. Na drugi dzień wczesnym rankiem poszedłem na cmentarz. Tam zastałem już mego kompana. Im słońce wyżej wschodziło, tem cmentarz bardziej się ożywiał. Przechodziły koło nas osoby znajome i nieznanne. Do znajomych stawaliśmy »frontem«, żeby nas nie rozpoznano. Koło południa była robota na ukończeniu. Czekaliśmy na panią właścicielkę i na zapłatę. O umówionym czasie przyszła w towarzystwie męża. Z jego strony spotkała nas niczem nieuzasadniona krytyka. Niedosć na tem, zamiast 20 zł. otrzymałem do podziału tylko 15 zł. Przepadło, dobre i tyle. Pochodziłem jeszcze za interesem lecz nic nie znalazłem, z wyjątkiem jednej latarni do odnowienia. Na drugi dzień, to samo. Mówiłem nawet ogrodnikowi cmentarnemu, że otrzyma prowizję, gdy nam co wyszuka do pracy. Gdy spotkałem się z nim za kilka dni — potrząsał tylko ramionami i powiedział: »nichts arbeit«. Niebawem święto nadeszło. Spodziewane zyski z tak świetnie zaczętego interesu zawiodły. Wrony z hałasem przelatywały, znak zbliżającej się zimy... Trzeba poczynić jakieś zakupy na zimę. Lecz za co? Z wielkim żalem popatrzyłem na książeczkę oszczędnościową P. K. O. Dotychczas zawsze patrzyłem z rozradowanym obliczem na tę wysepkę ratunku. Powiedziałem sobie nie — na gorsze jutro trzeba zostawić. Do kontroli chodziłem regularnie każdego tygodnia. Mijały dni monotonnie, nudzące, przeplatane jedynie gderaniem mej matki i siostry. Matce to daruję, lecz siostrze nie, zawsze musi dolewać wody do gorącej już oliwy. Ojciec zachowuje się neutralnie w całej sprawie. Lecz trutniem nie chcę być, jak również nie chcę siedzieć na karku ojca-żywiciele. Któregoś dnia »zblądziłem« do mego dawnego pracodawcy. Choć byłem przygotowany zdumiałem się poniekąd, gdy ujrzałem w pracowni pracującego w najlepsze jednego »pupila«, renegata z drugiej strony Olzy. Pepicy na łeb na szyję wyrzucają robotnika polskiego, nie tylko z naszej strony, lecz i swego

obywatela, który się do polskości przyznaje. Nie rozumiem władz naszych, które świadomie tolerują takie postępowanie sąsiada, do tego pozwolą zatrudniać w krytycznych czasach obcych obywateli i pasorzytów. Nie mam na myśli rodaków naszych, bo tym naprawdę trzeba dopomóc. Lecz trzeba zawrócić. Majster pięknymi zwrotami zaczął mi głowę nabijać, narzekając na brak pracy, że później, gdy będzie więcej znów mnie zatrudni. Po poproszeniu go o pamięć, wyszedłem na ulicę. Co robić pomyślałem? Gdzie się udać? Po bezsensownym przewalęsanu kilka godzin zdecydowałem się iść od fabryki do fabryki (które jeszcze są w ruchu) i prosić o zajęcie. Proszę sobie wyobrazić moje myśli, gdy po kilku godzinach i po przekroczeniu progu każdej fabryki znalazłem się w tej samej sytuacji co przedtem. Boczniemi ulicami udałem się do domu. Myśli czarne zaprzętały mi głowę. Czy naprawdę życie takie ciężkie? Czy mają runąć jak domek z kart wszystkie młodzieńcze fantazje, z którymi się na dobre oswoiłem? Czy muszę ja, młodzieniec 18-letni jak żebrak o kawałek chleba prosić o pracę. Czy jest to hańba prosić nieśmiało piękną buchalterkę o pracę? Niektóra zapewnięby sobie życzyła, by zamiast o pracę ją prosić — oddać hołd jej piękności. Nóżki bym ci ucałował, gdyby to szczęście i mnie zostało przydzielone. Tak z myśli czarnych przyszły jasne, upajające, niby miłość największa. Z miną też niezafrasowaną wstąpiłem do domu. Czyżes znalazł robotę, że cię tak długo niema, zapytała mnie matka jeszcze w progu. Po zdaniu sprawozdania z całego dnia, że mimo najlepszych mych chęci nic nie znalazłem, zaczęła szlochać. Ach, jak działają demoralizująco te łyż matczyne... W takich chwilach w cień się usuwam zanim nadejdzie chwila równowagi i uspokojenia. Po spożyciu kawałka chleba i kawy udałem się na spoczynek. Rano po śniadaniu wziąłem kawałek chleba do kieszeni i wyrwałem do miasta jak dziki koń. Nie próbowałem już znaleźć pracy. Włóczyłem się z ulicy na ulicę, gdy zimno zaczęło mną trzepać, udawałem się na dworzec kolejowy lub pocztę, aby tam ogrzać swe skostniałe członki. Z zupełną obojętnością przysłuchiwałem się rozmowom prowadzonym na temat zbliżających się świąt Bożego Narodzenia. Ten kupi sobie płaszcz, ten znów ubranie, ta buciiki... a ty biedny bezrobotny, co sobie kupisz? Rewolwer! Zaskowyczało coś w piersiach i gorzkie jak piołun wyszło z palonego gorączką gardła. Co rewolwer? Nie! Boga w sercu noszę, do tego życie takie piękne, że w porównaniu z niem różne dolegliwości są niczem, zerem. Jakoś to będzie, grunt nie stracić nadziei. Na święta otrzymałem

z Pośrednictwa Pracy pierwszy zasiłek w kwocie 20 zł. Z tego wzięłem sobie kilka złotych dla poczynienia zakupów celem uzupełnienia mej biednej garderoby, resztę z namaszczeniem oddałem w ręce mej mamusi. Minęły święta, nastął Nowy Rok, lecz dla mnie nic nie minęło i nic lepszego nie nastąpiło. Minęło też kilka miesięcy, w czasie których z braku pracy zajmowałem się jazdą na nartach. Koło Świąt Wielkanocnych prosiłem w Pośrednictwie Pracy o udzielenie mi jakiej zapomogi z »doraźnej«. Wy nie otrzymacie, tylko żonaci dostają, odpowiedział urzędnik. Sakra holka — lepiej bym zrobił, gdybym sobie nawinał jaką Marynę, otrzymałbym wsparcie dla niej, dla siebie, ewentualnie i na dzieci. Słuchajcie, mów dalej, pieniędzy wam nie damy, lecz mamy tu dobrą posadę, chcecie iść na wieś ku parze koni? Pójdę, odpowiedziałem z radością, lecz myślałem co innego. Myślałem, że gdy powiem, że pójdę, otrzymam pieniądze. No dobrze, zaraz przyjdzie gospodarz. Po chwili zjawił się gospodarz, mały, przysadisty jak zwierzę rasowe. Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głowy, aż mnie ciarki przeszły. Zaczął mnie obrzucać pytaniami jak przy śledztwie. A to czy na zabawy chodzę, rodzice czy żyją, ile mam lat, czy z końmi się umiem obchodzić. Odpowiedziałem, że obchodzić je umiem już zdaleka, dlatego że raz mnie koń miał zabić. A co do zabaw, to mogę i w domu i na ulicy poflirtować z przygodnymi panienkami. No, no tylko sobie ze mnie żartów nie strój, upomniał mnie poważny gospodarz. Przepraszam! W całej sprawie ja jestem najbardziej zainteresowany, więc siłą faktu mam najwięcej do mówienia. Przestańmy, przerwał gospodarz i zaczął wymieniać moje uposażenie służbowe. Cały wikt i utrzymanie i 20 zł. miesięcznie. Później, gdy się przyzwyczaję zaliczy mnie do lepszej kategorii i lepszą płacę otrzymam. To jak urzędnik państwowy co pewien czas będę podniesiony do innej rangi? Nie bimbajcie sobie O... ze starszych ludzi, wtrącił kontroler swym piskliwym sopranem. Powiedzcie czy przyjmujecie służbę, czy nie? Nim oddam legitymację i przyjmę służbę zapytać się muszę rodziców o opinię w tej sprawie i prosić o błogosławieństwo na nową drogę. Słusznie, słusznie, zachowujesz się jak dobrze wychowany chłopak — wtrącił gospodarz z gestem patrioty kościoła wschodniego. Umówiłem się z gospodarzem o miejsce spotkania (niby z dziewczyną o randkę), oddałem legitymację z musu, poczem z przybranym opiekunem opuściłem kancelarję. W poczekalni bezrobotni obrzucili mego gospodarza pliką niewczesnych żartów. Wy gazdo jeśli macie piękne córki w domu, to idę do was

zaraz służyć, inny znów — foterku, jo pójdym ino se musicie rano stować i konie pucować, bo jo jest teraz nauczony do 7-ej leżeć. Nim dostałem się do sieni, zapytał mnie jeden chłop, czy maur z nim (z gazdą) kontrakt spisany, bo to jest sknera jak sama śmierć. Po całym powyższem zdarzeniu przyszedłem do przekonania, że nie jestem pierwszy, któremu proponowano moją posadę. Poszedłem zamiast do domu do parku, by po godzinie przyjść na umówione miejsce z gotową odpowiedzią. Siedzę sobie i dumam. Jakie by to było zabawne, gdy w dzień targowy przyjedzie do miasta Stefan O... z furą, na której będzie siedziała obok woźnicy drobnego i cienkiego krótka i pękata gospodyni. Koło niej znów trzy kury, dwie gęsi, pięć kurcząt, 1 kg. owsa, 30 kg. bobu, kilka główek kapusty, fasola może niewyluskana i jeszcze innego »gryncajgu«. Kres mym rozmyślaniom położył zegar, który wybił trzy kwadransy. Wstałem, poszedłem wolnym krokiem na miejsce spotkania. Już zdaleka poznałem postać mego szefa, który się tam przechadzał. Szybkim krokiem poszedłem do niego i głosem zażenowanym zacząłem go przeproszać, że mnie rodzice do koni nie puszcza. Nic się nie da robić, jak cię nie puszcza, pójdź, wypijesz se piwo i pójdziesz dali, mówił gospodarz. Po wypiciu duszkiem szklanki piwa podziękowałem memu niedoszłemu gospodarzowi i odeszłem. W domu nie wspomniałem nic. Na drugi dzień udałem się do Pośrednictwa Pracy. A że to był dzień poświęcony kontroli pracowników umysłowych, których jest tu znikoma liczba, mogłem się zaraz udać do kancelarji. Tu musiałem się usprawiedliwić, że z powodu zakazu rodziców nie mogę przyjąć służby, poczem prosiłem o zwrot legitymacji. Pieniądze gotowe, to wy chcecie, lecz robić to nie, mówił podając legitymację. Z kancelarji udałem się na pierwsze piętro, gdzie się odbywają wypłaty z doraźnej. Tu ludzi jak pszczoł w ulu. Najwięcej kobiet z dzieckiem na ręku, potrzebujących wsparcia, bo »ojciec« nie pracuje. Są ludzie, których ubranie składa się z samych łąt, z których by można wnioskować, że się udadzą po otrzymaniu pieniędzy na bal maskowy. Są i tacy, na których bym myślał, że są zamożnymi obywatelami, gdyby nie stali ściśnięci z tą biedotą, proszącą o łaskę czasem i bezskutecznie. Wyszukawszy sobie dogodne miejsce najbliżej drzwi pana starosty, ulokowałem się w nim jak wróbel w jaskółczym gnieździe. Nic złego nie przeczuwając, spokojnie liczyłem sobie wydatki i zakupy, które po otrzymaniu zapomogi muszę poczynić. Do całej sumy 20 zł. brakowało jeszcze koło 4 zł. Właśnie myśląc skąd je wytrząść gdy nagle i niespo-

dziewanie, jak Minerwa wychodząca z głowy Jowisza zjawia się pan kontroler, mocno strzelając oczami po obecnych. Wtuliłem się w kąt. Patrzy jakby kogo szukał, może mnie? Właśnie wlepił ślepią we mnie i zbliża się. Może ma lepszą intencję niż myślałem, może posadę lepszą od pierwszej, nie wiem. Aż tu. Wy tu nie stójcie, nie dostaniecie pieniędzy. Dla ludzi leniwych pieniędzy niema. Robić to się wam nie chce, służyć też nie, darmożjady. Rozgniewany do żywego odpowiedziałem, że tak wiele obiecującą służbę można każdemu zalecać. Tylko bez docinków, odpowiedział, wchodząc do kancelarji. Wiedziałem, że spełni co powiedział. Nie odpowiadając na stawiane mi pytania ze strony motłochu odszedłem. Niech go szlag trafi. Na drugi dzień znów udałem się pod drzwi kancelarji. Obecnych kilku chłopów, kobiet i chłopców, w tym wieku i w tem samym położeniu co ja. Znałem z nich kilku, nawiązałem rozmowę na temat wczorajszych moich przeżyć. Śmiano się, lecz nie było czemu. Czekamy wszyscy na wpuszczenie nas przed oblicze pana starosty. W tem wychodzi woźny oznajmiając, że brak pieniędzy — zarazem wzywając do odejścia. Pomruk klątwy i wyzwiska były jedyną odpowiedzią. Wrzawa robi się coraz większa, zamiast stać cicho, krzyczą... Złe objawy — pomyślałem. Naraz się uciszyło! Co się stało? Patrę w stronę drzwi, a tam pan starosta stoi w drzwiach. — Ludzie zachowujcie się spokojnie, gdyż i tak nic nie otrzymacie bo pieniędzy brakło. Przyjdźcie po świętach. Nie czekając na odpowiedź, szybko się wycofał. Zaczęli na nowo rwetes. Innym dają, byle chacharowi, co to zaraz przepije i w karty przegra, lecz naprawdę biednemu braknie, zaczęły kobiety swój lament. Piękne porządki mamy dziś w Polsce, mlekiem i miodem płynącej, zaczęły osoby wrogo usposobione rządowi. Agitujcie i głosujcie na »jedynekę« — zawołał ktoś. Nie reagowałem, wszystko mi było obojętnem. Cholera, to znów nic? Zgnębiony zszedłem na dół. Gdzie co zarobić? Robót sezonowych jeszcze nie rozpoczynają... a dziewczyną nie jestem bym szedł na ulicę... Choćbym i był, piętna hańby nigdybym nie zniósł. W domu pocieszyłem rodziców, że po świętach mam otrzymać raz tyle.

Musiałem wyszorować podłogi, porządek w domu i koło domu zrobić. Gdybym miał zajęcie stałe, nie robiłbym tego nigdy. Jednem słowem wszystkie babskie roboty musiałem zrobić, by uniknąć kłótni. Po świętach zacząłem się oglądać za robotą choćby najgorszą. Udałem się z kolegą do Wisły, do robót kolejowych. Uzbrojony w poświadczenie Pośr. Pracy i kawałek suchego chleba —

poszedłem 30 km. tam, i 30 km. z powrotem, niedożywiony, do tego bezskutecznie, można sobie wyobrazić jaką gehennę musiałem przeżyć. Wiosna w całej pełni. Roboty domowej dosyć. Siedź człowieku na zagonie cały dzień i żgaj do ziemi motyką, bo musisz. Z mieszcucha przedzierzgałem się w wieśniaka. Przeszło kilka miesięcy, zaczęło się lato — już nie takie śliczne, jak tamte... Wyjazd na obóz było mojem jedynym marzeniem. Tam chciałem zapomnieć o troskach, choćby kilka tygodni. Z zasady bezrobotni mają na wszelkie obozy nie wyjeżdżać. Podobno wykładów i ćwiczeń nie wykorzystują jak powinni, jadą tylko dla zabicia czasu. Temu stanowczo przeczę. Czy pracujący, czy nie, wszyscy bez wyjątku oddają się harmonijnemu życiu obozowemu. Przez trzy tygodnie miałem to szczęście być uczestnikiem obozu wychowania fizycznego, trzy tygodnie szczęścia minęło bezpowrotnie jak sen najpiękniejszy. Po krótkim pożegnaniem przemówieniu odjazd do swych domowych pieleszy i do żmudnej pracy. Do jakich ja powrócę? Na myśl o tem źle mi się zrobiło. Po przyjeździe do domu zaczęły się te same dni nudne i bezczynne. Przecież nie mogę tak dłużej siedzieć i leniować? Właśnie przebudowywano drogę woj. Cieszyn-Bielsko, tam próbowałem szczęścia. Nim tam poszedłem udałem się do wpływowej osoby z prośbą o polecenie mnie tamtejszemu drogomistrzowi. Zopatrzony w glejt, poszedłem. Po doręczeniu listu drogomistrzowi — kazał przyjść za tydzień. Chwała Bogu, nadzieja jest. Po tygodniu znów poszedłem, lecz pana drogomistrza nie zastałem. Przeleżałem cały dzień, nim drogomistrz raczył przyjechać. W pięknych słowach powiedział, bym przyszedł za dwa dni. Zacząłem wątpić, że i protekcja na nic się zda. Po dwóch dniach znów poszedłem. Deszcz padał, godzinę drogi trzeba iść, ale poszedłem. Roboty przerwane, bo jest deszcz, odpowiedział dróżnik. Zawróciłem do domu. Na drugi dzień znów poszedłem. Miałem szczęście. W poniedziałek mam przyjść do pracy. Dzięki Ci Boże! Z radości nie szedłem do domu, lecz podskakiwałem. W poniedziałek z litrem kawy i kawałkiem chleba poszedłem do pracy. Tu otrzymałem »kary«, widły, kilof. i grabie. Z początku głupi wstyd mnie ogarnął.

Gdy ludzie przechodzili, odwracałem się, by mnie nie poznano. Ciężka praca. 24 odcisków na rękach »mówiły«, że się nie godzę do tej pracy. Z roboty szedłem jak z jakich tortur. W nocy, gdy się przebudziłem życzyłem sobie, by trwała na wieki, rano znów by po godzinie znów nastąpiła. Nie myślałem to, bym był leniwy, broń Boże, jedynie z strasznego przemęczenia, jakiego doznawałem nieprzyzwy-

czajony do ciężkiej pracy. Mimo ciężkiej pracy znikły z czoła mego chmury niezadowolenia. Nawet apetyt mi się poprawił. Zadowolony, że mogę znów rodzicom spłacać dług wdzięczności, zaciągnięty w czasie beczynności, upływały dni w wyścigowym tempie. Przepracowawszy 11 tygodni, przyzwyczajony do pracy, zaliczony do starszych wygów, czułem się coraz lepiej. Cześć niech będzie dozorczy, bo on miał wzgląd na nas cieszyńiaków i lżejszą pracę nam dawał. Oprócz mnie był tam także mój kolega Ol... Pewnego wieczoru przyszedłem z pracy do domu, gdy ojciec już na polu woła, że mam nazajutrz iść na stare miejsce pracować. Radość niezmierna mną ogarnęła, lecz po chwili żal, że muszę opuścić kolegów, których miałem możliwość poznać. Trudno, lżejsza praca, do tego w miejscu. Przed godz. 7-ą udałem się do pracy, witany przez bywalca — szowinistę. Nie wiem tylko czy z serca pochodzącej radości. Teraz będziesz miał u mnie zawsze robotę, oświadcza majster. Lecz zbytniej wagi słowom tym nie przywiązywałem. Chciałem się go zapytać z której strony wiatr wieje, lecz się wstrzymałem. Ciekawy, chciał wiedzieć gdzie pracował. Tobie ty... nie powiem. Przepracowałem dziesięć dni, po których mi mówi, że muszę pewien czas w domu zostać z braku pracy. Ja inaczej to »zawsze« pojmowałem, panie majster. Dobrze i tyle co pewien czas, odpowiedział. Na drodze zaczynać nie chciałem, bo roboty na ukończeniu, a do Pośrednictwa Pracy? I tak pożytku z tego żadnego nie mam. Dosyć na tem, że dziś pracuję 2 — 3 dni do... miesiąca. Do tego jestem w Urzędzie Gminnym zarejestrowany jako bezrobotny. Otrzymuję raz na miesiąc, wyraźnie raz na miesiąc 1 kg. mąki, $\frac{3}{4}$ kg. tłuszczu, $\frac{3}{4}$ kg. cukru i 2 kg. chleba. Do tego na Święta Bożego Narodzenia otrzymałem jako przysmak 2 konserwy mięsne à 25 dkg. Prawda, dosyć na dziecko dwa lata stare. Dziś po półtorarocznej przerwie w pracy, zapytuję się sam siebie, czy będzie kiedy lepiej? Czy da się ukrećić głowę tej hydrze, którą jest przesilenie gospodarcze. Da się, lecz musi do walki stanąć całe społeczeństwo, cały naród. Nie zatrudniać obcokrajowców, nie kupować zagranicznych wyrobów, niech będzie hasłem naszym. Szczególnie tu na pograniczu daje się odczuć słabość, jaką ludzie mają względem towarów zagranicznych. Nieraz przechodząc ulicą w Czeskim Cieszynie widziałem adoratorów samowystarczalności gospodarczej, siedzących przy stolikach hotelowych, popijając z ochotą »krajowe« likiery. Nie mówić o biednym robotniku, który mówi, że tam jest wszystko łącne. Lecz co można powiedzieć o takim »konsumentie krajowym«, rekrutują-

cym się ze sfer urzędniczych, który zajmuje stanowisko w urzędach państwowych? Wrzaskiem i krzykiem nic nie zdziałamy, trzeba się wziąć do pracy nie językiem, lecz czynem, trzeba dać dobry przykład innym. Zgody i solidarności nam brak. Walki partyjne trzeba usunąć, które się u nas zagnieździły, jak kąkol w pszenicy. Mojem zdaniem wystarczy jedno stronnictwo silne i potężne, które w razie potrzeby stanie pierś w pierś do walki z wrogiem wewnętrznym (ewentualnie i zewnętrznym), który jak wilk na pobojuwisku żeruje u nas.

Polityką z zasady się nie zajmuję. Zostawiam ją panom posłom, senatorom i ministrom. Stosowniejszem dla mnie będzie rozważyć tekst pieśni: »O gwiazdeczko coś błyszczała, gdym ja ujrzał świat, czemuż teraz gwiazdka mała, twój promyczek zbladł«?

Myślę, że stanąłem na wysokości zadania podyktowanego mi przez Instytut Gospodarstwa Społecznego, a jeśli nie to bardzo przepraszam. Brzydki charakter pisma, błędy i usterki proszę nie pamiętać.

Cieszyn, dn. 10 stycznia 1932 r.

BOCIANY NA KOMINACH ŚLĄSKICH

Memorjał - Pamiętnik
bezrobotnego górnika śląskiego

»Węgiel i żelazo bez pracy«.

Górnik

zamieszkały w Przyszowicach na Górnym Śląsku

Bajka, czy niebajka — ale opowiem na wstępie, co wiele razy słyszałem od ś. p. mego dziadka z ojcowej strony (Boże! bądź mu miłościw) — kiedy z zasłużonego krwawo »grosza na starość« odpoczywał po długich, bo aż 36 latach ciężkiej pracy górniczej i często opowiadał nam, co widział i słyszał w swem życiu. Bywało — opowiadał — iż nieraz »spórkował« się z podległymi mu »szleprami« (ładowaczami), kupę lat od niego młodszymi — na temat wydajności w pracy. Młodzi, jako to młodzi, uważali, iż dosyć roboty po naładowaniu 50 wózków, zaś starsi więcej pragnęli »nafedrować«, bo i rodzina była większa i potrzeby większe. Sarkali tedy młodzi na »dziadów« (dziad to w górniczem narzeczu rębacz) i ironicznie twierdzili, iż oni, zostawszy rębaczami, węgiel »w tutkach fedrować« będą. I dożył, kiedy oni węgiel nie w tych nibyto tutkach, ale w amerykanach po ośm kół wydobywać musieli. I nieraz wyśmiewał potem ongiś młodych, a dzisiaj w pełni życia stojących, byłych jego współpracowników. Mając więc rację w tym względzie — o tych nibyto »tutkach« i ośmiokołowych »amerykanach« — uważać śmiem, że i w jego bajce-niebajce, wiele jest prawdy i trafności.

Otóż ona.

Była sobie rzeka potężna i ogromna. Taka niby to ogromna rzeka ludzka, czy innemi słowy: naród. Szła sobie w korycie swem, czasem spokojnie, czasem burzliwie — stosownie do przypływu świeżych fal (ludzkich) z wyżyn gór (życia). Miała brzegi, które były jej prawem i obowiązkiem równocześnie. Będąc spokojną i zadowoloną,

brzegów tych nigdy nie przekraczała, ale trzymała się ściśle drogi swej, ani głowy nie wychylając poza brzegi. Czasami tylko, kiedy nagły przypływ — nagły przyrost ludzkości — rzekę tę wyolbrzymił, przekroczyła brzegi swoje, gdyż miejsca za mało miała w wyznaczonym sobie korycie. Stosownie do pory roku narobiła szkody, czy też przyniosła krajowi korzyści. Tak też ludzkość nagle wzrósłszy, zmieścić nie może się w starym korycie, szuka sobie drogi według ścisłego prawa ciężenia ku ujściu i przestępuje brzegi, względnie prawa.

I mądrzy (czy aby mądrzy!?) ludzie zaczęli sypać wały. Nie są to już brzegi, lecz nadbudówki, czy umocnienia brzegów. — Nieśfornym naturalnym popędem wód i dążnościami ludzkości postawiono tamy — ustawy, które miały na celu chronić okoliczny kraj od spustoszenia oraz ułatwienia odpływu mas wodnych, względnie ludów ku ujściu do morza równości i wiecznej szczęśliwości. I tak było dobrze, bo rozumnie i przezornie pomyślane.

Ale znaleźli się »fachowcy«. Ci wyspenetrowali, iż można te masy ludu użyć za doskonały materiał roboczy, popędowy i pociągowy, jak jeno zechcieć. Zaczęli tedy stawiać w środku koryta rzeki ludzkości olbrzymie tamy, w nich zostawiwszy kilkanaście otworów, dających się odnośnemi kłapami zawierać i otwierać. Mądrze pomyśleli: my, masy ludu, będziemy piętrzyć według naszych potrzeb i stosownie do nich będziemy spuszczać względnie upuszczać wodę. To, że woda, względnie lud, może przekroczyć nasypy-ustawy, to nas nic nie obchodzi. Od tego są rządy. Niech sypią nowe, wyższe wały.

I rządy sypały nowe, coraz wyższe wały, zaś »fachowcy od eksploatacji« mas wodnych, względnie rzeki ludzkiej nie mogli nie darować sobie podwyższenia swej tamy, kiedy przecież brzegi podwyższone i można bezpiecznie odpowiednio do nich wodę spiętrzyć. I tak wkrótce. Rząd w obawie, by rzeka nie wylała, sypał coraz nowe, coraz wyższe, u góry coraz węższe wały — a »fachowcy«, coraz wyższą tamę. O tem, że wały-ustawy stawają się coraz problematyczniejsze, czem wyższe są i u góry węższe i słabsze — zdaje się — rząd nie pamiętał. Choć i o tem może myślał, nic na to nie mógł poradzić, bo rzeka mil tysiące była długa i trzeba by od samego dołu nasypy wzmocnić. A z potrzeby przecież piachu i ziemi, potrzebnego na wzmocnienie wału, trzeba by wzdłuż rzeki nową, drugą rzekę wykopać. A w tej znalazłaby się raz-dwa woda — a tu przecież roboty dosyć z jedną rzeką. A to praca syzyfowa! I pozostało

jedynie rządowi nadal tak postępować jak poprzednio: sypać coraz wyższe, coraz problematyczniejsze wały-ustawy. A »eksploatatorom rzeki ludzkiej« zawsze za mało wody na ich młyn i nie oglądając się na wały-ustawy, gdyż te nie swoje, ale rządowe, sypali i betonowali, jeno coraz wyżej swoją tamę. A silna była tama ta, bo z brył złotych była postawiona, spojonych z sobą najdroższym cementem: krwią ludzką.

Po niewczasie spamiętał się rząd, iż nadaremne jest sypanie coraz nowych wałów ochronnych i zabrał się do wielkiego dzieła (po niewczasie). Ludowi dał »konstytucję«, a »eksploatatorom« zakazał dalszego podwyższania tamy. Ale wody skutkiem niedającego się zahamować przyływu świeżych fal wezbrało się takie olbrzymie masy, iż na nic zdały się wszelkie i tak kosztowne nasypy—woda zgruchotała owe nasypy, w ryczącym i szalonym gniewie torowała sobie drogę wśród huku i grzmotu rozbestwionych fal. I straciły się nasypy, zaś w środku rzeki sterczał jakiś olbrzymi, bezkształtny, strzaskany bałwan; to owa tama zdruzgotana. A fale rzeki skocznie i lekko, jakby ocierając się ironicznie o nieżyjący, martwy głaz w środku rzeki, płynęły ku swemu przeznaczeniu do morza!

Taka to bajka — niebajka mego »starszka«. A chciałbym, by nie miał racji z swoją bajką, bo gdyby tak, to gotów wstać i naśmiewać się ze mnie, który mu nie wierzyłem w jego bajkę.

I.

»Bociany na kominach śląskich gnieździć się będą, jeśli tak dalej pójdzie!«

Wiele razy słyszałem słowa te od ludzi zrośniętych z życiem i pracą w przemyśle. Drastyczne to powiedzenie najlepiej może charakteryzuje rzeczywiste położenie gospodarcze dzielnicy śląskiej, a zwłaszcza mas robotniczych, skazanych jedynie na to, co daje zarobić kopalnia, czy huta, czy fabryka. I rzeczywistość ta, która sformułowała powyższe »przysłowie«, stworzyła również obok najważniejszych wymienionych zawodów czwarty, niemniej potężny »zawód«, czy »stanowisko fachowo-społeczne«: bezrobocie! 70.000 bezrobotnych na Śląsku rejestrowanych! A dawniej pracował każdy małorolnik w przemyśle, dorabiając ku swemu gospodarstwu. Ci nie są »bezrobotni«, tych się nie rejestruje, a tych jest przynajmniej drugie 70.000. Liczby te są wykładnikiem rzeczywistego położenia ludności śląskiej. Powiadam: ludności śląskiej, bo ta w 99%-owej

części składa się z robotników, gdyż w olbrzymim aparacie administracyjnym czy handlowym dzielnicy naszej, mało który ślązak pracuje. Tam siedzą »nie nasi«.

I dla nas, ludzi od kilofa czy młotu, są kominy śląskie wskaźnikami życia i dobrobytu. Zmuszeni jesteśmy śledzić, czy na szczytach ich fruwają chorągwie czarne, znaki rozpalonych ognisk i tętniących życiem machin lub czy nie krążą koło nich pary bocianów w zamiarze założenia tam swego gniazda. Nas robotników bodaj najwięcej to obchodzi, gdyż żaden inny stan czy zawód nie jest zmuszony brać życia tak poważnie jako my. Zarabiając mianowicie »z ręki do gęby«, nie można za czas, kiedy się pracuje poczynić wielkich oszczędności. Robotnik śląski przyzwyczajony do życia na stopę »europejską« (Boże broń! — niewystawną!) podczas normalnego trybu pracy wydatkuje cały niemal zarobek na potrzeby rodziny, nie ograniczając się jedynie do wydatków na cielesne utrzymanie, ale łoży również na mieszkanie i garderobę. I kiedy nagle — bez żadnego przejścia — znajdzie się na bruku, to straszne widzi »jutro« przed sobą. Bo i straszna to zmora być bezrobotnym! Znaczy to: obejść się bez tego, do czego człowiek przywykł, co uważał za potrzebne do życia, a potem coraz więcej, stosownie do długości tego straszego okresu, staczać się w bagno biedy, nędzy i głuchej rozpacz. I moralnie człek czuje się zdegradowanym do żebrzącego miłosierdzia katościoja i wstydzi się swego położenia i postawienia swej osoby wobec otoczenia.

Chociaż praca była ciężka i nie pozwalała na wzbogacenie się (nikt się jeszcze z pracy nie wzbogacił!) — to jednakowoż wiązało się tak koniec z końcem, by starczyło na ludzkie jądło, na jakie takie przystosowanie się do określenia: po ludzku ubrany, potem na urządzenie skromnego, ale własnego ogniska domowego, no i na perjodyczne okazanie się wśród ludzi — a w końcu może na użyczenie sobie »jednego lub dwóch z kroplą«. Pracowało się, to się i zjadło i wypilo i była ochota do życia i pracy. Więcej nie pragnął i nie pragnie górnik czy hutnik śląski. A tego przecież tak niewiele wzamian za jego naprawdę ciężką, a co główniejsze zyskową (nie dla niego!) pracę, która przysparza krajowi (a jeśli nie, to on sam tego winę ponosi) kroćmiljonowe dochody. Skromne to wymagania oświeconego robotnika w XX wieku, wobec bogactw i przepychu, z jakim spotyka się człowiek w obecnych czasach. I jeśli już na tyle marnego bytu nie starczy, to zwątpienie i głucha obojętność ogarniają człowieka.

A — mojem zdaniem — obojętność taka niebezpieczniejsza jest dla kraju i całości narodu, aniżeli burzliwe jakieś tam awantury (na które jest środek zaradczy!) różnych domorosłych, bo z biedy i nędzy wyrosłych »komunistów« czy tam »bolszewików«, którzy za pierwszym podmuchem zwiastującej poprawę konjunktury gospodarczej rzucają w kąć i bolszewizm i komunizm a rażno wezmą się do kilofa czy młotu.

Zaś myślącemu obywatelowi pozostaną »dobre owe czasy« w niezatartej pamięci i nie pozwoli tak łatwo dać porwać się różnym »idjałom« czy »politykom« — (każdy obóz i każda partja »wędkuje« ludzi w taki sposób) — gdyż nikomu nie wierzy, pamiętając dobrze o wyświadczonej mu »usłudze«.

II.

Dzisiaj mamy 4 grudnia.

Różnie gdzieś woddali kapela, dzisiaj bowiem »Barbórka«! Szły oddziały górnicze pod sztandarami. Uderzała krótkość pochodu, znikoma liczba uczestników wobec podobnych obchodów w innych latach. Połowa górników, należących właściwie dzisiaj do tych szeregów, siedzi w domu »za piecem« i przez okno przygląda się pochodowi. Nawet część »niebezrobotnych« woli dzień ten świąteczny użyć na »wywczas«, niż wlec się po błotnistym śniegu — w ostatnich butach. Bo »napluto« mają dzisiaj górnicy w robocie i co dawniej dwóch czy trzech, dzisiaj jeden zrobić musi. I to nie ochota mu pokazywać »panom«, co jeszcze wytrzymać potrafi i że rzeźwy jest jeszcze dosyć, by maszerować według ich taktu. I gwałtem tylko (kategorycznym nakazem) zmuszają zarządy kopalń (niektóre!) górników do uczestnictwa w pochodach, bo gdyby nie to, stwierdzam, iż »bardzo błado« wyglądałyby dzisiejsze pochody na Śląsku. — Minęły bezpowrotnie te czasy, kiedy to robociarz, nie oglądając się na bogacza czy inteligenta, rwał się do czynów »szlachetnych« — mów inaczej: bez zapłaty — czy »idjalnych« — inaczej: za darmo. Nauczył się bowiem patrzeć, a ku temu właśnie dzisiaj najlepszą ma okazję i widzi, że ta nibyto »inteligencja« czy bogacze nie zbytuo grzeszą szlachectwem wobec bliźniego i idjałami wobec ojczyzny.

Tony marsza górniczego oderwały mnie od gazety. Czytam właśnie o... nie tak złej konjunkturze czy gospodarce, że gdzieindziej gorzej jeszcze (to ma czytelnika może nasycić?) — o rosna-

cym wciąż zapasie złota i dewiz w Banku Polskim i o innych tam jeszcze »horoskopach«, mających pocieszyć obywatela. Lecz niesmak jeno i uśmiech gorzkiej ironji budzą. Rośnie wszystko, rośnie żyto i pszenica i kawa i bawełna i wszystko co człeku do życia potrzebno — coniemiarą. Sklepy pełne i nabite (lecz nie kupującymi) jak może nigdy jeszcze — a mnie się jeść chce! Mnie i milionom takim jak ja bezrobotnym nic nie mogą pomóc sklepy pełne i śpichlerze, waluty i dewizy i horoskopy na jutro, gdyż dzisiaj jeść mi się chce, a jutro może już mi nic nie pomogą. Postawili nas rodzice z woli Bożej (tak ich uczono!) w życie, abyśmy żyli Bogu i Ojczyźnie na chwałę i ku dobru ludzkości i naszemu, a wbrew tej woli Bożej, wbrew temu nakazowi sumienia ogólno-ludzkiego odepchnięto nas od życia i zaprzeczono nam wszelkie prawo do niego! Gdzie nasze prawo do życia? Czy nasze są jeno obowiązki obrony nieswojego dobra przed napastnikiem wojennym oraz ciężary w czasach pokoju?!!!

Takie głośne pytania stawiam jako członek ludzkości, w której jesteśmy wszyscy jednako warci — tym, którzy mając kabzy pełne i pełne brzuchy, uważają się za wyjętych z pod ogólnego i jedyne go tylko prawa, które rządzi ludy i ludzi, najmniejszych i największych.

Dzisiaj »Barbórka«... i rocznica mych urodzin. 31 lat już mam a jeszcze kawaler i samotny. Nie miałem czasu ani okazji wzbo gacić się, ba — nawet oszczędzić cośkolwiek, by stworzyć sobie własne ognisko domowe. Nie było czasu, gdyż »młody« zawsze byłem, a »idjały« mi po głowie chodziły. Rodzice — polacy, to i syn ich nie lepiej od nich urządził sobie swoje życie. Dom był polski i stąd nie było można ani im ani mnie doharować się lepszego bytu, chociaż i chęci i zdolności były. Odkładało się to na inny czas, kiedy »do Polski przyjdziemy«... a tymczasem robiło się »Grosspolnische Politik«... Łazili za to »pikelhauby«, pyskowali i przewracali budę, »pracodawcy« zaś ojca dawali mu często sposobność do odpoczynku w szpitalu po ciągłej pracy w mokrych i bezpowietrznych dziurach — jednym słowem: robiło się »politykę«... (O jakąż miał rację Lloyd George, powiadając, »iż robotnik śląski lepiej zrobi dla siebie, jeśli patrzył będzie swego kilofa czy młotu, a nie polityki«... bo miał już wówczas rację!). — Była potem Wielka Wojna, szczyt udręki dla nas »szpijonów«, co to »cara und die heilige Jadwiga« chowamy po komodach. Na porządku dzien-

nym odwiedziny żandarmów. Różne »Hindenburgspendy« — to wyciśnięte od nas, Polaków, ostatnie zapasy żywności. Potem koniec wojny i równocześnie nowa wojna o wolność Ojczyzny: front wielkopolski i bolszewicki (167 pułk piechoty). Potem praca spiskowa (idjalna!) w P. O. W., pełna awantur i niebezpieczeństw — powstanie, plebiscyt i powstanie. A to wszystko za...

...jeden dziennie ciepły obiad z kuchni »Dobroczynności«, której to cioci dotąd zgola nie znałem i dziwno mi, skąd jej przyszło na myśl zająć się mną i zlitować się nad... idjalnym idjotą, który znać ją nigdy nie chciałem.

Tak to dziać się może w świecie...

III.

Po powrocie »marnotrawnego syna«, po sześćsetletniej tułaczce na łono wspaniale wybaczącej matki — po wiwatach i wypitych toastach (odtąd u nas na Śląsku moda »galowej obżerki« przy lada sposobności czy to przyjazdu jakiegoś polityka, czy zgonu kogoś »wysoko postawionego«, czy znów obchodu takiej a takiej rocznicy) — na wspólne odnalezienie się, stracić musiało się kilka tysięcy synów śląskich z ócz swej nowej matki, gdyż brakło dla nich pracy i chleba w wolnej Ojczyźnie.

I ja, spakowawszy swe manatki (w tych i moje ordery! »za waleczność«, »za ofiarną pracę«... takie to »szaleństwa« wypełniały moją młodość) znalazłem się pomiędzy nimi. Gdyż i dla mnie nie było roboty, a na otrzymanie stanowiska (po polsku mówią: na posadę) nie miałem właśnie najpotrzebniejszego: matury! Jeść się atoli chce zarówno jak tu, tak i tam, więc i mnie nie mogła napęlić żołądka radość z odzyskania wolnej Ojczyzny — i pojechałem do Francji.

Pobywszy przeszło dwa lata: 1923 — 1925 na obczyźnie (pracowałem we Francji, Belgji, Niemczech i Czechach), sprawiwszy sobie potrzebne kawalerowi graty, uciułałem też cośkolwiek grosza, a raczej franków, powróciłem do kraju. Bo tęsknota za ziemią rodzinną i za swymi, z którymi walczyło się o tę ziemię, oraz nadzieja, że lepiej już będzie w Ojczyźnie — gnały mnie z powrotem. Przyjechałem w maju 1925 roku. I nie omyliłem się: »coraz lepiej« w tej naszej kochanej Polsce...

Czytając teraz o losie rodaków w Francji, czy Belgji, uważam, iż dobrze uczyniłem, powracając do domu, kiedy było jeszcze

za co. Mam przynajmniej prawo uważać się za polaka - obywatela, a niewiadomo, czy tych wracających »francuzów« i »belgijoków« urzędy uznawać będą chcieli za obywateli. Mnie władze wówczas uważały długi czas za obcokrajowca i coś mnie to kosztować musiało nim zdołałem niektórych panów urzędników przekonać, iż żołnierz-ochotnik, powstaniec i pracownik plebiscytowy ma bezsprzeczne prawo uważać się za obywatela.

O tem, że kiedyś rodacy nasi opuszczać będą musieli »gościnne progi« Francji, dawno już poważnie myślący emigrant wiedział. Hasło bowiem: »Francja dla francuzów« — czy robotnicze: »Precz z cudzoziemcami«, nie od dzisiaj się datuje, bo francuz-robotnik oddawna krzywo patrzy na »bosza etranżera«, który niedość iż odbiera mu robotę — której zresztą było, przynajmniej w ubiegłych latach dosyć — ale robotę tę mu »psuje«. Gdyż prawdą jest, że dopiero polacy, a zwłaszcza ślązacy pokazali pracodawcy francuskiemu co to jest robota i robotnik. I też, czem więcej był polak ceniony i poszukiwany przez przemysłowca czy przedsiębiorcę, tem więcej brał na siebie pogardy i nienawiści od francuza-robotnika. Litowałem się nieraz nad wycieczkami (a takimi były) różnych »naszych« czy »waszych« korespondentów, wychwalających świętą przyjaźń (czytaj: nienawiść) polsko-francuską. »Największym wrogiem francuza to bynajmniej nie Niemiec czy Włoch, ale Polak!« — twierdzi przeciętny (a zatem ogół) francuz. I ma rację, bowiem i dla nas byłby »kulis chiński« większym wrogiem od Niemca czy Rosjana. I nikt z innych narodów, mających swych »przedstawicieli« we Francji nie cieszy się gorszą opinią od nas Polaków.

To jest prawdziwe oblicze »naszej obopólnej przyjaźni« i niedaleka może przyszłość pokaże, jak dalece mają rację ludzie »nie-
edukowani«, umiejący atoli patrzeć — od tych, co to na sprawę patrzą się jeńo zdaleka, od »zielonego stołu«, a to jeszcze »przez okulary« przyjaźni. Jeszcze nie dał się dotąd zabić żaden francuz za Polskę, a co jej dopomógł, kazał sobie i jeszcze każe »pieronem dobrze« zapłacić...

IV.

Powróciwszy tedy w roku 1925 do domu, zastałem rodzinę... licznieszą. Zresztą to już jakoby być musi u robotnika śląskiego, bo na to się człowiek żeni, a i ksiądz tak nakazuje, a w końcu otrzymuje się większy »H a u s t a n d s g e l d«, dodatek socjalny.

Ojciec pracował w pobliskich zakładach koksowych w Knurowie (Skarbofermie) i nieźle zarabiał. Lecz rodzina o dziesięciu głowach nie mało też potrzebuje. Znalazłem się teraz i ja w domu, a że nie zaraz (bo i potem nie) mogłem otrzymać pracę, stałem się mimowoli dodatkowym ciężarem.

I odtąd rozpoczyna się gehenna mej doli »bezrobotnego«, długoletnia walka o pracę i chleb, o ludzki byt. Długie sześć lat! I te lata zrobiły mnie tem, czem dzisiaj jestem: człowiekiem nie chcącym znać żadnych idjałów przestarzałych, żadnych złudzeń czy obietnic lepszego jutra — ale zrobiły ze mnie realistę, który choćby z żydem się zgodzi, jeśli pójdzie rzecz o chleb i byt.

Pierwszą moją czynnością po powrocie do kraju było, co zresztą zupełnie naturalnie, starać się o pracę. A grubo... się omyliłem. Sam ojciec mówił, iż będę musiał mieć nielada szczęście, jeśli dorwę się jakiejś roboty. Czyby aż tak źle było? — pomyślałem. Było gorzej!

Właśnie w roku 1924—po strejku na Górnym Śląsku—wywalił ciężki przemysł 25% załogi, jako »niepotrzebnej« na bruk, pozostawiając ją wraz z rodzinami na łasce losu i... Funduszu Bezrobocia! Pierwszy raz w życiu widziałem »ogonki«, wystawające jakby podczas Wielkiej Wojny chleba — niezarobionej »gaży«. I ja, nie mogąc otrzymać nigdzie pracy, zgłosiłem się po zasiłek. Ale... »Pan nie pracował tyle i tyle czasu w przemyśle krajowym, zatem...« niema i też nie było — niby tych zasiłków. Hm, obiecujące przywitanie! Dobrze na początek! »Pan«, coprawda teraz ze mnie, ale do pioruna: chciałem przecież pracować w krajowym przemyśle i nie moja wina, że w nim nie pracowałem. No, ale... widzi pan (zaś »Pan«) — ustawa!!!

Ustawa tak powiada i... zapomogi niema!... i też nie będzie!

Dobryś! To ci pociecha! — Co prawda nie bardzo się już wobec takiego diktum kwapiłem o tę niezasłużoną gażę, bo i coś niby to wstyd mnie (wtenczas!) było »prosić się«, a miałem zresztą na razie moje oszczędności (francuskie).

I też nie traciłem nadziei, że kiedyś niedługo znajdę pracę, byleby jeno »chcieć«. A chciałem, a że znajomych i byłych kombatanów spotykało się tu i tam na urzędach—to zapewne pomogą i jakoś to będzie! I też jakoś podobnie było: Polskie Koleje Państwowe zjadły sporą część moich franków, potem już per pedes dochodziłem tej »Pracy«, która już... tuż się pokazywała, by zniknąć czy skryć się jak fata morgana. I nie znalazłem.

Dopiero teraz uprzytomniłem sobie, że to pracę otrzymać, to nie było co. Zacząłem obchodzić (natrącać się) znajome osoby na urzędach oraz pukać do związków i organizacyj o pomoc. Pomagali... świadectwami (jak mogli). Od »Annasza do Kaifasza« od rana do wieczora, sześć dni w tygodniu i... »nie było«.

Albo »etat przepełniony«, albo zaś wymagano średniego co najmniej wykształcenia, a takiego niema bez matury—to znowu wprost: (głośno) nie potrzebujemy, (po cichu) *verdamtes Pack...* i nawet tacy się znaleźli, co z takim diktum wyleźli: »kajście byli w 1921 (liczba po niemiecku) tam se dzisiaj też idźcie!«

Przyznam, iż płakać wówczas nie płakałem, ale kłąłem na czem świat stoi i żał mi dzisiaj, że takiemu »obywatelowi« co najmniej kości nie porachowałem, bo niejeden z tych co takie diktum mieli w pogotowiu dla ochotnika i powstańca, dzisiaj wielce rozdyma się swą polskością. A miałyby taki obywatel »pamiętkę« swjej dawniejszej »polskości«.

I chodziłem i szukałem i dorobiłem się... kosza, ale to fest kosza świadectw, zaświadczeń, kart zgłoszeń, przekazów (nie pieniężnych!) kopert bez i z napisami firmowymi i mógłbym otworzyć archiwum stylów i pisowni polskich oraz wszelkiego rodzaju formularzy urzędowych i nieurzędowych. Bo są tam rękopisy i maszynopisy warszawskie i także krakowskie i lwowskie i poznańskie (wszystkie atoli w Katowicach czy na Śląsku wygotowane). Były i niemieckie, ale tych z zasady nie otwierałem. A wszystkie, choć o różnych stylach, ten kwiecisty, ten suchy jak badył, ten znowu nawpół humorystyczny, o jednakiej treści: niema, nie będzie, brakło miejsca, etat, nie potrzeba, odmownie i t. p. — I nie było pracy!

Żle! Ani pracy, — a chleba niewiele. Ojciec ciężko harował, a ja, chłop 25-letni jeno jadł, spacerował, spał i... nic nie robił. Krzywo patrzył, nie wymawiał głośno, ale za to macocha tem głośniej »gadała«. Była złość i często awantura domowa, ale rozum kazał przyznać, iż mieć do miski gęb dwanaście (familja rośnie!) to dla starego, wykamanego pracą ojca — nie żarty.

I rozpocząłem trening głodowy. Nie jestem dzisiaj jeszcze mistrzem w tym zawodzie, ale mógłbym zwyciężyć w nim niejednego »wytrwałego na głód« amatora — artystę. Jadam bowiem dziennie w czasach »dobrych«, lecz te czasy są coraz rzadsze. Jak się »popsuje«, jadam na dwa dni raz jeden. Początkowo gniewało mnie, gdy mnie ktoś żartobliwie nazwał: »Hungerkünstlerem«, ale dzisiaj nic już sobie z tego nie robię, bowiem takich jak ja jest kilkunastu

mimo tego, iż »ze wsi« jesteśmy (»na wsi niema takiej biedy znowu!...« Tak mówi, choć nieurzędowo, Urząd Funduszu Bezrobocia).

I pracował ojciec mój aż do ostatniej minuty swego życia. Złożył sterane pracą i niedostatkiem kości molochowi pracy w ostatniej ofierze. Uległ śmiertelnemu wypadkowi w grudniu 1926 roku, krótko przed świętami.

Był strejk angielski — zakłady pracowały »pełną parą« — robotnicy poczęści dzień i noc stali przy piecach, robili nadgodziny, nadszyci... a bezrobotni wałęsali się beczynnie po ulicach.

Zarobki sięgały niebывałych wysokości (ale nie robotnika!), lecz na naprawę starych, sklekotanych maszyn nie było czasu ani pieniędzy. I takie monstrum rozhelstane i rozjechane jak stara bajadera, nieposłuszne rozkazom maszynisty, pracujące kiedy mu się chce i kiedy najmniej potrzeba — zadało ojcu cios śmiertelny. Po wypadku natychmiast maszyny naprawiono i przybyły sąd oraz przedstawiciel Urzędu Górniczego zastali »wszystko w porządku«. Ładne porządki, tem ładniejsze, iż ani jeden z robotników nie odważył się pisać o fakcie rzeczy, gdyż... »być na świecie bezrobotnym« — lepiej jeszcze w piekle...

V.

Pozostała wdowa z dziesięciorga małoletnimi dziećmi. Najstarsze lat 17, najmłodsze dni parę. Ja pomiędzy nimi. Jałem się »steru« w rodzinie. Siedemnastolatka pchnąłem »do wojska«. Jako zdolny muzyk jest tam do dzisiaj. Drugi jeszcze chodził do szkoły. Mój dorywczy zarobek, który dotychczas stanowił moje utrzymanie poszedł na wspólną gospodarkę. Ucichły swary rodzinne narazie, gdyż jeździłem za rentą dla wdowy i sierot. Trwało to siedem miesięcy. Siedem miesięcy żyć jedenastu osobom literalnie z niczego. Były dwie i pół morgi roli oraz drewniana, przeszło stuletnia chata. Poszły w ręce »chrześcijańskich« wierzycieli. Nie darowali ani grosza odsetek, obstawali na swoim dokładnie tak jak żydzi. Po siedmiu miesiącach doczekała się rodzina renty. Wynosi ona 9.20 zł. na dziecko małoletnie a 18.40 dla wdowy. I nastaly »stare czasy«: swary, niezgody, wymówki, wyganianie »leniwego« z domu. A dom macochy, nie mój. Ja bez rodziny, bez krewnych, (mam dalekich po stronie niemieckiej), bez majątku, bez pracy, bez żadnych dochodów, mogących umożliwić założenie własnego domostwa — położenie bez wyjścia. Znowu nużące śmiertelnie i zniechęcające do dalszego życia

poszukiwanie pracy, za skromnym, najskromniejszym choćby zarobkiem. Przewędrowałem cały Śląsk. Próbowałem nawiązać łączność z krewnymi po stronie pruskiej, ale odkiwnięto mi »palcem w bucie: »siedź tam, jeśli ci kości miłe — tu jeszcze nie zapomnieli o tobie...« Zapomniałem, że kiedyś dawno (a tak niedawno) pisałem sobie wyrok »u Niemca« za »usługi«, które wyświadczyłem mu jako głośny na cały powiat »grosspole«. A tu setki z mojej wioski zarabiały dobrze, bo dwa razy tyle jak na Śląsku polskim—w przemyśle niemieckim. A mnie ostatnie spodnie opuszczały. Niedziele i dni świąteczne skazywały mnie na areszt domowy, bo jak się tu pokazać ludziom na oczy w takiej »konstytucji«, zwłaszcza jako »polton« i »halerpowstaniec«. A »lojalni« się śmiali i palcem pokazywali (to jeszcze doniedawna, aż ich też »wylano«) na tę »biedę polską«. A ja, jakby na przekór wszystkim nędzy i biedzie nie odrzuciłem się od raz powziętej sprawy narodowej. Nie brakowało mi nigdzie, przy żadnej imprezie, czy uroczystości narodowej. Latami czynny byłem w zarządach, to jako prezes czy sekretarz, lub członek zarządu. Wiele czasu i sił poświęciłem tej »robocie idjalnej«, aż ostatecznie w 1930 r. zupełnie i doszczętnie materialnie zniszczony, odsunąłem się od tej »pracy« i całą »sprawę« na kołek powiesiłem. Jestem dzisiaj tak daleko (od stóp do głowy): 1) Obuwie: 3/4 pary płóciennych półbucików na gumowej podeszwie na lato i zimę. 2) Garderoba: spodnie w paski, sześć lat stare, na codzień i niedziele; kurtka sukienka z starego munduru przesyta, z łatanami łokciami; kurtka płócienna wygrana na zawodach marszowych (spodnie już djabli wzięli); płaszcz — zero. 3) Nakrycie głowy: czapka — magierka o nieznanym kolorze, oraz czapka powstańcza, dobra, z orłem i paskiem pod brodę. Chcę ją sprzedać lecz wyszła z mody i nie mam na nią »delikwentów«. 4) Bielizna: jedną koszulę co tydzień świeżą; kalesonów nie mam, to luksus; skarpetków nie noszę, odkąd podpatrzyłem górali, jak oni »to robią«. Zegarek miałem, a laska (jeszcze plebiscytowa) wisi w rogu. I już więcej nie mam nic. Mam książki, ale to wypożyczane, więc nie moje. Nawet ten zeszyt nie mój, bo go dotąd nie zapłaciłem.

A mój majątek: nadzieja na wieczną szczęśliwość w niebie...

Żyję, więc jeść muszę i oto moje pobory dyrektorskie za rok 1931: sześć razy (miesięcznie) po złotych polskich dziesięć, więc sześćdziesiąt; cztery razy po złotych pięć, więc osiemdziesiąt; raz po złotych trzy, więc razem: złotych osiemdziesiąt trzy! (Dwunasty miesiąc uciekł cioci Dobroczynności z kalendarza) — S^a S^m = zł. 83

bez groszy na dni 365!!! Jestem też wobec tego odpowiednio syty i gruby; ważę coś koło sto funtów. Mam się więc nieźle i brakuje mi tylko karabinu, by się sam zastrzelić!

I mnie samemu nie dziwno, jeśli »naciągają« mnie koledzy »głodomorem«. Nie wiem, jak tam jeszcze dalej będzie. Jakby na to przyszło, potrafiłbym »rekord« ten jeszcze »niżej ścisnąć«, bo gdy człekowi się jeszcze humoreskować chce, to nie tak źle znowu z nim. Ale co potem, po tem »pobiciu rekordu« będzie, sam nie wiem. Nawet nie mógłbym za to odpowiadać...

VI.

Nareszcie w 1927 r. »udało mi się«. Otrzymałem pracę na kopalni w Bielszowicach. Zawiadowca tej kopalni, polak (bez nawiasów) i legionista, poznawszy mnie w pociągu podczas powrotu z uroczystości plebiscytowej w Katowicach — przyszedł mi z pomocą i dał mi zatrudnienie. Zacząłem po trzech blisko latach znowu pracować. Niedożywiony i odzwyczajony od ciężkiej fizycznej pracy górniczej zdawało mi się, że dostałem się »na Sybir«. Najcięższą w świecie robotą jest praca górnika, a zwłaszcza ładowacza filarowego. Laik wyobrazić sobie nie może ogromu wysiłku i napięcia sił, które włożyć musi taki ładowacz na wykonanie choćby jednej tylko dniówki.

Mały obraz: na filarze pracuje dwóch rębaczy i dwóch ładowaczy, dniówka efektywna trwa siedem godzin. Siedem godzin bez wytchnienia, wśród smrodliwego dymu różnych »lignozytów« (jaknajtańszych dla przemysłowca!), często bez dostatecznego dopływu świeżego powietrza, wśród ogłuszającego łaskotu i hałasu pracujących maszyn wiertniczych i posuwek, sami jakby nakręcone automaty pracują czterej mężczyźni na wyręb i załadowanie (ręczne, łopata) 80 do 100 wozów à 15 ctn., t.j. 1200 do 1500 ctn. węgla oraz na zabudowanie wybranej przestrzeni. Przed wojną światową taką ilość węgla wydobywało co najmniej sześć rębaczy i tyleż ładowaczy. I zarabiali przytem dobrze. Dzisiaj wystarcza zarobek za taki ogrom pracy na jakie takie utrzymanie rodziny, a jeśli rodzina większa, to cierpi niedostatek. Zarobek za tę pracę wynosi ca 8 — 12 złotych, stosownie do »stopnia górniczego«. Więcej wydajności nie wykaże już choćby »najdzikszy« robotnik. I tak pracuje jeden za dwóch, maszyna również za dwóch — i stąd może być taka masa ludzi zbytecznych. I dzięki tym okolicznościom, starczy na miljonowe pobory »generalnych« i »psów gończych«. Wymarzone stosunki.

Lud roboczy pracowity, wierny, głupi wprost za robotą, a »Oni« zawsze ubodzy, potrzebujący pomocy rządowej, a pozatem aroganccy, niemilosierni i nienasyceń!

Pracowałem zatem w kopalni. Za siedem miesięcy takiej mordergi (choć niezawsze na filarze pracowałem), znalazłem się w szpitalu. Żywy trup: chudy, blady, nic, jeno ślepie i kości. Potem znowu pracowałem i znowu na odpoczynek do szpitala. I tak jeszcze dwa razy kolejno. Naparł się mnie jakiś duszący, dławiący kaszel, we łbie często się ciemniło i co się tej niby choroby pozbyłem, wracała po tygodniu czy dwóch ponownej pracy.

A na Śląsku są Kasy Ubezpieczeniowe bardzo »ubogie« i za takie nadużywanie gościnności szpitalnej pozbywają się natrętnego klienta »szyfropeszą« do zarządu kopalni, a ten przy najbliższej okazji... redukcja. Tylko młodzi i silni dzisiaj mają... łopatę czy kilof. (Głosu nie mają).

Zwolniono mnie w kwietniu 1928 r. Odtąd znowu nie pracuję. I chociaż teraz pracowałem w »krajowym« przemyśle, to... samotnym nie udziela się zasiłków. Samotnym i żonatym bez dzieci oraz wdowcom czy wdowom z jednym tylko dzieckiem.

Ustawa! — Szlus! Amen! i kwita!

Dzisiaj »Barbórkę«. A mnie 32 rok nadchodzi. Już dawno wieczór — noc nawet, godzina druga w nocy: będę jadł! Wstawam zwykle o godzinie dziesiątej czy jedenastej przed południem (by śniadania zaoszczędzić). Wczoraj zarobiłem złotego (za napisanie kilku próśb o jednorazową zapomogę). Zjadłem za pięćdziesiąt groszy, reszta starczyć musi jeszcze na dzisiaj. Ale trzeba czekać do wieczora przynajmniej, bo zjadłszy za nie w dzień, byłoby wieczorem głodno, a noce takie długie, męczące...

Lecz dzisiaj moje święto: pozwolę sobie choćby w ten dzień... jeść dwa razy... nie wiem, co jutro będzie!?

Niech to piorun strzeli!

Będę jadł!

Chleb z kiełbasą!

Herbatka à la Front bolszewicki!

Papierosa, dwa.

Spać...

Dobranoc!!!

VII.

Święta Bożego Narodzenia 1931 r. Cały mój majątek na te święta: złotych polskich pięć z tytułu »Gwiazdka« z funduszu Dobroczynności. To zarazem zapomoga na... cały 1932 r., jak »szołtys« twierdzi. Samotni nie mają zgoła nic do otrzymania. Ty samotny możesz... zdechnąć.

I otrzymałszy złotych pięć po uprzedniej »defiladzie« przed zebraną in corpore Radą Gminną, po podpisaniu list dwóch — zrobiłem sobie święta. Stop! nie zapomnieć: otrzymałem też strucle i »krupniak« jeden (naturalnie po podpisaniu listy). No, to też z biedy nie »skakałem«, jak może kiedyindziej. Zjadłem co mi »dzieciątko nakładło«, bo faktycznie nakładło, zafundowałem sobie też paczkę »Śląskich« i wertowałem książki, w które się zaopatrzyłem przed świętami. Nigdzie nie wychodziłem, ani do kościoła (tam już może nie będę nigdy stopy swej kierował), ani w odwiedziny. Miałem zato odwiedziny kolegów u siebie. Poprzez karty, pośpiewywanie kolend i dysputy nad dzisiejszym czasem przeszła mowa na świąteczne kazanie, które palnął księżulek ludziom »dobrej woli« na Wielkim Nabożeństwie. Burzliwa dyskusja myślących bezrobotnych nad kazaniem księdza, a to nad kazaniem o treści »spokój ludziom dobrej woli« — to niepocholebny wyraz dla niego. Bo wszystkiego innego spodziewałbym się usłyszeć, ale nie tego, że... »ręka Boska nas dotknęła za nasze grzechy«...? Tylko pokorą prawdziwie chrześcijańską i miłością bliźniego swego i nieswego, brata i wroga przebłagamy gniew Boży...?»

Pracujesz zatem jak wół, żresz jak koza, łazisz jakby pokora i nieszczęście w jednej osobie — a winienesz, iż ty i brat twój dźwigać musisz brzemień grzechu! Albo nie pracując zgoła (boś »leń« i nierobiś) i zdychasz z głodu — i winienesz dzisiejszej nędzy w świecie...!!!?

Popraw się! bądź pokorniejszy i... będzie lepiej!?

Też logika! Ale... (szkoda, że nie nasza) nie nasza!

I dni świąteczne zerwały znowu coś z niedużej już i tak »wiarę« ludu z powodu takiego to »nastawienia« przyczyn i objawów kryzysu.

W Nowy Rok przeszliśmy pod nadzwyczaj dla nas obiecujące mi horoskopami. Może zgoła już nie będziemy musieli pracować. Nic nie robić! To fajnie! Technika i Medycyna do dzieła! (A może już są tak daleko?) Z pomocą odnośnych urzędów, (zdaje się ziem-

skich), uda nam się zapewne wziąć w wieczną dzierżawę łąki i lasy śląskich obszarników. Medycy zretortują wspólnie z chemikami »kunsztowną żywność«, a technicy sprawią nam odpowiedni »aparatus trawienia« i będziemy trawę jeść na zmianę z liśćmi i korzonkami. A »przywódcy duchowni« powiedzą nam: »Nastał raj na ziemi! Wy, jeno, jadłszy, piwszy i nic nie róbtá!« I będzie nam gut i dobrze!

I będzie można potem i »polować« na taką »zwierzynę« — bowiem zająca czy wilka też się jeno za to goni, że mieszka w pólku czy lesie — i będzie tej drugiej połowie ludzkości również gut i dobrze... dopóki »zwierzynie« pazury i rogi nie urosną!..

Utopje to może, ale czegoż już nie dokonał postęp »kultury i sztuki«. Znieść niewolnictwo (tę czarną plamę na kulturze), a mimo to mieć więcej jeszcze niewolników w dodatku białych »z wykształceniem« do rozporządzenia za tańszą cenę bo »na raty« i wygodnie, gdyż można ich przegnać na wszystkie strony w razie niepotrzeby (a czarnego trzeba było utrzymać i w czasie kiedy nie pracował) — to przecież nielada zdobycie kultury!

A że już pracować nie potrzebujemy, na to wskazują najnowsze pociągnięcia. Zaprowadzono mianowicie turnus, tak — »turnus«. I będziemy... »turnowali« — a domptery będą nam kiwać palczką czy biczykiem. A my będziemy »turnowali«, ale pracować nie będziemy! Tak jest, Ministerium ad Robotem et Pracem!

My pracować już nie będziemy, a primo: »turnus« akurat nadarzył się panom od miechów pieniężnych ku przerzedzeniu i tak jeszcze według ich zdania za licznych załóg. I zaprowadzą (po części już zaprowadzili) turnus, lecz więcej ani ręka nie będzie pracowała. A to przecież to »pociągnięcie« miało na celu?

Francuzi-dyrektorzy kopalń skarbowych nie umieją po polsku, lecz po niemiecku za to dobrze. Ojciec Nasz i Zdrowaś ich to: »Zu viel Zeit, zu viel Zeit«, a tak wóółko, jakby jaki buddysta. Na odmianę to czasem: »co mu tu tak wielko ludów robić«. Oni nas, polaków (piorunem) poważają, kiedy nie uznawają za potrzebne nauczyć się po polsku wzamian za miljony, które pożerają. Ale do rzeczy!

Pro secundo: wysławszy robotnika na turnus odpoczynkowy, otrzyma równocześnie zwolnienie. I przyjmie go się z powrotem... na innych nowych warunkach pracy i płacy i praw socjalnych jako robotnika sezonowego z prawem (pracodawcy) natychmiastowego zwolnienia bez wypowiedzenia i podania przyczyn. Genau tak samo, jak na Polskich Kolejach Państwowych. A przy najbliższej okazji pozbędzie

się kapitalista części załogi bez żadnych »ekscesów« zę strony rządu. A Pan Kom.-Dem. będzie musiał buzię trzymać, a my pracować nie będziemy, a raczej przyrośnie nam »współbraci«.

To było »kapitalne pociągnięcie«! Tak samo, jakoby rodzice urodzili dziecko, a zapomnieli dać mu »ducha« — i ktoś inny, trzeci dał dziecku ducha tego i wychował i postawił je potem przeciwko jego twórcom. A dziecko bije »erzeugrów« po... (po rusku), a dla wszystkich innych jest jeno przeszkodą i udręką.

I więcej jest takich »Robertów«-djabłów«. Naprzykład: samotny nie jest uprawniony do pobierania zasiłków. Oto on: 20 — 30-letni zdrowy, bo młody chłop, ale ma »rodziców«. A że jeszcze młody to i ojciec nie stary tak bardzo, coś tam około pięćdziesiątki. A że przecież w przemyśle, zwłaszcza w górnictwie nic nie robią, jeno sobie pyski »na szwarc malują«, to taki 50-letni mężczyzna powinien być jeszcze silny i rzeźwy na tyle, by mógł zarobić na rodzinę. A jeśli po życiu pełnem wygod i lenistwa dotknął go »palec Boży«, w postaci marnej renty na starość, to słuszna go jeno nagroda spotkała, jeśli zwałił mu się syn bezrobotny, a może dwóch i nawet trzech na stare barki. Albo inaczej jeszcze: taka sobie stara babcina pobiera 30 zł. pensji. To wystarczy, aby »przyłożyć« jej bezrobotnego. Jeszcze inaczej: dziewczyna bez rodziny i bez pracy... samotna, bo niezamężna. Przebywa u krewnego i ten niech ją utrzymuje. A jak ten nie zechce? To niech idzie na »ulicę«!?

Źle w Polsce! Utraciliśmy, a raczej ojcowie nasi wolność i niepodległość z takich samych przyczyn, jakie dzisiaj toczą Ojczyznę ku przepaści. Prywata »śmietany« górą! Masy niech cierpia!

A gdy te masy zobojetnieją na wszystko? Dzisiaj idą jeszcze na ulice miast i nastawiają się na pałki gumowe i sikawki. Przekonają się, że to nadaremno. I popadną w taki sam letarg, jak ongiś naród polski, który po okresie rozkwitu gospodarczego i moralnego wpadł w stan odrętwienia, a to z powodu brutalnej przemocy szlachcica i magnata, który znał jeno swoją prywatę i tej tylko dochodził. »Patryjota« jeno wtenczas był jeśli »łup wojenny« był, a na głosy mężów mądrych głuchy był, jeśli wołali o łożenie na obronę wspólnej *Mater Poloniae*. »I późno potem z konstytucją« gdy Ojczyzna kona...

Bo: co mnie biednemu, deptanemu do tego, że »panu« pałac goreje; zgorze i postawi pan sobie nowy. Ja nie będę ni gasił, ani też nowego budował, jeśli mnie nie zawezwie i roboty nie zapłaci. A jak mnie zmusi do »odrobienia pańszczyzny«, to rąk sobie nie wyrwę!

Dzisiaj jeszcze lud idzie na ulicę krzyżeć — a to lepsze dla Ojczyzny od głuchej obojętności narodu na potrzeby krajowe, jako »nie swoje«.

I byleby potem »konstytucja« znowu nie przyszła za późno.

Przyszowice, dn. 15 stycznia 1932 r.

WALKA Z NIEDOLĄ
Pamiętnik bezrobotnej

Uczennica
zamieszkała w Krakowie

Na ustach ludzi słyhać teraz tylko jedno słowo »bezrobocie« — mówi o tem sędzia sądu okręgowego, mówi urzędnik magistracki, mówi to -już i baba na rynku i student skarży się na brak »korków«. Słyhać to i w salonach i w sklepach, ba i nawet już stróżka, zamiatająca chodnik koło swej kamienicy — opiera się na drążku miotły i gwarzy o bezrobociu.

Należę do tych co płaczą na brak »korków«, chociaż nie jestem studentką żadnego z uniwersytetów. Czem więc jestem? Jestem sobie biedną uczennicą, która z braku możności nie kończy nauk.

Siedemnaście lat temu byłam szczęśliwą dzieciną bogatych rodziców (ojciec był restauratorem), ale Bóg zabrał mi Go. Moskale zrabowali cały majątek i matka, zostawszy sama ze mną, musiała wziąć się do pracy, aby móc utrzymać nas obie.

Mijały lata dosyć szczęśliwe i spokojne, aż nadbiegł rok 1931—rok w którym po raz pierwszy odczułam ciężką biedę wskutek bezrobocia.

W lutym tegoż roku matka straciła posadę, a ja musiałam przerwać naukę, boć kto mi miał nakładać na tak drogą naukę.

Szukałam zajęcia i ja i matka. I jednej i drugiej o pracę trudno, tembardziej mnie, która nie pracowała nigdy i nigdzie — a dziś tylko rutynowane siły mogą znaleźć pracę.

Po kilku miesiącach ciężkiej biedy i męki, połączonej niekiedy z silnem roztargnieniem, matka moja pojechała na posadę. Zostałam sama — bardziej jeszcze zgnębiona. Z zazdrością wsłuchiwałam

się w opowiadania koleżanek o egzaminach, o tem, gdzie która poda się na posadę, a z żalem i wściekłością spoglądałam na uśmiechnięte buziaki po złożeniu egzaminu.

A o mnie jakby Bóg zapomniał,—mimo starań, próśb i podań—nie dostałam nic.

Nadeszły wakacje—wyjechałam na dwa tygodnie do matki na wieś, a po powrocie do Krakowa zamieszkałam w Ochronie Kobiet i znów stamtąd szukałam pracy. Minał miesiąc cały — gdy do Ochrony przybyła młoda i sympatyczna panienka z Bydgoszczy. Po poznaniu dowiaduję się, iż jest to też sierota bez ojca, która poszukuje posady. Dziwnym zbiegiem okoliczności zostajemy przyjaciółkami — jesteśmy zawsze razem.

I znów minęło parę tygodni — kieszenie nasze z czasem opróżniły się tak, że zaczęłyśmy, jak się to mówi po naszymu »głodem handlować« i nie płaciłyśmy już mieszkania. A kiedy zupełnie byłyśmy bez »forsy« — znalazłyśmy się na bruku, bez dachu nad głową, bez grosza i bez kawałka chleba.

Pamiętny dzień 15 sierpnia, niedziela, pogoda w całej pełni. Nasze młode twarzyczki, mimo ciężkiego zmartwienia, były uśmiechnięte, chociaż czułyśmy, że ani jeść, ani spać nie mamy gdzie.

Dzień cały spędziłyśmy na medytacjach — co robić? Zaznaczyć muszę, że walizy nasze odniosłyśmy do S. S. Sercanek, gdzie jednak nie mogłyśmy nocować z powodu rekolekcji.

Gdzie pójdziemy? gdzie? Takie pytania padały naprzemian, gdzie szukać noclegu? Ale na te pytania odpowiedzi nie było. Próżno chodziłyśmy od klasztoru do klasztoru, ale nigdzie nie udzielono nam pomocy. Ha! Zrezygnowałyśmy już z próśb, zdecydowałam pójść na stację i tu prosić o pozwolenie przesiedzenia na stacji całą noc w poczekalni — gdzie nie będziemy narażone na upadek i nieprzyjemności. Z rumieńcem wstydu, ze łzami w oczach i ściśniętym sercem z bólu, poszłyśmy na dworzec główny. Tu o pomoc zwróciłam się do jednego ze służbowych policjantów, a pocziwy ten człowiek pozwolił nam przesiedzieć w III klasie, zakazując wszelkich rozmów i znajomości. Już była 11-ta w nocy. Poczekalnia napelniona częścią podróżnymi, w części zaś »współtowarzyszami niedoli«. Były tam przeważnie szumowiny Krakowa, szukające kąta do przespania się lub też okazji do szczęścia, aby komuś coś »zweździć«. Twarze niektóre wzbudzały wstręt, inne litość, a jeszcze inne siały między podróżnych groźne, formalnie bandyckie spojrzenia. Z ogromnym bólem psychicznym patrzyłyśmy na »dzieci ulicy«, na

pasażerów szczęśliwych, jadących hen daleko — tam, gdzie na nich czeka jasny promyk szczęścia.

Nagle wśród dymu i tej hałastry wyłoniła się postać pani z Misji dworcowej, która zabrała nas do swej kancelarji i tu na kanapce przespałyśmy do 5-ej rano. Po spożytym śniadaniu, składającym się ze szklanki gorącej herbaty i dwóch bułek (dar naszej dobrodziejki) przeczekałyśmy do 6-ej na stacji. Kiedy wyszłyśmy z dworca miasto jeszcze spało, po ulicach snuły się jeszcze niespędzone »cmy nocne« i wałęsały »dzieci ulicy«, które przeważnie, jak i my zeszyły z dworca. Tu i owdzie widać było dozorcę, czyszczącego ulicę przed swą rezydencją, a zatem wszędzie cicho.

Słońce wesoło uśmiechało się do nas i witało nasze smutne twarzyczki, a my szłyśmy znów z zapytaniem — dokąd? Wstąpiłyśmy do kościoła Marjackiego i tam przed cudownym obrazem Matki Najświętszej błagałyśmy o litość, o pomoc.

Dzień 16-go, to drugi dzień tej bezlitosnej walki z życiem. Nie mając grosza przy duszy, nie mogłyśmy znaleźć mieszkania, nie miałyśmy przytem ani kawałka chleba. Wyglądałyśmy zapewne niekorzystnie, bo przechodnie spoglądali na nas z jakąś niesympatyczną miną. Chodziłyśmy do południa za posadą, ale nigdzie jej znaleźć nie można, aż wreszcie Klaudzia, jako hafciarka dostała się do . . . »Skład oznak wojskowych«, ale posada była wolna od środy.

A więc ona była już szczęśliwą. Nie zazdrościłam jej, bo wynagrodzenie takie marne! A teraz na mnie kolej—i na wyszukanie mieszkania. »Zocha« mówi mi Klaudja »nie szukajmy teraz miejsca dla ciebie, ale pomyślmy o nocy — wszak już wkrótce noc zapadnie«. Postanowiłam udać się do jednej ze znajomych pań i tam wystarać się, jeśli nie o nocleg, to chociaż parę groszy na chleb i na zapłacenie gdzie jakiego noclegu. Szczęście sprzyjało nam — pożyczyla nam owa pani 2 zł. i od niej dowiedziałam się, iż przy ul. Nadwiślańskiej jest magistracki dom noclegowy, gdzie za 30 gr. można mieć nocleg. Naturalnie, nie mając żadnego innego wyjścia, ruszyłyśmy do tego domu. Po drodze kupiłyśmy sobie cztery bułki i już, jako panie sytuacji, szybko biegłyśmy na Nadwiślańską. Hen, szukamy tego domu noclegowego, zdala bieleje w mroku nocy jedno-piętrowy gmach. »Już jesteśmy na miejscu«, rzekła Klaudja. Nagle oczom moim pokazał się napis: »Dom noclegowy«, »Poradnia przeciwweneryczna«. Zrobiło mi się słabo. Nie wiedziałam co począć, ale ponieważ nie było innej rady, weszłyśmy niepostrzeżenie. Kierownik zdziwiony dał nam bloczek, jako dowód zapłaty za nocleg,

kazał iść na piętro. Obraz nędzy i rozpacz ujrzałyśmy w sali, którą przeznaczono nam na nocleg. Bieda z każdego hamaka wytrzeszczała ku nam oczy. Tu widać było matkę, otoczoną garstką nagich prawie dzieci, brudnych, z zażwawionymi oczkami, patrzyły na nas, któreśmy naprzeciw tej nędzy wyglądały, jak najbogatsze królowny.

Kiedy weszłyśmy na salę dały się słyszeć liczne szepty pod nasz adres, czem dano nam do zrozumienia, że jesteśmy tu niepotrzebne. Dostałyśmy dwa hamaki, po kocu, ale choć serdecznie zmęczone, nie kładłyśmy się na tych hamakach, ale posiadałyśmy na oknie i całą noc prawie tak przemęczyłyśmy się.

Ledwie świt, odezwał się dzwonek, nawołujący do powstania. Zerwałyśmy się prędiutko i oprzytomniałyśmy czem jesteśmy i tak, aby nikt nas nie widział, po zjedzonym śniadaniu, wyszłyśmy na ulicę, poprzysięgając sobie, że nigdy już tam nasza noga nie postanie.

Krętymi ulicami zaszłyśmy do miasta i tu znów pytamy jedna drugą, gdzie nasz dom? gdzie będziesz spała? Uśmiechałyśmy się do siebie, chociaż bieda okrutna przygnębiła nas. Miałyśmy całego złotego, ale wydać go nie mogłyśmy. Ten drogocenny pieniądz trzymałyśmy na zapłacenie noclegu. Cały dzień chodziłyśmy szukając noclegu i dopiero wieczorem dowiadujemy się, iż na Loretańskiej pod Nr. 3 w suterynie może nas dozorczyńni przenocować. Niby jasny promyk słońca spłynął na nasze zmartwienie. Idziemy zadowolone już do tej stróżki i tam prosimy o nocleg. W ciemnych suterynach, oświetlonych lampą naftową, zastałyśmy starą kobietę o dosyć niesympatycznym wyglądzie, w towarzystwie drugiej młodszej. Zwracamy się z prośbą do starej kobiety, ale ta niechętna nie chce się zgodzić na przyjęcie nas. Dopiero po długiej prośbie młodszej godzi się na przyjęcie. Ucieszyłyśmy się bardzo, zapłaciwszy złotego, i czekałyśmy tylko, kiedy pozwolone nam będzie położyć się spać. Po jakiej godzinie dozorczyńni wyznaczyła nam łóżko, ofiarowała dwie poduszki, dwa koce i naturalnie z wielką przyjemnością spoczęłyśmy snem spokojnym. Na drugi dzień Klaudja miała iść do swej nowej pracy, trzeba było wypocząć, a zmęczone usnęłyśmy szybko.

Dnia 17-go Klaudja poszła naturalnie bez śniadania do pracy, a ja myślałam wystarać się o jaki obiad dla wygłodzonych żołądków. I jakaś opatrność sprowadziła mnie na ul. Florjańską, gdzie spotkałam swoją b. dawną znajomą, która tu w Krakowie pracuje. Opowiedziałam jej swą »biedusieć« i p. Wanda pożyczyła mi parę złotych i w dodatku zaprosiła na niedzielę do siebie.

Uradowana, za parę groszy kupiłam jedzenia i zaniósłam je mej milej towarzysze, która biedna pracowała o głodzie.

Jak idzie szczęście, to z wszystkich stron ono garnie się do człowieka. W południe, kiedy przysłam po moją współtowarzyszkę niedoli, ta powiedziała mi, iż dostała a conto od szefowej swej aż całutkie dwa złote. Byłyśmy ogromnie wesołe. Wróciłyśmy na południe do »swego« mieszkania, ugodziłyśmy się z naszą nową gospożą, że będziemy parę dni mieszkać, dopóki nie znajdziemy miejsca innego.

Muszę zaznaczyć, że matka moja była na posadzie i teraz nosiłam się z myślą, że od września pójdę do szkoły, aby ukończyć ten jedyny rok seminarjum.

Mijały dni — dni, w których myślałam rozmaicie: udać się na posadę, kończyć budę prywatnie, a nieraz myśli te stawały się wprost straszne. Widziałam chwilami swą przyszłość jasną, świetlaną, czułam się bardzo szczęśliwą, to znów przychodziły chwile, w których myśl moja błędziła hen, zdala i życie swe widziałam jak najczarniejsze.

Po naradzie z matką, do której pojechałam na parę dni, zapisałam się do szkoły na V kurs seminarjum nauczycielskiego, równocześnie szukając lekcji. Muszę zaznaczyć i to, że pensja matki była bardzo mała—dlatego niejednokrotnie z czarną nędzą walczyć musiałam.

Z Kludją mieszkaliśmy dalej w tej samej suterynie. Ona chodziła do pracy, a ja pilnie wkuwałam.

Szereg przejść miałyśmy przez przeciąg czterech miesięcy, nieraz nie miałyśmy co jeść, co niejednokrotnie skłaniało nas do łasowania naszej gosposi—to chleba, to ziemniaków, to znowu cukru. Jedyne nasze pożywienie, to chleb i herbata, a na obiady ziemniaki najczęściej postne.

Skąd wziąć pieniądze? Przecież o lekcje tu tak trudno. Podawałam się kilkakrotnie do gazet, ale nic niema. Jakkolwiek ciężko mi było, czułam się zadowoloną, że mogę się uczyć.

Praca Kludji była bardzo mało płatna — ale o inną trudno. Wystarczała ona na zapłacenie mieszkania, na zakupno trochę »prowiantów« — a muszę zaznaczyć, że Kludja dopomagała mi dużo.

Nagle, jak grom z jasnego nieba, pada na nas wieść straszna. Matki nasze tracą posady, zostają zredukowane, a także i Kludja przestaje pracować. Ogólna redukcja. Cios to ogromnie ciężki i straszny — co robić?, co robić?

Dnia 1-go grudnia zjechały się nasze matki, a 15-go tegoż miesiąca ostatni raz poszła do pracy Klaudja. I cóż się stało z chwilą, kiedy matka moja przyjechała. Do szkoły przestałam uczęszczać, bo kto mi pomoże? I tak drugi rok zawiódłam się na swej pracy.

Z bólem opuściłam mury szkolne, rzuciłam książki i dziś znów jestem w pogoni za posadą. Dziś nie jest nas dwie, dziś do pracy chce stanąć cztery osoby. Ale gdzież tę pracę znaleźć?

Żyjemy z sobą w zgodzie, tworząc jakby małą rodzinę. Często w oczach naszych matek pojawiają się łzy, łzy bólu, martwią się one nie tylko sobą, ale i naszym losem. Nieraz też słyszę, jak między sobą rozmawiają o egzystencji naszej. Tak, one starsze, doświadczone, godzą się ze swymi stanowiskami, jakie objąć muszą, ale my młode? Ciężko nam na myśl, że trzeba będzie zapomnąć o tych chwilach szczęśliwych.

Mieszkamy razem, czekając zmiłowania Bożego, żyjąc tymczasem w ciężkiej walce z niedolą.

Wyczytawszy artykuł o konkursie na pamiętnik »bezrobotnego«, postanowiłam napisać z myślą, że może praca moja zostanie oceniona a tym sposobem zarobię parę złotych, które przeznaczyłabym dla wspólnego naszego dobra.

Czy będę mieć szczęście? O tem może powiedziec Komisja, która będzie rozpatrywać te sprawy.

Kraków, w styczniu 1932 r.

Bona - wychowawczyni
zamieszkała w Krakowie

Stosownie do ogłoszenia w dziennikach apelu Szanownego Instytutu celem opisanego losu bezrobotnej — posyłam opis mej niedoli. Liczę nietylko na nagrodę, ale również, że Szanowny Instytut pomoże mi w uzyskaniu pracy — zajęcia, a gdyby to nie było możliwe, to uzyskania zapomogi z funduszu państwowego.

NIEDOLA BEZROBOTNEJ - SIEROTY

Przed 16 laty ukończyłam szkołę wydziałową z językiem wykładowym niemieckim w Białej obok Bielska, na którą nieodżałowanej ś. p. drodzy i kochani rodzice nie szczędzili grosza i poświęcenia, a było nas siedem dziewcząt. Po śmierci tychże, opuściwszy Wadowicę, wyjechałam do Krakowa, do siostry dziś zamężnej, dawnej panny, która pracowała w Krakowie w charakterze gospodyni u jednych państwa, celem znalezienia jakiejś pracy — zajęcia.

Liczę lat 30, wyznania rzym.-katolickiego. Pochodzę z rodziny biednej. Ojciec mój pracował przez 36 lat, jako woźny sądowy za dekretem najpierw w Białej, potem w Kętach, gdzie przez 15 lat był dozorcą więziennym i zamieszkiwaliśmy z całą rodziną, składającą się z 7 córek, ojca i matki w gmachu sądowym. W r. 1919 został ś. p. ojciec przeniesiony do Wadowic, gdzie umarł, chorując przez trzy miesiące na zapalenie płuc. W r. 1922 umarł a pogrzeb odbył się 7 kwietnia. Matkę straciłam w r. 1920 również w Wadowicach. Matka moja była kobietą bogobojną i pobożną, całe życie pracowała ciężko, ponosząc trudy wychowania dzieci. Pochodziła z Żywca, z rodziny obywatelskiej.

Po śmierci rodziców pozostało siedem dziewcząt sierot, skąd cztery starsze pracowały w świecie na siebie, a trzy młodsze były na utrzymaniu rodziców.


Przyjechawszy do Krakowa w r. 1922 do siostry i rozglądawszy się po grodzie wawelskim, nacieszywszy się wystawami w sklepach, otrzymałam posadę przez biuro pośrednictwa pracy, zajęcie bony-wychowawczyni, gdzie zajmowałam się samodzielnie trojgiem dzieci (ze starszą dziewczynką robiłam lekcje), a z młodszymi bawiłam się, karmiłam, chodziłam na spacer. Pensja miesięczna 40 zł., gdzie mi wystarczyło na sukienki, buciki i t. p. rzeczy, tak że z każdego miesiąca mogłam sobie odłożyć 25 zł. miesięcznie. Skromnie się ubierałam i kupić sobie musiałam, ponieważ z domu wyjechałam w jednej podartej koszulinie, w lekkim płaszczyku i w perkalowej sukience, ponieważ ś. p. ojciec mój, mając tak małą pensję i tak dużo dzieci, nie był w stanie kupić mi płaszcza na zimę, ani ciepłej sukienki. Więc gdy byłam u tych dzieci, a chlebobdawczyni moja była cały dzień zajęta w aptece, a ojciec dzieci był porucznikiem przy wojsku polskim, pani pracowała jako farmaceutka, więc tylko do domu przyszła na obiad, a pozatem była cały dzień poza domem. Było mi tam dobrze, dzieci mię polubiły, cały dzień byłam zajęta dziećmi, a w wolnych chwilach czytałam książki, a raz na tydzień mogłam iść z koleżanką do kina i wpaść do cukierni nietylko na ciasteczko, ale i przeczytanie gazety. Dziękowałam Panu Bogu i mym ś. p. rodzicom, że dali mi zdrowie, naukę, byłam wesoła, śmiałam się ze wszystkiego i wszystko mię bawiło; myślałam, że tak będzie zawsze, długie lata, nigdy nie przypuszczałam, że po cieplej, słonecznej wiośnie, po cudnych dniach przyjdą ponure, ciężkie dni, miesiące i lata.

Byłam u tych państwa dwa lata. Niestety, ponieważ mój chlebobdawca był wojskowym, został przeniesiony na Kresy, a ja pozostałam uwolniona z zajęcia, a oni z całą rodziną wyjechali z Krakowa. Ja zostałam bez zajęcia. Wzięli ze sobą jakąś zubożałą kuzynkę krewną bezpłatnie, woleli, niż obcą osobę. Pozostałam więc w Krakowie bez pracy. Tyle choć zyskałam, że za oszczędzone pieniądze zapłaciłam dach nad głową, kątem 20 zł., a resztę miałam na życie. Zaczęłam chodzić po biurach pośrednictwa pracy, prosić ich, aby pomogli w wyszukaniu jakiejś pracy: do sklepu, biura lub ekspedycji, bo właściwie chciałam koniecznie zrobić dłuższą praktykę płatną biurową, aby się wybić na wyższe stanowisko. A ponieważ jestem młoda i sprytna do tańca i do różańca urodziwa dziewczeczka,

więc sądziłam, że z niewielkimi trudnościami coś otrzymam. Niestety...

Upłynęły cztery miesiące, a ja pracy nie dostałam, oszczędności się wyczerpały, sprzedawałam sukienki jedną po drugiej na życie, zegarek srebrny, który sobie za lepszych czasów kupiłam, medaljonik złoty z Matką Boską Częstochowską, pierścionek złoty i t. p. Nie przypuszczałam nigdy, że ja, córka urzędnika sądowego, ukończywszy jakie takie szkoły, dobrze zbudowana, nie gardząca żadną pracą, pracująca zawsze pilnie, pozostanę kiedyś bez pracy, na bruku. Kryzys zaczął wzrastać. Rok 1925—1927 dał się we znaki, ogarnęła mnie rozpacz — co będzie dalej? Gdzie ja znajdę pracę? Minęły cztery miesiące, jak z bicza trzasnął, a ja, mimo poszukiwań, pozostałam bez pracy. Ponieważ nie miałam już czem za mieszkanie płacić, poczęłam chodzić po koleżankach i u nich spędzałam noce, i to różnie, albo na sienniku na podłodze, albo we dwie na łóżku lub na jakiej dziurawej, z powykręcaneimi sprężynami kanapie. Jak były grosze, czekoladki, kino, to cię widziały, a jak nie, to wyszukiwały różne powody, aby się wynosić i szukać miejsca u innej. Opłakany to los kobiety, jak nie ma miejsca, kąta swego, jak nie ma własnego pokoju, izby lub choćby w kilka razem. Nie było na noclegi, a na życie brakowało zawsze.

Chleb i ciepła woda kartoflana, wodzianka — to me środki do życia od kilku miesięcy. Czyż na to warto było się rodzić i chodzić do szkół, aby dzisiaj marnieć i nie mieć nadziei lepszego jutra?

I tak znowu po siedmiu miesiącach bezrobocia trafiło mi się zajęcie wychowawczyni do sześciolatniego chłopaka, aby z nim roznawiać po niemiecku. Chłopak się przywiązał i uczył, a ja byłam zadowolona, bo miałam dach nad głową i kilka złotych na miesiąc. Ale po kilku miesiącach umiera ojciec dziecka, a matka, nie mając środków do życia, zwalnia mnie i znowu jestem bez pracy. Zaoszczędzone pieniądze się skończyły, zegarek zastawiony — dowód osobisty zastawiony za 17 obiadów po 50 gr. w kuchni inteligencji. W r. 1927 dostałam się do Związku Chrześcijańsko-Ludowego ś. p. Stanisława Stojalskiego i pracowałam tam przez rok czasu w charakterze ekspedjentki-administratorki do roku 1928, do czasu zwinięcia biura. Z Kasy Chorych korzystałam przez przeciąg trzech miesięcy, ale z funduszków dla bezrobotnych czy innego towarzystwa, to zapomogi żadnej nie otrzymałam, ani nie otrzymuję, sama nie wiem dlaczego nie dają, choć wiem, że nasz kochany  Marszałek Piłsudski, wódz narodu i legjonistów, których z dzieciństwa pamiętam,

jak w r. 1914 przejeżdżała I Brygada przez nasze miasteczko Kęty, jak owacyjnie witaliśmy tych dzielnych rycerzy kwiatami w czasie wielkiej wojny i u nas byli, i Pan Prezydent Mościcki wydał taką ustawę, aby biednym ludziom, co to chcą pracować i siłę mają, a jednak pracy nie mogą otrzymać, dawać zapomogę, aby z głodu nie pomarli i na dobrych, dzielnych obywateli wielkiego mocarstwa państwa wyrosli. Żywię też nadzieję, że dobry i litościwy nasz Marszałek nie pozwoli zginąć nikomu biednemu, tembardziej biednej i opuszczonej sierotce, która w jego mądrych i dobrych rządach i rozkazach widzi nietylko poprawę Polski, ale również i swego losu.

Lokatorka mieszkania, widząc mą rozpacz i ciężkie położenie, trzymała mię jeszcze przez kilka miesięcy, dając nawet raz na dzień trochę strawy ciepłej do jedzenia. Choć sama biedna była, to jednakże jak mogła w biedzie mi pomogła i jak mogła pocieszała. Mogłam tam bieliznę wyprać, prasować, no i co najważniejsze — to dach nad głową miałam. W zimie trzęsłam się, jak osika z zimna, bo na węgiel nie było, a ona biedna dwa razy w tygodniu w piecu napaliła. Więc schudłam, zżółkłam, zajęcia nigdzie dostać nie mogłam. Wyczytywałam chciwie ogłoszenia pracy w kurjerach: Krakowskim, Poznańskim, Warszawskim, prosząc wydawców dzienników o bezpłatny anons dla poszukującej pracy. Nieraz ogłaszałam się, aby mnie do pracy zaangażowali, pisałam na różne strony, nieraz za ostatnie grosze, nie jedząc, wysyłałam listy, ludząc się nadzieją, że może ktoś odpisze. Odpisywali, żądali fotografii, referencji, posyłałam, a potem żadnego znaku życia nie dawali. Trułam się tą myślą, co to są za ludzie — czyż nie widzą, nie rozumieją dolę bezdomnych kobiet biednych. Jestem sama, opuszczona, nieszczęśliwa, bez środków do życia. W żadnym sklepie mi nic nie skredytują, ani $\frac{1}{4}$ kg. cukru, ani $\frac{1}{2}$ kg. chleba, bo się boją, że im nie oddam, bo nigdzie nie pracuję. Drzę ze zimna, pisząc tę prośbę, że ręce mi się całe trzęsą, tak zimno w mieszkaniu. Jedyńm ratunkiem jest jeszcze primus, który chowam na »czarną godzinę«, to od czasu do czasu palę w nim i zagotowuję wodę na herbatkę, abym się rozgrzała.

Chodzę, szukam, stukam, kłaniam się, idę do Magistratu krakowskiego od jednego p. Rady do drugiego Nadradcy, proszę ich: dajcie pracę sierocie, podajcie rękę, bo ginę, nie chcę zapomóg, jestem młoda, mogę pracować, proszę tylko o protekcję, zatelefonujcie do Dyrektora Monopolu Spirytusowego w Dąbiu, prawdopodobnie mają przyjmować od Nowego Roku, a oni odpo-

wiadają nie mamy czasu, niech pani nam nie zabiera drogi czas. Idę do Miejskiego Komitetu Bezrobocia i pytam się: mogłabym dostać jakie prowianty. Urzędnik odpowiada: czy Magistrat jest upoważniony dawać bezrobotnym utrzymanie? A na co są te składki po kinach, teatrach i restauracjach? Nie myślcie, że zrezygnowałam z pracy. Wyjeżdżałam do różnych miast, brałam przedstawicielstwa książek polskich i gorsetów higienicznych, przepuklinowych, różnych aparatów do masażu, nikt nic nie kupuje. Chodziłam po ulicach miast, wchodziłam do różnych fabryk, sklepów większych, instytucyj, magazynów. przedstawiałam świadectwa, referencje, wyjaśniałam me położenie, wszędzie od wszystkich usłyszałam jedno: proszę pani nic nie poradzimy, uznajemy, współczujemy, aleśmy sami rok temu zwolnili tyłu a tyłu, a za miesiąc zwolnimy wszystkich i zamknjemy. Wszyscy tak mówią, nie wiem czy to co mówią jest prawdą, jedni może mają rację, ale drudzy mają zysk.

Któż rozpatrzy ciężkie położenie biednych, opuszczonych sierot i rozgładnie się po różnych biurach i instytucjach i gdy w jednej rodzinie zarabia ojciec, córka, syn. Mąż i żona postarają się o miejsce dla córki, która zarabia na stroje, perfumy, to znajdzie pracę, a taka bezrobotna sierota, którą praca uchroni od śmierci i da grosz na chleb i ciepłą strawę i dach nad głową? Ciężko jest, bieda ogromna, mieszkać nie mamy gdzie, kąta opalić nie mamy czem, jeść nie mamy co, bo zarobić nie możemy. Marniejemy, ginjemy. Takie jest życie bezrobotnej kobiety, nie mającej własnego mieszkania, nie mogącej latami znaleźć zajęcia. Czarna rozpacz, melancholja — djabelskie podszepty mną targają. Jeśli nie upadam na duchu, choć ciało mdłe i wiotkie, to widać, że cierpiąc znoszę upokorzenia. Cieszę się jeszcze nadzieją, że zaświta mi jeszcze lepszy dzień. Jeśli narzekają, lamentują te bezrobotne, które otrzymują kilkunasto lub kilkudziesięciozłotowe zapomogi, a z Komitetów nad biednymi jeszcze węgiel i cukier i środki do życia — to co mamy robić my bezrobotne, które ani zapomogi, wypłaty pieniężnej nie mamy, ani w naturalnych nic nie otrzymujemy.

Czy o nas już nikt nie dba? Nikt się nami nie zajmie? A przecież to z małemi przerwami jestem już trzy lata bez środków do życia. Nie chcę zapomogi, litości, dajcie mi pracę, zajęcie odpowiadające kwalifikacjom i siłom. Te trzy lata chodzenia, pisania, błagania osłabiły me siły, wylałam tysiące łez z ocz mnych z bólu, żalu i rozpaczy.

A co będzie jutro?

Mam sześć siostr, a żadna nie może mi nic pomóc. Najstarsza Marja, mężatka, wyszła zamąż za starca, liczącego 60 lat, wdowca, który ma wyrab mięsa końskiego, w Jatkach Dominikańskich, który ma dwoje swoich dzieci: syna i córkę, więc siostra moja Marja ma się za mężem biednie, tak że nie może żadnej siostrze dopomóc. Interes idzie im źle, nic nie targują, od 1—2 zł. dziennie, podatki szalone, licytacje. Mają również ciasne mieszkanie na peryferjach miasta, i nieopalone, bo zarobku niema, to nie może nic dopomóc.

Druga siostra Andzia, biedna, słaba, chorowita, upośledzona przez los, bo ma nos taki czerwony, że każdy się jej brzydzi. Gdy była młodszą chodziła po obowiązkach do lepszego państwa, a teraz nie może dostać odpowiedniej lekkiej pracy, bo nie ma zdrowia. Chodzi na obsługę do jednych państwa, jest cały dzień to dostaje 15 zł. miesięcznie z całodziennem utrzymaniem. Z tego musi zapłacić za mieszkanie »kątem« 10 zł. miesięcznie u takich stróżów pijaków, a resztę 5 zł. ma na pończochy i sukienki lub koszule. Następnie dwie siostry starsze Emilja i Matylda pracują w * * * zamieszkałe tamże od śmierci ojca. Emilja—mężatka pracuje, jako biuralistka w miejskiej elektrowni, a Matylda panna pracuje w Kasie Chorych. Ale one są wielkie panie, nie żyją z nami sierotami, wstydzą się nas, że jesteśmy biedne, nieubrane, nie dają znaku życia o sobie. Nie chcą nas znać, nie mają żadnego uczucia braterskiego, latami nic nie piszą do nas, dzieci jednej matki i jednego ojca.

Miały zaopiekować się najmłodszą siostrą Anielcią, która liczy 18 lat i poniewiera się teraz po Wadowicach bez opieki, bez środków do życia, już od czterech miesięcy bez pracy (bo była tam gdzieś w obowiązku, a teraz niema nic). Któż się biedną sierotą teraz zajmie, kiedy własne siostry nie chcą o niej myśleć, ani do siebie przyjąć. Chodzi bez butów, bez płaszcza, głodna i chłodna, a one przyobiecały ojcu na łożu śmierci, że się nią zajmą, bo jest najmłodsza. Mogą to zrobić, bo są na stanowiskach. Ogarnia mnie taki szal, że nie znoszę otoczenia ludzi, a teraz doszło do tego, że nie mogę po nocach sypiać — rozstrój nerwowy, mdłości żołądkowe. Żołądek jest tak skurczony, że nie przyjmuje już żadnych pokarmów, bóleści wewnętrzne, do Kasy Chorych nie należę, a nie mam na zapłacenie prywatnego lekarza. Przyjdzie chwila, że człowiek chwycą bóleści żołądkowe na ulicy i tylko karetka Pogotowia zabierze mnie z ulicy do szpitala.

Wierzę w to jutro lepsze, wierzę w ten wyścig pracy, wierzę

w Marszałka Piłsudskiego, że poprowadzi nas na lepszą drogę. Wierzę w Instytut Gospodarstwa Społecznego, który rozpatrzy ciężkie położenie biednych opuszczonych sierot.

Jeśli to zrobicie, zyskacie serca pełne wdzięczności wszystkich bezrobotnych kobiet.

Kraków, dn. 8 stycznia 1932 r.

Monter-blacharz
zamieszkały w Bochni

Urodzony jestem 27 stycznia 1905 roku.

Po ukończeniu sześciu klas szkoły powszechnej zostałem oddany przez rodziców do praktyki w r. 1917, ukończyłem praktykę w r. 1920 i zdałem egzamin czeladniczy jako monter-blacharz. Parę miesięcy później zostałem przyjęty do warsztatów kolejowych w Tarnowie. Zaczęłem więc zarabiać dosyć dobrze. Pomagałem matce i trojgu młodszemu rodzeństwu, gdyż ojciec zginął na wojnie końcem 1917 roku. Powodziło się nam nienajgorzej i spodziewałem się, że damy sobie jakoś radę bez ojca, lecz stało się inaczej. Matka zachorowała w roku 1926 na raka i ku wielkiej mojej rozpaczycy umarła po ośmiu miesiącach choroby.

Jako najstarszy zostałem ustanowiony opiekunem młodszego rodzeństwa t. j. brata Kazimierza lat 16, który był w praktyce na malarza, Jana ucznia V-ej klasy lat 14 i siostry Józefy lat 13, która chodziła do nauki szycia. I wówczas dopiero poznałem życie bez ojca i matki. Podatki z domu trza było płacić, bratu, który był w praktyce trzeba było kupować odzież, drugiemu bratu książki i różne przybory szkolne, siostrze także różne fatalaszki no i naturalnie całe utrzymanie. Początkowo radę sobie jakoś dawałem, ale po kilku miesiącach zaczęło wszystkiego brakować i nie mogłem nic na to poradzić, pomimo, że zarabiałem do dwustu złotych miesięcznie. Na domiar złego wzięli mnie do wojska i chociaż wniosłem reklamację, nie uwzględniono mi i musiałem się zgłosić do 20 p. p. Z. K. w Krakowie. Wtedy o mało nie oszalałem z rozpaczycy, posadę straciłem, troje rodzeństwa zostawiłem na pastwę nędzy, lecz trudno, musiałem się z losem pogodzić.

Napisałem do majstra, gdzie brat był w praktyce, żeby go wcześniej dopuścił do egzaminu, na co tenże, choć z wielką niechęcią, zgodził się.

Jak już brat powrócił do domu i zaczął pracować jako czeladnik, byłem spokojny o los moich najbliższych, gdyż spodziewałem się, że utrzyma on wszystko w porządku aż do mego powrotu z wojska.

Życie moje wojskowe opisywać nie będę, gdyż to wcale nie jest ciekawe, zaznaczę tylko krótki przebieg służby.

Po wysłużeniu sześciu miesięcy w 20 p. p. Z. K. wybrano mnie do Korpusu Ochrony Pogranicza i po szesnastogodzinnej podróży pociągiem, stanęliśmy w Mizoczku na Wołyniu. Tam zostałem przydzielony do 11 Baonu. Po wyszkoleniu trzymiesięcznym w kompanji szkolnej, zamiast na strażnicę, zostałem przydzielony do rusznikarni wojskowej, gdzie przepracowałem 11 miesięcy ku zupełnemu zadowoleniu moich przełożonych. Do zwolnienia pozostawało mi jeszcze cztery miesiące. Z tych dwa spędziłem na strażnicy K. O. P. »Bory«, gdzie pełniłem służbę patrolową na granicy, a w ostatnich dwóch miesiącach przechodziłem przeszkolenie końcowe i dnia 10 marca 1930 r. zostałem przeniesiony do rezerwy.

W tym czasie dostawałem z domu listy dosyć zadawalniające, co mię bardzo cieszyło i byłem pewny, że jak wrócę z wojska i zacznę pracować będzie nam zupełnie dobrze.

Lecz nie stało się tak, jak się spodziewałem. Po przybyciu do domu początkowo czułem się trochę ogłupiały, ale za kilka dni otrząsnąłem się ze wszystkich przyzwyczajeń wojskowych i pierwsze moje kroki były skierowane do warsztatów kolejowych w Tarnowie, gdzie przed wstąpieniem do wojska cztery i pół roku pracowałem. Zaszedłem więc do kancelarji pana naczelnika i czekam. Za chwilę wchodzi pan naczelnik.

— Co pan sobie życzy? — zapytuje mnie.

— Ja, panie nadradco, pracowałem w tutejszych warsztatach przed wstąpieniem do wojska jako nietatowy stały pracownik i chciałbym się dowiedzieć kiedy mam się zgłosić do pracy?

— Ja pana przyjąć nie mogę, gdyż istnieje zakaz przyjęć! — odpowiedział patrząc na mnie z politowaniem.

Ale jeszcze nie tracę nadziei i mówię tak: — Ja, panie nadradco, pracowałem tutaj prawie pięć lat, opłacałem fundusz emerytalny, a odszedłem nie samowolnie, lecz powołany poborowo do wojska, aby wypełnić swój obowiązek obywatelski. Wysłuchawszy to pan naczelnik odrzekł: — »Mnie to wszystko nic nie obchodzi. Powiedziałem panu już raz, że istnieje zakaz wszelkich przyjęć i przyjąć pana absolutnie nie mogę! Dowidzenia!«

Jak żeby we mnie piorun trzasł! I co teraz począć? Trzeba iść od warsztatu do warsztatu i szukać pracy. Chodziłem i szukałem. Szukałem cały tydzień i nigdzie żadnej pracy nie dostałem.

Brat malarz także nie pracował więc zaczęła do nas zaglądać nędza. Początkiem kwietnia 1930 r. nie mieliśmy już ani kawałek chleba.

10 kwietnia wyszliśmy oba z bratem do rynku i tam od kolegów dowiedziałem się, że magistrat daje zapomogi najbiedniejszym bezrobotnym. Pobiegłem zaraz do magistratu i ku wielkiej mojej radości dowiedziałem się, że oba z bratem mamy dostać za dwa dni po 15 złotych, następnie udało mi się pożyczyć od kolegi dwa złote, za które kupiłem bochenek chleba, pół funta kielbasy i deko herbaty. Przyszedszy do domu zrąbaliśmy starą szafę, gdyż drzewa nie było, poczem, po ugotowaniu herbaty podjedliśmy sobie wszyscy czworo należycie.

13 kwiecień. Tego dnia dostaliśmy oba z bratem 30 złotych zapomogi przez co było zapewnione utrzymanie na dwa tygodnie co najmniej.

15 kwiecień. Przyjechał do mnie kolega mój ślusarz, który pracuje w Państwowej Fabryce Związków Azotowych w Mościcach pod Tarnowem i powiedział mi, że mogę dostać pracę w Mościcach na oddziale chlorowym.

Na drugi dzień rano pojechałem do Mościc. Jazda była nadzwyczaj urozmaicona, gdyż jechałem »na gapę«, dlatego też gdy konduktor przechodził trzeba było kilka razy wiać na dach pociągu.

Po szczęśliwem przybyciu do Mościc udałem się pod fabrykę. Kolega mój poinformował mnie do kogo mam się zwrócić o przyjęcie. Czekam więc z niecierpliwością w poczekalni na pana inżyniera, kierownika oddziału chlorowego »C. III«. Za jakie dwie godziny może przyjechał inżynier i wszedł do kancelarji. Zaczekałem jeszcze 10 minut. Pukam nieśmiało. Słyszę energiczny głos: »wejść!«. Otwieram drzwi i wchodzę. Pan inżynier zmierzył mnie bystro spojrzeniem i pyta: — Co pan sobie życzy?

— Ja panie kierowniku powróciłem niedawno z wojska i poszukuję pracy; dowiedziałem się od kolegi, że pan inżynier przyjmuje ludzi do budowy chlorowni, przeto ośmielam się prosić pana inżyniera o przyjęcie mnie do pracy. Jestem monterem-blacharzem.

— Ma pan jakie świadectwa? zapytał mnie.

— Mam, proszę bardzo, — mówiąc to podałem mu wszystkie papiery, które miałem przy sobie.

Po przeglądnięciu wszystkich świadectw i książeczki wojskowej przyjął mnie z zastrzeżeniem, że więcej mi dać nie może, tylko 50 groszy na godzinę t. j. 4 zł. dziennie. Był to bardzo marny zarobek, lecz nie miałem w czym wybierać.

Zacząłem więc jeździć z Bochni, miejsca mego zamieszkania, do Mościc. Bilet tygodniowy kosztował 7.80 zł. tak, że po wszystkich potrąceniach fabrycznych zostawało mi na życie 13 złotych tygodniowo, było to bardzo mało, to też trza było niejedną raz pracować bez śniadania lub bez obiadu.

Parę tygodni później brat dostał się także do pracy w Krakowie i zaczął zarabiać prawie trzy razy tyle co ja. Wtedy zaczęło się nam lepiej powodzić, lecz niedługo tego było. Dnia 20 września tegoż roku zostałem zredukowany i zaczęła się znów wędrówka od fabryki do fabryki w poszukiwaniu pracy, ale niestety nigdzie już roboty nie dostałem.

Podąłem się więc na bezrobocie i zacząłem pobierać 13 zł. tygodniowo, tyleż samo ile mi zostawało na utrzymanie, gdy pracowałem w Mościcach po opłaceniu biletu tygodniowego. W czasie tym posłałem podanie do Ministerstwa Komunikacji o przyjęcie mnie z powrotem do kolei. Za cztery tygodnie dostałem odpowiedź, że z powodu braku wolnych miejsc i zakazu wszelkich przyjęć, przyjąć mnie nie mogą, ale z tą nadzieją, że w przyszłości, gdy będzie przyjęcie, jestem tam zanotowany. »Czekaj tatka latka«... Szkoda było tych trzech złotych, które dałem na podanie.

Brat mój, który pracował w Krakowie, został w grudniu zredukowany, a że przerobił sześć miesięcy, dostał także bezrobocie 26 złotych tygodniowo, ja miałem 13 i tak z tego żyliśmy we czworo, choć bardzo marnie do marca 1931 r.

Końcem marca brat dostał powołanie do wojska i odjechał 15 kwietnia do 16 pułku, stojącego w Tarnowie. Pozostało nas troje w domu.

Zasiłki z Funduszu Bezrobocia skończyły się w marcu i nadszedł dzień 18 kwietnia, że nie było w domu nic, czem by można było głód zaspokoić. Wpadłem w rozpacz!

Po nieprzespanej nocy poszedłem do rynku chcąc w jakikolwiek sposób zdobyć parę złotych na pożywienie dla siebie i młodszego rodzeństwa. W drodze powrotnej, znikąd nie dostawszy ani grosza spotkałem sąsiada górnika, który pracuje w kopalni soli w Bochni i ten powiedział mi, że ma zamiar sporządzić sobie rynny koło swojego domu, czy bym mu tego nie mógł zrobić. Owszem,

mogę panu to zrobić — odpowiedziałem, lecz potrzebuję kilkanaście złotych na materiał. Kazał mi więc przyjść do siebie po południu, żebym wziął miarę i że da mi konto. Udałem się zaraz po południu do niego i dostałem konto 20 złotych, z których najpierw kupiłem trochę pożywienia, a za resztę blachy cynkowej i żelaza płaskiego. Skończywszy tę robotę dostałem znów drugą od innego sąsiada i tak przepchałem resztę kwietnia i cały maj.

Początkiem czerwca pojechałem do Krakowa szukać pracy. Byłem w kilkunastu firmach i nigdzie żadnej pracy nie dostałem. Z powrotem do Bochni jechałem już »na gapę« i pech chciał, że złapał mnie rewizor, a po spisaniu protokołu wysadził mnie w Podłężu, małej stacyjce, położonej o 10 klm. przed Bochnią, skąd musiałem pieszo przyjść do Bochni. Gdy przyszedłem już do domu, przyszedł do mnie mój kolega po fachu, także bezrobotny i poczęliśmy się naradzać w jaki sposób dałoby się coś zarobić. Skutki tej narady były takie, że nazajutrz zaczęliśmy obchodzić wszystkie nowozaczęte domy, każdego na swoją rękę i starać się dostać roboty blacharskie na siebie naturalnie przy podaniu ofert niższych od majstra koncesjonowanego.

Poszczęściło mi się. Zgodziłem dwie roboty, a kolega mój jedną. I tak zaczęliśmy robić oba do wspólni. Dużo na tem nie dało się zarobić, ale zawsze było to lepsze niż iść kraść lub pasa przyciągać z głodu. W ten sposób, żyjąc tak z dnia na dzień przemęczyło się do listopada. Końcem listopada urwało się już wszystko. Nie dało się już nic zarobić, tu zima nadchodzi, a podług różnych przepowiedni ma być bardzo ostra. Dlatego trzeba by było koniecznie postarać się o parę centnarów węgla, a kupić niema za co.

Będąc razu jednego w rynku dowiedziałem się, że magistrat ma dawać najbiedniejszym zapomogi w naturze. Zapisalem się zaraz w magistracie i dostałem legitymację.

Za kilka dni otrzymałem 100 kilo kartofli i tyleż węgla. Pobrawszy to, udało mi się jeszcze złapać naprawę wodociągu przy której zarobiłem 35 zł., przez co byliśmy zabezpieczeni od głodu conajmniej do świąt Bożego Narodzenia.

Święta przepędziliśmy bardzo smutno i nędznie jak żadnego roku jeszcze!!! Do kościoła nikt od nas nie poszedł, bo jak było iść, jak niema się w co ubrać.

Nadszedł Sylwester i przyjechał brat z wojska na urlop 10-cio dniowy, ale kto wie czy go konieczność nie zmusi odjechać wcze-

śniej. Obecnie t. j. 4 stycznia udało mi się zarobić dwa złote, za które kupiłem funt cukru i bochenek chleba. Co będzie dalej? Nie wiem. Może nowy rok przyniesie szczęście...

A gdy będzie gorszy, zrobię ze sobą koniec i powędruję tam, gdzie niema żadnych walk o byt i bezrobocia, tam, gdzie panuje wieczny spokój i zapomnienie!...

Opisałem tu wszystko wiernie i w miarę możliwości dokładnie choć nie wątpię, że jest w tem dużo błędów, lecz moje dość niskie wykształcenie powinno mię całkowicie usprawiedliwić.

Bochnia, dn. 4 stycznia 1932 r.

Robotnik niewykwalifikowany
zamieszkały we Lwowie

Urodziłem się 1897 r. w gminie Piaski, pow. Lwów w Małopolsce Wschodniej. Miejsce mego urodzenia, jest to wioska mała, licząca około 300-mieszkańców, zamieszkała w większej części przez ukraińców. — Ponieważ ziemia orna i lasy należą prawie całkowicie poczęści do cerkwi (względnie do użyteczności proboszcza gr.—katolickiego) i do folwarku, będącego własnością żyda L. . . , przeto mieszkańcy Piasków mieszczą się na skrawkach ziemi bardzo małej, a przez szalone wprost mnożenie się muszą młode pokolenia emigrować do miast i zagranicę, by swój byt polepszyć.

Ojciec mój, Teodor, wysłużony wojskowy z armji austriackiej, analfabeta, jednak jak na wieśniaka posiadający wrodzoną inteligencję, wziąwszy matkę mą, Ewę, za żonę, osiadł na stałe w swej rodzinnej wiosce w Piaskach, mając pół morga magdeburskiego ziemi i małą, nędzną, słomą krytą chatkę. Co roku prawie rodził się dzieciak mym rodzicom, to też ojciec w 1898 r. musiał wyemigrować do Prus, by zarobić na życie i jak się u nas wyrażają, »by coś przydbać dla dzieci«.

Po powrocie z Niemiec ojciec nabył trochę pola i pobudował nową chatę i ja byłem już chowany w atmosferze dobrobytu, gdyż w wiosce naszej właścicielem czterech mórg pola, t. zn. najbogatszym chłopem, był jeno mój ojciec.

Było nas dwanaścioro dzieci, sześć chłopców i sześć dziewcząt, z których cztery pomarło, a ośmioro nas żyje do dzisiaj.

Ojciec za wszelką cenę starał się nas kształcić, byśmy, jak się wyrażał, nie byli ślepi jak on. To też ukończyłem 7 klas szkoły powszechnej w Piaskach. Gdy ukończyłem szkołę, był rok 1911. Był to czas niepewny, atmosfera polityczna w Europie była pełna dynamiki, ciężko było zarobić i ojciec nie mógł, mimo mych chęci, posyłać

mię nadal do szkoły, zwłaszcza, że w domu było jeszcze sześcioro dzieci młodszych odemnie. To też ojciec przywiózł mnie do Lwowa i tu oddał mnie pewnemu rymarzowi do służby. Wprawdzie omówione było, że mam się uczyć rymarskiego zawodu, jednak faktycznie przez trzy lata, to znaczy aż do wybuchu wojny światowej, byłem u mego majstra do bawienia jego dzieci i innych posług domowych tak, że rzemiosła bardzo mało się wyuczyłem i też nie dostałem żadnego dokumentu rzemieślniczego.

W dniu wybuchu wojny światowej umarł mój ojciec, majstra mego powołano do wojska, a ja zostałem na bruku lwowskim, pozbawiony opieki, bezradny i bez dachu nad głową. To też nie miałem innego wyjścia i pojechałem do matki. Smutek i rozpacz panowały w domu po śmierci ojca, a w dodatku spory o schedę wśród rodzeństwa dopełniały złogo. Po dwudniowym pobycie w domu przyszedł żołnierz austriacki i wzięto mnie za furmana na t. zw. »forspan« wojskowy. Dano mi bicz i konie »zarekwirowane« u jednego z gospodarzy w Piaskach i rok cały jeździłem za armją austriacką z »trenami«, t. zn. z bagażami.

W r. 1915 jako 18-letni chłopak zostałem wcielony do armji austriackiej do 35 p. p. jako c. i k. żołnierz, a w 1916 r. dostałem się pod Brzeżanami do niewoli rosyjskiej.

W 1917 r. po upadku caratu wróciłem do Polski, a że położenie gospodarcze Polski było wówczas dobre, uzyskałem posadę woznego w Lwowskich Browarach. Wynagrodzenie moje w koronach austriackich było dobre, to też zacząłem wierzyć w siebie i poznawać swoją wartość, że przecie jestem komuś potrzebny, że mi płacą. Wypożyczałem wówczas masowo książki i czytałem. Słowackiego, Mickiewicza, Franka i Szewczenkę umiem prawie na pamięć.

Przyszły czas wojny polsko-bolszewickiej. Powołany do wojska polskiego musiałem porzucić dobrą i popłatną posadę, na którą w r. 1921, po zwolnieniu z wojska nie zostałem przyjęty. I znów byłem bez pracy i przytułku we Lwowie. Sypiałem u znajomych i szukałem pracy przeszło miesiąc, a gdy odpowiedniej pracy dla siebie znaleźć nie mogłem i żyć z czego nie miałem, poszedłem pracować jako dzienny robotnik do cegielni. Całymi dniami wożąc glinę wyrzekałem na swój ciężki los, a że był to czas marki polskiej, to biorąc wypłatę za swą pracę byłem dumny i zadowolony, gdyż tych pieniędzy było dużo.

Lata 1923, 1924 i 1925 pracowałem tylko na cegielniach i budowach jako robotnik dzienny i jakoś łatwo mi było robotę znaleźć,

gdyż przez te trzy lata nie byłem ani jeden dzień bez pracy. Dziwnem mi było, gdy słyszałem od znajomych, że nie pracują, bo ja jako robotnik budowlany byłem robotnikiem sezonowym, a jednak nawet w zimie pracowałem bądź we wnętrzach budynków, bądź też byłem zatrudniony jako dozorca budowlany.

W 1926 r. z wiosną poznałem pannę, dzisiejszą żonę moją i dzięki jej wpływom dostałem się do betoniarni m. Lwowa. Jest to fabryka samorządowa, wyrabiająca wyroby betonowe i już wówczas trudno się było dostać tam do pracy. Ja pracowałem tam jako dzienny robotnik początkowo mając 5 zł. dziennie, a z jesienią w 1926 r. dostaliśmy robotę w akord, to zarobek mój tygodniowy wynosił 80 zł. a nawet 100 zł. Jednak z nastaniem zimy, ponieważ robota betoniarska jest wykonywana pod gołym niebem, zostałem zwolniony, ale całą zimę żyłem dostatnio i nie odczuwałem braków, gdyż przez czas pracy zaoszczędziłem sobie trochę grosiwa. Zasiłków żadnych ani zapomóg państwowych nie pobierałem przez zimę 1926 — 1927, gdyż o takowe się nie obiegałem.

Jak już wspominałem pracę uzyskałem dzięki swej narzeczonej Ewie. Była to kobieta odpowiadająca mi wychowaniem i urodzeniem, gdyż jest również córką chłopca z Synowódzka Wyżnego pow. Skole i tam posiada kilkomorgowe gospodarstwo. Do Lwowa przyjechała w 1925 r. i tu była zatrudniona u pewnych inżynierstwa przy gospodarstwie domowym jako służąca z płacą miesięczną 35 zł. oraz wikt i mieszkanie. Do opuszczenia swej wioski skłoniła ją bieda na wsi, gdyż wówczas ciężko było żyć na wsi, a może i ukryty cel — wyjścia zamaż...

Z tą to Ewą postanowiłem się z wiosną 1927 r. ożenić. Znając pracowitość i oszczędność Ewy przypuszczałem, że gdy będziemy żyć razem i pracować wspólnie, będzie nam dobrze. W dodatku żona ma w swej wiosce rodzinnej trzy morgi pola, za które wówczas oferowano 900 dol. am., więc przypuszczałem, że za zgodą żony ten grunt sprzedam, a tu we Lwowie kupię jakiś domek.

Więc z wiosną 1927 roku po świętach Wielkiejnocy za mej Ewy pieniądze (gdyż sam już grosza nie miałem) wziąłem z nią ślub w ruskiej cerkwi. Po ślubie szukałem mieszkania, a że oboje nie mieliśmy pieniędzy, trudno było znaleźć takowe. Wreszcie na ulicy Stryjskiej u jednego biedaka, robotnika dziennego, który miał jedną stancję w wilgotnej suterynie, a w niej żonę i czworo dzieci, znaleźliśmy kąt za opłatą 20 zł. miesięcznie.

Roboty w betoniarni m. Lwowa już nie dostałem, gdyż zajęli

ja inni, starsi i zasłużeńsi, a ja zwróciłem się do przedsiębiorstwa budowy dróg, i tu zostałem przyjęty jako robotnik dzienny z płacą 6 zł. dziennie. Całodzienna praca nie męczyła mię tak, jak noc przespana w wilgotnej, bez powietrza suterynie. Wstając rano nie byłem w stanie wyrównać członków, a piersi bolały, że chodziłem do lekarzy Kasy Chorych, gdyż miałem wrażenie, że mam gruźlicę. Gdy na wiosnę 1927 r. ważyłem 72 klg. to w sierpniu tegoż roku ważyłem już tylko 62 klg., a więc 10 klg. mi ubyło. Żona moja, rumiana i pełna dziewczyna, zmizerniała, kaszłała i płakała po kątach. Stałem bezradny i czułem, że gdy nie zmienię mieszkania to poginiemy z żoną. Dzieci mego gospodarza, zaniedbane i rozkapryszone bębny, napawały mię strachem, że żona moja może takie rodić, to też cała moja uwaga była skupiona by nie mieć dzieci. Coraz częściej spotykałem ludzi znajomych mi z budów, którzy chodzili wynędzniali, bez pracy, chociaż był sezon budowlany i przeczuwałem i obawiałem się, że i ja będę bez pracy. Żona widząc, że po wyżywieniu się z mej pracy mało co zostaje, a nie chcąc cały dzień siedzieć w wilgotnej suterynie, poszukała sobie posługi, jako dochodząca, u pewnych bogatych żydów, właścicieli kamienic w Lwowie i dzięki temu uzyskaliśmy mieszkanie.

Sprzedaż żony pola w Synowódzku spelżała na niczem, gdyż jak dawano dawniej 900 dol. am., to z końcem 1927 r. oferowano mi 400 dol., za które moja żona swej ojcowizny sprzedać nie chce.

Więc Ewa zgodziła się, jako dochodząca do bogatych żydów, gdyż ci służącą nie trzymali, bo mieli dwa dorosłe syny, o których się obawiali i tu zgodziła się do pracy na następujących warunkach: ma być cały dzień zajęta wzamian za co dostaje 20 zł. miesięcznie, wikt dla siebie i mieszkanie jednoizbowe w suterynie. Podpisaliśmy obydwójce pismo, przedłożone nam przez chlebobawcę mej żony, w którym były różne kruczki i zastrzeżenia w sprawie mieszkania, które mieliśmy zająć, a które podpisaliśmy bez zastrzeżeń, byle tylko uciec z Stryjskiej z wilgoci i od bębnow.

Zaczęła się nowa era w mojem życiu. Zostałem właścicielem izby w suterynie, wprawdzie bardzo małej, ciemnej i wilgotnej, w której rury wodociągowe i kanałowe biegną po wierzchu i z nich cieknie, ale bądź co bądź »wolny najmita« i pan w swoim domu. Z uśmiechem na ustach wstawałem z zakupionego na tandecie tapczanu i kładłem się i chęć do pracy miałem i apetyt i na wadze przybywałem. Widziałem też często uśmies na twarzy mej żony Wprawdzie świadomość, że nie potrafię sam wyżywić i utrzymać

mej żony nasuwała mi smutne refleksje, jednak pocieszałem się, że to się skończy, że warunki pracy się zmienią na korzyść i żona moja nie będzie potrzebowała się wysługiwać innym.

Był listopad 1927 r. Deszcze, wiatry, a wreszcie przymrozki zmusiły mych chlebobawców do zastanowienia prac na drogach miejskich. Zostałem zwolniony i straciłem wszelką nadzieję uzyskania jakiegokolwiek pracy. Oszczędzonych nie miałem ani grosza, gdyż wszystko wydałem na urządzenie mieszkania. Ponieważ pracowałem więcej jak 20 tygodni, a tem samem przysługiwało mi prawo pobierania zasiłku z Funduszu Bezrobocia, zgłosiłem się do odnośnego biura i przyznano mi zasiłek w kwocie 18 zł. tygodniowo.

Bardzo ciężka i mroźna zima 1927 — 1928 roku, zupełny brak węgla i ciepłej odzieży odczułem wraz z żoną strasznie, gdyż zasiłek pobierany przeze mnie razem z 20 zł. pobieranymi przez żonę za posługę zaledwie wystarczały na ugotowanie dla mnie jakiej stawy i ogrzanie mieszkania.

Na dobitek złego zakomunikowała mi żona z rozpaczą w głosie, że czuje się brzemienną... Rozpacz moja i żal do żony nie do opisania. Stały mi przed oczyma pędraki z Stryjskiej i jak upiory skakały w mej imaginacji. Wiedziałem, że to nastąpić teraz nie powinno, gdy jest tak źle, gdy my sami ledwo żyjemy, a jednak byłem bezsilny. Słyszałem, że można na to poradzić, ale ustawa zabrania, no i brak gotówki. A żona religijna, Boga się boi. Więc siłą rzeczy pogodziłem się z tem, ale gdzieś w głębi nikomu nieujawniona ukrywała się i nurtowała egoistyczna myśl: będzie dziecko, matka przeleje całą swą miłość na nie, a tobie zostanie nic, albo: będzie dziecko, oddali żonę żydówka, a tem samem wrócę znów gdzieś jako sublokator. Te i tym podobne myśli nie dawały mi usnąć. Chodziłem jak obłąkany, to znów pod wpływem żony, która pogodziła się zupełnie z losem i mnie tłumaczyła i przykłady dawała, pocieszałem się, że może dziecko, które na świat przyjdzie spłodzone przeze mnie, przyniesie błogosławieństwo w dom mój.

Zima dobiegała końca, zasiłek pobierany przeze mnie z Funduszu Bezrobocia się ukończył, zostałem zupełnie bez środków do życia. Żona mię żywiła, przynosząc część swojej porcji, otrzymanej na górze.

W zimie będąc dwa razy tygodniowo w budynku Funduszu Bezrobocia raz do kontroli, drugi raz po zasiłek, każdorazowo musiałem stać godzinami, czekając swej kolejki wraz z tysiącami bezrobotnych i różnych oszustów, żerujących na bezrobociu, słyszałem

różne podszepty i nawoływania do energiczniejszych wystąpień. Byli ludzie bezrobotni, którzy dali się porwać pięknym słowom tych panów, losu ani nam ani sobie nie poprawili, a sami się narażili na hańbę i więzienie. Często głód i niezadowolenie podszeptowały mi, że tak być nie powinno, by człek, który chce pracować i pracował tyle lat, a pracując pieniędzy nigdy lekkomyślnie nie trwonił, był zdany na łaskę losu i jak upośledzony brał jałmużnę za darmo. Jednak przecie zawsze przewyciężało dobro we mnie i nadzieja, że przecie los mój się poprawi, dodawały mi otuchy, że nie zeszedłem z drogi rzetelnej i uczciwej.

Z wiosną 1928 r. od rana do nocy szukałem pracy napróžno. Postanowiliśmy sprzedać żony pole za cenę najwyższą i kupić własny dom. Ze sprzedaży pola uzyskaliśmy zaledwie 340 dol. am. gdyż tak spadły w cenie nieruchomości. Przyjechałem z Synowódzka pokrzepiony na duchu, gdyż w porównaniu z mieszkańcami wsi byłem magnatem. Tam zobaczyłem prawdziwą nędzę. Gospodarze średnio zamożni, z jakich pochodzi moja żona, prowadzili tam życie gorsze jak w mieście nędzarze. Poubierani w ubiory własnego wyrobu, obuci w sandały lipowe, wszyscy narzekali, że trudno z gospodarstwa rolnego wyżyć. Przyrzekłem sobie, że nigdy w życiu na wsi mieszkać już nie będę.

A że chłop mego pokroju nigdy takiej wielkiej gotówki nie posiadał, to też nie dziw, że tydzień po otrzymaniu pieniędzy 200 dol. am. pożyczyłem komuś, z którym za tę kwotę się do dziś procesować muszę i tracę nadzieję, by te pieniądze kiedy odebrać. Z domu własnego zrezygnowałem, a za pozostałą gotówkę kupiłem ciepłe okrycia dla nas, niezbędne sprzęty dla własnego gospodarstwa oraz trochę złota dla żony.

Dopiero w kwietniu 1928 r. dostałem pracę w firmie dawnej, ale już brałem dziennie tylko 4 zł. 50 gr. Pracowałem chętnie i w pierwszą sobotę pobrana zapłata za tydzień pracy cieszyła mnie więcej jak cała kwota z wiana mej żony. Pracując czułem się w swoim żywiole, uważałem pracę za dobrodziejstwo, a na wspomnienie o zimie i bezrobociu wzdrygałem się z wstrętem. Chociaż warunki pracy były o wiele gorsze jak w zeszłym roku, inżynierowie i nadzorcy za łada uchybienie, a nawet wyrażenie się wydalali z pracy, ja starałem się być anielsko posłuszny i pracowałem. Codziennie raro dziesiątki ludzi przychodziło z prośbą o pracę, ludzie młodzi i tędzy i odchodzili nieprzyjęci. To nas pracujących upokarzało i często nadzorcy wyrażali swoje zdanie, że za jednego robotnika

mogą mieć setki. Nachodziły mnie wówczas myśli, czy aby nie jest nas za dużo na świecie!

A w domu żona w wolnych chwilach szła wyprawę dla małenstwa, które przyjść miało. Była czem dzień cięższa, trudno jej było chodzić kilkanaście razy dziennie na trzecie piętro, to też stała się zgryźliwa i posępna. Ja utwierdzałem się w przekonaniu, że przypuszczenia moje, że stracę miłość żony przez dziecko, niestety były trafne. W dodatku robiła mi żona wyrzuty, że jej ojcowiznę lekko-myślnie puściłem. Ulegałem jej (kłamiąc, bo w to nie wierzyłem) i pocieszałem, że gdy dobrą robotę dostanę w jednym roku te pieniądze zarobię.

Pracując całe lato z wyjątkiem dni deszczowych, oszczędziłem 120 zł., gdy 9-go września powiła mi żona aż dwoje dzieci. Chłopca i dziewczynkę. Przyzwyczailem się już do dziecka, które miało przyjść, ale dwoje — tego się nie spodziewałem. Sąsiedzi z suteryni mi gratulowali, a ja stałem prawie oszołomiony widząc całą grozę swego położenia. Żona wzrokiem jakby się tłumaczyła, że nie jest temu winna...

Tak urodziny, a z tem związane chrzciny mojej Irki i Sławka pożarły prawie cały mój kapitał, złożony przez lato. To był pierwszy wydatek za moją lekkomyślność!

Po 10-dniowej przerwie żona moja musiała pójść na górę sprzątać, bo gospodyni zagroziła rumacją. Równocześnie oznajmiła pani gospodynia mej żonie, że od dnia urodzenia dzieci zapłaci jej tylko 10 zł. miesięcznie, motywując swą obniżkę tem, że żona będzie musiała częściej do dzieci schodzić, a tem samem mniej roboty u niej zrobi. Nie było innego wyjścia jak kornie głowę schylić i z rezygnacją przyjąć szlachetną decyzję chlebo- i mieszkaniodawczyni, właścicielki kilku kamienic w Lwowie.

W grudniu 1928 r. byłem znów bez pracy i zaś byłem zaopatrywany z Państwowego Funduszu Bezrobocia z tą jedynie różnicą, że pobierałem 23 zł. gdyż miałem dodatkowo dwoje bębnow, które kiedyś nie lubiałem i nigdy mieć nie chciałem.

Dzieci były ładne i zdrowe i zastanawiałem się często, że dzieci rodzone i chowane w dostatku, pielęgnowane i strzeżone, które są naprawdę osłoda i pociechą rodziców, są chorowite i wątłe, natomiast moje dzieciaki z trudem dobyte na świat, w łonie matki pracującej, niedostatecznie odżywiane, wdychające od urodzenia wilgoć i stęchliznę suteryny, są czerstwe, żywe i ładne. W zimie ja

z niemi w domu byłem, ja, gdy płakały je uspakajałem i z braku żywności w piersi matki mlekiem z flaszki je karmiłem.

Dzieci często zapadały na zdrowiu, jakieś kurcze i konwulsje miały, a z Irci nie spodziewałem się mieć pociechy. Lekarz z Kasy Chorych był częstym gościem w mym domu i nosiłem dzieciaki na lampę kwarcową i naświetlania i jakoś się chowają.

Główki u nich wielkie i brzuchy, rączki i nóżki i szyja cienkie i delikatne, aż dziw patrzeć.

Żona wyschła jak szczypta, zmizerniała mimo lat 25, postarzała się strasznie przez warunki, w jakich żyć musi. Pieniądze, otrzymywane z Państwowego Funduszu Bezrobocia, absolutnie nie wystarczają, trzeba codziennie litr mleka dla dzieci, kapać, a tem samem palić w mieszkaniu i pracć, a pieniędzy brak. A w dodatku człek nieuczciwy pożyczył pieniądze i oddać nie chce, trzeba jeszcze do sądu pieniądze dać.

Z końcem lutego sprzedałem swoje futro, kupione za żony pieniądze. Kupując zapłaciłem 320 zł., sprzedałem za 130 zł. A sprzedać musiałem bo Irka zachorowała na anginę, a ludzie mówili, że Kasa Chorych nie leczy dobrze, więc lekarz prywatny mi ją wyleczył. Ale futro przepadło. Wychodziłem z tego założenia, że gdy już są dzieci, trzeba je chować i ratować, bo gdyby zmarło pomówiliby sąsiedzi o nieludzkłość. A zresztą polubiłem te małe niewinne dzieciaki, one zmieniły bieg moim myślom, one postawiły wyraźny cel w mojem życiu. Wychować je i wykształcić — oto dewiza moja.

Mimo bezrobocia i niedostatku one nie odczuwają tego, gdyż to, co dziecku jest niezbędne, one mają. Chowam je tak jak widziałem, że chowano małe dzieci kiedyś w ubogich chatach. Trochę pomaga »Poradnia dla matek«, utrzymywana przez Magistrat m. Lwowa, dając radę jak chować należy i pomagając materjalnie.

Już maj 1929 r. — ja roboty znaleźć nie mogę. Zeszłoroczni moi pracodawcy wyjechali podobno do Katowic, wyczerpałem już wszystkie możliwe kredyty, a roboty nigdzie dostać nie mogę. Mimo pięknej pogody żadne budowy nie rozpoczynają, a tem samem zastój i niedostatek wszędzie. Na tandecie, zwanej u nas »pod szkołą« sprzedają w większej części robotnicy budowlani za bezcen: kurtki, ubrania, obuwie, zegarki, budziki, brzytwy, nawet zabawki dziecinne i różne sprzęty i w zetknięciu z tymi ludźmi kaźden pyta ze strasznem oczekiwaniem. co będzie dalej? Jak dalej tak będzie, to będę musiał też coś wynieść na ten plac...

Dotychczas miałem kredyt w sklepiku, nawet do 20 zł. mie-

sięcznie, które regularnie z pensji miesięcznej żony oddawałem, ale od dwóch miesięcy trudno mi jakoś oddać, bo i żonie oberwano 10 zł. i ja zasiłku nie dostaję.

A dziwni są nasi kupcy. Na dwóch rogach jest dwa sklepy t. zw. »grajzlernie«, jeden żyda, drugi katolika-Polaka. Nie z antysemizmu, ale uważałem, że powinienem kupować u katolika. I jak splotałem skredytowany towar punktualnie, dostawałem dalszy kredyt, ale gdym ostatni dług na pierwszego nie uiścił, prosząc kupca, by zaczekał i jeszcze trochę na kredyt dał, przyrzekając, że gdy tylko pracę dostanę, oddam wszystko, kupiec się wyśmiał i oświadczył mi, że za darmo towaru nie dostaje i kredytu mi nie udzieli. A że grosza w domu nie mam, gdyż kilka złotych, które żona otrzymała, potrzeba było mleko zapłacić, naftę, zapalki i inne kupić, poszedłem do kupca — żyda z prośbą, by mi skredytował. Nie wierzyłem sam w to, by prośba moja odniosła jakiś skutek, ale, jakież było moje zdziwienie, gdy żyd nie tylko nie odmówił, ale jeszcze zachęcał, bym wziął sobie żywności. I nabrałem cukru, kawy, soli, ryżu, mąki, krup, herbaty, smalcu amerykańskiego, a nawet centnar drzewa. Żyd za mnie gotówką zapłacił i obładowany przyszedłem (dumniejszy jak Kolumb po odkryciu Ameryki) do domu, a żona nie wierzyła swoim oczom i podziwiała mój genjusz, że potrafiłem zdobyć co najważniejsze — żywność. Gdy jej powiedziałem źródło zdobycia żywności, klęła kupca-katolika a życzyła dobrego kupcowi-żydowi.

Lubię palić papierosy i przed podrożeniem tytoniu paliłem »przedni turecki« za 90 gr. paczkę. Spalałem całą paczkę dziennie i chętniej miałem papierosa jak chleba. Po podrożeniu tytoniu paliłem już »średni turecki«, którego kosztuje też 90 gr. Obecnie żona mi robi wyrzuty, że gdzie dostanę jakiegoś grosza kupuję drama, bo tytoniu już od dwóch miesięcy nie miałem. I rację ma, staram się nie palić, jednak nie mogę. Nie paląc jestem zły, ponury i apatyczny. Więc często kłamiąc żonie, że zgubił, sprzedaję różne drobne przedmioty, by kupić papierosa. Sprzedałem już zapalniczkę, scyzoryk, kilka chustek do nosa i niklową papierośnicę. Przy żonie nie palę papierosów, gdyż przyznaję jej rację, że gdy taka bieda, nie powinienem puszczać pieniędzy z dymem, jednak nie mam tak silnej woli, by zaprzestać.

Już czerwiec, a ja w tym roku grosza nie zarobiłem. W towarzystwie ekspedycyjnym * * * we Lwowie uzyskałem pracę, ale bardzo iluzoryczną. Jeden z moich znajomych pracuje w tej firmie jako

stały robotnik i on to widząc moją niedolę, gdy są większe przeprowadzki lub dostawa towarów do sklepów, bierze mnie do pomocy. Pracując więc mam tylko to wynagrodzenie, które dostają od stron, którym towar na swych barkach przyniosę. Ale i za to niech będą Bogu dzięki gdyż są dni, że zarobię 7 a nawet 8 zł. Jednak mych dni pracy jest mało w miesiącu. Po pierwszym i piętnastym po 2 lub 3 dni i na tem koniec. Gorsze jest, że mój znajomy lubi pić i wprost żąda ode mnie, bym za to, że mi daje zarobić kupił mu piwa. Obiecuje, ale nie kupię, bo nie śmię stracić ni grosza.

Wziąłem się na sposób nowego zarobkowania. Idę rankiem na dworzec Czerniowiecki i tam często ładuję węgiel z wagonów na wozy, a często też biorą mię dobrzy ludzie, bym do piwnic pozosił węgiel lub drzewo. Są dni, że zarobię 10 zł., ale czasem kilka dni nie zarobię ni grosza. Ludzie, którzy pracują koło węgla, rekrutują się po większej części ze złodziei kolejowych i z najgorszych szumowin, nie mając wiary ni w Boga ni w ludzi i tu trzeba być bardzo ostrożnym, by nie dostać nożem w plecy. Gdy jest jakaś robota przy węglu lub drzewie oni godzą i decydują kto ma to robić i haracz trzeba im dać, inaczej obiją i przepędzą. Upokarza i smuci mię to, jednak muszę wytrwać, bo mam żonę i dzieci wyżywić, a nie mam żadnej nadziei uzyskać jakąś stałą pracę.

Pisałem prośby o przyjęcie mię do służby do sądu, uniwersytetu i policji, wszędzie odmówili z braku miejsca.

We wrześniu dopiero dostałem pracę przy budowie domu Sprechera. Płacono mi 5 zł. dziennie. Pracowałem do 5 grudnia, poczem robotę zatrzymano. Oddałem dług u żyda, kupiłem kurtkę na zimę dla mnie, a dla dzieci jeden płaszczyk. Tonnę węgla też. I mimo małych zarobków i takich wydatków, żona moja z oddawanych jej przeze mnie pieniędzy, oszczędziła 140 zł. Wiedziałem, że tych pieniędzy mało na zimę, zwłaszcza, że zasiłek z P. F. B. mi nie przysługuje, gdyż ani u L... ani na kolei nie byłem nigdzie rejestrowany, a u inż. S... nie pracowałem 20 tygodni, więc zgodnie z ustawą nie mam prawa do zasiłku.

Dzieci, które ważyły po urodzeniu — Sławek 2 klg. 30 dkg., Irka zaś 2 klg. 22 dkg. — dziś już biegają i ważą prawie po 6 klg. Zaczynają mówić i cieszą się, że jestem w domu. Częste przebywanie w samotności, gdyż i ja i żona byliśmy prawie całymi dniami poza domem, a dzieci same w domu były, wpłynęło na nich ujemnie, bo każdego człeka się boją, rzadko się śmieją i głosy ich grube jak u starszych, bo przez częste płacze i krzyki, które nikt nie

uspokajał, wydził sobie piersiątko. Od dwóch miesięcy matka je odłączyła od piersi.

Popsuło się też u pracodawców mej żony. Za często żona schodziła do dzieci i krzyki niemiłe gospodyni mych dzieciaków dochodziły do uszu jej, to też coraz częściej karciała Ewę, że zaniedbuje swe obowiązki i twierdziła, że nie jest już z niej zadowolona. Wszystkie wiktuały ściśle zamykała, bojąc się, by żona nie kradła. To Ewę najbardziej bolało, gdyż nigdy nie dała powodu do podejrzeń takich. Coraz częściej schodziła Ewa z zapłakanymi oczami, nie chcąc mi wyjawić przyczyny, by mię nie martwić, a ja przeczuwałem, że służba mej żony długo nie potrwa. I pewnego dnia, gdy Ewa była za długo na dole, bo Irka zachorowała, gdy przyszła na górę gospodyni ją nie puściła i przez drzwi jej oświadczyła, że: »nie potrzebuje takiej kobiety, która swoich bękartów pilnuje, a nie jej«. Tak została pozbawiona moja żona pracy i przekonalem się, że nie błogosławieństwem spodziewanem są moje dzieci lecz zgubą. Wiedziałem, że w ślad za tem będzie się starać mściwa gospodyni wyrumować mię z mieszkania i tego się najwięcej bałem. Przez utratę pracy straciła żona prawo do lekarskiej pomocy w Kasie Chorych, którą to pomoc ja często dla swych dzieci potrzebuję. Wściekłość mię ogarnęła, byłem zdolny popełnić zbrodnię, by się zemścić na gospodyni za wyrzucenie Ewy. Całemi dniami złe myśli mię nachodziły, myślałem o samobójstwie i napewno byłbym to popełnił, gdyby nie dzieci. Zwątpilem w sprawiedliwość, ludzkość i Boga. Jednak przyszedł czas rozważki. Ja szary, nieznaną człowiek złością nic nie zdołam zrobić. Zrezygnowany oczekiwałem co się stanie. Nie czekałem długo. Już po dwóch dniach dostałem od adwokata pismo, bym do dni 14-tu służbowe mieszkanie opuścił. Nie wyprowadziłem się, bo nie mogłem, gdyż nie miałem innego mieszkania, ani pieniędzy na nie i czekałem co pocznie moja gospodyni.

A ciekawi ludzie ci gospodarze. Mają dwie wielkie kamienice we Lwowie, on jest reprezentantem fabryki * * *, gdzie zarabia ponad 5.000 zł. miesięcznie. Syn jeden, ukończony prawnik, praktykuje w sądzie lwowskim, drugi młodszy kształci się w Zurychu. Wobec kolosalnego braku mieszkań dziwnem się wydaje, że tu gdzie mieszkam jest wolna stancja w suterynie od lat 5-ciu, a gospodarze nikomu wynająć nie chcą. Zaś w swej drugiej kamienicy stoi pustką siedem pokoiów, rzekomo zarezerwowanych dla gospodarzy od dwóch lat, a ludziska się cisną po kilka familji na kupie. Takie rzeczy są

niezrozumiałe dla takiego biedaka jak ja i swym nikłym rozumem składamy winę na rządy...

I teraz chce nas pozbawić tego mieszkanka, by także napewno pustką stało, a gdzież ja się ze swemi dziećmi podzieję? A żonie gdy służyła, mieli czelność zerwać 10 zł. z jej i tak marnego zarobku. Takie i tym podobne rzeczy sięją gorycz i rozczarowanie i człek biedny czeka na jakieś zmiany nieokreślone w swym mózgu i w takich chwilach gdy się zjawia zły duch w postaci agitatora przewrotowego, ma grunt dostatecznie urobiony.

Minęły święta i Nowy Rok 1930 nastał, Ewa czyta wypożyczony *Wiek Nowy* w anonsach »wolne posady« i jakoś trudno znaleźć jej posługi. Panie, które podały anons z początkiem 1931 r., że potrzebują dochodzącą, wszystkie znają Ewę, bo wszędzie ubrawszy się jaknajskromniej, otuliwszy się w chustę, była. Jednak trudno było jej znaleźć zajęcie, bo albo była za stara, albo za młoda, albo żądano za dużo od niej, dość, że posługi nie znalazła.

Jest to czas, że ze wsi masowo uciekają zdrowe, rumiane dziewczęta, by znaleźć służbę we Lwowie. Na jednym rogu Rynku wystawiają te dziewczęta masani, między niemi kręcą się faktory i faktorki, stręcząc im służbę. Tam przychodzą różne panie i wybierają sobie odpowiednią im dziewczynę, a każda z nich podnosi swoje zalety. Dziewczę takie służy za 10 zł. miesięcznie, a nawet mniej, rade, że kąt do spania i łyżkę strawy otrzyma i jakoś zimę przepcha. Nie dziw więc, że żona posługi nie znalazła.

Z początkiem lutego dostałem wezwanie do sądu za mieszkanie służbowe. Wiem, że przegram, bo podpisałem cyrograf, że na każde wezwanie gospodarza się wyprowadzę, jednak muszę być bezczelnym i będę mieszkał jak długo nie wyrzucą. Narazie zaniósłem adwokatowi 10 zł. z oszczędzonych.

Wyczerpuje się mój kapitał i węgiel i już zaczynam kredytować u żyda, który jest naprawdę dobry, bo bez zastrzeżeń daje kredyt. Mówi, że my biedacy jesteśmy lepsze goście jak zamożni; gdy mamy pieniądze, poczuwamy się do obowiązku oddać, natomiast bogatsi nie oddają, a w dodatku obrażają się, gdy się kupiec upomina o zapłatę.

Roboty nigdzie niema, jeno Magistrat m. Lwowa przyjmuje ludzi do zgartania śniegu na ulicach, płacąc po 3 zł. 50 gr. dziennie. Nie mogę iść robić, gdyż nie mam ciepłego odzienia i więcej bym się zniszczył jak zarobię. Jedyne buty zedrę, a z zarobionych pieniędzy nie kupię nowych.

Byłem prawie we wszystkich firmach rymarskich w nadziei,

że dostanę pracę. Zostałem przyjęty do p. W. jednak po jednodniowej pracy dał mi 3 zł. i wydalil, bo inaczej się teraz robi, czyli nie umiem rymarstwa.

Żona wzięła z firmy D., gdzie pościel wyrabiają, guziczki do kołder i je obszywa, zarabiając po 1 gr. od guziczka, jednak więcej dziennie nie robi jak 50 sztuk, bo wieczorami nafty żałuje. Bogu dziękować i za to.

Zaniosłem pierścionek żony, za który zapłaciłem 50 zł. do Miejskiego Zakładu Zastawniczego, za któren pożyczono mi 20 złotych. Te pieniądze używam tylko dla dzieci. Kupuję dużo mleka i szynkę, bo ją chętnie jedzą. Wyglądają dobrze i zrobiły się dzieciaki jakiejś tęższe i weselsze. Ważyłem je w poradni, ważą po 10 klg., więc myślę, że nie odczuwają tej biedy co my.

Dowiedziałem się, że inż. R. i K. przyjechali, poszedłem do ich biura się przypomniać. Inż. K. dobry człowiek obiecał dać pracę i dał mi na moją prośbę à conto mej roboty 10 zł. Ale obiecał mię przyjąć aż w maju, bo niepogoda i błota nie pozwolą prędko na drogach pracować.

Magistrat m. Lwowa wydaje bony dla bezrobotnych, ale którzy mają karty ewidencyjne z P. B. Funduszu Bezrobocia. Jest to niesprawiedliwe, gdyż ci, którzy pracowali całe lato, zarabiali, dostają zasiłek w zimie, a w dodatku bony. Bony są to drukowane kartki z pieczęcią Magistratu m. Lwowa, uprawniające pobrać w miejskich sklepach aprowizacyjnych za 5 zł. wiktuałów.

Chodziłem za temi nieszczęsnymi bonami tydzień, gdyż wprzód musiałem wnieść prośbę do komisarjatu dzielnicowego, po kilku dniach przyszli kontrolować czy prawda jest, żem bezrobotny i dopiero przyznano mi bony. Jednak od przyznania do otrzymania była długa droga.

Komisarjaty dzielnicowe były codziennie oblegane przez setki ludzi bezwzględnych, niemożliwie bezczelnych i drapieźnych, rozpychających wszystkich i wszystko łokciami, wygrażających urzędnikom i nieznających respektu przed władzą, a posterunkowy pełniący służbę w tem środowisku był godny pożałowania. W tym tłumie ja byłem ciśnięty i prasowany przez 3 dni i przez 3 dni nie mogłem się dostać przed stolik, gdzie dawano bony. Brali inni po dwa i więcej razy, brali tacy, którzy nie potrzebowali i na miejscu bony na 5 zł. sprzedawali po 3 zł., a ja z natury skromny, naprawdę potrzebujący, nie mogłem je dostać. Dopiero jak wspomniałem w trzecim dniu, dostałem 3 bony po 5 zł., na które otrzymałem w miej-

skim sklepie cukier i inne towary spożywcze, żądane przeze mnie. Była to ogromna pomoc i należy się wdzięczność ojcom miasta za nią.

Po dwóch tygodniach dostałem jeszcze 2 bony po 5 zł., a więc cały mój zasilek zimowy wyniósł 25 zł.

O paleniu papierosów zapomniałem. Od stycznia nie palę i jest mi z tem dobrze. Z początku jeno było przykro, ale teraz nie będę palił nawet, gdy będę pracować.

Rozpraw już było dwie i będzie trzecia w sierpniu. Koniecznie chcą mię wyrzucić, ale się uparłem bo muszę, bo gdzież się podzięć?

Grosza już nie mam, w sklepie jestem winien 70 zł., za drzewo 15 zł., w Kasie 20 zł., pożyczyłem u sąsiadki w drugiej rozprawie 10 zł., więc już jest pokaźna suma i kiedy i jak ją oddać?

Pieniądze mej żony przepadły, bo łotr zainstabulował dom na córkę i mam wyrok sądowy na 200 dol. am. i 170 zł. kosztów, jednak nie uzyskam bo mój dłużnik nic nie ma.

Już jest maj, codziennie chodzę na giełdę (tak nazywają robotnicy budowlani plac koło pomnika Sobieskiego, gdzie się schodzą bezrobotni), pytam o pracę i nic niema. Moi inżynierowie, gdym był natrętny, obiecali mię zawiadomić.

I zawiadomili. Dnia 10 maja stałem do pracy na drodze Grodeckiej. Poupochali mi ręce z początku, ale rad jestem, że robię. Mam 5 zł. dziennie i pracujemy 1 godzinę »po fajrancie« mając 1 zł. dodatkowo.

W domu dobrobyt, że aż się dusza raduje. Co tygodnia Ewa odkłada kilka złotych na dług. Mam co jeść i kawę słodką z mlekiem i mięso, które najtaniej kosztuje i wszystko co potrzebne jest. Jedyna troska to mieszkanie. Dowiaduję się wszędzie, bo chciałbym się ustąpić i nie wydawać na adwokatów pieniędzy, jednak wszędzie chcą zgóry czynsz, a ja nie mam, a w dodatku z dziećmi nie chcą przyjąć.

W czerwcu był kres mego zadowolenia. Znów palnałem głupstwo, znów żona brzemienna. Tego było mi za dużo i pierwszy raz w życiu kłamię żonę, a nawet uderzyłem. Nie panowałem nad sobą, zwłaszcza, że mię Ewa zapewniła po pierwszym porodzie, że dzieci więcej rodzić nie będzie. Cóż ja biedny pocnę? Ewa grozi, że pójdzie ode mnie, wyrzuty mi robi, że nie umię zarobić i zaradzić w życiu. Jak radzić, gdy są mądrzejsi i uczeni bez pracy, cóż, pójdę kraść czy co? Czy być bolszewikiem za pieniądze? Jakoś się pogodziliśmy, jednak zastrzegłem się i wytłumaczyłem Ewie, że dziecko jeszcze jedno to zguba dla nas.

Grano wówczas we Lwowie, przez łódzki zespół artystów sztukę

»Ciankali«. Episkopat rzymsko-katolicki, afiszami rozlepionemi na murach miasta, zabronił uczęszczania na tę sztukę, co miało wręcz przeciwny skutek. Byłem przed 9 laty ostatni raz w teatrze, ale gdy się dowiedziałem z odezwy Biskupów o co chodzi, mimo braków i długów, narażając się na gniew Boży — poszedłem.

Jakże aktualna była ta sztuka. Żywcem wyjęta z mego życia. Płakałem i pięści zaciskałem bezradnie nad niedolą moją i ludzką. Wywnioskowałem, że Rząd, który pozwolił odegrać taką sztukę, wyda kiedyś ustawę, która pozwoli lekarzowi uczynić zabieg dziś niedozwolony. Wróciwszy do Ewy, namawiałem...

Już wrzesień, pracuję nadal, oddałem wszystkie długi, a w Banku pożyczkowym opłaciłem procent. Proces o mieszkanie został odroczony. Byłem u gospodarza prosić o mieszkanie chcąc płacić czynsz za nie, nazwał mnie bezczelnym tak, jakbym im coś kiedy zrobił złego. Widocznie jego zdaniem jestem bezczelnym, bo się na ich rozkaz nie wyprowadziłem. Jednak już do wiosny mnie nie wyrzucą, a na wiosnę jakoś to będzie.

Żona 14-go września poszła, względnie zawieziono ją do szpitala. Krwotoki i bóle, coś się w niej oberwało, żeby choć wyszła z tego. Nie robiłem przez dwa dni bo jeździłem z nią do szpitala i musiałem być z dziećmi.

Dzieci już po 2 lata mają. Irka wątła i mizerna, Sławek o wiele tęższy i zdrowszy. Lekarz stwierdził jakieś gruczoły u Sławka i kazał mi tran mu dawać. Dzieci już rozumieją dużo, już dobrze mówią i skrzeczą po całych dniach za matką.

Ewa wyszła ze szpitala po 10-dniowym pobycie mizerna i blada i ledwo się na nogach trzyma. Czy robiła to umyślnie, nie wiem, ale tonnę węgla po stromych schodach — nim poszła do szpitala — nosiła, na nieoświetlonych schodach upadła i zaraz potem dostała krwotok. Płód podobny do niekształtnej lalki z niej wyszedł.

Robię sobie wyrzuty, że ją namawiał do spędzenia płodu i za to ona tak cierpi, choć ona mię zapewnia, że z rozmysłem tego nie robiła.

Zaczyna być odwilż, coraz mniej pracuję, bo deszcze nie pozwalają, a zaoszczędzone nie mam nic. Zaopatrzyłem się na zimę w opał, dzieciom sprawiłem buciki i płaszczyki i nic mi z pieniędzy nie zostało. Wiem naprzód jaka zima będzie. Podobna do poprzednich. Z tą różnicą, że tej zimy należy mi się zasiłek.

Brat żony Mikołaj, wyszedł z wojska, a że się spisał czyli zrzekł swej części ojcowizny na korzyść swej siostry, więc nie

mogłem go nie przyjąć. Mikołaj jest prawie, że goły i bez grosza, do domu na wieś nie ma do kogo i poco jechać, więc prosi, by go chwilowo przytrzymać, bo spodziewa się dostać gdzieś na posadę. Myślę, że jest głupi i naiwny chłopak, ale on młody, ma lat 25 i ma taki dar przekonywania, że zaczynam mu wierzyć, że posadę uzyska. Mikołaj ma 3 klasy nawet nieukończone i nic nie umie; jest sobie zwykłym robotnikiem, więc trudno mu będzie teraz w jesieni o robotę. A dla mnie będzie ciężarem, jednak trudno, on biedniejszy jak ja, więc będziemy się dzielić. Jest to chłop tegi, waży 80 klg. i dużo jeść potrzebuje.

Ewa przychodzi do zdrowia, ale o jakiejś pracy dla niej niema mowy poza domem, bo w domu ma dość roboty. Czasem dobry jakiś człowiek da bieliznę wyprać to kilka groszy zarobi, a niektóry odbierze i nie zapłaci. Guziczków D... już nie daje, bo sambym je z Mikołajem robił, bo już grudzień i siedzę bez roboty.

Zasiłek mi przyznano, będę go wkrótce pobierał i znów się zacznie wędrowka do biura Funduszu Bezrobocia i znów trza się cisnąć i wystawiać godzinami w korytarzu.

Cała zima przeszła tak samo jak wszystkie zimy, w których nie pracowałem, z tą różnicą, że tej zimy t. j. 1930-31 r. nic nie sprzedałem i nie kredytowałem. W sklepiku jedynie jestem winien 90 zł. bo zimowało we czworo, a Mikołaj potrzebuje dużo zjeść. Mikołaj obieca, że ten dług sam odda. I tak chłopaka zeszedł jak wielbłąd, ważył się w marcu na składzie drzewa, waży tylko 68 klg. a więc 12 klg. uciekło.

Proces z gospodynią przegrałem, kazano mi w Sądzie do dni 14-tu się wyprowadzić, ale adwokat mi poradził, bym wniósł apelację to jeszcze z rok pomieszkam, co też byłem zmuszony zrobić. Koszta apelacji zapłacę w lecie, gdy będę pracować.

Wiosna piękna, Mikołaj handluje w Rynku owocami. Znalazł sobie jakiegoś finansisty, który mu pożyczył pieniędzy i codziennie prawie zarobi 3—4 zł. do południa. Każden grosz zarobiony oddaje Ewie, to też najgorszy czas jakoś wspólnie dość znośnie znosimy. On jest bohaterem, kupcem, umie sobie dać rady nie pracując tak ciężko i kto wie, czy się nie dorobi prędzej na handlu jak ja na ciężkiej fizycznej pracy.

W tym roku będą XI Targi Wschodnie we Lwowie. więc Magistrat postanowił kilka ulic wyasfaltować. Roboty ulic otrzymali moi chlebodawcy pp. inż. K. i R. Dopiero z początkiem czerwca stałem w tej firmie do pracy z płacą dzienną 4 zł. 50 gr.

Pracuję znów, Mikołaj handluje już za swoją gotówkę, a żona bawi dzieciaki.

Mikołaj poznał pannę, już u nas nie jada i pieniędzy nie daje, chce się żenić — mówi.

Lato zeszło całe, jesień się zbliża.

Zasiłek z Funduszu Bezrobocia mi w tym roku nie przysługuje, gdyż zgodnie ustawy robotnicy sezonowi od 15 grudnia do 15 marca nie mają prawa do takowego.

Kapitał wypłacany bezrobotnym jest źle zużywany. Gdyby się te pieniądze obracały na uruchomienie robót publicznych i budów, a bezrobotnym danoby zajęcie, korzystałoby z tego Państwo, a ludzie by mieli pracę bez upokorzenia, że biorą zasiłek, — nie jako jałmużnę ze Skarbu Państwa.

Rozporządzenie o niewypłacaniu zasiłku dla robotników sezonowych krzywdzi ich, gdyż gdy ja pobierałem po 4.50 zł. dziennie, to trudno z tego mi było oszczędzić na przetrzymanie zimy.

Przedzeszłej zimy nie pobierając zasiłku myślałem często, że robotnik, któren robił 20 tygodni, a tem samem coś zarobił, ma prawo do zasiłku, a robotnik, który nie robił 20 tygodni, a tem samem nie zarobił w lecie nic, albo bardzo mało, taki w dodatku traci prawo do zasiłku.

W listopadzie dzieci się pochorowały, Sławek jęczy i ciągle mu krew z nosa idzie. Lekarz Kasy Chorych orzekł, że grypa, a ja się boję o życie tych dzieci. Przyzwyczailem się do nich i chcę za wszelką cenę by żyły.

28 listopada 1931 r. przestałem pracować. Mikołaj nie oddał w sklepie, sam oddałem i mam zaoszczędzone 60 zł. Jak zimę przezimować?

Chodzę do Magistratu, dostaję bony żywnościowe po 2 zł. Dostałem takich 15-cie na kwotę 30 zł. Pobrałem za nie żywność. Dostałem też 100 klg. węgla i 100 klg. kartofli.

Święta się zbliżają, nie chodzę do miasta, bo przepych i przebrane wystawy mię drażnią. Gdy siedzę w domu, zdaje mi się, że cały świat tak bieduje jak ja i jest mi lżej.

Może przecie znajdzie się jakiś człowiek na świecie, któren znajdzie wyjście z tego błędnego koła bezrobocia i wymyśli sposób, by dać ludziom najważniejsze w życiu — pracę.

Lwów, dn. 22 grudnia 1931 r.

Zecer
zamieszkały we Lwowie

Praca uszlachetnia człowieka!

Życie bezrobotnego da się dobrze określić słowami poety: »Ciężka, ciężka nasza dola!«. Tak powie każdy bezrobotny dziś człowiek, który został pozbawiony pracy, a tem samem środków do życia.

Przez bezrobocie traci państwo wiele. Marniej zdrowie i siła ludzka bezużytecznie, a środki na utrzymanie bezrobotnych wydawane (w ogólnej kwocie bardzo wielkie), są przecież tak marnie, że nie zabezpieczają bezrobotnych i ich rodzin od nędzy, w którą popadli nie ze swojej winy, nie dają im tego utrzymania, które mieli — pracując ich żywiciela.

Ludzie bezrobotni nie są winni temu, że są bez pracy, że pozostają na utrzymaniu państwa, czy gminy. Z zazdrością spoglądają na ludzi jeszcze pracujących. Radziby także pracować, lecz dla nich pracy nietylko że niema, ale do ich szeregów ciągle przybywają nowe ofiary bezrobocia, bo kryzys bezrobocia zatacza coraz to szersze kręgi. Idąc przez miasto, spotyka się ludzi idących bez celu — to bezrobotni. Nie śpieszą się wcale, bo po cóż? Roboty nie mają. Nie muszą być na czas w warsztacie czy fabryce. Wzrok ich stracił już dawno swój blask. Raczej ponury jest teraz, aniżeli pogodny. Policzki zapadłe, cera blade lub żółta, krok powolny i niepewny, świadczący, iż dany osobnik za podmuchem wiatru poleciałby jak na skrzydłach...

W Komisarjatach dzielnicowych, w których rejestrują bezrobotnych, pełno tych ludzi. Oczekują tam biernie swojej kolejki, by dostać się przed oblicze urzędnika, prowadzącego rejestr i wydającego dwuzłotowe bony do sklepów miejskich, w których tylko nabyć można prowianty.

W biurze Państwowego Funduszu Bezrobocia już przed godziną 8-ą rano jest wielu bezrobotnych, świeżo zredukowanych. Jedni czekają, by zgłosić się na fundusz bezrobocia, inni oczekują tak zwanej decyzji, to jest wiadomości, iż zostali wpisani do ksiąg bezrobotnych i przyznano im zasiłek, lub też odmówiono im prawa do zasiłku.

Zasiłki w zasadzie są marne. Nie wystarczają na utrzymanie stanowczo. Robotnikom, posiadającym rodziny odmawia się zasiłku dla dzieci starszych, mimo, że te uczęszczają do szkoły. Jest to również niesprawiedliwe, bo z czego mają żyć bezrobotni z całą rodziną, jeżeli dla dzieci starszych nie otrzymują zasiłku?

W zabudowaniach tak zwanego Miejskiego Dworca Budowlanego odbywa się dwa razy w tygodniu kontrola bezrobotnych. Przeprowadza się to w ten sposób, że urzędnik P. F. B. znajduje się w ubikacji, pozbawionej nawet krzesła, a bezrobotni są na dworze i przez okno podają swoje legitymacje z dowodami osobistymi, by za trzy dni odebrać je zpowrotem. W ten sposób przeprowadza się kontrolę. Bezrobotny musi być osobiście i obowiązkowo przy każdej kontroli pod groźbą utraty prawa do zasiłku. Do takich ja należałem.

Zasiłki pieniężne wydają w poniedziałki dla tych bezrobotnych, którzy są kontrolowani we wtorki i soboty.

Okres zasiłkowy wynosi 13 tygodni, czyli 91 dni. Po wybraniu pełnego zasiłku 13-tygodniowego pomoc P. F. B. ustaje zupełnie aż do nabycia przez bezrobotnego nowych praw, to jest, po pracowaniu 20 tygodni, co w dzisiejszych czasach nie każdemu się uda. Wprost do szczęśliwców należy zaliczyć takich, którym udałooby się nabyć ponownie prawo do zasiłku z P. F. B.

Piszę o tem dość obszernie, bo znachodzę się w tem niewesołym położeniu, że przeszedłem już to kilkakrotnie w ciągu ostatnich lat dziesięciu.

Dziś mam już za sobą gehennę bezrobotnego, zmuszonego chodzić do kontroli i po zasiłki. Znachodzę się jednak w daleko gorszym położeniu. Bo gdy przedtem wiedziałem, że jestem między bezrobotnymi, to dzisiaj zmuszony wystawyc w komisarjacie dzielnicowym w oczekiwaniu na bon 2-złotowy, nie mam tej pewności, czy stojący obok mnie osobnik jest bezrobotnym, czy też zwykłym włóczęgą lub wprost złodziejem, pragnącym dostać również bon, lub poprostu kogoś obkraść. Wielu się tu takich kręci, którzy nigdy nie pracowali, bo im się pracować nie chciało, względnie, »nie opłacało«. Znachodzili oni i znachodzą zawsze swoje ofiary, które bądź

o okradają, bądź też obgrywiają w karty. Ludzie pracy zmuszeni są wystawiać razem z ostatnimi szumowinami w oczekiwaniu na »zapomogę«.

Do takiego poniżenia zeszła klasa pracująca, która dziś z dziwną pokorą znosi obecne warunki. Należę do ludzi przedwojennych, pamiętających niejednokrotne demonstracje i zaburzenia bezrobotnych.

Pamiętam dobrze krwawą demonstrację bezrobotnych robotników budowlanych, która miała miejsce dnia 2 czerwca 1900 roku na Placu Strzeleckim we Lwowie. Byłem już wówczas w praktyce drukarskiej, kończyłem właśnie 15 rok życia i u zarania mojej pracy zawodowej zastrzelono i porąbano szablami bezrobotnych, domagających się pracy. Padło wówczas pięć osób od szabel lub kul huzarów. Mimo to demonstracje bezrobotnych powtarzały się we Lwowie dość często. Dawniej ludzie inaczej reagowali na nędzę. Nawet kobiety demonstrowały, wybijając szyby w ratuszu z powodu podrożenia chleba o 1 halerz (grosz) na bochenku. Nie powiem, by poczucie obywatelstwa polskiego było przyczyną dzisiejszego wstrzymywania się bezrobotnych od urządzania demonstracyj i tak wielkiej w tym kierunku abstynencji.

Nie przebija w tem żaden patryjotyzm, a raczej zniechęcenie ogólne nawet do życia wogóle. Znachodzimy się w tak ciężkich warunkach życiowych, w tak wielkiem upodleniu, że dziś niewielu jest takich, których razi wystawianie w komisariatach dzielnicowych w oczekiwaniu na tak marną zapomogę, jaką jest bon 2-złotowy. Że pomoc ta jest faktycznie marna, niechaj świadczy o tem fakt, że w listopadzie 1931 roku wydawano na rodzinę bezrobotnego po 1—2 bony 2-złotowe i po 100—200 kg. ziemniaków napoły zmarzniętych, po które trzeba było iść na Nową rzeźnię, położoną na granicy miasta.

Zastanawiałem się wraz z żoną, jakich to „prowiantów” byłoby najlepiej wziąć na bon 2-złotowy w miejskim sklepie. Przyszliśmy do przekonania, że należy zażądać 1 kg. cukru, jako najpotrzebniejszego produktu w domu. Tak też zrobiłem. Bon 2-złotowy wystarczył na 1 kg. cukru, a ponieważ ludziom pobierającym na bony nie wydaje się reszty w monecie zdawkowej, dostałem kilka cukierków, jako resztę z bonu.

Ponieważ dostałem bon na 200 kg. ziemniaków, wybrałem się na Nową rzeźnię, gdzie wydawali ziemniaki. Miałem ze sobą dwa worki, a będąc już na miejscu, o gładałem się za człowiekiem

któryby przewiózł mi mój przydział. Mieszkanie moje oddalone jest od rzeźni o 4 — 5 kl. i odległość tę musiałem brać pod uwagę. Udało mi się namówić wieśniaka, który odwoził był cieleta do rzeźni, by zabrał moje ziemniaki na wóz. Zgodził się jedynie dlatego, że wracając na wieś zmuszony był jechać w pobliżu mojego mieszkania. Zażądał jednak 2.50 zł. Cóż miałem robić? Zgodziłem się i w ten sposób ziemniaki znalazły się u mnie w piwnicy. Z żoną przebieraliśmy je przez kilka godzin, odrzucając na bok ziemniaki zgnite i zepsute, oraz sieczkę i ziemię, których to bezpłatnych dodatków była spora porcja. Gdy zepsute ziemniaki, sieczkę i ziemię zebrałem do worka, była tego większa część, t. j. około 60 — 70 kg. Tak więc z 200 kg. ziemniaków pozostało mi około 130 — 140 kg. zdalnych do użytku, za których przewóz zapłaciłem 2.50 zł., straciłem około 3 godzin na ich wybieranie, nie licząc już straconego czasu na ich przewóz. Oto jak wygląda »pomoc« dla bezrobotnych, jeden kilogram cukru na cały miesiąc, i 130 — 140 kg. ziemniaków na całą zimę. Żyj sam, daj żonie i dzieciom i bądź zadowolony, żeś to otrzymał!

W grudniu 1931 roku otrzymałem z komisariatu bon na 135 kg. węgla, za przewóz którego zapłaciłem 1.50 zł. Dnia 19-go, a więc w tygodniu przedświątecznym dostałem bonów do sklepu miejskiego na 22.50 zł. Widocznie ze względu na święta podwyższono »zapomogę«. Co dostaniemy w styczniu — zobaczymy.

W grudniu 1931 roku skończyłem 46 lat życia; żona moja ma lat 42, najstarsza córka, uczęszczająca do Seminarjum na V kurs, ma lat 20, młodsza ma lat 13, chodzi do VI-ej klasy szkoły powszechnej, najmłodsza ma lat 9, chodzi do IV klasy szkoły powszechnej.

Jestem bez pracy od dnia 22 czerwca 1931 roku. Z Państwowego Funduszu Bezrobocia pobierałem zapomogę od dnia 6 lipca (pierwsza wypłata), do dnia 5 października (ostatnia wypłata) po 28 zł. tygodniowo, t. j. po 4 zł. dziennie. Prawo do zasiłku pieniężnego przyznano mi tylko na 4 osoby, z pominięciem najstarszej córki, co uważam za niesprawiedliwe, bo ona przecież nie zarobkuje, lecz uczęszcza do szkoły, a szkoła, jak wiadomo, pociąga za sobą wydatki.

Z organizacji zawodowej pobierałem zapomogę w kwocie 42 zł. tygodniowo przez 120 dni. Przez pierwszych 13 tygodni mojego bezrobocia pobierałem razem 72 zł. tygodniowej zapomogi. Mimo znacznej różnicy między czasem, w którym pracowałem a bezrobociem, poczyniwszy konieczne oszczędności, można było żyć i wywiązywać się jako tako z zobowiązań wekslowych. Wkrótce jednak

nadszedł czas, iż zapomoga się zmniejszyła. Najpierw ubyla zapomoga z P. F. B., potem zapomoga z organizacji zawodowej po wybraniu 120 dni zmniejszyła się do zapomogi nadzwyczajnej w kwocie 28 zł., potem na 24 zł. tygodniowo. W tygodniu zaś świątecznym zapomoga ta i tak już bardzo mała, została jeszcze raz zmniejszoną do kwoty 21 zł. Dostałem więcej z komisarjatu, natomiast mniej z organizacji, która ma na swoim utrzymaniu 2700 ludzi (bezrobotnych, inwalidów, chorych i sierot po członkach). Samopomoc koleżeńska jest u nas, drukarzy bardzo rozwinięta. Takiej pomocy nie udziela żadne stowarzyszenie, żaden związek. Tą samopomocą i solidarnością zawodową stoimy i możemy sobie wzajemnie śpieszyć z pomocą koleżeńską. Czy może jednak rodzina, składająca się z 5 osób wyżyć z takiej zapomogi? A jednak żyjemy, ale jak takie życie odbija się na zdrowiu mojem, żony i córek!

Jestem załamany psychicznie. Stałem się jakiś ociężały i zdaje mi się niezdolny do żadnej pracy nietylko fizycznej, ale nawet do logicznego myślenia. Nie siedzę w domu, bo nie mogę patrzeć na braki, pojawiające się na każdym kroku. Próbowałem znaleźć jakieś inne zajęcie, ale w czasach dzisiejszego zastoju i powszechnej redukcji, gdzie można znaleźć pracę?

Byłem u dyrektora poczty z prośbą o pracę. Odmówił mi z dwóch względów: po pierwsze, że pracę mogą dostać tylko studenci wyższych uczelni, po wtóre, że lata moje są poza okresem, w którym do służby państwowej można przyjmować.

Usłyszałem, że w młynie Thoma można dostać zajęcie. Byłem tam, oferując się do każdej pracy. Dyrektor młyna powiedział mi, że wprawdzie przyjął już partję robotników, przyjąłby jeszcze, ale tylko do noszenia worków ze zbożem. — »Obawiam się jednak—powiedział mi, wskazując na moją postać i mój wygląd, — że 100 kg. worek zboża przyniółłby pana swoim ciężarem!«. Przyznałem mu rację i odszedłem z niczem.

Lecz nie dałem za wygraną!

W kilka dni później zgłosiłem się do kopalni piasku. Zostałem przyjęty. Przeznaczono mię do ładowania piasku na wozy z płacą dniówkową po 3 zł. Wieczorem powróciłem do domu z zarobkiem a zarazem postanowieniem zaprzestania tej, tak ciężkiej pracy. Nieprzyzwyczajony do robienia łopatą, podostawałem na obu rękach pęcherze wodne, które uniemożliwiły mi dalszą pracę przez całych 10 dni, aż do zupełnego zagojenia się ran. Przez ciągle schyłanie się po piasek i wyrzucanie go na wozy, krzyże tak mię bolały, że

w nocy gryzłem wargi, by nie wydawać jęków. Dusilem w sobie ból, by nie okazać cierpień żonie i córkom, i to wszystko, by zdobyć marnych 3 zł!

Zarobków więc obecnie nie mam żadnych. Zdany jestem na zasiłek, otrzymywany z organizacji zawodowej i miejskiego Komitetu pomocy dla bezrobotnych. Jak pomoc ta wygląda w rzeczywistości opisałem już powyżej.

Będąc jeszcze w pracy, w maju i czerwcu, pobierałem 136 zł. tygodniowo, jako składacz ręczny, co czyniło ponad 15 dolarów. Przez ostatnich 9 lat pracowałem w drukarni Zakładu Narodowego im. Ossolińskich.

Przed wojną pracowałem niemal lat 13 w I drukarni związkowej, gdzie miałem udział 400 koron. Pobierałem płacę tygodniową w wysokości 45 koron, co czyniło 9 dolarów.

Różnica więc między płacą przedwojenną a powojenną lat ostatnich wynosi 6 dolarów tygodniowo in plus czasów dzisiejszych. Efektywna jednak różnica jest znacznie większa, bo gdy przed wojną ubranie męskie kosztowało 25 koron, czyli 5 dolarów, dziś takie ubranie kosztuje 170 — 180 zł. czyli około 20 dolarów, to jest o 400% drożej. Para bucików kosztowała 10 koron, czyli 2 dolary, dziś kosztuje przeciętnie 45 zł., więc ponad 5 dolarów czyli o 150% drożej. Czyli, że zarobek drukarza w czasach dzisiejszych w stosunku do zarobku przedwojennego wzrósł o 75%, podczas gdy cena ubrania obuwia i t. d. wzrosła od 150 do 400%!

Pracując w Ossolineum, jak już powiedziałem wyżej, pobierałem 136 zł. Z płacy tej potrącał mi zarząd drukarni 10 zł. tygodniowo na opłacenie podatku osobisto-dochodowego, Kasy Chorych i państwowego funduszu bezrobocia, tak, że na rękę otrzymywałem 126 zł. tygodniowo. Z tej jednak pozostałości płaciłem wkładkę do organizacji zawodowej w wysokości 10 zł. tygodniowo oraz na rzecz nadzwyczajnych zapomóg dla bezrobotnych, którzy wybrali już zapomogi statutowe 7 zł. tygodniowo, tak, że faktycznie pozostawało mi 109 zł. Żonie dawałem 80 zł. tygodniowo, dla siebie pozostawiałem 29 zł., które przeznaczałem na opłacanie asekuracji życiowej, wkładki do Stowarzyszenia »Gwiazda«, spłatę weksli, prenumeratę pisma codziennego, przybory szkolne dla córek, raty za losy, teatr, tytoń i t. d.

Żona z 80 zł., prowadziła gospodarstwo domowe, do niej należało wyżywienie i sprawunki, jak ubranie, obuwie i t. d. Wobec ciągłego zapotrzebowania różnych rzeczy, bądź to z garderoby, bądź

też z bielizny lub pościeli, z pieniędzy tych nie oszczędzić się nie dało.

W ciągu ostatnich 9 lat pracy w Ossolineum byłem dwukrotnie zwalniany z pracy. Pierwszy raz byłem bez pracy przez 14 tygodni, drugi raz przez 17 tygodni. Od ostatniego zwolnienia mię z pracy minęło już 6 miesięcy. Nigdy nie wyobrażałem sobie, bym miał chodzić bez pracy aż tak długo! Przed wojną byłem kilka razy bez pracy, a najdłuższy okres mojego bezrobocia wynosił tylko 6 dni. Stosunek był wówczas taki, że odszedłszy z pracy z jednej drukarni, ofiarowano mi miejsca aż w trzech innych drukarniach, pozostawiając mi swobodę wyboru drukarni. Dziś, gdy w samym Lwowie jest bez pracy 1600 drukarzy, nie można nawet myśleć o prędkim uzyskaniu pracy, tembardziej, że z dniem każdym liczba bezrobotnych wzrasta.

Bezrobocie moje pociągnęło za sobą wielkie trudności życiowe. Wyżyć z zasiłku nie można. Opłaty szkolnej nie mogę uiścić. Córka moja najstarsza chodzi do prywatnego Seminarjum, bo w rządowym niema miejsca dla dzieci robotników. Rezerwują tam miejsca tylko dla córek urzędników państwowych, wojskowych i służby policyjnej. Na wolne miejsca te tylko mogą się dostać, które mają protekcję.

Dwie córki młodsze chodzą również do szkoły prywatnej, dlatego tylko, że mieszkam przy ulicy, która była przed wojną zakalą Lwowa. Do dnia dzisiejszego mieszka przy tej ulicy jeszcze wiele ~~ex~~ dziewcząt ulicznych, żyjących w konkubinacie ze złoczyńcami lub złodziejami. Domów publicznych już niema, ale mieszkają »prywatnie« dziewczęta, żyjące z nierządu. Dzieci wspomnianych wyżej ~~ex~~ dziewcząt chodzą do szkoły powszechnej i z tego powodu zmuszony byłem posyłać córki moje do szkoły prywatnej. Nie mogłem dopuścić do tego, by moje córki stykały się choćby na terenie szkoły z córkami ulicznic i złodziei.

Pracując, płaciłem za starszą córkę 70 zł., za młodsze po 15 zł. miesięcznie — razem 100 zł. Z opłaty szkolnej, dzięki wyrozumiałości dyrektorek, zostałem zwolniony na okres bezrobocia.

O sprawieniu nowych ubrań czy bucików nie mogę myśleć. Żona łąta stare lub ceruje tak bieliznę jako też ubrania. Obuwie daje tak swoje, jako też żony i córek do naprawy, płacąc ratami miesięcznymi po 5 zł.; jedynie z powodu, iż byłem dobrą stroną u szewca, wszelkie naprawy skutecznia mi na raty.

Wielką trudność napotykam w spłacaniu rat wekslowych. Mam

w obiegu 4 weksle na łączną kwotę 3.000 zł. Spłatę kwartalną uskuteczniłam w ten sposób, że przed terminem płatności zastawiam biżuterję lub nakrycia srebrne w Miejskim Zakładzie Zastawniczym, by zapłacić procenta od weksli i po 10 zł. na spłatę kapitału. Doprowadziło to już do tego, że w Zakładzie Zastawniczym mam już zastawionych przedmiotów za 180 zł., oprócz mojej srebrnej papierošnicy, złotej łańcuszka i dwu pierścieni za łączną kwotę 60 zł.

Zadłużenie moje powstało z tego powodu, że córka moja średnia była przed kilku laty chorą na szkarlatynę, z której następstwa spowodowały ropne zapalenie ucha. Leczenie w Kasie Chorych doprowadziło do tego, że musiała nastąpić operacja, a w dalszej konsekwencji wskazanym był jej wyjazd do Iwonicza. Przez trzy lata z rzędu wyjeżdżała do kąpieli, co rzecz jasna, spowodowało moje stopniowe zadłużanie się.

Nie koniec na tem. Tak żona, jako też najmłodsza córka są chore od szeregu lat. Pierwsza na ischias, druga na anemję i złośliwą chorobę wyrostka robaczkowego. I tu wskazanym był wyjazd i ciągle leczenie. Na pomoc Kasy Chorych liczyć nie można, bo Zarząd, licząc się z kosztami, wyjazdów udziela niechętnie. Musiałem przeprowadzać leczenie i wyjazdy na swój rachunek i z tego powodu długi moje wzrastały. Koszta kształcenia najstarszej córki pociągały również znaczne wydatki. Dość częste wyjazdy szkolne na wycieczki naukowe, pociągały za sobą znaczne wydatki.

Oprócz tego płacę premję asekuracyjną w kwocie 51 zł. kwartalnie. Ponieważ w ostatnich latach nie mogłem nadażyć z pokryciem tych wszystkich wydatków zwyczajnych i nadzwyczajnych, zmuszony byłem dwukrotnie zaciągnąć pożyczkę w asekuracji w łącznej kwocie 1.000 zł.

Tak więc zadłużenie moje wynosi z dniem dzisiejszym 4.000 zł., oprócz długów sklepowych: w Hurtowni Tekstylnej 120 zł., u szewca 78 zł., za więgiel 43 zł., u krawca — 45 zł., za pończochy, swetry i skarpetki 80 zł.

Kredyty te uzyskiwałem dzięki punktualnemu placeniu rat ugodzonych, względnie kupowaniu za gotówkę. Procentów od udzielonego kredytu kupcy nie pobierają, co umożliwia mi wywiązywanie się częściowe z zobowiązań. Dla uzupełnienia a raczej usprawiedliwienia tak wielkiego w każdym razie zadłużenia, muszę dodać, że do tego przyczyniła się w poważnym stopniu także śmierć mojego ojca, która pociągnęła za sobą koszta pogrzebowe oraz koszta sprawienia garderoby żałobnej.

Ostatecznym wkońcu powodem wzrostu moich długów była również konieczność dokładnego leczenia zębów żony, a po ich wyleczeniu, dla ratowania tychże, okazała się konieczność nasadzenia złotych koron na 16 zębów, pociągnęło to za sobą znaczny wydatek, wynoszący ponad 600 zł. z tem, że w kwocie tej mieści się również leczenie i plombowanie zębów u córki najstarszej i średniej.

W ciągu mojego bezrobocia zachorowała mi córka najmłodsza. Ponieważ nie miałem prawa do leczenia w Kasie Chorych ani sobie ani członków mojej rodziny, udałem się do doktorki, która po dokładnem zbadaniu dziecka orzekła, że ma ono silną anemję i zagrożone są płuca. Po zaordynowaniu lekarstw, jako rzecz najważniejszą zaleciła należyte odżywianie, dawanie dziecku owoców, jarzyn, tłuszczu, mleka, czekolady i t. d. Jak tu odżywiać dziecko chore, kiedy na zwykły wikt dla nas wszystkich nie wystarcza? Więc znowu trzeba było zastawić zegarek i parę pierścieni, by polepszyć wikt! Teraz raz w tygodniu dostają do szkoły chleb ze szynką.

Rozpacz ogarnia człowieka, gdy nie może dać dziecku tego, czego ono do życia potrzebuje, a do rozwoju jego jest konieczne. Szumnie ogłaszają wszędzie, że »cukier krzepi«, a tu człowiek zmuszony jest tego słodkiego i pożywnego artykułu skąpić z powodu jego niezwykle wielkiej ceny.

Nie mogę się wstrzymać od paru słów, które cisną się człowiekowi na język, by na tem miejscu ich nie wypowiedzieć. Polska, kraj rolniczy, o rozwiniętym przemyśle cukrowniczym, wywozi nasz cukier za granicę, nawet do Anglii, gdzie, jak doniosły ostatnio dzienniki, sprzedają go po śmiesznie niskiej cenie, bo podobno po 17 gr. polskich, loco rynek tamtejszy. My, konsumenci polscy, płacimy tak wielki haracz dlatego tylko, by nasz bilans handlowy uczynić czynnym! Przecież gdyby cukier był tańszy u nas w kraju, ludzie więcej kupowaliby go i krzepili siebie i swoje rodziny. Teraz używa się cukru w domach jak lekarstwa, z powodu jego drożyzny nieusprawiedliwionej, podczas gdy polskim cukrem zarzuca się wprost rynki zagraniczne po cenach konkurencyjnych, państwo zaś udziela właścicielom rafinerij jeszcze zniżek kolejowych na przewóz cukru zagranicę i udziela premije wywozowe.

Przejdę teraz do sprawy najważniejszej, do sprawy odżywiania się mojej rodziny. Na śniadanie pijemy kakao, jako środek najpożywniejszy, nie powodujący żadnych zaburzeń wewnętrznych, i nie działający ujemnie na nerwy.

Do szkoły żona moja daje dzieciom chleb posmarowany smalcem,

rzadziej masłem. Od czasu do czasu z marmeladą. Z chwilą pozostania tylko na zapomocze z organizacji zawodowej, otrzymywanej w kwocie 24.50 zł. tygodniowo, odżywianie nasze pogorszyło się znówu.

Dziś obiady nasze składają się z zupy i mamałygi, zacierki na mleku i ziemniaków, barszczu lub kapuśniaku i kaszy hreczanej i tak wkoło. Mięso jadamy raz w tygodniu, w niedzielę tylko na obiad. Wieczera składa się z pozostałej z obiadu kaszy, mamałygi lub ziemniaków, kawałka chleba i herbaty.

Jasną jest rzeczą, że wskutek takiego pożywienia, dzieci moje nie mogą wyglądać dobrze, bo pożywienie mało posiadające tłuszczu jest jałowe. Służy tylko do napełnienia żołądka, lecz soków żywnych z niego niema. To też wygląd dzieci zwłaszcza, jest wprost fatalny. Twarze ich pociągłe, skóra przezroczysta niemal, a siły żadnej. Coraz częściej zapadają na zdrowiu, podatne są na przeziębienia i katary.

Żona wskutek braków, odmawia sobie wszystkiego, pragnie, by tylko dzieci miały co zjeść. Ja jem -faktycznie tylko tyle, by nie paść z głodu. Nie mógłbym być syty, wiedząc dobrze o tem, że któraś z moich córek jest głodną. Ja z żoną dość często idziemy na spoczynek o próżnym żołądku.

Jedzenie nie do syta, lecz byle tylko dzień przebyć, odbija się na wszystkich, a szczególnie na zdrowiu dzieci, nieprzywykłych do głodowania i jedzenia bez należytego onaszczenia. Od dawna nie widać w domu tej radości i wesela, jakie dawniej u nas było. Najbardziej winnym czuję się ja osobiście. Zdaje mi się, że każdy ruch, każdy krok, każde spojrzenie żony czy córek wskazuje na mnie, jako na tego, który spowodował to ciężkie ich położenie. Zdaje mi się, że one myślą, iż robić mi się nie chce, że inni robią i zarabiają na utrzymanie swoich rodzin, tylko ja jeden zdałem się na łaskę niewiedzieć czyją.

Wiem, że tak nie myślą i nie czują, ale mimo wszystko czuję się faktycznie winowajcą z tego jedynie powodu, że nie mogę temu wszystkiemu zaradzić.

W pierwszych tygodniach mojego bezrobocia mówiłem w domu, że bezrobocie moje potrwa kilka tygodni (w co święcie wierzyłem), że po wakacjach pójdę już do roboty, bo w Ossolineum zawsze podczas wakacyj jest mniej roboty i każdego roku zwalniają z tego powodu z pracy kilku drukarzy, co nawet i mię dwukrotnie spotkało.

Lecz wakacje minęły, a ja w dalszym ciągu byłem bez pracy,

wywnioskowałem z tego wówczas, że Zakład prawdopodobnie dąży do tego, by robotnicy, którzy odeszli, stracili zupełnie prawo do urlopu i że z pewnością po trzech miesiącach staniemy wszyscy do pracy. Minęło jednak i trzy miesiące, a ja dalej byłem bez pracy. Gdy minął już listopad, byłem niemal pewny, że moja męka się skończy, bo zawsze przed świętami w Ossolineum było więcej roboty, bo dawali wówczas do druku różne instytucje bankowe i wielkie przedsiębiorstwa zamknięcia rachunkowe, byłem niemal pewny, że wobec tego stanę do roboty. Dowiedziałem się jednak w drukarni, że roboty jak nie było, tak niema. Zresztą przed świętami nie opłaca się brać do roboty, bo trzeba za święta płacić, że pewnie już po Nowym Roku dostanę robotę.

To ciągle mimowolne zwodzenie żony, córek i samego siebie stało się tak przykre dla mnie, że wychodzę rano z domu pod pozorem, że idę się dowiedzieć coś nowego w Ossolineum. Po obiedzie dzieje się to samo, i tak dzień w dzień. W tygodniu świątecznym nauczyłem się pisać na maszynie, co zajęło mi trochę czasu i rozzerwało ciężkie myśli. To ciągle oczekiwanie pracy wyprowadza mnie z równowagi. Stałem się niecierpliwy i rozdrażniony do niemożliwości. Lada czego wybucham i nie mogę się opanować tak łatwo. Kosztuje mnie to wiele wysiłku i zdrowia. Stałem się tak bezsilny, że czuję zmęczenie chodząc po mieście. Kiedy siedzę, odczuwam bóle w nogach i krzyżach. Siedzenie przy świetle męczy mnie. Przez 15 minut nie mogę usiedzieć przy świetle lampy. Oczy kleją mi się z wyczerpania fizycznego. O godzinie 8-iej wieczorem jestem już tak śpiący, że przeczytawszy kilka zdań w książce, odkładam ją z żalem, oczy odmawiają mi posłuszeństwa. Nie jestem jeszcze stary wiekiem, a jednak czuję starość fizyczną, nietyle może z niedożywiania się, ile z braku pracy i ciągłego myślenia o jej zdobyciu, by powrócić do możliwości życia na poprzednim stopniu.

Od lat 31 pracuję w zawodzie drukarskim, ale nigdy nie zdarzyło mi się tak długo być bez pracy i nigdy tak jej nie pożałowałem, jak obecnie. Czuję, że bez pracy zamieram powoli, lecz stale.

Boję się jednak, że pracy tak prędko nie otrzymam i na samą myśl o tem nie mam spokoju.

Przychodzą mi różne myśli do głowy, w jaki sposób przyjść żonie i dzieciom moim z pomocą. Uzyskanie pracy w drukarstwie stało się w dzisiejszych czasach niemożliwe. Na stan dzisiejszego załamania się przemysłu drukarskiego złożyło się wiele powodów.

Jednym z głównych powodów, to stan wielkiego bezrobocia, tak w rzemiośle, przemyśle jako też handlu, w zawodach wolnych oraz w redukcji urzędników tak państwowych jako też prywatnych. Drugi powód, to zniesienie przymusu koncesyjnego w drukarstwie. Wobec wielkiego bezrobocia, ludzie wstrzymują się od kupowania książek, a nawet dzienników, a to jest jednym z bardzo poważnych powodów bezrobocia w drukarstwie. Wskutek zaś zniesienia przymusu koncesyjnego w drukarstwie, do prowadzenia drukarni rzucili się ludzie, którzy nie mają o tem pojęcia. Wykonują roboty po bardzo konkurencyjnej cenie, nie bacząc na piękne wykonanie, lecz tylko na to, by jak najwięcej robót wykonać po najniższych cenach. Właściciele takich drukarni zatrudniają robotników nienależycie wyszkolonych, przeważnie młodocianych uczniów, nie przestrzegają 8-godzinnego dnia pracy, ani spoczynku w niedziele, i święta, nie płacą im urlopów i częstokroć nie ubezpieczają ich w Kasie Chorych, a to wszystko umożliwia im prowadzenie konkurencji z drukarniami, prowadzonymi wedle przepisów prawa i uczciwości. Z tego powodu robotnicy z drukarni, prowadzonych w myśl postanowień ustaw państwowych, zmuszeni są na żywot suchotniczy, bo drukarnie te redukują ciągle jeszcze swoich długoletnich pracowników, ograniczając się do zatrudniania jednego tylko lub dwu robotników.

Myślom, które nurtują w mojej głowie nie mogę się opędzić. Zastanawiam się nad sposobami zdobycia pracy, lecz sposobu wyjścia z tego błędnego koła nie widzę. Coraz czarniejsze myśli przychodzą mi do głowy. Słyszac lub czytając o różnych samobójstwach, popełnianych z braku środków do życia lub o dobrowolnej śmierci całych rodzin z tego samego powodu, przemyślałem już kilkakrotnie o tem, lecz myśl tę odrzucałem zawsze ze wstrętem. Nie popełniłbym nigdy samobójstwa, by nie pozostawić żonie i dzieciom miana żony, czy córek samobójcy. Tembardziej nie może mi się ostać w głowie, bym miał namawiać żonę lub córki do popełnienia dobrowolnego, wspólnego samobójstwa. A już stanowczo odrzucam myśl, bym miał popełnić ohydny mord na mojej żonie i córkach, a potem popełnić samobójstwo. Wychodzę z tego założenia, że osobiście nie mam prawa rozporządzalności swym życiem, a tembardziej nie mam go do rozporządzania życiem żony czy córek. Przysięgliśmy sobie miłość do śmierci w każdej sytuacji życiowej, ale o prawie rozporządzalności jednego życiem drugiego w przysiędze naszej nie było mowy, tembardziej nie mam prawa rozporządzania życiem

moich córek, istot niewinnych, a tak mię i żonę kochających i serdecznie przez nas kochanych. Nawet jako ojciec nie mogę sobie rościć takiego prawa, bo nie jestem barbarzyńcą. Przeciwnie, jako ojciec odczuwam doskonale mój obowiązek ojcowski chronienia zdrowia i życia moich córek na każdym kroku i z tego powodu nie chcę o żadnej formie śmierci mojej, żony i córek myśleć, która miałyby być dziełem moich rąk!

Starać się będę wszystkimi siłami do zdobywania pomocy materialnej mojej rodzinie. Nawet gdybym miał dopuścić do zastawu a choćby do sprzedaży wszystkiego złota i srebra (które przecież mógłbym ponownie nabyć), dopuszczę do tego, a muszę zdobyć się na umożliwienie nam wszystkim dalszej wegetacji.

Córka moja najstarsza zasiada w maju do matury seminarjalnej. Może po jej zdaniu przecież otrzyma posadę, a wtedy byłoby nam lepiej. Wierzę, że chętnie pomagałaby, a zwłaszcza swoim młodszym siostrą.

Wstyd mię ogarnia na samą myśl, że ja pozostając w zdrowiu i pełni sił do życia, już oglądam się na pomoc mojego dziecka. Ale cóż robić? Może do tego nie przyjdzie. Może przecież dostanę jeszcze pracę i zarobek i nie będę zmuszony aż do takiego poniżenia mojej godności osobistej, jako mąż i ojciec.

Wierzę, że musi nadejść dzień zwycięstwa prawdy i sprawiedliwości, tak jak nade mną odegrała niesprawiedliwość wielką rolę. Czuję żal do dyrektora administracyjnego za zwolnienie mię z pracy, mnie ojca trzech córek, pozostających w szkole, a zatrzymując w pracy ludzi żonatych wprawdzie i starszych wiekiem (choć nie wszystkich), ale posiadających najwyżej dwoje dzieci, z których jedno zaledwie uczęszcza do szkoły powszechnej (do klas najniższych), niektórych zaś robotników dzieci są jeszcze w wieku przedszkolnym.

Każdy to zrozumie, że utrzymanie małego dziecka nie pociąga za sobą tych wydatków jak utrzymanie trojga dzieci w wieku od lat 9 do 20. Tego tylko nie chciał zrozumieć dyrektor administracyjny, człowiek bezdzielny, zwalniając mię dlatego tylko, że najkrócej tam pracowałem. To, że żony niektórych kolegów, których pozostawiono w pracy, są również na posadach, nie przemówiło na moją korzyść. Trudno. Odszedłem z bólem serca, bo cóż miałem robić? Na niczyje miejsce nie mogłem się napierać i nie mogłem się domagać, by mię zatrzymano dlatego, że mam troje dzieci a inny mniej.

Jestem robotnikiem dobrym i pewnym wykonanej roboty, czego najlepszym dowodem, że za całych 31 lat mojej pracy zawo-

dowej byłem bez pracy łącznie około jeden rok! Dlatego cenę swoją wartość zawodową, ale mój honor robotniczy nie pozwolił mi, bym miał ubocznymi drogami dążyć do usunięcia z pracy innego kolegi, dlatego tylko, bym ja pracował.

Nie, tego nigdy nie uczynię i takiego kroku wstydziłbym się sam przed sobą, jakoteż przed żoną i córkami.

Wolę już cierpieć głód i niedostatek z żoną i córkami, niż dopuścić się tak niehonorowego czynu. Nie mógłbym spokojnie przełknąć kawałka chleba, tembardziej, że wiem po sobie, co znaczy być bez pracy! Zdawałoby mi się, że wskutek takiego czynu (gdybym się go dopuścił), lzy żony mojego kolegi i jego dzieci czy dziecka, byłyby gorszem dla mnie nieszczęściem, jak to w jakim się sam znajduję, będąc bez pracy. Nie mógłbym się nigdy śmiało popatrzeć w oczy nietylko kolegi pozbawionego przeze mnie pracy, ale nawet obcemu człowiekowi, bo ciągle myślałbym, że dany człowiek wie o moim niehonorowym postępku.

Pozostaje jeszcze do omówienia sprawa mieszkaniowa. Za wynajem mieszkania nie płacę nic. Dostałem mieszkanie w domu mojej teściowej, która ma mały domek zamieszkały tylko przez rodzinę. Do płacenia z racji zajmowania dwu pokoi obowiązany jestem płacić podatek lokatorski, wodociąg i do mnie należy pokrywać koszty oczyszczania ustępu.

Znalazłszy się bez pracy, zrobiłem podanie do Magistratu z prośbą o zwolnienie mię na czas bezrobocia od płacenia podatku lokatorskiego. Do dnia dzisiejszego, mimo, iż upłynęło już 5 miesięcy od wniesienia podania nie mam żadnej wiadomości z Magistratu. Dotychczas nie przysłano mi jeszcze nakazu płatniczego, ale też nie zawiadomiono mię, czy zostałem zwolniony od tego podatku, czy też nie, i z jakich ewentualnie powodów.

Gdy wspominałem już o teściowej, nie mogę pominąć milczeniem, iż przychodzi mi ona z pomocą w mojem obecnem położeniu, na jaką tylko zdobyć się może. Niewiele ona ma sama, ale czem może, tem mi pomaga. Pomocy tej nie można ująć cyfrowo w pewną kwotę, bo ogranicza się ona do dania nafty do lamp, paru polan do pieca i odstępowaniu stale swojej kuchni dla gotowania obiadów.

By być zupełnie szczerym dodać jestem zmuszony, iż do maja 1931 roku nadsyłała mi moja siostra każdego miesiąca 100 zł. na opędzanie naszych koniecznych wydatków domowych. Czyli, że dochód mój miesięczny większy był o tę kwotę, którą wspólnie dys-

ponowaliśmy z żoną, przeznaczając ją na spłacanie różnych rat bądź to w sklepie, bądź też rat wekslowych.

Ponieważ siostra moja została zredukowaną, względnie przeszła wbrew swojej woli na emeryturę, od września do tej pory nie otrzymałem od niej ani grosza i nie mogę na jej pomoc już więcej liczyć. Nie dziwię się temu zupełnie, bo mając mniejsze dochody, musi się również w wydatkach ograniczać.

Przez wakacje mieszkała u mnie i czem mogła pomagała mi, ale z powodu wyjazdu z początkiem roku szkolnego na miejsce swojego przeznaczenia, a następnie przejścia w stan spoczynku — pozostała na dawnym miejscu, gdzie pędzi swój żywot emerytalny. Na zamieszkanie we Lwowie i wyżycie tutaj — pensja jest za mała. Ja zaś nie mam obszerniejszego mieszkania, by mogła u mnie zamieszkać i z tego powodu do mnie nie powróciła, lecz pozostała na wsi.

Byłoby mi znacznie lepiej z nią, a zarazem lżej to prawda, ale cóż poradzić?

Wierzę, że czasy się zmieniają, bo zmienić się muszą, że tak dalej nie możemy wegetować, ani pojedyncze rodziny, ani społeczeństwo, jako całość.

Przyjdzie czas, że robota się ponownie znajdzie, że na uruchomienie warsztatów pracy muszą znaleźć się pieniądze, bo taki stan, jak dotychczasowy, prowadzi do ruiny członków społeczeństwa, a co zatem idzie do ruiny całego państwa.

Mimo przygnębienia z wiarą i nadzieją kładę się spać i z nimi wstaje, pewny będąc, że zajaśnieje ów wielki dzień dla ludzi pracy i pragnących pracować uczciwie i rzetelnie — kiedy zaludnią się znowem warsztaty i fabryki, kiedy z naszej ziemi zniknie ta straszna zmora bezrobocia, niszcząca całą ludzkość!

Byle na dzień ów nie potrzeba było długo czekać.

Bo bez pracy nikczemnieją dusze, łamią się charaktery, a pożytku z tego niema żadnego. Przeciwnie. Następstwem bezrobocia — to samobójstwa, morderstwa lub kradzieże, zapełniają się więzienia nowymi ludźmi, którzy tam nigdy nie byli i którym nawet przez myśl nie przeszło, że mogą się tam znaleźć. Popelnili przestępstwo, by żyć i to cała ich faktyczna zbrodnia. Inni zaś ludzie nawet zdolni, pozbawiają się życia, bo nie widzą innego sposobu ucieczki przed nędzą lub śmiercią głodową.

Nie odczuwałem nigdy zniechęcenia do pracy lub »pracowstrętu«. Czułem się szczęśliwy i zadowolony, że mogę się pracy spokojnie

oddawać. Zawód drukarski ukochałem całą duszą. Czułem się szczęśliwy, że jestem drukarzem, że mogę pracą moją przyczynić się do szerzenia oświaty ogólnej, która prowadzi do dobrobytu społeczeństwa. Dlatego tak bardzo teraz cierpię moralnie z powodu mojej przymusowej bezczynności.

O pracę więc wołam z głębi serca, o pracę dla siebie i tych tysięcy innych bezrobotnych, którzy pragną pracować i są zdolni do niej, ale nie mają sposobu na jej zdobycie. —

Witaj jutrzeńko pracy!

Lwów, dn. 28 grudnia 1931 r.

Szewc
zamieszkały we Lwowie

Napisałem i do Szanownego Instytutu wysyłam swój prawdziwy życiorys p. t. »Życiorys bezrobotnego«. Oddałem siebie jaknajautentyczniej pomimo, iż nie znam szczegółów rozpisanego przez Szanowny Instytut konkursu.

Czytałem tylko o tem notatkę w gazecie.

Pisząc swój życiorys »od ręki« t. j. bez uprzedniego, piśmiennego opracowania, byłem zmuszony przy czytaniu go, uzupełniać dopiskami i przekreśleniami, za co najmocniej przepraszam.

Kończąc załączam jedną w formie pytania prośbę: czy nie mógłbym, niezależnie od wyników konkursu, otrzymać listownej odpowiedzi? Albo nawet otrzymać takową przed konkursem? Prosiłbym o to bardzo.

JAK JA ŻYJĘ I CO JA ROBIĘ?

Nazywam się I pod tem nazwiskiem znają mnie ci, którzy o mnie i mnie bezpośrednio słyszą. Słyszą mnie bezpośrednio, t. zn. słyszą jednego z wielu nieznanych, który »gada« każdemu ze słuchawek i z głośnika radjowego.

Jako robotnik mówię przez radjo o robotnikach. Mówię podobno dobrze. Bo nawet głos prasy...

»Ze wszystkich dotychczasowych odczytów z dziedziny robotniczej najlepszy był ostatni p. t. »Proletarjuszki«. Zwierzenia pracującej kobiety, oddane plastycznie przez prelegenta, to cenny materiał do akcji społecznej w kierunku ulżenia niedoli proletarjatu!«.

Cieszy mnie to i podnieca do dalszej, intensywniejszej pracy. Niestety z powodów niezależnych ode mnie, a sędzę, że i nie od tutejszej, Lwowskiej Dyrekcji »Polskiego Radja«, głos mój słyhać w słuchawkach i głośnikach bardzo rzadko, bo mniej więcej raz na dwa miesiące.

I taki jestem ja nazewnątrz, oficjalnie. Pozatem nie zna mojego życia prawdziwego nikt. Czy ciekawe ono jest, tego nie wiem. Jak dla kogo. W każdym razie...

A więc!

Z zawodu jestem szewcem. Robotnikiem, nie majstrem. W zawodzie tym posiadam najlepsze kwalifikacje i to we wszystkich czynnościach, t. j. robię obuwie wszelkiego rodzaju i pierwszorzędnie. Wykształcenie—mam na myśli szkolne,—posiadam bardzo małe. Zaledwie niedokończone trzy oddziały szkoły fabrycznej »Huty Bankowej« w Dąbrowie Górniczej, w którym to mieście się urodziłem i wychowałem.

Jestem synem robotnika fabrycznego, który zarabiał 75 kopiejek dziennie.

Obecnie mam 34 lata. Mam również żonę i córkę, uczennicę szóstej klasy szkoły ludowej. Ale... żyjemy osobno z powodu kryzysu, a właściwie z powodu mojego bezrobocia.

A było to tak.

Jako zdolny fachowiec miałem — a było to jeszcze przed pięcioma laty — poddostatkiem roboty i to dobrze płatnej, bo aż 18 zł. za samo zrobienie szytej pary bucików, czyli, że zarabiałem około 50 zł. tygodniowo. Pracowałem u różnych majstrów. Zarabiając więc jako tako, a co najważniejsze stale, postanowiłem się ożenić. Z tą więc propozycją zwróciłem się do pewnej biednej wdowy, mającej przy sobie 10-cio letnią córeczkę i ona zdecydowała się dzielić ze mną wspólnie wszystkie nasze troski i trudy życiowe. Los mi się przy tem uśmiechnął, gdyż prawie jednocześnie otrzymałem zajęcie jako majster (kierownik) w jednej z firm lwowskich, produkujących obuwie na rynek t. j. do sklepów, systemem chałupniczym. Zasadniczą płacę miałem 50 zł. tygodniowo, przyczem chodziłem po sklepach oferować nasze obuwie, za co otrzymywałem dodatkowo, za każdą sprzedaną przeze mnie parę, 75 gr. prowizji. Z prowizji tej miałem boczny dochodu około 10 — 15 zł. tygodniowo. Oprócz mnie był w tej firmie prawdziwy zastępca, który zarabiał około 70 — 100 zł. tygodniowo.

W tym to czasie, wynająłem na przedmieściu mieszkanie, t. j.

jedną stancję o dwóch oknach, za opłatą 40 zł. miesięcznie i założyłem gniazdko rodzinne.

Spokojnie, miło i jakoś tak... dobrze nam się żyło. W domu spokój, zadowolenie, czysto. Przed domem ogródek, a zaraz niedaleko od domu, pola, przestrzeń, słońce.

Żonie dawałem 30 zł. tygodniowo na nasze utrzymanie, wyżywienie, 10 zł. odkładałem na czynsz, 15 zł. płaciłem tygodniowo raty za meble i ubranie, a resztę, co niezawsze stanowiło równą sumę, zanosilem do P. K. O. W tym to czasie doszedłem do stanu dosyć pokaźnej, zaoszczędzonej sumy, gdyż miałem złożonych na zwyczajną książeczkę P. K. O. około 300 zł., na książeczkę P. K. O. premjową 50 zł., przyczem byłem posiadaczem dwóch dolarówek i jednej »premjówki« budowlanej.

W wewnętrznej strukturze małżeńskiej wprowadziłem pewne reformy, między innymi, aby nie przyszło na świat żadne dziecko i aby niedziela była dla żony również dniem spoczynku jak i dla mnie. W sobotę wieczorem musiała kończyć pracę, mając już wszystko na niedzielę przygotowane i ugotowane. W niedzielę był dzień prawdziwego spoczynku dla wszystkich. Nawet córka, chodząca do 4-ej klasy, była wolna od domowych lekcji, natomiast prawie co wieczór pomagałem jej przy nauce.

I tak to było okrągły, cały rok.

Aż przyszły dni katastrofy. Nieubłaganej, konsekwentnej.

Zbankrutowali kupcy. Zbankrutował przemysłowiec. Ograniczono produkcję, a w końcu zamknięto cały interes. I w rezultacie, ja poraz pierwszy zostałem na bruku.

I pomimo, że jestem fachowcem, zostałem jednak zupełnie bez pracy, gdyż i w warsztatach szewskich też już był zastój i trudno mi było cośkolwiek przy tym zawodzie zarobić.

Począłem wówczas studjować drobne ogłoszenia w gazetach. Agenci!... Agenci!... Chodziłem więc po wszystkich biurach, poszukujących agentów i brałem wzory, które następnie oferowałem po prywatnych mieszkaniach. Uczono mnie przytem różnych sztuczek. Czy handlowych? Nie! Uczono mnie wyrafinowanej, wyspecjalizowanej »grandy«. Nie tu chyba miejsce omawiać szczegóły tych manipulacji agentowo-handlowych, a jednak, jest to sprawa nadzwyczaj ciekawa i ważna i plaga ta kosztowała społeczeństwo bardzo dużo, nie licząc już spustoszenia moralnego i wyrugowania wzajemnego zaufania w społeczeństwie.

Rezultatem tej mojej »zarobkowej« pracy, jako agenta, było

to, iż pomału wypróżniłem zupełnie swoją książeczkę oszczędnościową, posprzedawałem dolarówki i »premjówki«, a w końcu, po przykrej lecz spokojnej i rzeczowej rozmowie z żoną, posprzedawałem za bezcen meble i... opuściliśmy wspólny nasz dom, idąc każde z nas w inną stronę i zostawiając za sobą niezapłacone długi u sklepikarzy.

Żona poszła za służącą, biorąc ze sobą córkę, a ja przeniosłem się kątem do jednego warsztatu szewskiego, gdzie spałem i robiłem jako chałupnik z trudem znalezionej robotę — »tandetę«.

Robota to była niestała i otrzymywałem za zrobienie pary 6 zł. za kutą i 7.50 za szytą, przyczem musiałem do tego dodawać dodatki jak farby, przedza, klajster i t. p., no i mieć własne kopyta, narzędzia, lokal, światło, opał i t. d.

Ponieważ od czasu oddania roboty do czasu otrzymania następnych 6 par upływało przeważnie jeden—dwa tygodnie, więc przeciętnie zarabiałem tygodniowo piętnaście zł. Za mieszkanie płaciłem 20 zł. miesięcznie, przyczem, ponieważ spałem w warsztacie, więc musiałem do tego zamiatać i sprzątać, gdyż robiło tam jeszcze dwóch szewców t. j. sam majster i jeden, a przez jakiś czas to i dwóch takich samych jak ja chałupników. Ci płacili właścicielowi warsztatu po 3 zł. tygodniowo za to, że u niego robia.

Pozostawało mi więc na utrzymanie 10 zł. tygodniowo. Urządziłem się więc tak, że gotowałem sobie na »prymusie«, który mi pozostał z gospodarstwa. Po kilku próbach nauczyłem się gotować. Kupowałem więc np. baraniny lub nerkówki za 1 zł. 20 gr. kilo—działo się to w roku 1929 — 1930 — wymyłem, kładłem do garnka, a po dodaniu soli, pieprzu, cebuli, czosnku i innych ziół, robiłem sobie znakomitą pieczeń lub gularz. Taką porcję miałem na cztery razy t. j. na dwa dni. Do tego dokupowałem chleb, herbatę i cukier. Tak przytem regulowałem wydatki, by nie przekroczyć 8 — 9 zł. w tygodniu.

Oczywiście o kupowaniu garderoby lub bielizny, to tu niema mowy, zresztą miałem to jeszcze dobre z czasów lepszych.

Stan ten trwał dosyć długo, przeszło rok. W międzyczasie również zmieniłem sposób odżywiania się. Przedewszystkiem to z herbaty przerzuciłem się do mleka, jako że doświadczyłem, iż to jest więcej odżywcze, no i z powodu drożyzny cukru, przyczem nie robię sobie już sam żadnych pieczeni, a zacząłem chodzić do »głodnej« kuchni, gdzie obiad kosztuje 50 gr.

Od wiosny roku 1931 »urwała« się moja praca, jako chałup-

nika. Przedsiębiorcy i kupcy przestali wydawać robotę do domu. Niektórzy tylko wydawali niektórym robotnikom i to płacąc im tylko po 4 zł. za parę kołczkową, a 5 — 6 za szytą.

Musiałem więc szukać innego wyjścia. Musiałem się zrobić agentem, dla siebie samego. Chodziłem więc i chodzę do dzisiaj, po różnych znajomych i nieznanym i pytam się, czy nie mają czasem obuwia do reperacji.

I to jest mój cały dochód. Moje całe utrzymanie. Wiele w ten sposób zarabiam? O, to trudno obliczyć. W każdym razie, o wiele mniej jak poprzednio.

Za obiad też już nie płacę 50 gr. Kupuję teraz u bezrobotnych bony obiadowe, którzy takowe dostają bezpłatnie w Magistracie. Przed wejściem do kuchni pełno ich sprzedaje te bony. Biorą za nie niejednakowo, zależnie od tego, czy ich jest dużo na placu, czy nie. Najmniej biorą 15 gr., a najwięcej 30 gr.

Również wskutek kilku poważnych powodów musiałem się wyprowadzić z warsztatu. Mieszkam też kątem, ale jakoś po ludzku. Mogę przynajmniej usiąść spokojnie i coś przeczytać i coś pisać, uczyć się. Ale cóż, kiedy to mieszkanie kosztuje aż 30 zł. miesięcznie z pościelą, opalem i światłem. Myślałem, że pokryję to z tych odczytów w radjo, ale cóż, kiedy to starczy za ledwie na połowę czynszu.

A żona i córka? Są! Żyją! Żona dalej służy, tylko już gdzieś indziej. Ma płacone 30 zł. miesięcznie, która to pensja nie starcza dla nich na jedzenie do końca miesiąca tak, że często głodują. A jak, miarkuję jednak z opowiadania, to tam głodują również często i sami »państwo«, gdyż podobno i u nich wielka »bryndza«.

Żadnych zapomóg i darowizn to ja nie otrzymałem znikąd ani grosza. Z kilku przyczyn: pierwsza to ta, że ustawowo nie podlegam ubezpieczeniu na wypadek bezrobocia. Następna to ta, że chwilowo żyję samotnie, a więc nie mogę otrzymywać zapomóg w naturze, przeznaczonych dla rodzin, tylko dla samotnych. A jako samotny otrzymałbym tylko te same bony obiadowe, które kupuję u bezrobotnych po 15—20 gr. Właściwie, to i to by była jakaś pomoc, ale... mam znów bardzo poważne powody i to natury moralnej.

Obserwuję przecież wszystkich znajomych mi bezrobotnych i wyciągając odpowiednie wnioski, powiedziałem sobie, że będę walczył do ostatnich możliwości, aby nie wejść na drogę vegetacji zapomogowo-jałmużniczej.

To deprawuje nawet silnych. Więc narazie jeszcze nie.

Proszę! pół bochenka chleba dziennie i 1 litr mleka z aprowizacji i obiad w głodnej kuchni i czasem na podwieczerek kiszka lub salceson. A wszystko to kosztuje 93 gr. dziennie. Głodny się przytem nie czuję. Jestem zdrów. Mam zawsze bardzo dobry humor i zdrową, swobodną i logiczną myśl.

A ci bezrobotni, których znam? Nędza! Nie ta materjalna, ale ta, stokroć ważniejsza, moralna nędza!

Cała psychika takiej jednostki jest nastawiona, gdzieby tu i jaką drogą, wyłudzić nie pracę, z tem się lekko pogodził, że jej niema, lecz marny ochłap. I za cenę najwyższych wartości człowieka, rozwija w sobie tylko instynkt sprytu, idącego zresztą po linii najmniejszego oporu.

Bo czyż to zachęcające, jeżeli jeden, oprócz wystawiania i skomlenia we wszystkich instytucjach dobroczynnych, zabiera dwoje swoich małych dzieci, pożyczka jeszcze od szwagra drugich dwoje i obchodzi z niemi po wszystkich znajomych, wyłudzając jakieś stare »luchy« na okrycie dla dzieci. A gdy już zbierze tego dosyć, to idzie na »plac« i sprzedaje. A te różne skrytki w swoim mieszkaniu, gdzie chowa, otrzymane za darmo różne zapasy żywności. Cały magazyn. A na pokaz ma najbardziej wyrefinowaną nędzę.

Albo tacy, którzy żyją z kobiet? Przyczem, w tym wypadku, jest cała masa możliwych, różnorodnych kombinacji. Poczawszy od żony, która pracuje i żywi swego męża, poprzez służące, które pożyczają pieniądze swoim „narzeczonym” i karmią ich, a skończywszy na zwyczajnej prostytutce, która utrzymuje swojego bezrobotnego kochanka.

Na te więc drogi, które odbierają człowiekowi wszystko co ma najdroższego, nic mu wzamian nie dając,—ja stanowczo nie chcę pójść. Będę się bronił wszystkimi możliwymi środkami.

Przyznam się tu również, że moje sprawy materjalne stoją prawie na ostatniem miejscu w kręgu moich zainteresowań.

Mam całkiem realne zadania w swem życiu, których wykonanie postawiłem sobie za cel.

A jakie są te zadania, to postaram się tu, w głównych zarysach, wytłumaczyć.

Przedewszystkiem, to główną esencją moich zainteresowań, jest literatura. Od dziecinnych lat, po dzień dzisiejszy, jest literatura moją główną atrakcją życia, moim wielkim światem, w którym żyję. Nie mam przytem żadnych osobistych aspiracji literackich, przeciwnie, jest ona raczej dla mnie tem, czem dla smakosza jest

«łobre, musujące wino. Delektuję się, upijam się literaturą, a nie anam pojęcia jak się to robi.

Piszę wprawdzie różne rzeczy, które wygłaszam przez radio, ale traktuję to jako akcję społeczną tylko. Czy to ma co wspólnego z literaturą, tego nie wiem. Przedtem kupowałem różne pisma literackie, między innymi stale prenumerowałem w księgarni »Wiadomości Literackie« i to od pierwszego dnia ich pojawienia się. Dzisiaj nie mogę sobie pozwolić na żadne pismo i to jest moja największa nędza. Czytam tylko dzienniki, porozlepiane na murach obok różnych redakcji. A »Wiadomości Literackie« to tylko oglądam w oknach wystawowych księgarni i odczytuję przez szybę urywki wstępnych artykułów.

Ostatnio jednak sytuacja u mnie zmieniła się pod tym względem trochę na lepsze, gdyż Szanowny Dyrektor programowy »Polskiego Radja«, jest dla mnie tak życzliwy i pozwolił mi korzystać bezpłatnie z biblioteki »Polskiego Radja.«

Czytam również literaturę z dziedziny nauk ścisłych. Ta dziedzina również absorbuje mój umysł całkowicie. Lecz tylko rzeczy praktyczne, realne.

Interesując się potrosze wszystkim, jak: fizyką, chemją, astronomją, fizjologją, a nawet antropologją, interesuję się głównie techniką i mechaniką. Niestety, jest tak mało popularnych dzieł z tej dziedziny. A może one i są, tylko, że ja ~~na~~ nie mam do nich dostępu.

Ostatnio »wpadła« w moje ręce książka, napisana przed stu laty p. t. „Fizyka”, napisana przez prof. Dr. Brettnera, przełożona z niemieckiego na polski przez A. Karwowskiego, a wydana w Wrocławiu 1846 roku.

Książka ta daje mi nieocenione bogactwo ciekawych i praktycznych wiadomości. Jednym z głównych wyników tych wiadomości jest to, iż zacząłem się poważnie zastanawiać nad... „Perpetuum mobile”. Ironiczne i bardzo przykre uśmiechy towarzyszyły, gdy komuś ze znajomych opowiadał, że taki samoczynny mechanizm ja będę próbował robić. Nie zwracałem jednak uwagi na te śmiechy i dowcipy, lecz bacznie studjowałem, co już w tym kierunku zrobiono. W rezultacie niewiele zrobiłem, lecz ulepszyłem model wielkiego Leonarda da Vinci o tyle, że już nietylko sam siebie obraca, ale i udziela energii nazewnątrz. Jednak nie tak dużo, aby można uruchomić motor, wytwarzający prąd elektryczny. Chyba, żeby zbudować mechanizm o większym rozmiarze.

Narazie jednak zostawiłem ten model w spokoju. Umysł mój pochłonięła całkiem inna, bardziej praktyczna maszyna.

Maszyna pewna, wydajna, ale zato bardziej złożona. Problem konstrukcyjny tej maszyny niejednokrotnie pozbawiał mnie snu w nocy, w rezultacie jednak, po kilkadziesiątkrotnym, bezwzględnie krytykowaniu punktu za punktem w ciągłej linii ruchów, siły i różnych mechanizmów, otrzymałem maszynę doskonałą, wydajną i samoczynną. Ale niestety, to nie jest »czyste« »Perpetuum mobile,« bo chociaż nie potrzeba tu dodawać żadnego paliwa, ani innej energii, to jednak jako czynnika ciągłego ruchu użyłem wody, no a woda przecież paruje, ulatnia się, więc trzeba będzie, od czasu do czasu, trochę jej tam dolać. Rozmiary jej też są dosyć duże, zajęłaby miejsca mniej więcej tyle, co zajmuje kanapa. Ale za to może dostarczyć bez obsługi i bez innych dodatków do kilku, a może i do kilkunastu, ubikacji za darmo, — światło i opał.

Oczywiście, że odnośnie do tych maszyn, to istnieją one tylko teoretycznie, gdyż przy moim stanie materialnym, to niema mowy o ich budowie i użytkowej realizacji. Ale gdy tylko będę miał pieniądze, no to... »A jakże to?« zapytałby może ktoś — »szewc i czepia się jakichś obcych mu maszyn, a w swoim zawodzie to nic nie ulepszył?«

O, przepraszam! I tutaj też coś zrobiłem i to nietylko teoretycznie. Otóż zrobiłem taki aparat, przy pomocy którego robotnik szewc może zrobić parę ładnych i mocnych damskich bucików w przeciągu 2 godzin. Jest to również wynik rewizji mojego stosunku do wykonywanej pracy i wymagań konsumenta. Kalkulacja handlowa, w ten sposób wykonanej pary bucików, nie przekraczałaby 12 zł. za parę hurt, a 15 zł. detal.

A dlaczego nie robię w ten sposób obuwia? Ano, bo tu znów jest ta sama piosenka. Do wyrobu obuwia trzeba choć trochę towaru, skóry, towar trzeba kupić itd. itd.

Kończy się już zeszyt i ja kończę to opowiadanie o sobie. Przeniosłem się na te kilka kartek w całości. Taki tu jestem, jaki jestem w rzeczywistości i tak żyję, jak tu napisałem.

I dziwne uczucie teraz przy końcu mnie ogarnia.

Myślę, że przecież to najciekawsze i to najważniejsze, to dopiero u mnie będzie, dopiero się zacznie.

Zacznie się może już od jutra, może od teraz, od tej ostatniej kropki?..-

Lwów, dn. 29 grudnia 1931 r.

Pamiętnik Nr. 54

Malarz
zamieszkały we Lwowie

Czy jeszcze zdążę na czas? Czas krótki, zaledwie kilka dni, bo dopiero dziś, w święto Trzech Króli, wpadł mi do rąk stary, już przyprószony kurzem egzemplarz jednego z dzienników, zachęcający do napisania historii człowieka bezrobotnego, borykającego się z życiem. Tak, zdążę jeszcze, muszę zdążyć, a co więcej — muszę zdobyć tę nagrodę w kwocie 100 złotych, o których wspomina krótka, dziennikarska notatka. Sto złotych, Boże Wielki! Ależ to suma, ależ to majątek, jakiego dawno, dawno nie widziałem...

Małąką moją Elżunię dusi w tej chwili koklusz, biedactwo wije się na lichym tapczanie, każdy jej atak kaszlu, każde zachłyśnięcie się, brak oddechu — to jak uderzenie obuchem w moją zmęczoną głowę, to jakby brutalne szarpnięcie czyjąś mocną, a twardą dłonią za moje rozedrgane serce, które samo chore na uporczywą nerwicę, tłucze się oto w takt kaszlu, jak ptak w klatce i boli, och jak boli... Przy Elżuni przykucnęła moja żona, także chora już od przeszło dwóch lat i rzecz nie do uwierzenia, bo to przecież nie powieść, ale zwyczajne moje życie — ona także kaszle, kaszle straszliwie i dusi się, bo ma chroniczny, ostry bronchit. Te dwie najdroższe mi istoty wiją się w męce, niemniejszej chyba, niż męka konania, a ja piszę oto pod tem okropnem dyktandem historję człowieka bez pracy, bez żadnych zgoła dochodów, nawet nie pobierającego zaopatrzenia, o którego istnieniu wiem tylko z opowiadania i piszę nawet nie poprawiając, nic nie kreśląc, nie namyślając się, czy to właśnie tak ma być, bo słowa płyną, płyną, płyną...

Zdumiewacie się Panowie, skąd się bierze taki styl, taki polot, takie literackie ujęcie u jakiegoś bezrobotnego nędzarza, u lichego robotnika, który nigdy nic podobnego nie pisał i który straszy otoczenie swoim ponurym wyglądem, ale bo też ja nie jestem takim

zwyczajnym robotnikiem, ja jestem robotnikiem nadzwyczajnym, człowiekiem, który miał ongiś talent, którego podziwiano i któremu rokowano piękną przyszłość.

Kiedyś, kiedyś, a było to już chyba bardzo dawno — byłem artystą, takim artystą-malarzem, którego sylwetkę tak wyidealizował wielki piewca Tatr, Tetmajer. Talent malarski wyssałem być może z mlekiem mojej matki, która sama z upodobaniem malowała, lub może wywołała go we mnie literatura, traktująca o tym przedmiocie, dość że już od najmłodszych lat oddawałem się z zapalem tej, jak mówiono, pięknej sztuce, którą się rad popisywałem przed współkolegami w gimnazjum i przed nauczycielami. Stare to zresztą, choć promienne dzieje, które drzemią pogrzebane pod rumowiskiem twardej ręki losu, a którym rzadko tylko pozwalam odżywać, bo i poco budzić z uśpiania te idealne porywy? Dla historii mojej jednak ważne to, że po ukończeniu Akademji w Krakowie znalazłem się na wojnie i że powróciwszy z wojny stosunkowo zdrow — wróciłem do mojego zawodu i moich upodobań.

Niestety zmieniły się upodobania u innych ludzi, bo ludzie przestali się interesować tak niepotrzebnymi sztukami, jak malarstwo czy literatura, gdyż przecież te rzemiosła się nie kalkuluja w wieku radja i dźwiękowca, które dają daleko większą emocję, daleko większą sjęstę... Bieda zaczęła zaglądać do mojej izdebki na poddaszu i z konieczności, ażeby żyć, przerzuciłem się do malowania szyldów, bo te szły. Interes był nienajgorszy, ale trwał także niedługo, bo wymagania moich klientów wzrastały, a co gorsza — były coraz oryginalniejsze, z czem się nie mogłem pogodzić, bo uważałem je za zbyt mocne, za zbyt krzykliwe. Rzeźnicy np. żądali, bym malował na szyldach głowy potężnych buhai, a ja malowałem łby zwierząt, w których oczach czaiły się łzy, bo podpatrzyłem, że istotnie zwierzęta, prowadzone do uboju, mają łzy w oczach, co zresztą każdy niedowiarek może z łatwością sam sprawdzić. Nie wiem, czy to z powodu tych nieudolnych łbów, czy dlatego, że liczba potrzebujących malowanej reklamy zmalała niemal do zera, dość, że z konieczności przerzuciłem się do malarstwa pokojowego, a więc zostałem najprawdziwszym robotnikiem dziennym i to nawet nie na własną rękę, ale jako czeladnik we wcale podrzędnej firmie.

W tym zawodzie powodziło mi się przez kilka lat wcale znośnie. Była tak zwana konjunktura, roboty nigdy nie brakowało, bo budowano dość forsownie, dożywotnicy mieszkaniowi, chronieni ustawą o ochronie lokatorów, nie szcędzili pieniędzy, żeby swoje

mieszkania upiększyć, ja sam uchodziłem za artystę-malarza pokojowego, umiałem dogodzić najkapryśniejszym gospośiom w alegorycznych figurach na ścianach kuchennych, jednym słowem potrafiłem dogodzić paniusiom, jak mało kto, to też wyrywano mnie sobie dosłownie z rąk.

W tym czasie ożeniłem się, urządziłem sobie zaciszne mieszkanie, do którego, po ciężkiej, całodziennej pracy poza domem, wracałem stęskniony, bo w tem mojem zacisznem gniazdku oczekiwała mnie moja »Żabusia«, jak zawsze pieśczośliwie nazywałem najpierw narzeczoną, a potem żonę. Żabusia ściagała ze mnie nagwałt obrzydliwe, oplamione ubranie, podawała gorącą wodę do umycia i w ćwierć godziny później — wyświeżony, inny, nie ten sam człowiek zasiadałem do kolacji, a po kolacji do rozlicznych sztychów, których było pełno w naszym mieszkaniu.

W tym czasie przysła na świat Elżunia, przesłiczne bobo o jasnych kędziarach i niebieskich oczkach, podobna trochę do Żabusi, a trochę do mnie i wniosła w nasz dom prawdziwe szczęście. To moje małe słoneczko tak mnie oczarowało, tak mi opętało duszę, że odtąd wszystkie aniołki na sufitach, wszystkie amorki na ścianach kuchennych zamieniałem na twarzączkę mojej Elżuni, bo co to znaczyło dla mnie sporządzić taki szablon z papieru? Niewinne uchwycenie główki z profilu, potem nożyczki i arcydzieło gotowe, a za to miałem zawsze przy sobie już nie jedną, ale kilkanaście, kilkadziesiąt Elżuń, a wszystkie śmiały się do mnie ze ścian i wtedy nie byłem już sam przy pracy.

Nadeszła t. zw. zła konjunktura. Roboty szły po staremu, owszem, ale były już znacznie gorzej płacone. Z czasem zarabiałem zaledwie połowę tego, co przedtem, w domu zarządziłem daleko idące oszczędności, a nawet zdobyłem się na heroiczny wprost czyn, bo oddałem służącą. Moja Żabusia, delikatna, jak mimoza, patrzyła na mnie, jak małe dziecko, które niewinnie skrzywdzono, ale trudno, służąca kosztowała zbyt wiele, a zresztą ja sam mogłem ją coraz częściej zastąpić, bo coraz częściej przesiadywałem w domu z braku roboty. Potem czasy się jeszcze bardziej pogorszyły. Przystano budować, a jeżeli gdzie budowano nowy dom — firma moja przychodziła z ofertą albo za późno, albo oferta ta była za droga w porównaniu z temi, które wnieśli inni malarze, zapewniający sobie roboty różnemi krętymi drogami. Odmalowanie starych mieszkań trafiało się rzadko, również rzadko odświeżano kuchnie, bo gospośie, rezygnując z ładnych amorków na ścianach, poprzestawały

na zwykłym wybieleniu wapnem, lub kredą, co uskuteczniiali prze-
ważnie na własną rękę albo pan domu, albo służąca.

Pewnego dnia zredukowano mnie w firmie, bo najpierw robo-
ty były coraz rzadsze i coraz gorzej płatne, a powtóre—byłem rzekomo
za drogim czeladnikiem. Przerażony widmem bezrobocia — obniży-
łem z miejsca moje żądania od metra kwadratowego najpierw o 30%,
a potem nawet o połowę, ale wypowiedziano mi mimo to, bo firma
wolała pracować bezpłatnymi praktykantami.

Przez kilka dni chodziłem od firmy do firmy, od interesu do
interesu, ofiarując się z moją pracą i popisując się udatnymi szki-
cami, które lada kredą czy węglem potrafiłem narysować jednym
pociągnięciem na desce lub na murze, ale wszędzie wzruszano tylko
z politowaniem ramionami, lub wręcz wyśmiewano. W jednym miej-
scu poradzono nawet, żebym się z takim talentem zgłosił do miej-
scowego cyrku, bo szyderstwo jest także właściwością gminu,
a szyderstwo takie, nagie i cyniczne, zwłaszcza gdy chodzi o naj-
konieczniejsze potrzeby, bo żer — bywa piekące, straszne. To nie
książkowa satyra, to nawet nie złośliwość, ale wulgarny wybuch
człowieka-bestji, sytego jeszcze, ale już zagrożonego w swym do-
sycie.

Niezrażony — malowałem obrazki w domu, to smętne pejzaże,
to roześmiane, słoneczne fragmenty i dałem część tych małych prac
za okna wystawowe znajomych mi sklepów, a z resztą nosiłem się
po biurach i urzędach. Nie szło, nie szło zupełnie, a przecież na
farby wydałem ostatni grosz z domu, gdzie tymczasem zacząłem
się wysprzedawać za marne pieniądze. Codziennie wołałem handla-
rza starzyzną, który też codziennie wychodził ode mnie z jakimś
zawiniątkiem pod pachą i za te już nie złotówki, ale grosze, bo cóż ja
mogłem mieć wartościowego do sprzedania — opędzałem najkoniecz-
niejsze potrzeby życiowe swoje i swojej rodziny. Postać gospodarza
i czynsz za mieszkanie stał się moją zmorą. Żadne strachy, żadne
zjawy z czasów dzieciństwa nie były straszliwsze, niż wizja brutal-
nego gospodarza, posyłającego po czynsz ironicznie uśmiechniętą
służącą, potem upominającego się obcesowo, szorstko, gburowato
o swoją należność pod rygorem skargi, a wreszcie awanturującego
się pod moimi drzwiami i rzucającego na mnie najbardziej kar-
czemne wyzwiska. W takich chwilach, obie moje istotki siedziały
wtulone, jak ptaszyny, w róg głębokiej kanapy i patrzyły ze stra-
chem to na mnie, to na drzwi, czy je nie wywali awanturujący się
gospodarz i nie wyrzuci nas z mieszkania precz, na bruk.

Beznadziejną moją sytuację uratowała praca, którą uzyskałem dorywczo i na której zarobiłem wcale nieźle, bo zapłaciłem cały zaległy czynsz, gdy wtem spotkało mnie nowe nieszczęście, bo Żabusia, obnosząc po sklepach różne swoje wyszywanki, przemoczyła nogi i zaziębiła się dość niebezpiecznie. Sprowadziłem natychmiast lekarza, któremu dałem tytułem honorarjum dwa najładniejsze obrazy ze ściany. Przyjął i podziękował z uśmiechem, rad pewno, że będzie miał nową ozdobę do swojej poczekalni, gdy inny byłby się dopominał o pieniądze w gotówce.

Żabusia gorączkowała długo, ale ostatecznie młody organizm wyszedł zwycięsko. Cóż, kiedy trzeba było szukać nagwałt środków do życia, bo tu chodziło także o życie Elżuni, która przecież nie rozumie, co to jest brak pieniędzy lub bezrobocie. W ten sposób ja włączyłem się z obrazkami i w poszukiwaniu za pracą przed południem, a Żabusia nosiła się ze swojemi wyszywankami po południu, a że się jeszcze całkiem nie podleczyła, przeziębila się znowu. Także Elżunia zachorowała na koklusz.

I tym razem zapłaciłem lekarzowi obrazkami. Odchodząc, zapisał Elżuni jakieś lekarstwo, a żonie syrop Fabela. Oba lekarstwa bardzo drogie, bo pierwsze kosztowało 5 zł., a drugie 6 zł., razem 11 złotych, czyli pięć dni spokojnego życia, istny majątek, ale przez trzy dni uganiałem po mieście, zanim zdołałem wreszcie spieniężyć jeden z obrazów i kupić te drogocenne lekarstwa.

Niezależnie od tego trzeba było czemś żyć. Raz, nie mając na obiad dosłownie ani grosza, wołam znajomego starozakonnego handelesa i pokazuję najpiękniejszy obraz.

— Nu, co ma kosztować takie mycyje?

— 20 złotych...

Handlarz pocmokał ustami.

— Czemu nie? Chcieć można i setkę, ale za dwadzieścia złotych to ja nakupię takich obrazów tyle, że i nie uniosę, bo co komu z tego?

— Daj pan 5 złotych — dygoczę na myśl, że wcale nie kupi.

— To nie dla mnie ten towar — słyszę, jak w malignie. Może jakie stare spodnie, ubranie, nu?

Żabusia patrzy na mnie wzrokiem ciężko ranionej gazeli i zanosi się od kaszlu, a ja omal nie wybucham potwornym płaczem i chcę za obraz już tylko dwa złote, cóż, kiedy to nie towar...

Wieczorem jedliśmy pieczone kartofle, popijając herbatą bez

cukru, a raczej stało to na stole, bo poza herbatą żadne z nas nie mogło nic przelknąć.

Nie zaniehbując obrazków, postanawiam sobie wyszukać koniecznie jakąś posadę biurową. Wszystko jedno jaką, byle była, bo jest mi przecież obojętne, do jakiej czynności mnie użyją, byle tylko tym dwojgu ratować życie. Przecież jako człowiek inteligentny, co to inteligentny — wykształcony — podołam każdej czynności!

Ubrany w moje najlepsze, choć już mocno przyniszczone ubranie, zacząłem się naprzykrzać po biurach. Jakkolwiek od kilku dni prawie nie jadałem, to przecież umiałem się znaleźć dość wytwornie, to znowu, wpadając w krańcową ostateczność — miewałem zapewne w oczach pokorę obitego psa, bo zebrałem o pracę choćby woźnego, jak o największe dobro, gdy widzę pobłaźliwy uśmiech i słyszę słowa:

— To się tak tylko mówi, kochany panie, ale cóż, u nas także redukcje i przyjąć nikogo nie wolno. Ja sam nie wiem, czy i mnie lada dzień stąd nie wyrzucą...

Po takich całodziennych peregrynacjach, rano po biurach i urzędach, a po południu po firmach handlowych i warsztatach, wracałem do domu głodny i z niczem, słysząc już przez drzwi dwa okropne, wtórujące sobie kaszle: Żabusi i Elżuni, a gdy wchodził napół przytomny witał mnie żałośliwy głos żony:

— Jóżeńko, głowa mnie boli, mózg mi pęka od tego kaszlu, ratuj mnie, bo zobaczysz, że tak umrę, jak p. Stachowska...

Tulę do siebie te dwie biedne główiny, jak ojciec zadźmionych i myślę, jak tu zapobiec takiemu umieraniu, jak nieboszczka Stachowska, nasza daleka krewniaczka, która umierała trzy tygodnie na astmę, nie mogąc skonać i prosząc, jak o największą łaskę, o zadanie jej śmierci z litości, ale nadaremnie, no bo jak tu mordować konającą?... Nie, wy tak nie umrzecie moje dzieci, bo ja do tego nie dopuszczę, nie, nie, nie...

Bunt wre w każdym moim nerwie, szaleństwo mnie się ima, rozpacz mnie ogarnia, a tu rozpaczać nie wolno. Cóż, ja mężczyzna przecież, zdrów, jak ryba, w pełni sił, zdatny do każdej pracy — coś musi się przecież i dla mnie znaleźć, bo niepodobieństwem jest chodzić od domu do domu i zebrać o jałmużnę. Ja tego nie zrobię nigdy, przenigdy i za żadne skarby świata. Raczej śmierć, niż to... Leżąc w nocy w łóżku, rozmyślam, kombinuję, modlę się żarliwie i zlorzeczę zarazem i dygoczę, dygoczę z zimnego przerażenia, bo obie moje najdroższe istoty kaszlą i wiem, że od tego Żabusi mózg

pęka, a Elżunia żyje jeszcze, ale żyje, konając... Tak, ja naprawdę oszaleję, a boję się tego szaleństwa, bo wtedy możebym zapomniał zamordować te dwie istoty i tylko sam skoczyłbym z drugiego piętra na bruk? Boże, zmiłuj się nade mną!

Uśmiechacie się z niedowierzaniem, panowie z Gospodarstwa Społecznego? Przecież to wizja szaleńca, przecież to opowieść człowieka, lubującego się widać w okropnościach, przecież to ha, ha, ha! nieprawdopodobieństwo, gdy konkurs wasz wymaga opisu doli człowieka bezrobotnego, ale takiej doli spokojniejszej, nie tak głodnej, pobierającej zasiłek, a nie tak wstrząsającej nerwami, prawda?! Bo gdzieżby u nas, panie dobrodziej, coś takiego, czysty śmiech, przecież są komitety, zapomogi, składki.

Wierzcie, lub nie, a ja tak żyję już drugi rok, powtarzam — drugi rok, a choć obie moje istotki tak straszliwie kaszlą, ja ciągnę dalej moją opowieść, o której twierdzę, że jest błada, och, jak błada!

Raz zaszedłem także do takiego magistrackiego czy rządowego biura pośrednictwa pracy. Przyjął mnie rudawy młodzieniec, palący z flegmą papierosa i traktujący cynicznie t. zw. strony. Te strony, to przecież dla takiego pana tylko »kawałki« do załatwienia, to też wciąga interesantów do wielkiej księgi, poziewając, a każdego mierzy zgóry, jak przystało na taką urzędową osobę, która ma swoich 250 złotych miesięcznie, a zresztą, któżby znowu wierzył każdemu głodnemu, bo czy to akurat prawda?! He, he, panie, nie mnie nabijać w butelkę!...

Kiedyś napisałem feljeton i poniosłem do gazety. Przyjęli. Nie wiedziałem, że mam i literackie zdolności, jakkolwiek to nie jest przecież żaden towar, ha, ha! Ale choć nie zapłacono ani szeląga—przyjęli, a to już coś znaczy. Rzuciłem się do pisania. Szło, to też wnet zamarzyłem o radju, gdzie płacą po 50 złotych za kwadrans. Napisałem rewję i poniosłem. Dyrektor popatrzył na mnie nieufnie, ale obiecał rewję przeczytać. Gdy w kilka dni później zgłosiłem się po odpowiedź, usłyszałem takie zdanie:

— Po literacku to jest, ale to zbyt... cierpiętliwe, a publiczność chce się w radju śmiać, o!...

Wróciłem do domu, głodny jak zwykle i zabieram się do przeróbki. Opowiadam o wszystkim Żabusi, która choć snuje się po pokoju, jak cień, i w przerwach między jednym, a drugim atakiem kaszlu postępuje, doradza przeróbkę. Tworzymy we dwójkę rewję, wymyślamy same najśmieszniejsze kawały, takie dla radja i śmiechu, stwarzamy przeróżne qui pro quo i śmiejemy się sami, jak

dzieci, bo rewja jest naprawdę bardzo, bardzo śmieszna i napewno się spodoba i dyrektorowi i radjosłuchaczom. Pięćdziesiąt złotych za kwadrans, ma kto pojęcie? A to wszystko za humor i za śmiech, hahaha, hahaha!...

Mimo to rewji... nie przyjęto, bo choć była literacko doskonała, a nawet oryginalna i bardzo śmieszna, to przecież trąciła myszką cierpiętlivości, a radio ma służyć ku rozrywce, a nie, by wywoływać jakieś refleksje u ludzi, płacących po trzy złote miesięcznie.

Święta prawda, ani słowa, bo przecież literackie opracowanie, to nie towar, bo towarem jest humor i śmiech, hahaha, hahahaha!...

Już trzecia nad ranem. Moje umęczone dzieci śpią. Wahadło starego zegara wypukuje sennie tik-tak, tik-tak, a tak monotonnie i miarowo, że chwilami nie słyszę całkiem tego tykania, choć wiem dobrze, że tyka. Denerwuje tylko, gdy mechanizm zegara szczyrknie na pięć minut przed wybiciem godziny, bo to oczekiwanie na bicie jest najokropniejsze... Śpijcie spokojnie moje dzieci, bo ja z wami, przetrzymamy, nie bójcie się, bo przetrzymać trzeba i trzeba żyć, żyć, koniecznie żyć! Niedługo już a będziecie miały swoje lekarstwa, ty Elżuniu swoje kropelki, a ty Żabusiu Famełę, Famełę, Famełę, bo nakupię tego wiele, wiele butelek...

Lwów, dn. 8 stycznia 1932 r.

Cieśla
zamieszkały we Lwowie

CZŁOWIEK BEZ PRACY

Dzisiaj jest dziesiątego grudnia. I dziś właśnie ukończyłem 31 lat. Jestem jeszcze dość młody, a jednak ludzie znajomi, spotykając mnie, dziwią się moim siwym włosom. Najbardziej przykro mi, gdy muszę iść do fryzjera. Jest to potrzeba konieczna, a zwłaszcza gdy włosy opadają kosmykami aż poza kołnierz i trudno pokazać się na ulicy zarośnięty jak dzikus. Przez pewien czas przychodził do mnie znajomy, który umiał strzyc, lecz później wyjechał i teraz trzeba czekać sposobności, gdy wpadnie jakiś grosz. Wówczas idzie się chyłkiem pod fryzjernię i zagląda czy dużo klientów. A gdy jest we wnętrzu pusto, wchodzi się ze ściśniętym w garści pieńdzem. Następuje nonszlancki, nieco wymuszony gest majstra i już siedzę przed swoim odbiciem (na które nie mogę patrzeć). I wtedy właśnie następują wykrzykniki na temat długości i siwizny moich włosów. Obracam wszystko w żart. A gdy wychodzę, mam wrażenie kopniętego psa.

Jednak przyzwyczaiłem się już do wszystkich przykrości spotykanych w tem życiu pełniem wytężonej do ostatniego tchu walki o chleb.

Do wszystkich przeciwności przyzwyczai się człowiek, lecz tylko nie do tej dziwnej bezczynności przymusowej, gdy spaceruje po izbie pełnej brudu i nędzy, poświstując z bezsilnej wściekłości i ściskając pięści w kieszeni, gdy myśli, że jest mocny i zdrow i mógłby coś uczynić, coś stworzyć, coś zarobić, do czegoś dojść, gdyż jest w sile wieku a dniie upływają bezpowrotnie, te najlepsze dniie poza którymi jest niedoleżna starość. A tymczasem dniie te mijają jałowe, zapełnione troską o brzuch, którego niema czem napełnić, a tu żona chora, a tu dzieci głodne i nieodziane. Tysiące

myśli przelatuje po napół oszalałej głowie. Co zrobić? Gdzie pójść? Wreszcie chwytą za czapkę i biegnie rozkrzyczanymi ulicami, aby wieczorem wrócić powoli do mieszkania złamany z jednym bezradnym brakiem! Brak pracy!

*
*
*

Nigdzie! Ulice zamiatać? Jest tam dość dużo, aż za dużo t. zw. swoich. Pakunki odnosić? Nie trzeba! — brzmi odpowiedź. Do zbolełej głowy cisną się pytania — co zrobić? Kraść? Ho, ho, trzeba po pierwsze umieć kraść, po drugie mieć odpowiednie warunki, znajomości, narzędzia i... stosunki.

Razu jednego byłbym popełnił kradzież i udałaby się z pewnością, cóż kiedy nie miałem odpowiedniego narzędzia.

Był to wieczór na pryncypalnej ulicy. Tłumy przechodni przesuwały się z bełkotliwym szelestem po rześście oświetlonym chodniku. Stałem przed wystawą jakiegoś kantoru (dość w tym miejscu było ciemno). Tuż za szybą leżały banknoty zagraniczne. Błysnęła mi nagle myśl — w jakiś sposób dostać te banknoty, gdybym miał narzędzie... szklarski djament... mógłbym niespostrzeżenie wykroić szybę, sięgnąć ręką i zmieszać się w tłumie. W tem podnieceniu pobiegłem do znajomego, o którym wiedziałem, że ma taki djament, myślałem, że mi pożyczę. Nie zastałem go w domu, a żona jego odpowiedziała, że przedmiot ten już sprzedali.

Jeszcze kilka dni podniecała mnie myśl o kradzieży, lecz nigdzie nie mogłem dostać narzędzia.

Przyszły inne dni i zainteresowanie moje skierowało się ku innym celom. I dziś, kiedy idę koło wystawy kantoru, mam wrażenie, że banknoty zagraniczne śmieją się ze mnie ironicznie...

— — — — —

Tak! Bezsilny jest człowiek bez pracy i samotny wśród morza ludzkiego. Bezsilność ta jest prawie fizyczna, prawie bolesna. Pamiętam, że raz odmówiono w urzędzie bezrobotnym doraźnego zasiłku. Urzędnik zatrasnął okienko, a posterunkowy gromkim głosem rozkazał rozejść się. Tłum zaszemrał i tylko gdzieś odezwały się głośniejsze syki: »Do Województwa!« Poszła gromada. Ja i jeszcze dwóch, korzystając z zamieszania, jakie się wytworzyło pod gmachem, wślizgnęliśmy się do wnętrza.

Tamci byli obeznani z rozkładem biur, poszliśmy cichymi schodami i zapukaliśmy do jakichś drzwi, chcąc wejść. Lecz jakiś

młody urzędnik uprzedził nas, wypraszając na korytarz. Tu wypowiedział kilka ostrych słów, w których nie rozumieliśmy nic oprócz nagany. I znów zatrzasnęły się drzwi. Nie wskóraliśmy nic.

A na ulicy opadła nas gromada agentów i tylko szybkiej ucieczce zawdzięczam, że nie zostałem aresztowany.

Po długich rozmyślaniach, w rozpaczliwe, pełne gorączkowych poszukiwań dnie i w bezsenne noce doszedłem do przekonania, że ludzie bez pracy są nikomu niepotrzebni. Niema dla nich sposobu wyjścia, jedyny sposób, t. j. zarobkowanie, został zamknięty, a zatem są niepotrzebni i muszą zginąć.

Spróbuję udowodnić opisem życia jednostki z pośród szarej masy wydziedziczonych, usiłującej jeszcze pomimo wszystko żerować na dnie za ochłapem życia.

Po ukończeniu szkoły rzemiosł budowlanych, jako zdolny cieśla i kandydat na przyszłego majstra, ożeniłem się w tej nadziei, że jak to dotychczas bywało, przy usilnej pracy i pewnym zabiegom, dobiję się do egzaminu na majstra, a dalej jakiegoś mająteczku. Dotychczas tak było na świecie. Ludzie dobijali się stanowisk i majątku, a ci którzy byli nędzarzami, byli przeważnie winni sobie sami. Niestety przyszły inne czasy, których znamieniem jest bezrobocie. Nie uderzyło to odrazu, gdyż ogromem swoim (takim jak jest dzisiaj) zmiotłoby odrazu wszystkich, lecz stopniowo od jakichś ośmiu lat wstecz co rok stopniowo prawie regularnie coraz gorzej. Z początku ludzie nie zdawali sobie sprawy o cò chodzi. Coprawda starzy robotnicy wspominali 1911 rok i opowiadali, że tak było właśnie wówczas, lecz to minęło.

Wróciłem jednego razu po całodziennej wędrowce nie znalazłszy pracy. Zmartwiłem się wtedy wielce. Jeden dzień zmarnowany bezpowrotnie nie przyniósł mi żadnego dochodu, a rozchody były, gdyż i dziecko już było. Nie wiedziałem, że dni takich będzie coraz więcej, zamienią się na tygodnie, na miesiące, ba, zamienią się na stałą beczynność, poza którą czyha jakaś niewiadoma śmierć. Że trzeba będzie krok za krokiem rezygnować z wszystkich ambicji i planów. Coraz głębiej zapadać w nędzę, wreszcie ugrzęznąć beznadziejnie tam, gdzie zazwyczaj bywali żebracy i kaleki, złodzieje i oszuści, pijacy i prostytutki.

O pracę było coraz trudniej, doszło do tego, że zrezygnowałem ze swego rzemiosła, z którego byłem tak dumny i tak nieprześcigniony i jałem się innej jakiejbądź pracy. Zgodziłem się z pewnym

podmajstrzym (a było to ze trzy lata wstecz) odnowić fasadę kamieniczki u pewnego żyda. Pracę tę mieliśmy wykonać we dwóch. Ustawiliśmy wspólnie rusztowanie i ja podawałem wapno we wiadrze, które on na sznurze wyciągał na górę. Dziwny był to dla znajomych widok. Na górze pracujący stary długoletni kierownik budowlany, który dobre trzydzieści lat nie miał kielni w rękach, pod którego rozkazami było nieraz z dwieście ludzi, który w swoim życiu wybudował ze dwadzieścia gmachów i wyuczył dwa pokolenia czeladników, szeroko w mieście znany i pełen niedawnych wielkich ambicji, absolwent szkoły przemysłowej, cieśla podający wapno. Niech mnie nikt źle nie rozumie, ale w naszych stosunkach było mi przykro. Przykro mi było, gdyż jeszcze niedawno, sześciu cieśli, dwóch kamieniarzy, czterech murarzy, i dwunastu pomocników wybudowało pod moim kierunkiem wspaniałą willę w stylu zakopiańskim. Byłem dumny z pracy mojej, a inżynier klepał mnie po ramieniu. Poszliśmy później do restauracji, inżynier płacił. Gdy wychodziliśmy późną nocą, chwytając się nieco na nogach, zapewniał mnie o swojej przyjaźni i o swoim zrozumieniu dla moich zdolności. Ech, dawne to czasy... i bezpowrotne.

Podawałem wapno, odrzucałem śnieg z szyn tramwajowych, zrzucałem węgiel z wagonów, byłem stolarzem, pomocnikiem monterskim, murarzem etc. etc. Dzięki owemu starszemu podmajstrzemu pozbyłem się skrupułów zawodowych i dzięki temu było mi lżej przeżywać kryzys i ratować już nie tak siebie, jak dzieci od głodu. Znam bowiem ludzi: ślusarzy, monterów, stolarzy i innych rzemieślników, którzy do dziś dnia, pomimo przymierania głodem, za żadną cenę nie pójda do innej pracy, a zwłaszcza w ich pojęciu niekwalifikowanej. Ich duma zawodowa jest nieprzełamana.

Pracowałem gdzie się dało, coraz rzadziej wracając do swego rzemiosła, gdyż i w tym dziale dokonała się zmiana. Praca potaniała do tego stopnia, że lepiej czasem było chwycić za łopatę w jakiejś coraz rzadszej, solidnej firmie lub magistracie, aniżeli pracować za tę samą cenę, a nieraz niższą, aniżeli w odpowiedzialnym rzemiośle.

Rok 1929-30, to lata, w których pracę dostać, było szczytem wysiłków. A sama praca ciężka była jak nigdy dotąd. I znów wróce do znanego mi przemysłu budowlanego.

Kamienica trzypiętrowa, która dawniej wymagała co najmniej jednego sezonu dla wybudowania jej, wyrastała teraz jak grzyb po deszczu w przeciągu dwu miesięcy. Ludzie, pracujący przy niej

awijali się jak szaleni. Praca taka przypominała mi jakąś bitwę, może straszniejszą od bitew w wojnie światowej. Fizycznie słabsi, lub wiekiem starsi odpadali, na ich miejsce wpadali inni silniejsi, którzy stali całymi dniami pod budową. Tu jak i na wojnie groziło tak samo ciężkie kalectwo, choroba, albo wygnanie poza obręb budowy, gdzie czekały gorsze od śmierci głód, nędza i beznadziejne poszukiwanie pracy. Najgorsze było to, że nikt tych ludzi pozornie nie pędził, a system t. zw. pracy akordowej święcił tryumfy. Znam fakt taki. (Udało mi się raz zerknąć do księgi rachunkowej pewnego architekty. Cena ślepej podłogi była zapisana za 1 metr kwadratowy sześć zł. A cieśle wykonywali ją za 60 gr.) Ludzie prześcigali się, podobni do jakichś dzikich zwierząt, walczących nad zdobyczą. Nikt nie zważał na drugiego i biada temu, który został w tyle. Stos cegieł rósł przed nim i równocześnie rozpaczliwa świadomość, że już odpadł. W sobotę po wypłacie usłyszał słowa: — Szukaj pan sobie innej roboty. — Dwa tygodnie mógł jeszcze pracować, lecz jaka to praca? Lżony i wyśmiewany przez innych (chcieli oni na to miejsce sprowadzić kogoś ze swoich), spychany zostawał do jakichś najgorszych robót, w których ciężko mu było wytrwać tych parę dni. A ile takich wypadków, że zostawał oddalony z miejsca. Wylatywał z budowy, a za nim jego narzędzia. Pamiętam jednego razu, któryś zemdłał, dwóch chwyciło go i zanieśli do baraku, nie wiem co się stało z nim i tylko zdaje mi się, że z pośród zgiełku pracy słyszałem głośny krzyk trąbki karetki pogotowia ratunkowego.

Niektórzy sprytniejsi usiłują swoje lenistwo czy słabość pokryć krzykiem, są to t. zw. »pyskacze«. Pracowałem z takim. Nietylko był słaby, ale nie umiał nic robić, to też krzyczał na mnie i skarżył się głośno, że nie wytrzyma ze mną, wyzywał mnie, zwłaszcza w obecności podmajstrzego, nazywając niedołęgą. Chodził na skargi do kierownika, jednym słowem chciał swoje braki zwalić na mnie. Postanowiłem go przy sposobności ukarać. Podmajstrzy wskazał nam dwom cały rząd otworów okiennych, mieliśmy je górą zadeskować pod beton. Ja stanąłem na jednym oknie, on na drugim. Zaczął się wyścig. Zwiјаłem się jak w ukropie, umocowałem jedną formę i poskoczyłem do drugiego otworu. Wnet był gotowy, oglądałem się. Stał jeszcze na pierwszym oknie i przeklinał. Skoczyłem na trzecie. Zabrakło mi tchu, pot słony zalewał oczy, a ze skaleczonej ręki płynęła krew, nie zważałem na to, lecz pracowałem jak szalony, byle prędzej i prędzej.

A gdy odezwał się suchy dźwięk żelaza, uderzonego o kawałek

szyny, oznaczający koniec pracy, kończyłem szósty otwór i wbijałem ostatni gwóźdź do skrawionej deski, ledwo żywy z przemęczenia. Lecz tamten skończył tylko dwa, a trzeci zaczął i poprzez szum w uszach i bezwład znużenia, słyszałem głośną nagane, jaką odbierał tamten przez rozłoszczonego majstra.

Nikt nie zdaje sobie sprawy, co znaczy tak zwane poszukiwanie grosza, ażeby kupić chleb lub opał. Czasem nie można w żaden sposób zdobyć pieniędzy, wtedy więc sprzedaje się za wszelką cenę wszystko, co tylko przedstawia jakąkolwiek wartość i tak stopniowo wysprzedam ubranie jedno, drugie, płaszcz, trzewiki, zegarek i zegar ścienny, pierścionki, wreszcie obrączki ślubne, co lepsze meble, poduszki, kołdry, jednym słowem wszystko. W mieszkaniu stoi teraz kilka koszlawych gratów. Wreszcie nie było co sprzedawać. Zacząłem robić długi. Pierwszy raz pożyczyłem u znajomego kupca dwieście złotych — dał mi chętnie, gdyż nie orjentował się tak samo jak i ja, że będzie coraz gorzej. Myślałem, że rok 1929 jest przełomowym. Cóż znaczyło dwieście złotych dla mnie w dobrym sezonie. Niestety przeliczyłem się. Nietylko nie mogłem oddać długu, ale zacząłem brnąć w coraz większe długi. W sklepie naprzeciw miałem kredyt i kiedy suma dosięgła do setki, kupiec odmówił dalszego udzielania kredytu. Dostałem się wówczas do jakiejś pracy i za gotówkę zacząłem brać w innym sklepie, gdyż pierwszy kupiec oświadczył, że pieniądze odbierze, ale kredytu nie udzieli już więcej. Potem uzyskałem kredyt w tym drugim sklepie i znów ta sama historia... I tak w przeciągu dwóch ostatnich lat zadłużyłem się w czterech miejscach. Nachodzili mnie dłużnicy, wykręcałem się jak mogłem i spłacałem co mogłem. Naдобitek złego zacząłem zalegać z czynszem i to było najgorsze. Właściciel kamienicy zaczął odgrażać się eksmisją. Spędzało mi to sen z powiek i oprócz zgryzoty zasiadła w izbie trwoga, każde pukanie do drzwi przyprawiało mnie o jakieś drzenie. Niesposób opisać wszystkich przejść związanych z temi długami, lecz to jedno wiem dziś, że bilans jest mniej więcej taki: za mieszkanie winien jestem za sześć miesięcy t. j. dwieście dziesięć złotych, u pierwszego dłużnika sto pięć, w jednym sklepie dwadzieścia pięć, w drugim piętnaście, w trzecim i czwartym po dziesięć, razem trzysta osiemdziesiąt pięć, nie licząc drobnych długów, pozarywanych gdzie się dało i których jest bezliku.

Jest to suma śmiesznie mała, tak mała, że ktoś, czytając to, wzruszy ramionami. Tak! Ale ja tych pieniędzy nie oddam nigdy,

gdyż nie mam możliwości zarobić, majątku nie mam, spadku nie dostanę. Bo żeby żyć, oddawać długi i sprowadzić wszystko do dawnego stanu, ilebym musiał już teraz zarabiać? A tymczasem idzie zima i tyle, tyle długich dni, w których każdy wymaga wydatków na chleb i opał...

A ja dałem za wygraną i przeczuwam, że nigdy długów nie spłacę. Narazie jest zima i z mieszkania eksmitowany nie będę aż do wiosny. Dłużnicy też nie upominają się. Może też dali za wygraną? Może przeczuwają zbliżającą się tragedję?

Chodzę chyłkiem koło ich sklepów i razu jednego wyskoczył ze sklepu za mną żyd. — Słyszałem jak posyłał za mną jakieś przekleństwa w swoim gardłowym języku i pluł...

Suma trzystu kilkudziesięciu złotych nie przedstawiała dawniej dla mnie zbyt wielkiej wartości. Dziś jednak stała się dla mnie tak niedosięglą, tak odległą, że nie leży nawet w sferze najśmielszych marzeń. Dużo było dni, w których nie było ani grosza dochodu, a w izbie »choć pałką wywijaj«. Nic, ani okruszka chleba, a kredyt już mam wszędzie zamknięty. Jednego takiego dnia jak olśniony przypomniałem sobie pewnego znajomego woźnego, który skarżył się, że ma wielkie ilości papierów i nie wie co z nimi zrobić. Pobiegłem tedy do niego, nabrałem ile uniosłem, dzwigałem to przez całe miasto, może jakich pięć kilometrów. W domu posortowałem i dalej po sklepach chodzić, sprzedawać, jako papier do zawijania towarów. Nikt nie chciał kupić, papier był zapisany, więc krzywili się, ale z ciężką biedą udało mi się to sprzedać. Cała ta historia trwała prawie cały dzień, gdyż pamiętam, gdy wróciłem zapadał już zmrok. Zarobiłem wtedy... jeden złoty i osiemdziesiąt sześć groszy. Była potem uczta, zostało i na drugi dzień i resztki na trzeci. Tak! Chodzę od czasu do czasu do tego woźnego. — Tylko nie mam stałych odbiorców i muszę zawsze szukać innych, gdyż papier zapisany, biurowy faktycznie nie nadaje się do pakowania towarów. Ile teraz muszę włożyć w ten »interes« sprytu, czasu i wysiłków, ażeby zdobyć dwa złote?...

Są i inne sposoby. Naprzykład raz w zimie zauważyłem jak dwóch robotników zrzucało węgiel z wozów na ulicę a potem łopatami do otwartego okienka piwnicy. Obok była kupa śniegu. Zrobili oni nieznacznie dół w tej kupie i zrzucili dobrych kilkadziesiąt łopat węgla w ten dół przykrywając śniegiem. Wiedziałem co dalej będzie. Przyjdą wieczorem i cichaczem zabiorą ten węgiel, lecz ja uprze-

dziłem ich, poszedłem wieczorem z workiem, żona stała na straży, a ja rękami odgrzebawszy śnieg, nabrałem pełny worek. Ledwo uniosłem, mało jeden, przyniosłem drugi i byłbym nabrał trzeci, lecz tamci nadeszli... He, he, wielkie oczy zrobili, gdyż prawie nic nie zostało. Ale zato ja paliłem dwa tygodnie.

Innego razu śnieg upadł duży i poszedłem odrzucać śnieg z szyn tramwajowych. Za noc płacili sześć złotych, lecz nie mogłem więcej razy iść do pracy, gdyż wtedy nie miałem butów. Stare zdarły mi się tej nocy i siedziałem w domu coś ze trzy tygodnie bosy, a zresztą jak się dowiedziałem, trudno było się dostać do tej pracy, gdyż zorganizowała się tam banda (coś w rodzaju syndykatu) i każdy inny zbity i skopany nie śmiał tam przystąpić.

W ciągu tych ciężkich dni zapoznałem się z głodem. Sam głód nie przedstawia nic straszego, gdyż każdy chyba zna te objawy. Gdyż każdy choćby najbogatszy miał chyba w życiu jakiś przypadek, w którym się przegłodował. No i cóż, przyszedł, czy przyjechał do domu i w tej chwili głód zaspokoił. Lecz w tym wypadku zachodzą dwie rzeczy, nie mające przykrzejszych sobie równych. Pierwsza: nie można patrzeć spokojnie bez obawy ataku szału jak dzieci są głodne. Nie zdają one sobie sprawy co się dzieje z nimi, mażą się, marudzą, wreszcie zaczynają prosić, to chleba, to kawy, trzeba im wtedy zacisnąwszy zęby obiecać, dużo obiecać i starać się, ażeby poszły spać.

Druga: świadomość, że nie można tego głodu zaspokoić, i wówczas ma się wrażenie dzika osaczonego w kniei, gdzie się zwróci — nigdzie ratunku. Wygląda to tembardziej ironicznie, że naokół jest pełno żywności. Z poza wystaw sklepowych widnieją stopy kielbas, pieczywa, cukrów, a w powietrzu unoszą się zapachy wybuchające z różnych jadalni i t. d.

I dziwna rzecz. — Gdy w żołądku jest czcza próżnia, a w oczach migają żółte i czerwone pląty, a nogi jakby zwiotczałe uginają się, wtedy odczuwam dziwną nieodpartą żądzę czekolady. Zeschły szorstki język odczuwa jej smak i cały organizm wprost krzyczy głosem burczenia kiszek: Czekolady! czekolady! Doprawdy, szyby wystaw cukierni z całemi stosami czekolad, mają dotychczas dziwne szczęście, gdyż nieraz przychodziła mi myśl: runąć całym tułowiem w głąb wystawy, wbić się zębami w misterny stos czekolad i żreć, żreć, pochłaniać kawałami... a potem niech mnie powieszą nawet.

Jest to nie do wiary, a jednak prawdziwe. Jednego razu drugi

dzień włóczyłem się po ulicach głodny. Zapadł wieczór. Zdecydowałem się wrócić do domu. Uszedłem kilka kroków, pociemniało mi w oczach i straciłem przytomność. Nigdy dotąd nie mdlałem, więc nie wiem jakie są objawy, lecz wiem, że mnie niesiono, ktoś potrząsał mną i coś głośno pytał, jakby krzyczał, jakby szeptał. Gdy ocknąłem się, siedziałem w jasno oświetlonej bramie, trzymany przez jakiegoś pana i policjanta, u wylotu stał tłum ludzi. Pytali mnie, co mi się stało. Nie mogłem z początku wykrztusić słowa, lecz po chwili skupiłem się i poprosiłem, żeby się rozeszli. Policjant wypchał wszystkich na ulicę, zamykając za sobą bramę. Posiedziałem chwilę i powlokłem się powoli do domu.

Mam teraz troje dzieci, trzech chłopców. Najstarszy chodzi właśnie do pierwszej klasy, jest bardzo zdolny. Niedawno byłem u nauczycielki. Pochwałom nie było końca. »Pięknie czyta i pisze, jest grzeczny i czysty« (jedną koszulę żona pierze co drugi dzień). »Tylko strasznie blady, jak papier« mówiła. Niestety nie wie ona dlaczego blady. I nie wie ona, że umie on czytać drukowane, tabliczkę mnożenia i wiele, wiele innych rzeczy, których nie wiedzą chłopcy z wyższych klas. Pochłania on wiedzę jak gąbka, aż nieraz dziwno mi. Lecz nie cieszy mnie to, gdyż nie widzę wyjścia. Ten kaszel i to chrząkanie nie wróżą nic dobrego i jako człowiek obyty z nieszczęściem usiłuję przyzwyczaić się z tą myślą, że prędzej, czy później umrze. — Tylko żeby było za co pochować.

Miałem już taki wypadek. Zeszłego roku na wiosnę żona zachorowała na tyfus, ja zostałem z trojga dziećmi. Najmłodsze niemowlę też zachorowało i musiałem odnieść je do szpitala. Po tygodniu otrzymałem zawiadomienie o śmierci dziecka. Gdy poszedłem tam, posłano mnie do innego gmachu. Tam odzwiernia spytała mnie, kiedy myślę je pochować. W kilku słowach opowiedziałem jej swoje położenie. »Dobrze, pochowamy je sami« rzekła i zamknęła okienko. Odszedłem. Nigdy nie będę wiedział jak i gdzie zostało pochowane, ale męczy mnie wspomnienie, że na tym gmachu był napis »Anatomia«.

Potem żona wyzdrowiała i urodziło się znowu dziecko.

Na końcu opiszę moje położenie, które jest narazie o tyle lepsze, że pobieram zasiłek z Funduszu Bezrobocia. Jest to też cała historia. Pamiętam czasy, gdy murarze, zwłaszcza z małych miasteczek, przyjeżdżali z robót sezonowych na zimę do domów.

Oprócz gospodarstwa, a więc domu, krowy, świń, drobiu, sadu i ogrodu, przywoził ze sobą 1500 zł. zarobionych, a oprócz tego jednej zimy sezon martwy został uchylony, więc brali jeszcze zasiłek. Eh, zabawa szła »na całego«. Wódka lała się strumieniami, a córki i żony nie wiedziały już co ubrać na siebie. Tak! znam takie miasteczko. Brano taki zasiłek jak coś, od czego głowa nie zaboli. Lecz później zmieniło się. — I to do tego stopnia, że szczytem wysiłków było hasło 20 tygodni.

Słowo to jest teraz na ustach wszystkich i to jest tematem rozmów: »Ile masz tygodni?«. »Jeszcze mi brak siedm, ale zdaje się, że nic z tego nie będzie« — brzmi odpowiedź. W rzeczywistości trudności były wielkie. Po pierwsze, trzeba znaleźć większe przedsiębiorstwo, w którym pracuje więcej niż sześciu ludzi. Po drugie, czy firma taka wpłaca wkładki ubezpieczeniowe (gdyż dużo firm nie wpłaca i przyjmuje robotników pod tym warunkiem, że nie będą się upominali, co dobrowolnie niby podpisują). Po trzecie, gdzie jest taka praca, któraby trwała aż 20 tygodni. Po czwarte, gdy już poprzednie warunki są, chodzi jeszcze o to, czy człowiek utrzyma się tak długi okres czasu w pracy, gdy naokół pchają się inni, używając różnych sposobów, intryg kolegów czy krewnych, zajętych już w tej firmie. A po piąte, czy jest wogóle jakakolwiek praca? Biorą się ludzie na sposoby, że zbierają »tygodnie«. Tu tydzień, tam dwa, tam znów sześć i t. d. aż do skutku. Co do mnie to ubiegłego lata utrzymałem się aż ośmnaście tygodni, do zupełnego zamknięcia robót. Jakich sposobów użyłem? Oto podmajstry zgodził się ze mną, że płacić mi będzie 60 gr. za godzinę jako cieśli. Wiedziałem, że to mało, ale i tak ucieszyłem się. Razu jednego podpatrzyłem, że podmajstry wypłaca z innej t. zw. »lewej listy«. Dowiedziałem się inną drogą, że ja mam dostawać 1 zł. za godzinę. Od tej chwili miałem go w rękach i dlatego tak długo utrzymałem się w pracy. Brakowało mi jeszcze dwa tygodnie. Dwa tygodnie pracy, których nie mogłem nigdzie znaleźć. I już straciłem nadzieję. Nagle trafiła mi się jakaś praca na kilka dni. Resztę brakujących dni dopisał mi znajomy inżynier. Lecz ilu było takich, co »nie dociągnęli«.

Gdy skończę brać zasiłek, który wynosi 19 zł. i 4 gr. tygodniowo, będzie jeszcze zima i wówczas nie wiem co będzie?

Dałem za wygraną i nie mam już sił. — A jednak mam do-

piero 31 lat. — Ludzie znajomi spotykając mnie dziwią się moim siwym włosom.

Nie domyślają się oni, że ja jeden z szarej masy ludzi jestem jak i cała masa bez pracy i dlatego jestem nikomu niepotrzebny.

Lwów, w grudniu 1931 r.

Kowal
zamieszkały w Sanoku

Urodzonym w roku 1894 w Lubczy, Małopolska. Ożeniłem się 20 stycznia 1922, mam troje dzieci. A to: Emil, urodz. 1924, Antoni ur. 1926, Helena — 1927.

Przyjechałem z Lubczy do Sanoka 1 września 1919 r. do pracy do fabryki wagonów i maszyn i pracowałem jako kowal i miałem płacę na godzinę 92 grosze, a do tego pracowałem w akordzie, to zarabiał się od 50% do 100%, to przytem się napracowałem, ale i zarobił, tygodniowo zawsze wziął wypłatę 55 zł. a czasem i 60 zł., czasem i więcej, a czasem to mniej, ale zawsze przeszło 50 zł. wziął tygodniowo, to można brać tygodniowo przeciętnie 50 zł. Bo święta i t. d. I pracowałem od 1 września 1919 r. do 12 listopada 1929 r. i zostałem zredukowany z powodu braku pracy. I zgłosiłem się do Państwowego Funduszu Bezrobocia i brałem zasiłek ustawowy przez 13-cie tygodni po zł. 22.10 tygodniowo i później dostałem jeszcze o cztery tygodnie przedłużony, to razem miałem zasiłek z Funduszu Bezrobocia przez 17 tygodni. A jak skończyłem ten ustawowy, to brałem później samorządowy, tak zwany pomoc doraźną po 45 zł. miesięcznie na troje dzieci, ja i żona, to razem na pięć osób. Później znów poszedłem do pracy do fabryki wagonów i maszyn w Sanoku i dostałem już na godzinę 85 gr., a nie jak pierwaj co miałem 92 gr., to o 7 gr. mniej jak przedtem i poszedłem do pracy powtórnie do tej samej pracy co i przedtem od dnia 8 lipca 1930 r. i mniej już zarabiałem bo i mniejszy procent zarabiałem w robocie akordowej i roboty akordowe też zostały o 12% niższe, to teraz zarabiałem przeciętnie 45 zł. tygodniowo, ale to było dla mnie wystarczające, tak się dzielił budżet domowy, że mieszkanie zapłacił miesięcznie 22 zł. i wyżywił się i dzieci były ubrane jak też i wszystko było w porządku. Ale tylko

przepracowałem 12 tygodni pełne dni i później znów brakło pracy i dostałem wypowiedzenie czternastkę. I ja poszedłem z delegacją fabryczną do Dyrektora fabryki i prosiłem go, aby mię jeszcze jako dał przepracować osiem tygodni, ażebym znów miał przepracowane 20 tygodni, co ustawa mówi, że kto przepracuje 20 tygodni w roku, to należy znów do zasiłku z Państwowego Funduszu Bezrobocia. No i na me prośby, jak też na prośby delegacji fabrycznych robotniczej, zgodził się Dyrektor mnie pozostawić przez tych dalszych osiem tygodni, ale pod tym warunkiem, że będę pracował dalej do 20 tygodni, ale już tylko po 2 dni lub po 3 dni w tygodniu, ażeby ten czas ustawowy przepracować. No, i ja też się zgodziłem na to, aby tylko tych 20 tygodni przepracować i później korzystać zasiłek bezrobotny z funduszu państwowego, no jak przychodził ten czas, to znów dostałem czternastkę, czyli wypowiedzenie, że już 20-sty tydzień się mi kończy i muszę odejść, bo z powodu braku pracy nie mogą mię dalej pozostawiać w pracy. I wiele innych też zostało zwolnionych z pracy. Jak miałem odejść w ostatnich dniach to zachorowałem i Powiatowa Kasa Chorych w Sanoku odesłała mię do Lwowa na klinikę, bo ma choroba wymagała operacji i byłem tam przez trzy tygodnie i przyjechałem do Sanoka i tutaj leczyłem się dwa tygodnie i później znów lekarz kazał mi iść do pracy, jak poszedłem, to ja jeszcze miałem jeden tydzień przepracować i dopiero miałem dostać kartę redukcji. Ale mnie już nie dano pracować tylko wydano kartę redukcji i dnia 19 grudnia 1930 r. zgłosiłem się do Państwowego Funduszu Bezrobocia o zasiłek. Jak się zgłosiłem dnia 19 grudnia 1930 r. to dopiero pierwszy talon płatniczy dostałem dnia 10 marca 1931 r., to czekałem na ten zasiłek od 19 grudnia 1930 r. do 10 marca 1931 r., tak to zaszła pomyłka w Państwowym Urzędzie Pośrednictwa Pracy w Drohobycz. To ja pisałem, jak też i Powiatowy Urząd Pośrednictwa Pracy interwenjował w Drohobycz, dlaczego tak długi czas nie posyłają mnie talonów płatniczych i dopiero po tych interwencjach przysłano mi 11 i $\frac{1}{2}$ talonu, to wziąłem odrazu 329 zł. 8 gr. i przyznano mi wstecz od dnia 29 grudnia 1930 r. i dostawałem tygodniowo po 30 zł. 31 gr. przez 13 tygodni i znów mie jeszcze przedłużono 4 tygodnie, to razem miałem 17 tygodni.

Jak ja pracowałem we fabryce, to wtenczas pracowało około 1400 ludzi. A dzisiaj obecnie pracuje około 400 ludzi i to niecałe tygodnie pracują, tylko po dwa dni w tygodniu, a nawet inne oddziały to pracują tylko jeden dzień w tygodniu. Ale dostają nie-

którzy zasiłki z Państwowego Funduszu Bezrobocia, tak zwani częściowo zatrudnieni. Ci, którzy jeszcze pracują, to też biedują, bo bardzo mało zarabiają. Ja skończyłem ustawy zasiłek 25 kwietnia 1931 r. i od tego czasu nie brałem żadnego zasiłku ani pomocy samorządowej, ani doraźnej, wcale żadnego grosza nie dostałem. Dopiero teraz przed świętami Bożego Narodzenia dostałem z funduszu samorządowego pół tonny węgla do palenia i 7 zł. z Magistratu i 8 klg. mąki żytniej i 6 klg. mąki pszennej i 2 klg. penca-ku, to cała pomoc samorządowa od dnia 25 kwietnia 1931 r. do dnia 20 grudnia 1931 r.

Przez ten czas nic z bezrobotnych nie dostawał żadnego zasiłku ani pomocy doraźnej, ci którzy wyczerpali zasiłek ustawy. Tak się tu traktuje bezrobotnych, tu żadna władza nie interesuje się bezrobotnymi, nikt nie dba, co ten bezrobotny jada i czym żyje i co robi jego rodzina. Jak ja skończyłem zasiłek ustawy jeszcze w kwietniu i dotychczas nie otrzymałem żadnej pomocy jak pieniężnej tak i w naturze, aż dopiero teraz przed świętami Bożego Narodzenia dostałem to, co wyżej już nadmieniałem. Przez ten cały czas to zarabiałem ze żoną jak mogłem, aby tych troje dzieci utrzymać, aby z głodu nie poginęły. A tak ja poszedłem do jakiegokolwiek pracy jaka tylko się nadarzyła. Chociaż nieraz była dla mnie, jako dla rzemieślnika, praca poniżająca i to oto nie zważałem, tylko, aby zarobić parę złotych na utrzymanie rodziny. I tak chodziłem do drzewa rznąć żydom jak też i rąbać nawet i katolikom rznąłem i rąbałem drzewo, ale dla żyda to jest trochę poniżające dla mnie rzemieślnika. Ale co się tylko nadało, to się robiło, chodziłem na budowę, cegłę i wapno żem nosił i dziennie zarabiałem 2.50 zł., ale to wciąż tej pracy nie było, tylko czasem parę dni, a nawet i parę tygodni i znów trzeba było w domu siedzieć, bo o pracę to trudno dostać, bo dzisiaj i do łopaty trzeba mieć protekcję, aby ją dostać, bo dzisiaj ludzi do pracy jest dużo, a pracy tej niema. A w lecie to ja chodziłem do lasu na poziomki i też grzyby zbierałem, co tylko się dało i to żem nosił do miasta, sprzedawał, aby parę groszy zarobić, jak też i żona chodziła do pracy, jak na żniwo, jak do kopania ziemniaków i nawet z cepem młócić do okolicznych wiosek, jak i też do dworu za 1.50 gr. dziennie, żniwo i kopanie ziemniaków.

Ja całe lato nosiłem ze żoną drzewo z lasu na plecach, aby zapalić i ugotować jedzenie dla dzieci, to plecy moje jak też i żony to są tak zdarte ze skóry od noszenia drzewa, z lasu jest około 7 kilometrów drogi, to jak był czas, to i my dwa razy dziennie szli do

lasu i tak, że trzeba było i na zimę trochu oszparować, aby teraz było czem w zimę zapalić. Ja też dostałem kwit na furę drzewa do lasu miejskiego, ale go dotychczas nie przywiozłem, bo nie mam 6 zł na zapłacenie furmana, któryby mnie drzewo przywiózł. Kwit leży w domu, a ja nie mam czem palić w domu. Tylko trochę jeszcze mam węgla, który dostałem niedawno. Ja przez ten czas to gorzej pracuję niż dawniej we fabryce, a nie mam nic z tego, bo za marny grosz muszę pracować, a wyżyć nie można, bo stale roboty niema, a tylko czasem gdzie się znajdzie to na parę dni. A teraz w zimie to niema co robić i w domu i gdzie zarobić. Ja jestem na mieszkaniu i teraz płacę 10 zł. miesięcznie, a już pół roku nie płacę za mieszkanie, bo nie mam skąd i skarga za skargą przychodzi, ale nic nie robią, bo nic ja nie mam, w sklepie inam już nakredytowane około 190 zł. i jeszcze w innych sklepach, za tłuszcz też żem winien i już na kredyt nigdzie nie dostanę, bo wszędzie żem winien, to jak teraz nie zarobię, to dzieci nie mają po kilka dni chleba i dzisiaj niema wcale roboty w zimowej porze, ani też żona nigdzie nie zarobi, to nie mamy chleba parę dni, a czasem i parę tygodni. Chłopak starszy chodził do szkoły, ale jak ten mróz i śnieg zaczął się na dobre, tak nie mogłem posyłać dziecka do szkoły, bo było bardzo zimno i poszedłem do szkoły, aby usprawiedliwić, że nie może iść dziecko do szkoły, że są mrozy i śniegi wielkie, a me dziecko nie ma płaszcz ani też bucików. To pani nauczycielka powiedziała mi, żebym dziecko posyłał do szkoły dalej, a ona mu kupi buty i płaszcz i tak pani nauczycielka kupiła mu buciki i śniegowce, a ksiądz katecheta kupił mu płaszcz, a to że jest uczeń pilny i grzeczny, dobrze się uczy, to mu to sprawiono, aby tylko do szkoły chodził. Ale inni to nie posyłają dzieci do szkoły bo nie mają w czem pójść. I mój by chłopak w domu siedział, gdyby nie pani nauczycielka i ksiądz katecheta. A jak się moje dzieci odżywiają, to też się mie i żonie serce ze żalu kraje, że takie młode dzieciaki i są już głodne i na gruźlicę zaczynają chorować. Chociaż w miesiącu grudniu była propaganda walki z gruźlicą, to się ją teraz nie zwalcza, tylko się ją powiększa, bo bieda jest w Polsce wielka, to i gruźlica się rozszerza. Czem się żywią moje dzieci, no i ja jak też i żona. Rano gotuję zupę kartoflaną, na obiad kartofle z kapustą lub z jakim barszczem i czasem maszczone, ale więcej posne, a kolacja to się zostawia z obiadu i przygrzewa się i to tak się dzieci rozpucha tą posną strawą. Nawet tak się gotuje więcej na obiad, aby i na kolację zostało. A kawałek mięsa co się czasem

dzieciom ugotuje, tylko w niedzielę, ale jak czasem żona lub ja gdzie co zarobię parę groszy i co się trochu co lepszego uwarzy, to się trzyma dla dzieci, aby tylko one co zjadły lepszego, a ja i żona to czem bądź zzywamy. Bo dzieci małe, to nie wi, że niema, tylko daj jeść, skąd chcesz, bierz a jemu daj. Na święta Bożego Narodzenia to co żona upiekła bułki i takiej lepszej stawy gotowanej co dostałem z Magistratu, to my ze żoną mało co jedli, tylko trzymało się dla dzieci i im się dawało, ażeby choć na święta trochu lepiej sobie pojadły. Jak przyszło dziecko od sąsiada i miało chleb smarowane z masłem, to jak moje dzieci to zobaczyły, tak zaraz sobie kazały dać chleba z masłem, a tu u mnie w domu nie było, na ten czas ani chleba, ani też masła, tylko były placki kartoflane pieczone na kuchni, no i żona dała im tych placków, ale dzieci chciały i masła, a tu nie było. I co później powiedziały mie i matce, że Julka mama jest lepsza, jak ty, bo im daje chleb z masłem, a ty nam mamu dajesz posne placki bez masła. No i żona popatrzyła się na mie jak też i na dzieci i zapłakała, że dzieci jej mówią, że ona nie jest dobrą mamą, że nie daje im chleba z masłem. Tutaj jest zawiązany komitet obywatelski niesienia pomocy dla bezrobotnych pod przewodnictwem Pana Starosty, ale ten komitet jest i zbiera różne datki na rzecz bezrobotnych jak zbiera datki pieniężne jak i w naturze.

I nawet urzędnicy samorządowi z pensji miesięcznej płacą na rzecz bezrobotnych, bo im ściągają jakiś procent i sklepikarze płacą i różne instytucje handlowe jak też społeczne, wszyscy dają, a bezrobotni nic tak wiele z tego nie korzystają i żadnej pomocy z tego komitetu obywatelskiego nie otrzymują i niewiadomo, co się z temi datkami robi i kto ich dostaje. I niewolno się o nic zapytać i o co się upomnieć, bo zaraz się go zamyka do paki i trzyma się na policji parę dni i później się go puszcza i powiada się temu bezrobotnemu, że jak będzie co dużo gadał lub się o co upominał, to się go znów przymknie. I taki tutaj jest Pan Starosta, że o co bądź, zaraz każe policji zamknąć i basta. A jaki ma fundusz uzbierany z obywateli, to kilkadziesiąt bezrobotnych ma zatrudnionych przy drogach rządowych jak też i samorządowych i robią tylko trzy dni w tygodniu po 2.50 zł. dziennie, po dwa złote i 50 gr. dziennie i powiada Pan Starosta, że on darmo nie daje zasiłku, tylko ten dostanie, kto na drogach pracuje i tutaj jest przeszło dwa tysiące bezrobotnych, to około 40 jest zatrudnionych przy drogach rządowych, a reszta to jest zdana na łaskę losu i nie pyta się Pan Starosta czem ta reszta

ludzi żyje i co robi. Ja byłem u Pana Starosty kilka razy i prosiłem go, aby i mnie wziął do tej pracy i też inni byli i też prosili, aby choć te trzy dni w tygodniu dał i nam reszta przepracować, ażeby zarobić choć na mydło, sól i naftę, to Pan Starosta mówi, że więcej ludzi nie potrzebuje i funduszu nie ma na wypłacenie zarobków. A w lecie to było jeszcze jako tako, ale teraz w zimie to niewiadomo co robić i czem żyć. Ja tak się martwię, jak tę zimę przebyć i te dzieci wyżywić, bo jaki zapas miałem, to się wszystko już kończy. Ja butów nie mam, ubranie też ostatnie już chodzę na codzien, bielizna się też wydziera i do święta ubrania nie mam, a najgorzej, że butów nie mam i żona też nie ma bucików, i niema za co kupić, dzieci te dwoje to siedzą w domu bose, bo nie mają obuwia, tylko ten starszy, co do szkoły chodzi to ma w czem, bo mu pani nauczycielka sprawiła i ksiądz katecheta kupił płaszcz, to jeszcze ma w czem chodzić, a to reszta to siedzi w domu, bo niema za co kupić. Trzeba będzie dalej chodzić w stroju adamowym, a teraz w zimie się nie da tak chodzić, bo jest zimno. Najgorzej teraz przychodzi czas, że kończy się ubranie i obuwie, ani ja nie mam, ani też żona nie ma butów, bo co się zarobiło w lecie parę złotych, to ledwie co się wyżywił to o kupnie butów lub jakiej kawałek szmaty to niema mowy. Tutaj są tacy bezrobotni, co mają swój dom i kawałeczek pola i czasem niektórzy ma i krowę w domu, to taki jeszcze jakoś się ratuje, bo choć trochę ma swoich kartofli i kapustę swoją i mieszkania nie płaci, to mu trochę jest inaczej żyć. Ale jak ja, lub inni tacy jak ja, to nam jest bardzo źle żyć w dzisiejszych czasach, gospodarz za mieszkanie każe płacić, sklepikarz mi na kredyt nic już nie da, bo mam nabrane tyle, że jak bym poszedł do pracy, to bym musiał te długi spłacać cały rok i to nie wiem czy bym spłacił. Są tu tacy rzemieślnicy, że nie pójdą do jakiegokolwiek pracy bo się wstydzą, no to prawie, że giną z głodu i idą w okoliczne wioski i proszą o kawałek chleba, aby nie zginąć z głodu. Ja się nie wstydzę żadnej roboty, jabym poszedł i ulice w mieście zamiatać, aby mię, tylko dobrze za to zapłacono i abym tylko miał tę robotę, ale niestety niema i takiej roboty, bo są na to inni fachowcy. Żona moja też się żadnej roboty nie wstydzi, aby tylko dla niej była robota, to wszystko robi i nawet często chodzi do prania bielizny, jak też bielienia i mycia podłóg, aby tylko cośkolwiek zarobić i przynieść dzieciom kawałek chleba. To chociaż tyle jest, że dajemy sobie radę jak tylko jest sposobność i okazja. Ale inni co mieszkam opodal nich i znam ich dobrze, bo nawet moi spółrobotnicy, co

razem my pracowali we fabryce, to gorzej biedują jak ja, bo roboty się wstydzą jak mąż tak i żona i wysprzedali wszystko co mieli w domu i to przejedli i dzisiaj nic w domu nie mają i jeść nie mają co. Czarna godzina takim jest teraz, nawet ubrania ze siebie posprzedawali, a dzisiaj nie mają w czym na miasto wyjść. A dlatego, że jakiegokolwiek pracy się wstydzą. Bo ja też nie mam w czym chodzić, ale choć nie sprzedawałem nic ze siebie, jak też gratów z domu. Bo wiedziałem, że to będzie źle, bo ten kryzys bezrobocia to się wnet nie skończy bo do pracy pójść to niema widoku. Wyczytałem w dzienniku, że Instytut Gospodarstwa Społecznego rozpisał konkurs, aby bezrobotni podali swoje życiorysy. Tak ja zaraz wziąłem się do napisania i chodziłem od domu do domu i zbierałem materiały odpowiedni, abym mógł to faktycznie opisać tę moją biedę i też innych moich znajomych. Tak się przypatrywałem i też się wypytywałem każdego co robi teraz i czym się żywi? I czym się trudni teraz, to mnie każdy odpowiadał, że roboty narazie niema żadnej. A co do pożywienia, to kartofle jadają nawet trzy razy dziennie, a chleba tyle jadł co na święta dostał mąki to już się to kończy, a dalej nie wie co będzie jadł.

I tak byłem u swego znajomego, co my razem dawniej pracowali. I jak wszedłem do jego domu, to ze zdumienia nie mogłem się napatrzeć jak tam u niego jest bieda i to wielka biedosia, czworo dzieci i ich dwoje. Dzieci siedziały na piecu obdarte i osmarowane w izbie zimno jak w lodowni i żona zapłakana, dzieci krzyczą jeść, a tu niema co zgotować i czym zapalić, bo kawałeczka drzewa niema w domu, bo dopiero wtenczas pali się, jak z lasu przyniesie na plecach, a były zawieje śnieżne i nie mógł iść do lasu przynieść drzewa no i nie miał czym zapalić i trochę izbę ogrzać. Przed świętami on nic nie dostał z Magistratu ani też z komitetu pomocy bezrobotnym, bo ma swój dom i około morga pola, to takim co mają domy i kawałek pola to komitet obywatelski nic takim nie daje, bo zalicza ich do bogatszych, tylko ci dostali na święta, co wcale nic nie posiadają, a tacy chałupnicy i co kawałek pola ma, to już żadnej pomocy samorządowej nie otrzymują jak w gotówce, tak i w naturze. Ale on gorzej wygląda jak ja, co nie mam nic, a dlatego mu tak jest teraz źle, pomimo ma swój dom i kawałek pola, żona jego na zarobek nie może pójść, bo ma malutkie dziecko, a on to do pracy żadnej nie ma chęci pójść, bo on jakiegokolwiek pracy się boi i głodny jest, a do pracy nie pójdzie, nie mówię teraz w zimie, ale w lecie też nic nie robił, nawet sobie z lasu drzewa

nie nanosił, ażeby miał czem w zimie zapalić. To ja ze żoną nosiłem drzewo z lasu i teraz w zimie też chodzę, ale jak jest ładny czas i niema zawiei śnieżnej i choć niema co zgotować, ale jest choć czem zapalić i dzieci siedzą w cieplej izbie, choć głodni, ale im jest choć ciepło. Bo w lesie jest suszyzny dosyć, bo lasy wymarzły i w miejskim lesie jest dozwolone bezrobotnym drzewo zbierać i nawet ściąć, ale takie co jest zmarznięte i suche, ale kto nie jest leniwy i nie wstydzi się drzewo z lasu nosić, to może sobie nawet i na zapas nanosić. Ale to noszenie też kosztuje zdrowia, bo jest drogi 7 kilometry, to kto nosi, to plecy i ramiona ma otarte jak wół od jarzma ale za to ma ciepło w izbie. I tak ten mój znajomy co go tu opisuję, o nim to mam co do opisania, żona brudna i obdarta i do tego nie ma butów, a dzieci też obdarte, prawie, że są gołe i do tego osmarowane i pytam się dlaczego dzieci nie obmyje i nie wypierze im te brudne koszule, a ona powiada mi, że wieczór nawet nie świeci lampy, bo niema za co kupić nafty, a mydła też niema za co kupić i dlatego nie pierze, bo niema czem, a na święta to nie miała chleba tylko placków z mąki i z kartofli zamiast jakiej bułki, to to dzieci jadły. Dlatego on taką ma biedę, że on do pracy nie ma chęci, a żona jego też nie umi sobie zaradzić jak też i biedzie. Jakgdyby ja miał ten dom i ten kawałek pola co ten mój znajomy, to bym dzisiaj miałbym i kawałek chleba i kartofli i kapustę swoją, trochu by mi lepiej by się powodziło jak teraz. Ja nic nie mam, ale i tak dzieci moje nie są brudne choć czasem nie mają chleba i to co się dziecku dać należy, to nie mam, ale za to choć w ciepłe siedzą i jak mogę ja, tak i żona staramy się, aby się nie opuścić jak ten mój znajomy. Za mieszkanie żem winien i w sklepie żem też winien i tak me dzieci nie są brudne i wieczór jeszcze świecę lampę. I jeszcze by może lepiej było, ażeby ten komitet obywatelski niesienia pomocy bezrobotnym trochu jako zajął się choć tą dźiatwą małą, co chodzi do szkoły, ażeby jako ich odżywiać i nawet taką dźiatwę co nie chodzi do szkoły, bo ja jestem tego zdania, ażeby tę młodzież trochu lepiej odżywiać, ażeby z głodu i z wycieńczenia gruźlica się nie rozszerzała, bo ja tylko na dzieci zwracam uwagę, bo skutki gruźlicy w Polsce są wielkie, a najwięcej się dzieci gruźlica czepia, to ja, jak też i żona moja, to my czemkolwiek się żywimy, a tylko dzieciom się daje, aby one nie były nawiedzone tą chorobą, daremna propaganda, ażeby gruźlicę zwalczać jak się społeczeństwo jak też i Państwo nie zabierze do pracy, aby dzieci bezrobotnych były odżywiane w szkołach jak

też i w domach, to daremna propaganda i zwalczanie gruźlicy, bo zamiast się ma ona zmniejszyć, to ona się powiększa, a skutki są te, że dzieci nie są dostatecznie odżywiane. Teraz drugie nalepki są wszędzie porozlepiane, a to że cukier krzepi i jest napisane, żeby matki nie żałowały cukru swoim dzieciom i aby dawać dzieciom jak najwięcej cukru, bo cukier dodaje siły. Ładna i piękna jest ta nalepka i dobra jest ta propaganda, ale cóż kiedy dzieci bezrobotnych to bardzo mało kiedy cukier jedzą, bo niema za co kupić i na dzisiejsze stosunki, to cukier jest w Polsce za drogi, aby go dużo spożywać, to dzisiaj dzieci bezrobotnego nawet nie marzą, choćby małą ilość spożywali. My wszyscy ojcowie jak też i matki wiemy o tem, że cukier krzepi, ale go swoim dzieciom nie możemy dać, bo nas na to dzisiaj nie stać, my byśmy swoim dzieciom i nie wiem co dali zjeść, ażeby nam dano pracę i za naszą pracę wynagrodzenie to my i swoim dzieciom niczego nie poskapimy.

Jak już zaznaczyłem na wstępie, że nasze dzieci to jedzą kartofle, kapustę i barszcz i to często jest nawet posna ta strawa i do tego czasem parę dni chleba niema, to o tak drogim cukrze niema mowy. Bo dzisiaj kawa też jest droga i jeszcze do tej kawy potrzeba mleka, bo czarną kawę też niekoniecznie ze smakiem dzieci piją. A dla bezrobotnego to najtaniej wynosi dzisiaj barszcz, lub tak zwana kwasówka. Jak tylko jaką gazetę lub jaki kawałek papieru człowiek dostanie do ręki i czyta, to jest w całym Państwie ta składka i zbiórka dla bezrobotnych i wszystkie komitety zbierają, a nic tym bezrobotnym nie dają. Nie wiem jak gdzie, ale tutaj w Sanoku to bezrobotni bardzo słabą pomoc mają od tych komitetów, bo to co dali nam dotychczas, to jest zero. Ale żeby się choć temi dziećmi jako zainteresowali te komitety, aby choć tym dzieciom dać jakie pożywienie co chodzą do szkoły, bo teraz trafiają się wypadki, że która matka ma trochu chleba, albo czasem dziecku kupi bułkę i da do szkoły, to mu zaraz ten kawałek chleba drugi chłopak lub dziewczynka ukradnie i nawet przemocą z ręki wydrze temu drugiemu, co ma ten kawałek chleba i takich wypadków często się tu spotyka, bo nawet mojemu chłopcu dwa razy skradziono i raz mu jeden starszy od niego to mu z ręki przemocą wydarł i takie są skutki bezrobocia u nas. I takie dziecko już od małego uczy się kraść, bo go do tego zmusza głód, bo ojciec nie pracuje i nie może mu dać pożywienia dostatecznie. I żadna propaganda nie pomoże jak tylko Państwo i całe społeczeństwo i żeby z pomocą przychodzili tym biednym i bezrobotnym.

Jak nie będzie niskąd żadnej pomocy, to nastąpią skutki złe i Państwo na tem poniesie bardzo wielką szkodę, bo całe masy tych biedaków całkiem schodzą na żebraków i najwięcej na tem cierpi to młode pokolenie, które kiedyś ma być tym dzielnym obywatelem Państwa.

Ja kończę i spodziewam się, że to com opisał, to zostanie wszystkim na pamiątkę naszym wnukom.

Pisano w styczniu 1932 r.

Jak Instytut Gospodarstwa Społecznego uzna za stosowne to moje pismo, to proszę mi dać odpowiedź, czy co nada się do druku. Jakby zażądano ode mnie jakiego poświadczenia z urzędu pośrednictwa pracy, to mogę na żądanie później wysłać pocztą. Że jako jestem dotychczas bezrobotny i nie pracuję tak stale nigdzie.

Robotnik pracujący w rafinerji nafty
zamieszkały w Wygodzie, woj. Stanisławowskie

Cieszę się, że znalazł się ktoś, kto ma chęci dowiedzieć się, jak naprawdę wygląda życie bezrobotnego. O prawdziwej doli dowiedzie się zapewne z wielu nadesłanych listów. Ja się tym 100%-owym bezrobotnym nie poczuwam. Mam pewne warunki, dzięki którym jestem w lepszym nieco położeniu. Niemniej jednak w życiu mojem bezrobocie jest przyczyną mego dzisiejszego stanu. Bezrobociu zawdzięczać mogę, że nie utrzymałem się na drodze życia i zajechałem w gówno, z którego się już pewno nie wydobędę. Bo takie życie jakie teraz prowadzę, to chyba tylko gówna warte.

Urodziłem się w Wygodzie w roku 1905, 26 marca. Jak wyrosłem i jak się wychowałem nie będę pisał. W rodzinie zaszły pewne zmiany, ale byłem wtedy dzieckiem i to na dzisiejszy mój stan nie miało wpływu.

Gdy wojna wybuchła, mieszkaliśmy z matką w Bitkowie. Był nas razem siedmioro (ojciec z matką nie żyje). W roku 1916 poszedłem pierwszy raz do roboty. Nosilem narzędzia za maszynistą kopalnianym. Robiłem z rumunami, sprowadzonymi na kopalnię przez armję rosyjską. Lubili mię i uczyli mówić po rumuńsku. Ciężko mi było łązić po górach od szybu do szybu z dużemi kluczami. Ale lubiłem maszyny i robota mi się podobała. Chciałem być maszynistą. Gdy moskale się cofnęły, dostałem robotę w szybie Nr. 12, 2-ej sekcji, we firmie »Dąbrowa«. Szyb był w pompowaniu. Byłem wszechwładnym panem wieży wiertniczej. Radość moja była nie do opisania. Sam rano maszynę puszczałem, a wieczorem zatrzymywałem. Sam ropę w zbiorniku lata mierzyłem i na mierniki spuszczałem. Lubiałem moją maszynę, która trochę stukala, zóraw, który trochę się zacinał i kiwał jak koń głową w gorący dzień, tę wieżę z załamaną koroną. Poznałem szyb gruntow-

nie. Kierownik mało tu zaglądał, to też całymi godzinami łąziłem po wszystkich wystających częściach wieży. Z największą przyjemnością wyłaziłem zewnętrzną ścianą wieży wiązaniami aż na koronę, a stamtąd po stalowej linii zjeżdżałem na dół. W czasie niepogody siadałem na kołyszacy się żóraw i dumałem. Czasem dla odmiany montowałem u wylotu rury wydmuchowej »syrenę«. Polegało to na ułożeniu pod kątem prostym do strumienia pary dwóch rur. Pewnego razu pas przy maszynie zaczął się trochę ślizgać. Wiedziałem, że w takich wypadkach wiertacze posypują pas rudą, albo rozpuszczoną w oliwie kalafonją. Zacząłem więc lać oliwę najpierw na pas... W parę sekund pas leżał na ziemi, a maszyna odciążona pędziła z nieprawdopodobną szybkością. Korpus maszyny wraz z fundamentem rozkołysał się tak silnie, że koło rozmachowe ocierało naprzemian o jedną i drugą krawędź wgłębienia, syjąc straszniemi snopami iskier. Zacząłem krzyczeć. Nie wiedziałem co począć. Wiedziałem tylko, że się coś straszego dzieje. Zapomniałem jak parę zamknąć. Dopiero wskutek silnych wstrząsów, gdy zerwał się drut od przepustnicy, maszyna zwolniła. Za chwilę przyszli wiertacze z innych szybów i kierownik i odesłali mnie do domu.

Już tam więcej nie wróciłem. Zapisałem się do szkoły do czwartej klasy, chodziłem sześć miesięcy, dostałem świadectwo i 18 sierpnia 1918 r. poszedłem do terminu, do sekcji gazociągów, w tej samej firmie »Dąbrowa«. Robiłem chętnie, choć czasem majster mnie szturknał. Robotę tę bardzo lubiałem. Kierownik mnie chwalił, po dwóch latach t. j. w r. 1920 dostałem drugą kategorię. Teraz marzyłem, żeby zostać samodzielnym instalatorem. Zarabiałem dobrze, wystarczało mi na życie, na ubranie i na książki. Sprowadzałem podręczniki, uczyłem się. Powierzano mi poważne roboty. Miałem powodzenie. Żyłem i niczego sobie już nie życzyłem. Na wiosnę 1922 r. zdałem w Stanisławowie egzamin na montera gazowego. Natychmiast po egzaminie dostałem pierwszą kategorię według umowy zbiorowej. Przełożeni byli ze mnie zadowoleni. Kiedy ukończył się montaż gazoliniarni, zostałem destylatorem w tejże. Cieszyłem się. Jednego razu p. inż. O. powiedział mi: »Panie Robert, Pan jest zdolnym chłopcem, przed Panem przyszłość!«. Z początkiem 1926 r. rozpoczęto budowę nowej gazoliniarni na system »węglowy«. Gdy robota była w pełni, dostałem powołanie do wojska. Przed odjazdem Dyrektor i jeden inżynier bardzo życzliwie upewniali mnie, że gdy wrócę, pójdę na swoje miejsce. Jak się okazało, był to dla mnie ostatni szczęśliwy dzień, w którym jako wolny,

dorośli człowiek patrzyłem z radością w przyszłość. Przełożeni życzyli mi powodzenia w wojsku. Pożegnałem się z nimi, rodziną i dziewczynką i pojechałem. Pamiątką, jaką wziąłem ze sobą, były trzy blizny nad oczami po okaleczeniu, doznałem w czasie naprawy kompresora w gazoliniarni. Byłem z tego dumny. Dwa lata służby... Wróciłem z końcem września 1928 r. do Bitkowa. Ale... nie dotrzymani słowa. Roboty dla mnie już nie było. Zrobiło mi się żal. Czyż miałbym naprawdę już tam nie wrócić? Wróciłem do domu po raz pierwszy przegnębiony. Wiedziałem, że wydała się ludzi gdy coś wybroją, ale ja nic nie wybroilem, służyłem tylko w wojsku. Przepadło, mówił dyrektor, na Pańskim miejscu jest człowiek żonaty, więc nie mogę go wyrzucać. Kazał przyjść za kilka dni. Przyszłem. Dał mi robotę na placu, jako zwykły sezonowy robotnik, ale i tej stale nie było. Robiłem po kilka dni w tygodniu. Miałem jednak nadzieję, że dostanę się do odpowiedniejszej roboty. W czasie katastrofalnych mrozów przebywałem 8 godzin bez przerwy na dworze. Zdaje się, że byłem niedobrym robotnikiem, bo placmajstrzy niechętnie na mnie patrzyli. Począłem kaszleć, miałem często wieczorem gorączkę. Na dobitkę odmroziłem sobie palce.

— Psiakrew!.. czułem się coraz słabszym, kaszlałem coraz częściej. W marcu 1929 r. dostałem od inż. O., który w międzyczasie wyjechał do Rypnego, zawiadomienie, że przyjmuje mnie do montażu nowobudującej się gazoliniarni. Z radością przyjąłem tę wiadomość. Pojechałem drugiego dnia, z nadzieją wziąłem się do nowej roboty, tu miałem zacząć nowe życie. Niestety na drugi dzień, a nawet już w nocy, miałem tak silną gorączkę i klucie, że już do roboty pójść nie mogłem. Byłem w rozpacz. Teraz kiedy nareszcie dostałem dobrą robotę, kiedy naprawdę nowe życie mi się uśmiechnęło. Inżynier tak na mnie liczył, tymczasem sprowadził sobie odrazu kłopot. Napewno weźmie innego. Co ja mu teraz powiem? Jakże właśnie teraz można było zachorować. Ubrałem się, spakowałem manatki, poszedłem do chłopa, wynająłem furę, zaścieloną sianem i pojechałem. Miałem przy sobie okragło 40 zł. Jechałem do pociągu. Gdzie się dalej udam? Byleby nie do domu. Inżynierowi nic nie powiedziałem, uciekłem jak złodziej. Dostałem dreszcze. Gdy przyjechaliśmy na stację do Broszniowa, przyjechał akuratnie pociąg ze Stanisławowa. Prosiłem chłopa, aby mnie do niego zaprowadził, w chwilę później leżałem na ławce w przedziale w drodze do Lwowa. We Lwowie ktoś mi pomógł nieść walizę

i wsiąść do tramwaju. Do szpitala sam się dowlokłem, zdawało mi się, że mi było trochę lepiej.

Po 4 tygodniach było mi na tyle lepiej, że mogłem czytać gazety. Interesowały mię, rozumie się, tylko »wolne posady« w anon-sach. Trapiła mnie myśl, gdzie się teraz podzieję, jak będę zdrow? Z początkiem czerwca opuściłem szpital. Pośpieszyłem zaraz do majstra ślusarskiego, który się ogłaszał, że potrzebuje czeladnika. Przyszedłem za późno. Czeladnik już był. Kupiłem gazetę, znalazłem znowu coś, biegłem, szukałem godzinami, dopytywałem się, bo miasta nie znam i znów za późno. Trzeba było gdzieś przenocować. Miałem jeszcze 25 zł., ale te trzymałem na podróż w razie potrzeby. Musiałem dość podejrzanie wyglądać, bo w pasażu M. przyczepił się do mnie jakiś gość i jakby wiedział, spytał, czy ja szukam darmowego miejsca na spanie i oświadczył, że on to samo szuka i zaproponował dworzec kolejowy. Poszliśmy i tam za stołem, na ławce, dość dobrze mi się spało. Nad ranem wyszukał nas portjer i wypędził. Pożegnałem się z przygodnym przyjacielem, który mi poradził, abym napisał do gazety ogłoszenie, że się ożenię z panną, która mi wyrobi posadę. Czasem można, mówił, w ten sposób dostać dobrą żonę i dobrą posadę. Nie chciałem o tem słyszeć. Później pomyślałem, że rzeczywiście może on ma rację. Moja dziewczynka w Bitkowie i tak, jak zacząłem na placu robić, coś krzywo na mnie patrzyła i przeważnie nie miała czasu. Poszedłem do W i e k u N o w e g o i ogłosiłem się. Spałem przez 3 dni na dworcu. W dzień biegałem jak zwarjowany od warsztatu do warsztatu. Mówili mi: może na wiosnę, na drugi rok. — Im się żartów zachciewało. Gotówka topniała, jadłem dwa razy dziennie, co wynosiło 1½ zł. W redakcji dostałem dwa listy. W jednym panna »Nuśka« wyznaczyła mi spotkanie koło kościoła św. Anny. Pisała, że koło 3-ej pop. wysiądzie z tramwaju, a poznam ją po okularach, parasolce i plecionej kbiałce(!). Druga dobrodziejka zapraszała mię na wieczór do domu przy ulicy Zyblikiewicza Nr... O 3-ej byłem na posterunku. Zjawiła się... Serce mi, czułem to wyraźnie, wleciało do żołądka, w ustach, zdawało mi się, że mam dwa ślimaki i że już za kilka dni umrę. Była śmiała bestja. Zaprzyjaźniliśmy się odrazu. Wyglądała jak ser zgliwiały i z miejsca ofiarowała mi posadę egzekutora podatkowego. Spacer do dworca trwał dość długo, towarzyszka była bardzo rozmowną, a ja usiłowałem odgadnąć, czy naprawdę jestem w lepszym położeniu od przestępcy, który wpadł w ręce sprawiedliwości.

Przez okno wagonu posłała mi siarczystego całusa, a gdy po-

ciąg ruszył, byłem bardzo głodny. Wypiłem szklanekę mleka z bułeczką i złamany poszedłem na ulicę Zyplikiewicza. Tu przyjęła mnie kobieta może 40-letnia. Kobieta ciężka, z obwisłymi policzkami, woreczkami pod oczami i krótko strzyżonymi włosami. Powiedziała, że jest wdową po pułkowniku(!), że wygląda staro, ale faktycznie jest jeszcze młodą i że pochodzi z arystokratycznej(!!) rodziny. Ma duże wpływy i może dla mnie wiele zrobić. Zacząłem się zastanawiać poważnie, czyby się naprawdę nie zdecydować. Może długo żyć nie będzie, a położenie moje się polepszy.

Ale po chwili rozmowy rzekła: »Musi Pan ją jednak zobaczyć, może się Panu nie spodoba. Ze swej strony oświadczam Panu szczerze, że to jest dziewczyna pracowita, uczciwa i jak kryształ czystego serca«. Nim zrozumiałem co to wszystko znaczy, weszła służąca zawstydzona i pokraśniała. Zdażyłem jednak zauważyć, że patrzyła energicznie lewym okiem do prawej kieszeni, i że pod prawym okiem ma bujną brodawkę. Teraz zrozumiałem. To miała być moja żona. »No, Marysiu, zbliż się«—rzekła p. pułkownikowa. »Podoba ci się ten Pan?«. »A teraz moje dzieci idźcie się trochę przejść, byście się lepiej poznali«. Czuję się chory. Dała jej parasolkę i poszliśmy. Zdawało mi się, że wleciał pod tramwaj i że cegła mi upadła na głowę. Byłem zmiażdżony. Coś mówiła do mnie. Przyplątała się kwiaciarka. Spytałem, ile kosztuje? 10 zł. czy 5 gr. zapłaciła sama. Biedna. Po powrocie dostałem kotlet siekany z obiadu. Zjadłem i dałem nura, obiecując przyjść jutro. Głowa mi pękała. Żebym choć najgorszą robotę znalazł. Szczerze żałowałem tych 4½ zł., com dał na ogłoszenie. — Psiakrew! Spać nie mogłem. Nogi mnie boleli. Liczyłem: szklanka mleka 30 gr., ¼ chleba 25 gr., 2 razy dziennie wynosi razem zł. 1 i 10 gr. Mam gotówką 16 zł. 75 gr. Mogę więc śmiało żyć 12 dni z rezerwą, nie płacąc jednak mieszkania, 50 klm. mogę teraz lekko zrobić. Drugiego dnia rano o 5-ej zostawiłem walizę u kolejarza, a sam ruszyłem.

Ponieważ pisałem wtedy dzienniczek, podaję go dosłownie. Piątek 19 czerwca 1929.

Ulice puste, tylko czasem zadudni wóz piekarski. Dzień cudowny, można być szczęśliwym. Miasto dopiero się budzi. Story jeszcze pospuszczane. Niejedna szczęsna duszyczka, zagrzebana w brzuchate bebechy śni o tem... o czem ja nie mam pojęcia. Ha, śpi bestja, nie ma kłopotu. Rzuciłbym na pożegnanie kamieniem w zasłonięte okno. Niech wiedzą, że przecież już idę sobie. Niech dźwięk bitego szkła choć trochę tych ananasów przestraszy. Bez-

czelne okna. Ile słodkich tajemnic się za nimi kryje, ile zadowolenia i sprośnej rozkoszy, ile podłości jest w tej chwili troskliwie przykryte ciepłymi kołderkami. Zdawało mi się, że muszę koniecznie wybić portjera, który wyciągał się właśnie przed jakimś hotelem, albo postawić jakiś drąg na szyny tramwajowe.

W parku Stryjskim, czy placu powystawowym montował się jakiś cyrk. Jak mrówki się tu ludzie zwijali, zazdraszczałem im. Chciałem spytać, czyby mnie przyjęli, ale jak się zbliżyłem, popatrzyli na mnie podejrzliwie, zresztą nie mieli czasu. A węże z afiszów tak strasznie na mnie patrzyły, że się do reszty onieśmieliłem. Poszedłem swoją drogą. Może się we wsi co przydarzy. Po kilkunastu kilometrach urozmaiconych popijaniem świeżej wody, wstąpiłem do karczmy, kupiłem kilo chleba, szklankę kwaśnego mleka, zjadłem i ruszyłem w dalszą drogę z pełnym żołądkiem. Wieczorem po 58-ym kilometrze ledwo już nogi ciągnąłem. Usiadłem koło jakiejś studni, napiłem się wody, zjadłem resztki chleba ze śniadania. Wstałem zaraz, bo mi nogi sztywnieli. Wstąpiłem do pierwszego domu. Mieszkali tam żydzi. Mówili żebym sobie poszedł. Pokazałem im książeczkę wojskową, zresztą nie ruszałem się. Pozwolili ostatecznie przespać się w szopie na sianie. Zasnąć odrazu nie mogłem, bo mię nogi bardzo boleli.

(Sobota 20). W Stryju byłem u kilku kowali, ale na takiego dużego pomocnika nie reflektowali. Trafiła się praca, pojechałem więc prawie do samego Drohobycza. Nim wkroczyłem do tego miasta, w które dużo nadziei pokładałem, napiłem się u żyda trochę mleka, zjadłem kawałek chleba i była godzina 6-ta wieczorem. Rafinerja »Polmin« jakby mię zapraszała. Takie tu ładne domki i porządek. Tu napewno dostanę robotę. Tu się naftę wyrabia, a ja jestem przecież »nafciarzem«. Poszedłem naprawdę z nadzieją pytać o robotę. Powiedział mi portjer, że dziś już zapóźno. Poszedłem »na kwaterę«, którą znalazłem niedaleko stąd w postaci lodowni. Było tam trochę nacyń z ogrodu, więc się położyłem.

(Niedziela 21). Jestem na górze między Boryslawiem a Drohobyczem, przede mną szosa, nad którą kłębi się żółta chmura kurzu, wytraconego ze stanu spoczynku przez zjadliwie warczące auta nafciarzy. Leżę opodal na łonie przyrody, okryty wysoko nade mną wiszącymi liśćmi...

Godzina 8.30 wieczór. Siedzę w stogu siana koło Tustanowic. Gdzieś grają. Pewno na festynie. Teraz Boryslaw i Tustanowice wyglądają ślicznie: tysiące żółtych punkcików rozsypanych w po-

stacji dwóch kopuł na ciemnym tle. Przed chwilą wróciłem z Tu-
stanowic. Pytałem robotników gdziebym najprędzej mógł dostać ro-
botę, a każdy prawie mówił — narazie że nigdzie. Poczekałem aż po-
ciemniało i przyszedłem tu, zrobiłem odpowiedni otwór i wlałem
nogami naprzód.

(22). Byłem w »Polminie«: »Teraz miejsca nie mamy, może za
miesiąc«. To za »miesiąc« było i tak dość wątpliwe. Wróciłem do
Borysławia.

Chodziłem od biura do biura i jak na złość każda firma mia-
ła około 15 ludzi ponad stan, na szesnastego więc nie reflektują.
Zwiedziłem w ten sposób cały Borysław, zbliżka zresztą bardzo
brzydki.

(23). Tej nocy spałem na ławce na stacji. Byłem w kilku kot-
łowniach, ale mi tam spać nie pozwolono. O godzinie 4-ej r. uda-
łem się do Stryja. O 2-ej pop. poszedłem do Daszawy. I tu nic
nie znalazłem.

(24) Nocowałem w stodole u wójta. Był uprzejmy, trochę po-
rozmawiał, zaprosił nawet do kolacji. Życzę mu z serca zdrowia,
czuję się dość dobrze. Rano kąpałem się w rzece. Wyprałem bie-
liznę, a nim wyschła, leżałem w piasku na słońcu. Byłem w tutej-
szej gazowni, obiecali za dwa miesiące.

(25 Tyśmieniczany). Wczoraj o 8-mej wiecz. opuściłem Stryj.
Do Bolechowa zaszedłem daleko po północy. Do 6-ej r. spałem na
stacji. O 4-ej. pop. byłem już w Kałuszu. Byłem bardzo zmęczony.
Do stanisławowskiego pociągu brakowało kilka minut, ludzi na dworcu
było dużo. Gdy pociąg nadjechał, bez namysłu wsiadłem do prze-
działu. Obecny w separacie, którzy też do Stanisławowa jechali,
powiedziałem, że jadę na gapę. Wlałem pod ławkę, a nogi pasa-
żerów dobrze mnie kryły. O 6-ej byłem w Stanisławowie. Ponieważ
byłem trochę wypoczęty, ruszyłem torem i o 9-ej wiecz. byłem już
w Tyśmieniczanych. Spałem pod pustym obrogiem. Było bardzo
zimno i dostałem dreszcze.

(26). Jestem głodny, ale jeść nie kupię, bo muszę się dać ogo-
lić. Nie pójdę w takim stanie do domu, mam 75 gr. W Nazawizo-
wie kupiłem za 2 gr. mydła. Idę na rzekę, rozbieram się, szkoda
tylko, że deszcz zaczyna padać. Wyprałem bieliznę i powiesiłem
na krzaku. Myję się, woda żółta, deszcz pada już bardzo. Naciągną
szybko mokrą bieliznę. Dzwoniąc z zimna zębami, biegnę jak zwar-
jowany pod most. Pod mostem kilku pastuchów patrzą na mnie
dziwnie, widocznie źle wyglądam. W plecach zaczyna mię kłuć,

ale, że deszcz właśnie ustał, idę szybko przez miasto. Idę naprzelaj, teraz się trochę wypogodziło. Z mego ubrania dymi się, jest mi już ciepło i kłuć przestało, tylko jestem bardzo głodny. Od wczoraj rano nic nie jadłem. Wstąpiłem do chłopca, ogoliłem się i za zużycie brzytwy zrobionej z kosy dałem dziecku 20 gr., bo chłop niby to nie chciał wziąć. Na drugiej sekcji, dalej od ścieżki siadłem sobie. Nikt mię ze znajomych nie widział. Stąd widzę całą kopalnię. Godzina 6-ta wiecz. Wszystko zielone. Jak tu ślicznie. Nigdy mi się kopalnia tak ładną nie wydawała. Widzę stąd nasz barak. Poczekam aż się ściemni i wtedy zejść do domu.

Co powiem, czego wróciłem w takim stanie. Wiedzieli pewno, że w Rypnem nie zostałem, ale prawdy nie wiedzieli. Poprawiłem ubranie, obciągnąłem spodnie, bo się po deszczu skurczyły, jestem ogolony, może nie zrobię złego wrażenia. Mama może w tej chwili myśli, że jestem na dobrej posadzie. Naprawdę wstydzę się. Jakiem czołem ja się im pokażę. Wiem, że będą mię żałować, że będą się cieszyć, ale wiem też, że woleliby widzieć mnie w innym stanie. Przekłeta nędzo!

Gdyby jeszcze nie ta nadzieja. Cieszy się człowiek, że biedy nie ma, bo jak zanadto dopiecze, to przecież tak łatwo w łeb se palnąć. A jak przychodzi ten czas, to zaczyna ciągnąć podła karawana myśli. Przypomina się czas, jak się było małym bękartem i uciekało z kradzionym drzewem z tartaku, jak się chodziło do okopów naboje zbierać — aż do teraz i widzi się, że to przecież jeszcze nie było życie, że to tylko coś przejściowego i że ono dopiero nastąpi. Niema więc potrzeby uciekać, że się coś jeszcze ma stać, jakaś katastrofa, a wtedy i ja będę miał swoją część na tym świecie.

Poszedłem do domu. Po kilku dniach zacząłem chodzić do różnych kierowników po robotę. Nowy inżynier od gazociągów powiedział — może w zimie. Dyrektor powiedział, że jest niemile zdziwiony, że mię znów widzi i że roboty niema. We »Frankopolu« powiedzieli:—idźcie tam, skądęście przyszli, na »Oleju skal.«—niema. We firmie »Stella«—niema. Mamy swych za dużo. U »Segila«—nie potrzeba. Zastanawiałem się poważnie, czy naprawdę jestem już tak bardzo niepotrzebnym gratem. Jeżeli tak, to odkiedy, kto mię nim uczynił? Czytałem czasem powieści, gdzie wyraźnie było powiedziane, że dla młodego człowieka niema przeszkody, którejby nie pokonał. I mnie się do jakiegoś czasu tak zdawało. Tak mi wszystko gładko szło. Wszyscy mówili, że jestem zdolnym. Czyż zapomnieli? Czuje,

że jestem taki sam, może więcej doświadczony, byłiby znów zadowoleni, tylko dajcie mi pracę, którą przez wojsko utraciłem. Ale nie potrzeba. Psiakrew! Nie potrzeba! Palnąć se w łeb? Hej! Ale i do tego potrzebny humor, a ja go już dawno nie miałem. Najgorsze to chodzenie, czekanie pod drzwiami, pukanie, robienie przyjemnej miny, aby nie być odrazu z miejsca bez rekomendacji wyrzuconym. Dla mnie to jest straszne. Prosić o coś sukinsyna, któremu właściwie dałoby się najchętniej siarczystą fackę. Bo przecież: »jak wy możecie wchodzić do mego biura, gdy ja pracuję. To jest już bezczelność. — Wynoście się, bo nie mam czasu«. Często tak byłem załatwiony. Już nie pójdę do nich. Zasiłek mi się nie należy, bo tak się stało, że właściwie nigdzie nie byłem redukowany. Jestem na utrzymaniu brata starszego, który jest kowalem i ciężko na grosz pracuje. Wymówek mi broń Boże nie robi. Przykro mi jednak na myśl, że jak tak dalej pójdzie, to mu ten dług nigdy nie wyrównam. Czas ucieka, całeni godzinami siedzę w domu, staram się czemś zająć, wszystko mi się wstrętnem wydaje. Już nigdzie nie idę, niczego nie próbuje. Tyle razy mi powiedziano, że nic dla mnie niema. Nawet dziewczynka mię opuściła: »Ej! Ja bym za niego nie poszła, on ani się ładnie nie ubiera, ani nigdzie nie robi, a ja bym chciała mieć męża »maszynistego«, albo szofera od osobówki«. Miałem teraz często t. zw. stan podgorączkowy. Lekarze po wyleczeniu mnie nakazywali dobrze się odżywiać, unikać zmartwień, ciężko nie pracować i często przebywać na powietrzu. Powietrza miałem dość, ciężko nie pracowałem—co mi więc brakowało? Całych butów i ciepłego ubrania? Bezrobotny bez tego może się obejść. Dużo mleka, jaj i masła, czyż zdrowie moje komuś się przyda? Jeden lekarz powiedział, że najlepszym środkiem zapobiegawczym przed gruźlicą jest dobrobyt, a więc możnaby być zdrowym, są sposoby, tylko widocznie nie dla wszystkich. Takby się chciało być zdrowym, ciepło się ubierać, być wesołym, czytać książki i mieć kochaną narzeczoną. Żyć. Dawniej to było dla mnie dostępne. Trzeba coś radzić, coś robić, tak dalej nie wytrzymam. Mówią, że człowiek w moim wieku powinien najwięcej dziać, a przecież jestem bezradny. Kraść nie pójdę, bo nie umię, iść jeszcze raz prosić p. dyrektorów, aby mi coś z łaski dali zarobek? Nie pójdę! Najlepszym wyjściem w łeb sobie palnąć. Właściwie najłatwiej. Ale przedtem chciałoby się tych wybranych drabów, tych, co nie mają ani odrobiny wyrozumiałości dla niedoli ludzkiej — jednego po drugim wystrzelać. Wczoraj przypadkowo widziałem jak placmajster, jak się później dowiedzia-

łem ze Złoczowa, tracił robotnika. Dałem panu placmajstrowi fackę. Pobiegł tak na gorąco z krzykiem do dyrektora, ale jakoś to zostało umorzone. Potrzeba mi parę naboí. Miałbym gorzką, piekielną satysfakcję widzieć strach w oczach gładkich, wypomadowanych ananasów. Tak, to będzie najlepiej. Pchała mnie jakaś cholera do tego. Poczekajcie wy... sukinsyny. Do związku nie chodziłem już. Mimo chęci roboty tam mi nie mogli wyszukać, mieli więcej takich jak ja. Byłem bardzo wycieńczony. Wtedy poradzono mi napisać do Min. Spraw Wojskowych. Napisałem sam.

Do Pierwszego Marszałka Polski

Józefa Piłsudskiego

Może moje pismo nie będzie odpowiadało stylem i formą regułom, jakich należy przestrzegać pisząc do najwyższej osobistości w kraju. Nad tem się wcale nie biedziłem. Nie radziłem się też nikogo, czy dobrze, czy źle zrobiłem. Zresztą to nie jest podanie ani prośba, bo zdaje mi się, że na prośbę dla mnie już teraz za późno, a nie wiem, czy pismo to wogóle będzie czytane. Chciałbym jednak bardzo, byś Panie wiedział bezpośrednio od jednego z tysiąca tych, dla których zabrakło miejsca w społeczeństwie, że im jest naprawdę źle, że w Polsce obok dobrobytu, jest ostateczna nędza. Jestem jednym z tych. Są to kadry, w których kierownicze miejsca zajmuje demoralizacja. Jest to szkoła wychowująca wyrzutek społeczeństwa, dostarczająca sądom obfity materiał. Są to ludzie ztracający powoli zmysły tworzenia, ludzie dla których budować, przykładać cegielkę dla ogólnego dobrobytu jest rzeczą nieznaną. Dla nich gniazdko rodzinne jest największym ciężarem. Jak gwóźdź tkwi mu tylko w głowie, by na dziś zdobyć coś do zjedzenia. Żyje tymczasowo. Za parę groszy gotów zamordować człowieka, Ojczyznę sprzedać, bo u niego to ostatnie pojęcie nie istnieje... A jednak. Kiedyś on też kochał tę Ojczyznę, bo pracował, miał zapewniony byt, była dla niego Matka. Jakże nie było kochać? Przychodził po pracy do domu z radością, dzieciaki czyste, z zarumienionymi buziaczkami, rzucały mu się na szyję, kochał rodzinę i żył. A dziś? Czasem wspomni jak to było, ale tak już zdaje się nie będzie, bo niektóre rzeczy raz popsute nie dają się naprawić. Stracił pracę,

rzecz napozór tak błaha i... stracił wszystko. Nie ma dziś domu, nie ma do kogo pójść. O sobie mam do powiedzenia tyle, że od r. 1918 pracowałem w kopalni nafty. Byłem, jak mi mówiono, zdolnym i że przede mną jest przyszłość. Cieszyłem się, świat mi się przedstawiał w różowym kolorze. W r. 1926 zostałem powołany do wojska. Służyłem dwa lata w 2 p. łącz. 7-ej komp. telegraf. Gdy wróciłem, pracy dla mnie już nie było. Szukałem po obcych firmach. Było coraz gorzej. W czasie katastrofalnych mrozów robiłem trochę sezonowo. Szukałem dalej wzdłuż Podkarpacia, ale wróciłem bez niczego. Jestem wyczerpany, do popełnienia niedorzeczności mało mi brakuje. Dziś nie wiem, co jutro zrobię. Nie mam nic do stracenia. Jestem kawalerem. Nie jestem zrozpaczony. Za wiele straciłem bezpowrotnie.

»Masz chłopcze przyszłość przed sobą.«

Podpis.

Wlało to trochę nadziei we mnie. Czekałem. Za kilka dni przyszło zawiadomienie ze szpitala przez gminę, że mam za leczenie zapłacić 425 zł. Psiakrew! Zapomniałem, choć to i tak różnicy nie robi. Leczyłem się, więc trzeba zapłacić. Ale czym? Podartymi butami, czy dziurawym płaszczem? Gdyby tych kilka książek i mandolina miały tę wartość. Egzekucja, tłumaczenie się naco, poco i t. d. W kilka dni zdołał brat zebrać pożyczkami 200 zł., resztę miał uciulaną i odesłał tych 425 zł. gotówką. Dostałem wezwanie, abym się stawił na audjencji u Pana Starosty w Nadwórnej. Poszedłem (około 15 klm.). Czekałem rozmyślając, co też to będzie. Około 12-ej w południe wkroczył Pan Starosta. Po załatwieniu kilku interesantów zwrócił się do mnie i gdy mu pokazałem wezwanie powiedział, że Starostwo nie jest biurem pośrednictwa pracy i że zresztą nie wie, co ja za indywiduum i żebym sobie sam jak dotąd robotę szukał. Był zły. Nie rozumiałem, chciałem powiedzieć, że przecież o nic nie prosiłem, ale już mię nie słuchał. Udałem się do sekretarza, zresztą b. uprzejmego. Powiedział, że dostali z Min. Spraw Wojskowych pismo, aby mnie zatrudnić, powiedział, żebym jeszcze przyszedł za tydzień, może Pan Starosta będzie w lepszym humorze i coś się da zrobić. Byłem pocieszony. Drugim razem Pan Starosta wcale mnie nie przyjął, ale sekretarz zapewnił, że się robi starania i żeby się zgłosić za tydzień. Po tygodniu dał mi sekretarz list polecający do kierownika sekcji technicznej na stacji w Nadwórnej. Pan Kierownik

powiedział, że ma szczerą chęć, ale nic dla mnie zrobić nie może. Wróciłem z niczem do sekretarza. Pan sekretarz kazał przyjść za tydzień. Przyszedłem. Powiedział, żebym się udał do rafinerji »Segil« w Nadwórnej, że już mówił w tej sprawie z Dyrekcją. Udałem się tam. Pan inżynier powiedział, że narazie »stałego« nie potrzebuje, ale ma stare rury do naprawienia: tę robotę może mi oddać w akordzie. A później da się widzieć. Za dwa dni t. j. 2 stycznia 1930 r. wziąłem się do roboty. Do pomocy wziąłem 5 bezrobotnych i robiłem. Rano o 4-ej wstawałem i rowerem jechałem do Nadwórnej, a o 5-ej pop. wracałem. Robiliśmy na dworze. Pan inżynier K. był ze mnie bardzo zadowolony i mówił, że coś dla mnie robi, tylko trzeba się z robotą spieszyć. Po dwóch tygodniach prosiłem o zaliczkę. Powiedział, że narazie nie ma, ale za tydzień da mi 100 zł. Po tygodniu dostałem 100 zł., które natychmiast podzieliłem pomocnikom. Po upływie dalszych dwóch tygodni dostałem znów 100 zł., znów dałem pomocnikom, za kilka dni znów 100 zł. i tym razem rozdałem pomocnikom w nadziei, że swoją część dostanę zgóry. Z końcem lutego 1930 r. skończyłem. Pan inżynier odebrał robotę, obliczył i powiedział, że za wiele zarobiłem, zerwał z całości 200 zł. Następnie dał mi 200 zł., a po resztę kazał mi się zgłaszać co 2 tygodnie. Ponieważ pomocnikom należało się jeszcze razem 550 zł., pożyczył brat mój dla mnie u towarzyszy 350 zł. Skwitowałem się z pomocnikami. Z kasy należało mi się jeszcze 805 zł., z tego 350 miałem oddać, więc na czysto 455 zł. Zacząłem się zgłaszać, ale zawsze dostałem odroczenie. Pieniądzy nie było. Jednego razu powiedział mi pan inżynier, że mię na stałego nie przyjmie, bo ten, który miał odejść, zostaje. A jak nie będę się natarczywie upominał o pieniądze, to mi jeszcze kiedyś da kawałek akordu. Niech cię jasny szlag trafi, pomyślałem. Co powiem bratu? Dał mi pożyczone pieniądze z tem, że za kilka dni oddam. Teraz ani roboty, ani pieniędzy. Napisałem do ojca, który robi w Wygodzie. Odpisał, żebym przyjechał, może mię jakoś wkręci. Pożyczyłem od brata pieniądze na podróż i w pierwszy dzień wielkanocnych świąt pojechałem do Wygody. Ojciec doniedawna był tu werkmistrzem, teraz sam ciężko pracuje. Z niewielką trudnością zostałem przyjęty do warsztatu w destylacji drzewnej, z płacą 85 gr. na godz. Napisałem do rafinerji, ażeby mi moje pieniądze przesłali pocztą. Dostałem zapewnienie, że wkrótce to nastąpi. Zamieszkałem u ojca. (Ojciec jest z matką w separacji). Byłem bardzo zadowolony i wesoło zacząłem na świat patrzeć, choć fabryka zalegała z wypłatami, ale ojciec

utrzymanie mi dawał. Nie martwiłem się więc. Kiedyś przecież zapłaca, a że czasem coś kapnęli, więc jakoś to szło. Staruszek mój wziął dla mnie na kredyt ubranie, trochę bielizny i zacząłem być podobnym do ludzi. Miałem tylko to zmartwienie, aby oddać bratu długi. Ale z rafinerji nie przysyłali, a tu jeszcze tyle nie zarobiłem, aby tylko siebie do porządku doprowadzić. Pewnego razu naprawialiśmy kocioł miedziany tak zw. »blazę,« wypadło mi wleźć do wnętrza, mimo, że pełno było wewnątrz gazu. Myślałem, że zginę, nie mogłem odetchnąć, zdawało mi się, że mi się płuca dra, wylażłem pół żywy. Śmiali się ze mnie, jako, że nie jestem przyzwyczajony. Jednak odtąd często mię kłuło w piersiach. Po kilku dniach zacząłem kaszleć. 15 czerwca zachorowałem na dobre. Jak się później dowiedziałem, dostałem odrazu zapalenie płuc, ropne zapalenie opłucnej, tyfus brzuszny, zapalenie nerek i nie wiem jaką jeszcze cholereę. Niech to nagła krew zaleje. W Rypnem zaledwie zacząłem robić, zachorowałem, tu trochę porobiłem i ta sama cholera. Czy się sprzysięgło. Biedny ojczulek rozpaczał. Ratował jak mógł. Ale, że to był tyfus brzuszny, musiałem powędrować do szpitala w Dolinie. Szczęście, że tym razem należałem do Kasy Chorych. Zawieźli mię pół przytomnego na oddział zakaźny. Na przyjęcie Mateczka zaczęła się ze mną kłócić, że przez pomyłkę, będąc prawie nieprzytomny, splunałem do stojącej obok spluwaczki miedzicy z wodą. Na sali, w której byłem, byli chorzy na czerwonkę. Brud, smrody, tysiące much. Obmyć gdy chciałem się, kazali iść do łazienki — na korytarzu i w łazience istny chlew, ściany obdrapane, na posadzce po kostki niemal błoto. To też gdy w drodze do łazienki upadłem, zawałałem się z kretešem.

Przyszedł ksiądz i udzielił mi ostatniej pociechy. Następnego po tym wypadku dnia przyszedł ojciec i przyniósł list od brata. Ponieważ brat nic nie wiedział, że jestem chory, donosił, że się żeni i że zaprasza mnie na družbę. Począłem szlochać, rozkaszlałem się i straciłem przytomność. Tymczasem ojciec zrobił wielką awanturę i powiedział: — ja s... na takie leczenie, raz dziennie będę jadł, a syna wyratuję. Po kilku dniach zabrali mnie pół żywego do domu. Godziny moje były policzone, nie miałem czem oddychać, w płucach, powiedział doktor, pełno ropy. Pozostał ze mnie cień. Dzięki szczerzej opiece gospodyni ojca, która dzień i noc przy mnie była, zacząłem przychodzić do siebie. Wyzdrowiałem dopiero w grudniu. Ale nim się zgłosiłem do pracy, zostałem 13 grudnia zredukowany. Z kartą redukcyjną zgłosiłem się wraz z innymi

w P. F. B. w Dolinie. Po kilku tygodniach powiedziano mi w Dolinie, że mi się zasiłek nie należy, bo nie mam przepracowanych 20 tygodni w okresie sprawozdawczym. Napisałem podanie do Komisji Odwoławczej w Stanisławowie. Byłem w rozpacz, mogłem zpowrotem zapaść na płuca. Należało się dobrze odżywiać, nie martwić się i dobrze się ubierać. A teraz żyję na koszt mego starszaka, który ciężko pracuje. A kto wie, czy też nie będzie zredukowany. Teraz cały zarobek prawie na mnie tylko składał. Zrobił długi, aby mnie zdrowie podreperować. Ponieważ dotąd pieniędzy swoich z rafinerji nie dostałem, poszedłem do adwokata i wniosłem skargę, ale już po kilku dniach otrzymałem zawiadomienie, że »Segil« t. j. rafinerja zbankrutowała i może się uda wyciągnąć jeszcze 30% pretensji zaskarżonej, mniej więcej tyle, ile wynoszą koszty procesu.

Czas uciekał, a zasiłku nie było. Napisałem jeszcze raz do Komisji Odwoławczej. Chodziłem co tygodnia do Doliny, ale nie było nic.

4-go maja 1931 r. dzięki staraniom ojca zostałem zpowrotem przyjęty do roboty, tym razem dostałem już tylko 75 gr. na godzinę. Jak na te czasy dość dobrze.

Fabryka teraz zalegała coraz gorzej z wypłatami. Robotnicy wycieńczeni, przy strasznie niezdrowej robocie, źle odżywiani, skarżyli się coraz to głośniej. Związku żadnego tu teraz nie było. Chodzili jeden do drugiego, radzili, i dalej robili ledwie mogąc podołać swej pracy. Zdarzało się, że ze szychty wywozili nieprzytomnego do lecznicy. Byli tacy, że na cały dzień brali ze sobą do fabryki trochę surowych kartofli, tam je piekli i jedli. Uradzili wreszcie, że trzeba sprowadzić inspektora pracy i zastrajkować. Ale firma nas uprzedziła i już 3 sierpnia fabryka stanęła, a wszystkim robotnikom wypowiedziano 14-kę. Zjechał inspektor pracy, konferował z dyrektorem, w rezultacie czego powiedziano robotnikom, że zaległości będą wypłacali po 10% miesięcznie, a fabrykę z powodu braku gotówki prowadzić dalej nie mogą.

4-go sierpnia pojechałem na ćwiczenia wojskowe. Cieszyłem się na tych 6 tygodni beztrudnego życia. To też gdy lekarz wojskowy powiedział, że należałoby mnie zwolnić, prosiłem, abym został i zostałem. Kiedy wróciłem, fabryka jeszcze stała. Poszedłem do F. B. dowiedzieć się, może już jest mój zaległy zasiłek, bo teraz nie dostałem karty redukcyjnej, jako że w tym roku już byłem raz zredukowany, choć zasiłku jeszcze nie dostałem. W Dolinie powiedziano mi, że trzeba się wystarać o świadectwo lekarskie, że do 13 grudnia

zeszłego roku faktycznie byłem chory. Wziąłem świadectwo i przedłożyłem, powiedzieli przyjsć za tydzień. Tymczasem fabrykę wydzierżawiła jakaś nowa firma »P. D. T.« Lwów, Rutowskiego i zaczęli przyjmować robotników na nowych warunkach. Mianowicie zerwali mieszkaniowe, światło, opał i do tego około 15% przeciętnie z zarobków. Teraz zarobek robotnika za 8 godzin wynosił tu dokładnie od 1 zł. 50 gr. do 4 zł. 50 gr. zależnie przy czem pracował. Tylko trzech ślusarze na warsztacie mieli do 5 zł. 20 gr. dodatków różnych.

Pracuje się tu w strasznych warunkach. Smrody, dymy, brud nie do opisania, nieszczelność w przewodach i t. d. Tam, gdzie się w dużych naczyniach wygotowuje aceton, robotnik przebywa całą szychtę w parze, która niema gdzie żadnego ujścia, chyba drzwiami wejściowemi. Ubranie jego jest mokre, a porusza się poomacku, deptać po błocie, które tam nigdy nie wysycha. W suszarni mimo przeciągów robią półnago, bo stoją na gorących płytach, na których suszy się aceton. Unoszą się tu tumany kurzu, ściany obchlastane smołą, szyby czarne, wszędzie sterty śmierdzącego nawpół gęstego octanu. O oddychaniu tu świeżem powietrzem niema mowy. Ci, co tu robią, są przeważnie gruźlikami. Wyglądają jak cienie, twarze żółte, przedwcześnie poorane, oczy świecące, obdarci, obraz nędzy i rozpaczy. Ci mają po 3 zł. 50. W retortach niemniejsze niechlujstwo, kurzu tu jest tyle, że wystarczy oprzeć się o ścianę, by być gruntownie zasypanym. Światła dziennego tu prawie niema. Małe okienka pod samym dachem są całkiem zasmolone. Warto widzieć, jak otworzą retortę, z którego wybucha istne piekło. Robotnicy zręcznie wyskakują na odpowiedni stół, naciągają czapki na czoło tak, aby żar oczu im nie wypalił, zaczepiają odpowiedniemi hakami, a sami pochylają się wprzód,—krótki okrzyk i... z głośnym hukiem ogromna masa palącego się węgla wpada do żelaznej skrzyni. Miljony iskier synią się za kołnierze, głowę, ręce i twarz. Wyglądają jak djabli ż w cem z piekła wzięci. Wszystko to się odbywa bardzo szybko. P... na nich, jak na czerwonym tle ognia energicznie się poruszają, ma się dla nich ogromny szacunek. Zamykają skrzynię, wycierają pot z twarzy, gaszą tlejącą się odzież i idą do następnej retorty. I tak 8-9 retort na szychtę. Ci zarabiają około 4 zł. na szychtę... Ponieważ ojciec mój zaraz po ostatniem uruchomieniu fabryki doznał okaleczenia nogi, przyjęli mię do warsztatu, ale tylko na czas choroby ojca. Dostałem teraz po 60 gr. na godzinę. Często mi się teraz skarżył mój towarzysz pracy, proletarjusz w całym tego słowa znaczeniu. On z biedy wprost wygramolić się nie może,

odkiedy się ożenił, a teraz to już całkiem przepadł. Biedak. Pracuje sam, ma teraz 40 gr. więcej ode mnie. Ma żonę na utrzymaniu, czworo drobnych dzieci, matkę żoniną i swoją. Razem ich jest ośmioro. Jak zarabiał trochę więcej, było jako tako, dostawał drzewo, światła nie płacił, bo ma mieszkanie firmowe. Prawda, że zajmuje z całą rodziną małą izdebkę na poddaszu i to w ten sposób, że sąsiedzi przechodzą przez jego mieszkanie do siebie. Ale jakoś się klepało. Ale teraz to trudno. Jak był zredukowanym, to miał przynajmniej spokój od egzekutorów, bo teraz to co drugi dzień go u siebie gości. Ofiaruje mu do sfantowania dziecko, ale przebiegle bestje nie chcą brać.

Niech szlag trafi takie życie. Jeszcze gdy się słyszy, że gdzieś się za nieswoje pieniądze kupuje biurka po 30.000 zł., to jest chyba jakaś pomyłka na tym świecie.

Ponieważ mam całe ubranie poszedłem do kościoła pomodlić się temu, który tyle może i tyle daje dobrego, ale jednym już teraz w życiu doczesnym, a innym dopiero po wyzwoleniu się duszy z grzesznego ciała... I mówił ksiądz długo do cisnącej się hołoty—długo i wspaniale. Jakże pięknie umiał do nędznego, biednego serca przemówić i niejedna łezka kapnęła na posadzkę. Rozumiał duszę skolataną, rozumiał krzywdy nasze, jak dobrze znał nasze pragnienia: chleba, łaski i Boga nam potrzeba, jak ongiś wyznawcom Zbawiciela Pana. Kościół stoi otworem. Przychodźcie więc, spowiadajcie się i przyjmujcie chleb Boży, który jest ciałem Chrystusa Pana. I wracajcie w pokoju do domów waszych, boć niedługo wieczne zbawienie wasze. I przychodzili i spowiadali się, jako że nie mało nabroili i wracali do domów, znajdując ten sam głód, wszy i niedostatek. Klęli siarczyście, grozili, płakali, pochylali głowy i czekali.

Teraz fabryka płaci regularnie, a zaległości wypłacają po 10% miesięcznie. Po sześciu tygodniach ojciec wyzdrowiał i choć noga trochę jeszcze dolegała, poszedł do pracy. Tem samem ja zostałem zwolniony.

Znów to samo, już się teraz nawet nie boję. Nędza się miała czas zakorzeńić, już się przyzwyczailem, tu widzi się dużo podobnych, dlatego zdaje się, że to tak już ma być. Zgłaszałem się do F. B., ale i teraz mego nieszczęsnego zasiłku nie było. Napisałem jeszcze raz do Komisji Odwoławczej w Stanisławowie. Nareszcie przyszło. Okazało się jednak, że się im legitymacja moja podziła gdzieś. Kazali przyjść za tydzień. Po tygodniu powiedzieli, że muszę napi-

sać do Stanisławowa. Czekałem znów tydzień. Teraz kazali przynieść poświadczenie od firmy i od wójta. Po tygodniu przyniosłem to wszystko i dostałem po raz pierwszy zasilek z F. B. za całe 13 tyg. zgóry. Zacząłem obliczać długi: bratu jestem winien gotówką razem 775 zł. oprócz tego, że mię żywił, ojcu za całkowite utrzymanie z 1½ roku 550 zł. razem mam dług 1325 zł. — Prawda, to swoi, poczekają. Ale czy będę mógł im kiedyś to zwrócić? Jak ja długo będę żyć ze swoim parszywem zdrowiem? A co będzie, jak oni stracą pracę? Byłem ich ciężarem. Dzięki im podobny jestem jeszcze do człowieka. Brata doprowadziłem prawie do nędzy, ojciec łoży na mnie ostatni ciężko zapracowany grosz. A lada dzień nie zdoła już starowina pracować. Miałem znajomego we Lwowie, zrobił dla mnie podanie do kolei, poczty, zakładów wodociągowych i nie wiem gdzie jeszcze, ale wszędzie nieprzychylnie załatwiono. Jutro, t. j. 19 grudnia staje znów fabryka. Ojciec będzie bez pracy. W domu zimno, na ścianach połyскуje szron, drzewa niema, firma już i za pieniądze nie chce sprzedać. Sklepikarze zamykają kredyt. Święta się zbliżają. Lepiej żeby nie były. Czwarte święta już takie spędzę. Snem się wydaje, że kiedyś z taką dziecinną radością oczekiwało się tej choinki. Ileż to radosnego niepokoju, ile niespodzianek miłych. Ten dostał ubranko, ja czapkę, inny śniegowce. Dziewczynce kupiłem łyżwy i pióro, żeby, gdy pójdę do wojska, dużo pisała.

Radość. Śpiewało się kolendy, żartowało i było bardzo miło. Teraz wiem zgóry jak to będzie. Trochę siana na stole. W jednym rogu główka czosnku, przykryte to białym, trochę podartym na jednym końcu obrusem. Szklanka od musztardy, w niej świeczka. Strucel, na drutowanym talerzu trochę kuti, opłatki, żółta flaszka z domowym winem z dzikiej róży i trochę smutku. W jednym końcu stołu jest trochę miejsca na choinkę, ale jej niema. Czas się dłuży. Godzina 6-ta. Zaczynamy? — pyta ojciec. Zaczynamy. Jest nas troje. — Życzę ci moje dziecko, żebyś od dziś za rok miał dobrą żonę, żebyś miał dobrą i stałą robotę i żebyśmy znów razem w kupce w dobrym zdrowiu święta spędzić mogli. Teraz nas Bóg Wszechmogący trochę karze, ale może przeminie plaga, da się przeblagać i dożyję jeszcze lepszych czasów... Słowa się zalamują, starowina płacze. Ma 67 lat, niejedno widział, niejedno przeżył, przeważnie ciężko pracował, ale takiej starości, że tak marną będzie, się nie spodziewał.

Zamiast ciepłego pieca, fajeczki, ciepłych pantofli, książki z dużymi literami, czasem podreptać do kościołka — zamiast tego

musi harować jak czarny wół, jak wtedy, kiedy miał 20 lat. Jak dziwnie czasy się zmieniają. Pamięta złe czasy, bardzo złe, ale takich jak teraz nie było. Dziwne czasy!

Wolałbym, żeby tych świąt nie było.

Zamiast się pocieszyć będzie mi strasznie przykro. To samo w ten deseń życzyliśmy sobie i Bóg nas pewno słyszał, a nic na lepsze się nie zmieniło, tylko na gorsze. Życzenia i modlitwa nie są widocznie wysłuchiwane. Biedne święta.

Czy już inaczej nie będzie? Czy już tak musi nieodwołalnie być? Dlaczego dziś już nie jestem tym wesołym, zdrowym jak przed laty, dlaczego połowę włosów mam siwych? Mam dopiero niepełne 27 lat. Jaką więc zbrodnię popełniłem, że nie mogę uczyć się i żyć jak człowiek powinien? Dlaczego nie wolno mi pracować? Kto się do tego przyczynił? Którą mordę należałoby rozplątać, aby się ta nędza skończyła? Gdzież ten skurwysyn? Ha!... niema takich! Samo się tak składa, że musisz pomału ginąć. Tak się składa, że nikt temu nie winien. Przecież mamy na świecie samych dobrodziejów, sameś sobie bracie winien, zasłużyłeś widocznie na to. Jeżeli chcesz grzeszniku, aby dusza twoja nie poszła na wieczne potępienie, to idź, wypowiadaj się i nie narzekaj, bo biada ci po śmierci.

Powinieneś dziękować Panu Najwyższemu, że żyjesz ku jego chwale. Tyle jest dobrych chęci, tyle współczucia, tyle wytwornych w pięknie skrojonych surdutach dobrych serc, radzą by ciebie w takim stanie utrzymać. Byś żył. Chcą ci pomagać, opiekują się tobą, a ty niewdzięczny, złorzeczysz. Przecież tylko im i Panu Najwyższemu zawdzięczasz to co masz.

Powiadasz, że ci źle: nieprawda! Tylko jesteś teraz taki przewrotny. Za wielkie macie wymagania, nie umiecie się upokorzyć. Oj! dawniej tego nie było. Nie.

Tfu!!! Racja!

Do d... z takim życiem.*)

Powiedział mój ojciec na Nowy Rok, że pamięta jak starzy, mądrzy ludzie mówili, że po wojnach, głodach i ciężkiej choleryze »zapanuje« dobrobyt i że to dobro nastąpi podobno w r. 1932. Ma starowina jeszcze nadzieję, że »zapanuje« dobrobyt.

Po »Trzech Królach« chodził tutejszy ksiądz z »wizytacją« po

*) Dalszy ciąg został nadesłany w parę miesięcy później jako uzupełnienie.

»parafjanach«. U nas od kilku dni był stół przykryty białym obrusem, a akurat na dziurze stał talerz z opłatkiem. »Podejrzane« kąty były skrupulatnie zamaskowane. Przyszedł wieczorem, poświęcił nas wodą, zapisał, popytał jak żyjemy, obiecał, że da Bóg, że będzie lepiej, tylko dobrzeby było, żeby stare obrazy zastąpić nowymi, jako że nie poznać jaki święty na nich wymalowany. Powiedział, że to nieładnie we mnie, że nie pracuję, że trzeba się starać i ufać, podzielił się opłatkiem i poszedł.

Ponieważ zapowiadało się, że fabryka będzie zpowrotem uruchomiona, poszedłem do dyrektora i prosiłem, żeby mię przecież przyjął. Dostałem odpowiedź bardzo jasną: »Narazie fabryka stoi, a jak pójdzie, to jeszcze nie wiem kogo przyjmę«.

W Mizuniu ktoś wydzierżawił tartak i puszcza go w ruch. Robotnicy jak pielgrzymi ciągną. Byłem tam także, ale miejscowi bezrobotni nikogo nie dopuszczają z innych wsi. Podobno kogoś nawet nabili.

Z końcem stycznia zaczęli w destylacji zapisywać do roboty. I tym razem znów na innych warunkach: zerwali mieszkaniowe i »cośniecość« z dniówki.

Zgłosiłem się. Pan Dyrektora, powiedział, że powtarza już po raz setny, że dwóch z jednego domu nie może pracować. Zresztą fabryka wszystkich ludzi i tak zatrudnić nie może. Chciałem coś powiedzieć: że jestem dorosły, że nie mogę być na utrzymaniu starego ojca, ale nic nie powiedziałem. Miałem kluski czy innego djabła w gębie. Musiałem ofiarnie wyglądać, bo po chwili popatrzył na mnie już łagodniej i powiedział, że przyjmuje mię do czyszczenia błota, bo gdzieindziej niema miejsca.

Więc od 1 lutego 1932.

Tymczasem robotnicy zwołali zgromadzenie i uchwalili nie pójść do roboty i wysłać do kancelarii delegatów z żądaniem mieszkaniowego.

Dnia 1 lutego poszedłem do roboty, ale przed bramą fabryki zebrała się spora ilość robotników i nikogo do roboty nie wpuszczali. Przyłączyłem się do nich. Każdy prawie miał w kieszeni kawałek chleba i flaszkę z troszkim lury czarnej.

... Nie pójdziemy do roboty, aż nam zwróci mieszkaniowe... Już nam dość ponazrywali... Dalej nam zęby będą wyrwać... aby mniej jeść —słysząc było krzyki. Kto za nas mieszkaniowe będzie płacił? Jak na życie nie wystarcza — wołali inni. Zimno mi było i przykro. Ale każdy był licho okryty łachami... Ta czego tu stoimy jak te psy na zimnie pod bramą — ktoś zakonkludował. Macie go! Już

by szedł do roboty... A pociąg ty tu przyszedł... Już dość mam tego bezrobocia, potem przyszedł, by robić, a nie marznąć pod bramą. Zdrajca!, a na zgromadzeniu to najwięcej krzyczał... Ty sam zdrajca!... Ktoś powiedział, że kilku ludzi już robi. Podobno przeleźli przez parkan... Idziemy ich wypędzić, chodźmy wszyscy — nie! nie wszyscy, dwóch wystarczy... A jakże! Zostaną i będą robili. Nie! niech nikt nie idzie. O! ten co najwięcej krzyczał, ten już robi... Już się i z komina kurzy, już i drzewo ładują. I tak nas z pod bramy ubywało, aż koło południa wszyscy poszli, ale nie wszystkich przyjęto już. Stałem na swoim miejscu. Wlałem do kadzi i zacząłem błoto wyrzucać. Po chwili przyszedł inżynier i powiedział, żebyśmy się wynosili, że niema dla mnie »placu«. »Trzeba było nie strajkować«.

Zdawało mi się, że muszę koniecznie sięść, wygramoliłem się z kadzi, zacząłem myć buty nad kanałem. W głowie mi się mąciło. Ktoś powiedział, że dyrektor idzie, żeby go prosić, może przyjmie zpowrotem. Przyszedł. Ale nim zdążyłem coś wykrztusić, zaczął się drzeć i kazał mi się wynosić. Mój Boże! Czyżby to już po robotcie? Zdążyłem się tylko zachłapać, by znów dalej »istnieć« nie wiedzieć na czyją pamiętkę, szeregi tygodni z tą samą beznadziejnością, i z tą samą pustką w sercu i w żołądku. Ach nie! Chcę robić, chcę się zapracować za dwa dziennie, za 1 złotego, a choćby za 50 gr. — Chcę robić, a »on« nie chce mi tej roboty dać. »On« może dać, a nie chce.

Koło schodków leżał duży, żelazny klucz, miał jeden koniec jak mi się zdawało, idealnie przystosowany do uchwycenia w dłoń. ot, zupełnie jak buława marszałkowska. Tam było dość ciemno. Głowa mi pękała, w głowie mi szumiało. Zbliżyłem się, rozebrałem marynarkę i podniosłem klucz. Patrzyłem na drzwi. Po chwili wszedł dyrektor, na jasnym tle otwartych drzwi wyraźnie widziałem jego profil. Siwy, mógłby być moim ojcem. Ach! Opuściłem klucz na ziemię... Zbrodniarz! Dopiero teraz zrozumiałem co chciałem zrobić.

Sąd, prokurator, szubienica a może nawet więzienie. A przecież on tak ludzi poniewiera. Mógłby tego nie robić, a jednak robi. Na to paragrafu niema i nie będzie. Sędziowie nigdy nie będą robotnikami, aby poznać jego położenie w całym tego słowa znaczeniu, by rozumieć jego niedołęzny sposób myślenia, jego sposób radzenia sobie z biedą, jego nieskończoną walkę o utrzymanie się z dnia na dzień przy tem marnem życiu, by posłuchać, by znosić w każdym urzędzie, w każdej instytucji, gdzie musi pukać, to obywatelskie odnoszenie się. By doświadczyć, jak mało by byli

warci. I dlatego paragrafy przestarzałe, niedostosowane do dzisiejszych warunków życia, nie znają zbrodni powolnego zabijania bliźniego. Bo to się wszystko robi tak zgodnie z prawem, że sumienia są zupełnie czyste. Nikt niczego zarzucić nie może. Zresztą kto temu winien, że ktoś był tyle czasu bez roboty, a jeszcze strajkować się zachciewa. Warjaty! Zrozumcie, że na jednego wyrzuconego jest dziesięciu pod bramą nowych.

Pobiegłem za nim, powiedziałem, jak mię nie przyjmie do roboty, będę gotów... »na wszystko.« Śmiał się. Wyszedł na górę i stamtąd krzyknął: idźcie do pracy!

Wlażem zpowrotem do kadzi. Głowa mię bolała. Słyszałem, jak p. Dyrektor »wyrzucał« jeszcze kilku robotników, a między innymi garbatego ze suszarni. Biedny garbusek siedem lat pracował w suszarni. Jego postać zupełnie się już przystosowała do formy walcowej, z którą pół nago uganiał się po gorących płytach od szeregu lat. Wygląda jak mały potworek wycieńczony. Teraz go też wyrzucają. Płakał biedak.

Pracuje się tu na cztery zmiany po sześć godzin. Mam 45 gr. na godzinę. P. Dyrektor jest prawdopodobnie ze mnie zadowolony, staram się wyczyścić dwie kadzie na szychtę i wynieść 10 beczek wapna na górę, choć nie zawsze podołam.

Dnie teraz upływają spokojnie. Robota trochę ciężka, ale po szychcie jest dość czasu wypocząć. Tylko wierzyciele się natarczywiej upominają, wiedzą przebiegłe bestje lepiej od robotników, kiedy ma być wypłata i zawsze stawia się na czas. Wszystkiego jednak nie biorą.

Pokochałem tę robotę mnie przeznaczoną, zgłębiłem gruntownie tajniki kunsztu łopaciarskiego i sztukę wyrzucania błota z kadzi. Wywijam łopatą jak ongiś mistrze bronią obosieczną. Z szumem wylatuje ponad głowę gruda za grudą miękiego błota i pada na ziemię z trzaskiem, rozpryskując się na wszystkie strony. Gdyby pewne było, że wkrótce fabryka znów nie stanie, to by mi do tego błota i szczęścia zdaje się już niczego nie brakowało. To już jest wszystko. Przecież to właściwie jest już to, co nazywamy życiem, to takie już powołanie. Więcej szczelbi w mojej drabince niema. Jedyńm zwrotem, czy niespodzianką może być chyba koniec.

Jestem ustabilizowany, to grunt. Z łopatą się już pewnie nie rozstanę, chyba starą zamienię na nową. To jest bardzo pożyteczny instrument. Żadna technika go nie wyruguje. Przecież tylko ona mi da ostatnią, bezinteresowną przysługę.

Wygoda, dn. 28 grudnia 1931 r.

MÉMOIRES DES CHÔMEURS

R é s u m é

Afin de rassembler sur la vie des chômeurs des matériaux de première main, aussi complets que possible, l'Institut d'Economie Sociale a publié un concours dont les participants ont été conviés à écrire leurs mémoires. L'Institut invitait les chômeurs à raconter simplement et avec sincérité leur vie depuis le moment de la perte du travail jusqu'à l'heure actuelle tout en donnant un relief spécial à la question de l'alimentation, de l'éducation et de l'instruction des enfants, celle du logement, du vêtement, des maladies etc.

Le résultat du concours a dépassé toutes nos prévisions. Nous avons reçu 774 mémoires. Leur valeur n'est pas, naturellement, égale; certains d'entre eux rappellent plutôt des requêtes en vue d'obtention d'un appui. Pour la plupart ce sont des descriptions plus ou moins longues de la lutte journalière contre les suites néfastes du chômage, descriptions dont les auteurs ont des cultures et des opinions diverses, des tempéraments dissemblables.

Des chômeurs du pays presque entier ont pris part à notre concours, bien que le pourcentage que représentaient les auteurs des mémoires par rapport au nombre total des chômeurs enrégistrés dans différentes régions du pays ne fût pas partout le même.

Notre concours a été destiné aux travailleurs physiques. Nous avons reçu cependant pas mal de mémoires des travailleurs intellectuels. C'est que les limites entre le travail physique et intellectuel s'effacent souvent et surtout à l'époque de la stagnation de l'industrie. L'homme s'attaque alors à tout travail quand l'occasion se présente.

Sur 550 ouvriers, auteurs de mémoires, il y avait 118 ouvriers non-qualifiés. Nous avons été frappés par le nombre important des

mémoires de métallurgistes (94), et des ouvriers en bâtiments. Il s'est montré également qu'en fait de professions il existe une grande variabilité: il y a dans le cursus laborum de beaucoup de chômeurs des facilités d'adaptation surprenantes.

L'âge moyen des chômeurs ayant participé au concours est supérieur à celui des ouvriers qui bénéficient, comme assurés, des services de la Caisse des Malades. Ce sont des ouvriers d'un certain âge, au-dessus de 30 ans, qui deviennent les premières victimes de la crise; on garde les plus jeunes et surtout les mineurs qui sont prêts à travailler pour des salaires moins élevés.

Le plus grand souci des personnes ayant pris part à l'enquête est le sort de leurs enfants. Il y a 70 familles sans enfants, les 437 restantes ont au total 1262 enfants, ce qui fait en moyenne 3 enfants par famille. Des charges considérables pèsent donc sur les chômeurs. Nous ajoutons que certains d'entre eux sont sans travail depuis quelques, ou même plusieurs années. La plupart a perdu le travail dans les années 1930-1931.

De quoi vivent nos chômeurs? La source principale de leurs revenus ce sont des occupations temporaires, trouvées au hasard. Voici quelques - unes d'entre elles: exécution d'une clé, vitrage d'une fenêtre, peinture d'un mur, fabrication de jouets, de paniers, de pâtisserie ou de gâteaux, vente de fleurs, de bonbons, de journaux, courses en ville avec des paquets etc. et pour des femmes spécialement: la lessive, le reprisage, les travaux de ménages etc. On consacre dans nos mémoires beaucoup de place à la description des difficultés qu'il y a à obtenir ces travaux et à les exécuter.

La ressource seconde en importance, c'est l'assistance de diverses institutions. Mais cette aide non plus ne vient pas d'elle-même et il faut beaucoup de persévérance de la part du chômeur pour se la faire concéder et l'obtenir. On trouve dans les mémoires de nombreuses remarques relatives aux démarches tendant à obtenir cette assistance.

En troisième lieu, il faut citer l'aide de la famille et des particuliers. Parfois cette aide est accordée simplement et de bon gré: la famille prend chez elle la femme et les enfants, surtout si elle habite la campagne; elle offre à diner, soit régulièrement, soit de temps en temps; elle assiste le chômeur de temps à autre d'un peu d'argent, d'un prêt, des produits alimentaires. Mais cette aide est rarement durable, elle cesse au bout d'un certain temps, sur-

tout si la famille commence également à se ressentir de la crise.

Lorsque la période de chômage se prolonge, lorsque la faim et le froid deviennent de plus en plus oppressants le moment arrive où le chômeur doit tendre la main pour demander l'assistance aux personnes qu'il ne connaît pas. Il va de porte en porte sollicitant quelques sous ou un peu de nourriture, timidement et avec gêne, ensuite avec plus en plus d'assurance. L'accueil qu'il rencontre est divers, on en parle dans les mémoires.

Il faut mentionner à son tour, comme source temporaire d'entretien, la vente d'effets et, ce qui est plus rare, leur mise en gage. Le mobilier de l'ouvrier, on le sait, est d'ordinaire très modeste: quelques pièces seulement le composent, aussi le chômeur ne se hâte point de les vendre. Mais lorsque la misère l'aura acculé, la glace et la montre disparaîtront de son logis, disparaîtra également la commode ainsi que des meubles d'une plus grande utilité, ensuite le linge, le vêtement du dimanche, l'anneau de mariage, et il n'y aura à la fin dans son logis que des murs nus et des coins vides.

L'assistance prévue par la loi ainsi que le secours immédiat des organisations spéciales jouent un rôle relativement peu important. Sur 556 personnes 46 à peine, soit 8%, mentionnent cette aide. Cela se comprend: l'assistance sociale n'est accordée que pendant 13 semaines et nos chômeurs sont sans travail depuis des mois ou même des années.

En parlant du budget du chômeur, il est impossible de passer sous silence une chose encore: les crédits dont il bénéficie. Ce sont les crédits accordés par le boutiquier et l'endettement envers le propriétaire du logis pour le loyer.

Le boutiquier en donnant au chômeur des marchandises à crédit, les compte plus cher; mais il n'accorde le crédit que dans certaines limites. Si la stagnation se prolonge et le montant de la dette du client atteint des chiffres de plus en plus importants le crédit s'arrête. D'ailleurs le boutiquier attend souvent pour réaliser sa créance une année ou plus. Il attend parce qu'il ne peut faire autrement (parfois il prend à titre de garantie un objet en gage).

Autrement ardue est l'affaire du loyer. L'acquittement régulier du loyer est pour le chômeur chose impossible, aussi le montant des arriérés augmente de mois en mois. Il y a parmi nos auteurs des chômeurs qui ont subi les suites de l'expulsion et ont du logé avec leurs famil-

les à la belle étoile. Il y en a qui passent leurs nuits n'importe où: dans un parc, dans une gare, sous un pont ou sur des escaliers; d'autres trouvent un abri dans des baraques construites pour ceux qui n'ont pas de logis.

La situation est très difficile, désespérée. Et le moyen d'en sortir? Quelques-uns ont trouvé une solution à leur usage personnel—ils pensent au suicide.

Il n'a pas été possible de publier dans le présent livre tous les ouvrages que nous avons reçus. Nous avons choisi 57 mémoires qui nous ont paru les plus significatifs.

T R E Ś Ć

Str.

SŁOWO WSTĘPNE	V—XIV
NIECO O PAMIĘTNIKACH I PAMIĘTNIKARZACH	XV—XXXVII
ZAŁĄCZNIKI: 1. Mapa: Zasięg terytorjalny konkursu na pamiętnik bezrobotnego	XVI—XVII
2. Odezwa Instytutu Gospodarstwa Społecznego w sprawie konkursu na pamiętnik bezrobotnego	XXXVIII

PAMIĘTNIKI BEZROBOTNYCH

M. WARSZAWA	1 — 141
Pamiętnik Nr. 1. Murarz-sztukator	1
„ Nr. 2. Ciesla	11
„ Nr. 3. Pracownik	29
„ Nr. 4. Pracownica	61
„ Nr. 5. Robotnik niewykwalifikowany	69
„ Nr. 6. Ślusarz	82
„ Nr. 7. Brakarz	87
„ Nr. 8. Robotnik niewykwalifikowany	99
„ Nr. 9. Robotnik w przemyśle spożywczym	116
„ Nr. 10. Szewc	126
WOJEWÓDZTWO WARSZAWSKIE	142—162
Pamiętnik Nr. 11. Monter	140
„ Nr. 12. Gonciarz	149
„ Nr. 13. Inwalida	153
„ Nr. 14. Ślusarz	159
WOJEWÓDZTWO ŁÓDZKIE	163—269
Pamiętnik Nr. 15. Tkacz	163
„ Nr. 16. Ekspedjent	168
„ Nr. 17. Malarz	174
„ Nr. 18. Tokarz	184
„ Nr. 19. Robotnik włókienniczy	192
„ Nr. 20. Robotnik włókienniczy	205
„ Nr. 21. Robotnik włókienniczy	208
„ Nr. 22. Tkacz	225
„ Nr. 23. Tkacz	239
„ Nr. 24. Przędzalnik	246
„ Nr. 25. Żona rytmownika	259

WOJEWÓDZTWO KIELECKIE	270 — 342
Pamiętnik Nr. 26. Pracownica	270
„ Nr. 27. Robotnica niewykwalifikowana	272
„ Nr. 28. Stolarz-modelarz	283
	Str.
Pamiętnik Nr. 29. Robotnik tkacki	290
„ Nr. 30. Windziarz w kopalni	303
„ Nr. 31. Robotnik niewykwalifikowany	312
„ Nr. 32. Zecer	325
„ Nr. 33. Robotnik w odlewni żelaza	329
WOJEWÓDZTWO BIAŁOSTOCKIE	343 — 363
Pamiętnik Nr. 34. Robotnik niewykwalifikowany	343
„ Nr. 35. Mechanik	350
WOJEWÓDZTWO WILEŃSKIE	364 — 372
Pamiętnik Nr. 36. Robotnik niewykwalifikowany	364
WOJEWÓDZTWO POZNAŃSKIE	373 — 419
Pamiętnik Nr. 37. Robotnik niewykwalifikowany	373
„ Nr. 38. Pracownik budowlany	390
„ Nr. 39. Robotnik niewykwalifikowany	394
„ Nr. 40. Palacz	406
„ Nr. 41. Robotnik fabryczny	413
WOJEWÓDZTWO POMORSKIE	420 — 447
Pamiętnik Nr. 42. Drenarz	420
„ Nr. 43. Robotnik niewykwalifikowany	431
WOJEWÓDZTWO ŚLĄSKIE	448 — 490
Pamiętnik Nr. 44. Elektromonter	448
„ Nr. 45. Robotnik fabryczny	452
„ Nr. 46. Robotnik niewykwalifikowany	462
„ Nr. 47. Górnik	473
WOJEWÓDZTWO KRAKOWSKIE	491 — 509
Pamiętnik Nr. 48. Uczennica	491
„ Nr. 49. Bona-wychowawczyni	497
„ Nr. 50. Monter-blacharz	504
WOJEWÓDZTWO LWOWSKIE	510 — 579
Pamiętnik Nr. 51. Robotnik niewykwalifikowany	510
„ Nr. 52. Zecer	527
„ Nr. 53. Szewc	543
„ Nr. 54. Malarz	551
„ Nr. 55. Cieśla	559
„ Nr. 56. Kowal	570
WOJEWÓDZTWO STANISŁAWOWSKIE	580 — 600
Pamiętnik Nr. 57. Robotnik pracujący w rafinerji nafty	580
RÉSUMÉ	601

OMYŁKI W DRUKU

Str.	Wiersz	Jest:	Winno być:
24	16 od dołu	dłatego	dla tego
76	9 „ „	proleterjackich	proletarjackich
79	5 od góry	proterjackiej	proletarjackiej
157	8 „ „	ludności	ludzkości
211	6 „ „	dostałem	dostałem się
214	7 „ „	zamieniłbym	nie zamieniłbym
214	20 „ „	1930 roku	1931 roku
214	3 od dołu	p. dziedzic	p. dziedzicowi
246	10 „ „	7	37
256	8 od góry	znacznie	znacznie
258	12 „ „	tropi	trapi
264	13 „ „	większa	większe
264	6 od dołu	Posłuchałem... napisałem	Posłuchałam... napisałam
264	5 „ „	przedstawiłem	przedstawiłam
268	11 „ „	mówią	mówię
283	5 „ „	sosnowcu	Sosnowcu
315	9 „ „	niegotowaną	niedogotowaną
315	4 „ „	i do niegotowanego	i niedogotowanego
322	4 od góry	dojrzało na ziemię i lód	wejrzało na ziemię i lud
324	8 od dołu	tej	też
359	18 „ „	zdołamy	zdołam
368	14-13 od dołu	byłem nędzny	żyłem nędznie
433	12 od góry	ja	ją
444	9 „ „	który	które

WYDAWNICTWA
INSTYTUTU GOSPODARSTWA SPOŁECZNEGO
W WARSZAWIE, UL. CZERWONEGO KRZYŻA 20, TEL. 311-19
R - k czekowy w P. K. O. 12099.

<i>Białobłocki B.</i> Szkice literackie	3.—
<i>Derengowski J.</i> Urlopy wypoczynkowe pracowników kolejowych	2.—
<i>Drobny przemysł i chalupnictwo.</i> T. I.	15.—
<i>Fabierkiewicz W.</i> O konsekwencjach gospodarczych planu Daves'a	wyczerpane
— Rosja współczesna	5.50
— Walka o Śląsk Górny	wyczerpane
<i>Jastrzębski W.</i> Organizacja pracy fizycznej	5.—
<i>Korniłowicz K.</i> Akcja społeczno-kulturalna w górnictwie angielskim	3.—
— Wczasy młodzieży pracującej	wyczerpane
<i>Kozłowski St.</i> Warunki bytu pracowników bankowych w Polsce	1.50
<i>Krahelska H.</i> Łódzki przemysł włókienniczy wobec ustawodawstwa pracy	1.—
— Praca dzieci i młodocianych w Polsce	2.50
— Praca kobiet w przemyśle współczesnym	5.—
<i>Krieger A.</i> Ubezpieczenie na wypadek choroby w Polsce	10.—
<i>Krzyżkowski J. i Sobierańska Z.</i> Stosunki kredytowe wśród drobnej własności rolnej	12.—
<i>Kuropatwińska M.</i> Ogrody działkowe a kultura miast	3.50
<i>Landau W.</i> Izby pracy	1.80
— Ośmiogodzinny dzień pracy	3.50
— Poglądy włościan na sprawę niepodzielności gospodarstw wiejskich	2.70
— Walka o bezpieczeństwo pracy	5.—
<i>Materiały do Bibliografii Ekonomicznej w języku polskim</i> pod redakcją prof. <i>L. Krzywickiego</i>	wyczerpane
<i>Materiały do Bibliografii Gdańska</i> pod redakcją prof. <i>L. Krzywickiego</i>	wyczerpane
<i>Młynarski F.</i> Walka o naprawę skarbu	wyczerpane
<i>Moraczewska A.</i> Wczasy robotnicze	5.—
<i>Pültz F.</i> Dochody mieszkańców Warszawy	5.—
<i>Rosja Sowiecka pod względem społecznym i gospodarczym.</i> Pod redakcją prof. <i>L. Krzywickiego.</i> Część I i II	13.—
<i>Rosset E.</i> Proletariat łódzki w świetle badań demograficznych	3.50
<i>Rychliński St.</i> Czas pracy w przemyśle polskim	4.—
— Marnotrawstwo sił i środków w przemyśle polskim	6.—
— Płace i zarobki robotników przemysłowych w dziesięcioleciu 1918 — 1928	wyczerpane
<i>Sterling H.</i> Międzynarodowa Organizacja Pracy	1.50
<i>Sztetnerowa W. i Błaszczkowa M.</i> Młodzież robotnicza w Austrii	1.50
<i>Szturm de Sztrem E.</i> Samowystarczalność Polski pod względem zbożowym	1.—
<i>Szturm de Sztrem T.</i> Bezrobocie w Europie dzisiejszej	4.—
— Działanie inflacji w sferze podatkowej	wyczerpane
— Płace zarobkowe w okresie dewaluacji pieniężnej	2.—
— Walka o płace zarobkowe	2.—
— Żywiołowość w opodatkowaniu. Podatek inflacyjny. Ze słowem wstępnym prof. <i>L. Krzywickiego</i>	wyczerpane
<i>Warunki życia robotniczego w Warszawie, Łodzi i Zagłębiu Dąbrowskim</i> w świetle ankiet 1927 roku	15.—
<i>Zacharzewska St.</i> Urlopy wypoczynkowe pracowników drukarskich	6.—
<i>Zieliński J.</i> Higiena pracy	9.—
<i>Życie i praca pisarza polskiego</i>	12.—

Do nabycia we wszystkich księgarniach